



MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
W DĄBROWIE GÓRNICZEJ

DS/KP / Maduń

481.5



Nowy Rok,

p. Kazimierza Glińskiego.

„Puk-puk!” — „Kto tam? — „Ja — Rok Nowy.”

Odezwał się głos za drzwiami:

Szmer powstał między dziatkami,

Szepty jakieś i rozmowy,

Później śmiechy i wołania:

— „Roczek Nowy nam się kłania,

A być piękny musi — juścić!

I hojniejszy, niż ten stary...

Czy go wpuścić, czy nie wpuścić?

Czy pokazać ma wprzód dary?

„Jesteś?” — „Jestem!” — „Powiedz, proszę,

Czyś bez skrzydeł, czy masz skrzydła?

Czyś w tęż strojny malowidła,

Czy masz pełne szczęścia kosze?

Bo to każdy z was gotowy

Rozkosznemi łudzić słowy,

Obiecować nam rok rocznie

Góry złota i uciechę —

I cóż z tego? — Nic!... Widocznie

Sami pustą macie kieszeń.”

— „Ja nie łudzę.” — Nie?... daj słowo!”

— „Daję!” — Prosim!” — I wszedł młodzian,

W jakiś dziwny strój przyodzian:

Gwiazdę złotą miał nad głową,

Która skrzy się i koralu —

A w prawicy młot ze stali,

Ciskający błyskawice —

A na piersi tarcz z kryształu,

Suknię szytą z samodziału.

— „Co to?” — „Dary!” — *Zadziwienie —*
A On podniósł młot do góry
I tak mówił! — „Kruszy mury
Młota tego uderzenie
I największy gład wyraca.
Daję młot ten — to jest Praca!
Rękawica zaś żelazna
To Wytrwałość!... kto podejmie
Ich rozkosz — trudu zazna,
Świat powita go uprzejmie,

„Lecz to wszystko nie wystarcza
Przeciw złej oszczerstwa broni,
Od pocisków tylko chroni
Kryształowa piersi tarcza;
W niej jest siła, w niej potęga,
Która wszelkie zło rozprzega,
Zawiść każdą na proch kruszy
I zwycięstwą laur podaje:
Czystość duszy i hart duszy
Za żelazną zbroję staje.

„Oto dary dla was, dziatwo!
Najprzedniejsze skarby moje!...
A pomnijcie, że w tej ziemi,
Grzebiąc dłońmi wytrwałemi,
Odnajdziecie złota dzbany,
Pracy własnej plon obfity: —
Miły może jest skarb — dany
Ale trwalszy jest — z d o b y t y !

Wspomnienia Pani Łowczyny.

O ELŻBIECIE Z KOWALSKICH DRUŻBACKIEJ,

przez

Sewerynę Duchinińską.



ile dziewczynki moje, w końcu ubiegłego roku, kiedy na Święta Bożego Narodzenia przybyłyście z rodzicami do domu dziadka i babuni waszej, spędziłyśmy razem dziesiątek dni przy ciepłym ich ognisku z niemałą dla mnie przyjemnością. W długie wieczory, pociągnięta przez was, opowiadałam wam przygody z życia mego. Uważałam, z jak wielkim zajęciem słuchałyście mnie, gdy mówiłam o sławnej w kraju Elżbiecie Drużbackiej, z którą Bóg pozwolił mi przebywać długie lata; ale oderwane słowa moje, nie mogły dać wam poznać tej niepospolitej postaci.

— Wszakże babunia napisze nam coś o niej! mówiłyście przy pożegnaniu. Z jaką radością odczytamy to, da Bóg doczekać podczas świąt Wielkanocnych, kiedy znów zbierzemy się w Zabrzezie.

Nie śmiałam nic przyrzekać, nie oswojona z piórem, lękałam się, czy sobie z niem poradzę, czy z tego wątku wspomnień, drgających żywo w sercu mojem, potrafię wysnuć

jaką całość. Po odjeździe waszym umyśliłam jednak poprobować sił moich, wysłuchałam mszy świętej za duszę Elżbiety w tym parafialnym kościółku, w którym modliłam się z nią, za dawnych i młodych dni, spędzonych razem tak szczęśliwie.

Nazajutrz pochwyciłam pióro i papier: „Elżuniu moja! mówiłam w duchu, ty mi dopomóż, ty mnie oświeć, ty dodaj mi odwagi!” Z razu szło mi jak po grudzie, raz po raz trzeba było rozdzierać nakreślone kartki, przerabiać je bez ustanku, nawiązywać wątek, urywający się co chwila; czasami brakło mi cierpliwości: „ja temu nie dam rady!” powtarzałam zrażona trudnością; ale głos tajemny szeptał mi: „Pisz, co ci serce szepnie, poprostu, bez obawy, nie szukaj słów, chwytaj tylko wspomnienia o tej, z którą Bóg rozłączył cię przed dwoma laty. I tak też uczyniłam. Gdyim przełamala pierwsze lody, reszta poszła jak z płatka.

Czy to, com napisała, odpowiada prawidłom retoryki; nie chcę już tego badać. Oddaję wam dziewczynki ten skrypt po świętach Zmartwychwstania Pańskiego. Nie dałam go za przyjazdem waszym, aby nie męczyć wam myśli przy kilkodniowym nabożeństwie, ani w ciągu dni uroczystych. Odczytajcie to spokojnie, za powrotem do domu, jeśli coś nie jasno wypowiedziałam, zapytajcie mnie bez ogródki przy pierwszym spotkaniu, a ja wam to wyjaśnię.

Słów moich nie strzepiłam łaciną, chociaż taka dziś moda. Nie uczyłam się mowy starożytnych Rzymian; Elżunia mędrsza ode mnie, znała ją trochę, lecz jej nigdy nie wplatała do żadnych swoich rymów. Ale dosyć już tego, przystąpmy wprost do rzeczy.

* * *

Od dziecinnych lat moich ukochałam całym sercem Elżunię. Bóg pozwolił mi przy jej boku spędzić wielką część życia mego, osłodzić jej niejedną ciężką chwilę, a na koniec zamknąć jej oczy i posypać garścią ziemi na jej trumnę.

Rodzice nasi byli sąsiadami, zaledwie ćwierć milki rozdzielało ich wioski, położone na jednym brzegu Warty. Państwo Kowalscy, rodzice Elżuni, mieszkali w wiosce dziedzicznej Kowalewie, moi rodzice od dziada i pradziada, posiadali wioskę Zabrzezie. Przedzielał je obie lasy brzozy, tak maleńki, że można jabłkiem by go przerzucić; nie brakło tam jednak poziomok ni orzechów. Gwar- noż tam było i wesoło, kiedy latem bracia nasi przybyli z Poznania na wakacje, a była ich cała gromadka. Państwo Kowalscy mieli dwóch dziarskich chłopców, starszy Marcin kończył lat czternaście, kiedy Elżunia rozpoczęła rok szósty. Moi braciszki nie ustępowali im w psotach. Ja urodzona w tym samym roku z Elżunią, miałam starszą o lat kilka siostrzyczkę Julię, ta cicha i potulna, nikomu nie zamącała wody. Wychowana u panien Dominikanek w Szamotułach, wyraźny okazywała pociąg do życia zakon- nego, rodzice nie sprzeciwiali się temu; jakoż zaczęłam wyro- ślać, znikła mi całkiem z oczu.

Elżunia miała dwie młodsze od siebie siostrzyczki. Matka wychowywała je starannie i uczyła je sama, a była to niewiasta, jakich mało. Młode lata przebyła na dworze wojewodziny Opalińskiej; tam nasłuchiwała się wielu mą- drych rzeczy, i naczytała książek, do czego zachęcała ją światła opiekunka spostrzegłszy jej zamiłowanie w nauce.

Moja matka, całkiem zakopana w domu, niewiele zajmowała się książką, ale za to nie było skrzętniejszej od niej gospodyni. Mimo różnicy wychowania, serdeczna za- żyłość łączyła je z chorążyń Kowalską. Kochały się obie jak siostry, co parę dni odwiedzały wzajem, a nawet, jak się później dowiedziałam, pragnęły uwieńczyć tę przyjaźń po- łączeniem swych dzieci. Ale Bóg radzi o swej czeladzi — zamiary te spełzły na niczem.

Ojcowie nasi sprzyjali też sobie od młodu. Obaj za- siadali na jednej ławie w konwikcie Ojców Jezuitów w mie- ście Szremie nad Wartą. Później rozdzielili się, acz nie na długo. Ojciec mój przebywał w palestrze piotrkowskiej,

gdy tymczasem młody Kowalski, chwycił się wojskowego rzemiosła i kilka lat służył w pancernej chorągwi, aż śmierć ojca powołała go na rolę, i z żołnierza stał się, jak mówił, hreczkosiejem. Wówczas pojął w małżeństwo dorodną pannienkę, wychowaną wojewodziny Opalińskiej. Niedługo potem i mój ojciec, ulegając woli dziadka mego, któremu siedm krzyżyków ciążyło już na barkach, osiadł przy nim w Zabrzeżu. Upatrzył w sąsiedztwie hożą Wielkopolkę, i nie namyślając się wiele, stanął z nią przed ołtarzem.

Odtąd najściślejsze węzły sprzęgły Zabrzezie z Kowalewem. Oba dworki szlacheckie pełne były życia i rozgwaru. Do ojca mego, zawołanego palestranta, garnęli się też sąsiedzi. Powoływali go to na kompromisa w razie granicznych sporów, to na opiekuna małoletnich sierot.

Zaszczycony tytułem wojskiego, pilnował gorliwie przyjętych obowiązków. Tymczasem dom byłego husarza Kowalskiego, nawiedzali raz po raz towarzysze broni: gość w dom, Bóg w dom, powtarzali małżonkowie i chętnie otwierali wrota przybyszom. Ale roztropni gospodarze, tak palestrant jak żołnierz, umieli utrzymać w karchach gościnność staropolską; daleko było jeszcze do czasów smutnej pamięci, kiedy za króla Sasa, szlachta rozpuszczała pasa, a wino toczyło się po stołach.

Tak zbiegło jakie lat kilka, gdy nagle zawichrzyło się w kraju: Turczyn z ogromną siłą ciągnął na Wiedeń. Zadrżał świat chrześcijański. Wówczas to wielki król Jan rozesłał wici na różne dzielnice ziemi naszej. Kto żyw biegł do obózu. Dzielny husarz Kowalski, nie tracąc chwili, pośpieszył pod chorągwie. Ojciec mój rad był uczynić toż samo, ale sąsiedzi gwałtem niemal zatrzymali go w domu.

— Kto przygarnie — mówiono — wdowę i biedne sieroty? a będzie ich nie mało. Sprawa z Turczyńcem to nie płocha igraszka! Ojciec mój rad nie rad ustąpił.

Mnie ani Elżuni jeszcze w te czasy nie było na świecie: ona urodziła się w cztery lata po wyprawie wiedeńskiej, w roku Pańskim 1687-ym, a ja nieco później w tym samym roku. Zdawało nam się nieraz, że pamiętamy owe czasy, tyleśmy nasłuchiwały się o tureckiej wojnie w dziecinnych latach. Czy to zimową porą, gdy obie rodziny nasze obsiadły wielki komin w Kowalewie, a chorąży jał prawić o królu Sobku, czy znów w letni wieczór, kiedyśmy zasiedli pod lipą na dziedzińcu, to nieraz i kury zapiały podwakość, a wątek opowieści nie zerwał się na chwilę. Było też co opowiadać! Chorąży wrócił z wyprawy z głęboką szramą na czole. Ugodził go krzywym kordem janczar, podczas kiedy z oddziałem husarzy wdarł się do namiotów wezryra, nim je opanowano. Siła krwi pociekła z tej rany, ale tytuł chorążego opłacił mu ją szczerze.

Spokojnie upłynęło lat kilka, aż tu dnia jednego, kiedy przed wieczorem, w piękny dzień czerwcowy, przyszedł z matką do Kowalewa, zastajemy tam płacz i lament. Chorążyna z oczyma czerwonymi od łez wybiega na spotkanie.

— Co wam jest? czy co złego się stało? — pyta matka.

— Nieszczęście — odrzeczcie chorążyna. — Król Jan zmarł w Wilanowie. Tę wieść przywiózł nam przed chwilą kwestarz Bernardynów z Kalisza.

Elżunia wbiegła za matką, drżała jak listek. Miałyśmy wtedy po lat dziewięć, ale nasłuchawszy się tylu rzeczy o królu Janie, kochałyśmy go całą duszą i żałowały go serdecznie.

Chorąży nie pokazał się zrazu, przyszedł dopiero, gdy go wezwano do wieczery. Błady był i dziwnie przygnębiony.

W kilka dni potem nowe nadeszły wieści. Rodzice nasi zamówili mszę św. w kościele parafialnym. Modliliśmy się gorąco za duszę ukochanego króla.

* * *

(d. c. n.)

Jak się uczyć?

PRZEW

JĘ MOSZCZEŃSKĄ.

I.



iemy dobrze, że najtrudniejsze dla uczących się nie są te lekcye, na które się idzie do klasy, ani te, na które nauczyciel przychodzi, lecz lekcye zadawane do domu. Samo uczenie się dla nikogo chyba nie jest przykrością, a może nawet wielką przyjemnością stanowić. Miło jest wiedzieć dużo i coraz więcej, miło jest coraz lepiej i coraz dokładniej rozumieć.

Nietylko każdy przedmiot żywiej nas interesuje, w miarę jak się z nim zapoznajemy, ale i całe życie nasze staje się zajmującym i dostarcza nam wciąż wzrastającej ilości wrażeń, jeżeli umiemy sobie zdawać sprawę z tego, co się w nas i koło nas dzieje. Dla człowieka bez wykształcenia świat jest księgą pisaną w niezrozumiałym języku. Tu i owdzie jakiś obrazek uderzy jego oczy i rozbudzi ciekawość, lecz nie mogąc odczytać treści książki, nie pojmuje ani znaczenia obrazków, ani istniejącego między niemi związku. Dla człowieka wykształconego jest on książką, spisana w mowie dla niego dostępnej. Każdy wyraz ma tam jakieś znaczenie, budzi w duszy tysiące myśli i uczuć.

Jednakże jak żadnego dobra na świecie, tak i nauki nie może człowiek zdobyć bez wysiłku i trudu. Ci, co kształcą młodzież, starają się obmyślić jaknajlepsze sposoby nauczania, żeby dzieciom naukę łatwą i zajmującą uczynić, żeby im wysiłku i trudu oszczędzić.

Usiłowanie takie jest słuszne i jemu to zawdzięczamy, że dziś nauka, odbywa się bez różgi i kar surowych, że ilość dzieci uczących się z ochotą, a nie z przymusu wciąż wzrasta. Nie należy jednak sobie wyobrażać, żeby dzięki staraniom i dobrym chęciom nauczycieli, można było dzieci zupełnie od pracy i trudu zwolnić. Bez własnego wysiłku woli nikt się jeszcze nigdy niczego nie nauczył i żadne z was też nie zdoła sobie żadnej umiejętności przyswoić, *jeżeli nie będzie tego chciało samo, i to chciało wytrwale i energicznie*. Francuskie przysłowie mówi: „*Qui veut la fin — veut les moyens*” (Kto chce celu — chce także i środków do niego wiodących). Jeżeli chcecie celu — nauki, musicie się chwycić jedyne do niej wiodącego środka — *pracy*.

Trud, z jakim zdobywacie naukę, ma i sam przez się dla was duże i dobroczynne znaczenie, przyzwyczajają was do pokonywania trudności. Ponieważ zaś w życiu nie ma rzeczy, któreby osiągnąć było warto, a któreby bez trudu osiągnąć można, więc przyzwyczajanie i wprawa do pokonywania trudności, do zdobywania szturmem szczytów, które wam drogę do wszelkiego dobra zagradzają, będą dla was cenną zdobyczą, ułatwią wam dalsze życie. Przypomnijcie sobie, jak trudnem dla was było w pierwszych początkach nauka czytania. Dzisiaj czytacie bez zmęczenia od deski do deski numer „Wieczorów Rodzinnych,” a zawdzięczacie to tylko pokonaniu tych pierwszych, nie dających się usunąć trudności.

Otóż od pewnej miary trudu i wysiłku praca nauczyciela nigdy was nie zwolni, zwolnić was nie może i nie powinna, jeśli ma w ogóle jakie pomyślne dla was przyniesienie następstwa. Nauczyciel może pracować nad uczniem, może pracować z nim razem, ale nie może pracować za niego. W ostatecznym rezultacie tyle tylko będziecie umieli, ile sami nauczycie się zechcecie.

Kiedy będziecie dorosłymi ludźmi, kiedy — jak się to mówi — ukończycie edukację, będziecie się musieli jeszcze niezmiernie wielu rzeczy nauczyć sami. Ani rodzice, ani

nauczyciele dziś nawet przewidzieć nie mogą, ilu jeszcze wiadomości będziecie w życiu potrzebowali, a nie mogą przewidzieć dlatego, że nie znają waszej przyszłości, waszych dalszych losów, nie odgadną w jakich się warunkach i okolicznościach znajdziecie. Gdybyście się teraz w dzieciństwie waszem niczego sami nie uczyli, to nie umielibyście i w przyszłości żadnej wiadomości samodzielnie sobie przyswoić. Przywyklibyście zanadto do tego, by się na cudzych objaśnieniach opierać, cudzych wskazówek szukać i zawsze tylko cudze słowa i myśli powtarzać. Takie przyzwyczajenie byłoby może nieraz dla was poprostu zgubnem. Dlatego też to, co się wam najcięższą rzeczą wydaje, to odrabianie lekcji zadawanych do nauczania się na jutro, mają dla was nieocenioną wartość. One was skłaniają do pracy samodzielnej, do nieoglądania się na drugich, do uczenia się przez wysiłek własnej uwagi i własnego rozumu.

Jestto dla was jak gdyby ćwiczenie przygotowawcze do życia, jakby gimnastyka dla umysłu i charakteru, która wasze siły moralne i umysłowe wzmacnia i rozwija. Od was samych już tylko zależy, żeby osiągnąć z niej jak największy pożytek.

Chodzi zaś przede wszystkim o to, żebyście umieli się uczyć. Kiedy tę sztukę posiadziecie, to ani czas ani siły wasze nie będą szły na marne i przyswojenie sobie każdej wiadomości nie będzie was kosztowało więcej zmęczenia i przymusu, więcej czasu i uwagi, niż ta wiadomość lub umiejętność warta. — Dobrem jest dla was bowiem nie zmęczenie, z pracy wynikające, nie każdy wysiłek, lecz wysiłek skuteczny.

Chcę wam właśnie dać tutaj kilka praktycznych wskazówek, abyście wiedzieli, jak sobie radzić, żeby wasz trud jak najwięcej pożytku wam przynosił.

(d. c. n.).

Duch przyjaciela.

Wiatr był przeraźliwie. Jęczał, huczał, stękał, a chwilami niemiło robiło się na duszy. Niekiedy wpadał do komina z taką siłą, że ogień buchał na pokój, sypiąc iskrami.

— Nie wesoło tam na dworze, zadymka musi być okrutna, — rzekł dziadunio, który w fotelu przy kominku spokojnie palił swą fajkę wieczorną, spoglądając z lubością na zebrane około niego grono rodzinne, powiększone w tym

czasie przez waszego sługę i jego brata przybyłych ze szkół na święta Bożego Narodzenia do domu.

— To dusze pokutujące tak jęczą — rzekła pani Malwina, rezydentka nasza, przerywając ze wzruszenia robotę ulubionej pończoszki.

— Ile to ja takich wichrów i zadymek na swojej skórze przenosiłem — mówił dalej dziadunio, stukając długim cybuchem o poręcz fotelu.

Kiedy dziadunio tak fajką stukał, wiedzieliśmy że chce coś opowiedzieć, a opowiadania dziadunia w godzinach wieczornych — to był dla nas wszystkich specjał nad specyały, gdyż mało kto tyle świata zwiedził, tyle przygód przeżył i tak pysznie opowiadać umiał, jak nasz ukochany dziadunio.

— Powiadasz waćpani, że to dusze czyścowe tak jęczą — hm! hm! przypomina mi to jedno zdarzenie, które miałem przed pięćdziesięciu z górą laty w pewną noc październikową. Byłem wtedy jeszcze młody i przez Tatry przebieierałem się na Węgry z kochanym moim Wojciechem, — świeć Panie nad jego duszą! Posłuchajcie smyki, jeśli wola, to wam opowiem.

— Oj, wola i bardzo wola, dziaduniu! Tylko coś straszego, coś bardzo straszego!

— Byle nie o duchach, bo ja o tem słuchać nie chcę przed nocą! — zawołała pani Malwina.

— A właśnie, że o duchach, a jak będzie bardzo straszne, to niech waćpani uszy sobie rękami zakryje, roześmiał się dziadunio i tak opowiadać zaczął.

— Tandem tedy, jechaliśmy konno z Eperies do Keszyc już po węgierskiej stronie; nad wieczorem złapała nas taka burza, żeśmy się na koniach ledwie utrzymać mogli. Niebyło rady. Zajechaliliśmy do pierwszej lepszej słowackiej oberży, gdzie już kilku podróżnych schroniło się przed nami.

Niebawem siedzieliśmy wszyscy w długiej izbie szynkowej, popijając kwaskowate wino, przegryzając serem owczym i rozmawiając naturalnie z kiepską po węgiersku, jak kto umiał, bo byli tam i słowacy i cyganie i węgry: fizyognomie rozmaite a nie wszystkie, mości dobrodzieju, gładkie. Jeden szczególnie śniady brodac z czarnemi włosami, dziwacznie ubrany, wyglądał na nicponia, co się zowie.

Na kominku palił się i trzeszczał ogień, jak dzisiaj, a za ścianą wiatr rwał, jęczał, huczał, a mrowie przechodziło po skórce, tak samo jak dzisiaj.

— To dusze pokutujące tak jęczą, — rzekł jakiś młodzian o ściągłej, ujmującej twarzy, siedzący na końcu stołu.

— Mylisz się pan, odezwał się ochrypłym basem ów brodac, i duchy wolą spokojne noce księżycowe dla swych wędrówek, niż taki okropny czas.

— Cha! cha! cha! bardzo być może, zaśmiał się młody, ale skądże to wasze tak dobrze się zna na zwyczajach duchów.

— Młodzieńcze, nie radzę ci tak lekomyślnie odzywać się o tych rzeczach.

— Schowaj waść swoje rady dla siebie!

— Oho, jak się to stawia, ale inaczej byś zaśpiewał, mój młodziku, gdyby duch w istocie stanął przed tobą. Bałbyś się nawet spojrzeć na niego.

Młodzieniec zerwał się z krzesła.

— Dałbym panu sposobność przekonania się o mej odwadze, gdyby nie to, że uważam za śmieszne spierać się o takie głupstwa, jak duchy i strachy.

— Co? duchy głupstwo! powiadasz? wrzasnął brodac, zrywając się także. — Spojrz, w tym worczku jest czterdzie-



— Co? duchy głupstwo! — wrzasnął brodac...

ści dukatów, cały mój majątek. O zakład je stawiam, że jeśli zechcę tu, teraz, w tym domu, przywołam ci ducha któregokolwiek ze zmarłych znajomych, choćby już od dziesięciu lat spoczywał w mogile. O! będziesz wtedy szczękał zębami.

Powiedział to takim tonem, z takim złowrogim błyskiem w oczach, że mimowoli uczuliśmy pewne wzruszenie.

— Czterdzieści dukatów! odparł młodzieniec z drwiącym uśmiechem, to za wiele na kieszeń biednego studenta. Pięć bym zaryzykował.

— Więc się cofasz?

— Nie, nie cofam się, ale nie mam tyle pieniędzy.

Zdumieni i zciekawieni poszeptaliśmy między sobą i wkrótce zebrała się brakująca kwota trzydziestu pięciu dukatów.

— Stawki już zrównane — rzekłem, złóżcie obie sakiewki gospodarzowi dla tego, kto wygra zakład.

Wówczas brodacz zażądał osobnego pokoju. Gospodarz pokazał nam na końcu sieni pustą spiżarnię z okratowanym okienkiem. Obejrzeliśmy wszystkie kąty, żeby nie było jakiego podstępu. Stał tam prosty, kulawy stół i zydel. Brodacz kazał przynieść świecę i postawił ją na stole wraz z arkuszem papieru i kawałkiem węgla potem rzekł ponurym głosem.

— Kogo chcesz ujrzyć, młody śmiałku?

— Mego przyjaciela Iwka Gorgasa, który utonął przed rokiem w Dunaju!

— Dobrze, więc zostań tu i czekaj. Wyszliśmy do sieni, a brodacz, zamknąwszy drzwi — zaczął w niezrozumiałym języku wymawiać jakieś zaklęcia, wymachując przytem rękami. Głos jego — zrazu cichy i przytłumiony, rósł i potężniał, jakby wtórując jękowi i zawođeniu wichru.

Nagle urwał i po chwili milczenia zapytał:

— Ty, któryś chciał poznać tajemnicę grobów co widzisz teraz?

Przez drzwi zamknięte doszła nas odpowiedź studenta.

— Nic nie widzę! Nie, widzę jakiś obłoczek przy oknie, jakby mgłę jakąś.

Brodacz znowu rozpoczął swe zaklęcia, jeszcze dziksze i przykrzejsze do słuchania.

— Ty, któryś chciał ujrzyć swego przyjaciela Iwka Gorgasa, utopionego przed rokiem, co widzisz teraz? zapytał po pewnym czasie.

Ze drżeniem wewnętrznym oczekiwaliśmy odpowiedzi studenta.

— Obłoczek rośnie i wydłuża się... przyjmuje kształt jakiejś postaci...

— Czy boisz się?

— Nie, nie, nie boję się! — Ale głos studenta nie brzmiał już tak pewnie.

Znowu zaklęcia i długa chwila milczenia. Światło latarni, wiszącej u pułapu sieni, rzucało migotliwe błyski na twarz tajemniczego męża, który wyglądał przerażająco. Słyszałem bicie serca Wojciecha, który stał przy mnie i ciężki oddechy innych podróżnych.

— Duch ruszył się od okna mówił drżącym głosem student. — podchodzi do stołu... Ha! to Iwko Gorgas, zbliża się do mnie... chce mnie dotknąć... ratujcie, ratujcie.

Usłyszeliśmy łoskot padającego na podłogę ciała. — Dość już tego! zawołałem do brodacza. Ten odwrócił się spokojnie ku mnie.

— Ha, młodzik dostał nauczkę za swe zuchwałstwo. Ja, jak sądzę, zakład wygrałem, więc żegnam was, panowie.

Nie zwracając na niego uwagi, zaniepokojeni o los studenta, weszliśmy do spiżarni.

Do pow. „Stefek Luty w Brazylii.”



Lukasz odebrał Karolowi dziecko i huśtał go przed ogniem.

Rys. Wł. Jasieński.

Młody człowiek leżał na ziemi zemdlony. Kiedy przyszedł do siebie, wpadł w gniew okropny z krzykiem: Gdzie jest ten czarownik? zemszczę się! zemszczę się! — wybiegł z zajazdu.

Na arkuszu papieru znaleźliśmy skreślone węglem: Iwko Gorgas.

O Boże miłosierny! Zawołała pani Malwina — i pan po takim zdarzeniu nie wierzy w duchy?

— Pojawianie się duchów na ziemi zależy od woli Bożej,

rzekł dziadunio, nie nam o tem sądzić, ale w ducha Iwka Gorgasa wierzyłem zaledwie dni kilka, aż do chwili, kiedy w Koszycach spotkał przypadkiem brodacza i studenta, wychodzących pod rękę z jakiejś winiarni. Okazało się, że byli w zмовie i nieraz w ten sposób wyciągali pieniądze od łatwowiernych, urządzając podobne sceny. Dowcipna para! No, ale teraz pora już spać!

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

Miłuj bliźniego twego, jako samego siebie, nad toć nie masz innego, większego przykazania. Miłować bliźniego swego, jako samego siebie, więcej jest nad wszystkie całopalne ofiary.

Ś-ty Morek roz. 12 wiersz 31 i 33.

WSTĘP.

Była noc. Noc zimowa, gwiaździsta, szron srebrzył białą trawę na ścierniskach i przysyłał do ziemi gałęzie drzew. Gałęzie dźwigały ciężkie okiście śniegu, a wiatr szumiał i niósł białe tumany po polu.

W taką noc szczęśliwy, kto w domu siedzieć może, biada podróżnym. Żle się dzieje zwłaszcza tym, którzy idą pieszo, a właśnie dwóch pieszych walczy z zamiecią. Widać już wprawdzie oświetlone okna murowanych kamienic miasteczka, ale szosę zawiewa śnieg gnany wichrem. Co krok postąpią, to przystanąć muszą, bo piersiom brak tchu.

Kto w taki czas odważył się wyjść z mieszkania? kto szuka spoczynku w przydrożnym rowie? Próżne pytanie. A jednak dwie ciemne postacie przysiadły na śniegu i wydierają sobie jakieś tobołki z rzeczami. Oj, nieczysta to sprawa, nieczyste snmienie tych ludzi. Zaledwie zadzwoniły na szosie dzwonki czterokonných sani, kiedy dwaj rabusie porwali się z rowu. Wyższy rzucił na śnieg jakiś pakunek, poczem schwycił na plecy skórzany tłumok i popędził za towarzyszem w stronę lasu.

— Widział wielmożny pan tych dwóch tam na drodze do boru? — zapytał drżącym głosem furman. Zatrzymał konie i przechylił się ku saniom.

— Widziałem; gonić złodziei w taką zamięć niepodobną — odpowiedział ten, którego nazwano wielmożnym panem.

— Wielmożny pan myśli, że to złodzieje? Złodziejowi dałbym radę, ale na dyabelskie omamienie rady niema — powiedział Łukasz, żegnając się pobożnie.

Nie zdołał jednak zrobić znaku krzyża świętego, bo wiatr zerwał mu czapkę z głowy i gnał ją po śniegu jak kulę.

— A co, nie mówiłem, że to czartowska sprawa, zły przeżegnać się nie da — mrucał Łukasz, złączając z kózła i oddając panu lejce.

Czapkę przeniósł wiatr na drugą stronę rowu. Zdjął futrzaną rękawicę, żeby schwycić kaszkiet i nagle ujrzał na śniegu małe zawiniątko.

— Wielmożny panie, tu coś leży w rowie.

— Podnieś, kiedyś znalazł i nie marudź. Czas psi, ręce marzną.

— A może to nieczysta siła podrzuciła?

— Stary jesteś, a rozumu nie masz. Wracaj do sanki — woła zniecierpliwiony podróżny. — Łukasz przeze-

gnał się, nałożył na głowę czapkę i podniósł leżące w śniegu zawiniątko.

— Co to być może? — myślał. — Nuż zły zadał ma-midło. Jeszcze konie urzec gotów.

O konie dbał Łukasz więcej, niż o samego siebie. Położył zawinięcie na koźle, okrył je peleryną płaszczą, żeby wiatr nie zaniósł smokom złego uroku.

— Niech lepiej na mnie padnie — mrucał, rozwijając bat.

Konie ruszyły kłusem, im także pilno było do stajni, więc sanie wpadły pędem na rynek Wągrowiecki. Wągrowiec, miasto wielkopolskie, położone na drodze z Bydgoszczy do Poznania, znane jest w historii od XIV wieku. W r. 1396 Tyleman, opat Lekniński, przeniósł z Lekna do Wągrowca klasztor Cystersów, a Jakób Wuyek, tłumacz Pisma Świętego na język polski, był proboszczem Wągrowieckiego farnego kościoła. Koło klasztoru i koło kościoła przejechały teraz znane nam już sanie, zaprzężone w czwórkę siwoszów i stanęły przed najporządniejszym hotelem. Pan Zapalowski wyszedł sam na powitanie gościa; podróżny znalazł się też prędko w ciepłym pokoju. Był młody, przystojny. Młodzi są zwykle ciekawi, pan Stefan Rycerski chciał dowiedzieć się, co zawierało zawiniątko, znalezione przez furmana. Służący hotelowy przyniósł je razem z rzeczami przybyłego pana i położył na stole.

Podróżny rzucił futro, a potem niecierpliwie rozwinął czerwona, jedwabną kołdrę. Wychowany w zamożnym domu, poznał się na wartości pięknej materii. Z kołdry wyjął spory, pleciony koszyk.

— Koszyk, ale co u licha leży w koszyku ciężkie i jakby ciepłe — mówił Stefan, odrzucając przykrycie, i odskoczył przerażony. Na miękiej poduszce spoczywało dziecko uśpione, może nieżywe.

Zadzwoniono gwałtownie, schwycił futro, bo chciał sam już biedz po doktora, ale tymczasem zjawił się służący hotelowy, Karol.

Pan Rycerski wskazał koszyk, stojący na stole.

— Furman mój znalazł pod miastem to zawinięcie. Porzuciło je dwóch ludzi, w zawinięciu było dziecko. Wiesz, leży tu na kołdrze. Trzeba dać znać policji i sprowadzić doktora. Nie wiem, czy jeszcze żyje, bo nie znam się na tem. Dostaniesz trzy talary, jeśli zrobisz co potrzeba, aby uratować biedactwo.

Pan Stefan był jedynakiem, pierwszy też raz widział małe dziecko. Nie śmiał go się nawet dotknąć, takie wydało mu się delikatne i wątłe. Ale, Karol, zachęcony obietnicą nagrody, wziął na ręce chłopczyka, położył go z kołdrą przed ogniem i zaczął rozcierać zziębnięte ciało.

— Żyje, wielmożny panie — zawołał uradowany.

Dziecko żyło istotnie. Poruszało rączkami, rozkładając różowe paluszki, to znów ściskając małe piąstki. Potem otworzyło oczka, skrzywiło nos i... kichnęło.

— Kicha, na zdrowie! — zawołał uradowany Karol.

— Prawda, kicha — powiedział pan Stefan, patrząc z rozczuleniem na chłopczyka, który otwierał coraz szerzej czarne oczka, i skrzywił do płaczu buzię.

— Masz tobie, będzie beczał, a ja nie wiem nawet co począć z takim rakiem.

— Trzeba mu dać jeść. Niech wielmożny pan potrzyma dziecko, a ja pędem przyniosę mleka — powiedział Karol.

Potrzymał dziecko. Nie, tego nie mógł się podjąć Stefan. Za nic nie dotknął tego różowego, delikatnego ciała. Woli sam iść po mleko. Siadł bezradnie na hotelowej kanapie i był bliski rozpacz, kiedy we drzwiach pokoju stanął Łukasz. Wyprzągnął konie i przyszedł niby po rozkazy pana, w rzeczywistości zaś on także pragnął się dowiedzieć, co zawierało zawiniątko, znalezione na szosie.

Dziecko krzyczało tymczasem z całych sił.

— O, zatraceni poganie, chrześcijańską duszę porzucili na śniegu — zawołał Łukasz. Nie zdjął nawet czapki z głowy, zapominając o należnym dla dziedzica uszanowa-

niu. Toż sam był ojcem i dziadkiem. Odebrał Karolowi chłopczyka i huśtał go przed ogniem, cmokając pieszczotliwie językiem, lub klnąc naprzemian łotrów, którzy wydarli dziecko rodzicom.

— Przyniosę przedziutko mleka — powiedział usłużny Karol i wybiegł z pokoju.

Pan Stefan odetchnął. Łukasz nie zrobi krzywdy maleństwu, a on może z czystym sumieniem wyjść na miasto. Wolał wichurę, tumany śniegu, mróz, niż krzyk dziecka, bo ten krzyk rozdzierał mu uszy i serce. Przytem trzeba było istotnie dać znać policyi, należało szukać złoczyńców. Stefan jechał z dalekich stron, nie znał miasta, ale o szóstej godzinie łatwo dopukać się do mieszkań ludzkich, do mieszkania proboszcza zwłaszcza. Ten był zawsze gotów biedz z usługą bliźnim; więc też wziął do serca przygodę młodego Rycerskiego i obiecał pomoc znalezionej dziecinie.

Organista Werębek ma uczciwą, pracowitą i porządną żonę, a nie ma swoich dzieci. To też chociaż pani Werębkowa nieraz przykro ofuknęła męża, jeśli zbyt późno wracał z kregielni, chociaż sąsiadki narzekały na jej ostry język, stary proboszcz szanował uczciwą organistkę i pod jej opieką wychowywał jedenaście sierot.

— Werębkowa weźmie i to dwunaste — powiedział, nie troszcząc się, że przybędzie mu wydatku. Fundusz, jaki miasto płaciło na wychowanie ubogich dzieci, był bardzo mały. Ksiądz Maciej dopełniał go z własnej kieszeni.

Tak więc w mroźną noc lutową przybył Wągrowcowi jeden więcej mieszkaniec i obywatel. Nie tracono z początku nadziei, że dziecko odzyska rodziców. Robiono w tym celu wszelkie możliwe poszukiwania. Ale nie naprowadziły one na żaden ślad. W lesie znaleziono wprawdzie wypalone ognisko i złamaną podkowę. Widocznie kuto tu konia, a że cyganie kręcili się w okolicy, a cyganie znani są ze złodziejstwa i ze zrucności w kowalskim rzemiośle, więc mówiono powszechnie, że oni to porwali dziecko, może przez zemstę, może chcąc wyludzić bogaty okup. Gdzie jednak porwali? jak długo chłopczyk zostawał w ich mocy? na to nikt nie umiał odpowiedzieć.

Brudne i odparzone ciało sieroty było wskazówką, że rabusie trzymali je przynajmniej dni kilka. Może nawet dłużej, może maleństwo przyszło na świat poza granicami Prus? któż zgadnie? Ciało było zupełnie nagie, umyślnie usunięto bieliznę, żeby znak nie naprowadził na ślad zbrodni. Kołdra jedwabna świadczyła o zamożnem pochodzeniu dziecka, a medalik Matki Boskiej Częstochowskiej o jego polskiej narodowości. Chłopczyk miał na szyjce czerwone jak płomyk znamię.

— Matka pozna je po tym znaku — powiedział proboszcz, oddając Werębkowej sierotę. Ale matka nie przyszła, choć mijały miesiące. Chłopca nazywano Znajdą. Szanowny kapłan postanowił nie czekać dłużej ze chrztem. Słowo Znajda brzmiało mu zbyt smutnie w uszach.

— Damy dziecku imię Stefan. Pan Stefan Rycerski zostawił dla sieroty sto talarów, niechże mu jeszcze użyczy patrona.

— A że znalazł chłopca 9-go lutego, więc zapiszemy w metryce Stefan Luty — dodał burmistrz, Alberty.

I na tem stanęło. Proboszczowi nikt sprzeciwiać się wyborze imienia nie chciał, a któżby śmiał sprzeciwiać się burmistrzowi? Zwłaszcza gdy ten burmistrz ma nie tylko wielką władzę, ale i wielki nos, nie tylko wielki nos, ale na tym nosie trzy naroście, trzy małe noski, które znało i podziwiała całe miasto Wągrowiec.

Znajda został więc Stefanem Lutym., no, i bohaterem mego opowiadania.

(d. c. n.)

ROK 1902.

Mam zaszczyt przedstawić się szanownym czytelnikom „Wieczorów Rodzinnych” i powiedzieć im kilka słów o sobie.

Jestem rokiem zwyczajnym, to znaczy, że mam tylko 365 dni nie tak, jak niektórzy moi koledzy, przybyszowi, którzy posiadają ich aż 366, choć to wcale nie jest ich zasługą. Będę bardzo zadowolony, jeśli te wszystkie dni moje przejdą z woli Opatrzności pomyślnie, pożytecznie i przyjemnie, a mam nadzieję, że szanowni czytelnicy „Wieczorów” żadnego z nich nie zmarnują.

Wielkanoc z powodu, że pierwsza pełnia wiosenna księżyca przypada 24 Marca, obchodzić będę wcześniej, bo 30 marca. To samo święto podług starego stylu wypadnie o 4 tygodnie później. Post wielki rozpocznę 12 lutego. Zaznaczam także, że święto Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny z d. 25 marca, który przypada w Wielkim Tygodniu, przeniesiono na poniedziałek po Przewodach t. j. na 7 kwietnia. Tak samo posunięto o jeden dzień święto Św. Stanisława biskupa, bo 8 Maja w czterdziści dni po Wielkiejnocy przypada Wniebowstąpienie Pańskie.

Chciałbym bardzo pokazać czytelnikom „Wieczorów” jakieś porządne całkowite zaćmienie słońca lub księżyca, ale cóż poradzę z temi olbrzymami niebieskimi, kiedy nie oni mnie, ale ja ich słuchać muszę. Więc choć urządzę, 5 takich cząstkowych i całkowitych przedstawień, z których — zaćmienia księżyca dnia 22-go kwietnia (god. 7. 30 w.) i słońca — 31 października (god. 8-m. 14 r.) będą widzialne w waszych stronach, ale w porze i w położeniu nader niedogodnych do obserwacji.

A aura? zapytacie, Jaka będzie aura? Czy będziecie narzekali na pogodę? Ha! tego przepowiedzieć nie umiem, to także nie ode mnie zależy, niech uczeni meteorologowie tem się zajmują.

Powiem wam jednak pod sekretem, że praszczurowie moi, których rozmowy słyszałem przed zjawieniem się na ziemię, powiadali, że ludzie nie będą ze mnie kontenci pod względem pogody, bo ludzi w ogóle zadowolnić trudno, zaw ze narzekają: a to ślota, a to susza, a to mróz, a to upał, zawsze im źle. Podobno w styczniu aż do 12-ego będę mroźny, potem przez tydzień łagodniejszy, potem prawie do końca jasny i zimny. O pierwsze trzy tygodnie lutego jestem bardzo niespokojny, mają być pochmurne, dżdżyste, śnieżne a przytem wietrzne, dopiero od 20-ego obiecuję mroźną pogodę aż do 5 marca. Potem przez dwa tygodnie będzie powietrze zmienne, a na Wielki Tydzień mroziak.

Jeśli się te przepowiednie sprawdzą, to w marcu opowiem wam o następnym kwartale, tymczasem żegnajcie i używajcie dobrze czasu, którego wam udzielam.

Rok 1902

Zdania i myśli.

*Kto łakomy, zawsze łaknie
I zawsze mu czegoś braknie.*

*

Druzus, mianowany 92 r. przed N. Chr. P. trybunem, gdy architekt obiecywał, że mu zbuduje w Rzymie dom w taki sposób, iż nikt z sąsiadów nie będzie nań miał widoku, odpowiedział: — Przeciwnie, zbuduj tak, aby każdy mógł widzieć postęпки moje.

*

Wojewodzina Ossolińska jednej pani, z ubolewaniem opowiadającej szeroko o cudzych błędach, tak rzekła — wać-

pani politowanie nad cudzemi błędami równa się litości krokodyla, o którym powiadają, że pożerając ludzi, łzy nad nimi wylewa.

Rozrywki naukowe bez przyrządów.

Srebrne jajko.

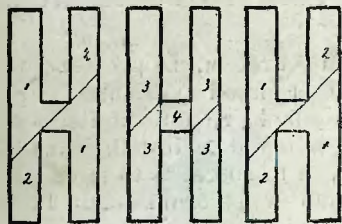
Zbliżając srebrną łyżeczkę do płomienia świecy, widzimy, że pokrywa się warstwą sadzy. Tak okopconą łyżeczkę włóż do szklanki z wodą, a przekonasz się z niepoziernym zdziwieniem, że nie jest ona czarna, lecz że przybrała swój zwykły, metaliczny blask i odbija wyraźnie płomień świecy i obrazy otaczających przedmiotów.

Wyjmujesz ją z wody, gdyż ci się zdaje, że sadze zostały zmyte przez wodę. Tymczasem nic podobnego się nie stało, łyżka jest matowo czarna. Ciekawa rzecz, nieprawdaż! Doświadczenie to udaje się z łatwością każdemu i daje się wytłomaczyć w bardzo prosty sposób.

Sadze, będące nadzwyczajnie delikatnie sproszkowanym proszkiem, nie dają się zmyć wodą. Ta ostatnia przeto nie dotyka powierzchni poczernionej łyżeczki, lecz trzyma się od niej w pewnym oddaleniu, odtwarzając niejako jej kształty. Właśnie ta powierzchnia wody przylegającej do sadzy, błyszczy jak gdyby powierzchnia metaliczna.

Opierając się na tem ciekawem zjawisku, możesz zamienić zwyczajne jajko na srebrne. W tym celu bierzesz zwyczajne jajko i trzymasz je nad płomieniem lampy naftowej, dopóki się całe nie pokryje warstwą sadzy. Kładąc tak osmolone jajko do szklanki czystej wody przekonasz się, że wygląda ono zupełnie jak posrebrzone; kiedy zaś wyjmiesz je z wody, staje się napowrót matowo czarnem.

ŁAMIGŁÓWKA GEOMETRYCZNA.



Pojedyńcze części podanej figury wyciąć z papieru lub brystolu i ułożyć krzyż o czterech równych ramionach.

SZARADA.

Czwarta pierwsza, istnienie w górach rozpoczyna,
Drogi wędrowki swej szuka, gdzie niska dolina;
Choć sama życia niema, jednak w swoim łonie
Błogosławieństwo życia roznosi na błonie.

Drugą, szukaj na polu — o bławatnem kwiecie,
Użyteczność jej znana jest na całym świecie.
W trzeciej czwartej, bliźniemu składamy dowody
Miłosierdzia, przyjaźni, a czasem też mody.
Wszystkie, już teraz ludzie licznie rozkupują,
Bo one to czas przyszły dzielą i wskazują.

Od Redakcyi.

Niezależnie od książki którą rozesłaliśmy jako **premium bezpłatne** w IV kwartale 1902 roku, prenumeratorzy *Wieczorów* mogą nabywać w Redakcyi po cenie niższej następujące książki: *Zygmunt Głogera Słownik rzeczy starożytnych polskich* (tom o 536 str.) zamiast 1 rub. 50 kop. — za 50 kop. oraz cztery najsłynniejsze powieści *Juliusza Verne'a*:

Dzieci kapitana Granta, wydanie nowe 3 tomy w jednym, broszurowane, zamiast 60 kop. — 40 kop., w oprawie zamiast 1 rub. — 60 kop.

20,000 mil podmorskiej żeglugi (Kapitan Nemo), wydanie drugie ilustrowane, broszurowane, zamiast 1 rub. 50 kop. — 1 r. W ozdobnej oprawie zamiast 2 rub. 50 kop. — 1 r. 50 kop.

Podróż do środka ziemi, wydanie drugie ilust., broszurowane, zamiast 90 kop. — 70 kop. W ozdobnej oprawie zamiast r. 1 50 k. 1 rub.

Sinks lodowy z ilustracyami, broszurowany, zamiast 1 rub. — 80 kop. W ozdobnej oprawie zamiast 1 rub. 50 kop. — 1 rub.

Pragnących otrzymać te książki pocztą, prosimy o przysłanie nadto na koszt przesyłki, odpowiednio do wagi książek; za *Słownik* 28 kop., za każdą powieść Verne'a broszurowaną po 22 kop., oprawną — 28 kop.

Pieniądze na te książki najlepiej przysłać razem z prenumeratą.

PRZEGŁĄD PEDAGOGICZNY.

Czasopismo poświęcone wychowaniu szkolnemu i domowemu.

Zamieszcza artykuły teoretyczne ze wszystkich działów pedagogii i wskazówki praktyczne dla wychowawców, tudzież wiadomości z ruchu szkolnego w kraju i za granicą.

Niezbędny zwłaszcza dla matek i nauczycieli domowych.

W osobnym dziale p. t.: **Ogródek dziecięcy** podaje przystępne artykuły i wskazówki, dotyczące wychowania przedszkolnego.

W r. 1901 dołączył dwa dodatki książkowe:

- 1) W. JAMES. „Pogadanki psychologiczne.” (Dla nauczycieli). Przekład z angielskiego.
 - 2) O. ALTENBURG. „Zagadnienia praktyczne z psychologii wychowawczej.” Przekład z niemieckiego.
- Od 1-go stycznia rozpocznie 21-y rok istnienia.

Prenumerata kwartalna: w Warszawie rb. 1.50,
z przesyłką pocztową rb. 1.75.

Administracja w księgarni M. ARCTA Nowy-Świat 53.
Wydawnictwo „PRZEGŁĄDU.”

Metodyczny kurs nauk Rok I i 2. Ułożony przez J. W. Dawida, W. Osterloffia i Anielę Szyc. (Nauka o rzeczach. Nauka czytania i pisanie. Arytmetyka. Kaligrafia. Cena rb. 1.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — **W Prusach:** rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Nowy rok, wiersz przez Kazimierza Glińskiego. — Wspomnienie pani Łowczyń, o Elżbiecie z Kowalskich Drużbackiej, przez Sowęrynę Duchińską. — Jak się uczyć, przez Izę Moszczeńską. — Duch przyjaciela (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii przez (Z. Bukowiecką (z ryc.) — Rok 1902. — Rozrywki naukowe bez przyrządów. — Łamigłówni. Dodatek: Stary i Nowy rok, wiersz z ryc. — Paliwoda. — Mali kaznodzieje. — Król i królowa, komedijka w jednym akcie. — Łamigłówni. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Dworzanin królewicza Jakóba przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Дозволено Цензурою. Варшава 17 Декабря 1901 г. Wydawczynie **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Nr. 2. — Rok XXIII.

Dnia 29 Grudnia 1901 (11 Stycznia 1902) r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Wilk.

Z obrazu Wierusz-Kowalskiego.

Wspomnienia Pani Łowczyny.

O ELŻBIECIE Z KOWALSKICH PRUŻBACKIEJ,

przez

Sewerynę Duchinińską.

(Dalszy ciąg).

Ruch wielki panował tak w Zabrzeżu jak w Kowalewie. Raz poraz zjeżdżali się bliżsi i dalsi sąsiedzi. Radzono o przyszłej elekcji. Ani ja, ani Elżunia, nie wiedziałyśmy dobrze o co idzie, ale pragnęłyśmy aby królówic Jakób panował po ojcu. Obiór nowego króla pod Wolą, miał się odbyć w roku następnym.

Czas nam było dziewczętom zabrać się na seryo do nauki. Elżunia zdolniejsza ode mnie, pod baczem okiem matki, umiała gładko czytać i stawiała już proste litery. Matka moja, zawołana gospodyni, mniej czasu mogła mi poświęcić. Składałam ledwie sylaby i krzywe laski kreśliłam na papierze. Stało wreszcie na tem, że trzy razy w tygodniu, stara sługa prowadzać mnie będzie z rana do Kowalewa, wieczorem zaś matka przyjdzie po mnie, albo też chorążyna z Elżunią, odprowadzą mnie do Zabrzezia.

Uczyłam się też pilnie, a lubo nie mogłam iść w porównanie z Elżunią, wkrótce jednak znaczne uczyniłam postępy. Wieczorami ustały pogadanki o królu Janie; ojcowie nasi często wyjeżdżali z domu, a kiedy sąsiedzi zebrali się w Kowalewie, chorąży brał ich do osobnej komnatki, i tam naradzali się ze sobą. Chorążyna tymczasem opowiadała nam, jak to bywało od dawien dawna, za Piastów, Jagiellonów. Elżunia słyszała już o tem; ciekawa i bystra zarzucała matkę pytaniami, a jak coś raz wpadło jej w ucho, już to nigdy nie wyszło z pamięci.

Sprawy bieżące raz po raz potraçały uwagę naszą. Znałyśmy z imienia wszystkich kandydatów do korony. W ślad za chorążym, pragnęłyśmy — jak już mówiłam, widzieć na tronie królówicza Jakóba, boć jak wiadomo, jabłko niedaleko pada od jabłoni. O Elektorze Saskim dobiegały znów wieści, że wielką obdarzony siłą, kruszy podkowy i nagina szyny żelazne, a stąd jak niektórzy mówili, utrzyma naród w karchach. Ojcowie nasi nie byli tego zdania.

Tak upłynęła zima; wiosną zakotłowało się w kraju, niby w rojowisku szerszeni w Woli pod Warszawą, miał nastąpić wybór nowego króla. Szlachta hurmem śpieszyła na Mazowsze. Ojcowie nasi podążyli z drugimi, zabrawszy z sobą starszych synów.

Oj, smutny był ich powrót! Nie zapomnę nigdy chorążego, kiedy z głową pochyloną, stanął przed progiem swego domu. Biedny mój ojciec milczał, jak zakłęty. Chłopcy nawet dziwnie posowali. Byłam wtedy z matką w Kowalewie. Pomału rozwiązały się usta ojcom naszym, posłyszaliśmy wtedy, że Elektor Saski obrany królem, że poseł Fleming w imieniu jego zaprzysiągł dochowanie układów z narodem. Aż się wstrząsły ściany katedry, gdy zabrzmiało: *Te Deum*.

— Nie na długo te gody — zawołał chorąży — połowa szlachty nie chce słyszeć o Sasie. Jak Bóg Bogiem prymas ogłosi znowu bezkrólewie i krew zrumieni ziemię naszą!

— Co, krew! — przerwie chorążyna blada i jak liść drżąca.

— Tak, przygotujmy się na to — odparł mój ojciec — wojna chybić nie może.

Jakoż i nie chybiła. Nie mogę wdawać się w wypadki owych burzliwych czasów. Wiadomo z historyi, że August pokonany, przez króla szwedzkiego, Karola XII,

musiał ustąpić z tronu. Nim do tego przyszło straszne działy się rzeczy. Krew buchała potokiem, kraj zasłany trupami.

W narodzie występują dwa stronnictwa: jedno trzyma za Sasem, drugie garnie się pod opiekę Szweda. Zwycięski Karol XII prowadzi na tron Stanisława Leszczyńskiego, miłego tylu sercom polskim.

Zacny chorąży, pragnie duszą całą ujrzeć na tronie Piasta czyli brata po krwi i duchu. Twarda sprawa: oręż tylko usunie zapory. Dzielny szermierz z pod Wiednia, pozostać nie może bezczynnym. Oblóczy też zbroję z dwoma synami, pośpiesza do obozu; on nie opuści Leszczyńskiego. Snadno pojąc, co cierpi chorążyna. Niczem dla niej trudy około roli i dobytku, stokroć bardziej dręczy ją trwoga o męża i synów. Dzielna niewiasta nie upada jednak pod ciężarem, ludzkie ucho nie posłyszysz jej skargi, jeśli zapłacze to w cichości przed Bogiem. Tak mijają tygodnie i miesiące. Z obozu głucho tylko dobiegają wieści. Czasem jakiś dziad w łachmanach, przyniesie parę słów nakreślonych dorywczo. Otucha wstępuje na chwilę w serce biednej, a potem nowa trwoga. Elżunia podziela trudy z matką: krząta się koło domu, uczy młodsze dziewczki. Dobry mój ojciec zagląda raz poraz do Kowalewa; doświadczony gospodarz udziela rad sąsiadce, podziwia hart jej ducha. Ja towarzyszę ojcu, pomagam Elżuni w jej zabiegach, ale o księżkach nie ma nawet mowy.

Tak ubiegło blisko dwa lata, aż tu zakrążyła pogłoska o krwawej bitwie pod Klisowem, o tryumfie króla szwedzkiego. August jak mówią rzekł się tronu, a Leszczyński będzie królem!

Wieżę ta z jednej strony ożywia serca nasze, z drugiej drżymy na myśl, czy nie przyjdzie krwawo okupić tych tryumfów. Chorąży z synami walczył też pod Klisowem a walka była straszna. Dzięki Bogu wkrótce ustąpiła wątpliwość. Powrócił chorąży do domu, zdrów, acz dziwnie zmieniony: włosy mu posiwiały, czerstwa krasa ubiegła z lica. Synowie przybyli też z ojcem. Marcin miał szramę na głowie, Janusz nosił rękę na temblaku, wszystko to niczem w obec szczęścia rodziny. Kowalewo stało się znów wesołem rojowiskiem!

Nie wypocząwszy jeszcze z trudów, chorąży z chłopcami pospieszył do Woli na elekcję. Wrócił uradowany. Leszczyński obwołany królem naszym!

Wojna wre jeszcze po różnych stronach kraju, ale chorąży nie bierze w niej udziału.

W roku następnym chorążostwo umyśliłi wyprawić Elżunię na dwór wojewodziny podlaskiej, wielce szanownej matrony. Niepospolita zdolność dziewczki, zamiłowanie jej w naukach, dały im do tego pobudkę.

— Elżbietka nasza — mówiła matka — nabiedowała się tu ze mną, czas jej odetchnąć wśród nowych miejsc i nowych ludzi!

Chorąży potrząsnął na to głową:

— Dom, to najlepsza szkoła dla dziewczyny — powtarzał, ale nie stawiał oporu żonie; sam poczynił ku temu kroki; wnet nadeszła przychylna odpowiedź.

Dobry mój ojciec zachęcony przykładem sąsiada, skorzystał ze stosunków związanych w palestrze i zakotłował również w podwoje wojewody. Stało na tem, że matka moja odwiezie nas wiosną na dwór białostocki.

* * *

Smutno nam przyszło opuszczać progi domowe, ale nie było na to rady, wola rodziców święta! Długo przeciągnęła się droga; spotykałyśmy raz po raz zbrojne oddziały, dążące do obozu. Warszawa, gdzie wypadło nam spocząć parę dni, wydała nam się jak pszczolne rojowisko, tyle w niej było wrzawy.

Ściągnęłyśmy wreszcie na miejsce, widok starego zamku na wzgórzu, nad rzeką Wisłą, dziwnie nas jakoś przeraził. Nie był to jeszcze ów pyszny pałac, w jaki przei-

stoczył go później kasztelan krakowski, ostatni z Branic-
kich herbu Gryf. Jan Klemens był jeszcze niedorośliwym
młodzieńcem, rodzice troskliwi o wychowanie jednynaka, wy-
ślali go do Paryża, dla nabycia nauki i poloru.

Wojewoda podlaski, rodzony wnuk po kądzieli Stefa-
na Czarnieckiego, nie miał rycerskiego animuszu sławnego
dziada, ale był to pan dobry dla domowników, dbały o po-
myślność wiejskiego ludu. Wojewodzina, z domu księ-
żniczka Sapieżanka, miała pozor trochę surowy, ale kto ją
bliżej poznał, musiał ją serdecznie ukochać. Była to pani
wielce pobożna, stateczna i pracowita. Życie spędzała przy
krosnach; wyszywała ornaty złotem i jedwabiami; pod
okiem jej panny respektowe haftowały alby i komże; przez
cały adwent szyły odzież dla dziatwy wiejskiej, by ją zabez-
pieczyć od mrozów, przez post wyrabiały przyodziewek na
lato. Zamiłowana w polskich księgach, wojewodzina kaza-
ła czytać na głos panienkom, podczas gdy pochylona sie-
działa nad krosnami.

W małej komnatce obok sali, leżały na półkach ozdo-
bne wolumina. Pierwsze miejsce zajmowała tam biblia Wuj-
ka i Żywoty Świętych Skargi. Z tych czytywałyśmy co-
dziennie jeden ustęp. Z pisarzy świeckich najmilszym był
dla wojewodziny Jan Kochanowski; zajmował ją też Ku-
kasz Górnicki i inni pisarze ze złotej Zygmuntońskiej epo-
ki. Późniejsze księgi nastrzępione łaciną, nie trafiały jej
wcale do myśli; utyskiwała nie raz, czemu ten piękny język
Skargi i Jana z Czarnolasu, tak się widocznie psuje, pod
piórem nowoczesnych pisarzy!

Co do książek francuskich, tych w całej bibliotece nie
dopatrzyć było ze świecą. Wojewodzina знаła dobrze je-
zyk francuski; słyszałam, jak gładko mówiła nim u stołu
z Francuzami, kiedy przypadkiem odwiedzili Białystok, ale
to nie często się zdarzało. Pomnę, jak nieraz gromiła
ostro córki swoje, księżnę Lubomirską, starościny Bali-
mowską i Potocką, starościny Sokulską, jeśli odezwały się
przy niej po francusku. Raziły ją też zbyt dobre stroje tych
pań, owe jubki z ciężkich materyj w ogromne kwiaty, a na-
dewszystko wysokie na łokieć kornety, bramowane złotem,
nastrzępione piórami. Sama ubierała się chędogo, ale
skromnie, w jubkę jedwabną ciemnej barwy i takiż kabat

(d. c. n.)

Kwiaty w zimie.

Patrząc na pyszne bzy i kamelie, róże i goździki, któ-
re aż się w oczach mieniają z poza lustrzanych szyb sklepo-
wych, pewnie mili czytelnicy nie pomyśleliście z kąd one się
biorą. A jednak powinno dziwić to ich bogactwo w porze,
gdy ziemia nasza śpi snem twardym, gdy gęste chmury tak
zaciemniają słońce, że o 8 rano ledwie się dzień robi;
a o 4-ej już gaśnie. Przed laty trzydziestoma takiego
widoku nie mie waliśmy. Prawda, że było mało sklepów
z kwiatami; ale też i kwiatków, zwłaszcza w pierwszej poło-
wie zimy prawie nie było. Znano tylko pospolite, bardzo
skromne, o mdłych barwach złocienie (Chryzantemy), tro-
chę jesiennej lewkonii, nieco pierwiosnków i kwiatków
szklarni zimnej — to było prawie wszystko. Ani róż,
ani goździków, ani wonnych fiołków, ani wspaniałych zło-
cieni. Szczytem zbytku, królowa zimowych kwiatów była
droga, wspaniała, ale zimna i bezwona kamelia. W ciągu ty-
lu lat powoli do dzisiejszej doskonałości i różnorodności
doszły złocienie japońskie i niemi to posługujemy się do
wiązania wieńców, do wazonów i koszów, w pierwszej po-
łowie zimy. Otrzymano też liczne odmiany róż przyda-
nych do kwitnienia zimowego; odkryto i udoskonalono goź-

dzik, i całą zimę kwitnące, poznano sztukę pędzenia bzów,
fiołków konwalii. Do tego dołączono kwiaty nieznane
dawniej lub mało znane: dzwonkowate Fryzje (Freesia),
okazały Eucharis i t. p. Oprócz nich i dawne skromne
pierwiosnki chińskie przemieniły się w cudne pełne kwia-
ty białe, lila i różowe, ulepszone fiołki, otrzymano całą moc
kwiatów, o których tu wspominać byłoby za wiele.

Taki jest materyał dzisiejszego kwiaciara — takie
bogactwo towaru, w którym wybierać można według gustu.
Lecz jak się do tych kwiatów dochodzi i skąd się one biorą?

Znaczna ilość przychodzi i przychodzić będzie z Połu-
dnia, więc z wybrzeża morza Śródziemnego, Cannes, Nicei,
San Remo, Bordighery. Tam słońce świeci prawie ciągle,
a że w zimie grzeje słabiej, więc kwiatki rosną w lekkich
szklarniach, lub inspektach, ale wcale lub mało sztucznie
ogrzewanych. Codziennie do pociągów błyskawicznych,
które z tej t. z. Riwieri (wybrzeża) przez Paryż i Wiedeń
na północ pędzą, przyczepia się jeden lub dwa wagony, ka-
żdy po 5000 pudełek, ze świeżo ściętymi różami, goździka-
mi, fiołkami i innemi. Kolei się to opłaca, bo za przewoz
z Nicei do Paryża od pudełka pobiera po 1. 50 fr. (około
55 kop.), a niesłychana dawniej szybkość przewozu spra-
wia, że w Warszawie we dwie doby odbieramy kwiatek
jeszcze zupełnie świeży. Że się to w drodze tak krótkiej
nie psuje, przekonywałem się sam, posyłając w listach z Po-
łudnia do rodziny fiołki lub pierwiosnki, w lutym między
skałami w szczelinach zrywane.

Kwiaty te tak są tanie, że nie możemy się współubie-
gać z Riwierą w ich dostarczaniu. U nas w zimie słońca
mało, opał kosztuje drogo, więc kwiaty nasze dopiero
w końcu marca tak obficie występują, iż się bez obcych
prawie obejść możemy.

Szklarnie jednak nasze nie próżnują i w zimie. W nich
to przyspiesza się czyli pędzi mnóstwo kwiatów cebulko-
wych jak hiacynty i tulipany. Już na Boże Narodzenie
widzimy w sklepach białe hiacynty, o nielicznych i małych
dzwoneczkach — są to t. z. hiacynty rzymskie (kaukazkie).
Z niemi razem pojawiają się czerwone tulipany, Duc Van
Tholl.

A tam obok stoją śliczne białe pierwiosnki, z siewu
wiosennego w doniczkach i przez umiejętną hodowlę w tej
porze do kwiatu doprowadzone. Nad niemi wznosi się wy-
soko dumna, zwracająca głowę swą wonią, ale nieco obna-
żona z liści tuberoza i zwiesza skromnie swe cudnie pa-
chnące dzwoneczki konwalia. Przykre ona sprawia wraże-
nie, bo na cienkiej, wybladłej łodyżce, pozbawionej liści,
chwieje się jej mały kwiateczek. Pochodzi to stąd, że kon-
walię trzeba pędzić w wysokim cieple, chcąc tak wcześniej
kwiat jej wywołać. Siedzi on w paczku już w jesieni, a ro-
ślinka z tego jest ciekawa, że wcale przy pędzeniu korzon-
ków nie tworzy. Pokarm dla kwiatu potrzebny, ukryty
jest w mięsistym pazurku (kłączu), a do wydobycia go wy-
starcza ciepło i wilgoć.

Jeżeli jednak pazurki, wykopane w jesieni, ale już
pęk kwiatowy zawierające (zwykle trzyletnie), przechowamy
w lodowni, w stałej, a niskiej temperaturze, aż do drugiej
jesieni i wtedy posadziwszy je w doniczki umieścimy w chło-
dnej szklarni, wydają ładne liście i rozkwitną prawi-
dłowo. Są to kwiaty raczej opóźnione, niż przyspieszone,
ale niestety u nas dotychczas takich przechowalni chło-
dnych nie ma i kłącze opóźniane sprowadza się z Niemiec.
Trzeba temu zaradzić.

A zaradzić można, bo jeszcze przed laty kilkunasto-
ma, kto chciał mieć na Boże Narodzenie bez kwitnącej, mu-
siał go sprowadzić z daleka.

Sztuką pędzenia bzów już około połowy XIX stulecia
zasłynęli ogrodnicy paryscy. Pierwszy pan Gustaw Ulrich
od nich tej sztuki się wyuczył i przed laty kilkunastu
zaczął bzy pędzić. Dziś mają je liczni ogrodnicy i chwała
Bogu tych pięknych kwiatów już nietylko nie kupujemy, ale
ich sporo na Północ zrywamy.

Toż samo, przynajmniej po części, można powiedzieć



o fiołkach. Umiano je pędzić w szklarni, ale nowe odmiany są do tego podatniejsze. Pierwsi znów Br. Kaczyńscy temu lat 10 może zaczęli pędzić fiołki wprost z gruntu z ziemią do szklarni przeniesione.

Mamy też zakłady, które dostarczają kwiatów róż w marcu i kwietniu, ale tej hodowli opisywać nie będziemy. Mamy inne, w których się pędzi wielkie ilości krzewów ozdobnych, jak tawuły (*Spiraea*), Dejcye (*Dentria*), Wejgele, Śliwy różowe, Orliki Ostrożki, Anemony gruntowe i wiele innych.

Kto się chce z tą sztuką tro-

chę bliżej zapoznać, ten niech rodziców poprosi i z nimi zwiędzi takie zakłady jak p. Ulricha na Ceglanej, Hosera na Żytniej, Siedleckiego za rogatką Mokotowską, Brzozowski, J. Gebethnera na Królewskiej drodze (za rog. Wolską). Tam pozna cuda sztuki ogrodniczej, nabierze zamiłowania do kwiatów, zrozumie ile pracy i wysiłku musi włożyć człowiek we wszystko, co wytwarza. Tam też pozna udoskonalenia, służące ogrodnikowi do walki z mrozem i brakiem słońca, a poznawszy nauczy się cenić tych cichych, nieznanych a wytrwałych pracowników, którzy są pośrednikami pomiędzy przyrodą, a zamkniętym w murach miasta człowiekiem.

E. Jankowski.

Jak się uczyć?

PRZEZ

JEŻE MOSZCZEŃSKĄ.

(Dalszy ciąg).

II.

O ile dobrze jest, że musicie poza wykładem nauczyciela cokolwiek nauczyć się sami, o tyle byłoby źle bardzo, gdybyście dni całe nad książką spędzali, gdyby wam przygotowanie do lekcji zabierało wszystek czas od lekcji wolny. Byłoby to i niezdrowo, i nad wyraz nudnie. Potrzebujecie czasu i na wypoczynek i na zabawę, i na zajęcia domowe i na pogawędkę z rodzicami, i z rodzeństwem, na utrzymywanie stosunków koleżeńskich, i na wiele in-

nych rzeczy miłych i pożytecznych. Na to wszystko czas znaleźć się może, byleby go umiejętnie rozłożyć i dobrze nim gospodarować.

Trzeba przedewszystkiem czasu oszczędzać. Pierwszym warunkiem takiej oszczędności jest *zawsze robić naraz tylko jedno*. Ogromnie wiele chwil się marnuje na przechodzenie od zajęcia do zajęcia. Ciągłe odrywanie się od nauki i powracanie do niej przerywa wam bieg myśli, wymaga coraz to nowych wysiłków pamięci i uwagi, zmusza czasem po kilka razy zacząć tę samą robotę od początku i skazuje was na ponoszenie wielu trudów, idących na marne. Dzieje się tu coś podobnego co z koniem tramwajowym. Najtrudniej mu jest ruszyć z miejsca i tramwaj pociągnąć. Później siłą swego ciężaru i obrotem swych kół tramwaj sam się toczy, a koń więcej biegnie przed nim niż go ciągnie. Odrywając się ciągle od lekcji, o tyle utrudniamie sobie zadanie, o ile by je sobie utrudniał koń tramwajowy, przystając co chwila i co chwila na nowo tramwaj w ruch wprowadzając. Jak zabawa nie może być ani swobodną ani ochoczą, jeżeli myśl o lekcji umysł wam zaprzęta, tak i nauka nie może być ani zajmującą, ani zrozumiałą, ani pożyteczną, jeśli ją się wciąż przerywa zabawą. W chwili, kiedy siadacie do odrabiania lekcji na dzień następny, powiedzcie sobie: Teraz o niczem nie wiem i wiedzieć nie chcę, niczem sobie przerwać nie dam i sam się od książki nie oderwę, póki się z lekcjami nie załatwię. Tak sobie powiedzcie i dotrzymajcie słowa. Ażeby go jednak dotrzymać, musicie sobie odpowiednią chwilę upatrzeć. Wybranie odpowiedniej chwili do nauki jest rzeczą bardzo ważną, gdyż w pewnych warunkach pół godziny więcej znaczy niż godzina w innych. Od trybu domowego zależy, o której godzinie będziecie mogli mieć najwięcej do nauki spokoju, ale spokoj nie jest warunkiem jedynym. Niemniej ważnym od niego jest wypoczęty, świeży umysł. Dlatego właśnie *nie należy się uczyć zadanych lekcji ani zaraz po nauce ani też bezpośrednio przed nauką*.

Po lekcjach trzeba wam wypoczynku, a im zupełniej wśród tego wypoczynku zapomnicie o odbytej nauce, tem całkowicie będziecie się mogli oddać pracy nowej, gdy właściwie nadejdzie pora.

Nie dość tego. Chwilowe zapomnienie odbytych lekcji ułatwi wam później przypomnienie ich sobie we właściwym porządku i we właściwej formie. Wychodząc z klasy pamiętacie najlepiej ostatnie słowa nauczyciela; te ostatnie zatarły do pewnego stopnia w waszej pamięci wszystkie poprzednie; zasłoniły je, że się tak wyrażę. Póki ich nie zapomnicie w tym stopniu co innych jego słów i szczegółów, drobnych i nieznaczących, lekcji towarzyszących, póty nie będziecie wstanie na zawołanie odtworzyć w waszej pamięci całkowitego obrazu lekcji i jej najważniejszych punktów. To chwilowe zapomnienie będzie dla waszego umysłu jak sito, przez które wypadną rzeczy drobne i mało znaczące a na wierzchu trzymają się jedynie grubsze ziarna najważniejszych faktów, prawideł i wskazówek nauczyciela. Będzie ono tem, czem jest właściwie oddalenie przy oglądaniu obrazu. Patrząc na wielki obraz z bliska widzimy tylko niektóre kolorowe plamy dokładnie, a nie ogarniamy wzrokiem całego obrazu i nie pojmujemy jego treści. Dopiero odsunawszy się o kilka a czasem o kilkanaście kroków, możemy naprawdę zrozumieć, co obraz przedstawia.

Zarówno jak to już zaznaczyłam, nie jest także dobrze uczyć się bezpośrednio przed godziną lekcji i to z wielu powodów,

Najprzód odkładanie roboty na ostatnią chwilę pozbawia was naprawdę najmilszych chwil zupełnego wytchnienia i najweselszych wrażeń z zabawy. Zupełnie inny humor mamy przy zabawie, jeżeli możemy się jej oddać ze spokojem i bezpieczeństwem, pewni, że nam jej nic nie zamąci, w przekonaniu że żadna robota dzisiaj na nas nie czeka, że załatwiliśmy się z wszelkimi obowiązkami, a inny wtedy, gdy co chwila patrzeć musimy na zegarek z niepokojem, czy starczy nam jeszcze czasu na nauczanie się



Trzej Królowie.

*Idą Królowie, świata panowie,
O ziemskich niepomni losach,
Drogę im długą, srebrzystą smugą
Wskazuje gwiazda w niebiosach.*

*Choć się znużyli, lecz nie zbłądzili,
Bo w jasnym gwiazdy promieniu
Niosąc swe dary, szli pełni wiary,
Ku światu dążąc zbawieniu.*

lekcyi, wciąż walcząc z sobą i wahając się: bawić się dalej? Czy już iść do książki?

Jestto ogromna różnica i dla waszego umysłu i dla waszego zdrowia. Wypoczynek połączony z troską i zakłopotaniem nie jest wypoczynkiem i nie przynosi żadnego pożytku. Nie przynosi również pożytku praca dokonywana w pośpiechu i zaniepokojeniu, a taka jest zawsze praca odkładana na ostatnią godzinę.

Jeżeli musisz ciągle myśleć o tem, żeby się nauczyć prędko — na dany termin, to nie możesz myśleć o tem, by się uczyć dobrze. Można prawie zawsze dokazać tego, czego się chce, pod warunkiem jednak, że się nie będzie chciało dwóch rzeczy naraz i to rzeczy ze sobą sprzecznych. Jeżeli chcesz dobrze rozwiązać zadanie arytmetyczne, możesz to zrobić, ale musisz myśleć tylko o zadaniu, a nie o tem, która godzina, czy zdążyś zapakować tornister, czy się nie spóźnisz do klasy, czy herbata już ostygła, czy drugie śniadanie przygotowane i o wszystkich tych drobnych szczegółach, o których myśleć trzeba wybierając się na prędko do szkoły.

Czasami dzieci liczą na to, że ucząc się przed samą lekcją nie zdążą zapomnieć do chwili, gdy nauczyciel ich „wyrwie”. Jestto zupełnie błędne wyrachowanie. To, co umiemy *naprawdę*, stanie zawsze na zawołanie, w naszej myśli, gdy tylko tego zażądamy, ale tego cośmy dopiero co przeczytali, nie będziemy umieli powtórzyć, jeżeli tylko przeczytaliśmy oczami, a nie zrozumieli i pojęli dokładnie. Wreszcie to uczenie się przed samą lekcją osłabia uwagę na lekcyi. Wskutek gorączkowego wyuczania się na prędko umysł wasz jest już zmęczony w chwili, gdy się lekcyja rozpoczyna, a brak uwagi na lekcyi ogromnie utrudnia pracę domową. Z tego wynikają jeszcze dwie zasady.

Przed samą lekcją nie myśl o lekcyi — wypocznij. Kiedy jeszcze byłam na pensyi, miałam ten zwyczaj, że choćbym najpracowiciej „kuła” przed jakimś egzaminem, choćbym mimo to nie zdążyła całego kursu powtórzyć, bezpośrednio przed egzaminem najmniej w jakiś kwadrans zamylałam książkę i dla tem zupełniejszego zapomnienia o nauce oddawałam się jaknajweselszym rozmowom i figlom z koleżankami. Czułam, że chwilowe „dokazywanie” jak się mówiło, doda mi więcej spokoju i przytomności umysłu przy egzaminie, niż pracowite odczytywanie kawałka niedoczytanego rozdziału w podręczniku.

Drugą zasadą jest: *Uważaj na lekcyi.* Im dokładniej w ciągu lekcyi skupisz uwagę na wykładanie nauczyciela, tem łatwiej przypomnisz sobie i zrozumiesz jego treść, gdy sam w domu zasiądziesz do roboty. Oszczędzisz sobie przez to na czysto trudu i czasu. Na lekcyi i tak przecież ani się bawić ani wypoczywać *naprawdę* nie można. Nie pozostaje nic innego, jak słuchać albo udawać, że się słucha. Pierwsze jest nietylko korzystniejszem lecz szlachetnem i przyjemnem. Natomiast nie próbuj się uczyć niczego w dziesięciominutowych przerwach między lekcyami. Czas jest i tak zbyt krótki, żeby się można czegoś *naprawdę* nauczyć, niepotrzebnie więc umysł się męczy i zmęczony a raczej zaniepokojony do następnej lekcyi przystępuje. Jeżeli dobrze lekcję umiesz, jeżeli dokładnie pauzę wyzyskasz, to jest nie dla nauki, lecz dla wypoczynku, dla wyprostowania członków i zwolnienia naprężonej uwagi w ciągu godziny, to samo przejście od gwaru do ciszy przy rozpoczęciu lekcyi, sama obecność nauczyciela i własna nieruchoma postawa, przywołają ci od razu na pamięć to wszystko, co podczas lekcyi wiedzieć i pamiętać potrzeba. Wynika to zresztą już z naczelnej zasady, *nie robić dwóch rzeczy na raz.* Trochę się uczyć, i razem trochę bawić, i trochę wypoczywać, to znaczy tyle, co ani się uczyć, ani bawić, ani wypocząć należyście, zatem czas trwonąć na marne.

(d. c. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

CZEŚĆ PIERWSZA.

w Wągrowcu.

Rozdział I.

Pani Werębkowa. — Tamci. — Leon i Grześ. — Pochód z buketami. — Ogródek Marysi. — Nie rusz!

U płynęło lat ośm, Stefan Luty doznał przez ten czas wiele biedy. Karmiony mlekiem, do którego dolewało sporo wody, krzyczał nieraz z głodu. Krzyczałby głośniej jeszcze, gdyby wiedział, że czeka go sieroctwo. Ale na szczęście nie zdawał sobie sprawy ze swojego opuszczenia. Dzieci wychowywane przez rodziców w drugim roku życia próbują już mówić: tata i mama. Stefek nie rozumiał znaczenia tych wyrazów.

Chodzić nauczył się prędko, bo nie było komu piastować dziecka; powtarzał za starszymi wychowankami wyraz: „pani”, ale przed panią krył się pod ławkę lub pod łóżko. Pani znaczyło organiście, a Werębkowa, chociaż uczciwa kobieta, obchodziła się surowo z malcami: Karała ich za najmniejsze przewinienie, burczała gdy stawiali na jej drodze, a nie pieściła nigdy. Niezmiernie porządna, dla czystości poświęcała spokój męża, swobodę dzieciaków. Były one zawsze umyte, ale i zawsze wystraszone, a czasem głodne.

Z jedenaściorga sierot wychowywanych na organistów w chwili, kiedy dla zaokrąglenia tuzina przybył Stefan, wyrosło z nim razem tylko dziewięciu wychowanców. Cyfra ta zamieniła się na parzystą przez śmierć biednej komornicy, po której pozostała sierota Marynia. Stefek miał już w tedy lat sześć i on to wypiastrzał małą swoją towarzyszkę,

— *Tamci*, nie chcą, *tamci* cię biją, — mawiał z powagą do dziewczynki.

Tamtymi nazywał starszych od siebie wychowanców. *Tamci* byli silni i cieszyli się względami organiście, bo pomagali jej w robocie. Stefanowi dokuczali niemiłosiernie. Był najmłodszy i był znajdą. Znajdą, tak! Naprawdę pocziwy organista zabraniał używać obelżywego wyrazu, *tamci* wiedzieli, że Stefek nie miał prawdziwego nazwiska i czuli się stokrót wyższymi od podrzutka. Z nich sztychono także, musieli więc wyrzucić na kimś swą zemstę. Kiedy w niedzielę szli szeregiem do kościoła, straganiarki pokazywały palcem na wychowanców Werębka.

— Idą jak panowie a miasto musi płacić za ich buty.

— Pewnie, mój Franek w trepkach chodzi do szkoły, a ja podatek na darmożjadów daję.

Tak rozmawiały między sobą mieszczki Wągrowieckie. Stefek nie rozumiał przymówek, ale rozumiał je starsi i radzi byli odbić na znajdzie swe upokorzenie. Przytem położenie znajdy było nieskończenie gorzem od położenia innych wychowanców Werębka. Żadne z tych dzieci nie miało matki, niektórzy jednak mogli się poszczycić ojcem lub przynajmniej krewnym. Dwunastoletniego Leona odwiedzał wujaszek z Rogoźna, a wujaszek ten wyglądał jak prawdziwy pan. Miał pełne kieszenie cygar i obiecywał zabrać do siebie siostrzeńca. To też Leon zadzierał nosa i po każdej wizycie wujaszka wymyślał młodszemu towarzyszom. Zadawał się tylko z Julką, bo stryjenka Julki przynosiła jej placki. Leon zjadał smaczne ciasto, on od wu-

jaszka dostawał cygaro. Palił je w ogródku organisty razem z Adamkiem, który był bardzo silny, przytem zazdrosny i chętny do oskarżania. Mógł wydać Leona przed panią, a pani nie puściłaby płazem takiego przewinienia. Julka miała przyjaciółki w Mańce i Karolci, trzymały się zawsze razem, więc Leon i Adaś musieli je szanować. One naprawiały bieliznę chłopców, one łuskały groch, skrobały marchew pomagały przy kuchni, miały nieraz nawet kawałki cukru w kieszeni. Pomagał Wicek, Franek i Grześ, bo to byli ulubieńcy organisty, ich więc także należało oszczędzać. Grześ był familiant, jego dziadek służył za karbowego w Zbitce. Dziadek przywoził Werębkowej perki i kapustę na jesieni, a kopę jaj na Wielkanoc, ale nie odbierał wnuka. Sam wdowiec, któż się zajmie sierotą — mówił, i Grześ mieszkał dotąd u organisty.

Jakże Stefek mógł się równać z temi silnemi i uprzywilejowanemi dziećmi.

Jego nie kochał nikt, nikt o niego nie pytał, nikt się za nim nie ujął, za nim i za Marysią. Ale nawet Marysia posiadała coś, czego nie miał Stefek. Chłopak przekonał się o tem, kiedy skończył lat ośm. Chowano na cmentarzu brata organisty. Sieroty Werębków wystąpiły przy tej okazji z bukietami kwiatów. Wicek i Franek narwali kaczeńców, na łące proboszcza kaczeńców było tak wiele, że wszyscy wychowañcy nieśli pęki żółtych kwiatów, idąc w szeregu za truuną. Jeden tylko Stefek szedł z próżnemi rękoma. Jemu starsi nie dali kaczeńców, a przytem Stefek prowadził Marysię.

Werębkowie poszli po pogrzebie do domu; należało przecież uczęstować gości żałobnych. Dzieciom pozwolono zostać na cmentarzu, gdzie mogły zbierać piołun, którym pani leczyła skutecznie wszystkie choroby. Rwały Karolcia, Julka i Mańka, chłopcy rwać nie chcieli, woleli szukać rozchodniku i układać zielone różyczki na znajomych sobie grobach. Wszystkie sieroty miały tu swój własny kawałek ziemi.

W dzień Zaduszny organista prowadził je sam na mogiły matek i kazał mówić pacierz za zmarłe. Z mogił sterczały małe, czarne krzyżyki, lub odróżniały je litery z rozchodniku; każde dziecko trafiało do swojej. Julka stała właśnie na miejscu, gdzie przed czterema niespełna laty pochowano matkę Marysi. Pamiętała pogrzeb komornicy, obejrzała się też na Karolcię i Mańkę, a potem zawołała głośno.

— Stefek, przyprowadzi tu tę małą, niech się pomodli za matkę, bo to jej grób.

Stefek zrozumiał rozkaz. Nie wiedział tylko, jakim sposobem Marysia nabyła praw do kawałka ziemi? Wyraz matka słyszał czasem od ludzi, dotąd jednak mało zdawał sobie sprawę z tego, co wyraz ten oznaczał. Zato w duszy dziecka rozwinęło się pojęcie posiadania czegoś na własność.

— Nie rusz, nie twoje — powtarzano nieustannie jemu i Marysi. Zkąd więc nagle miała ona do swego rozporządzenia piaszczysty wzgórek, ogródek, w którym wolno jej zapewne będzie sadzić rozchodnik. On zatem tylko, nawet tu, wśród mogił, nie posiada piędzi ziemi, jak nie posiadał nigdy nic, coby swoim nazwać miał prawo:

Biedny znajda!

Rozdział II.

Książdz Proboszcz. — Harmonijka. — Wdowa. — W ogrodzie nad rzeką. — Kochaj ziemię i braci. — Nagroda. — W terminie u Jana Kolarza.

— Stefek biegnij na plebanie, jegomość kazali cię zawołać.

Oj biegł też Stefek z ochotą. Miał już teraz lat trzynaście, był silny, zdrów i co się zowie dzielny chłopak. Czytał a nawet pisał po polsku. Umiał służyć do mszy

i nigdy nie zmylił ministrantury. Proboszcz chwalił go za to, że rozumie wyrazy, które inni chłopcy powtarzali bezmyślnie, a on starał się o względy proboszcza, bo kochał bardzo swego dobrodzieja. A z tem kochaniem, to tak się zaczęło.

Organista miał w domu stary fortepian i grywał na nim pobożne pieśni; grywał czasem także inne, bardzo piękne, które brzmiały niekiedy jak modlitwa, a niekiedy znów jak grom i jęk. Stefek słuchał całą duszą muzyki, ukryty za szydełkową serwetką nakrywającą komodę Werębkowej. W głowce dziecka szumiało, jak szumi wiatr wiosenny w szuwarach nad rzeką Wełną, co płynie wzdłuż miasta Wągrowca. Stefek bo i w szuwały uciekał słuchać rechotu żab i nad jezioro chodził, gdy fale po burzy były o brzeg w rytm groźny, a jednostajny u ha, u ha, u ha.

Nic jednak nie sprawiało mu takiej rozkoszy jak uroczysty śpiew kościelny. Pan Werębek na organach przygrywał, a proboszcz przed ołtarzem intonował „vere dignum et justum est.” Książdz miał piękny głos, sierota wpatrzony w celebransę stracił świadomość chwili i zdarzało się, że po skończonem nabożeństwie Marysia ciągnąc musiała Stefka za rękę.

— Tamci już poszli — mówiła zniecierpliwiona, bo pilno jej było biedz do dzieci kościelnego na wspólną zabawę.

Proboszcz znał Stefka, znał zresztą wszystkich wychowañców Werębka i odwiedzał ich niemal codziennie. Sieroty biegły z radością na jego spotkanie, a on przynosił im łakocie z plebanii lub obdarzał zabawkami, gdy egzamin z katechizmu wypadł dobrze.

Dobrze musiał odpowiadać Stefek Luty w ów pamiętny dzień, kiedy za wzorowy postęp w nauce dostał od proboszcza harmonijkę. Chłopiec tracił głowę z radości; mógł więc grać, grać jak pan organista. Grał też do późnej nocy i zdawało mu się, że Marysia powinna rozumieć wszystko, co on wypowiedzieć chciał muzyką.

— Wiesz, teraz krowy ryczą, wracają z pola, bo Bektowski dzwoni na Anioł Pański.

— Wiem, odpowiadała z powagą Marysia.

— Wiesz, teraz gra młyn przy zastawie, słyszysz, jak turkocze.

(d. c. n.)

WILK.

Wilk jest najpospolitszym u nas zwierzęciem drapieżnym, i najwięcej szkód czyniącym, nie więc dziwnego, że z dawien dawna grał wielką rolę w życiu i wyobraźni ludu naszego, czego dowodem są liczne podania o nim i przysłowia.

Męstwo, dzielność, wytrzymałość i zręczność porównywano w najstarożytniejszych wiekach z naturą wilka. Najbitniejsze pokolenia Słowian, które się oparły potęgze Karola Wielkiego w IX-ym wieku, nazywane były *Wilkami*.

Że wilk zwłaszcza w porze zimowej wzbudzał ogólny postrach wśród wieśniaków, stwierdzają takie przysłowia: „Wilk-mu za uchem wyje” „Wilka potkał” (kogo strach przejął) albo „Nie wywołuj wilka z lasu” (t. j. daj pokój złemu, nie narażaj się.)

Przyrodę wilka malują przysłowia: „Wilcza natura do lasu ciągnie,” „Mów wilku pacierz, a wilk: owca! baran!” „Wilcza pokora” (udana), „Trudno wilkiem orać” i t. d.

Wilk dał powód do wielu innych przysłów, które w mowie potocznej były dawniej chętnie używane.

Leżąc, wilk nie utyje (bez starania do niczego się nie dojdzie).

Nosił wilk; ponieśli i wilka (kara nigdy nie minie).
I wilk syty i koza cała (obie strony pogózione).
O wilku mowa, a wilk tuż.

Miłuje go jak wilk barana (radby zgubić), Od dobre-
go konia wynagano „*wilczego chodu*” żeby jak wilk lekko
nosił. W XVI wieku zwano u nas wilka „dzikim psem;”
myśliwi zaś w swoim języku zwali go *Basiorem*.

Lud prosty przypisywał mu większą moc, niż ją po-
siada w istocie. Dawne podanie mówi, że człowiek, który
pierwszy raz ujrzy wilka, głosem nie może wołać ratunku,
albowiem on swoim wzrokiem tak go *ozionie*, że głos zginie
w piersiach i dla tego na Pokuciu matki dzieciom swoim
włosy przypalały, żeby się wilków nie bały.

Wilczych zębów myśliwi starzy podobno do czarów
używali. Były one herbem Stefana Batorego a groźne to
znamie, którym pieczętowano wydawane przez niego rozka-
zy, dało powód do przysłowia „pokazał mu zęby”.

Skór wilczych, zwanych *wilczurami* używano powszechnie.

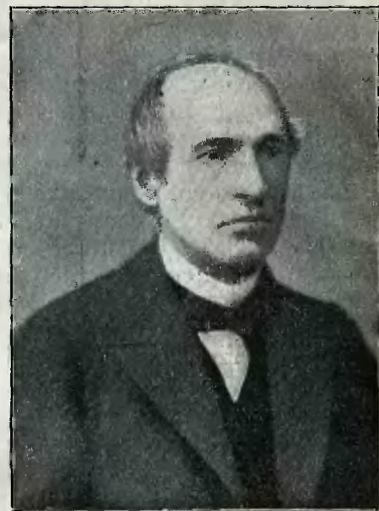
Starożytne podania ludowe mówią jeszcze o *wilkołakach*,
czyli o ludziach, zamienionych przez czary w wilki.
Wilkołaki przychodzili nocami pod chaty czarownic i przy-
siadłszy na śmieciach, żałośliwie wyły, dopóki ta ulito-
wawszy się, nie wracała im dawnej postaci „przykrywając
kożuchem, wełną do góry obróconym. Dziać się to miało
najczęściej w styczniu i lutym. Tak tłumaczyła wyobra-
żenia ludowa podchodzenie wyjących z głodu wilków pod
wioski w owej porze, jak to widzimy na naszej rycinie.

Wspomnieć jeszcze trzeba, że myśliwi utrzymują, iż
gdy komu drogę w poprzek przebieży, to oznacza
szczęście.

Ś. p. Feliks Jezier-
ski. Dnia 15 grudnia
r. z. zmarł w Warsza-
wie w sędziwym wie-
ku, profesor Feliks
Jezierski, którego pa-
mięć pragniemy u-
trwalić wśród mło-
dzieży, bo większą
część swego długiego
i zacnego żywota, po-
święcił kształceniu
kilku pokoleń, jako
nauczyciel gimna-
zjum lubelskiego od
roku 1840 do 1862.
następnie jako profe-
sor b. Szkoły Głównej
i inspektor V gimna-
zjum w Warszawie.
Był to człowiek nauki
i talentu literackiego.

Napisał wiele rozpraw z dziedziny językoznawstwa i filo-
zofii, opracował wyborną historję literatury angielskiej,
wreszcie wzbogacił piśmiennictwo nasze przekładami kilku
najcenniejszych arcydzieł obcych, których znajomość jest
niezbędna każdemu wykształconemu człowiekowi, a miano-
wicie przełożył wierszem część Iliady Homera, Fausta —
Goethego, Prometeusza — Shelleya i niektóre utwory Byro-
na i Longfellowa.

Urodzony w Kozłówce, w gub. Lubelskiej d. 17 maja
1817 r. ś. p. Jezierski zmarł w 85 roku życia, otoczony po-
wszechnym szacunkiem.



ZE ŚWIATA.

Kolej Mandziurska. W roku 1900-ym podaliśmy w Wie-
czorach mapkę kolei Syberyjskiej, idącej od stóp Uralu do
Władywostoku, przez całą olbrzymią szerokość Azji. Kolej
ta, rozpoczęta w 1891 r., została w końcu r. z. czyli po 10-u
latach, pomimo nadzwyczajnych trudności i ogromnej swej
długości ukończoną, z tą tylko zmianą, że poza jeziorem
Bajkalskim, nie idzie brzegiem Amuru, lecz od miasta
Czyty zwraca się wprost do Władywostoku przez Man-
dżurę i posiada odnogę południową od mandziurskiego
miasta Charbinu, do rosyjskiego portu nad morzem Żół-
tem, zwanego portem Artura. Tak więc, wkrótce będzie
można od Lizbony aż do portu Artura czyli połowę kuli
ziemskiej, przejechać koleją żelazną, raz tylko nawet zmie-
niając wagon i to w Warszawie, gdzie kończy się sieć kolei
o węższym torze, a zaczyna droga szeroko-torowa. Podróż
taka trwać będzie nie więcej nad trzy tygodnie.

SZARADA.

Róża D.

Trzecia-pierwsza: dzisiaj siolo,
Galilejski niegdyś gród.
Tam na godach, gdy wesoło
Zaproszony bawił lud,
Chrystus z Matką wszedł na gody,
I uczynił wino z wody:
To był pierwszy Pana cud.

Druga-pierwsza, mała rzeka,
Przez bośnijski kraj przecieka,
Gdzie chorwackich gór jest szczyt.
Wszystko, ukształca człowieka,
Daje wiedzę, sławę, byt.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Wilk (z ryc.) — Wspomnienie pani Łowczyńny, o Elżbiecie z Kowalskich Drużbackiej, przez Sowerynę Du-
chińską. — Kwiaty w zimie, przez E. Jankowskiego (z ryc.) — Jak się uczyć, przez Izę Moszczeńską. — Trzej królowie, wiersz
(z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii przez Z. Bukowiecką. — Ze świata: Kolej Mandziurska i Ś. p. Feliks Jezierski (z portre-
tem). — Łamigłówni. **Dodatek:** Szopka u Józia, wiersz (z ryc.) — Rozmowa z mamą. — Paliwoda. — Król migdałowy i królowa,
komedyjka w jednym akcie. — Łamigłówni. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dworzanin królewicza Jakóba przez
Terezę Jadwigę.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Доволено Цензурою. Варшава 22 Декабря 1901 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Nr. 3. — Rok XXIII.

Dnia 5 (18) Stycznia 1902 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci



Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus w Egipcie.

Zima.

*Ej, śniegu ty bieluchny!
Chłodne z nieba sypiesz puchy,
Wiatru pędzą je podmuchy,
A w chatynce ubożuchnej
Na nożętą dziatwy bose
Matek oczy leją rosę...*

Ej, śniegu ty bieluchny!

*Oj, mrozie ty, oj kacie!
Niespokojne wody tonie
Lodem skuły twoje dłonie —
A w tej biednej, niskiej chacie
Chociaż sopli migasz tęczę,
Drżące z zimna dzieci jęczą..*

Oj, mrozie ty, oj kacie!

*Oj, wichrze ty zimowy!
W szare zmierzchy, w siwe ranki
W pole biegasz dla hulanki —
I z głowiny dziecka płowej,
Potarganej niby strzecha,
Niepocziwa ci uciecha..*

Oj, wichrze ty zimowy!

*O, serca wy dziecięce,
Serce przecie w was nie skrzepło
Ludzkich uczuć szczere ciepło,
Nieście bliźnim ulgę w męce —
Przez miłości żar zwycięski
Zwalczcie mrozu, wichru klęski,*

O, serca wy dziecięce!

*Dalej-że, dziatwo złota,
Za igielkę chwytaj rada,
Za kieszonkę — jak wypada...
Oj, nie mała to robota
Radzić nędzy biednej braci —
Lecz za trud ten hojnie płaci
Ojciec nasz, dziatwo złota!*

T. Prażmowska.

Wspomnienia Pani Łowczyny.

O FLZBIECIE Z KOWALSKICH DRUŻBACKIEJ,

przez

Sewerynę Duchinińską.

(Dalszy ciąg).

Elżunia odrazu przypadła do serca wojewodzinie, spostrzegłszy jej zamiłowanie w księgach, mało wymagała od niej roboty, a za to kazała czytywać jej na głos, co było z niemałym dla nas wszystkich pożytkiem. Mnie także okazywała względy, zwała nas swemi Wielkopolkami. Nie poszło to jakoś w smak innym dziewczętom — a było nas wszystkich ośmnaście; wkrótce jednak polubiły nas dosyć,

zwłaszcza, że Elżunia potulna i dobra, nie przewodziła nigdy nad niemi, pomimo względów okazywanych jej przez wojewodzinę, a ja też unikałam wszelkich sporów.

Tak nam zbiegło z górą lat dwa. Spokojne życie przerywały tylko wielkie święta i ostatnie dni zapustów, na które zjeżdżały zamężne córki wojewodziny, bliższa parantella i zamożni sąsiedzi z okolicy, na jakie dni dziesięć. Krosna i książki odkładały się na bok. W poranki świąteczne, goście i domownicy zbierali się w kościele. Wieczorem po uczcie, przy wybornej dworskiej kapeli, tańczowano do upadłego.

Mogłyśmy z Elżunią przypatrzeć się do woli paniom z wielkiego świata, o jakich nie miałyśmy pojęcia w naszych szlacheckich dworach nad Wartą. Śmieszności tych pań nie uszły przed baczne oko Elżuni; pomnę, było to jakoś nazajutrz po Przewodniej Niedzieli; wiosna w tym roku zawitała wcześniej. Obie zasiadłyśmy na ławeczce pod cieniem rozłożystej grabiny. Szpaler acz drobne dopiero wypuścił listeczki, pokrywał nas zupełnie. W bliskości, nad tarasem pełnym fiołków, przybranym w hiacynty i tulipany, wyhodowane w cieplarni, zasiadły wielkie panie. Dalejże w rozprawy i skargi na mężów. Mówiły głośno, słowa ich dobiegały nam do ucha. Jedna utyskuje, że mąż zakopany w gospodarstwie, siedzi w domu jak smok na łańcuchu, tuczy woły, wyprawia na targowisko wory naładowane zbożem, a nie myśli o jej zabawie; kawy ni ziarenka nie znaleźć w jej spiżarni, garnek piwa z serem, to ranne jej śniadanie.

Druga utyskuje, że mąż skąpiec żałuje pieniędzy na muzykę: wstęgi i złote sprzączki, jakich ona tak pragnie. Trzecia żali się, że nie wie nawet gdzie Warszawa, że mąż domator nie wozi jej na asamble i reduty, nie sprawi jej aksamitnej bekieszy z futrem. Każda z nich przemysła o rozwodzie.

Elżunia słuchała tych skarg, lica jej pokraśniały, nazajutrz chwyta pióro, gładkim rymem powtarza te niedorzeczne lamenta. Wybucha wreszcie żalem na taką znie wagę świętego Sakramentu. Mnie tylko odczytała te rymy i ukryła je głęboko, by przypadkiem nie wpadły w oko wojewodzinie. Zapamiętałam sobie tylko niektóre skargi tych dam, które często powtarzałam.

„Pierwsza zaczyna żal do męża prawić:
Że jak smok siedzi na łańcuchu w domu,
Nic nie dba, bym się czem miała zabawić;
Sługi nie pyta, zagrać nie masz komu,
Ani takiego, żeby mnie zrozumiał,
W mądrych dyskursach rezonować umiał.
Jakże tu mieszkać z takim domatorem?..
Kawy w mym domu nie znajdzie trzech ziarenek,
Piwa mi z serem każe zagrać garnek!

Innej zaś skargi tak opisała Elżunia:

— Mnieby zapłakać, gdy nie znam co robić,
Sejmów nie widzę, nie wiem gdzie Warszawa,
Choćby mi boków naszturchano w ciżbie,
Byłem z raz była w senatorskiej izbie.
Nie wiem, co jest bal, asamble, reduty;
Mój mnie jegomość osadził przy kurach,
Paż do ogona ma łatane buty;
O blondynowych nie chce garniturach
Wiedzieć, żebym je mieć mogła za modą...

Odtąd, popróbawwszy sił w rymowaniu, zrywała się co dnia o świcie, zasiadała przy stoliku we wspólnej komnacie naszej. Ja byłam jedyną jej powiernicą. Między innemi nakreśliła cudny wiersz o królu proroku Dawidzie. Pokazuje go nasamprzód młodzieńcem, kiedy dźwiękiem pastuszej harfy, odganiał szatany od duszy Saulowej, kiedy pochwycił procę w Imię Boże i ugodził nią Goliata, olbrzyma Filistynów. Dalej kreśli obraz, żałującego za grzechy pokutnika, gdy istny pelikan spragniony na pustyni, wyznaje winy swoje przed Panem, a Pan zmiękczony łzami, roz-

kazuje aniołom nawiązać złote struny, na porzuconej harfie i królowi odzianemu purpurą pozwala wydobyć z niej dźwięki prorocze.

Zachwycona cudnemi rymy, ubłagałam Elżunię, że mi pozwoliła ukazać je uczonemu dziekanowi, który co niedziela proszony był do zamku na ucztę. Dziekan zachował je, a w parę dni potem dał je poznać wojewodzinie. Elżunia drżała na myśl samą, co powie na to poważna matrona.

Wezwana przez nią, chwiejnym krokiem pobiegła do jej komnaty.

— Czytałam rymy wacpanny — rzekła wojewodzina. — Kto cię nauczył tak gładko władać piórem? Czy duch Jana z Czarnolasu, którego księgi pospółu czytujemy? Pisz moje dziecię — dodała, głaszcząc ją po licu — masz po temu zdolności, ale niech Bóg uchroni cię od pychy, bądź jak dotąd pełną pokory, bo dar jaki ci przypadł jest raczej łaską Bożą, a nie twoją zasługą!

Elżunia upadła do nóg pobożnej pani, a ta nakreśliła krzyżyk nad jej czołem.

Od dnia tego wojewodzina, łaskawszem jeszcze okiem poglądała na swoje Wielkopolanki, przy Elżuni i ja urosłam niejako w jej oczach.

Dobrze nam było na dworze białostockim, a przecież niby wędrownie ptaszyny zatęskniłyśmy do gniazdek naszych. I rodzicom poczęło ciężyć to długie rozłączenie.

— Czasby Elżunię sprowadzić do domu — powtarzał chorąży — dziewczyna przemądrzeje, a po dworskich pałacach, nie pójdzie jej w smak, kęs powszedniego chleba.

Jakoż, za wspólną radą, ojcowie nasi, wysłali napróżd pełne respektu listy do wojewodziny z oznajmieniem, że dziewczki potrzebne przy domowym ognisku, dla pomocy matkom w zabiegach gospodarskich. Wojewodzina odpowiedziała uprzejmie: żal jej, jak mówi, miłych Wielkopolaków, ale wola rodziców święta. Niebawem też ojciec mój wybrał się po nas do Białegostoku; przyjęty najgościnniej, zabawiał tam dni kilka.

Serdeczne było rozstanie nasze z wojewodziną. Zaczynała pani, obsypała nas hojnie datkami. Elżunia darowała wielką moc książek: Skargę, Kochanowskiego oraz wiele innych nie policzę.

— Pracuj dziewczeczko — mówiła — ale dla pióra nie porzucaj igiełki, a przedewszystkiem nie zapominaj o modlitwie. Pamiętaj o Bogu, a Bóg o tobie nie zapomni.

Nadszedł dzień wyjazdu. Po Mszy świętej w kaplicy zamkowej, której pobożnie wysłuchiwała wojewodzina i całe grono towarzyszek naszych, upadłyśmy do nóg dobrej pani, zanosząc się od płaczu. Ona pobłogosławiła nas, każdą pocałowała w czoło, panienki żegnały nas ze łzami.

Dzień był gorący, słońce kwietniowe dobrze już przypiekało. Jechaliśmy końmi najętymi dla pośpiechu, żeby zdążyć do domu na Wielkanoc, która późno jakoś w tym roku przypadała.

* * *

Co tu opisywać radość przy powitaniu z rodzicami; matka moja czekała w Kowalewie ze starszym bratem, który przy ojcu gospodarował w Zabrzeżu, młodszy Stasiak nie opuszczał obozu, wojna bowiem nie ustawała. Elektor Saski, acz zrzekł się Warszawy, nie wątpił, że ją odzyska jeszcze; a król szwedzki nasylał wciąż rajtarów w obronie praw króla Stanisława. Dwaj chorążycy Kowalscy służyli na Litwie w chorągwi księcia Lubomirskiego.

W Wielkopolsce cicho było w te czasy, dnie ubiegały też zwykłym trybem. Chorążyna cierpiała nad oddaleniem synów, ale siłą woli zganiała z czoła troskę. Od czasu do czasu dobiegały z obozu ich listy, szczególnie od starszego Marcina; ten w ostatnim donosił rodzicom, że za chlubną jakąś sprawę otrzymał wyższy stopień, przeniesieniem do innego regimentu.

Upłynął tak rok cały, nadeszła wiosna. W Kowalewie niepokój. Marcin tak zwykle skory do pisania nie daje znać o sobie. Janusz oddalony od brata, nie donosi nic

o nim; chorąży nadrabia miną, ale widocznie osowiały. Elżunia trwoży się o brata i o matkę, której lica dziwnie jakoś poblady, mimo, że usta milczą. Otóż i lato, żniwa już za pasem, a o Marcinie ani słyhu. Jasno słońko przyświeca, a tu nad Kowalewem ciąży widoczna chmura.

Dnia jednego przed wieczorem przychodzę tam z bratem. Elżunia wybiega do mnie dziwnie rozweselona. Pytam czy przyszły jakie wieści — nie mamy żadnych odpowie, ale mi w duszy jakoś błogo. Marcinek wróci, nie wątpię o tem, widziałam go we śnie tej nocy. Opowiedziałam to matce „sen mara, Pan Bóg wiarą!” — odrzekła, smutno kiwając głową. Mnie to jednak nie zraża, w sercu mi wesoło, on wróci, może dziś jeszcze.

Patrzałam na nią rozradowanem okiem, ślicznie też wyglądała w jasnej jubce i błękitnym kubraczku, modrą wstążką zaplecioną w długie a czarne kosy. Pobiegłyśmy na pole wśród płowiejącego żyta, narwałam garstkę bławatków, uplotłam z nich wieniec, włożyłam jej na głowę.

— Cóż się tak przybrałaś, jak na gody? — zagadnął chorąży, gdy ją spotkał we wrotach podwórka.

(d. c. n.)

OBRAZEK HISTORYCZNY.

Ja w prostej linii pochodzę od Władysława II, jemu wielki król Bolesław Krzywousty, a mój praszczur oddał cały Szląsk w dziedzictwo, mnie się już dostała jeno częśćka onego, ale częśćki tej nikomu nie oddam i nikomu hołdować nie będę — wołał zająkliwe, niecierpliwym głosem Kazimierz II książę na Cieszynie i Opolu.

— Prawda, miłościwy książę, lecz nie mamy ni ludzi ni pieniędzy do prowadzenia walki — odparł Cibor, wojewoda i przyboczny doradca księcia.

— Cóż to, chcesz, żebym się wyzbył dziedzictwa, poszedł z kijem żebraczym, ja i moje dzieci.

— Nie idzie przecie o wyzbycie się ziem waszych, lecz o uznanie zwierzchnictwa jednej ze stron napierających się korony polskiej.

— Wiem, że masz na myśli, tego zbója Władysława, co bodaj o tron polski sięga! A ja nie potrzebuję uznawać niczyjego zwierzchnictwa, sam jestem księciem i zwierzchnikiem, panem Cieszyna i Opola! — przerwał swemu doradcy książę.

— Ja i mała garść wiernych waszej książęcej mości zawsze uznajemy go swoim panem; walki wszakże prowadzić nie możemy. Na najemne też wojsko nie mamy, kraj jest wyludniony, swoich na palcach zgoła policzyć można, a i ci bodaj nie staną...

— Co to, bunt, nieposłuszeństwo! — przerwał mu znów, wrząc gniewem Kazimierz.

— Ja każe, iść muszą! nie ustąpię ani piędzi ziemi, nie złożę hołdu, z zamku mego się nie ruszę! — krzyknął Kazimierz, uderzając pięścią w stół i wstając nagłym ruchem z ławy, na której rozparty jak na tronie siedział.

Wtem, ława nie wytrzymała nacisku, stojąc na trzech nogach, gwałtownie runęła, z trzech nóg jedna tylko pozostała, dwie zaś rozleciały się zupełnie, pozostawiając ślady próchna.

— Co to za śmiałek dostał się do mego zamku, i rozwalili sprzęt, jak najeźdźcy usiłują rozwalić moje państwo! — wrzasnął gniewnie Kazimierz.

— Tym śmiałkiem jest czas, niszczący wszystko — rzekł Cibor. — Tak samo jak ta ława, rozpada się wasze księstwo — dodał, podnosząc z ziemi kawał spróchniałej ławy.

I wpatrzywszy się w księcia, trząsł drewnem, z którego sypało się próchno.

— Jak śmiesz mi takie rzeczy prawić! — krzyknął rozgniewany książę, przyskakując do swego doradcy.

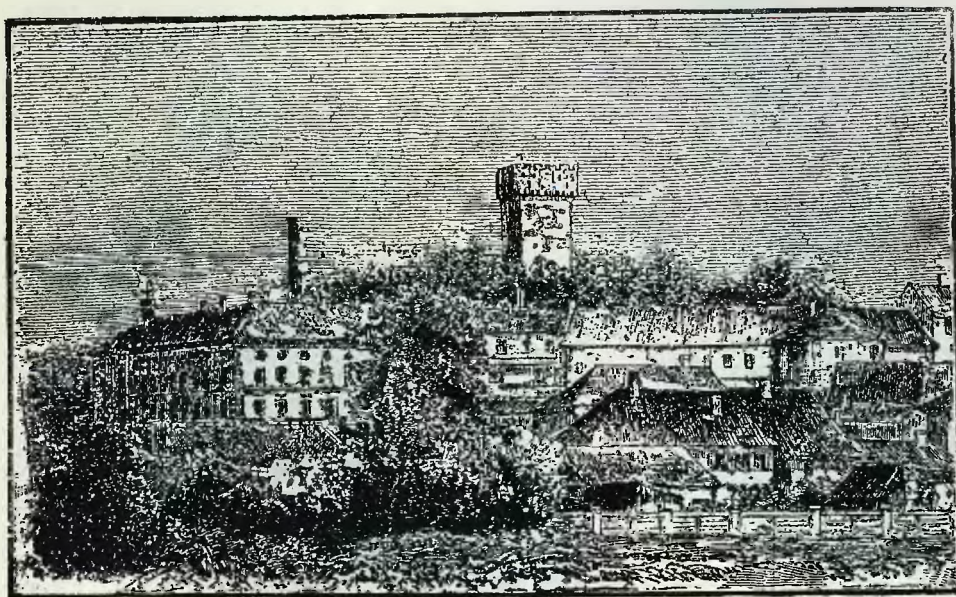
— Śmiem, bo was miłuję i pragnę waszego dobra — odrzekł Cibor, nie ustępując kroku i nie spuszczać oczu z rozgniewanej twarzy swego pana.

Kazimierz targnął siwą brodę, odszedł w głąb komnaty, a po chwili — zawołał uderzając w stół pięścią:

— Mam już koniecznie przyjąć zwierzchnictwo, wołę Waclawa, niż tego Władysława, co mi nawet do łokcia nie dorósł.

Władysław jest Piastem, moim krewniakiem, chce mu się korony, która tak samo mnie, jak i jemu się godzi! —

I czy uderzenie było tak silne, czy stół, dorównywujący wiekiem ławie, stał się kruchy i niemocny, dość, że bez trzasku nawet rozpadł się na dwoje, syjąc tak samo jak ława szaro-żółte próchno ze swych zmurzałych desek.



Wieża Piastowska w Cieszynie.

Kazimierz nie rzekł już i słowa, kopnął tylko nogą sprzęt rozwalony i zwracając się nagle do Cibora, zawołał:

— Tak, wołę Waclawa niż tego dumnego wydziercę ziem krewnym swym Łokietka.

— Panie, chcesz więc zagubić kraj swój! — rzekł rozpaczliwym głosem Cibor.

— Lepszy Waclaw, bo mocniejszy, a przynajmniej nie z bogacę tego warchoła, włóczęgi, co z chłopami się brata i bodaj z nich wojowników sobie szykuje! — mówił Kazimierz prędko, jakając się prawie za każdym wyrazem.

— Bodaj lepiej z polskich kmieci mieć wojowników, niż żadnych, — rzekł Cibor jakby do siebie.

— A ja taki, wołę Waclawa niż Łokietka! — upierał się przy swoim Kazimierz!

Na drugi dzień Waclaw król czeski, odebrał przysięgę hołdowniczą od księcia na Cieszynie i Opolu. Nie miała też garść okrzyknęła go królem polskim, inna garść trzymała się Władysława Łokietka.

Z. Morawska

Jak się uczyć?

PRZEZ

JZĘ MOSZCZEŃSKĄ.

(Dokończenie).

III,

Ale niedosyć tego, żeby wiedzieć, kiedy się uczyć, trzeba jeszcze wiedzieć, jak się brać do rzeczy, żeby możliwie w jak najkrótszym czasie jak najdokładniej sobie przedmiot przyswoić.

Najprzód zabierając się do przygotowywania lekcji, *zanim książkę lub kajet otworzysz, przypomnij sobie, co było mówione na lekcji.* Będzie to jak gdyby wewnętrzny obrachunek już gotowych wiadomości, które ci posłużą do wykonania zadań lub wyuczenia się odpowiednich faktów. Jeśliś uważał w klasie, to bezwarunkowo coś w twoim umyśle zostało, to co zostało, jest właściwie podstawą tego, co sam zrobisz. W tem przypomnieniu odtworzą się w twoim umyśle te fakty, które najwięcej cię uderzyły i które najlepiej rozumiałaś one ci objaśnią resztę faktów zapomnianych i nie zrozumianych.

Jeżeli chodzi o odrabianie zadań, zaczynaj od najtrudniejszych. Będziesz miał na nie najwięcej czasu, będziesz je odrabiał bez pośpiechu, w najzupełniejszym spokoju, ze świeżym, wypoczętym umysłem, a gdy spełnisz tę najtrudniejszą część swej pracy, samo zadowolenie z tego, że najgorsze trudności masz poza sobą, da ci tyle energii i otuchy, że przy dalszej pracy nie uczujesz zmęczenia. Po zrozumieniu trudnych rzeczy — zrozumienie łatwych nie nastarczy żadnej trudności

Jeżeli chodzi o powtarzanie lekcji, które wydać trzeba, np. historii, geografii, to najważniejszą zasadą jest: *ucz się nie słów, lecz faktów.* Niektóre dzieci uczą się w ten sposób, że czytają zdanie po zdaniu z podręcznika powtarzając je na głos dosłownie, przyczem po każdej przerwie zaczynają znowu od początku, a wskutek tego pierwsze zdania powtarzają jak nakręcony zegarek godzinę i drugie niedokładnie z przerwami i chrząkaniem, a dalsze dopiero wtedy, gdy koledzy lub koleżanki podpowiadają.

Z takiej nauki niema korzyści żadnej. Na drugi dzień już trudno przypomnieć sobie w ten sposób wyuczoną lekcję, a na egzamin jest to prawie niemożliwe.

Właściwa metoda jest zupełnie inną. Najprzód uważnie przeczytać całą lekcję i starać się ją zrozumieć. Odwróciwszy wzrok od książki odtworzyć w pamięci jej treść, a następnie odczytać powtórnie tylko te szczegóły, które z pamięci wypadły. Można ten eksperyment powtarzać po kilka razy, samemu sobie w myśli zadawać pytania i odpowiadać na nie, zwracać uwagę na rzeczy najważniejsze i do nich dopiero w sposobie objaśnienia nawiązywać szczegóły. Jeżeli np. chodzi o dzieje jakiejś wojny, to najważniejsze pytanie będzie. Kto prowadził wojnę? O co? Kto zwyciężył? Jak do zwycięstwa doszedł? Jak mu okoliczności sprzyjały, w końcu jakie mu zwycięstwo dało korzyści? Jeżeli na te kilka pytań odpowiesz, to łatwiej spamiętasz

i opisy bitew i nazwiska wodzów i daty i wszystkie drobne fakty, nabierające dla ciebie tem większego znaczenia, że wiesz ich przyczyny i następstwa.

Dla zrozumienia wszystkich ogólnych reguł, prawideł, praw natury, sam przypomnij sobie jak najwięcej przykładów, które je stwierdzają. Zrozumieć regułę to znaczy do brze ją stosować, — częste stosowanie ułatwia nietylko zrozumienie lecz i pamiętanie reguły. Jestto powtarzanie w najlepszym znaczeniu stokroć więcej warte niż powtarzanie na pamięć. Odnosi się to w szczególności do reguł gramatycznych. — Tutaj muszę wam uczynić pewne wyznaczenie! Ja teraz piszę dużo po polsku i zupełnie poprawnie, a jednak żadnego gramatycznego prawidła nie umiałabym wam powtórzyć dokładnie. W tem położeniu co ja, jest mnóstwo ludzi piszących, a nawet piszących znacznie piękniej ode mnie, prócz tych naturalnie, którzy uczą języka polskiego i mają ciągle z gramatyką do czynienia. Gdybyście im jednak dali kiedykolwiek do rozstrzygnięcia jakąkolwiek gramatyczną wątpliwość, udzieliliby wam każdej chwili doskonałych wskazówek, objaśnili, jak pisać wolno a jak nie należy, a nawet wskazali dlaczego tak a nie inaczej się pisze. Umieją więc oni prawidła gramatyczne, bo je dobrze stosują; nie umieją ich na pamięć, dosłownie, ale oto wcale nie chodzą

Ogólną regułą odnoszącą się do wszystkich przedmiotów zarówno będzie: *Nie uczyć się niczego bezmyślnie; najprzód zrozumieć i jasno sobie w myśli uprzytomnić, a potem dopiero powtarzać dla pamięciowego przyswojenia.* Trzeba żebyście wydając lekcye nie mieli przed oczami duży odpowiedniej kartki z podręcznika lecz rzecz samą, nie odczytywali naprzykład z pamięci jakiejś strony z geografii, lecz patrzyli na kraj sam, jak go widziecie na mapie, opisywali go a nie wyliczali nazw drukowanych.

IV.

A teraz jeszcze jedno słówko o pisaniu wypracowań. Dla jednych jest ono łatwe i przyjemne, dla drugich istną plagą. Zależy to naturalnie nieraz od zdolności, ale czasem po prostu od umiejętnego brania się do rzeczy. Niektórzy zabierając się do wypracowania najprzód otwierają zeszyt, machają pióro wypisują tytuł, a potem myślą, ale nie nad samem wypracowaniem tylko nad pierwszem zdaniem. Czasem w minutę później zdanie to przekreślają i piszą

inne, wcale zresztą nie wiedząc jeszcze, co napiszą w drugim trzecim i czwartym.

Jestto znowu bardzo licha, nudna i męcząca metoda. Nie napisze się nic dobrego, póki się nie wie, co się ma napisać. *Nie warto nawet zaczynać, zanim się nie ma w głowie jasnego obrazu całości.* Nawiązywanie jednego zdania do drugiego, nianie ich bez planu jak paciorki na sznurek jest robotą znużającą, mozolną i nie prowadzącą do celu.

Jeżeli mamy pisać o jakimś temacie, musimy najprzód o nim myśleć. Wszystko co na dany temat pomyślimy, trzeba zestawić razem i ułożyć z tego jakąś całość, w którejby jedna część nie sprzeczała się z inną. Dopiero tę całość warto przenieść na papier w porządku także ułożonym z góry i w formie jaknajpoprawniejszej, a także najponętniejszej, jeżeli kogoś stać na ponętną formę. Stąd znowu wynika zasada, że *pisać trzeba nie urywane zdania lecz gotowe, rozsądnie powiązane między sobą myśli i plan wypracowań ułożyć w głowie najprzód, a potem dopiero na papierze skreślić.* Oszczędza się na tem dużo czasu marnowanego zwykle na nieudatne próby, a i styl zawsze lepszy i jaśniejszy będzie, jeżeli myśli będą jasno i rozsądnie powiązane.

Najpiękniej piszą nie ci, którzy myślą, jak pisać, lecz ci, którzy myślą, co napisać.

Najpiękniejszym stylem jest ten, który dokładnie odpowiada treści. Nawet wartość pięknych zwrotów i poetyckich przenośni polega na tem, że one nam dośladniej i barwniej myśl autora przed oczy stawiają.

V.

Nareszcie na to zwróć jeszcze uwagę, że niektórzy zbyt lękliwi i nieśmiali, nie wiedzą kiedy przestać się uczyć. Zaw sze im się zdaje, że jeszcze nie dość dobrze umieją i sądzą, że im więcej czasu przepędzą wpatrując się w książkę i odczytując jej kartki, tem lepiej będą umieli.

Jestto zupełnie mylne pojęcie. Podręcznik jest tylko pomocą przy pracy umysłowej i trzeba go póty tylko używać, póki jest niezbędnym.

Jeśli kogo noga boli, musi się opierać na kij, ale skoro zupełnie wyzdrowieje, koniecznie trzeba kij odrzucić, a o własnych siłach na nogach się trzymać. Tak samo jest z podręcznikiem. Ciągłe uczenie się z książki jest po prostu złem przyzwyczajeniem i zniedołężnia umysł, czyni go nie zdolnym do myślenia własnymi myślami. Należy więc uchwycić właściwą



Starsza siostra.

Dobrze to mieć starszą siostrę
Siostrzyczkę kochaną,
Taką dobrą, taką mądrą,
Taką odcytaną.
Ona tyle rzeczy umie,
Ślicznie opowiada,

Zawsze z dziećmi gdy poproszą,
Pogawędzić rada.
Choć zajęta, nie odpędzi
Wieczorem ni rano...
Dobrze to mieć starszą siostrę,
Siostrzyczkę kochaną!

chwile. Jeżeli wydobęde z książki wiadomości, które mi są potrzebne, dobrze je zrozumie, umiem w rozmaity sposób zastosować, to mogę z czystym sumieniem książkę odłożyć. Jest mi ona wtedy nie tylko zbyt cenną, lecz szkodliwą, bo zasłania przede mną moje własne myśli, a o mojem wykształceniu w każdej epoce życia stanowi nie to, co przeczytałam i powtórzyć umiem, lecz to co myślę o różnych faktach i zjawiskach.

Jeżeli myśli moje odpowiadają rzeczywistości, są jasne i logicznie powiązane, jestem człowiekiem wykształconym i rozumnym, jeśli zaś są mętne, błędne i luźne — jestem ograniczonym bez względu na ilość podręczników, które mi w czasach szkolnych w głowę wtłaczano lub ja sam sobie wtłoczyłem.

Kiedy n. p. „Wisła i jej dopływy” będzie dla was nie wczorajszą lekcją geografii, lecz główną rzeką polską połączoną z drobnymi, które do niej wpadają, jeżeli wojny Krzyżowe nie będą tem, „co zadano na czwartek” lecz najważniejszym w ciągu średnich wieków historycznym faktem, wtedy będziecie odnosili z lekcji korzyść prawdziwą, a nie tylko czwórki i piątki w dzienniku.

Całe wasze szkolne dzieje, wasze życie w tej epoce będzie łatwiejsze, miłsze i pomyślniejsze na przyszłość wyda owoce i słodsze wam pozostawi wspomnienie, jeżeli będziecie mieli w pamięci, że zadaniem waszem nie jest uczyć się długo, ani uczyć się dużo, ale *uczyć się dobrze*.

J. Moszczeńska.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

— Słyszę, — potwierdziła dziewczynka, chociaż nie odczuwała różnicy między rykiem krów a turkotem młyna. Z kolei przyszła Stefkowi ochota wygrać na harmonijce śpiew skowronków i świegot wróbli, które obsiadały żywopłot. Ale harmonia nie nadawała się do tonów miękkich i rzewnych; Stefek wykreślił więc piszczałkę z wierzby i grał całemi wieczorami. Marysia musiała potakiwać, gdy jej mówił, że tak właśnie śpiewa słowik lub skowronek.

Jednej jednak melodii nie potrafił wygrać Stefan Luty. Od przeszłej wiosny wiedział już, co znaczy wyraz matka. Na organistównę zamieszkała wdowa po zmarłym bracie Węgrbkowej. Miała trzechletniego chłopczyka i kochała go, jak tylko matka — wdowa kochać może syna. Stefek słyszał, że wołała na jedynaka: moje krócie, mój Stachu, moje słoneczko. Całowała uśmiechniętą buzię dziecka, jego rączki, nóżki i znów wracała ustami do różowej twarzyczki, do tych dołeczków rozkosznych, którymi śmiał się Staś.

Stefek Luty patrzył i słuchał. Nie rozumiał z początku pieśnied wowy. Aż od tych pocałunków, od tych nazw serdecznych zaczęło w znajdzie tajać serce. Coś się w nim budziło, coś rozgrzewało, czego nie czuł wprzód. Brały go jakieś dziwne ciągoty, byłby do kogoś wyciągał rękę, w słońku się wygrzewał, jak kot Burek. Tylko kot nie płakał nigdy, a jemu chciało się beczyc na cały głos. Nie wiedzieć czego. Toż przecie zjadł dziś grubszą niż zwykle kromkę chleba.

Było tego dzień, było dwa, aż trzeciego porwał fujarkę i pobiegł nad rzekę, tam gdzie od strony proboszczowskiego ogrodu rosła stara wierzba. Stefek siadł pod drzewem, dobył fujarkę z rękawa i próbował wygrać na niej to, co grało w jego sercu.

Przypomnił sobie pocałunki matki Stasia, jej pieśnied, jej głos i dał z całych sił w fujarkę, ale głos po rosie szedł piskliwy i inny. Wcale inny. Nie taki słodki jak słowa, którymi wdowa tuliła swoje dziecko.

Dławiły go łzy, a nie chciał płakać przy ludziach. Obejrzał się ale nie dojrzał nikogo. Tylko mgły nad łąką wzbijały się w górę wydłużonymi tumanami i wyglądały jak korowód dusz płynących w niebo na sąd.

Chłopcu ścisnęło się serce. Wyciągnął chude rączny w stronę rzeki, potem zarzucił je sobie na głowę i szlochał głośno, tak głośno, że usłyszał go proboszcz, który odmawiał w ogrodzie wieczorne pacierze.

— Co ci to, Stefku, czego płaczesz?

Nie odpowiadał, bo nie stała mu się przecież żadna krzywda. Zawstydzony, zakrył twarz rękami ale targały nim łkania i łzy spadały przez palce sieroty.

Proboszcz patrzył z współczuciem na dziecko i czekał.

— Smutno ci? — zapytał łagodnym głosem.

— Och, jak smutno, jak smutno! — zawołał Stefek, zrywając się z ziemi. Jego energiczna natura odniosła i teraz zwycięstwo nad beznadziejnymi lamentami. Chciał zabić gorycz, dławiając mu gardło, myślał, że ją wygra fujarką, ale kiedy to nie pomaga pójdzie w świat. Nie wie gdzie pójdzie, ale pójdzie. Zrobi coś takiego, czego dotąd nie zrobił nikt.

— Czemu ci smutno pytał proboszcz?

Chłopak nie płakał już, zmarszczył brwi i patrzył ponuro przed siebie.

— Bo nie mam matki, ani nikogo, bom znajda — odpowiedział po chwili.

Ciepły wiatr zwał mgły. Na niebie zaczęły błyskać pierwsze gwiazdy. Od łąk dalekich, od jezior, od lasu dołatywały echa budzącej się z wiosną natury. Nigdy świat nie miał uroczystszej i słodszej godziny.

— Nie masz nikogo, nie masz matki? — mówił proboszcz stając obok Stefana. Masz Matkę wszystkich matek w niebie. Ufaj Częstochowskiej Pani, bo Jej opieka uratowała cię od śmierci na mrozie. A teraz patrz na ziemię wokoło nas, czyż to nie matka? Czujesz jak idzie od niej do serca słodycz i siła, ona matka karmicielka, kochaj ją. W tej ziemi śpią ci wszyscy wielcy święci, o których uczyłem was: święty Wojciech, święta Jadwiga, święty Kazimierz. Pracuj dla niej, bądź jej chwałą. Widzisz te światła za rzeką? Tam miasto, tam żyją ludzie, a czyż nie mówię wam codzień, że każdy człowiek brat? Kochaj twych braci bliźnich, kochaj sieroty, z którymi rośniesz razem.

— Kiedy mnie przeżywają znajda.

— To co, żeś znajda? — oburzył się ksiądz. — Alboż dusza twoja nie z Boga poczęta jak inne? Alboż Bóg nie dał ci zdrowia, siły, zdolności? Alboż twój dziadowie, kołwiesi oni byli, nie pracowali na tej ziemi, nie lali za nią potu lub krwi? Człowiekiem, chrześcijaninem i Polakiem jesteś, małoś ci tego. Pracuj, a ludzie szanować będą nazwisko Stefan Luty. Bóg pomoże, tylko zasłuż.

Chłopcu świeciły oczy zapałem; ucałował rękę proboszcza.

— Przychodź do mnie po książki, a gdy ci smutno patrz w niebo, tam Matka, i patrz na ziemię, tu bracia.

Taką była owa pamiętna w życiu sieroty rozmowa. Stefan Luty skończył w rok potem szkołę elementarną. Szkół Niemcy mają dużo i każde dziecko musi tam chodzić do szkoły. Dostał nagrodę, poczem Węgrbek zapisał go na ucznia w warsztacie ślósarskim Jana Kolarza.

Rozdział III.

Adamek. — Klótnia. — Obelga. — Nie zostanie w Wągrówcu. — Nad jeziorem. — Dzwony. — Ziemia karmicielka. — Pożegnanie z Marysią. — W świat!

— Mówię ci, połóż dłutko, bo psujesz zawiase.

— Nie położę. Jaki mądry! Cóż to, czyś ty czeladnik, żeby przewodzić.

— Majster kazał mi pilnować twojej roboty.
— Majster to majster, a tobie nic do mnie i ani mi się waży wtrącać. Ze stary pochwalił ci okucie, to już myślisz przewodzić.

— A czemuż się nie przyłożysz? Byłby z ciebie dobry ślusarz, gdyby nie piwo u Kunkla.

— Piwo mi wymawiasz? Postawiłeś to kiedy choć dwa kufle jak uczciwy kolega.

— Nie chodzę do Kunkla, bo wolę się uczyć.

— Ha, ha, ha! powiedz głupiemu niech ci uwierzy, wiedzą ludzie dlaczego unikasz kolegów.

Oczy Stefana błysły ogniem.

— Unikam kolegów? A czy ukradłem co komu, żebym nie miał prawa bawić się z towarzyszami?

— Wiedziałby, jak gadać ten, coby chciał gadać — mruknął Adamek, uczeń w ślósarskim warsztacie Jana Kolarza.

— Gadaj więc, pókim dobry, bo...

— Bo co, panie hrabio? Może się obrazisz i gniewać będziesz? Jaki mi dumny, a ma też z czego... Znajda...

Stefek rzucił robotę i porwał Adamka za kark. Luty był rozrośnięty i nad wiek silny, trząsł też chłopakiem jak nędznym pomiotłem. Z poza zaciśniętych zębów wyrzywał mu się pojedyncze wyrazy.

— Popamiętasz znajde, próżniak, darmozjad, on będzie mi wymyślał.

Cisnął Adamkiem o tokarnię i wybiegł z izby. Szedł nie myśląc gdzie ani po co idzie. Aby dalej, aby przed siebie. Wiedział tylko jedno, że nie zostanie w Wągrówcu. Cztery lata pracował już u Kolarza, a ludzie nie zapomnieli mu dotąd jego pochodzenia i straganiarki wymyślały po dawnemu na znajde, chociaż majster chwalił jego pilność.

Poczucie własnej godności obudzone w chłopcu dopominało się uznania i miał je też Stefek u proboszcza i u swego zwierzchnika. Dlaczego więc prześladowały go złe kobiety lub chłopcy rozpustni, którzy rzucali w twarz Stefana obelżywą nazwę znajdy? Karać się powinno występki a nie nieszczęście. Za czyje winy cierpiał Luty upokorzenie?

Nie za swoje, nie za rodziców nawet, bo ich nie znał. Winni tu mogli być tylko źli ludzie, którzy porwali dziecko z niewiadomych nikomu powodów. Z chciwości może, lub zemsty?

Ale ci winni uszli bezkarnie, a ofiara ich rabunku cierpiała niezasłużenie. Czyż mało nieszczęścia w sieroctwie? Nie znać matki, jej pieczyoty, jej wyrozumiałości. Nie móż z dumą wskazać na kochanego ojca, który rządzi rodziną niby król dobry a sprawiedliwy.

Stefka nikt nie tulił do piersi, nie należał on do nikogo. Był jak liść oderwany od drzewa, liściem pomiatałada wicher, a on nie wie gdzie konar, od którego go odart.

Pozwólcież liściowi spocząć wśród innych na wspólnej miedzy. Nie kopnijcie go nogą. Niech czuje, że leży na łonie matki karmicielki, matki, którą każdy swoją matką nazwać ma prawo.

Żli, bo bezmyślni ludzie spędzali szyderstwem sierotę z dobroczynnego łona rodzinnej ziemi, a Stefan Luty kochał tę ziemię Wielkopolską, jej równiny, jej jeziora, śpiew jej ptaków, szum lasów, echa pieśni. A im silniej budziło się w nim serce, im więcej cenił otaczający go bezpośrednio świat, tem więcej myślał o tej drugiej, o tej rodzinnej matce, którą mu wydarto.

Ona to zapewne włożyła na szyję dziecka medalik z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. Medalik był srebrny, podobny do tysiąca tych, które codziennie sprzedają na Jasnej Górze. Nie mógł on naprowadzić na żaden ślad, ale dla Stefka stanowił drogą pamiątkę. O tem żeby świętość włożyć na niego miały obce ręce, nie myślał nigdy, byłby przysiągł owszem, że pieczyota i błogosła-

wieństwo matki spoczęły na jego głowie z chwilą włożenia mu medalika.

Raz, a działo się to przed rokiem, spostrzegła Marysia czerwone znamię, które Stefek miał na szyi. Chłopiec podniósł kołnierz kurtki i zasłonił kark, bo bał się żartów małej. Stała chwilę zadumana, a potem kiwnęła rączką jak ktoś, kto rozumie już, o co chodzi.

— Pewnie twoja mama pocałowała cię tak mocno i na zawsze — powiedziała odchodząc do swoich zajęć.

— Pocałowała na zawsze — powtórzył za dziewczynką Stefan i odtąd jeszcze więcej kochał Marysię.

Dwa lata spędzone w warsztacie ślósarza wyrobiły w Lutym nietylko siły fizyczne ale poczucie własnej wartości. Wiedział, że potrafi zapracować na siebie. Nie był już darmozjadem jak dawniej mawiała Werębkowa. Czuł się nawet szczęśliwym, bo z natury wesoły, łatwo zapominał o złem. Żeby tylko ludzie przestali wyrzucać mu jego nieznanne pochodzenie.

Ale ludzie są czysto bezmyślni a przez to okrutni, kłodzi z warsztatu zwłaszcza, im większy próżniak tem bardziej, taki Adamek na przykład, który gwoźdźnia porządnie wykuć nie potrafi wymyśla najczęściej.

Stefek tyle razy kłócił się z nim, tyle razy groził nic nie pomogło. Chciał już w zimie iść na skargę do proboszcza, lecz proboszcz chory od roku, ludzie mówią, że nie pożyje długo, jakże go martwić.

Dziś wymierzył sobie sam sprawiedliwość, zbił Adamka na kwaśne jabłko, a teraz pójdzie w świat. Pójdzie do Poznania, tam nikt wiedzieć nie będzie o jego pochodzeniu. Wróci do Wągrówca w tedy dopiero, kiedy stanie o własnych siłach, kiedy Stefana Lutego szanować będzie musiał każdy, może cały kraj.

Tak mu mawiał proboszcz, a on zapamiętał jego słowa, proboszcz wyjechał na kurację do Karlsbadu.

— Może i lepiej — myślał Stefan, idąc przez miasto — nikt wiedzieć nie będzie gdzie się podział.

Te parę talarów, które zarobił u majstra wystarczą na drogę. Miał je w kieszeni nie zajdzie więc już do warsztatu. Werębków chciałby pożegnać, ale gotowi zatrzymać. Czy zresztą dbają o niego? Organiście podziękowałyby chętnie za opiekę, jeśli jednak Werębkowa zacznie wypominać pieniądze, które miasto płaciło na wychowanie znajdy, woli nie iść do Werębków.

(d. c. n.)

PIĘCIOMINUTKA.

Nowa gra towarzyska

ułożył *Wieczór Rodzinny*.

Nowa gra! posłuchajcie, ułożyłem grę, która niepotrzebuje przyrządów ani przygotowań, łączy dowolną ilość osób, wreszcie nietylko służy za rozrywkę, lecz ćwiczy pamięć i ułatwia szybkie przypomnienie nazw i przedmiotów z rozmaitych dziedzin. Nazwałem ją — pięciominutką. Do gry tej są potrzebne: zegarek, kartki z literami alfabetu do wyciągania na los szczęścia, papier pióra lub ołówki.

Każda rozgrywka trwa pięć minut; pięć rozgrywek tworzą jedną partję, a do każdej partji należy wybrać prezesa lub prezesowę, którzy nie biorą udziału w danej partji, lecz wyciągają literę, ogłaszają czas i rozstrzygają wszelkie nieporozumienia.

Po wyborze prezesa trzeba postanowić większość głosów, w jakiej dziedzinie ma być rozegrana dana partja: geografii, historii, literatury, sztuki, nauk przyrodniczych i t. d.

Przypuśćmy dla przykładu, że wybrano geografie a z dziedziny tej nauki — rzeki europejskie.

Każdy z grających bierze kartkę papieru, pisze na niej swoje imię i oczekuje hasła prezesa, który kładzie zegarek przed sobą i powiada: *Wybraliśmy rzeki europejskie, baczność, wciągnijmy literę!* Poczem wyciąga literę, naprzykład W, oznajmia ją głośno wraz z godziną rozpoczęcia rozgrywki. (np 10 minut po 8-cj).

Wówczas każdy z grających powinien wypisać na swojej kartce jak największą ilość rzek europejskich, zaczynających się od litery W, a czem więcej ich sobie przypomni, tem większą ma szansę wygrania.

Po upływie pięciu minut prezes woła: *koniec!* poczem zaczyna się odczytywanie w porządku wskazanym przez prezesa. Pierwszy z kolei odczytuje napisane przez siebie rzeki, a wszyscy muszą na swoich kartkach wykreślić odczytaną rzekę, jeżeli ją napisali mówiąc przytem głośno: *jest!* Jeżeli np. będzie to Wisła, wszyscy którzy ją napisali wykreślają u siebie tę nazwę; czytający wykreśla ją także, jeżeli choć jeden z grających zawołał: *jest!* Potem drugi z kolei odczytuje swoje rzeki, z wyjątkiem już wykreślonych i tak dalej aż do końca, tak, iż na wszystkich kartkach zostaną tylko te nazwy rzek, o których piszący sam jeden z całego grona pamiętał.

Kartki oddają się następnie prezesowi, który zapisuje każdemu ilość wygranych punktów, odpowiednią do ilości niewykreślonych nazw.

Kto napisze błędną nazwę, np. rzekę, znajdującą się w innej części świata lub nie istniejącą wcale składa fant lub płaci jakąś umówioną karę do puli (jeżeli jest pula ogólna z cukierkami, orzechami, i t. p.) i nazwa ta ulega naturalnie wykreśleniu.

Po pierwszej rozgrywce prezes wyciąga nową literę i dalsze rozgrywki odbywają się w ten sam sposób aż do ukończenia partyi. Kto ma najwięcej punktów z całej partyi dostaje tytuł mistrza półminutki z danej dziedziny, zabiera pulę jeżeli była, lub otrzymuje jakieś inne obmyślane według woli grających odznaczenie.

Geografia daje nam mnóstwo tematów do pięciominutki, np. góry, morza przyładki, miasta, stacje kolejowe lub pocztowe i t. d. w danym kraju lub części świata. Pamiętać tylko trzeba, że czem zakres jest ściślejszy, tem gra robi się trudniejsza; łatwiej przypomnieć sobie pewną ilość rzek, zaczynających się od litery A, na całym świecie, niż w jednej części świata lub jednym tylko kraju. To samo stosuje się i do innych dziedzin.

Z historii powszechnej możemy wyznaczać temata w taki sposób: Znakomitsi mężowie starożytnej Grecyi, albo z wieku XVI-ego w danym kraju, albo wynalazki XIX wieku i t. p.

Z literatury: pisarze z takiego a takiego wieku albo tytuły dzieł, albo osoby z pism Mickiewicza, Sienkiewicza i innych autorów.

Widzimy więc, że kopalnia tematów do pięciominutki jest niewyczerpana i można je w rozmaity sposób zadawać zastosowując do stopnia wykształcenia i umiejętności grających. W tem leży właśnie jedna z jej stron dodatnich.

Kończę ten opis wyrażeniem nadziei, że moja „Pięciominutka” zyska wśród czytelników „Wieczorów Rodziny” życzliwe przyjęcie i powodzenie.

S Z A R A D A.

Komu się gnieździ *drugie trzecie* w duszy
Temu niemile *czwarte* wpada w uszy.
A *pierwsze*, którzy odgadnąć to chcecie,
Zważcie i wiedźcie, że *wszystko* na świecie,
Oznacza czynność, a sens ma dwojaki:
Bo raz utrwała zwierzęta i ptaki,
To znów gwałtowne bywa i niemile,
Gdyż trzeba przy niem użyć i mieć siłę.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

p. W. F.

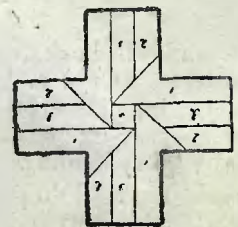
Z następujących sylab: a—aa—cier—cier—i—la—li—lat—lotr—mierz—pia—pi—sa—ska—strys—to—twę—wiec—węc—zo—zy—ułożyć 9 wyrazów, których pierwsze i ostatnie litery złożą dawne przysłowie. Znaczenie wyrazów: 1) Owad wydzielający użyteczny barwnik. 2) Miasto gubernialne. 3) Miasto w Belgii. 4) Grecka nazwa króla egipskiego Ramzesa 5) Urzędnik rzymski w Judei. 6) Nikczemny człowiek. 7) Półwysep półn. Ameryki. 8) Miesiąc w roku. 9) Rzeka w Azji.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 1.

Szarady: Ka — len — da — rze.

Łamigłówni

geometrycznej:



PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus w Egipcie ryc. — Zimą, wiersz przez T. Prażmowską. — Wspomnienie pani Łowczyńny, o Elżbiecie z Kowalskich Drużbackiej, przez Sewerynę Duchnińską. — Obrazek historyczny p. Z. M. (z ryc.) — Starsza siostra, wiersz (z ryc.) — Jak się uczyć, przez Iżę Moszczeńską. — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Pięciominutka, nowa gra towarzyska, ułożył Wieczór Rodzinny: — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Skaczące słonie (z ryc.) — Z księgi przysłów, wiersz p. Lacha. — Pogadanka naukowa (Ciepło) Z. K. — Paliwoda. — Król migdałowy i królowa, komedijka w jednym akcie. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dworzani królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwige.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Довольно Цензурою. Варшава 31 Декабря 1901 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



B. Dyakowski.

Wężę.

I. Wężę w podaniach u różnych ludów.

Wężę należą do stworzeń powszechnie nielubianych. Składa się na to wiele przyczyn: ich postać długa i cienka; skóra zimna w dotknięciu; niemily, sztywny wzrok; ruchy, czołgające się

i prześlizgujące; trudność ujęcia i utrzymania tych stworzeń w ręku — wszystko to wzbudza nieufność i odrazę do węży. Niechęć do nich zwiększa się jeszcze przez to, że znaczna ich ilość należy do zwierząt jadowitych, których ukąszenie bywa częstokroć śmiertelne. Własność tę z niektórych węży przenosi się na wszystkie, bo wszystkie mają zachowanie się i postać jednakową, tak dalece, że nawet uczeni, zajmujący się badaniem tych stworzeń, nie zawsze mogą od razu przewidzieć, czy mają do czynienia z gatunkiem jadowitym, czy też z nieszkodliwym.

I oto dzięki temu wąż stał się uosobieniem stworzenia złośliwego i podstępного, które skrada się do ofiary

zwinne, a płaszcącami się „wężowemi” ruchami lub magnetyzuje ją zimnym, szklistym i nieruchomym „wężowym” wzrokiem, aby następnie pozbawić życia jadowitem ukąszeniem. Płaszczenie się i fałszywość, chytrych i przebiegłość w połączeniu z nieczułością i okrucieństwem złożyły się na ten obraz wzbudzający odrazę i pogardę dla węży. Stały się one powszechnie przedstawicielami różnych wad; ogłoszono je za stworzenia zimne i nieczule, pozbawione najzupełniej uczucia wdzięczności i przywiązania, odpłacające stale złem za dobre.

Któż nie zna bajki o chłopie, który, znalazłszy w zimie na pół zmarłego węża, zlitował się nad nim i ogrzał go w zanadrzu; wąż, zaś obudzony przezeń do życia, ukąsił go i zabił swoim jadem.

Opowieść ta sięga jeszcze czasów greckich i rzymskich; powtarza się jednak u wszystkich prawie ludów Europy. I u nas znalazła wyraz w przysłowiu „nie trzeba węża w zanadrzu chować.”

Wskazuje to wyraźnie, jak oddawna i jak złą opinię mają ludzie o wężach, tem bardziej, że taki sam pogląd znajdujemy i w wielu innych podaniach, dotyczących się tych zwierząt. Zwłaszcza czarno je przedstawiają różne ludy strefy zwrotnikowej, obfitującej w węże jadowite, które porządnie dają się we znaki tamtejszym mieszkańcom.

Wężę takie nie tylko budzą wstręt i odrazę, lecz się ją jednocześnie obawę i przestach. Z tego powodu u wielu ludów stały się one przedmiotem grozy, uosobieniem złych a potężnych i niebezpiecznych sił, których łaskę należy sobie zaskarbić, jeżeli chcemy, żeby nam one nie szkodziły. W niektórych miejscowościach Afryki i Azji zabicie węża uważa się za rzecz nadzwyczaj niebezpieczną, mogącąściągnąć nieszczęścia na tego, który odważy się na tak zuchwały postępek. Indusi mniemają, że zamordowanie węża jadowitego, który kogoś ukąsił, pociąga za sobą niechybnie śmierć ukąszonego.

Bujna wyobraźnia, podniecona obawą, przypisała wężom moc czarodziejską, a postać ich zmieniła do niepoznania. W baśniach i podaniach pilnują one często skarbów, ale w niczem nie są podobne do prawdziwych węży: głowę ich zdobi złota korona; z grzbietu wyrastają potężne skrzydła; mają one nogi, a częstokroć i ręce, w których dzierżą oręż dla ukarania śmiałków, zbliżających się do zaklętych skarbów... Słowem: niczem nie przypominają rzeczywistych węży, chyba jedynie grozą,

W obawie, wzbudzonej przez węże, ma źródło cześć religijna, które one odbierają u wielu ludów pogańskich, zwłaszcza między zwrotnikami. Azja mianowicie jest kolebką kultu węży, który tam był rozpowszechniony już w odległej starożytności; a i dziś jeszcze można go widzieć w niektórych krajach. Ale i poza obrębem Azji nie jest on zjawiskiem rzadkiem. Cześć wężom oddają liczne ludy z pośród Murzynów afrykańskich; u mieszkańców Melanezyi cieszą się one większym szacunkiem, niż jakiekolwiek inne zwierzęta.

Łatwo pojąć, że w takich krajach nikt nie ośmieli się myśleć o zabijaniu węży, nawet pomimo szkód, przez nie zrządzanych. Jadowitość tych stworzeń, niebezpieczeństwo, którem grożą — stają się dla nich środkiem obrony, zabezpieczającym je od wszelkich prześladowań ze strony ludzi. Opinia złych i przewrotnych stworzeń wychodzi im w tym razie na dobre.

Trzeba jednak przyznać, że nie u wszystkich ludów zyskały one tak złą opinię, nie wszędzie stały się uosobieniem najgorszych pierwiastków i wad. Zwłaszcza w krajach umiarkowanych, gdzie węży jadowitych znajduje się niewiele, ludzie zwrócili uwagę i na dobre strony tych stworzeń, a w wielu miejscach nawiązali nawet z nimi przyjazne stosunki.

Spokojne i oziębiające zachowanie się większości węży, któremu zawdzięczają opinię zimnych i nieczułych stworzeń, znalazły uznanie u niektórych ludów. Etruskowie (lud w starożytnych Włoszech) uważali je za godło spokojnego i przyjacielskiego pierwiastku, oraz łagodności. W innych krajach z tego samego powodu stały się symbolem mądrości i roztropności.

Taką samą dobrą opinią cieszyły się węże na Litwie pogańskiej. Były tam one poświęcone bożkowi Atrympos czyli Potrymbos, którego znamię było naczynie napełnione wodą i nakryte snopem zboża, a służące za mieszkanie dla węża wodnego. Oprócz tego węże zamieszkiwały dziury u podnóża dębów w gajach świętych i wogóle były mile widziane przez każdego Litwina, koło którego domu obierały sobie siedlisko. Karmiono je i pojono jak domowe zwierzęta, obchodzono się z nimi przyjacielsko, a zabicie węża uważano za grzech.

Żeby dać pojęcie o poufałym stosunku, jaki istniał tam między węzami i ludźmi, podajemy następujący wyjątek z powieści jednego z naszych pisarzy historycznych (Bernartowicz), opowiadającego o przyjęciu podróżnych w chacie Litwina z czasów pogańskich:

„Gospodyni domu zajęła się przygotowaniem śniadania. Zastawiono stół lipowy ciepłym mlekiem, masłem, jajami i prażonym grochem. Zaledwie podróżni do posilania się wzięli, gdy na dźwięk statków i naczyń stołowych, wyłazić zaczęły z nor swoich karmione węże i czołgając się poważnie, gromadziły się około stołu.

Byłaby to osobliwość niebardzo przyjemna dla cudzoziemca, nieobeznanego z narodowymi zwyczajami, ale nasi podróżni, wiedzieli dobrze z nauki wiary, że węże, Giwajtos zwane, w każdym domu pobożnym starannie są pielęgnowane, i że ich liczba i dobry byt jest miarą bogobojności gospodarza; nie okazali więc ani podziwienia, ani odrazy.

Oswojone węże, hurmem wczółgawszy się na stół, zazierając do mis i czarek, chwytaly bezkarnie przed gośćmi posiłek. Widok ten, jakkolwiek dziwny, nie był zupełnie odrażający. Srebrno nakrapiany wąż, zgrabnie toczący swoje pierścienie, poufały a nie złośliwy, czemużby miał być nienawidzony? Gospodarz, patrząc z upodobaniem na czołgający się swój dobytek, opowiadał historię każdego węża, tłumaczył związki pokrewne, okazywał, który jest roczniakiem, dwuroczniakiem i tak dalej.

„Dziwiła Trojdana *) śmiałość Pojaty, która z niemi pieszcząc się pobożnie, ręką je własną karmiła i pochwałała gospodyni staranność, że je w tak dobrym utrzymuje stanie. Musiał i Trojdan, naśladowując innych, zadać się z gadem cokolwiek. Szczęściem dla niego, że Giwajty, wkrótce się najadłszy, popełzły do swych legowisk pod piec, ławy i kąty.”

Po zaprowadzeniu wiary chrześcijańskiej, węże przestały odbierać cześć boską na Litwie; tem niemniej jednak przyjazne uczucie dla tych stworzeń i przyjacielski stosunek z niemi zachował się jeszcze i dzisiaj, jak o tem mówi Wincenty Pol:

Przy łuczywie u komina
Przędzie miękki len drużyna;
A w pobliżu działwy zdrowej
Toczy kołem wąż domowy.

Istotnie, w bardzo wielu miejscach u nas lud karmi węże i dzisiaj. Pełzają one bez przeszkód po izbie i zaglądają do misek, z których jedzą dzieci, siedząc na ziemi. Co prawda, są to wszystko zupełnie nieszkodliwe i niejadłowe węże wodne, łagodne z natury i nie grożące najmniejszym niebezpieczeństwem.

Przyjazny stosunek z węzami istnieje także w niektórych innych krajach Europy. W Sardynii wąż jest zwiastunem szczęścia i ukazanie się jego w chacie wieśniaka lub szalaśie pasterza, uważane bywa za zapowiedź pomyślności. Nikt by się tam nie ośmielił witać wrogo takiego gościa! Co więcej, w niektórych miejscowościach kobiety wiejskie mają zwyczaj karmić węży, zanosząc im codziennie żywność i umieszczając takową u wejścia do dziur i jaskiń, zamieszkałych przez te zwierzęta.

Postać węża, budząca w ogóle wstręt i odrazę dla tych stworzeń, znalazła jednak także uznanie u niektórych ludów. Wąż umie zwinąć się w kłębek w taki sposób, że ogon i głowa znikają zupełnie wśród licznych skrętów ciała i zwierzę zdaje się nie mieć początku ani końca. U Indusów i Egipcyan stał się on wskutek tego godłem nieskończoności i czasu.

(d. c. n.)



*) Trojdan i Pojata — imiona podróżnych. Pojata była Litwinką, Trojdan — Polakiem i dla tego nie oswojonym z węzami.

Wspomnienia Pani Łowczyny.

O ELŻBIECIE Z KOWALSKICH PRUŻBACKIEJ,

przez

Sewerynę Duchinińską.

(Dalszy ciąg).

— Kto wie — odrzekła — sroczka skrzeczy na płocie, może Marcinek zawita dziś do domu. Toż widziałam go we śnie.

— Dałby to Bóg — odparł ojciec — wszystko w mocy Bożej i z uśmiechem pogłaskał ją po głowie.

Słońce poczęło chylić się do zachodu, zasiedliśmy jak zwykle pod lipą. Młodsze dziewczki przyniosły wielką misę zsiadłego mleka na podwieczorek; przysłała i chorążyna.

Elżunię coraz więcej ogarniał niepokój, raz po raz wybiegała za wrota. Ilekróć pies zaszczeakał lub wiatr poruszył liśćmi, rumieniec występował na jej lica.

Zegar wykukał szóstą, kiedy zdaleka zaturkotało coś na drodze; słuchamy pilnie; turkot coraz to bliższy. Wreszcie ukazuje się wózek, zaprzężony w parę koni, skręca w podwórkę. Na wózku pokrytym kobiercem siedzą dwaj towarzysze w wojskowych mundurach, szabla błyszczy na słońcu.

— Marcinek! Marcinek! — woła Elżunia, wszyscy zrywają się z miejsca, wybiegają ku wrotom, gdzie wózek się zatrzymał.

Był to w rzeczy samej Marcin, blady, dziwnie zmieniony. Towarzysz wyskoczył pierwszy i ostrożnie podaje mu ramię.

Drżący Marcin, obejmuje nogi rodzicielskie.

— Dzięki Bogu, jam żywy! — rzecze — ale źle było ze mną. Oto pocciwy mój towarzysz, Kazimierz Drużbacki, on mnie pielęgnował jak brata i dowiózł szczęśliwie do domu.

Radosne było powitanie. Rodzice uściśniły pana Kazimierza, jak rodzonego syna. Zasiedliśmy wszyscy pod lipą. Tu dopiero wyjawilo się długie milczenie Marcina. Kula samopalaowa przestrzeliła mu ramię, naruszyła cokolwiek płuca. Stąd wywiązała się niebezpieczna choroba; lekarz regimentowy powątpiewał nawet o życiu. Trzy miesiące biedny Marcin przeleżał w łazarecie. Kazimierz nie opuszczał go na chwilę; uwolnił się nawet od służby, aby pielęgnować przyjaciela. Nastąpiło wreszcie przesilenie, choroba ustępowała zwolna, Marcin jednak nie pisał do rodziców, by nie nabawić ich próżnej trwogi, obiecując sobie, jak mu siły wróca, pośpieszyć do nich na wypoczynek. Kazimierz przyrzekł mu towarzyszyć.

Długo trwały pytania i odpowiedzi; słońce tymczasem zaszło, podano wieczerzę. Uważałam, że pan Kazimierz spogląda raz po raz na Elżunię, kiedy przypadkiem spotkały się ich oczy, ona płoneła jak różyczka; udawałam, że tego nie widzę.

Wesoło było w Kowalewie. Marcin wkrótce odzyskał krzepkie zdrowie, nie chciał jednak słyszeć o wyjeździe Kazimierza, z czem się i ten nie bardzo kwapił. Dobrze mu było w gościnnym domu chorążostwa, serce jego widocznie lgnęło do Elżuni, a i ona poglądała nań chętnem okiem. Dowiedziałam się później, że pan Marcin jakkolwiek miał dosyć siły, by samemu puścić się w drogę, rad był serdecznie, że pan Kazimierz postanowił mu towarzyszyć. Kochał on szczerze przyjaciela; pragnął zbliżyć go do Elżuni; przecucie mówiło mu, iż spotkanie to wpłynie na dalszy bieg ich życia. Jakoż wcale się nie omylił. Pan Kazimierz pozostał kilka tygodni w domu chorążostwa. Dorodny to

był młodzian, z włosiem czarnym jak krucze pióro, z cerą smagłą i pełnym zapału okiem. Matkę utracił wcześniej, miał lat szesnaście gdy umarła; pamięć jej zachował głęboko w sercu, a dobry ojciec wychowywał go z macierzyńską troskliwością. Miły w obejściu, wszystkich sobie zniewolił w Kowalewie. Przed odjazdem wyznał chęci swoje Marciniowi, prosił go, by zbadał rodziców, czy pozwolą mu, przybyć po żniwach z ojcem i poprosić o rękę siostry. Chorążostwo przystało najchętniej; Elżunia nic nie wiedziała o tych układach, ale skłonność jej nie była tajemnicą dla serca dobrej matki.

Minęły żniwa. W ostatnich dniach września przybyli z Halicza mili goście. Skarbnik Drużbacki z rumianą cerą, włosiem szpakowatym do góry podniesionym, żarliwy zwolennik króla Stanisława, przypadł do serca chorążemu. Zaledwie upłynął tydzień, oświadczył syna o rękę Elżuni. Przyzwana do rodziców, chętnie zgodziła się z ich wolą — niezwłocznie nastąpiły zaręczyny.

Z powodu wielkiej odległości, stanęło na tem, że skarbnik pozostanie kilka tygodni w Kowalewie, gdzie ślub młodej pary odbędzie się przed adwentem. I tak się też stało. Z wyprawą Elżuni niewiele było korowodu. Przeworna matka wszystko pomału przysposobiła. Nim Elżunia wróciła z dworu wojewodziny, już stopy bielizny leżały na półkach w wielkiej szafie. Po jubki i kożuchy chorążyna wyjechała z córką do Poznania — zabawiła tam ledwie dni kilka.

Wnet przyszedł dzień zaślubin. Słońko listopadowe jasno wybiegło z poza chmury, przyświecało jakby na wiosnę; wszyscy wróżyli szczęście nowożeńcom. Śliczna była moja Elżunia, w białej, drojetowej sukience, w wianku rozmarynowym, który jako druchna przypięłam jej nad czołem. Radość odbijała na jej licu, nie obyło się jednak bez łez, kiedy oboje z narzeczonym upadli do nóg rodzicielskich, a oni nakreślili krzyżyk nad pochylonemi ich głowami i wyrzekli słowa błogosławieństwa. Zapłakała również Elżunia przed ołtarzem, gdy pleban związał stulą jej rękę z ręką oblubieńca. Łzy te oschły niebawem; zaczęli zjechać się sąsiedzi z bliższej i dalszej okolicy. Prawdziweż to było wesele. Zwieziono z Poznania skrzypka i basetlistę; tańce przeciągnęły się do rana.

W tydzień potem, państwo młodzi wyruszyli ze skarbnikiem do ziemi przemyskiej. Dobry ojciec przed wyjazdem odnowił stary dwór we wsi Krzemieniu nad Wisłoką, gdzie miał razem z nimi zamieszkać. Elżunia całem sercem kochała męża, jednak żal jej było opuszczać rodzinne swe gniazdo, obeszła wszystkie kąty, podwórkę i ogródek. Czeladka uściśkała jej nogi; niewiasty zbiegły się z całej wioski, żegnały ją, powtarzały *szczęść Boże!*

Byłam z rodzicami obecną przy tem pożegnaniu, nigdy go nie zapomnę. Po błogosławieństwie rodzicielskiem, Elżunia zapłakana wbiegła co żywo do krytej kolasy; ojciec i mąż zasiedli przy niej, koła zaturkotały. Dom w Kowalewie dziwnie nam opustoszał.

* * *

Owóz i po weselu. Te gody złotemi literami zapisały się w życiu mojem. Opuszczę na chwilę Elżunię, a opowiem też słowko o sobie. W sąsiedztwie naszym mieszkala stolnikowa Koziebrodzka, zacna i poważna matrona. Miała ona młodszego brata, osiadłego w ziemi kaliskiej. Był to wdowiec bezdzietny, miał lat czterdzieści z górą, nosił tytuł łowczego. Zdarzyło się, że na kilka dni przed weselem Elżuni przybył w odwiedziny do siostry. Chorąży spotykał go niekiedy na sejmikach i zjazdach, zaprosił go tu na gody ze stolnikostwem. Sama już nie wiem jak to się stało, dość, że wpadłam w oczy łowczemu. Stolnikowa dalejże w namowy i swaty. Skończyło się na tem, że po Nowym Roku, oświadczyła chęć brata rodzicom moim, a w sobotę zapustną stanęliśmy oboje przed ołtarzem.

Mąż mój po ukończeniu nauk, spędził lat kilka na dworze króla Jana, niemałej tam nabył oglady. Potem

osiadł w dziedzicznej wiosce nad Prosną. Pojął za żonę młodzieńką panienkę, ale przeżył z nią tylko rok jeden. Szczery Wielkopolek nie rad był z obioru Augusta, a kiedy się w kraju zawichrzyło, stanął po stronie Leszczyńskiego, zaciągnął się pod chorągiew i nie opuścił służby, póki nie obrano królem naszego Piasta.

Mogłam pochłubić się mężem moim: człowiek to był światły i uczony, kto go poznał musiał go ukochać. Unikał hucznych zabaw, zajmował się skrzętnie gospodarstwem, jedną miał tylko wadę, jeśli to wadą nazwać można, lubił zapamiętałe łowy. Żadna obława na dziki czy niedźwiedzie, nie obyla się bez jego udziału. Godnie też, jak mówili sąsiedzi, nosił tytuł łowczego. Mnie upodobanie to nie bardzo przypadało do smaku, drżałam nieraz kiedy się puszczał w gęste bory Mazowsza.

— Oj te łowy — mawiałam przy pożegnaniu. — Jęgomosć doczeka się biedy.

— Nie trwóż się, moja panno — odpowiadał na to — jam przecie nie dzieciak, z niejednym niedźwiedziem brałem się za bary, a żaden nie dotknął skóry mojej.

Gdyby nie obawa o męża, nicby mi do szczęścia domowego nie brakło, ale nie szukam na świecie zupełnej pomyślności. Ubiegło lat parę, aż oto nadbiega wieść, że król szwedzki pokonany pod Połtawą, ledwie że ubiegł z życiem; król Stanisław musiał ustąpić z tronu, miejsce jego zajął August II-gi. Chorąży przepłacił to ciężką chorobą, nie mało też przeboleł mój ojciec.

Pocziwy pan Kazimierz, wówczas już mianowany skarbnikiem żydaczewskim, aby złagodzić troski chorążego, przywiózł do Kowalewa Elżunię i dwuletnią córeczkę. Małeńka Urszulka, śliczna, istny aniołek, ożywiła nieraz smutne progi chorążostwa. Nie było jednak dawnego życia w tym domu, wszyscy jakoś dziwnie oświecieli, chorążemu przybyło jakie lat dziesięć: lica mu pożółkły, włosy przypruszyła siwizna.

I my z mężem przybyliśmy do Zabrzezia. Codzień widywałam moją Elżunię. Na widok Urszulki serce mi pękało na myśl, że Bóg odmówił mi takiej radości, ale trzeba było zgodzić się z Jego wolą i szukać pociechy w szczęściu drogiej towarzyski lat młodych.

Spędziliśmy wtedy z sobą niejedną słodką chwilę; razem chodziliśmy do brzoźowego lasku; Elżunia czytywała mi swoje piosenki, wyśpiewane ponad Wisłoką; zachwycalam się niemi. Nieraz i chorąży słuchał jej z upodobaniem, a czoło jego rozjaśniało się na chwilę i cera nabywała krasę. Tak zbiegło kilka tygodni wiosennych; czas mi było wracać do domu, dokąd mnie mąż wyprzekazał. Skarbnikowie pośpieszyli też na Halicz, nieco uspokojeni o rodziców.

Przeszło lat parę w ciszy i pomyślności; aż oto Bóg spuścił twardy krzyż na barki moje. Spełniły się przecucia, jakie mnie oddawna dręczyły. Zapowiedziano wielką obławę w ziemi sieradzkiej. Było to w styczniu, rzeki pozamarzały, śnieg zasłał ziemię na sążeń. Mąż puścił się w drogę, zabrał dwóch strzelców z sobą. Sen odbiegł z powiek moich. Kilka nocy nie zmrużyłam oka.

Pomnę, było to wieczorem, sanki zadzwoniły w dziedzińcu. Wybiegam niespokojna: i cóż widzę! oto strzelcy podejmują z sani, na pół bezwładnego męża, ledwie że biedny stopy wlecze. Na wskroś przejęty mrozem, czuł się już słaby podczas łowów, ale krył się z tem w obawie, aby go gwałtem nie zatrzymano; chciał koniecznie wrócić do domu.

(d. c. n.)

Jan Tadeusz ks. Lubomirski.



o nielicznego grona osób, którzy pracę swą w ciągu życia całego, poświęcili dla dobra i pożytku kraju, należy niewątpliwie J. T. ks. Lubomirski. Urodzony w październiku 1826 r. w Stanisławowie Mohylońskim z ojca ks. Eugeniusza, i matki Maryi, z hr. Czackich, córki słynnego w naszych dziejach Tadeusza Czackiego, — nauki ukończył w Petersburgu 1846. Następnym roku podróżował, mianowicie po Syberii, poczem zamieszkał w Warszawie, śledząc bacznie i rozumnie potrzeby społeczeństwa, którego był członkiem i współobywatel.

Widzimy go też stale zajętego dobrem maluczkich, najpierw jako kierownika ochron przy T. Dobroczyńności, starającego się przytem oświecać starszych umysły, zakładając czytelnie bezpłatne.

Następnie zostaje członkiem rady wychowania publicznego w Królestwie Polskim.

Wrażliwość jego na niedolę ludzką widzimy w założeniu Instytutu Oftalmicznego.

Uznaje także potrzebę podniesienia dobrobytu rzemieślników, i tworzy w tym celu spółkę zjednoczonych stolarzy, opartej na wspólnej pracy.

Zachęcona dobrym przykładem, powstaje spółka zjednoczonych krawców, zjednoczonych szewców, i wiele innych, a wszystkim przewodniczy nieustrudzony ks. Tadeusz Lubomirski.

W roku 1870, jest jednym z pierwszych uczestników Tow. Kred. miasta Warszawy, i zostaje wybranym na prezesa tegoż Towarzystwa, piastując ten urząd do dnia dzisiejszego. — Niezależnie od tego przyczynia się do rozwinięcia licznych szeregu związków, przeznaczonych do polepszenia bytu drobnego przemysłu.

Wszystko to, cośmy dotąd wymienili, nieprzeszkadza szanownemu filantropowi w badaniach naukowych, których owocem są książki: „Jurydykcyja patrymonialna w Polsce” (1862) „Ludność rolnicza w Polsce od XV—XVI wieku.” Kodeks dyplomatyczny Księstwa Mazowieckiego (1863) „Opowiadanie dla dzieci”; nadto był redaktorem i wydawcą pierwszej „Encyklopedyi Rolniczej,” oraz inicjatorem wydawnictwa „Encyklopedyi Wychowawczej.

Za tyle miłości i pracy ogół naszego społeczeństwa pragnął okazać mu wdzięczność w 50 letnią rocznicę jego działalności publicznej, lecz ks. Tadeusz wymówił się od przyjęcia obchodu głośnego. — Musiano zatem poprzestać na złożeniu mu adresu podpisanego przez kilkuset obywateli i wybijeniu złotego medalu, na którym wybito z jednej strony: podobiznę księcia, z napisem w koło „Jan Tadeusz ks. Lubomirski; 1851 — 1901.” a z drugiej: na tle symbolicznem z literą L (t. j. rzymskie 50) napis dokoła „W uznaniu półwiekowej pracy społecznej spółobywateli.”

Pamiętki te wręczono Jubilatowi. d. 25 Grudnia 1901. Wszechnica Jagiellońska jeszcze w 1900 r. przyznała mu dyplom dr. filozofii *honoris causa*.

Papież Aleksander III i Fryderyk Barbarossa.

Cesarz niemiecki Fryderyk I, zwany Barbarossa, — co znaczy rudobrody — panował od 1152 — 1190.

Robił kilkakrotnie wyprawy wojenne do północnych Włoch, celem zagarnięcia pod swoje panowanie zubożone handlem miasta lombardzkie. Z początku zwyciężał, raz nawet zmusił głodem Medyolańczyków do poddania się, w dodatku mieszkańców surowo ukarał, a miasto zburzył.

Postępek ten rozjątrzył bardzo Włochów, przeciwko cesarzowi; Medyolan prędko powstał z gruzów, i znowu stanął na czele związku miast lombardzkich Werony, Padwy, Cremony i Modeny. Papież Aleksander III połączył się z temi miastami, i rzucił na Fryderyka klątwę za gwałty i rabunki, jakich się we Włoszech dopuszczał.

Fryderyk nieustraszony, powtórnie wyruszył do Włoch, lecz tym razem szczęście go opuściło — W bitwie pod m. Legnano poniósł straszną klęskę ukorzył się i prosił o pokój. Na naszej rycinie widzimy spotkanie cesarza z papieżem w Wenecyi. Barbarossa z orszakiem swym oddaje hołd Aleksandrowi III, całując go w rękę, ten zaś udziela mu przebaczenia i błogosławieństwa. Aleksander III należy do najznakomitszych głów kościoła i patriotów włoskich; wielkich zdolności, i energii; upokorzył dumnego cesarza, który w pochodzie zwyciężkim, zamierzył podbić

Włochy. Ślady działalności papieża Aleksandra III znajdujemy i w naszej historii, — między innymi potwierdził ustawy zjazdu Łęczyckiego.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

A Marysia? Tej mu żal. Wypiastował ją na rękach i tyle razy bronił od prześladowania *tamtych*. Tamci! gdzież oni są dziś? Grzesia wziął dziadek na stajennego, dziewczyny poszły do służby, ale inni, Leon na przykład? Przepadł jak kamień w wodę, o jego wujaszku mówiono, że uciekł z Rogoźna. Uciekł posądzony o kradzież, posądzeni uciekają zwykle przed karą. Ale on, Stefan Luty, ucieka chociaż nie przywłaszczył sobie nigdy cudzego dobra. Mógł śmiało spojrzeć ludziom w oczy, a jeśli gardzili nim to on temu nie winien. Bóg, który czyta w sercach ludzkich, widzi, że chce pracować na dobre imię on — bezimienny, że



Fryderyk I Barbarossa składa hołd papieżowi Aleksandrowi III w Wenecyi w r. 1157.

chce kochać ludzi jak braci. Byle mu nie wyrzucali pochodzenia.

Zaszedł nad jezioro, obejrzał się, nikt go nie gonił, bo też nikogo nie zostawiał za sobą. Spojrzał ostatni raz na Wągrowiec. Miasto oświecone promieniami zachodzącego słońca wydało mu się bardzo piękne. Złoczyli się na tle ogrodów mury dwóch kościołów, złociła wstęga rzeki, szumiały drzewa rosnące nad szosą. Szosą pójdzie prosto przed siebie do Poznania, nie zbłądzi.

— Pójdę, co mi tam! — powtarzał raz po raz, a nie pilno było mu odchodzić.

Dusza chłopca przyrosła do okolic, które żegnał może na zawsze. Z miejsca gdzie stał obejmował wzrokiem cały Wągrowiec i wijące się wśród łąk nurty Wełny. Tędy przez kładkę biegł z organistówki nad jezioro po lilie wodne. Werębkowa biła, bo chłopak mógł się utopić, on nie zważał na bicie i rwał kwiaty, które pływają po fali jak gwiazdy spadłe z niebieskich stropów. Rwał dla proboszcza i dla Marysi.

— Mój Boże, jak tu ślicznie, — dlaczego złość ludzka wypędza mnie z Wągrowca — myślał Stefek i nadsłuchiwał, bo zdawało mu się, że zawoła ktoś za nim — wróć? Ale nie zawołał nikt na sierotę. Tylko nagle zakołysało się powietrze echem wieczornej modlitwy.

— To Betkowski dzwoni na Anioł Pański! — zawołał Stefek i zasłonił twarz rękami.

Prawdę mówił proboszcz. Z tej ziemi, z ziemi jego rodzinnej szła mu do serca słodycz i siła. Niósł ją dźwięk dzwonów, szum fali jeziora, szelest wiatru w gałęziach drzew, niosło powietrze, którem oddychał od dzieciństwa.

— Ziemia karmicielka, matka! myślał Stefek, a w tem zamigotało coś na kładce. Poznał Marysię po czerwonej chuście, którą okryła główkę. Pobiegł, porwał na ręce, uściiskał.

— Bądź zdrowa! wróć po ciebie — zawołał i, nie zważając na zdziwienie dziecka, szedł prosto szosą... w świat.

R o z d z i a ł I V .

Rogoźno. — Pan Burmistrz. — Popas w Murowanej Goślinie. — Marya Leszczyńska. — Mówca w kapocie. — Do Ameryki. — Wojciech Skiba — Jedzie.

Podróżny, jadący koleją żelazną, traci wiele dodatkowych wrażeń, gdyż mija niepostrzeżenie miejscowości o malowniczym położeniu, lub co ważniejsza, ciekawe historycznymi wspomnieniami.

— *Rogazén, drei minuten!* krzyczy konduktor, prowadzący pociąg z Wągrowca do Poznania, a w wagonie nie każdy domyśla się zapewne, że jedzie obok miasta Rogoźna sławnego śmiercią Przemysława króla Wielkopolskiego.

Może tu, może w szuwary opasujące jezioro, zawlekli zdraźcziecy Brandeburczycy skrwawione ciało bohaterzkiego księcia. Któż ma czas pomyśleć o przeszłości, kiedy lokomotywa pędzi, parskając i plując białą śliną pary.

Leci więc pociąg w dal i tylko trzciny jeziora szumią pieśnią o królu rycerzu, o smutnej królowej Ludgardzie.

Nie tak jednak bywało dawniej. Dawniej podróżny zatrzymywać musiał konie dla odpoczynku na popasach, miał więc czas zwiedzić miejsca pamiętne historycznymi wydarzeniami. Tem bardziej, kto jak Stefan Luty szedł pieszo.

Stefan spędził noc w chacie wieśniaka. Stary to obyczaj Piastowski — wędrowcowi dom i serce otwierać. Nie darmo król kołodziej z Wielkopolski pochodził, ludzie tam i dziś gościnni, jak nigdzie chyba na świecie. Kto raz łamał chleb na poznańskich równinach wyrosły, ten do śmierci pamiętać będzie jak chętnem sercem podawali mu go bracia z nad Warty.

Słońce wstało pogodnie, dzień zapowiadał się piękny. Stefan szedł rażno i nie było mu wcale smutno. Zmienił już wprawdzie jednego talara, ale ten na długo wystarczy.

Chleb czarny nie kosztuje drogo, a Bóg nalał źródła świeżą i czystą wodą, człowiek zarówno jak zwierzę czerpać z nich może do woli. O tem co będzie jutro, co będzie zwłaszcza, gdy dojdzie do Poznania, nie myślał Luty wcale. Cieszyło go, że jest wolny jak ptak, więcej jeszcze to, że czuł się równy ludziom spotykanym po drodze. Nie wiedział, kto byli, jak oni nie wiedzieli o nim nic wcale.

Czasem oglądał się w stronę Wągrowca i myślał, że kiedyś jednak wrócić tam musi. Z czem wróci? Nie wiedział, ale był pełen odwagi i dobrych chęci.

— Jest zdrow, silny, gotów podjąć się każdej pracy, czegoż trzeba więcej młodemu? Zwłaszcza gdy słońce świeci pogodnie a łąny zbóż kłaniają się przechodniom kłosa mi, w których niedługo Bóg zarodzi ziarno. W Poznaniu nie znał nikogo, to jednak nie kłopotowało wcale Stefana. Robota znajdzie się zawsze, z głodu przecież nie umrze. Ślusarzy potrzebują wszędzie — pocieszał się Luty. Uważał rzemiosło za jedyną dla siebie drogę, chciał więc wrócić do warsztatu. Dawniej marzył o pracy biurowej w magistracie, jak pracował Karol siostrzeniec kościelnego. Betkowski mówił z dumą, że jego krewny zostanie kiedyś burmistrzem.

— Zostać burmistrzem! Tak, to byłoby pięknie — myślał przed rokiem Stefan i zazdrościł prawie Karolowi. Nęciło go to zwłaszcza, że słuchać by go musiały przekupki Wągrowieckie, te same, które tyle razy dokuczały mu w dzieciństwie. Przekupki drżą przed głową miasta. Niech tylko ujrzą na rynku nos pana burmistrza, nos co prawda potężny i opatrzone w cztery naroście, jakby cztery małe noski, niech ujrzą, a zmlkną natychmiast jak trusiątka i czekają w pokorze skinienia wszech potężnego władcy.

Od roku przestał jednak Stefek marzyć o zaszczytnym stanowisku naczelnika miasta. Rok właśnie upływał jak po Wągrowcu gruchnęła wieść o przyjeździe naczelnego prezesa z Poznania. Prusacy przestrzegają zawsze porządku, teraz jednak stróżami zamykali jeszcze staranniej ulice i place, a chłopcy po skończonej nauce wybiegali ze szkółki na szosę czy nie jedzie wielki dygnitarz. Czekano na próżno dwa dni, trzeciego padał od rana ulewny deszcz, Stefek musiał wyjść z warsztatu, bo majster posłał go na przedmieście z robotą. Biegł co sił podniósłszy kołnierz kurtki i biegnąc spotkał na szosie burmistrza, oczekującego zwierzchnika, którego przyjazd oznajmiono już z Rogoźna. Pan burmistrz wystrojony galowo, stał pod parasolem, ale tak zziębły i zmoknięty, że chłopcu żal się zrobiło starego człowieka.

— Psia służba! mruknął — i pobiegł dalej. To co widział dało mu wiele do myślenia.

— Majster — pan w warsztacie, a ten przed którym drżały przekupki musi stać na ulewie. Oburzenie i zadziwienie Stefana wzrosło jeszcze, kiedy zobaczył prezesa, który był młody, nie wyglądał wcale na dygnitarza i nie zaprosił burmistrza do powozu.

Odtąd bohater nasz zaczął pojmować, że niezależność jest pięknym przywilejem człowieka. Nie wiedział jak ją zdobędzie w Poznaniu, zdobyć jednak pragnął gorąco.

Gorący był to dzień, w którym sierota wybrał się w świat. Słońce dobiegło już połowy swej drogi, ludzie odpoczywali po skwarnej poranku. Luty chciał także odpocząć, wszedł więc do karczmy, usiadł skromnie przy drzwiach i wyjął z kieszeni chleb.

Karczma stała na rynku małego miasteczka. Zowie się ono Murowaną Gośliną dla odróżnienia zapewne od Drewnianej, o której ja przynajmniej nie mam wam nic do powiedzenia. Ale za to Murowana Goślina i jej karczma pamiętne są w historii, tam bowiem, w tej karczmie uciekający przed wojskiem Saskiem król Stanisław Leszczyński zostawił w pośpiechu córkę, małą Maryę, późniejszą królową francuską. Spostrzeżono nareszcie brak dzieciny rozpacz ogarnęła rodziców, wysłali do Gośliny oddział konnicy i po długim szukaniu znaleziono królową spiącą spo-

kojnie w żłobie stajenki. Śniła może o późniejszych swoich losach, o koronie francuskiej, która dla niej cierniową się stała.

Ale wracam do mego bohatera. Rozejrzał się on zdziwiony po karczmie, bo było w niej ludzi jak na odpuszcie. Na ławach leżały podróżne tobołki, dzieci płakały po kątach, matki starały się je uciszyć, same zaś nadśluuchiwały tego, co mówili mężczyźni. Byli wszyscy zgromadzeni około najwyższego i najteższego w gromadzie parobka, który wszedł na stołek i prawil zebranych.

Mówca miał na sobie długą, czarną, do księżej sutanny podobną kapotę, wyrażał się jasno choć używał zwrotów czysto ludowych. Mówił głośno, płynnie o biedzie wieśniaka, o tem jak ciężko bezrolnemu parobkowi zarobić choć tyle, żeby kupić żonie i dzieciom przyodziewek. Mówił że perką wyżyć niepodobna, bo przy perkach mdleją w człowieku siły. Kto ciężko pracuje musi jeść mięso.

— Uczciwy ojciec powinien wychować dzieci na chwałę Bożą, a jak je wychować kiedy bieda?

Mówca rzucił w tłum to pytanie i zamilkł na chwilę, odpowiadano mu westchnieniami, potem odezwał się śnielszy jakiś głos.

— Sami rządzą się w gminie, zabrał znów głos pierwszy mówca, który dotąd nie zszedł ze stołka. — Pisał mi stryjek z Ameryki, że tam majster siada do stołu razem z czeladzią, a gospodarz, z parobkami za pan brat żyje.

— Wiara, albo i nie wiara. Z daleka dużo pisać można tylko nie wszystko się potem sprawdzi — ostrzegał starszy gospodarz

— A kiedy Wojciech gada rzetelnie. Przecie sam widziałem fotografię fazendy (osady) brazylijskiej, jak tam wszyscy ładnie przed domem siedzą i odpoczywają po robocie. Jednak ubrani.

— I żaden siermiężny surdutowca w rękę nie całuje.

— W Ameryce? — myślał Stefan Luty. Uczył się geografii, wiedział więc o czem rozmawia lud odpoczywający z nim razem w Murowanej Goślinie. Słyszał też nieraz, że wieśniacy polscy wędrują za ocean po własny zagon. Idą tam i rzemieślnicy, jeden z czeladników Jana Kolarza mieszkał w Chikago i donosił majstrowi, że powodzi mu się dobrze.

O tem wszystkiem słyszał Stefan, ale nie zastanawiał się nigdy nad możliwością tak dalekiej wędrówki. Dziś pierwszy raz widział własnymi oczami ludzi idących za ocean. Szli z dziećmi i żonami, wyprzedali na drogę nędzny swój dobytek a szli. W Poznaniu czekał na emigrantów agent kompanii kolonizacyjnej, on to miał dostarczyć potrzebną ilość osadników do Ameryki.

(d. c. n.)

BUTY SIEDMIOMILOWE. (p. str. 32).

Może myślicie, że to w istocie rysunek do znanej bajki o siedmiomilowych butach, w których uciekał Tomcio-paluch od olbrzyma ludożercy? O nie! rycina ta niema nic w sobie bajecznego, lecz przedstawia w sposób poglądowy, ile skóry zużywa człowiek przeciętnie w ciągu swego życia na obuwie. Wkładając kolejno wciąż nowe trzewiki lub buciki, nie zdajemy sobie sprawy, ile to wychodzi na to materiału surowego i pracy ludzkiej, która ten materiał wyrabia i do naszych wymagań zastosowuje. Ale nauka zwana statystyką, oblicza skrzętnie to, co człowiek zużywa

i oto okazuje się, że w ciągu lat 50 każdy człowiek, noszący stale obuwie, zużyje tyle skóry, że z niej możnaby zrobić olbrzymią parę butów długości 1½ metra, w których człowiek średniego wzrostu wyglądałby, jak ów jegomość na rycinie.

Józef Damazy Minasowicz. *)

Osieł nad rzeką.

BAJKA.

Był kraj dziki, bezdrożny, pusty z każdej strony.

Osieł, głodem przyciśniony,

Postrzega wreszcie łączkę; ale poza rzeką.

Rzeka płytka. — Nie pójdę; niech wody przecieką!

A więc czeka;

Ale zawsze płynie rzeka.

— Toż nadejdzie i ta pora!

Właśnie! a rzeka płynie, jak płynęła wczora.

I noc przyszła — rzeka płynie;

Osieł z głodu prawie ginie.

Trzeba brodzić. — Jeszcze zwleka:

— Może też przepłynie rzeka!

I tak ciemno! Niech zaświta.

Zaświtało. Chce brodzić — nie może;

Bo tak omdlało nieboże,

Iż powietrze ledwo chwytą,

Więc przejść rzekę niepodobna;

Zipnął jeszcze, zdechł i kwita.

Działaj w porę, gdy sposobna,

A gdy spełnisz, co potrzeba,

Dadzą pomoc dobre Nieba..

ZE ŚWIATA.

Puceto, bohater wysp Filipińskich. W San-Francisco wzbudza od pewnego czasu wielkie zaciekawienie pokazywany za pieniądze maleńki człowieczek, wzrostu sześciolatniego chłopca, którego tamtejsi mieszkańcy nazywają *Puceto*, to jest paluszek.

Zdrobniałe to przezwisko stosuje się do postaci, nie ma jednak nic wspólnego z jego wiekiem, wspomniany bowiem Puceto, liczy już obecnie 63 lat wieku. Dziecięca owa postać była dobrze znana żołnierzom amerykańskim podczas wojny na Filipinach, gdzie nasz dzielny karzelek dawał się potężnie we znaki Amerykanom.

Głównym celem jego zawziętości bywali żołnierze, stawiani na forpocztach, dzięki bowiem swoim drobnym członkom, potrafił się nadzwyczaj zręcznie podkraść pod obóz amerykański i celnym wystrzałem kładł na miejscu pierwszą napotkaną placówkę.

Kiedy już przeszło stu najlepszych żołnierzy zginęło w ten sposób z ręki maleńkiego wroga, naczelný wódz zaniepokojony tą krwawą igraszką Puceta, naznaczył wysoką nagrodę za schwytanie rozbójniczego karzelka. Długo jednakże ubiegali się o nią najodważniejsi żołnierze,

*) Minasowicz (ur. 1792 † 1849) prawnik i poeta mieszkał stale w Warszawie. Zasłużył się literaturze, jako wyborczy tłumacz utworów lirycznych Szyllera i autor poezji oryginalnych, wśród których bajki odznaczają się dowcipem i ciętością.

i dopiero niejaki Stepler, zastawiający sztuczne sieci, zdołał w nie zapędzić chytrego człowieczka.

Wsadziwszy następnie w worek upragnioną zdobycz, zarzucił go sobie na ramiona i pospieszył po obiecaną nagrodę. Uradowany wódz, wypłaciwszy ją, oddał Steplerowi jako dodatek maleńkiego jeńca, z warunkiem, aby się z nim dobrze obchodził.

Stepler, jako prawdziwy Amerykanin, zapatrujący się na wszystko z praktycznej strony, umyślił wyzyskać na swoją korzyść drobną postać i krwawą sławę Puceta, więc sprawiwszy mu stosowną odzież, obwozi go dotąd po wszystkich miastach amerykańskich, pokazując za znaczną opłatą.

W górach. Trzy tygodnie błąkały się wśród śnieżnej zawiei w Szwecji dwie dziewczynki, z których jedna miała lat 8, a druga 11, córki bardzo ubogiego robotnika. Poszły one z rana do wsi sąsiedniej w odwiedzinach, a po południu wyszły z powrotem, by przed zapadnięciem zmroku być w domu; zaskoczyła je wszakże zawieja śnieżna. Skreśliły z gościńca na drogę leśną, chcąc szybciej być na miejscu. Rodzice, nie doczekawszy się dzieci wieczorem, byli przekonani, że zatrzymano je na noc, lecz gdy dziewczynki nie powróciły i nazajutrz, rozpoczęły poszukiwania, które okazały się bezskuteczne; ponieważ zawieja nie ustawała, mniemano już, że dzieci zginęły pod śniegiem. Po trzech tygodniach dopiero znaleziono je w lesie, zmarznięte, ale żywe jeszcze. Zasnęły w nocy, gdy się zabłąkały w lesie, a skoro obudziły się nazajutrz, miały nogi zupełnie odmrożone i nie mogły się podnieść. W tem strasznym położeniu przebyły 12 dni, a życie zawdzięczają jedynie temu, że zaopatrzone je na drogę powrotną w bardzo ciepłą odzież i znaczne zapasy żywności,



Buty siedmiomilowe (str. 31),

Obecnie nieboraczki znajdują się w szpitalu, gdzie im amputowano nogi; lekarze mają nadzieję utrzymania ich przy życiu. Dzienniki zarządziły na korzyść biednych dzieci składkę.

MYŚLI I ZDANIA.

— „Nie można myśleć o wszystkim” — jest to wymówka tych, którzy nie myślą o niczem.

*

Fałszywa skromność jest szczytem dumy.

*

Próżnowanie jest, jak rdza, prędzej niszczy, niż praca.

SZARADA.

Pierwsze jest to spółgłoska znana w alfabecie.
Drugie z trzecim najsiłniej występują w lecie.
Trzecie z pierwszym rzecz prosta, gdy użyta w porę,
Wielu wiatłom roślinom służy za podporę.
Wszystko wraz jest poważne wieśniacze ubranie,
Co nigdy płóchej mody nie uległo zmianie.

ARYTMOGRYF.

Od Kochowzianki dla ks. Michała R.

- 1) 2, 21, 18, 5, 15, 25, 17. Imię współczesnego polskiego rzeźbiarza.
- 2) 16, 25, 7, 25. Miasto w Holandyi.
- 3) 2, 1, 16, 25, 5, 3, 9, 10. Dzień w tygodniu.
- 4) 15, 1, 21, 1. Bogini egipska.
- 5) 9, 11, 26, 5, 14, 6. Szczyt gór kaukaskich.
- 6) 2, 12, 25. Owad nocny, łuskoskrzydły.
- 7) 3, 9, 2, 1, 25. Zjawisko na niebie.
- 8) 4, 18, 25, 3. Przełożony klasztoru.
- 9) 12, 15, 12, 4, 1, 25. Roślina z rodz. czulkowa-
[tych.
- 10) 4, 6, 12, 21. Liczebnik porządkowy.
- 11) 3, 4, 1, 21, 17, 10, 15. Zabawa dla żniwiarzy,
- 12) 1, 25, 10, 4, 18, 25, 17, 9. Miejscowość w Ta-
[trach.

Zastąpić liczby literami, aby początkowe litery utworzyły przysłowie. Jednakowe liczby oznaczają jedne i te same litery.

ROZWIĄZANIA DO Nru 2-go.

Szarady: Na — u — ka.

Sprostowanie. W wierszu „Zimą” z Nru 3-go w 2 wierszu 4-ej strofy zamiast „serce” ma być „Jeszcze.”

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

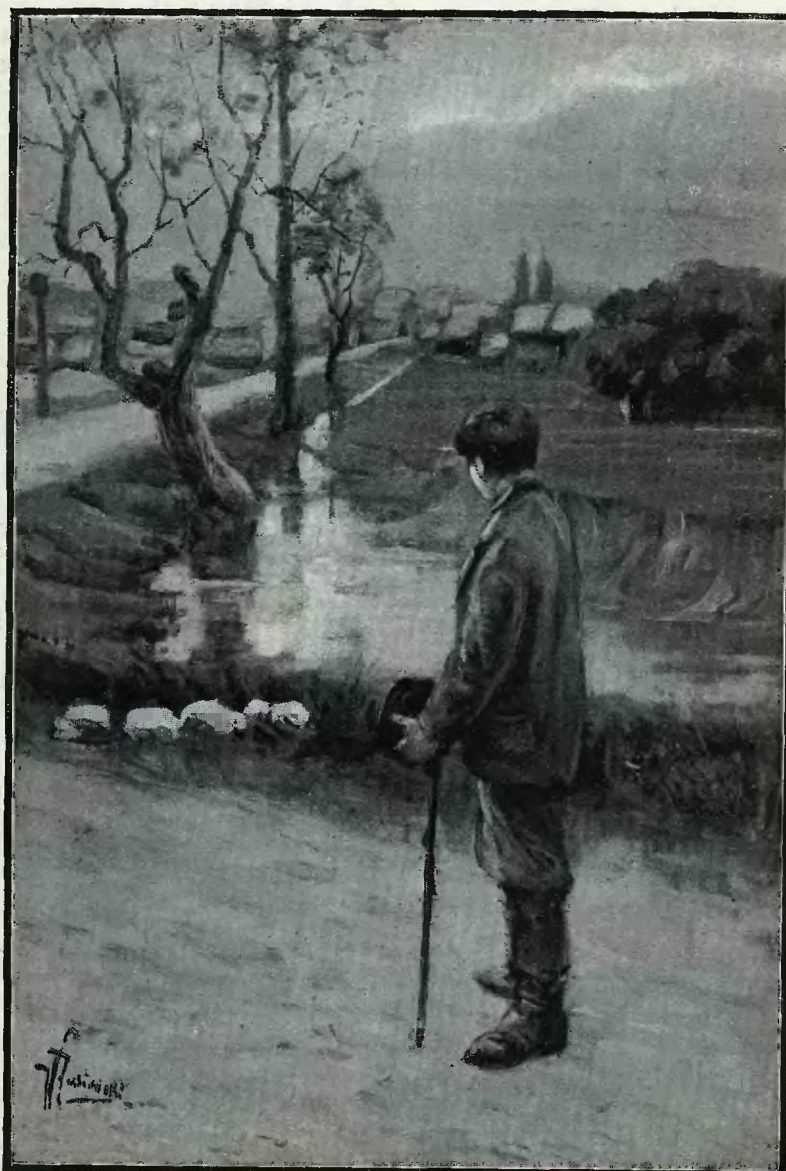
ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Węże przez B. Dyakowskiego. — Wspomnienia pani Łowczyńny o Elżbiecie z Kowalskich Drużbackiej, przez Sewerynę Duchinińską. — Jan Tadeusz ks. Lubomirski (z portretem). — Papież Aleksander III i Fryderyk Barbarossa (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Buty siedmiomilowe (z ryc.) — Osieł nad rzeką, wiersz Józefa Damazego Minasowicza. — Ze świata.. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Poselstwo z krainy cesarów, opowiedział B. Buyno (z ryc.) — Siostra Miło sierdzia, wiersz p. I. S. — Paliwoda. — Król migdałowy i królowa, komedjka w jednym akcie. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dworzani królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Do pow. „Stefek Luty w Brazylii.”



Rys. Wł. Jasiński.

...Stefek spojrzal ostatni raz na Wagrowiec. Miasto, oświecone promieniami zachodzącego słońca, wydało mu się bardzo pięknem. Złociły się na tle ogrodów mury dwóch kościołów, złociła wstęga rzeki, szumiały drzewa, rosnące nad szosą. (Rozdział III)

Zofia Kowerska,



I.

Jesień była prześlizczna; prawdziwa polska jesień. Niektóre drzewa stały już nagie, czekając zimy i jakby w przestrachu załamując w jesiennym wietrze chude, czarne ramiona; inne postroiły się w różnokolorowe szaty. Kasztany i wiązły były żółte, jakby złote w słońcu; sumaki czerwieniły się, jakby krwią oblane; wino dzikie przybierało odcienia brązu i purpury, a niektóre rośliny, w ogrodzie kwiatowym, umyśliły przebrać się na fioletowo, jasno-seledynowo, lub jasno-żółto. Nie było ani zimno, ani gorąco. Rozkoszny czas do zabawy w ogrodzie.

Dzieci przy lekcji bywały roztargnione, bo na nie w polu, w ogrodzie, w lesie czekały zabawy, niespodzianki i ulubione prace. Kasztany i żołędzie leżały pod drzewami i czekały na Józia, zbierającego je wytrwale, gdyż umyślił swoją ręką zasadzić cały las w parowach, które za zupełny nieużytek były uważane, i już zbierając kasztany i żołędzie, wyobrażał sobie, że w owych parowach szumią i strzelają ku górze młodzieńcze drzewa. Zdzisiowi zamiast cyfr na tablicy, majaczyły często przed oczami chorągiewki, lub kaski oklejane złotym papierem, nadał sobie stopień majora, a usiłował we własnym przekonaniu zasłużyć na stopień pułkownika.

Podkomendni jego byli chłopcy z czworaków, synowie fernali, gumiennych i ekonoma. Alusia popełniała niekiedy grube błędy ortograficzne i raz zamiast *uchód* napisała *fhut*, bo myślała wciąż o swoich kanarkach i kotach. Alusia bowiem na zgryzotę swoją i na wieczny kłopot przepadała za kanarkami, a jednocześnie uwielbiała koty i marzyła o takim gatunku, któryby nie posiadał pazurów, albo miał wstręt do żywej zdobyczy. Alusia miała dopiero lat ośm, ale już potoki łez wylała z powodu swoich wychowawców, z których jedno wiecznie czyhały na drugie i niosły od czasu do czasu spustoszenie w szeregi niewinnych i wesółych podzwrotnikowych śpiewaków.

Ale tego dnia dzieci miały jeszcze inny powód do roztargnienia. Biedny Medorek został skazany na śmierć przez weterynarza, który orzekł, że choroba Medorka była nieuleczalna, zaraźliwa, a w dodatku przyprowadził psa o wielkie cierpienie. Podczas lekcji historyi polskiej, układanej dzieciom przez starszą siostrę, dziewiętnastoletnią Zosię, rozległ się dwukrotny wystrzał, na odgłos którego Zosia zbladła jak chusta, Józio schylił głowę i zaciął wargi, Alusia wybuchnęła płaczem, a Zdzisłowski porwał się z krzesła oburzony i zaraz do walki gotowy.

— Kto się dopuścił tej podłej zbrodni! — zawołał.

— Mój Zdzisiu — odparła Zosia — wszak i mnie ogromnie żal Medorka, i mnie bardzo przykro, że go życia pozbawić musiano, ale weterynarz...

— Weterynarz jest człowiek zły i okrutny! Co mu szkodzi pozbawić życia biednego psinę. Lekarze nieraz się mylą i on pewno się myli! Jacenty mówił, że Medora można było wyleczyć, tylko trzeba mu było dawać siarkę do wewnątrz, a smarować naftą po wierzchu.

Zosia się uśmiechnęła.

— No, mój Zdzisiu, w tej chwili tyś moim podwładnym i proszę cię, byś się uspokoił i byśmy powrócili do przerwanej lekcji.

— Ej! co tam!

— A więc ja ci rozkazuję, byś uważał i słuchał. W którym roku wstąpił na tron Władysław Łokietek?

Zdzisłowski przyłożył rękę do czoła, i odpowiedział, jękając się:

— W roku tysiąc trzysta...

Alusia głośno szlochała.

— Alusiu, uspokój-że się i przestań płakać — rzekła Zosia, trochę zniecierpliwiona. — W końcu ci łez zabraknie na opłakiwanie wszystkiego, co się w domu wydarza. Pomyśl sobie, że Medorek przestał cierpieć, a sama widziałas jak cierpiał bardzo. Lepiej mu teraz i spokojniej.

— Ale go już nigdy nie zobaczę! — zawołała skrzywiona, szlochająca Alusia, zalewając się nowym potokiem łez.

— Koty twoje będą miały szczęśliwszy i spokojniejszy żywot, gdy już przestał istnieć ich wróg zacięty — Medorek.

— Ja mu w ostatnich czasach, gdy tak cierpiał, wszystko przebaczyłam! — jęczała Alusia.

Józio podniósł głowę, a z oczu strzelało mu zadowolenie.

— Przynajmniej ty jesteś prawdziwą chrześcijanką — rzekł poważnie. — Nie tak jak Zdzisłowski.

— A przecież powiedziałeś, że będziesz kapłanem — zawołał Zdzisłowski. Węć cóż będziesz robił, gdy zostaniesz księdzem.

— No, już ci mówiłem, że pójdę do Chin na misjonarza.

— Aa... szczęśliwej drogi! — wybąkał Zdzisłowski, rozgniewany.

Alusia, która ciągle płakała, zaszlochała naraz mocniej i zawołała głosem przez łkanie zmienionym:

— Jeszcze cię tam Chińczycy „wyrzgną!”

Z trudem udało się Zosi uspokoić młodsze rodzeństwo, ale jakoś potrafiła wpłynąć na uczniów swoich i panowanie Łokietka doprowadzić do końca. Przy obiedzie jednak, wrócono jeszcze do biednego Medorka, gdyż mały, czteroletni Jancio zapytał nagle matki:

— Mamo, Marysia mówi, że Medorka zastrzelili. Dla czego Medorka zastrzelili?

— Bo był chory, moje dziecko i cierpiał bardzo, więc trzeba było go zabić.

Jancio wstrząsnął głową o ślicznych, jasnych, kręących się naturalnie włosach i zapytał:

— A teraz już go nic nie boli?

— Nie, nic go nie boli.

— I dobrze mu jest?

— Tak... przestał cierpieć.

Alusi już się wargi zatrzęsły od tłumionego łkania i łzy zalały jej oczy, gdy ten smutny nastrój przerwany został wybuchem śmiechu innych dzieci. Wesołość tę wywołało nowe roztargnienie pana Chlewiatki, nauczyciela przygotowującego starszych chłopców, Zdzisia i Józia do szkół. Zamiast cukrem, posypał szarlotkę obficie solą. Pan Chlewiatko, były profesor gimnazjalny, został nauczycielem prywatnym w domu państwa Zabrzeskich.

Był to stary kawaler, głęboko uczony, wiecznie pogrążony w książkach łacińskich i greckich, bardzo dobrze wykładający przedmioty szkolne, ale w życiu codziennym do tego stopnia niepraktyczny i roztargniony, że żaden prawie dzień nie upłynął bez dostarczania otaczającym nowego powodu do śmiechu.

Zacny profesor, popełniwszy niezgrabność, lub pomyłkę, wypływającą z roztargnienia, pierwszy się z niej śmiał i żartował; nie miał więc za złe dzieciom, że czyniły to samo i nic na swej powadze nie tracił. Ze wszystkich w domu, jedna tylko panna Four, nauczycielka, Francuska, nie lubiła pana Chlewiatki. Zaczynała zwykle rozmowę od słów: „*chez nous à Paris,*” i nie była w stanie zrozumieć, że mógł istnieć człowiek uczony, który nigdy w Paryżu nie był i który mówił po francusku brzydkim akcentem. Ile razy się odezwał, twardą polską wymową szepcząc język ojczysty panny Four, tyle razy rzucała mu oburzone spojrzenie czarnych, bardzo przenikliwych i świecących oczu, które przy siwiejących nieco włosach cudzoziemki wyglądały, jak dwa węgielki, na któreby obrócono podmuch mieszka. Panna Four ogromnie kochała swoją ojczyznę, dostawała *nostalgii*, czyli tęsknoty za krajem, gdy jej przez dłuższy czas nie odwiedziła, a miała tę śmieszność, iż się jej zdawało, że Francya jest wielkiem słońcem, którego promienie rozchodzą się małemi nitkami na wszystkie strony, i że innego słońca niema, Francya więc jest jedynym ogniskiem wiedzy, oświaty, postępu i wszelkiej cywilizacji. Napady nostalgii panny Four były ciężką chorobą nerwową, objawiającą się spazmami, melancholią, utratą snu i apetytu. Z początku lekarze leczyli ją hydropatją, czyli kuracją wodną i rozmaitemi miksturami, pigułkami i proszkami, ale gdy panna Four miała się codzień gorzej i już spełniać obowiązków nauczycielki nie była w stanie, wyjechała do Francji, gdzie bez żadnych leków, bardzo prędko wróciła do sił i zdrowia. Było to za czasów jej młodości. Odtąd wiedziała, jakie było lekarstwo na jej cierpienie, i gdy tylko tęsknota opanowywała ją do tego stopnia, że mizernie i chudnąć zaczynała, odbywała podróż do Francji, poczem była w stanie pracować przez dłuższy czas bez szwanku dla swego zdrowia.

W chwili, gdy śmierć Medorka dzieciom tyle smutku przyniosła, panna Four tylko co z Francji wróciła i była jeszcze cała rozgrzana owem słońcem, za jakie poczytywała swą ojczyznę, a akcent pana Chlewiatki więcej niż kiedykolwiek ją raził.

Był taki zwyczaj w tym domu, że jednego dnia po obiedzie, wszystkie dzieci oprócz Jańcia, szły na spacer z panną Four, a drugiego z profesorem. Takiego porządku wymagali rodzice, ale dzieci wołały zawsze chodzić z profesorem, który opowiadał im wiele ciekawych rzeczy: o zwierzętach, ptakach, roślinach, gwiazdach i zjawiskach meteorologicznych.

Owego jesiennego dnia, dzieci, po obiedzie, śpiesznie ubrały się do spaceru, który miał odbyć się w towarzystwie profesora. Przechodząc przez ogród dostrzegły zabawną postać mężką, w czemś bardzo dziwnym na głowie. Było to podłużne sitko, włożone na twarz, jak przyłbica, a otoczone płócienną spódniczką, spływającą po szyi i plecach. Człowiek w tym dziwnym stroju szedł śpiesznie, biegł prawie, otoczony obłokiem dymu, wydzielającego się z dwóch kawałków palącego się drzewa, które niósł w ręku.

— To podpalacz! — zawołał Zdziś, chwytając za rękę blaszanego pałasika, który nosił zawsze, gdy szedł na spacer.

— Nie poznałeś ogrodnika — rzekł spokojnie Józio.

— Tak, tak, to ogrodnik — dodała Alusia — ale co on ma na głowie?

— To wcale nie ogrodnik — odparł Zdziś, zapalając się i biegnąc z dobytym pałaszem w stronę, skąd wśród drzew posuwał się obłok dymu.

(d. c. n.)

Wspomnienia Pani Łowczyny.

O ELZBIECIE Z KOWALSKICH PRUŻBACKIEJ,

przez

Sewerynę Duchinińską.

(Dalszy ciąg).



ie tracąc chwili posłałam po sławnego medyka do Kalisza; przybył niezwłocznie puścił krew, zapisał różne leki; całą noc pozostał przy chorym. Widział on moją trwogę, ale nie wyrzekł pociesającego słowa. Nie śmiałam pytać; przeżywałam to milczenie.

Gorączka wzmagala się coraz bardziej, rannym medyk odjechał. Powrócił w kilka godzin. Ja tymczasem wyprawiałam posłańca do stolnikostwa — przybyli nazajutrz. Sprowadził też plebana z parafii: mąż sam zażądał Sakramentów świętych, naraz go przytomność opuściła.

Zapalenie płuc postępowało nagle, we dwa dni potem chory uspokoił się nieco; dziękował mi za kilka lat szczęścia, jakich mu Bóg przy mnie udzielił. Skonał z modlitwą na ustach.

Com ja przeboleła, tego wypowiedzieć nie umiem. Za nic nie chciałam pozostać we wsi, którą mąż zapisał mi w dożywocie. Wezwałam do rady ojca i chorążego. Stało się na tem, że majątek oddałam rodzeństwu nieboszczyka, a sama przeniosłam się do Zabrzezia. Tam ojciec urządził dla mnie osobny dworek z ogródkiem. Siałam kwiatki i zioła, leczyłam chorych na wsi; modlitwa krzepiła mnie w duchu. Zajęta pracą, nie myślałam o sobie.

* * *

Tak upłynęło trzy lata. Elżunia raz po raz pisywała do mnie: pocieszałam się myślą, że ona przynajmniej szczęśliwa. Z radością powitałam ją, gdy na Wielkanoc przybyła do rodziców z mężem i pięcioletnią Urszulką. Oj, krótko już miało potrwać to szczęście! W miesiąc po ich odjeździe przychodził dzień jednego do Kowalewa, zastałem w domu płacz i lament. Pan Marcin ukazuje mi list z czarną pieczęcią. To list starego skarbnika, co tylko otrzymał. Biedny Kazimierz umarł dotknięty zjadliwą gorączką, po kilkodniowej chorobie.

Nagła myśl powstaje w głowie mojej: gdybym też pospieszyła do Elżuni? ona mnie kocha, mogłabym ulżyć jej w tak ciężkiej chwili. Tegoż dnia wyznałam pomyśl mój chorążynie: uściśnęła mnie całym sercem. Z rodzicami trudniej mi jakoś poszło ale i oni zgodzili się w końcu na mój wyjazd.

Nie tracąc czasu, puściłam się z wierną służą do ziemi Halickiej, zupełnie mi nieznanej. Było to wiosną; daleka droga własnymi końmi zabrała mi przeszło dwa tygodnie, nie donosiłam Elżuni o moim zamiarze, w obawie, aby jakaś zapora nie stanęła mi w poprzek drogi.

Pomnę, przybyłam przed wieczorem. Skarbnik krzątał się koło gospodarstwa, spotkałam go u wrót podwórka. Postarzał od lat kilku i powitaliśmy się ze łzami.

— Bardzo źle z naszą Elżunią — rzekł do mnie. — Od nieszczęścia, jakie Bóg na nas zesłał, życie ją niejako odbiega. Nie płacze nie narzeka, a siedzi pół martwa w swej komnatce, nie popieści nawet dziewczeczki. Drżę na myśl, czy nie przypadnie na nią obłąd.

Weszliśmy do dworku. Skarbnik ukazał mi Urszulkę, usunął się, a ja lekko do drzwi zakołatałam. Nikt mi nie odpowiedział, wchodzę jednakże w progi.

Czemuż tam okna przysłonięte. W kącie izdebki, na niskim stołeczku siedzi biedna Elżunia, ku ziemi pochyłona. Z pod czarnego kornetu, nasuniętego na czoło, nie dopatrzeć rysów, uderza mnie tylko cera jej trupio blada.

— To ja, Marysia twoja! — wołam, wyciągając ku niej ramiona. Nie odrzekła nic, pokryła oczy dłońmi. Obie milczymy długo, zbliżam się wreszcie do niej, chwytam ją w objęcia, przyciskam do piersi. Jakby ockniona ze snu, ryknęła głośnym płaczem. Pierwsze to łzy niebogi; otucha wstąpiła w serce moje. Długo, długo utulić się nie mogła. Łzy jej płynęły potokiem, łkanie zadławiło głos w piersi.

Mrok zapadł — skarbnik zapukał we drzwi, wezwał mnie na wieczerzę.

— Idź — wyszeptala biedaczka — a potem wróć do mnie, Marysiu.

Uczyniłam według jej woli. Za powrotem znalazłam ją znowu uspokojoną. Przyprowadziłam jej Urszulkę

— Biedna sierotko! — rzekła, ściskając dziecinę ze łzami; — Bóg odebrał ci ojca, matka zapomniiała o tobie.

Odeszło dziecię widocznie zdziwione tak nagłą zmianą. — Nie będę tu powtarzała rozmowy mojej z Elżunią. Przytulone do siebie, pozostaliśmy razem do północy. Słowa nasze tak były poplątane, że trudno wydobyć z nich wątku. Gdy kukulka wydzwoniła dwunastą, ukłękliśmy przed obrazem Najświętszej Panny, odmówiliśmy razem litanię. Ta modlitwa przerwana łzami, uкрепиła nas obie.

Nazajutrz z rana pobiegłam do Elżuni, wstała już od godziny, ale w komnacie było ciemno. Odrzuciłam zasłony od okien, słońce błysło na białe ściany.

— Daj pokój! — wyszeptala z cicha. — Słoneczko już nie dla mnie, niech raduje oczy szczęśliwym!

— Słoneczko to dar Boży — odrzekłam — nie wypada nim gardzić.

Skinęła smutnie głowę. Wówczas to dopatrzyłam zmianę w biednej Elżuni: rysy jej wyciągnęły się, oczy zapadły, cera pożółkła jak wosk, barki nagięły się ku ziemi.

Po wspólnej modlitwie kazała przywołać Urszulkę, wzięła ją na kolana, odmówiła z nią *Zdrowaś Marya* za duszę ojca, a potem trefiła ciemne jej włoski.

Gdy odeszło dziecię, rozmawialiśmy długo. Myśli Elżuni nie tak się już plątały. W południe pociągnęłam ją prawie gwałtem do wspólnego obiadu, z wielką pociechą skarbnika. Przed wieczorem, otworzyłam okno od ogródka, skąd dobiegała woń bzu i fiołków.

Noc minęła spokojnie: w poranku spostrzegłam już małą zmianę w Elżuni. Powolna memu naleganiu, wyszła z domu na chwilę. Przemineło parę tygodni; biedaczka pomału wracała do życia z zatrwazającej martwoty.

Nadchodziły Zielone Świątki. W sobotę rano, Elżunia weszła do mego pokoiku.

— Maryniu — rzekła — czy pamiętasz, w uroczystym dniu Ducha Świętego od lat najmłodszych, w naszym kościełku parafialnym, przystępowałyśmy razem do Pańskiego Stołu. Zachowałam ten zwyczaj — i ty nie zaniedbałaś go, pewna jestem.

— O tak! — odrzekłam rozradowana. — Łaska Ducha Świętego budzi w nas nowe siły!

Nazajutrz z rana pojechaliśmy do kościoła ze skarbnikiem, wszyscy odbyliśmy spowiedź; po Komunii świętej proboszcz częstował nas gorącym mlekiem. Nastąpiło

uroczyste nabożeństwo. Kościołek wysłany tatarakiem przybrany zielenią, wesoło się przedstawiał. Po Sumie Elżunia drżąca jak listek, powiodła mnie do grobu męża, zdołanego białym kamiennym krzyżem. Ukłękliśmy wszyscy, biedaczka płakała cichutko; te łzy przynosiły jej ulgę. Za powrotem uściśnęła Urszulkę, odmówiła z nią pacierz.

Skarbnik dziękował mi ze łzami

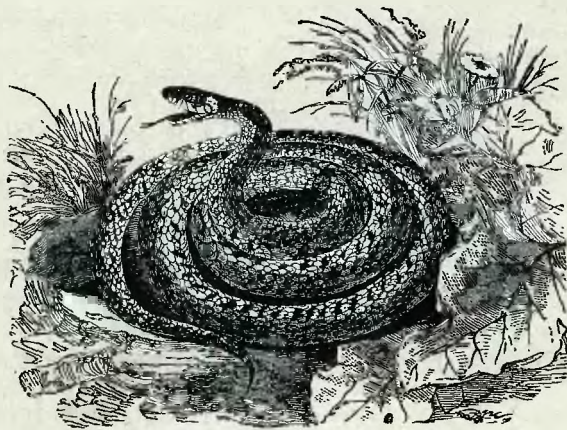
— Duch święty zesłał cię tu, pani łowczyni — rzekł, gdyśmy sami zostali. — Gdyby nie to, Bóg wie co by było z naszą niebogą.

Odtąd każdy dzień przynosił ulgę Elżuni. Dawna krasa nie odkwitła już na jej licu, ale oko, acz zapadłe, połyskało znowu życiem; na czole obok smutku zapanował głęboki spokój.

Odtąd każdego poranku odbywałyśmy coraz dalsze przechadzki. Pięcioletnia Urszulka biegała przy nas, zrywała kwiatki, uganiała motyle. Ślicznaż to okolica: zdala poza mgłą rysują się błękitne wierzchołki Karpat, u stóp naszych Wisłoka toczy po zwirze wody swoje, zarosła u brzegu zielonym tatarakiem. Na łące krowy porykują wesoło; od lasu dochodzą dźwięki fujary. Po drugiej stronie wybiega dzwonnica parafialnego kościoła. Raz po raz zapuszczamy się tam, słuchamy Mszy świętej, opłatamy kwiatkami krzyż grobowy. Co dnia zagłębiamy też do chat wiejskich, to z lekarstwem, to z radą, albo życzliwym słowem.

Tak ubiegło lato, nadeszła jesień. Elżunia zajmowała się domem, opowiadała Urszulce bajeczki, ale nie brała się do pióra, jakby ją coś od niego odpychało. Ku zimie dopiero spostrzegłam z radością, że zamknięta w komnacie swojej, pisze coś każdego poranku. Cieszymy się oboje ze skarbnikiem, ale Elżunia o tem nie wie, aż tu jednego wieczora, gdyśmy zasiędlili przy kominie, ona sama przynosi nam prześliczny obraz wiosny, tylko co nakreślony. Czyta, słuchamy jej z żywym zajęciem.

(d. c. n.)



Wąż wodny.

B. Dyakowski.

Wężę.

(Dalszy ciąg.)

Z innego znów powodu wąż został uznany za symbol przyrody, odmładzającej się co rok na wiosnę, i słońca, budzącego wszystko do życia w końcu zimy. Wężę lenią się parę razy do roku, to jest zrzucając starą skórę i ukazując się w nowej, świeżej. Starożytni Egipcjanie uważając, że przez tę czynność wąż niejako się odmładza, widzieli w tem podobieństwo do budzenia się przyrody na wiosnę, do wzmagania się siły ożywej słońca w tym czasie. Z tego powodu wąż był u nich poświęcony słońcu i pilnował wejścia do nieba. Służył on także za godło nieśmiertelności, ponieważ miał posiadać sztukę ciągłego odmładzania się przez zrzucanie starej skóry.

W rzeczywistości zaś ta czynność węża nie jest bynajmniej odmładzaniem się, lecz jedynie pozbywaniem się starej i zużytej skóry, pod którą tymczasem wytworzyła się zupełnie nowa i świeża. Życia sobie jednak wąż wcale przez to nie przedłuża, ani nie nabiera nowych sił.

Ale świat starożytny inaczej zapatrywał się na to zjawisko. Wierzono wówczas bezwzględnie w to, iż wąż po-

siada sztukę odmładzania się. Z tego powodu stał się on jeszcze godłem medycyny, symbolem zdrowia i dostarczycielem wielu środków leczniczych.

Taki pogląd na węże znajdujemy u dawnych Greków i Rzymian. Czczono je tam prawie na równi z Eskulapem, bogiem medycyny, i Hygeą, boginią zdrowia. Były one godłem tych obojga bożków. Eskulapa przedstawiano zawsze jako starca z laską, naokoło której owinięty był wąż, a Hygeę w postaci kobiety, której ciało otaczał w kilku kręgach długi wąż: wychylał on głowę z pod jej ramienia i pił z czary, którą bogini trzymała w lewej ręce.

Laska z wężem stanowi i dziś symbol medycyny, jako pozostałość z dawnych czasów; a Hygeę z wężem można zobaczyć w niejednej aptece, chociaż wiara w węże i ich moc leczniczą dawno już zniknęła bezpowrotnie.

W starożytności jednak była ona ogromnie rozpowszechniona. Lekarze rzymscy wprowadzili w użycie mnóstwo środków, przyrządzanych ze żmii i innych węzów jadowitych. Środki te były powszechnie stosowane nie tylko w starożytności, lecz i w wiekach średnich i niektóre dotrwały nawet do naszych czasów. Wszystkie zaś cieszyły się tak wielkim powodzeniem, że nie można było nastarczyć łapania i zabijania żmii miejscowych i trzeba było sprowadzać węże jadowite aż z Afryki. Nie było chorób, na któreby nie zalecano leków, wyrabianych z węzów. Różne proszki, przyrządzane z zasuszonego ich serca lub wątroby, tłuszczy żmii, węże pieczone i gotowane — wszystko to musiało się znajdować w każdej aptece średniowiecznej i żaden szanujący się lekarz nie podjąłby się wyleczyć osoby, poważnie chorej, bez któregośkolwiek z tych środków.

Środki te były, istotaie, korzystne i pożyteczne, ale zupełnie w inny sposób, niż sądzili ówczesni lekarze. Oto przyczyniały się one znakomicie do zmniejszenia ilości węzów jadowitych, które zabijano setkami i tysiącami na potrzeby medycyny ówczesnej.

Dziwny, doprawdy, zbieg okoliczności: to samo, co początkowo zapewniało węzom panowanie i cześć boską, to samo następnie zgotowało im zgubę. Czczone, i pielęgnowane jako godło zdrowia i sztuki lekarskiej, zostały one skazane na zagładę, skoro poczęto z nich samych wyrabiać leki.

W ogóle, jeżeli zestawimy różne podania o węzach i poglądy religijne różnych ludów pogańskich, uderza nas i zastanawia różnorodność zapatrywań się na te stworzenia. Stały się one jednocześnie uosobieniem najlepszych i najgorszych pierwiastków, przedmiotem pogardy i wstrętu w jednych miejscach a czci hoskiej w innych. Nie trudno jednak zauważyć, że ta różnica w zapatrywaniach się na węże ma źródło w części w odmiennym charakterze tych stworzeń w różnych krajach, w części zaś w zwróceniu głównej uwagi na odmienne ich cechy.

Węże nie odznaczają się, istotnie, wielką zmyślnością i wrażliwością, nie są jednak wcale tak złemi i nieczułymi stworzeniami, jak je przedstawiają niektóre podania, okazując one zarówno ujemne, jak i dodatnie cechy w swym postępowaniu. W stosunku zaś do ludzi, jedne z nich są groźnymi i nieubłaganyimi wrogami, których należy obawiać się i tępić, inne zaś zupełnie nieszkodliwymi i łagodnymi stworzeniami, z którymi można utrzymywać jak najlepsze i najprzyjaźniejsze stosunki.

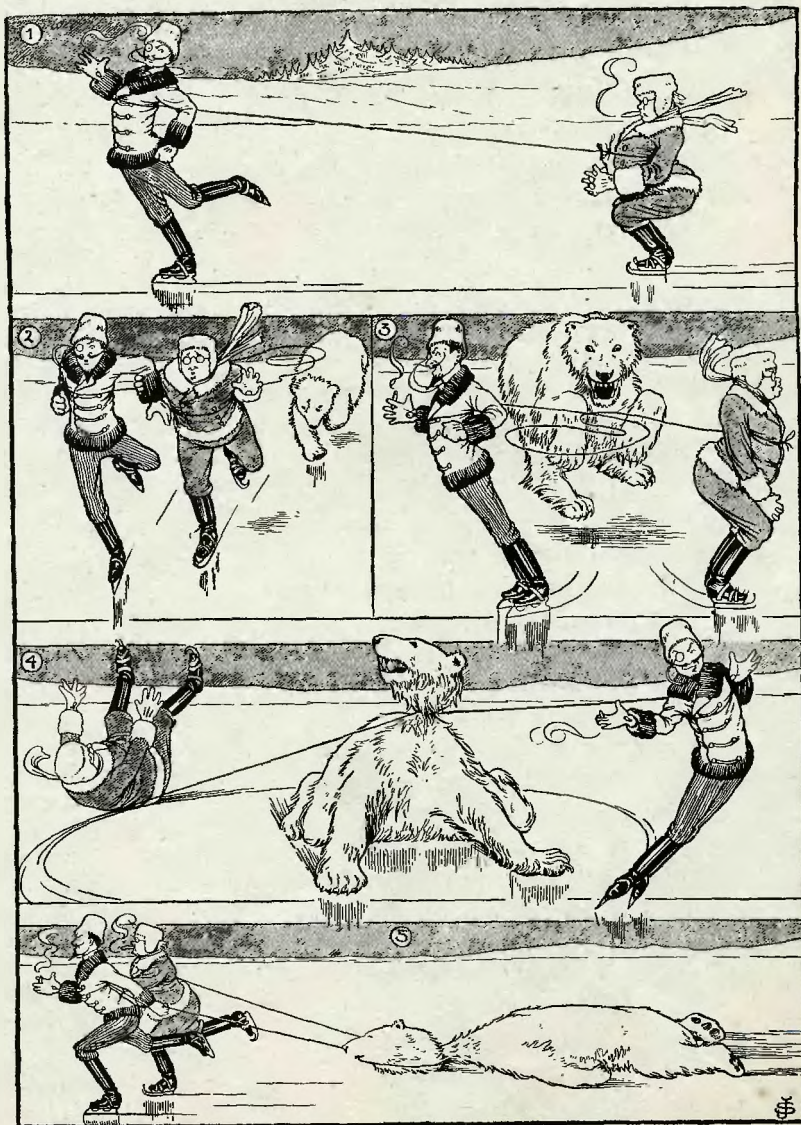
II. Węże krajowe.

Gromada węzów obejmuje około 1500 gatunków, z których jednak u nas i wogóle w Europie środkowej znajduje się zaledwie pięć. Najpo-

spolitszym z nich jest tak zwany wąż wodny, dość duży, bo mający przeszło metr (około 2 łokci) długości). Ubarwienie jego bywa zmienne, najczęściej na grzbiecie niebieskawo lub oliwkowo szare z dwoma szeregiem plamek czarnych, pod spodem jaśniejsze białawe lub niebieskawe. Wybitną oznakę stanowią dwie półksiężycowe plamy na skroniach barwy żółtej, z czarną obwódką od tyłu. Po tych plamach łatwo go odróżnić od innych gatunków krajowych.

Wąż wodny znajduje się w całej prawie Europie w okolicach wilgotnych, po lasach i łąkach w bliskości wód, które chętnie odwiedza. Kryjówkę sobie obiera w gąszczach pod liśćmi lub kamieniami i niekiedy osiedla się w sąsiedztwie ludzkich mieszkań, w piwnicach i spichrzach, a nawet zagląda do pokoiów. W miejscowościach, obfitujących w te węże, można znaleźć go nieraz we własnym łóżku. Spotkanie niemiłe i przejmujące dreszczem, w gruncie rzeczy jednak nie przedstawiające nic niebezpiecznego: wąż ten na widok człowieka przedewszystkiem myśli o ucieczce i stara się jak najprędzej zejść mu z oczu.

Czasami udaje zucha i, chcąc nastraszyć, wyciąga głowę i syczy, wysuwając cienki rozdwojony język czyli tak zwane pospolicie żądło. Jest to jednak próżna groźba, wąż bowiem nie może ukłuć nikogo tem żądłem, które służy mu jedynie do obmacywania różnych przedmiotów. To też ci, którzy go częściej widują i bliżej znają, nie robią



W jaki sposób dzielni łyżwiarze, Sven Blageron i Kanut Bajdulon, polują na białe niedźwiedzie w swych podróżach po Grenlandyi.

sobie nic z tej groźnej miny i biorą go śmiało w ręce lub odpędzają kijem, jeżeli im zawadza.

Wogóle wąż wodny jest dość leniwy i ociężały. Trzeba go bardzo rozdrażnić, żeby aż użył zębów względem człowieka. Ale ukąszenie jego nie pociąga żadnych złych następstw: nie jest on wcale jadowity; zęby zaś jego są tak małe, iż z zadanej przezeń ranki można wycisnąć zaledwie kroplę krwi. To też nie służy mu wcale do gryzienia, lecz jedynie do chwytania i przytrzymania zdobyczy.

Pokarm jego składają drobne zwierzęta, żaby, jaszczurki, myszy, nieduże ryby, ślimaki, a niekiedy większe owady. Wszystkie te stworzenia ruszają się przeważnie dość zrécznie i prędko tak, że ociężałowemu i powolnemu wężowi nie łatwo byłoby uganiać się za nimi. Z tego powodu, nie lubi on tracić czasu na bezowocne pościgi, lecz zwinawszy się w kłębek, wyleguje się spokojnie w słońcu, którego ciepło ogromnie lubi, jak wszystkie w ogóle gady. Nie jest to jednak bezmyślny wypoczynek próżniaka: wąż wysuwa wciąż głowę z pomiędzy licznych zwojów ciała i bacznie wypatruje, czy niema gdzie w bliskości odpowiedniej zdobyczy. Dostrzegłszy ją, stara się przyczołgać do niej niepostrzeżenie, poczem chwytą ją zębami i połyka.

(d. c. n.)

POD STRZECHĄ DOMOWĄ.

*Czy wiesz, schowane za chmury
Słoneczko złote,
Jaką zostawiasz po sobie,
Ziemi tęsknotę?
Jak tutaj zimno i szaro,
Mglisto, ponuro?
Wiatr tylko z jękiem i szumem
Przeciąga górę...*

*Lecz choć bez ciebie tak smutno,
Gościu nasz drogi,
Można się schronić przed zimą
W domowe progi —
I tam, w bezpiecznym zaciszu
Złotą snuć przedzę
Pracy cierpliwej, dobrego czynu,
Co wspiera nędzę.*

*Można, usiadłszy za stołem
W kole rodziny,
Czytać o mężach, co wielkie
Spełniali czyny, —
I myślą bujać ciekawą
W ogromnym świecie,
Gdzie tyle dziwów przeróżnych
W całość się plecie.*

*Oto pod lampy jasnością
Ojciec i matka,
Dzieci i starsze i młodsze
— Cała gromadka!
To czyta, tamto się bawi,
Gwarzą wesoło...
Piesek się łąsi, kot figlarz
Harcuje w koło...*

Ciepło rodzinne rozgrzewa

Duszyckie młode;

Na myśl nie przyjdzie wyrzekać

Na niepokodę!

Śnać Bóg, słoneczko, za ciebie

Dał na pociechę

Rodzinnych uczuć żar święty,

Domową strzechę...

T. Prażmowska.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

Na drugiej półkuli nie brak bezludnych lesistych przestrzeni. Trzeba je wykarczować, uprawić, zbagacić wysiłkiem mózgu i rąk, żeby na miejscu gdzie szumi głucha puszcza zaszedł łan zboża, powstało nowe zbiorowisko ludzkie, nowa ojcowizna.

Wszakże i tu, w starej Europie tak samo przed wiekami brał człowiek ziemię w posiadanie. Bronił mu jej wilk, tur, niedźwiedź, a on na pohamowanie dzikich bestyi miał tylko kamienną siekierę i pałkę drewnianą. Bronił nieprzebyte ostępy, zgniłe moczary, gady wyległe w chłodnej wilgoci lasów. Ale taka jest moc ducha ludzkiego, że zwycięża wszystkie przeszkody. Moc ducha ludzkiego i wola Boża. Sam Bóg wyrzekł do praojca Adama: „Rozmnażajcie się i rozmnażajcie, napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną. Panujecie nad rybami morskimi i nad ptactwem niebieskiem i nad wszelkiem zwierzem, które się rusza na ziemi.”

Ludzkość od wieków i po wiek wieków spełnia i spełniać będzie to przykazanie Boże. Opanowuje ziemię od krańca do krańca, ujarzmią siły przyrody. Służą jej wiatr i piorun, a kto wie jakie jeszcze potęgi zaprzęże człowiek do swego pług. Ludzie urodzeni w XIX w. mają na dnie serca te same żywiołowe pożądania i porwy, które mieli nasi przodkowie, kiedy prowadzeni przez ojca gromady, Lecha, trzebili puszcę, żeby zbudować w niej Gniazdo sobie i swoim następcom.

W głowie Stefana Lutego budziły się pod wpływem zasłyszanych rozmów nowe zupełnie pojęcia i pragnienia. Kończył dopiero w zime rok 19-ty, ale był silny, nieraz z warsztatu parło go coś w świat. Sierota, miał nazwisko, które dał mu przypadek nie rodzice. Za sobą zostawił tylko ludzi obcych, dłaczego więc nie miałby iść na zdobywanie ziemi. Szło tylu ludzi, pójdzie i on, jeśli koloniści zechcą wziąć go z sobą. O Ameryce opowiadano cuda. Są tam drzewa na których rośnie bawełna, uprząść tylko a będziesz miał ubranie. Są przecież podobno nawet takie co rodzą gotowy chleb, a z innych płynie mleko, gdy natniesz korę.

Stefana nie nęciły jednak te opisy. Mało cenil chleb, bo dotąd miał go zawsze, suchy, sierocy, ale jednak miał. Bywał głodny, lecz nigdy bardzo głodny. Jemu za ocaleaniem uśmiechał się inny droższy przywilej.

On, nieskończenie niższy od wszystkich urodzeniem, ma prawo w Ameryce żądać, aby ceniono w nim jego człowie-

czeństwo. Biedny znalazł Chrystus z krzyżowego swego tronu ogłosił braterstwo ludzkości, a jednak ludzkość nie zrozumiała dotąd Jego Boskiej nauki. Szanować należy cnotę i zasługę, ale niewolno bić czołem przed złotym cielem przesądów, niewolno krzywdzić bliźnich, trzeba cenić ludzi wedle wartości ich duszy a nie wedle blichtru świata. Równości zupełnej nie może być nigdy. Człowiek silny zdobędzie zawsze więcej niż słaby, zdolny więcej niż ograniczony umysłowo. Kalectwo, choroba, brzydota, nie przestaną kłaść piętna upośledzenia na jednostkach. Taką jest wola Boża i nie nam przeciw niej szemrać, bo nikt wyrokiem Stwórcy dziwić się nie ma prawa. Nam pozostaje tylko nie powiększać przesądem przyrodzonych różnic, kochać braci bliźnich, szanować człowieka bez względu na to czy znaleziono go porzuconego na drodze, czy rodził się w pałacu otoczony przepychem świata. Pamiętajmy zawsze, że Bóg-Człowiek urodził się w żłobie.

Ale czas wracać do naszego opowiadania.

Mówca gromady, Wojciech Skiba zszedł z krzesła, które służyło mu za trybunę. Należało wyruszyć już z popasu w Goślinie, żeby zdążyć przed nocą do Poznania. Kobiety wzięły dzieci na ręce, mężczyźni zabrali tłumoki z pościelą, karczma zaczęła się opróżniać.

Stefan podeszedł do Wojciecha. Ten stał przy stole i obliczał należność za popas

— Cztery kwarty mleka po dwa trojaki, dwie bułki chleba, trzy śledzie, wódka, piwo, to razem talar i osiem trojaków, rachowała szynkarka po niemiecku

— Kiedy mnie tyle nie wypada. Cztery, osiem i znowu osiem, czternaście, dwie piątki — liczył chłop po polsku.

Stefek spojrzał na cyfry. Słuszność była po stronie płatnika gromady. Szynkarka bałamuciła w rachunku. Może chciała wyzyskać wieśniaka, który nie znał niemieckiego języka.

— Należy się talar i trzy trojaki. Dorachowaliście pięć trojaków temu gospodarzowi — powiedział Luty, wskazując palcem na cyfry.

— A tobie co do rachunku — ofuknęła karczmarka. Nie dał utargować ani grosza, w kieszeni chleb nosi a do cudzego garnka zagląda. Obiecali ci faktorne, że gardłujesz za nieswojem?

— Gardłuje to gardłuje, kiedy jego prawda — ujął się Wojciech. — Mnie rychtyk tak wypada, talar i trzy trojaki, grosza więcej nie zapłacę. — Rzucił pieniądze szynkarce i spojrzawszy przyjaźnie na Stefka poklepał go po ramieniu.

— Przydałbyć się nam w drodze, bo dobrze rachujesz, a ja tylko po polsku liczyć umiem.

— Tyle liczyć po polsku, co i po niemiecku. Nie sztuka.

— Takiś to zuch? a gdzie idziesz? może i ty do Ameryki?

— Czemu nie? byleście mnie wzięli z sobą. Będę wam służył w drodze i na okręcie.

— A rodzice pozwolą?

— Nie mam rodziców.

— Sierota?

Stefek skinął głową, nie odpowiedział jednak nic. Przecież rodzice jego żyli może, może znajdzie ich kiedy, może mieszkają tu w Goślinie, może przeszedł koło nich, nie domyślając się, że mija najbliższych. Łzy stanęły mu w oczach i potoczyły się po twarzy. Łzami opłacił swój paszport do Ameryki, bo Wojciech nie badał więcej. Poklepał chłopca po ramieniu.

— Wola Boża! idź z nami. A ile masz pieniędzy? pytał jednak przezorny wieśniak.

— Mam siedm talarów.

— Do Bremy wystarczy a tam wsadą cię na szyf (okręt) i zawiozą darmo. Potrzebują ludzi, nie zginiesz?

Rozdział V.

Podróż. — Znowu pan. — Smoki. — Emigracya. — Indyanin. — Węże. — Pokusy. — Dobra rzecz pieniądze. — Zarobek.

— Nie zginiesz — powiedział Wojciech Skiba Stefekowi. On jednak sądził, że zginął już, tyle doznał wrażeń, tak się czuł opuszczony i zalekły. Pierwszy raz jechał koleją. Jechał wagonem czwartej klasy, wtłoczony w gromadę obcych sobie wychodźców. Nie mógł nawet sięgnąć, bo nie było ławek. Stał, a wagon pędził. Brak powietrza i gorąco dokuczały okropnie podróżnym. Każdy myślał o sobie. Matki karmiły i uspakajały dzieci. Jakiś pijany Niemiec śpiewał, kilka dziewcząt płakało, narzekając, że dały się namówić do wyjazdu za ocean. Wszyscy chcieli pić, ale nikt nie śmiał wyjść z wagonu, chociaż widziano pompy na stacyach. Pociąg minął już ich kilkanaście, coś kiedy nie rozumiejący po niemiecku podróżni nie wiedzieli jak długo na przystanku zatrzymać się wolno.

Stefek zaczynał sobie zdawać sprawę z otaczających go nowych warunków. Czytał nieraz, jak buduje się lokomotywy i majster bywalec opowiadał w warsztacie o swych podróżach koleją.

Inna to jednak rzecz słuchać a inna jechać samemu. Byłby pytał Skiby, ale Skiba zmienił wagon, podczas gdy Stefek znużony pieszą podróżą usnął na worku jakiegoś sąsiada. Obudził się, nie pamiętając, gdzie jest, ani dokąd jedzie, dopiero po chwili odzyskał zupełną świadomość swych losów i patrzył zdziwiony na towarzyszy podróży. Byli to wychodźcy z Królestwa. Jechali od Torunia a różnili się od Wielkopolan nie tylko barwniejszym chociaż uboższym strojem, ale i stopniem rozwinięcia umysłowego, umieli i rozumieli daleko mniej niż gromada, z którą Stefan złączył się w Goślinie.

Jakiś młody parobek pytał starszego chłopca, czy słyshał o tem, że zbudowano już most przez morze?

Stefek się uśmiechnął. Wiedział, co znaczy ocean i że do Ameryki trzeba płynąć kilka tygodni. *)

Próbował wytłumaczyć to chłopcu, który tak naiwne zadał pytanie, ale go nie zrozumiano.

Za to objaśnienia naszego bohatera zrobiły wrażenie na kilku roztropniejszych podróżnych. Widzieli, że Stefek wie więcej od nich, wszczerli więc z nim rozmowę.

— Pan może i po niemiecku potrafi? zapytał jakiś biedak w siermiędze.

— Pan? — Stefek nie wierzył własnym uszom. Nikt go dotąd panem nie nazywał. Znajdą tak, ale panem nikt. Zacerwienił się i uczuł zadowolenie w sercu.

— Umie po niemiecku — odpowiedział skromnie. Wiadomość zrobiła wielkie wrażenie, otaczający chłopca wieśniacy wytrzeszczyli na niego rozszerzone zdziwieniem oczy.

— Taki młody i taki uczony — mówiły kobiety, kręcąc z niedowierzaniem głowami. — Pewnie i pisanemu poradzi. A może tylko mądrego udaje — pomyślała najstarsza i dla wypróbowania podała Stefekowi obrazek z niemiecką modlitwą. Nikt w Sierpcu, chociaż to miasteczko, nie umiał jej przeczytać co tu napisane. Czy też ten przeczyta?

— Przeczytał, dalebóg przeczytał jak z nut. — Obecni nie rozumieli słów modlitwy, ale tem więcej właśnie dziwili się mądrości Stefana.

— To pan potrafi i do konduktora mówić, może on powie kiedy będzie można wysiąść, żeby choć kroplę wody dzieckom przynieść — prosiła jakaś stroskana matka.

(d. c. n.)

*) Dziś podróż tę odbywa się o wiele prędzej. Okręty kompanii przewozowej Lloyda przebiegają przestrzeń między Bremerhawen a New Yorkiem w ciągu sześciu dni.

Rozrywki naukowe bez przyrządów.

Taniec elektryczny baniek mydlanych.

Rozrób sobie wody z mydłem i dodaj do niej trochę gliceryny, a z otrzymanej tak mieszaniny bańki mydlane będą nadzwyczajnie duże i pięknie zabarwione tęczowymi kolorami.

Z baniek podobnych można zrobić kilka efektownych sztuk magicznych.

Wiadomo, że tkaniny wełniane naprz. flanela, sukno, dobrze wysuszone, mogą służyć za podporę dla bańki mydlanej i uchronić ją od szybkiego pęknięcia. W zimie mając rękawiczki wełniane możecie nawet podrzucać taką bańkę albo grać nią z inną osobą tak: że w rękawiczkach wełnianych niy piłką.

Zrób kilka ładnych baniek i rzuć je na stół przykryty suchą wełnianą serwetą, następnie weź ćwiartkę papieru mocnego, osusz go nad lampą albo świecą i potrzej energicznie przeciągając pod pachą, albo między ściśniętymi kolanami. Jeżeli masz na sobie odzież wełnianą albo jedwabną, to wskutek tarcia kartka papieru naelektryzuje się bardzo silnie. Przytykając ją do twarzy, albo do jakichkolwiek bądź innych przedmiotów, usłyszysz leciutki trzask wyskakujących z niej iskerek elektrycznych, które łatwo dostrzedz w ciemnym pokoju. Naelektryzowany papier przylepią się sam do ściany, albo do pieca.

Zbliży go teraz do naszych baniek, leżących na serwecie, a zobaczmy, jak się one wydłużają, przybierając postać jajek i w końcu opuszczają serwetę, idą w górę i przyczepiają się do papieru niy małe balony.

Manewrując zręcznie elektryzowanym papierem, można sobie urządzić prawdziwy taniec baniek mydlanych.

Można i w inny sposób spożytkować siłę przyciągającą naelektryzowanego papieru, urządzając karuzelę czarodziejską.

Prosty kijek, naprz. ołówek, laskę cienką, linie, ogrzewszy pierw, połóż na dnie odwróconego do góry kieliszka na szklanym przycisku, bacząc, ażeby przedmiot znajdował się w równowadze i popchnięty obracał się z łatwością.

Skoro zbliżysz do jednego z końców kijka czy też metalowej łyżki ćwiartkę naelektryzowanego przez potarcie papieru, to ten będzie dążył do zetknięcia się z papierem; odsuwając ciągle papier zmusisz linie czy też kijek do szybkiego obrotu.

Jeżeli pocierając papier będziesz wymawiał pod nosem jakieś zaklęcia naprz. hokus pocus, hodacum, hurpium spiryantus.. i powstrzymasz się na razie od wyjaśnienia prawdziwej przyczyny zjawiska, to twoja czarodziejska karuzela wzbudzi ogólne zdumienie tych, co nie znają fizyki. Chcąc jednak, ażeby się sztuka udała, trzeba papier i okracający się kijek często ogrzewać nad płomieniem.

CZARNI I BIALI.

Łamigłówka do nagrody.



Mamy koło, złożone z 12 chłopców: sześciu czarnych i sześciu białych, z których przez losowanie trzeba usunąć połowę. Losowanie odbywa się w następujący sposób: wybiera się dowolną liczbę, byle nie jedność, i rozpoczyna rachowanie: jeden, dwa, trzy i t. d. od któregośkolwiek z chłopców w jakimkolwiek kierunku. Każdy, na którego padnie owa wybrana liczba, wychodzi z koła, poczem rachuje się dalej z pominięciem wylosowanych, dopóki z koła nie wyjdzie w ten sposób sześciu chłopców. Jaką należy wybrać najmniejszą liczbę, od którego z chłopców i w jakim kierunku rozpocząć rachowanie, aby wylosować bądź pięciu czarnych i jednego białego, bądź jednego czarnego i pięciu białych.

Za najlepsze rozwiązanie tej łamigłówki, nadesłane w ciągu lutego r. b. przyznamy nagrodę: „Trzydzieści lat wśród drżących L. Rougemonta,” albo „Juraś i Anulka.”

ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go.

Szarady: Wy — py — cha — nie.

Łamigłówki sylabowej:

- 2) Czerwiec. 2) Żytomierz. 3) Antwerpia. 4) Sezostrys.
5) Piłat. 6) Łotr. 7) Alaska. 8) Czerwiec. 9) Ili.

Czas płaci — czas traci.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Wspomnienia pani Łowczyńny o Elżbiecie z Kowalskich Drużbackiej, przez Sewerynę Duchinińską. — Węże, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Polowanie na niedźwiedzia (ryc.) — Pod strzechą domową, wiersz p. T. Prażmowską. — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Rozrywki naukowe bez przyrządów. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Małe praczki przez E. L. (z ryc.) — List z nad morza Lodowatego. — U stolarza, przez Janusza. — Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Доводено Цензурою. Варшава 14 Января 1902 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Ksiądz Robak w karczmie u Jankiela.



Z rys. R. Szwojnickiego

Rycina ta jest ilustracją do malowniczego opisu karczmy starego Jankiela w IV księdze „Pana Tadeusza” i odwiedzin kwestarza, księdza Robaka.

„Na stolkach dokola
Siedziały chłopcy, chłopki, tudzież szlachta drobna,
Wszyscy rzędem; ekonom sam siedział z osobna.
Po rannej mszy w kaplicy, że była niedziela,
Zabawić się i wypić przyszli do Jankiela.
Przy każdym już szumiła siwą wódką czarka,
Ponad wszystkimi z butlą biegła szynkarka.

W środku arendarz Jankiel, w długim aż do ziemi
Szarafanie, zapiętym haftkami srebrnymi,
Rękę jedną za czarny pas jedwabny wsadził,
Drugą poważnie sobie siwą brodę gładził;
Rzucając w koło okiem, rozkazy wydawał,
Witał wchodzących gości, przy siedzących stawał,

Zagajając rozmowę, kłótliwych zagadzał,
Lecz nie służył nikomu, tylko się przechadzał.
Żyd stary i powszechnie znany z uczciwości,
Od lat wielu dzierżawił karczmę, a nikt z włości,
Nikt ze szlachty nie zaniósł nań skargi do dworu.

On pierwszy godził kłótnie, często nawet krwawe,
Między dwiema karczmami: obie wziął w dzierżawę;
Szanowali go również i starzy stronnicy
Horeszkowscy i słudzy sędziego Soplicy.
On sam powagę umiał utrzymać nad groźnym
Klucznikiem Horeszkowskim i kłótliwym Woźnym.
Przed Jankielem tłumili dawne swe urazy:
Gerwazy groźny ręką, językiem Protazy.
Dziś miejsce Gerwazego, najdalsze od progu
Między dwiema ławami, w samym karczmy rogu,
Zwane *Pokuciem*, kwestarz ksiądz Robak zajmował;
Jankiel go tam posadził. Widać, że szanował
Wysoko Bernardyna: bo skoro dostrzegł
Ubytek w jego szklance, natychmiast podbiegał
I rozkazał dolewać lipcowego miodu.

Robak, wsparty na stole, wpółgłośno rozmawiał,
Tłum szlachty go otaczał i uszy nadstawiał,
I nosa ku księdzowskiej chylił tabakierze;
Brano z niej, i kichała szlachta, jak moździerz.

Wspomnienia Pani Łowczyny.

O ELŻBIECIE Z KOWALSKICH PRUŻBACKIEJ,

przez

Sewerynę Duchinińską.

(Dalszy ciąg).

— Rzecz dziwna — zawołałam — wicher dmie prze-
rażliwie, śnieg oblepił suche konary lip i klonów, a pod
piórem twojem zieleni się murawa, słonko rozwija kwiat
jabłoni! wiosna żywo staje nam przed oczyma.

— Bo tęsknię za nią — odrzeczę słodko — i obraz
jej widzę w mej duszy. Wobec pełnego jej rozkwitu, nie
śmiałybym dotknąć tego, co Bóg nam tak pięknie odma-
lował!

— Ależ pióro twoje, to także dar zesłany ci od Boga,
nie wolno go zaniedbywać, Elżuniu.

Skarbnik poparł mnie silnie; odtąd śpiewaczka nasza
przynosiła nam coraz to nowe kartki. Zbierał je dobry
ojciec, niby to dla powtórnego odczytania, ale wiem, że je
odpisywał starannie a potem posyłał bratu swemu do Lwo-
wa, uczonemu kanonikowi, zagrzebanemu w księgach. Elżu-
nia nie o tem nie wiedziała.

Zima zesłała nam prędko. W długie wieczory, kiedy
ogień buchał na kominie, czytywaliśmy na głos rymy Jana
z Czarnolasu i Klonowicza. Skarbnik, biegły w łacinie, po-
wtarzał nam w przekładzie ustępy z Klimakterów Wespazy-
ana Kochowskiego. Żałowałyśmy obie, czemu ten pisarz,
co tak dzielnie władał szablą i piórem, nie opisał w pol-
skim języku zapasów z kozactwem, w których czynny brał
udział za smutnych czasów Jana Kazimierza. Ależ bo na
język nasz przypadła wtedy ciężka plaga; strzępiony nie-
smaczną łaciną, niepodobny był do języka Skargi i naszych
pisarzy z epoki Zygmuntońskiej. Sama tylko Elżunia za-
chowała jasną barwę i czystość mowy naszej, może dla te-
go, że łacina była jej prawie obcą.

Zrana po pacierzu, śpiewaczka nasza zasiadała przy
stoliku z piórem, żaden dzień nie przeszedł jej bez pracy.

Rozszerzyła wtedy rymy o królu Dawidzie; dopełniła,
wzniosłym obrazem Pokutnika i powieść nakreśloną w Bia-
łymstoku. Zbiory jej mnożyły się z dniem każdym; niemal
co wieczór odczytywała nam coś nowego. Skarbnik przy
trudach gospodarskich nie mógł wydażyć z odpisem lic-
nych kartek; wezwał mnie tajemnie do pomocy.

Z wiosną puściliśmy się w drogę do Wielkopolski,
Elżunia pragnęła ukazać rodzicom siedmioletnią Urszulkę
swoją. Smutneż to było powitanie! wkrótce jednak ożywił
ją pobyt w domowych progach. Mnie ta podróż nie przy-
niosła pociechy, ale nową okryła żałobą! Biedny mój
ojciec zaniemógł przez zimę, przed naszym przyjazdem,
wiosną było mu lepiej, ale gdy przyszły letnie skwary,
utracił władzę w nogach. Elżunia zamierzała wracać na
żniwa, została jednak dla mnie; wiedziała, że ją skarbnik
w gospodarstwie zastąpi.

Gdy przyszła jesień, zamknęłam oczy drogiemu ojcu.
Skonał pobożnie, błogosławił rodzinę całą. Brat mój Frant
ciszek, ożeniony przed trzema laty, trzymał dzierżawę, po-
bliską wioskę, po śmierci ojca, przeniósł się do Zabrzezia.
młodszy nie opuszczał służby wojskowej, siostra przed laty
kilku wykonała śluby zakonne.

Droga matka moja zamieszkała w domku, który ojciec
niegdyś dla mnie urządził. Krzepka i czynna jak dawniej,
zajmowała się pilnie małym swym gospodarstwem, pieściła
maleńkie wnuczka.

Elżunia błagała mnie, bym stale przy niej zamieszka-
ła w Oczeminie.

— Marysiu — mówiła ze łzami — ja tyle ci zawdzię-
czam. Gdyby nie ty, jużbym nie żyła, albo co gorsze, tyra-
ła się, jako obłąkana. Nie opuszczaj mnie biednej!

Trudno było odmówić. Skorom jej dała słowo, napi-
sała do skarbnika z prośbą, by najspieszniej odnowił dla
mnie domek, tuż przy parkanie, przeznaczony na jakieś
składy. Poczuwszy skarbnik niczego nie zaniedbał. Pod
okiem jego stanął śliczny dworek o czterech izdebkach,
potynkowany biało, z zielonemi okiennicami. Ściany gło-
wnej komnatki ozdobiły wizerunki królów naszych: Kazi-
mierza Wielkiego, ojca kmieci, Jadwigi i Stanisława Le-
szczyńskiego. Pod oknami kwiaty w doniczkach, miesię-
czne róże, laki i geranie, na półkach leżały ulubione moje
książki. Co więcej, poza dworkiem znalazło się miejsce na
maleńki ogródek, otoczony żywopłotem, już pokrajany
w grządki do wiosennego posiewu — wysadzony młodemi
drzewkami; kochana Elżunia odgadła, że jak każdej niewie-
ście, miło mi będzie posiadać swoje własne gniazdeczko.

Była to dla mnie prawdziwa niespodzianka. Rada
powitałam mój miluchny zakątek. Kilka zaledwie kroków
dzieliło mnie od drogiej Elżuni. Wieczory spędzałyśmy
naprzemian, to przy jej, to przy mojem ognisku. Skarbnik
wiernie nam towarzyszył.

Obie wychowywałyśmy śliczną Urszulkę, która jak
pączek rozwijała się pod okiem naszym. Prędko ubiegła
zima, wiosną zajęłam się pilnie ogródkiem. Maliny i po-
ziomki, zasadzone jesienią, wydały już owoce; drzewka po-
kryły się listkami, róże i stokrotki zakwitły już na grząd-
kach.

Tak mijał rok za rokiem; nie mam co mówić o tych
czasach, kiedy dzień jeden podobny był do drugiego, a ża-
dna przygoda nie mąciła ich ciszy. Elżunia odzyskała
krzepkie siły; krasę młodzieńczą zastąpiła u niej pełna
wdzięku powaga. Żałobna jej odzież obok prostoty zaw-
sze była staranna. Z pod białego kornetu wybiegały cie-
mne włosy, błyszczące gdzieś tam srebrnymi nitkami.
Jedyną przerwą w tem cichem i pracowitem życiu — sta-
nowiły co lat parę przejażdżki nasze do Wielkopolski. Pa-
rę razy i chorążostwo, wydawszy za mąż dwie młodsze cór-
ki, przybyli nad Wisłokę. Były to istne gody!

* * *

Nadeszła wreszcie chwila bardzo ważna w życiu Elżu-
ni. Urszulka skończyła lat szesnaście. Dorodna to była
dzieweczka, z pączka rozwinął się cudny kwiatek. Wiotka

jak trzcina, kibić miała dziwnie kształtną, kruczym włosem i rysami przypominała pana Kazimierza — z wielką pociechą matki. Owoż w tym roku po żniwach, na dzień N. Maryi Panny Siewnej, zjechali chorążostwo, z synem Marcinem, towarzyszył im brat mój starszy, chorążyc Janusz z młodszym bratem moim, którzy służyli w jednym regimencie, przybyć też mieli niebawem. Poczciwy skarbnik krzątał się dziwnie rozradowany. Zgadłam, że ukrywał jakąś tajemnicę, toż nie śmiałam go badać. Przed tygodniem wyjeżdżał do Lwowa, przywiózł stamtąd antałek starego węgryzyna i wielką moc wybornych prowiantów; potem zaprosił kilku sąsiadów na łowy; ubito w boru dzika, cztery sarny, nie licząc już zajęcy i ptactwa.

— Potrzeba nam uczcić — godnie rodziców — mówił skarbnik do Elżuni, — zaprosimy bliższe sąsiedzkie domy, ja sam się tem zajmę — asińdzka ciesz się z rodzicami.

I tak się też stało: Elżunia jak zwykle spełniała wolę ojca.

Nadszedł dzień uroczysty: Skarbnik otoczył dom zielenią, komnaty przyozdobił wieńcami kwiatów, ale i ja mu chętnie pomagałam. Rankiem pojechaliśmy wszyscy do kościoła. Po nabożeństwie przybył pleban, a za nim poczęli zjeżdżać się goście. W przeddzień jeszcze zawitał kanonik ze Lwowa, ksiądz Michał Drużbacki, rzadki gość, oddany badaniu naukowemu.

Odbyła się uczta wspaniała, jakiej dotąd nie bywało w Oczemieniu. Zakrażyły puhary, ale w umiarkowany sposób. Przeszliśmy do sali pięknie ukwieconej. Rozmowa toczyła się swobodna, kiedy rozwarły się podwoje i wszedł uroczyste kanonik; trzymał w ręku wielką księgę, oprawną w złotogłów, spiętą na sprzączkę błyszczącą od drogich kamieni. Stanął poważnie przed Elżunią.

— Dostojna skarbnikowo — rzekł — miła bratanko moja, występuję wobec asińdzki, jako delegat Jego Eminencji Biskupa Józefa Załuskiego, i innych luminarzy tegoczesnych. Tylko co wróciłem z Warszawy. Zaledwie,

że się tam pojawiły rymy asińdzki, wydane staraniem uczonego Biskupa, wnet imię jej rozbiegło się na wszystkie strony kraju, otoczyło splendorem dwa przeznaczone domy, *Korabitów* Kowalskich, nad Wielkopolską Wartą, i *Lwowianów* Drużbackich na Haliczu. Pomijam wywody, dotyczące dwóch starodawnych rodów; wyliczywszy długo i szeroko położone przez nich zasługi, kanonik złożył w ręce Elżuni wielki wolumin, a z nim list biskupa, skreślony na pergaminie, opatrzone herbową pieczęcią.

Obecni przyklasnęli i w ślad za oratorem wychylili na cześć muzy polskiej puhar starego węgryzyna. Elżunia, blada i drżąca jak listek, nie dowierzała własnym oczom.

— Zkąd te rymy wybiegły na świat? — poszepnęła zdziwiona.

Ja wiedziałam coś o tem, ale nie czas było wdawania się w wyjaśnienia.

Kanonik odczytał wielce zaszczytny list Biskupa a następnie rymy W. koniuszego litewskiego, księcia Ulryka Radziwiłła. O ile z poszanowaniem słuchali wszyscy listu, o tyle napuszysty panegiryk koniuszego nie mógł trafić do mózgów szlachty polskiej; młodzi gwałtem wstrzymywali się, by nie wybuchnąć pustym śmiechem.

Nastąpiła wieczerza, skarbnik nie posiadał się z radości; wszystko poszło jak z płatka; z rąk do rąk krążyły puhary, na cześć biskupa i innych dostojników; tylko króla Augusta pominięto milczeniem.

Około północy odjechali sąsiedzi, swoi udali się na spoczynek. Elżunia podjęła wielką księgę, poniosła ją do komnatki swojej, rozłożyła na stoliku. Ja wsunęłam się za nią; zrazu nie spostrzegła mnie wcale. Ukryta w cieniu, widzę jak odwraca karty księgi, nad każdą zatrzymuje się chwilę, to lica jej pokraśniejają, oko zapłonie, to rękę przycisnie do czoła, jakby chwytała jaki zerwany wątek. Powstaje wreszcie, chce, jak widać, przez otwarte okno, orzeźwić się nieco chłodem nocnym.

(d. n.)

Zofia Kowerska.



(Dalszy ciąg).

— Zdziszu, zostań tu! — wołał pan Chlewiatko. — Ten człowiek idzie podbierać miód. Nie widziałeś nigdy, jak się podbierają pszczoły?

Żadne z dzieci nie widziało tego. Pierwszy rok mieszkali na wsi, dawniej bowiem rodzice ich spędzali zawsze zimę w Warszawie, zaś lato przebywali albo u wód, albo na letniem mieszkaniu, w pobliżu miasta.

— Ale kiedy on niesie w ręku palące się głośnie.

— Właśnie. Chodźmy za nim, a pokażę wam i opowiem, w jaki sposób człowiek zabiera pszczołom ten wyborny miód, który bardzo lubicie. Przybliżmy się do ulów tyle, ile będzie można, bez niebezpieczeństwa.

— Brzydkie stworzenie pszczoła! — ozwała się Alusia. — Przeszłego roku, na letniem mieszkaniu, jedna mię ukąsiła. Od tej pory znienawidziłam je.

— Drogocenne stworzenie i takie nadzwyczajne! — odparł profesor, — pomyślcie dzieci, takie maleństwo, a mające tajemnicę zbierania z kwiatów słodyczy!

— Żeby była pszczoła, to i ja bym potrafiła...

— Przyznaję, że jest bardzo zła, wiecznie rozniewiana, wiecznie gotowa kąsać i bronić się, nawet wtedy gdy nikt nie napada na nią. Ale nie jest podstępna, bo brzęczy i oznajmia z daleka o swojej złości; przytem ogromnie odważna. Idzie bez trwogi na nieprzyjaciela i zwykle życiem swoją śmiałość przypłaca. To żołnierz, który w obrobie dobra ogólnego oddaje krew...

— Zna subordynację, i konieć! — wtrącił Zdziś.

— Tak Zdzisiu, w społeczeństwie pszczół jest subordynacja i regulamin iście wojskowy.

— To mi się najbardziej podoba, że składają sąd wojenny i skazują trutniów.

— Patrzcie dzieci, podpalacz Zdzisia zbliża się do ula, położywszy palące się spróchniałe drzewo na ziemi. Ul ma zwykle małe otwory, którym pszczoły wchodziły i wychodziły, ale dla podebrania miodu, pasiecznik musi wyjąć większą, zalepioną gliną klapę. Patrzcie, podważył ją nożem i wyjął, a teraz dmucha dymem w ul, żeby pszczoły ustąpiły.

— To niegodziwiec, zabierze im to, nad czym się pracowały i co sobie przygotowały na zimę — zawołał Zdzis.

Profesor się uśmiechnął.

— Człowiek okrutnym jest dla zwierząt — rzekł ze smutkiem w głosie. — Zabiera im ich pracę, zabiera im życie..

— Ale niema w tem grzechu — zauważył Józio. — Już kiedy święty Jan na puszczy żył szarańczę i miodem...

Ogrodnik dmuchał wciąż dymem na pszczoły, które brzęcząc opuszczały tłumnie ul, ale wcale za wygranę nie dawały. Powracały natychmiast, gdy się dym przerzedzał i broniły swej własności zawzięcie.

— Już mię pocałowała — rzekł spokojnie ogrodnik, zdejmując z ręki pszczołę, która w jego skórę zapuszczała żądło.

Dzieci w śmiech.

— Dziękuję za taki pocałunek!

— Każdy całuje, jak umie.

— Żądło to sztylet, tylko za mały na zabicie człowieka.

— Sztylet zatruty — rzekła Zosia — bo pozostawia jad.

Ogrodnik krajał w ulu plastry z miodem i układał je na nieckach, ciągle otoczony kłębam dymu i rojem pszczół brzęczących. Profesor opowiadał dzieciom o zwyczajach pszczół, o ulubionych przez nie roślinach. Wszyscy przyglądali się robocie ogrodnika, gdy nagle za sobą usłyszeli krzyk przeraźliwy Jańcia, zmieszany z krzykiem nianki uciekającej i tak bezprzytomnej, że sama ratowała się ucieczką, a Jańcia zostawiła na pastwę pszczołom, gdyż to zbliżenie się, brzęczenie i kłusanie pszczół, było powodem przestachu obojga.

Jańcio stał obezwładniony z przerażenia, z otwartymi ustami, z których wydobywały się nieludzkie krzyki. Wszyscy rzucili się na ratunek. Okazało się, że Jańcio miał dwa żądła utkwione w nóżce. Nosił pantofelki i skarpetki, przyczem widoczne były nóżki obnażone do kolan. Ale nie owe ukąszenia były powodem jego przestachu. Dwie czy trzy pszczoły zaplątały się w jego kręjące się, roztrzepane długie włosy i brzęczeniem, znamionującym zajadłość i niecierpliwą chęć zemsty, doprowadziły go do przerażenia. Trzeba było, uderzając Jańcia po głowie i włosach, pozbawić je życia.

Zosia wzięła braciszka na ręce, tuliła go do siebie, uspokajała. Uczuł się nareszcie bezpiecznym i powoli się utulił, ale zaczerwieniona nóżka bolała go mocno. Wyjęto żądło, przyłożono wilgotną ziemię do miejsc spuchniętych i rozpalonych, pomimo to, czy to w skutek jadu pszczół, czy w skutek przestachu, Jańcio dostał gorączki i był naprawdę chory przez noc całą. Zrywał się, płakał, a gdy jeszcze zaczął drapać chorą nóżkę, ból stał się tak silny, że biedny Jańcio rzekł do Zosi:

— Zdaje mi się, że mnie trzeba będzie zastrzelić...

— Zastrzelić? Co Jańcio plecie? — zawołała Zosia.

— Bo ja bardzo cierpię.

— Będiesz zdrow; cierpienie przejdzie...

— A Medorek? — przerwał Jańcio.

Zosia śmiała się, czem oburzyła małego braciszka.

II.

Dzieci wszystkie były silnie przejęte chorobą Jańcia, nie tyle dla tego, że malec cierpiał (bo nie było przecie żadnego niebezpieczeństwa), ile dla tego, że każda najbliższa choroba dzieci przyprowadza panią Zabrzeską, nietylko o wielką obawę i trwogę, ale przypominało jej straszne chwile, stojące dotąd ciągle w jej pamięci.

Gdy Zosia miała lat dziewięć i przez kilka tygodni bawiła u babki, czworo jej młodszego rodzeństwa dostało, po kolei, strasznej szkarlatyny i pomimo największego starania żadnego z nich nie uratowano. Dom państwa Zabrzeskich opustoszał nagle, gdy Zosia wciąż była u babki, a Zdzis przyszedł na świat dopiero w półtrzecia roku po tem strasznym nieszczęściu. Pani Zabrzaska była nieutulona w żalu. Nic jej ani pocieszyć, ani rozerwać nie było w stanie. Po całych dniach przebywała na cmentarzu i zdawało się, że nawet do ocalonej Zosi nie tęskniła. Myślano, że powrót Zosi zdoła ją pocieszyć, obdarto więc wszystkie obicia w mieszkaniu, poskrobano sufity, wymyto i zaprawiono na nowo posadzki, pomalowano ściany, wydezynfekowano wszelkie ubrania i meble, i po kilku tygodniach

przywieziono Zosię. Pani Zabrzaska, patrząc na nią, przypominała sobie jeszcze wyraźniej, zabawy, rozmowy, pieszczoty i miłe słowa utraconych dzieci i w swej rozpacz, nie mogła się obronąć myśli, że Zosia też przez śmierć zabraną jej będzie. Bała się o każde jej stąpienie, zdawało jej się, że jakieś nadzwyczajne niebezpieczeństwa zawieszono są nad głową jedynej córki. Ta ciągła obawa była czemś gorszem prawie od rozpacz.

Pani Zabrzaska, wstawała w nocy, by posłuchać oddechu Zosi, upatrywała w pulsie jej gorączkę i była prawie pewna że musi przyjść jakaś choroba, lub straszny wypadek, które ją jedyne dziecko pozbawi. Bała się dla niej przedewszystkiem szkarlatyny i to w sposób tak nerwowy, tak rozstrajający, że Zosia raz rzekła do ojca:

— Tatusiu, co by to zrobić, żebym mogła dostać szkarlatyny?

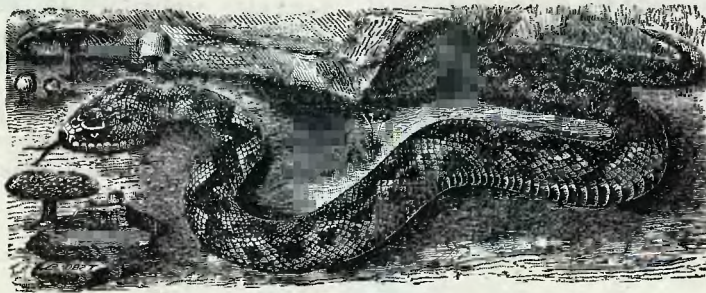
Ojciec, który się też bał o Zosię, ale w sposób mężki i mężny, spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Bo już by trzeba, żebym albo umarła, jak Niusia, Kazio, Michaś i Julcia, albo żebym wyzdrowiała, albo żeby się mama przestała bać szkarlatyny dla mnie.

W istocie, stan pani Zabrzeskiej budził w otaczających największe obawy. Z osoby, mającej skłonność do otyłości, zrobił się szkielet. Sypiała bardzo mało, jadła odrobinę tylko i to na prośby męża, a w oczach jej, w których już brakło łez, szkliła się gorączka i malowała się tak wielka rozpacz, że nawet obcy ludzie patrzeli na nią z poszanowaniem i uczuciem grozy.

Zosi się zdawało, że ta rozpacz matki, to jest coś świętego, około czego trzeba chodzić z obawą i czcią. Spowiadała więc, przestała się bawić jak dziecko, zajęła się gospodarstwem domowym, o którym pani Zabrzaska myśleć nie była w stanie, była wciąż na usługi ojca, a o potrzebach matki myślała w sposób iście macierzyński.

W półtrzecia roku po owym niezapomnianym ciosie, przyszedł na świat Zdzis, ale maleństwo nie obudziło zrazu nadziei i chęci do życia w zboląłem sercu matki. Otacza-



Żmija

jący, a szczególnie pan Zabrzęski, zajęci byli wtedy przede wszystkim rozciągnięciem straży w około żony, by do niej nie doszła wieść o panującej w mieście szkarlatynie. W ogóle mąż wszystkie siły wyteżał, aby ratować żonę i mały Zdziś stanął w domu od razu na drugim planie, więc Zosia, jedenastoletnia zaledwie dziewczynka, stała się jego opiekunką, dozorczynią, jego matką przybraną.

Uczyła się już dużo i miała czas zajęty lekcjami, lecz każdą wolną chwilę, każdą rekreację oddawała Zdziśowi, który z dniem każdym stawał się miłszy i zabawniejszy. Z bezwładnego prawie niemowlęcia, wyrastał chłopczyzna, śmiejący się i wyciągający do Zosi ręce. Pani Zabrzęska, patrzała na swego synka z uczuciem przedwczesnego bólu. Nie wierzyła, by żył, i w duszy jej, wraz z wdziękiem Zdziśia, rosła obawa o to małeństwo, przed którym było tyle niebezpieczeństw.

(d. c. n.)

B. Dyakowski.

Węże.

(Dalszy ciąg).

Wąż wodny od czasu do czasu odwiedza wodę, po której pływa i nurkuje wybornie; w razie potrzeby może wytrzymać pod nią nawet pół godziny. Chwyta on tam mniejsze ryby, urozmaicając sobie w ten sposób ucztę lądową.

Nadzwyczaj ciekawe jest karmienie się tego węża, które zresztą odbywa się zupełnie tak samo jak u wszystkich innych węzów. Zęby ich są wogóle zbyt drobne i słabe, aby mogły zmiażdżyć lub pogryść schwytaną zdobycz. Wąż z konieczności musi ją połknąć w całości; uskutecznia zaś to dzięki niezwyklej ruchliwości paszczy, która może rozszerzać się tak dalece, że mieszczą się w niej zwierzęta, przewyższające kilka razy otwór jej w zwykłych warunkach.

Rozszerzalność swych paszcz zawdzięczają temu, iż obie szczęki węża, górna i dolna składają się z połówek, połączonych między sobą ruchomo, a nie zrośniętych sztywno, jak u innych zwierząt. Połówki szczęk mogą rozsuwać się na prawo i na lewo, wyciągać się każda osobno naprzód lub cofać, i w ten sposób paszcza przybiera rozmaity kształt i wielkość odpowiednią do zdobyczy, która ma być połknięta.

Złapawszy jakie zwierzę np. żabę, która stanowi najpospolitszy i najulubieńszy jego pokarm, wąż wodny przytrzymuje ją mocno haczykowatemi zębami całej dolnej szczęki i jednej połówki górnej, a jednocześnie podnosi w górę drugą połówkę górnej wysuwając ją naprzód i wpija swe zęby w bardziej oddaloną część ciała żaby. Następnie powtarza to samo z pierwszą połówką górnej szczęki oraz z obiema częściami dolnej i w ten sposób nasuwa paszczę na swą ofiarę, która znika w niej coraz bardziej i wreszcie wpada do przełyku. Posuwanie się jej ułatwia ślina, udzielająca się obficie i czyniąca zdobycz bardziej śliską. W ten sposób wąż jest w stanie połykać nawet takie zwierzęta, które są znacznie grubsze od niego samego.

W każdym jednak razie takie połknięcie całkowitej zdobyczy nie jest rzeczą łatwą i wymaga, bądź co bądź, wielkiego wysiłku. To też młode węże na połknięcie żaby zużywają przeszło godzinę czasu; starsze załatwiają się z tem w 10 — 15 minut.

W ten sam sposób wędrują do żołądka jaszczurki, myszy, ryby i inne stworzenia; zdobycz jednak koniecznie musi być żywa: padliny wąż wodny nie ruszy za nic. Najadłszy się pokarmu nie pogryzionego, wąż wpada w senność, w rodzą odretwienia, gdyż obficie napełniony żołądek uciska płuca i serce, utrudniając oddychanie i krążenie krwi. W takim stanie spędza on kilka lub kilkanaście dni, aż dopóki nie strawi wszystkiego i nie stanie się znów rzeźkim, ale jednocześnie i głodnym.

Zresztą wąż wodny, jak i wszyscy jego bracia, może znosić głód i obchodzić się bez pokarmu nadzwyczaj długo, nieraz po miesiącu i więcej. Pewien przyrodnik, nazwiskiem Herklotz, miał węża, który nie jadł w ciągu 311 dni, pijąc tylko wodę. Jest to bardzo zbawienna zdolność dla stworzeń, które nie są w stanie uganiać się rąco za zdobyczą i nieraz przez cały dzień, a nawet tydzień nie mogą nic upolować.

Wogóle życie węża płynie ociężale i jednostajnie; gdy ciepło, wygrzewa się w słońcu i łapie zdobycz, jaką mu się nawinie; gdy się zrobi nieco zimniej, wpada zaraz w stan odretwienia i senności, ponieważ krew jego staje się



Wąż *Eskulap* (u góry). *Miedzianka* (u dołu).

wówczas zimniejszą i nie ogrzewa należycie ciała, które wskutek tego robi się ociężałe i niezdolne do ruchów. W jesieni, gdy już chłody ustala się na dobre, węże wpadają w sen zimowy, ukrywając się uprzednio w bezpiecznej kryjówce, i nie wychodzą stamtąd aż na wiosnę, w końcu marca lub kwietnia, kiedy słońce zacznie silnie przygrzewać i podniesie temperaturę ich krwi.

Jedną z pierwszych czynności węża po obudzeniu się jest zrzucenie starej skóry, a właściwie naskórka, to jest cieniutkiej zewnętrznej warstwy skóry. Zrzucanie zaczyna się od głowy, na której naskórek pęka w okolicy pyszczka. Wówczas wąż wsuwa się w gęste krzaki, albo przeciska się między kamieniami, starając się zaczepić pękniętym naskórkiem o jaki wystający przedmiot. Gdy mu się to uda zrobić, czołga się dalej, a zaczepiony naskórek zsuwa się zeń, wywracając się przy tem lewą stroną na zewnątrz, i pozostaje na ziemi lub na gałązce. Ciekawie wygląda taka zrzucana „koszula węzowa”, cienka i przezroczysta, a przedstawiająca najdokładniejszy odcisk łusek, pokrywających skórę. Koszule takie znaleźć można dość często, gdyż czynność zrzucania skóry czyli lenienie powtarza się kilka razy w ciągu lata.

Samica węża wodnego składa w początku sierpnia 20 — 30 jaj wielkości gołębic. Jaja te nie mają wcale twardej skorupki, jak u ptaków, lecz są pokryte jedynie miękką białą skórką. Samica składa je w gnoju, pruchniącym drzewie, kupkach liści, wogóle w takich miejscach, w których coś gnije. Czyni to zaś dla tego, że samica nie wysiaduje swych jaj, musi więc w inny sposób zapewnić im niezbędne ciepło. Wiadomo zaś, że wszelkie gnijące kupki trawy, liści lub wiorów rozgrzewają się ogromnie, a więc i jaja mogą mieć w nich należyłą ilość ciepła. Niekiedy dla tem lepszego ogrzania jaj, kilka samiec składa je razem w jednym miejscu. Pewien rolnik znalazł w swojej stodole w kupie opilek drzewnych aż 100 jaj węża wodnego.

Po upływie mniej więcej trzech tygodni legną się małe węże, wydostając się z jajek przez otwór, który sobie robią w powlekającej je skórcie. Mają one do 15 centymetrów (6 cali) długości, posiadają już maleńkie ząbki i umieją od razu karmić się same. Co prawda, inaczej musiałyby zginąć z głodu, matka bowiem nie troszczy się o nie wcale i nigdy nawet nie zagląda do miejsca, w którym złożyła jaja. Rozwijają się one i rosną bardzo powoli, ale zato żyją długo, po kilka i kilkanaście lat, jak o tem przekonanano się na okazach, trzymanych w niewoli. Hodować je bardzo łatwo, gdyż prędko oswajają się i przywiązują do ludzi, są nadzwyczaj łagodne i spokojne.

Mniej pospolitym, ale również nie rzadkim wężem jest miedzianka, znacznie mniejsza, bo mająca zaledwie 65 centymetrów (nieco więcej nad 2 stopy) długości. Ubarwienie jej jest czerwono szare z brunatną plamą w kształcie podkowy na karku i dwoma szeregami również brunatnych plam wzdłuż grzbietu.

Miedzianka ma usposobienie wręcz przeciwne, niż wąż wodny. Do wody nie wchodzi nigdy, a nawet unika lasów i łąk wilgotnych. Zamieszkuje przeważnie okolice suche i słoneczne, porośnięte niezbyt gęstymi krzakami; przekłada przy tem miejscowości pagórkowate i góry, nad niziny. Kryjówki wyszukuje sobie w dołkach pod kamieniami tak samo, jak wąż wodny, i równie chętnie wygrzewa się w słońcu. Jest jednak znacznie ruchliwszą i zwinniejszą, a jednocześnie i znacznie mniej łagodną od niego. Zaczepiona nie ucieka jak wąż wodny, lecz podnosi gniewnie głowę i stara się ukąsić napastnika. Wprawdzie miedzianka nie jest wcale jadowita i z tego powodu ukąszenie jej nie grozi żadnem niebezpieczeństwem, nie mniej jednak jej mina rozwścieczona i zawadyackie zachowanie się mogą przerazić niejednego. W niektórych miejscowościach lud zowie ją gniewcem za tę łatwość, z jaką wpada w złość.

Miedzianka żywi się takimi samymi zwierzętami, jak

wąż wodny, ale łapie je zręczniejsz i zwinniejsz; połyka zaś i trawi zupełnie tak samo.

Bardzo rzadko spotyka się u nas wąż Eskulap, którego ojczyzną jest Europa południowa. Przewyższa on znacznie wielkością (2 metry) oba opisane wyżej i odróżnia się wyraźnie ubarwieniem żółtawo brunatnem. Przebywa w starych murach, zwaliskach, wydrążeniach skał, a także w górskich lasach i polankach. Żywi się przeważnie myszami. Nadzwyczaj łatwo oswaja się i przywiązuje do ludzi. On to właśnie służył u dawnych Greków za godło Eskulapa, którego nazwę zachował i dzisiaj.

Ze względu na tępienie myszy, wąż ten bywa zaliczany do stworzeń bezwzględnie pożytecznych, czego nie można powiedzieć o dwu poprzednich gatunkach żywiących się głównie żabami i jaszczurkami. Zresztą, jako zwierzęta mało żarłoczne, bardzo rzadko zrzadzają one tak znaczne szkody, aby warto było ogłaszać je za szkodliwe i wypowiadać im wojnę. Inaczej rzecz się ma z jadowitą żmiją, tym jedynym u nas istotnie niebezpiecznym wężem, którego należy tępić wszędzie i zawsze.

Żmija wielkością (65 centymetrów dorównywa miedziance, a i z barwy bywa często do niej podobna tak dalece, iż nieraz nadzwyczaj trudno jest odróżnić oba te węże. I to jest powód dla którego miedziankę uważać należy za niebezpieczną i szkodliwą, oszczędzając ją bowiem można przez omyłkę pozostawić przy życiu żmiję.

(d. c. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

Znowu „pan”. Stefek rad, jak gdyby go kto na sto koni wsadził. Ale Stefek jest dobrym i uczciwym chłopcem, więc myśli nad tem, jakby oddać przysługę tym biednym ciemniejszym jeszcze od niego ludziom. Słuchami uczucie pychy, budzące mu się w sercu i zastanawiał się już tylko, jak dopomódz podróżnym.

— *Zehn Minuten Aufenthalt!* — krzyczy konduktor.

Dziesięć minut przystanku to dość długo. Zdażył wybiec z wagonu i napompować wody. Jakaś przezorna gospodyni wzięła z sobą blaszaną, inna miała dzbanek. Stefek chwycił oba naczynia, przecisnął się przez tłum i w jednej chwili był już przy pompie. Towarzysze podróży wyglądali za nim z okien wagonu, podziwiając odwagę naszego bohatera i drżąc z obawy, aby nie został na stacyi.

Nie został. Zdażył nawet przypatrzeć się lokomotywie, której okrutnie był ciekawy, i przyniósł wodę spragnionym biedakom. Wdzięczne matki poczęstowały Stefka obwarzankami, a mężczyźni słuchali z uznaniem objaśnień, jakie im dawał „pan”. Objaśnienia te wyczerpały jednak bardzo prędko szczupły zapas wiadomości Stefka. Najtrudniej zwłaszcza było mu odpowiedzieć na pytanie, do jakiej Ameryki należy jechać.

W pojęciu podróżnych Ameryk tych było bardzo wiele. Niektórzy przeciwnie wyrażali obawę, czy na drugiej półkuli znajdzie się dość miejsca dla tych wychodźców, czy zwłaszcza wszyscy dostaną ziemię na własność.

Ziemi, tej ziemi karmicielki, pragnął każdy, bodajby jak najwięcej, ile tylko zabrać dadzą.

— Żeby było gdzie siać pszenicę, jęczmień, owies, żeby kobieta miała swoje zagony pod kapustę, a bydlątka wygon z dobrą trawą — mówił chłop, jadący od Sierpca, i patrzył niespokojnie w oczy Stefka, czekając potwierdzenia swoich nadziei.

Stefek wyrósł więc w wagonie na wyrocznie i chociaż kłopotali go pytania towarzyszy podróży, choć omdlewał z gorąca i ze znużenia, podróż ta nabierała dla niego uroku. Ale urok przysł w Bremie.

O jakże tam źle, jak strasznie! W starym, opuszczonym i na pół rozwalonym dworcu Bremeńskim mieszka przeszło tysiąc wychodźców polskich. Wszyscy czekają na okręt. Ludzie, stłoczeni jak stado bydła, żyją na barłogu, brudni, nędźnie żywieni, oszukiwani przez przekupniów. Plaga emigranta to handlarz. Namawiają ciemnych biedaków do kupowania przedmiotów jakoby nieodzownych w podróży i wyludniają od kolonistów ostatni grosz. Żaden z nich nie widział jeszcze morza ale, opowiadają sobie o niem niesłychane rzeczy.

— Smoki pływają po morzu, jak gęsi po stawie — prawi jakiś wyrostek, a słuchające go kobiety zawodzą płaczem. Połowa tych biedaków wróciłaby do domu, do rodzinnej wioski, gdzie ich rozumiano, gdzie mówiono do nich ludzkim językiem. Ale za co wrócić? Tu przynajmniej żywieni są darmo. Jedzenie nawet nie jest tak złe, coż kiedy inne zupełnie niż to, do którego przywykli w domu.

Dom, ach dom! Nędzna była ta chata, z której wyszedł biedak, emigrujący za chlebem do Ameryki. Ale szumiała nad nią grusza, którą jeszcze ojciec dziadusia sadził, ale wieczorem rechotały żaby w stawie, klekotał bocian na gnieździe, jaskółki uganiały się za muchami. A w Bremie Niemiec szwargocze i wymyśla, tęsknota do swoich targa sercem, a ludzie straszą morzem, straszą żółtą febrą, mówią że dzieciśka nie wytrzymają drogi.

— Ja rodzona matka na zatracenie je wywlokłam — szlocha jakaś kobieta, tuląc do piersi chore dziecko.

Kto raz widział wychodźców polskich w Bremie, ten zrozumie, że tylko nędza i upodlenie ciemnoty poruszyć mogły z legowisk szary tłum dusz ludzkich.

Na kim spoczywa odpowiedzialność za wędrówkę istot bezbronnych, nie zdających sobie sprawy z tego, na co się narażają i co w zamian dostać mogą?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Ale zapamiętajcie sobie tylko jedną prawdę: że zbiorowemu nieszczęściu winne są zazwyczaj setki, może tysiące ludzi. Któż zgadnie, czyja kropla przeważyła szalę. W obec sprawy obchodzącej cały kraj, każdy z sumieniem rachować się musi. Pomyślcie wy, wsi synowie, czy wracając do domu na wakacje przywieźliście czeladzi chociaż jedną książkę, która rozjaśniłaby umysł, ostrzegła przed niebezpieczeństwem. Pomyślcie, wy dzieci zamożnych rodziców, czy zaszłyście kiedy do suteryni, czy wiecie, co się w nich dzieje chociaż macie je pod waszemi stopami? Może dobrą wolą ustrzeżliście nierozważnego chłopca od wędrówki w nieznany świat, jak wywędrował Stefan Luty, jak idzie tylu innych.

A czy zapytaliście kiedy rodziców, ile ludności wychodzi rocznie w świat za chlebem?

Ja wam odpowiem.

Trudno odpowiedzieć stałą cyfrę emigrujących, ale są lata w których dochodzi ona do czterdziestu, a niekiedy nawet do pięćdziesięciu tysięcy.

To tłum, prawda?

A teraz drugie pytanie: Kto prowadzi ten tłum?

Nikt, albo prawie nikt. Trudno temu uwierzyć a jednak tak jest niezawodnie.

Kiedy jesienią odlatują od nas na południe bociany, jaskółki, to jest ład w ich pochodzie. Bociany zgromadzają się na wiece, klucze żorawi ciągną zwartym szeregiem, jaskółki i przepiórki wiedzą, że aby przelecieć morze, czekać należy pomyślnego wiatru, który przeniesie ptaki na drugi brzeg.

Ale co wie chłop emigrujący do Ameryki? Nic, lub prawie nic. To też nędza tych biedaków nie ma granic. A jednak nasi robotnicy pracują dobrze, a żądają w zamian za pracę bardzo mało. Mają na drugiej półkuli znaleźć chleb i lepszy byt tylko trzeba im pomódz dobrą radą, trzeba „nieumiejętnych nauczać”. Pamiętajcie o tem.

Emigracya do Ameryki nie jest zjawiskiem czysto polskim, istnieje w całej Europie, bo wszędzie znajdują się ludzie, pragnący poprawić swój byt. Ale ludzie ci odebrali elementarne wykształcenie, podczas gdy kolonista nie umie najczęściej ani pisać ani nawet czytać. Oszukują go też i wyzyskują bez miłosierdzia wszyscy.

Stefan Luty odnalazł w Bremie Wojciecha Skibę, ale Skiba stracił rezon, z jakim przemawiał na popasie w Goślinie. Inna to rzecz wybierać się w podróż a inna stanąć u pierwszego jej celu. Agieńci, werbujący wychodźców do Ameryki obiecywali chłopom złote góry.

— Aby dojechać do Bremy — mówili, potem pójdzie wszystko jak z płatka.

Wojciech wzrywał ich słowem, a tymczasem w Bremie właśnie zaczęło się prawdziwe piekło dla wychodźców. Jadąc koleją nie czuli, że są na obcej ziemi, dopiero wysiadłszy z pociągu znaleźli się wśród ludności niemieckiej, gardzącej polskim wieśniakiem. Mówiono im, że w Ameryce panuje równość, ale tymczasem pomiatano biedakami, jak wiatr pomiatą śmieci. Skiba patrzył z żalem na swoją gromadę, bo jego towarzyszem działo się źle. Troje najmłodszych dzieci umarło, jedna z kobiet dostała gorączki, a mężczyźni kiwali głowami, zgorszeni. Tyle złego co w Bremie nie widzieli nigdy.

— Boże broń od pokusy — mówili, wątpiąc czy Bóg dopomódz zechce przedsięwzięciu, w którym biorą udział zatracenci i grzesznicy.

Spotykano takich na każdym kroku. Wyrzutki społeczeństwa, uciekający przed karą, przybywają ze wszystkich stron do portów morskich. Dążą za ocean, a nim wypłyną operują ptaszkowie między dobrodusznymi emigrantami. Zdarzali się wśród nich ludzie względnie zamożni i na tych rabusie zwracali baczność, okradając biedaków bez ceremonii, lub wyludzając od nich pieniądze pod różnemi pozorami. Karty grały tu naturalnie największą rolę.

— Macie szczęście gospodarzu, spróbujcie tylko, możecie wygrać tysiące — kusił chłopów sprytny żydek z Poznania, który umiał po polsku.

Kuszone i Stefana. Pokusa była tem cięższa, że chłopiec nie miał już ani grosza w kieszeni, a dokoła emigracyjnego baraku rozstawili kupcy swe budy. Tu teatr marynetek, tam menażerya, dalej olbrzym obok karła, to znów ciele o sześciu nogach. A coż mówić o teatrze małp, które dają przedstawienie jak prawdziwi aktorowie.

Albo dżicy ludzie, pokazujący sztuki z węzami? Któż nie byłby tego ciekawy? A bramin, przepowiadający przyszłość wychodźcom. Czasu nie starczy wyliczać wszystkiego.

Za marne parę trojaków można widzieć dziwa i słyszeć cuda. Ale Stefan nie miał ani grosza w kieszeni. Chodził więc tylko od budy do budy, pożerając oczyma szczęśliwców, posiadających pieniądze. Otwierały się przed nimi drzwi teatrów, podnosiły zasłony ukrywające dziwy pięciu części świata.

Bohater nasz nie zniechęcał się jednak, nie ustawał w oglądaniu zamkniętych dla niego przybytków piękna, bo weselej tu było niż w baraku, wśród płaczu dzieci, lamentu kobiet i ponurych twarzy wychodźców.

Szedł więc rankiem pomiędzy płóciennymi budami kiedy schwytał go ktoś nagle za rękę. Obejrzał się stał przed nim Indyanin z czarnymi włosami upiętymi wysoko. Był ubrany w czerwoną spodniczkę, czerwone i żółte pióra sterczały mu nad czołem.

— Stefek! nie poznajesz mnie? — zawołał najczystsza polszczyzną.

Stefek cofnął się w tył, przerażony. Gdzie i kiedy mógł znać dzikiego człowieka, który wyszczerzał zęby jak gdyby ostrzył je na ludzkim mięsie.

Indyanin wsunął czerwoną łapę pod ramię naszego bohatera i aż kładł się od śmiechu, widząc jego wystraszoną twarz.

(d. c. n.)

MYŚLI I ZDANIA.

Pewnego razu dworacy Filipa Macedońskiego radzili mu, aby skazał na wygnanie człowieka, który źle o nim mówił. Filip odpowiedział: — Nie uczynię tego, bo będzie mówił o mnie jeszcze gorzej.

*

Temistokles, wysłany z Aten na wyspę Andros po pieniądze na prowadzenie wojny ze Spartą, wszedł na radę i wyjawiał cel swego przybycia, lecz znajdując opór, rzekł:

— Andryanie! na poparcie mego żądania przyprowadzam z sobą dwa bóstwa: *Łagodną namowę i Siłę*, wybierajcie teraz, z którym chcecie mieć do czynienia.

Na to Andryanie odpowiedzieli bez namysłu:

— Temistoklesie! na odparcie twego żądania mamy również dwóch opiekunów: *Ubóstwo i niepodobieństwo*, chciejże i ty wybrać, z którym wolisz traktować.

*

Porządek potrzebuje trzech sług: woli, uwagi i stałości.

ZE ŚWIATA.

Jan Bloch. Dnia 6-go stycznia zmarł w Warszawie ś. p. Jan Bloch, jeden z wybitniejszych działaczy społecznych ostatniej doby. Urodzony w Radomiu w r. 1836, ukończył gimnazjum realne warszawskie, poczem dzięki swym zdolnościom i przedsiębiorczości w niedługim stosunkowo czasie dorobił się znacznego majątku i doszedł do wysokiego stanowiska, budując wiele kolei żelaznych i biorąc czynny udział w zakładaniu rozmaitych poważnych instytucji finansowych i ekonomicznych.

Nie ograniczając się jedynie działalnością praktyczną, Bloch opracował wiele cennych dzieł o sprawach kolejowych, o rolnictwie, przemyśle fabrycznym i innych, dotyczących bogactwa kraju i ludności. Najważniejszą jednak z jego prac, znaną na całym świecie ucywilizowanym, jest dzieło p. t. „Przyszła wojna,” w którym, jako gorliwy zwolennik pokoju, wykazuje wszystkie złe skutki przyszłej wojny europejskiej i dowodzi, że byłaby zgubną zarówno dla zwyciężonych i zwycięzców, pozbawiając życia miliony ludzi, niszcząc całe kraje i ich dobrobyt na długie lata. Zmarły, poczynił bardzo znaczne zapisy na cele dobroczynne, między innymi na utworzenie specjalnej instytucji dla dzieci i na stypendya dla studentów Politechniki w Warszawie.

Wypadek z elektrycznością. Pismo francuskie „Revue Scientifique” zamieściło niedawno ciekawy artykuł, o wypadku jaki spotkał p. Andrzeja Broca, uczonego francuskiego fizyka. Skutkiem przypadkowego zetknięcia się z działaniem prądu elektrycznego w Paryżu, p. Broca omal nie został zabity i uratowała go tylko przytomność umysłu asystenta, który w przeciągu trzech sekund prąd przerwał. Prąd miał napięcie 110 Volt, co wystarczyło do wytworze-

nia ciągłego wyładowywania elektryczności pomiędzy dwoma o 6 centm oddalonymi drutami. Broca, który trzymał dwa wielkie elektrody w rękach, został powalony na ziemię, skutkiem ogólnego skurczu mięśni; miał jednak jeszcze tyle czasu, że energicznym wysiłkiem puścił elektrody. Niezwłocznie przypomniał sobie doświadczenia innych badaczy, i pomyślał: — To jest skutek działania prądu, moje serce przestaje bić, jestem zgubiony. — Usiłował jeszcze zawołać do asystenta: — Przetnij drut, — lecz zdołał już tylko wydać okrzyk niezrozumiały. Leżąc na ziemi utracił poczucie rąk, przyczem zdawało mu się, że ściany pokoju pochylały się ku niemu i zabarwiły się na zielono, poczem utracił zupełnie przytomność. Asystent tymczasem przeciął drut i podniósł obojętnego, który niebawem przytomność odzyskał. Broca nie czuł bólów, lecz ogarnęło go uczucie nieopisanej obawy. Mógł chodzić, ale zdawało mu się, że ma tylko głowę i nogi, a pozbawiony jest karkłuba i rąk. Usiłował poruszyć rękami — były zupełnie bezwładne. Gdy asystent dotknął jego dłoni, Broca odczuł przejmujące zimno. Asystent począł go szczypać mocno, czego znów Broca nie odczuł wcale. Wrażliwość mięśni znikła zupełnie. Po czterech minutach wróciły ruchy w stawach łokciowych, a w kwadrans później mógł już Broca jako tako poruszać palcami; z wielką trudnością zdołał napisać jeden wyraz. Wrażliwość skóry i mięśni wracała wolno. Uczucie niesłychanego zimna trwało przez pół godziny. Potem napadło go gwałtowne bicie serca, puls był gorączkowy, to znów ustawał zupełnie; straszny ten stan trwał trzy kwadranse. Następnego jeszcze dnia czuł się Broca jak zbity, i dopiero w 48 godzin po wypadku minęły zupełnie wszystkie przykre objawy.

ZAGADKA.

Są w imieniu mojem: krzak,
Rzeka, korał, ryba, rak;
Trunek, drzewo, karty, lak,
Kilka imion, król i ptak.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-go.

Szarady: Ka — po — ty.

Arytmogryfu:

1) Cyprian. 2) Haga. 3) Czwartek. 4) Izys. 5) Elbrus.
6) Ćma. 7) Tęcza 8) Opat. 9) Mimoza. 10) Ósmy. 11) Dożynki.
12) Zakopane.

Chcieć to móżdż.

Sprostowanie. W Numerze 20-ym „Wieczorów Rodzinnych,” z r. zeszłego, w powieści *Róża bez kolców*, Z. Urbanowskiej, wiersz, zaczynający się od słów „Bogataś ziemio nasza,” jest pióra Ireny Mrozowickiej, a nie M. Konopnickiej, jak mylnie wydrukowano w skutek omyłki drukarskiej. Sprostowanie to po dajemy na żądanie autorki.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Książd Robak w karczmie u Jankiela, wiersz (z ryc.) — Wspomnienia pani Łowczyzny o Elżbiecie z Kowalskich Drużbackiej, przez Sewerynę Duchinińską. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Węże, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Maruda, wiersz przez Helenę Bojarską (z ryc.) — Z życia sławnych ludzi. — Rozmowa z mamą. — Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buy-no. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 21 Января 1902 г.

Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Nr. 7. — Rok XXIII.

Dnia 2 (15) Lutego 1902 r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Stara melodya.

Stara melodya.

*W komnacie gościnnej usiadła w zadumie
 Babunia, o szarej godzinie,
 Gra babci Zosienka, a pięknie grać umie,
 Z pod rączek jej dawna pieśń płynie.
 Melodyi wtóruje duch marzeń skrzydlaty —
 Babunia, z uśmiechem na twarzy,
 Wspomina swą młodość, szczęśliwą z przed laty,
 Wspomina z czułością i marzy.
 I marzy, jak niegdyś wśród pustot, wesoło,
 Zbierała z ojczystych łąk kwiecie; —
 Dziś srebrny włos okrył poważne jej czoło,
 Walk wiele przeżyła na świecie.
 Myśl lotna wstecz bieży, przez chwile i lata,
 I drogie jej każde wspomnienie,
 A tyle postaci się w głowie kołata
 A wszystkie minęły jak cienie.
 Ta dawna melodya na starym szpincie,
 Co dla niej gra wnuczka-pieszczotka,
 Wspomnienia w jej głowie odradza, jak kwiecie,
 I snuje się smętna i słodka.
 Westchnęła babunia, — z pogodą na twarzy
 Spojrzenie kieruje ku Zosi,
 O szczęściu dziecięcia, nie swoim, znów marzy,
 I o nie modlitwę zanosi.*

Władysław Karoli.

Wspomnienia Pani Łowczyny.

O ELŻBIECIE Z KOWALSKICH PRUŻBACKIEJ,

przez

Sewerynę Duchinińską.

(Dokończenie).

— To ty, Marysiu! — zawołała, chwytając mnie w objęcia. — Tobie ja to wszystko zawdzięczam. Gdyby nie ty, utonąłabym we łzach, zatraciłabym duszę w grzesznej rozpacz. Ty byłaś moim aniołem stróżem, moją gwiazdą przewodnią. Przy sercu twojem wyśpiewałam te zwrotki!

Pocałunek mój jedyną był odpowiedzią; milczałyśmy obie.

— Prawdaż to — szepnęła po chwili — piosenki te, zrodzone w duszy mojej, dziś zadzwoniły nad Wisłą, wnet obiegna kraj cały, znajdą oddźwięk w sercu matron i dzieci naszych! Proch kości moich nie będzie wzgardzony! powtórzę za Janem z Czarnolasu, zapytam jak on: „Kto mi dał skrzydła, kto mnie odział pióry, i podniósł tak wysoko, że świat w pełnym majestacie stanął mi przed oczami!” Prawdaż to, rzekła cała drżąca, kiedy kości moje rozsypią się w proch mialki, imię moje brzmieć jeszcze będzie, bom ja pierwsza stanęła tam, gdzie nie było dotąd śladu niewieściej stopy!

Wtem, jakby zbudzona ze snu, zacisnęła oczy rękami.

— Panie! — zawołała — przebac mi grzeszną pychę.

Jam nędzny pył, zlepek Twojej gliny! przystałoż mi chęć się tem, co mi przypadło z łaski Twojej?

To rzekłszy, pociągnęła mnie za sobą; upadłyśmy obie na kolana przed obrazem N. Panny; *Pod Twoją obronę* — wyszeptaliśmy, kornie ku ziemi pochylone. Gdy podniosła głowę, brząsk pierwszy zaświtał, ptactwo jeło szczebiotać na gniazdkach, wierzechołki gór zarysowały się lekko na widnokręgu, Wisłoka zaszumiała po zwirze; wszystkie te dźwięki zlały się w jeden chór, a ponad tem z wieżyczki dalekiego kościoła zabrzmiał dzwon na Anioł Pański.

* * *

Ostatni to był promyk w życiu poetki naszej. Odtąd sypnęły się gradem troski na to serce tak oddane rodzinie, tak spragnione dobra powszechnego. Związek Urszuli z młodym starościcem Wirniolowskim, a później łowczym, mimo że odpowiadał jej chęciom, rozłączył ją przecie z ukochaną jedynaczką, wątłe siły córki budziły w niej bezustanny niepokój. Później zawierucha wstrząsnęła krajem. Po ustąpieniu Augusta, Leszczyński obrany znów królem, wnet ustąpić musiał z tronu, w skutek pogromu Szwedów pod Połtawą. Choraży nie przeżył tej klęski, wkrótce zstąpiła za nim do grobu chorażyna. Osierocona Elżunia zalewała się łzami. Nie dosyć na tem jeszcze. Biedna Urszula traciła po jednym nieodechowane dziatki. W domu jej coraz nowe kołyski wnet zastępowała trumienka. Z sześciorga pozostało ich dwoje. Młoda matka dogasała z dniem każdym. Obie z Elżunią czuwałyśmy przy chorej; nic to nie pomogło, skonała nieboga; w ostatniej chwili powierzyła matce dwoje wątłych sierotek.

Powróciłyśmy do Oczemienia, tu nowa boleść rozdarła serce babki. Na rękę jej skonał dziesięcioletni wnuczek, w parę miesięcy po nim poszła młodsza siostrzyczka.

Spełniła się miara udręczeń dla nieszczęśliwej. Elżunia upadła pod ciężarem krzyża. Z rozdartej piersi, wybuchnęła jeszcze pieśń; była to już ostatnia.

„Czemuż, woła, o Panie! trzymasz mnie na tej ziemi, jak pień dębu odarty z kory, a podcinasz kosą trawki młode? Skrusz lepiej na proch ten żywot nędzny, niemiły sobie, bezużyteczny ludziom.”

Ale po tym wybuchu rozpacz, podnosi głowę, uderza pierś ze skrucą. „Panie, bądź wola Twoja!” zawołała z głębokim poddaniem.

Od tej chwili Elżunia całkiem się przemieniła. Codzień dłuższe godziny spędzała na modlitwie; znać w milczeniu snuła jakiś wątek na przyszłość. Dnia jednego przywołała mnie i skarbnika.

— Drodzy moi — wyrzekła cichym, ale stanowczym głosem — ja wnet opuszczę Oczemień i drogą mi Wisłokę. Pisałam już do sióstr Bernardynek do Tarnowa, mam ich odpowiedź; gotowe mnie przyjąć do siebie; przebaczone mi; tałam to przed wami, pewna oporu waszego, a postanowienie moje niezłomne. Nie wykonam ślubów zakonnych, zapóźno mi już na to, pragnę tylko w cichej celi klasztornej dokonać skołatane go żywota.

— Elżuniu! ja cię nie opuszczę! — zawołałam ze łzami.

— Dziękuję ci — odrzekła — nie śmiałam żądać tej ofiary, ale sama chcesz ją spełnić, z wdzięcznością ją przyjmuję.

Serdeczny uścisk zapieczętował wzajemny układ.

Skarbnik milczał, ciche łkanie zadławiło pierś starca.

— Ojcie — rzekła, zwracając się ku niemu — przebac mi, że cię opuszczam, ale nie będziesz sam na ziemi. Mamy na Haliczu ubogą rodzinę Drużbackich z sześciorgiem niedoroslých dziatki. Ja wam oddaję Oczemień. Zięć mój rzekł się wszelkich praw do spadku po Urszule, Przygarnij do siebie, drogi ojcie, pocziwe gniazdo krewnych. Oddaj chłopców do szkoły, niech matka wychowuje dziewczątka. Nie wątpię, że Kazimierz wybląga im błogosławieństwo Boże.

Skarbnik chciał stawić opór, ale słowa jego rozbiły się o niezłomną wolę synowej.

* * *

W miesiąc potem osiadliśmy obie w Tarnowie. Pobożne siostry Bernardynki pomieściły nas w dwóch celkach przyległych, kazały wybić drzwi w ścianie, abyśmy były bliżej siebie. Cóż tu więcej dodam o mej drogiej Elżuni? Dni jej ubiegały spokojnie. Co rano Msza święta w kaplicy klasztornej, potem przechadzka po ogrodzie, wyszywanie ornamentów, wspólne czytanie ksiąg pobożnych, a do tego szciece odzieży dla ubogich z miasteczka i okolicznych wiosek; nauki dawane dziatwie, którą przyprowadzały nam matki; oto były codzienne zajęcia nasze. Czas ubiegał jakby na skrzydłach; nie spostrzegłyśmy, jak upłynęło lat dziesięć.

Elżunia krzepka na siłach, ukojona zupełnie, czekała aż Bóg ją do siebie powoła. Nastąpiło to, zanim ją wiek przycisnął. Zaczęła bowiem rok sześćdziesiąty, kiedy niemoc powaliła ją na łóżce. Choroba trwała krótko. Gdy śmierć stanęła jej przed oczami, powitała ją bez trwogi. Było to w przeddzień Zielonych Świątek. Opatrzona świętymi Sakramentami, przywołała siostry zakonne. Dziękowała im całym sercem za gościnny przytułek i opiekę.

Gdy odeszły na nieszpory, ujęła rękę moją.

— Nie płacz, Marysiu — rzekła, ocierając łzy, tryskające mi z pod powiek, zobaczymy się jeszcze tam, gdzie nas nie już nie rozłączy. Mnie tak błogo, czuję jak ziemia usuwa się z pod stóp moich!... mgła przyćmiewa mi oczy, ale dusza moja widzi Kazimierza i Urszulę i matkę i ojca. Nad głową moją unoszą się skrzydła śnieżne aniołków moich. — To były ostatnie jej słowa.

W kaplicy tymczasem ozwały się organy. „Przyjdź Duchu Święty, napełnij serca nasze!” śpiewały chórem siostry. Uklękałam u wezgłowia, podałam jej gromnicę. Odmówiłam nad nią akta przy konających; półmartwe jej usta już mi odpowiadać nie mogły, ale czułam, że modli się ze mną. Wreszcie gromnica wypadła z jej dłoni, błądź padła na lica i... serce jej bić przestało!

* * *

Po pogrzebie drogiej mi Elżuni, pożegnałam Tarnów i przeniosłam się nad Wartę do Zabrzezia. Zastałam matkę krzepką jeszcze mimo lat ośmdziesięciu. Zamieszkałam przy niej w owym domku, który ojciec urządził dla mnie, po śmierci męża mego. Brat Franciszek a wasz dziadek z drogą mi bratową, przyjęli mnie serdecznie, jak siostrę. Działwa ich rozbięła się na różne strony, większa część osiadła w Wielkopolsce i pobliskim Mazowszu, co im pozwala na uroczyste święta gromadzić się w domu rodzicielskim.

Bóg u schyłku dni moich przywiódł mnie do rodzinnego gniazda. Żal za drogą Elżunią pozostał w sercu mojem, ale czuję, że ona szczęśliwa, że ją kiedyś zobaczę i to koi tęsknotę moją. Na żądanie wasze nakreśliłam te kartki. Niech jasna postać Elżuni, uczczona godnie w kraju naszym, będzie dla was przykładem i zachętą do pracowności tego a bogobojnego żywota!

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE

(Dalszy ciąg).

Lekkie choroby Zdzisia ukrywano przed matką. Zosia drzwi zastawiała materacami, by płacz dziecka nie dochodził do nieszczęśliwej kobiety, której rozpacz, nie dającą się ukoić, lekarze uważali za chorobę nerwową, bardzo

ciężką. Po dwóch latach przyszedł na świat Józio, potem Alusia, a na końcu Jańcio, cztery lata od niej młodszy.

Pan Bóg więc, jak Hiobowi, powrócił pani Zabrzezskiej, wszystkie jej dzieci. Czas ukoił jej rozpacz, zostawiając tylko smutek, który już zapewne do śmierci nie miał jej odstąpić. Dzieci były wychowywane przez ojca i Zosię, w ciągłej trwodze, by o ten cichy smutek matki nie potraciło wspomnienie utraconych dzieci. Unikano w tym domu wszelkiej wzmianki o przeszłości; wszelkiej rozmowy o chorobach, a wyraz „szkarlatyna” wykreślony został ze słownika otaczających. Choroba ta była widmem, unoszącem się złowrogo nad tym domem i gdy tylko stan majątkowy pana Zabrzezkiego pozwolił na to, kupiono wieś w okolicy zdrowej, lesistej, bez wód i błot, w której zamieszkała matka z nauczycielami i dziećmi, pan Zabrzezski zaś dojeżdżał tylko, gdyż obowiązkowe zajęcia zatrzymywały go w Warszawie.

W Suchowie pani Zabrzezka stała się spokojniejszą i czasem nawet błady uśmiech, dawno niewidziany gość, ukazywał się na jej twarzy.

Dzieci były uszczęśliwione. Po raz pierwszy zapoznały się z prawdziwą wsią, z prawdziwym lasem, z łąkami i polami, bez gracowanych ścieżek; a Zosia ozwała się raz na majówce:

— Ah! jakież to miły taki las, w którym gospodaruje

Pan Bóg — nie ludzie.

— Któryś z autorów powiedział: — odrzekł profesor, — że wieś stworzył Pan Bóg, a miasto zrobili ludzie.

Wieś otaczała dzieci swoim urokiem i odkrywała im powoli swoje tajemnice. Wszystkie dzieci, prócz Józia, przyrzekły sobie, że nigdy w mieście mieszkać nie będą.

Gdy Jańcio taki straszny szwank poniósł od pszczoł, dzieci wszystkie zaniepokoiły się myślą o matce i nawet Jańcio, który tak chętnie skarżył się przed Zosią, udawał spokojnego, gdy matka wchodziła do pokoju.

Ukryto przed nią, że termometr wskazywał u Jańcia gorączkę. Dzieci szeptały z sobą po kątach, wymyślając sposoby utrzymania tajemnicy przed matką, w razie gdyby gorączka trwała dłużej. Zdzis proponował, że się mocno w palec skaleczy, żeby matka opatrując ranę, co bardzo dobrze umiała i całą uwagę na nią zwróciwszy, nie dojrzała, że Jańcio jest rozpalony. Józio, który nie lubił czytać głośno i dla którego siedzenie w pokoju po skończonych godzinach lekcji było męką, postanowił prosić matkę, by mu przy sobie głośno czytać pozwoliła. Alusię wydelegowano do trzymania straży przy drzwiach i do oznajmiania odwiedzin matki u Jańcia, żeby wszystko tak przygotować można było, by się nieszczęśliwa kobieta ani domyśliła, iż Jańcio cierpiał, i by Jańcio płaczliwy, skarżący się, głos zmienił na wesołość i uśmiech, lub by udawał sen spokojny.

— A Zosia mówiła, że nigdy nie udawać nie trzeba — ozwał się płaczliwie Jańcio.

— Tak Jańciu. Ani kłamać, ani udawać nie trzeba, ale można ukrywać niepokój i cierpienie i nie okazywać go. Przecie wiesz, dla czego cię do ukrywania zachęcamy?

— Gdy mię Pan Bóg zapyta, to ja mu powiem dla czego ukrywałem.

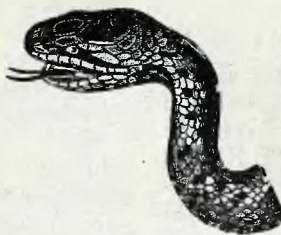
— Nawet mu mówić tego nie będziesz potrzebował, bo On wie i widzi wszystko.

Panna Four, która lubiła bardzo Jańcia, oburzona była na pszczoły, na wieś. Oświadczyła, że: „chez nous à Paris,” nigdy podobny wypadek żadnemu dziecku zdarzyć się nie mógł. To był brak cywilizacji, by ule z pszczołami trzymać blisko domu.

Posprzeczała się o to z profesorem, który utrzymywał, że w Paryżu nie mogło być pszczoł, tak jak w Suchowie, nie było też tramwayów elektrycznych, lub opery; ale że ule z pszczołami żadnej tamy cywilizacji stanowić nie mogły. Panna Four, irytująca się nerwowo nad akcentem pana Chlewiatki, oświadczyła trochę niecierpliwie, że trzeba było się urodzić w ognisku cywilizacji, by wiedzieć na czym ona polega. Profesor zaczął mówić o Grekach i Rzymianach.



Głowa żmii.



Głowa miedzianki.



Głowa węża wodnego.

nach, przyczem myśląc, że ma w ręku ołówek, zapalonym papierosem zaczął coś kreślić na papierze.

W końcu posprzeczała się na dobre. Panna Four wyszła, rzuciwszy profesorowi groźne spojrzenie swych wyrazistych, czarnych oczu. Zosia, która zawsze chciała zagoić wszelkie rany, zażegnać wszelkie burze, i która lubiła pannę Four, wyszła za nią, by ją ukoić, w chwili, w której profesor przerażony gniewem Francuski, włożył zapalony koniec papierosa do ust.

— Obcowanie z takimi ludźmi, jak ten uczony grubianin, musi człowieka przyprawić o nostalgię! — mówiła prędko panna Four, po francusku, warcząc za każdym „r.”

— We Francji, nie znalazłoby się takiego mężczyzny, któryby do tego stopnia nie znał względów należnych kobiecie!

Zosia stała przed panną Four zrozpaczona.

— Pan Chlewiatko jest takim nieszczęśliwym człowiekiem — rzekła. — Nie ożenił się; niema rodziny... Lubiał szkołę, swoich uczniów... lubił kolegów profesorów... Tymczasem, wszystko to stracił. Trzeba mu darować, jeżeli jest czasami dziwaczny...

Panna Four była nieublagana. Powtarzała, że pan Chlewiatko jest człowiekiem źle wychowanym, gburem, prostakiem, nieznanym manier wielkiego świata, dzikusiem, nie wiedzącym, co to jest Paryżanka, a nawet, co to jest kobieta w ogóle. Biedna Francuska była tak rozdrażniona, że na spacerze poobiednim, pomimo swej gadatliwości, milczała, przypatrując się tylko zapalowi, z jakim dziećmi grabiły na wielkie kupy liście żółte, opadłe z drzew. Robota ta podobała się im bardzo. Każde z nich, uzbrojone

w grabie, w które pozaopatrywał je ogrodnik, energicznie zgarniało liście, walcząc o lepsze z rodzeństwem i usiłując zebrać kupę większą od innych. Zdziś dla ugniecenia liści przewracał na nich koziółki.

— Alusia tylko stroszy liście, żeby się kupa wydawała większą — zawołał, a wyróciwszy koziółka, dodał. — O, widzisz, z babki zrobił się placek.

— Ty mi tylko na złość robisz — rzekła płaczliwie Alusia.

Ogrodnik, który w tej chwili przechodził, słyszał wykrzyknik Zdżisia i skargę Alusi, ozwał się więc pojednawczo.

— Tu niedługo deszcz ze wszystkich tych babek placki porobi. Toć przecie jesień, tylko patrzeć, jak się zasłoci; a jak przyjdzie listopad...

— Może właśnie listopad będzie pogodny — rzekł Józio.

— Oj nie! listopad musi być smutny i słotliwy. Mówią, że to tak od łez matek, co płaczą.

Dzieci lubiły bardzo ogrodnika. Był to człowiek już niemłody, znający różne przypowieści i wierzenia ludowe, które zajmowały i bawiły dzieci.

— A grudzień od czego zimny i mroźny? — zapytała Zosia.

— To panienko, dla tego Pan Bóg w tym miesiącu dał grudę, żeby było słyhać dobrze turkot tych wozów, co Trzech Królów ze wschodu wiozły do tej stajenki, w której się narodził Pan Jezus. Tak było wtenczas i tak jest teraz na pamiątkę. Kiedy się królowie mogli trząść, jadąc do gwiazdy Betleemskiej, to i prosty naród może też się trząść i łamać koła na grudzie.

— Antoni to wszystkie takie przypowieści zna.

— A jużci znam, panienczko. Czyżby to człowiek stary był lepszy od młodego, gdyby się niczego przez życie nie nauczył?

— To Antoni mówi, że stary człowiek lepszy?

— Jużci, że lepszy. Jak Pan Jezus chodził po świecie, to sobie na swego następcę wybrał nie Św. Jana, co był młodszy i miał śliczne włosy długie, kręcone, tylko Św. Piotra, co był starszy i miał taką łysinę, jak księżyc w pełni. A choć Pan Jezus wiedział, że go się Św. Piotr zaprze, to go wołał, dla tego, że był stary. Są takie rzeczy, co są lepsze gdy stare: stare nasienie ogórków, stare ogrody, na które się już za króla Cwieczka nawóz kładło — i starzy ludzie.

— Oj, oj! — przerwał Zdżiś. — To już my nic nie jesteśmy warci dla Antoniego?

— Zawsze tam trochę i panienczki i paniczowie warci, bo z was będą starzy ludzie, jeżeli dożyjecie.

— To z młodości nic nikomu nie przyjdzie? — zapytał znowu Zdżiś.

— Żeby panicz wiedział, że nie. Młodość? ani się tem najesz, ani się tem napijesz. Tylko szumi i piana.

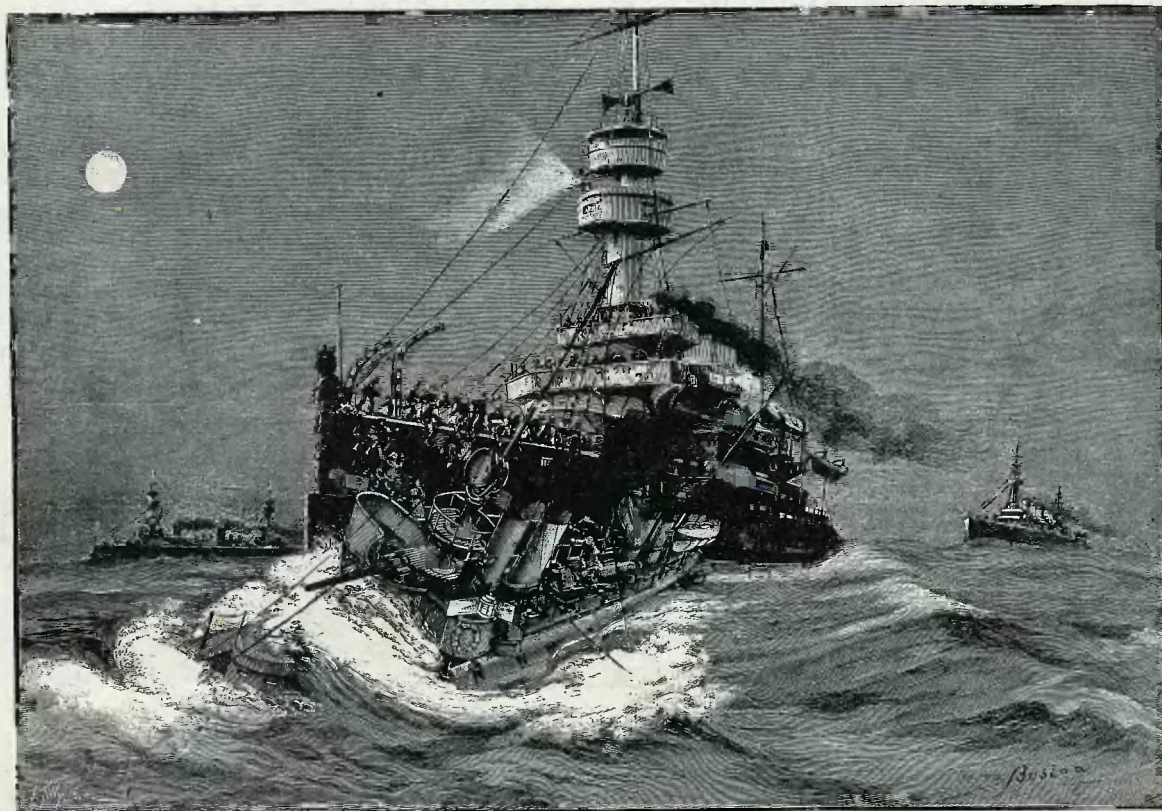


U wiejskiego dentysty. (str. 56).

— Niech-no Antoni jeszcze nie odchodzi. Niech nam Antoni powie, dla czego w styczniu?...

— Eh! Państwo mię tu zatrzymują, a tam bestya Bartek na pewnika nic nie robi. Tylko nad nim nie stój, to ci zaraz ręce w kieszenie powkłada i gwiżdże, nie przy mierzając, jak kos! Jemu tam być ogrodnikiem, jak mnie dziedzicem.

(d. c. n.)



Katastrofa na morzu. (str. 56).

B. Dyakowski.

Węże.

(Dalszy ciąg).

Podobieństwo atoli niezawsze bywa tak wielkie. Ubarwienie węzów w ogóle jest dość zmienne, ale u żmii zmienność ta dosięga niezwykłego stopnia. Bywa ona popielatą szarą, rudawo-burą, zielonkawą, brunatną, czerwono-brunatną (taka właśnie najwięcej przypomina miedziankę) wreszcie czarniawą. Trudno, doprawdy określić, jaki jest właściwy jej kolor. To też nie poznałby jej nigdy, ktoby chciał kierować się jedynie ubarwieniem.

Znacznie ważniejszą jest oznaka następująca: wzdłuż grzbietu od głowy aż do ogona ciągnie się zygawata pręga barwy ciemno brunatnej, jakiej nie posiada żaden inny z naszych węzów. Pręga ta niedostrzegalna jest jedynie u bardzo ciemnych odmian.

Kształt ciała stanowi również bardzo wybitną cechę: jest ono znacznie grubsze, niż u naszych węzów niejadowitych, głowa zaś jest płaska i rozszerzona, o wiele szersza od szyi, od której z tego powodu odcina się bardzo wyra-

źnie. Ogon ma żmija bardzo krótki, wąski i śpiczasty; oczy małe, okrągłe, opatrzone żrenicą pionową, a patrzące zuchwale z pod wystających nad niemi tarczerek.

Wobec oznak tak wybitnych na pozór, mogłoby się wydawać, iż odróżnienie żmii od innych węzów naszych jest rzeczą wcale nietrudną. W rzeczywistości jednak skutecznie się to daje z łatwością wyłącznie wtedy, gdy się ma możliwość wziąć ją spokojnie w ręce i obejrzeć dokładnie, a bez obawy, innemi słowy, gdy się ogląda żmiję nieżywą. Widząc zaś węża, ruszającego się i grożącego

w każdej chwili ukąszeniem, nadzwyczaj trudno jest rozstrzygnąć, czy mamy do czynienia ze żmiją, czy też z jakim innym gatunkiem, zupełnie nieszkodliwym.

Żmija posiada drobne zagięte zęby w obu szczękach tak samo, jak nieszkodliwe węże, ale oprócz tych zwyczajnych w górnej szczęce znajdują się jeszcze dwa duże zęby jadowe, połączone kanałem z gruczołem, zawierającym jad. Zęby te są przedziurawione na wylot, i jad z gruczołów sący się przez nie do ranki, zadanej przez żmiję, powodując zakażenie krwi u zwierzęcia ukąszonego. Dla drobnych zwierząt, jak myszy, żaby, jaszczurki, oraz małe ptaki, jest on stanowczo zabójczy. Na większe działa rozmaicie: tem silniej, im czas jest bardziej upalny i im żmija bardziej kąsała, a tem samem im więcej jadu nazbierało się w jej gruczołach; niezawsze jednak i niewszystkie zwierzęta giną od jej jadu.

U ludzi ukąszenie żmii wywołuje niebezpieczne następstwa, pomimo, iż ranka zadana przez nią bywa zwykle bardzo mała, niewiększa jak od ukłucia szpilki. Zdumiewająca jest doprawdy siła jadu, którego jedna kropelka, dostawszy się do krwi, jest w stanie powodować tak silny skutek! Człowiek ukąszony w krótkim czasie traci siły i słabnie w sposób przerażający, dostaje zawrotu głowy, mdłości, wymiotów; męczy go gorączka i silne

pragnienie; miejsce ukąszone puchnie i dolega mu bardzo, przyczem puchlina i ból przenoszą się wkrótce na sąsiednie części ciała. Śmierć następuje niekiedy już w ciągu godziny. Zwłaszcza silnie i szybko działa jad na dzieci. Nawet w wypadkach kończących się pomyślnie, chorzy cierpią długo i ciężko, a skutki ukąszenia odzywają się często w ciągu tygodni, miesięcy, a nawet lat całych.

Wogóle ukąszenie przez żmiję wymaga zawsze bardzo szybkiego ratunku. Ranę należy natychmiast rozszerzyć, aby krew mogła spływać, obmyć jakim gryzącym płynem, wypalić gorącym żelazem i mocno przewiązać powyżej ukąszonego miejsca. Koniecznym jest przytem posłać zaraz po lekarza, bo, chociaż środków przeciwko ukąszeniu żmii jest dużo, prawidłowy ratunek może dać tylko lekarz, ze względu na szybki upadek sił u chorego.

Najbezpieczniej zaś jest nie narażać się na ukąszenie tego gadu. A ustrzedz się tego nie jest wcale rzeczą trudną, nawet w miejscowościach, obfitujących w żmije. Przedewszystkiem są to zwierzęta nadzwyczaj ociężałe i leniwe. Pierwsza żmija nigdy nie rzuca się na człowieka, chyba, że się na nią nastąpi i niechcący tem ją podrażni. Ale i wówczas jest ona niebezpieczna przeważnie dla ludzi, chodzących boso, zęby jej bowiem są zbyt słabe, aby mogły przegryźć obuwie, zwłaszcza grube. Buty wysokie do kolan zupełnie dostatecznie zabezpieczają nogi, ponieważ żmija nie może podnieść głowy wyżej, jak do kolan dorosłego mężczyzny. Dzieci z tego powodu są więcej narażone na jej ukąszenie, niż dorośli.

Następnie nie należy nigdy brać lekkomyślnie do ręki żadnego węża, o ile nie mamy pewności, iż jest on zupełnie nieszkodliwy. Tem bardziej zaś nie powinniśmy nigdy drażnić żadnego z nich, żmija bowiem przy całej swej ociężałości i całem lenistwie nadzwyczaj łatwo wpada w gniew i wściekłość, przewyższając pod tym względem znacznie miedziankę. Rozdrażniona rzuca się zajądła na przeciwnika i kąsa wówczas wszystko, co jej się nawinie; podstawmy jej kij, a będzie go gryzła ze straszną zaciekłością. Co więcej, rzuca się na swój własny cień i kąsa nawet sama siebie. Tak dalece gniew ją zaślepił! Trzeba zaś wiedzieć, iż ukąszenie jej staje się wówczas znacznie niebezpieczniejsze, na siłę jadu bowiem wpływa także i stopień rozdrażnienia.

Żmija należy do najbardziej rozpowszechnionych węzów: znajdziemy ją na północy w Skandynawii koło 67° szerokości i w górach na wysokości przeszło 2000 metrów. Najchętniej przebywa w wilgotnych lasach i na mokrych łąkach, do wody jednak nigdy nie wchodzi. Chociaż zamieszkuje prawie całą Europę, nie wszędzie jednak jest równie liczna i tylko w niektórych miejscowościach występuje obficie, w bardzo wielu natomiast jest nadzwyczaj rzadką, a nawet nie spotyka się wcale. W każdym razie tam, gdzie się znajduje obficie, należy przyjąć to stałe prawidłó postępowania, żeby nie kłaść się spać w lesie na darni ani nie chodzić po niej boso.

Żmija zamieszkuje nory po myszach, kretach i innych stworzeniach, grzebiących sobie mieszkanie w ziemi. Na polowanie chodzi przeważnie w nocy; dość często jednak można ją spotkać i w dzień, lubi bowiem słońce tak samo, jak wszystkie węże. Główny jej pokarm stanowią myszy.

Upatrzonej ofiary żmija nie goni, lecz wysuwa ku niej szybko przednią część ciała, kąsa ją i kładzie się spokojnie, czekając, aż jad zrobi swoje i mysz lub inne ukąszone przez nią stworzenie padnie nieżywe. Wówczas przyczołguje się powoli i połyka swą zdobycz, rozszerzając paszczę, jak wszystkie węże.

Zimę żmije spędzają towarzysko, złączając się po kilkanaście i więcej do nor podziemnych, dziur pod kamieniami, spróchniałych drzew i innych kryjówek, poczem zapadają w sen, trwając aż do wiosny.

Jaja, składane przez nie w jesieni różnią się tem od jaj innych naszych węzów, że skorupa ich natychmiast po złożeniu pęka i z jajek wychodzą małe żmijątka, 7-10 cen-

tymetrów długie. Syczą one odrazu tak samo jak dorosłe, posiadają zęby jadowe i kąsają natychmiast, jeżeli je zaczepić. Dla ludzi jad ich jeszcze nie jest groźny, ale mysz ginie od niego. Wydając na świat tak uzbrojone dzieci, żmija nie potrzebuje kłopotać się o ich los, zostawia też je odrazu własnemu przemysłowi. Małe żmijki rosną bardzo powoli i dorastają całkowitej wielkości dopiero po 7 latach. W początkach pożywienie ich składa się przeważnie z robaków, które łatwiej im upolować niż myszy.

Oswoić żmiję prawie niema sposobu, jest to bowiem gad nadzwyczaj tępy, niepojęty i nie przywiązujący się wcale. W niewoli odmawia przyjmowanie wszelkiego pokarmu i ostatecznie najczęściej ginie z głodu, co zresztą nie następuje tak prędko z powodu nadzwyczajnej zdolności gadów głodzenia się całymi miesiącami. Przytem zły charakter żmii i niebezpieczeństwo, którem grożą jej zęby, nie zachęcają wcale do trzymania tego węża w mieszkaniu.

Wogóle żmii należy wypowiedzieć zajądłą walkę i tępić ją zawsze i wszędzie. Zjada ona wprawdzie myszy, ale zbyt mało (nie więcej, jak 30—40 sztuk przez całe lato), aby można ją było z tego powodu uważać za zwierzę pożyteczne; dla człowieka zaś jest za bardzo niebezpieczną, możemy więc śmiało uważać ją za stworzenie bezwzględnie szkodliwe. Dzielnymi pomocnikami człowieka w tępieniu żmii są jeże, tchórze i borsuki, a z ptaków mysołowy i bociany.

(d. c. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

Nie poznajesz mnie, a przecież biłem cię tyle razy u Węrebka.

— Leon! — krzyknął zdziwiony Stefan. — Jakim sposobem zostałeś Indyaninem i dlaczego zczerwieśniała ci twarz?

— Cha, cha, cha, — śmiał się Leon — Indyaninem możesz i ty być jutro. Natrzyj sobie tylko skórę brązowem smarowidłem. Nauczę cię sposobu.

— A potem co? — pytał Stefan.

— A potem możesz jak ja dawać przedstawienia w budzie. Z czasem potrafisz nawet tańczyć wśród węzów.

— Wśród węzów! — zawołał Luty ze wstrętem.

— Nie bój się, nie takie to znowu straszne gady. Węże są zrobione z gumy, kręcą się na sprężynie, a syczą za naciśnięciem świstawki.

— I mówisz do publiczności po polsku? — pytał coraz więcej zdumiony Stefan.

— Ale gdzie tam, po Indyjsku. Słuchaj: Eliarum pstrum prochtornum kaligarum przyjamum prokuratrum, czyż to nie język dzikich ludzi, czy co zrozumiałeś? Nic, prawda; oto też nie chodzi. Przy trummm naciskam świstawkę, gady zaczynają syczeć, chłopci żegnają się ze strachu, a ten i ów wydobywa trojaka, bo ja coraz straszniej łypię ślepiami. Patrz, ot tak.

I Leon wywrócił źrenice w głąb, na tle ciemnej jego twarzy świeciły tylko białka.

Stefan nie wierzył własnym oczom. Czuł że postępowanie Leona jest oszukaństwem, ale towarzyszył Wągrowiecki imponował mu swym sprytem i dziwacznym strojem. Po chwili namysłu powiedział jednak.

— Ksiądz proboszcz nie pochwaliłby takiej roboty.

Za cóż bierzesz pieniądze od chłopów, kiedy ich tylko marnisz?

— Ksiądz proboszcz! dobry mi, cha, cha, jakiś ty głupi Stefek, alboż to zła rzecz pieniądze?

Temu Luty zaprzeczyć nie mógł, był bez grosza, a tak pragnąłby posiadać kilka trojaków. Jego dawny kolega mógł mu może nastreczyć jaką pracę.

Pieniądze dobra rzecz i chciałby bardzo zarobić trochę grosza na drogę do Ameryki.

— Mówią, że okręt odpłynie dopiero za trzy dni, może wiesz o jakiej robocie?

W oczach Leona błysnęła radość czy tryumf, udał jednak obojętnego i odpowiedział spokojnie:

— Jedziesz do Ameryki? miałem i ja jechać tam z wujem, ale mi odradzono. W Bremie chleba dostanie, kto chce.

— W Bremie Niemcy, a w Ameryce będę pracował razem z naszymi.

— Pewnie, pewnie, przywłóczył Leon, patrząc z pod oka na Stefka, a potem dodał — robota zawsze znaleźć się może, a ja chciałbym ci szczerze usłużyć. Slusarkę umiesz, bo to ty przecie byłeś u Kolarza. Dawno wyszedłeś z warsztatu?

— Niema tygodnia, majster chciał mnie już wyzwać, a on nie lada komu da świadectwo. Ale na kilka dni nikt nie najmie czeladnika, myślałem, że możesz mi nastreczyć inny zarobek. Jestem silny będę dzwigał ciężary w porcie, albo rąbał drzewo.

— I zyskasz na tem trzy trojaki. Furda taka płaca. Dla dawnego kolegi znajdzie się lepsza. Byłeś w mieście?

— Nie, trzy dni dopiero jak przyjechałem, obco tu, strach zbiera.

— Nie idź sam, bo zabłądzisz, przerwał Leon. Pójdziemy razem, ja dziś funduję, jutro zarobisz, to oddasz. Ale teraz nie mam czasu, muszę otwierać budę, bo ludzie już się schodzą. Przypatrz się tymczasem moim gumianym wężom, masz bilet frei. Po widowisku zaprowadzę cię tam, gdzie, przez godzinę zyskać możesz więcej niż zarobiłeś przez rok u twego Kolarza.

Rozdział VI.

Brema. — Rycerz Roland. — Podziemia. — Mara. — U Szwarca. — Don Jose de Fernambo-Patamos. — Nocna wyprawa. — Jeszcze rycerz Roland. — Złodzieje i zbójcy. — Stefek bohaterem. — Niema ratunku — Nieznajomy.

Brema, słynna od wieków ze swego handlu, nie leży jednak, jak sądziliście zapewne, nad samem morzem. Łączy ją z niem rzeka Wezera, która przepływa przez miasto i dąży do przystani zwanej Bremerhafen. Odległość Bremy od morza wynosi sześćdziesiąt dziewięć kilometrów, to też wychodzący, obozujący w starym dworcu, mieli przed oczami tylko swoją nędzę. Nie dochodził ich uszu szum fal, nie rozrywał myśli ruch oddalonego morza. Miasto dzieli Wezera na Stare i Nowe. Nowe, podobne do wszystkich świeżo budowanych stolic, ma domy wygodne, teatry, sale koncertowe. Tam też gromadzi się zamożniejsza ludność, uciekając z ciasnych uliczek Starej Bremy. Jej zgrzybiałe wąskie o spiczastych dachach kamienice służą prawie wyłącznie za składy i kantory. W dzień wre życie w starym mieście, bo zawierają się tu umowy, robią zakupy towarów, wywożą paki z zamorskimi produktami. Ale wieczór pustoszeje odwieczna dzielnica. Uciekają z niej ludzie zamocni do swoich mieszkań w Nowem Mieście. Na poczerńniętych od starości placach zostają tylko nieme pomniki przeszłości: kamienny Rycerz Roland i spiżowy rycerz Gustaw Adolf. Milczą obaj, chociaż mogliby opowiedzieć ciekawe dzieje, zwłaszcza pierwsze.

W północnych, a do Hanzeatyckiego związku należących miastach miecieckich, stawiano przed ratuszem pomnik rycerza z mieczem w dłoni. Pomniki te niekiedy ka-

mienne, a niekiedy drewniane zwano Rolandami. Były one symbolami wolności i sprawiedliwości.

Stoi taki mytyczny Roland i przed Bremskim ratuszem, ten świadek innych czasów dziwi się dziewiętnastemu wiekowi. Po tylu latach chwały wolnego hanzeatyckiego miasta przyszło mu patrzeć na rozboje. Patrzy i milczy. Ale teraz noc, więc cicho na starym rynku. Po drugiej stronie Wezery brzmia muzyki, w ogrodach, publiczność przepełnia sale letnich teatrów, tu gdzie stróżuje rycerz Roland nie spotkasz nikogo.

Czy nikogo? Patrzymy tylko dobrze. Właśnie wyjrzały z poza muru dwie postacie. Wyjrzały i znikły. Gdzie znikły? Przecież nie pod ziemią.

Kto wie? Pod wązkami kamienicami starego rynku są olbrzymie piwnice, które służą za składy towarów. A jeśli jest między niemi pusta to w mig łatwo się lęgną gady plugawe ... i zbrodnia.

Jakaś obdarta czarna mara zastukała do zamkniętego okna piwnicy.

— Kto tam? — zapytał głos wychodzący z głębi lochu.

— Filadelfia — odpowiedziała kobieta i, odwróciwszy się w stronę rzeki, gwizdnęła trzykrotnie.

Niewidzialna ręka odsunęła tymczasem otwór podziemia. Mara przyklekła na bruku i spuściła nogi za framugę okna. Widocznie znała dobrze piwnice, bo szła śmiało ku drzwiom, prowadzącym do dalszego lochu.

Siedział w nim na kupie brudnych gałganów jakiś wychudły oliwkowej cery mężczyzna i przy świetle kopcającej lampki przeglądał stopy odzieży.

Czego to tam nie było! Jedwabne suknie obok związanej w tobołek bielizny, piękne futro obok żałobnej, krepą obszytej spódnicy.

Mężczyzna nie podniósł nawet głowy od swej roboty. Zapytał tylko ochryplym z zimna i wilgoci głosem:

— Kto cię przysyła?

— Czerwony.

— Co kazał powiedzieć?

— Jutro o ósmej w szynku u Szwarca.

— Co więcej?

— Jest szczur, zabrać wszystkie pięć palców.

— Czeka na odpowiedź?

— Tak

— Powiedz, że jama pełna.

Siedzący na kupie gałganów mężczyzna skinął głową na znak, że nie ma nic więcej do nadmienienia. Mara podniosła z ziemi chleb ukryty pod starymi szmatami i poszła w głąb lochu. Lochy Bremskie, wedle mniemania uliczników, ciągną się aż za Wezerę. Tylko, że nikt tam nie chodzi, bo pokutują w nich dusze zmarłych.

My wiemy już jednak, że nie zmarli lecz żywi ludzie zamieszkiwali ciemną na pozór piwnicę pod starym rynkiem. Zostawmy ich w spokoju a sami zajrzyjmy do szynku Szwarca na Fischergasse. Jest to uliczka zbudowana wzdłuż Wezery, najbrudniejsza chyba i najnędzniejsza w całej Bremie. Zapach zepsutej ryby unosi się tu ponad niewysychającym nigdy błotem. Wszystko w tym zaułku ma kolor szary, zarówno mury domów jak i przepojone wilgocią powietrze. Z głębi szynków, a szynk w portowym mieście napotkać można wszędzie, słychać krzyki i piosnki podchmielonych marynarzy. Przepijają ciężko zarobiony grosz, bo czeka ich nowa podróż, chcą wesoło spędzić krótkie dni odpoczynku.

Wesoło jest zwłaszcza u Niemca Szwarca, ciekawe tam spotykano typy. Szynk dotykał prawie rzeki. Potknąwszy się można było łatwo wpaść do Wezery i nie wypłynąć z niej więcej, bo prąd w tem miejscu płynął bystro. Mówiono też, że takie wypadki zdarzały się dość często. Znikali ludzie z szynku, ale gospodarz umiał się bronić przed dochodzeniem policyi. Czyż winien temu jeśli między podchmielonymi jego gośćmi wynikła bójka, której następstwem, że ktoś tam wpał do wody? Ktoś wypływał czasem z nurtów Wezery, ale wypływał obdarty do koszu,

a złośliwi utrzymywali, że nieszczęśliwe wypadki zdarzały się u Szwarca ludziom, którzy przychodzili do szynku z do-
brze naładowanym trzosem. W portowym mieście tyle
dzieje się rzeczy, o których słuchać straszno.

Do takiej to nory wprowadził Leon Ziemiak Stefka, ucztowawszy go wprzód piwem i gorącymi kielbaskami zamiast obiadu. Leon zmył z siebie brązową farbę i przystroił się odświętnie. Nie przypominał w niczem Indyjani-
na, Stefek podziwiał jego strój. Kamaszki Leona błyszczwały, jak lakierki, czerwony krawat zawiązany z fantazją spadał na sztywny gors koszuli. Co zaś najwięcej zainpo-
nowało Stefkowi to mina, z jaką Ziemiak chował w kie-
szenie kamizelki nie tylko dobrze wypchaną sakiewkę, ale zegarek z długą świecącą dewizką.

— Wyglądasz jak pan, nie będę śmiać iść obok ciebie — powiedział Luty, kiedy wychodzili z budy.

Szedł jednak, bo Leon zachęcał go łaskawie, wspomi-
nając chętnie Wągrowiec, choć mówił o nim ze wzgardą, on bywalec, który znał nie tylko Bremę ale nawet Berlin.

Stefek nie stanął w obronie rodzinnego miasta. Był jak pijany; wszystko co widział wydawało mu się snem. Ty-
le wrażeń doznał, takie słyszał dowcipy z ust Leona, że szumiało mu nie tylko w uszach ale w duszy. Od tego szu-
mu wewnętrznego ogłuchło w nim sumienie i serce. Zda-
wało mu się czasem, że nie jest sobą. Tak spędził pamię-
tny ten dzień. Zakończył go u Szwarca, gdzie widział pierwszy raz złoto rzucane na kartę i zgarniane do kiesze-
ni jak powszednia plewa.

Kiedy Stefek obudził się nazajutrz w baraku, Leon stał już przy nim i nie pozwolił mu nawet zmówić pacierza. Do-
tąd zaczynał zawsze dzień modlitwą. Jak się miał dla nie-
go skończyć ten, w którym zapomniał o Bogu?

Tymczasem nadszedł i wieczór. O ósmej oba wycho-
wańcy Werębka byli już u Szwarca. Gospodarz powitał gości jak dobrych znajomych. Mrugnął znacząco na Zie-
mniaka i wskazał przybyłym drzwi, wiodące w głąb lokalu. Pokój, do którego Leon w prowadził Stefka, nie był pró-
żny. Siedział przy stole chudy, oliwkowej cery mężczyzna i zapijał grog. Leon kazał dać piwa a przy piwie znajo-
mość robi się łatwo. Luty dowiedział się też bardzo prę-
dko, że oliwkowej cery pan jest bogatym Brazylijczykiem, który przybył do Bremy dla interesów, że mieszka na Sta-
rym Rynku i że się nazywa don José de Fernambo Patamos.

(d. c. n.)

Nasze ryciny.

Katastrofa na morzu. Straszny jest pożar, gdy wielkie przybierze rozmiary, straszna — powódź, gdy znie-
nacka nawiedzi mieszkańców. Ale straszniejszą bywa ka-
tastrofa na morzu, tam bowiem o jakimkolwiek ratunku najczęściej mowy być nie może. Najgorszą zaś z katastrof

morskich, gorszą od burzy i uderzenia o skały — jest spot-
kanie dwóch statków, które zazwyczaj zdarza się w czasie mgły, a niekiedy podczas nocnych manewrów floty wojen-
nej. Taki właśnie wypadek przedstawia nam rycina. Tor-
pedowiec francuski „Framé” całą siłą pary najechał na olbrzymi pancernik admirałski „Brennus” i w ciągu kilku-
nastu sekund zatonął z całą załogą, liczącą 68 ludzi. Ja-
kim to stało się sposobem — tajemnica dotąd nierozstrzy-
gnięta, bo zanim z Brennusa spuszczone liny ratunkowe, torpedowiec był już pod wodą.

U dentysty wiejskiego. Scena, którą przedstawia nasza rycina, dzieje się we Francji, bo tam w każdym mia-
steczku, jest stały dentysta, do którego ludność miejscowa chętnie się zwraca. Pyszne są twarzyczki młodych pacyen-
tów, pełne cierpienia a zarazem strachu. A jednak denty-
sta to prawdziwy dobrodziej, lecz trzeba się doń udawać nie tylko wtedy, gdy ząb boli, ale pierwszej jeszcze, skoro tylko zauważymy najmniejszą plamkę na emalii. Korzysta-
my ze sposobności, aby czytelnikom „Wieczorów” zalecić jaknajstaranniejsze utrzymywanie w czystości swych zębów, co ma nader wielkie znaczenie dla zdrowia. Pamiętajcie o tem wyrzeczeniu pewnego mędrca: Niema tak wielkiego nieszczęścia, któregoby ból zębów nie powiększył. A więc starajcie się tego bólu unikać.

S Z A R A D A .

*Drugie z pierwszym to bystra i ogromna rzeka,
Znana dobrze z opisu, choć od nas daleka.
Trzecie z drugim też rzeka; lecz z sznurów, lub nici,
Takiż przedmiot człek robi, gdy iglicę chwyci.
Wszystko wraz chińskiej wyspy miasto i osada,
Nad któremi rząd jednak portugalski włada.*

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ul. Arbiter elegantiarum.

Z następujących sylab: a—al—am—an—ar—be—bar—
bo—brzo—cerz—ci—ce—dyo—des—dra—dy—Eas—de—dye
der—di—e—gram—glia—fa—i—in—je—ka—krym—ko—lek—le
lu—ksan—lo—me—mi—no—ne—niec—ne—non—na—o—o—on
pa—re—ron—ry—res—ro—te—taj—teć—ta—wa—waj—wno
zan—zan—za—zi—ułożyć 25 wyrazów, których początkowe
litery złożyć mają tytuł drukującej się powieści w Wieczorach.
Znaczenie wyrazów: 1) Jeden z bohaterów wojny trojańskiej. 2) Wieś pamiętna bitwą w r. 1809. 3) Rzeka w Niemczech. 4) Postać biblijna. 5) Wyspa Jońska. 6) Góry w Azji. 7) Rzeka w ks. Pozańskim 8) Dopływ Uralu. 9) Cezar rzymski. 10) Pół-
wysep w półn. Rosji. 11) Żołnierz średniowieczny. 12) Poeta pols. z XIX w. 13) Przyrząd optyczny. 14) Bohater tebański. 15) Kapłani pogańscy na Litwie. 16) Kraje w Azji. 17) Grecka bogi-
ni. 18) Wybrzeże Afryki. 19) Król macedoński. 20) Król izrael-
ski. 21) Instrument muzyczny. 22) Miasto gubern. 23) Wodna bogini litewska. 24) Drzewo liściaste. 25) Państwo w Europie.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Stara melodia, wiersz przez Wł. Karolego (z ryc.) — Wspomnienia pani Łowczyń o Elżbiecie z Kowalskich Drużbackiej, przez Sewerynę Duchinią (dok.) — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Węże, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Nasze ryciny: Katastrofa na morzu. U dentysty wiejskiego. — Łamigłówni —

Dodatek: Przytomny Władzio (z ryc.) — Z książki przysłów, wiersz przez Lacha. — Z życia sławnych ludzi. — Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dworzani królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою. Вapмава 27 Янвapя 1902 p. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Do pow. „Stefek Luty w Brazylii.”



Rys. Wł. Jasieński.



...Przed nim stał Indyanin, ubrany w czerwoną spódniczkę, czerwone i żółte pióra sterczały mu nad głową.

— Stefek! nie poznajesz mnie? — zawołał najczystsza polszczyzną. (Rozdział V.)



O MIŁOSIERDZIU BOŻEM.

Z nauk ks. Gralewskiego.

I.

Nie potrzebuję wam mówić, moje dzieci, gdyż dobrze o tem wiecie, jaki jest cel waszego zbierania się na rekolekcyje. Pan Bóg gotuje wam wielką łaskę, wielkie dobrodziejstwo. Macie się z Nim pojednać, macie oczyścić dusze wasze, dostąpić przebaczenia waszych grzechów. Patrzcie, jak Bóg was kocha, jak serdecznie troszczy się o was. Słyszeliście pewno kiedy, że Bóg porównywał siebie do pasterza. A cóż to pasterz robi? Widzieliście, z jaką to troskliwością ochrania swoje owce, jak je strzeże przed niebezpieczeństwem, wybiera pastwiska, obmyśla pokarm, ciepłe mieszkanie, spędza owieczki pod dach... słowem, jak bardzo jest o nie troskliwy. Otóż, jak pasterz dobrym jest i troskliwym dla owiec, tak też dobrym, troskliwym i miłosiernym jest Pan Bóg dla grzeszników. „Jam jest pasterz dobry, znam owce moje i one mnie znają,” — mówił Pan Jezus.

Wiecie, drogie dzieci, z katechizmu, kto to jest Bóg uczyliście się także o przymiotach Pana Boga! mądrości wszechmocności, świętości, sprawiedliwości i t. d. Wiedzieć więc, że kiedy mowa o przymiotach Bożych, to chociaż one są wszystkie równe, wszystkie bez miary i końca, jednak w stosunku do nas największem się wydaje Jego miłosierdzie, bo jak mówi Pismo św: „Zmiłowanie Jego nad wszystkie dzieła Jego.”

Niepodobna wypowiedzieć, jak wielkie jest Jego miłosierdzie dla wszystkich, starszych i młodszych, a zwłaszcza dla dzieci. Pomówmy o tem, jak ono wygląda, a najpierw patrzmy, jakie to miłosierdzie w przyjściu Pana Jezusa na ziemię. Bo pocóż On przyszedł? Sam On powiedział o sobie: „Przyszedł Syn Człowieczy szukać i zbawiać, co było zgineło.” I dla tego opuścił tryumfy i radości niebieskie, i przyszedł na ziemię, i żył na niej taki upokorzony, taki cierpiący, taki biedny. W stajni się urodził, w żłobku spoczywał, ucieka przed Herodem. A potem, w dalszym życiu nic innego, tylko trudny, umęczony, boleśny... wreszcie męka i śmierć okrutna!.. Tyle się naciępił, nabołał... jeszcze Mu wzgardą za to zapłacili... On to wszystko zniósł, a zniósł chętnie... Poco? Bo On przyszedł „szukać i zbawiać.” Szukać tych, co zginęli, i zbawić... I po to też przyszedł, aby ciebie, dziecko, poszukać i zbawić. To też ciągle ta sprawa Go zajmuje, myśli o tobie, opiekuje się tobą, obmyśla wszystko dla ciebie. I cała ta opieka Boża nad tobą do tego zmierza, abyś ty był dobry, abyś nie grzeszył.

Różnych Bóg do tego sposobów używa. A najpierw Bóg dał ci rozum, wolę i serce, abyś Go rozumiał i słuchał i kochał, a nie tylko Jego samego, ale oraz i to wszystko, co od Niego pochodzi, co z Nim jest związane. A cóżes ty uczynił? Jaki pożytek odniósłes z tych dawań Bożych? Jakżeś ich używał? Czyś ty się starał poznawać, i kochać, i czynić to, co dobre, to, co Bogu się podoba? Nieprawda, tyś rozumu swego używał na złe... tyś się dopytywał ciekawie, i słuchał, i uczył rzeczy brzydkich, złych, grzesznych. A woli swej jak używałeś? Czyś zawsze słuchał tych, którzy ci miejsce Boga zastępują? Nie, tyś się niestety opierał, tyś przekraczał zakazy rodziców, opiekunów, przełożonych... A serce twoje? Czyś ty kochał to, co dobre, co piękne, miłe Bogu? Nie, tyś kochał złe, kochałeś nieposłuszeństwo, kłamstwo, próżniactwo... zamiast kochać to, co dobre, co z Bogiem jest. A wiedziałeś dobrze, co robisz, gdyż Pan Bóg na to, abyś ty sam rozumiał, że grzeszysz, że to a to rzeczywiście jest złe, niedobre, dał ci sumienie. Co to jest sumienie, pewno wiecie z katechizmu. To jest

głos wewnętrzny, który nas ostrzega przed grzechem, niepokoi po grzechu. Wszak pamiętasz, kiedyś co zbroił, to cię — niepokoiło, taki miałeś wstyd sam przed sobą, tak ci jakoś było niewesoło... śmiać się i rozmawiać chwilowo zapominałeś... pewnie się bał... Kiedyś się znalazł sam jeden, kiedyś się w nocy przebudził... czułeś, jakby cię kto gonił, jakby ci wyrzucał to, coś zrobił... Co to był za głos? To głos sumienia. Ale nawet przed grzechem sumienie się odzywa. Przypomnij sobie, jak to chciałeś jakiegos figla spleść, albo skłamać, albo oszukać, coś cię wstrzymywało, odradzało... wahałeś się. Kto ci to dał? Bóg... Bóg tak dobry, że pilnuje grzeszników, aby nie grzeszyli a przez to nie ściągnęli na siebie kary. Wiedząc, dziecko że to wszystko, przed czem sumienie ostrzega, tego robić nie można, to jest grzech.

Idźmy dalej. Czy opieka Boża na tem się kończy? O! nie, opieka ta rozmaicie się objawia nad wszystkimi ludźmi. W jaki sposób Pan Bóg jeszcze opiekuje się dziećmi? Dał im rodziców, a jeśli tych zabrakło, daje opiekunów; następnie daje przełożonych, nauczycieli, kapłanów, spowiedników. Opieka rodziców, zastępców Boga względem dzieci, polega na tem, że dzieci prowadzą do dobrego. Żeby wiedzieli, jak tego dokazać, dał im Bóg przykazania. Dał doświadczenie, a oni korzystają z tego, dając wskazówki, rady, upomnienia. W przykazaniach niema tego, kiedy masz iść spać, kiedy wstawać, uczyć się, jeść, bawić się i t. d.; rodzice ci to mówią. Kogoż oni wyręczają w tych drobiazgowych przepisach? Oto Pana Boga. Tak jest, Bóg się nimi wyręcza i przez nich opiekuje się nie tylko twoim ciałem, ale i twoją duszą, umysłem, charakterem. Opieka rodziców zastępuje opiekę Bożą.

Oprócz rodziców, masz jeszcze inne osoby, zastępujące ci Pana Boga. Czego rodzice nie mogą wykonać sami, powierzają to innym ludziom. Macie więc nauczycieli, przełożonych: ci opiekują się wami w szkole, kiedy rodziców przy was niema, tam pilnują waszego porządku, tam strzegą waszego zachowania. I znowu tu opieka Boża występuje w osobach przełożonych.

Dalej — rodzice nie wszystkie przysługi mogą wam oddać. Nie mogą wam dawać duchownych posług, nie mogą udzielać Sakramentów... więc znowu część swej władzy nad wami zlewają na kapłanów. Słowem, widząc, że Bóg ojcostwo swoje przelewa na rodziców, a ci przelewają część praw swoich, zajmowanie się sprawami ciała i duszy dzieci, na innych ludzi. Nowy to dowód troskliwości Pana Boga o was... tak was hojnie zaopatrzył, aby pomnożyć wasz zasób wiedzy, nauki, przymiotów.

A czyż nie wiecie, że każdy ma swego Anioła Stróża, który się nim opiekuje, strzeże go, prowadzi, jak najlepszy przyjaciel? „Spracowałem się, stojąc u wrót duszy jego,” — mówi twój Anioł Stróż; jakąż wdzięczność Jemu i Bogu za Niego winien jesteś. „Aniołom Swoim rozkazał Bóg o tobie, aby cię strzegli we wszystkich drogach twoich,” — mówi Pismo św. Zastanów się tylko, moje dziecko, jak to troskliwie Bóg się tobą opiekuje. Wszystko, co ci się w życiu zdarzało, także jest dowodem Bożej dla ciebie dobroci. Widziałeś w życiu swoim różne chwile... i smutne i wesołe... To cię chwalono, nagradzano, dostarczano przyjemności... to znowu karcono, karano... Wszystko to, wierzaj, zmierzało do tego, żebyś ty był dobry. Poco cię chwałą? Poco ci sprawiają jaką przyjemność? Aby cię zachęcić i nadal do takiego samego postępowania, jakie na cię pochwałę ściągnęło. Poco cię strofują, poco cię pozbawiają przyjemności, poco karzą za pewne postęпки? Żebyś już tego nie robił, żebyś miał wstręt do postępku, który strofowanie lub karę wywołał. Tem wszystkim Pan Bóg rządzi. Dobrocią usiłuje cię pociągnąć do dobrego; gniewem i karą — nawrócić, kiedyś zgrzeszył. Pan Bóg pragnie cię poprawić, sprostować, chce cię przynaglić do życia dobrego, pocziwego... bo ty chcesz postępować źle. A kto to jest ten Pan Bóg, który się tobą tak bardzo zajmuje i troszczy? Uczysz się katechizmu i umiesz pewno

odpowiedzieć: Pan Bóg jest Stworzyciel nieba i ziemi i najwyższy Pan wszystkich rzeczy; pomyśl sobie, dziecko drogie, co to za dobroć tego Boga, tak wielkiego, dla ciebie, takiego marnego!... Bóg — to istota najdoskonalsza, nieogarniona, niepojęta, sama w sobie wszystko znajdująca... Istota, która niczego od nikogo nie potrzebuje, której dziełem jest świat cały... z tobą, takim małym, takim niedobrym, grzesznym, chce się wdać, rozmawiać... niczego nie zaniedbuje, żeby ciebie ze złego zrobić dobrym. Jakiż to dowód Jego dobroci!

Zofia Kłowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE

(Dalszy ciąg).

III.



Dzieciom ich pracę przerwało wydarzenie rzadkie i które je zawsze wstrząsało do głębi. Ojciec ich przyjechał niespodzianie. Pan Zabrzski nigdy naprzód nie uwiadamił o swem przybyciu, gdyż oczekiwania i myśl o wypadkach kolejowych zanadto denerwowały jego żonę. Gdy dzieci usłyszały z ust nadbiegającej pokojówki wyrazy: „*Pan przyjechał*,” zostawiły pannę Four na środku ścieżki, zdziwioną i napróżno pytającą, co się stało. Wszystkie, jak stado ptaków, frunęły ku domowi i wkrótce otoczyły ojca, który je witał i tulił do piersi, a nakoniec z niemi wszystkiemi wtargnął do pokoju matki, która krzyknęła z radości. Byli wszyscy razem i na chwilę uczucie szczęścia udzieliło się nawet pani Zabrzskiej, której twarz zwykle smutną, opromieniał uśmiech i oczy, które zdawały się widzieć w około siebie same rzeczy smutne, błysnęły rozradowaniem. Jańcio znalazł się na kolanach ojca, na które sam się wdrapywał i uważał je za swoją własność; Zosia, stanąwszy za krzesłem, objęła szyję ojca ramieniem.

Pan Zabrzski kochał wszystkie swoje dzieci jednakowo, ale się bał, by pieszczoty nie popsuky chłopców i Alusi; Zosię zaś uważał za osobę dojrzałą i dorosłą, i tę pozwalał obsypywać siebie pieszczotami. Stąd wyrosło w rodzinie mniemanie, że Zosia była ukochaną córką pana Zabrzskiego. Żadne z dzieci nie zazdrościło jej jednak, bo Zosia była przez rodzeństwo uważana za coś wyższego i lepszego, co zasługiwało na wyjątkową miłość. Pan Zabrzski był Warszawianinem, wychowanym w Warszawie i to miasto wesołe, miłe i żywe, położyło na nim swe piętno. Lubił się śmiać, był z natury wesoły, miał zawsze jakiś koncept na ustach, był dowcipny i z upodobaniem powtarzał dowcipy innych. Po śmierci swych dzieci, przez dłuższy czas nie mógł odzyskać swej werwy, ale teraz, gdy widział wkoło siebie gromadkę ukochaną, a dość liczną, gdy żona jego powoli odzyskiwała zdrowie, jeżeli nie wesołość, powrócił do dawnego usposobienia i humoru. Tam gdzie on się znajdował, tam musiało być wesoło. Więc dzieci, kochając go jak ojca, przepadały za nim jeszcze jak za towarzyszem, z którym wybornie się bawiły. Jańcio tak wierzył, że ojciec dla własnej przyjemności podzielał ich rozrywki, że siedząc na kolanach ojca, rzekł do niego zaraz na wstępie:

— Tatusiu! tatusiu! pójdziemy koziołki wywracać na liściach.

— Na liściach?

— Tak, tak, na suchych liściach, nagrabilonych na kupki w ogrodzie. Moja kupka najmniejsza, ale Józiowa będzie dla tatusia doskonała!

— Eh, Jańciu, takie niedorzeczności wygadujesz — rzekła Zosia.

— Daj mu pokój, Zosiu — odparł ojciec — on widzi taką przyjemność w tego rodzaju gimnastyce, że chce, bym i ja zażył owej przyjemności. No, Jańciu, koziołków wywracać z chłopcami nie mogę, ale urządzimy sobie inne zabawy. W dni pogodne, będziemy odbywali różne wyprawy; w dnie deszczowe będą bale. Mama będzie grała na fortepianie, ja będę tańczył z panną Four, Zdzis z Zosią, Józio z Alusią, a Jańcio, z tą wielką lalką, którą Zosia zamyla do szafy, by jej dzieci nie popsuky.

— A pan profesor, pan profesor? — zawołał Jańcio.

Dzieci wybuchnęły śmiechem na myśl, że pan Chlewiatko mógłby należeć do ich zabawy.

— Ciekawa jestem, czy on tańczył kiedy w życiu — rzekła Zosia.

— Zapytamy go dziś przy kolacyi. Czy to dziś na niego była kolej spaceru?

— Nie tatuńciu! dziś byliśmy w ogrodzie z panną Four.

— A gdzież w tej chwili może być pan profesor? Rad-bym dłoń jego uściskać.

Jańcio zerwał się z kolan ojca i nie mówiąc o swych zamiarach, wybiegł z pokoju. Lubił on bardzo wyręczać służącego w dzwonieniu na obiad, podwieczerek czy kolację, a rodzice nie sprzeciwiali się wcale temu, że Jańcio spełniał często obowiązek dzwonnika.

Zgromadzona w pokoju matki rodzina, usłyszała nagle odgłos dzwonka, a pani Zabrzka zdumiona, rzekła:

— Cóż to znowu? Dopiero wpół do czwartej, przecie to jeszcze nie czas na podwieczerek.

— Ach, to Jańcio — zawołała Alusia — on dzwoni na pana profesora. Tatuś chciał się z nim przywitać, więc Jańcio wymyślił sposób.

Wszystkie dzieci się śmiały, zaś pan Zabrzski, bardzo niezadowolony, wstał spiesźnie z krzesła.

— Nie można tak z pana profesora żartować — rzekł z niepokojem. — Jańcio zasługuje na karę za swój pomysł.

— Profesor się nie obrazi — upewniała Zosia. — On Jańciowi na wszystkie figle pozwala. Ale ten Jańcio! taki malec, a już spostrzegł, że profesor przez roztargnienie, gotów przyjsć drugi raz na obiad.

— Muszę pana profesora za niemądry pomysł Jańcia przeprosić.

Pan Zabrzski szedł ku stołowemu pokojowi, a za nim wszystkie dzieci. Po chwili z przeciwnych drzwi ukazał się profesor. Był zamyślony, deklamował wiersze greckie, gdyż właśnie dzwonek Jańcia zastał go tłómaczącego Odyseę. Przybrany był dziwnie, bo na stojącym kołnierzyku, przypięty był wykładany, a na surdut płócienny, który nakładał do pracy, przywdziana była kurtka z cienkiego sukna.

Wszyscy, nawet pan Zabrzski, wybuchnęli śmiechem.

— Co, spóźniłem się na obiad? — zapytał profesor.

Nowy wybuch śmiechu.

— Kochany profesorze! chciałem pana powitać — odezwał się pan Zabrzski.

— Zdaje mi się, żeśmy sobie dzień dobry mówili przy śniadaniu — rzekł bardzo uprzejmie profesor, który w tej chwili znalazł w swej głowie wyborne wyrażenie polskie na wyraz grecki, którego przetłómaczenie było bardzo trudne.

— Profesorze kochany! — zawołał pan Zabrzski, biorąc go w objęcia. — Zdaje mi się, że będę musiał się panu przedstawić, jak człowiek, którego pan widzi po raz pierwszy. Pan mię poprostu nie poznaje.

Profesor oprzytomniał. Zrozumiał, że już było po obiedzie, że sam miał na długim kitlu białym czarną kurtkę i na szyi dwa kołnierzyki, jeden na drugim. Wkrótce jednak, ten szczęśliwie znaleziony wyraz polski, na przetłó-



Dawny zamek w Hży. (str. 63).

maczenie wyrazu greckiego, znowu pomieszał szyki w jego rozumnej głowie. Pan Zabrzeski chciał obejść gospodarstwo i po podwieczorku wybrał się pieszo na tę wycieczkę, wyprosiwszy u nauczycieli dla dzieci rekreację, z powodu przyjazdu ojca. Chciał by wszyscy mu towarzyszyli i matka i nauczyciele i dzieci, między którymi wielka radość powstała z tego projektu. Otoczyli ojca skacząc i klaszcząc w ręce. Panna Four odmówiła, oświadczając, że lubiła chodzić, ale tylko po trotuarze i że „*chez nous à Paris*,” trotuary na niektórych ulicach były niezmiernie szerokie. Profesor poszedł, ale wkrótce wpadł w zamyślenie i widocznie zupełnie nie wiedział gdzie się znajduje. Na gościńcu, który w poprzek przechodzono, by się dostać na pola, gdzie kopano kartofle, pan Zabrzeski spostrzegł, że profesor kłania się jakiemuś przechodzącemu włościaninowi, z wyrazem ogromnego współczucia i jakby uszanowania.

(d. c. n.)

B. Dyakowski.

Węże.

III. Węże Olbrzymie.

Nasze węże nie odznaczają się ani wielkimi rozmiarami, ani wielką jadowitością. Co innego gatunki zwrotnikowe, przewyższające znacznie długością nawet węża Eskulapa, a jadowitością żmiję. Groźne to są istotnie stworzenia, ale jeszcze groźniej wyglądają w opowiadaniach krajowców oraz wielu podróżników europejskich. Wyrosły w nich one na bajeczne potwory, duszące swymi splotami słonia i tygrysy lub mordujące setki

ofiar jadem swych zębów, oraz żywiące się trującymi roślinami, aby jad ich nabrał tem większej siły i tem pewniej zabijał ludzi i zwierzęta.

Bujna wyobraźnia i skłonność do przesady, właściwe ludom południowym, miały tam obszerne pole do popisu. Ale i wielu podróżników europejskich, przejętych chęcią imponowania widzianymi cudami, powtarzało te baśnie, nieraz powiększając je jeszcze i przyozdabiając własnymi dodatkami. Jedni opowiadali o węzach, których właściwie nigdy nawet nie widzieli, z konieczności więc musieli powtarzać to co słyszeli od krajowców, inni znów opisując gatunki istotnie widziane, ale z daleka, mimowoli wpadali w przesadę, wąż bowiem z powodu bardzo wysmukłej postaci, wydaje się zawsze dłuższym, niż jest w istocie.

Dopiero podróże, przedsięwzięte przez wykształconych podróżników, rozwiały baśnie i wydobyły ukryte w nich jędro prawdy. Przyznając, iż wśród węzów zwrotnikowych istnieją gatunki bardzo jadowite, wykazali oni jednak, że liczba ich nie jest tak rozpaczliwie wielką ani okazy ich nie dosięgają tak bajecznych ilości, jak podawali krajowcy. I wielkość olbrzymich węzów zmalała również: żaden wiarogodny podróżnik nie znalazł wśród nich takich olbrzymów, jak ten 36 metrowy wąż, którego, według opowiadań Pliniusza, rzymski wódz Regulus musiał osaczać i rozstrzeliwać, niby jakąś twierdzę. Stwierdzili oni jednak istnienie ogromnych węzów, mających przeszło 8 metrów długości, a grubością przewyższających udo dorosłego człowieka. Nie jest to wprawdzie owa przesada wielkości z fantastycznych baśni, w każdym atoli razie pozwala ona mówić z zupełną słusnością o węzach olbrzymich, chociaż w innem znaczeniu, niż dawniej.

Wszystkie węże olbrzymie należą do rodziny dusicielii, odznaczających się posiadaniem maleńkich śladów tylnych kończyn w postaci niewielkich rogowych pazurków w tylnej części ciała. Ubarwienie ich jest zwykle piękne i wzorzyste, grubość i siła znaczne, ale żaden z nich nie posiada zębów jadowych. Z tego powodu mordują one zdobycz w sposób odmienny. Schwytaną ofiarę otaczają splotami

tami swego ciała i duszą ją w potężnym uścisku, miażdżąc i rozgniatając jej kości. Następnie ślinią ją obficie i, rozszerzając potwornie paszczę, polykają w całości.

Mogą one dusić w ten sposób i polykać dość duże zwierzęta, w każdym jednak razie nawet największy z tych węzów nie jest w stanie połknąć człowieka lub bawołu; co najwyżej mogą one podolać takim zwierzętom, jak sarna, ale i to przedstawia już dla nich pewną trudność. Przy tem nawet niewielką antylopę muszą one trawić kilka dni, stając się przez ten czas nadzwyczaj ociężałymi, sennymi i niezdolnymi do ruchu.

Dusiciela zamieszkują wyłącznie strefę gorącą: zarówno Starego jak i Nowego Świata. Jedne z nich chętnie przebywają w wodzie, inne nigdy nie wchodzi do niej; prawie wszystkie jednak trzymają się wilgotnych lasów i zarośli. Obyczajem mają przeważnie nocne: dzień zazwyczaj spędzają nieruchomo, wygrzewając się na słońcu lub ukrywając się gdzieś w gęstwinie, żerując zaś nocami. Są ociężałe, leniwe i apatyczne, jak większość węzów.

Istniejące gatunki węzów olbrzymich należą do dwu rodzin: pytonów i właściwych dusicieli czyli boa. Pierwsze zamieszkują wyłącznie Stary Świat, drugie - Nowy.

W Indyach Wschodnich i na wyspach sąsiednich najbardziej słyną dwa gatunki pytonów: pyton tygrysi, który otrzymał swą nazwę od żółto brunatnego ubarwienia w ciemne prążki, jak u tygrysa: oraz pyton siatkowany barwy takiej samej, ale w czarną siatkę, zamiast prążków. Pierwszy z nich jest nieco mniejszy, średnia bowiem długość jego wynosi $3\frac{1}{2}$ metra (koło 6 łokci), największe zaś okazy dosięgają wyjątkowo 6 metrów: podczas gdy wśród pytonów siatkowanych napotyka się nieraz osobniki $8\frac{1}{2}$ -metrowe.

Oba te węże, pomimo swych, bądź co bądź, poważniejszych rozmiarów, karmią się przeważnie drobnymi kręgowcami; jedynie stare i dobrze rozrośnięte okazy polują na nieco większe stworzenia, jak np. sarny, a czasami nawet jelenie.

Krajowcy opowiadają mnóstwo historii o ich napadach na wielkie ssące zwierzęta oraz na ludzi. W historyach tych jest bardzo dużo przesady, nie można jednak zaprzeczyć, iż od czasu do czasu wypadki takie zdarzają się istotnie, zwłaszcza gdy wąż się broni, albo gdy z jakiegokolwiek powodu omyli się i wyobrazi sobie, że ma do czynienia ze słabszym wrogiem, niż jest w rzeczywistości. W każdym atoli razie nawet i wtedy niemożliwym jest, aby był on w stanie połknąć dorosłego człowieka, a tembardziej bawołu, chociaż można nie wyjść żywym z jego uścisku.

Brahm przytacza następujący wypadek, który się przytrafił w ogrodzie w Londynie jednemu z dozorców, nazwiskiem Cop.

„Podawał on właśnie, jak to było we zwyczaju, kurę bardzo zgłodniałemu pytonowi, gdy wąż, rzucając się z żarłocznością na ptaka, chybił celu, złapał dozorcę za wielki palec lewej ręki i w mgnieniu oka owinał mu się naokoło ręki i szyi. Było to w okresie lenienia, kiedy rogówka węzów mięknieje i gdy z tego powodu widzą one niewyraźnie; więc i wzmiankowany pyton nie mógł zapewne odróżnić ręki dozorcę od ofiarowanego mu pokarmu. W bliskości nie było nikogo; Cop jednak nie stracił przytomności i starał się schwycić drugą ręką głowę węża, żeby w ten sposób uwolnić się z jego uścisku. Ale pyton tak ją wsunął między skręty własnego ciała, iż wszelkie wysiłki dozorcę były dare-

mne. Rzucił się on wówczas na ziemię, mając nadzieję, iż tam będzie mu łatwiej walczyć z wężem; a jednocześnie zaczął wołać o pomoc. Na szczęście przybiegli dwaj inni dozorczy i po wielkich wysiłkach wyzwolili Copa z uścisku węża.

Gdyby jednak towarzysze Copa byli się spóźnili; biedak zginąłby może w objęciu pytona, jak to się przytrafia, bezwątpienia, od czasu do czasu niejednemu z Indusów, gdy który z nich napotka samotnie w lesie olbrzymiego dusiciela, a ten zechce zrobić z nim taką samą próbę, jak wspomniany pyton ze swym dozorcą. Nie można się więc dziwić, że olbrzymie pytony budzą grozę w krajowcach, i że ci w niektórych miejscowościach, oddają mu nawet cześć boską. Węże mają tam osobne świątynie i osobnych kapłanów, których obowiązkiem jest karmić je i pamiętać o ich wygodach.

Z afrykańskich pytonów zasługuje na uwagę Assala wąż bardzo często spotykany w menażeryach. Jest on mniejszy od obu poprzednich, rzadko bowiem przekracza 6 metrów długości; ubarwienie ma żółtawe, czarno siatkowane i czarno-brunatną strzałkę na głowie.

Assala zamieszkuje zarośla i wysokie trawy w różnych miejscowościach Afryki. Żywi się głównie gryzoniami oraz ptakami kurowatymi, które latają gorzej od innych. Umie jednak w razie potrzeby zgnieść i połknąć psa, a nawet mniejsze antylopy. Na widok człowieka ucieka zwykle jak najspieszniej. Szkodliwy jest zato z innego powodu: nocami odwiedza osady i wioski murzyńskie, dusząc ptastwo oraz inne zwierzęta domowe i niedomowe. Jak to dziwnie wygląda: wąż dusiciel, który miał polykać setkami ludzi, poprzestaje raptem, na kurach, kaczkach, kotach, szczurach i t. p. stworzeniach, naśladując pod tym względem nasze tchórze i kuny.

(d. c. n.)



Assala, polykający pentarkę.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

Czyż to nie zaszczyt zasiadać przy stole z Brazylijczykiem, zwłaszcza gdy ma piękną brylantową spikę w krawacie, kosztowne sygnety na palcach i tak długie nazwisko, że je spamiętać trudno — myślał Luty. Ponieważ zaś zaszczyt ten zawdzięczał Leonowi, więc chociaż razili go nieprzychylnymi konceptami kolegi, starał się uniewinniać towarzysza.

— Taki już widać zwyczaj w Bremie — mówił sam do siebie, zamierzając przytem wyrwać Leona z zepsutego miasta i zabrać do Ameryki. Okręt, wiozący emigrantów, odpływał nazajutrz, a nasz bohater nie wiedział jeszcze, że to nazajutrz bywa czasem tak niespodziewane, że ukrywa w sobie tak straszne wypadki.

Głowa Stefka swobodna od złych przeczuc i wróżb, pełna była wesołych myśli. Wypił już jeden kieliszek grogu, bo trudno odmawiać, kiedy nalewają, wypił drugi i stał się nagle bardzo rozmowny. Próbował nawet śpiewać niemiecką piosenkę, ale przerwał ją i zpoważniał, gdyż przypomniał sobie, że on to był wciąż częstowany, a nie posiadając pieniędzy, nie mógł sam postawić nawet piwa.

— Obiecywałeś mi zarobek — mówił do Leona — jutro już odpływamy. Kiedyż się panom wywdzięczę za poczęstunek?

— Poczęstunek furda. — Nie taki to traktament stawia się dobremu koledze. Ze szczerego serca funduję. Ode mnie przyjąć możesz, chyba z panem Jos.. — poprawił się — z don Jose de Fernambo-Patamos będziesz robił ceregiele.

— Ale cóż znowu! — okrzyknął się Brazylijczyk — Proszę, bardzo proszę. Zadzwonimy na gospodarza, niech nam przyniesie butelkę madery. Płynie we mnie krew południowa, więc pozwólcie, że uczęstuję was hiszpańskim winkiem. Kawaler polaco sprobuj.

Usłużny Niemiec przyniósł sam butelkę, nalał kieliszki i nie wyszedł już z pokoju. Pił razem ze swymi gośćmi. Zdawało się Lutemu, że Brazylijczyk daje towarzyszom jakieś tajemne znaki, ale pewnie się mylił, bo przecież pan Jose mówił przed chwilą, że po raz pierwszy zaszedł dziś do szynku, a z Leonem zrobił przy Stefku znajomość.

— Per mil diablos! gdzie mogłem zgubić klucz od domu — zawołał nagle Brazylijczyk, zrywając się z krzesła i szukając niespokojnie w kieszeniach paltota. — Klucz, panowie, klucz, szukajcie czy nie wypadł czasem pod stół. Nie ma go? A to zdarzenie. Diablos, diablos, muszę przecież wracać do domu, a klucz zniknął jak kamfora.

Biesiadnicy zerwali się od stołu. Leon przeszukał własne kieszenie, sądząc, że przez omyłkę schował klucz sąsiada. Wszystko na próżno. W Bremie, jak i w innych niemieckich miastach, lokatorowie noszą przy sobie klucz od domu. Niema tam stróżów dla otwierania drzwi, każdy o swoim kluczu pamiętać musi, albo spędza noc pod gołym niebem.

Stefek szukał najgorliwiej i okazywał wielkie współczucie dla uszkodzanego.

— Gdybym miał narzędzia otworzyłbym panu drzwi, od tego przecie jestem ślusarzem.

— Doprawdy, potrafiłbyś amico? — wołał ucieszony Brazylijczyk. Ale ostrzegam, że zamek jest mocny, niełatwa z nim będzie sprawa.

— Furda zamk! otwierało się już i kasy. Czeladnik

Jana Kolarza potrafi więcej niż niejeden majster, chwalił się Stefek, któremu szumiały w głowie grog, madera i piwo.

— Pokaż więc swoją sztukę panie Polaku, ja ci w tem dopomogę, bo właśnie zgubił ktoś w moim szynku wytrychy, a dłuto, pilnik, czy jakie tam zresztą potrzebne żelaztwo znajdzie się zawsze u porządnego szynkarza — mówił Szwarz i wyjął z kieszeni pęk kluczy związanych rzemieniem.

Stefek obejrzał wytrychy, pokiwał głową, cmoknął z zadowolenia jak znawca podziwiający doskonałość narzędzia i w chwilę potem szedł już wraz z trzema współbiesiadnikami przez cuchnącą uliczkę przedmieścia. Dziwiła Lutego usługowość szynkarza, który towarzyszył gościom.

— O wytrychy się boi, przecie ich nie zabiorę do Ameryki — mruknął Stefan, idąc obok Leona, choć nogi odmawiały mu posłuszeństwa, a gwiazdy na pogodnym niebie zdawały się kręcić w szalonym, wirowatym biegu.

To nie gwiazdy, to grog, piwo i madera tańczyły w mózgu Stefka, bo z niebieskiego stropu płynęła ku ziemi uroczysta cisza. Cisza ta była tem zupełniejszą im bardziej czterej biesiadnicy oddalali się od nadzręcznego przedmieścia. W głębi starej Bremy, na rynku zwłaszcza żaden szmer nie przerywał uroczystego spokoju nocy. Od wysokich kamienic, od starych świątyń i pomników szły tajemnicze szepty. Murowane olbrzymy opowiadały sobie może dzieje swych narodzin, kiedy to przed wiekami odważni rybacy budowali pierwsze chaty nad Wezerą. A na tle gwiaździstej nocy rycerz Roland zmartwychwstał w całym majestacie. Zdawał się dumnie potrząsać mieczem, przypominając ludziom, że cześć nieskalana to najcenniejsze dobro człowieka.

Ruch i świeże powietrze otrzeźwiły Stefka. Szumiało mu jeszcze w głowie ale zdawał już sobie sprawę z tego gdzie jest i dokąd idzie. Spojrzał przytomniej na otaczające go gmachy starego rynku. Roland, którego widział już w dzień, wydał mu się teraz wyższym, potężniejszym.

Wskazywał-że on mieczem jakieś dalekie, niedosięgłe szlaki? Groził, czy może przestrzegał? Dla czego groził? Toż Stefek nie chciał nikomu zrobić krzywdy. Ani Stefek ani tamci.

Tamci? — Lutemu przypomniał się Wągrowiec. Wszakże tak nazywał swoich towarzyszy, a właśnie jeden z nich, Leon był z nim.

Leon dawniej namawiał go zawsze do złego, czyżby i dziś... Spostrzegł, że Ziemniak daje znów Brazylijczykowi jakiś tajemniczy znak. Znali się więc? Dlaczego grali komedye przed nim, przed Stefankiem?...

Uczuł dreszcz, coś targnęło się w jego duszy, wstrząsło nim. Byłoby to ostrzeżenie?

Spojrzał badawczo na swych towarzyszy, wydali mu się skurczeni, niedźni, jak gdyby czający się i unikający światła latarni.

— Co to wszystko ma znaczyć? — myślał Stefan. Chciał pytać Leona, ale tymczasem Brazylijczyk stanął już przed narożną kamienicą. Zwrócił się do Lutego z żądaniem otworzenia drzwi.

Toż Stefek po to tu przyszedł. Prawda, a jakoś niechętnie brał wytrychy do ręki i oglądał zamek. Zamek był trudny, raz tylko widział podobny w Wągrowcu. Obudziła się w Lutym ambicja dobrego rzemieślnika. Już nie myślał o niczem tylko przymierzał wytrych, skrobał pilnikiem żelazo, dobierał, próbował. Wytrych okazał się wyśmienitym narzędziem. Nie mieli takich u Kolarza. Zamek był przecież sztuczny, mocny, a jednak rygiel ustąpił po kilku próbach. Stefek z uczuciem zadowolenia otworzył drzwi przed właścicielem lokalu.

— Muchas gracias, bardzo dziękuję! — zawołał Brazylijczyk — dobry z pana ślusarz, ale dobre też będzie wino, którem wypijemy zdrowie takiego majstra. Proszę panów na górę, wytrych przyda się jeszcze, bo zgubiłem wszystkie klucze i przyjdzie pewnie otwierać inne zamki.

Weszli więc wszyscy czterej do sieni. Szynekarz przymknął starannie drzwi wchodowe spojrzawszy w przód badawczo na rynek, jakby w obawie czy godni kompaniowie nie są śledzeni. Leon zapalił latarkę, którą wyjął z kieszeni paltota.

— Miał z sobą latarkę — pomyślał zupełnie już wytrzeźwiał Stefek. Dziwiła go przezorność Ziemiaka, ale szli inni na górę, szedł więc i on.

Szczególny to był dom. Nikt w nim chyba nie mieszkał, taka tu panowała cisza. Nikogo nie dziwiło wtargnięcie nocnych gości. Minęli oni już kilkoro żelaznych drzwi. Nad każdym widniał napis „kantor” z dodatkami nazwiska firmy, której interesy bywały tu załatwiane. Brazylijczyk szedł pierwszy.

— Będzie pan miał znów robotę — powiedział do Stefka, biorąc go przyjaźnie, ale silną dłonią pod rękę i stając przed żelaznymi drzwiami w głębi korytarza. — Musimy i te otworzyć, bo od tych także zgubiłem klucz.

Stefek spojrzał niespokojnie na mniemanego Brazylijczyka.

— Pan tu mieszka? — zapytał zdziwiony. Widział przy świetle latarki, którą podniósł Leon, że nad drzwiami stało wypisane „Johann O' Clear i Spółka.”

— Toż mówię, że tu. Czyż warto marudzić kiedy za temi drzwiami czeka nas lepsze od madery winko, winko jakiego nie piłeś nigdy amico polaco. Prędko tylko do roboty, bo czas upływa — wołał niecierpliwie don Jose.

Stefek obejrzał się na Leona. Chciał może pytać o radę, lecz Leon odwrócił głowę, udając, że ma coś do powiedzenia Szwarcowi.

Sięgnął więc Luty po wytrych, lecz robota nie szła mu tak raźnie, jak wprzód. Niepokój paraliżował rękę ślusarza.

— Co to wszystko miało znaczyć? Dla czego ten napis nad drzwiami? Kto byli owi jego znajomi. Czemu Leon nie odzywał się do niego wcale i zdawał się nawet unikać wzroku dawnego towarzysza?

Takie pytanie zadawał sobie Stefan ale tymczasem wytrych uwiązał już w zamku. Zdolny ślusarz trafił od razu na właściwe narzędzie, zamek zgrzytnął, żelazne drzwi skrzypnęły na zardzewiałych zawiasach. Luty popchnięty silnym ramieniem Brazylijczyka znalazł się w dużym sklepionym pokoju.

Ale pokój ten był znów także tylko kantorem. Nie mieszkał w nim nikt. Pod szszarzałemi od kurzu ścianami stały wysokie czarne biura, z rozłożonemi na nich księgami. W drewnianych kałamarzach sterczały pióra, a świeże plamy atramentu i wypalona nafta w lampie świadczyły, że pisał tu ktoś wczoraj, może nawet dzisiaj jeszcze?

— Teraz otworzysz jeszcze ten zamek. Będzie to prawdziwy majstersztyk, bo jest on sztuczny i mocny — powiedział don José, wskazując na żelazną skrzynię, która zajmowała prawy kąt kantoru a była śrubami przymocowana do podłogi.

Stefek osłupiał. Zaczynał rozumieć, że padł ofiarą podejścia. Czego jednak chcieli od niego ci ludzie? Czemu Leon tak drży? a szynekarz stanął we drzwiach wchodowych, zagradzając sobą przejście? Dlaczego człowiek o oliwkowej cerze mówił do niego rozkazującym tonem?

W jaką on wdał się robotę? Do jakiego dzieła przykłada rękę? Może do zbrodni?

Zadrżał. Teraz dopiero stało mu się jasnym, że to czego żądano od niego było grzechem, było złem.

Nie wątpił już. Czyż tak wyglądają uczciwi ludzie, jak wyglądał w tej chwili skurczony i drżący Leon. A czy tamtych dwóch, to oczy dzikich kotów. Dojrzały zdobycz i chcą się na nią rzucić.

I on, on Stefan Luty, ma pomagać zbójcom? Nigdy! choćby go zabić chcieli.

— Schnell, zum Teufel, krzychał mniemany don Jose, nie siląc się już na hiszpańskie zaklęcia.

— Nie otworzę skrzyni, bo nie wiem, kto jesteście i czego odemnie żądacie — odpowiedział Stefan z niezwykłą na swój wiek stanowczością.

— Nie otworzysz? — syknął Brazylijczyk, ściskając rękę ślusarza w żelaznej swojej dłoni.

— Puść go! już on zrobi co ja zechcę — wtrącił się do rozmowy Szwarc i podniósłszy do góry latarkę spojrzał na chłopca.

Stefkowi krew zastygła w żyłach. Czuł się zgubionym. Tak patrzeć może tylko gad, którego ukąszenie zabija.

A jednak nie pomoże tym ludziom. Zginie a nie pomoże. Może mu się uda uciec? Uciec jak? We drzwiach wchodowych stoi przecież Leon. Stoi i odwraca głowę. Judasz zdrajca zaprzedał towarzysza.

Były jednak drzwi drugie, prowadzące w głąb mieszkania. Skoczył ku nim, ale Jose schwycił go za ramię.

— Stój, nie bądź głupi. Tam nie ma nikogo nikt ci nie przyjdzie z pomocą, zginiesz jak ruda mysz. Mam rewolwer i nóż, mógłbym cię zabić a ja ci mówię po dobru, nie bądź głupi otwórz skrzynię. W skrzyni są pieniądze, złoto, słyszysz? Złoto. Podzielimy się niem. Dostaniesz dużo złota, będziesz miał za co pić przez całe życie. Otwieraj!

Stefan nie drgnął z miejsca. Zginie? Tak. Nie było dla niego ocalenia. Pewność śmierci wróciła chłopcu spokój. Poleciał duszę Bogu. Przemknęło mu przez głowę wspomnienie Wągrowca i nauk księdza proboszcza.

— Zginie, ale nie da się skusić — pomyślał, i już zamrużał oczy sądząc, że ostatnia chwila nadeszła, kiedy nagle obudził się w nim żal życia.

— Ratunku! — krzyknął z całych sił — ratunku, ratunku! — wołał, biegnąc w głąb kantoru.

Nikt go teraz nie trzymał, nikt nie zatykał mu ust! Rabusie wiedzieli, że mieszkanie jest próżne, nie obawiali się więc hałasu. Chcieli tylko skończyć z opornym chłopcem, bo czas naglił. Josek wyjął nóż, a szynekarz chwycił za rewolwer ukryty pod paltotem.

Ale w tej samej chwili stanął we drzwiach przyległego pokoju wysoki i silnie zbudowany mężczyzna. On także miał w ręku rewolwer.

— Ratunku, panie! — krzyknął Stefek, przypadając do nóg nieznajomego. — Oni chcą cię okraść a mnie zabić! — wołał wskazując na trzech rabusiów. Nim jednak zdolał wymówić ostatnie słowo, leżał już na ziemi, brocząc krwią.

Koniec części I ej.

Dawny zamek w Iłży.

Zwiedzając gubernię radomską, należy zatrzymać się w mieście powiatowem Iłży, malowniczo położonem nad rzeką Iłżanką lub Białką. Uderzają tam w oczy przybywszy na wyniosłej górze ruiny dawnego zamku, z którego pozostała część baszty. Stara to bowiem osada, Iłża; należała ongi do biskupów krakowskich, już w 1241 i 1260 r. ucierpiała wiele od napadu Tatarów.

Główną ozdobą Iłży był ów zamek, jeden z najpiękniejszych w kraju, a jak wyglądał w XVII w. świadczy rycina z roku 1655, którą podajemy.

Dawnym zabytkiem tego miasteczka jest także kościół parafialny, zbudowany około 1480 r. przez proboszcza miejscowego Stanisława z Wajszyca.

Rozwiązanie łamigłówki z N-u 5.

„CZARNI I BIALI.”



Najmniejszą liczbą, przy której użyciu można w sześciu losowaniach usunąć z koła pięciu czarnych chłopców i jednego białego, lub pięciu białych i jednego czarnego — jest **siedm.** Rachowanie należy rozpocząć od jednego z dwóch czarnych lub dwóch białych, krańcowych, stojących przy sobie, bądź w górze, bądź w dole. Jeżeli rozpoczniemy rachowanie od którego z tych dwóch czarnych, to trzeba postępować w kierunku białych i wówczas wylosuje się pięciu białych i jeden czarny. Jeżeli zaś rozpoczniemy rachowanie od jednego z tych

dwóch białych, to trzeba iść w kierunku czarnych i wówczas wylosuje się pięciu czarnych i jeden biały. Rozpoczynając rachowanie od innych chłopców lub wybierając inną liczbę, mniejszą od siedmiu — wylosujemy zawsze w sześciu losowaniach bądź 2 czarnych i 4 białych, bądź trzech i trzech.

To też ci co wybrali liczby mniejsze od siódemki, a mianowicie 2: Zosia N., Jadzia Rzeczycka Różyczka z Czernihowa, Dudek z Łodzi, Kocia, Grażyna, Wieczorny Mrok — 3 — Dziunia Prażmowska, Irenka z Niemenka, Wiosenka ze Złotej, i Wacław Strzyżewski, — 4 — Dzika Litwinka i 6 — Jan Weyssenhoff, Wańdzia i Halina Filipkowskie zrobili omyłki w rachowaniu, co sami sprawdzą najlepiej. Dziunia Prażmowska swoje rozwiązanie skreśliła w zgrabnym wierszyku:

„Łamigłówka dosyć łatwa,
Choć pytanie nieco gmatwa,
Lecz trud taki bardzo miły,
Więc spróbuję sprytu siły.
Liczę zawsze od białego,
Co stoi obok czarnego:
Raz! dwa! trzy! czarny z koła
I tak ciągle dookoła.
Raz! dwa! trzy! kończy biały!
Już się losy wyczerpały,

I wszystko dobrze się składa,
Bo pięciu czarnych wypada,
Jeszcze jeden biały z brzegu
Za nimi staje w szeregu,
Zaś pierwszy czarny na straży,
Ruszyć się z miejsca nie waży
I pilnuje pozostałych,
Pięciu towarzyszy białych.
Łamigłówkę rozwiązana...
Czy książka będzie mi dana?”

— Tym razem — nie, z wyżej wymienionych powodów, ale to nie ostatnia łamigłówka ani zadanie do nagrody, które oglaszają „Wieczory,” będzie ich jeszcze dużo.

Trafne rozwiązania z liczbą 7 nadesłali: Oleńka z Mozyrza, oraz Janka i Wanda Skoczyńskie, Janka Hemplówna, Przemysław Kamieński, Władysław Koronkiewicz, Zakłeta Królewna z nad Newy, Adam Paprocki, Lena z Marszałkowskiej, Jurek Juszyński, Janek Abramowicz, Maryan Bartosiński, Marta H., Bogusław Matulewicz, Dora Kostecka, Henryk Gromadzki, Jaśko Golański, Stefcia Peretjatkowiczówna, Maryjka Bykowska, J. Radwan, Jadzia Sołowieżykówna, Koyot, Zagłoba, Mrówka, Andrzejek Oczkowski, Lucio, Wańdzia Lipińska, Ańdzia Wilczyńska, B. S. O., Genia Staszewska, Zosia Sielicka, Sokół z Warszawy, Stefcia Uderska, Burczymucha, Antolek Dygat, Częstochowianka.

Wobec tak wielkiej ilości mających prawo do nagrody zamiast jednej obiecanej książki dajemy **trzy** i przyznajemy je przez **losowanie**. Napisaliśmy wyżej wyliczone nazwiska na karteczkach i wyciągnęliśmy: Jurka Juszyńskiego, Janka Abramowicza i Genię Staszewską. Pierwszym dwóm wysłamy „*Trzydzieści lat wśród dzikich*” pocztą, a Genię prosimy o pofatygowanie się po książkę do redakcji.

Dobre rozwiązania, ale z większymi liczbami: 8, 9, 10, 11 i 13 nadesłali: Michaś Lande, Sprawiedliwość, Władzio Szymański, Wacław Skrzyński, Helenka Gutmanówna, Wańdzia Sokołowska, Winicyusz, Tomcio Stożkowski, Romcio Rygiel, Czarniecki, Perelka — Janka Miernicka, Hajduczek, H. Brun, Dzik, Złotowłosa, Stefan J., Czesław Skawiński, Janinka Cabertówna, Teef, Jerzy Malinowski, Wańdzia Leśnikówna, Miziuta Czyńska, Bohun S., Henneberżanka, Janinka Maliniakówna, J. Charezyk, Hela Rokosowska, Wiewiórka, Józia Askanaśówna, Janinka Wojewódzka, Melcia Zarębska, Józef Żeligowski, Elutka Mierzwińska, Wacio Górski, Konwalia i Niezapominajka, Jadzia Norkowska, Kazio Wiemuth, Oleńka Wścińska, Stasia, Mania Kościakowskie, Jadwisia Garczyńska i Maruska z nad Wisły, Romcia Kosmulska, Goryczka, Bokser, Tuhaj-Bej, Kostus Roubas, Szara Muszelka, Rusalka, Irenka Koppanówna, Oleczka Platerówna, Kazia Gruszkiewiczówna, Marysia Turnianka, I. Ch., Zyg. Szlichciński, E. Turkulówna, Zosia Stempniewska.

ZAGADKA.

Od Świtezianki, Wieszczyki, Rusalki i Lekcyi dla X. Michała R.

Cztery litery nazwę mą składają:
Państwa i ludy hołdy mi oddają,
Bo przed wiekami byłem ich królową,
A teraz jestem ich sercem i głową.
Wspak z mitologii rzymskiej bóstwo daję,
Co osobliwe miało obyczaje:
Zawsze swawolne i zawsze radosne,
W około siebie rozsiewało wiosnę,
A kiedy ludzi uszczęśliwić chciało,
Swą złotą strzałę w serca im wbijało.

ROZWIĄZANIA DO Nru 6-go.

Zagadki: Ka — ro — li — na.

Kalina — Nil — koral — lin — rak — arak — klon — lak — karo — Klara — Alina — król — kania.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: O miłosierdziu Bożem, z nauk ks. Gralewskiego. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Węże, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Dawny zamek w Hły (z ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek:** Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno (z ryc.) — Gawęda z lalką (z ryc.) — Pogadanka naukowa. Światło. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzyńka do listów. **Dodatek książkowy:** Dworzani królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Доводено Цензурою. Варшава 4 Февраля 1902 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

❧ BOHDAN ZALESKI ❧

Przepraszam, — przed dwudziestu laty przybyłam, jako uczennica, do klasztoru pp. Wizytek w Wersalu pod Paryżem. Wśród koleżanek moich była Bohdanka Okińczycówna, którą niezmiernie polubiłam. Dowiedziałam się też wkrótce, że jest wnuczką poety Bohdana Zaleskiego, którego kilka dumek umiałam na pamięć, że dla dziadka dano jej imię Bohdanki i że dziadek, mieszkający niedaleko w Villepreux, czasami odwiedza klasztor.

Wyprosiłam sobie u Matki-przełożonej, że za pierwszą bytnością poety przedstawi mnie jemu.

— Jakto—mówiłam—znam już jednego poetę — Odyńca, a nie mogłabym poznać jego przyjaciela, drugiego wielkiego poetę Zaleskiego; ja która tak lubię poezję i tyle utworów umiem na pamięć!

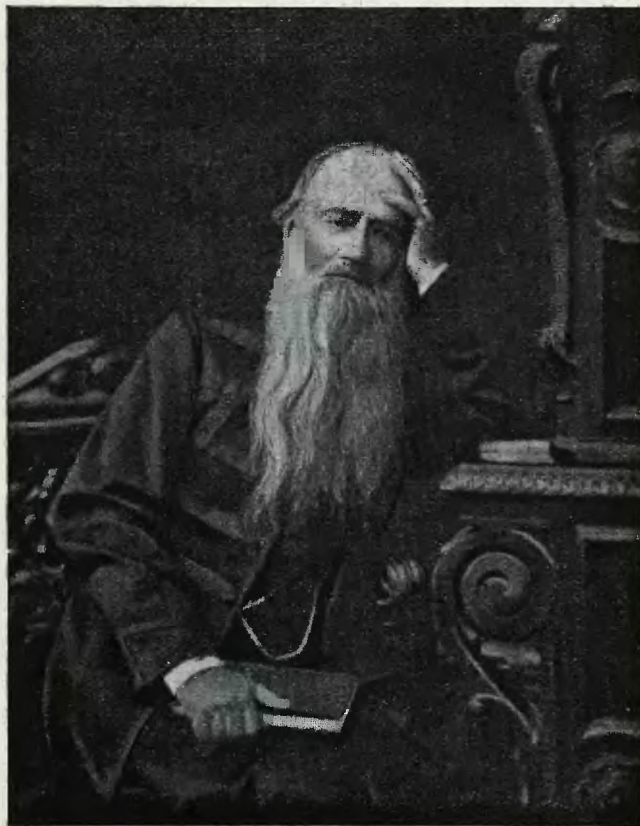
Przyszła nareszcie ta szczęśliwa dla mnie chwila. Wezwano Bohdankę i mnie do parloir'u i przez kratę ujrzałam sędziwą postać poety, której nigdy nie zapomnę. Po mimo lat 80-ciu trzymał się krzepko, a długa, biała broda, spływająca do pasa, robiła go podobnym do dawnych lirników stepowych, których widywałam na rysunkach.

Bo też w istocie prawdziwym lirnikiem w literaturze naszej był Bohdan Zaleski, bo jak oni czerpał treść do swych pieśni z przeszłości

i podał swych stron rodzinnych, jak oni ubierał swoje wiersze w szatę dziwnie śpiewną i melodyjną, jak oni wreszcie odznaczał się zawsze serdeczną wiarą i ufnością w opiekę Boską i głęboką chrześcijańską pokorą.

Józef Bohdan Zaleski urodził się sto lat temu, 14-go lutego 1802 r. we wsi Bohatyrce gub. kijowskiej. Był to według starego stylu dzień Najświętszej Panny Gromnicznej, a narodzone dnia tego dziecko bardzo prędko utraciło matkę. Poeta w wierszu „W dzień Gromniczny” tak pisze o sobie:

„Święć się nam w sercach, domo-
[wa pamiętko!
Ów syn, o matko, ledwie prze-
[żegnany,
Twe pogrzebowe, gromniczne
[dzieciątko
Piastuje lutnię między chrześci-
[jany.”



Bohdan Zaleski.

Po wczesnej śmierci matki, Bohdan chował się u ciotek swoich — najprzód w Medwedówce, potem w Jerczykach. Czas jakiś zamieszkiwał w chacie starego pasiecznika wśród stepów, gdzie go oddawano, aby na świeżym powietrzu wzmocniły się wątłe siły pachołęcia. Wówczas to zapewne poetyczna dusza jego rozmiłowała się w uroczej przyrodzie, w pieśniach i podaniach wiejskiego ludu, które później tak pięknie opiewał.

Uczyć się zaczął u ciotki

w Jercyku wraz z kilku rówieśnikami, także sierotami na opiece owej ciotki. Musiało im tam być wesoło i dobrze, jak to w listach późniejszych wspomina.

„Raz, — pisze do swego siostrzeńca — ubrało mi się w głowie, że jestem stworzon do latania. Przez wiele dni potajemnie przyrządzałem sobie jakieś skrzydła z deszczulek i gęsich piór, aż jednego razu, rozmachawszy się należycie, puściłem się z dachu do lotu i padłem na piasek niemal pod nogi ciotki, na osobliwe szczęście bez najmniejszego uszkodzenia.”

Później raz przyszło mu do głowy wybrać się do cesarza Napoleona, ale go we wsi sąsiedniej schwytano i do ciotki odprowadzono.

W trzynastym roku życia oddano go do szkół w Humaniu, a w ośmnastym do uniwersytetu warszawskiego. W Warszawie łączyły go stosunki przyjacielskie z Lelewalem, Szopenem, Odyńcem i wielu innymi wybitnymi ludźmi. W czasach późniejszych zajmował się nauczycielstwem, opuścił kraj i mieszkał zagranicą, przeważnie we Francji. W Paryżu zawiązał serdeczne stosunki z Mickiewiczem, który go cenił bardzo wysoko, w prelekcjach swoich niezmiernie go podnosi, jako poetę.

Umarł w Villepreux pod Paryżem 31 marca 1886 r. Historia literatury zalicza Bohdana Zaleskiego do poetów tak zwanej „Szkoły ukraińskiej,” do której należą: Malczewski, Goszczyński, Olizarowski i inni. Najcenniejszymi klejnotami jego poezji są pieśni, ballady, tęskne dumki i dumy o różnych postaciach z dziejów kozaczyzny; on też jest istotnym twórcą dumy historycznej. Ale choć był mistrzem w mniejszych utworach, płynących z głębokiej miłości i tęsknoty do stron rodzinnych, w większych poematach („Duch od stepu,” „Przenajświętsza Rodzina,” „Złota Duma” i „Potrzeba Zbaraska”) z powodu braku rozległych pomysłów i talentu plastycznego, nie może się równać z arcydziełami współczesnych sobie wielkich poetów, pomimo wielu pięknych i czarujących ustępów.

Sława i stanowisko Zaleskiego w poezji naszej, jak twierdzą współcześni historycy literatury, opiera się przeważnie na jego pieśniach i dumach, wzbogacił poezję nowym pierwiastkiem ludowym, umiał prześlicznie wyśpiewać tęsknotę, a wierszowi nadał taką giętkość, melodyjność i rytmiczność, że pod tym względem równego sobie niema. Był to w całym znaczeniu tego wyrazu słowik stepowy, który najpiękniej opiewał tę malowniczą ziemię, na której ujrzał światło dzienne, stare kurhany, szumy i odgłosy stepów, a mowa nasza w tych dumach pociąga taką śpiewnością, że brzmi niemal, jak prawdziwa muzyka. Oprócz tych zalet artystycznych, wszystkie jego utwory cechowała głęboka wiara i pobożność, to też śmiało mógł powiedzieć o sobie:

„Duch nie zgaśnie przez skonanie...
A dla ziemi — u mogiły,
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu się wznosiły.

K. B.



Z poezji Bohdana Zaleskiego.

Do Anioła Stróża.

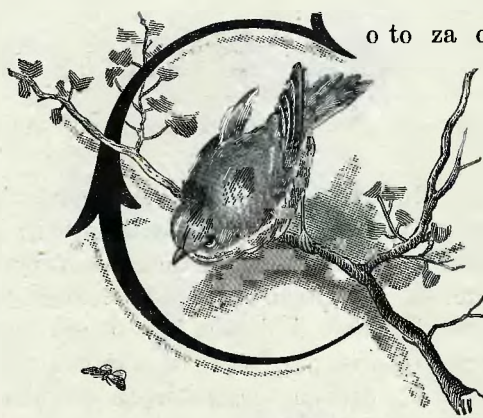
Odziany w blask,
Przesłańcie łask,
Aniele-Stróżu mój —

Oświecaj, chroń
I w dłoni dłoń
Tocz obok ze złem bój
Bym w biegu lat
Zmógł ciało, świat,
Wybielał z moich zmaz.
Aż czysty duch,
Jak z druhem druh,
Do Ojca wzlecim wraz.

Zofia Kłowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE

(Dalszy ciąg).



o to za człowiek, któremu się pan uklonił? — zapytał pan Zabrzęski.

— Ah! to ten biedny Krawczyk, co to umarł w sam dzień Matki Boskiej Zielnej.

Tym razem nawet pani Zabrzęska poczęła się śmiać z całego serca. Dzie-

ci i pan Zabrzęski utworzyli jeden chór spazmatycznego śmiechu. W końcu profesor, zrozumiał zabawną stronę swego roztargnienia i śmiał się także z innymi.

— Szczęśliwi ci uczeni! — zawołał pan Zabrzęski. — Dla nich umarli są żywymi...

Spostrzegł się jednak w tej chwili, że sam także był roztargniony, bo przy żonie wspomniął o śmierci.

Rzeczywiście twarz pani Zabrzęskiej w tej chwili przyoblekła się wyrazem niewymownego smutku.

— Ah, umarli dla nikogo żywymi stać się nie mogą! — szepnęła.

Wszyscy umilkli, wesoły śmiech zamarł na ustach dzieci i starszych, rozbawiona przed chwilą gromadka postępowoła po zżętem polu cicho, ze spuszczonej ku ziemi głowami. Zdawało się, że anioł śmierci przeleciał ponad nią.

Prócz Alusi i Jańcia, którzy byli zbyt małymi dziećmi, a także profesora, który w swej głowie tłómaczył dalej Odysseę, wszyscy myśleli o sposobach uratowania matki od tego nieuleczalnego smutku, który jej prawie nigdy nie opuszczał. Zdziś aż kipiał z wewnętrznego wzburzenia i gniewu, że nie można było tego smutku macierzyńskiego wyzwać na rękę, jak zdrażliwego rycerza. Myślał, że kiedyś, gdy się on, Zdziś, okryje sławą, w matce obudzi się taka duma z tych czynów syna, że zabije ona smutek. Józio pragnął conajprędzej dorosnąć, zostać księdzem i przemawiając do matki w imię religii, odprawiając na jej intencję nabożeństwa, wyrwać ją z wśród wspomnień dawnych, a zwrócić jej oczy ku wieczności, ku tym niebieskim krajinom, gdzie wiara, nadzieja i miłość, leczą ze wszystkich smutków doczesnych. Zosia marzyła o jakimś poświęceniu siebie, z któregooby wyrosła pociecha dla matki, ale nie wymyśleć nie mogła. Pan Zabrzęski postanowił wysłać z wioną żonę na kurację, gdyż przypuszczał, że jej niemożność

pocieszenia się po stracie, którą jej przecie Pan Bóg powrócił, była chorobą nerwową — melancholią.

Doszli do pola, na którym kopano kartofle kopaczką. Maszyna, ciągniona przez cztery konie, zębatego skrzydłami podnosiła w około siebie w tumanie duży pokład ziemi, a gdy tuman opadł, widniały na wierzchu kartofle, po które trzeba było tylko się schylić i zebrać je do koszków, opalek, skrzynek drewnianych, w które zaopatrzeni byli robotnicy.

Dzieci natychmiast zabrały się do roboty. Poczęły pomagać w zbieraniu kartofli co bawiło je ogromnie.

— Żeby tak ognisko i żeby tak sobie tych kartofelków napiec — rzekł Józio.

— O, takie kartofle, wyciągnięte z żaru ogniska, dać lepsze, niż wszelkie inne! — zapewniał Zdzis. — Szczęśliwi ci cyganie!

— Chciałbyś może być cyganem?

— Nie, bo nie chciałbym żyć z kradzieży. Ale żeby nie złodziejstwo, to bym chciał być cyganem, naturalnie gdyby tatuńcio i mateczka byli cyganami i gdybyście wy wszyscy byli cyganami.

— Już ja ci dziękuję! — odparła Alusia.

— Przepowiadałabyś przyszłość z rozłożonych kart, albo z linii na rękę.

— A czy panienka wie — ozwał się gumieny, — że w naszym lesie podobno cyganie koczują.

— Cyganie, doprawdy, prawdziwi cyganie?

— Tak mi tam mówił leśniczy. Trza będzie wezwać strażników, niech ich wypędzą. Coś mi się zdaje, że to oni nam pomagają w kopaniu kartofli; rzadki pod lasem zryte, jak gdyby tam trzoda chodziła.

— A żebyśmy tak do cyganów poszli zobaczyć, co oni w lesie robią?

Myśl Zdzisia podobala się nadzwyczajnie dzieciom. Alusia chciała koniecznie, żeby jej cyganka z ręki wróżyła; Zosia pragnęła się przyjrzeć cygańskim, oliwkowym twarzom; Zdzis marzył o walce z nimi, w celu odebrania im łupów; Józio, chciał zbadać, czy cyganie są chrześcijanami, bo gdyby nimi nie byli, to poco szukać misyonarskiej pracy aż w Chinach, kiedy we własnym kraju znaleźć ją można.

Jańcio zasłyszał coś od niańki o kradzionych przez cyganów dzieciach i w wielkim strachu pobiegł do matki, stojącej opodal i rozmawiającej z ojcem.

— Ja nie chcę iść do cyganów! Ja nie pójdę do cyganów!..

— Jańciu, Jańciu — rzekł ojciec. — Któż tu mówi o cyganach? Tu niema żadnych cyganów.

A zwróciwszy się do żony, rzekł po angielsku, by go Jańcio nie zrozumiał:

— Trzeba bardzo strzedz, żeby niemądre niańki nie straszyły dzieci i nie przewracały im w głowach.

Potem dodał, zwracając się do Jańcia.

— Dla czego ty się boisz cyganów?

— Bo cyganie kradną małe dzieci, morzą je głodem, każą im wodę z daleka nosić, drwa rąbać, dzieci cygańskie kołysać...

— To wszystko nieprawda, Jańciu, ale skądże ci to na myśl przyszło?

— Bo cyganie są w lesie i wszystkie dzieci chcą iść do cyganów.

W tej chwili nadbiegł Zdzis, wołając:

— Są cyganie, tatusiu, są! Leśniczy mówi, że są. A znowu gumieny mówi, że woda daleko, cyganie długo popasać nie będą. Tatusiu, chodźmy do cyganów!

— Dobrze, pójdziemy, dla tego, żeby Jańcia wyleczyć z jego nierozsądnej trwogi.

Pan Zabrzski zbliżył się do gumienego

— Czy naprawdę słyszałeś o cyganach?

— Maciej mówił, że są. Rozłożyli sobie obóz na Starym Dębniaku. Ja mówię, że trzaby ich stąd wystraszyć.

— Więc pójdziemy, dzieci! Jest to trochę daleko... Zwrócił się do żony:

— Dla ciebie, moja duszko, to za daleki spacer. Wróć do domu z Zosią i kaź zaprządz. Przyjedziecie do Starego Dębniaku.

Zosia miała smutną minę, że ją na jazdę powozem skazywano. Profesor, który wtedy tylko pozbywał się swego roztargnienia, gdy trzeba było komuś oddać usługę, wśród najpiękniejszego ustępu z Odyssei, który sobie w duchu powtarzał, spostrzegł, że Zosia nie miała ochoty wracać do domu:

— Może ja będę mógł służyć swoim towarzystwem pani — ozwał się, zwracając się do pani Zabrzskiej. — Zdaje mi się, że panna Zofia chętnie pójdzie pieszo.

Zosia rzuciła mu spojrzenie pełne wdzięczności.

— A ty, Jańciu? — spytał pan Zabrzski, — może jesteś trochę zmęczony? Może wolisz przejechać się z mamą?

— O nie! Ja z tatuńciem. Tatuńcio ma dobry kij! Zdzis ma swój pałasik!

Pani Zabrzka poszła tedy ku domowi z profesorem, ale że nie przyjęła jego ramienia, bo w jednej ręce miała parasolkę, drugą podnosiła suknię, więc pocziwy profesor zapomniał wkrótce, że miał w pani Zabrzkiej towarzyszkę. Zamyslił się, ręce założył w tył, głowę spuścił ku ziemi, począł głośno deklamować po grecku i poszedł tak spiesznie ku domowi, że pani Zabrzka nie była w stanie mu nadążyć. Wcale jej to jednak nie rozgniewało. Wiedziała, że zacny profesor nie przez lekceważenie dopuścił się niegrzeczności, lecz przez swoje nieuleczalne roztargnienie, które go tylko przy lekcyi z chłopcami opuszczało. W kwadrans po profesorze doszedłszy do domu, posłała furmanowi rozkaz zaprzęgnięcia, a potem, gdy już konie stały pod gankiem, kazała prosić pana Chlewiatkę, który dopiero wtedy spostrzegł, że wrócił sam i począł przeproszać panią Zabrzską.

— Nie gniewam się, niema o czem mówić! — odparła. — Pan należy do tych szczęśliwych ludzi, którym się wszystko przebacza. Ale muszę przyznać, że na niewiele mi się przydała opieka, z którą mi się pan tak uprzejmie ofiarował.

Wsiadli do powozu i poczęli rozmawiać o Zdzisiu i Józiu, o ich zdolnościach, wadach i przymiotach; o sposobach oddziaływania na nich, o trochę ślamazarnem i obraźliwym usposobieniu Józia, o popędlivości Zdzisia.

(d. c. n.)

B. Dyakowski.

Wężę.

(Dalszy ciąg).

Za te jej nocne odwiedziny krajowcy nie lubią bardzo assali i polują na nią zajadle z bronią palną, albo też wprost zabijają ją uderzeniem maczugi w głowę. Niektóre plemiona jadają chętnie jej mięso, wszędzie zaś prawie tłuszcz bywa uważany za cudowny środek leczniczy, a pstra skóra używa się na różne wyroby.

W Ameryce znajduje się koło 50 gatunków, należących do podrodziny właściwych dusicieli. Wśród nich najbardziej są znane dwa, boa dusiciel i anakonda.

Boa zamieszkuje Brazylię, Gujanę i niektóre z południowych wysp Antylskich. Jest to duży wąż, dochodzący 6 metrów długości, a czasem i więcej; o pięknym wzrozystem ubarwieniu; na tle czerwonawo szarem, ciągnie się wzdłuż całego grzbietu szeroka, zygzakowata pręga ciemnej barwy; na niej zaś znajdują się owalne plamy barwy zielonkawo żółtej. Na głowie widać trzy podłużne ciemne pasy.

Wąż ten, wbrew zwyczajowi innych dusicieli, przebywa w suchych lasach i zaroślach. Za kryjówkę służy mu rozmaite jamy w ziemi, doły pod kamieniami lub między korzeniami drzew, rozpadliny skał i t. p. zakątki. Wypocząwszy należycie w swej kryjówce, opuszcza ją wlokąc powoli swe olbrzymie cielsko, wyrusza na łowy, zostawiając za sobą ślad, jakby od ciągnionej kłody. Poluje zawsze z drzew, na które wspina się przy pomocy rogowych pazurków i zakrętnego ogona. Usadowiwszy się na stanowisku, czatuje spokojnie na zdobycz, którą stanowią różne kregowce nie większe od sarny. Zoczywszy ofiarę, znajdującą się dość blisko, boa rzuca się na nią, jak strzała, przodem ciała, owija ją jego splotami, dusi i połyka. Nie urządza nigdy wypraw do siedzib ludzkich, jak afrykańska assala. Przed człowiekiem w ogóle ucieka, ale że jest z natury bardzo ociężały, czyni to więc dopiero wtedy, gdy się doń podejdzie bardzo blisko. Z tego powodu zabić go nadzwyczaj łatwo, czy strzelając doń z odległości takiej, że chybić nie sposób, czy też wprost uderzając go mocnym kijem w głowę. Krajowcy polują nań bardzo często, zużytkowując zabitego w taki sam sposób, jak Murzyni assalę.

Anakonda jest znacznie większa, niż boa dochodzi bowiem $8\frac{1}{4}$ metra długości. Ubarwienie ma również wzorzyste: na ciemno brązowym tle ciągną się dwa szeregi czarnych plam wzdłuż grzbietu i dwa pasy utworzone z żółtawych oczek po bokach; spód jest blade żółty w czarniawe plamy.

Anakonda zamieszkuje te same okolice Ameryki, co i poprzedni gatunek, ale podczas gdy boa przebywa wyłącznie w miejscach suchych, ona poszukuje wód, po których pływa wybornie. Ukrywając się w wodzie tak, iż tylko jej głowa wystaje nad powierzchnię, anakonda czatuje całymi godzinami na zdobycz, którą stanowią ryby, płazy, ptactwo wodne oraz mniejsze ssaki, przychodzące gasić pragnienie. Będąc wygłodzona, lub bardzo rozdrażniona, rzuca się nawet niekiedy na człowieka, dla którego przy swym wzroście i sile może stać się niebezpieczną. Są to jednak rzadkie wypadki i człowiek, zwłaszcza zbrojny w strzelbę, wzbudza

przedewszystkiem grozę w tym wężu tak samo, jak i w innych. To też, jeżeli krajowcy polują na anakondę, to bynajmniej nie dla tego, iż jest ona niebezpieczną dla nich samych, lecz dla pozbycia się szkodnika, duszącego im często świnie, które anakonda bardzo chętnie jada.

Takie wiadomości o wężach olbrzymich przyniosły nam opowiadania zupełnie wiarogodnych podróżników. Rozwiała one całkiem fantastyczne baśnie i przekonały, iż spotkanie z olbrzymimi wężami nie jest wcale straszne dla ludzi. Jeszcze bardziej utwierdzają w tem przekonaniu liczne wypadki łatwego osławiania się tych stworzeń, jak to można nieraz widzieć w strefie zwrotnikowej.

Złapać olbrzymiego węża bynajmniej nie jest trudno, ogłuszywszy go uprzednio niezbyt mocno uderzeniem, albo też zastawiwszy nań pułapkę ze sznura u wejścia do nory. Norę można zawsze poznać po tem, iż ziemia przed nią jest mocno ubita i wygładzona ciężarem wlokącego się olbrzymiego cielska. Należy tylko łapać okazy młode, gdyż takie znacznie łatwiej się osławiają.

W krótkim czasie schwytany wąż przyzwyczaja się do miejsca i ludzi, nie ucieka i przechadza się swobodnie po mieszkaniu. Można tylko zapytać, jaki cel mają krajowcy w osławianiu tych stworzeń. Czyż by dla samej przyjemności trzymania w domu takich potworów? Bynajmniej. Węże te okazują się bardzo pożytecznymi współtowarzyszami człowieka: groźne pytony w Chinach mieszkają na statkach i w domach, tępiąc w nich myszy i szczury zupełnie tak samo, jak u nas koty, są one nawet dogodniejsze od nich tem, że nigdy nie trzeba myśleć o pokarmie dla nich, są bowiem niewybredne i poprzestają zupełnie na tem, co same upolują. Podobną rolę w Brazylii odegrywa boa, którego kupcy, bardzo chętnie trzymają w spichrzach i składach towarów.

Oswojenie się krajowców z wężami dochodzi do tego, iż niektórzy z nich spiąją razem z temi stworzeniami bez żadnej obawy. Pewien taki oswojony boa, śpiąc razem z Indianinem, zjadł jego wełnianą kołdrę, trudno, zaiste zrozumieć w jakim celu. Ale co ciekawsze, po paru tygodniach wyrzucił ją z powrotem, nie przechorawawszy bynajmniej od tak oryginalnej potrawy.

Łatwość oswojenia i karmienia sprawia, iż w każdej prawie menażeryi europejskiej można znaleźć pytona, boę, a nawet ogromną anakondę. Przesyłanie lub przewożenie węży nie przedstawia najmniejszych trudności: umieściwszy w dobrze zamkniętej skrzynce z otworami dla przechodzenia powietrza, można je wyprawiać bez obawy w podróż, trwającą miesiąc i dłużej. O jedzenie wcale nie ma potrzeby się kłopotać, jeżeli bowiem wąż został dobrze nakarmiony przed drogą, to cały ten czas może się on głodzić bez żadnej szkody dla zdrowia. Chcąc jednak hodować je przez czas dłuższy w menażeryi, należy koniecznie zaopatrywać je w dostateczną ilość pokarmu, dać obszerne a ciepłe pomieszczenie, oraz letnią wodę dla kąpiei, które większość węży ogromnie lubi. W takich warunkach znoszą one niewolę wymienic i przez bardzo długi czas.

Niektóre z oswojonych węży zyskały nawet sławę za swe przywiązanie i zmysłność. Szczególnie znanymi były węże niejakiich państwa Manu, o których wspomina znany badacz angielski Romanes w swej pracy „O inteligencji zwierząt.” P. Serera, przyjaciel pp. Manu w sposób następujący opisuje swe pierwsze odwiedziny u nich:

(d. c. n.)



Stefek Łuty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

CZĘŚĆ DRUGA.

W Londynie.

Rozdział VII.

Przebudzenie. — Operacya. — Rodzina O'Clearów. — Kto ocalił? — Stryj i synowiec. — Podróż do Londynu. — Gorączka. — Matka. — Sygnet herbowy.

— Pić, dajcie mi pić!

Nikt nie odpowiedział na cichy szept chorego. Bo chorem, ciężko chorem musiał być młody chłopiec leżący na wygodnym, białym firankami osłoniętym łóżku. Miał głowę obandażowaną, a twarz okropnie bladą. Czarne spalone wargi świadczyły, że przebył długą gorączkę.

Poruszył się niespokojnie na poduszkach i jęknął. Do pokoju weszła szczupła o delikatnych rysach kobieta. Stała przy łóżku i pochyliła się nad chorem.

— Pić, dajcie mi pić, — powtórzył głośniejszym głosem.

— W jakim on mówi języku? — zrozumiała go jednak i radość rozjaśniła jej dobre, przegasłe oczy. Podała choremu kubek z wodą, podsunęła delikatnie rękę pod głowę i patrzyła w rannego z serdecznym współczuciem, z nagłym obudzoną sympatją. Biedna głowa, jakże go ona bolała. Kula utkwiała w czaszce, musiano dokonać trudnej operacji, a gdy ta udała się szczęśliwie, przeniesiono pacjenta na okręt. Przytomność odzyskał on dopiero w Londynie.

Tak, w Londynie. Stefan Luty, — gdyż on to leżał pod białymi firankami w jasnym i schludnym pokoju. Stefan Luty odzyskał przytomność w Londynie, a odzyskał dopiero przed kilku minutami.

Zostawiliśmy naszego bohatera w chwili, kiedy zasługiwał istotnie na to miano, bo narażał życie w obronie swoich przekonań. Czyń to godny szlachetnego człowieka.

Szajka łotrów zawiodła się w swoim oczekiwaniu. Mniemany don Jose de Fernambo Patamos, a właściwie Josek Saleman, żyd niemiecki, był w spółce ze Szwarem i obaj stali na czele dobrze zorganizowanej bandy złodziejskiej. Mieli bardzo rozgałęzione i sięgające aż po za ocean stosunki, bo ułatwiali ucieczkę różnym podejrzanym osobistościom, pragnącym zmienić nazwisko i dostać się bez paszportu z Europy na drugą półkulę. Nie poprzestając na tym szlachetnym procederze, obdzierali ludzi, dokunając śmiałych kradzieży. Stefan przybył do Bremy w chwili, kiedy dwaj godni siebie wspólnicy zamierzali właśnie spełnić czyn wyjątkowo zuchwały.

Salcman wiedział, że bawi w Bremie młody dziedzic wielkiego majątku, Jakób O'Clear, że przyjechał z Anglii dla odebrania spadku po stryju, który był właścicielem bogatej bremenskiej firmy bankierskiej. Jakób, inżynier zamierzający w swoim zawodzie, nie mógł i nie chciał zajmować się handlem. Zamierzał też na gotówkę całą sukcesję stryjowską i, spędziwszy kilka miesięcy w Bremie dla uregulowania spadku, zamierzał już opuścić Niemcy.

Przez czas swego pobytu nad Wezerą mieszkał w pię-

Do pow. „Stefek Luty w Brazylii.”



Pani O'Clear ze współczuciem spoglądała na chorego.

knym hotelu na Nowem mieście a tylko w czasie godzin pracy pozostawał w kantorze stryja, oddychając z trudnością dusznym powietrzem Starego Rynku. Dzień schodził młodzieńcowi na przeglądaniu rachunków, wieczory spędzał słuchając muzyki w teatrze lub na koncertach. Noc zastawała zawsze Jakóba w eleganckim, z komfortem angielskim urządzonym, British Hotelu.

Salcman wiedział wszystkie te szczegóły przez swych agentów, bo jego dobrze zorganizowana banda zawiadamiała go o każdej następującej się okazji rabunku. Należał niestety do tej bandy i Leon Ziemniak. Zapomniał nauk księdza Proboszcza, zagłuszył sumienie, zgubił już własną duszę a teraz wiódł na pokuszenie towarzysza dziecinnych lat. Przed tygodniem schwyciła bremeńska policja ślusarza, którego Szwarz używał dotąd do nieznanых swych wypraw dzieląc się naturalnie częścią zysków. Nie miał go kto zastąpić na razie, a to opóźnienie psuło plany spiskowców. Jakób O'Clear wyjeżdżał z Bremy, należało za jakąś cenę znaleźć rzemieślnika, któryby się podjął otworzenia sztucznego zamku. Wiedział o tem Leon Czarny, bo tak go przezwali wspólnicy, wiedział i to, że czeladnikowi Kolarza mógł śmiało powierzyć najtrudniejszą robotę. Przyzwy-

czaił się od dzieciństwa tyranizować Stefana, sądził więc, że jeśli nie prośbą, to groźbą wymoże na Lutym posłuszeństwo i powziął zamiar wciągnięcia kolegi do nocnego napadu.

— Skusi się na pieniądze, ulegnie — myślał Ziemniak i dał znać Salcmanowi, że czekać będzie u Szwarca, że znalazł ślusarza, kazał tylko zabrać wytrychy.

— Jest szczer, przegryzie zamek, Czarny dzielnie się spisał — mruzczał Jasek, siedząc na stosie skradzionych ubrań i kazał odpowiedzieć Leonowi, że jama pełna, a Leon odgadł od razu co znaczyły te słowa.

— Pieniądze młodego są już złożone w kasie kantoru na Starym Rynku — powiedział Ziemniak do Szwarca. Należało zabrać je jeszcze tej samej nocy, bo O'Clear mógł przewieźć nazajutrz gotówkę do hotelu lub złożyć ją na przechowaniu w banku.

— Jeżeli jednak Stefan nie zechce otworzyć kasy? troskał się Leon, ale Niemiec uspokoił jego obawy. W Bremie nie znał nikt młodego ślusarza. Jeśli chłopak dobrowolnie usłuży przy kradzieży, wynagrodzą go za robotę, jeśli jednak odmówi pomocy przez głupie skrupuły, albo co gorsza, zechce zdradzić współników, on Szwarz, potrafi wymusić na nim posłuszeństwo, a potem załatwi się z nim i uprzątnie niewygodnego świadka, jak uprzątnął już niedawnego śmiałka. Nurty Wezery mileczą, chociaż mogłyby wiele powiedzieć.

Zwierzzenia Niemca przeraziły Leona, kraść tak, ale zabijać! Nie przypuszczał, aby jego współnicy mogli odważyć się na taką zbrodnię. A jeśli Stefan nie zechce być posłusznym. Miałaby on, Ziemniak skazywać towarzysza lat dziecinnych na śmierć? Wzdrygnął się, usłone sumienie łotra przemówiło głośnie, ale zagłuszył je rezonowaniem.

— Stefek nie taki głupi, żeby odmawiać pieniędzy, sam przecież prosił o zarobek, obiecałem mu go nastreczyć. Czyż mogła zdarzyć się lepsza sposobność. Życie Stefka wisiało więc na włosku w ów pamiętny dzień, kiedy obudzony przez Leona poszedł z nim razem na miasto, nie zmówiwszy nawet pacierza. Jakże za to gorąco westchnął o pomoc do Boga w chwili, kiedy zagroziły mu rewolwery i noże zbójców.

Byli oni pewni, że w kantorze niema nikogo i to przekonanie uszczuplało przestępców. Chcieli tylko zmusić Stefana do milczenia, bo jego krzyk mógł nakoniec obudzić czujność stróżów. Ale krzyk ten spowodził szybszą i skuteczniejszą pomoc. W drzwiach kantoru stanął nagle młody i silny Jakób O'Clear.

Opuszczał nazajutrz Bremę, chciał więc jeszcze przed odjazdem uporządkować prywatne papiery stryja. Otworzył stare biurko i znalazł kilkanaście kopert opatrzonych datą roku korespondencyi. Korespondencya dotyczyła przeważnie własnej jego osoby, bo składała się wyłącznie prawie z listów, które ojciec Jakóba pisywał do brata. Ojciec ten umarł przed kilku laty ofiarą spekulacji pieniężnych, klucz zaś do nich znajdował się właśnie w zwierzeniach, czynionych głowie rodziny. Był nią stary Bremeński bankier i Jakób teraz dopiero zaczynał pojmować ciężkie położenie ojca. Czytał chętnie pośliznięte papiery, wypróżniając koleją lat koperty, zdawało mu się, że przeżywa z ojcem jego troski i nadzieje. Niestety, nadzieje gasły powoli, a troski rosły z każdym dniem. Jakób był nieprzygotowany na doznane wrażenia, uczuł się też niemi tak pochłonięty, że nie wrócił już do hotelu; twarzą kantorowa sofka posłużyła mu za posłanie. Zasnął na niej i nie słyszał, że kantor został otwarty, że gospodarują w nim złodzieje. Obudził go dopiero krzyk Stefana.

— Ratunku! — wołał Luty biegnąc w głąb lokalu, który składał się z kantoru i jednego tylko pokoju. Przebudzony ze snu chwycił za rewolwer i stanął we drzwiach kantoru. Odepchnął Salemana, który mierzył nożem w pierś Stefana, ale nie zdołał zasłonić sieroty przed re-

wolwerem Szwarca. Świsnęła kula i Luty powalił się na ziemię.

— Dosięgnie cię nasza zemsta, jeśli się wylizać potrafisz — zawołał Salcman, uciekając ze swymi współnikami.

Jakób przerażony widokiem rannego, nie pomyślał nawet o ściganiu łotrów. Podniósł Stefana i ułożył go na tej samej sofie, na której spał smacznie przed chwilą. Kula utkwiała w głowie i krew broczyła obficie, ale młody inżynier, który kilka lat życia spędził w lasach Ameryki, znał się na ranach i umiał sobie radzić w potrzebie, bo walczy już z dzikimi plemionami Indyan.

Na pustym rynku starej Bremy nie było nikogo. O'Clear musiał sam zrobić pierwszy opatrunek. Z pomocą zapalki znalazł latarkę, którą upuścił Leon. Latarka złodziei uratowała życie ich ofierze, gdyż Jakób zdołał zatamować krew. Obwiązał ręcznikiem głowę rannego, czekał niecierpliwie poranku, a tymczasem badał bystrym wzrokiem bladą twarz chłopca. Chciał odgadnąć, kto była ta ofiara zbrodniczej ręki, która wyciągnęła do niego swoje o pomoc.

Łagodne, a nawet piękne rysy Stefana mówiły na korzyść sieroty. Nie mógł chyba tak szlachetnie wyglądać towarzysz i współnik złodziei. Skąd więc wziął się w jego kantorze? Jedno tylko było pewne, że ranny ocalał kantor od rabunku i że jest Polakiem. Matka O'Cleara rodziła się nad Wisłą, to też Irlandczyk zrozumiał wołanie ślusarza. Czuł dla niego tem większą sympatyę, a zdawał sobie doskonale sprawę z doniosłości długu, jaki zaciągnął względem nieznajomego.

(d. c. n.)

S W O J E.

Pogawędka.

Narody słowiańskie, z dawien dawna, miały wspólną sobie cechę: brak zamięłowania do handlu, spekulacji, nadmiernych zysków i gromadzenia grosza.

Najmilszem ich zajęciem była praca na roli, która wystarczała zupełnie do wyżywienia ludności, a nawet często i wspomóżenia sąsiadów; tę rolę ukochali oni gorąco i nie rozumieli innego życia, jak na niej lub blisko niej. My wspólnie z innymi Słowianami posiedliśmy tę cechę.

Niemcy, korzystając z zamięłowania Słowian do roli, postarali się ująć w swoje ręce handel słowiański, zakładać fabryki i pośredniczyć pomiędzy Słowianami w wymianie produktów. Tych Słowian, którzy nie mieli chęci siedzieć na roli i urzędach, bo zdarzali się wyjątkowo tacy, Niemcy poczęli obracać na swoich pracowników, dochodząc przy ich pomocy do dużych zysków. Niemcy w dziedzinach słowiańskich zakładali warsztaty i fabryki, a nawet zyskiwali dla siebie różne ulgi i wygodne prawa. Słowianie chętnie korzystali z usług Niemców, bądź to osiadłych po miastach, bądź przywożących towary z zagranicy, sami bowiem wówczas, jako mieszkający na kresach, musieli zasłaniać swoimi pierściami od wschodu, południa i północy środkową Europę i całą cywilizację, która w niej kwitła. Broniąc Europy i cywilizacji od hord najeźdźczych ludów, nie mogli dostatecznie sami zażywać owoców cywilizacji, miasta bowiem Słowian podlegały łupieżym, pożarom i rabunkom.

Dzieje najlepiej świadczą, ile Europa winna Słowianom wszystkim za zasłanianie jej przed naporem Tatarów i Turków, gdy chcieli podbijać narody chrześcijańskie i cywilizację, idącą z rzymskiego państwa.

Zmiana stosunków życiowych, wzrost ludności i poskromienie napaści barbarzyńskich plemion, spowodowały że Słowianie poczęli myśleć na równi z innymi ludami Europy o rozwoju miast i o prowadzeniu własnego przemysłu.

Wrodzony przemysł ludowy kwitł powoli, lecz ilością i jakością wyrobów nie mógł zadowolić licznej ludności. Powstały więc fabryki. Ponieważ założono je później, niż w innych krajach, dużo więc brakowało im do doskonałości. Przytem ludy słowiańskie nauczyły się brać wszystko od innych narodów Europy z przyzwyczajenia, więc nie popierały swego przemysłu.

Taki stan, jak i u innych Słowian, był i jest jeszcze do dziś dnia u nas. Większość towarów sprowadza się z Niemiec, chociaż one bynajmniej w wielu gałęziach nie są lepsze, ani nawet tańsze od naszych. Na rzemiosła, na fabryki zwykliśmy patrzeć nieufnem okiem, kiedy dzisiaj wskutek odmiennych warunków bytu wykształcony i uczciwy rzemieślnik i przemysłowiec, są jednymi z najgłówniejszych pracowników na polu dobrobytu i szczęśliwości kraju. Za granicą nie jest wcale dziwnem, jeżeli człowiek z wyższem wykształceniem weźmie się do jakiego rzemiosła lub handlu, choćby na mniejszą skalę rozpoczętego. U nas nastaje już czas, że zaczynamy patrzeć tak samo i nie brak nam ludzi wykształconych w przemyśle i handlu, nawet drobnym. Niema jednak pola, na którymbyśmy nie widzieli przedmiotów z zagranicy sprowadzanych. Ogół nie porównawszy dostatecznie wyrobów krajowych, zwykł kupować chętniej zagraniczne. Słowo „zagraniczny” wywiera na nas dziwny a niesłuszny urok i trudno to sobie wytłómaczyć, dlaczego tak jest. Nie lekceważmy pracy obcej, wiedźmy o tem, że zagranicą wiele prac rąk ludzkich doszło do większej doskonałości, lecz od najmłodszych lat równocześnie starajmy się popierać wszystko co swoje, wszystkie płody naszej ziemi i wszystkie wyroby naszych współrodaków. Jeżeli będziemy kupowali od najmłodszych lat życia zupełnie dobre wyroby krajowe, choćby do najprostszego użytku służące, jako to: ołówki, stalówki, papier, kałamarze, rajsbrety, to damy dowód trzeźwego umysłu i umiłowania tego, co swoje.

Pamiętać winniśmy, że grosz, wydany na rzeczy swoje, zostanie w kraju, wspomże naszych współbraci, pomoże im zająć się pracą, która ich z niedoli wybawi, a może wkrótce od nich ten pieniądz do nas powróci. O ile złem jest skąpstwo, o tyle złem jest rozrzutność i marnotrawienie grosza. Ale stokroć gorzej, jeżeli ten grosz jest wydany na fatalaszki lub nawet rzeczy pożyteczne, z zagranicy pochodzące, kiedy u siebie możemy dostać równie dobre rzeczy. Cudzoziemcy śmieją się z naszej wady niepopierania tego co swoje, nazywają nas papugami. Popierajmy więc swoje wyroby, żądajmy ich wszędzie, a wtedy od najmłodszych lat przyczynimy się do podniesienia dobrobytu kraju i społeczeństwa, które się gorszymi pracownikami niż u Niemców nie posilkuje, jeno brak im poparcia swajaków, bo ci niewiadomo dlaczego popierają niesłusznie rzeczy obce, przeważnie niemiecką tandetę.

Wł. Karoli.

Ćwiczenie do nagrody.

Bez „r”.

Pewien zakonnik włoski z XVIII-go wieku, zamieszkały w stolicy ówczesnego księstwa Toskańskiego, cieszył się sławą znakomitego kaznodziei. Kazania jego odznaczały się nietylko głębokością myśli i podniosłością uczuć, lecz zachwycały słuchaczy pięknocią języka i wymową, z jaką były wypowiadane. To też ów kaznodzieja uchodził za jednego z najlepszych mówców, swojego czasu, bywał słuchany pilnie, a kazania jego doczekały się kilku wydań. A jednak posiadał od dzieciństwa jedną wielką wadę w wymowie; nie mógł wcale wymówić zgłoski r. Być słynnym mówcą z taką wadą, wydaje się niepojętem; każdy bowiem

wie z doświadczenia, jak niemile a nawet śmiesznie brzmi mowa tych, którzy tej zgłoski nie wymawiają. Ale nasz kaznodzieja w ten sposób wadę tę omijał, że nie używał zupełnie słów z tą fatalną zgłoską, zastępując je innemi lub omawiając! Nikt ze słuchaczy nigdy tego nie spostrzegł, zaledwie jeden z czytelników tych kazań, już po zgonie zakonnika zauważył tę okoliczność.

* * *

Naśladować owego kaznodzieję i ja napisałem powyższy ustęp, nie używając ani razu słowa z literą r. Pragnąc jednak przekonać się, czy w naszym języku będzie równie łatwo obejść się bez tej litery, jak we włoskim, proponuję czytelnikom „Wieczorów,” a zwłaszcza starszym, którzy nie mają prawa wziąć udziału w ogłoszonym dzisiaj konkursie kaligraficznym, aby zechcieli przesłać w ten sposób napisane krótkie opowiadanie (od 100 do 150 wyrazów). Redakcja za dwa najlepsze ćwiczenia nadesłane przed 20 marca przyzna dwie nagrody: „Trzydzieści lat wśród dzikich” albo „Powrócili” do wyboru.

N. B. „rz” można używać, bo brzmi jak „ż”

Wieczór Rodzinny.



ZE ŚWIATA.

Porządkowanie Watykanu. Pałac Watykański w Rzymie, obecna rezydencja Papieża, jest jednym z największych gmachów na świecie. Mieszczą się w nim oprócz apartamentów mieszkalnych, kancelarye, archiwa, biblioteki, i muzea, zawierające nieocenione skarby sztuki i archeologii. Porządkowanie tego olbrzyma odbywa się raz na paręset lat. Ostatnie miało miejsce za papieża Sykstusa IV, to jest 400 lat temu. Od tej pory w Watykanie, obejmującym 11,000 pokoi, obrazy, posagi i inne arcydzieła sztuki, pokryły się kurzem na cal grubości, zakrywając właściwą im barwę i kształty.

Leon XIII, ubiegłej wiosny, wydał rozporządzenie oczyszczenia Watykanu, co jest niezmiernie uciążliwe i kosztowne. Do czynności tej zawezwano 2,000 kobiet, 1,500 mężczyzn i 700 dozorców. Porządki trwały 8 miesięcy. Wywieziono 60,000 kilogramów (120,000 f.) kurzu i śmieci. Zużyto 2,000 kilogramów mydła, 1000 kilg. sody, 2,000 szcetek do szorowania 8,000 mioteł, 80 sztuk flaneli, ofiarowanej przez Irlandczyków. Do czyszczenia obić spotrzebowano 8,000 bochenków chleba. Koszta tych porządków wyniosły 1,000,000 lirów około 350,000 r. Watykan wygląda obecnie odświeżony i odnowiony, choć nie obyło się bez uszkodzeń i strat.

Trzęsienie ziemi na Kaukazie. W gub. Bakińskiej na południowym skłonie gór kaukaskich leży powiat Szemachiński z głównem miastem Szemacha, liczącem około 40,000 mieszkańców, trudniących się przeważnie jedwabnictwem. W połowie lutego miasto to i jego okolice dotknęła straszna katastrofa, a mianowicie niezmiernie silne trzęsienie ziemi. Depesze przyniosły już następujące szczegóły do dnia, w którym to piszemy.

Całe miasto z trzema tysiącami domów, prócz dwudziestu do trzydziestu, zupełnie zburzone. Domy zamieniły się w bezkształtne stopy kamieni i piasku. Pod zwa-

liskami zginęło kilka tysięcy ludzi. Ścisłą liczbę, jak dotąd, trudno jest określić. Podczas prowadzonych rozkopywań odnaleziono około 800 trupów. Zginęło wiele osób w łaźniach.

W niektórych, po dwudniowym przebywaniu pod ziemią, znaleziono ludzi, dających znaki życia, z tych jedni wkrótce zmarli, innym udzielono ratunku; przyczem w jednej łaźni, gdzie znaleziono żywych, ojciec poznał córkę, lecz w tej chwili miejsce odkopane zawaliło się, zasypując oboje. Urządzono na placu stację opatrunkową. Zajętych jest bezustannie 5 lekarzy z felerami. Położenie przerażające. Urządzony chwilowo barak drewniany, bez noszy, zbito naprędce. Większość ludności wzniosła na ulicach namioty, szałas i szopy. Wszyscy cierpią skutkiem chłodu i głodu.

Trzęsienie ziemi powtarza się, lecz słabo. Kto może, ucieka z Szemachy, zabrawszy dobytek ocalony. Na wszystkich drogach z Szemachy do Baku i stacy Kiurdamir ciągną się transporty i tabory z różnym dobytkiem. Wiele sklepów na targu spłonęło, towar miejscami jeszcze się pali i tli. Wielu straciło setki tysięcy. Spłonęła gotówka w znacznych sumach. Straty milionowe. Konieczna jest pomoc natchmiastowa, której wyglądają mieszkańcy Szemachy, pozbawieni mienia i dachu.

Naokoło Szemachy, liczą 33 wsie, które ucierpiały skutkiem trzęsienia ziemi. Wiadomości szczegółowych jeszcze nie zebrano. Opowiadają, iż w pobliżu wsi Marysy, o 35 wiorst od Szemachy, nastąpiły w trzech miejscach wybuchy wulkaniczne, które widziano na odległość dwunastu wiorst w postaci słupa jakby oświetlonego elektrycznością. Z tych krótkich, doraźnych szczegółów widać, że jest to jedna z najstraszniejszych katastrof, wywołanych przez trzęsienie ziemi.

Kogut w zaprzęgu. Na wystawie drobiu domowego, w roku zeszłym, w małym miasteczku francuskim Saint-Paul, jeden z okolicznych dzierżawców przedstawił szczególniejszego koguta.

Ptaka ten odznaczał się nietylko niepospolitą wielkością i pięknością upierzenia, ale przede wszystkim taką siłą i siarkawością, że pozwalał się zaprzęgać do wózećka, w którym siedział czteroletni chłopczyk, poczem rozpoczęła się jazda z taką ostrożnością, że ani razu nie wydarzyła się potrzeba ani przymusowej zachęty, ani też hamowania pochodu osobliwego tego rumaka.

SZARADA LITEROWA.

ułożył A. R.

Z sześciu liter całe nazwisko się składa:
Czwartą, piątą, szóstą — elegant posiada;
Nazwa ptaka będzie pierwszą, drugą, trzecią;
A gdy dodasz piątą — narzędzie dla kmięcia.

Piąta z trzecią znana, jest to bowiem karta,
A zaś nazwą herbu: — *trzecia, piąta, czwarta*.
Trzecia, druga, pierwsza — płyn gospośiom znany,
Czwarta, druga z trzecią na stół podawany.
Pierwsza, druga, szósta z czwartą w połączeniu
Dadzą nam materiał podatny ku paleniu;
Druga, trzecia, piąta — owad, który kłuje,
Podobny do pszczoły, lecz nie tak pracuje.
Wreszcie *piąta z piątą*, to jest rzeka mała,
Druga, szósta, druga — część ludzkiego ciała.
Całe wam usłyszeć dość często się zdarza,
Jest bowiem nazwiskiem znanego malarza.

ZADANIE KONIKOWE.

ul. Jaskółka dla Czytelników.

zo	mi	dzba	naż	Po	ja	ka	wa
do	dzba	brzo	i	ziom	da	nią	da
da	wym	z po	na	mo	dzie	ście	mi
nek	pójdź	czę	ście	sie	drze	na	przed
ci	go	le	wa	dziew	wa	z bo	las
czko	nie	na	dzba	mi	ja	się	da
z ja	chym	nie	gó	o	nia	i	rów
sie	de	nek	kła	sie	ka	na	ją

ROZWIĄZANIA DO N-ru 7.

Szarady: Ma — ka — o.

Łamigłówki sylabowej.

- 1) Dyomedes. 2) Wagram. 3) Odra. 4) Rebeka. 5) Zante.
- 6) Altaj. 7) Noteć. 8) Ilek. 9) Neron. 10) Krym. 11) Rycerz. 12) Odyniec. 13) Luneta. 14) Epaminondas. 15) Wajdeloci. 16) Indye.
- 17) Ceres. 18) Zanzibar. 19) Aleksander. 20) Jeroboam. 21) Arfa.
- 22) Kowno. 23) Ondina. 24) Brzoza. 25) Anglia.

Dworzanin królewicza Jakóba.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Bohdan Zaleski (z portretem). — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Węże, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Swoje, pogawędka. — Ćwiczenie do nagrody. — Ze święta. — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek:** Konkurs na kaligrafię (z ryc.) — Wisielka, wiersz przez Kazimierza Glińskiego. — Jak się nazywa? — Wróbelki Władzia, przez Annę Skibińską. — Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 10 Февраля 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

Wydrukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Nr. 10. — Rok XXIII.

Dnia 23 Lutego (8 Marca) 1902 r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



J. Ś. Papież Leon XIII.

Jubileusz Ojca Św.



Herb Leona XIII.

W końcu lutego b. m. cały świat katolicki obchodził niezmiernie rzadką uroczystość: dnia 20-go bowiem przypadła dwudziesta piąta rocznica wstąpienia na tron papieski Leona XIII.

Oprócz Św. Piotra, pierwszego namiestnika Chrystusowego, tylko dwóch papieży: Pius VI i Pius IX przeżyło ćwierć wieku lub więcej na stolicy apostolskiej; Leon XIII jest zatem z liczby swych 263 poprzedników, 4-ym z kolei, piastującym tę godność przez tak długie lata.

Kardynał Joachim Pecci, urodzony 2 marca 1810 r., obrany został papieżem na *conclave*, które się odbyło d. 20 lutego 1878 r. po śmierci Piusa IX, zmarłego 8 lutego tegoż roku. Z tego powodu 20-go lutego we wszystkich kościołach odprawiono nabożeństwa dziękczynne.

Główne uroczystości jubileuszowe w Rzymie odbyły się d. 3 Marca, jako w dzień koronacji. Miasto i katedra Św. Piotra zdawna już przygotowywały się na ten obchód; ściany olbrzymiej bazyliki pokryły purpurowe, złotem tkane adamaszki. Ze wszystkich stron świata przybyły pielgrzymki z darami i życzeniami, oraz nadzwyczajne poselstwa od wielu państw. Między innymi ofiarowano papieżowi szczerozłotą tyarę, t. j. koronę potrójną.

Ojciec Św. pomimo sędziwego wieku cieszy się z łaski Opatrzności dobrem, jak na tak podeszłe lata, zdrowiem i pełnią sił ducha i umysłu. W roku bieżącym rozpoczyna 93-ci rok życia, 65-y kapłaństwa, 59-ty biskupstwa i 25-y papieństwa.

Z poezji Bohdana Zaleskiego.

Ustęp z poematu *)

„DUCH OD STEPÓW.“

Duch mój spoczął. Błogo śniłem —
W śnieniu ducha lekkim, miłem:
Niecielesne znowu oko —
Budzę w cudach — o! szeroko...
Czas bezbrzeżny — czas w rozstrzeni
Słowem Bożem się promieni,
Śpiewa wielką epopeję.
Miliony światła, cieni,
Światy w kwiaty — światów dzieje,
Na kadzidło Panu wieje.

Któż ogarnie — i wypowie
Drobną promyk w Bożem słowie!
Widzę piękne miasto. W mieście
Wieczne gody, a boleście
Po pieczarach. Od ciemnicy,
Jęki sierot — lzy niewieście.
Dzwonią na gwałt Męczennicy...

*) W ustępie tym poeta daje w kilku silnych rysach obraz wielkiej wędrówki narodów (V wiek po Nar. Chr. P.), które ze stepów Azji dążyły na podbicie Romy, ówczesnej stolicy świata.

„Roma!” Okrzyk głuchy zrazu —
Grzmi roznośniej od Kaukazu,
Lik skrzydlaty, czy tabunny,
Szerzy w stepach tentent, huki?
Coś już wietrzą pańskie krukil
Barbarzyńcy — o! nieuki —
Ostrogoty, Goty, Hunny:
Z różnych plemion czerni zacieżna,
Strasza w sile — a orężna!..
Bliżej, bliżej — okrzyk dzwoni:
„Ura ho! na popas koni,
Do Panonii! do Panonii?”

W stał zakuty wódz na przedzie,
Przez bezdroża jedzie — wiedzie, —
Konny posąg Al-hun ryka,
Niedźwiedziami strzepi kudły.
Suchożyły, w kość zachudły,
Boży gniew — twarz groźna, dzika; —
Wzrok, co nigdy się nie zmyka,
Bo powieki wrosły w czoło..
Jako rzeka w skałach stroma,
Pluszcze za nim gwar wokoło:
„Roma! Roma! gdzie ta Roma?”

Konny posąg wódz na przedzie,
Nieprzystępny, głuchy, niemy,
Przez bezdroża jedzie, wiedzie;
Nagle staje:

„Tu spoczniemy.
Strona w stepach ta, czy nie ta,
W nocy wskaże nam kometa!
Roma, Roma — niedaleko..
(Grzmi ku swoim wieść ponura):
Tam, za siódmą tylko górą..
Za dziewiątą tylko rzeką!
Ale słońce mile świeci,
Poigrajcież w piasku, dzieci!”
Na rozkazy wodza, dziatwa —
W prawo — w lewo — zdale — zbliska —
Wnet się roi na mrowiska!
I zabawka lekka, łatwa,
Nie mitręży wcale siły.
W ruchu tylko ręce, stopy:
Znoszą skały pod mogiły,
Ryją na sto mil przekopy..
Ślad maluchny ich przechodu,
Pamięć, czem był świat za młodu!..

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE

(Dalszy ciąg).

IV.



ymczasem pan Zabrzęski i dzieci szli ku Staremu Dębniakowi. Sądził, że w Leśniczówce zastaną Macieja, któryby ich do obozu cyganów doprowadził, ale zastali chałupę zamkniętą; nikogo w niej nie było. Poszli, nie bardzo pewni drogi i przez chwilę błądzili trochę. Z tego powodu powóz, wiozący panią Zabrzęską i profesora, pierwszy stanął u mety. Nie mógł jednak dojechać do samego miejsca, dla zbyt gęstego lasu i stanął na drodze, na której naznaczony był punkt zborny. Cyganie z obozu widzieć go nie mogli, lecz niezawodnie usłyszeli turkot, bo dwie kobiety i trzech mężczyzn wyszło natych-

miast z lasu i otoczyli powóz. Cyganki zaraz poczęły natarczywie żebrać i narzucać się z kabałą i wróżeniem z ręki. Jedna stara i straszna wiedźma, wyciągała wyschlą i kości-stą rękę ku pani Zabrzskiej, wołając:

— Ja, przez potęgi niebieskie i piekielne znam wszystkie czary, znam wszystkie gusła i wiem, co tańcuje w płomieniu i co przelewa się z wodą i co świszcze wiatrem w kominie i co biega w ognikach na moczarach. Ja widzę przeszłość i przyszłość; ja widzę co się teraz na całym świecie dzieje i co jest za morzami i co jest za lasami, i co jest po miastach i co jest po wsiach, i co jest w myśli człowieka, i co jest w sercu człowieka! Widzę z czego się człowiek weseli i z czego się smuci. Widzę, jakie ma zamiary i jakie ma nadzieje. Widzę co myśli największy król i co myśli biedny cygan, co dachu nad głową nie ma...

— A wiesz, gdzie leżą zakopane pieniądze? — spytał z kozła Michał furman, który lubił grosiwo i marzył o kupieniu 12-to morgowego gruntu, będącego właśnie na sprzedaż.

— Oj wiem! Ja wiem gdzie są zakopane pieniądze po całym świecie, ale każdy skarb zakopany ma swoją godzinę przeznaczoną od Boga i ma swego przeznaczonego do odkopania człowieka. Inny człowiek skarbu nie ruszy, a nawet nie zobaczy, choć on w ziemi leży, bo mu na tę chwilę przyjdzie od Boga taka ślepotą...

Michał słuchał z otwartymi ustami.

— Przecie tak bywa — mówiła cyganka — że chłopci orzą ziemię od dziada pradziada i dopiero znajdzie się taki Wojtek czy Bartek, co z tej samej ziemi wyorze garnek z pieniędzmi... Więc niech jaśnie pani dziedziczka da mi tu na dłoń, swoją białą rękę, co nie robiła nigdy żadnej roboty, a ja z tej rączki wszystko wyczytam. Na takiej ręce, co tylko tyle robi, że niesie jedzenie od talerza do gęby, to widać każdą fałdeczkę, każdą najmniejszą skazę. A każda fałdeczka, to dla mnie jakby stało napisane i to co było i to co będzie, bo ja przez potęgi niebieskie i piekielne znam wszystkie czary...

Wiedźma zaczynała znowu swoją przemowę od początku, lecz powtórzyć jej całej nie pozwoliło jej przybycie pieszej gromadki.

Jańcio zobaczywszy cyganów począł płakać i tulić się do spółnicy Zosi, więc choć to był już czteroletni chłopiec, pan Zabrzski wziął go na ręce. Jańcio poczuł się bezpiecznym w objęciu ojca, który mówił mu cicho:

— Wstydz się, Jańciu!... Żeby chłopiec był taki tchórz! Tybyś powinien jeszcze Alusi bronić, gdyby było jakie niebezpieczeństwo. Ale tu się nam nie stać nie może!

— Kiedy Marysia mówiła, że cyganie...

— Jakto? Jańcio więcej wierzy Marysi niż tatusiowi? Jańcio objął szyję ojca, przytulił się mocno do niego i szepnął:

— Każde dziecko ma swego anioła stróża w niebie, a swego tatusia i swoją mateczkę na ziemi.

Teraz pan Zabrzski postawił Jańcia obok powozu, w fałdach sukni Zosi, i podał rękę żonie, która wysiadła z powozu. Zjawili się więcej cyganów i cyganiek, przyszły także wszystkie cyganiatka, zwabione ciekawością a kryjące się za krzaki.

Stara wróżka przyglądała się przybyłym podejrzliwie i zdawała się śledzić na twarzy każdego jego uczucia i myśli.

— Chcemy zobaczyć wasz obóz — ozwała się pani Zabrzska, która szła naprzód, prowadząc Jańcia, idącego jaknajbliżej matki, trzęsącego się jeszcze trochę i wodzącego po cyganach przestraszonymi oczami.

Za panią Zabrzską szedł profesor Chlewiatko, mając po obu stronach Józia i Zdzisia, którzy mu opowiadali przygody swego spaceru i malowniczo przedstawiali chwilę, w której naraz, wśród gęstego lasu, nikt nie mógł odgadnąć gdzie jest wschód, zachód, północ i południe, słońce bowiem schowało się było za chmury i nikt nie wiedział w którą stronę iść należało.

Za profesorem i chłopcami szedł pan Zabrzski, który podał uprzejmie rękę swej ukochanej córce najstarszej. Z lewej jego strony szła Alusia, zrywając wrzosa i spóźnione kwiatki leśne, gdyż oprócz kanarków i kotów uwielbiała jeszcze kwiaty i wiecznie je zbierała.

Cyganki napastowały wszystkich, żebrały, zwracały się do każdego z członków rodziny z osobna, jedna nawet, mająca niemowlę na ręku, została przy powozie, żeby zupełnie rozkołatać głowę Michała, zajętą już i tak ciąglem rozmyślaniami o 12-to morgowym gruncie.

Ale najzjadliwsza przyczepiła się do Józia.

— Paniczu, paniczu — wołała — ja mam takiego syna jak panicz! Taki z niego śliczny chłopiec, jak panicz! A taki dobry jak chleb, a mądry jak lis! Jego tu nie ma, bo go oddałam na naukę. Do nauki ma okrutną ochotę, ale nie mam w co go odziać... On tego samego wzrostu co panicz! Może panicz ma jakie stare odzienie, jaki paltocik, albo jakie futerko? Zima idzie, a chłopiec nie ciepłego na grzbiecie nie ma. Ma panicz jakie stare futerko?

Józia pocziwe serce zabiło litością dla kobiety.

— Mam stare odzienie — ozwał się — ale należy ono nie do mnie, tylko do moich rodziców.

— To panicz może mamy poprosić. Mama takiemu synkowi nie odmówi! Oj, ja mojemu dałabym własne serce do zjedzenia, gdyby był głodny, a własną skórę do okrycia, gdyby mu było zimno! A może panicz ma jaki grosz własny, zaoszczędzony?

— Mam — odparł Józio.

— O, taki panicz, to musiał dużo zebrać pieniędzy! Ile panicz zebrał pieniędzy? Niech mi panicz prawdę powie, ja przecie tych pieniędzy nie zabiorę, tylko się pytam. Niech panicz powie prawdę!

— Ja zawsze chcę mówić prawdę — odparł Józio. — Zebrałem sobie 26 rubli.

— 26 rubli? To pewno na zegarek? Ale panicz ma zegarek, bo widzę łańcuszek! Na co paniczowi 26 rubli? Lepiej to oddać na takiego biedaka, co się uczyć pragnie... aż drży do nauki... A taki dobry, też nigdy nie kłamie! Czasem mu każę skłamać to i tak nie potrafi i nie chce. Mówi, że to grzech.

— A jakiej on religii? Czy on jest chrześcijaninem?

— Onby się chciał nauczyć i chrześcijaństwa; tylko, że tu zima idzie, a nie ma ciepłego okrycia...

Cyganka mordowała Józia dalej, a przyczepiła się do niego jak kleszczami. Ciągle mu o tym swoim nadzwyczajnym chłopcu mówiła i nalegała, a wciąż wracała do starego futerka i do uciulanych pieniędzy. Wreszcie Józio zapłtał:

— Czy długo jeszcze w tej okolicy zostanieiecie?

— Nie wiem, to tam od starszych zależy. Ale mój syn to się uczy aż za Warszawą... tylko listy pisuje sokolik!

— Dajcie mi adres waszego syna.

— Dobrze, paniczu, dobrze, dam adres! Ale my pewno sami za Warszawę pociągniemy, to ja bym sama synkowi, sokolikowi, gołąbkowi zaniósła, coby była panicza łaska. Ja przyjdę do dworu, do Suchowa, a paniczowi takich orzechów przyniosę, co je wiewiórka na zimę schowała...

— Szkoda biednej wiewiórce zabierać...

Przez ten czas stara wróżka cyganka uprzykrzała się profesorowi, którego brała za pana Zabrzskiego.

Ukazał się wreszcie obóz rozłożony rzeczywiście w tej części lasu, którą nazywano Starym Dębniakiem.

Palilo się niewielkie ognisko, przy którym w kilku garnkach gotowała się strawa. Opodal stały dwa namioty płócienne, brudne, podziurawione, od spodu z trzech stron otoczone wałem suchych liści. W tej chwili płócienna opona z czwartej strony była podniesiona i przez otwór ten widać było wewnątrz zasłane łachmanami i staremi pierzynami, wśród których jaśniała wspaniałością poduszka czerwona, jedwabna, jeszcze nowa, poddająca natychmiast podejrzenie, iż niedawno była skradziona. Przy ścianach namiotu stały pozawiazywane worki, których boki niekształt

ne wskazywały, iż różnego rodzaju przedmiotami napętnione były. Na łachmanach leżało dwoje niemowląt, czarnych i brudnych, a prawie nagich. Pięciu mężczyzn różnego wieku i część kobiet kręciło się wkoło ogniska, do którego chrust ściągali dzieci, których było ośmioro. Wszystko to było malownicze, choć brudne.

(d. c. n.)

Św. Kazimierz.

Dnia 4 marca 1484 r. zmarł w Grodnie król Kazi-
mierz, drugi z kolei syn Kazimierza Jagiellończyka
i żony jego Elżbiety Habsburskiej, urodzony 3-go pa-
ździernika 1458 r.

Dziwne to było dziecko, bo już od lat najmłodszych
szczególną łaską Boską obdarzone. Chętne do nauk, gor-
liwe w spełnianiu wszelkich obowiązków, miłosierne i spra-
wiedliwe, odznaczało się niezwykłą pobożnością i ciąglem
zastosowywaniem w najmniejszych nawet rzeczach zasad
chrześcijańskich.

Przykład bogobojnych rodziców i nauki mistrza Dłu-
gosza, słynnego dziejopisarza, rozwinęły w nim wrodzone
cnoty i wraz z latami wzrastał w świętobliwość i zyskiwał
ogólną miłość i szacunek.

Te uczucia całego narodu ku niemu wzmogły się
jeszcze bardziej, kiedy w zastępstwie ojca, przebywającego
długie lata na Litwie, rządził Polską, jako namiestnik kró-
lewski. Pomimo jednak, iż nie uchylał się od tych docze-
snych, a tak wysokich obowiązków i spełniał je z wielką
mądrością i sprawiedliwością, przedewszystkiem jednak
myślał o życiu przysłym, o doskonaleniu duszy przez cno-
tę, modlitwy i umartwienia ciała.

Rychło też, bo w 25-ym roku życia, powołał go Bóg do
Swojej chwały.

Zmarł w kwiecie lat z suchot, a wszyscy bez różnicy,
bogaci i ubodzy, uczeni i prostaczkowie; szlachta i kmiecie
opłakiwali go, najtkliwiej przechowując jego pamięć z po-
kolenia w pokolenie.

Kanonizacya, t. j. zaliczenie królewicza w poczet świę-
tych, nastąpiło w 1607 r.; w kilkanaście lat potem, za króla

Władysława IV, ciało Św. Kazimierza, pochowane w pod-
ziemiach katedry wileńskiej, przeniesiono do wspaniałej
kaplicy jego imienia przy tejże katedrze, w obecności króla,
nuncjusza i najwybitniejszych dygnitarzy.

W ołtarzu jest obraz przedstawiający królewicza.
Św. patron ma na nim trzy ręce, w dwóch prawych trzyma
lilie, a w lewej różaniec. O osobliwym tym obrazie istnieje
następujące podanie: malarz wileński, ukończywszy go,
zauważył, że jedna ręka jest zadługa; zatarł ją więc farba-
mi i namalował nową, krótszą. Zamalowana ręka ciągle
jednak występowała i zatrzeć jej nie mógł, więc postanowił
zostawić wizerunek z trzema rękami.

Nad obrazem umieszczona jest trumna drewniana,
czarno lakierowana, lecz srebrną blachą okuta. W trumnie
spoczywa ciało św. patrona. Nad trumną jest statua
Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus, otoczona rojem
aniołków.

Oprócz tej kaplicy zbudowano w wielu miastach ko-
ścioły i kaplice pod wezwaniem św. Kazimierza, zwłaszcza
przy szpitalach i zakładach Sióstr Miłosierdzia.

Malowano też wiele obrazów, przedstawiających św.
patrona. Najstarszy, bo z 1520 r. pochodzący, znajduje
się w kościele parafialnym w Krośnie, w Galicyi; najślyn-
niejszy zaś, pendzla znakomitego malarza włoskiego
z XVII w. Carlo Dolce — w Muzeum florenckim. Na
obrazach Św. Kazimierz bywa zwykle przedstawiany z ko-
roną i berłem królewskim, leżącym u stóp jego; w rękę zaś
trzyma lilie, jako godło tej najpiękniejszej z cnót — cnoty
niewinności i czystości.

Z tem też niebiańskim godłem i w płaszczu królew-
skim, przedstawił Św. Kazimierza na swym obrazie Woj-
ciech Gerson, starając się ściśle według wskazówek współ-
czesnych kronik, wyobrazić jego szlachetne rysy i pełen
powagi i dobroci wyraz twarzy.

Ze zdań Św. Kazimierza.

„Tego nigdy nie uczynię, abym dla doczesnego zdro-
wia miał Pana Boga gniewać, Jego rozkazanie przestępo-
wać i łaskę Jego świętą tracić, lepiej niech umrę, aniżeli
bym miał zgrzeszyć.”

„Rządzenie królestw wielkiej mądrości potrzebuje
i ciężki przed Panem Bogiem z tego rządzenia rachunek.”

„Z samym sobą mam dużo roboty, abym mógł nad
swemi złemi skłonnościami panować.”



Obserwatorium na górze Mont-Blanc (str. 79).

B. Dyakowski.

Z obrazu Wojciecha Gersona.

Węże.

(Dalszy ciąg).

„Po wymianie powitań, pan Manu zapytał mię, czy obawiam się węzów. Odpowiedziałem z pewnem wahaniem, że się ich zbyt nie boję. Wówczas p. Manu wydobył ze specjalnej szafy wielkiego boę, pytona, i parę mniejszych węzów, które zaczęły krążyć swobodnie po pokoju, włączając na stoły i krzesła. Z początku doznawałem pewnego wzruszenia, zwłaszcza gdy ujrzałem, jak oba wielkie węże owinęły się naokoło mego przyjaciela i stamtąd spoglądały na mnie błyszczącymi oczami, wysuwając przy tem swój język rozdwójony. Wkrótce jednak, przekonawszy się, iż są one doskonale obłaskawione, uspokoiłem się zupełnie. Po chwili pan Manu wyszedł, żeby sprowadzić swą żonę, a ja pozostałem sam na sam z boą, który się ułożył wygodnie naprzeciwko mnie na fotelu. Wyznałem, że zacząłem się już niepokoić, zwłaszcza gdy boa zbliżył się ku mnie, ale na szczęście wejście gospodarzy w towarzystwie dwóch małych córeczek położyło kres mojemu niepokojowi.

„Przywitawszy się ze mną, pani M. i jej córeczki zaczęły pieścić węże. Nie mogłem wyjść z podziwu na widok, jaki miałem przed sobą. O parę kroków odemnie siedziała młoda kobieta i dwoje dzieci, a wąż, gruby, jak dobra gałąź, owijał się im naokoło stanu, szyi i głowy, tworząc nad tą ostatnią rodzaj zawoju i poszukując pieścizot niby mały kociak. Dzieci brały jego głowę w ręce i całowały go w pysk, a wąż zdawał się być tem zachwycony. Przeciagałem bez końca odwiedzin, byle tylko dłużej móc oglądać ten widok.”

Węże p. p. Manu były w ogóle bardzo posłuszne i chowały się wnet do swej szafy, skoro tylko otrzymały odpowiedni rozkaz. Jak dalece były one przywiązane do swych państwa, może służyć za dowód zachowanie się jednego z nich w czasie 6-tygodniowej nieobecności właścicieli. Wyjeżdżając, p. p. Manu powierzyli boę opiece dozorczy ogrodu zoologicznego, ale biedny wąż wpadł w stan odrętwienia, drzemał bezustanku i nie chciał jeść przez cały czas nieobecności swych państwa. Ujrzawszy ich zato, zerwał się i okręcał się naokoło każdego z nich z oznakami najwyższej radości.

Wąż ten miał koniec tragiczny. Pewnego razu pan M. dostał ataku apoplektycznego. Żona jego, znajdując się wówczas sama jedna w domu, pobięła natychmiast po doktora. Wróciwszy po upływie kilku minut, znalazła nieżywego boa obok męża. Przez czas jej nieobecności, dostał się on do pokoju chorego. Niewiadomo jednak, co było powodem nagłej jego śmierci: czy gwałtowne wzrusze-



Św. Kazimierz.

nie na widok pozornie martwego pana, czy też jakiś przypadkowy zbieg okoliczności.

W każdym razie wąż ten pokazał jeszcze pierwsi, iż umie kochać swych państwa nie gorzej od psa, wbrew rozpowszechnionemu pogładowi, iż gady są stworzeniami niezmiernie trudnymi do przywiązania.

Odmawia się również zazwyczaj gadom większej zmyślności. Istotnie nie jest ona u nich bardzo rozwinięta, w każdym jednak razie stoją one pod tym względem wyżej, niż się zwykle wydaje. E. Layord w swej podróży po Cejlonie podaje następujące zdarzenie, dowodzące zmyślności węzów.

„Pewien dusiciel, trzymany w klatce, wysunawszy raz głowę przez jej szczeble, złapał i połknął ropuchę. Nadął się atoli przy tej sposobności tak, iż nie mógł wsunąć głowy do klatki. Nie pozostawało mu tedy nic innego, jak wyrzucić z powrotem ropuchę, co też i zrobił. Ale wówczas tak mu się żał zrobiło straconej zdobyczy, iż połknął ją znów i znów nie mógł wsunąć głowy do klatki, pomimo największych wysiłków. Wąż przez chwilę nie wiedział co robić, gdy nagle błysnęła mu myśl szczęśliwa: wyrzucił jeszcze raz nieszczęśliwą ropuchę, ale natychmiast schwytał ją za łapkę, cofnął głowę, wciągnął zdobycz z tryumfem do klatki i połknął ją tam bez żadnych przeszkód.

Tak to najtępsze nawet i najbardziej oziębiałe stworzenie posiada pewną zmyślność, bez której istnienie jego byłoby niemożliwe.

A w najobojętniejszem nawet i najapatyczniejszem można wzbudzić miłość i przywiązanie, jeżeli się z niem będziemy obcho-

dzili dobrze i umiejętnie. Wąż p. p. Manu był tego najlepszym dowodem.

IV. Węże jadowite.

Wiarogodni podróżnicy stwierdzili niezbiecie, iż olbrzymie węże krajów zwrotnikowych groźne są przeważnie w opowiadaniach krajowców, w rzeczywistości zaś tylko w wyjątkowych wypadkach mogą się stać niebezpiecznymi dla człowieka. Niestety, nie można tego samego powiedzieć o węzach jadowitych: chociaż znacznie mniejsze wzrostem posiadają one potężną broń w postaci jad, którym mogą uśmiercić nawet człowieka. Jeżeli naszej zmił należy się wystrzegać, to cóż dopiero mówić o jej krewniakach ze strefy gorącej, których jad działa bez porównania silniej. Są to prawdziwe potwory, z którymi najlepiej nie spotykać się wcale.

Wprawdzie i tutaj, jak wobec wielkich zjawisk groźnych, rozigrana wyobraźnia tworzy niebываłe wypadki i powiększa stokroć niebezpieczeństwa, w każdym atoli razie w opowiadaniach o węzach jadowitych jest więcej prawdy, niż w przesadnych opowiadaniach o olbrzymich.

Żaden z podróżników nie przeczy temu, iż o spotkanie z nim w lasach zwrotnikowych nie jest zbyt trudno, nie znajdując się one jedna tam na każdym kroku, jak to nieraz głoszą krajowcy. Pewien podróżnik, nazwiskiem Castelnau, przeszedłszy w poprzek przez Brazylię nie mógł zebrać więcej nad 91 węży, pomiędzy którymi było tylko 21 jadowitych. Następnie nie ulega wątpliwości, iż jad niektórych gatunków działa nadzwyczaj zabójczo, powodując u człowieka śmierć nieraz w ciągu niecałej godziny, ale wypadki ukąszeń są znacznie rzadsze, niż podają krajowcy. W Indiach np. jest we zwyczaju zwać wszelkie wypadki niezwykłej śmierci na węże, chociażby nawet osoba zmarła nie spotykała się z nimi wcale. Z tego powodu urzędowe raporty podają, iż w samych Indiach Wschodnich ginie rocznie od węży koło 20,000 osób. Liczba pokaźna bez wątpienia, przewyższająca atoli znacznie rzeczywistą ilość ofiar, ginących od ukąszenia węży jadowitych.

Mając takie sprawozdania, rząd angielski w Indiach wypowiedział wojnę tym gadom i wypłaca nagrody za zabicie tak niebezpiecznych stworzeń. Co roku giną w Indiach setki tysięcy węży jadowitych; w roku 1885 np. zabito ich 420,049. Można by więc mieć nadzieję, że wkrótce znikną one tam zupełnie, gdyby nie jedna okoliczność. Oto Indusi, którzy w rzeczywistości znacznie mniej obawiają się węży, niż wygląda z ich opowiadań, zajmują się w wielu miejscach hodowlą węży jadowitych, aby następnie bez wielkich kłopotów i poszukiwań odbierać nagrody od rządu za zabite okazy. Dowodzi to, jak dalece są oni oswojeni z nimi i jak umieją postępować, aby zrobić nieszkodliwymi te, bądź co bądź bardzo groźne stworzenia, do których człowiek nieświadomy nie może bezkarnie się zbliżyć i z którym spotkanie można nieraz przypłacić śmiercią.

A trzeba dodać, iż odróżnić jadowitego węża od niejadowitego jest nadzwyczaj trudno, zwłaszcza z powodu wielkiej zmienności w ubarwieniu, właściwej wszystkim wężom. Takie oznaki węży jadowitych, jak szeroka i płaska głowa, wyraźnie oddzielona od szyi, oraz pionowa żrenica nie zawsze zupełnie wyraźna i dla tego brak ich może nieraz wprowadzić w błąd. Jedyną pewną cechą stanowią długie zęby jadowe, umieszczone w górnej szczęk i wyraźnie odcinające się od pozostałych, które są małe i krótkie. Ale żeby je zobaczyć, trzeba zaglądać wężowi do paszczy, każdy zaś przynajmniej, że takie doświadczenie nie jest ani łatwym do zrobienia ani bezpiecznym.

Lasy zwrotnikowe posiadają dość węży, to też wobec tej trudności odróżnienia jadowitych od niejadowitych ilość ukąszeń byłaby, zapewne, znacznie większą, gdyby nie to, iż węże jadowite, pomimo całej groźnej broni, a może właściwie dla tego, iż ją posiadają, są powolne i leniwe, same nie zaczepiają człowieka prawie nigdy. Byłe więc przejść koło nich spokojnie i ostrożnie, można być pewnym, iż żaden waż nie zrobi nic złego. Należy tylko patrzeć dobrze pod nogi, aby nań nie nastąpić i tem nie rozdrażnić posiadacza niebezpiecznych zębów.

Żadna część świata nie jest zupełnie wolna od węży jadowitych; głównie jednak właściwe są one strefie gorącej, i z tego powodu Europa posiada ich bardzo mało. Oprócz żmii właściwej, zamieszkującej środkowe jej części, znajdują się jeszcze 2 inne gatunki w Europie południowej, ale też na tem i koniec, jeżeli nie weźmiemy w rachubę niektóre węże stepowe, przedostające się z równin Azji środkowej do Europy wschodniej.

(d. c. n.)



Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

O'Clear przywiązywał wagę do odziedziczonego majątku. Majątek ten dawał mu możność wykonania wielkich zamiarów. Stanowiły one treść i cel życia młodego inżyniera. Bawiąc w Ameryce nabrał przekonania, że ratunkiem dla rodzinnego jego kraju, Irlandyi, jest rozumne pokierowanie tłumami emigrujących do Ameryki biedaków. Stworzyć im nową ojczyznę, dać bezdomnym pole pracy, obudzić energię w masach, oto czego pragnął Jakób. Ale nie miał funduszy koniecznych dla przeprowadzenia szerokich planów kolonizacji. Potrzeba na to było znacznego majątku, i dostawał mu się on po stryju. Cenił więc Jakób ten majątek, który dzięki energii rannego, spoczywał nienaruszony w kasie byłego bankiera bremeńskiego.

Ale kto był ten ranny, nie wiedział. Policia nie umiała mu dać nazajutrz żadnych wskazówek o ofierze nocnego rozboju. Zabrała tylko narzędzia porzucone przez złodziei i zażądała od O'Cleara poręczenia, że jeśli przytomność wróci choremu, stawi się on w sądzie dla zeznań. Tymczasem doktorzy wydobyli kulę i pozwolili przewieźć Stefana do Londynu. Jakób musiał tam jechać koniecznie zabrał więc rannego na okręt, a gdy przeprawa odbyła się pomyślnie, umieścił w własnym mieszkaniu pod opieką swej matki. Otoczono chorego najtkliwszą pieczołowitością odgadując z rysów jego pochodzenie i charakter.

— Musi być sierotą, bo nie wspomina nigdy ojca ani matki — powiedziała pani O'Clear do syna i z tem większą troskliwością pielęgnowała rannego.

Dziś po raz pierwszy chory spojrzał przytomnie dookoła. Patrzyły na niego ze współczuciem łagodne oczy wdowy.

— Gdzie ja jestem? — zapytał słabym głosem.

— U swoich jesteś; napij się wina i spróbuj usnąć. Ocaliłeś życie i mienie mego syna; ufaj mi jak matce,

— Matka? — Stefan uśmiechnął się smutno. Alboż on, znajda, mógł mieć matkę? A jednak oczy tej dobrej pani patrzyły na niego tak słodko. Robiło mu się cieplej od jej spojrzenia, brał je w siebie, nakarmił nim zgłodniałą pieczętą duszę... i westchnąwszy głęboko, usnął.

Kiedy obudził się nazajutrz był silny, prawie zdrów. Nie pamiętał wrażeń poprzedniego dnia, majaczyła mu tylko przed oczami jakaś łagodna, uśmiechnięta twarz. Z tródnocią przypominał sobie także zdarzenia ostatnich tygodni.

— Gdzie ja jestem? dlaczego bolała mnie głowa? skąd się wziąłem na tym łóżku? — myślał i nagle uczuł głód. Spróbował wstać z pościeli. Zobaczył pled przewieszony przez poręcz krzesła, zarzucił go na siebie i szedł wolno trzymając się ściany.

Szmer kroków zwrócił uwagę czujnej opiekunki.

— Co ty robisz chłopcze! — zawołała pani O'Clear wbiegając do pokoju. — Dostaniesz znów gorączki, trzeba się spytać doktora czy pozwoli ci wstać, teraz wracaj do łóżka.

— Głodny jestem i tak chciałbym już chodzić — odpowiedział Stefek, kładąc się posłusznie na posłanie.

— Głodny jesteś! Bogu dzięki, kto głodny, ten zdrów. Czekaj, przyniosę ci zaraz filiżankę doskonałego bulionu — zawołała matka Jakóba i okrywając rannego kołdrą, wybiegła z pokoju.

— Nie był to więc sen — myślał Stefan, widząc na jawie tę samą łagodnie uśmiechniętą twarz, którą brał za majaczenie gorączkowe.

Leżał teraz niecierpliwie, niepilno mu było zrywać się z łóżka, bo u jego wezgłowa zasiadła dobra pani. Głaskała biedne, krwią nasiąkłe włosy sieroty i mówiła do Stefana słodkim wzruszonym głosem.

Opowiadała mu dzieje swego dzieciństwa, które spędziła w zacisznej Mazowieckiej wiosce, opowiadała troski lat dojrzałych; tęsknotę do stron rodzinnych i to że w Anglii trzyma ją tylko przywiązanie do syna.

— A ty uratowałeś życie Jakóbowi — mówiła kończąc opowiadać o sobie. Potem z kolei pytała Stefana o dzieje jego dzieciństwa, o to jakim sposobem znalazł się sam bez opieki w obcym mieście, wśród złych ludzi, którzy zgubić chcieli jej jedynaka.

Stefan słuchał łagodnych słów wdowy z taką samą rozkoszą, z jaką słuchał dawniej szumu fal Wągrowieckiego jeziora lub dźwięku organów u fary. Wydały mu się cudną muzyką. Nikt dotąd nigdy nie mówił do niego tak łagodnie i tak pieszczotliwie. A jednak było mu okropnie smutno na duszy.

Pani O'Clear pytała kto był i skąd się wziął w Bremie. Cóż jej odpowie? Toż dlatego uciekł z Wągrowca, że nazywano go tam znajdą, a teraz ma przyznać się sam do niewiadomego pochodzenia?

Jednak nie skłamię. Zawsze mówił prawdę, czyż mógł by skłamać tej dobrej pani, której oczy rozgrzały mu duszę.

A jeśli i ona odtrąci od siebie znajdę?

Uczuł na tę myśl wielki ból w sercu, ale przemógł się i opowiedział matce Jakóba wszystko co wiedział o swem pochodzeniu, smutki dziecinnych lat i zdarzenia ostatnich tygodni.

Wdowa nie przerywała ani jednym słowem wyznań sieroty. Dla niej mowa Stefana była także muzyką, słodką melodią mazowieckich łańców, tak rzadko słyszaną teraz na obcej ziemi. Nauczyła syna po polsku, ale mówił on najczęściej językiem ojca, mówili nim wszyscy w Irlandyi, to też pani O'Clear wsłuchiwała się z lubością w smutne opowiadanie. Słońce zapadło tymczasem za wysokie kamienice olbrzymiego miasta. Stefan, wyczerpany wzruszeniem, leżał blady na białych poduszkach.

— Odtrąca mnie, odtrąca od siebie znajdę — myślał i lzy popłynęły po wychudłej jego twarzy.

— Płaczesz! — zawołała pani O'Clear budząc się z zadumy, w jaką wprawił ją dźwięk słów Stefana.

— Płaczę, bo i tu i na końcu świata, do śmierci zostanę dla wszystkich znajdą, z którego ludzie drwić będą, jak drwili Wągrowieckie przekupki.

— Drwić z ciebie? — zawołała pani O'Clear — z ciebie, który narażałeś życie w ochronie cudzego mienia. Ależ nie wiesz chłopcze, co mówisz. Toż każdy uczciwy człowiek uściśnie z dumą i radością twoją rękę. Nie masz nazwiska? Ochrczono cię z przypadku Stefanem Lutym, a coż jeśli nieprzypadek dawał miano naszym praojcom? Dopiero czyny szlachetne, praca, nauka, uświetniały w kolejach wieków przez przypadek nadane nazwiska. Patrz na tę pamiątkę, którą ojciec oddał mi umierając, to sygnet rodziny Orliczów. Jest na nim krzyż i gwiazda. Dziad brocił krwią krzyża, świecił prawością charakteru, za to go odznaczono. Otóż słuchaj chłopcze, co ci mówię ja ostatnia z rodu. Wolno było dawniej szlachcicowi przypisywać do własnego herbu ludzi zasługujących zacnością lub czynami rycerskimi na uszlachcenie. Jesteś sierota, znajda bezdomny, ale daleś dowód takiej odwagi, że Orlicze z dumą przyjęliby cię do herbowego klejnotu i nazwiska. Nie mamy dziś tych praw. Inne czasy, inne nastały zwyczaje, inne nawet pojęcie godności ludzkiej panuje na świecie. Nie przybierać cudze nazwisko, ale wślawić cnotami swoje powinieś. Godzina niebezpieczeństwa jest godziną miary człowieka. Zmierzyłeś się i wiesz teraz, że jest w tobie uczciwość, dzielność i odwaga. To przymioty, które dają się podwaliny rodowi. Niech ród Stefana Lutego będzie rodem szlachetnych pracowników, budujących przyszłość swych ziomeków i całej ludzkości.

Rozdział VIII

Pan Jakób. — Westminster. — Kościół Ś-go Pawła. — Tower i jego wspomnienia. — Gielda. — Parafia Polska. — Miłyng — Gdzie chcesz pracować? — Tajemniczy list. — Groźba.

Nastaly dla Stefana prawdziwe dobre czasy. Był z każdym dniem silniejszy i zdrowszy, O'Clearowie otaczali go troskliwą opieką, chłopiec czuł dodatni wpływ ich towarzysztwa. Pierwszy raz w życiu przebywał w domu ludzi wykształconych i wykwiutnego obejścia, wśród pism, książek i rycin. Pisma te i książki były przeważnie angielskie, ale znajdowały się pomiędzy nimi także niemieckie i polskie, przytem Stefan z każdym dniem umiał więcej angielskich wyrazów. Budziło się w Lutym pragnienie zdobywania wszystkiego, co człowiek siłą woli i wysiłkiem mózgu zdobyć może. Wchłaniał w siebie każdą nową wiadomość; działały zwłaszcza na wyobraźnię i serce chłopca rozmowy z Jakóbem O'Clearem ufając jego opiece, mało nawet z początku troskał się o przyszłość. Każdy wracający do zdrowia człowiek ma dla siebie pewną pobłażliwość; w rekonwalescencie tkwi skłonność do pieszczenia się, pragnienie nacieszenia życiem. Stefek wygrzewał duszę w cieple dobroci pani O'Clear, a zapalał serce od słów jej syna. I było mu dobrze. Ale stan taki nie mógł trwać długo. W miarę jak wracały chłopcu siły, wracała energia i ambicya. Musi przecież zrobić coś z sobą, nie zostanie u O'Clearów. Musi pracować, ale gdzie i jak będzie pracował? Do Wągrowca nie miał ani za co ani poci wracać? Wypadki Bremańskie nauczyły zaś Stefana, że należy być ostrożnym z obcymi ludźmi w wielkim mieście.

A Londyn to olbrzym. Trudno mieć o nim wyobrażenie nawet mieszkańcom takich grodów, jak Warszawa. Jakże wielkim, jak niesłychanie wielkim wydał się Stefanowi wychowanemu w cichym Wągrowcu.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Obserwatorium na górze Mont Blanc. (ryc.) Jak wiadomo, najwyższym szczytem górskim w Europie jest Mont Blanc, na granicy Francyi i Włoch. Szczyt ten sięga 4810 m. nad poziom morza. Niegdyś dostanie się na szczyt tej góry uważano za rzecz wręcz niemożliwą. Pierwszym człowiekiem, który się tam wdrapał w r. 1786, był góral Balmot. Za jego przykładem poszło więcej śmiazków, a dziś wyprawa na Mont Blanc w właściwej porze i przy zachowaniu należytych ostrożności, nie jest uważana za niebezpieczną; nawet kobiety z pobliskiego miasteczka Chamounix nieraz się tam udają.

Wejść na szczyt — rzecz trudna, ale pomyślmy, jak trudnem musiało być wniesienie tam materiałów budowlanych, potrzebnych do postawienia obserwatorium astronomicznego! Myśl taką powziął astronom francuski Piotr Jansen ze względów naukowych, gdyż obserwacje astronomiczne i meteorologiczne z tej wysokości, wśród czystego powietrza mogą dostarczyć daleko więcej ciekawych i dokładnych danych, niż na nizinach.

Jak trudne było jego zadanie, dowodzi fakt, że uczony rozpoczął swą pracę w r. 1893 a w 1901 dopiero do końca ją doprowadził. Budowla wzniesiona została z kamieni, które po kilka wnoszono na górę. Nieraz śnieżyce i lawiny przerywały robotę, ale wytrwałość uczonego przezwyciężyła wszelkie przeszkody i Europa posiada obecnie najwyższe obserwatorium wśród wiecznych śniegów, skąd bliżej do chmur, księżyca, słońca i gwiazd.

Pierwsza osoba odfotografowana zmarła w tych dniach w Ameryce w 95-ym roku życia. Była to panna Dally Draper, siostra doktora Jana Drapera, który wynalazł szybszy sposób zdejmowania dagerotypów z osób.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg).



Przybywający do obozu państwo Zabrzescy, z dziećmi i profesorem, ustawili się tak, że w tych samych grupach, w jakich szli, znaleźli się i zatrzymali przy ognisku. Z jednej jego strony stała tedy pani Zabrzaska z Jańciem; obok pan Chlewiatko z chłopcami starszymi; a dalej dopiero pan Zabrzesci pod rękę z Zosią, przy nich Alusia.

Cyganki ciągle gađały prędko i biegle, jakby to była lekcyja wydawana po niezliczone razy, cyganięta zbliżały się coraz bardziej i zagłądały w oczy dzieciom; stara, wychudzona wiedźma, widząc, jak małe wrażenie czyni na profesorze, przeniosła się na drugi koniec, dostrzegłszy nakoniec piękność Zosi, na którą padł promyk słońca.

— Tej panience z białej rączki muszę wywróżyć, co ją za przyszłość od Pana Boga czeka! — mówiła, wyciągając czarną, wyschniętą rękę. — Oj, po świecie dużo jest takich panienek, co mają ciężką biedę za młodu, a na przyszłość znaczy im się szczęście i bogactwo i długie życie... są znowu takie co mają na ręce wypisaną śmierć albo nie-szczęście...

Zosia była trochę przerażona, nie cyganką, lecz obawą tego co jej cyganka powiedzieć może. Pan Zabrzesci poczuł, że ramię Zosi pod jego ramieniem lekko zadrażało.

— Ja i na rękę nawet spojrzeć nie potrzebuję a widzę, że panienka jest dobra. Ja widzę serce panienki jak na dłoni. O, to serce ze szczerzego złota! Panienka lubi i państwo co są jej rodzicami i tych braci i tę siostrzyczkę. Widzę nawet, że panienka jeszcze kogoś lubi...

Rzuciła spojrzenie znaczące na pana Zabrzesciego, który rzekł do Zosi po francusku:

— Daj jej rękę. Zobaczymy, jakie ci tu zacznie mówić brednie. Widzę, że jej trochę wierzysz i drżysz przed przyszłością, którą ci ona odsłoni.

Zosia podała rękę, cyganka zaś prędko mówiła:

— Panienka ma przed sobą długie życie, widzę, że więcej niż sześćdziesiąt lat, ale panienka nie umrze swoją śmiercią...

— Tylko cudzą? — przerwał Zdziś.

— ...Panienka utonie na wielkim morzu, a przedtem tyle będzie strachu i tyle w koło lamentu, że panienka odpokutuje przez tę chwilę wszystkie grzechy i pójdzie prosto do nieba. Panienka niedługo pójdzie za mąż, a choć on będzie dużo starszy od panienki, będzie bardzo dobry dla panienki. Nigdy swojej żoneczki bić nie będzie, ani palcem jej nie tknie, a będzie jej kupował śliczne sukienki i będzie ją woził po różnych krajach i miastach... a dzieciaków będzie dwoje, syn i córeczka:

Spojrzała znowu znacząco na pana Zabrzesciego.

— A czy moja narzeczona będzie mnie lubiła? — zapytał pan Zabrzesci.

— Z początku, to się nie mogła przyzwyczaić, ale potem poznała, że starszy, spokojniejszy człowiek lepszy od młodzika, i że majątek dużo znaczy...

Rzuciła okiem na grubą, złoty łańcuszek od zegarka, który nosił pan Zabrzesci.

Dzieci zanosili się od śmiechu i byłyby wybuchnęły słowami, wyprowadzającymi cygankę z błędu, ale pani Zabrzaska, której chodziło o to by się dzieci przekonały, że wróżby cyganek, do których niektórzy, nawet wykształ-

ceni ludzie przywiązują wagę, są prostem oszustwem, nakazała im milczenie.

— Ja to mojej narzeczonej często mówię, że starszy człowiek lepiej żonę szanować potrafi niż młodzieniaszek, a jak jest bogaty...

— Cygany najlepiej wiedzą, co bogactwo znaczy — zawołała wróżka — bo cygany są biedne! Z kąta w kąt włóczyć się muszą, a często nie mają co do garnka włożyć! Bogactwo jest dobra rzecz! Panienka będzie miała i pierścioneczki na tych ślicznych paluszkach i łańcuchy na szyję, i szpilki złote do głowy... A rodzice cieszyć się będą! Będzie się cieszyła i mamusia, będzie się cieszył tatuś.

Wskazała ręką na profesora.

Wszystkie dzieci, oprócz Jańcia, który nie rozumiał o co chodziło, zanosili się od śmiechu. Pan Zabrzesci rzekł poważnie:

— Proszę się nie śmiać ze mnie i z mojej narzeczonej! Chcemy jeszcze więcej wróżb posłuchać, ale to później, jak wysmiewających się dzieci nie będzie. A teraz, wróżko, może innym osobom z ręki przyszłość wyczytasz. Rodzicom mojej narzeczonej pierwszeństwo się należy.

Cyganka zbliżyła się do profesora Chlewiatki.

— Cygany w pańskim lesie oboz sobie rozłożyli i ogień pańskim drzewem sobie rozniecili, a to wielkie szczęście przynosi! Za cyganami szczęście chodzi. I wynieśli go oni z sobą z daleka, z takich krajów, gdzie nigdy nie ma ani śniegu, ani mrozu, i roznoszą je teraz po tutejszej ziemi. Pan cyganów nie wypędza, jeszcze pan przywiózł żonę i dzieci do ich obozu i za to Pan Bóg zesłał na dom pana wielkie szczęście!

Ujęła rękę profesora i spojrzawszy na nią mówiła prędko i płynnie:

— Pan się doczeka pociechy z synów i córek. Jeden syn ożeni się z księżniczką, a drugi będzie nosił na pierśsiach gwiazdy i ordery. Trzeci będzie biskupem. Jedna córka pójdzie za bogatego i takiego co ma doświadczenie, bo trochę siwych włosów, to znaczy doświadczenie, druga pójdzie za jenerała!

— Pani jenerałowa! — rzekł Zdziś, kłaniając się nisko Alusi.

— Pan będzie żył sto lat i umrze pan spokojnie, pijąc kawę.

— Kiedy pan nie cierpi kawy i nigdy jej nie pije! — zawołał Zdziś, który języka utrzymać nie mógł.

— Może jeszcze kawę polubię! — rzekł pan Chlewiatko dobrodusznie.

— Pan dokupi drugą wieś — trzepała cyganka — i wszystkie dzieci pan wyposaży, a na grobie żony postawi kościół.

— No, to już wiem wszystko, co mię czeka — ozwał się profesor, cofając rękę.

Cyganka zwróciła się do pani Zabrzesciej, która pomimo swojego zwykłego smutku uśmiechała się i była prawie rozbawiona. Swoją niegdyś pulchną, dziś wymizowaną rękę podała cygance, która bacznie spoglądała w jej oczy.

— Pani bardzo kocha swego męża — zaczęła cyganka.

— To wielka prawda — rzekła, śmiejąc się pani Zabrzaska.

— Ale pani nie była szczęśliwa! Oczy takich matek, co traciły dzieci, inaczej wyglądają i inaczej patrzą niż oczy tych, co dzieci nie traciły!

Tu stara cyganka westchnęła, głos urwał się jej w gardle, załkała cicho, potem wybuchnęła nagłym krzykiem i przekleństwami.

— Ażeby oni w piekle przez całą wieczność i przez sto wieczności gorzeli ci, co mi mojego jedynaka, mojego Janusia...

Stary cygan, stojący z boku, może mąż wróżki, tupnął nogą z gniewem i zaczął coś po cygańsku głośno, z iskrzącymi oczami mówić. Cyganka uspokoiła się i znowu wzięwszy rękę pani Zabrzesciej trzepała, jakby wykuta lekcję.

— Pani będzie żyła długo, ale pani umrze na pięć lat przed mężem. Wnuków będzie pani miała jedenaścioro, ale z jedną synową będzie się pani kłóciła. Będzie ona taka słodka i tak się będzie umiała łąsić, jak kot, ale pazury będzie miała dobre i matce mężowskiej będzie miała ochotę oczy wydrapać i mężowi sadła wrzącego za skórę zaleje, ale mąż ją będzie kochał.

— O, żeby mi ona matce jedno słowo niemiłe powiedziała, to jabym ją z domu wygnał, albo jabym ją do lochu zamknął! — zawołał Zdziś, który widocznie na swój rachunek brał tę niedobrą synową.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a Zdziś się nagle uspokoił i rzekł:

— A to może będzie Jańciowa, bo jabym takiej nie kochał!

— A może Józiowa? — zawołała Alusia, a wszystkie dzieci spojrzały na Józia.

— Józio będzie biskupem! — rzekł Zdziś — tylko nie wiemy jeszcze, czy dyecezyalnym, czy *in partibus infidelium*.

Cyganka patrzyła bacznie i przenikliwie na wszystkie dzieci, a potem mówiła znowu prędko:

— Ale zięciów to będzie pani lubiła i nijakiej sprzeczki z zięciami nie będzie, bo z mężczyznami zawsze łatwiej niż z kobietami, i jak się która zła uda, to tej złości ani miotłą wymieść, ani furą wywieźć, ani z armaty wystrzelić, ani workiem wynieść... i niema tak głębokiego dołu, w któryby się dała zagrzebać, ani tak wysokiej wieży z którejby nie zlazła. A nie dobijesz złości jej ani siekierą, ani młotem; ani ją otrujesz trucizną, ani jej utopisz w wodzie najbystrzejszej, ani jej spalisz w ogniu najgorętszym. Ma ona takie zęby, które odrastają choćbyś je po sto razy wyrwał i taki język, przy którym język żmii jest językiem — gołębia...

Wschodnia wyobraźnia unosiła widocznie coraz dalej cygankę, która byłaby mówiła jeszcze, gdyby Zdziś nie był przerwał:

— To taką złość będzie miała Jańciowa!

— A jak ci taka kobieta na drodze stanie — mówiła cyganka, już teraz ku Zdzisiowi zwrócona — to lepiej, żebyś się lepiej z najstarszym dyablem spotkał.

— No, to mi wróćcie! — rzekł Zdziś, podając rękę.

— Panicz nie ma mleka w żyłach — mówiła cyganka — ale prawdziwą krew żywą i gorącą. Panicz nie jest swójski ptak, ale panicz jest sokół. Panicz jak kogo lubi, toby się panicz za niego dał w drobne kawałki pokrajać. Na sieczkę dałby się panicz posiekać!... Ale jak kto paniczowi niemiły, to ci się grzbiet na niego jeży i rzuciłbyś się na niego jak wilk! Jak cię ręka kochana pogłaszcze, to pod nią jest wełna baranka, ale ta wełna zaraz się na twardą szczecinę przerabia, jak poczuje na sobie rękę niemiłego człowieka. Panicz będzie na piersiach nosił gwiazdy i order. A jak panicz będzie przejeżdżał konno przez ulice miasta, to wszystkie czapki i wszystkie kapelusze będą nie na głowach, ale w ręku przechodniów, a wszystkie głowy się będą kłaniały, a wszystkie usta będą wymawiały imię panicza.

Zdzisiowi policzki zaczerwieniły się, z oczu strzelały iskry zadowolenia.

— A panicz będzie na wszystkich patrzył dumnie, a jak panicz na swej drodze spotka biednych cyganów, to sobie przypomni starą cygankę, która wszystko paniczowi przepowiedziała i rzuci panicz talara albo dukata. A jak panicz będzie jechał w karecie, z bratem biskupem, to ludzie będą mówili: „szczęśliwa ta matka, co takich dwóch synów wydała!”

— O, to już Jańcio nie będzie niczem znakomitem! — zawołała Alusia. — Biedny Jańcio i żonę będzie miał sekutnicę...

(d. c. n.)

Narcyza Żmichowska (Gabryela).

Świąta ludzkie rozgłosni za życia, którzy jednak nie zostawiają trwałego wspomnienia po sobie. Jeśli zasłużyli się jaką pracą, nazwiska ich zapisuje we właściwym dziale historya literatury, sztuki lub dobroczynności i na tem koniec.

Są znów inni, którzy wyryli się tak głęboko w sercach ludzkich, że nawet czas nie zdoła zagładzić ich pamięci. Żyją oni w tych sercach i myślach, w których zostawili najlepszą część swej istoty, część dla nich przechowuje się nie tylko w martwych literach, ale w gorących uczuciach, które przechodzą tradycyjnie z rodziców na dzieci i trwać będą w długie pokolenia.

Do takich uprzywilejowanych postaci między innymi należały: Hofmanowa, Jachowicz i nigdy niezapomniana Żmichowska, poetka, powieściopisarka, nauczycielka, zmarła przed dwudziestu pięciu laty.

Smutną rocznicę święciliśmy w ubiegłym roku i chcemy pomówić o niej z czytelnikami naszymi, którzy może nie wszyscy o niej słyszeli.

Żmichowska urodziła się w r. 1819 w podlaskiem. Była najmłodszą z dziewięciorga rodzeństwa. Miała trzech braci, Erazma, Hijacenta, Jana i pięć siostr: Wiktoryę, Kornelię, Lilję, Hortensję, Wandę. Matka odumarała Narcyzę w kolebce, dziecię nie pamiętało jej więc, ale odziedziczyło bujną wyobraźnię i poetyczne usposobienie tej matki, które sprawiło, że dzieciom swym dawała najczęściej wyszukane imiona, kwiatów lub bohaterów literackich, którzy ją zajęli.

Pierwsze dzieciństwo spędziła Narcyza w domu stryjki Tekli. Ta widocznie musiała jej zastępować matkę, bo dorósłszy w swoich pismach i listach zawsze odzywała się o niej z miłością, nawet z uwielbieniem. Nie musiała więc odczuwać goryczy sieroctwa, poczucie to opanowało ją dopiero później, gdy z łona rodziny poszła pomiędzy ludzi i musiała pracować na chleb powszedni jako nauczycielka, często w domach obcych, które nie zawsze podzielały jej zasady i pojęcia.

Ośmioletniem dzieckiem oddana została na pensję, do najznakomitszego ówczesnego zakładu pani Zuzanny Wilczyńskiej, którą opisała w ostatniej swej powieści. „Czy to powieść?” pisanej już na łożu boleści, i którą śmierć dokończyć jej nie pozwoliła.

Pani Wilczyńska zapisała się nazawsze w dziejach naszego szkolnictwa. Mała Narcyza więc dostała się w dobre ręce, odebrała najlepsze w owych czasach wychowanie i wykształcenie, a we dwa lata po ukończeniu pensji dostała miejsce nauczycielki u hrabiów Zamoyskich i wyjechała z nimi do Paryża.

Do przyjęcia tych obowiązków skłoniła głównie młodziutką dziewczynę chęć widzenia się z bratem Erazmem, który przebywał we Francji.

Z tym bratem właśnie najczulsze węzły łączyły Narcyzę; tęskniła za nim, marzeniem jej serca było zobaczyć go znowu a uczucia jej były tak gorące, iż dla spełnienia tego marzenia przyjęła bez wahania ofiarowane sobie miejsce, bo dawało jej do tego niespodziewaną sposobność.

W owych czasach dalekie podróże były niezmiernie uciążliwe i kosztowne. Narcyza nie miała majątku, znajdowała wprawdzie opiekę i przytułek w domach krewnych, siostr zameżnych, ale podróż do Francji przenosiła, o wiele środki jej rodziny więc nie mogła nawet o niej marzyć.

Gdy nie było kolei, takie podróże przedsiębrali tylko ludzie bardzo bogaci, nawet do wód zagranicznych wybierano się tylko w razach istotnej potrzeby. Podróżowano pocztowymi końmi lub dyliżansami, czasem nawet własnym powozem i końmi z Jackiem lub Bartkiem na koźle, z popasami, noclegami, zatrzymywano się na odpoczniki w dni gorące, a wszystko to kosztowało niemało pieniędzy.

Zapewne poznawano daleko lepiej zwiedzane kraje, był czas przypatrzeć się każdej rzeczy, które teraz widzimy tylko przelotem z okna wagonu, ale też za to bardzo mało kto zagranicę wyjeżdżał, i Żmichowska nie byłaby widziała się z bratem, gdyby nie ta niespodziana propozycja nauczycielstwa.

Zawdzięczała ją pani Wilczyńskiej, która tę najlepszą swoją uczennicę ceniła i kochała.

Wybór jej był pod wielu względami najlepszy, Żmichowska nie tylko chlubnie ukończyła nauki odpowiednie ówczesnemu poziomowi i wymaganiom, miała charakter szlachetny, gorącą miłość wszystkiego co znaczne i wielkie a przytem obdarzona była niezmiernym talentem, który okazywał się w samostanownych poglądach, w oryginalnym zapatrywaniu się na stosunki, w niepodległości pojęć. Lotny jej umysł z trudnością mógł się przystosować do suchego i zmuśnego nauczycielstwa. Jednakże, potrafiła się do niego nagiąć, bo miała w sercu gorącą miłość dla dzieci, które chętnie zbierała koło siebie, marząc zawsze, iż z najmniej podatnych, wykształci znaczne i pożyteczne kobiety, które nie tylko w domowych ścianach ale i poza niemi roztoczą swój wpływ dobroczynny. Spotkało ją wiele zawodów, pomimo to trwała w swojej pracy i nie traciła nadziei, a nauczanie miało być zawsze jej dola. W czasach, w których literatura była niepopłatna, stanowiło ono jedyny sposób do życia wykształconej a ubogiej panny, która nie chciała być nikomu ciężarem, a ona miała tę szlachetną dumę.

We Francji Żmichowska przebyła lat kilka. Brat wpłynął na rozwój jej umysłu, sama też czytała i uczyła się z zapałem. W wielu też swoich utworach wprowadza go jako swego doradcę, pocieszyciela, dobrego ducha, który zawsze ją umacnia w wytrwaniu przy prawdzie, jeśli świat ją zrani i niezrozumie.

Bo rzeczywiście Żmichowska jako autorka, wyprzedziła swój czas. Jej pojęcia, jej ideały zgadzają się więcej z dzisiejszą chwilą, niż z epoką, w której żyła. Nazywano ją też często egzaltowaną, przewróconą głową. Szczupłe tylko kółko kobiet rozumnych i zacnych gromadziło się około niej, ogół musiał ją szanować ale nie umiał oceniać ani jej wielkiego talentu, ani zacnych chęci, ani gorącej miłości dla społeczeństwa, któremu całe życie poświęciła. Ona to jedna z pierwszych zwróciła uwagę na lud, zajmowała się nim, pragnęła dla niego nauki, słowem i pismem przemawiała w tym kierunku.

Pisać zaczęła wcześnie, naprzód liryki i poematy, potem powieści pod pseudonimem Gabryeli. Utwory jej będą cenione zawsze w literaturze, przecież nie była i nie jest dotąd popularną. Za najznakomitszy jej utwór uważana jest powieść: „Poganka.” Z poezyi zasłynął wiersz „Czemu mi smutno?” Pisała niewiele i tylko wówczas, gdy czuła tego potrzebę.

Życie miała smutne, w ciągłej walce z materyalną potrzebą, zapracowywała się lekcyami i marnowała czas na roboty nieodpowiednie dla jej wielkiego talentu, bo chciała nie tylko samej sobie wystarczyć ale i swemu miłoścowi sercu. Umarła po długiej chorobie w Warszawie w r. 1876 bliska niedostatku, samotna, pomimo kółka związanego z nią myśla i sercem, bo kółko to składały kobiety jak ona zapracowane.

Znosiła z niezmiłą cierpliwością chorobę, samotność, niedostatek i pracowała ciągle, dopóki tylko ręka jej



Narcyza Żmichowska (Gabryela).

pióro utrzymać mogła. A ostatnie jej dzieło było jednym z najpiękniejszych.

Nie powinniśmy o niej zapominać, gdyż była to jedna z najczystszych, najszlachetniejszych dusz a talent jej był wielki. Wszystko co pisała, pisała z głębi serca pełnionego miłością bliźnich i z prawdziwego przekonania, bo prawdę w życiu ceniła nadewszystko.

W. M.

Z POEZJI ŻMICHOWSKIEJ.

Ach! być poetą, to ducha cudem
Czas niedościgły ująć w swe szpony,
Powieścią wieków zedrzyć zasłony,
Hymnem przyszłości nucić przed ludem.

W jednej godzinie przywłaszczyć sobie
Długiego życia innych wrażenia,
Pierwsze o szczęściu młodych marzenia
I myśl ostatnią starców o grobie!

(*Szczęście poety*).

Ja nie chcę szczęścia! Mnie dziś ubogiej
Gdyby los złotem cisnął wśród drogi,
Gdyby możnością dla mnie się stały
Wschodnich powieści cześć i ideały,
I gdyby droższą nad wszystkie skarby
Piękność i sztuka — myśli ośnowę
Zaczarowały w tęczowe farby,
W dźwięki muzyki, w arcydzieł mnóstwo,
W talentu świetność, w geniuszu bóstwo,
W nęcającą sławnych ludzi rozmowę;
I gdybym wszystko odrazu miała,
Co kupiec i co artysta roi,
Lecz w obcej ziemi — jabym wolała
Cicho żyć tutaj, jak bracia moi.

Wolę być dzieckiem między drobnymi,
Wolę być ciepłem ziarnem w mej ziemi,
Niż gdzie daleko, choćby wysoko,
Choćby przy słońcu — martwą opoką.

(*„W imionniku”*).

Czemu mi smutno? Czy, że wiatr jesieni
Lasy i pola już odarł z zieleni —
I tam wysoko, po niebie, nademną,
Dachem ołowiu rozbił chmurę ciemną?
I w uszach skargą jęklącą powiewa,
I pędzi tuman liści spadłych z drzewa —
Jakby liść każdy był duszą człowieka,
Co wirem szalu, i losu porwana,
Po szlakach drogi nieznanej — nieznana
Pędzi, aż padnie smutna i daleka,
Gdy wiatr uciennie, lub jej zbraknie siły,
Nad brzegiem jakiejś tam obcej mogiły.

(*„Czemu mi smutno”*).





Okularnik indyjski.

B. Dyakowski.

Węże.

(Dalszy ciąg).

Za to Azja obfituje w węże jadowite, zwłaszcza jej części południowe, Indye wschodnie i Archipelag Malajski. Wśród tych węży najbardziej znany jest okularnik indyjski, spory wąż, mający prawie 2 metry długości, barwy żółtej z popielato niebieskawym połyskiem. Nazwę swą otrzymał od białej plamy, czarno obrzeżonej na karku przypominającej nieco okulary, a właściwie *pince-nez*. Będąc rozdrażniony, wąż ten podnosi przednią część ciała i przy pomocy ruchomych żeber rozszerza tarczowato szyję. Z pewnej odległości, sprawia to wrażenie, jak gdyby miał on kapelusz okrągły na głowie. Stąd też Portugalczycy przewalili go „Cobra di Capello” wąż *kapeluszowy*. Okularnik przebywa najchętniej w miejscach suchych i piaszczystych, ukrywając się w kupach kamieni, stosach drzew a nawet starych murach. Obyczajnie ma dzień, nie lubi jednak spacerować przy bardzo gorącym słońcu, i z tego powodu najczęściej wychodzi na łowy przed wieczorem. Na lądzie porusza się dość rącho, w wodzie pływa wybornie a w razie potrzeby potrafi nawet wleść niewysoko na drzewa. Żywi się głównie gadami i płazami, jada jednak także mniejsze ssące i ptaki.

Niekiedy zagląda do mieszkań ludzkich, zapewne w poszukiwaniu żeru, w ogóle jednak ucieka przed człowiekiem. Nie trzeba go tylko rozdrażniać, jad jego bowiem jest bardzo niebezpieczny i działa nadzwyczaj szybko. Należy więc do straszniejszych węży. Z tego powodu, czy też może dla jakich innych względów doznaje on czi w wielu miejscach, i większość Indusów pod żadnym pozorem nie odważy się na zabicie okularnika.

Znacznie niebezpieczniejszy jest Okularnik olbrzymi, dosięgający niezwykle, bo 4 metry długości — zjawisko wyjątkowe wśród węży jadowitych. Zamieszkuje on lasy Indyi Wscho-

dnich, doskonale pływa i łązi po drzewach, jest więc groźniejszy od swego krewniaka: tembardziej, że jad jego działa z wielką gwałtownością. Poluje wprawdzie poważnie na inne węże, przy sposobności atoli rzuca się i na człowieka, należy bowiem do najzuchwalszych i najśmielszych wśród gadów.

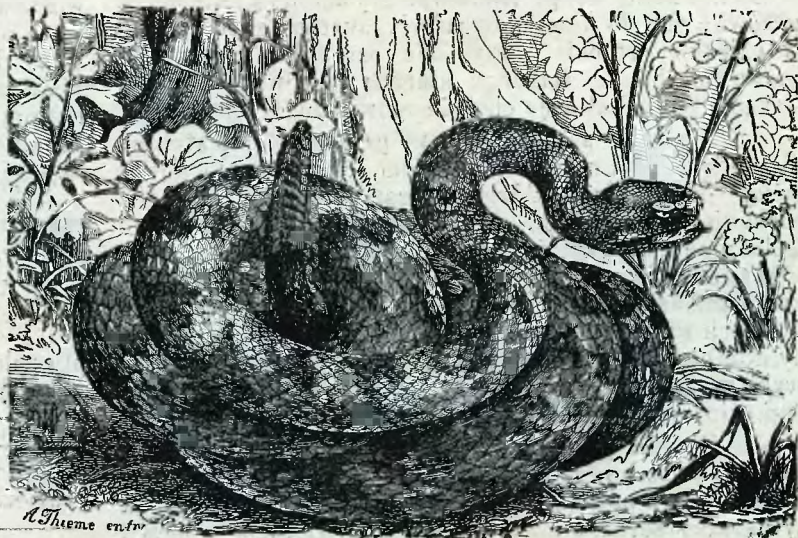
Nie sądźmy jednak, aby jadowite węże znajdowały się wyłącznie w Indyach, posiada je cała strefa zwrotnikowa Azji a nawet i poza jej obreębem spotyka się je także. Chiny południowe zamieszkuje wąż, mniejszy od okularnika indyjskiego, zwany paraguda. W niektórych miejscowościach jest on nadzwyczaj pospolity nie tylko w lasach i zaroślach, lecz także w mieszkaniach ludzkich, do których wślizguje się niepostrzeżenie, niby tak, jak u nas żaby w lecie do wiejskich domów o niskich progach. Ale podczas gdy bezwiedne nastąpienie na żabę nie grozi niczem, paraguda zaczepiony w ten sposób może ukąsić i spowodować śmierć lub ciężką chorobę. Dobrze jeszcze, iż właściwym celem jego odwiedzin nie są ludzie, lecz myszy, szczury, żaby, oraz inne drobne kręgowce.

Równiny Azji środkowej również nie są wolne od węży. Jeden z nich, napotykamy także w południowej Syberii, towarzyszy stale pasterzom, koczującym ze stadami, szerząc spustoszenia wśród młodych kóz i owiec. Z tego względu jest on znacznie uciążliwszy od okularników, które przynajmniej szukają ofiar wśród zwierząt dzikich. To też mieszkańcy stepów Azyatyckich polują nań z zaciętością nie mniejszą, jak gdyby nastawał na ich własne życie.

Afryka jest znacznie uboższą w węże jadowite od Azji, nie brak ich jednak i w tej części świata.

Z Afrykańskich węży najszerszą sławę cieszy się okularnik egipski, większy od indyjskiego (2½ metra), ale znacznie mniejszy od olbrzymiego. Barwa jego jest słomkowo-żółta w ciemne poprzeczne pręgi na szyi, plama w kształcie okularów znacznie mniej wyraźna, niż u jego indyjskiego krewniaka. Wąż ten zamieszkuje całą Afrykę północną i zachodnią; znaleźć go można tak samo w lasach i gęstych zaroślach, jak w polach i pustyniach. Łowi inne węże, jaszczurki, myszy polne, skoczki. Nie zaczepiony, nie rzuca się na człowieka, dzięki zaś swej wielkości łatwy jest do zauważenia i z tego powodu stosunkowo rzadko bywa przyczyną śmiertelnych wypadków wśród ludzi. Wąż ten w starożytnym Egipcie odbierał część boską i temu przeważnie zawdzięcza swą sławę wszechświatową.

Znacznie więcej grozy od tego okularnika wzbudza wśród mieszkańców Afryki północnej inny mniejszy wąż, zwany efa, nie większy od naszej żmii (60 centymetrów). Małeńki ten wąż wciska się do mieszkań i ukrywa się tam niepostrzeżenie w ciemnych zakątkach, wchodzi pod dywany,



Okularnik egipski.

kołdry lub między złożone ubrania. Usposobienie ma nadzwyczaj złośliwe i bardzo łatwo wpada w gniew. Dość jest nawet dotknąć go lekko. To też biedny mieszkaniowiec lepianki w Egipcie, wracając zmęczony do domu po całodzienną pracę, nigdy nie może być pewny, czy nie znajdzie na swym łożu pod okryciem efy, który rozłuszczony za niespodziewane przebudzenie, wita go jadowitem ukąszeniem. Okularnika przynajmniej nie zastaje się w mieszkaniu.

Również bardzo uciążliwym, ale już głównie dla podróżujących przez pustynię, jest inny także niewielki (do 65 centym), wąż, zwany rogatym, ponieważ posiada brodawkowate łuski na ciemieniu, tworzące rodzaj rożków nad oczami. Ma on barwę piaskową i z tego powodu trudny jest do zauważenia na żółtawym tle pustyni, tembardziej, że leży zwykle częściowo zagrzebany w piasku. Można więc nań bardzo łatwo nastąpić i narazić się na niebezpieczne ukąszenie. Żeby jego wprowadzić nie są w stanie przebić grubych butów, większość jednak ludzi w pustyni poprzestaje na lekkich sandałach, nie zabezpieczających nogi wcale przed jego zębami. Nieprzyjemnym również jest zwyczaj tych węzów złażenia się do ognisk nocnych, co także bywa powodem niejednego wypadku.

(d. c. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

Luty towarzyszył Jakubowi w jego częstych na miasto wycieczkach. Błądzili wśród pięciomilionowego mrowiska, jak wśród bezbrzeżnej lesistej puszczy, bo jednostka ludzka ginie tak samo w tłumie, jak w prastarym borze. Tylko londyńska puszcza pstrzy się różnaitością wspaniałych budowli, ogrodów, posągów, muzeów i galeryi. Podziwiał te cuda Stefan, widział pierwszy raz gotyckie wieże na Westminsterkiej katedrze, i wspaniała, do Watykańskiej podobną kopułę na kościele św. Pawła. Najwięcej jednak zajęły go obronne mury Toweru. Wzniósł je w jedenastym wieku Wilhelm książę Normandzki, zdobywca Anglii, który na gruzach starej rzymskiej fortecy zbudował silną warownię. Służyła ona pierwotnie za mieszkanie dla panujących, a potem zamieniona na więzienie, była świadkiem wielu krwawych dramatów.

Stefan mało dotąd zajmował się historią, ale teraz przemówiła ona do niego z bogatych muzeów, gdzie podziwiał egipskie, greckie i rzymskie pamiątki, przemówiła wymownymi bo na ścianach starych murów zapisanymi zgłoskami. Słuchał więc chciwie opowiadań O Cleara.

Jeśli jednak zaciekała go przeszłość, to stokroć żywszy udział brał w tem wszystkim, co dotyczyło chwili obecnej. Na giełdzie widział po raz pierwszy pieniężny wszechświatowy jarmark. Przerzucano tu milionami, jak dziecko przerzuca garścią piasku, a inżynier tłumaczył Stefanowi znaczenie wywoływanych cyfr. Słży na sprzedarz akcje przedsiębiorstw wszystkich części świata. Te papiery, których wartość podnosiła się lub spadała w kursie, dawały dobrobyt masom, stawiały dla nich koleje, budowały fabryki, maszyny, mosty, użyźniały pustynie, ujarzmiały na usługi człowieka powietrze i morze.

— Wielkim przedsiębiorstwom nie podoła wola i majątek pojedynczego człowieka, tysiące jednostek uczestniczy w każdym nowo powstającym dziele. Ale to, do którego ja przywiązałem serce, nie zawiązuje się na giełdzie — mówił Jakób prowadząc Stefana na mityng, czyli zebranie, gdzie radzić miano o losach przyszłych kolonistów. Luty nie ro-

zumiał tego, co mówiono dokoła niego, zbyt mało jeszcze znał język angielski, aby uchwycić wątek obrad. Widział jednak, że panowie zgromadzeni w wielkiej sali przy Oxford Street rozprawiają z zapalem, że wszyscy oni dążą do tego samego celu, co Jakób O'Clear, że koloniści mają liczny zastęp opiekunów wśród inteligentnych obywateli kraju, że ta inteligencja nie da biedakom zginąć marnie na drugiej półkuli. Przypomniał sobie towarzyszy podróży, dążących przez Bremę za ocean.

— Co się stało ze Skibą i jego gromadą? — myślał ślusarczyk, są już teraz zapewne w Ameryce, ale czyż dadzą sobie tam radę; nie znając języka, praw i zwyczajów miejscowych.

Zrobiło się smutno Stefanowi. Chciałby powiedzieć rozprawiającym panom, że i on zna tłum kolonistów, że ci koloniści zasługują na współczucie, bo są ciemni a tak opuszczeni, jak nikt na świecie, ale zamilkł... bo nie umiał po angielsku.

— Trzeba uczyć się co prędzej tutejszej mowy, inaczej sam nic nie zdobędę i nie pomogę swoim — mówił sobie Stefan, myśląc wciąż o wychodźcach z pod Rogoźna lub Mławy.

— Znajdziesz i w Londynie tysiące naszych robotników. Dziś niedziela pójdziemy razem na polskie kazanie — powiedział Jakób, kiedy Stefan wyraził mu współczucie dla Skiby.

Stefana ucieszyła propozycja inżyniera. Widział kościoły w Bremie i wspaniałe świątynie londyńskie, ale dawno nie był na nabożeństwie, tęsknił też za wspólną modlitwą. Poszedł więc razem z Jakobem na ulicę S-go Teobalda, gdzie w krypcie włoskiego kościoła odprawiał ksiądz Bakanowski nabożeństwo *). Nie śpiewał on tak pięknie jak proboszcz Wągrowiecki, nie tak tu grały organy, jak w farze nad Wełną, nie tak zwłaszcza rzewnie i poważnie biły spżżowe serca dzwonów.

Jednakże gdy kilkaset polskich głosów zawtórowało prośbę „Odwróć od nas głód, mór ciężki,” wydało się Stefanowi, że stoi w Wągrowieckim kościele, że otaczają go swoi, że *Tamci* od Węrebka przejdą parami ku wielkiemu ołtarzowi, a Marysia pociągnie go za rękaw, bo czas wychodzić z kościoła.

Stefan się wzdrygnął. *Tamci*, a więc i Leon, gdzież on jest teraz? czy policja bremeńska schwyciła złoczyńców? Towarzysz jego dzieciennych lat pokutuje może w więzieniu za zły czyn, a on sam czyż nie zasłużył także na karę? Postąpił samowolnie, rzucając bez opowiedzenia się warsztat uczciwego majstra, który przez parę lat uczył go rzemiosła. Alboż wolno jest zrywać umowę zawartą w imieniu ucznia przez opiekuna? On, znajda, zawdzięczał bądź co bądź miastu swe wychowanie, czy miał prawo iść w świat nie powiedziawszy nikomu „Bóg zapłać?” Pamiętał krzywdę a nie pamiętał o długu, jaki zaciągnął względem Wągrowca. Przekupki słusznie sarkają będą, że grosz publiczny idzie na darmo, bo z sierot, żywionych kosztem miasta, wyrastają włóczęgi. Cierpiał już wprowadzić gorzko za swój postępek, włóczęgą nie zostanie nigdy, ale kto wie co czeka go jeszcze?

Tak myślał Stefan a tymczasem, uboga krypta zapożyczona od Włochów wypróżniała się powoli z Mazurów i Litwinów, przybyłych za zarobkiem nad Tamizę.

— Nie sądziłem, aby było tak wielu naszych w Londynie? — powiedział do Jakóba.

— Wielu? ależ widzisz tu tylko cząstkę kolonii i krypta zaledwie pareset osób pomieścić może, a proboszcz ma kilka tysięcy parafian.

— Kilka tysięcy! zawołał zdziwiony Stefan.

— Tak, wtrącił się do rozmowy Ksiądz Bakanowski. tak, to też musimy zbudować im kościół. Polscy wychodźcy przyjeżdżają do Londynu zwykle sami, ale rozpatrzy-

*) Tak było przed kilkadziesiąt laty, teraz kolonia polska ma własny kościół w Londynie.

wszy się w mieście, sprowadzają żony i dzieci lub żenią się między sobą. A każdy z nich marzy o powrocie do kraju są i tacy, którzy za uzbierane pieniądze nabywają później własny kawałek ziemi nad Wisłą lub nad Niewiażą. Patrzcie państwo na tych ludzi; ubranie mają czyste, twarz delikatną, chociaż pracują ciężko, a zwróćcie dziś wieczór do ich mieszkań, znajdziecie u wszystkich kawałek mięsa na wiecezrę i obok kufła z piwem, gazetę lub książkę.

Tak mówił ksiądz Bakanowski, ciesząc się parafianami, którym pomagał radą i opieką, ale czy tę opiekę znajdują wszędzie nasi emigranci? Kolonia polska w Berlinie liczy 50,000, nad Renem także 50,000 dusz, w Westfalii jest ich 150,000.

Tyle biedaków po świecie, zdala od kraju, od swoich rodzin!

Jak sobie radzą ci ludzie? — myślał Stefan, słuchając objaśnień proboszcza.

Jak sobie radzą? Oto co zajmowało przedewszystkiem naszego bohatera. On także potrzebował, on musiał znaleźć radę dla siebie. Rodzina O'Clearów okazywała mu serdeczną wdzięczność i przyjaźń szczerą, ale zarówno wdowa jak i jej syn unikali w rozmowie wzmianki dotyczącej przyszłości, dbając tylko o zdrowie i wygodę gościa. Gościem jednak nie mógł on na zawsze pozostać. Stefan czuł to doskonale i w miarę jak wracały mu siły stawał się coraz drażliwszym na odbierane usługi, bo z właściwą szlachetnym naturom bezinteresownością, zapomniał już, że dał tym ludziom więcej, niż mógł od nich otrzymać kiedykolwiek. Ta drażliwość nieledwie chorobliwa spotęgowała się jeszcze po rozmowie z proboszczem.

— Tylu biedaków, może nawet mniej od niego umiających, daje sobie radę na świecie, a on tylko ma żyć zawsze kosztem drugich? — myślał Luty.

— Wrócił z kościoła i zasiadł z Jakóbem przed kominkiem. Żarzyły się na nim węgle, bo wieczór październikowy był chłodny, ale żarzyło się i w sercu chłopca od walki sprzecznych uczuć. Chciał pracować dla siebie dla drugich, nie być ciężarem i darmozjadem, a nie wiedział o co zaciepić ręce. Targał niecierpliwie płową czuprynę, kręcił się niespokojnie na krześle, mógł pytać Jakóba o radę, słowa uwieźły mu w gardle. Aż stało się to, co bywa zwykle, gdy zbyt wiele doznajemy wrażeń. Stefan przewyciężył nieśmiałość i wypowiedział jednym tchem wszystko, co ciążyło jego duszy.

Mówił, że nie umie sobie wytknąć drogi. Z pomocą księdza Bakanowskiego znalazłby może zarobek w warsztacie, ale to nie dosyć. Czuje w sobie moc, która pcha go nie tylko do pracy. Obudziły się w nim inne pragnienia. Chciałby z czasem nieść pomoc drugim, zrobić coś, z czego korzystałby bliźni, bracia, ale on nic nie umie, nic nie wie. To go tak dręczy, że musiał wypowiedzieć się przed Jakóbem z wewnętrznego rozterki.

I Stefan stał w postawie skruszonego grzesznika. Nie śmiał spojrzeć O'Clearowi prosto w oczy, tak kosztowało go wyznanie uczynione pierwszy raz w życiu. Dotąd nie zwierzał się nikomu ze swoich uczuć w obawie, aby nie wśmiano go. I teraz patrzył po kątach pokoju, byle nie spotkać wzroku Jakóba, który może także szydzić będzie z jego troski.

Dziwny to był pokój ten gabinet O'Cleara. Prócz kilku foteli i kilku dębowych stołów nie stał tu żaden sprzęt ku ozdobie lub wygodzie służący, ale za to na ścianie wisiały mapy wszystkich części świata, a na rozsuniętych deskach stołów leżały stosy płodów zwiezionych z najodleglejszych zakątków ziemi.

O'Clear pozwolił Stefanowi odetchnąć chwilę po ciężkiej spowiedzi, i z kolei sam zaczął mówić. Powiedział chłopcu, że go rozumie lepiej niż on sam się pojął w tej chwili zdolny. Powiedział, że każdy dążyć winien do tego, aby nie zostać pospolitym zjadaczem chleba. Mówił, ile winien

Stefanowi wdzięczności za uratowany majątek i jak gorąco interesuje się przyszłością sieroty.

— Sam musisz o tej przyszłości postanowić, bo każdy człowiek jest mniej więcej kowalem własnego losu, ja pomogę ci tylko rozpatrzyć drogę, którą masz obrać. Czy wolisz pozostać w Anglii, czy wolisz wracać do Wągrowca? Tu i tam nie przestanę ci być bratem, ale rozłączyć się musimy.

— Rozłączyć — zawołał Stefan, przerażony myślą rozstania z O'Clearami.

— Tak — odpowiedział Jakób — Ja wyjeżdżam do Ameryki razem z pierwszą partią wychodźców irlandzkich.

— A matka pana? przerwał Luty.

— Matka moja odwiedzi rodzinę, która mieszka w Warszawie. Tęskniła całe życie za krajem, dzięki tobie i uratowanemu majątkowi stryja, może na czas dłuższy pojechać do swoich.

— I pani O'Clear nie sprzeciwia się wyjazdowi nie boi się o pana? — pytał Stefan ogłuszony niespodziewanymi wiadomościami.

Jakób stracił na chwilę zwykłą powagę i uśmiechnięty, mówił z tajemniczą miną.

(d. c. n.)

Mali Syngalezi.

Gromadka, którą mamy zaszczyt przedstawić czytelnikom „Wieczorów” na pierwszej stronie dzisiejszego numeru — pochodzi z daleka, bo aż z wyspy Ceylon, leżącej na oceanie Indyjskim, pod półwyspem Hindostańskim.

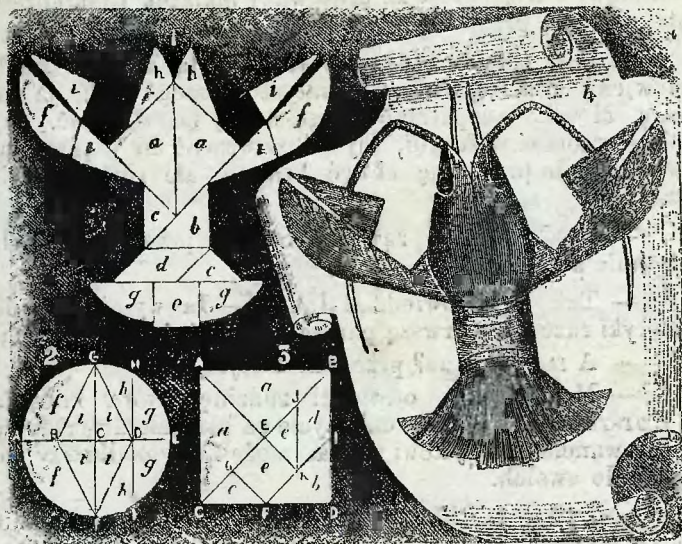
Są to dzieci zamożnej rodziny z plemienia Syngalezów, ubrane w szaty odświętne. Na codzień noszą tylko białe kaftany, i coś w rodzaju czerwonej spodniczki. Pomimo śniadej cery jest to jedno z najpiękniejszych plemion, co widać z rysów tych dzieci, odznaczających się też inteligencją.

Syngalezi przybyli do Ceylonu z Północnych Indyi w VI wieku i zawładnęli wyspą, którą rządzą sami aż do 1815 roku, podbiwszy miejscowych mieszkańców (Weddów) i przybywających później z południowych Indyi Tamilów. Dziś jeszcze, choć wyspa cała należy do Anglii, Syngalezi stanowią prawie $\frac{3}{4}$ całej ludności i zajmują wśród krajowców miejsce przodujące. Jest ich około 2 $\frac{1}{2}$ miliona. Dawni królowie z tego plemienia, podobnie jak Faraonowie egipscy, snąc lubili wznosić wielkie budowle, bo na wyspie znajduje się wiele wspaniałych ruin świątyni, pałaców i całych grodów, które wśród bujnej roślinności Ceylonu, wyglądają niezmiernie malowniczo.

RAK GEOMETRYCZNY.

Podajemy czytelnikom „Wieczorów” wzór zabawy, która wymaga pewnej dokładności w wykonaniu i zręczności rąk. Nazywa się „rakiem geometrycznym,” gdyż ów rak, jak widzimy na rysunku, składa się z 17 figur geometrycznych, wyciętych z dwóch figur: koła i kwadratu. Do zrobienia tego raka potrzebny papier dość twardy, cyrkiel, linijka, nożyczki i ołówek.

Najpierw więc na papierze nakreślić trzeba koło, którego środek będzie punkt C, a promień wynosić ma 4 centymetry. W kole tem przeprowadzić dwie linie: średnicę



poziomą AE i prostopadłą GF . Następnie przepołowiąć linie AC i CE , oznaczając środek pierwszej literą B i drugiej O . Owe punkta B i O należy połączyć liniami z punktem G i F , a prócz tego przeprowadzić przez punkt O linię pionową od środkowej AE , która zetknie się z obwodem koła w punktach I i K . Za pomocą tych linii przedzielimy koło na 10 kawałków, oznaczonych literami: f (2 kawałki), g (2), h (2), i (4).

Następnie trzeba nakreślić na papierze kwadrat $ABCD$, którego każdy bok ma mierzyć $6\frac{1}{2}$ centymetrów i podzielić na 7 kawałków w sposób następujący: Przeprowadzić przekątną CB i równoległe do niej ze środka boku CD (punkt F) do punktu I — drugą linię FI i na niej w punkcie K zakończyć przekątną, prowadzoną od punktu A . Kiedy jeszcze nakreślimy linie G i Kd , otrzymamy 7 figur oznaczonych literami a (2), b (1), c (2), d (1), e (1).

Trzeba dalej wyciąć owe 17 kawałków nakleić je w ten sposób, aby utworzyły raka. Jeżeli papier będzie czerwony i doklejemy do figury wasy i zaznaczymy we właściwych miejscach oczy, rak geometryczny będzie przypominał żywego.

SZARADA.

Z. S. z P.

*Pierwszą z liter już wygnano;
Pierwsze czwarte, skapca miano;
Pierwszą trzecia, zbiór, gromada,
Gdyż się na nią zwozi, składa;
Druga trzecia, gdy jest wiele,
Warta jest mniej niż złe ziele,*

Ale gdy ją znajdziesz w ziemi,
Zrównasz się z najbogatszymi:
Wszystka u nas dobrze znana,
Przez smakoszków pożądana.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

uł. Zosia z p. Skalbmierza.

W	O	K	I	Z	S	O	
	2						
		3					
			4				
				5			
					6		
						7	
							8

W kwadracie z 8 przedziałków ułożyć wyrazy ośmiogłoskowe, aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwę miasta nad Wisłą. 1 rząd. Morskie zwierzę ssące. 2) Wyspy na oceanie Spokojnym. 3) Wódz rzymski, podbił Wielką Brytanię. 4) Poeta polski. 5) Dopływ Dniepru. 6) Zakon rycerski. 7) Wyspa na oceanie indyjskim. 8) Państwo w Europie. Sylaby: a—be—co—cki—cy—di—dya—gri—ho—kra—krzy—na—lo—lo—la—la—lan—mo—ke—na—ryb—re—sa—si—wie—wy—zy—za.

skim. 8) Państwo w Europie. Sylaby: a—be—co—cki—cy—di—dya—gri—ho—kra—krzy—na—lo—lo—la—la—lan—mo—ke—na—ryb—re—sa—si—wie—wy—zy—za.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9.

Szarady: Kossak.

sak, kos, kosa, as, sas, sok, sos, koks, osa, Aa, oko.

Zadania konikowego:

Po brzozywym cichym lesie;
Idzie dziewczę, dzbanek niesie;
Niesie dzbanek z jagodami,
Z poziomkami, z borówkami.
Kłaniają się przed nią drzewa;
Ona śpiewa i las śpiewa:
— Danaż moja, dana, dana!
Jagódeczko, pójdz do dzbanu!

T. L.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: Mali Syngalezi (z ryc.) — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Narcyza Żmichowska (Gabryela) (z portretem). Weże, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Rak geometryczny. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Modlitwa wieczorna, wiersz przez Jana Chęcińskiego (z ryc.) — Jak się dzieci uczyły lekcyi. — Moi przyjaciele, przez Janusza. — Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цевзурою. Варшава 25 Февраля 1902 г. Wydawczyńi Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

W Niedziele Palmową.

Jerozolima wrzała tysiącami głosy, po ulicach snuły się tłumy ludzi; starzy i młodzi, kobiety i dzieci z zaciekawieniem wybiegali z domów. Najcięższe załki opustoszały, kto tylko był podążał ku bramie Jerozolimskiej.

Chromi, porażeni i wszyscy, którzy o swojej sile iść nie mogli, wyciągali ręce, błagając, ażeby ich do bramy wniesiono, wołając:

— Stanie się tam coś nadzwyczajnego, czego oczy nasze drugi raz oglądać nie będą, czemuż pozbawiać nas onego widoku? — powiadali.

A ci, którzy przykuci do łoża, dźwignąć się z niego nie mogli, pytali:

— Któż tam przybywa, Cezar z Rzymu, czy mocarz jaki ze Wschodu, jeżeli ludzie rzucają dom i biegną, żeby mu hołd oddać..

Inni zaś mówili:

— Rozrzuca zapewne wielkie bogactwa, jeżeli każdy, choćby najpilniejszy w robocie, zostawia dobytek i bieży, żeby się przybywającemu pokłonił.

A młodzieńcy, wyszedłszy ze szkoły, szepotali:

— Opowiada On nową naukę, wartoby jej posłuchać, może nam objawi co nowego, nie

to, cośmy już po sto razy słyszeli.

— Mówi podobno tak pięknie, że nie sto razy lecz całe życie słuchaćby się chciało — rzekł z zapalem młodzieniec, imieniem Nataniel.

— To dopiero wzbudzi zazdrość między naszymi mędrkami i w całym Sanhedrynie *) — dorzucił inny. Wydał wargi niechętnie i wskazał na jednego z owych mędrków, który zmarszczywszy gniewnie czoło, przeciskał się przez tłum, zalegający ulicę.

— Niema co tak się tłoczyć, nadjedzie chyba jutro — dał się słyszeć głos jakiś.

— Co? kto? dla czego? — posypały się ze wszech stron pytania.

— Jest teraz dopiero w Jerycho; wstąpił do Zacheusza.

— Co? Do Zacheusza, do tego chciwego celnika? — przerwano mówiącemu.

— Skąd wiesz? Nie rozsiewaj takich plotek! — krzyknął Nataniel, zatrzymując mówiącego za ramię.

— Ach, Natanielu i mnie to tak samo zabolało, a jednakże tak jest, bom sam na własne oczy widział.

— Ty, Tobi, poszedłeś?... — spytał Nataniel, topiąc wzrok przejmujący w twarzy mówiącego.

*) Rada najwyższa.



— Tak, tak, wybiegłem naprzeciw Niego; jakaś siła pchała mnie ku Jerycho, i oto co ujrzałem...

— Opowiadaj, opowiadaj! — zawołali młodzieńcy, otaczając kołem Tobiego.

A Tobi mówił:

— Ten kusy Zacheusz, który zaledwie wzrostem dorównał dziesięcioletniemu chłopcu a cheiwością całemu Sanhedrynowi!..

— Cicho, cicho! — ostrzegali inni, oglądając się, czy jaki członek owej rady nie przechodzi. — Jeszcze im kto doniesie — szepnął ktoś z życzliwych Tobiemu.

Lecz Tobi uśmiechnął się i mówił dalej:

— Więc ów Zacheusz, chcąc oczekiwanego zobaczyć, wdrapał się na drzewo figowe.

— Śliczna mi figa!

— Moznaby się nią otruć.

— Szyszka dzikiej pinii, trzeba ją było strząsnąć.

Posypały się ze wszech stron żarciki na nie lubianego i pogardzanego celnika.

— Otóż nikt tego nie uczynił, bo żadnego z was nie było — mówił Tobi poważnie. — Galilejczyk zaś wskazawszy na drzwi Zacheusza, rzekł doń wielkim głosem: „Zejdź, pośpiesz do domu u ciebie odpocząć pragnę.”

— U Zachusza, u takiego grzesznika! — zawołano z oburzeniem.

— Nie mógłże znaleźć znaczniejszego domu, gdzieby mu wspanialszą niż u Zacheusza gościnę przygotowano — szepnął z niechęcią jeden z bogatszych obywateli Jerycha, który się w owej chwili w Jerozolimie znajdował i zniechęca przysłuchiwał rozmowie.

Lecz Tobi nie zwracał uwagi na te wykrzykniki i dalej opowiadał:

— Gdy Galilejczyk przyszedł, Zacheusz padł mu do nóg i wołał:

— Panie, połowę dóbr moich oddam ubogim, a jeżeli kogo skrzywdziłem w czwórnasób wrócę.

Galilejczyk zaś podniósł rękę i rzekł:

— „Stanie się zbawienie temu domowi.” *)

Starszyzna, która zdala przysłuchiwała się opowiadaniu Tobiego, podniosła szmer niezadowolenia

— Ten młodzik oto coś opowiada, czego nawet nam ludziom dojrzałym a prawym słuchać nie przystoi.

I z wielkim oburzeniem odeszli, zabierając kogo im się dało z oczekujących.

Szemrali też coś pocichu między sobą, a z ich giestów, wyciągania rąk przed siebie, spuszczenia i zarzucania poły płaszcza na ramię, znać było, iż wzburzenie w ich umysłach panuje.

Na placach wszakże lud pozostał w oczekiwaniu, a dookoła Tobiego cisnęła się garstka ciekawych.

Była to młodzież, ubodzy mieszkańcy miasta i garstka niewiast. Słowem ci, których serca drżały jakimś nienasyconym oczekiwaniem, pragnieniem nauki Mistrza, o którym oddawna dochodziły ich wieści.

Tobi zaś mówił dalej:

— Udało mi się wcisnąć do przedsionka domu Zacheuszowego, widziałem, jak ten człowiek odrazu się zmienił. Twarz jego wyrażająca dotąd chytrość i cheiwość, złagodniała teraz. Gdy zaś Galilejczyk począł mówić, Zacheusz, zasłuchany w jego mowę, całą postawą wyrażał żal i pokorę. I wierzę w jego poprawę, bo wzrok i mowa Jezusa skruszy najzatwardzialszego grzesznika — dodał Tobi, wznosząc rękę do góry.

— Niechaj ci On pobłogosławi za te ostatnie wyrazy — szepnął milczący dotąd Nataniel, biorąc rękę opowiadającego. — Nie słyszałem dotąd mowy Jego, lecz wiem i czuję, że to jest mowa prawdy, której oddawna oczekujemy.

Mimo zapewnień Tobiego, że Galilejczyk w dniu tym zapewne się nie zjawi, lud niechętnie się rozchodził.

*) Według Ewangelii Św. Łukasza.

Byli zaś tacy, którzy na chwilę odszedłszy, wracali znów do bram miasta i stali w niespokojnem oczekiwaniu.

Tymczasem do Betanii, wioski położonej u stóp góry Oliwnej, nieopodal Jerozolimy, przybyło dwóch ludzi. Ujrzeni tam uwiązaną u kółka oslicę, a przy niej źrebię zdatne już do noszenia ciężarów, a jeden z nich rzekł:

— Jest tak, jako nam wskazał Pan.

— Zabierzemy oslicę i źrebię, bo taka jest Jego wola — dodał drugi.

— Na źrebięciu nikt dotąd nie siedział, a tylko takie godnem jest nieść Pana — mówił dalej, odwiązując oslicę.

I zabrawszy, odchodzili ku Jerycho.

— Hej, ludzie, co robicie! oslica ze źrebiątkiem do mnie należy! — zawołał właściciel, zastępując im drogę.

A ludzie rzekli:

— Panu potrzebne wasze bydłatko!

Usłyszawszy to, ów nie rzekł i słowa, nie pytał się, kto ich przysłał, owszem, uradował się w duchu, a wróciwszy do domu, mówił:

— Wielka łaska spłynęła na mnie, na dom mój i na dobytek cały.

— Co się stało? — zapytała żona.

— Zobaczysz — odrzekł mąż.

Ucniowie, których Jezus wysłał do Betanii, przywieśli osłatko, zarzucili mu na grzbiet szaty swoje, a Jezus na tym skromnym wierzchowcu zdążył drogą ku Jerozolimie. Z nim razem podążali uczniowie Jego i tłumy, które się w drodze przyłączyły.

Wyszedł też i właściciel oslicy i żona jego, dzieci, sługi i służebnice, on zaś rzekł:

— Błogosławieństwo spłynie na dom mój, bo oto Pan upodobał sobie jedno z moich bydlatek.

A im bardziej zbliżał się Jezus do Jerozolimy, tem większy tłum zastępował mu drogę.

Młodzieńcy zrywali zielone gałązki, rzucali je pod nogi jadącemu, wołając:

— Hosanna!

Dzieci, które gałązek drzew dosięgnąć nie mogły, zbierały przydrożne kwiecie a rozsypując je przed Panem, powtarzały dźwięcznym, jak śpiew skowronka głosem:

— Hosanna! Hosanna!

Dorośli a nawet starcy, w których sercach dawno już wszelka wygasła nadzieja, zdejmowali szaty swoje, a rzucając je przed jadącym, wołali wielkim głosem:

— Hosanna!

I tak z tryumfem tłumy wprowadziły Jezusa do bram miasta.

W tłumie zaś znajdowali się kapłani i mędrcomie izraelscy, wśród których nie brakło ani Faryzeuszów, ani Saduceuszów *), ani członków Sanhedrynu

Niektórzy z nich podzielali zachwyt i radość tłumy, inni chyłkiem między sobą szepтали:

— Któż zacz jest Ten, który taki entuzjazm w tym ludzie wzbudza?

Mówili także:

— Głosi Swoją naukę, chce nasz wpływ obalić!

— Prorok jakiś! burzyciel porządku! — dodawali inni ze złością wydymając usta.

A głosy tych niechętnych szumiały jak fala złowroga wśród łagodnego przypływu morza.

Lecz radosne okrzyki tłumy przysłuszały potajemne i niechętnie szeptu starszyny.

Wśród tych okrzyków przechodził Jezus przez miasto. Nieszczęśliwi i cierpiący zastępowali Mu drogę, czepiali się szat Jego, wołając:

— Mistrzu, pociesz nas!

— Panie, ulecz nas!

A Jezus łagodnem słowem pocieszał ich, kołł i uzdrawiał.

*) Sekty religijne izraelskie.

Przejechawszy tak przez miasto, zatrzymał się przed wspaniałe zbudowaną świątynią, a gdy wszedł do niej, rozboleła Dusza Jego.

Oto w przedsionku świątyni, a też po obu stronach wspaniałej nawy, wznosiły się kramy z rozmaitym towarem.

Tu sprzedawano wonności i kadzidła, tam zausznice i manele; bankierzy nad stosami pieniędzy wymieniali większą na drobną monetę, lub kupowali i sprzedawali cudzoziemską monetę. Nie brakło też przekupniów z owocami i chłodzącymi napojami, każdy zaś zachwalał swój towar, starając się przygłuszyć sąsiada.

Słowem, z świątyni Pańskiej, gdzie tylko pienia pobożne, nauki i dym kadzideł wznosić się powinien, zrobiono istne targowisko.

Ujrzawszy to Jezus głosem wielkim zawołał:

— „Napisano — dom Mój — dom modlitwy jest, a wyście go uczynili jaskinią zbójców.” *)

I wszystkich kupców wraz z ich towarami ze świątyni wypędził.

— Cóż On mówi: „dom Mój?” zali On zbudował świątynię, lub na Jego cześć ją wzniesiono! — oburzali się Faryzeusze.

Odtąd cała starszyzna izraelska jęła szukać sposobności, by Go zgubić.

A Jezus od chwili swego wjazdu do Jerozolimy i wstąpienia do świątyni, codziennie w niej przemawiał i błogosławił dziatki, cisnące się do stóp Jego, a lud słuchał Go w skupieniu ducha i coraz więcej skłaniał się ku Niemu.

Z. Morawska.

Zofia Kłowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg).

Zonę? — podchwyciła cyganka. — Żoneczka panicza będzie piękna i będzie ona umiała patrzeć słodko, Zi będzie miała głos jakby miodem posmarowany.

— Co, więc to dla mnie ta sekutnica? — zawołał Zdziś. — Nie wierzę w żadne przepowiednie, ale w tę jeszcze mniej niż w inne!

— Ha cóż, kiedy tak na ręce stoi napisane! Panicz nie będzie się bał ani wystrzałów armatnich, ani kul, ani zmęczenia, ani pracy;... nie będzie się panicz bał ani ognia, ani wody, ani cierpienia, ani śmierci, ale się będzie panicz bał żony.. Będzie panicz innym rozkazywał, na jedno spojrzenie wszyscy będą posłuszni, a słuchać będzie panicz, jak dziecko, jednej tylko osoby...

Zdziś wyrwał rękę cygance, nie chciał dalej słuchać. Miał w istocie nie mleko, ale żywą krew w żyłach i ta despotyczna przyszła żona tak mu się niepodobała, że zawrzał prawdziwym gniewem.

— Ja się wcale nie ożenię! — rzekł z obrazą — a takich wrózek słuchać nie chcę!

Stara cyganka zwróciła się do Józia:

— To ja paniczowi teraz powiem, co go czeka w przyszłości, czy mu przeznaczona dola czy niedola, czy mu się śmiać czy mu płakać przyjdzie w życiu.

Józio odsunął się i ręki nie podał.

— Ja nie wierzę w żadne gusła i zabobony — rzekł poważnie — i nie chcę żadnych przepowiedni słuchać. Pan

Bóg jeden zna przyszłość świata i przyszłość człowieka, a Jego wyroki są niezgłębione.

— To ja dla panicza kabałę postawię! — zawołała cyganka.

— Ja tego słuchać nie będę.

— To inni posłuchają. Posłucha tatuś — wskazała na profesora — posłucha mamusia, posłucha siostrzyczka z narzeczonym.

Mówiąc to, wyciągnęła z zanadru talię kart zatłuszczonych i brudnych i usiadłszy po turecku na skrzyżowanych nogach, poczęła rozkładać karty, podczas kiedy Józio oddalił się, by nie słyszeć przepowiedni. Za nim podążyła ta cyganka, co to miała syna żadnego nauki.

— Oj, widzę, widzę — mówiła wróżka — ani ci będzie miły świat, ani bogactwo, ani zabawa, ani tańce, ani wino, bo ty będziesz szedł prosto do nieba! I nie będziesz wdychał do żadnego przodowania, ale ludzie się na tobie poznają i będziesz biskupem. Oho! co ja tu widzę? Teraz ci się strzedz ognia. Ogień dla ciebie niebezpieczny! Kościół się pali, ludzie uciekają, duszą się, jedni drugich gniją... Już nie widzę, kabała już nic więcej powiedzieć nie chce!

Alusię, patrzącą na cygankę, ogarnęła jakaś trwoga. Za przykładem Józia nie chciała wróżby, ale Zosia poczęła namawiać.

— Cóż ci szkodzi? Przecież to tylko zabawa! Wiesz, że cyganki nic nie wiedzą, że chcą tylko zarobić jakiś grosz łatwym sposobem... przecie słyszałaś, jak mię wróżka wydawała za tatuńcia, a pana Chlewiatkę wzięła za męża mamy.

— To pocóż one wróżą, kiedy nic nie wiedzą?

— Bo im się nie chce pracować.

Stara wiedźma wyprostowała się, rzuciła na Zosię spojrzenie dumne i złe, wzięła się pod boki i rzekła:

— Cyganie nigdy nie pracowali i pracować nie będą! Cygan jest sobie pan! To słońce co świeci — to jego! Ten wiatr co wieje — to jego! A choć ten las zapisany jest na własność waszą, to w nim szum drzew — jest nasz, w nim to powietrze co pachnie żywicą — jest nasze. Wasze tu jest niby wszystko, ale my po wszystkich lasach na całym świecie chodzimy jak po swoich i te suche gałęzie, które palimy są nasze! I nasza ta trawa co ją konie cygańskie, skubią, i nasze te orzechy i te grzyby, które zbieramy. A pana nad sobą nie mamy i nigdy nie ścierpimy! My najwięksi panowie na ziemi, bo się nikogo nie boimy! Już nas nieraz wypędzano, prześladowano, gnębiono, ale my jesteśmy takie zwierzę, co to odciąć mu łapę, łapa mu odrasta; odciąć mu ogon, ogon mu odrasta... i głowa mu odrasta.

— Jaby ci odciął głowę, babo, i zobaczyłabyś czyby ci odrosła!

Te słowa wyrzekł Maciej, gajowy, który obchodząc las, dostrzegł ślady kół, poszedł za nimi i dotarł do obozu.

Stary cygan, który już poprzednio łajaniem uspokoił wróżkę, i teraz zaczął na nią tupać, pieść jej pokazywać i krzyczeć coś w niezrozumiałym języku. Stara uspokoiła się, spokorniała, ręce, którymi się pod boki podpierała opadły wzdłuż jej ciała, zgarbiła się, skuliła, zdawało się, że zczerniała, zbiedniała, zmalęła.

Widocznie tego nędznego i mizernego kształtu ludzkiego Alusia bać się przestała, bo odważnie, choć z rumieńcami na policzkach, przystąpiła do starej cyganki i wyciągnęła małą rączkę, która drżała trochę.

— Aha, i panienka chce wiedzieć przyszłość? Dobrze, powiem co tu na rączce wypisane. Panienkę czeka ciężka choroba. Mamusia będzie płakała i będzie ręce łamała, ale panience ta choroba pójdzie na zdrowie. Panienka będzie bardzo bogatą panią, i będzie panienka miała męża...

— Jenerała? — zawołała jakby przez sen Alusia.

Dzieci wszystkie w śmiech, Alusia w pasy. Chciała rączkę cygance odebrać i ku powozowi uciekać, ale kościśte palce cyganki rączki nie puściły.

*) Ewangelia Św: Marka.

— Jenerałowa, panienko, jenerałowa! Pojedzie z nim panienka w dalekie kraje, gdzie słońce nie przygrzewa ale piecze i gdzie każdy człowiek wygląda jak cygan. Z tego kraju przywieziecie wielkie skarby..

— To jakiś jenerał, co będzie rabował! — zawołał z pogardą Zdziś.

Pan Zabrzęski przerwał zabawę. Słońce zniżalo się ku zachodowi i trzeba było wracać do domu. Dał starej cygance dwa ruble.

— Nie za to, żeś wróżyła — ozwał się — ale za to, żeś moim dzieciom dała dobrą naukę.

Cygance oczy zaświeciły. Na pieniądze rzuciła się z łapczywością, jakby je przed towarzyszami ukryć chciała. Oczy jej zabłyśły chciwością i radością.

— Niech tam będzie za co chce — odparła.

— Za naukę, za naukę! Przekonały się, że ani twoje karty, ani twoja mądrość nic nie wiedzą. Tyle wiesz o przeszłości, co o terażniejszości. Dobra była nauka i za tę ci płacę. Wszystkim zaś wam zapowiadam, że gdyby się w okolicy okazały jakie kradzieże..

— Cygany są niewinne! — wyrzekł jeden z cyganów, występując naprzód — tylko wszyscy złodzieje na nich winę składają! Cygany przynieśli skarby ze swego kraju i potroszczku z tych skarbów biorą.

— Łże, jaśnie panie! — zawołał Maciej. — To największe złodzieje...

— Cicho, Macieju, cicho! Wiem ja dobrze, co oni warci. Chodźcie, dzieci!

Cyganie otoczyli znowu odchodzących i odprowadzili ich do powozu. Cyganka, która od początku męczyła Józia i teraz przypięła się do niego, ale już nie krzyczała głośno, tylko pochylona nad nim, szeptała mu coś do ucha. Józio słuchał, a gdy nareszcie Maciej przemocą cygankę od niego odciągnął, rzekł do szamocącej się kobiety:

— To proszę mi tylko dostarczyć adresu chłopca.

Przy powozie stała inna cyganka a w chwili, gdy towarzystwo się zbliżało, Michał kładł jej na rękę jakieś pieniądze.

Z powrotem towarzystwo inaczej się rozdzieliło. Pan Chlewiatko szedł pieszo, a z panią Zabrzęską jechali: Zosia, Alusia, Jańcio. Zosia wolałaby była iść lasem, ale musiała w domu do herbaty przygotować, więc szło jej o pośpiech. Gdy konie ruszyły, zapytała furmana:

— Za co to Michał płacił cygance?

— Ej... ona mię tam nauczyła... niby powiedziała...

— Ale co powiedziała?

— Jak znaleźć, to panience powiem.

— I teraz mi Michał może powiedzieć.

— Nie, nie mogę, bo cyganka zakazała. Tak mi peda: „nie mówcie nikomu a nikomu, nikomusięku...”

Tymczasem dwaj panowie i starsi chłopcy dobrym krokiem szli lasem, prowadzeni przez Macieja, który najbliższą wiodł ich drogą. Ta najbliższa droga nie była wcale wygodna. Przedzierali się często przez krzaki i ciernie,

przyczem chłopcy bawili się doskonale, starsi zaś panowie mniej daleko. W jednym miejscu, w ciasnym przejściu, Zdziś zaczął się z Józiem certować. Trzeba było rękami rozchyłać ciernie, więc Zdziś stanął i zawołał:

— Władza duchowna zawsze przed świecką! Niech wasza pasterska mość idzie pierwsza!

— O przepraszam! — odparł Józio — gdzie jest niebezpieczeństwo, tam wojskowy powinien torować drogę.

Dopiero pan Chlewiatko ich rozsądził:

— Idźcie łobuzy razem! — zawołał. — Władza duchowna i wojskowa powinny wspierać się wzajemnie!

Gdy wyszli z gęstwiny i byli już na skraju lasu, Józio przypomniał profesorowi obietnicę:

— Niech nam pan teraz opowie skąd się wzięli cyganie.

(d. c. n.)

B. Dyakowski.

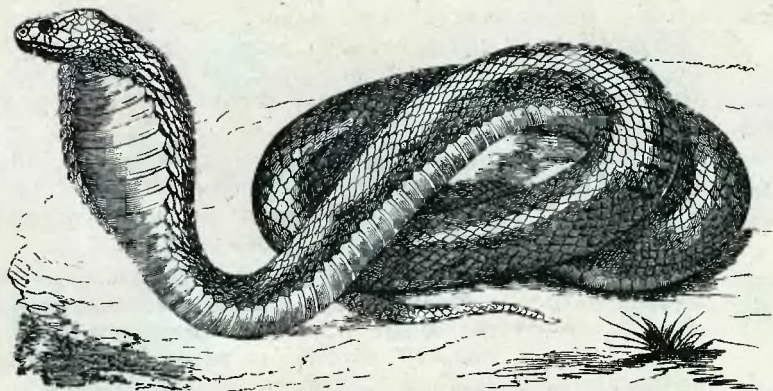
Węże.

(Dalszy ciąg).

Ameryka jest ojczyzną wielu węzów, a co gorsza bardzo jadowitych. Do najniebezpieczniejszych wśród nich należy cała rodzina grzechotników, odznaczających się dółkiem pomiędzy okiem a nozdrzami, którego nie posiadają inne węże jadowite. Drugą ich cechą stanowi grzechotka na końcu ogona, utworzona z pustych rogowych pęcherzyków, połączonych z sobą ruchomo. Jad grzechotników działa nadzwyczaj silnie, jest on w stanie zabić w kilka minut wołu lub konia. Ukąszenie zaś tem jest niebezpieczniejsze, że grzechotniki mają zęby jadowe bardzo długie i ostre tak, iż są w stanie przeciąć grubą skórę, czego nie mogą zrobić inne węże.

Jedne gatunki grzechotników zamieszkują miejscowości kamieniste i słoneczne, inne przebywają w lasach, zwłaszcza w bliskości wody. Wszystkie zaś są nadzwyczaj ociężałe i powolne. Na zdobycz czatują w ukryciu, zwinięte w kłębek pod osłoną cienistego krzaka lub kamienia. Gdy ofiara zbliży się dość blisko, grzechotnik rzuca się na nią szybkim ruchem i kąsa, wydając groźne syczenie, poczem dla biednego zwierzęcia niema już żadnego ratunku. Człowieka zazwyczaj nie zaczepia; częstokroć jednak dość jest zbliżyć się zanadto do jego kryjówki, aby wprawić w złość grzechotnika i narazić się na ukąszenie. Całe szczęście, że przy każdym poruszeniu się węża, grzechotka sprawia wyraźny szelest, który ostrzega o niebezpieczeństwie i pozwala umknąć lub stanąć do walki. Zabić go zresztą nie jest wcale rzeczą trudną; wystarczy do tego mocne uderzenie w głowę. Krajowcy, natychmiast po zabiciu, odcinają mu głowę wraz z gruczołami jadowymi i następnie spożywają mięso, które ma być bardzo smaczne.

Grzechotniki znajdują się zarówno w północnej Ameryce, jak i w południowej; ta ostatnia jednak znacznie przewyższa pierwszą pod względem ilości i jadowitości swych węzów. Słyną z nich szczególnie Brazylia i Gujana, odpowiadające pod tym względem Indjom Wschodnim w Azji, znajduje się tam obok właściwych grzechotników bliski krewniak, ale stokroć niebezpieczniejszy, tak zwany grzechotnik bez grzechotki czyli surukuku, największy z węzów amerykańskich (2,8 metra) chociaż nie dorównujący olbrzymiemu okularnikowi w Indyach. Jest to prawdziwy mocarz dziewiczych lasów Brazylii, przed którym drży nawet jaguar, a i człowiek bez dobrej broni nie ośmiela się doń



Okularnik egipski.

P. S. Grzechotnik był umieszczony w N-rze 11-ym i przez omyłkę nazwany Okularnikiem egipskim.

podejść. Tak zabójczy jest jego jad i tak niebezpieczne ukąszenie!

Australia jest bodaj najbogatszą w węże jadowite ze wszystkich części świata; co roku nie jeden człowiek i nie jedna sztuka bydła pada ofiarą ich ukąszeń. Nie odznaczają się one jednak niczem szczególnem tak samo, jak ich krewniacy z Azji, Afryki lub Ameryki, polują przeważnie z ukrycia i tak samo mniejsze gatunki odwiedzają mieszkania ludzkie. Z tego powodu nie będziemy dłużej zatrzymywali się nad nimi.

Zwróćmy za to uwagę na pewną właściwość, wspólną w ogóle wszystkim węzom jadowitym. Wiadomo, iż są one przeważnie nadzwyczaj ociężałe i powolne. Z tego powodu wydaje się bardzo dziwnem, że mogą chwycić tak ruchliwe stworzenia, jak myszy, jaszczurki, żaby oraz małe ptaki, które odznaczają się wielką zwinnością lub zdolnością do dużych skoków. Zjawisko to niezrozumiałe na pozór, tłomaczy się z jednej strony tem, iż wąż leżący nieruchomo tak mało zdradza swą obecność, że zdobycz może się zbliżyć, nie wiedząc nawet o tem, do samej jego paszczy; z drugiej zaś strony niektóre drobne zwierzęta, na widok węża wpadają w dziwny przestrah, który paraliżuje wszystkie ich ruchy a częstokroć pcha je wprost na niego.

Opisy podróży po krajach zwrotnikowych przepełnione są takimi wypadkami. Oto co opowiada jeden z podróżników po Ameryce: „o kilka kroków przedemną spory grzechotnik umieścił się pod drzewem, na którym znajdowała się wiewiórka. Wąż wpatrzył się w nią, i w tejże chwili biedne zwierzątko wydało ten charakterystyczny krzyk, pełen przeobrażenia, który stanowi nieomylną oznakę obecności węża. Wiewiórka była już zgubiona: ogarnięta dziwnym szaleństwem, znajdowała się w nieustannym ruchu, próbowała uciec na wyższe gałęzie, ale tylko po to, aby za chwilę zbiedz jeszcze niżej. Wąż zaś nie poruszał się wcale, z oczami utkwionymi w swą ofiarę, tak w nią wpatrzony że ani drgnął, gdy pod mą nogą, zatrzeszczała gałązka. Nagle wiewiórka

zachwiała się i wpadła wprost do szeroko otwartej paszczy grzechotnika.”

Uparty i zimny wzrok węża działa tak przejmująco na drobne zwierzęta i tak wstrząsa całym ich ustrojem, że giną one niekiedy z samego strachu nawet wtedy, gdy wskutek jakiegoś szczęśliwego przypadku unikną zębów węża. Podróżnik Le Vaillant opowiada, że zabił pewnego razu węża, który hypnotyzował wzrokiem ptaka na gałęzi. Ale ten ostatni był tak oszołomiony i wstrząśnięty niebezpieczeństwem, które mu groziło, że nie mógł przyjść do siebie i w parę minut zginął. Temu samemu podróżnikowi udało się innym razem uwolnić mysz od węża, ale również bezskutecznie.

Nie wiadomo dokładnie, na czem polega ten paraliżujący wpływ węzów, tak zgubny dla drobnych zwierząt. Prawdopodobnie jest skutkiem strasznej obawy, jakiej doznają te stworzenia wobec swego groźnego wroga. W każdym zaś razie trzeba przyznać, iż stanowi on potężny oręż dla węzów, całe szczęście, że ludzie nie są wrażliwi na działanie ich wzroku, wówczas bowiem nie byłoby sposobu bronięcia się przed jadowitymi węzami.

(d. n.)



W Wielki Piątek.

„A oto zasłona kościelna rozdarła się na dwoje od wierzchu aż do dołu i ziemia zadrżała a skały się popadały. I groby się otworzyły i wiele ciał Świętych, którzy byli posnęli, powstało.” (Ewang. według Św. Mat.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

— Moja matka, jak matka Izaaka, chce dla syna żony z własnego domu, Rebeki, i to jest prawdziwym celem jej wyjazdu nad Wisłę, choć się do tego nie przyznaje nawet przedemną. Przytem my tu na naszych wyspach inaczej

zupełnie zapatrujemy się na podróżę niż wy ze stałego ładu. Nieszczęśliwy wypadek może się zdarzyć wszędzie, energia i siła fizyczna bronią od wypadku. Moja matka bała się dla mnie zawsze tylko niedołęztwa i zdenerwowania, nigdy zbytku rzutkości lub przedsiębiorczości. Żołnierze padają w każdej bitwie, każdy cel zdobywa się ofiarami. Iluż ludzi zginęło dlatego, że chcieli zbadać tajemnice biegunów, iluż chemików straciło życie przy próbach w laboratorium. Tak było i być musiało od początku świata. Kto wie, czy nie spalił się człowiek, który pierwszy rozniecał ogień, ale my za to grzejemy zziębnięte ręce przy kominku.

— Pan ma słuszość, matka pańska wołałaby jednak pewnie, aby pan został w Londynie.

— Sądzę, że nie. Alboż duże miasto nie naraża nas na więcej niebezpieczeństw niż dziewicze lasy Ameryki? Setki młodych ludzi ginie zmarnowanych próżniactwem i zbytkiem wielkich stolic? Nie znasz, Stefanie, świata, nie możesz wiedzieć do jakiego stopnia zły przykład bywa zaraźliwy.

— Miałem tego dowód na Leonie Ziemniaku — przerwał Luty.

— Prawda, zapomniałem, że sparzyłeś już palce, dotknąwszy się lotra. Ale prócz lotrów, ileż ofiar zabiera rok rocznie próżniactwo i lekkomyślność. Gdyby statystyka zadała sobie pracę obliczenia tych biedaków, dowiedział bym ci, że ginie ich więcej po salonach i ulicach niż na polu doświadczeń naukowych, lub przedsięwzięć w rodzaju mojej kolonizacyjnej wyprawy.

Stefanowi wspomnienie Leona zachmurzyło duszę. Złe przecucie oświadczył chłopcem, uciekłby na koniec świata, byle zapomnieć o pokusach i niebezpieczeństwach bremeńskich. Jakób pograżony we własnych myślach nie spostrzegł smutku ślusarza.

— Życie wtedy tylko jest piękne — mówił inżynier, kiedy oddajemy je na usługi wielkiej sprawy. Ja i moi towarzysze pracujemy dla naszych rodaków.

— Gdyby pan chciał wziąć mnie z sobą, karczowałbym lasy, uprawiał pola, bo zdrow jestem i silny. A może przy tej sposobności pomógłbym i naszym osadnikom. Im nie ma kto dać dobrej rady. No i nie rozłączyłbym się z panem — wyszeptał nieśmiało Luty.

— Doprawdy? pojechałbyś ze mną — zapytał Jakób, patrząc bystro w oczy Stefana. Kto wie, czy to nie dobra myśl. We mnie płynie przecież krew Orliczów, mam zatem także obowiązki i dla waszych kolonistów. Daję ci dwa dni do namysłu, wybieraj! Możesz wrócić z moją matką nad Wartę lub nad Wisłę, możesz zostać w Londynie, zapisawszy się do szkoły, możesz wreszcie ze mną zakładać nowe zbiorowiska ludzkie. Uratowałeś mi majątek, masz do niego prawo, pieniędzy weźmiesz, ile zapotrzebujesz.

Stefan nie zdążył odpowiedzieć bo do pokoju weszła służąca i oddała mu list, zaadresowany po polsku.

Kto mógł pisać do sieroty, kto wiedział o jego pobycie w Londynie?

Stefan rozerwał kopertę i czytał co następuje.

„Jeśli powiesz prawdę przed sądem, zginiesz jak każdy zdrajca”

— Kto przyniósł ten papier? — zawołał Jakób, któremu Luty oddał otwarty list.

Służąca nie umiała dać żadnych objaśnień. Ona także była w kościele i wróciwszy zastała kopertę wsuniętą w szparę drzwi. Przeczytała na adresie imię Stefana więc choć nie rozumiała reszty wyrazów, domyśliła się, że list należy oddać młodemu panu.

Biedny młody pan stał blady i zmieszany. Co miała znaczyć ta groźba? Stefan wiedział dobrze, co znaczyła. Wiedział, że ostrzeżenie pochodzi od Leona Ziemniaka i całej bandy zbrojeckiej.

Rozdział IV.

Wytrychy. — Posiedzenie sądu. — Nie skłamię. — Sprawa odroczone. — Dwóch nieznajomych. — Poddasze. — Wspaniały mundur. — Wujaszek Żądło. — Dzielnica Whitechapel. — Pułkownik John Dudley Honduras. — Jakób w niebezpieczeństwie. — Ucieczka. — Elewator. — Na haku.

Biedny Stefan Luty!

Trzy miesiące spędzone w towarzystwie rodziny O'Clearów pozwoliły mu zapomnieć o wypadkach zaszłych w Bremie, aż tu nagle wypadki te i ludzie zmartwychwstali na jego zgubę.

List Leona wstrząsnął do głębi duszą chłopca, zaraz zaś nazajutrz po otrzymaniu tajemnej korespondencji odebrał Luty rozkaz stawienia się u sędziego śledczego. Miał złożyć zeznanie w sprawie napadu na kantor bankiera O'Cleara. Sprawa wzięła zły obrót. Kilkakrotne a zachwał kradzieże obudziły czujność policyi. Rozboje wiązały się z sobą tajemną nicią, co dowodziło, że sprawcy kradzieży należeli do dobrze zorganizowanej bandy. Na ślad tej bandy naprowadziły władzę wytrychy znalezione w kantorze O'Cleara. Poznał je przy badaniu w sądzie ślusarz, uwięziony za spełnione poprzednio złodziejstwo, ten sam ślusarz, którego miejsce zastąpić miał Stefan. Upominał się o oddanie wytrychów, należało więc dojść, od kogo Luty odebrał narzędzia. Na żądanie sądu bremeńskiego miano przesłuchać w Londynie Stefana. Przyszła więc na złoćwinców godzina sądu, zadrżał Szwarc, nawet przebiegły Saleman opuścił Bremę, bo nie czuł się w niej bezpieczny.

— Zginiesz, jak każdy zdrajca — brzmiało ostrzeżenie Ziemniaka.

— Czyż istotnie zasługuję na miano zdrajcy? — pytał sam siebie Stefan. Dręczył go niepokój, nie był pewny jak ma postąpić. Jeśli powie prawdę, zgubi Leona i Szwarca. Nie znał ani prawdziwego nazwiska, ani mieszkania trzeciego współnika, temu więc nie groziło niebezpieczeństwo. Czy wolno mu jednak było odmówić zeznań, zataić występki? Złe należy karać, dobre nagradzać. Jeżeli zbrodniarze ujdą przed sprawiedliwością, kto zaręczy, czy użuchwaleni powodzeniem, nie popełnią nowego przewinięcia? Nie uwikłają nowych ofiar w swoje sieci, jak uwikłali Stefana.

— Jedna jest tylko droga postępowania, prawda, — nauczał proboszcz Wągrowiecki. Powinien powiedzieć prawdę. Tego samego zdania był także Jakób.

— Ściągniesz na siebie niebezpieczeństwo. Brazylijczyk już w Bremie groził mu zemstą, gotów biedaka zamordować podstępnie — przedstawiała pani O'Clear, bo pragnęła obronić sierotę od ludzi sprzysiężonych na jego zgubę.

Uwagi wdowy nie zachwiały jednak postanowieniem Stefana.

Jakób towarzyszył ślusarzowi do sędziego. Luty pierwszy raz widział przybytek sprawiedliwości, gmach, w którym waży się losy ludzkie. Oskarżeni wychodzą stąd niewinni lub skazani na hańbę. Czarne stroje, poważne twarze sędziów zrobiły na chłopcu tak silne wrażenie, że nie zauważył dwóch szaro odzianych postaci, które szły za nim krok w krok.

Stał i patrzył na wielki krucyfiks zawieszony w głębi sali. Biała z kości rzeźbiona postać Chrystusa wyciągała przebite gwoździemi ręce na tle czarnego krzyża. Męczennik Boży, który umarł za prawdę i sprawiedliwość, przypominał, zarówno sędziom jak winowajcom i świadkom, niewzruszone ich obowiązki.

„Nie będziesz brał Imienia Pana Boga twego nadaremno” to przykazanie obowiązuje wszystkie pokolenia do końca wieków. Niewolno kłamać nigdy, tem mniej świadcząc uroczystość w obliczu ukrzyżowanego Mistrza. Stefan był już teraz spokojny, bo czuł, że ani wzgląd na Leona, ani na własne bezpieczeństwo nie sprowadzi go z drogi prawdy. Co bądź nastąpi odpowie szczerze i śmiało.

Nie składał jednak zeznań tego dnia. Sąd odroczył sprawę bremeńską, poprzednia zabrała mu zbyt wiele czasu.

— Zmitrężono nam próżno parę godzin — powiedział Jakób wychodząc z sali.

— Zmitrężono? A tak, panu zapewne. Co do mnie to nie żałuję straconych tu chwil. Wiem teraz, że nie potrafiłbym skłamać przed wizerunkiem Chrystusa.

— Nawet dla uratowania życia — pytał O'Clear.

— Nawet gdybym wiedział, że zgubię Leona, — powiedział Stefan głośno, ale zaledwie wymówił te słowa potrafił go ktoś w tłumie. Wydało mu się, że jakieś ręce wyciągają się ku niemu. Mijali właśnie główną bramę pałacu sprawiedliwości, a w bramie stało kilku konstabłów. Spostrzegli zamieszanie i podnieśli swoje laski. Na ten znak dwóch szaro ubranych mężczyzn przebiegło szybko w poprzek ulicy. Zniknęli za najbliższą kamienicą, nim Stefan zdołał przypatrzeć się ich rysom.

— Rozbijają ludzi, musi im być pilno — sarknął Jakób a Stefanowi wydało się nagle, że zna natrętnych przechodniów. Twarz niższego nie była mu obca, oczy zwłaszcza, te oczy widział już, niezawodnie, gdyby nie wąsy i broda sądziłby, że to Leon. Starszy przypominał mu figurę spotykaną w Wągrowcu.

— Przywidzenie — pomyślał i przyspieszył kroku, dając za Jakóbem.

A jednak Jakób miał słuszość, było im pilno, bo szli coraz prędzej, zagłębiając się w odległe i nędzne zaułki dzielnicy Whitechapel. Jest to część miasta zamieszkała przez najuboższą ludność. Kryje ona swą nędzę w wilgotnych suterynach lub na stromych i ciemnych poddaszach. Na takie to właśnie poddasze wspinali się nieznajomi. Wprzód jednak starszy zdjął niebieskie okulary, a młodszy wąsy i blond brodę. Stefan Luty poznałby teraz dawnych znajomych. W sali sądowej zauważył czarne błyszczące oczy człowieka w szarym surducie i wysmukłą figurę jego towarzysza, teraz wiedziałby już kto go śledził..

Poddasze biegło wzdłuż trzechpiętrowego domu, załamując się na rogach kamienicy. Oświecało je małe okrągłe okienko, wychodzące w głąb ciasnego podwórka, tak ciasnego, że nieznajomi obeznani z miejscowością przerzucili deskę od okna do okna i dostali się po niej na gzyms sąsiedniej kamienicy. Byli znów w podobnem do pierwszego poddaszu, starszy namacał wążki drzwi i weszli obaj do ciemnej izdebki, ciemnej ale zamieszkałej. Na podłodze paliła się zakopcona lampka naftowa a przy jej świetle jakiś człowiek przeglądał papiery, robiąc jednocześnie małe znaczki na talii kart, które trzymał w ręku. Skrzyknięcie drzwi zwróciło jego uwagę, zerwał się z ziemi i podszedł do wchodzących. Miał w obeiściu powagę zwierzchnika, przyzwyczajonego dawać rozkazy.

— Co powiedział, wujaszku? — zapytał ostrym tonem.

Ten, którego nazywano wujaszkiem usiadł znużony na stosie starego żelazta i śmieci.

— Nie składał zeznań, sprawę odłożono. Ale to jakiś delikatny ananas z ogródka księdza proboszcza. Słyszałem, jak mówił, że nie skłamię. Byłbym go udusił na miejscu, gdyby nie konstablowie i nie Anglik.

— Podły, zginie, musi zginąć — syknął lokator poddasza. Chudy i oliwkowej cery, przypominał zarówno człowieka z bremeńskich podziemi, jak i wspaniałego don Jose de Fernando Patamos. Różnił się jednak od nich obu strojem i stanowiskiem. Miał na sobie czerwony boga to szamerowany mundur angielskiego dragona. Nakrył go tylko starannie płaszczem i dobrze zrobił. Wspaniały strój oficera mógł się posmolić w brudnej norze, a co ważniejsza, że w dzielnicy zamieszkałej przez ubogą ludność zwracałby na siebie uwagę przechodniów.

— Jesteście gotowi? — zapytał człowiek o oliwkowej cerze, chowając papiery do kieszeni mundura.

— Na wszystko, niema czasu do stracenia, jutro może już być za późno, bo jutro złożę zeznania — podchwycił usługnie wujaszek — i zaczął nas szukać wszędzie.

Trzeci, najmłodszy w tej kompanii towarzyszy, milczał, ociągając się z wyjściem.

— Może ja bym poszedł do niego i prosił, aby nas nie gubił. Był dobrym kolegą, da się przekonać — wymówił nieśmiało.

— Głupis! — mruknął wujaszek. Siedź tu i czekaj na mnie kiedy jesteś taki niedołęga.

— Niedołęga, głupi! Pewnie, że byłem głupi, słuchając wujaszka, a teraz..

(d. c. n.)

Pioruny kuliste.



Wiemy z doświadczenia, że piorun, to jest iskra elektryczna, uderzająca z chmury w ziemię, posiada zwykle formę zygzakowatą. Zdjęcia fotograficzne błyskawic piorunowych przedstawiają je, niby gałęzie, często silnie pogięte i dzielące się na mniejsze gałązki.

Zdarzają się niekiedy pioruny, które wyglądają i zachowują się zupełnie inaczej, niż zwykle.

Przedewszystkiem mają kształt kuli, wielkości głowy ludzkiej; dalej zjawiają się zwykle bez huku, poruszają się powoli, często nie palą rzeczy, z którymi się zetkną i giną w ziemi bez huku, ale przy silniejszym uderzeniu się o twarde przedmiot, roztrzaskują się na drobne iskierki, siejąc dokoła okropne zniszczenie.

Zjawisko to nie jest dotąd dokładnie wyjaśnione, lecz już pewien inżynier francuski — Otto, próbuje z dobrym skutkiem wytwarzać za pomocą maszyny elektrycznej i 2 metalowych blach, podobne sztuczne kulki elektryczne.

On też opisał piorun kulisty, widziany przez niego samego w okolicach Nizzy i przedstawiony na rycinach naszych.

W czasie śniadania zerwała się gwałtowna burza, i nagle do jadalni przez otwarte okno wpadła kula ognista, mierząca około 20 cm. średnicy.

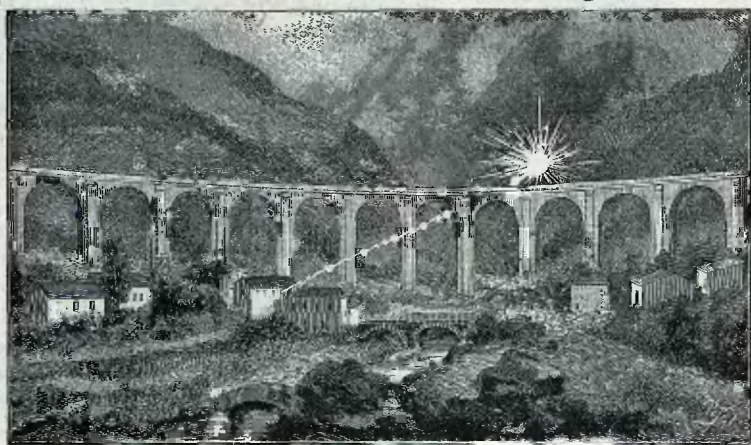
Unosząc się w powietrzu, obeszła cały pokój nie dotykając na szczęście żadnego przedmiotu i wyleciała przez okno. Ochłonawszy z przerażenia, obecni rzucili się ku oknu. Tajemnicza kula szybowała z wiatrem ku górze. Minawszy wąwóz i wiadukt kolejowy, uderzyła o ścianę. W tej chwili rozległ się potężny grzmot i kula zniknęła.

Różnych zdarzeń z piorunami kulistymi opowiadają bardzo wiele, zwłaszcza w Europie południowej. W 1887 r. 24 kwietnia w pewnej wsi francuskiej taki piorun wpadł przez drzwi otwarte do obory, w chwili, gdy gospodyni zabierała się do dojenia krowy. przesunął się między niemi i wyleciał, nie zrządziwszy żadnej szkody. Pomimo to przerażona krowa stanęła dęba z okropnym rykiem a gospodyni w największym przestraszu uciekła z obory.

Innym razem, kula ognista wpadła przez komin do chaty i przesunęła się koło nóg młodego chłopca, który starannie unikał zetknięcia się z nią, to też nie wyrządziła mu żadnej szkody. Okazuje się zatem, że najlepiej w takich razach zachować zimną krew, nie ruszać się z miejsca, tylko unikać uderzenia płynącej w powietrzu kuli.



Piorun kulisty w mieszkaniu (p. str. 95).



Pęknięcie piorunu kulistego (p. str. 95).

SZARADA.

ułożył Giermek dla Hetmana.

*Pierwsza, wykrzyknik lekceważenia,
Druga z literą jednego brzmienia.
Pierwsza i druga jest wierszoklety
Jmię, pamięci śmiesznej niestety,*

Zaś *trzecia pierwsza* szeroko płynie
W niegdyś słowiańskiej Wendów krainie.
Płynie też *czwarta i druga* przecie
Lecz w każdym kraju, na całym świecie.
Wszystko, to ludzie, co wprowadzie sami,
Nie obciążą ty się naukami,
Uczą mniej jeszcze od nich umiających —
Choć tylko czytać, pisać pragnących.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Od Stasia K. z Sokołowa dla Wańdzy H.

Z następujących sylab: ach—arc—a—błę—cu—czu—ca—
dzo—dłu—gosz—ła—łom—med—miec—nas—nus—ni—niec—
rab—sau—se—ski—szy—ty—we—wi—yap—yach—zie—
zacz—zych;—ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery two-
rzyć mają nazwisko i imię polskiego powieściopisarza, a końcowe
powieść jego dla młodzieży i tytuł książeczkidla dzieci. Znacze-
nie wyrazów: 1) Imię kilku sułtanów turekich. 2) Dawne udzielne
niemieckie księstwo. 3) Przybysz z obcego kraju. 4) Postać
z powieści Sienkiewicza „Krzyżacy.” 5) Jedna z wysp Karoliń-
skich. 6) Rzeka w stepie Kirgiskim. 7) Rzymska bogini
młodości. 8) Nędzarz z Ewangelii. 9) Nazwisko boha-
terki francuskiej. 10) Kronikarz polski. 11) Spacerowe
statki wodne. 12) Król polski. 13) Szczyt gór w Ta-
trach. 14) Mieszkaniec kraju połud. Azyi. 15) Jezioro
i miasto w gub. Suwalskiej.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

Zagadki: W i a t r.

Łamigłówki w kształcie krzyża:

E W a
 N i l d
 M i e z é
 N a c h i c z e w a n
 N a r u s z e w i c z
 A z o r y
 W a r n a s
 S a t y k s
 A r a
 G o d a
 O d a
 G i z e l l
 M u r n i l l o
 C z a r d a n e l c k i
 D a r d a n e l s k a
 F a r a o n e g i p s k i

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał 2-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: W Niedzielę Palmową (z ryc.) — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowską. — Węże, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — W Wielki Piątek (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Pioruny kuliste (z ryc.) — Łamigłówni i rozwiązania. — **Dodatek:** Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno (z ryc.) — Nie wytrzymam, (monolog Zosi). — Z życia króla chłopków, przez W. Kwiatkowską. — Sztuczka zgrzeszości. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

WIECZORY RODZINNE

Alleluja!



Ku Tobie, Panie, z kościelnych wieży
Dźwięczy i huczy radośnie dzwon,
I z ludzkich piersi pieśń hołdu bieży,
Łącząc się z dzwonem w potężny ton.

Ku Tobie, Panie, w wiosennej krasie
Modli się cały zbudzony świat;
Dzień blasków przyszedł po mroków czasie,
Ptak dzwoni pieśnią, wonieje kwiat.

Ku Tobie, smutne serce człowieka
Dźwiga się z głębin bólu i łez;
U Ciebie pewny ratunek czeka —
Bo wszelkim troskom Ty kładziesz kres!

I jak świat budzisz z zimowej głuszy
Ciepłem i światłem wiosennych tchnień,
Tak też rozpraszasz mrok ludzkiej duszy,
Dzwon, co nam Święta zwiastuje dzień!

Z. M.

NA REZUREKCYĘ



Wstawaj! wstawaj! wstawaj!..
Dźwięczny a szczebiotliwy, jak sygnaturka kościelna, głos Zosi wydzwonił trzykrotnie, wołanie to przed moimi drzwiami. Jednocześnie okiennice drewniane z hałasem rozwarły niewidzialne dłonie i mętny, szary blask zapełnił sypialnię. Zerwałam się z łóżka i czempredziej poskoczyłam do okna. Była godzina czwarta, więc chciała wrażeń pewna byłam, iż wiosenny ten poranek, pierwszy w życiu o tej porze na wsi przeżegnany, powita zaspane moje oczy całą pełnią purpury złota i innych barw, o których głoszą poeci.

Ale na świecie szaro było od mgieł tłukących się nisko nad ziemią, a gałęzie kasztana, co podchodzą pod okno samo, — połyskiwały długimi kroplami dżdżu.

Ooo... westchnęłam przeciągle i z wielkim zawodem w głosie. Tymczasem u drzwi znów rozległo się energiczne stukanie i głos Zosi zadzwonił ponownie:

— Wstawaj Marysiu! bo spóźnimy się napewno. Kościelny już znać dawał babuni, że za chwilę jutrznią śpiewać będą.

Zaczęłam się ubierać z niesłychanym pośpiechem. Zosia tymczasem, znudzona czekaniem pode drzwiami, weszła do pokoju i usiadłszy w fotelu, niecierpliwie dłonią bębnić zaczęła po stole.

— Maruda! rzekła wreszcie z niewysłowioną pogardą przyglądając się, jak drżącymi od pośpiechu rękami starałam się upiąć jako tako włosy na głowie.

Nareszcie byłam gotowa. Zosia wcisnęła mi w ręce książkę do nabożeństwa; pobięła przodem, wskazując drogę.

— Babunia i reszta — trzepała — już dawno poszli całą gromadą. Boję się, czy się wtłoczymy do kościoła i do ławki, ale kazałam Józefowi stać w kruchcie, to nam utoruje drogę. — Słyszy udeptaną mocno drożyną, co przez łąki wiodła do pobliskiego kościoła. Zdala dochodziło jakieś gromadne, jęklive śpiewanie, gdzieś ode wsi dolatywał turkot jadących wozów i poszczekiwanie psów. Łąki, pokryte ubogą, wymarłą trawą, połyskiwały wielkimi kroplami rosy a powierzchnia stawu z daleka wydała mi się podobną do olbrzymiej tafli ołowiu.

Zresztą widzieć nie można było wszystkiego dokładnie, bo gęsta mgła wisiała w powietrzu i ciężkimi chmurami zasnuwała bliższe i dalsze przedmioty.

— Widziałas już w tym roku bociany, Marysiu? — pytała Zosia odwracając ku mnie swoją wesołą, różową twarzyczkę. Paluszkami wskazywała mi w górę; podniosłam więc oczy, lecz prócz majaczącego w nieprzeniknionej szarości rosochatego pnia topolowego, nic rozróżnić nie byłam w stanie.

— To nic, zobaczysz później, jak mgła opadnie, pocieszała mnie Zosia i wpatrzyła się w niebo. — Mówił mi ogrodnik, że się dziś zanosi na śliczną pogodę.

Pomyślałam, że tej przesłicznej pogody trudno podziwiać w tej chwili, uwagę tę jednak pokryłam milczeniem. Na przydrożku leżał motyl bury, skulony i zziębnięty i on zdaje się również mało znajdował pociechy w pogodnych przepowiedniach ogrodnika na cały dzień.

Nagle zakłębiła się mgła, zaszumiały drzewa bezlistne w nagie gałązki i prawie nad naszymi głowami buchnął dźwięk przeciągły rozbujałych dzwonów.

— Procesya wychodzi — krzyknęła Zosia i co tchu biegnąć zaczęła przed siebie.

Istotnie wychodziła procesya. Zatrzymaliśmy się na cmentarzu, a przez szeroko otwarte drzwi kościoła rojno wysuwać się jąły barwisto przepasane granatowe sukmany

chłopskie, a potem niby garście kwiatów pełne, różnokolorowe wełniaki kobiet, pookrywanych chustkami...

Po chwili z mrocznej głębin kościoła wykwitło ponad naszymi głowami kilka proporców i chorągwi czerwonych nakształt maków, błysnął złotem krzyż, buchnęło migotliwe światło świec i zaraz potem wśród dymu trybularza pod baldachimem białym zajaśniała monstrancja. W kościele zagrzmiały organy, na wieży rozświegotana jak skowronek trzepotała się sygnaturka a dzwony rozbujały, rozśpiewane, huczały. Szła procesya dokoła murów kościelnych, szarych, obślizgłych wilgocią, wśród śpiewu, bicia dzwonów i blasku...

Śpiewali... a ze stęsknionych za wiosną piersi ludzkich wybuchał okrzyk potężny błagalny, a zarazem radosny: Alleluja!

„Wesoły nam dziś dzień nastał,
Którego każdy z nas żądał.”

Do tej pory mam uszy pełne tych radosnych, tryumfalnych prawie tonów, a w oczach pełno blasku i światła.

Wnętrze kościoła gorzało jarzącym światłem świec, wysmukłe świerki, ołtarz zdobiące, napełniały nawet aż po sklepienie ożywczym, żywicznym zapachem. A pod lukowate to sklepienie płynęły szepty modlitwy, rozmodłone oczy wznosiły się ku niemu, kto wie może w nadziei, że rozstąpi się ono nagle i ukaże się w swej niepojętej chwale On, Zwycięzca, Baranek Boży. A za innymi szły w górę i moje oczy i modre źrenice Zosi całe skąpane w radosnych a dziękczynnych łzach.

Na świecie mgły znikły stopniowo. Przez otwarte drzwi kościelne widzieć można było błękitną roztoz kwietniowego nieba, która oswobodzona z mgieł zaczynała złościć się metalicznie i przesiąkać przedziwną, delikatną a czystą barwą różową. Wschodziło słońce...

Gdyśmy po tej samej drożynie mocno udeptanej wracali do domu, jasno było, świetlano i świeżo. Zdaleka połyskiwał żywym srebrem staw, na wysmukłej topoli dwa bociany stały poważnie w gnieździe i zarzuciwszy karki aż na grzbiet i skrzydła czarne, czerwone dzioby podniosły do góry, klekocąc zawzięcie.

Motyl czerwony, rozbudzony ciepłem słońca, podlatywał w różne strony a spłoszony ludźmi i gwarem, leciał przed nami w złotej smudze światła, podobny sam do płoynyka.

— Prawda Marysiu, dobrze jest żyć w taki poranek, szepnęła Zosia, uśmiechając się jasna z radości jak zorza. Po długiej zimie... po śmierci pozornej obudzić się niby z ciężkiego snu.

Ach, jak dobrze..

Z. D.

O MIŁOSIERDZIU BOŻEM.

Z nauk ks. Gralewskiego.

II

A jakże ty się zachowujesz? Widzisz ze strony Pana Boga takie wielkie miłosierdzie, a po twej stronie co też spostrzegasz? Podobno niedbalstwo, nieposłuszeństwo, krnąbrność... Zastanów się nad sobą. Kto ty jesteś? Dziecko małe, słabe, skłonne do choroby, niedołężne... trochę większa praca cię męczy... jak nie dojesz, już słabniesz jak nie dośpisz, — jesteś do niczego... poślizniesz się, możesz nogę złamać... w czasie burzy w jednej chwili życie utracić możesz. Ile to masz w sobie słabości... ileż ci grozi niebezpieczeństw! A czemżeś zasłużył na ratunek u Boga? Cóżeś zrobił dobrego? Że się paru lekcji nauczysz, bojąc się, żebyś dwójki nie dostał? Że czasem coś dobrego

zrobisz, bo się spodziewasz za to przyjemności jakiej? Albo od czego złego się powstrzymasz, bo kara ci grozi?.. Jeśli w twoim postępowaniu jest mało dobrej woli, jeśli tylko dla pochwały, albo dla uniknienia kary robisz postępy, to choćby one były zadawalniające, przed Bogiem nie nie znaczą. Jeżeli ty kochasz rodziców, kochasz Boga, spełniasz swoje obowiązki nie dla tego, żeś powinien, że ci tak sumienie każe, ale dlatego, że się kary obawiasz... toś ty nie jest dołem dzieckiem.

Ale może właśnie tak nie jest, możebyś mi mógł o sobie inne dać świadectwo, to ciesz się, moje dziecko... winisz cię tego... Kiedyś będzie z ciebie człowiek. Niechże każdy zastanawia się nad sobą, a jeśli pozna swój obraz w tym złym, albo w tym dobrym chłopcu, niechże się stara albo zmienić i poprawić, albo (w drugim razie) jeszcze lepiej nadal postępować. Właśnie teraz pora, bo wiecie, moje dzieci, że i o złych Pan Bóg nie przestaje się troskać i czeka na nich, żeby się poprawili. I na ciebie Pan Bóg czeka już dawno. Już od lat kilku korzystałeś z tych darów Bożych: rozumu, woli, sumienia... już od tego czasu, kiedyś źle zrobił, to już nie bezwiednie, już grzeszyłeś.

Od 7-go więc roku Boga obrażasz, a masz już teraz 10, 12, może więcej lat. Od kilku więc lat czekał Pan Bóg na twe nawrócenie, i teraz chętnie cię widzi na tych przygotowaniach. Niegdyś Pan Jezus powiedział przypowieść, którąście pewno słyszeli, albo czytali, że pewien gospodarz zasiał swoje pole pszenicą, ale gdy służył poszli ją oglądać, zobaczyli, że pełno było wśród niej kąkolów, chcieli więc co prędzej kąkol powyrwać, ale Pan im nie pozwolił, mówiąc: „Poczekajcie... żebyście z kąkołem nie wyrwali pszenicy.” Tu właśnie Pan Jezus chciał przedstawić, jak cierpliwie i długo czeka Pan Bóg na grzeszników i nie karze ich zaraz.

Prawda, że z kąkolów nie może zrobić się pszenica, ale z grzesznika może się stać dobry człowiek... I na to właśnie Bóg czeka. „Nie chcę śmierci grzesznika, ale żeby się nawrócił i żył.” I ze złego chłopca może się stać dobry, i nad tem właśnie Pan Bóg pracuje... a jak usilnie! Wszak i głosem sumienia niepokoi, i przez starszych karze, abyście się tylko poprawili, bo On chce wam przebaczyć i kochać was. Kiedy Pan Jezus umierał na krzyżu, było obok niego ukrzyżowanych dwóch łotrów. Do jednego z nich rzekł: „Dziś będziesz ze mną w raju.” I to powiedział do łotra, do człowieka niegodziwego, zbrodniarza, którego już nie tylko Bóg, ale i sami ludzie karali. Taki to był niegodziwy człowiek, a Pan Jezus powiada: będziesz ze mną w raju... i to nie kiedyś, po długim czasie, ale dziś.” — Za cóż to on ma być w niebie? Za to, że tyle nabroił?.. Dzieci drogie, za to, że współczuł Chrystusowi Panu, że uwierzył weń, kiedy Mu wszyscy urągali, że zasmucił się swoim złym życiem, że z całą nadzieją ufał, iż mu Bóg przebaczy. I za to jedno odezwanie się: „Panie pomnij na mnie,” za to uczucie żalu i miłości, wszystko mu Bóg odpuszcza i do nieba przyjmuje.

Przecież, moje dzieci, tyle i takich grzechów, co ten łotr, nie macie... więc tembardziej możecie mieć nadzieję, że i wam Bóg przebaczy. Przy spowiedzi św. dzieje się to przebaczenie, i do niej właśnie przyspasabialiście się niedawno. Nietylko was czeka przebaczenie, ale najmiłsze od Boga przyjęcie. Pamiętacie przypowieść o synu marnotrawnym. Jak to on porzucił dom ojcowski, źle żyjąc, roztrwonił wszystko, co miał, i wreszcie przyszedł do takiej nędzy, że chętnie byłby się pożywił tem, co dawano wietrzom, które on pasał. Wygłodzony, znędzniały, przypomniał sobie szczęśliwe czasy w domu ojcowskim, zastanowił się nad swoją niegodziwością i pełen żalu udał się w drogę z tym zamiarem, że upadnie do nóg ojcu, wyzna mu swoją winę i błagać będzie, aby go chociaż za służbę przyjął. „Wstanę, pójdę do ojca mego i powiem mu: Ojcie, zgrzeszyłem przeciw niebu i przeciw tobie. Jużem nie jest godzien zwać się synem twoim, ale uczyni mnie jako jednego z najemników twoich.” Co postanowił, to zaraz wyko-

nał. Gdy już był blisko domu, ojciec, który go spostrzegł wracającego, wybiegł naprzeciw niemu, z najczulszą miłością przywitał go, całując i ściskając, prowadził do mieszkania, kazał go ubrać i obuć, urządził ucztę, sprosił przyjaciół, a uradowany — i ich pobudzał do radości, mówiąc: radujcie się i weselcie, bo oto syn mój zginął, a znalazł się — umarł, a ożył. Oto obraz Boga, który tak się cieszy i raduje, gdy się grzesznik nawraca. Taką radością przejmują się Pan Bóg i teraz, widząc gromadkę dzieci, przygotowujących się do Sakramentu pokuty. Ale, dzieci drogie, czy to przygotowanie na tem tylko ma zależeć, że raz na tydzień posłuchacie nauki, że się nauczycie, kilka pytań z katechizmu? Nie, przygotowania rozumu i pamięci nie dosyć, trzeba przygotowania serca i woli. Już od dziś macie się przygotowywać, to jest poprawić się, tak jak gdybyście już dziś się spowiadali.

Czekacie na odpuszczenie grzechów waszych, nie przymnażajcie ich od dzisiaj, nie grzeszczcie już więcej... bądźcie od dziś dobrymi synami, dobrymi braćmi, dobrymi uczniami... Przygotowanie się wasze niech polega na niegrzeszeniu. Syn marnotrawny, kiedy wracał do ojca, już przez drogę nie grzeszył, ale rączę biegł; tak i wy, powracając do Pana Boga, biegnijcie drogą prawdy, przez pełnienie drobnych obowiązków waszych i posłuszeństwo. Zrzeknijcie się złych obyczajów, zrzeknijcie się wad swoich, zrzeknijcie się tego wszystkiego, co w was bywa ganione, karcone. Jesteście dziećmi marnotrawnymi, wracajcież do waszego Ojca Niebieskiego, najpierw przez poprawę, następnie przez sumienne uczęszczanie na nauki przygotowawcze; od rana do wieczora pilnujcie się i strzeżcie, abyście nie grzeszyli; niechaj sumienie strzeże waszego postępowania, a wy głosu jego pilnie słuchajcie.

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg).

Uczeni oddawna starali się zbadać pochodzenie i zwyczaje cygańskie. Czynili też głębokie studia nad językiem cygańskim, który podczas wiekowych wędrówek zmienił się pod wpływem języka tych społeczeństw, wśród których cyganie przebywali. Otóż na zasadzie owych badań stwierdzono: że cyganie przybyli z Indyi; że należą do kasty *Sudra*, jednej z najniższej i w największej będącej poniewierze. Już od pięciu wieków wędrują po Europie, zajmując się przeważnie kradzieżą i oszustwem. Wszakże w Węgrzech, Rumunii i Serbii bywają kowalami i kotlarzami. Do robót około roli nigdzie, pomimo usiłowań, nakłonić się nie dali. Biedni ludzie — zakończył — zupełnie niezdolni do pracy.

— Ale przecie, kiedy się narody dzikie cywilizują, to i nad cyganami praca misjonarska...

— Niezawodnie. Może po wielu wiekach cyganie wsiąkną powoli w społeczeństwa, wśród których żyją i przestaną się włóczyć po lasach, poprostu przestaną istnieć; ale na nich mamy dowód, co znaczy rasa i jak trudno zwalczyć i przerobić usposobienia rasowe.

Wśród tej rozmowy dociągnięto do domu, gdzie Zosia czekała już z kolacją. Wszyscy byli zgłodnieli i kwaśne mleko z kartoflami miało ogromne powodzenie. Dołożono do tego mnóstwo chleba wiejskiego z masłem, z szynką i z serem. Szczególniej Zdzisława miał apetyt iście żołnierski.

— Wcale nie generalski, tylko żołnierski — mówiła Alusia.

— O, — odezwiała się pani generałowa! — Ona naturalnie wie, jaki generałowie mają apetyt!

Przy kolacyi ubawiło dzieci to, że pan Chlewiatko potrzebując chustki do nosa, wyciągnął z kieszeni jakiś okropny gałgan. Gałgan wyniesiono ze śmiechem w tryumfie szcypcami od kominka. Nie docieczono nigdy, czy to był cygański jakiś figiel, czy to zacny profesor sam przez roztargnienie zostawił chustkę do nosa na krzaku, a do kieszeni schował suszącą się pieluszkę cygańskiego niemowlęcia. Alusia bowiem utrzymywała stanowczo, że tę piękną sztukę bielizny widziała w obozie cygańskim, wiszącą na młodym świerku.

V.

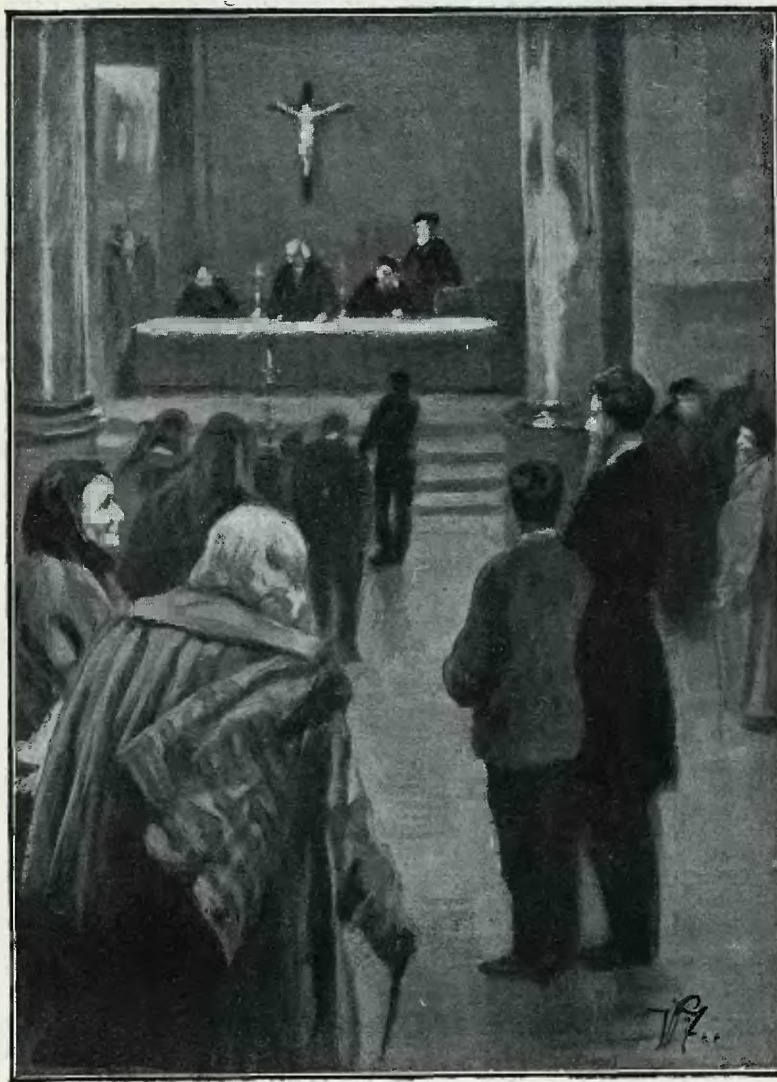
Po tej wycieczce do lasu wszyscy w domu spali wyśmienicie. Nikt nie słyszał wielkiego ujadania psów. Dopiero mocne stukanie w okiennice pokoju, gdzie sypiał pan Zabrzski z chłopcami starszymi, sprawiło, że wszyscy trzej zerwali się na równe nogi. Otworzono okno, pod którym stał stróż, wołając:

— Proszę pana, trzaby wyjść z fuzyą... trzaby ludzi zwołać, bo widzę światło pod dachem nad stajnią. Chciałem tam pójść, ale stoi dwóch drabów z drągami i od psów się opędzają. Jeszczeby człowiekowi zdrowie odjęli! Może być z tego pożar!... Może być złodziejstwo...

— Dobrze, dobrze, Wojciechu, zaraz idę z fuzyą!

Pan Zabrzski począł się śpiesznie pociemku ubierać, Zdziś i Józio czynili to samo. Obadwaj byli trochę w strachu, a przecież pragnęli należeć do wyprawy. I bali się trochę tych drabów z drągami, stojących pod stajnią i pragnęli ich zobaczyć na własne oczy. Przytem Zdziś myślał, że przyszły wojskowy musi być zawsze na wszystko gotowy. Józio umacniał się w odwadze, myśląc, że misjonarze często nawet na pieczyście przez dzikich podawani byli, więc przyszły misjonarz musi się odznaczać wysoką pogardą śmierci; zaś z takiej pogardy wyrasta prawdziwa odwaga. Obadwaj trzęsącymi się rękami wdzielali suknie, a przyznać musimy, że Józio czynił to jednak przytomniej i spokojniej niż Zdziś. Pobiegli za ojcem, który wziął dubeltówkę i ze stróżem szedł ku stajni. W świetle księżycy ujrzeli w istocie dwie postacie, stojące przy stajni od strony szczytowej. W szczycie były drzwi przez które noszono na poddasze słomę i koniczynę, drzwi te stały otworem i były całe oświetlone przez światło wychodzące ze środka. W tej chwili jakiś człowiek z latarnią w ręku ukazał się w nich,

Do pow. „Stefek Luty w Brazylii.”



| Rys. Wł. Jasieński.

...Luty pierwszy raz widział przybytek sprawiedliwości, gmach, w którym się ważą losy tyłu ludzi. (Rozdział IV).

zbiegł szybko po przystawionej drabinie i wraz z wartującymi towarzyszami puścił się lotem strzały w pole. Ojciec wraz z chłopcami i stróżem poczęli biedz za nimi, krzycząc, by stanęli, bo padną od kuli; pan Zabrzski strzelił nawet w powietrze, ale przestrzeń dzieląca uciekających od goniących stawała się coraz większa, las był coraz bliżej, wreszcie i człowiek z latarnią, która zgasała przy ucieczce i ludzie z drągami zniknęli w borze.

— Czemu tatuś do nich nie mierzył? — zawołał Zdziś, którego ta gonitwa tak zajmowała, że mu prawie przytomność odjęła.

— Czybyś chciał, żebyśmy zabił człowieka? — zapytał pan Zabrzski. — Nawet nie wiemy, co ci ludzie robili. Zapewne są to złodzieje, może nasi przyjaciele wczorajsi z obozu cyganów; ale raczej wołałbym by mi wszystkie konie ze stajni wyprowadzili, niż żebyśmy miał zranić którego z nich.

— Tatuścio jest prawdziwy chrześcijanin! — zawołał Józio.

— Tylko sobie nie zdaję sprawy, co ten człowiek robił na strychu stajni.

— O, to przecie nietrudno zgadnąć — ozwał się stróż. — Stajnia na łańcuch wewnętrzny zamknięta a w pułapie jest kłapa, która się otwiera i przez ten otwór koniczynę i słomę zrzucają. Ten łotr chciał się spuścić przez kłapę, odczepić łańcuch, otworzyć drzwi tym drugim drabom i wyprowadzać co najlepsze konie.

— Może być! Nie przyszło mi to na myśl.

— Oho, co prawda, to nie grzech, człowiek wie jak trawa rośnie! — chwalił się Wojciech. — Taki co je stróżem, to musi być okrutnie chytry! Musi być kuty na wszystkie cztery nogi, jak to powiadają i musi być znający wszystkie przespiegi!

— Pewnie, że musi być czujny i mądry — rzekł pan Zabrzski.

Wojciech tym komplementem doprowadzony do wybuchu zarozumiałości, mówił dalej:

— Bo co prawda, to nie grzech; taki człowiek co se całą noc spokojnie w łóżku pod pierzyną albo i pod zwycajną płachtą sypia, to nie może być taki mądry jak ten, co w dzień śpi a w nocy myśli. Juści od myślenia człowiek mądrzeje... mądrość je od myślenia, a tu w dzień niema kiedy myśleć! To ci baba w głowie zawraca, to ci dzieci papła, to się chłopcy kłócą, to przyjdzie kto z jaką nowiną i myśl ci poleciała, jak nie przymierzając kura przed głupiem szczenięciem. A w nocy to ci nikt nie przeszkodzi,

bo choć pies za nogą ci idzie, to pies je stworzenie nienaprzykrzone. Jak szczeka, to już wie czego, a jak spokój w około to i pies cicho siedzi. Nie tak, jak człowiek niejednen, co wciążby paplał a paplał i albo lamenta albo chichy wyprawiał!

— To każdy stróż jest mądry? — zapytał Zdziś.

— No, są takie, co i nie bardzo mądre, ale jeżeli z dwóch głupich jeden jest stróżem, to zawsze będzie mądrzejszy od tego, co stróżem nie jest. Ale za to jak z dwóch mądrych jeden jest stróż, to tego drugiego mądrego gdzie prześcignie! Taki co se całą noc śpi pod pierzyną, albo i pod płachtą, je zawsze trochę głupi, co prawda to nie grzech!

— A to nam Wojciech komplement powiedział — szepnął Józio do Zdzisia.

— Stróż to się musi i na człowieku znać i wiedzieć któremu dobrze, a któremu źle z oczu patrzy; musi się znać i na zwierzęciu, jak się które odzywa i wiedzieć jak to po nocy się rozlega końskie grzebanie i tupanie w stajni, a jak się rozlega złodziejskie czajenie się. Dobry stróż to wie odrazu, aby spojrzeć, który je złodziej, co furę pod karmnego

wieprza podprowadza, a który je taki, co se nocą drogą jedzie, bo mu tak wypadło... Ho, ho, co prawda to nie grzech, mnie to już nawet ludzie z mądrości znają. Abo i Stasiak! Jak się miał żenić tak prosto do mnie! Tak peda: „Wojciechu, wy jesteście człowiek znający, a mnie już trza się żenić, bo mi się już te koszule dra, co matka nieboszczka poszyli, a niema komu porządnie załatać. I za opierunek płacę i kaftan mi zginął z płotu, com go kupił na jarmarku.

— Płot kupił na jarmarku? — zawołał Zdziś.

Wojciech spojrział na chłopca, jak na człowieka, który pod pierzyną albo i pod płachtą w nocy sypia. Nie raczył nawet odpowiedzieć, tylko prawil dalej:

— Tak ja do niego, niby nie rozumiejący. „A cóż ty do mnie tak o żonę zajeżdżasz? Czy chcesz, żebym ci moją Hanusię dał, co jej dopiero dziesięć lat?” A on się jeno w głowę podrapał i peda: „Ee, tam dla Hanusi chłopak jeszcze musi ze sześć lat rosnać, ale jabym chciał, żebyście mi dziewczkę naraili. Zeby była mocna, żeby se półkorczyk zboża na plecy sama zarzuciła... żeby to nie było nikłe a delikatne, ale żeby się na gębie świeciła i żeby była czerwona i podufała. Taka je najmocniejsza!” „To se bierz



Święte Niewiasty: Marya Magdalena, Marya Jakóbową i Salome, idące do grobu Chrystusa Pana w dzień Zmartwychwstania.

Józkę, tę sierotę po Krawczyku!" „Ba, żebym miał brać Józkę, tobym się was nie radził! Dziewka zła jak żmija... co mi po takiej! Jabym chciał takiej, coby była dobra, coby mi marnego słowa nie pejdziała." „To tak gadaj! Najrząd rzekłeś o mocnej i czerwonej, a świecącej na gębie, to ja jak w dym do Józki. Ona do roboty dobra, ale co jędzą to jędzal! Co prawda to nie grzech!" A potem mu tak pejdziało: „Słuchaj chłopcze, kiedyś się udał do mnie, to ja ci dziewczę naraje, ale tu trzeba myślenia, żeby wszystko było, jak ty chcesz. A na myślenie najlepsza noc. Ja mogę wszystko wymyśleć, jak wartuję w nocy..."

(d. c. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)



eraz milcz i rób co ci każą, inaczej skończymy z tobą prędzej niż się spodziewasz. Dość już narobiłeś nam kłopotu! — krzyknął człowiek o oliwkowej cerze i wsunął deskę w otwór okna. Leon, bo on to zrzucił przed chwilą wasy i brodę, które nałożył dla szpiegowania Stefana, Leon wiedział, że groźba herszta zbójckiej bandy przynosiła nieszczęście. Drżał przed nim nawet Szwarc, coś dopiero taki niedoświadczony nowicysz w rzemiośle, jak Ziemiak. Wujaszek, ten sam Wujaszek, który częstował go u Werębka cygarami, a potem uciekł z Rogoźna po spełnieniu zuchwałej kradzieży, był teraz panem życia i śmierci siostrzeńca. On to wciągnął go do swoich sprawek. Spotkali się przypadkiem w Poznaniu, gdzie Leon poszedł za robotą i byli odtąd nierozłącznymi towarzyszami. Ale Poznań nie dawał pola do operacji na większą skalę. Przytem Jacek Żądło, gdyż tak się zwał szanowny Wujaszek, ściągnął na siebie uwagę policyi. Należało uciekać z Poznania, a gdzież uciekać jak nie do portowego miasta, do Bremy? Żądło zabrał z sobą Leona, bo podziwiał zdolności chłopca. Los zdarzył, że trafili w szynku Szwarca nad tak zwaną robotę. Ktoś wszczął bójkę, chodźło o uprzątnienie niewygodnych świadków kradzieży. Żądło oddał przy tej sposobności przysługę szynkarzowi i odznaczył się wyjątkowym sprytem, Szwarc-więc zapoznał go z Salcmanem. Banda pożyskała w wujaszku dzielnego sprzymierzeńca. Bywał on już dla ważnych spraw w Berlinie, a obecnie od dłuższego czasu bawił w Anglii, tam odesłano mu też Leona po niefortunnym napadzie na kantor O'Cleara.

Ziemiak okazał się niezdatnym do tak ryzykownych przedsięwzięć. Oszukiwać łatwowiernych chłopów potrafił, potrafił także wybornie ściągać sakiewki z kieszeni przechodniów lub okradać strychy, ale wyprawa po skarby bremeńskiego bankiera wywarła na niezupełnie jeszcze zepsutym chłopcu bardzo silne wrażenie. Żal mu się zrobiło Stefana, o którym sądził, że został zabity, i dla zagłuszenia wyrzutów sumienia pił całemi dniami. Po pijanemu prawił niebывałe historye, groził nawet Szwarzowi, że sam odda się w ręce władzy, bo prześladowają go straszne widzenia. Spiskowcy woleli usunąć z Bremy niewygodnego świadka, odesłano więc Ziemiaka Wujaszкови do Londynu.

Wujaszek znajdował się właśnie w zatargu z policyą i chcąc zmylić jej ślad, wynalazł sobie kryjówkę na poddaszu. Gdyby obstawiono strażą dom, do którego wchodził, mógł uniknąć pościgu, przebiegając po desce przestrzęń, dzielącą go od sąsiedniej kamienicy.

W tej to ciemnej kryjówce przyjmował dziś Żądło nie-zwykłego gościa. My bliżej wtajemniczeni w dzieje bremeńskich podziemi domyślamy się może, kto był oficer w czerwonym mundurze dragonów, ale obecność takiego dygnitarza na strychu, w brudnej dzielnicy Whitechapel słusznie dziwiłby mogła londyńskich konstabłów. Zwyczajli oni zwracać baczną uwagę na tę najniebezpieczniejszą część miasta.

To też pułkownik schował pod stary płaszcz mundurówą czapkę, na głowę włożył duży, z szerokim rondem kapeluszy i szedł tak prędko wązkiemi uliczkami, że Wujaszek z trudnością nadążyć mu zdołał. Rozmawiali urywanemi zdaniem.

— Jak go zwabisz? — pytał mniemany wojskowy.

— Mam już plan, da się oszukać, trzeba tylko, aby ktoś pewny pomógł mi przy moście.

— Poślę ci Holofernesa, ale nie bierz z sobą Leona, gotów się rozczulić i zdradzić.

— Głupi, trzeba mu wyrobić fahrkartę i wysłać do Ameryki.

— Tak najlepiej. Nie zapomnij zawiadomić Szwarca, gdy będzie po wszystkim. Niemiec w strachu o swoją skórę.

— Drutu darmo nie poślę, a ja dziś i wczoraj bez obiadu — mruknął opryskliwie Wujaszek.

— Pieniądze dam ci jutro. Spodziewam się tej nocy kilku ptaszków, których powinienem oskubać. A teraz zabieraj płaszcz i kapeluszy. Spraw się dobrze, czekać cię będę o dziewiątej w moim mieszkaniu. Możesz przyjść przebrany za posłańca. Bezpieczniej to niż waleśać się po Whitechapel w takim mundurze.

Pewnie, jego ekscelencya pułkownik John Dudley Honduras, bo znajomy nasz bremeński tak się zwykł był tytułować w hotelu, w którym zajmował wspaniały apartament, jego ekscelencya musiał zachować należytą ostrożność. Inaczej bogata młodzież, zgromadzająca się u niego na wspaniałe przyjęcia, mogłaby nabrać podejrzeń co do uczciwości gościnnego gospodarza lokalu. Gospodarz częstował hojnie winem i skwapliwie rozstawiał zielone stoliki a że tam potem ten lub ów z lekkomyślnych paniczów zgrał się w karty, że jak mówił mniemany wojskowy do Wujaszka oskubano kilku łatwowiernych ptaszków, to i coś z tego? Ptaszki były młode, i zarozumiałe. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na karty, które grał pułkownik. Takie rzeczy rozpoznaje najlepiej policya, ale wspaniały John Dudley umiał dotąd uchodzić szczęśliwie jej pościgu. Smutno to i przykro stawiać przed waszemi oczami, takie obrazy, otwierać drzwi do nor występnych, jak dom gry, lub tajemnicze poddasza, w których kryje się zbrodnia. Ale niestety, każdy może być narażony na pokusę złego, uzbrojcież się naprzód w siłę potrzebną do odparcia tej pokusy. Zapewne nie zetkniecie się nigdy z bandą złoczyńców, jaka czyhała na Stefana Lutego, ale kto wie, czy nie większe groźba wam niebezpieczeństwa. Zło przybiera często pozory pojętej rozrywki, lub niewinnego przyzwyczajenia, a jednak kryje w sobie zarody zguby!

Porachujcie się z sumieniem, wy wszyscy którzy te słowa czytać będziecie, czy dziś już nie dajecie posłuchu złym namowom, czy nigdy Anioł Stróż nie odwróci zasmucony swego jasnego oblicza od waszych serc dlatego, że te serca skały się brudną myślą, lub broń Boże grzesznym czynem. Nauka, szkoła, odrywa wielu z was od rodzicielskiego domu. Tylu młodych żyje zdala od opieki dobrego ojca, od czujnego oka matki, tyle jest zresztą sierot, że muszą sami sądzić, co jest złe a co dobre. Do was wszystkich zwracam się z upomnieniem i przestrogą serdeczną. Miejcie litość sami nad sobą. Nie ulegajcie pokusie grzechu, bądźcie skromni, pracowici, obyczajni, powściągliwi, szanujcie zdrowie duszy i ciała, bo jak powiedział Jakób O'Clear: każdy jest kowalem własnego losu, jaki wykute taki dźwigać musi. Wiercie mnie, bo kocham was, młodzieży, ciężkie jest życie tych, którzy przez lekkomyślność

lub fanfaronadę dali się pociągnąć zgubnym przykładom. Zbójca w rodzaju, Szwarca lub Salemana zabija jedną, czasem kilka ofiar, ale zepsuty kolega lub koleżanka zabijają swym wpływem dziesiątki, a nawet setki dusz.

Stefan wprost z sądu wrócił do gościnnego domu O'Clearów, ale wrócił sam. Jakób pożegnał chłopca przed drzwiami mieszkania, i pewny, że Lutemu nie grozi tu żadne niebezpieczeństwo ze strony Ziemniaka, poszedł robić zakupy przedmiotów, potrzebnych mu w podróży za ocean.

— Będiesz miał czas zastanowić się nad swą przyszłością — mówił żegnając Stefana, — a nie wychodź nigdzie sam z domu. Niewiele ja sobie robię z grózb bremeńskiego łotra, lepiej jednak zachować ostrożność do chwili, aż sąd zamknie ptaszków pod klucz. — I z temi słowy pożegnał O'Clear towarzysza. Uścisnęli sobie ręce serdeczniej niż należało, rozstając się na kilka godzin. Ale Stefan rad był przy każdej sposobności okazać swoje uwielbienie dla Jakóba, a Irlandczyk pokochał także sierotę.

— Kto wie, co postanowi, tak chętnie wziąłbym go z sobą, on zaś zechce może wrócić do swoich — myślał Jakób a Stefan wracał tymczasem do pokoju inżyniera.

Lubił tu przebywać, bo uwagę chłopca zajmowały brazylijskie płody zgromadzone w różnorodnych okazach.

Było już prawie ciemno, zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie przez szklane drzwi, które wychodziły na mały ogródek. Stefan usiadł w fotelu i bujając się wolno a rytmicznie, patrzył jak jesienny wiatr strącał pożółkłe liście z drzew. Liście mieniły się błyskami purpury i złota. Trzepotane wiatrem, wyglądały niby gromada pstro opierzonych ptaków.

— Niema takich u nas, ale są w Brazylii, pan O'Clear tam pojedzie, mógłbym i ja pojechać — myślał Stefan, przypominając sobie ubarwione okazy owadów, które widział w zbiorach inżyniera. — Pojadę, zobaczę! — powtarzał, to znów żał mu się robiło matki O'Cleara. Byłby jej synem, on znajda, sierota; zobaczyłby księdza proboszcza, który pewnie wrócił już z Karlsbadu.

(d. c. n.)

PRIMA-APRILIS!

MONOLOG.

Edzio (*wchodzi i kłania się publiczności*). Myślicie państwo, że ja was zwieść nie potrafię? ho, ho! to dopiero zobaczymy. Ja przecież zwiodłem już dzisiaj sześć osób. Właściwie mówiąc, nie były to wszystko osoby, bo do kompletu doliczam także naszego Nerona, którego doskonale wyprowadziłem w pole. Zawołałem go, pokazałem mu kawałek cukru, a potem sam go zjadłem. Zosia, która tak się roztkliwia nad wszystkimi psami i kotami, że powinna koniecznie zapisać się do „Towarzystwa ochrony zwierząt,” powiedziała mi, że ja nie *z*wiodłem ale *s*zwiodłem Nerona, i że to szkaradnie z mojej strony — ale ja myślę, że to był concept wcale dobry. Inne osoby równie dowcipne zwieść mi się udało — aha, znowu zaliczyłem Nerona do osób — no, cóż dziwnego? gdy ktoś się nazywa tak, jak cesarz grecki, można się pomylić. (*po pauzie*) Jakiś? powiadacie państwo, że Neron, to nie był cesarz grecki, tylko rzymski? eh, czyż to nie wszystko jedno? Grecya i Rzym tak blisko siebie leżały za dawnych czasów, że ja tam między nimi nie robię wielkiej różnicy. A zresztą, to już wszystko tak dawno przeszło, minęło, skończyło się, czy to warto przeciągać sobie umysł takimi wiadomościami, z których już teraz nie nikomu nie przyjdzie? Bo nie mówię, jak kto ciekawy, to i owszem, niech się uczy — ale ja n. p. nie a nie takich rzeczy ciekawy nie jestem, a wszyscy profesoro- wie, biorą mi to za złe, jakby to już była nie wiem jaka

wina. W domu znowu przeciwnie, wiecznie łąją mnie za to, że jestem zanadto ciekawy — oj, trudno to ludziom dogodzić! Raz nawet zrobiła się straszna awantura z tego, że mnie wujcio zobaczył stojącego za blisko drzwi, po za którym rodzice, dziadzio i ciocia mieli jakąś ważną rozmowę. Dla mnie, to nie było wcale za blisko, bo ledwie, że piąte przez dziesiąte słyszałem jakieś słowa, a właśnie te słowa odnosiły się do mnie i do ostatniej cenzury szkolnej, na której były, były no! były przypadkiem dwie duże dwójki. No proszę państwa, czy taka rozmowa mogła kogoś obchodzić więcej niż mnie? — czy to dziwne, że jej się choć z daleka przysłuchiwałem? — A wujcio podniósł zaraz wielką wrzawę — przerwał rodzicom pogadankę, mnie narobił nieprzyjemności i jeszcze był przekonany, że spełnił szczytny obowiązek. Powiedział mi przecież (*naśladując ton wujcia*): „Pamiętaj chłopcze, że choć dziś masz żal do mnie, kiedyś będziesz mi prawdziwie wdzięczny za to, że zwróciłem uwagę na szkaradę twego postępków” — (*naturalnym głosem*) No ja nie wiem, co będzie kiedyś, bo któż przyszość przewidzi — ale w każdym razie, gdy sobie przypominę zakończenie całej tej sprawy, to widzę, że do tego „kiedyś” jeszcze bardzo daleko.

Zresztą, z tej rozmowy rodziców nie mogłem się dowiedzieć nic nowego — nawet te dwie dwójki, które znalazły się na cenzurze, nie były dla mnie żadną nowiną. Ja odrazu, jak mnie tylko profesor wywoła, domyślam się, na czym się skończy. Tępy nie jestem — owszem orientuję się dość szybko w sytuacji, a zresztą, praktykuję już w tej klasie drugi rok; pierwszą wystudytowałem gruntownie — bo to i tu, i na prowincyi się rok było — to już przecie człowiek mógł nabrać trochę doświadczenia. Ja nawet nie potrzebuję zaglądać do dziennika, co mi tam profesor zapisuje; poznam z samego ruchu ręki. Jak trochę dłużej piórem rusza, to, niedostatecznie — a jak trochę krócej, to naturalnie: dostatecznie — cóżby było innego? Ale w moich stopniach, owe „krócej” dosyć rzadko się zdarza. Wielkiej różnicy niema dla mnie w dzienniku, to też szkoła jużby mi się strasznie uprzykrzyła, gdyby nie to, że siedzę w ostatniej ławce i mogę z tego stanowiska wygodnie przypatrywać się, co robią wszyscy koledzy. Niektórzy — a nawet większa część — to nie robi nic ciekawego: notują wykład profesora, rysują mapy, piszą wypracowania — z takich to nie mam żadnej rozrywki. — Ale niektórzy to są bardzo sprytni chłopcy i miewają wcale dobre pomysły. N. p. Antoś Wyszczersalski za jednym pociągnięciem ołówka lub pióra, nie odrywając go wcale od papieru, umie wyrysować doskonale: psa, kota i siebie samego — wszystko ogromnie podobnie! — A Jaś Dajewicz znowu nie rysuje ale wygina z papieru pyszne mopsy jedne ze spuszczonej ogonkami — te są niby smutne — a drugie z podniesionymi, te znowu wesołe, rozbrykane. Te smutne zwłaszcza, to taką mają kapitalną minę, takie jakieś rozpaczliwe, że pękać ze śmiechu! — Ot zdaje mi się, że nawet mam jednego w kieszeni, zaraz pokażę, (*szuka po kieszeniach i wydobywa złożony papier*) Aj, to nie mopsik — to moja cenzura. Może państwo zechcecie przeczytać? przekonacie się, że nic nie blagowałem. Już to wszystko można mi zarzucić, ale żebym się przechwalał — to już nie. Ot zajrzyjmy do niej — jak tam miało być? Dwójka, dwójka prawda? (*śmiejąc się, pokazuje cenzurę*) Aha! prima-aprilis, w moim świadectwie, na szczęście, same czwórki — a widzieć państwo, że mi się udało was zwieść! Wszystko nieprawda: i o podsłuchiowaniu i o dwójkach i o wujaszku. (*z śartobliwą wymówką*) A państwo zaraz mi uwierzili! czy to ładnie? czy to ja już wyglądam na takiego, co same dwójki bierze i pod drzwiami podsłuchuje? Żebym był taki ostatni, tobym nikomu nie śmiał w oczy popatrzeć; a nie dopiero występować z humorystycznymi monologami! — No, teraz sam już nie wiem, czy mam być dumny, że potrafiłem, tak poważne grono wyprowadzić w pole, czy też się tem martwić. Bo swoją drogą, to takie bardzo pochlebne dla mnie nie jest, że mi się moje prima-aprilus tak nadzwyczajnie udało — wielkiej chwały w tem dla mnie niema.

Na przyszły rok, już sobie coś lepszego obmyśle. A tymczasem: moje uszanowanie państwul (*kłania się i wychodzi*).

UWAGA: Monolog ten może być z bardzo małemi zmianami deklamowany, zarówno przez dziewczynki, jak przez chłopców — jedynym warunkiem powodzenia jest mieć naprawdę dobrą cenzurę — inaczej cały dowcip przepada. Ale nie wątpimy, że nasi czytelnicy, wszyscy bez wyjątku, mogą zadość uczynić temu warunkowi.

ZAGADKA.

Lubią mnie kiedym słodka, nie lubią gdym sprzeczna.
Bywam czasem szkodliwa, częściej pożyteczna.
Raz pysznię się na stole, drugi — w komin kryję,
A nie gniewam się wcale, choć najmocniej biję.
Znają jednak złość moją, olkusey górnicy,
Którzy brużdżą od wieków w całej okolicy.
W Azji jestem przylądkiem dość znacznym z natury,
Albo też gór łańcuchem, piętrzącym się w chmury.
A jestem też i miastem, aż w dwóch częściach ziemi;
I cieszę się uznaniem pomiędzy wiernymi
Sługami Mahometa w uczuciu wszelakiem,
A na koniec u ludu bywam też i ptakiem.

ARYTMOGRYF.

ul. Niezabudka.

- 1) 3, 6, 4, 2, 1. Miasto we Włoszech.
- 2) 10, 7, 8. Zwierzę przeżuwające.
- 3) 7, 8, 9, 5. Liczebnik porządkowy.
- 4) 11, 1, 12, 14, 5, 13. Owoc gatunku palmy.
- 5) 15, 16, 1, 17, 1. Cnota główna.
- 6) 16, 11, 1, 8. Uczestnik wyprawy Argonautów.
- 7) 6, 11, 16, 8, 8, 7, 4. Słynny fizyk i wynalazca.
- 8) 13, 16, 18, 1. Drzewo liściaste.
- 9) 6, 3, 16, 18, 14. Kraj afrykański.
- 10) 4, 1, 17, 15, 1, 13. Zwierzę ssące morskie.
- 11) 1, 22, 6, 13. Postać biblijna.
- 12) 2, 13, 6, 1. Rzeka w Finlandyi.
- 13) 19, 16, 6, 8, 13, 1. Rzemieślnik.
- 14) 21, 1, 15, 16, 8, 21, 1. Bohater polski z XV w.
- 15) 1, 17, 1, 19, 20, 4, 6. Prządka mitologiczna.
- 16) 12, 1, 17, 1, 22, 6, 13, 1. Dawna broń polska.
- 17) 7, 18, 1, 13. Kosztowny kamień.
- 18) 9, 7, 8, 12, 15, 1. Miasto w Cesarstwie.
- 19) 2, 13, 9. Twierdza w Wirtembergii.
- 20) 11, 1, 15, 16, 11. Król izraelski.
- 21) 7, 8, 21, 19, 21, 6, 18. Broń starożytna.
- 22) 12, 1, 17, 9, 16, 4. Farba.
- 23) 2, 10, 10, 1. Dopływ Dżwiny.
- 24) 19, 20, 1, 17, 7, 4. Przewoźnik mitologiczny.
- 25) 21, 16, 6, 22, 1. Ptasek krajowy śpiewający.
- 26) 1, 9, 8, 14, 6, 17, 11, 1, 9. Miasto w Holandyi.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał 2-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Alleluja, wiersz p. Z. M. (z ryc.) — Na rezurekcję, przez Z. Daszewską. — O Miłosierdziu Bożem, z nauk ks. Gralewskiego. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Święte niewiasty (ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Prima-aprilis, monolog. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Wielkanoc, wiersz (z ryc.) — Pożyteczny Henryś. — Ofiara śmigusa, wiersz przez L. M. — Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dworzanie królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Доволено Цензурою. Варшава 11 Марта 1902 г.

Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Zastąpić liczby literami i utworzyć wyrazy, aby pierwszy rząd liter złożył dawne przysłowie. Jednakowe liczby oznaczają jedno i też same litery.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go.

Szarady: Ku — ro — pa — twa.

Łamigłównki w kwadracie:

W i e l o r y b
S a l o m o n a
A g r i c o l a
K r a s i c k i
B e r e z y n a
K r z y ż a c y
L a k e d i w y
H o l a n d y a

Od Redakcyi.

Czas leci szybko, jak na skrzydłach; oto kończy się już pierwszy kwartał 1902 r. wiosna za pasem i jasny obraz wakacyi majaceje już w dali. Ale redakcyja „Wieczorów” nie ustaje w pracy i wciąż nowe przygotowuje rzeczy dla swych miłych czytelników. Uchylmy na chwile rąbek zasłony, która kryje zawartość naszej teki! W II-im kwartale, oprócz dalszych ciągów losów Stefka Lutego i rodzeństwa z Suchowa, rozpoczniemy między innymi druk ciekawego opowiadania p. t.

Pierwsi ludzie na księżycu.

z licznymi ilustracyami, a poprzedzimy je artykułem naukowym o tym wiernym towarzyszu ziemi — pióra prof. St. Kramsztyka.

Dla młodszych naszych czytelników mamy też zapas wesołych komedijek i powiastek oraz szereg artykułków z otaczającą i ukrytą przed oczami przyrodą przez Maryę Weryho. Dowiemy się z nich, co pewien chłopczyk Władek Zawichrowski „znalazł w błotach i kałużach.” Będą też konkursy i zadania do nagrafowania.

W IV-ym kwartale roześlemy wszystkim prenumeratom jako **premium bezpłatne** oddzielną książkę, której tytuł później podamy.

Przypominamy też naszym czytelnikom, że mogą nabywać w redakcyi po cenach znacznie niższych **cztery powieści Juliusza Verne'a**, których wykaz i ceny podaliśmy w n. 1-ym oraz **Słownik rzeczy starożytnych polskich Z. Głogera.**

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Najmniejszy samochód.



Dawniej dzieci bogatych rodziców otrzymywały niekiedy w podarunku małe wózki, zaprzężone w kucyki lub osielki, które mogły same powozić; dzisiaj w Ameryce i pod tym względem zmieniły się zwyczaje. Kucyki poszły w ką, a miejsce ich zajęły małe samochody. Opisywa-
liśmy kilka razy w „Wieczorach” mechanizm samochodów,

które i w Warszawie rozpowszechniają się coraz bardziej, nadmienimy więc tylko, że budowę ich musiano za morzem wydoskonalić znakomicie, skoro pozwalają 8-o letniemu maszyniście obwozić siostrzyczkę po parku takim wehi-
kułem.

Wiktor Hugo.



Sto lat temu urodził się we Francji jeden z jej największych poetów, który miał stanąć na czele współczesnego sobie pokolenia, jako chorąży literackiego kierunku, zwanego romantyzmem. Człowiek ten odegrał w swoim społeczeństwie rolę, podobną poniekąd do tej, jaka u nas przypadła w udziale Mickiewiczowi. Tę stuletnią rocznicę Francja obchodziła uroczystie, a ta uroczystość znajduje echo we wszystkich cywilizowanych krajach, w których znanem jest imię Wiktora. Dzieła jego tłumaczone są na wszystkie języki, a oprócz tego wszyscy szanują w wielkim pocie nieskazitelного człowieka

Bo im większy talent, tem bardziej mamy prawo wymagać, by charakter stał na jego wysokości, i dopiero wówczas autor nabiera prawdziwego znaczenia, jeśli czyni jego idą w parze z zasadami. Trudno byłoby nam wielbić dzieła, choćby najpiękniejsze, gdybyśmy musieli pogardzać ich autorem. Wiktor Hugo mógł błędzić i mylić się w wielu rzeczach, bo to jest rzeczą ludzką, ale pisał zawsze z największą szczerością to, co czuł, i służył sprawie, którą za słuszną uważał; nigdy nie przeniewierzył się samemu sobie a przytem miał serce, które głęboko wzruszała każda nędra, każde nieszczęście, a zawsze czynił, co było w jego mocy, aby je zlagodzić.

Dzieci kochał niezmiernie, znał je dobrze i w swoich utworach opisywał je prześlicznie. Można nawet powiedzieć, że ze wszystkich nędz ludzkich niedole dziecięce wzruszały go najwięcej. Często też w dniu świąteczne zapraszał do siebie gromady biednych dzieci, zastawiał dla nich stoły pełne łakoci, obdarzał zabawkami, wymyślał im różne przyjemności. Była to w starości jego najmilsza rozrywka.

Ojciec Wiktora Hugo był generałem napoleońskim, matka należała do rodziny przywiązanej do Burbonów i dawnego porządku rzeczy we Francji. Była Wandejką, pochodziła z tej części kraju, która broniła go z takim poświęceniem i odwagą. Młody Hugo wzrastał więc pod tymi sprzecznymi wpływami, ale ojciec i matka mieli w żyłach krew bohaterską, a odwaga była u nich rzeczą zwykłą. Młody Wiktor odziedziczył przymioty rodziców, drgają one w każdym jego wierszu i słowie. Generał Hugo miał przytem niezwykle szlachetne serce. Poeta opowiada w tym względzie w swych „Legendach wieków” wypadek, który się ojcu jego przytrafił w czasie wojen hiszpańskich. Objężdżał on ze swoim ordynansem świeże pobojuwisko, gdy dosłyszał jęk rannego nieprzyjaciela, błagającego o wodę. Generał dał więc towarzyszącemu sobie żołnierzowi swoją manierkę i kazał go napoić. Tymczasem Hiszpan widząc Francuza, dobył nagle pistoletu i wyteżając ostatek sił, strzelił do generała. Na szczęście strzał chybił a generał, nie zważając na to, zwrócił się do swego żołnierza, mówiąc: „Pomimo to dajże mu się napić.”

Po śmierci generała matka Wiktora osiadła z dziećmi w Paryżu, a Wiktor poddany jej wyłącznemu wpływowi, zachwycony bohaterskimi dziejami Wandei, przeniósł się przekonaniem legitymistycznymi, jak nazywają do dziś dnia we Francji stronników Burbonów, którzy po upadku Napoleona I-go osiedli znowu na tronie francuskim. Będąc bardzo młody, bo mając zaledwie lat piętnaście, Wiktor otrzymał w szkole nagrodę za odczyt „O pożytku nauki.” We dwa lata później akademia w Tuluzie nagrodziła na konkursie sławnych igrzysk kwiatowych jego poezję, na cześć dziewczyc z Verdun, czterech młodziutkich dziewcząt, gilotynowanych przez rząd rewolucyjny.

Nieco później wslawiony tym tryumfem poeta, został

członkiem stowarzyszenia Muzy francuskiej, na którego czele stał filar ówczesnej monarchii Chateaubriand. Naturalnie młody Wiktor z całym zapalem wyznawał wówczas te same idee. Mając zaledwie lat dwadzieścia, wydał ody i ballady, dostał pensję z prywatnej szkatuły króla, a jakkolwiek pensja była bardzo niewielka, ożenił się z Adela Fouché, równie jak on ubogą, młodszą o lat parę, która przez lat wiele była dla niego wierną towarzyszką dobrej i złej doli, a dla której był zawsze najlepszym mężem. Dojrzewając, wielki poeta zaczął powoli powracać do liberalnych tradycji swego ojca. W tej epoce swego życia pisał głównie dramaty, a zwrót w jego pojęciach zaznaczył się najprzód w Cromwelu, w którym zerwał z klasycyzmem i trzema jednościami: miejsca, czasu i akcji, jakich konieczność od sztuki dramatycznej wymaga klasycyzm. Znaczyło to, iż każda sztuka miała rozgrywać się w ciągu jednej doby i koniecznie w jednym i temże samem miejscu. Z temi dwoma jednościami zerwał romantyzm, nie uznawał ich zresztą ani Shakspeare, ani pisarze hiszpańscy z wielkiej epoki Lopeza de Vega i Kalderona. Co do trzeciej jedności akcji, stanowi ona bardzo słuszne wymaganie i trzyma go się każdy znakomity twórca dramatyczny, który nie chce rozpraszać uwagi widzów.

Stróżem wiernym klasycznych tragedji był w Paryżu teatr francuski, w którym króluje zawsze wielka trójca: Corneille, Racine, Molière. W roku 1830-ym jednakże jedno z najznakomitszych dzieł naszego poety *Hernani*, zostało w nim przedstawione i po prawdziwej burzy między publicznością, złożoną z dwóch wrogich literackich stronnictw, romantyzm odniósł stanowcze zwycięstwo.

Zanim jednak przyszło do samego przedstawienia, ileż trudności stawiano autorowi na każdym kroku. Dyrekcyja wprowadziła sztukę przyjęła, ale wielu artystów było jej przeciwnych i nie kryło swej złej woli. Najtrudniejsza sprawa była z ówczesną primadonną dramatyczną teatru francuskiego ulubienicą publiczności, sławną w rocznikach sztuki francuskiej, panną Mars.

Jeżeli panna Mars zgodziła się grać w *Hernani*, to najprzód dlatego, że rola była znakomita, dawała jej pole do wykazania wszystkich przymiotów, a powtóre jako osoba przezorna, lękała się stracić łaski grupy młodych i utalentowanych autorów, którzy mogli sobie wynaleźć jaką zdolną aktorkę, coby stała się jej rywalką. Przyjęła więc rolę donny Sol w *Hernani*, ale swoją drogą razili ją co chwila wyrażenia i zwroty, do których nie przywykła.

Szczególniej do rozpacz doprowadzała ją ustęp, w której donna Sol porwana odwagą Hernaniego, nazywa go swoim lwem. W tem miejscu, na każdej próbie panna Mars, wzywała autora, przypominając, by donna Sol starym obyczajem, mówiła zamiast „O mój lwie,” — „O panie.” Naturalnie Wiktor Hugo na taką zmianę się nie godził, a ona dowodziła, że wyrazi „O mój lwie” wywołają wybuch śmiechu w całym teatrze, bynajmniej nie pożądanym w tak tragicznym miejscu.

Podobnych przedstawień i sprzeczek było pełno. Wiktor Hugo stał przy swoim i fakty dowiodły, że miał słusność.

Za rządów Ludwika Filipa po rewolucji lipcowej poeta wielbiony powszechnie, mianowany został parem Francji. Była to jedna z najwyższych godności, o jakich mógł marzyć młody romantyk, nie należący do arystokracji. Można powiedzieć, iż przez lat kilkanaście używał on wówczas niezmarzonego szczęścia. Miał rodzinę, żonę, dwóch synów i dwie córki, które kochał gorąco, każde niemal jego dzieło było rozchwytywane, stanowiło epokę w literaturze.

Jedna z córek poszła za mąż po myśli rodziców, za bardzo zdolnego literata. Szczęście, dostatek, sława, zaszczyty, przyjaźń i cześć ludzka, otaczały Wiktora Hugo, który w młodym jeszcze wieku, doczekał się już z dzieci pociechy i cieszył ich pomyślnością.

Szczęście to zmąciła straszna katastrofa. W czasie spaceru niedaleko Paryża, zameźna córka poety utonęła w oczach ojca, z powodu wywrócenia łódki na stawie, a wraz z nią utonął i mąż jej, który chciał ją ratować. Cios ten ugodził Wiktora Hugo w samo serce i pozostawił nigdy niezagojoną ranę. Córka ta była jego pierworodną i ukochaną.

Kiedy w r. 1852 nastąpił zamach stanu Napoleona III z którego zasadami poeta się nie zgadzał, opuścił kraj rodzinny. Uczynił to dobrowolnie, jakkolwiek kosztowało go wiele rozstanie z Paryżem, z którym zrosły się wszystkie jego wspomnienia. Osiadł z rodziną na wyspie Guernesay, należącej do grupy, rzuconej na kanale la Manche, pomiędzy Anglią i Francją i mającej ludność mieszaną. Tam w ciszy i skupieniu przebył lat kilkanaście, wydając od czasu do czasu dzieła, zajmujące świat cały, które płacono mu na wagę złota.

Po upadku dopiero drugiego cesarstwa w 1870 roku powrócił do Paryża. Los nie szczędził mu ciosów, druga córka jego dostała obłąkania, stracił obydwóch synów i żonę. Z całej rodziny zostały mu tylko wnuk i wnuczka, która wraz z owdowiałą synową mieszkały przy nim. Z ich to powodu napisał książkę „Sztuka być dziadkiem.” Dzieci te pieścił bardzo, czyniły z nim one, co tylko chciały. Nieraz porzucał licznie zebranych u siebie gości, żeby pójść uspić małą Joasię, opowiadając jej bajki, bo inaczej położyć się nie chciała. Stary poeta przelał na te dzieci całą swą miłość rodzinną, kochał w nich tych wszystkich, których utracił. Były one przez długi czas jego szczęściem. Pisał do samej śmierci, zachowując zawsze jasność umysłu, siłę twórczą, dobroć i miłosierdzie, które były znamieniami jego cechami.

Umarł po kilkodniowej chorobie, r. 1885; opłakiwała go cała Francja, a pogrzeb dorównał wspaniałością pogrzebom monarszym. Brał w nim udział nie tylko Paryż i kraj rodzinny, ale inteligencja całego świata.

Liczba dzieł, które Wiktor Hugo napisał, jest bardzo wielka. Nie będziemy ich tu wyliczali, bo znajdziecie ich wykaz w każdej historii literatury powszechnej. Ten plon obfity zawdzięcza niezwyklej i stałej pracy; pracował bowiem nieustannie przez lat tyle od pierwszej młodości; praca stała się dla niego potrzebą i nałogiem a nie przeszkodzą mu wcale do brania udziału w życiu publicznym, towarzyskim i rodzinnym, dzięki mądrym rozłożeniu czasu i regularności nawyków. Wstawał codzień o 6-ej rano, pił czarną kawę, pracował bez przerwy do 9-ej. O tej godzinie jadł śniadanie z rodziną i oddawał się powszednim zajęciom, pracom publicznym, zabawom, przechadzkom, które bardzo lubił i w których gromadził materiały do utworów, do których służyło mu wszystko, co napotkał, zarówno ludzie jak zwierzęta, ptak jak ropucha, bo wszystko budziło jego myśli, nasuwało obrazy. Miał wysoko rozwinięty zmysł sprawiedliwości, oburzał się na wszystko, co ją obrażało, i ogromny swój talent oddawał na usługi umiłowanym ideom i sprawom.

Całe życie powstawał przeciwko karze śmierci, której nie w oczach jego usprawiedliwić nie mogło i którą uważał zawsze jako straszny występki społeczny. Napisał znakomite utwór „Ostatni dzień skazańca” a w nim przedstawił w przerażający sposób męczarnie, jakie przechodzi człowiek w pełni sił i życia, który wie, iż każda sekunda zbliża go do fatalnej chwili.

Utwór ten zrobił niezmiernie wrażenie, może przyczynił się w wielu krajach do zniesienia kary śmierci. Nie poprzestając na tem, Wiktor Hugo, korzystając ze swego wyjątkowego położenia, ile razy zdarzyło się w jakimkolwiek kraju wydanie wyroku śmierci, pisał do monarchy, mającego prawo łaski, błagając go za skazanym, bez względu na to, jaką była jego wina i czynił, ażeby tę łaskę użyć, co tylko było w jego mocy.

Z równym zapałem bronił wszelkich spraw, które uważał za słuszne i sprawiedliwe, bo oprócz rozumu i talentu posiadał jeszcze trzecią wielką potęgę, przy której tamte dochodzą do swej pełni: posiadał gorące serce.

W. M.

Sofia Kłowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg).

— Szkoda, że już proch wymyślony! — szepnął Zdziś do Józia. A Wojciech mówił dalej:

— No, i jakim się do myślenia wziął, takem Staśkowi taką żonę naraił, co mu jej wszyscy zazdroszczą. Ręczyska ma duże, jak u chłopca, jak ci pozajmie robotę to zaraz je poznaka; nogi, że w moje buty nie włożą... jak ci se tę nogę postawi na klocku, a jak weźmie rąbać, to ci wióry o staję odskakują! A choćby miała siłę Staśka prać, to ci dla niego taka potulna, jak cielę, wychowane w chałupie.

— Cielę w chałupie? — zawołał z przestraczem Józio.

— A cóż robić z cielęciem, jak się w mróz urodzi? — zapytał Wojciech z wyższością. — Trza go do chałupy wziąć, a jak się w chałupie rozparzy, to go nijako znówu na zimno wypędzić. Tak się i chowa między ludźmi. Dzieci go skubią, drapią, bawią się z niem, a ono do dzieci ryczy lepiej niż do matki, a liże, a grzbiet nastawia. Ale jabym chciał o jedną łaskę prosić. Żeby mi jasnie pan dał fuzyi swojej, choć na wiele, na kwadransik! Tylkobym se z nią obszedł gumno i cały dwór dokoła. Bo to złodzieje te tak lubią: że niby ze dwóch kradnie z jednej strony, a potem uciekają, wszyscy za niemi gonią... a tymczasem z drugiej strony czterech albo i sześciu konie fernalskie, albo woły wyprowadzają... Zdarza się, że wieprze rzną i na wóz kładą...

— A Wojciech umie strzelać? — zapytał Zdziś.

— Umieć tam nie umiem, bom nigdy nie próbował, ale co innego mieć fuzyę na ramieniu, a co innego kij! Jakośby raźniej człowiekowi było z fuzyą.

— To my z wami obejdziemy wszystkie kąty — rzekł pan Zabrzęski — fuzya, z której się nie umie wystrzelić, tyle warta co kij.

— Ee... zawsze to co innego!

Obszli wkoło parkany i płoty, ogrody, gumno, stodoły, sterty ze słomą, stajnie. Chłopcy z początku nie mogli się oprzeć uczuciu pewnej trwogi. W każdym ciemniejszym kącie wyobraźnia ich widziała jakieś postacie, słyszała jakieś szmery. Przejmowała ich jakaś groza, spodziewali się co chwila jakiejś katastrofy, której się bali, a jednocześnie jej pragnęli.

— Będziemy mieli co opowiadać jutro Zosi i Alusi — rzekł Józio.

— O, jeżeli jeszcze złapiemy złodziei! — rzekł Zdziś. W tej chwili coś w istocie poruszyło się w miejscu, gdzie się parkan załamywał. Usłyszano jakieś kroki a pan Zabrzęski zawołał głośno:

— Stój, bo strzelę!

Kroki ucichły, a pan Zabrzęski obszedłszy spieszenie ką parkanu, stanął oko w oko z jakimś człowiekiem, którego twarzy wśród ciemności rozeznąć nie mógł.

— Kto jesteś i co tu robisz?

Jakis głos błagalny i płaczliwy odpowiedział coś niewyraźnego.

Pan Zabrzęski wyjął spieszenie zapałki z kieszeni i zapalił jedną z nich tuż prawie przy twarzy nieznanego,

w którym wszyscy poznali Michała furmana, stojącego z łopatą ogrodniczą na ramieniu, zawstydzonego i jakby złapanego na gorącym uczynku jakiegoś złego postępuku.

— To ty, Michale? Co tu robisz i co mogłeś kopać po nocy?

— Tak sobie wyszedłem ze stajni... gorąco było od pary konskiej... noc pogodna... tak se mówię, trza trochę obejść dokoła...

— Po co ty kłamiesz, Michale? Miałem cię za porządnego człowieka, a ty się wykręcasz... widać coś złego robiłeś...

— Ja nic złego nie robiłem! — zawołał Michał. — Tylko

chciałbym kupić te 12 morgów gruntu. One mi się aż sniają, aż za mną chodzą!

— I chodziłeś je kupować w nocy?

— Nie kupować chodziłem, ale pieniędzy szukać...

— Z łopatą po nocy?

— Cyganka tak kazała, żeby o samej północy stanąć w lesie przed taką gruszą, co stoi między czterema dębami, a rośnie za czterema sosnami, za czterema brzezunami, za czterema grabami i za czterema osinami. Ja tam pamiętałem jedną gruszę w lesie i choć nie uważałem se, czy ona tak stoi, jak mówiła cyganka, to zawsze nie inne to drzewo, tylko grusza. Spać nie mogłem, tylko se myślałem: może pod tą gruszą pieniądze zakopane. Póty mię ta myśl mordowała, aż poki nie wstałem i nie poszedłem. Kopałem, kopałem, pokopałem w koło gruszy takie doły, że się w każdej człowiek mógł schować, nic nie znalazłem, latarka mi zgasła i ot wracam. Ale o niczem złem nie myślał.

— Aha! — zawołał Wojciech — jenszy człowiek to nic nie rozumie i da się prowadzić jak baran na rzeź, a jenszy to ma taki nos, że zwietrzy każdą rzecz, jak wyżeł. Cygany was wyprowadziły do lasu pod gruszę, a same dobiebrały wam się do stajni przez strych, żeby sztabę ze środka odsunąć.

Michał się zmieszał i zabelkotał:

— Co? sztaba... konie wyprowadzili?

— A od czego jestem ja?

Stróż wyprostował się dumnie i palcem wskazywał na własne piersi.

— Spostrzegłem światło na strychu stajni i wypłoszyłem stamtąd ptaszka z latarnią.

W tej chwili Michał porwał się za głowę i począł biedz w stronę stajni, krzycząc:



Pomnik Wiktora Hugo w Paryżu.

— A ja nieszczęśliwy! Ludzie ratujcie! A cóż ja pocznę! Nikt nie wiedział, co się Michałowi stało.

— Chyba zwaryował — ozwał się stróż po namyśle.

— Trzeba pójść za nim — rzekł pan Zabrzski, który wraz ze stróżem i chłopcami podążył za Michałem.

Stróż podniósł rzuconą przez Michała łopatę.

— Taką dobrą łopatkę rzuca! — mruknął z oburzeniem. — Chyba, że naprawdę zwaryował.

Dotarli do stajni, gdzie zrazu nie dostrzegli Michała, usłyszeli tylko głos jego:

— Wstawaj Walek! — wołał z rozpaczą w głosie na chłopca stajennego — gdzieś mi się tu świeczka podziała! Miałem tu jeszcze kawałeczek świeczki! Wstawajże, bo mi się widzi, że mi się w mózgu mąci!

Pan Zabrzski począł zapalać zapalki jedna po drugiej, a Wojciech, zdeptywał każdą dopalającą się grubym butem, szepecząc:

— Zapalki palić tam, gdzie je słoma!

Żeby tak nie sam pan, tobym...

Wreszcie znalazła się świeczka. Michał porwał ją trzęsącymi się rękami, zapalił i jak szalony począł biedz po schodkach, prowadzących z wnętrza stajni na strych.

Ale stróż biegł za nim równie prędko i gdy Michał postawiwszy świeczkę na najwyższym wschodzie, począł się mocować z zepsutą kłódką, z którą od lat niepamiętnych wieczna była bieda, Wojciech chwycił go za kark i począł krzyczeć:

— To tak porządny człowiek idzie z ogniem między siano? To wy chcecie pożar tu zrobić?

— Kiedy tam moje pieniądze, moja krwawica! Uczciwą pracą uciulałem se kilka groszy... ani ja na wódkę, ani na papierosy, ani na żadną zabawę! Inni furmani śmieli się ze mnie, że sobie w mieście ani kielbasy nie kupię, ani piernika, tylko tym chlebem żyję, co mi go kobieta w drogę dała, a strawne chowam, każdy grosz chowam. Czy kogo na kolej odwożę, czy strzelam z bata na imieninach, kapnie mi rubelek czy złotówka, to wszystko idzie do woreczka, na kupienie gruntu! Oj, czy aby tam mój woreczek jeszcze jest? A, ta kłódka! Co ona już ręk namęczyła, a za ten czas co ludzie stracili na jej otwieranie, toby można do Hameryki dojechać!

(d. c. n.)

B. Dyakowski.

Węże.

(Dokończenie).

Co ważniejsza, węże same ulegają wpływowi ludzi. W krajach zwrotnikowych znane są powszechnie sztuki, jakie pokazują z wężami tak zwani zaklinacze. Polegają one na wykonywaniu przez węże jadowne pewnych ruchów, naśladowujących tańce. W czasie przedstawienia zaklinacz chwytając węża, owija się nim, dotyka ramion, głowy, zbliża jego paszczę do własnych ust, a następnie puszcza go na ziemię. Wówczas wąż zaczyna się wykręcać, podnosić i opuszczać przednią część ciała, wykonywując szereg rytmicznych ruchów. Zaklinacz przez cały ten czas nie spuszcza zeń wzroku, hipnotyzując go oczami tak samo, jak on swe ofiary, a jednocześnie wygrywa na flecie, przyczem ruchy węża zgadzają się z melodią muzyki.

Ten taniec węzów nie jest zjawiskiem tak niezwykłym, jak się wydaje na pozór. Przedewszystkiem węże są nadzwyczaj wrażliwe na muzykę, a przytem zaklinacz, który przez długoletnią wprawę wybornie poznał obyczaje tych stworzeń, umie zmieniając wyraz oczu i ton muzyki, kolejno rozdrażniać lub uspakajać węże. W ten sposób zmusza je do wykonywania całego szeregu rozmaitych ruchów, sprawiających w całości wrażenie jakiegoś tańca, wrażenia nadzwyczaj wstrząsające, zwłaszcza gdy się pomyśli, iż tańczący wąż należy do jadownych i że lada chwila może się rzucić na swego pogromcę. Wrażenie grozy powiększa się jeszcze przez to, iż od czasu do czasu wąż wpada w gniew, syczy i wysuwa rozdwójony język, ale tylko po to, aby za chwilę pod wpływem wzroku zaklinacza

i łagodnej muzyki uspokoić się i znów wykonywać miarowe ruchy.

Jak dalece muzyka działa na węże, widać z tego, iż niektórzy zaklinacze odważają się urządzać przedstawienia wprost z wężami świeżo złapanymi. Podróżnik Reyne, zwiedzając Cejlon, wybrał się raz z takim śmiałym zaklinaczem do lasu, gdzie mieli odbyć próbę tańca z wężem nie oswojonym.

„Obejrzałem najpierw dobrze zaklinacza, powiada Reyne, żeby się przekonać, iż niema on gdzie ukrytego pod ubraniem węża oswojonego. Następnie udaliśmy się do lasu do mrowiska, w którym przemieszkował duży okularnik. Zaklinacz zaczął grać na flecie i po chwili ukazał się wąż, który, spotkawszy się ze wzrokiem pogromcy, przedewszystkiem zamierzał uciec. Ale ten ostatni nie dał mu tego zrobić, i patrząc nań wciąż bacznie, ujął go wpół i wrócił do mnie, wykręcając swą zdobycz w ręce na wszystkie strony, niby laskę. Przyszedłszy do domu, zmusił go następnie do tańczenia.”

Ten wypadek jednak nie skończył się pomyślnie. Czy zaklinacz się zmęczył i wzrok jego stracił siłę, czy wąż był bardzo rozdrażniony, dość, że przy końcu tańców rzucił się na Indusa i ugryzł go powyżej kolana.

Z tego powodu przezorniejsi kuglarze starają się przedewszystkiem wyrwać lub złamać zęby jadowne złapanym wężom i dopiero następnie biorą się do ich oswojenia. W Egipcie osiagają to w taki sposób, iż, rozdrażniwszy węża, podstawiają mu kij, którego koniec owinięty jest gałganami. Rozłuszczony gad kąsa koniec kija, przyczem zęby zaplątują mu się w gałgany; kuglarz zaś zręcznie i szybko przekręca kij i wyciąga go z paszczy węża, łamiąc mu przytem zęby jadowne. Postępuje on w ten sposób kilkakrotnie, aż dopóki nie zauważy, iż wąż jest już wyczerpany, a zęby według wszelkiego prawdopodobieństwa zupełnie



Indyjscy zaklinacze węzów.

złamane. Wówczas przyciska jego głowę kijem do ziemi ujmując go ostrożnie za szyję, ogłusza uderzeniem w pewne miejsce na karku, otwiera mu paszczę i sprawdza w jakim stanie znajdują się zęby jadowe. Ponieważ następnie odrastają one znów, trzeba więc dla pewności powtarzać to sprawdzanie i łamanie od czasu do czasu.

W każdym razie takiego węża, pozbawionego zdolności kłusania, można zacząć oswajać znacznie łatwiej, a przedewszystkiem zupełnie bezpiecznie. Co zaś dziwniejsze — oswojenie tych groźnych gadów nie jest wcale rzeczą trudną. Tyczą się to nawet najstraszniejszych wśród nich, zarówno grzechotników jako i okularników, nie wyjmując nawet gatunków olbrzymich. Dokonywają zaś tego nie tylko specjaliści kuglarze, lecz i zwykli krajowcy, nie zajmujący się wcale pokazywaniem sztuk z węzami, lecz lubiący wprost trzymać te ohydne stworzenia w domach. Oryginalny gust, bezwzględnie!

Murzyni, brazylijscy mają np. nieraz w swych mieszkaniach oswojone grzechotniki, które tak są przyzwyczajone i przywiązane do swych panów, że nigdy im nie robią nic złego. Zato obcy nie powinni zbliżać się do nich zbyt, a nadewszystko drażnić tych zwierząt.

W niektórych okolicach krajowcy umieją wyzyskać to oswojenie się i przywiązywanie się węzów, aby zrobić z nich rodzaj psów podwórzowych. Major Skinner, opowiada, iż Murzyni w niektórych miejscowościach Afryki trzymają bardzo często okularniki do pilnowania domów. Węże te łążą swobodnie po całym mieszkaniu, ku wielkiemu przerażeniu złodziei, nie czyniąc jednak najmniejszej krzywdy żadnemu z domowników.

Większa to sztuka oswoić i obłaskawić w ten sposób węża jadowitego, niż zmusić go do pokazywania sztuki w takt muzyki i pod grozą wzroku poskramiacza. Dowodzi ona z jednej strony potęgę rozumu ludzkiego i umiejętności postępowania ze zwierzętami, z drugiej zaś istnienia u tych ostatnich pewnego przywiązania i wdzięczności względem tych, którzy umieją dobrze obchodzić się z niemi.

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

— Ksiądz proboszcz! jaką drogę wybrałby on dla mnie, on opiekun? Opiekun, a jednak dotąd nie napisałem do Wągrowca — myślał ze skrucą Stefan.

Był chory, potem nie wiedział, co stanie się z nim w przyszłości i tak zbiegł czas, okrutnie długi czas, przeszło trzy miesiące. Złe postąpił, należało donieść o sobie prosić o radę, zamiast działać samowolnie — szeptało sumienie a ze zbudzonym jego głosem, gdzieś na dnie mózgu Stefana, jak Mane Tekel Fares biblijne, wystąpiło ostrzeżenie Leona.

— Jeżeli zdradzisz, zginiesz, pisał Ziemiak.

— Powiem, muszę powiedzieć prawdę — odpowiadał sam sobie. Ale razem z tem postanowieniem ogarniał go niepokój i żal życia.

— Więc co wtedy będzie? więc zginie, zginie, nie pozostawiając po sobie śladu, nie zdobywszy nic, nie spróbowaawszy nawet pracować tak, jak pracować mu kazał ksiądz proboszcz dla siebie, dla braci... Zgasły tymczasem ostatnie blaski zachodzącego słońca, pokój zaległ mrok, tylko za szklaną szybą drzwi odrywały się liście od drzew i spadały z monotonnym szelestem na ziemię. Było coś dziwnie kojącego w tym jesiennym zmierzchu, cichła też i dusza Stefana. Ogarniało go znużenie: Zapomniał o groźbach Leona, o troskach dnia jutrzejszego. Napływały mu do serca kojące smery. Pamiętał ilustrację Dorego, widzianą w biblji pani O'Clear, ilustracja wyobrażała

kolebkę Mojżesza, utrzymywaną na falach Nilu skrzydłami aniołów. W domu ludzi dobrych i sprawiedliwych, jak rodzina inżyniera, czuje się także czasem powiew nadziemskich duchów. Przynajmniej zdawało się Stefanowi, że on go czuje w pół sennej godzinie zmroku, która jest jednocześnie godziną obrachunku z przeżytych wrażeń dnia. Fotel chwiał się na biegunach a sierota, ukołysany jednostajnością jego poruszeń, zamrużył oczy i marzył.

Czy spał? tego nie wiedział sam. Spał niezawodnie, bo słyszał wyraźnie uroczyście ton Wągrowieckich organów i szum trzciny nad jeziorem. Jak długo grały te dwie muzyki jego lat dziecinnych, tego niepotrafiłby określić. Nagle pociągnął go ktoś za rękaw. Pewnie Marysia wołała na Stefka, że *Tamci* poszli już do organistówki.

Nie, to nie Marysia. A jednak jakiś człowiek stoi przy nim i wzywa go za sobą. W pokoju było zupełnie ciemno. Stefan zerwał się na równe nogi, odepchnął bujający fotel i próbował przypomnieć sobie, gdzie jest, czego od niego chcą?

— Chodź pan, chodź natychmiast, jeśli chcesz uratować inżyniera, ale milcz, niech jego matka nie dowie się o niczem.

Co znaczyły te słowa wymówione po niemiecku? Gdzie on miał iść? Naturalnie, że pójdzie, iść musi koniecznie i to jaknajprędzej. Schwycił czapkę leżącą na stole i wybiegł za nieznajomym, który znikł już we drzwiach, prowadzących na podwórze.

Chłód wieczoru wrócił przytomność Stefanowi, wytrzymał z drzemki, przytrzymał rękę obcego i pytał niecierpliwie, jakie niebezpieczeństwo grozi Jakóbowi? Ten odmawiał jednak wszelkich objaśnień, kładł tylko palec na usta, jakby nakazując milczenie. Byłaż to więc tajemnica, czy też nieznajomy obawiał się, aby pani O'Clear nie usłyszała rozmowy? Stefan zrozumiał jedno tylko, że należy biec co prędzej na pomoc zagrożonemu, biegł więc. Nieznajomy zatrzymał się dopiero na rogu ulicy i tu powiedział Lutemu, że Jakób wpadł pod koła ciężkiego wozu, ma obie nogi złamane, cudem tylko żyje jeszcze i wzywa do siebie Stefana, nakazując oszczędzanie wrażeń matce.

Sierota załamał ręce w rozpacz.

— Gdzież on jest, gdzie jest? — wołał — prowadź mnie pan do niego.

Tego tylko pragnął nieznajomy. Szedł prędko, oglądając się od czasu do czasu za swoim towarzyszem. Minęli już kilka ulic.

Stefan niepokoił się coraz więcej. Czy pan O'Clear żyje jeszcze, czy go pozna? Chciał szukać dorożki, bo żadnej nie było pod ręką, ale oparł się temu obcy, mówiąc, że są niedaleko od miejsca wypadku. Niedaleko, a jednak szli wciąż, przebiegając najniebezpieczniejsze ulice. Co to wszystko miało znaczyć, co Jakób mógł robić w części miasta, gdzie mało było sklepów porządných, a za to mnóstwo nor brudnych i cuchnących — myślał Stefan i odzyskując zimną krew spojrzał badawczo na nieznajomego.

Nieznajomy? Ależ widział go już dziś, czy może wczoraj? Nie, dziś, zdaje mu się nawet, że ten facet w szarym surducie potrafił ich obu z O'Clearem we drzwiach sądu. I znów pomyślał, jak bardzo twarz i ruchy podobne ma do twarzy i ruchów człowieka spotykanego w Wągrowcu Kto to mógł być? Alboż pamięta, alboż ma czas zastanawiać się nad tem w chwili, kiedy musi biec na ratunek Jakóbowi.

— Biedny pan Jakób! pożegnał go tak niedawno! On troskał się o jego bezpieczeństwo, mówił żeby nie wychodził z domu.

Tak, to były słowa Jakóba. Nie usłuchał go Stefan, wyszedł bo musiał ratować przyjaciela. Tylko gdzie jest O'Clear. Dlaczego tak długo idą do niego? Jakiemiż załkami prowadzi go nieznajomy?

Nieznajomy? Ależ on go zna, zna ten chód, ten niepokojny ruch rąk...

Przechodzili właśnie około latarni i pan w szarym surducie obejrzał się na Stefka.

— Wujaszek Leonal pomyślał nagle Luty — Tak, teraz wie z pewnością, że to on. Omal nie krzyknął przerażony, gdyż zrozumiał podstęp. Wywabiono go z domu O'Clearów i prowadzą gdzieś łatwo odgadnąć, zdala widać już Tamizę. Szereg latarni rozjaśnia brzeg rzeki i odbija się długimi smugami światła w szarych nurtach!

Krew zastygła w żyłach Stefana. Chłodny powiew wody przejął go dreszczem. To śmierć wyciąga ku niemu ręce, śmierć nagle, okrutna, bezlitosna. Czyż da się utopić jak kociak, którego psotne chłopcy ciągną do stawu? Nie, skupi wszystkie siły i ucieknie. Tylko jak uciekać? Nie znał tej dzielnicy Londynu, a prosić o ratunek przechodniów byłoby bezpiecznie? Wyglądali raczej na wspólników zbrodniarzy niż na ludzi gotowych bronić pokrzywdzonego.

Jednak nie pójdzie dobrowolnie pod nóż zbójcy.

Stefan był bardzo zmęczony, chodził dziś dużo z Jakóbem, potem biegł szybko za nieznajomym. Ale niebezpieczeństwo podwaja siły. Przystanął na sekundę, nabrał tchu w piersi i nie oglądając się za siebie, nie myśląc o tem jak potrafi ująć pościgu Wujaszka, skoczył w poprzeczną uliczkę. Nim jednak zdołał dopaść za mur narożnego domu, rozległ się w powietrzu przyciszony gwizd i na dany sygnał wypadł z za węgla kamienicy herkulesowej postawy mężczyzna. Stał tu z rozkazu Salemana, wiedział o tem Żądło i naprowadził ofiarę wprost na naganek. We dwóch schwytają chłopca a Holofernes, siłacz zawołany, rozprawi się z nim pędkiem.

Stefan zdażył jednak tymczasem wbiedz między wielkie składy drzewa. Był to prawdziwy labirynt zaułków, utworzonych przez stosy desek i bali. Nurkował w ciemnych przejściach, jak kret szukający bezpiecznej nory. Drzewo, o które zaczepiał się co chwila, darło na nim ubranie, kałeczyło ręce, a on biegł naprzód, byle uciec od przesładowców, byle znaleźć kąciak ustronny, gdzie mógłby przypaść do ziemi i pod osłoną nocy czekać, aż Opatrzność zesła mu ratunek.

Ale na ratunek było już zapóźno. Skręcał właśnie pomiędzy dwa stosy belek, kiedy nagle zamigotała przed nim ruchoma fala rzeki, a za jego plecami odbiły się o twardy bruk ciężkie kroki Holofernesa. Gwizdnięcie, do syku podłej gadziny podobne, oznajmiło, że i drugi przesładowca trafił na trop ofiary. Jeszcze chwila...

Stefan dobył ostatek sił. Jak szczywany zając, ścigany przez charty, umie wywinąć koziołka w powietrzu i skoczyć jednym susem na wysoką grzędę, tak on uciekając przed naganą zbirów, nurtujących pod deskami, schwycił się za belkę, która sterczała nad ziemią podrzucił całym ciałem w górę, siadł na niej jak na konia i spojrzał z wysoko ku ścigającym.

Byli tuż, tuż za nim. Zmęczony Wujaszek przystanął, mierzając oczami odległość, dzielącą go od zawieszzonego w powietrzu Stefana, ale gruby Holofernes próbował już wejść na najbliższą szczytę desek. Luty zdażył tymczasem rozejrzeć się w położeniu. O krok od belki stała nad brzegiem Tamizy maszyna używana do spuszczenia ciężarów na rzekę, elewator. Wyglądała ona w mroku nocnym jak bajeczny potwór. Stefan nie mógł zawrócić z drogi, bo za nim biegł najmita zbrodniarza. Potężne ramię elewatora wydało mu się deską zbawienia. Wyciągnięte daleko nad powierzchnią wody wskazywało, że ocalenie przyjsć może tylko od strony rzeki, od tratw. Luty tam go też szukać postanowił, zeskoczył z belki na drąg elewatora i pełzał po nim coraz dalej. Nagle zobaczył pod sobą głęb wody. Tratwy holowane przez statek parowy odpłynęły na środek Tamizy. Żelazne ramię maszyny sterczało wysoko nad otchłaniami, zdając się grozić potężną pięścią miastu, które kryje w swych murach zbrodnie i nie umie dać opieki niewinnemu.

Stefan dopełznął aż na sam koniec windy. Wspinał się po niej, jak po olbrzymim konarze drzewa. Napowietrzna podróż nie przedstawiała dla chłopca żadnej trudności, bo przywykł w Wągrowcu łązić po rozłożystych gałę-

ziach proboszczowskiego ogrodu. Z większym wysiłkiem odbywał za nim tę podróż jego przesładowca. Sapiąc i stękaając dowlókl się jednak na koniec belki. Jeszcze chwila a przytrzyma Stefana za nogę, ale Stefan przewidział niebezpieczeństwo.

Schwycił łańcuch przymocowany do windy elewatora i spuścił się po nim na dół ku rzece. Skrzypnęło żelaztvo pod ciężarem chłopca, sierota, zawisł w powietrzu jak kłoc, który jutro flisacy windować będą na Tamizę. Łańcuch chwiał się w powietrzu ale wielka łapa elewatora stała nieruchoma. Może żal jej było oddać ofiarę zdradzieckim wodom rzeki.

Stała nieruchoma, bo maszyna parowa, która porusza potwora swą siłą, odpoczywała przez noc. O świetle palacz roznieci w niej życie, teraz milczy i zdaje się podziwiać śmiałość chłopca, który uciekał przed ludźmi na fale Tamizy.

Stefan nie stracił przytomności, zawisł w powietrzu, trzymając się rękami o hak. Widział nad sobą świecące złością oczy zaczajonego u belki zbrodniarza. Jak kot śledzi ruchy ptaka, tak olbrzym śledził każde drgnięcie ciała wymykającej mu się ofiary. Pod stopami naszego bohatera szumiał nurt rzeki, błyszczały światła latarni na łodziach i parowcach. Ale łodzie i parowce stały w znacznej od brzegu odległości. Czy zdoła do nich dopłynąć biedak, wijący się na haku, jak robak, którego psotny chłopiec zaczepia o oścień wędki.

Stefan umiał pływać. Toż ćwiczył się nieraz w tej sztuce na falach Welny i na Wągrowieckim jeziorze, kiedy zrywał wodne lilie dla proboszcza i dla Marysi. Ale zmęczony, wylekły, czy znajdzie dość siły, dość krwi zimnej, aby skoczyć umiejętnie w rzekę, a potem dopłynąć do łodzi?

Któż to wie? A raczej wie tylko Ten, który w niezgłębionej Swej mądrości i miłosierdziu kieruje losami człowieka. Strąca On pyszne a wynosi pokorne i, jak opowiada Sabała, pamięta o nędznym chrobaczku, utajonym w kamieniu na dnie morza.

Zaskrzypiał żelazny łańcuch, hak podrzucony ręką Stefana drgnął w powietrzu, a Luty skoczył w głęb Tamizy i płynął śmiało wprost na świecące zdala latarnie, uczone o pomosty wielkich parowych statków.

Koniec części drugiej.

Ś. p. Piotr Skrzypiński.

Pamięć o dawnych profesorach i nauczycielach często ginie wraz z pokoleniem uczniów, którym wykładali, ale tak być nie powinno, gdyż wielu z nich przez swe wybitne zdolności, pracę i umiłowanie swego podniosłego zawodu, zasługuje na to, aby i późniejsze pokolenia znały i oceniały ich zasługi.

Do rzędu takich należał zmarły d. 20 marca r. b. w Warszawie Piotr Skrzypiński, który przez 50 z górą lat w różnych szkołach rządowych i prywatnych warszawskich wykładał wnukom i ojcom obecnych czytelników „Wieczorów Rodzinnych” historię, geografję, a głównie zasady języka ojczystego, ciesząc się ogólnem przywiązaniem i szcunkiem.

Ś. p. Piotr Skrzypiński urodził się w Dobrosławiu (pow. Koniński) w 1817 r., doczekał się więc późnego wieku, 85 lat żywota. Między 1858 a 1870 rokiem, napisał kilka podręczników szkolnych z dziedziny przedmiotów które wykładał; wśród nich pierwsze miejsce zajmuje „Mównictwo (czyli gramatyka) polskie,” które przed ukazaniem się gramatyki Małeckiego powszechnie było używane.

Sprawozdanie z ćwiczenia „bez r“.



Nie spodziewałem się, ogłaszając niniejszy konkurs na ćwiczenie bez litery „r”, że tak wielu czytelników „Wieczorów” zechce stanąć do niego. Tymczasem redakcja przesłała mi 21 marca cały stos listów, oznajmiając zarazem, że powiększa liczbę nagród z dwóch do pięciu. Zabrałem się do odczytywania tych ćwiczeń i przekonałem się, że jednak i w polskiej mowie można obejść się poniekąd bez wyrazów z tą zgłoską, co świadczy o jej bogactwie i obfitości wyrazów i zwrotów.

Wybór najlepszych ćwiczeń nie był łatwy, bo większość ich wcale dobrze napisana, a słowa z literą „r” zrzecznie zamienione innemi jednoznaczniemi, lub też omawiane. Pod względem treści przedstawiają się też nader zajmująco; są tam opowiadania historyczne, opisy miejscowości lub pór dnia (najwięcej), powiastki, anegdota i t. p.

Po długim namyśle wybrałem owe pięć ćwiczeń do nagrody, autorami ich są: Dixit, Śnieżycą, Irenka z nad Niemenka, Januś z Chojna i Jadzia z Woł. Ta ostatnia napisała najdłuższe ćwiczenie, nie używszy ani razu nie tylko słowa z „r” ale nawet z „rz”.

Najlepsze z kolei ćwiczenia po nagrodzonych napisali: Ludwina Kramsztykówna, Irbasta, Zajacek, Orzeł, Jagienka, Halka z nad Teterowa, Pufcia, Orzeł Białowiecki, Błędny Ognik, Grażyna, Blondynka z nad Dęchny, Polna Grusza, Wanda Sokołowska, Wielkopolanka, Żabka z nad Rosi, Pol. z nad Teterowa.

Na pochwałę zasłużyli:

Litwinka z nad Świętej, Adam Abramowicz, Janek Abramowicz, Cześ i Wańdzia, Czuby Orzeł, Ludwik Stanisławski, Zygmunt Bohuszewicz, Zbyszko, Halina Olszawska, Niusia Nadwiślanka, Wanda Weyssenhoffówna, Jan Weyssenhoff, Słonka, Gwiazda Przewodnia, Wesoła Kukułka, Gwiazda Puszczy, Elutka Mierzwińska, Przekornatka, Manusia Drzewiecka, Marychna Ossowska, A. B. Z., Litwinka, Meduza, Trzpiotka, Kraska, J. Zawadzka, Niezapominajka z Łodzi, Dzika Litwinka, Frania P., Bokser, Belladonna, Trzecioklasista, Józef Wysocki, Archimedes, Władzio Piaszczyński, M. Głogowski, F. Kostrzewski, Zofia D., Demidowiczówna, Polcia Wróblewska, Danuśka, Lena z Marszałkowskiej, Lusja Danzigerówna, Zośka, Jadka B., Marya Sachsówna, Polna Różyczka Boleoczko, Irena Raczyńska, Tulipan z Polesia, Kocia, Ewa B.

Po dwa jednakowe wypracowania przysłali: Czarna Perelka i Gimnazystka („Powódz.”), Bodziak Podolski i Luc. („Głogowanie”).

Nakoniec muszę wymienić autorów, którzy napisali bardzo dobre pod względem treści i stylu ćwiczenia, ale cóż! kiedy znalazły się w nich wyrazy z tą zakazaną zgłoską. Obok nazwisk stawiam w nawiasie ów wyraz:

Romana Kosmulska (*zabrakło*), Goryczka (*prawda*), Marya Kiersnowska (*odebrać*), Błękitna Niezapominajka

(*które*), Tecią Bemska (*drżała*), Pola z Łodzi (*rano*), Sokół (*biorąc*), H. Wysocki (*Konfiturami*), Łokietek (*Warszawy*), Jadwiga Czerniowska (*mroźna*), Lilla Weneda (*którym*), Helena Troczyńska (*nie rozumiem*), Topola Grodziska (*którym, dopiero*), Polka Śmieszka (*zrywały, surowo*).

W. R.

Bez „r”

„Napisać coś?.. ale co? opowiadanie, czy powiastkę bez owej spółgłoski, nigdy o podobnych ćwiczeniach nie myślałem nawet! Bądź co bądź nie zdaje mi się rzeczą tak ciężką a co za tem idzie, zasługującą na jakieś odznaczenie, bo szczerze rzecz mogę, że zupełnie swobodnie, bez osobliwego skupienia myśli, piszę te słowa z pominięciem zakazanej spółgłoski z lekkością jaskółki, muskającej brzegiem skrzydełek lustrzaną wód powierzchnię, i zdaje się, nie 100 lecz 1000 pisałbym słów bez tej spółgłoski, gdyby nie on czas. co to jak Anglicy mówią jest „moneta” a czego my, niestety ze smutkiem wyznać trzeba, nie przestrzegamy z należyta ścisłością!

Zatem i temat się znalazł! piszmy więc o ważności czasu! temat to poważny i wielce na dobie, bo choć w zasadzie my, młodzieńcy niedoświadczeni, przyznajemy już dziś całą doniosłość tego wszechświatowego przysłowia, w szkole jednak specjalnego wykładu korzystnego użycia czasu, porządku, słowności, niestety dotąd jeszcze nie mamy!

Dla zdobycia więc tej wiedzy, dom szkołą być winien, a ojciec, matka, opiekunowie, to... przełożeni, to nasi nauczyciele nawet tej domowej szkoły.

Chciejmy tylko uważnie korzystać z ich wskazówek, patrzmy pilnie na ich postępowanie i naśladujmy, przede wszystkim zaś ściśle wypełniamy ich polecenia a zobaczcie, kochani koledzy i koleżanki, że na początek zdobędziecie w waszych szafach, szufladach, pułkach i t. p. porządek; o szukaniu kałamarza, ołówka książki lub kajetu mowy nie będzie, i już oszczędzicie na czasie, mówię to z własnego doświadczenia!

Następnie ułożyć należy plan, aby wyzyskać każdą godzinę dnia, a stosując się ściśle do tego planu, stawimy się zawsze na czas, będziemy mniej czuli na brzemień nauki, a potem z czystym sumieniem i śmiało będziemy używali czasu na zabawę i inne przyjemności odpowiednie dla naszego wieku! Jednocześnie należy zaopatrzyć się w małe książeczki dla codziennego o naznaczonej w planie godzinie spisywania swoich spostrzeżeń i zapisywania wydatków i przychodu szczegółowo!

Tyle na dziś.

Dalej więc śmiało w Imię Boże! do dzieła bierzmy się, do zdobywania tych cnót! My uczniowie poważniejsi nieco wiekiem bądźmy dla tej ukochanej naszej młodzi zachętą i przykładem, a wspólnymi siłami, da Bóg, zbudujemy gmach wspaniały i ogólnem ciesząc się uznaniem.

Dziś!

Sprostowanie. W ostatnim wierszu poezji p. t. „Alleluja w n. 13 zamiast: „Dzwon, co nam święta zwiastuje dzień” winno być: „Dzwonem, co Święta zwiastuje dzień.”

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Najmniejszy samochód (z ryc.)—Wiktor Hugo (z ryc.)— W Suchowskim dworze, p. Zofię Kowerską. — Węże (z ryc.) (dok.) Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ś. p. Piotr Skrzypiński. — Sprawozdanie z ćwiczenia bez „r”. — Dodatek: Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno (z ryc.) — Moi przyjaciele, przez Janusza K. — Powrót ptaków, wiersz przez E. Lejową. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez M. Weryho. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Dworzani królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 18 Марта 1902 г.

Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



DZIECKO.



Ze słynnego obrazu ang. malarza Drummonda.

Na ulicach ścisk, tłok, wrzawa,
Wielkie miasto w zgiełku tonie:
Różnobarwna pieszych ciżba,
Omnibusy, wozy, konie...
Krzyżujących się szeregów
Rząd za rzędem wciąż się zmienia,
A nikt darmo nie da kroku,
Ani rzuci w bok spojrzenia.
Nikt nie straci próżno chwili,
Czy marudząc, czy się leniąc,
Bo na myśli wszystkim stoi:
— Czas to pieniądz! czas to pieniądz!

* * *
Na ulicach ścisk, tłok, wrzawa,
Pędzi ludzka fala rwąca;
Kto zwinniejszy — ten prześciga,
Kto silniejszy — ten potraça.

Każdy naprzód bez wytchnienia
Z wytrwałością mknie zajadłą.
Bo nie wróci, co raz minie,
Z woza spadło, to przepadło.
Więc nie tracą darmo chwili,
Ni marudząc, ni się leniąc,
Bo na myśli wszystkim stoi:
— Czas to pieniądz! czas to pieniądz!

* * *
Wtem — u zbiegu ulic kilku,
Gdzie największe zamieszanie,
Nagły spokój! — i na chwilę
Wszystko staje niespodzianie.
Strażnik rękę podniósł w górę,
Znak zbyteczny! — tłumy ława
Już się sama zatrzymuje,
Jak zakrzepła w biegu ława.

Nikt nie gniewa się ni sarka,
Zrozumieli, co się stało:
W poprzek drogi, wśród natłoku
Małe bobo kroczy śmiało!

* * *
Zapatrzone i spokojne
Przez ulicę kroczy bobo; —
Nie wie, że tok czasu wstrzymał
Setkom osób swą osobą —
Że te koła, co stanęły,
Że te konie, co nie biegają,
Że ten cały ruch przzerwany
To dla niego i przez niego; —
Że nikt czasu nie żałuje
Dla dziecięcej jego Mości,
Bo on symbol jest nadziei,
Bo on symbol jest przyszłości!

Z listów do młodszej przyjaciółki.

I.

Kochana Jadziu moja! Przykro ci, żeśmy się tak wczesnie rozstać musiały, że ja nie mogłam, stosownie do życzenia ś. p. matki twojej, być przy tobie jeszcze lat parę i kierować młodziuchnym umysłem i serduszkim twojem, które, niby wiotki powój, szuka podpory, by ją opłatać miękką łodygą swoją. Wiesz jednak, że gdy się okoliczności zmieniły i twa szanowna ciotka zapragnęła cię mieć w swym domu, obecność moja stała się zbyt ciężka. Obiecałam mi, że będziesz sama dalej pracowała w wytkniętym kierunku, że ukończywszy to, coby można nazwać średnim kursem nauk, nie przestaniesz na tem i postarasz się rozwinąć umysł swój, rozszerzać poglądy, wznosić i uszlachetniać myśli swoje. Szkoda byłoby rzucić niwę naukową wtedy właśnie, gdy wzmożony i systematyczną pracą przygotowany umysł zdolny jest przyjąć nowy zasiew i tym obfitym odplacić plonem, im staranniej rola wzruszona i spulchniona była.

Dzięki zdolnościom twoim wrodzonym i pilności ciągłej, wcześniej może niż inne dziewczeczki przeszłaś to, co się uważa za konieczne do średniego wykształcenia panienki, nie przygotowującej się do żadnego specjalnego zawodu. Uczyłaś się prócz języka ojczystego i trzech obcych, historii, geografii, nauk przyrodniczych, fizyki, arytmetyki geometryi trochę; masz o tem wszystkiem ogólne pojęcie, a nawet dzięki sumiennej pracy, jesteś w porządku z datami wypadków historycznych, ważniejszymi cyframi statystycznymi i nie podzielasz wstrętu rówieśniczek wielu do gramatyki i rachunków, poznawszy gruntowniej pierwszą a nabywszy wprawę w drugich.

Gdybyś przebywała w mieście, mogłabyś, uczęszczając na wykłady rozmaite i biorąc udział w dalszych lekcjach, dopełniać twej wiedzy pod kierunkiem ludzi światłych i wymownych. Opatrzność jednak przeznaczyła ci życie na wsi, gdzie po większej części sama sobie wystarczyć musisz, a w okolicy, gdzie się obecnie znajdujesz, trudno ci będzie między otaczającymi sąsiadami szukać rady lub podniety do pracy umysłowej. Tem więcej powinnaś czuwać nad sobą, żeby się nie dać pochłoniąć owemu życiu drobnotkowemu i błahemu, co myśl naszą rozprasza na drobne szczegóły i podrzędne kłopotki lub rozrywki, osłabia naszą energię moralną i powoli, niepostrzeżenie, wsiąkając do duszy, wyziewa w niej szlachetniejsze pierwiastki, ostudza owe isierki zapału, które błyszczeć powinny w każdym młodem serduszkach i starannie wypiełgnowane — kiedyś zamienić się w ogień miłości dla Boga i ludzi, dla wszystkiego, co piękne i szlachetne, w ogień płonący jasno, lecz spokojnie, trwający przez życie całe, nie dający się zgasić burzom świata tego, ani złowrogim powiewom, ani łzom naszym własnym.

Cóż to za poważne kazanie zamiast listu! zawoła może dziewczeczka moja, ale to twa własna wina, Jadziu miła, żeś starą swoją nauczycielkę wyzwała na słowa i teraz będziesz musiała słuchać jej rad i napomnień. Nie myśl jednak, dziecko drogie, żebym cię zachęcała do usuwania się od zajęć domowych, od tych starań około gospodarstwa, do których cię dobra ciocia nakłania, od robót ręcznych, tak potrzebnych kobiecie w każdym wieku i położeniu, a nawet od zajęcia się (tylko w miarę!) ubraniem i strojem, co jest rzeczą naturalną w twoim wieku. Przeciwnie: prawdziwe wykształcenie polega na tem, by jedno z drugim umieć pogodzić, a wszystko zręcznie spleść w jedną całość, użyteczną sobie i drugim, a nadającą wdzięk życiu i otoczeniu.

Splatajmy więc ową całość, Jadziu moja! ale na dziś dosyć kazania i gawędki: jeżeli się przestraszysz perspekty-

wą odbierania wielu podobnych, odwołaj tylko to, coś w ostatnim twym liściku napisała, ale kochaj zawsze.

Twoją przyjaciółkę i nauczycielkę

M. S.

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg).

A gdzieżecie wy te pieniądze mieli? — zapytał Wojciech.

— Za płatewką, nad stajnią!

— Toby tam przecie nikt nie znalazł, chyba, że kto wiedział! No, macie świecę oprawioną w latarnię, to teraz was puszcze między siano.

— Juści wiedział, juści wiedział! Taki byłem głupi, zem cygance wypaplał.

— Oj, oj, oj, to prawda, że to jenszy człowiek jest głupi!

— Oj głupi, głupi, Wojciechu! Ale tak pejdziała: Powiedzcie mi, gdzie chowacie pieniądze, a ja tak zrobię, że się podwoją i jeszcze wam powiem, gdzie skarb zakopany. A to skaranie Boże z tą kłódką!

— Ha, jakeście wszystko wyśpiawali cygance, to cyganie przyszli i zabrali jak swoje.

W tej chwili kłódka otworzyła się nareszcie i Michał a za nim Marcin pobiegli na strych. Rozległo się spieszne stąpanie a potem dał się słyszeć krzyk przeraźliwy Michała.

— Niema worka!

Rozpacz biednego człowieka była nie do opisania. Płakał, tłukł głową o mur, chciał biedz do cyganów, żeby im odebrać zdobycz. Był nawpół przytomny, z piersi jego wydobywały się jęki. Budził litość i chłopcy byli serdecznie zmartwieni jego rozpaczą.

— Ileż tam było tych pieniędzy w woreczku? — zapytał stróż.

— 195 rubli.

I na wspomnienie tej względnie bardzo znacznej sumy Michał nową wybuchał rozpaczą.

— Tu jeszcze z tego będzie jakie nieszczęście! — szepnął Wojciech do pana Zabrzskiego. — Już ja go tam będę pilnował, żeby sobie co złego nie zrobił.

— Mój Michale — ozwał się pan Zabrzski — jutro zawezwę strażników, którzy muszą rzecz zbadać. Uczynię co tylko będę mógł, żebyś odzyskał swoje pieniądze.

— O, już ja ich nie odzyszczę — zawodził Michał — już poszły do ludzi! Już ja się niemi nie nacieszę, już ja się ich nie naoglądam i nie narachuję! A i gruntu własnego już moje ręce orać nie będą! Już mnie nie siał i nie zbierać na własnej roli, już mi we własnej chałupie nie siedzieć! O, dolaż moja dola!...

— Mój Michale, stracić kogo ze swoich rodzonych, to już się wrócić nie może, ale pieniądze zawsze jeszcze można odzyskać. Idź teraz spać, przy dniu ci twoje zmartwienie zmaleje. I my chłopcy spać pójdziemy!

VI.

Nazajutrz chłopcy wstali późno, zmęczeni bezsennością, ale z głową pełną wspomnień i jeszcze pod wrażeniem wypadków nocy ubiegłej. Z przyjemnością opowiadali Zosi i Alusi o wszystkim, czego byli świadkami i okazali się nawet pełnymi dumy w obec siostr swoich.

— Już ja tam zawsze wolę być chłopcem, niż dziewczyną! — ozwał się Zdziś. — Przynajmniej mogę z mężczyznami chodzić po nocy, łapać złodziei i bronić wszystkiego.

— A ładnie obroniłeś pieniądze Michała! — przerwała Alusia.

— Nie obroniłem, bośmy wyszli za późno, ale może jeszcze nieraz w życiu nie jednego obronię, a kobieta to tylko zawada.

— Ja zaś szczerze mówię, że wdzięczna jestem Panu Bogu, że mię uczynił kobietą! — ozwała się Zosia.

— Ha, ha, ha! — rozśmiał się Zdziś.

— Eh, taka kobieta jak ty, to co innego! Aleksander Wielki, gdyby nie był Aleksandrem, to chciałby być Dyogenesem, a ja gdybym nie był chłopcem, to chciałbym być taką dziewczyną jak ty, Zosiu! Tylko broń Boże nie taką jak Alusia!

Alusia się obraziła i byłoby może przyszło do prawdziwej kłótni, gdyby nie nagle zatrzepotanie się kanarków w klatce, wiszącej u okna. Nim sobie zdano sprawę, co się stało, kot, największy faworyt Alusi zeskoczył z klatki i począł spieszenie uciekać. Alusia z krzykiem pobiegła do kąta pokoju, zakryła oczy rączkami, przycisnęła twarz do ściany i poczęła zanosić się od płaczu. Chłopcy pobiegli za kotem a Zdziś, który plemienia kociego nie lubił za jego chytrą, uzbroił się w narzędzie kary, w łaskę pana Chlewiatki, położoną przez niego na półce zamiast dykcjonarza, który potulnie i skromnie stał sobie w kącie pokoju. Kot był już na dachu bocznego ganeczku i ztamtąd wysłuchiwał nieparlamentarnych słów Zdzisia, który go łaską do sięgnąć nie mógł.

Gdy chłopcy wrócili do pokoju, Alusia stała jeszcze zawsze w kącie i obrócić się nie chciała. Zdziś próbował żartem skłonić ją do przybrania innej pozycji.

— Przynoszę ci kanarka — zawołał — tego czubatego, ukochanego, odebrałem Miziusiowi!

— Nie chcę, nie chcę na niego patrzeć — mówiła, szlochając Alusia. — On pewno pokaleczony, on pewno nieżywy!

— To też ja za to Miziusiowi kości poprzetrącałem.

Teraz cel był osiągnięty, Alusia odwróciła się czerwona od gniewu i grozy.

— Gdzie Mizius, gdzie Mizio! Oddajcie mi Miziusia! Ja i kanarka kocham i Miziusia kocham! Cóż on biedak winien, że jest kotem.

— Już nie jest kotem, tylko nieżywą powłoką kota!

— I tyś to zrobił? I tyś to zrobił? O ja nienawidzę chłopców! Tylko chłopiec może być taki okrutny, taki niemilosierdny, taki...

Zdziś uklonił się z przesadą.

— Pani generałowa ma ochotę pomścić śmierć ulubienca za pomocą dosadnej wymowy, jaką jest uderzenie pięści?

Zosia stanęła między Zdzisiem i Alusią.

— Wstydzicie się dzieci! — rzekła słodko — Zdzisiu, ty masz takie dobre serce, a nie rozumiesz, że naprawdę drażnisz Alusię i doprowadzasz ją do rozpacz i złości. Alusiu, czyż ty nie widzisz, że Zdziś żartuje? Twój, czubaty kanarek skacze sobie w klatce wesoło, choć może małe jego serduszek kołacze mu się w piersiach Mizius w istocie nie jest bez winy, bo z pewnością zgrzeszył intencją. Ze mu się chciało żółtego ptaszka wyciągnąć łapką z klatki, to nie ulega wątpliwości, ale nie znał praw o równowadze, nie był dość przebiegły i chcąc zbyt prędko dokonać operacji, przechylił nagle klatkę i spadł z niej, nie uczyniwszy szkody kanarkom. Uciekł ze strachu, poznawszy Zdzisia, któremu płaci wzajemnością za jego nienawiść do kotów.

— Co, żyją obadwaj? — zawołała Alusia. — Żyje i Mizius i Czubus?

Pobiegła ku klatce i wzniosła ku niej złożone ręce.

— Żyje, żyje. — wołała. — O, Zdzisiu, ja ci przeba-

czam! Medorek był dość zły dla Miziusia a ja mu przebaczyłam! I tobie przebaczam, choć jesteś człowiekiem!

— No widzisz — rzekł Zdziś — czy to nie lepiej być chłopcem? Czy jest na świecie chłopiec taki bek, taki mazgaj, jak ty? Zamiast ratować kanarka, którego w twej wyobraźni Mizius niósł w pysku, tyś zakryła oczy rękami i wpakowałaś twarz w najciaśniejszy kąt!

— Bo dziewcząt do wojska nie biorą! — rzekła kwaśno Alusia. — I tak jest od niepamiętnych czasów, więc się z nich takie tchórzliwe istoty porobiły. To tak, jak koty rozpieszczone, które myszy łapać nie chcą, bo śpią na piecu i mają gotowe jedzenie. Pawłowa mówiła, że Maciuś z kuchni ucieka przed szczurami, jakby go kto gonił.

W tej chwili pan Zabrzęski stanął w progu pokoju. Żadne z dzieci jeszcze go dnia tego nie widziało, bo wyszedł z pokoju, gdy chłopcy spali jeszcze, więc się cała gromadka rzuciła do niego, chwytając jego ręce i wołając na wysiggi:

— Dzień dobry, tatuńciu! Dzień dobry tatuńciu! Tatuńcio tak rano wstał! Tatuńcio tak mało spał tej nocy!

— Rano wstałem, bom chciał złapać jeszcze cyganów w lesie. Posłałem po policyę, ale już ani śladu obozu, ani śladu ogniska. Namioty, konie, wszystko jak w wodę wpadło. Ludzie konno rozesłani po okolicy. Może jeszcze potrafimy cyganów wytropić. Tylko gdyśmy szperali w okolicy ogniska, zobaczyłem pod krzakiem coś białego i kijem z pod liści wyciągnąłem jakąś porządną chustkę do nosa ze znakiem W. C.

— Wincenty Chlewiatko! — zawołały dzieci — to chustka pana profesora!

— Pan Chlewiatko jeden za wszystkich się zemścił — rzekł Zdziś — bo nie cyganie jemu, ale on cyganom zabrał sztukę bielizny!

— Ah, żeby się tylko znalazły pieniądze tego biednego Michała — rzekła Zosia z litością.

— Wyobraźcie sobie dzieci — odparł pan Zabrzęski, — że Michał zupełnie spokojny i tak prawie wygląda, jak gdyby był kontent. Powiada: — gruntu nie kupię, bo mi już widać nie sądzone być gospodarzem. Ale nie wielka szkoda. Ani mój ojciec, ani dziad, ani pradziad na gruncie nie siedzieli, tylko po dworach służyli to i ja tak będę!

— Jak to dobrze, że on się tak pocieszył i że ma taką filozofię — rzekła Zosia.

— Na pociechę ofiarowałem mu nową kłódkę do leżących drzwi strychu i nie może się jej dosyć naogłądać

(d. c. n.)



Hajdamacy.

Babuniu, co znaczy ten obrazek? — zawołał Kazio, przybiegając do babci z numerem pisma w ręku.

— Moje dziecko, ten obrazek przedstawia obóz hajdamaków.

— A któż to byli ci hajdamacy?

— Byli to ludzie, trudniący się rozbojem i rabunkiem, którzy w XVIII wieku grasowali nad Dnieprem. Zbierali się w oddziały, na których czele stał tak zwany watażka i napadali na wsie miasta i dwory szlacheckie, rabując, paląc i biorąc do niewoli lub zabijając spokojną ludność.

— Straszni to byli ludzie! zawołał Kazio.

— Tak moje dziecko. Opowiem ci co sama będąc dzieckiem słyszałam od mojej starej niańki. Motruna miała już około

ośmdziesięciu lat, pamiętała więc bardzo wiele dawnych zdarzeń. Rodzice moi mieszkali w starym dworze wiejskim, który posiadał grube, jakby forteczne mury, drzwi od wejścia ciężkie dębowe, okute, nabijane gwoździami, na których jeszcze było znać ślady kul. Pod podłogą mieściły się głębokie lochy, czyli podziemia; o tych lochach mówiono, że służyły niegdyś za więzienie dla hajdamaków. Lochy te budziły w nas dzieciach postrach a zarazem ciekawość.

Raz, kiedy spostrzegłam, że Motruna jest w dobrem usposobieniu, co nie zawsze się zdarzało, przysunęłam się do niej i zaczęłam prosić, aby mi co opowiedziała o tych hajdamakach, którzy tam byli zamknięci. Motruna jakiś czas dała się prosić, aż wreszcie zaczęła opowiadać, jak to za jej dziecińczych lat jeszcze nie można było o zmroku wyjść tuż za wieś na pole, bo wszędzie za krzakiem czyhał hajdamaka.

— A co to skarbów do dziś jeszcze leży zakopanych przez nich po lasach!—ciągnęła dalej moja niańka.—Słyszałaś może, moje serce, o tym Maksymie, który w całej wsi słynie za największego bogacza? Toż on, mówią, nie z czego innego się wzbogacił, tylko z tych skarbów, znalezionych w lesie, w czerwonym jarze.

Opowiem ci jeszcze jedno zdarzenie, które przytrafiło się mojej ciotce rodzonej. Mieszkała ona na futorze i do brze się miała wraz z mężem.

Razu jednego patrzy, aż tu pędzą hajdamaków, zakutych w kajdany. Przyłapano ich na jakimś rozboju, a teraz miała ich spotkać zasłużona kara. Moja ciotka stała pod bramą; gdy oni rozłożyli się na wypoczynek, ujrzała jednego z postrzeloną nogą, który ledwie włókł się, a że skwar był wielki, więc widać było, że już upada ze zmęczenia. Moja ciotka uczuła litość nad nim, bo chociaż to zbójca, ale zawsze człowiek. Tedy zaczęła świeżej wody w dzbanuszek, wzięła kawał placeka pszennego i podała mu to wszystko, aby się posilił. Hajdamaka wypił wodę z chciwością co do kropli. placek zaś schował w zanadrze, poczem zdziwiała jego twarz jakoś pojaśniała. Spojrzał z wdzięcznością na ciotkę i rzecze: kiedyś ty taka miłosierna dusza, to ja ci powiem tajemnicę, która mnie jednemu już tylko wiadoma, bo ci wszyscy, co ją wraz ze mną znali, dziś w ziemi legli. Poczem wskazał mojej ciotce pewną miejscowość do brze jej znaną, bo tam brat jej mieszkał, i tak dalej opisywał: Jest tam wielki las dębowy a w tym lesie polana



General Krystyan De Wett.

(p. Ze świata).



General Ludwik Botha.

Gdy skończył mówić, nadszedł żołnierz i przynaglił go do dalszego pochodu. Moja ciotka myślała długo nad tem, co usłyszała, ale jakoś wierzyć jej się nie chciało, żeby to wszystko było prawdą.

W rok coś potem pojechała do brata, w okolicę wskazaną przez hajdamaka; razu jednego w rozmowie wspomniała o zdarzeniu, które jej się przytrafiło a gdy brat ciekawie zaczął ją wypytwać, opowiedziała mu wszystko dokładnie. Wiesz co siostrze—zawołał—spróbuję ja tam kopać. Wiem, gdzie rośnie owa stara topola, i jutro w nocy tam idę z motyką. Jak powiedział tak zrobił. Co nocy chadzał pod topolę i kopał aż do rana, na dzień zaś przykrywał otwór suchymi gałęzmi. I cóż powiesz, moje serduszek? Tak, jak opisał hajdamaka: natrafił najpierw na kości ludzkie i wózek na pół już spróchniały, potem, o parę sążni głębiej ukazał się krzyż kamienny, ale wujek, gdy go podźwignął, uczuł jakąś dziwną trwogę; przyszło mu na myśl, ilu to niewinnych ludzi poginęło, nim owe skarby zostały nagromadzone tutaj, i zdało mu się, że one muszą mieć ślady krwi na sobie. Nie chciał więc z nich korzystać i przestał dalej kopać, tak, że nie zdołał nawet przekonać się, czy w istocie na dnie studni mieściły się tak wielkie bogactwa, jak mówił hajdamaka. Krzyż zaś ów kamienny postawił w lesie pod topolą i on do dziś dnia tam stoi. Wujek nieraz wieczorami odmawiał pod nim modlitwy za spokój duszy pomordowanych na których owe skarby zrabowane były. Ciotka opowiadała mi to wszystko, gdy byłam taka mała, jak ty dzisiaj, oprócz tego nieraz mi mówiła, jak to ona z rodzicami, będąc jeszcze dziewczyną, kryła się przed hajdamakami, i gdy przyszła wieść, że oni są w pobliżu, wówczas gospodarze, czeladź i dobytek chronili się w niedostępnym jarze albo w lesie i tak było co noc, dokąd hajdamacy nie odeszli sobie gdzie dalej. Był szczególniej w naszej okolicy jeden wielki bór, sławny z tego, że tam hajdamacy mieli swoje kryjówki; każdy o ile mógł starał się go omijać.

— Na zakończenie, dodała babunia, opowiedziawszy owe dawne wspomnienia, przeczytam ci ustęp z pamiętników Kitowicza, który żył za Augusta III, właśnie kiedy największej grasowali hajdamacy i opisał też dokładnie jak wyglądali: „Hajdamacy mieli piki, które nazywali spisami, z żelaznem ostrzem na obu końcach. Ta pika i samopał (broń palna bez zamku) stanowiły całe ich uzbrojenie. Proste siodło bez poduszki, wojłok, drewniane strzemiona i uzda cienka z rzemienia lub nici.



Burza w pustyni Gobi. (p. Ze świata).



Z obrazu Juliusza Kossaka.

Obóz Hajdamaków. (str. 115).

Jeźdźcy nosili koszule (soroczki) grube, czarne, wysmarowane słoniną, szarawary płóciennne lub z grubego sukna, na nogach lekkie buty czyli łapcie, na koszuli króciutki koniusz z cielęcej skóry niewyprawnej, bez pasa, z wielkimi wylotami, wiszącymi lub narzuconymi, na głowie czapka z cielęcej skóry, w kształcie ostro zakończzonego woreczka zrobiona, której koniec na prawę stronę się spuszczał. Cała głowa była ogolona, oseledec nad czołem wiszący, wąsy długie; brody jedni golili, drudzy zapuszczali."

M. Ł.

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

CZĘŚĆ TRZECIA.

W Rio Janeiro.

Rozdział X.

Halifaks. — Emigracya. — Dwa miliony dusz. — Ocalony. — Zeznania w sądzie. — Na oceanie. — Mara. — Wyrzuty sumienia. — Przestach. — Choroba. — Kto ocalił?

Halifaks, statek brazylijskiej kompanii przewozowej, wyparł swój olbrzymi kadłub w zwarte kłęby bałwanów i sapiąc z natężenia, płynął wolno, ale równo i pewno po rozbudzonych falach oceanu.

Nie spieszył, jak spieszyć się zwykły nowej budowy parowce. One mijały go, parskając wzgardliwie pianą, on sunął powoli ale z godnością po niezgłęzionych okiem nurtach, podobny do towarowego pociągu kolei żelaznej który patrzy obojętnie na pędzące expressey i kuryery.

— Niech leć, łatwo lecieć, gdy się ciągnie lekkie, wagony. Ja co innę go, ja dzwigam ładunek węgla. Wiadomo każdemu, że objuczony koń wolniej biegnie od wyścigowego wierzchowca. Takie uwagi robi sobie zapewne poczciwa „towarówka” kiedy z rozmachem i hałasem przebiegnie obok niej „kuryer.” Tak też myślał i Halifaks. Statek zgorzkniał w ciężkiej pracy, zyzował niechętnie latarniami na migające go elegancie parowce. Prędzej stanął w porcie, prędzej odpoczną, jeśli naturalnie wprzód się nie rozbiją szaleńcy o podwodną skałę lub o dążący z przeciwnej strony statek.

— Zdarza się to, zdarza — mruczał staruszek-okręt. Zrzędził jak zrzędzić zwykli zmęczeni długim życiem, a Halifaks tyle już razy pruł nurty oceanu od Londynu do Rio Janeiro.

Tyle razy, tylu na swoim pokładzie widział biedaków, wyciągających ręce do ziemi, którą opuszczali na zawsze. Jeździł często, bardzo często, zbudowano go wyłącznie dla podróży przez ocean, gdyż tłumy Irlandczyków a nawet Szkotów i Anglików odpływały teraz regularnie do Stanów Zjednoczonych Ameryki a potem do Brazylii. Emigracya z Europy na drugą półkulę przybrała olbrzymie rozmiary. Zniesienie niewolnictwa wywołało potrzebę robotnika, ściągano go zewsząd namową i obietnicą zysku. Porty niemieckie, angielskie i włoskie roiły się od kolonistów. Nastrecała się korzyść pewna dla kompanii przewozowych; rząd brazylijski płacił za dostawionego do Rio Janeiro człowieka 120 franków. Wyżywienie i przejazd biedaka nie kosztuje drogo, kompanie mając zapewniony zysk, werbowały emigrantów na statki, posyłały nawet swoich agentów w głąb kraju, żeby namawiać lud do wychodźstwa.

Ciemny a biedny lud, złudzony obietnicami zamorskich cudów, marnował dobytek, rzucał zagon, rodzinę

i płynął tam, gdzie, wedle przyrzeczeń agentów, miał tych zagonów dostać daleko więcej.

— Będzie na czym wyżywić dzieci, przyodziać je dostatnio, — mówił gospodarz wyprzedawszy rolę.

I tłumy wychodźców wędrowały do Ameryki. Historia nie zna przykładu tak szybkiego wzrostu ludności, jak rosły w ludność Stany Zjednoczone. W roku 1790 liczyły one 2,900,000 mieszkańców, a w sto lat potem 1890 r. doszły do olbrzymiej cyfry 70,000,000. Samo miasto Nowy York, które przed pięćdziesięciu laty mniejsze było od Warszawy, ma dziś przeszło 2,000,000 ludności, to jest tyle prawie, ile na początku XIX wieku miały jej wszystkie stany. Pięćdziesiąt lat, jedno pokolenie, a jakaż różnica! Toż przed pięćdziesięciu laty szumiał dziewiczy las w miejscu, gdzie teraz wznosi się olbrzymie, półtora milionowe miasto Chicago. Złożyło się na ten tłum wiele krajów starej Europy, ale samych naszych wychodźców zamieszkuje w Chicago dwieście tysięcy. Dwieście tysięcy polaków; pomyślcie jak to wiele. Zebrani razem utworzyliby większe od Lwowa, Krakowa i Lublina miasto.

A czyż tylko w Chicago lub w Nowym Yorku osiadają polacy? Pełno ich na całej wschodniej półkuli, zaludnili ją od północnych śniegiem pokrytych łądów Kanady, aż do południowych krańców Brazylii. Nawet Australia liczy już dziś wielu polskich osadników. Pracują jako górnicy w kopalniach srebra, odznaczają się uczciwością i sprawnością w robocie: są też powszechnie cenieni, tworzą osobną kolonię zwaną Broken Hill i nie tracą ani zwyczajów, ani rodzinnego języka.

Niepodobna mi opisywać po szczególe wszystkich miejscowości, w których zogniskowali się nasi wychodźcy, dość będzie, gdy zapamiętacie, że liczbę emigrantów polskich osiadłych za oceanem podają dziś do 2,000,000.

Dwa miliony! Napisać taką cyfrę łatwo, wystarczy machnąć kilka razy piórem, żeby stanął na papierze szereg zer poprzedzony dwójką, ale spróbujcie liczyć dziesiątki, setki i tysiące, z których składa się milion a zrozumiecie wtedy może, że cyfra ta przedstawia olbrzymie zbiorowisko ludzkie.

Tyle dusz, tyle nędz, rozproszonych po świecie. Zogniskować tych wychodźców, pokierować nimi, oto o czym marzył Jakób O'Clear dla Irlandczyków i dlatego płynął do Brazylii

Halifaks, zbudowany na użytek ubogich emigrantów, był statkiem wybornie zastosowanym do ich potrzeb. Zabierał on na swój pokład bardzo niewielu wykwitnych pasażerów, bo też nie miał nawet kajut odpowiednich wymaganiom bogatej publiczności. Za to olbrzymi kadłub Halifaksa, jak kadłub bajecznego Lewiatana, roił się tłumem wychodźców. Żle, duszno, ciasno biedakom, znoszą jednak odważnie niewygody podróży, bo ożywia ich nadzieja lepszej przyszłości.

Znosi te same niewygody Jakób O'Clear i Stefan Luty. Tak Stefan Luty, gdyż bohater naszego opowiadania płynie także do Brazylii. Stało się to zbiegiem bardzo prostych zdarzeń.

Zostawiliśmy Stefka na haku elewatora. Wisieć na haku, to nie codzienna przygoda i mało komu uda się wywinąć z tak kłopotliwego położenia. Lutemu sprzyjało szczęście, śmiałym skokiem w nurty Tamizy zwrócił na siebie uwagę służby okrętowej, stróżującej przy statkach. Rzucono mu linę z najbliższego parowca, wyciągnięto topielca na pokład, ogrzano szklanką grogu i pozwolono przespacerować noc pod stołem żagli.

Przespać? Alboż może usnąć człowiek, który doznał tyle wrażeń, co biedny znalazł? Nie zmrózł też oka aż do rana, a kiedy pierwsze promienie słońca obity się o szczyty londyńskich wież, dojrzało już w sercu ślusarczyka postanowienie opuszczenia Europy, jechania do Brazylii. Żal mu było rozstać się z matką Jakóba, żal Wagrowca i związanych z nim wspomnień dzieciństwa, ale chciał przede wszystkim ocalić życie od skrytobójców. Takiego nie-

przyjaciela pokonać może tylko prawo. Złoży zeznanie w sądzie, oskarży zbrodniarzy o nowy napad, bo musi stać się za- doś sprawiedliwości, a potem pojedzie z inżynierem do Brazylii.

— Tam żyć można i tam można być użytecznym—myślał Stefan, wysyłając wiadomość, że ocalał i że czeka Jakóba na pokładzie parowca Stella.

O jakąż ta wiadomość wniosła radość rodzinie O'Clearów! Wdowa przez całą noc opłakiwała Stefka. Miała go za straconego, bo domyślała się, że padł ofiarą bremenskich łotrów, ale nie wiedziała kto ani jakim sposobem zdołał wywabić chłopca z domu. Otwarte drzwi na ogród były wskazówką, że tamteży uprowadzono sierotę, poza tem ginęły wszelkie poszlaki. Jakób starał się uspakajać matkę, wątpił jednak sam o ocaleniu Stefana. Wiedział, jak bardzo zależało zbrojcom na jego życiu, a wrócił późno do domu i dopiero po północy zawiadomić mógł policję o dokonanym zamachu. Trafi ona zapewne na ślad zbrodni, ale nie zdoła już zapobiedz nieszczęściu.

Tak myślał O'Clear w chwili, kiedy oddano mu kartkę Stefana.

— Żyje! zawołał inżynier biegnąc do pokoju matki. Wdowa oblała łzami szczęśliwą wiadomość a Jakób pędził dorożką do portu i w niespełna godzinę ścisnął już młodego przyjaciela, pewny, że teraz nikt wyrzucić mu go nie zdoła.

Żaden też dramatyczny epizod nie zakłócił Stefanowi ostatnich dni pobytu w Londynie. Złożył zeznania w sądzie a potem spędzał czas na przygotowaniach do bliskiej podróży, na wynurzaniu swej wdzięczności za troskliwość i hojność, z jaką matka Jakóba zaopatrzyła na długo wszystkie jego potrzeby.

Napisał także obszerny list do Wągrowca. Prosił w nim o przebaczenie za samowolne opuszczenie warsztatu, opisywał zdarzenia ostatnich miesięcy, donosił, że wyjeżdża z panem O'Clearem do Brazylii i błagał o wiadomość, którą miał nadzieję odebrać na pocztę w Rio Janeiro.

— Nie będę spokojny — pisał — póki nie przebaczy mi ksiądz proboszcz, póki nie otrzymam Jego błogosławieństwa. Postąpiłem jak niewdzięcznik i za to też omal nie spotkało mnie nieszczęście najprzód w Bremie, a potem tu w Anglii w Londynie...

Londyn, Anglia! Zniknęły one oddawna z oczu podróżnych, płynących na pokładzie Halifaksa. Okręt minął już kanał, i Stefan po raz pierwszy w życiu doznawał tych, żadnym piórem nie opisanych wrażeń, jakich doznawać musi każdy człowiek, podziwiający bezmierność Atlantyku. Nieskończoność nieba nad ziemią i nieskończoność wód pod stopami, oto co uderzyło przedewszystkiem Lutego. Jeśli czuł się oderwanym od pnia liściem na stałym lądzie, to tu w obec miliona gwiazd przetykających sklepienie nieba i odbitych w wód sklepieniu, był prochem, ciśniętym na pastwę wzburzonych fal. Cóż znaczył okręt w obec spiętrzonych bałwanów? Rzucali nim one jak swawolny chłopiec podrzuca na dłoni zgryzioną łupinkę orzecha.

Stefan siedział na pokładzie, pogrążony w zadumie nie spostrzegł, że Jakób stoi przy nim. Inżynier odgadł myśli chłopca, bo w czasie pierwszej przez ocean podróży doznawał takich samych zdumień. Położył rękę na ramieniu ślusarczyka i podziwiał z nim razem cudny zachód słońca. Zdawało się ono roztopiać w rozświetlonych falach, płomienny krąg zniknął na horyzoncie ale zostawał za sobą smugę. Okręt płynął w nieznaną dal po olśniewających nurtach. Woda, przepojona słońcem, bałwanila się złotymi kłębami. Na pogodnym niebie świeciły już gwiazdy, wiatr był jednak silny i podnosił wysoko grzebienie fal. Okryte pianą, do śnieżnej grzywy podobną, wyglądały jak stado rozhukanych potworów.

— Smoki — powiedział Stefan, wskazując Jakóbowi bijące o okręt bałwany.

— Tak, ocean tłomaczy wiele bajecznych podań.

— Pan się będzie śmiał a ja żałuję, że to tylko podanie. Żeby tak spotkać porządnego smoka i zmódr żywą bestyę, byłoby okrutnie przyjemnie.

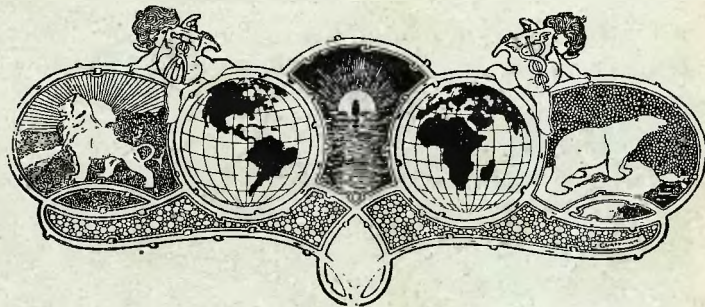
— Pewnie, ale wierz mi Stefanie, nieraz jeszcze będziesz miał sposobność uporać się z gorszym od żywego smokiem. Ileż czasu upłynie zanim ludzie zwyciężą pokutujące na świecie przesady. Przesąd to potwór straszniejszy od wszystkich drapieżnych i bajecznych.

— Prawda, ja znajdę wiem najlepiej, że jest dużo zła i niesprawiedliwości, zawsze to jednak nie to, co wziąć się za bary z stugłównym zwierzem.

— Sto głów ma własna nasza dusza. Zdaje ci się, że zmogłeś wszystkie pokusy a nagle wypełźnie nowa z kąta i trzeba się z nią morderać. Życie człowieka to walka nieustanna. Ale siedziemy tu za długo, czas upłynął niepostrzeżenie, wiatr jest mroźny; wróćmy do kajuty. Będziesz wkrótce widział inne pogodniejsze nieba, tymczasem strzedz się należy zaziębienia. Żółta febra niebezpieczna jest dla rekonwalescentów, zdrowi i silni mogą z niej żartować — mówił Jakób schodząc za Stefanem z pokładu.

Stanęli we drzwiach prowadzących na schody: Były one prawie ciemne, bo ktoś przyciął światło. Luty z trudnością rozpoznał stopnie, szedł pierwszy macając ręką ścianę. Zniecierpliwiony karkołomną wyprawą odkręcił lampę, zaledwie jednak płomień padający od niej oświetlił jego twarz, usłyszał nagle krzyk. Głos wydał mu się być znajomym.

(d. c. n.)



ZE ŚWIATA.

Z Transwaalu. Po ukończeniu w roku zeszłym listów Janka Z., żołnierza generała De Weta, nie podawaliśmy w „Wieczorach” wiadomości o losach Burów. Przez rok cały prowadzili oni z Anglikami wojnę tak zwaną partyzancką, rozdzieleni na trzy główne oddziały pod dowództwem takich dzielnych mężów, jak Delarey, De Wett i Botha; dwóch ostatnich portrety podajemy na str. 116.

W końcu lutego Delarey pobił oddział lorda Methuena i jego samego wziął w niewolę, lecz nie trzymając go długo, wypuścił na wolność. Oprócz tego zdobył działa, ogromne zapasy żywności i amunicji, mnóstwo koni, wołów i mułów. Wielkie te zwycięstwo pokrzepiło ducha w obu krajach Transwaalu i Oranii.

Anglicy urządzają na lotne oddziały Burów formalne oblawy. Przecięli kraj szeregami drewnianych forteczek, zwanych blockhaus'ami, połączonych z sobą kolczastymi drutami. Burzy wynaleźli doskonały sposób na te druty. Puszczają na nie rozwścieczone stada wołów, które rogami swymi przerywają te druty, jak nitki, i ułatwiają przejście ludziom, koniom i wozom.

W ostatnich czasach jednak wzrasta nadzieja, że ta długa i szkodliwa dla obu narodów wojna ukończy się na reszcie. Król Edward VII pragnie koniecznie przed swą koronacją zawrzeć pokój, i zdaje się, że przerwie się ten nieszczęsny rozlew krwi ku pożytkowi stron wojujących i dobra ludzkości.

Sven Hedin, głośny podróżnik, opowiada ciekawe szczegóły o podróży swej po Tybecie i pustyni Gobi w Mongolii, według zdania podróżników niewiele mniejszej od pustyni Sahary. Do samej Lhassy dotrzeć nie zdołał; po licznych przygodach zbliżył się do „miasta świętego” na odległość pięciu dni marszu. Natomiast przebył setki mil w Turkestanie chińskim, gdzie rozbił główną kwaterę nad jeziorem Lob-Nor i stamtąd urządzał wyprawy w różnych kierunkach; największa była przez Tybet. Głównym niebezpieczeństwem na pustyni Gobi są, zdaniem Hedina, piaski lotne, które tworzą w czasie burzy słupy do 300 st. wysokości. Wicher, niosący piasek nie jest gorący, lecz chłodny, szaleje bowiem podczas zimnej pory roku. Gdy się zerwie, uniemożliwia zupełnie pochód, a trwa często dzień lub półtora, tak, że trzeba położyć się i czekać spokojnie, póki się widnokrąg nie rozjaśni. Sven Hedin odbywał wszystkie podróże w zimie i wiosną; w lecie i na jesieni pobyt na pustyni jest z powodu niesłychanego upału niemożliwy. Sven Hedin napisze o tej podróży obszerne dzieło.

Kosztowne jajko wielkanocne przysyłane bywa corocznie do Watykanu dla Ojca św. Ma 20 cm. długości, skorupka składa się z czterech kawałków najpiękniejszej kości słoniowej i wyłożona jest błękitnym atłasem. Żółtko zaś wyobraża skrzyneczka ze szczerzego złota, zawierająca wspaniały, w dyamenty oprawny, rubin. Wartość tego niezwyklej jajka oszacowana jest na 50,000 fr, a ofiarodawca jego nieznany. Każdego roku jajko wysyłane jest z innej miejscowości.

Myśli i zdania.

Tales z Miletu, jeden z siedmiu mędrców Grecji, z wielką przytomnością umysłu odpowiadał szybko na każde pytanie. Przytaczamy tu kilka z takich odpowiedzi.

Zapytany: Co jest najstarszem?

Odpowiedź: „Bóg, ponieważ był od wieków.”

Co jest najpiękniejszym?

— Świat, ponieważ jest dziełem Boga.

— Co jest najobszerniejszem?

— Przestrzeń, ponieważ wszystko obejmuje.

— Co jest najtrwalsze?

— Nadzieja, bo choć wszystko utracimy, ona nam pozostaje?

— Co jest najlepsze?

— Cnota, bo bez niej nie można zdziałać nic dobrego.

— Co jest najszybsze?

— Myśl, bo w mgnieniu oka przebiega świat cały.

— Co najsilniejsze?

— Konieczność, bo pokonywa wszelkie przeszkody.

— Co najłatwiejsze?

— Dawać drugim rady.

— Co najtrudniejsze?

— Znać samego siebie.

— Co najmędrze?

— Czas, bo uczy wszystkiego i wszystko dokonywa.

SZARADA.

Różia D. dla Jaskółki.

Ze wschodem słońca *pierwszy* byt zaczyna,
Z zachodem krótkie swe istnienie kończy;
Skraca go każda przeżyta godzina,
Zapada w przeszłość. Z wczorajszym się łączy
I jako nowe ogniwo się wplata.

* * *

Dla jednych często *drugim-trzecim* bywa,
Dla innych łąwym, bez chleba, okrycia,
Innych pociesza, albo w kir okrywa,
I łzę wywoła drogich przypomnieniem.
Tym, jest początkiem, tamtym końcem życia! —
Wszystko, zwyczajnem rannem pozdrowieniem.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ul. J. Mularski.

1					6
	2			5	
		3	4		
		3	4		
	2			5	
1					6

1) Instrument dęty. 2) Człowiek rasy etyopskiej. 3) Kwiat wiosenny. 4) Ten którego nie brakuje. 5) Pseudonym autora wielu książek dla ludu. 6) Rodzaj statku wodnego.

W kwadracie o 6 przedziałach ułożyć wyrazy, aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwy dwóch państw w połud. Europie.

Sylaby: be—cyz—cny—ga—ra—le—mu—myk—nar—o—pro—trąb—rzyn—ka.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go

Szaraady: Ba — ka — la — rze.

Łamigłówek sylabowej.

1) Achmed. 2) Nassau. 3) Cadzodziemieć. 4) Zych. 5) Yap. 6) Czu. 7) Wenus. 8) Łazarz. 9) Arc. 10) Długosz. 11) Yachty. 12) Sobieski. 13) Łomnica. 14) Arab. 15) Wisztyniec.

Anczyz Władysław — Duch Puszczy i A. B. C.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: Dziecko, wiersz (z ryc.) — Z listów do młodszej przyjaciółki, przez M. S. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Hajdamacy (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata: Z Transwaalu Sven Hedin (z ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Pierwszy list, wiersz przez A. Suchocką (z ryc.) — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez M. Weryho. — Siostrzyczka, przez Janinę Szląskowską. — Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Доводено Цензурою. Варшава 23 Марта 1902 г.

Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska**.

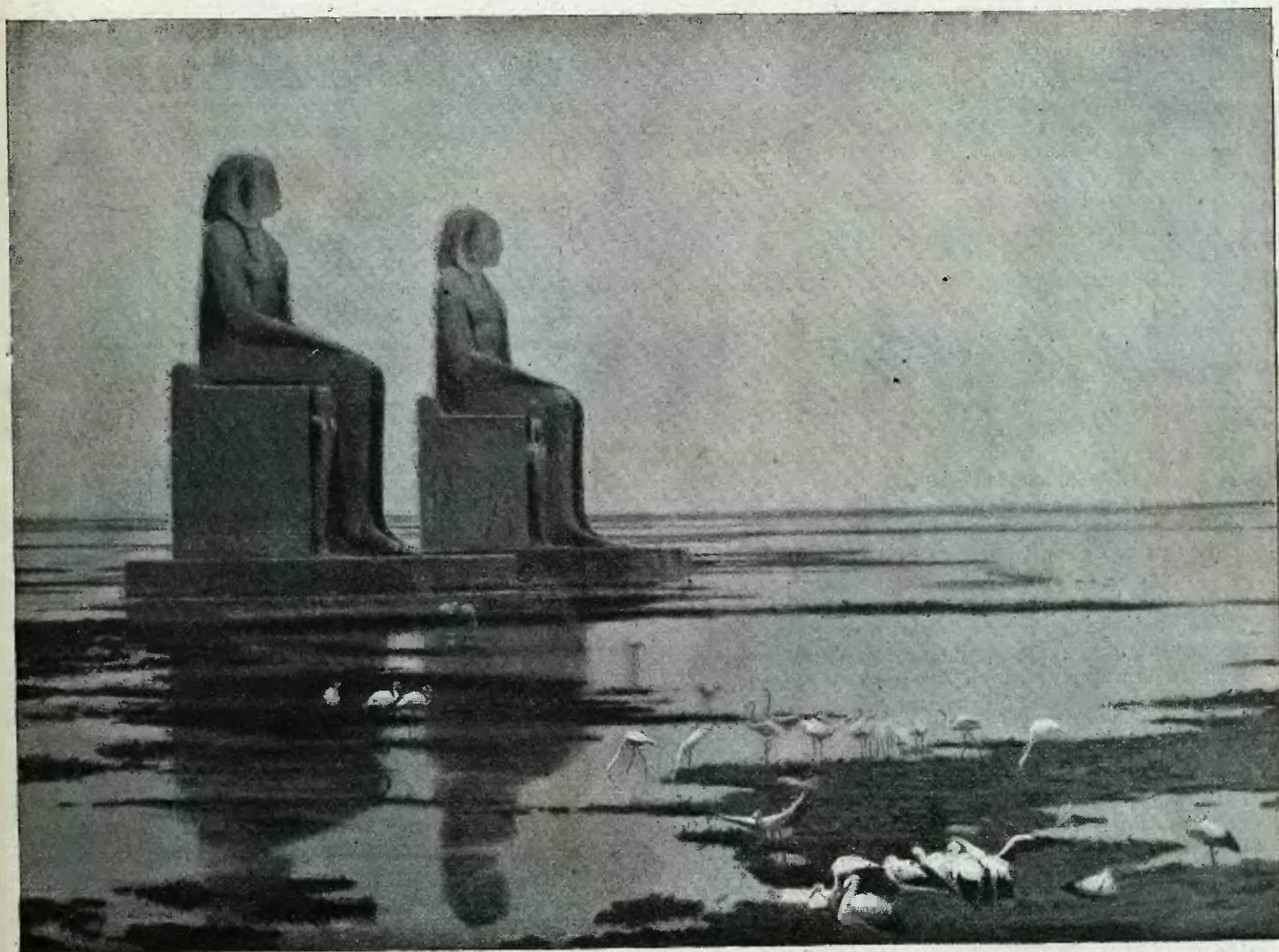
W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Nr. 16. Rok — XXIII.

Dnia 6 (19) Kwietnia 1902 r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Nasze bociany zimujące nad Nilem.

Służka Najświętszej Panny,

(Legenda o bocianie).

„Chłodno i słotno i smutno na świecie!
Słonko, co błysnie, to w chmurach się schowa,
A z nich deszcz leje, lub wiatr śniegiem miecie:”—
Mówiła z żalem stara Walentowa.

„Biedne bociany! co się z niemi stanie,
Kiedy na święte zlecą Zwiastowanie?
Może nie jeden na śmierć tu swą trafi,
Jak ten, co niegdyś w mej dawnej parafii.
Pannie Najświętszej służąc przez lat wiele,
Co rok na odpust Jej śpieszył radośnie,
Aż przyleciawszy w takiej, jak ta, wiosnie,
Trupem biedaczek padł przy Jej kościele.”
I w łzach utonął głos jej żałobny.

Słowy i płaczem jej zaciekawiona,
Spytałam: Co mi prawicie za dziwy?
Bocian na odpust zlatywał?... A ona:

„Tak, tak, paniuściu! prawda, jak Bóg żywy!
A tak to było: lat już temu siła,
Gdym jeszcze wianek dziewiczy nosiła,
W kościele naszym, co stał pośród siola,
Cały lipami otoczony dokoła,
I miał cudowny obraz Zwiastowania
W wielkim ołtarzu, co rok święto one
Najuroczyściej było obchodzone;
Szata złocista Maryję osłania,
Ołtarz od świateł jarzących aż płonie,
Dokolusienka w fioletki przybrany.
Płoną brylanty w złocistej koronie,
Wspaniałym hymnem grzmiały huczne organy,
A zewsząd ludu niezliczona rzesza
Na uroczystość tę wielką pośpiesza.”

„Jednego roku wiosna z łaski Boskiej
Wcześniej do naszej zawitała wioski,
Ciepła, słoneczna, strojna w zieleń, kwiecie,
Ktośby powiedział, że już maj na świecie,
I oto, gdyśmy w dzień naszego święta
Wyszli z procesją w samo już południe,
To skroś po lipach rozsiadłe ptaszęta
Zaszczebiotały tak gwarnie, tak cudnie,
A nad głowami naszymi skowronki
Tak zadzwoniły w swych gardziołków dzwonki,
Że nam z radości aż serca tajały
Na ten cudowny objaw Bożej chwały,
Na ten hołd, jaki przeczystej Panience
Niosły wraz z nami te chóry ptaszęce!”

„Wtem zaszumiła cości ponad nami,
Niby wiatr bujny... pojrzymy ku górze,
Aż to bociany, pławiąc się w lazurze,
Szum ten śnać czynią swojemi skrzydłami.
No, nie dziwota; wszak na Zwiastowanie
Zwykle się do nas zlatują bocianie.
Ale to dziwy, że jeden ze stada
Nie dąży dalej wspoły z innemi,
Lecz lot swój górny zniżywszy ku ziemi,
Prosto do naszej procesji przypada,
I powolutku tuż — tuż nad nią płynie
I trzykroć z nami okrąża świątynię!
A gdy z monstrancją nasz proboszcz dobrodziej
I lud napowrót do kościoła wchodzi,
On na wieżycy kościelnej usiadłszy,
Jak w tęczę w obraz Panny Maryi patrzy,
Co w ołtarzyku niosą go dziewczęta,
Skrzydłami macha i wyciąga szyję,
I głowę schyla, niby czołem bije!
O, nie zapomnę nigdy tego święta!”
„Zdarzeniu temu dziwili się ludzie,
I rozprawiali o niem, jak o cudzie,

I urządzili dnia drugiego z rana
Na jednej lipie gniazdo dla bociana,
Mając nadzieję, że gdzieś krążąc blisko,
Wróci i na niem obierze siedlisko.
Jakoż i wrócił, już nie sam, lecz w parze,
I objął gniazdo w swoje posiadanie,
I odtąd co rok w samo Zwiastowanie,
Jakby mu znane były kalendarze,
Przez kilkanaście lat wiernie i stale,
Najświętszej Panny Maryi służąc chwałę,
Na odpust do nas zawsze przylatywał
I wspoły z nami procesję odbywał.”

„Aż raz niezwykle zima była długa,
Nie zwiastowało wiosny Zwiastowanie;
Miał słońca, kwiatów — zimno i szaruga...
Jak się nasz bocian do nas dziś dostanie?...
Czekamy, wodząc po niebie oczyma...
Blisko południe — a bociana niema!
Gdzieś za merzami burze zaskoczyły
Biednego ptaka! śnać już nie ma siły
Pośpieszyć do nas!... Dobrodziej zmartwiony,
Czekać nie może... każe bić we dzwony
I wyprowadza procesję... Wtem nagle
Bocian nasz leci, rozpiąwszy jak żagle
Skrzydła swe białe... Czuje, że nie zdąży,
Że już cmentarza z nami nie okrąży,
Więc, wyteżywszy wszystkie siły swoje,
Śpieszy, by osiągnąć na kościelnej wieży,
A wtem z rozpędu w gzems głową uderzy
I, gdy procesja w kościół podwoje
Wkracza powoli, on, bociek nasz drogi,
Nasz ulubieniec, upada pod nogi
Dziewczętom wiejskim, co Panny Maryi
Ołtarzyk niosły. Wszyscy się rzucili
Cucić biedaka, lecz on już nieżyje
Nie potrzebował pomocy w tej chwili.”

„Jakiż płacz rzewny, jak żalosne jęki
Wybuchły wkoło nad tym małtwym ptakiem,
Tym wiernym służką Najświętszej Panienci,
Której cześć składał z poświęceniem takim!
Ksiądz nawet łzami miał oczy zroszone.
A kiedy potem wstąpił na ambonę,
To takie cudne powiedział kazanie,
Że mi do śmierci w pamięci zostanie
Jego nauka o tej świętej, wielkiej
Czci i miłości Bożej Rodzicielki,
Jakie Jej człowiek winien nieść w ofierze,
Skoro niekiedy nawet nieme zwierzę,
Któremu zbywa na ludzkim rozumie,
Samym instynktem okazać je umie.”

„I mówił dalej słowem dziwnie wzniosłem
O tem, jak niegdyś w Betleem wół z osłem
Dzieciatku Jezus pokłon oddawały;
Jak Chrystusowi jeden ptaszek mały
Cierń ostry wyrwał z przenajświętszej skroni;
Jak wychylały głowy ponad fale
Ryby, słuchając, gdy święty Antoni
Do nich kazanie miał o Boskiej chwałę;
I o tem wreszcie, jak Franciszek święty
Widząc we wszystkich stworzeniach swych braci,
Chętnie bywało z ptactwem i zwierzęt
Obcuje często; jak każde z nich płaci
Za jego miłość miłowaniem swoim;
Jak lecą za nim w ślad ptaszęta rojem,
I jak, obsiadłszy wkoło wszystkie drzewa,
Słuchają pilnie, gdy on opowiada,
Jakie Bóg dobry łaski na nie zlewa.”

„Biada więc temu człowiekowi, biada!
Hańba i biada wszystkim tym, co wzięli
Od Boga duszę nieśmiertelną w darze
I światło Wiary w świętej Ewangelii,

Gdy się z nich który niewdzięcznością zmaże,
Gdy tych dobrodziejstw Jego zapamięta
I wszystkich myśli, wszystkich swoich chęci
Jego miłością żywą nie uświęci;
Bo wtedy niższym będzie, niż zwierzęta!"

Adam Pług.

Według spisane go przez p. Józefę Żdzarską opowiadania ośmdziesięcioletniej staruszki, która rzekomo była świadkiem naocznym tego zdarzenia.

St. Kramosztyk.

CO WIEMY O KSIĘŻYCU?

Ze wszystkich ciał niebieskich jest księżyc najbliższym naszym sąsiadem; obiega wciąż drogę dokoła ziemi i towarzyszy jej w własnej jej wędrówce naokoło słońca, przyczem przedstawia nam zmienność osobliwą. Już to ukazuje nam pełną swą tarczę, już wąskim tylko świeci sierpem; już to błyszczy na niebie przez noc całą, już dostrzegamy go tylko w godzinach rannych lub wieczornych, a niekiedy zupełnie się przed wzrokiem naszym kryje. Jak to się wszakże dzieje, skąd wszystkie te zmiany pochodzą, o tem mówiliśmy już w „Wieczorach Rodzinnych” *) i do pytania tego wracać teraz nie będziemy, ale mamy zamiar wybierać się w drogę na księżyc, by mu się zbliżać dobrze przyjrzeć.

Skoro więc o podróż taką idzie, zapytać się przede wszystkim należy, jak też do księżyca daleko, jaka nas od niego dzieli odległość. Gdy na księżyc z któregośkolwiek miejsca na ziemi spoglądamy, niepodobna nam ocenić, jak daleko się mieści; nie umielibyśmy nawet powiedzieć, czy przypada dalej, aniżeli chmurka obok niego zawieszona, gdyby, przysunawszy się bliżej, nam go nie zasłoniła. Jeden człowiek poradzić tu sobie nie zdoła; co innego wszakże, gdy dwaj obserwatorowie rozpatrują go z dwóch różnych, a odległych między sobą punktów na ziemi. Gdy spoglądają przez lunety, każdy inaczej ku niemu lunetę swą zwracać będzie, czyli każdy pod innym widzi go kątem; jeżeli więc znamy odległość, jaka dzieli obu tych obserwatorów, oddalenie księżyca potrafimy już przy pomocy zasad geometrii obliczyć.

Ponieważ nie wszyscy zapewne czytelnicy nasi już się geometrii uczyli, nie będziemy się tu nad rachunkiem tym mozolić; astronomowie dawno go już wykonali. Dochodzenia ich wykazały, że oddalenie księżyca od ziemi przecho-
dzi 60 razy długość promienia ziemskiego, czyli odległość powierzchni ziemi od jej środka, wynosi zatem w liczbach okrągłych 384,000 kilometrów, czyli 50,000 mil geograficznych. Oddzielając nas od księżyca drogę możnaby zapłacić trzydziestu bryłami wielkości ziemi, a jeżeli na podróż dokoła ziemi potrzeba dni 80, podróż na księżyc z taką samą szybkością trwałaby dwa lata niespełna.

Gdyby księżyc przypadał bliżej nas, wydawałby się większym, w odległości znaczniejszej przedstawiałby nam tarczę mniejszą; skoro więc znamy odległość jego, można z pozornej jego wielkości oznaczyć istotne jego wymiary. W ten sposób poznano, że średnica księżyca wynosi nieco więcej nad czwartą część średnicy ziemskiej, a stąd wypływa, że powierzchnia jego stanowi tylko $\frac{1}{14}$ część powierzchni ziemi, objętość zaś jego jest 50 razy mniejsza od objętości ziemi. W przestrzeni, jaką kula ziemską zajmuje mogłoby się wygodnie 50 księżyców pomieścić.

Zanim jednak do opisu księżyca przystąpimy, z góry za-
powiedzieć nam należy, że jedną tylko jego stronę poznamy. Odkąd bowiem pamięć ludzka sięga, spogląda na ziemię towarzysz jej z ręcznie nieruchomą swoją twarzą, zwraca ku nam zawsze jedną i tę samą swą stronę; drugiej, odwróconej od nas strony księżyca, nigdy człowiek żaden nie widział. Z tego powodu sądzono niegdyś, że księżyc koło swej osi wcale się nie obraca, gdy się jednak zastanowimy, poznamy, że rzecz ma się przeciwnie; podobnie jak ziemia, księżyc wiruje dokoła swej osi, ale tak powolnie, że obrót jego osiowy dokonywa się w tymże samym zupełnie czasie, co i obieg jego dokoła ziemi; jeden pełny jego obrót osiowy trwa miesiąc cały. Zrozumiemy to najłatwiej, jeżeli wyobrazimy sobie, że obchodzimy w koło towarzysza swego, stojącego nieruchomo w pośrodku pokoju. Jeżeli, postępując po tej drodze, wcale obracać się nie będziemy, zwrócimy ku niemu w czasie pełnego obrotu kolejno wszystkie swe strony, a on nas ze wszech stron obejrzy. Jeżeli jednak w miarę, jak się posuwamy po okręgu, obracać się będziemy wciąż w równej mierze dokoła samych siebie, tak, że pełny swój obrót zakończymy w tymże samym czasie, w którym dokonamy kołowej swej przechadzki, to w takim razie pozostaniemy ku towarzyszowi swemu zawsze twarzą zwróceny, a on wciąż tylko przednią naszą stronę widzieć będzie. Tak samo więc dzieje się i z księżycem; co ujdzie stopień po swej drodze, również się o stopień koło swej osi obróci, pełny zatem swój obrót osiowy kończy w tymże samym czasie, jaki łoży na obieg swój dokoła ziemi; jest tedy wiecznie jedną tylko stroną ku nam zwrócony, my jedną i tę samą jego stronę zawsze widzimy, strony drugiej nigdy nie zobaczymy. Podobnie, jak ziemia, tak też i księżycowi słońce przyświeca, a jak obrót wirowy ziemi dokoła jej osi sprowadza nam następstwo dnia i nocy, tak też i na księżycu po nocy dzień, a po dniu noc następuje, chociaż bowiem ku ziemi zwraca on statecznie jedną swą stronę, to jednak ku słońcu kolejno wszystkie swe okolice wysuwa. Ale te dnie i noce księżycowe w porównaniu z naszymi są niesłychanie długie; skoro bowiem jeden obrót księżyca ciągnie się przez miesiąc, trzydzieści dni prawie, dnie przeto i noce trwają tam bez mała po 15 dni naszych. Chociaż więc księżyc tak blisko z ziemią sąsiaduje, już stąd poznajemy, jak wielka sprzeczność między temi dwiema bryłami zachodzi.

(d. c. n.)

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

VII.



o obiedzie, dzieci z profesorem idąc na spacer, zaszły do stajni, gdzie się tejsze nocy zdarzył wielki wypadek, bo gniadej klaczy, Almie, urodziło się śliczne źrebiątko. W stajni zastali stróża Wojciecha.

— A jak się będzie nazywało to źrebiątko? — zapytał Jańcio, który wciąż usiłował włożyć rączkę przez szparę w zagrodzie i pogłaskać nowonarodzonego.

Wszczęła się sprzeczka między dziećmi. Każde inne imię dla źrebiątka proponowało i chciało się przy swoim utrzymać. Każde miało zamiar prosić ojca, by imię przez nie wybrane, danem zostało źrebięciu. Zosia chciała, by konik nazywał się *Kazet* od pierwszych liter imienia i nazwiska właściciela: Kazimierza Zabrzeskiego, Józio prosił, żeby go nazwano *Bohun*, Zdzisł życzyl sobie, żeby to był

*) *Wieczory Rodzinne* z r. 1894, str. 201 i nast.

Cygan na pamiątkę kradzieży i ucieczki cyganów, Alusia radaby mu była dać imię *Paździorek* dlatego, że się 1-go października urodził. Gdy przyszła kolej na Jańcia, namyslał się długo, nie mógł wybrać imienia, wreszcie zdecydował się i rzekł:

— Ja chcę, żeby się tak nazywało, jak pan profesor zechce.

A gdy pan Chlewiatko wybrał imię *Odys*, tak się ono Jańciowi podobało, iż zapytał, czyby tak samo nie mógł nazwać swego synka, jak go mieć będzie.

Każde z dzieci chciało pierwsze poprosić ojca, by uprzedzić inne prośby i by pan Zabrzęski, przystawszy na zaproponowane sobie imię, tem samem inne imiona odrzucił. Ale Józio i Zosia byli za sprawiedliwością i uprosili profesora Chlewiatkę, żeby sprawę oddał na sąd losu. Nie było pod ręką papieru, więc profesor szpilką na listkach jesionu wypisał imiona; listki włożono do dołka w murawie,



Ognie Sztuczne. Wielki fajerwerk nad Tamizą.

dołek przykryto liściem łopianu, Zosia na niewidziane pomieszała listki a następnie Jańcio wybrany został na pośrednika losu. Wsunął rączkę pod liść łopianu i wyciągnął jesionowy listek, na którym stało imię *Paździorek*.

Alusia poczęła skakać po trawniku, klaszcząc w ręce i ciesząc się, że imię wymyślone przez nią dostało pierwszeństwo. Inne dzieci pospuszczały nosy na kwintę.

— Przecie wszystkie inne imiona były ładniejsze! *Paździorek* nie miało najmniejszego sensu. Powstał istny rokosz, chciano wyciągnąć imię losem po raz drugi.

— A nawet do trzeciego razu! — wołał Zdziś. — Wszystkie losy, wszystkie kabały do trzeciego razu!

Ale Józio oparł się stanowczo.

— Tak było postanowione i tak powinno zostać! Cośmy się ohfiarowali, tośmy się ohfiarowali.

Dzieci w śmiech.

— Mnie się bardzo podoba imię *Paździorek*. Chciałam nazwać źrebiątko *Kazet*, ale *Paździorek* jest oryginalniejsze i prawdziwsze polskie. *Odys* też bardzo ładne, ale cudzoziemskie.

— Grecya starożytna jest obecnie drugą ojczyzną wszystkich ludów cywilizowanych! — rzekł profesor.

— Tak, ale dopiero drugą ojczyzną — rzekła, uśmiechając się Zosia.

— Więc niech żyje *Paździorek*! — zawołał Józio.

Jeden tylko Jańcio pozostał nieprzejednany. Ogromnie kochał profesora i nie rozumiał, żeby dzieci mogły przeciwko jego życzeniom postąpić.

Przy powrocie dzieci ze spaceru do domu, Józia czekała niespodzianka. Przy bramie ujrzał tę cygankę, która, jak mówiła, miała syna prawdomównego i żadnego nauki. Gdy tylko ujrzała Józia, zaraz przyczepiła się do niego, jakby ją kto klejem stolarskim posmarował. Już mu nie dawała spokoju. Wmawiała w niego, iż obiecał wyraźnie dać jej dwadzieścia sześć rubli na ubranie dla syna, którego ona oddała na naukę, że jej obiecał dać dla tego syna stary paltocik.

— Onby chciał pracować, on nie lubi się włóczyć tak, jak cygany się włóczą, ale taki chłopiec, co jest na nauce, nie może sobie zarobić.

— A na jakiejże on jest nauce? — zapytał profesor.

— Do szkółki chodzi, jasnie dziedzić!

— Do szkółki? A w jakim miasteczku?

— To jest wieś, jasnie dziedzić.

— A jak się nazywa ta wieś?

Cyganka się zmieszała.

— Nazywa się... nazywa się... to tam niedaleko granicy, za Lublinem... Cyganom trudno zapamiętać nazwy... Cyganie tylko świata schodzą, że żeby chcieli spamiętać wszystkie wsi i miasteczka, toby im pamięci nie starczyło.

— A miałaś mi dać adres? — zawołał Józio.

— Dałabym adres, ale miałam go zapisany na kartce, tymczasem jak się rano obudziłam dzisiaj, tak zobaczyłam, że wszyscy cyganie, moi towarzysze, gdzieś się podzieli, zginęli, przepadli jak kamień w wodę! Skrzynkę moją zabrali, a tam była ta kartka.

— Poczekajcie tu chwilę, moja

kobieto — rzekł profesor — ja zaraz tu wrócę i pomówimy o waszym chłopcu, i o adresie i o wszystkim.

W oku cyganki odbił się wyraz trwogi.

— Nie bójcie się niczego — rzekł profesor — przecie nic złego uczynić wam nie mogę.

— Cyganie niczego się nie boją! — odparła cyganka z dumą. — Cyganie dosyć się nacierpieli od wieków, co się włóczą po całym świecie i już ich nic, nawet sama śmierć nie straszy.

— Chodź Józio — rzekł profesor — niech inne dzieci idą do swoich zajęć, a my we dwóch będziemy usiłovali załatwić tę sprawę.

A gdy wszystkie dzieci, prócz Józia, pobiegły ku domowi, zamyślony profesor ozwał się:

— Chciałbym mieć przebiegłość Ulisesa, najpodstępniejszego z Greków, żeby doprowadzić do skutku to, co zamierzam.

Szli wraz z Józkiem do pokoju pana Zabrzęskiego. Ten ostatni siedział przy biurku założonym księgami i papierami, podsumowywał kolumny jakiegoś długiego rachunku



Ognie sztuczne. Ogrodnik یدzie na targ.

i na widok wchodzących zmarszczył brwi z niezadowolenia, że mu przerywano.

— Przyszła tu jedna z cyganek — zaczął profesor.

— Co? Cyganka? Cały dzień konni i policja szukała cyganów po okolicy, a nikt nie wytropić nie mógł! Trzeba się od tej cyganki dowiedzieć, gdzie jest obóz!

— Ona nic nie powie. Utrzymuje, że spała całą noc, a gdy się obudziła towarzyszy jej już nie było!

— Kłamie!

— No naturalnie, że kłamie, ale niepodobieństwem będzie prawdy od niej się dowiedzieć. Jakiż jest sposób zmuszenia jej do powiedzenia tego, co wie? Dzięki Bogu tortury zniesione oddawna... już tylko w Chinach i u dzikich praktykowane... Więc ja przyszedłem tu do pana z zapytaniem, czy pan się zgadza, bym działał na własną rękę? Kiedy Grecy mogli podstępem zdobyć Troję i takiego konia do niej wprowadzić, co miał w sobie cały hufiec żołnierzy, to może i ja, pamiętny na zręczność i przebiegłość Ulisesa, zdołam coś, przez tę cygankę uczynić.

— Profesorze kochany! — rzekł pan Zabrzęski. — Zgadzam się na wszystko, ale czy Homer i Iliada będą jaką pomocą profesorowi, o tem pozwalam sobie wątpić.

— Wielkie przykłady i geniusz starożytnej Grecji są zawsze, we wszystkim pomocą.

— Ha, życzę szczęścia profesorowi.

Gdy profesor z Józim znaleźli się na dziedzińcu, oczom ich przedstawił się oryginalny widok. Cyganka, która była młoda i ładna, stała w postawie Hiszpanki tańczącej kaczące, ze starem, dziurawem sitem, wzniesionem ponad głowę, a panna Four siedziała przed nią przy stalugach i widocznie pragnęła uwiecznić indyjską piękność cyganki. Choć nie lubiła profesora i wiecznie między nimi bywały zatargi, jednak zawsze zwracała się do niego we wszystkich ważniejszych momentach. Zaraz więc ze swą zwykłą żywością, zainteresowała go:

— Niech pan spojrz — trzepała po francusku — to jest piękność skończona! Chez nous à Paris, ta kobieta zyskałaby sławę jako model dla artystów malarzy. To tylko w kraju barbarzyńskim taka istota może być w ostatniej nędzy!

— Kiedy ona nie chciałaby iść do Paryża — odrzekł profesor swym twardym akcentem.

— Co, nie chciałaby iść do Paryża? Nie chciałaby dobrego mieszkania, pięknych sukien...

— Cyganie nie są w stanie nagiąć się do żadnego przymusu. Kochają las, wolność, próżniactwo, niepodległość i zupełnie nie są zdolni do żadnego zajęcia się systematycznego.

— Ooo!... Ja temu nie wierzę! Nie mogę mówić po polsku, ale pan niech jej powie, by się zaraz wybrała w drogę do Paryża!

— Czy już mogę rzucić to sito? — zapytała cyganka. Okropnie mi ręce mdleją!

Wytłomaczono pannie Four prośbę cyganki.

— O nie, nie! Ja ją muszę naszkicować!

— Ale ja potrzebuję z tą cyganką pomówić — rzekł pan Chlewiatko po francusku — a w tej postawie z dziurawem sitem nad głowę, wydaje mi się tak śmieszną, że mię zupełnie opuszcza przebiegłość i chytrłość, którą wspomnienie Ulisesa natchnąćby mię mogło.

— Ulisesa? — zawołała panna Four. — To pan czytał Telemaka?

Na licach profesora odmalowała się bezgraniczna litość dla wiadomości klasycznych panny Four.

— Czy ja czytałem Telemaka? O Boże! Ja Iliadę i Odyseję umiem na pamięć!

— Więc pan nie czytał Telemaka? A przecie jest to pomnik literatury francuskiej, na którym kształciły się wszystkie literatury!

Wszczęła się między panną Four a profesorem sprzeczka, co do nieomyślności artystycznej pomników literatury francuskiej, a przez ten czas biedna cyganka z sitem dziurawem ponad głowę wyglądała, jak piękna figura bronzowa ubrana w łańchmany.

Skończyło się na tem, że panna Four opuściła plac boju. Oświadczyła, że ręce jej drżą ze wzruszenia, że nie może utrzymać ołówka ani pendzla, że: chez nous à Paris, żaden mężczyzna nie śmiałyby się tak sprzeczać z damą i poszła ku domowi.

— Dobrze, że jak Achilles w gniewie, schroniła się pod swój namiot — rzekł profesor — bo trzeba korzystać z czasu. Rzućcie dziurawe sito, kobieto, i słuchajcie. Gdzie się podział obóz cyganów, który wczoraj koczował w Starym Dębniaku?

— Nie wiem, jasnie dziedzicu! Rano, oczy przecieram, patrzę, a tu las przede mną, las za mną, las w koło a ludzkiej istoty koło mnie ani śladu. Wstałam, poszłam szukać po lesie, zjadłam kilka orzechów, hukalam, wołałam, ale nikt nie odpowiedział. Myślę, że ta stara cyganka, co to wszystkim wróży wywiozła wszystkich na miotle do piekła, bo ona jest czarownica! Tylko przy mnie jej czary prysły, bo je odegnała czysta dusza mojego chłopca, co jest dobry jak anioł i do nauki okrutną ma ochotę i skłamać nie umie.

(d. c. n.)



Ognie sztuczne. Katastrofa.

SZTUCZNE OGNIEM.

Czy widzieliście kiedy wielkie fajerwerki, czyli ognie sztuczne? Zapewne nie, bo u nas dość rzadko je pokazują, zwłaszcza w Warszawie, gdzie tylko nad Wisłą byłoby dość przestrzeni dla urządzenia prawdziwie wielkich i wspaniałych widowisk tego rodzaju. Ale w Anglii i Francji ognie sztuczne są bardzo lubiane i często urządzone w czasie zabaw lub uroczystości. Lud i młodzież przepada za niemi a ja przyznam się szczerze, że gdy w spokojną noc letnią widzę te różnokolorowe snopy promieni, te wirujące koła, ogniste iskry, race i t. p., a zwłaszcza, gdy widzę, jak linie ogniste kreślą rozmaite kontury, naprzykład gmachów, okrętów, gór, to zachwyt mnie porywa i dla malowniczości widoku i dla umiejętności ogniomistrzów, czyli pyrotechników, którzy roztaczają taką władzę i umieją tak zręcznie kierować — tym najkapryśniejszym z żywiołów, jakim jest ogień.

Czy chcecie wiedzieć, jak się robią ognie sztuczne? Zapewne, ale ja was tego nie nauczę, bo najprzód zachęciłbym was do różnych niebezpiecznych prób, a po drugie sam się na tem dobrze nie znam. Powiem wam tylko, że kto chce być dobrym pyrotechnikiem, musi znać chemię i własności palne różnych ciał. Najważniejsze materiały zasadnicze ogni sztucznych są: saletra, siarka, węgiel, proch, chloran potażu, pomocnicze zaś — gips, bursztyn, kalomel, kamfora, kreda, opiłki żelazne, szkło tłuczone i t. d. Mieszany tych materiałów układają się w naboje, a te ostatnie w moździerz. Naboje bywają prędkie i spokojne, stosownie do czasu, jakiego potrzebują na spalenie się.

Ogniomistrz najprzód układa plan, rysunek fajerwerku, a następnie musi naboje tak rozstawić, aby paląc się kolejno, właściwym rodzajem ognia, wytworzyły żądany efekt.

Obecnie najznakomitszym ogniomistrzem jest pan Brock w Londynie, urządający wielkie fajerwerki na zamówienie i stałe przedstawienia w pałacu kryształowym. Podaje tu właśnie fotografię olbrzymiego jego fajerwerku z jubileuszu królowej Wiktorii. Widzimy tam młyn ogniasty, świece rzymskie, race a w głębi płomienne wieże, przedstawiające słynny Tower londyński.

Drugie dwie ryciny — to fotografie fajerwerków, że tak powiem ruchomych. Jedzie sobie na targ ogniasty ogrodnik i gubi po drodze jarzyny. Wtem, najeżdża na petardę, następuje wybuch, pan i osieł rozlatują się w dwie strony. Pan Brocke przedstawia za pomocą fajerwerków takie rzeczy, jak przegląd floty, bitwa morska pomiędzy Japończykami i Chińczykami i wiele innych nader wspaniałych.

W. R.

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Jakaś postać, szarym płaszczem okryta, zerwała się z ziemi i stanęła przed wchodzącym. Z otwartych jak czełuscie ust wyrwał się raz po raz ten sam, w najwyższym przerażeniu wymawiany wyraz:

— Nie zabiłem, nie zabiłem!

Lutemu wróciło wspomnienie przebytych niebezpieczeństw.

— Kto jesteś, czego chcesz ode mnie? — zawołał chwytając za rewolwer.

Ale człowiek okryty płaszczem drżał i nie myślał wcale o napaści. Włosy podniosły mu się na głowie, kroplisty pot oblał mu czoło, zęby szczękały z przerażenia. Wyrzucił oczy, krzyknął raz jeszcze — „nie zabiłem” — i runął w głębi, zanim Stefan nadbiegł mu z pomocą.

— Co się stało? zapytał Jakób.

— Alboż wiem dlaczego przeleżała się mnie ta mara — i czemu krzyczy coś, czego zrozumieć nie mogę — odpowiedział Luty zbiegając ze wschodów i podnosząc nieprzytomnego. Nie dawał znaku życia, trzeba więc było myśleć o ratunku. Nadbiegła tymczasem służba okrętowa. Położono zemdlącego na ławie; ktoś zbliżył lampkę do jego twarzy.

— Leon Ziemniak! — zawołał Stefan.

Tak to był Leon, ale jakże zmieniony. Luty mógł nie lękać się swego prześladowcy. Wychudły, poczerniały, brudny, nie przypominał w niczem bremeńskiego eleganta. Posłano po doktora, spał on już w swojej kajucie.

— Czy pewny jesteś, że to Ziemniak? — zapytał Jakób.

Luty byłby się chętnie przyznał do omyłki! Bo Leon leżał wprawdzie bezwładny, ale jego widok przestraszył znajdę. Kto wie, czy Żądło lub Saleman nie są gdzieś blisko, czy oni także nie czyhają na jego zgubę?

On, niezawodnie on, poznałbym go zresztą po tym znaku — mówił Stefan, wskazując Jakóbowi piersi omdlałego człowieka. Z pod rozchylonej koszuli widział siną farbą napuszczony rysunek. Tatuowanie jest modą powszechną w nadmorskich miastach. Marynarze zwłaszcza wykluwają sobie na skórze pobożne, dziwaczne lub pamiątkowe obrazy. Uległ tej niemądrej modzie i Leon, chwalił on się w Bremie Stefkowi pięknym namalowanym smokiem. Potwór wyciągał łapy na spalonej gorączką skórze.

Bo przybyły lekarz skonstatował silną gorączkę u młodego złoczyńcy.

Uniósł się on na ławie, odetchnął głęboko, potoczył nieprzytomnym wzrokiem po obecnych i wołał, łamiąc ręce z rozpacz:

— Stoil przyszedł, widzicie go, widzicie! Mówili, że utonął a on stoi, wypłynął z Tamizy, żeby mnie dreczyć — powtarzał, kurcząc się ze strachu i wskazując na Stefana. Zimny pot oblewał mu czoło, wyciągał przed siebie ręce; to znów chował twarz pod płaszczem, żeby nie widzieć mniemanego topielca. Darł koszulę i odsłaniał tatuowanego potwora.

— Wywołałeś smoka Stefanie, kto wie czem ci ten grozi — powiedział Jakób, zaniepokojony obecnością Ziemniaka. Ale nie było czasu na płonne obawy.

— Trzeba tego człowieka, ktokolwiek on jest, przenieść do ambulansu, gorączka może okazać się zaraźliwą — powiedział lekarz i dwóch posługujących uniosło szamoczącego się Leona.

Płynął on na rozkaz Salemana do Ameryki, płynął nie z własnej woli wujaszek Żądło opłacił przejazd i wsaadził na okręt niewygodnego świadka zbrodni. Wprzód jednak powiedział siostrzeńcowi, że Holofernes utopił Stefana w Tamizie. Zrobił to zaś przez ostrożność, Ziemniak groził współnikom, obiecywał oskarżyć bandę przed policją, żeby uratować Lutego, za cenę kłamstwa chciał Żądło kupić sobie spokój.

Leonowi lepiej też było na okręcie niż w towarzystwie Wujaszka, którego widok budził obawę. Gotów mnie zabić, oni każdego zabić gotowi — myślał, kryjąc się w swej kajucie. Wychudły, brudny, zaniedbany nie wiedział dokąd i poco płynie a jednak kołysanie Halifaksa sprawiało mu ulgę.

— Uciec, uciec daleko, jak najdalej. Może w Brazylii zapomnę o... nie dopowiedział nawet myślą imienia, które przejmowało go dreszczem.

Dziś więcej niż kiedykolwiek dokuczały Leonowi wyrzuty sumienia. Gorączka odbierała mu przytomność. Cekał niecierpliwie nocy, żeby pod jej osłoną odetchnąć świeżym powietrzem. Wszedł na schody, przykręcił lampkę, gdyż raziło go światło i siadł wyczerpany. Nie wiedział jak długo odpoczywał, zdawało mu się nawet, że zasnął na chwilę, kiedy nagle zbudziły go czyjeś kraki. Ujrzał przed sobą widmo topielca...

O jakże smutnym jest los zbrodniarza. Drży przed sprawiedliwością ludzką, a co gorsza jeszcze drży przed głosem sumienia.

W mgnieniu oka rozeszła się między wychodźcami wieść, że jakiś wielki zbrodniarz płynie razem z nimi do Brazylii.

Odstąpili go wszyscy przez wzgardę dla występku i z obawy przed zarazą. Lekarz, zbadawszy chorego, skonstatował tyfus, a tyfus w dusznej kajucie trzeciej klasy to straszny gość. Któż chciałby narażać życie dla pielęgnowania obcego lotra?

Nie dziw też, że mimo nawoływań doktora, zostawiono Leona własnemu jego losowi, byłby zapewne umarł nie pojednawszy się z Bogiem, nie odzyskawszy przytomności, gdyby nie opieka Stefana.

Rozdział XI

Miłujcie nieprzyjaciół wasze. — Gorączka. — Kto ratuje? — Podróż. — Delfiny. — Latające ryby. — Naprawa statku. — Równik. — Nie zabiłem. — Przystań w Rio. — Wylądowanie. — Gdzie pójdzie?

„Miłujcie nieprzyjaciół wasze, czyście dobrze tym, którzy was nienawidzą” nauczał wągrowiecki proboszcz, i słowa przykazania zapadły głęboko w serce znajdy.

Słyszał je tylokrotnie z ust kapłana, dlatego dopiero dziś stanęły mu one wyraźnie na myśli. Stefan nie umiał dotąd przebaczać krzywdy, pobił Adamka za obelżywą nazwę? Dlaczego więc wzrusza go opuszczenie Leona, Leon stokroć więcej zawinił przeciw niemu niż Adamek.

Dlaczego? Bo serce szlachetnego człowieka jest jak świeżo zorana rola. Ziarna dobrego posiewu zapuszczają w niej korzenie i dość kilku ciepłych promieni, aby boska nauka setny plon wydała.

Tak było i ze Stefanem. Proboszcz zasiał ziarno, ale niechęć otoczenia, w jakim żył sierota, tłumiła wzrost dobrych skłonności. Rozwinał je dopiero wpływ O'Clearów. Jakób uczył przykładem wyrzeczenia się siebie, a jego matka rozgrzała stęsknione pieszczoty serce znajdy. Rozgrzała i uszlachetniła. To też Luty nie ze wstrętem ale z współczuciem patrzył na chorego. On i inżynier próbowali daremnie odgadnąć, co znaczyła obecność Leona, Leona zbiedzzonego, obdartego, wystraszonego!

Jakim sposobem Ziemniak z występku stał się ofiarą.

Czyją? Kto go tyranizował? Dlaczego wołał w gorączce o miłosierdzie. Był to tylko wyrzuty sumienia, czy obawa o własne życie? Stefana zastanawiało także, czemu Leon nie brał udziału w ostatnim napadzie. Nie on wpędził go na hak elewatora, nie on pomagał Wujaszkwowi.

— A jeśli Ziemniak nie nastawał na życie dawnego towarzysza, to może nie był tak zepsutym, jak należało sądzić z pozorów? Wplątał Stefana w pasmo intryg zbójce, już przy rozbijaniu kasy wydał się Lutemu wylekłym i prędzej bezradnym, niż czyhającym na cudze mienie.

— Inna to rzecz oszukiwać dobrodusznym a inna chcieć zabić człowieka — powiedział Jakób, utrwalać się w przekonaniu, że Leon mógł być ofiarą a nie współnikiem Wujaszki.

— A jeśli tak, to nie można mu pozwolić umrzeć z braku opieki — myślał Stefan i przebaczywszy krzywdę, pielęgnował chorego, choć gorączka była zaraźliwa.

— Zwalczył smoka zemsty i nienawiści — mówił

O'Clear, widząc jak Luty naradza się z lekarzem. Lekarz jednak nie wróżył nic dobrego. Przestrach i upadek ze schodów wstrząsnęły mózgiem Leona, gorączka opadła po kilku dniach ale chory nie odzyskał przytomności. Nie wiadano nawet, czy poznaje Stefana, choć spełniał wszystkie jego rozkazy. Leżał z bezmyślnie otwartymi oczami lub drzemał. Doktor przewidywał, że władze umysłowe Ziemniaka na zawsze zostaną przytępione.

I tak mijały dni. Pan O'Clear spędzał czas na rozmowie z wychodźcami, a Stefan pielęgnował chorego i uczył się po portugalsku, gdyż język ten jest konieczny potrzebny każdemu, kto ma zamieszkać w Brazylii. Potrzebny więc będzie i jemu na przyszłość. Przyszłość! Alboż nasz bohater zdawał sobie sprawę z tego, jak ona się zapowiada. Statek pruł fale oceanu, pędząc coraz dalej na południe, a Stefan sądził czasem, że śni na jawie, że i jego umysł ogarnęły gorączkowe marzenia.

On znalazł, pośmiewisko wągrowieckich przekupek, odbywał w towarzystwie tak niepospolitego jak O'Clear człowieka, daleką i pełną wrażeń podróż. Wyjechał z Londynu w mglisty jesieny dzień a teraz ciepły wiosenny wiatr zapowiadał nieznane mu podzwrotnikowe łądy. Słyszał o nich, czytał opisy krajów, w których nie wędzną kwiaty, gdzie chłód zimny nie strąca nigdy liści z drzew i miał niedługo sam, własnymi oczami podziwiać te cuda Boże.

Toż to nawet, co już widział około siebie, było tak nadzwyczajne, tak nowe. Morze zmieniło barwę; odkąd Halifaks na cieplejsze wypłynął wody, zielonkawe przy brzegach, nabrało teraz ciemno lazurowego koloru. Gwiazdziste niebo wyglądało w nocy jak świeczkami nabity krakowski pas. Lekki powiew marszczył toń i dobywał na powierzchnię fal białe grzebienie piany. Te grzebienie są zwiastunami pogody i marynarze nazywają je *owcami*, a pogoda cieszy podróżnych, bo większa ich część przepływa pierwszy raz ocean. Nie dowierzają zdradzieckim nurtom i myślą ze strachem o burzach, które pochłonęły tyle okrętów.

Ale Halifaks zdaje się żartować z burz i nawałnic, śruba przecina bałwany, roztrąca owce, pokład napęnia się wychodźcami a ocean dostarcza niespodzianek, urozmaicających podróż.

— Na górę, na górę — wołają usłużni majtkowie wiedząc, że czeka ich napiwek za ciekawą nowinę. I kto może biegnie podziwiać stado rekinów, ryby otoczyły statek, towarzyszą mu w wesołych podskokach. Młode połyskują białymi piersiami, stare samce zbliżają się śmiało do okrętu po rzucane im okrucy żywności.

— Ładna rzecz dostać się na zęby takiego obywatela — myśli Stefan i widzi, że śmiała rybitwa, do białego jastrzębia podobna, schwyciła rybkę z przed paszczy olbrzymiego rekina. Spadła na wodę kula, mignął tylko krogulczy dziób ptaka, rozwinęła wąskie skrzydła i uniosła zdobycz w błękit.

Innym razem majtek, stróżujący na tylnym maszcie, dał znać trąbką, że widzi statek na krańcach widnokręgu. Jakoż po długim oczekiwaniu przypląnął lekki holenderski parowiec. Halifaks wywiesił na jego powitanie angielską banderę. Zamieniono z obu okrętów sygnały, podróżni tu i tam powiewali chustkami nieznanym i *Amsterdam* popłynął naprzód z rozmachem, zostawiając za sobą długi warkocz piany i świecące białe lakierowanym kadłubem. Wyglądał wśród zielonkowych fal, jak połyskująca pierś rekina.

Co jednak najwięcej bawiło wychodźców, a w szczególności Stefana, to ryby latające. Mają one pletwy wyrosłe w skrzydła, jak na przykład motyl morski, ale ten mniejszym cieszył się powodzeniem, bo na dziwoląga wygląda. Zato prawdziwy zachwyt budziły stada jaskółek wodnych, unoszących się nad statkiem. Ich lot, kształt i ubarwienie do złudzenia przypominają ptaki. Pruja powietrze, póki nie obeschną im skrzydła, wtedy opadają na wodę i zanurzyszy się szybują znów w górę.

— Jaskółki, jaskółki, wołano na pokładzie. Kolonisci wyciągali ręce, bo jaskółki — ryby przypominały im rodzinną strzechę, za którą tęsknili biedacy. I schwytać wodne latawce bardzo łatwo, pędzą one jak ćmy do światła. Zwabione blaskiem latarni, szubują wprost ku okrętowi, padają zmęczone na pomost. Czasem przez otwarte okno zafrunie do kajuty odbita od gromady jaskółka, biedna ginie po krótkim locie. Jej żywiołem woda, a nie zawsze znajdzie się miłosierna ręka, która bezwładną, bo obeschniętą rybkę, napowrót do morza wrzuci. Żeby to zrobić trzeba się zastanawiać i czuć, a czyż wielu jest ludzi, którzy widzą i odczuwają pragnienie życia u istot bezbronych?

Z listów do Jaskółki.

Kochana Jaskółko!

Stosując się do życzenia Jaskółki, opiszę kilka rzeczy, o które zapytywała. Chłopców jest tutaj tylko pięćdziesięciu: Duńczycy, Niemcy, Szwedzi, Francuz, Anglik, Amerykanin, Islandczyk, Grenlandczyk, Holendrzy, nawet kilku z Norwegii, wszystkie narodowości razem. Język duński jest dosyć łatwy, bo podobny do angielskiego. W Kopenhadze byłem już kilka razy i znajduję, iż to jest bardzo ładne miasto, bo pełne starych pamiątek.

Gier mamy tutaj bardzo dużo; w zimie jeździmy na łyżwach, lub też zjeżdżamy na bardzo małych i wąskich saneczkach z ogromnych gór, co jest często bardzo niebezpieczne, bywały takie wypadki, jak łamanie rąk lub nóg, raz nawet jeden człowiek się zabił. Zjeżdżamy z taką szaloną szybkością, iż w przeciągu zaledwie pięciu sekund jesteśmy u stóp góry, na którą wchodzimy przeszło pięć minut. Prawda, że to bardzo prędko?

Czasem znowu jeździmy po śniegu na tak zwanych „ski,” są to półtora metra długie, jak noga szerokie i mniej więcej dwa centymetry grube deski, które na przodzie zakręcają się do góry; może Jaskółka je zna? Jest to równie niebezpieczne, jak jeżdżenie sankami, ale bardzo przyjemne, gdy się naprawdę dobrze umie.

Gry w lecie za to są zupełnie innego rodzaju: football na przykład. Jest to piłka, dość lekka skórzana, piętnaście centymetrów szeroka, którą tylko wolno kopać nogą, lub głową odbijać, ale jej nie wolno ręką dotykać. Człowiek silny może taką piłkę na przeszło dwieście metrów wysoko kopnąć. Gra sama jest nadzwyczaj interesująca.

Chłopcy dzielą się na dwie partie i usiłują tę piłkę przez pewną granicę nogą przerzucić; ta partya, która najwięcej razy piłkę przez granicę przeciwnika przekopnęła, wygrywa. Mamy jeszcze wiele innych gier, które w przyszłym liście opiszę, bo na dzisiaj dosyć.

Żegnam więc kochaną Jaskółkę bardzo serdecznie, polecając się jej pamięci.

Wygany Urwis.

Kopenhaga 13/3 1902 r.

SZARADA. (Różia D.)

Pierwsze-drugie, w snach się jawią
 Snucą, bawią lub ciekawią,
 Zdrowie, skarby, sławę dają,
 Upiększają, młodą lata,
 Drogich sercu przedstawiają,
 Zeszyłych dawno z tego świata;
 I niosą nas w inne światy,
 Przemieniają w ptaki, kwiaty —
 Lub naprzemian w jednej chwili
 Żywych czynią umarłymi,
 Stawia groby, krzyż mogili,
 Dają torbę, kij pielgrzymi. —
 Trzecim każdy naród prawie
 Zaczyna swe alfabety,
 Polski również w tej postawie,
Wszystko: imię jest kobiety.

ARYTMOGRYF KRYSTAŁOWY.

Ul. Kujawianka.

	12	
	11, 1, 3	
	2, 1, 2, 1, 4	
	10, 17, 7, 1, 5, 5, 18	
	5, 1, 16, 1, 7, 1, 8, 19, 1	
12,	1, 2, 1, 7, 15, 4, 11, 1, 8, 1	
	5, 2, 15, 10, 4, 15, 2, 10, 1	
	11, 15, 16, 11, 15, 2, 1	
	17, 9, 1, 11, 1	
	15, 8, 1	
	1	

Rząd 1 szy: Spółgłoska. 2) Ciało lotne, lżejsze od powietrza. 3) Nazwa ludu Wschodu (licz. poj.) 4) Miasto w Wyższej Gwinei. 5) Miasto w Hiszpanii. 6) 7) Kwiat polny. 8) Góra pod Jerozolimą. 9) Przysłowie dobrego ucznia. 10) Zaimiek osobowy. 11) Samogłoska.

Zastąpić liczby literami i utworzyć wyrazy, których rząd środkowy tak poziomy jak pionowy złożony powinien nazwę złudnego obrazu.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 13-go:

Zagadki: Baba.

Arytmogryfu:

1) Genua. 2) Łoś. 3) Ósmy. 4) Daktyl 5) Wiara. 6) Idas. 7) Edison. 8) Lipa. 9) Egipt. 10) Narwał. 11) Abel. 12) Ulea. 13) Cieśla. 14) Zawisza. 15) Arachne. 16) Karabela. 17) Opal. 18) Moskwa. 19) Ulm. 20) Dawid. 21) Oszczep. 22) Karmin. 23) Ulla. 24) Charon 25) Zięba. 26) Amsterdam.

Głód wiele naucza — komu dokucza.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Nasze bociany zimujące nad Nilem (rycina). — Służka Najświętszej Panny, (legenda o bocianie) przez Adama Pługa. — Co wiemy o księżycu, przez St. Kramsztyka. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Ognie sztuczne (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Z listów do Jaskółki. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Co znalazłem w błotach i kałużach, przez M. Weryho (z ryc.) — Na złość, wiersz przez Janinę Szląskowską. — Moi przyjaciele. — Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno. — Nowy sposób cerowania. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 31 Марта 1902 г.

Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci,

Kądział.

— Babuńciu moja! ty, co z jasnej
Kądziali snujesz nić,
Ach, naucz, droga mnie babuńciu,
Jak tedy młodej żyć!

* * *
Naucz, co czynić, żeby przędzy
Nie tknęła brzydka śniedź,
Jak nitkę długą, całą srebrną
Niepogmatwaną mieć!

* * *
— Co czynić, dziecię? Rada prosta!
Ta kądziel — żywy wzór:
To Boża kądziel! zasób życia
Na czyn — na piękny twór!

* * *
Z niej ręką, w pracy uświęconą,
Wysnuwaj skrętnie wciąż,
A oczy zwracaj ku przyczynie.
A myśli z niebem wiąż!

* * *
Złych myśli strzeż się, bo z nich każda
Opatrzny psuje ład —
I na twym motku pozostawi
Splątania szpetny ślad.

* * *
Niech piosnka jasna z ust twych biegnie
Pod kołowrotka szmer:
Piosnka o pracy, co znalazła
W ufaniu Bożem ster!

* * *
Tak bojaźń Bożą wciąż pomnażaj
I przy niej mocno stój —
Aż się wysnuje kądziel cała,
Zostanie motek twój.

* * *
Motek, co złączy się z innemi
I nie przepadnie wczas:



Bo ręce z niego powołane
Utkają płótna pas.

* * *
Płótna, co w cnocie się wybieli,
Jakbyś w nie słońce wsunął,
Na obrus biały, co zaściele
Twojego życia stół.

* * *
Więc ręką, w pracy uświęconą
Wysnuwaj kądziel wciąż
A oczy zwracaj ku przyczynie,
A myśli z niebem wiąż.

Józef Jankowski.

St. Kramosztyk.

CO WIEMY O KSIĘŻYCU?

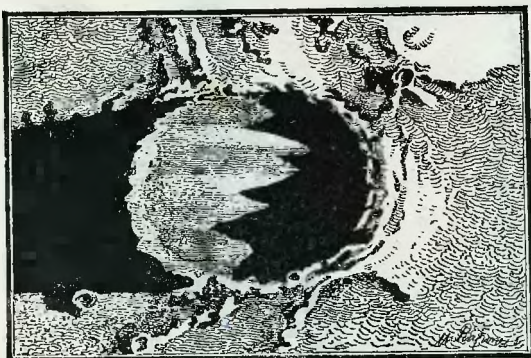
II.

Po tym wstępie zająć się już możemy opisem powierzchni księżycy.

Osobliwa tarcza księżycy po wszystkie czasy zwracała uwagę widzów, a w różności jasnych i ciemnych jej plam wyobraźnia nasza dostrzega twarz ludzką; niektóre jednak narody widziały w nich formy inne, zająca lub drzewo. Niektórzy filozofowie greccy uważali księżyc za zwierciadło, odbijające widok mórz i lądów ziemskich, ale inni domyślali się słusznie, że miejsca ciemniejsze tarczy wskazują niziny, miejsca zaś jaśniejsze okolice górskie. W czasach późniejszych przyjmowano, że plamy ciemne na księżycu przedstawiają morza; tak samo obserwatorowi zdawała na ziemię spoglądającemu wody jej tworzyłyby tło ciemne, silniej bowiem pokładają i zatrzymują światło. Dopiero jednak, gdy wynaleziona została luneta, lat temu trzysta, dało to możność dokładnego poznania powierzchni księżycy. Galileusz pierwszy dostrzegł, że księżyc najeżony jest górami i naszkicował pierwszą jego mapę, ale dokładną mapę księżycy narysował później dopiero astronom gdański Heweliusz, a wskutek usilnej pracy wielu astronomów, posiadamy dziś mapę księżycy tak dokładną, że zaznaczonych jest na niej prawie sto tysięcy szczegółów.

Podczas pełni wyróżniamy dobrze na księżycu miejsca jaśniejsze i ciemniejsze; te ostatnie są to mniemane morza dawnych astronomów, ale nierówności, jakie na nich dostrzedz się dają, wskazują łatwo, że nie mogą to być obszary przez wodę zajęte. Pomimo to pozostawiono im nazwę „mórz” (morze Obfitości, Spokoju, Pogody i t. p.), a mniejsze ich „odnogi” zajmują przeszło połowę znanej nam powierzchni księżycy i są w ogólności między sobą połączone. W każdym razie rozległe te przestrzenie mniej są górzyste, aniżeli okolice księżycy, które się nam jaśniejszymi wydają.

Budowa powierzchni księżycy występuje najwyraźniej, gdy jest oświetlony przez słońce ukośnie, jak to wskazuje

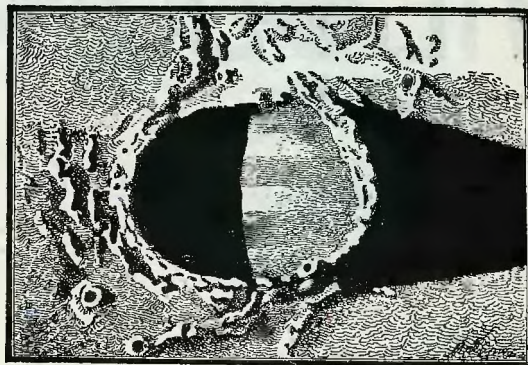


Krater księżycowy po wschodzie słońca na księżycu.

obraz kwadry księżycy (str. 132). Widzimy tu, że granica oddzielająca część oświetloną od ciemnej jest jakby poszarpana, a jasne linie i punkty zachodzą daleko w cień; łatwo stąd wnieść można, że są to szczyty lub stoki górskie, oświetlone promieniami słonecznymi, gdy spody ich toną w cieniu; dla tego też w ogólności okolice bardziej górzyste jaśniejszymi się nam wydają. Powierzchnia księżycy najeżona jest wszędzie górami, a forma panuje wszędzie kołowa. Występują tam pasma gór, którym nadano nazwy gór ziemskich, a wszystkie mają przebieg łukowaty, jak Apeniny,

które na długości 700 kilometrów okalają brzeg zachodni morza Deszczów, a w najwyższych swych szczytach, Konon i Huygens, sięgają 5400 i 5600 metrów, wznoszą się zatem wyżej, aniżeli Montblanc, najwyższa góra europejska. Mniejszą już rozległość zajmują pasma Kaukazu, Alp, Karpat. Góry te są daleko bardziej spadziste, aniżeli góry ziemskie, prawie pionowo wzbijają się do wysokości tysiąca metrów.

Nie takie jednak pasma gór są główną właściwością księżycy, przeważa tam forma gór obrączkowych, czyli wałów okrągłych rozmaitej rozległości, otaczających wewnątrz



Krater księżycowy przed zachodem słońca na księżycu.

trzone zagłębienie wklęsłe. Rysunki powyższe dają jasne o formie takiej pojęcie; przedstawiają one jedną i tę samą górę, raz oświetloną przez słońce wschodzące, drugim razem przez słońce zachodzące, cień jej zatem pada w strony przeciwnie.

Największe z tych otworów nazwano dolinami; posiadają one średnicę 150-300 kilometrów, czyli 20-40 mil; mniejsze, o średnicy 15-20 kilometrów (2-3 mil), nazywają się górami pierścieniowymi, a najmniejsze kraterami. Przez najpotężniejsze teleskopy wyróżnić jeszcze można krater o średnicy mniej więcej kilometra czyli około wiorsty. Doliny mają dno dosyć płaskie, ale wały ich okazują oznaki silnego zniszczenia i rozpadu; góry pierścieniowe są mniej poszarpane, stok ich na zewnątrz jest łagodniejszy, niekiedy schodzą w tarasy; od strony wewnętrznej mają spadek nagły, a często otaczają górę, która się w ich wnętrzu wznosi. Wysokość ich wynosi od 1000 do 5000 metrów; najwyższej sięga Curtius, na 8800 metrów, jest zatem niewiele niższy od najwyższej góry ziemskiej, Guarizankar w Himalajach, która ma wysokość 8840 metrów. Ponieważ wszakże księżyc daleko jest od ziemi mniejszy, stosunkowo przeto do swych wymiarów posiada on góry daleko wyższe, aniżeli ziemia

Ogólna liczba gór pierścieniowych wynosi około 4000, ale daleko obfitsze są kraterzyki drobniejsze, których naliczono całe dziesiątki tysięcy. Na stokach gór większych występują często kraterzyki mniejsze, jakby zarastające je pasmożyty; w ogólności zaś krajobraz księżycowy przypomina okolicę wulkaniczne ziemi, okazując zwłaszcza podobieństwo do okolic szczytu Teneryfy, lub do pól Flegrejskich w sąsiedztwie Wezuwiusza.

Na równinach czyli morzach nie napotykamy także przestrzeni gładkich, przenoszących choćby kilka kilometrów; oprócz licznych kraterów są tam niskie pasma, zwane żyłami górskimi, niezbyt spadziste.

Dalszą osobliwość księżycy tworzą bruzdy, szczeliny czyli rozpadliny, ciągnące się często prostolinijnie wskroś równin i gór, niezmieniając kierunku. Znamy ich około 350, są jednak wąskie i dla tego widzieć je można tylko przez najpotężniejsze teleskopy. Oprócz nich są jeszcze jasne smugi, szerokie na kilka kilometrów, rozlewające się z gór pierścieniowych na wszystkie strony, jakby rozbiegające się promienie. Z góry Tycho rozchodzą się prawie

na czwartej części powierzchni księżycy. Są to widocznie żyły, utworzone z innego materiału, aniżeli grunt je otaczający, które silniej odbijają światło, i dla tego je wyraźnie widzieć możemy.

Uważny czytelnik zapyta jeszcze zapewne, w jaki to sposób, będąc na ziemi, mierzyć możemy wysokość gór na księżycu. Zadanie to, tak niedostępne na pozór, znacznych trudności nie przedstawia, wysokość tych gór bowiem oceniamy z długości ich cienia, co zrozumiemy łatwo, spojrzawszy na ryciny. Jeżeli długość cienia zmierzmy, a zarazem znamy położenie słońca, które oświeśla księżyc, choć dla nas jest ukryte, wysokość góry obliczyć już można rachunkiem geometrycznym.

(d. n.)

Zofia Howerska..

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Ale ty umiesz kłamać, kobieto! Ani w czary, ani we wróżby starej cyganki nikt z nas nie wierzy, a i ty sama nie wierzysz! Wiesz dobrze, gdzie się tej nocy znajduje obóz i słuchaj... Nikt nie jest w stanie zmusić cię do powiedzenia prawdy, ale, jeżeli mi wskażesz miejsce pobytu twoich towarzyszy, to ode mnie na rękę dostaniesz dziesięć rubli.

— Żebym wiedziała, tobym i bez zapłaty powiedziała, ale nie wiem, jaśnie dziedziću.

— Ha, to dziesięć rubli zostanie w mojej sakiewce!

Wyjął sakiewkę, a przez dziurki zielonej, szydełkowej, starej sakiewki z dwoma pierścionkami metalowymi, błysnął złoty pieniądź.

Oczy cyganki zamigotały. Widocznie walczyła sama z sobą, marszczyła czoło, namyślała się.

— Ja coś panu dziedzicowi powiem, ale bez świadków. To jest taka rzecz, co ją tylko jedna para uszu słyszeć może. Dwie pary, toby już nic nie usłyszały.

Józio czuł w sobie ogromną ciekawość, ale zrozumiał, że jest zbyt cichym, oddalił się więc, mówiąc:

— Proszę mię zawołać, gdy już będzie można.

Cyganka przypadła teraz blisko do ucha pana Chlewiatki:

— Jabyś powiedziała, gdzie cyganie, ale pierwej muszę zobaczyć ten złoty pieniądź, tu na mojej dłoni.

Palcem wskazała na dłoń czarnej, ale małej i kształtnej ręki.

— Za stary ja na to ptak! odrzekł profesor. — Ja jak powiem słowo, to to słowo jest warte przysięgi, a twoja przysięga nie warta fałszywego miedziaka. Jeżeli chcesz, ufaj mojemu słowu, jeżeli nie chcesz, nie mamy o czem mówić. Jeżeli mi wskażesz miejsce, w którym się znajdują cyganie i jeżeli ja w tem miejscu cyganów znajdę, to jutro ten złoty pieniądź będzie na twojej dłoni i w twojej kieszeni.

— Co pan chce z cyganami robić?

— To już moja rzecz!

— A jak ja cyganów wskażę, a potem nic nie dostanę?

— To się zapytaj ludzi, czy mi wierzyć można.

— No, niech pan pamięta, że kto cyganowi słowa nie dotrzyma, to go obśiadają wrzody, to go po kościach łamać będzie...

— Cicho, daj pokój strachom, ja w to wszystko nie wierzę! Daję ci słowo, to dosyć.

— Niech już będzie dosyć. Cyganie rozdzielili się na cztery małe kupki i lasem, chyłkiem, pod krzakami

przedostali się do Słupeckiego wąwozu. Wąwozem poszli w gęsty zagajnik, co należy do Słupeckiego majdanu. Tam leżał w drugim zagajniku, nie paląc ognia ani nawet fajki, a żyjąc tylko chlebem i wodą, co jej kobiety w butelki przechodząc naczepały. Fura z końmi i jednym cyganem poszła traktem janowskim. Zagajnik jest tak gęsty, że i zającowi trudno się w nim prześlizgnąć, i ten, co nie wie, że tam są ludzie, to ich tam nie wytropi. A teraz idę do swoich. Jutro stawię się po zapłatę.

Profesor skierował się ku domowi. Przed gankiem spotkał się z dwoma strażnikami ziemskimi, którzy mieli miny ludzi zawiedzionych.

— Niema ptaszków? — zapytał profesor.

— Niema panie. Niebo i ziemię przeszukaliśmy. Przedeptaliśmy wszystkie lasy okoliczne, przepytaliśmy się wszystkich spotkanych ludzi i ani śladu. Jeden chłop nam mówił, że na gościńcu janowskim spotkał furę, której furman był taki czarny jak cygan, ale fura była próżna, nikt na niej nie siedział, a konie szły sobie lekkiego trucheika, jakby człowiek nie obawiał się żadnej pogoni. No, ale przecie niejedyn porządny człowiek ma czarne włosy i czarną cerę.

— A więc ja wam wskażę miejsce pobytu cyganów, ale nam będzie potrzeba większej ilości ludzi, żeby cyganie nie umknęli.

— Pan Zabrzęski pozwolił nam rozporządzać wszystkimi jego farnalami i wszystkimi końmi.

Wkrótce zebrała się wyprawa, do której należeli Józio i Zdzisł. Profesor wziął na siebie obowiązki dowódcy. Zaprzężono śpiesznie do bryczki i do dwóch wozów i ruszono w stronę Słupeckiego Majdanu, do którego było tylko pół mili!

Tymczasem cyganka biegła co tchu w tę samą stronę, i zdołała dopaść do zagajnika, nim go jeszcze ludzie chcący wytropić cyganów otoczyć zdołali.

— Zbierzcie się tu wszyscy! — wołała po cygańsku — Straż ziemska tu idzie, ludzie tu idą! Chowajcie, co który ma, bo będzie pewno rewizya! Niech się tu nic podejrzanego nie znajdzie.

W chwilę potem zagajnik był otoczony, cyganie odnalezieni i zrewidowani dokładnie przez strażników. Nie znaleziono u nich nic podejrzanego. Gdy ich pytano o pieniądze Michała, mieli miny niewinnych baranków. Profesor musiał uznać, że jego przebiegłość nie była warta przebiegłości Ulisesa, i że wyprawa była daremna. Był mocno zdziwiony, że między cyganami znajdowała się ta cyganka, która ich zdradziła. Poddano ją także rewizji, ale nie znaleziono nic, prócz flakonika z perfumami francuskimi, które panna Four lubiła. Cyganka utrzymywała, że jej ten flakonik *niemiecka pani* co ją chciała rysować, darowała. Odebrano go jej wszakże a profesor podjął się odwiezienia i wręczenia zguby. Policja uwięziła trzech cyganów, ale wszyscy czuli, że to do odnalezienia pieniędzy Michała nie dopomoże. Gdy wyprawa wracać miała do Suchowa, umniejszona o jeden wóz, który powiódł strażników i uwięzionych cyganów do miasteczka, przy bryczce znalazła się owa cyganka.

— Niech mię pan zabierze — prosiła profesora — już mi się nogi pokaleczyły od chodzenia.

Na wozie i bryczce było tak ciasno jak śledziom w beczce, ale na życzenie profesora cygancie dano miejsce na wozie, a ona zaraz parobkiem i farnalom otaczającym wróżyć zaczęła. Profesor z chłopcami słyszał wyraźnie słowa:

— Wy wygracie na loteryi wielki los...

Powrót odbył się bez trąb i bębnow, bez pochodu tryumfalnego. Profesorowi się zdawało, że jest starożytnym Grekiem, który do domu wraca bez puklerza. Z westchnieniem rzekł do Józia:

— Ty wiesz, co każda matka spartanka mówiła synowi, wyprawiając go na wojnę i kładąc mu na rękę klamrę puklerza: „Powrócisz z nim albo na nim”.

— Ja tego nie rozumiem — odparł Józio.

— Widzisz, żołnierza zabitego w bitwie zwycięskiej odnoszono zwykle rodzicom leżącemu na własnym jego puklerzu. Zwyciężeni zaś, uciekający, rzucali puklerze, żeby ich w ucieczce nie obciążały. Zatem hańbą było wrócić bez puklerza, a chwałą wrócić żywym, z puklerzem w rękę, lub zabitym, niesionym na puklerzu.

— Całe życie żałować będę, że nie mogę być Spartańczykiem — rzekł Zdziś.

Spotkano panią Zabrzeską, która wychodziła naprzeciwko synów. Jej twarz wyrażała najwyższy niepokój i wzburzenie. Biedna matka czekając, na Józia i na Zdzisia, wyobraziła sobie, że cyganie będą się bronili, i że dzieciom jej zagraża niebezpieczeństwo.

Józio i Zdziś rzucili się ku niej, całowali jej ręce i tulili się do niej.

— Ja wiem, moje dzieci, że ja was męczę moimi wiecznymi trwogami, ale się im oprzeć nie mogę. Darujcie mi!

— Widzi najdroższa mamuleczka — rzekł Zdziś — my już nie jesteśmy dziećmi...

— Tak, kochanie, na przyszły rok idziecie do szkół, duże z was już chłopcy, ale dla mnie jesteście zawsze dziećmi, o których życie drzę dzień i noc.

— Matki spartanki...

— Wiem, Zdzisiu, wiem, ale historia nie mówi o tych, co traciły...

Łzy przerwały mowę pani Zabrzeskiej, a w obec jej łez wszystkie dzieci umilkły, nie chcąc słowami drażnić jej zawsze żywej boleści. Józio objął jej kolana i pocałował, Zdziś założył sobie jej ramię na szyję i głowę złożył na jej piersi.

— Kochane, kochane moje dzieci! — szeptała matka, uśmiechając się przez łzy.

Tymczasem służący przyszedł oznajmić panu Zabrzeskiemu, że cyganka pragnie się widzieć z jasnie dziedzicem. Wyszedł do niej, ale ona poczęła go traktować poufale i po koleżeńsku:

— Ja z samym panem dziedzicem chcę mówić, a nie z żadnym tam...

Domyślono się o co chodziło i dano znać profesorowi. Wyszedł, otoczony dziećmi, z dziesięciurublowym papierkiem w rękę. Cyganka spokojnie wzięła pieniądze i z flegmą owinęła je w brudny gałgan, który wyjęła z zanadrza. Potem poczęła dawać profesorowi jakieś znaki, których on zrozumieć nie mógł. Wreszcie oświadczyła: że chce z nim pozostać sam na sam.

Alusia szarpnęła profesora za rękę. Obrócił się a ona wspinając się na palce, szepnęła mu do ucha:

— Żeby ona panu co złego nie robiła!

— Wieczny tchórz z Alusi! — odparł również szepem profesor.

— Ja panu przyniosę rewolwer tatuńcia!

— Nie trzeba rewolweru. Nawet bezbronny dam sobie radę z cyganką.

Wyszedł z cyganką za bramę tak, jakby sobie we dwoje szli na spacer.

— Kochany pan Chlewiatko — rzekła Zosia, gdy już jej profesor słyszeć nie mógł — zasłużyć sobie na jego przyjaźń, tak jak myśmy sobie zasłużyli, to wielkie szczęście!

— I wiesz, Zosiu — ozwał się Zdziś — ja się dziś przekonałem, że on, choć całe życie w książkach siedział, jest bardzo odważny i nawet nieroztargniony, gdy chodzi o sprawy ważne i prawdziwie męskie. Kierował wyprawą na cyganów jak wytrawny dowódca. Pokazuje się, że tylko w dwóch wypadkach nie jest roztargnionym, mianowicie przy

lekcy i kiedy wziął na siebie odpowiedzialność za rzeczy większej wagi.

— On się tyle naczytał o różnych bohaterach — ozwał się Józio — o Achillesach, Leonidasach i tym podobnych wielkich wojownikach, że ich odwaga w niego przeszła, choć nigdy prochu nie wachał. Chciałbym kiedy być tyle wart co on.

— On jest taki dobry — zawołał Jańcio, że jego anioł stróż w niebie to się ciągle cieszy, a nigdy się nie smuci...

— To jest bardzo szczęśliwy aniołek — dodała Alusia — bo on się nie tylko cieszy z tego, że jego człowiek jest taki dobry, ale czasem się uśmiecha z roztargnień swojego człowieka.

— Alusia, Bóg wie, co zawsze plecie! — rzekła Zosia.

— Aniołki nie patrzą, czy co jest wesołe czy nie, a tylko czy co jest dobre, czy złe — rzekł z przekonaniem Jańcio, któremu w świetle zachodzącego słońca, puszyste włosy jaśniały w koło głowy, jak pęki roztrzepanych złotych nitek.

— Wcale nie! — przerwała Alusia. — Każdy aniołek się smuci, jak jego człowiek jest nieszczę-

śliwy, lub cieszy się z jego szczęścia, mamy aniołek pewno z nią płakał, jak umarli Niusia, Kazio, Michaś i Julcia.

Spacer profesora z cyganką trwał w dalszym ciągu. Z początku cyganka milczała, oglądając się na wszystkie strony, jak gdyby się czegoś bała; dopiero gdy się we dwoje znaleźli, w pustem polu, przypadła do niego jak drapieżny ptak i szepnęła:

— Co mi pan dziedzic da, jeżeli ja powiem, gdzie są pieniądze skradzione?

— Nic ci nie dam naprzód, bo mię pewno oszukasz, ale mogę ci obiecać pewną sumę w razie, jeżeli się pieniądze, dzięki twym wskazówkom, odnajdą.

— A ileby pan dziedzic dał?

— Dam jeszcze dziesięć rubli.

(d. c. n.)



Tarcza księżyc w czasie kwadry.

Grobowiec św. Wojciecha,

rzeźba Wita Stwosza.

Znakomity polski rzeźbiarz, którego piękne rzeźby oglądać możemy w kościele Panny Maryi w Krakowie, pozostawił również pamiątkę po sobie w Gnieźnie. Tamtejsza bowiem katedra posiada grobowiec św. Wojciecha jego roboty, którego część widzimy na załączonej rycinie.

Grobowiec ten jest mocno uszkodzony i zniszczony; płytę ozdobioną płaskorzeźbą, wyobrażającą św. Wojciecha, którą rysunek nasz przedstawia, odnaleziono dopiero niedawno; na innych częściach grobowca znajduje się napis pamiątkowy oraz płaskorzeźba, przedstawiająca scenę chrztu św. Stefana, króla węgierskiego, ochrzczonego przez św. Wojciecha, w obecności ojca jego, króla Gejzy.

Grobowiec ten wystawiony był staraniem arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jakóba z Sienna, oraz Zbigniewa Oleśnickiego, ukończony w 1486 roku. Jak we wszystkich rzeźbach Wita Stwosza, tak i tu uderza jakaś szczerść, którą technie każda z postaci; niema tu wcale owej sztywności, którą widzimy w rzeźbach jego poprzedników, tym bowiem zupełnie prawie brak życia i naturalności.

Wit Stwosz urodził się w Krakowie około 1439 roku z rodziny mieszczańskiej, zostawił on w Polsce dużo prac swego dłuta. Do najważniejszych arcydzieł jego zaliczamy: wielki ołtarz w kościele Maryackim w Krakowie, sarkofag Kazimierza Jagiellończyka w katedrze na Wawelu i grobowiec Zbigniewa Oleśnickiego w Gnieźnie. Pracę i geniusz artystyczny Stwosza ocenić umiano w Polsce; gmina miejska krakowska nadała mu pewne przywileje i hojnie mu płaciła za rzeźby wykonane do kościoła Maryackiego.

Inaczej postępowali Niemcy; gdy się udał do Norymbergi, narażony był na srogie prześladowanie, wywołane przez zazdrosnych tamtejszych rzeźbiarzy.



Płyta na grobowcu św. Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Takie wrażenie i takie rozrywki urozmaicały Stefko — wi czas spędzany na okręcie. Dnie mijały szybko, bo by-

ły do siebie podobne, jak dwie krople wody. Tej wody przelewającej się falami pod śrubą Halifaksa zaczynał mieć już dosyć. Jego energiczna natura pragnęła zmiany i ruchu. Nudziła zwłaszcza chłopca wieczna kołysanka okrętu. Podróż morzem przypomina podróż senną po śnieżnych wybojach. Statek chylił się w głąb i znów podnosi kadłub. Jedziesz z góry, a potem na górę, cicho, bez turkotu kół. To że ta góra jest wodną otchłanią, nie wpływa wcale na zmianę położenia, bo fala nie ugnie się pod okrętem. Bałwan bierze statek na barki, zsuwa go z siebie i podaje drugiej fali. Tak płynie okręt aż do zamierzonego celu podróży... niekiedy, na piaszczyste dno oceanu. Zdarza się to, zdarza. Podwodny ląd usiany jest szczątkami rozbitych statków, od Fenickich i Greckich łodzi, aż do nowożytnych parowców.

Nawet Halifaks, choć doświadczony i przeorny, nie uszedł tym razem przygody. Skrzypiała śruba, wstrząsnął się przód okrętu, przestraszeni pasażerowie wybiegli na pokład, a mechanik po obejrzeniu szkody, zrzędzonej przez podwodną rafę, zdecydował, że maszynę naprawiać należy.

Wychodźcy przyjęli dość obojętnie wiadomość opóźniającą podróż o dwa tygodnie. Nie było im pilno, bo nie znali nowej ojczyzny; dobrze żywieni, korzystali przytem bardzo wiele w towarzystwie O'Cleara. Uczył ich języka portugalskiego, obznajmiał z warunkami nowego osadnictwa, uprzyjemniał pobyt na okręcie popularnymi odczytami, pokazując, z pomocą latarni magicznej, lasy, góry, i rzeki brazylijskie. Urządził nawet stałe koncerty, do których należał i Stefan. Nie zapomniał dotąd pieśni jaką wygrywały węgrowskie dzwony, a pani O'Clear rozwinęła w nim ten gust szlachetny, bo sama była prawdziwą artystką. Grywał na skrzypcach, darowanych mu przez matkę Jakóba. I tak zeszły owe dwa tygodnie przymusowego odpoczynku. Halifaks spieszył znów do celu podróży.

— Za kilka dni przepłyniemy równik — powiedział kapitan do pana O'Cleara, po witawszy go przy śniadaniu.

— Równik, któż z was nie wie, że przepływając pierwszy raz równik, doznaje się różnych przykrych niespodzianek, że jest to chwila tryumfu dla doświadczonych wilków morskich. Sprawia chrzest nowicyuszom i zwodzić będą łatwowiernych.

— Pilnujcie się dobrze, bo na równiku najłatwiej spotkać lwa, tygrysa, a nawet dwugłowego węża. Potwory będą wam broniły przejazdu — tłumaczył wychodźcom majtek.

— Patrz tylko, zobaczysz zaraz jaki to okrutny morski mur wystawili ludożercy przed równikiem, chcieli przedzielić świat na dwie równe części, prawil drugi.

Jakóba niecierpliwili żarty Anglików.

— Niech Wielka Brytania da Irlandyi prawa, jakich jest pozbawiona, a moi rodacy nie będą ciemni, nie będą tłumnie opuszczać kraju — mówił do Stefana i szedł tłumaczyć wychodźcom właściwe znaczenie równika.

— Kto Skibie i jego towarzyszom dał dobrą, z serca płynącą radę? — myślał Luty, słuchając słów Jakóba. Miał życzliwość dla Irlandzkich wychodźców ale tęsknił za swojemi. Tak dawno nie słyszał gwaru polskiej mowy, tak się czuł dalekim od miejsc, do których przywykł w dzieciństwie. Stawały mu się one z każdą chwilą droższe; malały wspomnienia doznanych przykrości a rósł urok niepowrotnie minionych chwil.

I Stefan, spragniony pociechy, jaką daje towarzystwo starego znajomego, szedł do Leona, ale Leon nie odzyskał dotąd dawnych zdolności i energii.

Czy odzyska je kiedykolwiek? — na to nawet lekarz nie umiał odpowiedzieć. Mijały tygodnie a Ziemiak patrzył wciąż bezmyślnie. Jego oczy ożywiały się tylko na widok Stefana, a po każdej usłudze otrzymanej lub spełnionej z największą gotowością, kurczył się jak winowajca i mruzczał ze skruchą.

— Nie zabiłem, nie zabiłem!

Powtarzał tak często te dwa wyrazy, że służba okrętowa знаła go już pod tą nazwą.

— Nie zabił obierz kartofle, Niezabił umyć szklanki — wołano jak tylko uchylił drzwi kuchni, gdzie przebywał najchętniej. I biedny Niezabił służył pokornie wszystkim, znosząc obojętnie żarty marynarzy.

— Co będzie, gdy dopłyniemy do Brazylii? myślał Stefan patrząc na Ziemiaka, który nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie jest, ani dokąd jedzie.

Płynął zaś Halifaks dzień i noc ku Amerykańskim brzegom, były one już tak blisko, że marynarze wskazywali przez lunetę pojedyncze miejscowości.

— Mijamy teraz stan Rio grande del Norte, objaśniał Stefana grzeczny sternik — tu na wschodnim krańcu Brazylii będzie zaraz port Parahyba, dalej Pernambuco, a za kilka godzin przepłyniemy obok ujścia rzeki Świętego Franciszka.

— Wielka rzeka, wielka, choć przecie dużo mniejsza od Amazonki, ale tej pan nie zobaczysz, bo ona przerzyna wszczep północną Brazylię. Tam gdzie San Francisco w pada do oceanu, woda na milę morską wcale nie jest słona, mówi inny bywalec i opowiada dalej jakto odnoga Bahia, którą także zowią odnogą Zbawiciela, wrzyna się głęboko w ląd, jakie kwiecie tworzy wysepki.

— A już co najwięcej warte podziwu, to te setki rzek, które spływają z gór do morza jedna obok drugiej. Bo trzeba ci wiedzieć, młody panie, że Brazylia jest krajem gór i źródeł. Lecą one ku oceanowi z takim rozpędem, że ledwie miniesz jedno ujście, już ci nowy wodospad zagroził drogę.

Kraj gór! Właśnie góry Stefan najbardziej pragnął zobaczyć, on wychowaniec wielkopolskich równin. Ale choć wskazywano mu je na horyzoncie, nie dojrzeć nie był w stanie, nie mogli ich dojrzeć i wychodźcy. Znużeni przedłużającą się podróżą, z utęsknieniem wyglądali lądu.

Aż po długim i bezcelowym wypatrywaniu powiedziano nareszcie biedakom, że jutro już ujrzą sami ziemię, tę ziemię, której bali się nie znając, a która zastąpić im miała oddalony, ukochany kraj ojczysty.

I ujrzeni ją też istotnie w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, a była tak piękna, że olśniła zdumione oczy Stefana.

Bo przystań w Rio Janeiro to prawdziwy cud przyrody.

— Na ląd, na ląd wołali wygnańcy, oczarowani widokiem, który się rozciągał przed ich oczami.

Słońce wypłynęło już z po za dalekich krańców oceanu i oświeciło zatokę, otuloną wodnymi oparami. Zatokę otacza zębate pasmo skał. Takim samym pierścieniem za-

mykają Tatry, klejnot naszych gór, Morskie Oko. Tylko zatoka w Rio jest nieporównanie większą od tatrzańskiego jeziora. Skały też tu inne niż nad Czarnym Dunajcem. Sterczy pomiędzy niemi wysoka Pao d'assucar, co w dosłownem tłumaczeniu znaczy głowa cukru, bo góra przypomina ją kształtem.

— Wygląda jak wielki naparstek — mówi pracowita Irlandka, wskazując palcem na skałę i porównanie jest także trafne. Miasto Rio tonie w zieleni. Rozsiadło się po nad zatoką i patrzy z wysoka na okręty przywożące mu nowych mieszkańców.

Na pokładzie Halifaksa od wychodźców rojno, Jakób nie odstępował ziemi bo odczuwał razem z nimi ważność chwili. Dotąd wieziono i żywiono kolonistę, teraz sami myśleć muszą o sobie i rodzinie. To też troska zachmurzyła twarze emigrantów. Wyciągają ręce do ziemi brazylijskiej tłumy nędzą wygnane z kraju. Będziesz im ona macocha, czy matką karmicielką?

Okręt zbliża się coraz więcej do brzegu. Płynie około niego mnóstwo małych łódek. Na jednej z nich przyjeżdża komisya sanitarna dla zbadania zdrowia pasażerów. Szczęściem stan załogi Halifaksa jest zupełnie pomyślny, a nawet i Leon stoi na pokładzie a doktor zaręcza, że wysiąść może. Wysiąść tak, ale gdzie pójdzie biedny idyota nie zdający sobie sprawy z ważności chwili?

— Niezabił zabieraj płaszcz — woła młody mitschipman zarzucając na plecy Ziemiaka jego bremeńską jeszcze odzież.

— A uściskaj kapitana, byłoby mu przykro, gdyby nie pożegnał go tak znakomity pasażer — dodaje pędząc za innemi na ląd. Leon nie rozumiał szyderstwa, nie odpowiedział też na nie. Patrzy-bezradnie na opróżniający się statek. W jego wystraszonych oczach jest niema prośba. Kto da mu radę, kto nauczy gdzie się ma udać, a raczej kto weźmie na siebie ciężar opieki nad niedołążnym.

— Nie zabiłem, nie zabiłem, powtarza kurcząc się i drżąc ze strachu przed nową zmianą warunków życia.

— Prędej Stefanie — woła Jakób, schodząc po schodach ku parowcowi, który wozził Irlandzkich emigrantów na wyspę kwiatów (Ilha das Flores).

— Chodź ze mną — powiedział Stefan do Leona i dwaj wychowańcy Werębka opuścili razem okręt.

Halifaks został w przystani. Wróci za kilka tygodni do portu, gdzie go zbudowano. A co się stanie z rozbitkami życia, których przywiózł na swym pokładzie?

Rozdział XII

Ilha das Flores. — Barak. — Pracznia — Opowiadanie Marcinowej. — Minas Geraes. — Powrót do Rio. — Dom Pedro II. — John Clarke. — Czem walczy Irlandia. — Sixteenlots. — Zgiełk — Wystrzały. — Mulat. — Ilumińczyka. — Jaszczurki.

Ilha das Flores, wyspa kwiatów, podłożna góra wystająca z nad zatoki. Pokryta przepyszną roślinnością, oddalona jest o niecałą godzinę drogi od Rio. Na stoku góry stoi dom dyrektora stacyi, poniżej długie budynki, zwane barakami. Budynki te służą za mieszkanie dla emigrantów przybyłych z Europy. Tam czekają oni, póki rząd brazylijski nie wyznaczy im ziemi w głębi kraju. Emigrantowi wolno wprawdzie wybierać miejsce osiedlenia, mało który z tych biedaków wie jednak, gdzie się ma udać.

Wiedział to pan O'Clear, to też partya wychodźców Irlandzkich znalazła odrazu pomieszczenie w najlepszym baraku. Stefan zostawił w nim także Leona, a sam, czekając na Jakóba, zeszedł po kamiennych schodach aż nad brzeg morza. Drżały mu nogi, bo chociaż od godziny był już na stałym lądzie, doznawał uczucia, jakgdyby ziemia pochylała się i skakała, jak skakał dotąd okręt. W ustach czuł smak soli, którą przesiąkło jego ubranie, a oczy znużone jednostajnym widokiem morza, napawał cudną zielonością palm. To, co widział wyglądało jak czarowne złudzenie.

Opuścił Anglię w późnej jesieni, pożółkłe liście zasypywały niedawno szerokie aleje londyńskich parków, a on oddychał tu wonią najcudniejszych roślin. Znał nawet ten kwiat li-liowo ponsowy, który spadał purpurowymi kroplami z gałęzi. Takie same widywał na plebanii w Wągrowcu, nazywano je fuksyami, ale tu fuksye wyrastały w wysokie krzewy. Wiotkie gałązki zdawały się płakać krwawymi łzami.

— Alboż płacze kto w tym kraju? — myślał Stefan patrząc na wspaniałą panoramę Rio. Wśród obrosłych zielonością gór piętrzyły się białe pałace, tu i owdzie strzelała w niebo wieża kościoła, a niebieska toń zatoki odbijała w sobie palmy, góry, pałace i kościoły.

— Tu wszyscy muszą być szczęśliwi — powtórzył Luty, idąc dalej. Trafił na szeroki strumień, który wpadał do oceanu. Kilka kobiet prało w nim kijankami grube lniane płótno. Stefan znał muzykę kijanek, słyszał ją tyle razy nad Wełną w Wągrowcu, znał i strój praczek, nawet ich twarze nie wydały mu się obce.

— O la Boga! a toż to ten pan, co tak sprawiedliwie wykalkulował rachunek w Goślinie — zawołała jedna z kobiet, rzucając kijankę. Stefan oniemiał. Na drugiej półkuli, na końcu świata, witano go jak znajomego, witano tak dawno nie słyszaną polską mowę. Skoczył ku praczkom, schwytał rękę tej, która pierwsza go poznała i ścisnął serdecznie w swoich dłoniach. Zdawało mu się w tej chwili, że wszystko co przeżył od opuszczenia Wągrowca było snem, że jest znów między swojemi, tam gdzie nad zaśniewionem polem świszcze teraz grudniowy wiatr.

— Że też i panicza tu namówili — zawołała stara kobiecina z żalem i goryczą. Widok Stefana przypomniał jej wyjazd z kraju. Dwie wielkie łzy potoczyły się po twarzy wieśniaczki, nie wyrzekła ani słowa, kiwała tylko głową w niemym żalu.

— Tak, tak, tak — zdawała się mówić ta biedna, trzęsąca się, białym włosem pokryta głowa — jestem na krańcu świata, między obcymi, sama, sama, sama!

— Co tu robicie? gdzie wasi? — pytał Stefan, ale ona głosu z piersi wydobyć nie mogła. Zamarła w biedacze nawet skarga, jak zamarły wszystkie kochania. Dzieci posnęły na okręcie, nie zniosły przeprawy, męża zabrała żółta febra, została tylko ona jedna.

— Gdzież Wojciech Skiba? — pytał znów Stefan.

Sasiadka Marcinowej pospieszyła z odpowiedzią. Była młodsza, silniejsza i jej mąż zarabiał przy fabryce na przedmieściu. Działo się im dobrze, chociaż nie mając ziemi, tej ziemi upragnionej przez kolonistów, marzyli tylko o powrocie.

— Wojciech? A bo to pozna pan Wojciecha? zcierał się, zmarniał, czarny od chudości, jak nieprzymierzając ci murzyni, co ich tu za ludzi mają, chociaż oni wcale do chrzczonego człowieka nie podobni. Wojciechowi najgorzej nasi pomstują, że za morze namawiał, to się teraz kryje po kątach i sumuje sam w sobie okrutnie.

— Ale wy tu już dawno jesteście, dlaczego zostaliście w mieście, przecież ziemię mieli wam dawać?

— Ziemię! — jęknęła Marcinowa, odzyskując moc nad sobą. Toż dali nam niby tę ziemię i poszliśwa wszyscy zakładać kolonię. Ale cóż się pokazało. Anglikański i Niemiecki naród zaprowadzono na dobre grunta, bo za nimi miał się kto upomnieć, a o nas chudziaków nie stał nikt, to też Bryzoliany wyznaczali nam ziemię w Minas Geraes. Jak mój ujrzał tamtejsze skały, to aż się za głowę schwytał i zapłakał, bo nic nie było paniczu, tylko kamienie i kamienie. Ja mu chciałam przeperswadować a on wciąż lamentował, jako, że pewnikiem przeczuwał śmierć. I zagrzebałam go w tych kamieniskach na takim szczyrym słonku, co każdą traweczkę wypali.

— Biedacy! — zawołał Stefan z współczuciem.

— Oj biedna ja biedna, paniczu! Osmioro nas było z jednego krza, tamci wszyscy na koloniach w kraju zostali, a mnie na to przyszło, żem żadnemu ze swoich nie mogła świętej ziemi na trumnę nasypać. Dzieciska do morza

rybom na pożarcie rzucić kazali, a mój leży pod kamieniami, jak nie przymierzając ten kulawy pies, co go złe chłopcy u nas bryłami zarzucają.

— I z Minas Geraes wróciliście tu?

— Juści, że tu, a gdzież zaś pójść mieliśmy? Wróciliśwa do Ryja, to tak se mówimy, że zawsze miło choć na to morze popatrzeć. Jak słoneczko wschodzi, to jeden albo drugi powiada, że ono od naszych stron idzie, i zaraz człowiekowi robi się lżej na sercu. Tam w Geraes zostali tylko ci, których żółta febra zmogła, reszta uciekła z duszą a teraz mrze głodem w porcie.

— Gdzie mógłbym spotkać całą waszą gromadę — Wojciecha pytał Stefan.

— Gdzie? A chyba najlepiej w barakach w Izabel, bo tam najwięcej naszych nocuje. Ja się tu dostałam za praczkę przy tych, co w fabryce pracują. W Izabel są dzieci, to mnie okrutnie tęskność zbiera.

Marcinowa obtarła oczy rękawem i chwyciła za kijankę, a Stefan stał odurzony tem, co słyszał z ust wdowy.

— Jak radzić gromadzie bezbronnym biedaków? Toż nie wiedział jeszcze czy znajdzie zarobek, a musiał zając się losem Leona. Nie mógł z rzucać na barki O'Cleara obowiązku opieki nad polskimi emigrantami. Bo mówił on, że zanoszą się na wielkie zmiany w Anglii, i że nie wie jeszcze jak walczyć mu przyjdzie, słowem w Londyńskim parlamencie, czy siekierą w Brazylijskiej puszczy.

Ale jeśli Marcinowa mówiła prawdę, to na Amerykańskim brzegu dzieją się straszne rzeczy. Myślał przed chwilą, że w tym cudnym kraju nikt nie płacze, czemu jednak zapomnieli o ludziach, którzy wszędzie znaczą krwawymi łzami swoje drogi, jak znaczył je żyd wieczny tułacz. Byli mu oni bliscy a ginęli, bo nie mieli przewodnika i opiekuna. Czyż mógł co na to poradzić? Umie tak mało. Umie jednak stokroć więcej od ciemnej rzeszy. To co? to pójść z nimi i pogrzebać młodość w mozolnej pracy?

— Nie, nie, nie! — zawołał głośno Stefan. Chciał zagłuszyć pokusę poświęcenia więc pobiegł do Jakóba. Ale opowiadanie Marcinowej wgrzyzło mu się głęboko w serce i nasuwało coraz nowe myśli.

(d. c. n.)

AKADEMIA MILCZĄCYCH.

W perskiem mieście Akademii istniało niegdyś towarzystwo uczonych, noszące nazwę *Akademii uczonych*. Członkom jego zaleconem bywało, aby wiele myśleli, mało pisali, a jak najmniej mówili. W całej Persyi nie było uczonego, któryby nie pragnął zaszczytu należenia do tej Akademii; lecz ustawy jej nie pozwalały przyjęcia większej liczby nad stu członków i dopiero po zgonie jednego, miejsce opróżnione mogło być udzielone komu innemu.

Doktor Zeba, wsławiony autor bardzo uczonego dzieła, dowiedziawszy się raz o wakującem w akademii miejscu, z dalekich stron pospieszył do Akademii, a stanawszy u drzwi akademii, wręczył prezydentowi następującej treści pismo:

„Zeb prosi o miejsce w akademii.”

Niestety, było już za późno; właśnie obrano nowego członka; zgromadzenie żałuje niezmiernie, że tak zasłużonemu mężowi odmówną dać musi odpowiedź, a prezydent chcąc w najmniej przykry sposób odpowiedź tę Zebowi objawić, kazał przed sobą na stole postawić czarę i napełnić ją wodą, tak, aby jedna kropelka więcej zmieścić się w niej nie mogła; poczem wydał rozkaz zaproszenia Zeba do sali posiedzeń.

Gdy Zeb wszedł, prezydent wstał i nie rzekłszy słowa, wskazał na czarę. Zeb zrozumiał, zaczął więc nad tem rozmyślać, jakimby sposobem mógł przekonać, że przyjęcie

jeszcze jednego członka nie zrobi żadnej krzywdy akademii. Wtem spostrzegł na ziemi leżący listeczek róży, podnosi go więc i wpuszcza do czary z wodą, tak ostrożnie, że ani kropla jej nie spłynęła. To dowcipne i zupełnie z duchem zasad zgodne znalezienie się, zdawało się akademikowi zasługiwać na przekroczenie wyjątkowo artykułu ustawy jakoż jednogłośnie uchwalono przyjęcie Zeba.

Wedle zwyczaju, nowo-przyjęty powinien był wpisać swe imię do księgi i podziękować za zaszczyt. Uczony Zeb nie wyrzekłszy ani słowa zapisał imię swoje i pod nim nakreślił liczbami 100, (gdyż tylu było członków akademii przed jego przybyciem); a przed liczbą 1, zapisał zero, 0100, co miało znaczyć, „że nie ubyło ani przybyło akademii żadnej wartości.” Prezydent przeczytawszy to, odpowiedział sposobem następującym: położył 1 przed liczbą 100, i zrobiło się 1100, co miało znowu znaczyć, że dziesięćkroć wartość akademii się powiększyła.

Jak się obchodzić z zegarkiem?

Miłym i oczekiwanym niecierpliwie podarkiem bywa zegarek. Często jednak pierwszy zegarek staje się źródłem smutku, psuje się, skutkiem niedbalstwa lub nieumiejętnego obchodzenia się z tym delikatnym, wrażliwym przyrządem. Dlatego dajemy naszym czytelnikom wiązanek rad: jak się obchodzić z zegarkiem.

1) Zegarek nakręcać należy raz tylko na dobę, zawsze o jednej godzinie, najlepiej przed udaniem się na spacer.

2) Nie należy nigdy kłaść zegarka na chłodną powierzchnię, marmur, kamień ani w pobliżu ciała chłodnego. Zegarek winien mieć zawsze położenie pionowe, jakie ma w kieszeni, przy noszeniu. Wszelka wilgoć i gwałtowne potrząsanie szkodzi zegarkom.

3) Koperty winny szczelnie przylegać do zegarka. Najlepiej trzymać go w futerale ze skórki zamiszowej.

4) Nie wolno otwierać koperty, pokrywającej mechanizm wewnętrzny, gdyż kurz niezmiernie go psuje.

5) Jeśli zegarek nakręca się kluczykiem, to nie trzeba nigdy nakręcać go na otwartem powietrzu. Kluczyk musi być ściśle dopasowany.

6) Co dwa lub trzy lata należy oddać zegarek do dobrego zegarmistrza, do oczyszczenia; w przeciwnym razie mechanizm prędko ulega zniszczeniu.

Wewnątrz każdego zegarka znajduje się strzałka ruchoma, przymocowana do podstawki, na której końcach wyrze są wyrazy: *avance* (pośpieszać), lub *retard* (opóźniać), lub pierwsze litery: *a* i *r*. Jeżeli zegar się spieszy, należy posunąć strzałkę w stronę *retard* o jedną kreskę, a przeciwnie gdy się opóźnia. Należy to czynić niezmiernie ostrożnie, lepiej nawet powierzyć tę czynność osobie star-

szej. Potem trzeba czekać przez dobę na skutek. Jeśli zegar jeszcze się spieszy, to wypada o jedną kreskę posunąć strzałkę w stronę *retard*, jeżeli zaś zacznie się spóźniać, to cofnąć w stronę *avance*. Zwie się to regulowaniem zegarka, a najlepiej dokonywane bywa przez zegarmistrza.

S Z A R A D A.

Bardzo często się zdarza wśród ludzi na świecie,
Że ktoś na złem zdybany spierze *drugie trzecie*.
Obok czego nadzieja śmieje się nie słodka,
Że za spotkany figiel *trzecie pierwsze* spotka.
Drugie samo w przysłowiu tej sławy używa,
Że jakoś wszystkim ludziom najlepiej w niem bywa.
A kiedy przed nim *pierwsze* na czele osiedzie,
To miasto gubernialne razem z tego będzie.
Wszystko wraz rzeka splawna, choć niewielka wcale,
Co do wspaniałej Wisły swoje niesie fale.

PROZA DO PRZEROBIECIA NA WERSZE.

uł. Zajązek.

Podkowa zagrzmiała, konie zarżały, to śród parowa jadą trzej rycerze, zjechali, stoją, a pierwszy z rycerzy krzyknie i w trąbkę mosiężną uderzy, potem raz drugi i trzeci uderzył, rogami z baszty odpowiada mu strażnik, pochodnia zaświeci, wrzuciądz brzękły i z łoskotem opada most zwodzony.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go.

Szarady: Dzień — dobry.

Łamigłówki w kwadracie:

T	r	a	b	k	a
m	u	r	z	y	n
n	a	r	c	y	z
o	b	e	c	n	y
p	r	o	m	y	k
G	a	l	e	r	a

6-cio klasowy zakład naukowy żeński S. TOŁWIŃSKIEJ

z dniem 1-m Lipca 1902 roku przeniesiony zostaje z ulicy Chmielnej 48, róg Zielnej, do specjalnie na ten cel wybudowanego gmachu przy ulicy

Św. Barbary Nr. 4.

Egzaminy przedwakacyjne dla nowowstępujących uczennic trwać będą od 10 Maja do 4 Czerwca.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Kądziel, wiersz przez Józefa Jankowskiego (z ryc.) — Co wiemy o księżycu, przez St. Kramsztyka (z ryc.) — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Grobowiec św. Wojciecha (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Akademia milczących. — Jak się obchodzić z zegarkiem. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno (z ryc.) — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez M. Weryho (z ryc.) — Teczka do gazet. — Co serduszek mówiło przez Janusza. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

MATKA BOSKA
CZĘSTOCHOWSKA
Z CHÓREM ANIOŁÓW.

W KOŚCIELE
Św. ANTONIEGO
W PADWIE.



M A J.

Gdzie wzrok zwrócić, dookoła
Istny z kwiatów raj:
Już w zieleni wszystkie sioda,
Już na dworze maj.

Ledwo słońce się wychyli
Ponad dachy chat,
Wnet wybiega rój motyli
Róż otoczyć kwiat.

Ten zaś, rosą orzeźwiony,
Zwraca kielich doń;
Cichy wietrzyk na wsze strony
Miłą niesie woń.

Bystry strumyk bieży z góry,
Pośród wonnych bzów,
Głosi słowik szaro pióry
Swoją pieśń bez słów.

Przed Królową niebios,
Brzmi aniołów chór,
I wraz hymny radosnemi
Czei Ją wszelki twór.

Przed obrazem Matki Boskiej
Istny z kwiatów gaj:
Bo w zieleni wszystkie wioski,—
To Jej miesiąc maj!

A. Ł.

Sprawozdanie z konkursu kaligrafii. — Patrz Dodatek.

St. Kramosztyk.

CO WIEMY O KSIĘŻYCU?

III

Już z tego, co mówiliśmy o obrocie wirowym księżycy i o ukształtowaniu jego powierzchni, widzimy, jak dalece odrębny jest świat ten od naszej bryły ziemskiej, ale większą jeszcze różnicę sprowadza brak na księżycu powietrza, otaczającej go atmosfery. O tym braku przekonywamy się zwłaszcza, gdy księżyc zasłania nam, czyli zakrywa jakąkolwiek gwiazdkę, w tym razie bowiem gwiazdka, kryjąc się za tarczą księżycy, gaśnie nam nagle; gdyby zaś otoczony był atmosferą, jużby ona tłumiała w części blask gwiazdy, stopniowo, zanim stracilibyśmy ją z oczu zupełnie. Jeżeli zresztą księżyc posiada jakąkolwiek powłokę gazową, to jest ona tak rozrzedzona, że wpływu wyraźnego nie wywiera.

Skoro zaś wiemy, że księżyc nie posiada atmosfery, możemy też twierdzić stanowczo, że brak tam i wody w stanie ciekłym. Wiemy to bowiem, że w morzach, jeziorach i rzekach naszych woda utrzymuje się jedynynie pod naciskiem powietrza. Gdyby osobiwa jakaś potęga zdmuchnęła powietrze z ziemi, woda w oceanach, jakkolwiek zimna, zagotowałaby się natychmiast, przeszłaby bezwzględnie w stan lotny i utworzyła atmosferę pary wodnej. Gdzie zatem niema atmosfery, nie ma tem samem i wody. Gdyby zresztą istniała na księżycu woda i para wodna, musiałyby się niekiedy rozwijać chmury, któreby maciły czystość powierzchni księżycy, a tego przecież nie dostrzegamy nigdy. Wiadomo każdemu, że piękny błękit niebieski, rozpościerający się po nad nami, jest przez atmosferę wywołany. Jestto barwa powietrzna, ponad księżycem natomiast, gdzie brak atmosfery, rozlega się otchłań czarna, a obok słońca, pełnym blaskiem jaśniejącego, widzieć można gwiazdy, jak u nas podczas czarnej nocy. U nas i w cieniu nie jest ciemno, powietrze bowiem rozprasza i rozrzuca promienie światła na wszystkie strony; na księżycu zaś oświetlone są te tylko przedmioty, na które bezpośrednio padają promienie słoneczne, a za każdą przegrodą ciemność panuje najzupełniejsza. Zorza nie rozjaśnia tam nigdy czarnego nieba, nie rozjaśnia go stopniowo jutrzienka przed wschodem słońca, ani po zachodzie słońca, zmierzch nie zapada zwolna, wszystko to bowiem sprowadza nam atmosfera; po czarnej nocy rozpala się nagle na księżycu dzień jasny, a gdy słońce zachodzi, natychmiast zalega ciemność, o jakiej wyobrażenie dają nam zaledwie najciemniejsze nasze zimowe noce.

Bardziej jeszcze uderzające różnice tyczą się ogrzewania księżycy przez promienie słoneczne. Przypomnijmy sobie, że dnie i noce są tam 15 razy dłuższe, aniżeli u nas, każdy więc punkt księżycy przez ciąg naszych dni 15 zwrócony jest ku słońcu, a przez ciąg następnych dni 15 pomrokiem się nocną zakrywa. W ciągu dnia tak długiego promienie słoneczne prażą powierzchnię jego ustawicznie w pełnym swem natężeniu, nie są bowiem, jak na ziemi, osłabione pochłanianiem atmosferycznym, gdy znów w ciągu równie długiej nocy powierzchnia ta stygnie bezustannie, sprowadzając oziębienie tem silniejsze, że nocnego tego stygnięcia wpływ atmosfery również nie powstrzymuje.

Atmosfera nasza jest regulatorem ciepła, nie dozwala ziemi nadmiernie ogrzewać się za dnia, ani też doszczętnie stygnąć w nocy. Na księżycu nie ma osłony tak dobroczynnej, a stąd między temperaturą dnia i nocy zachodzi tam zapewne ogromna, niepojęta dla nas różnica. Taką samą różnicą wszakże występuje i za dnia w miejscach przez słońce oświetlonych i w miejscach w cieniu pograżonych. Na ziemi jest w cieniu chłodniej wprawdzie, aniżeli

w słońcu, ale zbyt tam nie ziębniemy, owiewa nas bowiem powietrze ogrzane; na księżycu, ktoby przed skwarem słonecznym schronić się chciał w cień, przez którąkolwiek górę rzucony, napotkałby zimno straszniejsze, aniżeli mrozy ziemskich okolic biegunowych.

Mieszkaniec ziemi, na księżyc zagnany, nie byłby z pobytu tego zadowolony, nie mógłby się tam zresztą ani przez krótką chwilę utrzymać. Sądziłi niegdyś niektórzy pisarze, że na księżycu istnieją jacyś właściwi mu mieszkańcy, „selenici” (z greckiego „selene” księżyc), różni od ludzi ziemskich, a do warunków bytu na księżycu przystosowani. Warunków tych jednak wówczas nie znano; dziś, gdy je znamy lepiej, nie wydaje się możebnem, by tam jakiegokolwiek istoty żyjącej przebywać mogły. Najniższe nawet zwierzęta i rośliny najprostsze, jakie tu na ziemi znamy, nie mogłyby się na księżycu rozwinąć.

Powierzchnia księżycy przedstawia wyraźne ślady potężnej niegdyś działalności wulkanicznej, ale wulkany te dawno już wygasły, działalność ich przebrzmiała. Księżyc jestto obecnie świat zamarły, są to zwłoki planety, unoszące się nad ziemią.

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Cyganka się zaśmiała tak głośno, że jej śmiech dzieci na dziedzińcu przed dworem usłyszały.

— Dziesięć rubli? Pan dziedzic żartuje! Ja za dziesięć rubli miałabym zdradzić moich towarzyszy, moich kochanych braci i siostry, moich cyganów rodzonych? Za kogo mnie pan dziedzic ma?

— Ale za wyższą sumę możesz zdradzić cyganów rodzonych?

— Mogę, bo ich zabrali do więzienia! Oni tej nocy pieniędzy nie odkopią i mojej zdrady nie odkryją!

— Aa... to dla tego możesz?

— Dla tego, jaśnie dziedzicu kochany, dla tego! a także dla tego, że ja jaśnie dziedzica tak polubiłam, jak gdyby jaśnie dziedzic był mi rodzonym...

— Dobrze, dobrze, uczyni to, dla czego chcesz! Przykro mi przyjmować twoją podłą zdradę względem współbraci, ale oni nie więcej wari od ciebie, pieniądze zaś są skradzione i powinny być zwrócone właścicielowi. Więc ile chcesz za odkrycie mi tajemnicy?

Poczęło się tych dwoje ludzi, z których jedno było wyrzutkiem społeczeństwa, a drugie jednym z najszlachetniejszych jego członków, targować ząb za ząb. Cyganka chciała z początku dostać ośmdziesiąt rubli, profesor od dziesięciu rubli postępował powoli w górę i dawał już trzydzieści. Ale był jeden warunek nieodzowny, bez którego cyganka nic uczynić nie mogła:

— Nie powiem gdzie pieniądze — mówiła — jeżeli jaśnie dziedzic choć grosz z nich weźmie na zapłacenie mojej dobroci. Całe sto dziewięćdziesiąt pięć rubli jaśnie dziedzic odda furmanowi, a mnie zapłaci swojemi pieniędzmi!

— Zapewne takbym w każdym razie uczynił, ale dla czego ten warunek?

— Dla czego? a dla tego, żeby się moi bracia nie dowiedzieli, że ja ich zdradziłam. Jaśnie dziedzic mi to przysięgnie, że nikt nie będzie wiedział ani o naszej rozmowie, ani skąd się wzięły pieniądze. Jaśnie dziedzic powie to, co ja każę!

Profesor się uśmiechnął i ruszył ramionami z politowaniem.

— Jaśnie dziedzic będzie mówił, że wyszedł sobie na spacer w nocy, bo spać nie mógł, i że jakiś człowiek nieznajomy oddał jaśnie dziedzicowi pieniądze.

— Tego nie powiem, bo kłamać nie mogę; ale mogę nie mówić. Oddam furmanowi pieniądze, gdyby zaś mię pytano, powiem, że nie wyjawić nie mogę.

Rozpoczął się targ na nowo; cyganka już się oddalała powtarzając, że ustąpić nie może, lecz profesor wycedził przez zęby:

— Trzydzieści pięć rubli!

— Nie mogę, nie mogę! Droższe mi życie niż trzydzieści pięć rubli. Cyganie, gdyby się domyśliłi mojej zdrady, toby mię udusili jak kociaka!

— Warta jesteś szubienicy, to prawda!

— Ja dla mego synka, co za nauką aż ginie i kłamać nie umie! Na przyodziewek dla mego synka!

— Daj pokój kłamstwu. Już sprawa między nami skończona!

Lecz gdy cyganka wyrzekając i mówiąc o zapale synka do nauki, oddalić się miała, profesor powoli, lecz dobitnie wymówił:

— Czterdzieści rubli!

Odwróciła się.

— Oh, czemuż ja sama tych pieniędzy odkopać nie mogę — zawołała. — Miałabym sto dziewięćdziesiąt pięć rubli dla syneczka mego złotego!

— A prawda! Czemuż nie odkopiesz sama pieniędzy?

— Aha! — zawołała. — Cyganie mają dobry nos! Zwietrzyłby odrazu u mnie swoje dobro, a choćbym od nich na koniec świata uciekła, toby mię dogнали!

Przypadła znowu do profesora:

— Już wiem, już wiem! Mój dziedzicu złoty, mój panie kochany, ja pieniądze odkopię i podzielę się nimi z jaśnie dziedzicem, ale jaśnie dziedzic moją połowę u siebie schowa. Za rok, albo za dwa, jak już cyganie o pieniądzech zapomną, ja przyjdę do jaśnie dziedzica po swoją połowę...

— Oszalałaś kobieto! Ty chcesz, żebym ja kradzione pieniądze przechowywał! Idź precz, nawet nie jesteś w stanie zrozumieć, co jest uczciwość.

Rozgniewany profesor zawrócił ku domowi, lecz cyganka wołała za nim:

— Niech już będzie czterdzieści rubli, ale mię jaśnie dziedzic nie zdradzi! Niech jaśnie dziedzic przysięgnie mi na swego Boga!

— Żadnej przysięgi ci nie dam, ale jeżeli chcesz się zadowolnić słowem mojem...

— A jak jaśnie dziedzic mię zdradzi...

— Profesor milczał, idąc spiesźnie ku domowi. Czuł, że już miał w ręku cygankę i radował się w duchu, że choć własnych czterdzieści rubli złożyć będzie musiał, jednak pieniądze postradane Michałowi odda.

Za idącym spiesźnie profesorem biegła cyganka w strasznej walce sama z sobą. Z jednej strony czterdzieści rubli były dla niej sumą, o jakiej zaledwie marzyć mogła, z drugiej zemsta z ręki cyganów w razie niedyskrecyi pana Chlewiatki, stała przed nią jako widmo.

— No to niech już będzie czterdzieści rubli — zawołała nakoniec, — ale będzie tak: Jak się zupełnie ściemni, to pan dziedzic będzie szedł przez kartoflisko do lasu. Ja pana dziedzica dostrzegę i w lesie przy panu dziedzicu stanę. Pójdziemy razem do tego miejsca, gdzie są pieniądze, nie będziemy z sobą mówili ani słowa, żeby kto nie usłyszał ludzkiego głosu. Potem ja pana dziedzica zostawię przy robocie, a sama pójdę do swoich, żeby czego złego o mnie nie myśleli.

Układ stanął, a pan Chlewiatko powrócił do domu z miną tak gestą, że Zdzisł rzekł do Józia:

— Pan profesor tak wygląda, jak gdyby wracał z pola bitwy z puklerzem w ręku.

VIII.

Wszyscy zgromadzili się na kolację w stołowym pokoju, do którego, zmęczony robieniem długich rachunków, ostatni wszedł pan Zabrzęski. Dzieci opadły go jak stado ptaków.

— Moją karteczkę wyciągnął Jańcio! — wołała Alusia. — Tatuńciu, moją karteczkę!

— Prawda tatuńciu, że to nie ładne imię Paździorek? — rzekł Jańcio, gramoląc się na swoje wysokie krzesło, stojące obok krzesła ojca.

— Paździorek? Co to jest Paździorek?

— To Alusia wymyśliła i jej kartkę wyciągnąłem.

— Tak się stało i już niema czego żałować, rzekł Józio.

— Ale wytłómaczcie mi o co chodzi? Poproście nie rozumiem!

— Pewno i mamie się to imię nie podoba! — rzekł Zdzisł.

Nareszcie Zosia przysłała do słowa i wytłómaczyła ojcu o co chodzi.

— Więc zanosicie do mnie prośbę, żeby to źrebiątko nazywało się *Paździorek*?

— Tak, tak! — zawołała Alusia.

— Ja chciałem żeby był *Odysej* i pan profesor też tego samego chciał — rzekł Jańcio.

— *Odysej*? To już nie ty wymyśliłeś!

— Nie ja wymyśliłem, ale ja chciałem!

— Otóż kiedyście się zdali na los, a los rozstrzygnął rzecz wedle pragnień Alusi, więc wszyscy musicie się zgodzić w tej samej prośbie, której ja czynię zadosyć. Niech żyje Paździorek!

Panna Four była oburzona gdy jej powiedziano imię małego źrebiątka.

— To trzeba sobie język wywichnąć takim imieniem! — wołała po francusku — *Pazzorek*? Cóż to za dźwięki? Są takie ładne wyrazy polskie! Czemu jednego z takich nie użyć?

— Więc co by pani za imię polskie wybrała? — zapytał pan Chlewiatko, któremu zawsze przychodziła ochota posprzecznać się z panną Four, gdy chodziło o dźwięki języka polskiego.

— Naprzykład *Galareta*. To śliczny wyraz!

— Ale nie można konika nazwać...

— Albo *Zegarek*.

Przy stole radość była ogólna z propozycyi panny Four, a profesorowi, patrzącemu na Francuskę, przypomniał się flakonik, który miał w kieszeni. Wypowiedział więc po francusku kwiecistą mowę, przy której panna Four aż oczy mrużyła, tak jej uszy i nerwy cierpiały z powodu sarmackiej francuszczyzny, której wysłuchać musiała. Pan Chlewiatko wydarzenie z flakonikiem ubrał w poetyczną bajkę. Opowiadał, że w lesie spotkały go trzy wróżki, które oddały mu pewien przedmiot, a z nim połączyły zagadkę: Jedna mu powiedziała: żeby ten przedmiot oddał takiej osobie, która ogromnie swoją ojczyznę kocha. Druga mu powiedziała: żeby go oddał takiej osobie, która patrzy na świat, ale na całym świecie widzi tylko jedno miasto. Trzecia powiedziała: że przedmiot ów miał być wręczony najspokojniejszej i najmniej obraźliwej ze wszystkich znanych profesorowi osób. Otóż on, profesor Chlewiatko, myślał długo nad zagadkowemi rozkazami wróżek i nareszcie odkrył osobę, którą wróżki miały na myśli.

Tu profesor uśmiechnął się do panny Four, przechylił się wdzięcznie, potem wyjął z kieszeni i podał jej duży klucz od swego pokoju.

— Co pan chce abym z tym kluczem robiła? — zawołała zdziwiona Francuska.

Profesor był niekontent z siebie. Począł szukać po kieszeniach... gdzież się doprawdy, mógł podziąć flakonik?

— Dzieci? Czy kto z was nie widział flakonika?

Po kolacyi zaczęło się poszukiwanie. Cienkim łeb-

kiem tkwił sobie spokojnie w dziurce od klucza w pokoju pana Chlewiatki.

Gdy dzieci spać poszły, co zwykle następowało o wpół do dziesiątej, profesor udał się do saloniku, gdzie jeszcze siedzieli: pan Zabrzęski z żoną i Zosią, która jako już nie dziecko, chodziła spać o dziesiątej. Zwykle po wieczornem rozejściu się dzieci, pana Chlewiatkę pochłaniała Odysea, nad tłumaczeniem której często późno w noc siadywał. Wejście więc jego do saloniku wydało się pani Zabrzęskiej czemś niezwykle, i to ją przestraszyło. Zerwała się niespokojnie z fotelu. Błada jej twarz oblała się rumieńcem.

— Czy który z chłopców wydał się panu niezupełnie zdrowym? — zapytała gorączkowo.

— Nie, pani, wszystkie dzieci wydają mi się zupełnie zdrowe, ale mam interes do pana Zabrzęskiego.

— Do mnie?

— Chciałem parę słów... chciałem...

Pan Zabrzęski wstał, obaj z profesorem przeszli do kancelaryi.

— Niech mi pan zechce pożyczyć swego rewolweru — rzekł przyciszonym głosem profesor.

(d. c. n.)

Jadwiga Warnkówna.

Listy z wycieczek po kraju.*)

Ojców 3/7 1901 r.



adziu moja droga!

Piszę więc z Ojcowa. Nie myśl, że zacznę od uzaleń i narzekań — to na złą, kamienistą drogę z Olkusza, to na trzęsący wózek, to na niewygodę w chacie wieśniaczej. Te strony ujemne istniały, istnieją i jeszcze pewnie długo istnieć tu będą i dawać się przy-

jezdnym we znaki. Są one jednak błahe — przynajmniej dla mnie — w porównaniu do odczuwanej rozkoszy z widoków przepysznej natury, która oczy zachwyca i duszę poi niewypowiedzianem zadowoleniem.

Ojców, jak wiesz, to dolina po obu stronach rzeczki Prądnika, wpadającej niedaleko Krakowa do Wisły. A dolinka ta wązka, niby twierdza, obwarowana po obu stronach szeregiem skał najfantastyczniejszych kształtów i gęstwiną lasów świerkowych.

Siedzę na balkonie i patrzę na najpiękniejszą część dolinki. Kąpię się cała w tej chwili w blaskach słonecznych, a skały w świetle pogodnego i gorącego dnia wydają się bielsze, drzewa zieleniejsze, wartka rzeczulka błękitniejsza, bo nieba czysty lazur w niej się odbija.

Pod skałami, lub nieco niżej na jej zboczach, przysiadły wille i domki, a do nich prowadzą drogi, ścieżki, ścieżynki,

ubite umyślnie lub wydeptane około chudych łanów zbożowych.

Tak przedstawia się ta strona Ojcowa w tej chwili: świetlana, jasna, wesoła, strojna w zieleń i kwiatów tysiące, którymi podnóża skał ubarwione. Czy wolę ten widok, czy też ten, który ujrzalam wczoraj wieczorem? Nie wiem sama.

Zmrok tu wcześniej zapada. Ledwie się słońce schowało za skały, już i zmierzchać zaczęło... Potem na szafiorowy nieboskłon wypłynął błąd księżyc, a w około niego coraz więcej gwiazd wykwitąło. Świerki pociemniały, a skałiste opoki, jak dziwaczne kolumny, świeciły z pośród gęstwiny drzew. W powodzi światła księżycowych, z tym ugwieżdżonym stropem, cała dolinka wydała mi się jakąś wspaniałą świątynią, z przepyszną kopułą i ścianami zdobnemi w najfantastyczniejsze filary. Stojąc na progu tej świątyni, trzeba się korzyć przed jej Architektem i z duszą pełną uwielbienia składać hołd Twórcy wszechrzeczy.

Cisza była głęboka, tylko Prądnik szemrał monotonicznie, trochę dalej młyn turkotał, a jeszcze dalej, gdzieś w lesie, sowa raz po raz zahuczała złowrogo, jak zły duch, mącący pokój ludzkiego serca. Wieczory tu zwykle chłodne, ale wczoraj było tak ciepło, że nawet bardzo obfita rosa nie zdołała powietrza odrazu wystudzić. Takiej rosy, jak tutaj, jeszcze nie widziałam; rośliny są poprostu nią złane, jakby deszczem ulewnym, a obsychają ledwie około południa.

Na prawo Prądnika wznoszą się dwie główne wyniosłości owej krawędzi skalnej: Świt i góra Chełmowa.

Wczoraj byliśmy na Świcie. Na samym wierzchołku wzniesiono krzyż.

Śliczny widok jest ze Świtu! Domy i domki porozrucane na tle zieleni, a Prądnik, jak pokarbowana, wąziutka wstążeczka wiję się środkiem doliny.

Naprzeciw Świtu drugi szereg skał, a na lewo, na górze ruiny dawnego zamczyska. Z daleka wyglądają one wspaniale, chociaż główna baszta nie ma już dachu i cała budowla coraz więcej się wali. Na dziedziniec zamkowy wchodzi się przez starożytną bramę ostrołukową, w której dawniej stał zapewne ołtarzyk. Dziedziniec opuszczony zarosły trawą.



Polowanie na krokodyla. (str. 143).

*) Za dwa miesiące zaczynają się wakacje i większa część naszych czytelników, opuściwszy mury miejskie, rozjedzie się po kraju na odpoczynek, dajemy im przeto zawczasu wiązanek listów z niektórymi ważniejszymi miejscowości letnich, a najpierw z uroczego Ojcowa.



Ojców. Dolina Prądnika.

Dzisiaj z rana poszliśmy na górę Zamkową.

Według podania już za czasów Bolesława Krzywoustego zbudował tu sobie Skarbimir, wojewoda krakowski, warowną siedzibę.

Spojrzałam na dół.

Niedawno założony park miły dla oka sprawiał widok; białe wille, ze starannem otoczeniem, świadczyły także, że życie krzewi się i to bujnie. Obchodząc dokoła basztę, szeroko już otwartymi oczami patrzyłam na uroczą dolinę, chcąc sobie wrazić w pamięć to, co niezmiennie, bo rękę Boga stworzone, a nie tak znikome jak dzieła ludzkie.

Onych kruchych dzieł ludzkich dosyć tu przybywa:

Od strony wjazdu z Olkusza wznosi się obszerny zakład wodo-leczniczy „Goplana,” bardzo starannie urządzone. Szkoda, że trawnik przed Goplaną zaniedbany, i że tak skąpo na nim kwiecia. Widok pięknych klombów byłby zapewne miły dla chorych, mieszkających w zakładzie, który jest dosyć oddalony od najpiękniejszej części doliny, na wstępie ci opisaną.

Są też w Ojcowie trzy hotele i różne wygodnie urządzone mieszkania, ale — gdyśmy tu przyjechali — były już wszystkie zajęte, i musieliśmy się umieścić u kmieci. Zbyt-ków w mieszkaniu nie mamy; nawet z początku najniezbędniejszych rzeczy brakowało, bo nasz gospodarz takie sprze-

ty, jak umywalnia, kubel, karafka, uważa za „grymasy” i na wstępie powiedział, że mieszkanie może wynająć i wszystko, co trzeba, dać, „byle tylko *przez* grymasów.” A czy wiesz, skąd Ojców wziął swoje nazwisko? Legenda mówi, że Łokietek, uciekając przed Czechami, chronił się w tutejszych skałach i nawet jedna z grot dotąd jaskinią Łokietkową się nazywa. Kazimierz Wielki przez pamięć, że miejscowość ta dała ojcu jego przytułek, odbudował leżący w ruinach pierwotny zamek i nazwał go Ojciec, z czego później wytworzyła się nazwa Oóców, Ojców.

Wołają mię do kąpieli, urządzonej w Prądniku około młyna. Woda zimna, że aż zęby zacisnąć trzeba, ale pod kaskadą natrysku, spływającego z wielką siłą, można się rozgrzać odrazu, a po wyjściu z kąpieli bardzo się błogiego doznaje uczucia.

Bądź więc zdrowa, moja Madziu, baw się dobrze w Kołobrzegu, ale ja wolę być tutaj.

Całuję cię serdecznie.

Twoja Helena.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).



leż razy proboszcz Wągrowiecki nauczał, że nie tylko bogactwem lecz i szczęściem dzielić się należy z bliźniemi. Na to Józef został wyniesiony w Egipcie, aby nakarmił braci — mawiał szanowny kapłan i przykład biblijny stanął teraz żywo w pamięci Stefana.

— Może i on? może choć maluczki i słaby... myślał, ale odszedł już właśnie od baraku, w którym O'Clear umieścił irlandzkich wychodźców. Został z nimi i Leon pod dobrą opieką, strugał kartofle w baraku, jak strugał je wpraw na okręcie.

Dzień miał się ku schyłkowi, kiedy dwaj przyjaciele wrócili z wyspy kwiatów do miasta. Głód przypominał im obiad, jedli go na werendzie hotelu, z której wspaniały rozciągał się widok. Inżynier znał Brazylię i był w jej stolicy jak w domu, dla Stefana kraj i miasto stanowiły nowość, potrzebował dłuższego czasu, aby obznajmić się z naturą, zwyczajami i przeszłością.

O Ameryce opowiadał mu nieraz Jakób a teraz własnymi oczami sprawdzał to, co czytał i słyszał.

Brazylia jest krajem piętnaście razy większym od Francji, ale podczas gdy Francja liczy 38 milionów mieszkańców, Brazylia ma ich zaledwie 14 milionów. Zatem na olbrzymiej tej przestrzeni znaleźć mogłyby chleb nieprzeliczone tłumy głodnych, bo kraj to urodzajny, przerznięty spławami rzekami i zasobny w bogactwa mineralne. Uda się na jego ziemi kawa, bawełna, trzcina cukrowa, szczerp winny, a w łonie swego chowa ta ziemia obfite pokłady żelaza, ołowiu, miedzi, a nawet srebro, złoto i drogie kamienie.

Brazylia odkryta została w 1500 r. przez Portugalczyka Cabrala i z początku służyła za osadę karną, do której wysyłano z Portugalii złoczyńców skazanych na wygnanie. Odkąd jednak zaludniać ją zaczęli coraz liczniej napływający koloniści, rząd Lizboński zwrócił baczniejszą uwagę na swą zaatlantycką posiadłość. W roku 1807, królewska rodzina portugalska Braganzów, wypędzona z Europy przez Napoleona, cesarza Francuzów, przeniosła się do Rio Janeiro i panowała w nowej swej stolicy aż do 1889 r. W chwili, kiedy Stefan Luty wylądował na brzeg Amerykański, rządził Brazylią cesarz Don Pedro II, który zniósł niewolnictwo. Zniesienie hańbiącego prawa wywołało zaburzenia w kraju, i podkopało powagę monarchii. Zamożni właściciele plantacji czuli się skrzywdzeni, gdyż odebrano im taniego robotnika, lecz ogół narodu przyjął z zapałem ustawę oswabdzającą murzynów, nazywając ją słusznie „złotą ustawą”. Kto jednak znał bliżej stosunki miejscowe, ten czuł, że dni cesarstwa są policzone. Jakoż 15 Listopada 1889 r. Brazylianie ogłosili kraj swój rzecząpospolitą, rządzoną przez kongres i prezydenta, a biedny Don Pedro II wrócił do Europy. Ale działo się to o wiele później. W ów pamiętny wieczór grudniowy, kiedy Halifaks kołysał się w porcie, a Jakób na werendzie hotelu ugasał Stefana, cesarz don Pedro rządził jeszcze olbrzymiem swem państwem. Rządzić zaś nie było łatwo. Właściciele plantacji szemrali i knuli podstępne intrygi, szemrało stronnictwo, pragnące rychłych i stanowczych zmian na lepsze, a do wszystkich tych niezadowolonych przybierały jeszcze tłumy niezadowolonych wychodźców. Sprowadzono ich z Europy, dla zastąpienia murzynów, ale nie było komu pokierować gromadami robotników. Kto mądry radził sobie sam, tak robili Irlandczycy. Mieli

oni w Rio własny swój hotel, szeroko rozgałęzione agencje, swój klub, w którym odbywano regularne posiedzenia, mieli zaś właszcza kontrolę nad przybywającymi z ojczyzny rodakami.

Przekonał się o tem Stefan zaraz przy pierwszym obiedzie. — Partya wychodźców, która towarzyszyła panu, ma już swoje przeznaczenie, mówił młody agent John Clarke. Składają ją przeważnie ludzie obeznani z pracą fabryczną, a takich właśnie nam potrzeba. Wie pan naturalnie o odkryciu bogatych pokładów rudy żelaznej w okolicy Rio. W tej chwili budujemy już wielkie piece do wyrobu stali a za kilka miesięcy produkt irlandzko-brazylijski będzie konkurował z angielskim. Pańskiej wspaniałomyślnej ofierze winni jesteśmy zapoczątkowanie naszego żelaznego przemysłu w Rio.

— Nie byłbym miał ani grosza, gdyby nie odwaga i poświęcenie tego młodego Polaka. Poznajcie się panowie — powiedział Jakób przedstawiając Irlandczyka a potem dodał, zwracając się do Stefana.

— Znasz już teraz nasz plan postępowania. Będziemy walczyli pracą i stworzymy w Ameryce rywalkę dla Anglii. Żyje ona handlem, zabijemy handel, żyje przemysłem, zabijemy przemysł. Kiedy Austria nałożyła na poddanych swych Włochów podatek od tytoniu, to wszyscy, rozumiecie tę siłę? wszyscy Włosi przestali palić tytoń. To się nazywa samoobrona, tegośmy się nauczyć powinni.

— Ma pan zupełną słusność. Nasza stalownia jest właśnie jedną z pięści, którą grozimy Anglii — zawołał Clarke — a nie tylko ona — mówił wyjmując z kieszeni mapę Brazylii. Te czerwone punkty oznaczają miejscowości, w których ogniskuje się życie Irlandzkich wychodźców. Od ostatniej pańskiej bytności przybyło ich bardzo wielu w okolicy miast portowych. Tylko w głębi kraju doznaliśmy niepowodzenia. Rząd Brazylijski wyznaczył ziemię urodzajną dla całej partii Irlandczyków, ale nasi zniechęcili się ciężkimi warunkami, chociaż przyszłość kolonii Sixteenlota zapowiadała się świetnie. Plon w ziarnie był obfity.

— Sixteenlota? Dlaczego tak nazwaliście tę miejscowość. Szesnaście działków, to jakoś bardzo niewiele?

— Początkowo wydzielono szesnaście osad, stąd nazwa, ale ziemi dobrej jest dużo, możnaby na niej osiedlić daleko większą partję wychodźców.

— A grunt w Minas Geraes czy nadaje się do uprawy? — zapytał nagle Stefan.

Jakób spojrzawszy zdziwiony na słószczyka, Luty nie opowiedział mu dotąd o swej rozmowie z Marcinową.

— Minas Geraes — śmiał się Clarke — pan chyba żartuje. Ależ to pustynia. Zbrodniarzem lub waryatem byłby człowiek prowadzący osadników do Minas Geraes. Są wprawdzie miejsca lepsze, zajęte pod uprawę, ale żaden Europejczyk nie wytrzyma tamtejszego klimatu.

— Prowadził alboż polscy wychodźcy mieli jakiego kolwiek przewodnika — pomyślał Stefan. Chciał wytłómaczyć Jakóbowi powód zadanego pytania, kiedy nagle powstał na ulicy zgiełk i zamęt. Zgiełk zwiększał się z każdą chwilą; słychać było wystrzały rewolwerowe, kilku ludzi z zapalonymi pochodniami w ręku przebiegło plac.

Panowie, biesiadujący na werendzie, zerwali się od stołu, na szczęście kelner brazylijski objaśnił gości, że niepotrzebnie przerywają sobie obiad. Strzały, które słyszeli nie zraniły nikogo, zrabowano tylko dom Signora do Carmo, ale stało się to zupełnie słusznie.

— Signor do Carmo jest waryatem — mówił zaperzony kelner, ma olbrzymią plantację kawy a pomimo to obstaje za usamowolnieniem murzynów, jak gdyby oni zasługiwali na jakiekolwiek współczucie. Signor Puerto Capello dawno obiecywał mu zemstę i on to zapewne nasłał na niego gromadę swoich stronników.

Stefan nie wierzył własnym uszom. Mógłże ten człowiek, będący sam służącym i prawie tak czarnym jak murzyn, nie pragnąć poprawy losu dla swych współbraci?

— Współbraci — powtórzył z gorzkim uśmiechem Jakób — nasz kelner jest mulatą, a mulaci gardzą murzynami i wstydzą się swego pochodzenia. Co zaś do ulicznej manifestacji, to widziałem już wiele podobnych w Brazylii. Inaczej przeprowadzają tu reformy, niż w Anglii lub w Niemczech. Krew południowca burzy się prędko w żyłach, trzeba umieć radzić sobie samemu, pokrzywdzony niełatwo otrzymuje sprawiedliwość.

— Radzić sobie — myślał Stefan — a jakże poradzić sobie tu mogą ludzie spokojni i aż nadto pokorni bo takim jest polski wieśniak. — To, co widział, było dla niego zupełnie nowem. Na szczęście głód zagłusza wiele wrażeń, a Stefan był bardzo głodny.

— Jedz nie medytuj, nauczysz się i ty torować sobie drogę rewolwerem, ale do tego potrzeba sił, jedz więc, mówił Jakób, podsuwając towarzyszowi półmisek. — Aii de cui, czyli swinki morskie, są potrawą, którą niezmiernie lubię. Oblejemy je chichą to jest piwem z kukurydzy, a potem przejdziemy się po mieście. Nie słysząc już strzałów a wieczór jest piękny.

Tak, grudniowy wieczór był istotnie przesłizny. Góra Gloria i obrośnięta lasem góra Świętej Teresy, położone w środku miasta, urozmaicały widok. Z ogrodów, pomiędzy którymi ogród botaniczny na największą zasługuje sławę, niósł wiatr cudną woń roślin. W gałęziach drzew nie słysząc już było skrzeku papug i bogato ubarwione motyle nie przelatywały między zwieszonymi liśćmi palm, bo noc uspiła żywe brazylijskie kwiaty, ale o zmroku zajaśniały rakiety fajerwerków, które puszczano dla uczczenia dworskiego święta. Z okrętów, stojących w porcie, rzucały także ogniste race, cyfry. Snopy światła spadały z niebem w morze.

— Nie ma chyba narodu, któryby tak lubił iluminację, jak Brazylijanie — powiedział Jakób do Stefana. — Lecz wracajmy, bo należy się nam obu odpocząnek.

Należał się on szczególnie naszemu bohaterowi. Szumiała mu głowa od kukurydzowego piwa, huk fali morskich i wrażeń. Wszystko co widział wyglądało raczej na fantastyczną opowieść niż na rzeczywistość. Ale jak wprzód głód, tak teraz znużenie wzięło górę nad wzburzonymi uczuciami. Pilno było Stefanowi położyć się do łóżka. Miał nadzieję, że po dwumiesięcznym niemal kołysaniu, dozna nareszcie rokoszy noclegu na stałym lądzie.

Zrzucił z siebie ubranie, żeby spocząć nie na laurach wprawdzie, do tych było jeszcze daleko, ale w porządnym, drewnianym łóżku, kiedy nagle nastąpił bosą nogą na zimne, miękkie ciało.

— Jaszczurka — zawołał, nie mogąc ukryć wstrętu.

— Tylko jaszczurka — rozśmiał się pan O'Clear — a cóż byłoby, gdyby odwiedził nas tu wąż, lub gromada wędrownych mrówek, a z mrówkami, wierz mi, niema żartów. Miewałem w Brazylii i takich gości, czyż warto zatem gorzyć się jaszczurką? Spij bezpiecznie, jutro opowiem ci, jakie to na drugiej półkuli zdarzają się niespodzianki. Tyś jeszcze fryc, a ja już doświadczony bywalec, dlatego pozwalam niewinnym gadom spacerować po mojej skórze i budzić się im nie dam. Dobranoc Stefku.

(d. c. n.)

Polowanie na krokodyle.

Dziwne i niepojęte bywa czasem okrucieństwo ludzkie. Komużby się śniło u nas, aby małe dziecko używać za przynętę dla dzikiego zwierza i narażać na niebezpieczeństwo utraty życia, a jednak tak się dzieje w Afryce, a czynią to nawet Europejczycy, polując na krokodyle.

Krokodyle są to płazy o wydłużonem ciele, zakończone długim, z boków ściśnionym ogonem, pokryte pancerzem z kostnych tarcz. Głowę mają zakończoną dłuższym lub krótszym pyskiem, o szerokiej paszczy; szczęki uzbrojone licznymi, stożkowatymi, ostrymi zębami. Język przyrosły zawsze do dna paszczy; nozdrza znajdują się z przodu pyska i podobnie jak uszy, dowolnie się zamykają. Cztery ich krótkie nogi opatrzone są tępymi pazurami, palce zadnich łap połączone błoną. Młode wyglądają się z jaj o twardej skorupie, wielkości jaj gęsich wskutek ogrzania ich gorącymi promieniami słońca.

Pierwsza grupa obejmuje właściwe krokodyle, z których najlepiej znany jest *krokodyl nilowy*. Obecnie nazwa ta mniej już jest właściwą, gdyż w Nilu krokodyle bardzo są rzadkie, w obfitości znajdują się przecież we wschodnim Sudanie i we wnętrzu Afryki. W starożytności Egipcjanie oddawali im cześć boską.

Tysiące jego okazów balsamowano i składano w pomnikowych budowlach. Powstało też stąd wiele baśni, mianowicie, że Ichneumon wsuwa się krokodylowi do żołądka, a potem wygrza się na zewnątrz i tym sposobem przyprowadza go o śmierć. Obawa, jaką wzbudzał ten niebezpieczny potwór, była głównym tej czci powodem. We dnie leżą krokodyle w zupełnym spokoju na brzegach wód, lub ukryte w mule. O zmroku dopiero zaczynają się ruszać, polując na zwierzęta przychodzące do wody dla napić się. Na zdobycz czatują nieruchomie, podpływają nie robiąc żadnego szelestu i chwytają upatrzone zwierzę za nogę lub szyję; pasterzom sudańskim wyrządzają corocznie znaczne straty w koniach, osłach a nawet wielbłądach. Jeśli napadnięte zwierzę zdoła ratować się szybkim skokiem na brzeg wtedy jest ocalone, gdyż krokodyl swej zdobyczy na lądzie ścigać nie może. Nierzadko też i ludzie padają ofiarą jego, mianowicie kobiety i dzieci, przychodzące do rzeki czerpać wodę lub dla kąpieli. Nic zatem dziwnego, że człowiek oddawna wypowiedział wojnę temu wodnemu potworowi a cześć boską, jaką mu oddawano w Egipcie, nie przeszkadzała do urządzania na niego łowów.

Herodot (najpierwszy historyk grecki) opisuje, że w tym celu używano świni, uwiązanej na długim sznurze i zapędzonej do wody. Kwik jej zwabiał krokodyla, który chwycił tę przynętę, a wtedy bywał wyciągany na brzeg. Obecnie zabijają krokodyle harpunami, opatrzonymi za dzierżystym grotom. Taki oszczep rzucony z wielką siłą, przebija pancerz na boku zwierzęcia.

Mniemania, jakoby kula, wystrzelona z gwintowanej broni nie była w stanie przebić pancerza krokodyla, nie potwierdził żaden podróżnik po Afryce. Przeciwnie, wielu myśliwych poluje na nie ze sztucerami, a dla wywabienia ich z wody, używają dziecka murzyńskiego, które przywiązują w pobliżu. Dziecko swym płaczem przynęca krokodyla, wówczas zaczajony myśliwy strzela i zabija zbliżającego się potwora.



ZE ŚWIATA.

Kraj bez druku. W Persyi książki i pisma są dotychczas litografowane. Ustawiono już raz maszynę z ruchomymi czcionkami, na której wydrukowano szereg książ-

żek. Próba nie zyskała jednak zwolenników. Niechęć do druku w Persji wynika z dwóch powodów: proste linie obrażają smak artystyczny Persów, po drugie, w książkach drukowanych zatracą się zupełnie charakter liter. Czytelnik perski lubuje się w pięknie wykaligrafowanym rękopisie, a jeśli go mieć nie może, zadawała się litografią, która jest wierną kopią pisma dobrego kaligrafa.

Szwaczka starożytna. Roboty odkopaliskowe, prowadzone przez egiptologa Gayeta na cmentarzu chrześcijańskim starego Antinoe w Egipcie, doprowadziły do odnalezienia wielu cennych zabytków starożytności, a między innymi i ciekawego nietylko dla uczonych i archeologów. Znalezione bowiem w dobrze zachowanym grobie zabalsamowane starannie zwłoki kobiety, która miała na sobie trzy szaty z delikatnej tkaniny, na nich płaszcz bogato haftowany w kwiaty i ptaki, kosztowny szal muślinowy i kosztowny łańcuch na szyi. Wszystko to było znakomicie zachowane, nawet barwy nie spłowiały. Obok zwłok stała drewniana szkatułka, wytwornej roboty, pełna różnych przyborów do szycia; były tam igły, nawleczone grubymi nitkami wełnianymi, nożyk, kunsztownie z kości słoniowej rzeźbiony igielnik z igłami z drzewa i kości, różnokolorowe nitki jedwabne. Była to zatem szkatułka do szycia zmarłej, a z obfitości przyborów archeologowie wnoszą, że zmarła musiała być szwaczką z powołania. W skrzynce znalazło się jednak jeszcze pudełko z kości słoniowej, w którym leżały liczne kwadratowe tabliczki drewniane, przedziurawione na czterech rogach, służące, zdaniem archeologów, do gry, niezrozumiałej już dzisiaj dla nas. Wreszcie, jak w większości grobów kobiecych, dano zmarłej do grobu flakonik z perfumami. Znaki na amulecie, który miała na szyi, wykazywały, że mogła żyć za czasów cesarza rzymskiego Dyoklecjana (ok. 300 r.) Napis na tabliczce głosił, że szwaczka owa miała imię Eufemia; spoczywa obecnie w *Musée Cinquantenaire* w Brukseli.

Król Edward. Monarcha ten bawił w gościnie w Amorsham, u hrabstwa Kowe. Gdy przyjechał, oczekiwały go tłumy publiczności, a dziewczynka jakaś, chcąc lepiej króla zobaczyć wysunęła się naprzód; naraz ktoś ją popchnął i upadła u stóp monarchy. Król Edward schylił się śpiesznie, podniósł dziecko wśród oklasków publiczności, pocałował je i obdarzył datkiem pieniężnym.

SZARADA.

ul. Prymulka różowa.

*Pierwsze drugie w alfabecie,
Wspak przyimek trzecie
Wszystko otchłań niezmierzona,
Nieprzejrzana, niezgłębiona.*

ŁAMIGŁÓWKA W KRATKACH.

A. B. z Z. dla Jadzi E.

1)	*	.	.	.	Moneta austriacka.
2)	.	*	.	.	Część świata.
3)	.	.	*	.	Część drzewa.
4)	.	.	.	*	Rodzaj statku wodnego.
5)	.	.	*	.	Pojazd.
6)	.	*	.	.	Syn Noego.
7)	*	.	.	.	Imię żeńskie.
8)	.	*	.	.	Metal twardy.
9)	.	.	*	.	Napój z ryżu.
10)	.	.	.	*	Gatunek drzewa.
11)	.	.	*	.	Zwierzę ssące.
12)	.	*	.	.	Małe narzędzie stalowe.
13)	*	.	.	.	Państwo w środ. Indyach.
14)	.	*	.	.	Zwierzę dwunożne.
15)	.	.	*	.	Olbrzymi kamień.
16)	.	.	.	*	Przystań.
17)	.	.	*	.	Zwierzę domowe.
18)	.	*	.	.	Rzeka w Syberii.
19)	*	.	.	.	Skała podwodna.
20)	.	*	.	.	Znany i pożywny napój.
21)	.	.	*	.	Prowadzący wojsko.
22)	.	.	.	*	Ptak drapieżny.

W powyższej figurze ułożyć czterozgłoskowe wyrazy, ażeby litery oznaczone gwiazdkami złożyły dawne przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

Szarady: Mary — a.

Arytmogryfu kryształowego:

```

      F
    G a z
  T a t a r
K u m a s s i
S a l a m a n c a
F a t a m o r g a n a
S t o k r o t k a
  G o l g o t a
    U w a g a
      O n a
        a
  
```

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Matka Boska Częstochowska z chórem aniołów, wiersz (z ryc.) — Co wiemy o księżycu, przez St. Kramsztyka. — W Suchochowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Listy z wycieczek po kraju, przez Jadwigę Warnkównę (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Polowanie na krokodyla (z ryc.) — Ze świata. — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek: Sprawozdanie z konkursu kaligrafii. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez M. Weryho (z ryc.) — Pióro i atrament, bajka przez F. M. — Poselstwo z krainy czarów, opowiadanie B. Buyno. — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою. Вapиpавa 15 Aпpѣлa 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Z poezji Maryi Konopnickiej.

Jakie umiem piosenki.

Umiem piosenki z nad łąki
Takie, jak nucią skowronki,
Kiedy piórkami szaremi
Pod niebo lecą od ziemi,
Na ziemię lecą i dzwonią,
Nad polem naszym, nad bło-
[nią!

Umiem piosenkę jaskółki,
Gdy lata wkoło rzeczulki,
I dźwięcznym głosem coś
[nuci,
Czy się weseli, czy smuci,
Albo na gniazdko gdy leci,
I śpiewa do snu dla dzieci.

Umiem piosenkę żniwiarzy,
Gdy pot im ścieka po twarzy,



A oni, brzęcząc w swe kosy,
Tną żyto srebrne od rosy —
I głos roznoszą daleki,
Aż echo klaszcze od rzeki.

Umiem piosenkę wieczoru,
Gdy owce idą z ugoru
I krówka z pola łaciata,
Gdy trzaska stary Jan z
[bata,
A ponad wszystkim fujar-
[ka
Dźwięczy małego owczarka.

U nas piosenek bez liku,
Tyle co kropel w strumyku,
Tyle co liści na drzewie,
A skąd się biorą, nikt nie wie,
Tak już z powietrza ot płyną,
Nad naszą wioską jedyną.



Marya Konopnicka.

W roku bieżącym upływa dwudziesty piąty rok pracy literackiej Maryi Konopnickiej, która i dla młodzieży wiele pięknych napisała utworów. Z tego powodu poświęcamy jej ten artykuł.

Konopnicka urodziła się w Suwałkach w r. 1846. W wieku dziecięcym straciła matkę i chowała się pod wyłączną opieką ojca, Józefa Wasiłowskiego, o którym dotąd przechowuje najżywsze, pełne czci i miłości wspomnienie, jako o człowieku prawych i niezłomnych zasad, głębokiej, żywej wiary i szczerzej pobożności, przy umyśle podniosłym i ukształconym, lubo cichym, zamkniętym w sobie i nie mającym na popis. Pod jego to głównie kierunkiem, żadnej mistrzyni ni dozorczyńni nie mając, odebrała poetka nasza wychowanie pierwotne. *)

Kochający ojciec zajmował się troskliwie dziećmi, pozostawionemi bez opieki macierzyńskiej, a najwięcej może poświęcał czasu zdolnej i pojętnej Maryni, z którą prowadził nieraz pouczające rozmowy, albo też czytywał jej poważne książki, rozwijając w ten sposób jej umysł i serce.

Ojciec, zebrawszy dokoła siebie całą gromadę działów, czytywał im często sam wyjątki z Pisma świętego, później przysłała koleją i na autorów świeckich, takich, jak Kochanowski, wreszcie Mickiewicz. Prócz tego ojciec poetki czytywał jej niekiedy swe własne tłumaczenia Psalmów Dawida, lub wykladał jej greckich i łacińskich autorów.

Kiedy była już dorastającą panienką, ojciec oddał ją na rok do Warszawy na pensję pp. Sakramentek; następnie powróciwszy do domu, niedługo w nim gościła, wkrótce bowiem wyszła za mąż i zamieszkała w dziedziicznej wiosce małżonka swego, w Bronowie, położonej w powiecie Łęczyckim. Tam to nauczyła się kochać lud wiejski, którego pracy przyjrzała się z bliska, aby kiedyś opiewać go w swych ślicznych poeziach, tam także pokochała lasy, pola i wody, największe znalazłszy upodobanie w błakaniu się po alejach starego ogrodu, lub po mszystych ścieżkach leśnych, gdzie wsłuchując się w szelest wiatru w gestwinie liści, w ciszę uroczystą wieczoru, czuła, jak duch jej wznosi się coraz wyżej.

Raz, krzątając się koło gospodarstwa domowego, zajęta w jakiś kącik na strychu i tam odnalazła starą, zapomnianą bibliotekę, składającą się z dzieł poważnych. Odtąd po skończeniu zajęć domowych, zabierała książkę i udawała się do ogrodu lub pobliskiego lasu. Tam czytała i rozmyślała nad tem, co przeczytała, a w duszy budziło się pragnienie zdobycia szerszej wiedzy.

Czytelnicy mogą się przekonać z tego, jak przy wielkim nawet talencie potrzeba pracy i nauki daje się uczyć; ileż to razy panienka lub chłopczyk, napisawszy zręcznie wypracowanie, wyobrażają sobie zaraz, że mogą zostać autorami, ba, nawet chcieliby zaraz to co napisali, podać do druku, zapominając o tem, że aby stanąć w rzędzie autorów, trzeba się długo uczyć, pracować i rozmyślać.

Poetka nasza, zapadłszy na zdrowiu, musiała w 1875 r. wyjechać do Szczawnicy. Wspaniała przyroda górską uczyniła na niej nadzwyczajne wrażenie, to też po powrocie napisała cały szereg pieśni p. t. „W Górach,” które za radą przyjaciół podała do druku. Niebawem spotkała ją pociecha; poezje jej zwróciły na siebie uwagę wielkiego pisarza, również wówczas dopiero rozpoczynającego, Henryka Sienkiewicza, który napisał o nich bardzo pochlebnie w Gazecie Polskiej w swoich „Listach z Ameryki.” Poetka, jak sama opowiada o sobie, rozplakała się z radości, przeczytawszy jego słowa; były one dla niej zachętą do dalszego tworzenia.

W kilka lat potem dla kształcenia dzieci zamieszkała

stale w Warszawie, gdzie i sama też zabrała się do poważnych studyów. Talent jej rósł tymczasem coraz więcej; niektórych z jej poezyi ludzie uczyli się na pamięć. Najsilniej dźwięczy w poezjach Konopnickiej nuta współczucia dla niedoli maluczkich, którą opiewa w pieśniach „Na fujarce” i innych. W poemacie „P. Balzer w Brazylii,” opisuje smutne losy wychodźców w tym zamorskim kraju, tęskniących do wsi rodzinnej.

Konopnicka bawi od lat wielu za granicą, skąd przesyła swe piękne poezje, w których obok zachwytów nad obcą przyrodą i sztuką, odzywa się tęsknota do tych łąk i pól, i do tego „szumiącego boru” do tego „złotego słonka.” Umie ona zaśpiewać, jak głos fujarki pastuszej, wyciętej z wierzbiny.

Dzieci ukochała szczerze, ofiarując im kilka razy zbiór prawdziwych perełek, a w każdym wierszyku odzywa się nuta taka serdeczna, swojska. W „Nowem Łatku” np. jakże cudnie opisana jest św. Agnieszka, która ze złotej klatki wypuszcza na wiosnę różne ptactwo.

Leć już skowronku, z piosnką śpiesz,
Gdzie pada siewne ziarno,
Serce oracza wśród znoju ciesz,
Ośpiewaj ziemię czarną.

Albo kiedy opowiada, jak kwiatki wędrowały wszędzie za Panem Jezusem, wówczas gdy on chodził po świecie. —

M. Łopuszańska.



Zofia Kłowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Rewolwer? Przepraszam... Na co panu rewolwer w nocy?

— Nie mogę tego powiedzieć, ale proszę, by mi go pan dał na parę godzin... lecz nie mogę powiedzieć, co mię skłania do zaniesienia do pana tej prośby.

— Kochany profesorze, czy pan kiedy strzelał?

— Strzelałem w młodości do celu... trochę do ptaków na wakacjach, gdym był w trzeciej klasie. Zabiłem nawet w mojem życiu...

— Zabił pan?...

— Wronę.

— No, przyznaję, że wołałbym pana widzieć uzbrojonego w dżidę, oszczep, włócznię, miecz i w całą broję jednego z bohaterów Grecyi, niż w broń palną... nawet bym wołał w sztylet lub pugiń... ale, skoro pan sobie życzy...

Obadwaj, pocichu, żeby nie budzić Józia i Zdzisia weszli do pokoju pana Zabrzęskiego. Zdawało im się, że słyszą jakiś szept, ale wszystko ucichło. Pan Zabrzęski zdjął ze ściany nad łóżkiem rewolwer i oddał go profesorowi z jednym cicho wymówionem słowem:

— Nabity. Siedm strzałów.

— Dobrze.

— Profesor wziął broń niezręcznie, jak człowiek, który nigdy nie ma z nią do czynienia i schował ją do kieszeni. Pan Zabrzęski zaś jęknął cicho jak ten, który ma najgorsze przecucia.

*) Adam Pług. Kłósy 1882 r.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, Józio i Zdziś podnieśli się na swoich posłaniach, jak sprężyny, które odskakują. Usnąć dotąd nie mogli i dzielili się jeszcze z sobą wspomnieniami pełnego wrażeń dnia.

— Widziałeś? — rzekł szeptem Józio.

— Widziałem — odparł Zdziś. — Co pan profesor będzie robił z rewolwerem? Wiesz, że to ciekawa rzecz! Ach, jak jabym chętnie z nim poszedł!

— Może chce, tak jak my wczoraj, obejść dom i zabudowania wkoło.

— Ale gdzie tam! Przecie słyszał, że tatuńcio kazał na dzisiejszą noc dodać stróżowi jednego fornala do pomocy. Zresztą cyganie siedzą w kowie, a o innych złodziejach nie słysząc. Taki jestem ciekawy, że aż strach.

— I ja jestem ciekawy. Może się czego jutro dowiemy, a teraz śpijmy!

— Gdzież tu zasnąć, gdy kogo ciekawość pali, jak ogniem?

— Ale trzeba spać. Już nie mówmy nic, to zaśniemy.

— Ja pewno nie zasnę!

— Jak dobrze zechcesz, jak sobie nakażesz silnie, to uśniesz.

Wkrótce, może za dwie minuty, dał się słyszeć spokojny oddech Józia. Zdziś wstał cicho, zapalił świecę stojącą przy łóżku ojca, pod kołdrę swoją wsunął kapę ułożoną w kształt śpiącego ciała, z ręcznika zrobił kulę kształtu głowy ludzkiej, kulę tę położył na poduszce i wszystko okrył tak, jak gdyby tam leżał z głową wsuniętą pod kołdrę. Każdy spojrzawszy na tę improwizowaną postać, byłby przysięgł, że pod kołdrą spoczywa kilkonastoletnie dziecko. Po dokonaniu tego oszukaństwa, Zdziś ubrał się prędko, na krześle obok łóżka ułożył ubranie ojca, wyjęte z szafy, rzucił na to część bielizny dziennej Józia i rozejrzawszy się po pokoju, by zbadać, czy nie zostawił za sobą żadnych śladów swego podstępного czynu, zgasił świecę i wyszedł na palcach z pokoju.

Równie cicho wszedł do kancelaryi ojca, gdzie były różne stare bronie, zapalił świecę a potem wsunawszy się na palcach do dzieciennego pokoju, gdzie były szafy z zabawkami i wszelkimi rzeczami, będącemi własnością dzieci, wziął łuk należący do Józia, strzały przez niego własnoręcznie przygotowane z trzciny i gwoździ, łuk ten wraz z sajdakiem przewiesił przez plecy i tak uzbrojony, wyszedł do ogrodu drzwiami od werendy. Prędko obiegł dom w około i zaczajony w kłacie przy bramie, czekał. Serce biło mu w piersi jak młot i każda minuta wydawała się godziną. Drżał ze strachu i wstydził się tego przed sobą samym. Przecie był doskonale uzbrojony i nie miał się czego bać; tworzyły go jednak ciemności, każdy szelest dochodzący go z daleka odbijał się w jego uszach w dwięćkroć powiększonych echach. Nagle drgnął, jak gdyby go przeszły iskra elektryczna. Usłyszał wyraźnie otwarcie się drzwi wchodowych domu, a wkrótce potem ujrzał w świetle księżyca postać mężką, kroczącą ku bramie. Gdy się zbliżyła, poznał profesora idącego spokojnie, z twarzą poważną i pogodną. Nie śmiał się ruszyć, nie śmiał oddychać, był pewien, że profesor usłyszy bicie jego serca, które już nie młotem lecz taranem waliło w jego piersi. Uspokoił się trochę, gdy z ust profesora wyszły wypowiedziane melodyjnie poetyczne wyrazy:

„Syzyfa takem widział i to w strasznych mękach: *)

Ogromną bryłę skały dźwigał on na rękach,
I wtaczał ją na górę z mordęgą niemącą,
Podsadzając się pod nią, a gdy się zdawało,
Że ją wtoczył już na szczyt, skręcała się skała
I z łoskotem piorunu znów na dół spadała,
A on znów ją pod górę wtaczał.”

Poczekawszy aż się profesor oddalił tak, by jego postać widniała w świetle księżycowym, lecz by jego kroków

słyszeć już nie było, Zdziś puścił się za nim. Teraz przyszło mu na myśl, że może być profesorowi pomocą w jakimś wypadku, któryby go mógł spotkać i ta myśl odpędziła resztę strachu. Szedł z okiem utkwionem w ciemną postać profesora, i już był o dobry kawałek od domu, gdy nagle usłyszał za sobą spieszne kroki człowieka biegnącego. Odwrócił się, zdjął spiesznie łuk z pleców, naciągnął strzałę i wypuścił ją, mierzając w napastnika, który ze słowami: „Ja ci tu dam!” biegł ku niemu. Strzała musiała dosięgnąć przeciwnika, bo syknął z bólu, ale zbliżał się coraz bardziej. Zdziś rzucił się naprzód, lecz sam nie wiedział kiedy i jak jakaś ciężka ręka zwała się na plecy i wzięła go za kołnierz. Ręka ta wykręciła go jak piłką twarzą ku światłu księżyca i nagle kleszcze jej się rozwarły, a głos stróża Wojciecha odezwał się:

— To panicz? A cóż to panicz po nocy robi na polu? Co prawda to nie grzech, myślałem, że który cygańczyk... Jeszcze szczęście, że miesiąc wylazł jak dynia na niebo, bo jużem z za pasa wyciągnął taką przyjaciółkę, co ją zawsze przy sobie noszę!

I stróż w świetle księżyca rozwinął długą, kilkorzęmienną dyscyplinę.

Ach, Boże, rycerzowi ulecz w walce z pospolitą, nierycerską dyscypliną!

Zdzisia oblał rumieniec wstydu i doznał niejakiej pociechy dopiero wtedy, gdy Wojciech rzekł z zadziwieniem i niejaką pogardą:

— A cóż to za gwoździ panicz w rękę mi wpakował? Oo... toć mię on skaleczył naprawdę! A jużci krew!

I Wojciech kroplę krwi z grubej, spracowanej ręki obcierał.

Zdziś zaczął z całego serca żałować swego postępku.

— Przepraszam was, Wojciechu! — rzekł błagalnym głosem — ja myślałem... nie wiedziałem, kto za mną goni...

— A cóż to, jaskinia zbójców, czy co? Przecie jesteśmy nie dalek od domu jak o stałą drogę.

— Przepraszam...

— To tam dla mnie taka kolka, to jakby mię komar ukąsił! Niech panicz idzie spać i tyła! Po co się to paniczowi po nocy włóczyć?

— A Wojciech sam mówił, że taki człowiek, co chodzi po nocy, jest mądrzejszy od takiego, co pod pierzyną, albo i pod płachtą...

— Co prawda, to nie grzech; jużci je mądrzejszy!

— Niech mię Wojciech puści. Ja idę za panem profesorem.

— Aa... To przecie nie święty Jan i paproć dziś o północy nie kwitnie!

— Ale mamy swoje interesa — rzekł Zdziś z wyższością.

— Ha, widziałem, jak pan profesor poszedł, a potem patrzę... ktoś się za nim skrada... Jak z panem profesorem, to niech panicz idzie. Panowie to mają swoje różne obrządki!

Zdziś puścił się biegiem, żeby czasem nie stracić z oczu profesora, a Wojciech został, kiwając głową z politowaniem.

Tymczasem pan Zabrzęski, dawszy profesorowi rewolwer, wrócił zamyślony do saloniku. Pani Zabrzęska z niepokojem podbiegła ku niemu.

— Powiedz mi prawdę, czy pan Chlewiatko mówił ci coś o dzieciach? Czy któremu z nich nie grozi jakie niebezpieczeństwo? Co on ci mówił, czego chciał?

— Uspokój się, moja droga, wszystkie dzieci są zdrowe i nie im nie grozi. Widziałem w tej chwili Józia i Zdzisia śpiących spokojnie.

— Ale coś się stało! Profesor miał minę niezwykłą! nie ukrywaj nic przedemną!

— A więc powiem ci całą prawdę. Profesor zażądał ode mnie rewolweru, i nie chciał mi powiedzieć, co zamierza z nim uczynić.

*) Odyseja. Tłómaczenie Siemińskiego z pieśni XVIII-ej.

Jadwiga Warnkówna.

Listy z wycieczek po kraju.

15/7 1901 r.

Droga Madziu! Odpisuję ci na twój list prędzej, niż się sama tego spodziewałaś, ale bo też od trzech dni jesteśmy uwiecznieni w mieszkaniu, a w takich warunkach pisanie staje się rozrywką, jeżeli — jest ciepło w pokoju. Tego jednak niestety powiedzieć nie mogę. Nie dość, że na dworze szaruga, niebo ołowiane, błoto po kostki, ale w mieszkaniu takie zimno, że się ani w dzień ani w nocy rozgrzać nie można! Niepogoda w górach, choć tak niewielkich, jak około Ojcowa, jest chwilą bardzo przykrą. Zniknęły piękne widoki; odłożone do nieograniczonego czasu — przyjemne wycieczki, przerwa na kąpiel, siedź w ciasnym pokoju dzień cały, a jeżeli musisz pójść do restauracji, albo na pocztę, to brodz w błocie, jak czapla. A błoto tu takie grzazkie, że można w niem kalosze pogubić, zwłaszcza wieczorem, bo na oświetlenie dróg i parku jeszcze się Ojców nie zdobył.

W nadziei, że niezadługo kochane słonko znów nad doliną Ojcowską zabłyśnie, znoszę z całą odwagą i cierpliwością zimno i niepogodę; zresztą — brak cierpliwości nie by tu nie pomógł, a praktykowanie tej cnoty nie jest w tym wypadku cnotą, ale koniecznością.

Wczoraj zapytałam jednego wieśniaka, jak sądzi, czy długo będzie padać. Odpowiedział mi na to: „straszenie się zamroczyło; czasem, to i bez dwie niedziele potrafi tak lać.” Ale drugi, widząc weselej na świat patrzący, dodał: E, ustanie, ustanie! „Jak się wysuszy, to się wykruszy,” co miało pewno znaczyć, że jak przyjdzie czas, to i złe minie. Czekajmy więc tej błogiej przemiany, a tymczasem posłuchaj o grotach, które już zwiedziliśmy.

Jaskiń około Ojcowa jest mnóstwo. Prawie w każdej skale mieści się jakaś pieczara lub choć mała jamka. Wszystkich oglądać nie sposób; idzie się do największych i najgłówniejszych.

Najpierw wszyscy przyjezdni podążają do Królewskiej czyli Łokietkowej grotty, do której przywiązane jest podanie, że to w niej właśnie ukrywał się Łokietek w ucieczce przed Czechami. I my zrobiliśmy tak samo. Pewnego dnia po obiedzie wzięliśmy przewodnika i udaliśmy się na górę Chełmową, a stamtąd do pieczary. Na górę tę, wznoszącą się na 1265 stóp nad poziomem morza, wejście jest dosyć wygodne. Idzie się ciągle wśród lasu, najpierw drożyną, a potem wykopanemi w ziemi schodami. I na tej górze, tak jak na Świecie, wznosi się krzyż, ale cały żelazny, z połączonym wizerunkiem Chrystusa.

— Niech państwo tu patrzeć — mówi przewodnik, wskazując na stronę południową. — Krajobraz odmienny: równiny z falującym zbożem, porozrzucane wioski, a dalej, dalej, jakby za niebieskawą mgłą, Krakowa wieżycę. W prostej linii do granicy galicyjskiej tylko kilka; przy dniu pogodnym wi-



Marya Konopnicka (sr. 146).

dać więc doskonale, zwłaszcza przy pomocy lunety — zamek wawelski, kościół Maryacki, inne głównejsze budowle.

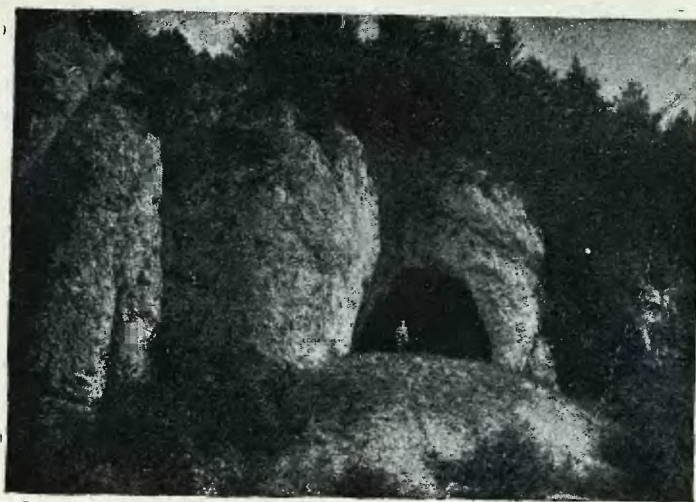
Za Krakowem, we mgłę, czy obłokach giną Tatry. Domyśleć się ich trzeba w nierównym, ciemnym pasie, wyglądającym jak skłębione chmury na samym dole widnokręgu.

Miałam wielką ochotę posiedzieć dłużej na górze Chełmowej. Tak tam było przyjemnie; drzewa tak pachniały i taką cichą pieśń nuciły w swych wierzchołkach, ale wybraliśmy się zbyt późno i przewodnik naglił do drogi, aby zwiedzić groty i wrócić do domu przed zapadnięciem zmroku.

Skreśliśmy w bok i szliśmy najpierw lasem, a potem ścieżką polną około dosyć bujnego żyta. W pół godziny doszliśmy do pieczary. Przewodnik zapala w kaganku łuczywo i idzie naprzód. Przechodzimy długi korytarz, i niebawem znajdujemy się w obszernej pieczarze. Przy blasku łuczywa widzimy zakopcone ściany i strop jaskini; kaganek naszego przewodnika jeszcze kópciu trochę przysparza... Z tej komory przez ciemny korytarz wchodzi się do jamy z otworem u góry; nazywają ją przewodnicy kuchnią Łokietka. Z owej kuchni, w której zapewne nie- zbyt królewskie przyrządzano Łokietkowi obiady, po bardzo ciasnych i niewygodnych schodach wchodzi się do obszernej pieczary, którą uważają za właściwe schronisko Łokietka. Pokazują tam nawet jego łożo, naturalnie — kamienne. Czy na niem rzeczywiście spał ów dzielny król, tego pewnie już żadne kroniki nie wyświeca.

W grocie Łokietka znaleziono dawniej mnóstwo kości niedźwiedzi, widać więc, służyła ona tym zwierzętom za legowisko. A ludzie? Czyż oprócz Łokietka, nie szukali w pieczarze schronienia? Bezwątpienia, że była ona niegdyś i ludzką siedzibą. O! gdyby te zadymione ściany umiały mówić, ileby ciekawych rzeczy opowiedzieć mogły. Dowiedzielibyśmy się, jak i kiedy owa jaskinia powstała, jak długo służyła za mieszkanie ludziom przedhistorycznym, nie umiejącym budować chat, jak wreszcie w późniejszych czasach, stawała się ona schroniskiem zbiegów, opryszków lub nawet, w czasie wojen — osiadłej w okolicy ludności.

Oprócz grotty Łokietka zwiedziliśmy jeszcze groty Ojcowską, leżącą około skał: Rękawicy i Igły, po przeciwnej stronie Prądnika. Ta grotta jest przepyszną Wyobraź sobie wspaniałą, sklepioną salę, rozmiarów olbrzymich, bardzo foremną, bo prawie wszędzie równo szereg. Wechód do niej łatwy, a ponieważ jest prawie widna, nie jest tak okopcona jak Łokietkowa. Najciekawsze ze wszystkich grot są: Wierzchowstka i Mamutowa. Droga do nich dość daleka; trzeba jechać wózkami. W Wierzchowskiej znajdują się jeszcze stalaktyty, których w innych szukałabyś na próżno. Pooblamywali je turyści i przewodnicy na handel, bo gdy którego z nich o tę właściwość jaskiń zapytać, to wyciąga stalaktyt z kieszeni i ofiaruje ci go, za co naturalnie, każdy się czuje w obowiązku przewodnikowi zapłacić. Mamutowa jest dla tego tak nazwana, że w niej dwaj bada-



Grota Łokietka w Ojcowie.

cze jaskiń Ojcowskich: hr. Zawisza i profesor Ossowski, znaleźli zęby i kły mamuta.

Znaleźli oni także w tej samej jaskini ślady ogniska, a obok niego różne narzędzia z krzemienia i kości. Z ogniska tego widać, że z owym zwierzęciem przedpotopowym żył tu razem i człowiek.

Ani słowa, przyjemne towarzystwo!

Z pod skały, w której się grotą mieści, wypływają liczne źródła, tworzące o wiorstę dalej dosyć ładny i duży staw.

Ale dosyć już o grotach. Gdy przyjedziesz na rok przyszły do Ojcowa, to je sama obejrzysz. Są one bardzo ciekawe, przynajmniej dla mnie. Nie wszyscy są jednak tego zdania. Pewna panienka, z którą się tutaj zapoznałam, mówi, że nie cierpi tych ciemnych, brudnych dziur i że wszystkie są do siebie podobne. Była ona z nami w gro-

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Rozdział XIII

List z Wągrowca. — Oplatek. — Własne pieniądze. — Szaleństwo Nesabila. — Pieszczota lekarstwem. — Góry. — Barak. — Nędza. — Wyrzuty sumienia. — Chce ratować. — Powrót do miasta. — Kogo spotkał? — Dawny znajomy. — Zmowa. — Orszak z pochodniami.

Kochany Stefku!

„Ucieszyłem się bardzo, powziawszy z twego listu wiadomość, że jesteś zdrow i że, chociaż groziło ci wiele nie-



Posel króla angielskiego Edwarda VII | składa Ojcu św. własnoręczne pismo z życzeniami z powodu 25 letniego jubileuszu Leona XIII-go.

cie Łokietkowej, ale, że jest wielką strojnisią, wybrała się pomimo przestróg ludzi doświadczonych, w białej sukni i lakierowanych bucikach. Możesz sobie wyobrazić, jak jej buciki po powrocie z wycieczki wyglądały, bo na brzegu pieczary było grzaskie błoto. Weszła tylko do pierwszej komory, bo jakże miała w owych śnieżystych szatach przeciskać się aż do właściwej pieczary Łokietka. Co za śmieszna próżność! Nieprawda? Ze też to niektóre osoby nie umieją się ubrać stosownie do okoliczności.

Tak się rozpisalam, że zapomniałam i o deszczu i o zimnie, a jednak ani o pół stopnia się nie ociepliło i deszcz pada i pada, wiatr szumi i szumi, a Prądnik jakiś gniewny, brudny, szary, płynie a płynie, a szemrząc gderliwie, ucieka wartko, aby jego nabrzmiałe wody nie wystąpiły z koryta.

Bądź dobra i odpisz niedługo. *Hela.*

bezpieczeństw, zawędrowałeś szczęśliwie aż do Londynu. Jeśli zaś żli ludzie napędzili ci strachu, to słusznie, mój bracie, zostałeś ukarany za samowolne opuszczenie warsztatu. Zasmuciłeś tym postępkim i mnie i swego dobrego majstra. Ale należy ci przebaczyć czyn zbytnej krewkości, bo i Bóg w miłosierdziu Swem przebaczyć ci raczył, skoro Opatrzność Jego uratowała cię dwa razy od śmierci.

Ciesz się, że pod dobrą opieką jedziesz do Ameryki. Słuchaj rad pana O'Cleara, pracuj, a da Bóg, wrócisz do nas kiedyś rozumnym i użytecznym człowiekiem. List mój, tak, jak sobie życzyłeś, odbierzesz w Rio Janeiro, że zaś dojdzie on twoich rąk niedługo przed Bożem Narodzeniem, więc posyłam ci w nim kilka oplatek. Przełam się wedle starego zwyczaju chlebem Bożym z naszymi wychodźcami, znajdziesz pomiędzy nimi dużo biedaków, staraj się im pomóc, skoro sam doznawałeś i doznajesz pomocy od lu-

dzi. Redde quot debet, oddaj coś winien, winien zaś jesteś wiele, bracie, wiele też po tobie oczekiwać mam prawo. Tymczasem jednak ja to raczej jestem twoim dłużnikiem, bo urósł ci spory grosz w banku ludowym z funduszu, który zostawił dla ciebie pierwszy twój dobrodziej, pan Rycerski. Rozporządzasz w tej chwili 205 talarami i pieniądze te prześlę ci do Ameryki, gdy mi doniesiesz, gdzie się na stałe osiedlasz. Obyś użył grosza dobrze i rozumnie.

Dziękuję ci za twoją dla mnie życzliwość, tylko że z moim zdrowiem, o które pytasz, coraz gorzej się dzieje i wątpię, ażali doczekam chwili twego do nas powrotu. Organizmowi i kościelnemu dziękuję także za pamięć, kazali cię pozdrowić. Co zaś do Marysi, którą wypiaśtowałeś na własnych rękach, to ta dziewczyna ma szczęście. Wzięto ją teraz na opactwo i uczy się wszystkiego, co białogłowie umieć przystoi. Dzięki zacnej opiekunce wyrośnie przy łasce Bożej na uczciwą niewiastę.

Nasza szkoła okryła się sławą, uczniowie złożyli chwalebne egzaminy, była też z tej racji u mnie 15 września generalna konferencja nauczycielska. Rozpoczęła się nabożeństwem w kościele, poczem w szkole był egzamin dzieci i czytano rozprawy. Piszę ci to, mój Stefku, gdyż wiem, że cię to zajmuje. Twój majster jeszcze na ciebie zagniewany, ale Adamka, uznawszy jego niegodziwość oddalił już z warsztatu.

Tyle miałem ci do doniesienia, a teraz przysyłając moje błogosławieństwo i polecając cię łasce Bożej proszę o rychłą wiadomość

Luty czytał i odczytywał list węgrowskiego proboszcza. Oglądał papier na wszystkie strony w nadziei, że znajdzie dopisek, który powie mu coś jeszcze o znanych ludziach i miejscach. Potem wyjął z koperty opłatki i położył je przed sobą na stole, były połamane, ale właśnie te okruchy przypominały Stefanowi przeszłość. Tak mało dogadzano w dzieciństwie jego łakomstwu, że na wspomnienie okruchów opłatki, które zjadał razem z Marysią, dziś jeszcze lękał słinkę. Marysia! jakże się ucieszył jej nauką.

— Rozporządzasz w tej chwili 205 talarami — pisał proboszcz i ten ustęp listu utkwiał w pamięci naszego bohatera. Czyż istotnie posiadał na własność tyle pieniędzy? Jakób nie skąpił mu ich nigdy, doznał jednak przyjemnego uczucia myśląc, że z tak znaczną sumką rozpocznie prace w Brazylii.

Gdzie, i jak rozpocznie, tego nie wiedział sam. O'Clear zajęty sprawami kraju, nie mówił z nim dotąd o przyszłości, a Stefan chciał przedewszystkiem zdać sobie jasno sprawę z położenia wychodźców polskich. Nie był jeszcze w Izabel, bo w niespełna trzy dni po wylądowaniu wezwano go na wyspę kwiatów do Leona. Biedny idyota zachowywał się dotąd bardzo spokojnie, pełnił chętnie wszystkie posługi, szukał tylko ciągle Stefana, i korzystał z każdej wolnej chwili, żeby wybiegać na drogę, na której spodziewał się go ujrzeć. Aż nagle, po jednej z takich wycieczek wrócił okropnie blady, porwał nóż leżący na stole i pędził wprost nad morze, machając nożem jak Zulus assagają.

— I tu! i tu przyszedł! nie dam, zabiję zabiję — krzyczał, grożąc urojonemu nieprzyjacielowi, aż wyczerpany gniewem padł bez duszy na ziemię.

Podniesiono omdlałego Leona, ale choć przyszedł do przytomności, nie przestał wzywać Stefana, jak gdyby miał powiedzieć coś ważnego.

— Był! był! — krzyczał — kiedy ślusarczyk wszedł do baraku — był, chce ukąsić, oh, on kąsał Boże bądź miłościw grzesznej mojej duszy — zawołał i zemdlął po raz drugi.

Przywołano doktora. Stary Smith Sidney pokręcił głową. — Na tę chorobę niema lekarstwa w aptecce.

— Przywidzenia, rzadki, lecz zdarzający się objaw idyotyzmu — powiedział, zapisawszy brom i wrócił do chorego, od którego go odwołano.

— Przywidzenia, zapewne nie co innego — myślał Stefan, siedząc przy łóżku Leona. Uspokajał go, próbując trafić do rozsądku idyoty, a gdy to nie pomagało, głaskał pieszczotliwie wychudłą i zbolalą twarz chłopca. Dobrze serce Stefana znalazło skuteczniejsze od bromu lekarstwo. Ziemniak przestał krzyczeć, schwytał rękę naszego bohatera i tulił ją tak długo, aż usnął, jak dziecko, któremu płacz przyniósł ulgę.

— Co to wszystko znaczy? — myślał Luty wracając do Jakóba po zupełnem uspokojeniu Leona, z którym przebył dwa dni w baraku. — Przywidzenie idyoty — powiedział doktor, tego samego zdania był i O'Clear, a jednak Luty nie mógł pozbyć się wrażenia. Doznawał tego uczucia i dziś. Korzystając z chłodnego poranku szedł do Izabel sprawdzić rzetelność opowiadań Marcinowej. Stada zielonych papużek przelatywały między gałęziami drzew, tukan, ukryty za grubym konarem cedru, odzywał się głosem podobnym do naszej kukulki, a w powietrzu brzęczały przepięknie ubarwione chrząszcze. Wyglądają one jak fruujące latarki, tak jasno błyszczą dwa świecące punkty, które mi natura uposażyła dziwne te owady. Kolibry, nie wiele większe od chrząszczy, wysuwały z pomiędzy liści długie swe i cienkie dzioby.

— Pięknym jest Boży świat — myślał Luty, podziwiając różnobarwność kwiatów i owadów, podziwiając zwłaszcza majestatyczną powagę gór, do których się zbliżał. Droga kończyła się w tym miejscu lasem wielkich dębów, zwanych Carwalha. Poznał, że stanął u celu.

Na dnie szerokiej rozpadliny stały długie, zbite z desek i deskami pokryte budynki. Kałuże błota broniły do nich dostępu, a wilgoć i stęchlizna wionęły na Stefana zaduchem zgnilizny.

— To tu, w tej pustce, mieszkają nasi — zawołał. Zdjął go żal i wstyd, bo porównywał komfort hotelu z nędzą baraków. Wszedł do środka, ale cofnął się od progu. Nie mógł znieść wyziewów, jakimi przejęte było schronienie wychodźców. Kilkadziesiąt osób dorosłych, kilkoro mizernych i wychudzonych dzieci sypiało tu na nędznych słomianych matach. Upał był nie do wytrzymania. O takim brudzie, o takim poniżeniu godności ludzkiej nie miał pojęcia Stefan, chociaż nad jego kołyską nie czuwała troskliwa matka, i bieda dała mu się często we znaki.

Budynek był pusty, tylko w kącie na rozłożonej rogoży leżało kilku chorych. Liście palmowe służyły im za wachlarze, odpędzali nimi komary, których gęste roje unosiły się nad kałużą. Po drugiej stronie baraku przy rozsłóženem ognisku gotowali wychodźcy czarną fasolę i piekli podpłomyki z mandjokowej maki.

Przybycie obcego zwróciło uwagę biesiadujących. Kilku z nich podniosło głowę, inni patrzyli obojętnie na Stefana, byli i tacy, którzy rzucali mu nienawistne spojrzenia. Nikt dotąd w Brazylii nie przyszedł do nich z dobrem słowem, wielu wyzyskało i skrzywdziło. Mogliż biedacy mieć zaufanie do tutejszych ludzi?

Przybyły nie był tutejszym. Jego płowa, jak len czupryna przypominała inne ziemie, inne kraje.

Zdjął z głowy kapelusz, skłonił się obecnym i rzekł jedno tylko słowo:

— Pochwalony!

Jedno słowo, ale tkwi w nim wieczysty urok bratniej, z Boga poczętej miłości. Tak witać się zwykły Chrystusowe dzieci, nie tylko krwią Zbawiciela odkupione, ale naucone w imię Jego święte znosić nędzę, krzepiąc się i poznając po pobożnym powitaniu hasło.

I tu nie przebrzmiało ono bez echa. Kobiety porzucały garnki na dźwięk swojskiej mowy.

— Prawda — rzekła Marcinowa, to ten, ten pewnikiem co się nad jej nędzą użalił.

— Może i nam da jaką radę — mówiła młoda matka, tuląc do piersi nowo narodzone dziecko.

(d. c. n.)



ZE ŚWIATA.

Ś. p. Antoni Gustaw Bem. Przed trzema tygodniami zmarł w Warszawie profesor języków starożytnych, gramatyki i literatury polskiej, Antoni Gustaw Bem. Choć wiele czasu poświęcał nauczaniu młodzieży, zajmował się gorliwie pracami naukowymi i literackimi, a zwłaszcza gramatyką i poetyką. Napisał trzy dzieła pierwszorzędnej wartości z zakresu tych nauk. Zarys wykładu mowy polskiej, „Jak mówić po polsku” i „Teorya poezji polskiej”. Ś. p. Bem urodził się w 1848 r. w Lipsku gub. Radomskiej, do gimnazjum uczęszczał w Radomiu, potem wstąpił do b. szkoły głównej w Warszawie.

Czy Andrée i Sverdrup powrócą? Wkrótce upłynie pięć lat od wzniesienia się z wyspy duńskiej balonu, na którym Andrée w towarzystwie Strindberga i Fränkla zamierzał dotrzeć do bieguna północnego. Prócz dwóch krótkich notatek oraz kilku przedmiotów do członków wyprawy należących, nie posiadamy żadnych dalszych wiadomości o przebiegu tej niezwyklej i jedynej w rodzaju swym podróży, a wszelkie dotychczasowe poszukiwania nie osiągnęły celu, gdyż nie natrafiono nigdzie na jej ślady. Wobec tego nie wiemy, jaki los spotkał tych śmiałków, którzy dla dobra wiedzy zaryzykowali, nawet — życie.

Jak wiadomo, d. 11 lipca 1897, Andrée w towarzystwie Strindberga i Fränkla balonem „Orzeł” wznosił się z wyspy duńskiej (jednej z grupy Szpicbergu). W dzień dni później t. j. 20 go lipca 1897 roku kapitan okrętu „Alkon” zastrzelił gołębia pocztowego, którego Andrée wypuścił z balonu w dwa dni po wzniesieniu się w górę. Gołąb ów miał na sobie (przytwierdzoną do pióra) depeszę, w której Andrée donosił, że w południe d. 13 lipca znajdował się pod 82°2' półn. szer. a 15°5' wschod. dług. Ponadto dodane były słowa: „Na pokładzie wszystko dobrze, pomyslna podróż w kierunku wschodnim. To jest trzeci gołąb, którego wypuszczam”.

Od tego czasu natrafiono na kilka tylko mało znaczących śladów śmiałego podróżnika, a wszelkie wieści o pobycie Andréego wśród Eskimosów, o znalezieniu jego rękopisu na pływającej obok Nowej Funlandyi górze lodowej i t. p., które od czasu do czasu pojawiają się w dziennikach, okazują się nieprawdziwymi.

Ponieważ wiadomość, przyniesiona przez gołębia, świadczy, że dnia 13 lipca „Orzeł” znajdował się pod 82° półn. szer. a 15° zach. dług., a wiemy na pewno, że od 14 lipca począwszy szalała w tych stronach śnieżycą z wiatrem północno-zachodnim, więc balon powinien był — o ile zdołał utrzymać się w powietrzu — wylądować bądźto na Ziemi Franciszka Józefa, na Nowej Ziemi lub na wybrzeżu syberyjskiem w okolicy przylądka Tajmyr. Że to nie nastąpiło, jest rzeczą prawie dowiedzioną, albowiem w okolicach tych pomimo starannych przeszukiwań, nie natrafiono nigdzie na jego ślady.

Powszechnie jest znanem, co zresztą doświadczyłem osobiście podczas austriackiej wyprawy podbiegunowej, że na wysokiej północy przy wilgotnych wiatrach w lecie, żagle pokrywają się lodem; tembardziej mogło to nastąpić w niniejszym wypadku, gdzie jak wiadomo, szalała śnieżycą. Być może, że Andrée dla zrównoważenia ciężaru sko-

rupy lodowej, powyrzucał z balonu część prowiantów i przyrządów, które następnie znaleziono na wybrzeżu Irlandyi i t. d. Jednakowoż mogła zajść i ta okoliczność, że pomimo zmniejszenia ciężaru balon nie zdołał się utrzymać w powietrzu, lecz spadł w morze, a wstrzymany na powierzchni wody zawartym wewnątrz gazem, został zapędzony ku przylądkowi Karola (na Szpicbergu), gdzie go widziano z pokładu „Fiskeren”.

Możliwe jest wreszcie, że Andrée, widząc się pędzonym nie ku biegunowi, lecz w kierunku południowego wschodu, powyrzucał niektóre przedmioty w celu wzniesienia się w górę, gdzie spodziewał się natrafić na pomyslny prąd wiatru, któryby balon popchnął ku północy. W tym wypadku może nas dojsć jeszcze wiadomość o losach tej jedynej w swoim rodzaju wyprawy, jakkolwiek nie da się zaprzeczyć, że może upłynąć cały szereg lat, zanim to nastąpi, gdyż ślady jej znajdują się prawdopodobnie w okolicach bieguna północnego, nietkniętych dotychczas stopą ludzką.

Największą wagę przywiązywano do wyprawy Amerykanina Paeryego, który od trzech lat bawi w północnej Grenlandyi, tudzież do wyprawy kapitana Sverdrupa. Pierwszy z nich nie natrafił nigdzie na ślady Andrée’go, o drugim zaś od lat czterech blisko nie posiadamy żadnych wiadomości.

Kapitan Sverdrup, komendant okrętu „Fram”, na którym Nansen odbył swą głośną podróż podbiegunową, wyruszył na tym samym okręcie w r. 1898 w podróż do bieguna północnego przez cieśninę Smitha. Dnia 4 sierpnia 1898 roku opuścił „Fram” Upernivik (w zachodniej Grenlandyi) i od tego czasu brak nam wszelkich wiadomości o jego losach. Plan Sverdrupa był następujący: udać się okrętem możliwie najdalej na północ, stąd na saniach starać się dotrzeć do bieguna, a stamtąd powrócić do wschodnich wybrzeży Grenlandyi, dokąd miał się udać „Fram” w tym czasie. W ten sposób spodziewał się wykonać trzy dotychczas nie spełnione zadania t. j. dotrzeć do bieguna, opłynąć Grenlandyę i odnaleźć wyprawę Andrée’go.

Przed samym wyjazdem zawiadomił znajomych, że na wypadek niemożliwości wykonania powyższego planu posiada jeszcze inny, który jednakże pozostał jego tajemnicą.

„Fram”, którego załoga wraz ze Sverdrupem składa się z 13 osób, został przed wyjazdem w dokach Christianii urządzony i wzmocniony odpowiednio do doświadczeń podczas swej pierwszej podróży z Nansenem i zaopatrzony w żywność na lat pięć, wszelako już najdalej po trzech latach spodziewano się jego powrotu.

Do duńskich kolonij w Grenlandyi nie nadeszła do jesieni roku zeszłego żadna wiadomość o nim, wobec czego przypuszczać należy, że znajduje się w stronach, skąd niemożliwem jest dać znać o sobie. Ale „gdzie” — oto pytanie, na które nie znajdujemy odpowiedzi. Tyle tylko jest pewnem, że „Fram” nie przedostał się do wschodnich wybrzeży Grenlandyi, gdyż składy żywności na wybrzeżu tem przez profesora Nathorsta w roku 1899 złożone — nie zostały wcale naruszone, co by niewątpliwie nastąpiło, gdyby Sverdrup był do tych wybrzeży zawiązał.

Przypomnijmy sobie, że przed 20 z górą laty okręt „Jeanette”, wyposażony kosztem wydawcy *New York Herald* dla poszukiwania Nordenskjölda, uwięziony został pomiędzy lodami w dniu 6 września 1879 roku na południu wyspy Wrangla pod 71°35' półn. szer. a 176°6' wsch. dług. Posuwany następnie prądem w kierunku północno-zachodnim, rozbił się 12 czerwca 1881 roku obok wysp Nowosyberyjskich (pod 77°15' półn. szer. 154°59' wsch. dług.), a szczątki jego znaleziono w roku 1884 około duńskiej osady Julianenhaab na południowo-zachodnim wybrzeżu Grenlandyi.

Jeżeli więc „Jeanetta”, a względnie jej szczątki, potrzebowały pięciu lat na przebycie drogi 2,903 mil morskich, to nie można się spodziewać, by „Fram”, który prawdopodobnie ma większą przestrzeń do przebycia, przedostał się prędzej do okolic zamieszkałych. Dlatego chociażbyśmy i w roku bieżącym o nim żadnej wiadomości nie

otrzymali, nie powinniśmy się losem jego niepokoić. W historii odkryć podbiegunowych znane są ponadto wypadki o powrocie podróżników, których już dawno uważano za zaginionych.

Jak już powyżej zaznaczyłem, jednym z zadań Sverdrupa były poszukiwania Andréego.

Czy go odnalazł? Czy natrafił na jego ślady?

Dziś o tem nic powiedzieć nie można — dlatego też czekajmy cierpliwie powrotu „Frama” i... miejmy nadzieję.

Stanisław Bobelak.



MILIARD MINUT.

Zadanie do nagrody.

Według obliczeń matematyków, dnia 28 kwietnia r. b. o godzinie 10 minut 40 rano upłynęło *miliard* (t. j. 1000 milionów) minut od Narodzenia Chrystusa Pana, czyli mówiąc ściślej, nie od dnia samego Narodzenia, które wypada dnia 25 grudnia lecz od chwili, którą uczony astronom Dyonizyusz Mały, żyjący w VI wieku po Nar. Chr. Pana, przyjął za początek ery chrześcijańskiej, a mianowicie od północy d. 31 grudnia roku poprzedzającego Narodzenie na 1 stycznia 1-go roku nowej ery.

Do VI wieku liczono lata od założenia Rzymu. Dyonizyusz pierwszy obliczył, że Narodzenie Chrystusa Pana wypadło w 754 roku po założeniu Rzymu (podobno omylił się o trzy lata, ale na to niema już rady!) i tym sposobem był założycielem rachuby lat według ery chrześcijańskiej, która następnie wszędzie weszła w użycie.

A zatem w poniedziałek d. 28 kwietnia r. b. o godz. 10-ej minut 40 *) rano upłynął pierwszy miliard minut ery chrześcijańskiej. Wiedząc, że wśród czytelników „Wieczorów” mamy wielu dobrych matematyków, dajemy im takie zadanie: *kiedy, to jest jakiej daty, jakiego miesiąca i roku, o jakiej godzinie i minucie upłynie drugi miliard minut ery chrześcijańskiej, czyli miliard minut od 28 kwietnia 1902 r. godz. 10 min. 40 rano.*

Nadmieniamy, że obliczenie, ile lat, dni i godzin zawiera miliard minut, nie jest rzeczą trudną, trudniejsze jest ustalenie owej daty kalendarzowej, bo trzeba brać w rachubę lata przestępne.

*) Według zegaru bleteńskiego, a według warszawskiego o godz. 9 m. 44 rano.

W rozwiązaniu należy podawać nie tylko ostateczny wynik, lecz i przebieg całego działania z objaśnieniem.

Redakcja za dobre rozwiązanie tego zadania udzieli *trzy nagrody*: „Dzieci kapitana Granta” J. Verne’a, „W krainie tygrysów” P. Mael’a lub „Pojednani” Teresy Jadwigi, do wyboru. Gdyby było więcej trafnych rozwiązań, to urządzi się między nimi losowanie. A więc do dzieła!

W. R.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 17-go

Szarady: Ra — dom — ka.

Prozy przerobionej na wiersze:

Zarżały konie, zagrzmiała podkowa;
Trzej to rycerze jadą śród parowa;
Zjechali, stają, a pierwszy z rycerzy
Krzyknie i w trąbkę mościżną uderzy,
Uderzył potem raz drugi i trzeci,
Strażnik mu z baszty rogami odpowiada;
Brzękły wrzeczadze, pochodnia zaświeci
I most zwodzony z łoskotem opada.

(Z „Grażyny” Mickiewicza).

OGŁOSZENIA.

TEATRZYK.

KOMEDYJKI

po	1. Amator przygód.	po
20	2. Kajtuś plotkarz.	20
kop.	3. Skąpiec. 4. Uczony.	kop.
	5. Niczego się nie boję.	
	6. Łakomec 7. Strachy.	
	8. W cudzych piórkach.	
	9. Złoźnica. 10. Próba.	
	11. Panna ciekawska.	
	12. Jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.	

Wydawnictwo MICHAŁA ARCTA

w Warszawie, Nowy Świat Nr. 53.

Osoba wykształcona poszukuje zajęcia na wyjazd, na letnie miesiące.

Wiadomość w redakcyi Wieczorów.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Jakie umiem piosenki, wiersz przez Maryę Konopnicką (z ryc.) — Marya Konopnicka, przez M. Łopuszańską. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Listy z wycieczek po kraju, przez Jadwigę Warnkównę (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Życzenia Ojcu św. z pow. 25 letniego jubileuszu Leona VIII-go. — Ze świata. — Miliard minut, zadanie do nagrody. — Łamigłówek i rozwiązania. **Dodatek:** Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno (z ryc.) dok. — Z księgi przysłów, wiersz, przez Łacha. — Braciszek klasztorny przez Z. Morawską. — Skrzynka do listów. — Łamigłówek i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII wieku, przez Annę Zielińską.

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Доволено Цензурою. Варшава 22 Апрель 1902 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska**.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Nr. 20. Rok — XXIII.

Dnia 4 (17) Maja 1902 r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



W Zielone Świątki.

Dzwonki wiosenne.

I.

Ponad pasem szarych błoni,
Coś tam w górze dzwoni, dzwoni...
Śniegiem straszy chmurny dzionek,
Zimny wicher dmie żałośnie,
Lecz już w gniazdku swem skowronek
Gdzieś podsłuchał wieść o wiosnie.
Więc z tą wieścią od świtania
Wzleciał w górę jako goniec,
I gardziółkiem swem wydzwania,
Powrót wiosny, zimny koniec.

II.

Po samotnym, głuchym lesie,
Jakieś szmery wietrzyk niesie.
Wstawać! wstawać! marzec mija,
Z nim złowrogie zawieruchy!
Nie napróżno... bo rozwija
Już sasanka wiotkie puchy.
— Oto słysz! oto jestem!
Wiosno! bierz mnie w łube dłonie,
Jam twój dzwonek, więc szelestem
Leśnej braci pierwsza dzwonię.

III.

A głos tajny dalej leci:
Wstawać! wstawać! kwietnia dzieci!
Więc się budzą dookoła,
Trawki, listki, zioła, kwiaty,
I podnoszą sennie czoła,
Odrodzenia biorąc szaty.
Całe w blaskach, w jaskrów złocie,
Łąki nęcą wdzięki swemi,
Wschodzą kwiatów setki, krocie,
Jak gwiazdeczki na tle ziemi.

IV.

Wyżej, wyżej, z każdej strony,
Wiosna życia wstrząsa dzwony...
Wszystko zrywa się z wywczasu,
Zdobiać, strojąc, barwiąc ziemię.
Tylko jeszcze w głębi lasu
Konwalijka wonna drzemie.
Wtem zrodzony w jasnym słońku,
Grot promienny ją ugodzi:
Tobie spać tu Maryi dzwonek!
Gdy Jej miesiąc już nadchodzi?

V.

Na ten głos, co z słońcem spływa,
Nić się długiej drzemki zrywa.
Przyszły już Zielone Świąta,
Wiosna! wiosna! raj na świecie!
Nikt o zimie nie pamięta.
Stoją chaty, jak w bukicie —
Niech tak dusze w kwietne pąki
Cnót się zdobia i uniesień:
Kto siał wiosną z hojnej ręki,
Temu plenną będzie jesień

E. L.

Na Bielanach,

przez Z. MORAWSKĄ.



nie zapomnij też moja jejmość włożyć do kosza
ze dwie buteleczki tego wystającego miodu! —
rzekł pan Maciej Glinarz, majster kunsztu
garncarskiego.

— Jeszcze czego; miód może się zdać dla
jakich dostojnych gości, a choćby na wesele
Marychny — ofuknęła jejmość Domicela, go-
dna małżonka Macieja.

— Ty wiesz jedno, a ja wiem drugie, a kiedy powia-
dam, wziąć, to wziąć! — rzekł małżonek stanowczo.

— Lepiejbyś myślał, żeby towar się nie potłukł, a jak
najraniej wyjechać...

— Nie jejmości w tem głowa! jakom cię zwolnił od
siadania nad towarem, tak cię też zwalniam od wszelkiego
frasunku co do przewiezienia i ustawienia onego! — przer-
wał niecierpliwie pan Maciej.

I nie spoglądając na kosze naładowane już do połowy
rozmaitemi prowiantami, wyszedł z izby.

— Czego mu się to zachciewa, że się dorobił jakiego
takiego grosza, w pana zaraz chce się zabawiać i miód na
Bielanach popijać — mówiła gderliwym głosem pani Ma-
ciejowa.

Gderając wszakże na męża, pakowała do kosza, przy
pomocy najstarszej swej córki Marychny i ślicznie upieczo-
ne, suto cukrem i rodzynkami posypane placki i duże ru-
miane prosie, które wyglądem swoim świadczyło, iż we-
wnątrz musiało być znakomicie nadziane, i rozmaite paczki
i paczuszki. Ze zaś wszystko było w kawałki płótna po-
wijane, nie można było dostrzedz, co tam w nich było.
Ale nikt nie wątpił, że w drugie święto Zielonych Świątek,
przy wesołej ochocie na Bielanach, nikomu z rodziny i do-
mowników pana Macieja, jadła nie zabraknie. Ba, i gość,
gdyby się przysiadł, setnie mógłby się pożywić.

Pan Maciej tymczasem poszedł do warsztatu, skąd
jeszcze ostatnie garnki i garnuszki, misy i miseczki, oraz
świstawki i rozmaite dziecinne zabawki terminatorzy wyno-
sili, owijali słomą lub pakułami i na stojący wóz, również
doskonale słomą wymoszczony, uważnie i ostrożnie pa-
kowali.

— Tatulku, ja dzban sam wezmę i przez całą drogę
będę trzymał, żeby się nie stłukł — odezwał się Marek, czter-
nastoletni syn pana Macieja, wskazując na duży dzban
misternej roboty.

— Weź, weź, a jakoś sam zrobił, tak i sam powinie-
neś baczyć, żeby się nie stłukł — odrzekł ojciec.

I z lubością spojrzał na syna a potem dodał:

— Pokażno, jeszcze się raz przypatrzę!

I wziął z rąk chłopca wielki dzban i począł go na
wszystkie strony oglądać.

A miał też czemu się przypatrywać. Na powierzchni
bowiem dzbana był nalepiony bardzo misternie jeździec,
w dłoni nad nim sokół, ptak o dziwnie delikatnych skrzy-
dłach, trzymając w dziobie wieniec z dębowych liści. Na
drugiej stronie był wryty rok 1789, wszystko zaś było po-
wleczone lśniącą, złotawego koloru polewą.

Pan Maciej oglądał dzban na wszystkie strony, kręcił
głową i uśmiechał się z zadowoleniem, Marek zaś stał
i spoglądał to na ojca, to na pracę swą, w którą włożył nie-
mało trudu.

— Udało ci się, niema co mówić! — rzekł ojciec. —
Ale skąd tobie takie myśli przychodzą? — zapytał.

Chłopiec zarumienił się po same białka oczu i rzekł
po chwili:

— Czy ja wiem skąd! Pan Bóg mi je snąć zsyła
z wiatrem, co od Wisły przychodzi i z promieniami słoń-



ka, co Wisłę naszą złoci! A żeby tatuleńko wiedział, co ja mam tych myśli w głowie, czasem zda mi się, że mi głowę rozsada, a gdybym je mógł wszystkie w glinie wyrobić, nie jeden ale setki byłoby takich dzbanów — mówił dalej Marek. — Ale przy tej mowie oczy błyszczały mu takim ogniem, iż zdawało się, że w nich przedstawiają się wszystkie, myśli o których wspominał.

Tymczasem pani Domicela z Marychną kończyły ładować smakołyki.

— A ten piernik coś sama upiekła, trzeba schować oddzielnie, żeby się nie połamał, boć to dziw nad dziwy, tak ci się uda! — mówiła matka, trzymając gruby, gęsto anyżem posypyany, smakowicie wyglądający piernik.

I tak samo, jak pan Maciej dzban, tak pani Domicela wyrób córki z wielką ostrożnością układała w łubowe pudełko.

— A też byle komu nie dam pokosztować takiego przysmaku — mówiła, bo twój to ojciec byle kamrata gotów sprowadzić i zarazby mu kawał wetknął! — dodała.

— Albo i z tym miodem, wyrwał się, jak z motyką na raki — mówiła dalej oszczędna niewiasta.

— A może tam tatulek spodziewa się spotkać jakie znaczne osoby i względem owego Markowego dzbana chce pogadać — ozwała się nieśmiało dziewczyna.

— A juści! — ofuknęła pani Maciejowa.

Niemniej wszakże otworzyła skrzynkę i wyjęła z niej wielki klucz, zapaliła kaganek i wyszła z nim do sieni. Tam podniosła ciężkie drzwi, mieszczące się w podłozie, i z kagankiem w rękę zeszła w głąb po ciemnych schodach do loszku, który każdy bogatszy obywatel miał pod swoim domem. Wielkim kluczem otworzyła znów drugie drzwi i weszła teraz już do loszku zastawionego beczkami, w jednym zaś kącie stały odosobnione i dobrze omszałe butelki.

— I taki miód oto każe brać na Bielany! — mruknęła do siebie.

Wzięła wszakże i niosąc ostrożnie, żeby nie obetrzeć pleśni, wróciła do izby.

— Jakby chciał byle kogo częstować, nie dam i kwita — rzekła, pakując z wielką uwagą przyniesione butelki.

Czy majster widział zapakowane butelki, czy też zajęty myślą o pięknym dzbanie syna, zapomniał o wszystkich, dość, że o miodzie nie myślał. Wróciwszy z garncarni i składów, spojrzął tylko na naładowane kosze i rzekł wesoło:

— No, wszystko dzięki Bogu gotowe, a jejmość widzę już naładowała jadło, możemy jutrzejszy dzień na chwale Bożej godnie spędzić, a w poniedziałek skoro świt na Bielany wyruszyć.

— Nie wadziłoby zaraz po północy, żeby wszystko jak się należy, nim inni poprzyjeżdżają ustawić — rzekła pani Maciejowa, która zawsze musiała jeszcze coś dodać i poprawić.

Choćbyśmy i ostatni przybyli, na nasz kram najwięcej oczu będzie spoglądało — rzekł z pewną dumą pan Maciej, mając na myśli piękny dzban Marka.

I patrzył z lubością na syna.

Marcin pokazywał bratu łubko, w którym zapakowany był piernik, Marek zaś opowiadał:

— W takie samo łubo, jeno dużo większe, zapakowałem mój dzban, a ojciec chwalił, że mi się robota udała.

— Że się udała, to udała, jeszcze chyba w naszej garncarni, a bodaj i w żadnej, tak pięknie dzbana nie przyzdobili! — odrzekła, uśmiechając się Marychna.

I poglądziła z lubością po zarumienionej twarzy brata.

— Dość tego gadania, zabierać się do snu! — zawołała ostrym swym głosem pani Maciejowa. — Wszystko już gotowe — jutrzejszy dzień na modlitwę i odpoczynek, bo w poniedziałek czeka nas nie mało turbacji — dodała.

— Ii, toć chyba więcej uciechy niż turbacji, boć przecie na Bielany jest czem oczy nasycić a też i dziwować się jest czemu — ozwał się pan Maciej.

— Juści, wy będziecie mieli uciechę, jeno ja muszę za wszystkich dawać baczenie i na towar i na Marychnę i...

I nie dokończyła swej myśli gderliwa niewiasta, lecz machnęła ręką.

Pan majster nie też nie odpowiedział, tylko się po swojemu uśmiechnął. Dzieci poszeptawszy coś jeszcze o jutrzejszej ucieście, poszły spać i wkrótce cisza zaległa mieszkanie państwa Gliniaków.

W poniedziałek, jako w drugi dzień świąteczny, ledwie świt rozwił pierwsze na niebie blaski i począł nocne rozpraszać chmury, we wszystkich domach na ulicy Piwnej, na Gołębiej, na Dunaju a nawet i S-to Jańskiej ruch przyspieszony panował. Do wozów naładowanych najrozmaitszym towarem, zaprzęgano konie, dokładano węzłki, poprawiano lub przymocowywano, żeby się co nie osunęło.

Głosy i nawoływania dawały się słyszeć ze wszystkich stron; były to głosy radosne lecz przyciszone. Słońko nie wstało jeszcze, świat był w półmroku a ludzie, ba, nawet zwierzęta, głos swój wtedy miarkują, jak gdyby chcieli okazać, iż przed ukazaniem się słońka powinno się mieć uszanowanie dla budzącej się ze snu dobroczynnej gwiazdy. W miarę ukazywania się coraz jaśniejszych promieni i głosy stawały się coraz śmielsze, wyraźniejsze, rozbrzmiewały przytłumionem echem po wąskich ulicach, łącząc się z gwarem rynku Starego Miasta.

(d. c. n.)

Sofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Boże, cóż to znaczy?

— Poszedłem więc z nim do mego pokoju cicho, żeby chłopców nie pobudzić i dałem mu broń.

— Ach, pociąg to uczynił? Trzeba było odmówić!

— Nie mogłem odmówić człowiekowi najzaczepniejszemu, rozumnemu, któremu ufam i dla którego mam wdzięczność. Jestem tylko zaniepokojony z powodu jego dystrykcji i boję się, by w roztargnieniu nie obszedł się z bronią nieuważnie.

Wszyscy troje zamyśliли się głęboko i patrzyli w ogień kominka, na którym strzelało wesoło palące się sosnowe drzewo. Po upływie pół godziny niepokój, który ich nurtował był już zbyt ciężki do zniesienia, pan Zabrzęski wstał, mówiąc:

— Muszę pójść do pokoju profesora, zobaczę co się z nim dzieje. Żeby czasem jego roztargnienie nie sprowadziło jakiego nieszczęścia. Na co broń może mu być potrzebna?

Pan Zabrzęski, a za nim żona i córka poszli ku pokojowi profesora. Na stukanie do drzwi nie było żadnej odpowiedzi. Pan Zabrzęski uchylił je, potarł zapalną i zoczył, że pokój był pusty.

Wrócili do saloniku, siedli przy kominku, który rozlewał przyjemne ciepło zupełnie niezbyteczne wśród pogodnej i chłodnej nocy jesiennej i czekali, mówiąc mało, myślarząc wiele a niepokój, który ich dręczył, ukrywając jedni przed drugimi.

IX.

Tymczasem profesor Chlewiatko dochodził właśnie do lasu i stanawszy na jego skraju, okryty cieniem drzew, rozejrzał się dokoła. Z krzaka wychyliła się cyganka, wzięła go za rękę i pociągnęła w cień jeszcze głębiej.

— Zmarzłam na kość, czekając na pana dziedzica —

mówiła — czy jaśnie dziedzic nie przyniósł czasem z sobą wódki? Na rozgrzewkę byłaby dobra.

— Nie mam wódki. Śpieszmy się, moja kobieto... nie-ma czasu do stracenia!

— Zaraz, zaraz, jaśnie dziedzicu! Jedno tylko powiem. Ja do samego miejsca jaśnie dziedzica nie doprowadzę...

— Dlaczego?

— Bo się boję. Cyganie, moi bracia, pozamykani w areszcie, ale zostały jeszcze cyganki, moje siostry. Może tam która w tej chwili czatuje nad pieniędzmi, może mię która zobaczy z jaśnie dziedzicem, a wtedy już po mnie! I mój synek co za nauką aż ginie, zostałby wtedy sierotą! Niech jaśnie dziedzic posłucha. Będziemy szli razem, ja po lesie będę jaśnie dziedzica prowadziła za rękę, ale żadne z nas nie powie ani słowa. Gdy dojdziemy do jednego miejsca, jaśnie dziedzic odliczy sobie dziewięć drzew stojących w nierównym rzędzie prosto przed nami. Dziesiąty będzie stary dąb, krzywy i spróchniały. Jaśnie dziedzic odliczy sobie siedm kroków od tego dębu, na prawo. Będzie tam kołek nieduży, leszczynowy, zatknięty w ziemię. Jaśnie dziedzic odgarnie liście i tam będzie znać, że ziemia była zruszona. Trzeba odkopać dołek na łokieć, tam są pieniądze w pudełku blaszanym, owiniętym w skórę cielęcą.

— Ukradliście gdzieś cielę?

— Eh, to jeszcze przeszłego roku!

I profesor zaczął powtarzać:

— Dziewięć drzew stojących w nierównym rzędzie, wprost przede mną, potem dąb krzywy, spróchniały... na prawo od dębu siedm kroków... kołek nieduży, leszczynowy.

— Ach, jaką jaśnie dziedzic ma mądrą głowę, wszystko zapamiętał odrazu! Za taką głowę, to można dać... Ale tu się coś ruszyło! Zając przebiegł czy co?

Niespokojnie poczęła krażyć w okóło, wyglądać ze skraju lasu na pole, ale nie dostrzegła Zdzisia, który się przytulił do sosny z tej strony, z której nie była oświecona przez światło księżyca.

W tej chwili po polu pomknął zając, szarak, który lubił zaglądać w nocy do kapusty dworskiej i tak się już oswoił z ogrodnikiem, Antonim, że odstraszonego przez niego, umiał przycupnąć gdzieś w brózdzie, a gdy Antoni odszedł w inną stronę, amator kapusty wracał i wygryzał same środki główek. Właśnie nocy poprzedniej przekonał się, że i kalafiory niezgorszą się jaryzną i myślał o nich, biegnąc co tchu ku ogrodowi dworskiemu.

Widok zająca uspokoił cygankę.

— Chodźmy, jaśnie dziedzicu — rzekła — a jutro przyjdę po zapłatę.

— Otrzymasz ją w całości, byleś swoich przyrzeczeń dotrzymała.

— A teraz cicho! Sza! Niech w lesie ludzkiego głosu słyhać nie będzie.

— Ale czemu ja odkopię pieniądze? Nie wziąłem z sobą łopatkę.

Jabym tam potrafiła i paznogciami to zrobić, a jaśnie dziedzic sobie poszuka jakiego spłoszonego kamienia, albo kołka mocnego.

Cyganka wzięła pana Chlewiatkę za rękę i szli lasem nie zamieniając między sobą ani jednego słowa. Za nimi, bardzo blisko, z obawy, żeby ich z oczu nie stracić, postępował Zdzis, o ile mógł cicho i usiłując stąpać w takt ich stąpania. Gdy tak szedł, śledząc profesora, tropiąc go jak

lis tropi zająca, własne jego postępowanie wydało mu się wstępnym i godnym największej pogardy. Nie mógł prawie wierzyć, że on, który pragnął całe życie rządzić się religią i honorem, że on, który się brzydził podstępami, teraz szedł jak złodziej, usiłując stłumić swe kroki! Że on mógł się poniżyć do wyjścia z domu tajemnie, do oszukiwania najlepszego ojca, układając pod kołdrą sztuczną postać, mającą naśladować kształty ludzkiego ciała, że był kłamcą, oszukańcem.

Ale już do powrotu droga była zamknięta. Wśród gęstwiny leśnej nie umiałby być rozpoznać stron świata i byłby z pewnością zablądził. Zresztą, gdy już tu był, mógł może stać się pomocą panu Chlewiatce, którego zamiarów nie znał, gdyż słyszał tylko koniec prowadzonej na skraju lasu rozmowy, między nim a cyganką. Szedł więc dalej, z sumieniem strasznie obciążonym popełnioną winą, pełen wzdryki dla siebie, pełen żalu i skruchy. Milczenie panujące między profesorem a cyganką budziło w nim jakieś niejasne podejrzenie. Było dziwnem i nienaturalnem, by dwoje ludzi trzymających się za rękę, nie przemówiło do siebie ani jednego słowa. To grobowe milczenie przejmowało Zdzisia strachem. Chwilami przychodziło mu do

głowy, że cyganka poprowadzi profesora w jakąś zasadzkę i wtedy budziła się w nim trwoga.

Myśli te ustępowały znowu przed nadlatującymi jak stado kruków, wyrzutami sumienia. Czemu on nie usłuchał Józia i nie zasnął spokojnie w ciepłym łóżku? Czemu nie naśladował brata w jego dobroci, posłuszeństwie, uczciwości?

Nareszcie profesor i cyganka zatrzymali się. Ona wskazała przed siebie, dotknawszy ręką wysokiej i nagiej sosny, a potem znikła między gęstwiną, jak sarna, która pomknęła wśród gałęzi i już jej oko ludzkie dojrzeć nie może. Profesor zostawiając sam, szedł przed siebie licząc drzewa, wreszcie zatrzymał się przy grubym, spróchniałym i krzywym dębie. Stając z prawej jego strony odliczył siedm kroków i schylił się ku ziemi. Szukał przez chwilę, macał, a nawet ruchy jego okazywały pewien niepokój, aż nareszcie stanął w miejscu i począł kijem liście suche rozgarniać.

Zdzis ukryty opodal za krzakiem śledził jego ruchy i pracę. Widział jak pan Chlewiatko zaczął grzebać w ziemi, odkopywać. Robota szła mu niesporo, przy braku łopatkę lub jakiegokolwiek narzędzia pomocniczego. Zdzis rozmyślał właśnie, czyby nie wyjawić swej obecności i nie ofiarować profesorowi kindżała do kopania ziemi, gdy usłyszał w oddali jakieś stąpanie, które się wśród ciszy nocnej rozlegało, a którego profesor, zajęty pracą, widocznie nie słyszał.

Chłopiec nadstawił ucha i usłyszał przyciszone głosy kobiece. Serce mu biło jak młotem. Czekał.

Głosy ucichły. Do kobiet idących, widocznie doszedł odgłos roboty profesora, bo przystały; a potem wytężony słuch Zdzisia zdołał usłyszeć tylko taki szelest, jak ślizganie się węża po mchach i liściach leśnych. Teraz serce zamarło mu w piersi, gardło zaciskało mu niewymowny niepokój, włosy jeżyły się na głowie. Krew buchnęła mu do głowy, potem czuł, że blednie i myślał, że zemdleje. Odzyskał jednak trochę spokojności, a słuch jego tak się zaostriżył, iż żaden szelest, żadne poruszenie zeschłego listka na drzewie, nie uszło jego baczności.

Wzrok Zdzisia szedł za wskazówkami słuchu i teraz



Zamek w Ojcowie.

dojrzał rzecz nadzwyczajną. Oto z ciemności leśnych, ku profesorowi poczęły czołgać się po ziemi trzy postacie, jak pantery przygotowujące się do skoczenia nagle na ofiarę, nie przeczuwającą żadnego niebezpieczeństwa.

(d. c. n.)

Jadwiga Warnkówna.

Listy z wycieczek po kraju.

Ojców 20/7 1901 r.

Droga moja! „Wysuszyło się i wykruszyło,” jak to powiedział ów wesołego humoru Ojcowiak, ale dopiero po pięciu dniach słoty. Od tygodnia znowu ciepło, jasno, promiennie. Biegamy więc po skałach, lasach, zdeptaliśmy już chyba wszystkie drożyny i natrzęśli się do syta wózkami. Najczęściej używamy przechadzki w głównym jarze, a zwłaszcza w części jego, zwanej Prądnikiem ojcowskim, gdyż zawsze nas w tę stronę nęci przepyszna grupa skał, zwana Bramą Krakowską. Przywiosę ci fotografię, z której przekonasz się, że nazwa ta słusznie została nadana, bo dwie olbrzymie, prostopadłe skały stoją w pewnem oddaleniu od siebie, tworząc wejście do bocznego wąwozu.

Takich bocznych jarów jest kilka jeszcze, jak dolina Bentkowska i Saspowska.

Ostatnia jest szeroka, kwiecista, powiem nawet weselsza od doliny Ojcowskiej, a że jedna jej strona wystawiona na południe, a druga na północ, stąd ogromna różnica daje się spostrzegać w obydwóch ścianach jaru. Na południowej stronie roślinność niezmiernie bujna, a kwiecie tyle, że się to ciśnie jedno obok drugiego, aby główkę ku słońcu wychylić. Dzwonki, storczyki, goździki, stokrotki mienia się żywymi barwami w gęstej trawie, a obok tych dobrych znajomych nęci oko, a często i zmysł powonienia mnóstwo roślin i kwiatów, nie spotykanych gdzieindziej, przynajmniej na naszych mazowieckich równinach.

W Saspowskiej dolinie płyną Saspa z Saspówką, a po bokach jarów bielą się tak samo, jak nad Prądnikiem szeregi skał różnych nazw i różnych kształtów. Nie drapaliśmy się już tam na skały, ani nie zaglądaliśmy do żadnych pieczar, bo dzień był wtedy tak piękny, a dolina w południowym słońcu przedstawiała się tak ponętnie, że nie chcieliśmy nigdzie zbaczać i idąc ciągle brzegiem rzeki, doszliśmy do pierwszych chat

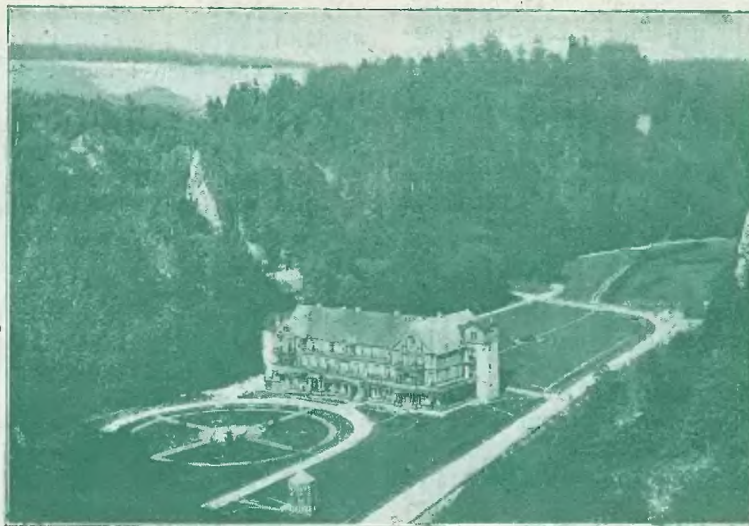
wioski Saspowa, a potem tą samą drogą powróciliśmy do Ojcowa, bo czas był wielki na obiad.

Zapytujesz, czy tu jest wesoło? W tak pięknej miejscowości, gdy jest pogoda, nie może być smutno. Ci jednak, którzy nie odczuwają piękności natury, niejednokrotnie narzekają na brak rozrywek, chociaż kto chce, może tańczyć co tydzień, a bawić się w kregle, krokieta i inne gry choćby cały dzień. Dzisiaj będzie nawet teatr amatorski na cel dobrotliwy, a za tydzień koncert. Za chwilę jedziemy do doliny Bentkowskiej; droga podobno dosyć daleka, ale widok doliny dziki, odmienny, a jednak pełen uroku, ma sówicie wynagrodzić trudy.

Ściskam cię *Helena*.



Kaplica nad Prądnikiem.



Zakład leczniczy w Ojcowie, widziany z Wilczej skały.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Ale na ten objaw złudzeń i nadziei powstał między mężczyznami pomruk niechęci. Alboż nie przychodził tu już raz swojak. Był kilka dni temu i co? Wyłudził ostatni grosz, obiecując starać się u rządu o pomoc dla kolonistów, a potem nie zajął więcej. Jeszcze i Skiba przepadł od tego czasu. Bóg wie gdzie się włóczy. Nie wierzą już, aby dla nich był ratunek. Zginą wszyscy, jak zginęło tyłu.

Stefan stał na brzegu baraku i patrzył. Byliż to ci sami ludzie, z którymi jechał do Bremy? Wygnędniali, obdarci, z wyrazem przygnębienia i rozpacz w oczach, nie przypominali w niczem dzielnych parobków, podróżujących z dobrą fantazją i wierzących, że zbudowano już przez morze most, i że w Brazylii dostanie każdy z nich ziemi w bród pod pszenicę, a kobieta zagon pod kapustę i len.

O jakże mu było żal tych ludzi. Jakże znalazły nagle w oczach Stefana własne jego tęsknoty i smutki.

Tyle razy bolał nad swem pochodzeniem, tyle razy myślał, gdzie w tej chwili jest jego rodzina, tyle razy zbroił

się w moc przeciw złośliwości ludzkiej, która może rzucić mu kiedy w oczy obelżywą nazwę: znajda. A teraz gdzie się podziały wszystkie jego osobiste troski. Utopił je w morzu zbiorowej nędzy. Tu na progu baraku wydały mu się one marne, i śmiesznie małe.

Znajda, to co, że znajda? Alboż jest czas myśleć o różnicy urodzenia.

Byłby chętnie padł na kolana i błagał Boga o moc, o rozum dobry, o wolę silną, o te wszystkie dary Ducha, które pozwalają człowiekowi oddać się na służbę braci-

— Wartoż było gniewać się na Adamka, wartoż przewidywać sztyderstwa złych ludzi, kiedy na świecie tyle jest do roboty, a tak mało ludzi gotowych zaprzepaścić siebie dla drugich — wołało sumienie.

A tymczasem z tłumu biedaków, zgromadzonych około ogniska, zaczęły się wysuwać ku Stefanowi coraz nowe postacie. Wychodzący odczuli, że stojący na progu młodzieniec, to nie obojętny przybysz, to człowiek gotowy oddać im serce i siły. Więc otoczyła byłego słusarczyka gromadka obdartych biedaków; ten i ów opowiadał swoje dzieje, a kiedy raz otworzyły się usta zacięte rozpaczą, to nie było już końca skargom.

Stefan słuchał, pocieszał, tłumaczył w jaki sposób Irlandczycy otrzymują od rządu Brazylijskiego dobrą ziemię i pomoc na nowe osiedliny. Wlewał otuchę w zgorzkniałe serca. Aż pod wpływem jego słów ożyli się wychodzący, prostowali zgarbione zwątpieniem postacie. Wstępowało życie do tych zamarłych i pobladłych twarzy.

Znów, jak rano, szumiał las, szarzały góry w oddali. Stada papug swarzyły się o miejsce na wygodny nocleg, pachniały kwiaty, świeciły chrząszcze, ale Stefan nie widział pięknej otaczającej go natury. Szedł pogrążony w myślach, była już prawie noc, gdy minął pierwsze domy. Niepewny drogi, chciał właśnie zapytać o nią przechodniów, kiedy nagle spostrzegł przed sobą mężczyznę ubranego w kapotę zupełnie podobną do tych, jakie widywał w Wągrowcu.

— Skiba—pomyślał. Przyjrzał się wieśniakowi i nie wątpił już, że to Wojciech idzie przed nimi, a idzie niepewnym, chwiejnym krokiem.

— Dlaczego nie było go w baraku, co może robić sam w obcym mieście? — Chciał już powitać znajomego z Gośliny, kiedy chłop skręcił nagle w bok, stanął przed budą skleconą z desek i grzmotnął w nią tak silnie pięścią, że zatrzęsa się od pierwszego uderzenia.

— Czego się włóczysz po nocy, czekam na ciebie od godziny — odezwał się ktoś z głębi budy.

Głos wydał się Stefanowi znajomym. Nauczony doświadczeniem nabytem w Bremie, a potem w Londynie stanął za drzewem i czekał

Nie czekał długo. Z budy wyszedł mężczyzna niższy i szczuplejszy od Wojciecha. Latarnia wisząca nad drogą oświeciła jego twarz.

Nieznanym był wujaszek Ziemniaka... Jacek Żądło. Nie ukrywał się i szedł z Wojciechem ku miastu rozmawiając głośno, Stefan słyszał o czym mówili.

— Byłeś na Ilha das Flores? pytał Jacek.

— Byłem, ale Marcinowa mówi, że ten chłopak, co mi go pan kazał sprowadzić, oszalał ze wszystkim. Macha nożem i duchem rad kogoś zabić, tylko nie wiedzą kogo.

— Osiel, na mnie się tak zawziął, Ale za co? za moją dobroć. Chciałem mu nastreczyć łatwy zarobek, ale nie będzie już widać pociechy z tego głupca.

— A możeby Pan mnie przyjął do roboty? — odezwał się nieśmiało Wojciech.

— Może, wprzód jednak muszę wypróbować, co potrafiś. Tamten był zdalny, zresztą to moja krew a ty obcy.

— Swojak czasem najgorszy.

— Prawda, tylko, żeś ty strasznie na kaszas (wódke) łakomy, przepiłeś wszystko, co ci dałem z wspólnego zarobku.

— To tylko, żeby zalać desperacją, bo okrutnie mnie ściska pod sercem, kiedy słucham jak tamci w baraku przeklinają moje namowy. Zresztą taki tam i zarobek. Otumaniliśmy swoich, oddali ostatni grosz, było czem dybała ukontentować.

— Milcz! — krzyknął Żądło. Podobały ci się milrei-

sy *) a teraz narzekasz? Z głoduś marł, kiedym cię spotkał w porcie, więc nie nie udawaj pana.

Wojciech uczuł skrucę, nachylił się i pocałował Jacka w rękę.

— Poczekaj — mówił udobruchany Żądło.

Niech ja tylko załatwię się w Rio z tym łotrem, przez którego długi język musiałem aż tu uciekać to potem oskubniemy jego przyjaciela, a bogaty to ptaszek, miałem na niego oko już w Londynie.

Stefan zadrżał, słowa łotra były aż nadto zrozumiałe.

— Trzeba ostrzedz O'Cleara—pomyślał, ale nie mógł dłużej śledzić Jacka. Droga prowadząca do miasta tętniła pod kopytami koni i mułów. W ulicę wjechał orszak bogato przybranych mężczyzn. W Brazylii nikt nie podróżuje nocą, nadjeżdżający panowie udawali się też tylko do podmiejskiej willi. Czterech murzynów z zapalonemi pochodniami poprzedało jeźdźców. Biegli na wyścigi z końmi i rozpędzali zapóźnionych przechodniów.

— Quem rem la? (kto idzie) zawołali, świecąc smolnem łuczywem. Dym pochodni roznosił w powietrzu woń kadzidel. Drogę było teraz widać doskonale.

— Pozna mnie — zawołał Stefan i skręcił w boczną ulicę.

Rozdział XIV.

Rozstanie przyjaciół. — Gladstone. — Potęga wynalazków. — Broń dla kolonistów. — Ratunek. — Wspólnik zdradził. — Skiba ranny. — Piosenka. — Skrucza Wojciecha. — 24 Grudnia. — Wigilia w baraku. — Kolędy. — Do kościoła.

— Rozstajemy się więc Stefanie, ty poprowadzisz swoich współziomków a ja także zapewne niedługo tu zabawię.

— Opuszcza więc pan Brazylię—mówił z żalem Stefan.

— Być może, jeśli znajdę ludzi, którzy zastąpić mnie potrafią. Minister Gladstone uznał prawo religii katolickiej i ulżył losowi pokrzywdzonych rolników Irlandzkich. Do nas należy wyzyskać otrzymane ustępstwa, uświadamiając ludność o tem, co już otrzymała i czego jeszcze żądać ma prawo. Zakładałem w tym celu, razem z moim przyjacielem Parnelem, dziennik.

— Niebardzo ja się znam na tych sprawach, — powiedział Stefan zasmucony wyjazdem Jakóba.

— Cóż chcesz, minęły czasy wielkich wojen. Trzech Horacyuszów ocaliło Rzym, kto wie, czy trzech dziennikarzy lub trzech uczonych pracujących w laboratorium nie wystarczy dla pokonania Anglii.

— Pan wierzy temu? zapytał Stefan.

— Dlaczego nie miałbym wierzyć? Pomyśl, jaki przewrót wywołało zastosowanie pary. Cóż stałoby się ze starym światem, gdybyśmy znaleźli sposób zużytkowania takich sił, jak siła przypływu i odpływu morza. Czy wiesz, że siła wód samej tylko Francji wyrównywałaby siłę wszystkich ludzi na świecie, a siła cyklonu, trwającego kilka godzin, wystarczy dla poruszenia wszystkich fabryk na obu półkulach przez całe tysiąc lat.

— Mnie się kręci w głowie, gdy o tem myślę, ale to wszystko tylko przypuszczenia.

— Przypuszczenia? Alboż nie przenoszą już ludzkie siły wodospadów na setki mil. A cóż będzie, jeśli udadzą się próby zużytkowania pierwszego źródła sił, siły słońca. Słońce wprawdzie nie zawsze i nie wszędzie świeci. Jeśli jego promienie zastąpią węgiel i poruszać będą fabryki, to mglista Anglia i my Irlandczycy skazani jesteśmy na bankructwo. Niewiele lepiej dziać się będzie i z wami nad Wisłą, ale tembardziej należy kolonizować słoneczną Brazylię. Daleko zaprowadziły mnie marzenia wynalazcy, praktyczniej będzie wrócić do projektów założenia dzien-

*) Milreis pieniądz Brazylijski wart mniej więcej 60 kopiejek. Kurs jego bardzo zmienny. Milreis zawiera 1000 rejsów.

nika. Nie mówiłem ci dotąd o nich, kiedy jednak zdecydowałeś się towarzyszyć waszym wychodźcom w głąb kraju, to chcę, abyś wiedział, jakie są moje plany. Ty rozpętałeś mi ręce bo posiadając środki materyalne, mogę dążyć wszędzie, gdzie mnie wzywają interesy Irlandyi.

— Ja to jestem dłużnikiem pana, panu przecież zawdzięczam pomoc daną moim współziomkom. Byłem dziś w baraku, mam nadzieję, że za kilka dni wypłyniemy z Rio.

— Wprost do Itajahy?

— Tak do portu Itajahy i korytem tej rzeki w głąb kraju aż do Sixteen Lots, to jest do tych szesnastu działków, na których wprzód pracowali pańscy rodacy.

— Czy otrzymaliście od rządu przyobiecana zapomogę?

— Dzięki panu nie doznaliśmy pod tym względem żadnych trudności. Okręt zabiera na statek nasiona i narzędzia rolnicze, nawet kuźnię, w której rozłożę mój warsztat ślusarski. Mamy wszystko, czego potrzebuje początkujący osadnik.

— Stefanie — powiedział O'Clear kładąc rękę na ramieniu ślusarczyka — chętnie podzieliłbym się z tobą moim majątkiem, ale nie chciałem nigdy przyjąć ode mnie nic po nad konieczne wydatki. Ja i moja matka pozostajemy na zawsze twymi dłużnikami. W puszczy będziesz koniecznie potrzebował dobrej broni. Kupiłem tę fuzyę, niech ci przypomina brata.

Stefan był tak wzruszony odjazdem i dobrocią Jakóba, że nie dziękował mu nawet. Powtarzał w myśli słowa inżyniera.

Stał przy otwartym oknie. Z ulicy dochodziła wrzawa kłótni, ale ani on, ani Jakób nie zwracali na nią uwagi.

— Ratujcie, łapcie zbója! — krzyknął nagle ktoś po polsku.

— Słyszysz, to wasz wzywa pomocy—zawołał O'Clear chwytając rewolwer. W mgnieniu oka byli obaj z Stefanem na ulicy.

Jakiś wysoki i tęgą mężczyzna okładał pięścią wijącego mu się pod ręką chudziaka.

(d. c. n.)



ZE ŚWIATA.

Nowy balon (z ryc.) W roku zeszłym, w „Historyi środków komunikacji” opowiadał p. Umiński o różnych rodzajach balonów najświeższej konstrukcyi, ale teraz zapanowała istna gorączka balonowa i każdy miesiąc przynosi nowe pomysły. Francuz, p. Roze, któremu laury Santoz-Dumonta spać nie dają, wynalazł podwójny balon latawiec, przedstawiony na rycinie. Pod dwoma olbrzymimi cygarami, wypełnionymi wodorem, umieszczona jest maszyna latająca i kierująca balonem, zrobiona z aluminium.

Przyrząd ten kosztował wielką sumę i wyglądał wspólnie, wynalazca z maszynistą w obec znacznej ilości widzów zasiadli wewnątrz maszyny aluminiowej, i mieli wyruszyć w powietrzne przestwory. Ale cóż! pomimo wirowania śrub — balon ani drgnął z miejsca. — Próba się nie udała, lecz wynalazca nie traci jeszcze nadziei, że poprawi błędy budowy.

Audyencya u cesarzowej chińskiej. Jedna z dam, należących do ambasady w Pekinie, powróciwszy niedawno temu do Europy, tak opowiada o audyencyi, która się odbyła w styczniu u cesarzowej chińskiej.

W sali udekorowanej najkosztowniejszymi przedmiotami sztuki, znajdują się wszędzie świeże jabłka, których zapach cesarzowa bardzo lubi, poustawiane w małych piramidach na posadzce. Powoli cesarzowa zstąpiła z tronu. Gdy z kolei żonie ambasadora amerykańskiego wyraziła najgłębsze ubolewanie z powodu nieszczęśliwych wypadków dwóch lat ostatnich, załżała się łzami. Powtarzała kilkakrotnie, że Chiny same ponoszą winę tego, co się stało, odtąd jednak zapanować ma przyjaźń i pokój między Chinami i Europą. Następnie zdjęła kosztowny pierścień, ozdobiony perłami, i włożyła go na palec żony ambasadora amerykańskiego, nadto ofiarowała jej dwa naramienniki. Podobnie obdarowała władczyni i inne damy: przyszła kolej na dzieci, które wszystkie wypytywała o wiek. Szczególna rzecz, że dzieci nie okazywały żadnej trwogi i zachowywały się swobodnie. Każde z dzieci otrzymało mały łańcuszek z medalionem.

Cesarzowa jest średniego wzrostu, dość pełna, choć nie otyła. Rysy jej twarzy są ostre i regularne. Wysokie czoło wskazuje na pochodzenie jej mandżurskie, oczy jednak nie są ani małe, ani skośne. Twarz cesarzowej nie jest uszmiękowana, jak u reszty dam chińskich, zdradza też niezwykłą stanowczość i energię. Dama, która szczególnie ją opowiada, zapewnia, że takiej twarzy wśród kobiet chińskich nie spotkała.

Wszystkie jej ruchy i chód są majestatyczne. Skoro obdarowała gości, kazała podać sobie fajkę, którą paliła z widocznym zadowoleniem. Wtem wszedł do sali cesarz i przedstawiono mu damy. Stał niemal nieruchomo, tylko podczas prezentowania dam podawał im kolejno swoją niezwykle drobną rękę. Jedna z pań chciała koniecznie zwrócić na siebie jego uwagę, siadła przeto naprzeciw niego i uśmiechała się. Zauważył to, uśmiechał się również i zdawał się szczególnie obserwować jej kapelusz. Nie przemówił jednak ani słowa.

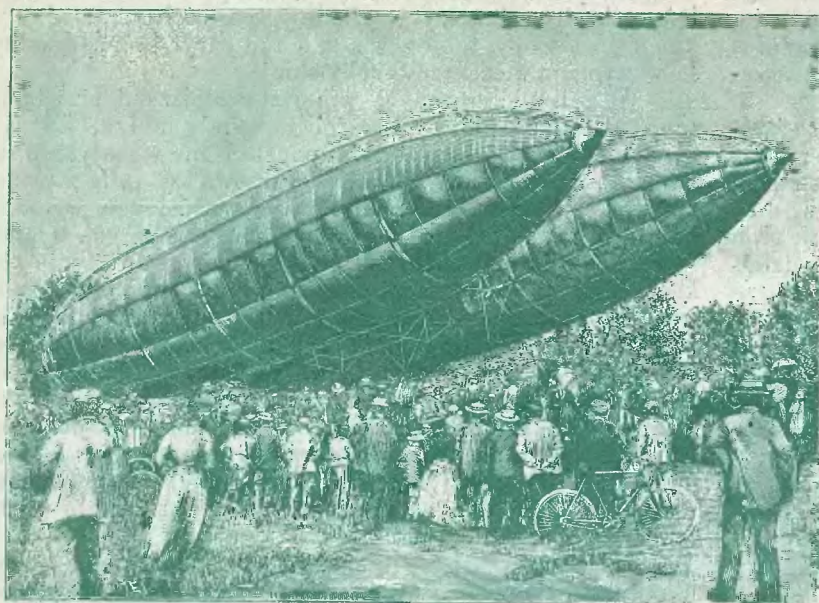
Na śniadanie podano oryginalne potrawy, — których damy europejskie prawie nie tknęły. Cesarzowa rozłamała mały chiński chleb na kilka kawałków, zmaczała jeden w sosie, podobnym z wyglądu i smaku do... czernidła na buty i własnymi palcami włożyła do ust żony ambasadora amerykańskiego; ten sam zaszczyt spotkał siedzące w pobliżu żony ambasadorów hiszpańskiego i japońskiego. Opowiadająca te szczegóły, podziękowała cesarzowej w języku chińskim, co ją widocznie tak bardzo ucieszyło, że podała jej zaraz drugą porcję. Nagle cesarzowa uchwyciła rękę ambasadora amerykańskiego, poruszyła z wolna głowę i rzekła jakby ze smutkiem: Nikt nie chce u mnie jeść!

Cesarz podczas całego śniadania stał, śledził wszystko z niezwykłym zainteresowaniem, ale i teraz nie odezwał się ani jednym słowem...

SZARADA.

ul. Chmurka.

Moje pierwsze płynie
W południa krainie,
A z mojem trzeciem złączone
Czterykroć bywa zmienione.
Moje drugie trzecie
Okrywa, nie dziecię,
Ni ptaka, ni zwierzę,
Okrywa, coś przecie,
I od zimna strzeże.
Moja *wszystka* wielka cnota,
Która droższą jest od złota.
Rzadko kogo zdoła ona,
Zawsze przecież jest ceniona.



Wzlot balonu Rozego (patrz str. 159).

ARYTMOGRYF.

od Łochozwianki i Czarnuszki dla Świtezianki i Wieszczyki.

- 1) 12, 5, 25, 2, 8, 1, 5, 25, 7, 4. Jeden z naszych
[pierwszych drukarzy.
- 2) 15, 3, 13. Mineral kopalny.
- 3) 8, 3, 17, 5, 4. Imię żeńskie.
- 4) 25, 23, 33, 6, 1, 9, 2, 14. Miasto w Szkocyi.
- 5) 23, 33, 4, 6, 4. Grecka bogini.
- 6) 8, 16, 3, 7, 33. Dawna polska moneta.
- 7) 5, 13, 6, 5, 10, 11, 4. Poetka polska.
- 8) 25, 10, 9, 4, 23, 3, 2. Rzeczposp. w Amer. połud.
- 9) 23, 33, 3, 14, 25, 6, 25, 15. Filozof grecki.
- 10) 3, 1, 25, 13, 5, 15, 11. Kolumna piramidalna.
- 11) 1, 4, 2, 23. Śpiewak w wiekach średnich.
- 12) 2, 25, 16. Poeta polski z XVI w.
- 13) 8, 4, 6, 8, 5, 1, 4, 2. Wybrzeże w Afryce.
- 14) 25, 23, 21, 9, 6, 23. Imię męskie.
- 15) 12, 5, 25, 15, 16, 4, 12. Utwór K. Brodzińskiego.
- 16) 23, 25, 21, 3, 15, 7, 25, 6, 25, 15. Najznakomitszy
[mówca grecki.
- 17) 3, 8, 5, 2, 5, 15. Bożek egipski.
- 18) 21, 3, 2, 8, 25. Wielki obszar wody.
- 19) 9, 2, 15, 8, 9, 13, 11, 4. Imię córeczki naszego poety.
- 20) 6, 25, 21, 2, 3, 23. Założyciel państwa Babilońskiego.
- 21) 4, 21, 25, 2, 33, 11, 4. Część świata.
- 22) 16, 4, 15, 15, 33, 2. Niewola u Turków.
- 23) 13, 4, 13, 11, 4. Zabawka dziewczynek.

- 24) 25, 13, 25, 14, 5, 4. Rodzaj poezyi.
- 25) 14, 3, 2, 7, 33, 11. Przedsiónek z kolumnadą.
- 26) 5, 2, 25, 6, 4. Imię żeńskie.
- 27) 25, 8, 3, 14. Bajkopisarz grecki.
- 28) 16, 4, 6, 5, 6, 4. Miasto w Albanii.

Zastąpić liczby literami i utworzyć wyrazy, którychby pierwsze litery złożyły znane przysłowie. Jednakowe liczby oznaczają też same litery.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 18-go:

Szarady: O — ce — an.

Łamigłówki w krótkach.

- | | |
|-------------|-------------|
| 1) C e n t | 12) I g ł a |
| 2) A z y a | 13) A n a m |
| 3) P i e Ń | 14) P t a k |
| 4) P r o m | 15) G ł a z |
| 5) K o c z | 16) P o r t |
| 6) C h a m | 17) P i e s |
| 7) A n n a | 18) A m u r |
| 8) S t a l | 19) R a f a |
| 9) A r a k | 20) K a w a |
| 10) G r a b | 21) W ó d z |
| 11) S ł o Ń | 22) S o w a |

Czem chata bogata tem rada.

6-cio klasowy zakład naukowy żeński S. TOŁWIŃSKIEJ

z dniem 1-m Lipca 1902 roku przeniesiony zostaje z ulicy Chmielej 48, róg Zielnej, do specjalnie na ten cel wybudowanego gmachu przy ulicy

Św. Barbary Nr. 4.

Egzaminy przedwakacyjne dla nowowstępujących uczennic trwać będą od 10 Maja do 4 Czerwca.

Chcę nabyć za gotówkę szkołę freblowską w Warszawie. Adres: Odessa, Policejska Nr. 20, Marya Sakowicz.



PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: W Zielone Świątki (ryc.) — Dzwonki wiosenne, wiersz przez E. L. — Na Bielanych, przez Z. Morawską. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Listy z wycieczek po kraju, przez Jadwigę Warnkównę (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata. Nowy balon (z ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką (z ryc.) — Dzień dobry, wiersz przez W. K. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — Nie udało się, komedycja w jednym akcie. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII wieku, przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою. Варшава 29 Апрель 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

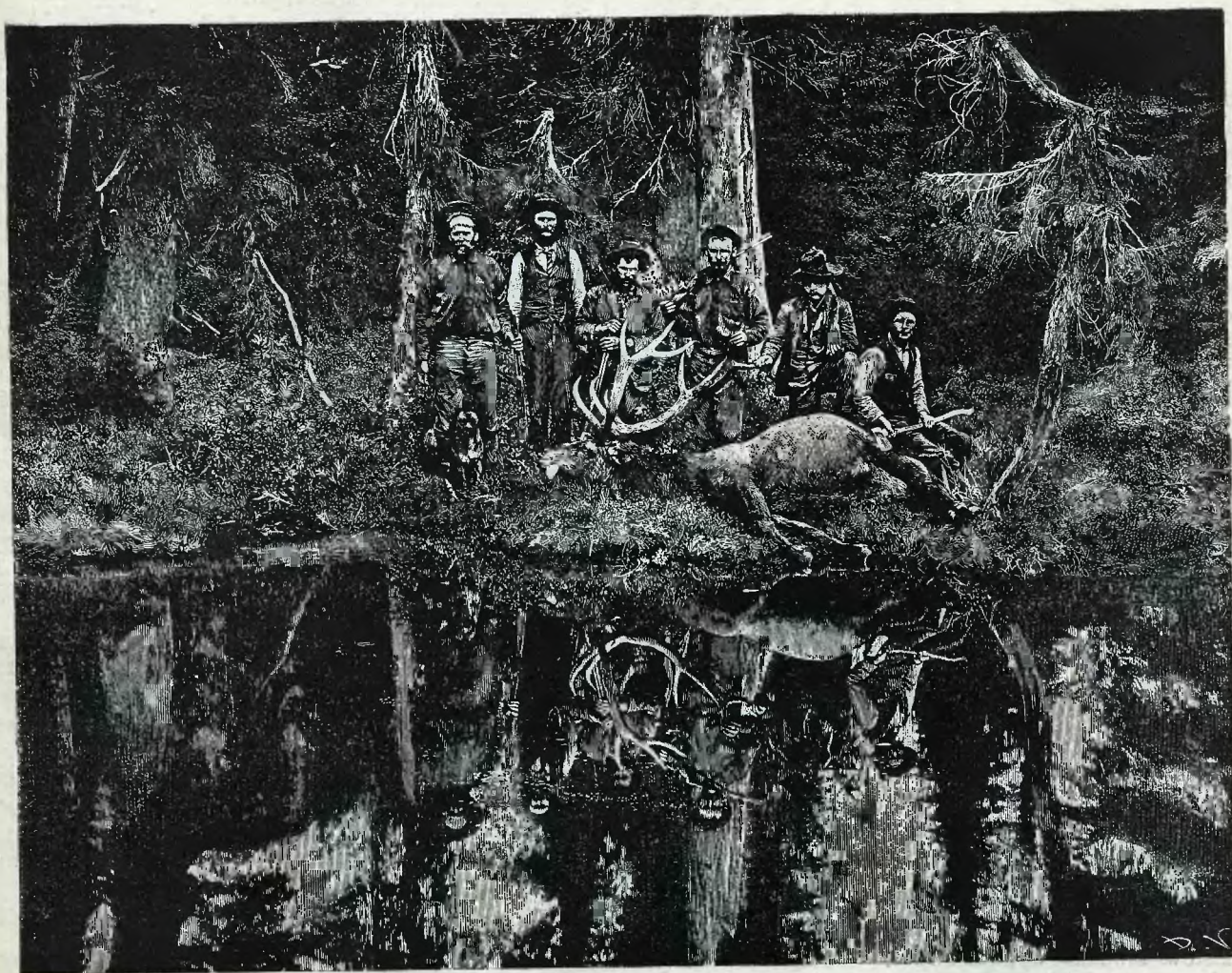
W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Nr. 21. Rok — XXIII.

Dnia 11 (24) Maja. 1902 r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Jezioro zwierciadlane (str. 168).

Zofia Howerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Zdzis wypadł z za krzaka i wyciągając kindżał z pochwy, zawołał.

— Zdrada! Rewolwer w rękę!

Z temi słowy rzucił się naprzód. Profesor nie od razu zrozumiał o co chodzi i nim zdolał się opamiętać, poczuł ręce opasujące mu szyję i paznogcie wpijające mu się w nią coraz mocniej. Druga para rąk chwyciła go za nogi i usiłowała wyrzucić, podczas gdy na głowę zarzucono mu płachtę.

Ale Zdzis nie stracił przytomności. Skoczył jak kot ku tej zmieszanej grupie i wyciągnął z prawej kieszeni profesora rewolwer, z którego dał strzał w powietrze, krzyżąc:

— Wystrzelam co do nogi! Precz, bo żadna z życiem nie ujdzie!

Ręce na szyi profesora rozwiązały się i jedna z trzech kobiet runęła nagle na ziemię. Dwie drugie przestraszone poczęły ciągnąć ją ku krzakom, podczas gdy profesor, którego duszenie za gardło pozbawiło na chwilę przytomności, zrzucił płachtę, którą mu głowę obwiązać usiłowano i postąpił ku kobietom, ciągnącym towarzyszkę!

— Stać mi w miejscu bo śmierć! — zawołał głosem, którego mu sam Stentor pozazdrościł.

Kobiety stanęły, lecz z dwóch zrobiło ich się trzy, gdyż i ta co leżała na ziemi, powstała nagle, wróciwszy do przytomności po zemdleńiu wywołanem wystrzałem Zdzisia i kulą, która, jak jej się wydało, koło ucha jej świsnęła.

— Niech się jaśnie pan zmiłuje nad biednymi cyganami! — zaczęła stara wiedźma, która dwa dni przedtem, wróżbami swemi wszystkich obdzieliła.

Profesor ochłonął zupełnie i wzięwszy rewolwer z rąk Zdzisia, najspokojniej odezwał się do cyganek:

— Stańcie tu wszystkie trzy rzędem przede mną i jeżeli która się ruszy, strzelę do niej natychmiast.

Zwrócił się do Zdzisia.

— Nie pytam cię teraz, skąd się tu wziąłeś, później mi zdasz rachunek ze swego postępowania. W tej chwili jesteś mi potrzebny! Ja będę stał z rewolwerem, strzegąc, by te kobiety nas nie napadły, a ty odkopiesz pieniądze, które się znajdują tu, w miejscu gdzie grzebać zacząłem.

Stał przed cygankami nie spuszczać ich z oka, z ręką na cynglu rewolwera. Przez ten czas Zdzis milcząc, pokornie i potulnie zabrał się do roboty. Szła mu ona bezporównania łatwiej i zręczniejsze, niż profesorowi, gdyż kindżał łatwo poruszał ziemię, którą następnie rękami nie trudno było z dołka wygarnąć. Cyganki skarżyły się i jęczały to chórem to każda z osobna:

— To cygańskie pieniądze! — wołała jedna z nich — pan biednych cyganów obdziera! Pan chce zabrać pieniądze krwawo zarobione: za wróżenie, za kładzenie kabały!...

— Kto ruszy cygańskie pieniądze — mówiła stara wróżka — ten nie zobaczy już ani swojej mamy rodzonyj, ani tej pięknej starszej siostry, co ma liczek jak jutrzienka, ani najmłodszego braciszka...

Zdzisiowi kindżał wypadł z ręki. Stał bezwładny, a w oczach cyganki zajaśniała radość i nadzieja.

Profesor zmarszczył brwi i krzyknął:

— Kopać mi dalej!

Zdzisiowi się wydało, że te słowa oblały go zimną wodą. Wytrzeźwiało z niewytłomaczonej trwogi, którą brał za złowieszcze przecucia i kopał znowu zapamiętałe ziemię rękami wybierając z dołka, aż nareszcie kindżał jego uderzył w coś, co nie było łatwo ustępującą ziemią, tylko

jakimś przedmiotem miękkim, a jednak niepodatnym. Począł grzebać i macać rękami, aż wydobył pudełko blaszane, owinięte w skórę cielecą. Zdobycz swoją podniósł w górę, w radości swej zapominając o przepowiedniach cyganki.

— Jest pudełko, są pieniądze! — krzyknął tak, że aż się po lesie rozległo.

W tej chwili jedna z cyganek skoczyła nagle jak tygrysica, chcąc z ręki pana Chlewiatki wyrwać rewolwer, lecz on choć był roztargniony w zwykłych okolicznościach życia, teraz gdy szło o rzeczy ważne, czujny był jak żóraw.

— Nie zbliżaj się, bo strzelę! — zawołał, stojąc w pozycji człowieka gotowego do strzału.

— To niech pan strzela! — zawołała stara wiedźma — co cyganom po życiu kiedy muszą umierać z głodu, skoro nawet panowie dziedzice ich krwawo zapracowany grosz zabierają!

Pan Chlewiatko był spokojny i zimny.

— Chciałabys mnie wyprowadzić z cierpliwości — rzekł bez najmniejszego uniesienia — ale to ci się nie uda. Jestem zupełnym panem siebie i z zimną krwią strzelę, jeżeli która z was będzie nieposłuszna.

— Więc niech nam pan dziedzic, tylko jedno jeszcze powie. Kto zdradził, kto powiedział gdzie są pieniądze? Póki się tego nie dowiemy, póty żadna z nas się nie ruszy, choćby nas tu ogniem przypiekano!

Profesor zimną lufę pistoletu przyłożył do czoła starej cyganki, która widać trwożliwej była natury, bo krzyknęła, jakby ją już postrzał ugodził.

— Już pójdziemy, już pójdziemy — mówiła — tylko niech nam pan życie daruje, bo życie cygańskie jest dobre i żaden król w koronie nie jest tak szczęśliwy, jak cygan w lesie przy ognisku.

Cyganki ustawiły się w rząd i szły przed panem Chlewiatką i Zdzisem, ku skrajowi lasu, mniej więcej tą samą drogą, którą przebyli niedawno. Cyganki ciągle molestowały, by im wyjawiono imię zdrajcy.

— Trzech naszych braci zabrano i ci nas nie zdradzili, ale zostało jeszcze oprócz nich i nas pięcioro ludzi dorosłych... Liwor pojechał z końmi, to i ten nie zdradził. Liwor, mój mąż, nie zdradził!

— Pójdzie on pod sąd jak inni! Potem Achem...

— Achem został żeby strzedz obozu i tameśmy go zostawiły.

— Ale mógł zdradzić, mógł komu powiedzieć... I jeszcze są trzy kobiety: Aza, Chicha i Jawnuta.

— Aza spodziewała się ładnego grosza za to, że stała a jakaś pani ją rysowała! Ta ma najlepsze dochody, bo panowie i panie zaraz gadają z sobą po francusku, jak na nią patrzą i dziwią się jej, a oka z niej nie spuszcza! Zdzis nie mógł się powstrzymać od zawołania:

— To ta ładna, co to ma synka, który ginie za nauką! Najbrzydsza z młodych cyganek, która Azie zazdrościła piękności, zwróciła się ku Zdzisiowi:

— Ona opowiada o synku i zawraca na państwa oczy wielkie jak cebule, które nie wiem dlaczego się państwu podobają! Ale ona żadnego synka nie ma. Miała dwie dziewczyny, najgorsze psotnice z całego obozu, ale je ospa przeszłego roku wydusiła.

Pan Chlewiatko uczynił Zdzisiowi gest nakazujący milczenie.

— Ta Aza to najgorsza ze wszystkich i to ona pewno nas zdradziła! — mówiła dalej młoda cyganka.

A stara wiedźma na to:

— Tybyś chciała, żeby ją sąd skazał, bo ci ona solą w oku za to, że jej częściej niż tobie jaki grosz kapnie! I teraz podobno ta pani, co ją maluje obiecała jej dać dzie sięć rubli!

Zdzisia okrutnie język świerzbiał, żeby powiedzieć, co o tem myślał, ale zrozumiał, że człowiek rządzący się religią i honorem powinien umieć milczeć, a tajemnica cudza powinna była spoczywać na dnie jego serca jak w grobie.

Do końca tej przykłej drogi, w której pan Chlewiatko i Zdzisława musieli się mieć na baczności, kobiety modliły się, o wykrycie im zdrajcy z tą natarczywością i niezdolnością natężyć do którego tylko cyganki są zdolne. W końcu rzuciły się na kolana błagając ze łzami, by ich prośba wysłuchana została.

— Kiedy już nie mamy pieniędzy, to przynajmniej niech nam się dostanie głowa zdrajcy! — mówiła stara wróżka.

Na zimny rozkaz profesora, by powstały z kłęczek i szły naprzód, zaczęły grozić i przeklinać.

(d. c. n.)

Na Bielanach,

przez Z. MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).



Tutaj wszakże domy stały jeszcze sennie, bo w rynku, jako w centrum całej Warszawy, były domy panów, szlachty, lub winiary, którzy tak wcześniej nie potrzebowali wyruszać na Bielany.

Dla pierwszych bowiem dość było jeszcze czasu na przyjemności i uciechy, drudzy wiedzieli, że dopiero z przybyciem dworu i panów towar ich będzie miał odbyć.

Wkrótce zaturkotały wozy, potem ulice miasta ucichły, za to gwaro się zrobiło na drodze

ku Marymonckim rogatkom, przez które podążano na Bielany.

Z kościoła odezwał się dzwonek jeden i drugi, a odpowiadając sobie lub łącząc się razem, wyśpiewywały:

— Ave Maria, Ave Maria!

Lecz na ich wołanie nie dążyły takie tłumy, jak zwykle, z rzadka tylko ukazywała się jaka przygarbiona kobieta, lub powłóczący nogami staruszek, których już ani złote słońce, ani uciechy na Bielanach nie mogły oderwać od domowych progów i codziennych nawyków.

Nawet kruchy i podmurów kościelnych nie zalegali żebracy. Opuścili oni swe stanowiska i na noc jeszcze podążyli na Bielany.

— Niejeden przecie zaraz za przybyciem rzuci grosz lub kukielkę, żeby na intencję pomyślniej sprzedaży albo i innej westchnąć do Ducha św., — mówili sobie, wlokąc swą nędzę i stukając koszturami.

Teraz już i miasto zaczęło się budzić, a ruch przyspieszony zdawał się buchać gorącością swą ze wszystkich nieopustoszałych dotąd domów.

Nie był to wszakże ruch codzienny, ruch pracy, lecz wypoczynku i uciechy, którą sobie każdy obiecywał na Bielanach.

Ruch ten najwięcej dawał się widzieć około zamku, bo król Stanisław August wyjeżdżał również na Bielany.

Ze zaś dwór zawsze i wszędzie nadaje ton i modę, nie więc dziwnego, że gdy rozeszła się wieść o tem, iż odwiedzi Bielany, kto tylko żył, również na Bielany się wybierał.

Zaledwie więc przemknęły wozy kupców i rzemieślników, na tejże samej drodze, wiodącej do Bielan, ukazały się eleganckie ekipaże a w nich strojne, w wysokich, upudrowanych fryzurach damy i nie ustępujący im ni w stroju, ni w upudrowaniu peruk, panowie.

Wielkie, sześciokonne karoce, mniejsze na wysokich

kołach, żółte lub niebieskie powozy, modne naówczas na dwóch wielkich czerwonych z żółtem kołach, kryjących pomiędzy sobą siedzenie *tilbury*, wznosiły za sobą tumany kurzu, kryjąc w jego powłóce elegancją powozów i uprząży. Każdy śpieszył, żeby jak najwcześniej przybyć, najlepsze zająć miejsce, przypatrzyć się królowi i całemu jego otoczeniu.

W skromnym nad wyraz kościółku OO. Kamedułów, którzy tu zaledwie wiek temu osiedli, ustawione były na wzniesieniu ławki, wysłane dywanami i przyozdobione zielenią. Tam miał zasiąść dwór.

Każdy więc pragnął się do kościołka wcisnąć. Lecz nie każdemu było dane dostać się do wnętrza; niewielka świątynia nie mogła tylu osób pomieścić.

Nie przeszkadzało to wszakże przybyłym utworzyć zbitej masy, która przed kościołem i na całym wzgórzu uczyniła ruchomy różnobarwnym kwieciami zasłany taras.

A jak przed kościołem, tak i w całym bielańskim lasku roilo się od przybyłych.

I jakże mogło być inaczej. Wszak jedni przybywali aby sprzedać, drudzy zakupić przywieziony towar.

Ukazała się wreszcie w tumanach kurzu kolasa i Stanisław August, pełen jeszcze właściwego sobie wdzięku, siedł wśród tłumu na wzgórzu do kościołka OO. Kamedułów.

— Och, jakże mi tu dobrze wśród tych uśmiechniętych, życzliwie spoglądających twarzy! — szepnął do ulubieńca swego, szambelana i poety Stanisława Trembeckiego.

Rzeczywiście, wrażenie to mogło być bardzo przyjemne.

— W tym kościółku zdaje się spoczywa serce Michała Wiśniowieckiego? — spytał znowu Stanisław August.

— Tak, najjaśniejszy panie — złożono je tutaj w srebrnej puszcze, stosując się do woli zmarłego — odrzekł Trembecki.

— Jedyna też to zapewne jego wola, była tak ściśle spełniona! — szepnął król, wchodząc do kościoła.

Nabożeństwo się rozpoczęło, ucichły więc wszelkie szepty. Dalej w lasku chociaż się modlono, bacząc na przynoszone od kościołka odgłosy, spoglądano wszakże pilnie na rozstawiony towar, poprawiając, ażeby jak najlepiej się wydał, gdy przybyli po gaju się rozproszą i między tasami przechadzać się zaczną.

Skoczki ubrani w obcisłe odzienie, kuglarze oglądający kubki i rozmaite przyrządy do swoich sztuczek, kabalarci z całym zapasem zatłuszczonych kart, siedząc na swych stanowiskach, z niecierpliwością oczekiwali, aż goście napelnia puste ich kalety grosiwem.

Z niemniejszą niecierpliwością oczekiwali tej chwili właściciele huśtawek, karuzeli, gry w pierścień i innych uciech, którym przybywający na Bielany chętnie się oddawali.

Tu i tam pobrząkiwała muzyka, strojąc instrumenty, nikt wszakże nie ozwał się głośniejszym dźwiękiem lub okrzykiem. Każdy bowiem, chociaż nie podążył do kościoła, szanował jednak chwilę, w której odbywała się ofiara bezkrwawa.

Skończyło się wreszcie nabożeństwo, umilkły pobożne pienia, i cały świat elegancki, lub chcący uchodzić za taki, wyruszył z przed kościoła do rozesłanego na wzgórzach lasku.

Oczekiwano wprawdzie chwilę na wyjście króla z kościoła; wkrótce wszakże rozeszła się wieść, że król nie wyjdzie chyba pod wieczór. Zwiedza bowiem klasztor, a potem zajdzie do przeora OO. Kamedułów i tam pozostanie na obiedzie.

— Zaś by tam król na takim skromnym posiłku, jakim się żywią Ojcowie, poprzestał — rzucił ktoś z mniej łatwowiernych.

Król zaś wyszedł bocznymi drzwiami najspokojniej, dostał się do przygotowanego dlań namiotu i w otoczeniu

najbliższych i najulubieńszych osób, zażywał słodkiego wypoczynku, powtarzając co chwila:

— Cóż to za dzień rozkoszny, zdaje mi się, że przeniosłem się w owe chwile, gdy na łonie natury pasterze i pasterki w gajach Grecyi używali słodkiego wczasu!

Czasem znów przykładł lornetkę do oczu i, spoglądając przez zielen drzew, mówił:

— Cóż za piękna panorama!

— A gdyby tak użyć zupełnej swobody i przejść się po lasku najzupełniej *incognito* — rzekła znana ze swej wesołości pani Ignacowa Potocka z domu Lubomirska, która wraz z siostrą swą a zarazem bratową, panią Stanisławową Potocką, i wielu innymi była zaproszona na tę poufałą wycieczkę.

Wszyscy uczynili miny obojętne, nie wiedząc, jak tę propozycję król przyjmie.

Stanisław August zaś uśmiechnął się i rzekł:

— Byłoby to dopełnieniem prawdziwej uciechy.

Skorzystała z tego pani Potocka i żywo zawołała:

— A więc niech jego królewska mość się przebierze aby nie być poznany.

— Gdyby nie wiem jak, jego królewska mość raczył się przebrać, twarz jego ma wyraz tak zupełnie inny od wszystkich... — odezwał się Trembecki.

(d. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

— Skiba, co ty robisz? — krzyknął Luty poznając Wojciecha. Chłop oniemiał, usłyszawszy swoje nazwisko. Skorzystał z tego człowiek trzymany za kołnierz. Wy-rwał się z rąk kolonisty, wyprostował.

— Żądło! zawołał Luty.

— Jeszcze cię to Żądło pod piątę żebro trafi, znajdo przekłety, krzyknął Jacek i skoczył ku Stefanowi z tym samym nożem, którym zranił wprzód Wojciecha. Jakób pogroził zbójcy rewolwerem.

— Zgubiłeś mnie i Leona, porachujemy się niedługo wołał, uciekając przed gromadzącym się tłumem.

Zbiegowiska i bójki uliczne nie gorszą nikogo w Brazylii. Jakób jednak pragnął co prędzej wrócić do hotelu. Wojciech nie odstępował na krok Stefana.

— Niech panowie się zlitują, niech mnie skryją przed tym łotrem, przecież on was chciał okraść — mówił Skiba idąc za naszym bohaterem.

I mówił prawdę. Jacek Żądło uciekł z Londynu, bo groziło mu więzienie na skutek zeznań Stefana. W Brazylii był pierwszy raz, nie zastał tu ludzi, do których miał polecające listy i nie znał języka. Przypadek zdarzył, że spotkał Skibę, w porcie. Skorzystał z desperacji chłopca, żeby opanować go i zyskać w nim współnika. Dostarczył mu wódki, a Wojciech przez wdzięczność pomagał Jackowi w różnych sztuczkach. Leon byłby lepszym, daleko zręczniejszym, pomocnikiem, ale niestety Żądło przekonał się po pierwszej na Ilha das Flores bytności, że siostrzeniec znienawidził go; był na wpół niepoczytalny.

Ta próba tem więcej zbliżyła Jacka do Wojciecha; stosunki ich jednak uległy nagłej zmianie. Z jednej strony Żądło zbyt natarczywie pchał chłopca do coraz gorszych sprawek, z drugiej, Wojciech wiedział od wychodźców, że za wstawieniem Stefana rząd Brazylijski oddał im grunta opuszczone przez Irlandzkich osadników.

— Będą mieli ziemię — myślał Skiba i starał się od-tąd odczepić od Jacka, a pozyskać opiekę Lutego.

Nie wiedział, że właśnie przeciw niemu knuje Żądło złowrogie plany zemsty, do której podsycala go chciwość, bo miał nadzieję za jednym zamachem zrabować kasę Jakóba.

Przecenił jednak Wujaszek swój wpływ na odurzonego wódką chłopca. Plan był obmyślany dobrze. Wojciech miał wywołać Stefana i Jakóba na ulicę pod pozorem, że w Baraku wybuchł pożar i że wychodźcy wzywają ich pomocy. Palilo się istotnie jakieś domostwo w bliskości Izabel, i widok ognia nasunął Jackowi pomysł oszukania dwóch przyjaciół.



Rodzina generała De-Wetta (p. str. 168).

„Do pow. Stefek Luty w Brazylii.”



Koloniści zasiedli do uczty Wigilijnej.

— Jakże ja będę mówił do tych panów, kiedy nie umiem po portugalsku — pytał Wojciech, któremu Żądło dopiero u drzwi hotelu dał ostatnie instrukcje.

— Mów po polsku. Czego Anglik nie zrozumie, to mu wytłumaczy ten znajda Stefan Luty.

— Luty! — zawołał chłop.

— Zaprowadzę ja go wpierw tam, gdzie pieprz rośnie — mruknął Jacek.

— Skiba wytrzeźwiał odrazu. Teraz dopiero zrozumiał, dlaczego wiadomość o pożarze w baraku miała zainteresować obcych panów.

— Cóż wy mu myślicie zrobić? — zapytał Jacka. W głosie Skiby brzmiała groźba.

— Tobie nic do tego. Idź i powiedz co kazałem.

— Nie pójdę.

— Nie pójdziesz? zapytał zdziwiony Żądło.

— Nie pójdę. On może i mnie da kolonię.

— Głupiś idź natychmiast bo..

Żądło wyjął składany nóż i pogroził nim Skibie. Ale Skiba odepchnął ręką Jacka i choć ostrze zraniło mu dłoń, schwycił Wujaszka za kołnierz, krzycząc przytem z całych sił o pomoc.

Wiemy już, że krzyk ten spowodził Jakóba i Stefana na ulicę. Stało się więc to, czego pragnął Żądło. Ale Żądło nie myślał teraz o rabunku. Uciekał, przeklinając los, który pozbawił go dobrodusznego współnika.

Wspólnik ten siedział tymczasem w pokoju O'Cleara i skruszony słuchał morałów, jakich nie szczędził mu Jakób. A Stefan? Stefan milczał, bo w duszy rad był okrutnie z odzyskania Wojciecha. Tyle razy żałował zdolnego parobka, który dał się zbałamucić Jackowi. Rozmawiał z nim w Goślinie, widział go potem w Bremie, to też Skiba

bliższym był Lutemu niż inni wychodźcy. Miał go już za straconego, Bóg sprowadził zbłąkaną owcę pod opiekę dobrego człowieka.

Bo Stefan był co się zowie dobrym i dlatego omal nie skakał z radości, patrząc na skrucę Wojciecha.

— Będzie z niego tęgi kolonista — powtarzał gwiżdżąc pół głosem.

Marsz, marsz, zuchy, rąbać lasy,
Ziemie skropić potem,
Nastaly nam lepsze czasy,
Pracę płacą złotem.

A gdy złota zgarniesz w kiesę
Duchem wróc przez morze.

Tak śpiewali parobcy w baraku. Dla nich otwierała się za sprawą Stefana nadzieja lepszej przyszłości. Widok Skiby przysporzył mu tyle radości, że czuł w sobie siłę zdolną przenosić góry.

— Umiem po portugalsku, mam kompas, mapę Brazylii, wskazówki zebrane w Rio — dam radę prędzej niż ci biedni. Przypomniał sobie, jak gospodarz z pod Mławy, który przyszedł do niego do hotelu, całował rękę kelnera murzyna, dlatego tylko, że ten murzyn imponował chłopu niezrozumiałym portugalskim językiem.

Chciał się ująć za swojakami, których nikt dotąd nie uświadomił, co winni sami sobie.

Nazajutrz po pamiętnym dniu nieudanego napadu wujaszka na kieszeń Jakóba, kalendarz wskazał datę 24-go Grudnia.

Wigilia Bożego Narodzenia! Ileż wspomnień nasuwa ten dzień. Nawet w sierociej przeszłości Lutego świeciły one jak złote nitki, wprzędzone w powszedniość szarej doli.

Tamci tarli z rozkazu organiściny mak, obierali rodzenki płukali susz, on i Marysia skrobali tylko perki, przyczem naturalnie nie polizać nie było sposobności, ale i to zaszczyt nielada, że pozwolono im do wspólnego zasiąść stołu. Stefek długo nie wiedział dlaczego łamano się z nim opłatkiem, ani co znaczyło życzenie. Dosiego roku, co jednak umiał ocenić, to świeżość i pulchność strucli, słodycz wigilijnego maku i wspaniałomyślność opiekunki, która nakładała mu sama na talerz suszone śliwki i gruszki.

Gwiazdki — choinki nie bywało w organistówce, ale chłopcy kleili z kolorowych opłatków okrągłe światy i zawieszali je nad wigilijnym stołem. Te światy wyglądały jak gwiazdy niebieskie.

A po postniku siadał organista przy fortepianie i intonował basem:

W żłobie leży,
Któż pobieży,
Kolędować małemu....

Posłuszni wezwaniu, biegli wychowawcy wdziawać komeszki. Zaszczyt to wielki służyć do Pasterki i nie odbyło się nigdy bez szturchańców, kto do mszału a kto do ampułek? Tylko Stefek nie potrącał nikogo. Drżało w nim serce, a za sercem drżał wszystkim, bo czuł, że w kościele dzieje się coś, czego nie pojmuję, a co zapowiada światu radość i zbawienie. On znajduje cieszyć się zwłaszcza miał prawo. Porzucono go na śniegu, ale czyż mógł narzekać, słysząc z kolędy na chórze, że Zbawicielowi „żłób za kolebkę dano.”

To też Stefek wyciągnął chude rączyny do Dzieciątka Jezus, wystawionego na ołtarzu i śpiewał z całych sił „Anioł pasterzom mówił”

A jak lubił powrót z kościoła w mroźną, grudniową noc! *Tamci* ślizgali się na rynsztoku, on tylko i Marysia szli poważnie do domu, Marysia trochę drzemała w kościele, ale jemu wcale się spać nie chciało. Z wyiskrzonego nieba mrugały ku Stefkowi gwiazdy. Na śniegu błyszczały ogniste iskierki. Cały trawnik przed kościołem usiany był brylantami, a żywopłot okalający cmentarz, splół oszronione gałązki w srebrzysty wianek.

Tak wyglądał dotąd świat Boży w noc Wigilijną, takim pamiętał go Stefan. Dziś idzie ze Skibą drogą zasłaną kwiatami. Motyle gonią się w powietrzu, wiatr niesie od morza i od gór słony lecz wonny powiew.

Nie może się Luty pogodzić z różnicą dwóch stref, jakże mogli tę sprzeczność zrozumieć wychodźcy. Wszyscy oni zajęci Wigilijną wieczszą. Mąkę na struclę mają, ryb morskich, bardzo cudacznym dostatek, nawet kapustę uwarzyły gospodynie z liści palmity, ale skąd wziąć okrągłego grochu i suszonych śliwek? Smutno, bo inaczej niż w kraju.

Koloniści powitali Stefana w drzwiach baraku. Byli odświętnie ubrani i mieli na twarzach wyraz zadumy. W kątach długiego budynku sterczały snopy kukurydzy.

— Innego zboża w snopie nie uświadczy tu, objaśniała Marcinowa. Na stole płonęły woskowe przywiezione gromnice, gdyż nie godzi się Wigilijnej wieczery przyświecać naftą. Kasprowa podniosła grube prześcieradło zaścielające stół i pokazała Stefanowi okruchy zeschłych traw. Nie było w nich ani macierzanki, ani bylicy, ani cząbrku, obce jakieś zielsko, ale czego zwyczaj chce, to stać się musi.

— Wszystko jest po porządku, tylko najważniejszej rzeczy brak. Czem się przełamiemy na Brazylijskiej ziemi? Nasi w kraju święty opłatek między siebie dzielą, a my sieroty...

Tak przemówił Tomasz najstarszy z gromady. Kobiety uderzyły w płacz, a w tem Stefan podniósł do góry opłatki przysłane z Wągrowca.

Zaświecił biały chleb, jak promień nadziei, ucieszył oczy prostaczków przywiązujących gorącą wiarę do symbolu braterskiej uczty. Wyciągnęły się ręce ku pamiętce ojczytstych zwyczajów, uderzyły żywiej serca na wspomnie-

nie pół, które takie chleby miłości rodzą, a Stefan łamał opłatki z najstarszymi i szły z rąk do rąk drogocenne okrucho, karmiąc stęsknionych.

— Szczęść nam Boże! Daj Panie Boże! Dosiego roku! Moście wy i ze mną, i ze mną wołały gospodynie odbiegając od komina.

Aż nakoniec uspokoiło się pierwsze wzruszenie. Komu został w ręku okruch opłatka ten chował go, jak relikwię w książkę nabożną, lub między sukienne płatki szkaplerza. Biesiadnicy zasiedli do stołów, skleconych na przędcę z desek araukaryi.

Jedli polewkę i kluski, dziwaczne ryby i kapustę z czubków palmity, jedli smacznie, niemal wesoło, choć ten lub ów wspominał inne czasy, inne Wigilie, inne strony, strony ukochane, gdzie ziemia zaściela się pod opłatek białym obrusem śniegu.

I coraz raźniej gromadzie zebranej w baraku.

— Kiedy Pan Jezus nie poskąpił opłatka to znak, że ma nas w świętej Swojej opiece — mówił Tomasz a przyświadczano mu chętnie. I zaraz też lepszy duch ożywił zgromadzenie.

Dwóch parobków huknęło przed barakiem, nadsłuchując, z której strony odezwie się echo. Echo odpowiedziało od lasu.

— To także dobry znak, widać nie od morza tylko od boru czeka na nas Pan Jezus — upewniał Tomasz. A któżby ośmielił się przeczytać Tomaszowi. Dawniej Wojciech Skiba brał, choć młodszy, górę nad Tomaszem, ale dziś przycichł jak na skruszonego grzesznika przystało.

Ze zaś Tomasz Grażela pięknie śpiewać umiał, więc podkreślił węża, odkrzyknął, wyjął z kieszeni kantyczki, zasadził na nos okulary i jak nie huknie basem:

Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony,
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice nieskończony.
Wzgardzony okryty chwałą,
Śmiertelny król nad wiekami,
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Ten i ów ukląkł pobożnie, bo tak się godzi czynić śpiewając tę pieśń, ten i ów wznosił ręce ku niebu.

A z niebieskich stropów, po przez szpary źle spojonych tarcic, zaglądały gwiazdy do ubogiego schroniska.

I wydało się nagle Stefanowi, że on przeżył już kiedyś taką uroczystą chwilę.

Nie, Stefku, tobie się tylko marzy. Przypomniałeś sobie obrazy Betleemskiej szopki, bo tam także pokorni pastuszkowie pierwsi witali nowonarodzone dzieciątko.

Tłum wychodźców o lnianych włosach, z rękami wzniesionymi do góry, z oczami utopionymi w gwiazdach, przypominały mu istotnie betleemskich prostaczków,

Wydało się Stefanowi, że i tu chóry anielskie śpiewają, jak śpiewały w noc narodzenia:

— Chwała Panu na wysokości a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

On miał tę dobrą wolę. Czy zdobędzie nią lepszy los dla biedaków. Krew przyspieszonym tętnem płynęła w żyłach Stefana, a widać i Tomaszowi wróciła dawna fantazja, bo przechodząc z uroczystej nuty na skoczną zaintonował wesoło:

— A gdzieżeś, a gdzieżeś Józefie bywał?
— W Betleem w Betleem dzieciątka śpiewał.
— Wół osioł, wół osioł przed nim kłękali,
— Bo swego, bo swego Stwórcę poznali.

Ten i ów z parobków huknął za Tomaszem:

„Bo swego, bo swego Stwórcę poznali!”

Nawet Leon, którego Stefan od dwóch dni już razem z Marcinową przywiózł do Izabel, nawet Leon śmiał się dzielając ogólną wesołość. Rozochoczone kumoszki przytupywały i klaskały w takt kolendzie. Wicek, sławny mu-

zykant, chwycił za skrzypce, Jasiek flecista zadał w piszczalkę i byliby może młodzi skończyli wieczór obertasem.

Ale Tomasz nastroił srogą minę, wasy postawił jak szczotki i aż tupnął nogą zgorzony.

— Wigilijną noc o tańcach myślicie! — huknął na parobków.

Więc zawstydzona młodzież uciekała w ką. Stefan doradził zbiorową wyprawę do kościoła.

— Pewno, choć tutejsze nabożeństwo na farmazońskie zakrawa, lepiej takie niż żadne, przyświadczył Tomasz.

Wybrano się więc do Rio, Wojciech szedł przodem, bo pilno mu były zmyć popełnione winy skruchą. A już też i dzień świtać zaczął. W Brazylii wszystko na opak. Wigilijna noc bywa u nas najdłuższa, w Rio słoneczko wybiegło nim kur zapaść zdołał.

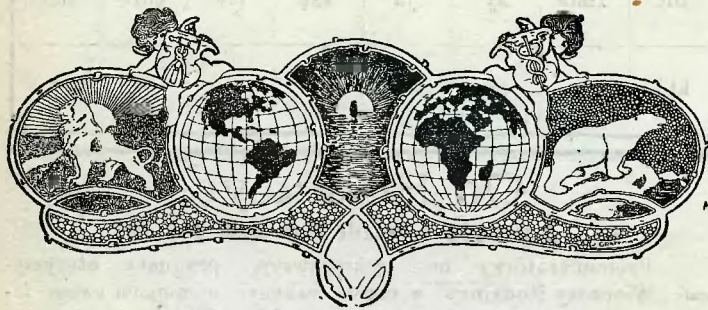
— Tu po prawdzie rzetelnego koguta nie uświadczą — mówiła Marcinowa, wiążąc czystą zapaskę.

Szła gromada wychodźców ścieżką wydeptaną wśród gęstych ananasowych pól, wśród kaktusów, o które czeptały się krochmalne spódnice kobiet. Szli wolno, z godnością przejeżdżając i skupieni.

A z niebieskiego stropu świecił nad kornie pochylone — mi głowami kolonistów gwiazdozbiór południowego krzyża.

— Zsyłaj w przyszłości, daj spełnienie Betleemskich obietnic, błogosławieństwo dla maluczkich. Tak modlił się Stefan w noc Wigilijną.

Koniec części III-ej.



ZE ŚWIATA.

STRASZNY WYBUCH WULKANU.

Któż z nas nie słyszał o Herkulanum i Pompei, o tych dwóch miastach położonych na stoku Wezuwiusza, które w 79-ym roku po Nar. Chr. Pana zostały zagrzebane w popiele i lawie wraz z tysiącami mieszkańców. Nie spodziewaliśmy się jednak, aby obecnie za naszego życia powtórzyła się taka sama, jeśli nie straszniejsza nawet katastrofa, o której przyszłe pokolenia z równą grozą i przejęciem opowiadać będą.

W grupie małych Antyllów, położonych na oceanie Atlantyckim między północną i południową Ameryką jest wyspa Martynika, należąca do Francji, a na niej miasto Saint-Pierre, liczące z górą 30,000 mieszkańców. Niedaleko od miasta wznosi się wulkan Mont-Pelée, uważany za wygasły, podobnie, jak w I-m wieku naszej ery uważano za wygasły Wezuwiusz. W pierwszych dniach maja wulkan ten zaczął dymić mocno, aż we czwartek 8 maja około południa nastąpił wybuch, który wciągnął kilku minut zniszczył całe miasto, 19 okrętów stojących w porcie i pozbawił życia około 30,000 ludzi, bo podobno tylko 600 zdołało uciec. Potoki lawy ognistej, grad kamieni i deszcz popiołów wybuchły i spadły na miasto i okolice z taką gwałtownością, że wystarczało kilku minut czasu, aby kilkumilową przestrzeń odrazu pogrzebać.

Wyspa Martynika położona jest pomiędzy wyspami Santa-Lucia i Dominika i należy do grupy małych Antyllów. Rozdarte jej wybrzeża opasują od południa i wschodu lawy koralowe i głęboko w łód wrzynają się zatoki. Przez środek wyspy ciągnie się wysokie pasmo gór skali-

stych, z którego wznoszą się wulkany, jak 1,350 metrów wysoki Mont Pellée i Pitons du Carbet. Wypełniony jeziorem krater wulkanu Mont Pelée, który spowodował obecną katastrofę, uważano od lat kilkudziesięciu za wygasły. Z powodu wulkanicznej swej formacji Martynika kilkakrotnie nawiedzana była przez gwałtowne trzęsienie ziemi. I tak 17 stycznia 1839 r. Fort de France, stolica Martyniki z wybornym portem i 15,000 mieszkańców była zburzona prawie doszczętnie. W r 1851 pojawiły się na nowo wybuchy wulkaniczne. Na Mont Pelée utworzyły się dwa nowe kratery, wyrzucające szlam i popiół. Od tego jednak czasu nie nastąpiły już dalsze wybuchy.

Gorący i wilgotny klimat Martyniki nie bardzo sprzyja Europejczykom. Ze 150,000 ogółem mieszkańców wyspy, zaledwie 10,000 jest białych, a w tej liczbie 675 urodzonych we Francji. Większość mieszkańców stanowią Murzyni i Mulaci. Ludność trudni się przeważnie rolnictwem, a w szczególności zaprowadzoną w r. 1647 uprawą trzciny cukrowej, której plantacje pokrywają większą połowę wynoszącej 42,490 hektarów ziemi uprawnej. Zburzone wybuchem wulkanu St.-Pierre, było głównem ogniskiem handlu Martyniki i wogóle całych małych Antyllów.

Z gmachów publicznych St.-Pierre, będąc stolicą biskupią, posiadał ratusz, liceum, teatr, sąd, katedrę i szpital wojskowy. Wyspa, odkryta w r. 1493 przez Kolumba, lecz nie wzięta w posiadanie, osiedlona została w r. 1635 przez 150 Francuzów. Trzy razy zdobywali ją Anglicy, którzy jednak ostatecznie w r. 1814 na kongresie wiedeńskim zwrócili ją Francuzom.

Podług późniejszych wiadomości, ani jedna z osób, znajdujących się podczas katastrofy w St.-Pierre nie uszła z życiem. Pomiędzy innymi zginąć mieli: gubernator wyspy, pułkownik sztabu generalnego z żoną i konsul amerykański z rodziną. Ogólna liczba ofiar wynosić ma 40,000. Z depeszy jednak komendanta krzyżowca „Sucheta,” który donosi, że stara się dostarczyć zapasów żywności ocalonym, zdaje się wynikać, że pewna liczba mieszkańców w przewidywaniu katastrofy, znalazła sobie bezpieczne schronienie.

O parowcu „Roddam,” który w chwili wybuchu wulkanu stał na kotwicy w porcie S. Pierre i odpłynął z największą szybkością ku położonej na południe od Martyniki wyspie Santa Lucie, donieśli do New-Yorku: Kapitana przybyłego bez kotwicy i łańcucha do Santa Lucia parowca, umieszczono w szpitalu. Cała prawie załoga okrętu — zginęła lub odniosła ciężkie rany. Jedenastu marynarzy tej załogi wskoczyło pod St. Pierre do morza i utonęło. Przybył również do Santa Lucia parowiec angielski „Esk,” który onegdaj w nocy przepływał około St. Pierre. Okręt pokryty jest całkiem popiołem, chociaż przepływał w odległości pięciu mil od wybrzeża.

Sekretarz generalny gubernatora Martyniki potwierdzając wiadomość o zupełnem zburzeniu miasta St. Pierre, nadmieniał jednocześnie, że o gubernatorze i jego żonie nie ma żadnych wieści i wobec tego przypuszczają, że zginęli również oboje w katastrofie. Prace nad usuwaniem gruzu i zgłiszczy już się rozpoczęły, a celem zapobieżenia epidemii, nakazano palić zwłoki.

Tymczasem i jedna z sąsiednich Antyllów angielskich, a mianowicie wyspa św. Wincentego, nawiedzona została wybuchem wulkanu, chociaż rozmiary tej katastrofy, ani w części nie dorównują katastrofie na Martynice.

W piątek 9 maja nastąpił gwałtowny wybuch wulkanu Soufrière na wyspie św. Wincentego. Głośne, podobne do huku dział odgłosy, usłyszano o godz. 3-ej po południu na Barbados. O godz. 5-ej po południu nastąpiła ciemność, w towarzystwie huku i deszczu z popiołu. Dnia następnego wyspa Barbados pokryta była blizką calową warstwą popiołu. Dotychczas naliczono na wyspie św. Wincentego 30 ofiar wybuchu.

Przyrodnicy zapewne wyjaśnią nam przyczyny tych zjawisk. Teraz nad najświeższem zjawiskiem niszczących sił przyrody boleje głównie Francja, która utraciła piękne

miasto swej kolonii, i w niem dziesiątki tysięcy obywateli; ale cały świat cywilizowany jej współczuje i z bijącym sercem śledzi wszelkie dalsze wiadomości o losach nieszczęsnego miasta Saint Pierre.



asze ryciny.

Jezioro zwierciadlane.

Jest wiele jezior na świecie, odznaczających się pewnymi właściwościami barw i przezroczystości wody, zależnie od głębokości dna i wybrzeży: w niektórych woda zdaje się czarną, w innych np. szwajcarskich i włoskich — niebieską, około Werek znowu pod Wilnem są dwa małe jeziora w lesie, zwane *zielonemi*, ale do rzędu najosobliwszych należy zaliczyć jezioro zwane *zwierciadlanem*, które znajduje się w stanie Washington w północno-zachodniej stronie Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Jezioro to jak widzicie z ryciny, odbija z całą dokładnością, jak najpiękniejsza tafla lustrzana, to, co jest na brzegu, tak wybornie, w niezmiernie czystej wodzie przełamują się promienie. Odbicie jest tak wyraźne, że obróciwszy rycinę, można mieć złudzenie, że ono jest rzeczywistością a rzeczywistość odbiciem.

Rodzina generała De-Wetta. Niedawno pomieściliśmy w Wieczorach portret dzielnego wodza Boerów, generała Krystyana De Wetta, o którym w roku zeszłym tak wiele pisał w swych listach do nas Janek Z. Korzystając obecnie z nadesłanych nam fotografii, podajemy wizerunki jego młodszych dzieci i wnuków. Starsi synowie i krewni zdążyli do boju znajdują się przy wodzu, a wielu z nich już zginęło na polu chwały, córki zaś i młodsze pokolenie znajdują się w niewoli u Anglików, którzy podobno obchodzą się z nimi z należnymi względami i troskliwością.

S Z A R A D A .

(Litwinka z nad Berezynki).

Pierwsze zwykle, jak to wiecie,
Znajduje się w alfabecie;
Drugie bardzo piękna rzeka,
Ale od nas dość daleka.
Trzecie, to sprzęt pokojowy,
Dla nikogo nie jest nowy,

Bo go wszyscy posiadają,
Często wkoło otaczają,
Czy przy uczcie, czy też w szkole.
Lecz co do mnie zawsze wolę,
Gdy po pracy razem wszyscy,
Moi krewni, moi bliscy
Razem wspólnie zasiadamy,
I wesoło czas spędzamy.
Wszystko jest godność świętego człowieka,
Którego przeszłość pokrywa daleka,
Tacy światło wiary ludziom poznać dali,
Z narażeniem życia pogan nawracali.

NITECZKA ARYADNY.

przez Żabkę z nad Rosi.

Nie	dzie	wczy	sy	na	łek	nie	Ma
ja	na	ba	mnie	nio	win	skiej	tki
to	trze	we	a	ny	Bo	dla	we
bie	źmie	ny	ja	szę	cie	zdro	dzi
kto	in	po	pro	bie	o	tki	*

Od Redakcyi.

Z powodu wyjazdów na wakacje.

Prenumeratorzy nasi warszawscy, pragnący otrzymać „Wieczory Rodzinne” w czasie wakacji w miejscu swego letniego pobytu, zechcą złożyć na koszt przesyłki pocztowej po 10 kop. za każdy miesiąc. Prenumeratorzy zamiejscowi, zmieniający na przeciąg letnich miesięcy swój adres, zechcą nadesłać 14 kop. markami. *Jednych i drugich prosimy o załączenie dokładnego adresu dawnego i nowego.*

Premium na rok bieżący 1902.

Wszyscy prenumeratorzy „Wieczorów Rodzinnych” otrzymują w IV-yim kwartale jako *premium bezpłatne, zajmując powyżej p. t. „Chudziak.”*

KONKURSA:

Przed końcem półrocza ogłosimy dwa konkursy na wypracowania i roboty ręczne dla czytelników „Wieczorów.”

Przypominamy o wczesnem odnowieniu prenumeraty na III-ci kwartał lub II-ie półrocze r. b. dla uniknięcia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ. W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Na Bielanach, przez Z. Morawską. — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Ze świata: Straszny wybuch wulkanu. Nasze ryciny: Jezioro zwierciadlane, Rodzina generała De-Wetta. — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek: W menażeryi (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — Nie udało się, komedyjka w jednym akcie. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII wieku, przez Annę Zielińską.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

B Z Y.

Przy naszej chacie, zwite w barwne pęki,
Kwitną, prześliczne bzy jasno-liliowe,
A na nich ptactwo snuje swe piosenki,
Gdy z za chmur słońce wychyli swą głowę.
Wietrzyk z dąbrowy ciepłem tchnieniem wionie,
Lekkie gałązki figlarnie kołysze,
Roznosi czyste i świeże bzów wonie,
Raduje ptaszki, co zbudziły ciszę.
Na bzu kwiateczkach lśni srebrzysta rosa,
Która wypija promień słońca złoty,
Gdy wschodzi zorza na jasne niebiosa,
I kładzie blaski na liliowe sploty.
Miłości bratniej — symbolem bzu kwiaty,
Natura niemi wiosną nas obdarza,
One radością naszej skromnej chaty,
W Maju ozdoba Maryi ołtarza!

Władysław Karoli.



Na Bielanach,

przez Z. MORAWSKĄ.

(Dokończenie).

— Zapominasz, że nawet Zeus przybierał na siebie rozmaite postacie i schodził między śmiertelnych — przerwał mu Stanisław August. — Zresztą, powinienes być nawet zadowolony z tego projektu. Urzeczywistnienie onego da ci temat do napisania ody — dodał.

Trembecki zrobił minę pokorną, drugi zaś ulubieniec króla, generał Konarzewski, rzekł, zbliżając się z ukłonem:

— Jeżeli jego królewska mość zaszczyci mnie swą łaską, sądzę, iż mundur mój i płaszcz byłby stosownem przebraniem.

— Ale ty pozbawisz się przyjemności przechadzki... — rzekł znów wahająco król.

— Oh, miłościwy panie! — odparł z głębokim ukłonem Konarzewski.

To mówiąc, odchylił z jednej strony płótno namiotu i wskazał część jego ustronną.

Król, nie namyślając się, wszedł za zasłonę, Konarzewski za nim i wkrótce Stanisław August, trzymając w prawej ręce białe rękawiczki, ukazał się w mundurze swego ulubieńca.

— Allons, używajmy swobody — rzekł wesoło.

Całe towarzystwo wysunęło się za królem.

— Będziemy przeglądali w kramach towary! — zawołała rozbawiona pani Potocka.

— Czy tylko będziemy mieli czem zapłacić — odezwał się król. I zaraz dodał:

— Damy nie noszą przy sobie pieniędzy, a kieszenie tego poczwierca Konarzewskiego prócz płótna nic więcej pewnie nie zawierają.

— To nie, przecież ktoś z dworu nosi przy sobie sakiewkę — odrzekła pani Potocka.



— Tylko nie zdradź się, nazywając mnie zwykłym mianem — rzekł król do swej towarzyszki.

— O, niech się jego królewska mość nie lęka, jeżeli otrzymam jego zezwolenie, nazywać go będę kuzynem.

— Dobrze, wszakże jesteśmy cioteczni — odparł król z uśmiechem.

I wśród tej rozmowy zbliżyli się do jakiegoś kramu, gdzie pani Potocka kupiła bicz koralu a król jakąś spinkę, na których kupno ktoś z otoczenia podsunął sakiewkę.

Śmiejąc się i rozmawiając, zbliżyli się do kramu Macieja Gliniaka, gdzie na trawie porozstawiane były garnuszki, misy i miseczki pośledniejszego gatunku, na stolikach zaś stały dzbanki polewane, między którymi odznaczał się misternie wyrobiony dzban Marka.

— Muszę kupić parę garnuszków! — zawołała z dziecięcą wesołością pani Potocka, zbliżając się do rozstawionego kramu.

— Co za przepyszny wyrób! — rzekł jej towarzysz, przypatrując się znanemu nam już dzbanowi Marka. Cóż to za delikatny rysunek, jaka myśl! — mówił dalej, oglądając dzban, podany mu przez zarumienionego Marka.

— Gdzież jest artysta i w jakiej fabryce dzban ten wyrobiono? — zapytał.

— Wypalono go w mojej garncarni przy ulicy Pivnej, ozdobił go zaś mój syn, ten oto wyrostek — odrzekł pan Maciej, wskazując na stojącego ze spuszczeniemi oczami chłopca. Nagle jednak pan majster uciął. Spojrzał na pytającego, zaczerwienił się po uszy i przybrał jeszcze więcej ugrzecznioną i pełną uszanowania postawę.

— Ależ to jakiś nowożytny *Palissy*!*) — zawołał Stanisław August. — Nie możemy go tak zostawić, trzeba go dalej kształcić, może być z niego chluba dla naszej sztuki — mówił dalej, zapominając w swem uniesieniu artystycznym o przybranem incognito.

Lecz pani Potocka, pamiętna na swoje przyrzeczenie, spojrzała na niego znacząco i rzekła:

— Podobno król lubi wspierać talenta, gdyby się dowiedział o takim młodziutkim artyście, z pewnością kazałby się zająć jego losem.

— Ale do tego trzeba wielkiej promocji, a my, mój kuzynie, nie znamy nikogo, kto by był przy dworze — dodała, dając wciąż znaki porozumienia królowi.

Lecz ten był tak zajęty oglądaniem najmniejszych szczegółów w dzbanie i przypatrywaniem się mniejszym pracom Marka, rozstawionym na stoliczku, że nie zwrócił nawet uwagi na słowa swej towarzyszki.

Zaś Maciej Gliniarz uśmiechnął się tylko i rzekł z głębokim ukłonem.

— Lepszej i pewniejszej protekcji syn mój chyba nie znajdzie.

Lecz król i na to nie zwrócił uwagi, tylko otaczającym tłumaczyl myśl zawartą w ozdobach dzbanka.

— I robota misterna i postać wspaniała.

— Boć chyba ze dwa garnce dzban trzyma bez mała — wygłosił do wiersza Trembecki.

— Jest i madrygał na prędce! — zawołał król. — Tylko przesadzasz jego objętość.

— Idę o zakład, iż tyle nie trzyma — rzekł ktoś z otoczenia.

— Trzymam zakład — odparł Trembecki.

— Można zmierzyć — ozwała się stojąca opodal Marychna.

I podała ojcu przywiezione butelki miodu.

— Wybornie, nie tylko zakład będzie rozegrany, ale i poczęstunek mieć będziemy! — zawołała pani Potocka, lubująca się we wszelkiej oryginalności.

Pan Maciej tymczasem do wytartego przez Marychnę dzbanka wlewał miód złoty.

— Nie wszystko się zmieściło, a każda trzyma pół

garnca — rzekł Gliniarz, pokazując pod światło do połowy wypróżnioną butelkę, w której płynie zamigotały złote blaski.

Lecz w tej chwili nikt nie zwrócił na to uwagi, bo król rzekł:

— Możemy zaraz spełnić zdrowie młodego artysty.

— Zaczynaj kuzynko — dodał, biorąc dzban z rąk uszczęśliwionego pana Macieja i podając go pani Potockiej.

Ta, przyznać należy, pociągnęła porządny haust i oddała go królowi.

— Niech i inne damy piją! — rzekł tenże.

Damy maczały usta lub połykały słodki napój. Wreszcie król przyjął podany sobie dzban.

— Za pomyślność twojej karyery, mały artysto! — rzekł król, spoglądając na potulnie stojącego Marka.

Że zaś nigdy miodu nie pijał, przytknął tylko dzban do ust z zamiarem oddania go dalej.

Lecz czy urok wiosny, czy pragnienie i dobry humor, czy też woń owego miodu była tak nęcąca, dość, że ku zdziwieniu ogółu, wziął łyk jeden i drugi i oddając go komuś z otoczenia, zawołał:

— Cóż za przepyszny napój! U waćpana smacznego w najprzedniejszym gatunku! — dodał.

Pan Maciej skłonił się do ziemi, a w oczach jego aż łzy radości zaświeciły.

— A może ichmość państwo spróbują piernika! — ozwała się słodszy od samego piernika głosem pani Maciejowa.

I pokrajany piernik postawiła z otwartym łubkiem.

— Moja Marychna go piekła! — dodała.

Pani Ignacowa sięgnęła zaraz po kawałek, za nią poszły inne panie. Siegnął i król, jakby przez ceremonię, a trzymając go w białej dłoni, mówił rozbawionym, pełnym wesołości głosem:

— Bierście, bierście państwo, nie prędko nam się taka gratka zdarzy!

— Co za piernik! co za piernik! — wołała pani Potocka, topiąc w nim białe ząbki.

I czy rzeczywiście poczęstunek pana Macieja był tak smakowity, czy świeże powietrze, swoboda i dobry humor tak podziały, dość, że i król pochwalił przysmak. Wkrótce też zniknął piernik z łubka, a Trembecki wysączyłwszy ostatnią kroplę miodu na paznokcie ze dzbanka, rzekł:

— Byłby to brak czci a i *crimen* wielki, Gdybym zeń nie wysączył ostatniej kropelki!

Lecz król nie zwrócił uwagi na ten rym swego pochtebce, nikt też z otoczenia mimo zachowanego incognito, nie śmiał podnieść jego wyrazów.

Przeszły bez wrażenia, bo Gliniarz ukląkłszy, zawołał:

— Niech mi będzie wolno wypić na podziękowanie i za zdrowie dostojnych gości.

To mówiąc, wychylił resztę miodu z butelki.

Wtem przechodzący, ujrzawszy strojnych i niezwykle dystygowanych gości przy straganie Gliniarza, zaczęli się coraz więcej cisnąć ku niemu.

Pani Ignacowa zaś, namówiwszy do tej przechadzki swego dostojnego kuzyna, wzięła na siebie niejako obowiązki czuwania nad nim. Wsunęła więc rękę pod jego ramię i rzekła:

— Zakupiliśmy już wszystko, wracajmy. Pan majster odesłał nam towar!

Król dał się pociągnąć, skinął głową uszczęśliwionemu garncarzowi i rzekł do Marka:

— Zobaczymy się jeszcze, młody artysto.

Pan Maciej chociaż odrazu poznał króla, nie zdradził się z tem ani przed oblegającymi teraz tłumnie jego stragan, ani nawet przed własną rodziną. Ukrył tylko dzban oraz drobne wyroby Marka przed okiem ciekawych, a pani Maciejowa sprząając okruszyny piernika, o dziwo, nie gderała według swego zwyczaju, poprawiała tylko co chwi-

*) Palissy, artysta z XVI w. we Francji, nadał on nowy kierunek przyozdabiania naczyń glinianych i szklanych.

la zbakierowany czepiec i spoglądała przyjaźnie rozradowanem obliczem.

Król zaś odjeżdżając z Bielan w swojej kolasie, mówił z uśmiechem:

— Doskonałe ma pomysły nieoszaczona pani Potocka; udało nam się incognito i upolowaliśmy artystę!

— Co za artysta! — powtarzał.

Słońce, rzucając ostatnie blaski, złośliło drogę przed odjeżdżającymi a tak rozbawionymi gośćmi z Bielan.

Złośliło drogę, zawisło na szczytach drzew, aż krwawym blaskiem skąpało wieżycę kościołów Warszawy.

Na drugi dzień Marek w towarzystwie ojca przyniósł do zamku królewskiego dzban i drobne swoje wyroby i został przez monarchę bardzo łaskawie przyjęty.

Pani Maciejowa chciała na gwałt piec piernik i przesłać go również do zamku, lecz małżonek wyperswadował jej tę hojność.

— Taki chociaż później postawię na swoim! — mówiła niewiasta.

Czy posłała piernik, nie wiemy, to tylko pewne, że wkrótce potem król swoim kosztem wysłał Marka do Francji.

— Wyuczysz się, rozwiniesz talent, nabierzesz smaku, a za powrotem staniesz na czele nowo otworzonych fabryk porcelany — rzekł król doń na pożegnanie.

— Z łaski jego królewskiej mości! — odrzekł chłopiec, kłaniając się dwornie.

I długie tam bawił lata i talent swój rzeczywiście rozwinął, lecz za powrotem fabryki, w którejby mógł pracować, nie zastał.

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Jak Suchów pójdzie z ogniem to go i te sto dziewięćdziesiąt pięć rubli nie odbuduje! — krzyknęła jedna z cyganek, a oczy jej w świetle księżycy tak zabłyśły, jak gdyby się był w nich odbił blask owego pożaru, którym groziła.

Nareszcie skończyła się ta przykra i uciążliwa pielgrzymka. Las się przerzedzał, a przez drzewa prześwitywać zaczęło białe od promieni księżycowych pole. Na skraju lasu odbyła się jeszcze jedna scena próśb, molestacji, natarczywych błagań, a potem przekleństw i gróźb cyganek. Pan Chlewiatko nie odpowiedział na nie ani jednym słowem, lecz gdy już byli w czystym polu, pozwolił kobietom odejść, gdzie chciały, a potem śledził je oczami, dopóki nie znikły. Wtedy spieszenie, wraz ze Zdzisławem wrócili do domu.

Było już około trzeciej po północy, gdy się znaleźli przed gankiem i niepomału się zdziwili, gdy na odgłos dzwonka drzwi wchodowych, który odzywał się w kredensie, zamiast lokaja wybiegli oboje państwo Zabrzescy i Zosia.

Pani Zabrzaska złożyła ręce jak do modlitwy.

— A, chwała Bogu! — zawołała. — Pan wraca cały i zdrowy! Czuwaliśmy, czekając na pana! Tak nas to przerażało, że pan z rewolwerem po nocy gdzieś poszedł! Co to, Zdzisław? I Zdzisław panu towarzyszył? Ach, moje dziecko, w noc tak zimną! Byłeś tyle godzin za domem tylko w tej sukiennej bluzy!

— Co to znaczy? — rzekł pan Zabrzski. — Łuk na

plecach i kindżał, i moja laska ze sztyltem! Cóż to była za wyprawa?

— Przepraszam tatuńcia... — zaczął Zdzisław.

Pan Chlewiatko przerwał surowo:

— Zaraz tu Zdzisia państwu odeślę, ale muszę go na chwilę wziąć do mego pokoju.

Profesor był tak poważny i tak niepodobny do tego, czem bywał zwykle, że państwo Zabrzescy spojrzeli na siebie zdziwieni.

— Rewolwer oddaję panu z podziękowaniem.

Pan Zabrzski obejrzał broń.

— Jeden nabój wystrzelony! Więc rewolwer był potrzebny i służył do jakiejś obrony, czy walki!

Pan Chlewiatko pociągnął Zdzisia za sobą do swego pokoju, a zamknawszy drzwi, ozwał się:

— Jutro będziesz odpowiadał za swój postępek niegodny uczciwego chłopca. Uratowałeś mi może życie, a może uratowałeś tylko pieniądze Michała, które bez twojej pomocy i przytomności umysłu byłyby z pewnością napowrót zrabowane. Niemniej jednak zmartwiłeś mię głęboko swoim uczynkiem, i gdy jeszcze wczoraj słowo twemu byłbym wierzył święcie, dziś wątpię, czy ono wystarczy. Niebardzo już ufam twemu honorowi...

Zdzisław jęknął pod tym zarzutem.

— Słuchaj, nie masz prawa ani słówka pisać nikomu o tem, coś widział i słyszał dzisiejszej nocy.

— Daję...

— Nie dawaj słowa! Straciłeś wszelkie tytuły do mego zaufania. Pamiętaj tylko, że miałbyś ze mną do czynienia, gdyby się ktokolwiek dowiedział, jaki był cel mojej dzisiejszej wyprawy. A teraz idź spać, i przykryj się dobrze, żebyś matki swej jaką chorobą nie przestraszył. To jeszcze szczęście, iż nie dostrzegła twej nieobecności. Wyobraź sobie, jakby była niespokojna!

Zdzisław z pokorą i żalem powiedział dobranoc profesorowi, drżący i nieśmiały wszedł do pokoju ojca.

Pan Zabrzski otworzył ramiona i uściskał Zdzisia.

— Dobry i pełen odwagi z ciebie chłopiec! — ozwał się głośno, bez obawy obudzenia Józia, który sypiał tak twardo, że nawet wystrzały armatnie ani grzmoty i pioruny nie były w stanie go poruszyć, budzono go też, stawiając śpiącego na ziemi i oblewając zimną wodą.

Zdzisław do ręki ojca przycisnął usta.

— Domyślam się wszystkiego — ciągnął dalej pan Zabrzski. — Nie spałeś, gdyśmy tu wczoraj weszli z profesorem i niepokój o niego sprawił, żeś za nim pobiegł, a nie chciałeś nam swego zamiaru wyjawić, żeby nie przerażać mamy.

Zdzisław zaszlochał cicho, obejmując wysoką postać ojca ramionami i na jego kamizelkę wylewając łzy żalu i skrucy.

— Ja nie byłem taki dobry jak tatuńcio sądzi, ja to zrobiłem nie z niepokoju o pana profesora, ale przez prostą ciekawość, przez chęć zobaczenia czegoś nowego... przez chęć popełnienia nieposłuszeństwa... jak Ewa, której się zachciało zakazanego jabłka... postąpiłem jak oszust i zdrajca, bo pod kołdrę położyłem lalkę, mającą tatuńcia oszukać, zaś pana profesora śledziłem jak zdrajca, siedłem za nim jak złodziej!

— I czyniąc to wszystko, zdawałeś sobie dokładnie sprawę, z tego, że postępujesz podle?

— Z początku nie, bo mię paliła taka ochota należeć do czegoś nadzwyczajnego, taka ciekawość niepochochowana, że nie czułem całej mojej nikczemności, ale potem zrozumiałem wszystko, ale takie były okoliczności, że nie mogłem się już cofnąć. Dobrze jeszcze, że mi nie przyszło na myśl, że mamuleczka mogła była zajrzeć do nas, by zobaczyć, czy nie mamy gorących głów. Wtedy to nie wiem, co by się było ze mną stało...

— Byłbyś wrócił do domu.

— Nie byłbym mógł. Byłbym błędził i nie byłbym znalazł drogi. I jeszcze tatuńciu... mnie się tylko zdawało, że jestem bardzo odważny, a ja drżałem i bałem się... byłem tchórzem!

Znowu żałośnie szlochać zaczął.

— I twoje tchórzowstwo stało się powodem jakiego...

— Nie, nie, ale ja nie mogę nic powiedzieć!

— Dla czego?

— Bo pan profesor kazał mi przysiąc zupełne milczenie.

— Gdzieżeście wy byli?

— I tego powiedzieć nie mogę.

— Więc ty byłeś świadkiem wszystkiego i wiesz gdzie jeden nabój rewolwerowy wystrzelony został?

— Wiem, ale powiedzieć nawet samemu tatuńcowi nie mogę.

— Jeżeli jesteś związany słowem, to naturalnie, że musisz milczeć jak grób! Umiejętność zachowania tajemnicy jest cnotą konieczną i bez tej umiejętności ani prawdziwego przyjaciela, ani prawdziwego mężczyzny nie ma!

Zdzisia język świerzbiał okrutnie, żeby ojcu opowiedzieć, z jaką przytomnością umysłu wyjął z kieszeni pana Chlewiatki rewolwer i strzelił z niego koło ucha cyganki, uciskającej jak w kleszczach gardło profesora, który już miał płachtę zarzuconą na głowę. Zdzis był trochę chwalebny, a tu przecie miał czem się pochwalić. Ale język zagryzł mocno zębami, co bardzo w takich razach pomaga.

— Więc czujesz, żeś uczynił źle — rzekł pan Zabrzęski — i żałujesz za swój postępek?

— Żałuję, że byłem nieposłuszny i że się przez jakieś pół godziny czułem ogromnym tchórzem, ale taki jestem zły, że nie żałuję, że to zrobiłem.

— I drugi raz tak samo znowubys postąpił.

Zdzis pomyślał chwilę.

— Nie, nie tatuńciu, drugi raz już bym tak nie zrobił! Czuję, że potrafiłbym zwalczyć swoją ciekawość i chęć do przygód, która mnie przesładowuje.

— Więc idź spać, moje dziecko i pamiętaj, co ci w tej chwili powiem: uczyniłeś bardzo źle, chciałeś mnie oszukać, pozostawiając na łóżku lalkę, zamiast siebie; byłeś nieposłuszny i to nie przez chęć ratowania najlepszego przyjaciela, ale przez prostą, głupią ciekawość; jednak wyznałeś szczerze swój błąd i tem połowę złego czynu odkupiłeś. Drugą połowę odkupisz wtedy, gdy jaką mocną a niedozwoloną chęć zwyciężysz siłą woli. Takimi zwycięstwami, siłą woli się kształci, a jest ona najpiękniejszym udziałem, danym przez Boga człowiekowi!

(d. c. n.)

NAJMŁODSZY Z MONARCHÓW.

W tych dniach odbyła się w Madrycie uroczysta koronacja młodziutkiego króla hiszpańskiego, Alfonsa XIII.

Urodził się on 17 maja 1886 r. w jasny, słoneczny dzień wiosenny; przyjście jego na świat ogłoszone zostało przy dźwięku dzwonów i wystrzałów armatnich. Według dawnego zwyczaju oczekiwali na tę chwilę zgromadzeni w pałacu wszyscy dygnitarze państwowi, a Sagasta, pierwszy minister, okazał im otulone pysznymi koronkami nowo narodzone dziecko. Ojciec jego, Alfons XII, wtedy już od pół roku nie żył; rządy więc w imieniu małoletniego syna sprawowała matka, królowa Marya Krystyna.

Papież Leon XIII przyjął zaproszenie na ojca chrzestnego; przysłał też nowonarodzonemu swoje błogosławie-

stwo i odtąd otaczał prawdziwie ojcowską opieką matkę i syna. Opieka ta potrzebną była kobiecie, na którą spadły nagle rządy dużego państwa, zwłaszcza, że w państwie tem znajdowały się stronnictwa, które pracowały nad tem, aby wydrzeć tron jej synowi.

Burbonowie bowiem, od których pochodzi dynastia dziś panująca w Hiszpanii, podzielili się na linię męską i po kądzieli, ta ostatnia posiadała tron, przeciwko czemu potomkowie męskiej wciąż protestowali, najczęściej z bronią w rękę. Nosili oni wszyscy imię Karlosa z ojca na syna, dla tego stronnictwo ich zwanem jest partją Karlistów.

Marya Krystyna za życia męża nie mieszała się wcale do polityki; znano ją tylko jako najlepszą żonę, najtroskliwszą matkę, łagodną, uprzejmą i wysoce wykształconą panią. Strata męża nie złamała jej ducha, ale dodała jej siłę do godnego spełniania nadzwyczaj trudnych obowiązków. Oprócz zajęć, połączonych z rządem państwa, pochłaniała ją zawsze troska o zdrowie i dobre wychowanie swoich dzieci, a w szczególności małego Alfonsa, przyszłego monarchę.

Zarówno w Madrycie, jak podczas letniego pobytu w San Sebastianie nad zatoką Biskajską, królowa regentka czuwała bezustannie nad wychowaniem i kształceniem młodego króla. Przy pomocy najzdolniejszych nauczycieli, rozłożono starannie czas, przeznaczony na naukę i rozrywki.

Niejednemu z czytelników „Wieczorów” może się zdawać, że życie małego króla jest ciąglem pasmem zabaw i przyjemności, otóż tak nie jest; Alfons XIII przygotowywał się starannie do objęcia tak wysokiego i odpowiedzialnego stanowiska, jakie mu od urodzenia przypadło, a do tego trzeba było niemało trudów i nauki, bo im wyżej człowiek stoi, tem więcej się odeń wymaga.

Pomimo wątłego zdrowia, młody król ćwiczył się w jeździe konnej, gimnastykował i pobierał wykształcenie wojskowe, w którym za towarzyszy przydano mu siedmiu rówieśników, synów wysokich rodzin szlacheckich; z nimi to odbywał ćwiczenia w ogrodzie, przylegającym do pałacu królewskiego.

Nauczyciele, wykładający mu rozmaite przedmioty, wyrażają się z uznaniem o jego zdolnościach i pracowitości, a zarazem o wesołym i przyjemnym charakterze. Jednakże w dzieciństwie tak niebawo, Alfons chorował kilkakrotnie, co prawdopodobnie było powodem pewnego rozkapryszenia, które tylko matka potrafiła uspokoić.

Pewnego dnia, gdy zły humor opanował szczególnie małego króla i ochmistrzyni nie mogła sobie z nim poradzić, poproszono królowej:

— To niegodne ciebie, mój synu, król powinien umieć panować nad sobą — rzekła matka.

Od tej pory chłopczyk, ile razy gniew albo zły humor brał przewagę, zaciskał drobne piastki, powtarzając:

— Pamiętam, jestem królem.

Ustawy hiszpańskie wymagają, by po skończeniu lat siedmiu, przyszedł panujący oddany był pod opiekę męską, chociaż więc matka zachowała zawsze najwyższy kierunek nad wychowaniem, młody król jednakże dostał się pod dozór mężki. Obecnie z wątłego dziecka Alfons XIII rozwinął się w młodzińca zdrowego i silnego; jeździ doskonale konno, strzela, a przytem zna wyśmienicie język, literaturę i historję ojczyzny, również powszechną; mówi biegle kilku językami; kształcił się przytem w poważnych naukach, jak w matematyce, ekonomii politycznej, prawie i t. d. Słowem, w szesnastu latach życia, młody król posiada wy-



Krół hiszpański Alfons XIII,

objął rządy w d. 17 b. m.

kształcenie, jakim niewielu nawet starszych młodzieńców poszczycić się może.

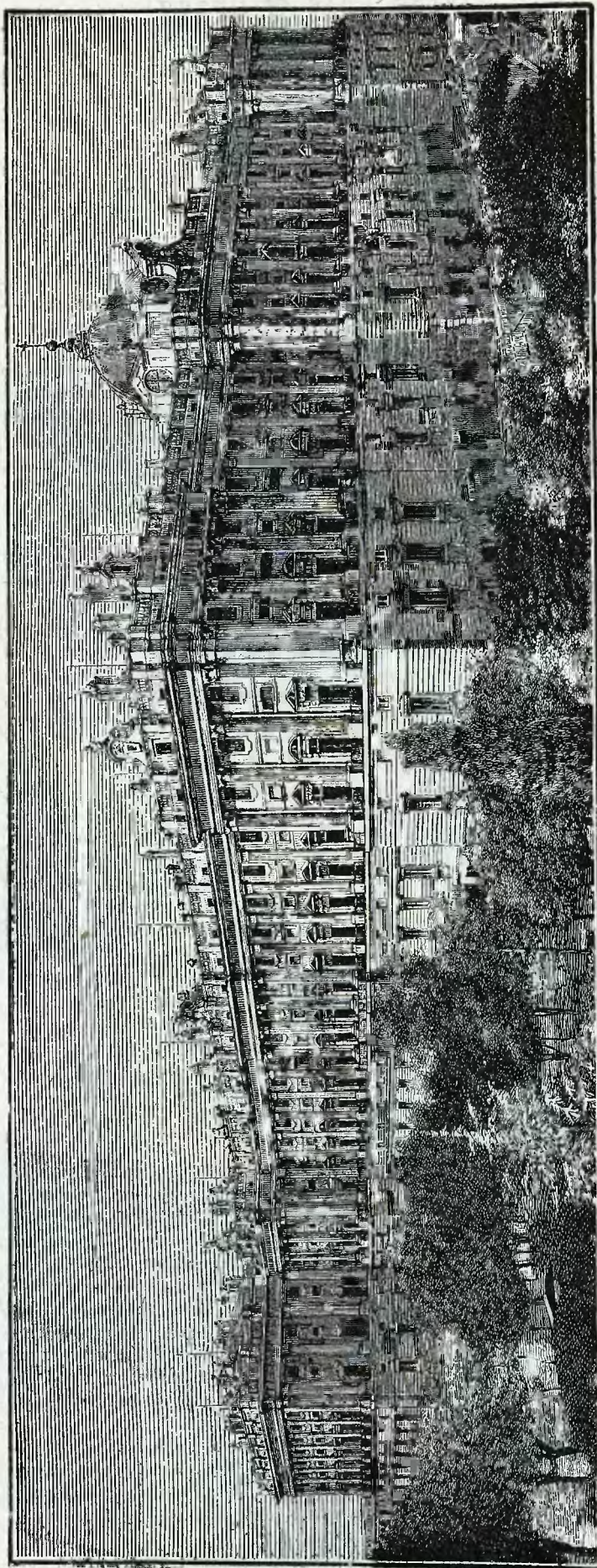
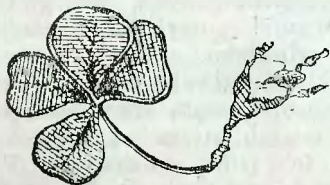
Chwile wolne od nauk spędza zwykle w towarzystwie matki i sióstr, oraz ciotki swej Izabelli. W gronie rodzinnym jest prawdziwym dzieckiem, ale przy uroczystych wystąpieniach umie zachować królewską powagę. Po skończonych uroczystościach koronacyjnych, które rozpoczęły się w dniu 11 maja r. b., młody król opuszcza dotychczasowe swe skromne mieszkanie i przenosi się do pałacu królewskiego. Wedle etykiety hiszpańskiej, matka wraz z rodziną musi jednocześnie pałac opuścić; przy królu pozostanie tylko najstarsza siostra, księżniczka Asturyi, jako następczyni tronu.

Królowie hiszpańscy posiadają wspaniałe rezydencje w samym Madrycie, w Aranjuez, La Grania. Groby królewskie znajdują się w Eskuryalu, słynnym pałacu i klasztorze, znajdującym się w pobliżu Madrytu. Zbudował go król Filip II w XVI w.; miało to być nowe cudo świata, tymczasem budynek jest ponury, zimny i sztywny, zupełnie jak jego założyciel. Zbudowany w krąg, na pamiątkę męczeństwa św. Wawrzyńca, który był umęczony na rozpalonej kracie. Pałac ma tyle dziedzińców, sal, przejść, korytarzy, że można w nim łatwo zbłądzić, i jest położony w niezdrowej i niepięknej okolicy, to też królowie hiszpańscy z wyjątkiem założyciela rezydencji, rzadko w tej miejscowości przebywali.

W XVI wieku, Hiszpania słynęła jako państwo, w którym słońce nigdy nie zachodziło. Po ostatecznym wyzwoleniu się z pod jarzma Maurów w 1492 r. przez 150 lat była Hiszpania najpotężniejszym mocarstwem na świecie, a zawdzięczała to odkryciu Ameryki i obfitym w złoto i rozmaite bogactwa koloniom. W tymże czasie przodowała na polu literatury, sztuki i nauki. Powoli jednak ta potęga zmalała, wszystkie posiadłości na stałym lądzie Ameryki odpadły na początku zeszłego wieku, ostatnie resztki ich (Kubę i Portorico) utraciła Hiszpania przed kilku laty, w wojnie ze Stanami Zjednoczonymi. Przytem częste zaburzenia wewnętrzne podkopały znacznie jej byt; dziś jest krajem ubogim i źle zagospodarowanym, ponieważ mieszkańcy nie przyzwyczajeni do trudów i wysiłków, rozleniwili i nie umieli zastąpić bogactw kolonialnych, usilną i rozsądną pracą, przez którą rozwinięwszy należycie rolnictwo, przemysł i handel, podnieśliby wydajność żywności swego kraju, wprowadzili ład i wzajemną zgodę wśród wszystkich klas ludności wrócili krajowi choć część jej dawnej świetności.

Koronacja młodego króla odbyła się nader okazałe, a najwspanialszą częścią uroczystości był pochód z zamku królewskiego do pałacu kongresu a następnie do katedry. Trzeba bowiem wiedzieć, że żaden dwór nie posiada tak wiele, tak cennych, tak wspaniałych powozów, jak madrycki. Boki ich pokrywają malowidła Rubensa i innych mistrzów wraz z kosztownie cyzelowanymi okuciami, wykładane są perłową masą i najrzadszymi rodzajami drzewa.

Sznur powozów dworskich, zaprzężonych w 6 i 4 konie, prowadzonych przez służbę w starożytnego kroju, kapiących od złota liberyach i poprzedzany przez halabardzystów i gwardyę, przedstawiał widok nadzwyczajnie malowniczy i ciekawy. Uroczystości trwały cały tydzień, a nie obeszły się niestety bez krwawej jak zwykle walki byków.



Pałac królewski w Madrycie.

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

CZĘŚĆ CZWARTA.

W puszczy.

Rozdział XV.

Puszcza. — Poranek. — Dios te de. — Wąż. — Dziewczyna z sarną. — Niebezpieczeństwo. — Strzał. — Ucieczka. — Szalas. — Ponury sęp. — Niech giną białe twarze! — Suya.

Była noc. Po niebie płynął księżyc, ale jego światło nie dostawało się pod gęste podszybie lasu. Na ziemi porosłej bogatą roślinnością panowała zupełna prawie ciemność. Obco tu było, straszno, choć ciepło i zacisznie.

Czasem rozchyliła się trawa pod pierściami jaszczurki, czasem wąż jadowity wypełznął z za zwalonego pnia i przerzucił tłuste kręgi cielska po przez gałęzi, nagromadzone u podnóża cedru.

Gdzie i po co przetaczał się potwór? Któż zgadnie On królem wilgotnej głuszy. Podnosi łeb do góry, chwile nim w tę i w ową stronę, jakby nadśluchiwał, czy nie wdarł się do jego państwa zuchwały rabuś jaguar, lub zuchwalszy od jaguara człowiek. Słucha i pełźnie dalej.

Znowu cisza. Tylko strumień szemrze po kamieniach, czapla, nocująca w szuwarach, otwiera leniwie oczy, prostuje nogi, nastawia dziób. Ona, czujny wartownik, budzi wrzaskiem stada czajek.

Budzi się i ptactwo w gałęziach drzew. Dzieciół ogłasza pierwszy ziemi, że tam wysoko różowi się już dzień. Odzew dzieciół pochwyliły tukany, wielbią objawienie się słońca. Predicador ¹⁾ krzyczy co sił: Dios te de, Dios, te de, choć nikt nie wie do kogo odnosi się życzenie „Daj ci Boże”. Kolibry głuptaski, trzepoczą skrzydełkami jak swawolne dzieciaki, a papugi, te przekupki leśne, klócą się, od samego rana, wrzask podnosząc nieznośny.

Tymczasem pod zieloną kopułą cedrów, araukaryi i sosen prześwieca coraz wyraźniej pierwszy brzask poranku. Słońce, potężny pan dnia, przebiło już leśne sklepienie, teraz budzi do życia naturę. Dziki kot ²⁾ ziewnął, poruszył wąsami i skoczył na gałąź drzewa, które stoi obok strumienia. Mądry kot! Pewnie czeka, aż spragniona wody zwierzyzna przybiegnie do rzeki, bo oczy mu się palą zielonemi ognikami. Spiczaste uszy wytknął w górę jak pirożki i słucha...

Poruszyły się krzewy, rosa otrząśnięta z gałęzi pokropiła ziemię. Może wydra spieszy nad jezioro po ranny połów? Może mrówkojad zwierzył gniazdo pracowitych robotnic i chce je zgarnąć językiem, zanim rozejdą się po lesie. Nie, to biegnie jakieś zwinne, młode stworzenie. Cipo ³⁾ przerzuca zwoje liści od drzewa do drzewa i kołysze się w powietrzu. Musnęło lianę skrzydło przelatującego ptaka a może dotknęło zwierzę, które biegnie w kierunku strumienia. Ocelot jeszcze wyżej nastawił uszy... Rozchyliły się gałęzie krzewów, kot podniósł grzbiet do skoku; ale spłoszony niezwykle zjawiskiem uciekł w głąb lasu.

Bo też istotnie niezwykle piękna para Bożych stworzeń stanęła nad strumieniem. Pierwsza przybiegła sarna z mądrymi, czarnymi oczyma i wydłużonym do pieszczoty pyszczkiem. W trop za sarną dążyła młoda dziewczyna,

¹⁾ Predicador, ptak z gatunku tukanów, zwany przez polskich kolonistów kaznodzieją, woła „Daj ci Boże,” jak nasza przełożnica „Pójdźcie żać.”

²⁾ Ocelot. ³⁾ Liana.

dziecko nieledwie. Ciemno-bronzowa skóra czyniła ją podobną do towarzyszki. Z pod przyciętych nad czołem włosów patrzyły czarne i mądre oczy. Za całe ubranie miała tylko lekką białą spódnice. Piersi i szyję owinęła kwitnącymi powojami, a dwie gałązki kwitnących fuksyi zatknęła za uszy.

Sarna wyciągnęła szyję, na której wisiała kołatka wyrobiona z łupiny orzecha, musnęła czerwonym językiem wodę, próbując czy świeża. Piła ją z takim wdziękiem z jakim małe dziewczynki piją słodkie mleczko.

Ciemno brunatna jej towarzyszka przyklekła tymczasem na ziemi, chciała także dostać wody ze źródła, ale nie miała długiej szyi jak zwierzę, musiała więc radzić sobie inaczej. Zerwała trzcinę, ułamała ją poniżej kolanka i czerpała tym kubkiem napój ze strumienia. Pijąc, patrzyła na sarnę, przekomarzając się, że prędzej i lepiej radzić sobie umie w potrzebie.

Otrząsnęły się obie po chłodnym śniadaniu, dziewczyna sięgnęła do białych malin, rosnących na krzakach. Obrywała owoce i podawała je sarnie. Zwierzę musiało być bardzo łaskawe, bo jadło z dłoni i trącało łebkiem towarzyszkę, ile razy ta wysypała maliny do własnych ust. Indyanka, śmiała się pokazując dwa rzędy białych jak perły zębów, biegła od krzaka do krzaka i pobudzała sarnę do coraz zabawniejszych skoków.

Nie nie mąciło wesołości swawolnic, kiedy nagle poruszyły się trawy. Sarna usłyszała pierwsza szmer. Jak wprzód ocelot, tak teraz ona wydłużyła niespokojnie uszy. Dziewczyna przestała rwać maliny, ją także ogarnął strach. Chciała dojrzeć z kąda grozi niebezpieczeństwo, skoczyła na omszałą kłodę, wyteżyła wzrok w kierunku wielkiego cedru. Czarne oczy sarny i czarne oczy Indyanki świeciły jednakowym blaskiem.

Obie stały nieruchome, niepokój przykuł je do miejsca. Patrzyły na korzenie cedru, przewijające się po ziemi. Stamtąd dochodził chrzęst i szelest. Nagle ożyła jedna odrośl pnia, ten sam wąż, który o świetle obchodził swoje państwo, wyczałgnał się teraz z pod skrętów drzewa. Zdziwiony najściem człowieka, podniósł łeb.

— Jararaka! — krzyknęła Indyanka, ale nie ruszała się z miejsca. Potwór rozwijał tymczasem grube fałdy cielska. Wydłużył je w górę i przeciął powietrze prostą, ciemną linią. Oslizgła skóra węża połyskiwała migotliwym światłem. Otworzył paszczę, wyteżył wzrok i zdawał się wahać w wyborze między Indyanką a sarną. Długi, widłowaty język drżał niecierpliwie, ale zimne oczy gada miały wyraz ospałego znużenia.

— Dios te de! wrzasnął predicador uciekając w głąb lasu.

Potwór schylił głowę i zabierał się do skoku. Wtem padł strzał. Pierwszy strzał w tej części przedwiekowego boru. Wąż zwał się na ziemię. Tłuste pierścienie cielska drgały chwilę i legły bez ruchu, podobne znów do skręconych korzeni cedru, z pomiędzy których wypełzły niedawno.

Gad był dotąd panem głuszy. Któż śmiał odebrać mu jego państwo?

Któż jeśli nie człowiek. Alboż nie on właśnie jest królem stworzenia? On tylko potrafi patrzeć tak dumnie, jak patrzył w tej chwili młody strzelec oparty na fuzyi? Lniane jego włosy świeciły w blaskach słońca, uśmiech zadowolenia igrał na ustach ocienionych wysypującym się wąsem. Pierwszy raz w życiu odniósł tak wielkie zwycięstwo.

Indyance wydał się nadziemskim zjawiskiem. W jej plemieniu nie było jasnowłosych, jasnego lica bohaterów.

— Ciska pioruny! pomyślała i przejął ją strach w obec mocy tego człowieka.

Sarna tuliła śliczną główkę do kolan swej pani. Drżały obie, dziewczyna otrząsnęła się jednak pierwsza z wrażenia. Pomknęły w głąb puszczy, tak szybko, że myśliwy odróżniał z trudnością jedną od drugiej. Podniósł strzaskany łeb gadu i podziwiał trafność własnego strzału.

Udało się wypadkiem — mruknął — idąc w stronę strumienia. O zabraniu węża nie mogło być mowy. Sępy i mrówki uprzątną jararagę.

Indyanka stanęła tymczasem na tej samej górze, z której zbiegł strzelec. Ciekawość przemogła strach, chciała zobaczyć raz jeszcze białą twarz, która rzuca pioruny. Napróżno sarna trącała ją łebkiem i przypominała pani, że czas wracać do domu.

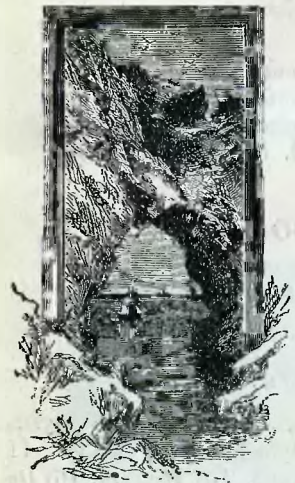
(d. c. n.)

POGADANKA NAUKOWA.

Wulkany.

Wszyscy są jeszcze pod wrażeniem strasznego wybuchu wulkanu Mt. Pelée na Martynice, który zniszczył miasto St. Pierre i pozbawił życia 30,000 jego mieszkańców. Po tym wybuchu nastąpiły inne na sąsiednich wyspach z tej samej grupy Małych Antyllów, które też nie obe szły się bez strat i ofiar.

Pisaliśmy o tej katastrofie w zeszłym numerze a teraz sądzimy, że będzie to najwłaściwsza pora wyjaśnić w krótkości czytelnikom „Wieczorów” jak współcześni geologowie t. j. uczeni, zajmujący się badaniem składowych części ziemi, na podstawie



swych badań i ogólnych praw fizyki tłumaczyć przyczyny tych wybuchów i powstawanie wulkanów.

Otóż trzeba wam wiedzieć, że postępując od powierzchni ziemi w głąb, znajdujemy w miarę pogłębienia coraz większe ciepło. Podwyższenie temperatury wynosi mniej więcej 1° Celsjusza na 30 metrów. Prosty więc rachunek wykaże z łatwością, że na głębokości jakich 8-9 wiorst panować musi tak wielkie gorąco, że w niem topnieje nie tylko piasek, i kamienie ale wszystkie najoporniejsze na wpływ ciepła metale.

Zdawałoby się zatem, że masa ziemna w tej głębokości musi być cała w stanie stopionym, płynnym a nawet gazowym, i byłoby tak niezawodnie, gdyby nie ta okoliczność, że wraz z głębokością zwiększa się także ogromnie ciśnienie masy ziemnej na głębsze pokłady.

Skądinąd wiemy, że na przejście ciała ze stanu stałego (np. lód) w płynny (np. woda) i z płynnego w gazowy (np. para) wpływa nie tylko wysokość temperatury lecz i ciśnienie, jakiemu owo ciało podlega. Normalnem ciśnieniem nazywamy to, któremu podlegają wszystkie przedmioty, znajdujące się na poziomie powierzchni morza od powietrza, które nad niemi się rozpościera, jest to ciśnienie *jednej atmosfery*. Woda przy takim normalnem ciśnieniu zaczyna kipieć, to jest zamieniać się w parę i gwałtownie rozszerzać przy 100° Celsjusza (80° Réaumur.) Ale na szczycie góry Mont Blanc, gdzie ciśnienie powietrza daleko mniejsze, woda zaczyna wrzeć już przy 70° C, a przeciwnie w zamkniętych kotłach, gdzie urządzone jest sztuczne większe ciśnienie, zostaje w stanie płynnym, nawet przy temperaturze daleko wyższej niż 100°. To samo stosuje się do wszelkich innych ciał, ponieważ zaś na głębokości ośmiu wiorst masa ziemna wywiera ciśnienie około 24,000 atmosfer, więc nic dziwnego, że znajdujące się tam pokłady zachowują swój stan stały pomimo ogromnego gorąca, w którym przy mniejszem ciśnieniu przeszłyby już dawno w stan płynny lub gazowy.

Ale stan taki jest bardzo niebezpieczny, bo jeżeli w skutek jakiejś okoliczności naprzykład trzęsienia ziemi,

i powstania szczeliny dążącej ku powierzchni ziemi, ciśnienie w którymś punkcie się zmniejszy, wnet w tem miejscu ciała szybko topnieją (lawą), rozszerzają się i prą gwałtownie ku górze. Następuje wybuch.

Łatwo możemy uprzytomnić sobie to zjawisko przez następujące doświadczenie. Zróbmy krążek, przylegający do wewnętrznych brzegów szklanki napelnionej wodą, z małym otworem pośrodku i położywszy go na wodzie naciskajmy w dół. Woda przez otwór wytrysnie w górę, jak fontanna, bo w tem miejscu ciśnienie będzie mniejsze niż po bokach.

Wiedząc teraz, co spowoduje wybuch lawy z wnętrza ziemi przejdźmy do wyjaśnienia powstania i istoty wulkanów.

Skutkiem powolnego stygnięcia w ciągu swego istnienia kula ziemna musiała się zmniejszać, a jej skorupa kurczyć, a od tego kurczenia się powstawały garby i wyłobienia (góra i morze) oraz pęknięcia i szczeliny. Pęknięcia tej skorupy ziemskiej różnej dochodzą głębokości. O ile dosięgły tej głębokości, w której masa ziemna zachowuje pomimo gorąca stan stały tylko w skutek wielkiego ciśnienia, o tyle z chwilą utworzenia się dostatecznej głębokości szczeliny, ciśnienie wyższych pokładów w danym punkcie było zniesione i owa masa ziemna przeszła natychmiast w stan płynny i gazowy (lawą, dym, parą), i poczęła się wydobywać na powierzchnię. Powstał wulkan.

Wulkan zatem jest to szczelina, sięgająca do głębin ziemi, posiadających bardzo wysoką temperaturę. Góra jest zjawiskiem następem, które powstało, jako nasyp z materjału, wyrzuconego z wnętrza ziemi.

Wulkany, jak wiemy z geografii, istnieją przy łańcuchach gór lub na skraju wielkich mórz i oceanów, bo w tych właśnie miejscach skurczenia skorupy ziemskiej najsilniej się objawiały i najłatwiej tworzyły się głębokie szczeliny.

Wulkany dzielimy na czynne i wygasłe, ale jak się okazało, nigdy nie można być zupełnie pewnym, czy dany wulkan wygaśł na zawsze. Po okresie wybuchów, który może trwać bardzo długo, następuje zwykle okres spokoju. Albo całe masy lawy z najbliższego sąsiedztwa wyrzucone zostały na powierzchnię, albo stygnąca lawa zatkała szczelinę i wulkan wybuchać przestaje. Czasem zdradza swe życie wybuchami pary przez krater (otwór) gazów lub źródeł gorących, czasem pozornie zamiera na długo. Tak na przykład w kraterze Wezuwiusza przed wybuchem w 79 roku, który zasypał Herculanium i Pompeje, istniały winnice, a w kraterze Mt. Pelée od lat 50 jezioro.

Wybuch wulkanu jest najwspanialszem a zarazem i najbardziej przerażającym zjawiskiem w przyrodzie. Zazwyczaj przechodzi kilka faz; najprzód nad kraterem tworzy się wielki obłok z par i gazów, świecących w nocy odbiciem rozżarzonej na dnie lawy, potem następuje wybuch bomb wulkanicznych, to jest wielkich strzepów lawy i popiołów, wreszcie brzeg krateru lub bocznych jego szczelin przelewać się zaczyna lawa, pśuwająca się z rozmaitą szybkością, jak ogniste strumienie. Prawdopodobnie ten sam przebieg wybuchu był i na Martynice, tylko że te fazy nastąpiły natychmiast jedna po drugiej, z nadzwyczajną siłą i obfitością, tak, że mieszkańcy miasta St. Pierre nie mieli wprost czasu uciekać z walących się i płonących domów; poginęli, zaduszeni i zasypani popiołami i lawą, tam gdzie się w owej chwili znajdowali. Stwierdzają to nieliczni pozostali świadkowie strasliwej katastrofy.

Obecnie zajmują się paleniem zwłok, dla uniknięcia ich rozkładu. Wszystkie domy zburzone i nawpół obrócone w perzynę, gruba warstwa szarego popiołu pokrywa wszystko, a na tle szarej mgły wulkan Mt. Pelée wciąż jeszcze miota ogniste języki.

Podług najnowszych obliczeń jest na kuli ziemskiej 672 wulkanów, z których 272 czynnych. Rozmiary ich rozmaite, a wysokość czynnych zmienia się ustawicznie. Do najwyższych należą Sahama (7015m.) i Chimboraso (6310 m.) w Andach, do najniższych czynnych Kosima w Japonii (225 m.) i Mandana na wyspie Santa-Cruz (65 m.)

Tak samo rozmaite są rozmiary kraterów. Krater Wezuwiusza ma $\frac{3}{4}$ wiorsty średnicy, a krater wulkanu Mouna-Loa na wyspie Hawaui, zwany Kilanea, jedyny w którym ciągle kipi lava, ma 16 wiorst średnicy, zajmuje więc przestrzeń daleko większą niż Warszawa z Pragę. Wybuch tego wulkanu w r. 1866 trwał bez przerwy 10 miesięcy.

Najstraszniejsze wybuchy pod względem liczby ofiar były następujące: Wezuwiusza w 79 r. i 18 grudnia 1631 r., Krakatoa — (na jednej z wysp Malajskich) — 25 sierpnia 1883 roku którą wtedy już opisały „Wieczory,” i wreszcie Mt. Pélée na Martynice 8 maja 1902.



Port St. Pierre i miasto przea katastrofą.

ZAGADKA GŁOSKOWA.

Od Jaskółki dla Śnieżycy.

Taka już moja natura,
Że ni dolina ni góra
Beze mnie się nie obejdzie,
Wcisnę się wszędzie.
Ha, wszędzie! mówić nie sztuka,
Ale darmo mnie kto szuka,
Czy to w angielskiej stolicy,
Czy na wyniosłej iglicy,
Którą himalajskie góry
Najwyżej ślą ponad chmury;
Czy nad Spreą, gdzie ponury
Krzyżak wznosił stolicy mury.
Czy to w tym prastarym grodzie
Co w Tybru kąpie się wodzie,
A wychowańca wilczyicy

Jest dziełem. Lecz któż to zliczy,
Gdzie mnie braknie, jestem przecie
W niejednym miejscu na świecie.
Jam w stolicy nad Sekwaną
I we Francyi całej znana;
W starym grodzie Mieczysława,
Gdzie Chrobrego rosła sława,
Mnie nie było, lecz się jawię,
I w Krakowie i w Warszawie.
Choć Popiel nie ma mię wcale,
Wreszcie i miła Śnieżycy
Swą przyjaźnią mię zaszczyca.

KWADRAT MAGICZNY.

ul. Smok Wawelski.

a	a	a	a	Miasto w Kanadzie.
b	b	k	k	Rzeka na Syberji.
l	m	r	r	Wyspa na Atlantyku.
u	u	u	u	Rzeka wpad. do m. Kaspijskiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 20.

Szarady: Po — ko — ra.

Arytmogryfu:

1) Wierzbica. 2) Sól. 3) Zofia. 4) Edynburg. 5) Dyana. 6) Złoty. 7) Ilnicka. 8) Ecuador. 9) Dyogenes. 10) Obelisk. 11) Bard. 12) Rej. 13) Zanzibar. 14) Edmund. 15) Wiesław. 16) Demostenes. 17) Oziris. 18) Morze. 19) Urszulka. 20) Nemrod. 21) Ameryka. 22) Jassyr. 23) Lalka. 24) Elegia. 25) Portyk. 26) Irena. 27) Ezop. 28) Janina.

Wszędzie dobrze, w domu najlepiej.

OGŁOSZENIA.

NOWY WYNALAZEK.

Patentowane amerykańskie maszyny do pisanja

dla dzieci w cenie

rub. 2 i rub. 3 za sztukę.

Sprzedaż u H. Łaski & w Warszawie

HOŻA 46.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Bzy, wiersz przez Władysława Karolego (z ryc.) — Na Bielanych, przez Z. Morawską (dokończenie) (z ryc.) — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Najmłodszy z monarchów (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Pogadanka naukowa (z ryc.) — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Na niwie, wiersz przez Irenę Mrozowicką (z ryc.) — Julek i Staś przez Z. K. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII wieku, przez Annę Zielińską.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Dziewczynka rozchyliła gałęzie. Drżała a jednak wtuliła główkę między gąszcz kwitnących roślin i patrzyła za strzelcem póki nie zniknął na drugiej stronie strumienia.

— Idę już idę — powiedziała niecierpliwie i odpędziła sarnę.

Biegły znów na wyścigi z wiatrem. W miejscach stromych, tam gdzie sarna z trudnością znajdowała przejście, czerwonoskórą dziewczę chwyciła rękami zawieszoną nad przepaścią liany i wdrapywało się po nich jak po sznurowej drabinie. Nie strącała nawet rosy z kielichów kaktusa, ani płoszyła ptaków, sama zdawała się fruwać od krzewu do krzewu. Znała dobrze drogę, a może prowadziła ją sarna, bo szły nie zmieniając kierunku. Czasem zatrzymała się na chwilę, słuchając czy wiatr nie przyniesie jej echa nowego strzału.

Ale daremnie nadstawiała uszy, puszczone zaległa cisza. Drzewa były w tem miejscu radsze, mniej rosło cedrów i dębów, zato szyszki araukaryi zaścielały ziemię. Nie zwracała na nie uwagi chociaż drzewo araukaryi to największy skarb Indyana. Z niej buduje on łódzie do przeprawy przez rzeki, z niej rozpala ognisko, jej szyszkami (pinhas) upieczonemi w popiele jak kartofle, lub nawet surowemi żyje Botokud, wtedy zwłaszcza, kiedy nie udało mu się zwabić gwizdem zwierzęcia w obręb zatrutej strzały, lub zabić tą strzałą rybę w strumieniu.

Indyanka biegła, wymijając sarnę. Weszły na wydeptaną ścieżkę, musieli po niej często chodzić ludzie, bo w błotnistych kałużach widocznym

Wąż otworzył paszczę, wyteżył wzrok i zdawał się wahać w wyborze między Indyanką a sarną. (Rozd. XV).

był ślad bosych nóg. Stopy dziewczęcia miały zwinnie te moczary. Motyle fruwały około jej głowy, ale ona odtrącała obojętnie kolibry i motyle. Zdyszana spieszyła coraz prędzej, aż dopadła na polankę ukrytą wśród lasu. Z daleka widać było dymy ognisk, rozłożonych między drzewami. Pod równoległe rosnącymi gałęziami araukaryi, przyczepione do ich pni, jak ptak przyczepia gniazdo, stały szałas Botokudów *) podłużne, otwarte z dwóch stron, a pokryte u góry liśćmi palm. Ten, do którego wbiegła Indyanka większym był i piękniejszym od innych. Ściany pstrzyły się zasuszone mi motylami i chrząszczami. Hamaki z misternie plecionych mat służyły za posłania, a zgrabne kobiałki i naczynia świadczyły o artystycznych gustach mieszkańców szałasów.

Umiano zachować w nim nawet pewien komfort, bo kiedy mieszkania Botokudów otwarte bywają zazwyczaj na wiatr i dostępne oku przechodniów, tu wzorzyste maty zasłaniały wyjścia, a miękka plecionka zaścielała ziemię. Kilka wielkich maczug i kilka łuków z napiętymi strzałami zdobiło jeden kąt szałasów, pod przeciwną ścianą wisiał hamak upstrzony pękami kolorowych piór. Gnieździła się nad nim para oswojonych papug, które szczebiotały przeskakując po chrząstliwych prątkach.

Dziewczyna wbiegła pędem pod matę, zamykając wejście i zawisała na szyi wysokiego mężczyzny.

— Gdzie byłaś Suyo? — zapytał stary wódz.

Nie odpowiedziała, tylko tuliła do jego twarzy swą małą długim włosom ocienioną twarzyczkę.

— Cemu drżysz Suyo? Może spotkałaś jaguara. Miano słyszał jego ryk, ale ty nie z tamtej przychodzisz strony. — Suyu nakryła twarz rączkami, starając się zebrać rozpierzchłe myśli. Chciała opowiedzieć ojcu o tem, co widziała i słyszała w puszczy, ale brakło jej tchu.

— Jararaka — wymówiła stłumionym głosem.

— Jararaka udusiła twoją sarnę? — zapytał ojciec.

Potrząsnęła główką przecząco. O nie! to byłoby zbyt wielkie nieszczęście, ona tę sarenkę wykarmiła własną ręką, nie przeżyłaby takiego zmartwienia. Odchyliła matę i pokazała ojcu swoją towarzyszkę, pasącą się na polance.

— Przełękłaś się węża? — powiedział wódz z wyrzutem. Wszyscy jego synowie polegli, miał tylko tę jedną, ostatnią. Suyu była córką Ponurego Sępa, czyżby w jej żyłach nie płynęła krew bohaterów?

Ale ona uśmiechnęła się wzgardliwie. Drżała z podziwu, nie z obawy. Nie wzięła dziś z sobą łuku dlatego stała bezradna przed wężem. Umiała przecie wypuścić strzałę również celnie jak jej rówieśnicy chłopcy.

Otoczyła ramieniem szyję ojca, wspięła się na palce, przysunęła główkę do jego ucha i szepnęła wzruszona:

— Widziałam białą twarz! Biała twarz cisnęła piorun i zabiła jararakę.

Mówiła to, uśmiechając się pieśczośliwie, ale Ponury

Sęp odtrącił od siebie córkę i skoczył na środek szałasów jak zraniony puma. Siwe włosy podniosły mu się na głowie, wyciągnął dolną szczękę, w której tkwił drewniany krządek, i odkrył pożółkłe od starości zęby.

Suyu patrzała zdziwiona na ojca, nie widziała go nigdy takim, trząśniętą ręką zerwał ze ściany największy łuk. Błyskał przytem złowrogo białkami oczów i zaciskał pięści. Podniósł matę, aby wybiedz z szałasów, oprzytomniał jednak po chwili i cofnął się w głąb mieszkania. Należało zebrać myśli, z gotowym planem stanąć w obec zgromadzonego plemienia. Zwołała je za chwilę, tymczasem musi wybadać córkę.

— Gdzie widziałas białą twarz Suyo? — zapytał hamując gniew.

— Nad wodami słodkiego strumienia. Cemu twoje oczy błyszczą złowrogo ojczyste?

— Ponury Sęp rozszarpie białe twarze.

— Chcesz zabić sokoła, który rzucił piorun w jararakę?

— On sokół? co mówisz Suyo? białe twarze to psy podłe. Sęp zdusi psy, będzie darł ich ciało.

— Ojczyste! ty taki dobry, dlaczego gniewasz się na białe twarze? Masz w oczach grom i piorun. Suyu nie obejmuje twojej szyi, póki patrzysz na nią tak srogo.

— Śmierć im! — krzyczał tarzając nagie ciało w prochu — śmierć im! Oni zabili tysiące tysięcy naszych wojowników, oni zabrali nam puszcę, oni piorunami tępią zwierzynę, wyrabują araukaryę, oni zmuszają nas ustępować w głąb lasu, aż braknie ziemi pod stopą Burynga, a wnetrzności jego pożre głąd. Śmierć! śmierć! śmierć!

Suyu uciekła w kąt szałasów. Siadła na słomianej macie, ukryła twarz w dłoniach i łokcie oparła o wysoko podniesione kolana. Włosy Indyanki spływały długimi pasmami do jej stóp, z ócz płynęły łzy. Szlochała.

Ponury Sęp usłyszał płacz córki. Opanował się, podszedł do dziecka i położył rękę na jej głowie.

— Słuchaj — mówił przez zacisnięte gniewem zęby. Dobry duch zesłał na ciebie chorobę wtedy, kiedy ojciec twój zabijał białe twarze, dlatego nie pamiętasz krwi i pożogi. Słuchaj jeszcze. Jararaka jest dobry, jaguar dobry, puma dobry. Burung ma tylko jednego nieprzyjaciela — białą twarz.

Odwrócił się od płaczącej Suyi, namaścił ciało tłuszczem jaguara, bo tłuszcz ten czyni wojownika niezwyciężonym. Potem włożył na czoło pióropusz, znamię wodza, wziął w jedną rękę szczep zakończony kościanym dziurym, w drugą łuk i zupełnie już spokojny wyszedł przed szałas.

Rozejrzał się po polance, przyłożył dwa palce do drewnianego kręgu, który przetykał mu wargę i gwizdnął przeciągłym złowrogim sykiem.

Tak zwołuje grzechotnik samice, kiedy grozi niebezpieczeństwo gniazdu.

Z rozrzuconych na polance szałasów, z gromad otaczających ogniska wybiegł tłum mężczyzn i stanął przed wodzem, czekając niecierpliwie jego rozkazów.

— Manao i ty Makusi i ty Waika zbierajcie waszych wojowników. Niech zatną ostrza strzał, niech założą nowe cięgiwy na łuki. Białe twarze naszyły puszcę.

Dzikie krzyki i wycie były odpowiedzią na słowa wodza, on skinął ręką, nakazując spokój i tak mówił dalej

*) Indianie w Brazylii dzielą się na wiele szczepów i plemion. Ci z którymi nasi osadnicy walczyć muszą, zowią się w języku własnym Burundzy, po portugalsku Botokudzi, od ozdób, które noszą w dolnej wardze i uszach. Są to czopy drewniane, mające kilka cali średnicy, czop zaś Portugalczycy nazywają „botok”. Koloniści zowią ich Bugrami. Bugrzy są silni, dobrze zbudowani i okrutni dla tych, którzy zabierają im ziemię. Mordują też białych bez miłosierdzia, a zdarzało się nawet, że pożerali jeńców wojennych.

— Zwaliście mnie dawniej Skalistym Orłem, wtedy żyli jeszcze wszyscy moi synowie. Zginęły w wojnie orle-tal! Zwiś mi łeb od żalości, zakrzywiły się zęby, jak sęp zakrzywia dziób. Sęp drze dziobem padlinę, wasz stary wódz drzeć będzie wnętrzości białych twarzy.

Polanka zadrżała od nowych okrzyków, wznoszono je na cześć ponurego Sępa, on tak mówił dalej:

— Za trzy dni czarownik Gundahani zaprawi jadem strzały, które mu zaniosę. Za trzy dni czekać was będę u jaszczurczego brodu.

— Manao i ty Makusi, i ty Waika naostrzcie wasze topory. Cięciwa mego łuku upleciona z włosów białych twarzy. Wstydziecie się nosić łuk, na którym niema śladów krwi nieprzyjaciela.

Gromada odpowiedziała wyciem, spłoszone ptactwo uciekło w głąb puszczy. Kto żył, chwycił broń. Kobiety zabijały zwierzynę utrzymaną w zapasie, bo walkę poprzedzić miała uczta. Muzykańci zadęli w trzcinowe piszczałki i uderzali maczugą w pnie drzewa.

Suya ogłuszona wrzaskiem, siedziała w kącie szałas, sarna przytuliła się do nóg pani, drżała nie rozumiejąc co znaczy wycie, które rozdziera jej uszy. Czyż mogło wiedzieć biedne zwierzę, że ludzie dozują szalonej radości w chwili, kiedy idą mordować braci.

Wódz zdjął tymczasem ze ściany sznur, na którym były nawleczone kły drapieżnych zwierząt, i otoczył nim trzy razy szyję, potem schwycił garść ziemi, rzucił nią z wściekłością o próg szałas.

Niech Wielki Duch zdepcie w proch białe twarze, jak ja depcę ten pył! — zawołał stąpając dumnie po rozsypa-nym piasku. Nie obejrzał się ani na córkę ani na szałas w którym zostawała samotna.

Przeżył swój ród; pokona nieprzyjaciół lub zginie.

(d. c. n.)

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Będę w sobie kształcił siłę woli, tatuńciu! Chcę mieć siłę woli.

— Zły twój postępek musiał na dobitkę nie przydać się na nic. Byłeś pewno tylko przeszkodą profesorowi!

Zdziś znowu ukąsił się w język tak silnie, że oprócz bólu poczuł jeszcze smak krwi w ustach. Począł się roz-bierać, a gdy wyciągnął z pod kołdry zwiniętą w wałek kape i rozplątywał ręcznik w kształcie głowy ułożony, myślał z westchnieniem:

— Siła woli, to ciężka ręka na człowieku położyła! Walka z samym sobą — to ciężka walka! Tak by mi się chciało powiedzieć rodzeństwu o mojej nocnej wyprawie, a tu milcz! Żeby choć Józiowi i Zosi powiedzieć w sekre-ciel! To też bardzo silna chęćka, ale ją zwalczyć! Daję so-bie na to słowo!

Choć był bardzo zmęczony, usnąć długo nie mógł. Le-żał tylko cichutko, mając ciągle przed oczami profesora z płachtą na głowie i starą cyganek, która z przestachu runęła na ziemię, a on myślał, że ją zabił i groza tego po-stępku zjeżyła mu włosy na głowie.

Złożył ręce do modlitwy, szepcząc:

— Panie Boże, dziękuję Ci, że ja kula minęła, i że nie mam życia ludzkiego na sumieniu. Panie Boże dzięku-ję Ci, że zdołałem profesora wyciągnąć z rąk tych niego-dziwych kobiet i odzyskać pieniądze Michała!

Wśród tej gorącej modlitwy usnął.

X.

Nazajutrz pozwolono mu spać bardzo długo. Profe-sor prosił, by go nie budzono. Dzieci zaciekawione pytały, dlaczego Zdziś nie wstawał i Zosia powiedziała im, że Zdziś z profesorem Chlewiatką wrócili z jakiejś wycieczki o trzeciej po północy. Zaczęto wypytywać profesora, któ-ry nic nie odpowiedział, a miał minę tak surową, że nie śmiano zwracać się więcej do niego. Czekano niecierpli-wie na przebudzenie się Zdzisia. Józio zaglądał do pokoju ojca, Jańcio chodził na palcach koło łóżka, szeptano, do-myślano się, radzono. Ciekawość wzrosła do najwyższego stopnia, gdy Józio spostrzegł swój łuk i sajdak obok łóżka Zdzisia. Badając broń doszedł do przekonania, że naj-lepszej strzały z gwoździem nieźrównanym brakowało w sajdaku.

Zosia obrazowo opowiedziała powrót Zdzisia z wy-prawy:

— Wyglądał, jak człowiek z wieku żelaznego — mó-wiła — łuk na plecach, kindżał u pasa, laska ze sztyletem w rękę. Ale mina!... mina!

— Mina wojownika? — zapytał Józio z dumą.

— Gdzie tam! Mina skarconego psiska! Aż mi go żal było! Zdawało się, że szuka oczami takiego tylko kąta, w któryby się mógł wcisnąć... ukryć przed okiem ludzkim. Mamuleczka go uściskała, to tak schował twarz w jej ko-ronkowy żabot, jak kurczę, które pod pióra kury chce ukryć choćby głowę tylko.

— To mu się tam coś nie udało — zawołała Alusia.

— Żeby ja tam był — rzekł Jańcio — tobym mu dopomógł!

— To mi pomocnik! — ozwała się z pogardą Alusia.

— Jaby był poszedł ze swoją fuzją!

— O, taka fuzya, co się jej nawet mucha nie boi!

Wreszcie przed samym obiadem obudził się Zdziś i pierwszym jego uczuciem była trwoga przed rozprawą z panem Chlewiatką. Siedział przy obiedzie milczący, nie-czuły na zaczepki dzieci, obojętny na ich żarty, świadczący całą swą osobą, że porównanie Zosi było dosadne i uspra-wiedliwione. Był do tego stopnia niepodobny do zwykłego butnego Zdzisia, że litościwie serce Józia rozżaliło się nad nim. Począł go bronić przed uprzykrzoną ciekawością i zaczepkami Alusi i nawet on, łagodny i powolny Józio, posunął się do tego, iż szorstko powiedział młodszej sio-strze, że sprawy Zdzisia i jego były sprawami mężkami, do których dziewczyny mieszać się nie powinny.

Pan Chlewiatko prawie to samo odpowiedział pannie Four, która natarczywie i gorączkowo dopytywała się o ową nocną wyprawę. Ona powinna wiedzieć, co w tym kraju groziło ludziom po nocach, żeby musieli robić wyprawy *armés jusqu' aux dents*. Przecie nie można trzy-mać cudzoziemca z zawiązanymi oczami wśród okoliczno-ści największej wagi. Przecie ona jest dorosła i ma prawo żądać prawdy!

— Sprawy mężkie nie powinny obchodzić kobiet!

Panna Four syknęła na dźwięk wymowy francuskiej pana Chlewiatki i cała zaperzona zawołała:

— Co, sprawy mężkie? Co, starzy uczeni wyobraża-ia sobie, że są rycerzami? Dla tego, że pan tłumaczy poe-

tyczne bajki Homera, na ten język, którego żaden człowiek z zachodu wymówić nie może, dla tego, że pan zna nazwę grecką, każdej części ryszunku greckiego wojownika, to się panu zdaje, że kobiety są czemś niższem od mężczyzn? Teraz przyszły takie czasy, że wojny żadnej nie będzie, więc mężczyźni tracą urok siły, który im w dawnych czasach dawał przewagę nad kobietami. *Chez nous à Paris...*

— Ale w naszym kraju jest inaczej!

— W waszym kraju ludzie nie rozumieją postępu! w waszym kraju nawet uczeni są ludźmi zacofanymi.

Pani Zabrzaska musiała się wdać między pannę Four a profesora, gdyż się bała, że popędliwa Fracuzka wstanie od stołu i pozbawi się leguminy, którą właśnie z myślą o niej sporządzono dnia tego.

Miedzy parą zapaśników zapanował nareszcie pokój. Pan Chlewiatko rozpiął na grabce serwetę, która miała wyobrażać białą chorągiew, będącą u wszystkich ludów znakiem zawieszenia broni.

— Proszę o pardon — rzekł, udając głęboką pokorę.

Niewiadomo, czy panna Four byłaby ustąpiła, gdyby nie wniesiono pachnących świeżem ciastem i konfiturami *tartes aux confitures*, w których kucharz państwa Zabrzeskich tak się wykształcił, że nawet: *chez nous à Paris* nie robiono ich lepiej.

Zdzisia nie rozbawić nie było w stanie. Siedział z oczami utkwionemi w talerz, co wciąż niepokoiło dzieci. Niepokój ten wzrósł do najwyższego stopnia, gdy Zdziś, który cały obiad jadł tylko półgębkiem, odmówił leguminy, za którą równie, jak panna Four przepadał.

— To coś bardzo złego się stało! — szepnął Józio do Zosi.

Zosia odpowiedziała mu wymową zaniepokojonego spojrzenia.

Tego dnia po obiedzie wypadała do spaceru kolej panny Four. Profesor zwrócił się do pani Zabrzaskiej z prośbą o zezwolenie, by Zdziś został w domu.

— Mam z nim do pomówienia — dodał — i proszę, by czas przechadzki spędził w moim pokoju.

Zdziś poszedł za profesorem, jak potulny baranek, nie jak butny rycerz, którego rolę grać lubił.

— On musiał coś bardzo złego zrobić! — szepnął Józio do Zosi.

Profesor zamknawszy za sobą i Zdzisiem drzwi swego pokoju, ozwał się sucho i surowo:

— Nie wiem czy jesteś w stanie ocenić całą ohydę twego postępowania, czy jesteś w stanie zdać sobie sprawę, jak zgrzeszyłeś przeciwko religii, honorowi i przeciwko rodzicom i przełożonym twoim!

(d. c. n.)

Jadwiga Warnkówna.

Listy z wycieczek po kraju.

List IV.

Dnia 13 sierpnia 1901 r.

Droga Madziu!

Dawno już do ciebie nie pisałam, za to dzisiejszy mój list będzie dosyć obszerny, chociaż już z Ojcowa ostatni. Wyjeżdżamy tu stąd za dni pięć, ale przed powrotem do domu zwiedzimy jeszcze góry Świętokrzyskie, Kielce i Chęciny.

Nie chciałam do ciebie pisać przed ujrzeniem Pieskowej Skały; wybieraliśmy się tam, jak za morze, a że to wycieczka na cały dzień, zawsze nam stanęło coś na przeszkodzie. Wczoraj nareszcie ujrzałam zamek w Pieskowej Skale i ową wielką, dziwacznej kształtu, oddzielnie stojącą skałę, zwaną Pałą Herkulesa. Opiszę ci całą wycieczkę dokładnie w porządku. Wyruszyliśmy z Ojcowa zaraz po śniadaniu o ósmej. Dzień był śliczny ale skwarny, słońce od samego rana rzucało dokoła palące promienie, a w jego gorących blaskach skały razily oczy swą białością. Droga piesza prowadzi tuż nad Prądnikiem; (ku jego środku) bliskość wody i nadbrzeżna roślinność chłodziły trochę parne powietrze. Z początku szliśmy szybko, szczególnie młodzież mimo przestrogi starszych, biegła naprzód nad brzegiem rzeki, patrząc, jak,

„Pusty swawolnik, w swej białej czamarze
Z tysiącem pstrągów, dzwoniących u pasa,
Prądnik jak rzeźbi krakowia-
[czek hasa.]”
(*Deotyma*).

Ten Prądnik od wieków

hasa i hasa, a nie zmęczy się, my zaś zmachaliśmy się bardzo prędko i trzeba było zwolnić kroku. Minęliśmy jakąś wioskę, potem kilka turkoczących młynów nad Prądnikiem i nareszcie ujrzelśmy z radością murowany kościółek na wysokiej górze. Wiedzieliśmy, że to nie była jeszcze Pieskowa Skała, ale Grodzisko czyli Pustelnia świętej Salomei. Miejsce to historyczne, ciekawe; mieliśmy tam dużo rzeczy zobaczyć i dużo nauczyć się, a prócz tego odpocząć i pokrzepić siły; wszystko to razem dodało wielkiej sprężystości naszym nogom i nadspodziewanie prędko stanęliśmy przed progiem kościołka.

Dawniej na tej górze wznosił się zamek obronny, zwany grodem, grodziskiem i stąd do dzisiaj ta nazwa przysługuje maleńkiemu przybytkowi Pańskiemu i kilku w pobliżu leżącym chatom. Zamek ten wystawił podobno w XIII w.



Wejście do groty Łokietka w Ojcowie.

Podług fotografii nadesłanej nam przez czytelnika „Wieczorów”
B. Niedzielskiego.



Wyścigi w Debrecynie (str. 184).

Henryk Brodaty, gdy z Konradem Mazowieckim współzawodniczył, ubiegając się o opiekę nad małoletnim Bolesławem Wstydlwym. Gdy Bolesław dorósł, zamienił ową warownię na klasztor i oddał zakonnicom Klaryskom, których ksienią była siostra jego Salomea, wdowa po Kolomanie, królu halickim. Ta królowa nasza spędziła tu światobliwe ostatnie lata swego życia i zmarła w r. 1267, a w czterysta lat później w poczet błogosławionych polichzona została.

Po śmierci św. Salomei zakonnice, z powodu częstych napadów zbójców, jako też częstych wojen w tych stronach, przeniosły się do Krakowa; opustoszałe mury klasztoru zwolna uległy ruinie. Dopiero za Władysława IV, Klaryski krakowskie ku uczczeniu pamięci św. Salomei zbudowały tu na nowo kościółek, odrestaurowany w końcu XVIII ego stulecia.

Dzisiejszy kościółek jest murowany z wieżyczką, otoczony murem. Na cmentarzu, okalającym kościół jest kolumna, na której stała przed laty figura św. Salomei, ale ją burza zrzuciła i rozspalała w kawałki. Na murze, otaczającym cmentarz, jest pięć figur z piaskowca, przedstawiających: Henryka Brodatego, Bolesława Wstydlwego, świętą Kunegundę, Kolomana, męża św. Salomei i świętą Jadwigę, żonę Henryka Brodatego.

Kościółek jest skromny, ale czystutko utrzymany, zdobi go obraz Matki Boskiej znanego malarza Smuglewicza, dwa posągi świętych z białego marmuru i pięknie rzeźbiona ambona z drzewa modrzewiowego. Wyszedszy z kościółka, drugą bramą z cmentarza wchodzi się na mały dziedzińiec, w pośrodku którego stoi kamienny słoń. Podobno dawniej była to studnia i trąbą słoń wodę wylewał.

W głębi tego dziedzińca jest domek, złożony z trzech grot, z postaciami świętych, dawniej na ścianach tych grot były malowidła ze scenami z życia Najświętszej Panny. Od domku schodzi się na dół po kamiennych schodkach do Pustelni św. Salomei. Tutaj podobno ona w samotności dni na modlitwie trawiła, tu spędzała także noce na twardej łóżu kamiennym. Naprzeciw wejścia jest ołtarzyk z wizerunkiem św. Salomei, po prawej stronie owo łóżo, a po lewej tablica, na której w krótkich słowach spisany jest żywot świętej patronki polskiej.

Niedaleko pustelni znajduje się dworek, otoczony ogródkiem, gdzie rok rocznie teraźniejszy ksiądz biskup Kielecki spędza miesiące letnie.

Obejrzawszy kościółek i całe jego otoczenie bardzo dokładnie i posiliwszy się u Mazurkowej, nader sympatycznej i schludnej wieśniaczki, wybornem zsiadłem mlekiem, puściliśmy się dalej.

— Daleko jeszcze do Pieskowej Skały? — zapytujemy spotkanego przechodnia. — Niedaleko, tam za drugim młynem.

Choć słońce pali strasznie, z otuchą w sercu idziemy dalej.

Mijamy jeden młyn, drugi, trzeci, czwarty i dopiero za piątym powiadają, że Pieskowa Skała tuż, tuż. Nie wiadać jej jednak, bo przydrożne skały ją zasłaniają. Wreszcie robimy zakręt, wchodzimy na odkrytą bardziej przestrzeń i oczom naszym ukazuje się Maczuga Herkulesa i wspaniały zamek. Nie wyobrażaj sobie, że to zwaliska podobne do Ojcowskich. O nie! Zamek w Pieskowej Skałce jest to gmach zupełnie dobrze zachowany, mający posadzki, okna, drzwi, jedynie najwyższe piętro, zniszczone przez pożar, nie zostało odrestaurowane. Zamek zbudowany w czworobok, z dziedzińcem w środku. Narożne baszty wznoszą się na cztery piętra. Pięknie nam się przedstawił w ten dzień pogodny, słoneczny, w malowniczym swym otoczeniu. Z jednej strony błękitne wody myją mu stopy, a Maczuga Herkulesa, groźna, poważna, jakaś przedpotopowa stoi mu na straży! Spojrzeliśmy jednak dość przelotnie na ten wspaniały widok i podążyliśmy spieszenie, nie zgorz się, kochaneczko, do restauracji na obiad. Byliśmy głodni, ale to głodni bardziej od wszystkich wilków

razem. Pan Gamon, restaurator w Pieskowej Skałce, cieszy się jednak słuszną sławą! Pożywił nas, napoił i niebawem z pokrzepieniem ciała nastąpiło i pokrzepienie ducha.

Z całym zapalem zwiedziliśmy wszystkie piętra zamku, który miał być założony przez Piotra Szafranca, wojewodę Sandomierskiego r. 1582. Zamek stoi pustkami, bo obecny właściciel tam nie mieszka. Najbardziej mi się podobała starożytna brama wjazdowa, a wewnątrz zamku kaplica i dawna biblioteka i skarbiec dzisiaj bez skarbów i bez książek. Obok jednej z wież pokazują miejsce, zwane Dorotką. Był tam niegdyś podobno loch, do którego spychano przestępców, skazanych na śmierć głodową.

Szafrancowie była to rodzina bardzo można i znakomita, jeden z nich Piotr odznaczył się chwałębnie w bitwie pod Grunwaldem; z tej rodziny pochodziła także pierwsza poetka polska, Zofia Oleśnicka z Pieskowej Skały, autorka pieśni religijnej w XVI wieku.

Szafrancowie przyjęli kalwinizm i byli tej nowej wiary wielkimi opiekunami, wygasł ten ród pod koniec XVII wieku.

Widzisz, ilu rzeczy dowiedziałam się w Pieskowej Skałce. Po zwiedzeniu zamku i parku poszliśmy do Sułozowej, wioski rozrzuconej wśród skał. Wypływa tam Prądnik. Wieczorem wróciliśmy krótszą drogą wózkami do Ojcowa.

Bardzo mi się Pieskowa Skała podoba. Chciałabym tam być jeszcze kiedy. Przed wyjazdem nie da się to już jednak skutecznie, chyba tam kiedyś później, za rok lub lat kilka. Chciałabym tu być z tobą i służyć ci za przewodnika.

Do Grodziska to może pojedziemy jeszcze pojutrze, gdyż będzie tam odpust, jako w uroczystość Najświętszej Panny. W Ojcowie dopiero budują kaplicę, która będzie za rok skończona, teraz trzeba chodzić albo do wioski Smardzewic, albo do Grodziska. Pragnęłabym bardzo być na Wniebowzięcie w Grodzisku i przypatrzeć się razem strojom świątecznym tutejszego ludu.

Strój ten jest prześliczny, taki jak pod Krakowem. Mężczyźni noszą białe kierezye, a kobiety nazywane świecidełkami gorsety i barwne spódnice. I kobiety i mężczyźni chodzą w butach i idą w nich całą drogę, a nie obuwają się dopiero przed kościołem, jak w innych okolicach.

Odpisz do Kielec poste-restante i przyjmij mnóstwo uściśnień od twej

Heleny.

Najnowsze zdobycze nauki.

Telegraf bez drutu.



ały świat jest dziś zajęty próbami z wynalezionym przez Włocha Marcconiego sposobem telegrafowania bez drutu, łączącego stację wysyłającą wiadomości ze stacją odbierającą. W sposobach do dziś dnia używa-

nych taki drut jest niezbędny, musi on mieć nieraz olbrzymią długość, jeżeli chcemy połączyć telegraficznie

miejsowości bardzo od siebie odległe np. Warszawę z Władywostokiem we Wschodniej Syberii. Jeszcze kosztowniejsze bywa zakładanie podmorskich lin telegraficznych, które muszą być grube, mocne i pokryte gutaperką nieprzepuszczającą prądu elektrycznego. Ponieważ zaś sposób wynaleziony przez Marconiego obywa się bez takiego przewodnika, łączącego ze sobą stacye, przeto łatwo jest zrozumieć jego doniosłość.

Idźcie na brzeg spokojnej sadzawki i wrzucicie w nią kamyk. Co widzicie? Oto z miejsca gdzie on upadł rozchodzą się na wszystkie strony fale, aż w końcu woda poruszona uspakaja się. Podobne fale, chociaż niewidzialne powstają w powietrzu pod wpływem wstrząśnienia jego mową, muzyką, wystrzałami lub czemś podobnem. Wówczas fale nazywają się dźwiękowemi. Oprócz fal dźwiękowych istnieją jeszcze fale elektryczne, które właśnie umożliwiają porozumiewanie na wielkie przestrzenie sposobem Marconiego.

Znacie iskrę elektryczną? Jeżeli kiedykolwiek mieliście maszynę elektryczną, to mogliście wytwarzać łatwo iskry dość długie, a wypadające z konduktora maszyny z trzaskiem. Pioruny są także iskrami elektrycznymi ale niezmiernie wielkimi. Iskra, przeskakując pomiędzy dwoma metalowymi przedmiotami sprawia wstrząśnienie, pewnego niezmiernie lekkiego a nawet podobno nieważkiego pierwiastku, sprężystego, zappełniającego cały wszechświat. Pierwiastek ten, którego nikt jeszcze nie zdołał otrzymać, ale który niezawodnie musi istnieć, według przypuszczeń uczonych, nazywamy eterem. Może on, podobnie jak powietrze, ulegać wstrząśnieniom i wtedy powstają w nim fale podobne do tych, jakie widzieliśmy na sadzawce. Tylko takie fale nie działają ani na nasz słuch, ani na czucie. Natomiast spostrzegamy je, jako światło, ciepło i elektryczność. Nie będziemy się jednak zaciekali w poznawanie natury tych fal, powiemy tylko, że nazywają je w nauce falami Herca, od nazwiska uczonego, który po raz pierwszy je zbadał przed 20 laty.

Jeżeli chcemy użyć fal Herca do telegrafowania bez drutu, to przedewszystkiem musimy je wytworzyć. W tym celu każemy iskrom elektrycznym dość silnym przeskakiwać pomiędzy dwiema kulami metalowymi, zanurzonymi do połowy w oleju. Iskry, przeskakujące pomiędzy kulami, wprawiają w drganie eter, o którym wspominaliśmy, i wówczas w eterze powstają fale Herca, które rozchodzą się z błyskawiczną szybkością we wszystkich kierunkach na bardzo wielką odległość. Chcąc, żeby fale mogły się rozchodzić bez przeszkód, przesyłamy je naprzód do drutu, przyczepionego do wysokiego masztu, a z drutu dopiero rozchodzą się one na wszystkie strony.

Ileć pozwolimy iskrze elektrycznej przeskoczyć pomiędzy kulami mosiężnymi opisanego powyżej przyrządu, tyleć połączymy w przestrzeń fale elektryczne. Nie sądzić jednak, że fale te pozwalają się dostrzedz naszymi zmysłami. Nie widzimy ich ani słyszymy, ani nawet czujemy. Żeby się przekonać o ich obecności potrzebne są koniecznie pewne przyrządy, wynalezione właśnie przez Marconiego. Przyrządek taki jest bardzo prosty. Składa się z małej rurki szklanej, w którą z obu końców wlutowaliśmy na ogniu dwa druciki metalowe, zakończone blaszkami. Pomiedzy blaszkami, nie stykającymi się ze sobą, znajdują się opłuki metalowe. Z owej rurki za pomocą pompy usuwamy

powietrze, a raczej mocno je rozrzedzamy. Otóż taka rurka jest wrażliwą na fale Herca, to jest może wykazać ich obecność w przestrzeni.

Znacie dzwonek elektryczny. Wiecie, że dzwoni on, skoro przez niego zacznie przepływać prąd elektryczny. ze stosu. Wyobraźcie sobie teraz, że bierzemy taki dzwonek, łączymy go ze stosem elektrycznym, ale zamiast guziczka, który przyciskając przepuszczamy prąd elektryczny ze stosu do dzwonka, używamy opisanego powyżej przyrządu Marconiego. Prąd elektryczny nie może jednak przepływać przez opłuki metalowe, znajdujące się pomiędzy dwiema blaszkami, bo opłuki mocno się temu opierają. Postać rzeczy zmienia się atoli skoro tylko wytworzona gdzieś w odległości fala Herca przyleci do przyrządu. Z chwilą kiedy taka fala uderzy w rurkę, opłuki metalowe w niej zawarte stają się w okamgnieniu dobrymi przewodnikami dla prądu elektrycznego i prąd ze stosu przez rurkę dopływa do dzwonka i ten zaczyna dzwonić. Trwa to nawet wtedy, gdy fale przestają już uderzać o rurkę. Chcąc więc, żeby się dzwonek uciszył, trzeba potrząsnąć z lekka rurką.

Widzicie więc, że w ten sposób, dzięki przyrządowi Marconiego, możemy wysyłając z danego miejsca fale Herca w dowolnych odstępach czasu poruszać dzwonek, znajdujący się w niezmiernej od nas odległości, powiedzieliśmy bowiem, że fale Herca rozchodzą się bardzo daleko.

Skoro przepuścimy iskrę pomiędzy kulami mosiężnymi w Warszawie np. niezwłocznie zacznie dzwonić dzwonek przyrządu Marconiego, znajdujący się, dajmy na to, w Kielcach. Zamiast dzwonka możemy użyć zwyczajnego przyrządu telegraficznego, który będzie kreślił na wstędze papieru kreski i kropki stosownie do tego, jak długo będą, w odstępach czasu, działały na rurkę fale elektryczne. Krótkotrwałe fale dadzą kropkę, długo trwałe kreskę. Z kresek zaś i z kropek składa się jak wiadomo alfabet telegrafistów, wystarczający do wyrażenia wszelkich wyrazów a więc i myśli ludzkich.

Im silniejsze fale, im wyższe maszty, które ułatwiają falam rozchodzenie się w powietrzu, tem na większą odległość można przysyłać sobie wiadomości. W ostatnich czasach zaprowadzono telegraficzną komunikację sposobem Marconiego pomiędzy Anglią a stałym lądem, pomiędzy wielu wyspami, a nawet na jesieni roku zeszłego Marconi przedsięwziął próby, czyby się nie dało porozumiewać w ten sam sposób pomiędzy Europą i Ameryką!

W Europie ustawiono 20 masztów wysokich i połączono je z przyrządami, dającymi potężne fale Herca w Ameryce, zaś sam wynalazca siedział przy aparacie odbierającym wysyłane z Europy fale i połączonym nadto z drutem podniesionym wysoko zapomocą wielkiego latawca. Fale elektryczne musiały przebywać olbrzymią przestrzeń pomiędzy dwiema częściami świata, ponad oceanem Atlantyckim. Przestrzeń ta wynosi 3,400 kilometrów! A jednak Marconi zauważyć zdołał sygnały, przesyłane mu z tamtej strony Oceanu.

Kiedy się rozniosła wieść o tak doskonałym powodzeniu doświadczeń, wszyscy nie mogli wyjść z podziwienia. Nie sądzono bowiem, żeby fale elektryczne mogły przebywać bez sztucznych przewodników tak kolosalne przestrzenie. Marconi chcąc jeszcze lepiej przekonać się, czy rzeczywiście przesyłanie wiadomości z Europy do Ameryki je-

go sposobem jest rzeczą praktyczną, wsiadł na okręt Amerykański i płynął na nim przez ocean, przyjmując wiadomości, wysyłane doń z Europejskiej stacyi. Pokazało się, że okręt mógł się prawie ciągle porozumiewać ze stałym lądem, chociaż nie był z nim połączony żadnym materyalnym przewodnikiem, tylko samem powietrzem. Wielki to niezawodnie tryumf nauki dzisiejszej! Odtąd niepotrzeba już zakładać kosztownych lin podmorskich, odtąd okręt, znajdujący się w niebezpieczeństwie, może w każdej chwili dać znać do lądu o swem położeniu i żądać pomocy. Zdarzyło się już nawet, że w ten sposób uratowano na kanale Lamanche statek tonący, o którym doniósł inny statek do Ostendy, z żądaniem pomocy,

Tak to niepozorne na pierwszy rzut oka, czysto naukowe odkrycia, dokonane w ciszy pracowni, z czasem dają ludziom środki potężne, i stają się źródłem doniosłych wynalazków, które świat cały wprawiają w zdumienie!

Wł. Umiński.



ZE ŚWIATA.

Wyścigi w Debreczynie (z ryc.) Madżyarowie, mieszkańcy rozległych puszt czyli równin, służących za wyborne pastwiska, z dawien dawna słyną z hodowli koni i zamięłowania do tego szlachetnego zwierzęcia. Nic więc dziwnego, że odbywają się tam częste harce i wyścigi, które są najlepszym świadectwem zręczności jeźdźców a wytrzymałości i szybkości rumaków.

Debreczyn, jedno z ważniejszych miast węgierskich, leży w samym środku ogromnej puszczy Debreczyńskiej, tam też odbywają się najliczniejsze harce i wyścigi pasterczy, które, jak widzimy z ryciny, w swych malowniczych ubiorach narodowych, z ogniem zapału w oczach, wyglądają wspaniale na dzielnych wierzchowcach, równie podnieconych jak i jeźdźcy.

Krajiną lili jest wyspy Bermudzkie, gdyż nigdzie na świecie kwiat ten nie rozwija się z takim przepychem i nie rośnie w takiej obfitości. Pola liliowe we Francji i na wyspach Scilly nie mogą się wcale równać z fermami liliowymi

pod zwrotnikiem. W niektórych prowincjach japońskich hodowana też jest lilia na wielką skalę, a w Kalifornii południowej pola całe zasłane są na wiosnę odmianą lili, zwaną *calla*. Hodowla tego kwiatu najbardziej jest wszakże rozwinięta na wyspach Bermudzkich, które, dla łagodnego klimatu swego są ulubionem w zimie miejscem pobytu mieszkańców Stanów Zjednoczonych i Kanady. Fermerzy ciągną znaczne zyski z hodowli lili i wysyłają corocznie tysiące cebulek i kwiatów, przeważnie do Nowego-Yorku. Głównym hodowcą jest tam p. Outerbridge, którego pole liliowe zajmuje 30 akrów przestrzeni. Dochód roczny z tej hodowli przynosi wyspiarzom około 100,000 dolarów.

SZARADA.

W. W.

*Pierwsze i drugie pokój balowy,
Druga i druga pańienka strojna,
Trzecia i czwarta groźna, gdy wojna,
A zakładana pod ziemią bywa,
Trzecia i druga kilkowieństwy
Wymiar przestępni...*

A częścią mowy
W zaimków rzędzie *pierwsza i trzecia*.
Całość zaś w Grecji dziejach znajdziecie,
Nazwa to bitwy, co sławą wieczną
Uczciła Greków — odwagę waleczną.

ŁAMIGŁÓWKA PODWÓJNA.

A. Z.

Z podanych niżej wyrazów ułożyć 7 znanych dawnych przysłów. Początkowe zaś litery pierwszego wyrazu każdego przysłowia, złożyć mają nazwisko naszego poety z XIX w.

Wyrazy: brata — będzie — bata — bywa — cnota — cnotami — ci — dobrej — ej — gospodyni — i — jest — język — jak — kielbasę — komu — kto — leż — leniu — leż — między — nad — na — nie — on — organista — pełno — pies — przyniesie — równy — ratajami — szlachcie — słucha — słuchać — Salomonem — to — trzymać — ty — tak — tobie — u — w skrzyni — wojewodzie — zawsze — za zębami — zagrodzie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 21.

Szarada: A — po — stół.

Niteczki Aryadny:

Nie, ja dziewczyna,
Tobie trzeba syna;
Mnie weźmie kto inny
Aniołek niewinny.
Ja poproszę Boskiej Matki,
Dla ciebie o zdrowe dziatki.

Wiersz, który Orszulka Kochanowska powiedziała Zamoy-skiemu.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRZESĆ: Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowieką (z ryc.) — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowską. — Listy z wycieczek po kraju, przez Jadwigę Warnkową (z ryc.) — Najnowsze zdobycze nauki przez Wł. Umińskiego. — Ze świata: Wyścigi w Debreczynie (z ryc.) — Łamigłówek i rozwiązań. Dodatek: Strojnisia, wiersz przez H. K. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Uczeń Kazia, przez Janusza. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — Łamigłówek i rozwiązań. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII wieku, przez Annę Zielińską.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Najnowsze zdobycze nauki.

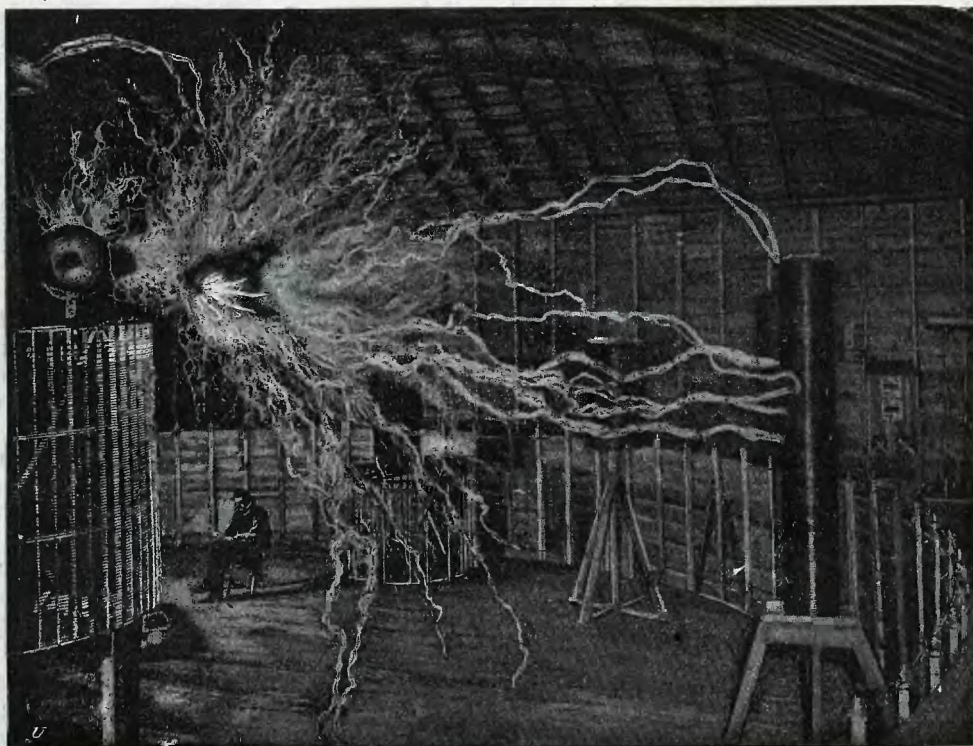
Zimne światło.

(Dokończenie).

Temu, kto powątpiewa o możliwości otrzymania światła zimnego, przypomnijmy robaczka świętojańskiego. Piękny ten chrząszczyk wydaje, jak nam wiadomo, łagodne ale żywe światło, chociaż nie jest wcale gorący, przeciwnie, posiada on daleko mniejszą ciepłotę ciała, aniżeli np. człowiek. Znaczy to, że światło wytwarza się w jego ciałku z bardzo małym udziałem ciepła. Możemy więc powiedzieć, że robaczek Świętojański wydaje zimne światło.

Ale oprócz robaczka świętojańskiego istnieje jeszcze wiele innych stworzeń, świecących mniej lub bardziej jasno,

zwłaszcza w podrównikowych, gorących krainach, można znaleźć świetliki (cucujo) nieporównanie jaśniejsze od naszego skromnego robaczka. Uczni znają też samoświecące rośliny. Pomiedzy innymi i nasza nasturcya w okresie kwitnienia świeci fosforycznie. Pewne drobne żyjątka morskie, unoszące się w pobliżu powierzchni morza, wydają także światło, i zjawisko to podróżni niejednokrotnie obserwowali, nazywając je fosforescencją morza. Drobne żyjątka, zwane bakterjami, niekiedy też świecą. Butelka napełniona niemi wydaje niebieskawo zielony blask dostatecznie jasny, żeby można przy nim czytać. Fosfor potarty o ścianę pozostawia na niej świecącą smugę, brylant wystawiony na światło także świeci w ciemności. Takich przykładów moglibyśmy przytoczyć znacznie więcej. Zdaje się nam atoli, że podane wystarczą dla przekonania czytelnika.



W pracowni Tesli.

nika, że światło zimne oddawna jest wynalezione przez mistrzynię naturę, i że człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak naśladować ją.

Jakże jednak wziąć się do tego, żeby zbudować lampę, dającą zimne światło? Próbowano rozmaitych dróg, by dojść do tego celu, ale żadna z nich nie doprowadziła dotąd do dobrych wyników, chociaż zdołaliśmy już odkryć rąbek tajemnicy, otaczającej to dziwne zjawisko. Pomogła nam w tem elektryczność.

Oddawna wiadomo, że iskra elektryczna przepuszcza na przez rurkę szklaną, zawierającą mocno rozrzedzone przy pomocy pompy powietrze, wywołuje świecenie tegoż powietrza. Rurka taka nazywa się rurką Gajslera. Dość jest umieścić ją pomiędzy biegunami zwyczajnego przyrządu indukcyjnego, wytwarzającego małe iskry elektryczne, a sprzedawanego obecnie u każdego optyka, żeby wywołać w rurce bardzo piękną grę barw fioletowej, niebieskiej i różowej. Jeżeli weźmiemy w rękę taką świecącą rurkę, to przekonamy się, że rozgrzewa się ona bardzo słabo, tak, iż wydaje się nam zupełnie chłodną.

Pewien uczony amerykański, rodem Chorwat, nazwiskiem Tesla, pracuje wytrwale nad ulepszeniem takiego światła w tym stopniu, żeby go można używać do oświetlenia domów i ulic. Przekonano się, że zwyczajne iskry elektryczne niedobrze wypełniają to zadanie, gazy rozrzedzone pod ich wpływem świecą niedostatecznie jasno. Tesla postarał się o to, żeby wytworzyć prądy elektryczne bardzo wysokiego napięcia czyli siły, a zmieniające szybko swój kierunek, to znaczy płynące po drucie raz w jednym to znów w przeciwnym kierunku. O sposobach użytych przez niego nie możemy się tutaj rozpisywać, chcąc je bowiem zrozumieć, trzeba znać się dobrze na fizyce i na elektryczności. Powiemy tylko, że Tesla zdołał otrzymać prądy tak wysokiego napięcia, że mogłyby one wytwarzać iskry elektryczne na kilkanaście cali długie. Te prądy nadto zmieniają milion razy i więcej nawet swój kierunek w przewodniku na sekundę! Trudno zaiste wyobrazić sobie tak wielką liczbę zmian w tak krótkim przeciągu czasu, jakim jest sekunda! Otóż pokazało się, że takie szybko przemienne prądy elektryczne o wysokim napięciu posiadają dziwne własności. Najprzód nie działają one wcale na nasze czucie, chociaż daleko słabsze prądy i zmieniające kilkaset razy zaledwie na sekundę swój kierunek, zabijają nie tylko człowieka ale nawet konia i wołu. Tesla bierze w dłonie końce przewodników, po których przebiegają takie prądy i trzyma je, nie doznając żadnego wstrząśnienia. Jeżeli z daleka od takich przewodników umieścimy rurkę szklaną z rozrzedzonym powietrzem, to niezwłocznie zaczyna ona wydawać jasne białe i przyjemne dla oka światło. To samo można robić ze sporemi kulami szklanymi, gdyby nawet było ich więcej aniżeli jedna. Zwyczajna lampka elektryczna trzymana w dłoni i nie połączona żadnymi drutami z przewodnikiem, po którym przebiegają przemienne prądy, zapala się sama i żarzy jasno. Na naszym rysunku widać, jak Tesla jest otoczony smugami światła, wypływającego z jego przyrządów. Można nadawać rurom i innym szklanym przedmiotom, zawierającym rozrzedzone gazy, dowolne kształty a świecą one jednakowo czysto. Na nieszczęście światło to chociaż przyjemne dla oka, nie jest dostatecznie silne, żeby mogło zastąpić używane dotąd lampy elektryczne. Biorąc w rękę

rukę świecącą pod wpływem działania prądów Tesli, nie czujemy, żeby była ona ogrzana, słusznie więc zaliczyć możemy takie światło do tego samego rodzaju światła zimnego, jakie wytwarza robaczek świętojański, tylko, że tam działają siły chemiczne, tutaj zaś świecą gazy pod działaniem siły elektrycznej.

Prawdopodobnie nowe światło zostanie udoskonalonym i wówczas ziszczą się marzenia nasze o świetle zimnem, które będzie miało tę ważną zaletę, że będzie nieporównanie tańszem od dzisiejszego. Podobno nawet w Ameryce jakiś uczony oświetlił w podobny sposób sporą kaplicę. Rury biegnące od dołu do góry po ścianach i kończące się na sklepieniu, wytwarzają podobne do księżycowego, niezmiernie przyjemne i łagodne światło. Upłynie atoli sporo jeszcze czasu, zanim ludzie uczynią zimne światło praktycznem zupełnie.

Wł. Umiński.

Zofia Kłowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Do widzisz, żebyś se ciągnął równo, tobyś się i ty nie tyle bnameczył i mniebyś trochę ręką ulżył. Ale ty, jeno się na bat oglądasz i taki jesteś leniwy do ciężkiej roboty, jakbyś się w pańskim stanie urodził. Ale pan za to przynajmniej głową pracuje, na czytaku i na pisaku umie, a ty jesteś proste bydle, a robić ci się nie chce! Oo... a cóż to wy Michale tak wyglądacie, jakbyście się mydlin napili?

Michał stanął chmurny i nic nie odpowiedział.

— Widać ci te pieniądze w oczach stoją! Ale coś przez ostatnie dni byłeś wesół i nic se z tego nie robiłeś, że worka już niema. Teraz znowuż coś do ciebie przystąpiło...

Michał w istocie się zmienił. Jadł mało a ta wstrzeźliwość widocznie mu szkodziła, bo zaczął mizernieć, chudnąć, schnąć w oczach. Był małowówny, na zapytania Wojciecha nawet odpowiadać nie chciał, a jak się w jaki ciemny kąt zaszył, to go ztamtąd wyciągnąć nie było można.

— Mankolija się go czepia czy co! — mówiła żona.

O odzyskanych pieniądzech nikomu nie wspomniał, a że milczeli też i pan Chlewiatko i Zdziś, więc nikt nie wiedział i nie domyślano się wcale, że leżały w tem samym miejscu na górze, gdzie i dawniej.

Michałowa leczyła męża jak umiała. Dawała mu tłuśto jeść i pić i wmuszała w niego mleko gorące ze sadłem. Kazała mu nosić na piersiach włosy jego własne, zaszyte w płócienny woreczek, bo stara Pakulina, co się na lekach znała jak najlepszy doktor, powiedziała, że Michałowi zwinnie się kołtun. Czekało tedy zwinięcia się owego kołtuna z upragnieniem i wino z macierzanką *lano w głowę* Michałowi, ale włosy jego, choć nie czesane, były uparte i zwinać się nie chciały. Widniały w nich tylko słoma, siano i małe piórka z poduszki, co przy czapce furmańskiej niezbyt elegancko wyglądało. Wojciech począł przypuszczać, że choroba z tej szmaty, którą on sobie skaleczoną rękę zawiązał, nie wiadomo jakim cudem, spadła na Michała.

— Co prawda, to nie grzech, taki człowiek co nie śpi w nocy i ma dużo czasu do myślenia, to se różne rzeczy w głowie *karkuluje*. Już ja odrazu widziałem, że Michał...

Tu Wojciech pokazał znacząco na czoło. — ...że Michał nie tego... Już jak on z rydłem chodził o północy po lesie... Teraz znowu przystąpiła do niego *mankolija*...

ja już takiego niejednego widziałem, co sennie, sennie, aż zeschnie jak ulegalka w piecu po chlebie i trza mu iść na księżą oborę. Co prawda to nie grzech.

— A żeby mu jeszcze nagotować miodu pitnego z bobem?

— To je bardzo pomocne, spróbujcie jeszcze, kumo.

Michałowa nagotowała całą kwartę miodu, kupionego u żyda w miasteczku, z dobrą garścią bobu. Michał pić i jeść nie chciał, ale kobieta zaczęła zawodzić, dzieci za nią uderzyły w płacz i Michałisko wypilo miód i zjadło bób.

Po tem lekarstwie nabrał ogromnego rezonu, poszedł na górkę nad stajnią, dostał worek z pieniędzmi z ukrycia i poszedł szukać Wojciecha.

Wojciech poił w tej chwili Burka i przemawiał do niego po ojcowsku:

— Jeść i pić to umiesz, i najbystrzejszy koń tyle nie zeżre co ty, ale do roboty to ciebie niema! Oczekaj, bat ze sznurka to na ciebie mało!... niechno przyjdzie rymarz, to mi splecie bat skórzany!

Burek widocznie nie uwierzył w bat skórzany, bo potrząsnął wesoło grzywą, oglądając się na stajnię, która była jego rajem.

Zbliżył się Michał, a Wojciech przyjrawszy mu się, rzekł:

— Jakoś lepiej wyglądacie, kumie. Od miodu tak bywa, że się bolączka rozejdzie. Ja tak se dziś w nocy myślałem, że to bolączka. Bo taki człowiek co śpi pod pierzyną albo i pod płachtą...

— Juźci mi się rozejdzie — odrzekł Michał z uśmiechem, który od kilku dni nie ukazał się ani razu na jego twarzy — bo com się *ohfiarował* tom się *ohfiarował*.

— Juźci! Cóżecie się *ohfiarowali*, tożecie się *ohfiarowali*!

— No i macie, bierzcie se pieniądze i kwita!

— Jakie pieniądze?...

— Te sto dziewięćdziesiąt pięć rubli, bez siemdziesięciu kopiejek.

— Trza je pierwszej cyganowi z gardła wydrzeć.

— Nie wiem tam, kto je wydarł, ale tu są i oddaję je wam.

Wojciech stanął, jak słup soli. Ze zdumienia puścił Burka, który brykając i w podskokach pobiegł do stajni. Śmieszny był bardzo z tą wesołością, bo był już stary, miał podobno osiemnaście lat i brykał jakoś ciężko i niezgrabnie.

— O, o, patrzcie no go! — rzekł Wojciech, którego żadne, nawet największej wagi wypadki nie mogły powstrzymać od gderania na Burka.

— No, bierzcie pieniądze bo są wasze. Com się *ohfiar...*

— W imię Ojca i Syna... Co wy gadacie?...

— Przeliczcie je i weźcie!

Wojciech usiadł na skraju koryta, wyjął różnej wartości papierki i srebrną monetę i począł liczyć. Szło mu to strasznie trudno. To składał na kupki po dziesięć rubli, to po pięć i znowu zaczynał od początku i mylił się, aż mu Michał musiał pomóc.

— Widzicie kumie, bo toby prędzej było na drobniejsze — mówił trochę zawstydzony Wojciech.

Michał z wprawą, której nabył dawniej w codziennem liczeniu pieniędzy i podług własnej teorii, poukładał je w kupki na brzegu koryta i obadwaj z Wojciechem patrzyli w zamyśleniu na tę sumę, która wydawała im się skarbem ogromnym.

Wojciech zebrał pieniądze napowrót do worka, z uszanowaniem i lubością dotykając każdej sztuki, potem ważył i huśtał cały worek, złożywając go na swej wygojonej już prawie zupełnie prawicy, wreszcie z ciężkiem westchnieniem się ozwał:

— Żem was ratował i pocieszył, to chrześcijańska rzecz. Pieniądze se weźcie, bo ja ich nie tknę!

I nie wziął worka pomimo zaklęć Michała, który się przecie *ohfiarował* i choć ludzie nie słyszeli, to Pan Bóg

słyszał. Pokłócili się wreszcie i każdy mruczając poszedł w swoją stronę. Michał znowu kolacyi nie tknął, do żony ani słówka nie powiedział i nie wziął na kolana małego Jasia, najmłodsze dziecko, które dopiero zaczynało chodzić, a za którym ojciec przepadał. W nocy nie spał. Chodził koło stajni, wdychał, Wojciech zaś, choć go paliła chętką rozmowy z Michałem, wcale się do niego nie zbliżył.

— Juź z niego nic nie będzie! — rzekł sobie półgłosem Wojciech. — Odwiozą go do szpitala waryatów jak amen w pacierzu.

Około dziewiątej rano Michał prosił przez lokaja, żeby mógł pomówić z panem. Pan Zabrzęski przyjął go w kancelaryi.

— Cóż tam, mój Michale?

— Ze człek co pod pierzyną albo i pod płachtą...

— Wiem, wiem, słyszałem!... Mów o co ci chodzi?

— Dziś w nocy wymyśliłem sposób! Choć noc była nie bardzo pogodna, ale ja se koło stajni chodzę i myślę se...

— Ale po co przyszedłeś?

— Względem tych pieniędzy, proszę jaśnie pana...

— Widziałeś, żem uczynił com mógł. W obozie cyganów nic nie znaleziono, nic nie wykryto. Śledztwo widocznie nie mogło udowodnić... dziś się właśnie dowiedziałem, że trzech cyganów wziętych do aresztu, wypuszczono.

— Nie o to, proszę jaśnie pana, jeno com się *ohfiarował*, tom się *ohfiarował*!

— Nie wiem, ale o co chodzi?

— Mówię wczoraj niby do Wojciecha: kumie, com się *ohfiar...*

— Ale cóż Wojciech?

— Przyszedłem powiedzieć, że Wojciech dobrze mówi.

— Dobrze mówi, ale co?

— A Wojciech pędo: wiem cożecie się *ohfiar...*

— Mój Michale, zawołaj mi Wojciecha, może on po może tę sprawę rozwikłać.

Biednego Wojciecha wyciągnięto z łóżka, bo jeszcze spał po nocnem stróżowaniu, przyprowadzono do pana, który nareszcie z jego własnych ust się dowiedział, że choć on, Wojciech, ratował i pocieszał Michała w nieszczęściu, to jednak pieniędzy Michała nie weźmie, tak mu Boże dopomóż.

— To właśnie chciałem jaśnie panu powiedzieć — przerwał Michał — i to jeszcze chciałem powiedzieć, że kiedy Wojciech nie chce wziąć pieniędzy, to niech idą na chwałę Bożą. Odnowia się kościół w naszej parafii, tobym chciał, żeby na ten kościół... ale, chciałbym całe dwieście rubli, a tu jest jeno sto dziewięćdziesiąt pięć rubli, bez siedmdziesięciu kopiejek. Tak chciałem prosić, żeby te pieniądze były u jaśnie pana, a ja resztę powoli doskładać.

— Piękna ofiara — rzekł pan Zabrzęski — ale czy ci się nigdy, mój Michale, żal nie robi, żeś wszystko coś miał nie na kupienie gruntu złożył, ale na kościół?

— Albo to nie lepiej? Wojciech prawdę mówił, że w nocy człowiek dużo rzeczy wymyślić może, i że taki, co w nocy nie sypia, jest mądrzejszy...

Wojciech podrapał się w głowę, potem łokciem trącił Michała:

— Kumie!

— A co?

— I worek skórzany *ohfiarowaliście*?

— To o worek wam chodzi? Chcecie wziąć worek?...

— Onby mi się przydał na tytoń, bo jak chodzę w deszcz, albo w jaką wilgoć...

Worek przypadł w udziale Wojciechowi, który wyszedł uradowany. Michał podążył za nim i skierował kroki ku swemu mieszkaniu. Michałowa właśnie biadała, że śniadanie stoi a Michał ani myśli o jadł, gdy wszedł Michał z głową do góry podniesioną i ozwał się wesoło:

— Maryś! Takim głodny, jak ten koń, co ośm mil szedł bez popasu.

Michałowa pobiegła do komina, porwała garnek, wylała na miskę kluski z mlekiem, z których para roznosiła po całej izbie zapach przedziwny, a Michał głośno wchłonał ustami łyżkę gorącej strawy i rzekł:

— Jeszcze nigdy w życiu takich dobrych *kluszków* nie jadł. Maryś! czy aby ich wystarczy, żebym się ich mógł najeść do syta?

— O, Jezusiku kochany! — zawołała Michałowa — toć ja zaraz drugie zagniotę i mleko niezbierane do ognia ci przystawię.

Po najedzeniu się, Michał prosił, żeby go żona porządnie, gęstym grzebieniem wycesała.

— A kołtun? — zawołała z żalem Michałowa — to już nie będziesz czekał, żeby ci się zwinął?

— Już mi nie potrzebne. Już mi całkiem ulżyło. Takim zdrów, jakbym się na nowo na świat narodził!

Od tej chwili Michał począł codzienne i widoczne czynić postępy na drodze do zupełnego wyzdrowienia. Bładość jego i chudość znikła, dobry humor utrzymywał się stale, obiecywał sobie, że na Nowy Rok przy odbiorze pensyi, odda brakujące jeszcze do zamierzonej ofiary na kościół pięć rubli siedmdziesiąt kopiejek.

Przy takich zamiarach nie dziw, że był oszczędny. Pewnego dnia pojechawszy z panem Zabrzeskim do Lublina w deszcz, zaziębił się trochę i dostał silnego bólu zębów. Za radą swego pana udał się do dentysty, od którego wyszedł w najgorszym humorze, rozżalony i gniewny.

(d. c. n.)

Ś. p. Adolf Dygasiński.



Adolf Dygasiński

W tych dniach umarł zasłużony powieściopisarz i pedagog, Adolf Dygasiński. Za trumną jego postępowały tłumy ludzi, którzy pragnęli uczcić po śmierci uczciwą jego pracę na polu tych obu zawodów.

Adolf Dygasiński urodził się w r. 1839 w powiecie miechowskim, w Niegosławicach; szkoły kończył w Kielcach, wyższe nauki w b. warszawskiej szkole głównej. Od opuszczenia ławy szkolnej życie jego było ciężkie, pełne walk i przeszkód: wszystko czem był, zawdzięczał tylko sobie.

Osiedliwszy się w 1873 roku w Krakowie, założył tam księgarnię, oraz zaczął wydawać czasopismo, p. t. „Szkice społeczne i literackie”. W r. 1879 przeniósł się Dygasiński do Warszawy, gdzie poświęcił się zawodowi pedagogicznemu, którego już nie porzucił do końca życia, bądź w mieście, bądź na wsi.

Napisał też bardzo wiele dzieł treści pedagogicznej bardzo cenionych. Największą jednak sławę przyniosły mu jego powieści i nowele, z których najoryginalniejsze i najpiękniejsze może są powieści z życia zwierząt. Dygasiński rozumiał i kochał przyrodę i umiał ją opisywać; zwierzęta występują na kartach jego powieści jakby żywe i budzą w nas zajęcie i współczucie.

Nietylko jako pisarz, ale także jako człowiek ś. p. Adolf Dygasiński zasługiwał na szacunek, to też hołd złożony jego pamięci na pogrzebie wypływał ze szczerzego serca.

M. Ł.

Z obiadem dla ojca.



— Dokąd spieszysz tak, dziewczeczko, o tym skwarnym dniu? Dokąd biegniesz tak po słońcu, że aż brak ci tchu? Czy nie lepiej siedzieć teraz w chacie albo w sadzie, Gdzie od gruszy i jabłoni miły cień się kładzie?

Żaden szmer ni gwar nie płynie od sennego siola,
Przed upałem w cień się skryło wszystko dookoła.
Wietrzyk usnął, nie drgnie nawet złoty żyta łan,
A ty spieszysz pełną miedzą, jeszcze dźwigasz dzban!

— Jakże ja bym mogła siedzieć w sadzie, czy w komorze,
Kiedy tatuś mój kochany, głodny o tej porze..
On od świtu łakę kosi, pracuje co sił,
By dla Łyski i Krasuli karm na zimę był.

Ja mu obiad uiozę, panie, żeby w porę miał;
Że tam słońce smali trochę, ktoby o to dbał!
A on w słońcu nie haruje, nie kosi, nie orze?
Tatuś drogi! więc z nas każde służy mu, jak może.

M. Balińska.

Dzień 20 Czerwca 1792 roku,

w pałacu tuilleryjskim.

Roniec ośmnastego wieku zostanie na zawsze pamiętny w historii Francyi.

Dnia 20 Czerwca 1792 roku tłumy wezbrane jak fale zalały pałac królewski. Przeszedł ten potop przez wspańnię komnaty Tuilleriów, a bezkarnością uzuchwalony, powrócił we dwa miesiące potem, to jest d. 10 Sierpnia. Ale teraz był jeszcze groźniejszym, niszczył też i mordował wszystko, co mu opór stawiać śmiało.

Załączona rycina przedstawia rodzinę królewską odpoczywającą po napadzie tłumów 20-go Czerwca. Ludwik XVI zgromadził około siebie swych najbliższych, żonę Maryę Antoninę, siostrę świętobliwą księżniczkę Elżbietę, syna, córkę i kilku wiernych dworzan. Dworzanie podparli drzwi własnymi piersiami, żeby dać chwilę wytchnienia niebezpieczeliwemu monarsze, a on patrzy w niemem osłupieniu przed siebie.

Nie słyszy płaczu rozpaczających dam dworu, nie w

dzi dumnego wzroku Maryi Antoniny, która spogląda z nienawiścią na cisnące się do bram pałacu tłumy. Jakże ma słyszeć i widzieć, kiedy czuje, że to co go otacza w gruzy się zapada.

Boleśnie patrzeć na tę piękną rycinę. Wyobraża ona tyle szlachetnych głów, które, prócz jednej, padły z ręki kata. Ocalała tylko córka króla. Zginął na rusztowaniu Ludwik XVI, jego żona, siostra, damy dworu, wierni słudzy, a syn jedyny umarł prędko w poniewierce u złośliwego szewca Simona.

Morze krwi zalało Francją; tysiące ludzi niewinnych, szlachetnych okupiło życiem występki ojców i dziadów, a co najsmutniejsze, lud splamił się zbrodniami ciężkimi.

Zofia Bukowiecka.

wo pokryć nieprzebytym gąszczem krzewów, a z domów zbudowanych przez Irlandczyków pozostały tylko zgłiszczą.

— Ponury Sęp zburzy jaszczurcze gniazda — powiedział wódz i dotrzymał słowa. Uciekł wprawdzie zwierzę spłoszone pożarem, Indianie przyciśnięci głodem musieli przenieść swe obozowisko aż nad step Geralda. Byli jednak dumni i szczęśliwi z odniesionego zwycięstwa, bo po bić nieprzyjaciela jest i będzie największą chlubą miłującego wolność Botokuda. Słusznie więc dumnym był ojciec Suyi ze swego czynu i nie dziw, że wiadomość o pojawieniu się białych twarzy pobudziła w nim zapal do walki.

Stefan mało zdawał sobie dotąd sprawy z niebezpieczeństwa, jakie groziło kolonistom od Indian. Mówiono mu o nich w Rio Janeiro, ale ani on, ani jego towarzysze nie spotkali wpuścić innego człowieka prócz Geralda.



Ludwik XVI z rodziną 20 czerwca 1792'r.

Stefek Luty w Brazylii.

przez *Z. Bukowiecką.*

Los tych białych twarzy był i tak ze wszech miar gozdzien politowania. Spodziewali się zastać rossę¹⁾ oczyszczoną z drzew i domy na każdym locie²⁾. Tak zapewniali ich nawet Jakób O'Clear, wprowadzony w błąd przez agenta. Tymczasem bujna ziemia zdążyła się już na no-

Widzieli za to gromady małp, które rzucały na nich orzechami i wyszczerzały złośliwie zęby. Kolonistów bawiły śmieszne miny zwierząt. Wyrobiło się w nich pojęcie, że Bugrzy tak właśnie, jak te małpy, wyglądać muszą, a Stefan, choć rozumiał różnicę walki z małpą i dzikim człowiekiem, był dumny z posiadania fuzji i mimowoli lekcewał także nieprzyjaciela uzbrojonego w łuk i strzały. Że strzały te bywają celne i zatrute miał się niestety przekonać w niedalekiej przyszłości.

Tymczasem, podniecony zwycięstwem odniesionym nad wężem, czuł się Stefan tak szczęśliwy, jak nigdy chyba dotąd w życiu. Zapomniał na chwilę o troskach, których nie brakowało młodej kolonii a chociaż nie sobie, lecz przypadkowi przypisywał trafność strzału, cieszył się, bo zdobył

¹⁾ Rossa, poręba po wyciętym lesie.

²⁾ Lot znaczy to samo, co dział.

przeświadczenie, że coraz celniejszymi są te strzały. Nastęrczała mu się często sposobność polowania na drobną zwierzynę, nie dziw jeśli nabrał wprawę, nigdy jednak jeszcze nie zabił niebezpiecznego wroga, nie zaszedł tak daleko w puszcę jak dziś, bo mało miał czasu dla siebie. Ale oddawna już wybierał się odwiedzić Geralda, chciał zasięgnąć rady mulata w sprawach obchodzących kolonję. Wiedział, że dążąc, z biegiem rzeki trafi do jego fazendy. Noc dzisiejszą spędził bezsennie, gdyż zaraz z wieczora usłyszano w obozowisku charakterystyczny pomruk jaguara. Nie po raz pierwszy zachodził on do polskich szalasów. Zнали kota osadnicy, bo rzucił się na muła i byłby go zdusił, gdyby nie odwaga parobka, który siekierą rozplątał łeb drapieżnika. Dziś Stefan odstraszył znów jaguara dwukrotnie strzałem i rozbudzony ze snu dosiadł konia. Księżyc świecił jasno, brzeg strumienia nie był porośnięty lasem, wycieczka do fazendy mulata przedstawiała się bardzo pojętnie. Kilka godzin pędził, używając pełną piersią swobody, aż wjechał pomiędzy gęste pnie cedrów, uwiązał konia i szukał brodu, bo chciał się przeprawić na drugą stronę rzeki. Wtedy to dojrzał jararakę grożącągo Indyanca. Wymierzył, wypalił i zabił potwora, w chwili, kiedy ten miał już zdusić ofiarę. Stefan mało zwracał uwagi na uratowaną Suye, więcej zajmował go wąż. Obejrzał zabitego, przeszedł po rozrzuconych głazach i wrócił do swego konia.

Tymczasem dzień zniknął powoli pod kopułą lasu. Chóry ptaków, rozpoczynające się o świcie na wierzchołkach drzew, zstępowały teraz coraz niżej i niżej, w miarę jak promienie słońca przenikały głębiej gąszcz. Dołem, w rozpadlinach i jarach, uganiały się jeszcze nietoperze za nocnymi motylami, pomykały żmije w głąb zgniłych kałuż, górą krażyć już zaczynały różnobarwne kolibry a powietrze rozbrzmiewało kapelą leśnych muzykantów. Ranek jest najcudniejszą godziną dnia w puszczy. Później skwar południa obezwładni naturę, znużone upałem ptactwo zasłanie na gałęziach. Wiedział o tem Stefan i cieszył się chórem śpiewaków, ale koncert nie odebrał mu apetytu. Wyjął z kieszeni kawał solonego mięsa, zerwał soczysty ananas i popił śniadanie wodą czerpaną w tym samym miejscu, w którym przed chwilą Suya i jej sarna gasiły pragnienie.

Wielkie to było szczęście, że Indyanka uprowadziła tak szybko swoją faworytkę, gdyż bohater nasz podniecony tryumfem odniesionym nad wężem, miał ochotę spróbować trafności strzału na sarnie. Musiał się jednak rad nie rad wyrzec zdobyczy, ale nie tracił nadziei, że spotka jeszcze zwierzynę tego poranku i postanowił czekać na nią cierpliwie. Siadł więc na tej samej kłodzie, z której zeskoczyła Indyanka i upatrując zwierza, podziwiał bogactwo otaczającej go przyrody.

Znał lasy wielkopolskie, robił nieraz ze szkołą wycieczki do boru, ale takich drzew jak brazylijskie nie widział nigdy. Rosły gęsto jedno obok drugiego, z trudnością można było rozróżnić do którego pnia należą gałęzie. Pnie te, mające niekiedy siedm sążni w obwodzie, nikły pod buketami storczyków, pokrywających korę. Sznury lijan wiązały się z sobą i tworzyły słupy zwinięte z kilku barwnych girland. Inne poplątane w tysiąckrotne skręty, wyglądały jak schody i stopnie podniebnej drabiny. Zwieśzały się z drzew pęki czerwonych, żółtych i białych kwiatów, spadały kaskady ponsowych, jak sznur koralu korzeni, a wszystkie te kwiaty, liany, drzewa i korzenie pięły się jedne przez drugie ku górze, walcząc o każdy promień światła, o każdy cal miejsca. Zostawiały pod sobą nieprzebyte gąszcz, prawdziwe cmentarzysko roślin, gdzie w wilgoci gniły stuwiekowe cedry i dęby. Stefan uczuł się znużony bezsennie spędzoną nocą i długą jazdą konną. Nęciło go szmaragdowe podścielisko mchu, wyciągnie się chwilę na miękkiej trawie, wypocznie, a potem popędzi dalej do Geralda. Tak myślał i nie bacząc na niebezpieczeństwa, jakie grozić mu mogły w puszczy, zasnął. Spał smacznie,

a śnił o pani O'Clear. Śnił, że nie zapomniła Znajdy, że ucieszona widokiem własnej rodziny, rozmawia z nią o Lutym, że opowiada dziwne dzieje sieroty i troska się ażali nie byłoby sposobu odnaleźć mu matki.

— Matki! — śni Stefan i uśmiechnięty do swoich marzeń nie domyśla się wcale, że życzliwa ludzka istota przypatruje się jego rozjaśnionej twarzy i na uśmiech śpiącego odpowiada uśmiechem.

Suya wytropiła ślad myśliwca. Indyanie umieją czytać w księdze przyrody. Rozróżniają przejście węża lub żółwia po niewidzialnych dla nas znakach. Wiedzą do jakiej wysokości porusza liście pancernik, jakie ślady zostawi na błocie kajman. Zmysł powonienia oddaje także wielkie usługi Botokudom. Mało wrażliwi na zapachy kwiatów, umieją węchem odkryć obecność człowieka, ukrytego w zaroślach. Stefan nie myślał się ukrywać. Jeśli usypiając czuł pewną obawę, to przed żmiją a nie przed ludźmi. Spał z podłożonymi pod głowę rękami. Pukle jasnych włosów wiły się na mchu, kusząc sarnę, która zbliżała pyszczek do kędziorów chłopca. Brała je może za zwoje storczyków i chciała już skosztować nieznanej rośliny, kiedy Suya trąciła ją po głowie. Obrażona sarna skoczyła w tył z miną nadąsaną, a Indyanka przypatrywała się tymczasem Stefanowi. Podziwiała jego obuwie, kapelusz, bluzę, białe kołnierzy koszuli i jaśniejszą od bielizny twarz chłopca.

Bardzo jej się podobał. Jakże chętnie grałaby z nim w piłkę; Suya miała piłkę, zrobiła ją sama ze skóry małego zwierzątka i wypchała sierścią. A może tańczyłby razem, jak tańczyć zwykli Botokudowie. Ona kręciłaby się w kółko, on znaczyłby takt jej pługom, potrząsając pękiem związanych kości tapira.

— Ach to byłoby tak ładnie! — myślała Suya.

Nagle wróciła jej pamięć grózb ojca. Traci czas, a przyszła tu, żeby ostrzedz nierozważnego myśliwca, który śmiał postawić stopę na gruncie Botokudów.

Ale jak ostrzedz? Obudzić śpiącego? Za nie tego nie robi. Nigdy nie śmiałaby przemówić do białej twarzy.

O tem, że Stefan obcym wyrażać się będzie językiem, że porozumienie byłoby im niemożliwe, nie myślała Suya. Stała chwilę zakłopotana, aż nagle błysnął w umyśle dziewczęcia plan, rozwiązujący wszystkie trudności. Napięte ostrzeżenie na łiciu i liść włoży w rękę śpiącego.

Suya była artystką. Nie śmieciecie się. Poczucie piękna jest wrodzone ludziom wszystkich stref i wszystkich kultur. Muzea wielkich miast przechowują okazy rzeźb, rysunków, różnobarwnych plecionek, wykonywanych przez mieszkańców najodleglejszych okolic świata. Matka z której Suya zrobiła sobie hamak, kobiałki, w których przynosiła owoce z lasu, różnokolorowe fartuszki, którymi opasywała biodra, były plecione w tak wzorzyste desenie, jakich nie potrafiłaby może naśladować żadna z was cywilizowanych cór Europy, chociaż uśmiechacie się wzgardliwie na myśl o artyzmie czerwonoskórnej siostry.

Suya zerwała gruby liść, oparła go o kamień i kolcem kaktusa zaczęła rysować na liściu znaki. Nie były one podobne do liter, prędzej przypominały egipskie hieroglify. Trudna to robota takie pisanie, nie dziw też, że Indyanka mozołowała się długo, zanim zdołała skończyć swój list na liściu. Najprzód więc wydrapała u samej góry trzy promieniste kręgi, potem narysowała głowę drapieżnego ptaka, potem kilkanaście strzał skierowanych w piersi leżącego na ziemi człowieka. Ostatni hieroglif nie zadowolniał artystki, próbowała dodać objaśniający szczegół, aż nagle klasnęła rączkami ucieszona. Przypadek dał jej to, czego napróżno szukała myślą.

Powiał wiatr z głębi puszczy i zasypał piszącą płatkami wiśniowego kwiatu.

Schwyciła biały listek, zwilżyła go śliną i przylepiła w miejscu, gdzie wprzód wyrysowała twarz zabitego człowieka. Takież same dwa płatki kwiatu umocowała na rę-

kach portretu i dumna ze swego dzieła podpisała list znakiem węża.



List Suyi (autentyczne pismo indyan brazylijskich).

Należało teraz oddać ostrzegawcze pismo. Zrobiła to z gorączkowym pośpiechem, bo daleki grzmot zapowiadał zbliżającą się burzę.

Zadrżała; czyżby Wielki Duch gniewał się za to, co uczyniła? Dopędzi ojca, wyzna mu wszystko. Dotąd nie miała przed nim żadnych tajemnic.

Zbliżyła się ostrożnie i przypięła list do rękawa kożuli. Sarna zaniepokojona grzmotem przestała skubać trawę. Przybiegła, trąciła panią łebkiem, a gdy to nie pomogło, obrywała powoje na szyi Indyanki.

— Zaraz, zaraz — uspakajała faworytkę Suyi.

Patrzyła jeszcze chwilę na śpiącego i sama zręczna jak koza, skoczyła za najbliższe drzewo.

— Trzeba go obudzić, niech ucieka przed burzą — powiedziała do sarny, śmiejąc się serdecznym dźwięcznym śmiechem.

Jak obudzić? O, nie zastanawiała się nad tem długo. Dwunastoletnia główka łatwo znajdzie pomysł psoty. Wyjęła z kołczana kilka orzechów i rzuciła je na śpiącego.

Stefan zerwał się z ziemi, obejrzał dokoła, był sam. Spozstrzegł nagle liść, przymocowany kolcem kaktusa do rękawa. Białe płatki kwiatu zwróciły jego uwagę na rysunek. Przypatrzył mu się i zdziwiony powiódł oczami po puszczy. Ale nie dojrzał nikogo, tylko trawy szumiały zdala pod krokami uciekających, tylko stłumiony śmiech dziewczęcia dzwonił wśród gąszczy.

— Co to znaczy? kto tu był przy mnie? — wołał zdziwiony. Puszczą nie dawała odpowiedzi, a tymczasem coraz groźniejszy wicher trząsł wierzchołkami drzew.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Z południowej Afryki. Ponieważ czytelnicy „Wieczorów” słyszeli i czytali o wojnie Anglików z Burami, która trwała przez dwa i pół lata i z listów Janka Z., żołnierza Dewetta, dowiedzieli się o bohaterskich wysiłkach mieszkańców Transwaalu i Oranii, musimy się z nimi podzielić wiadomością, że ta wojna, która z obu stron tyle ofiar pochłonęła, skończona nareszcie. Pokój został zawarty, krew lać się przestanie; ci, którzy zostali przy życiu wrócą do swoich żon i dzieci, do swoich osad, opuszczonych tak długo. Oba państwa staną się koloniami angielskimi, ale zachowają swój samorząd, język holenderski i prawa. Anglia

uznała waleczność i zasługi swych przeciwników i udzieliła im takie warunki, na jakie wprzód nie byłaby się zgodziła. Stary prezydent Krüger zostanie jednak w Holandii i nie wróci do swego kraju.

Rozwiązanie zadania do nagrody

Z N-ru 19-go.

Jakiego roku, miesiąca, dnia, godziny i minuty upłynie drugi miliard minut ery chrześcijańskiej?

Słusznie przypuszczałem, że wśród czytelników „Wieczorów” jest wielu dobrych matematyków i matematyczek, otrzymaliśmy dużo rozwiązań na to zadanie, a chociaż mało jest zupełnie trafnych, jednak z przebiegu działania przekonałem się, że wszyscy prowadzili je ze zrozumieniem rzeczy, a omyłkę w ustaleniu daty kalendarzowej spowodowało utrudniające bardzo obliczenie liczby lat przestępnych w tym okresie czasu.

Naprzód podamy dobre rozwiązanie naszego matematyka, a potem wymienię daty, przesłane przez naszych czytelników, którzy będą mogli już sami porównać i sprawdzić swój rachunek.

Rozwiązanie:

Gdyby nie było lat przestępnych, lecz każdy rok liczył 365 dni, to zważywszy, że każdy dzień zawiera $24 \times 60 = 1440$ minut, mielibyśmy $365 \times 1440 = 525600$, jako liczbę minut w roku. Podzielmy miliard przez tę sumę, a następnie resztę zamieńmy na dni i godziny, a otrzymamy następującą liczbę lat, dni, godzin i minut w miliardzie minut.

Lat 1902, dni 214, godzin 10 i minut 40.

Odpowiedź ta jednak zawiera jeden błąd, skutkiem nieuwzględnienia lat przestępnych. Obliczamy więc ile ich mieści się będzie w tym czasie, czyli w okresie kalendarzowym, od 1902 do 3804-go roku ery chrześcijańskiej podług nowego stylu.

W tym celu pamiętajmy, że każde 400-o lecie zawiera 3 stulecia mające po 24 lata przestępne, oraz jedno mające lat podobnych 25, a mianowicie to, którego rok końcowy wyrażony jest liczbą podzieloną przez 400. Każde więc 400 lat zawiera $24 + 24 + 24 + 25 = 97$ lat przestępnych. (Nawiasowo wspomnijmy, że i to nie jest jeszcze zupełnie dokładne, względnie do ruchu ziemi naokoło słońca, ale błąd stąd powstały ulegnie sprostowaniu dopiero w roku 5200, a więc rachunku naszego nie mąci).

Ile więc 400 leci zawiera lat 1902?

$1902 : 400 = 4$ i zostaje 302 lat.

Pomnożmy więc 97 przez 4 = 388 lat przestępnych w 4-ch czterechstuleciach.

Ponieważ jednak pozostało 302 lat reszty, zastanówmy się się przeto, jakiego rodzaju stulecia złożą się na tę liczbę, to jest czy wszystkie one zawierać będą po 24 lata przestępne? Czy też będą zawierać rok podzielny przez 400? Ponieważ końcowym rokiem ma być rok 3804-ty przeto odejmujemy: $3803 - 302 = 3501$, otrzymamy, że owe 302 lata przypadną na okres kalendarzowy od 3501 do 3803 roku, w którym to czasie przypadnie jeden rok wiekowy 3600, podzielny przez 400 a więc przestępny. Zatem owe 302 lata zawierać będą lat przestępnych:

$25 + 24 + 24 = 73$.

Dodajmy więc: $73 + 388 = 461$ lat przestępnych w zajmującym nas okresie 1902 lat.

Dowiedzieliśmy się, że w tymczasowej odpowiedzi naszej nie uwzględniliśmy 461 lat przestępnych, czyli, że taką liczbę lat przyjęliśmy za krótsze niż będą w rzeczywistości, każdy rok o 1 dzień. Ażeby więc ten błąd usunąć, należy od wyniku odpowiedzi tej odciągnąć 461 dni. Ponieważ 461 dni odpowiada 1 rokowi i 96 dniami, przeto otrzymamy:

1902 lat	214 dni	10 godzin	40 minut
— 1 „	97 „	— „	— „
1901 lat	118 dni	10 —	40 minut.

Taką więc liczbę dodać winniśmy do daty dnia 28 kwietnia 1902 roku o godz. 10 m. 40 rano. A wyraziwszy tę datę rachunkowo otrzymamy: 1901 lat 117 dni, 10 godzin 40 m. + 1901 lat 118 d. 10 g. 40 m. = 3802 lat, 235 dni 21 g. 20 minut.

Na liczbę 235 dni składają się następujące miesiące:

Styczeń dni 31, luty 28, marzec 31, kwiecień 30, maj 31, czerwiec 30, lipiec 31, z sierpnia 23 razem 235 dni pełnych.

Ponieważ zaś godzina 21-sza odpowiada 9-tej minucie, ostateczna też odpowiedź nasza brzmieć będzie:

Drugi miliard minut od początku ery chrześcijańskiej upłynie dnia 24 sierpnia roku 3803 według stylu gregoriańskiego, o godzinie 9-ej minut 20 wieczorem.

Dzień ten przypadnie w piątek.

Godzina powyższa według zegara betleemskiego odpowiada w Warszawie (o 56 minut wcześniejszej), godzinie 8 minut 24 podług zegara warszawskiego.

Jedyne zupełnie trafne, zgodne z powyższem rozwiązanie nadesłał J. Łukaszewicz, chociaż rachunek jego nie był zupełnie ścisły. Sześć innych rozwiązań były dość blisko tej daty. A więc podali dobrze rok 3803: Aniela Kuszłówna, Fr. Kostrzewski (10 sierpnia 9. 20 w.), Staś Stetkiewicz (6 sierpnia 3. 20 po poł.), Płomienna, Pufcia; Ciweynos (25 sierpnia 9. 20 w.), Gracyan z nad Teterowa i K. Ch. (10 sierpnia 9. 20 w.), Maryan Bartosiński (9 sierpnia 8. 24 w.), Mysza Z. (23 sierpnia 7. 28 w.), Wacław Porczyński (11 sierpnia 9. 20 w.), Aleksander Opatow (10 sierpnia 4. 40 rano), J. Roslaniec (2 listopada 8 rano), Dudek z Łodzi (11 września 9. 3 rano), Henio Pinkus (11 sierpnia 12 w nocy), Zygmunt Szklarzewski (9 sierpnia 9. 20 w.), Duch Puszczy (10 sierpnia 9. 20 w.).

Z błędem; co do roku rozwiązyli: Bohdan Słubicki (roku 3802, 9 lipca 3. 20 po p.), Machega (r. 3804, 29 sierpnia 1. 11 nocy), Brzózka z nad Dryssy (r. 3804, 23 list. 9. 20 w.), Stuletni Dąb (r. 3804, 26 sierpnia 9. 20 r.), Zajacek z U. (r. 3805, 28 marca 10. 40 w.), Bronisław Helwig (r. 3802, 20 lipca 7. 48 wieczorem), Hamilkar z nad Newy (r. 3804, 29 lipca 9. 20 w.), Zosia Bohuszewiczówna (r. 3804, 4 czerwca 10. 44 r.), Mola (r. 3394, 28 luty 8 w. w piątek), Tuhaj-Bej, choć napisał złeżny wierszyk, ale zadanie źle rozwiązał (r. 3799, 8 września 9. 20 r.).

Nadmieniam, że ci, u których nie wypadła god. 9 m. 20 w. porobili błędy w działaniach arytmetycznych, a inni tylko w obliczowaniu lat przestępnych.

Redakcja zamiast zapowiedzianych 3 nagród przyznaje *cztery*: J. Łukaszewiczowi, który podał dobre rozwiązanie, i trzem, którzy się omylili tylko o jedną okrągłą dobę, a więc: Płomiennej, Ciweynosowi i Pufci. Dwoje ostatnich prosimy o dokładny adres.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na półrocze 2-gie dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Najnowsze zdobycze nauki przez Wł. Umińskiego (z ryc.) — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Ś. p. Adolf Dygasiński (z portretem). — Z obiadem dla ojca, wiersz (z ryc.) — Dzień 20 czerwca 1792 roku (z ryc.) — Stefek Luty w Brzylu, przez Z. Bukowiecką. — Zé świata. — Rozwiązanie zadania do nagrody. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Staś w przebraniu, wiersz (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Z księgi przysłów przez Lacha. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — W ogrodzie przez Janusza. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII wieku, przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 1 Юня 1902 г.

Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Od Redakcyi.

W przyszłym numerze ogłosimy konkurs na wypracowanie i roboty ręczne dla pańienek, a wkrótce rozpoczniemy druk ciekawej powieści Welsa „Pierwsi ludzie na księżycu z ilustracyami.”

SZARADA SAMOGŁOSKOWA.

Z trzech liter tylko ma całość się składa,
Spółgłoski wciąż te same; jednak się dowiecie,
Że zajdzie w mem znaczeniu odmiana nielada,
Gdy różna samogłoska tamte w jedność splecie.
Więc z **ą**, jestem owadem, lub dziecka igraszką;
Z **e**, uszy wam drażnię, przez gardło zwierzęcia,
Zato **o**, już mnie marną nie zostawi fraszka,
Geometryczne bowiem oznaczam pojęcia.
U zrobi ze mnie drzewo, którego istnienie
Nie byle słaby wichur zniszczyć się pokusi.
Znów **y** nazwę zwierza, które na arenie
Na dalekim zachodzie, do walk stawać musi.

ROZWIĄZANIA DO N-r. 23-go:

Szara

— la — ni — no

Łamigłówni podwójnej.

- 1) U dobrej gospodyni zawsze pełno w skrzyni.
- 2) Jestto cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.
- 3) Ej, leż leniu, leż, przyniesie ci kielbaskę pies.
- 4) Jak ty komu, tak on tobie.
- 5) Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.
- 6) Kto nie słucha brata, słuchać będzie bąta.
- 7) I organista bywa Salomonem między ratajami.

Ujejski.

OGŁOSZENIA.

NOWY WYNALAZEK.

Patentowane amerykańskie maszyny do pisania dla dzieci w cenie

rub. 2 i rub. 3 za sztukę.

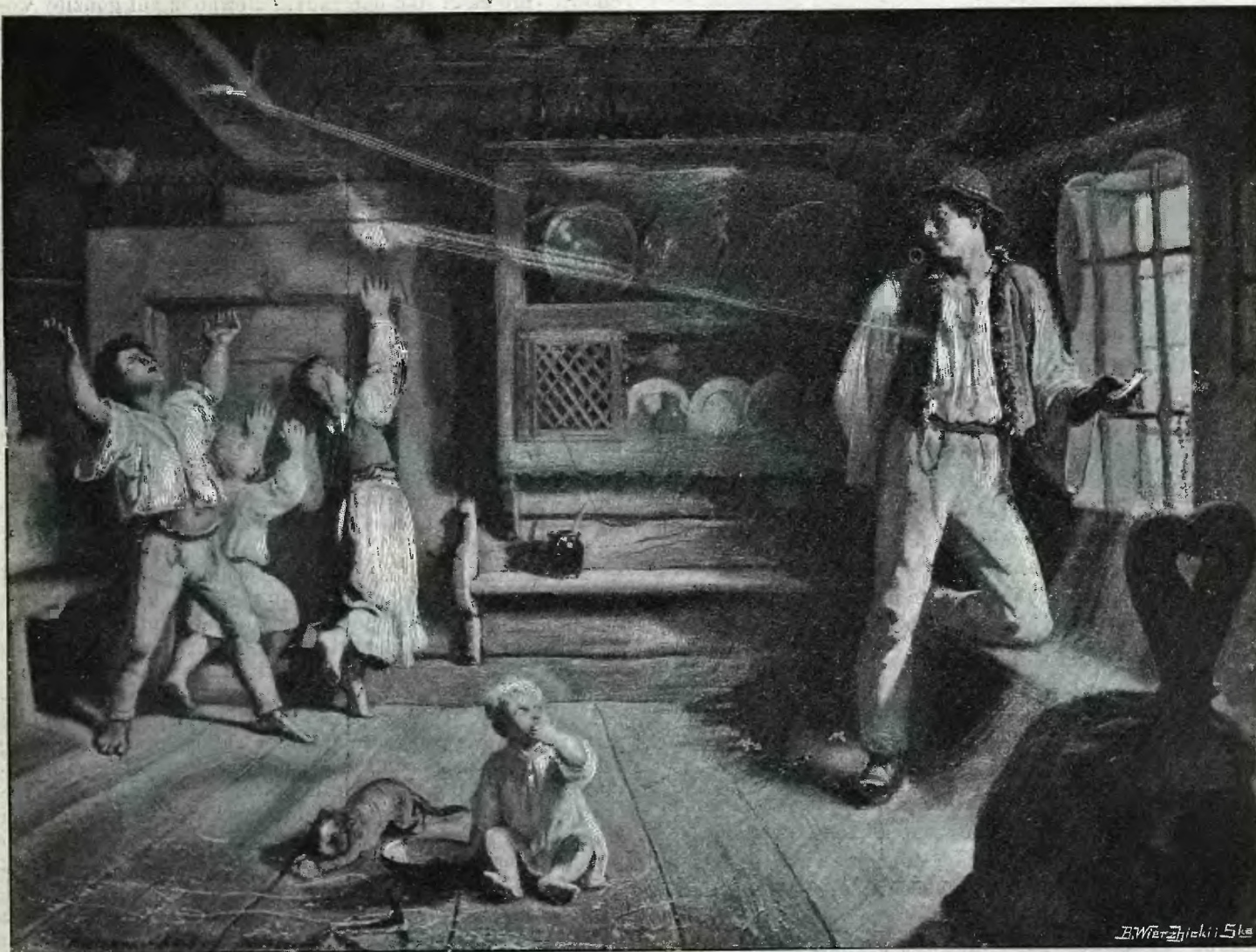
Sprzedaż u H. Łaski & C^o w Warszawie

HOŻA 46.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

W chacie góralskiej.



Jasne światelko skacze wesoło,
Ciągle ucieka po izbie w koło,
Raduj się młodzi, goń za nim, goń!
Wiek twój niewinnej szuka zabawy,
Więc na bok troski, na bok obawy,
Niechaj radością jaśnieje skroń.

A gdy nadejdą już inne czasy
I pójdziesz w twarde z życiem zapasy,
Za światłem prawdy wciąż, dziatwo, bież!
Ach! bo i w życiu spotkać nie trudno,
Światło, co wabi barwą uludną,
Takiego światła strzeż się, o strzeż!

Z obrazu W. Gersona.

Marya Lupuszańska.

Konkursa na wypracowania i roboty ręczne p. str. 207 i 208.

Pogadanki z dziedziny chemii.

I. O sile chemicznej.

Każdemu wiadomo, iż żelazo, pozostawione na wilgotnem powietrzu rdzą się, pokrywa; w końcu zamiast białego metalu tworzy się czerwona, blaszkowata substancja, żelazo zaś znika zupełnie.

Pytanie, co się stało z żelazem?

— Zardzewiało, odpowiedzie.

Odpowiedź taka jednakże nie będzie wytłomaczeniem zjawiska:

Nauka wyjaśnia rdzewienie żelaza inaczej, mianowicie powiada, że działają na żelazo siły chemiczne, które je zmieniają w taki sposób.

Zważmy przedewszystkiem żelazo, zamienione w rdzę. Przekonamy się, iż rdza nietylko, że nie waży mniej, ale nawet więcej, aniżeli metal, z którego powstała, dowodzi to, że do żelaza coś przybyło.

Czemże jest ta materya, która zwiększyła ciężar zardzewiałego żelaza.

Na zasadzie bardzo ścisłych i sumiennych badań uczeni doszli do wniosku, że z żelazem połączył się tlen zawarty w powietrzu, i że wskutek tego połączenia metal zamienił się na czerwony proszek, zwany pospolicie rdzą. Gdybyśmy byli posmarowali metal łożem, aby go zabezpieczyć od zetknięcia z powietrzem, to nie przeobraziłby się on w rdzę.

Czyżby jednak nie można wypędzić w jakiś sposób tlen z żelaza i nadać mu pierwotne własności?

Zadanie to nie jest bynajmniej trudne: w przemyśle wykonywają go na dużą skalę w tak nazwanych wielkich piecach, służących do wytapiania żelaza. Należy bowiem wiedzieć, iż żelazo nie znajduje się w przyrodzie w stanie czystym, lecz dobywają go z kopalni w postaci kamienistej rdzy, zwanej ogólnie rudą żelazną. Taka rdza kamienista pomieszana z węglem idzie do pieca. W silnem gorącu tlen ucieka od żelaza, a natomiast łączy się z węglem i tworzy z nim gaz, ulatujący przez komin. Żelazo zaś topnieje i zbiera się na dnie pieca, jako surowiec.

W piecu takim odbieramy przeto rdzy tlen, ażeby otrzymać z niej metal.

Siłę, przyciągającą węgiel do tlenu, albo też tlen do żelaza nazywamy siłą powinowactwa chemicznego; wyrazu powinowactwo nie należy jednak brać w jego pospolitem znaczeniu, gdyż dzieje się właśnie przeciwnie z tego rodzaju siłą przyciągającą, ciała bowiem zbliżone do siebie pod względem chemicznym nie mają do siebie stałego pociągu; ciała zaś wcale z sobą nie spokrewnione, przyciągają się pomiędzy sobą najsilniej. Wolimy przeto wyraz: powinowactwo, tak często napotykanym w chemii, zastąpić w niniejszych pogadankach prawie równoznacznym wyrażeniem: „chemiczna skłonność.” W gruncie rzeczy nie idzie tyle o wyrazy, ile o zrozumienie istoty rzeczy; tutaj najważniejszą jest siła przyciągająca pomiędzy żelazem i tlenem, która sprawia, że w silnem gorącu tlen opuszcza żelazo i łączy się z węglem.

Wł. U.

Zofia Kłowska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Dóś tam, Michale, z zębami? — zapytał pan Zabrzkeski, gdy już koła po bruku miejskim turkotać przestały. — Widzę, że masz kwaśną mię!

O, bo jasnie pan... żebym był wiedział.. ale to człowiekowi pierwszyna... z takimi tam doktorami się zadawać.

— No co, nie poradził i zęby wciąż bolą?

— Nie to, ale mało robi a dużo bierze! To nie jest chrześcijańska rzecz!

Tu Michał puścił cugle koniom, bo droga była równa, obrócił się ku panu Zabrzkeskiemu i zaperzony rzekł z najwyższym oburzeniem:

— Już ja nieraz zęby rwałem! Jeden to był, jak taki dębowy pień, co jeszcze w ziemi nie ognił. Kowal w Suchowie nie mógł mu dać rady. Pewno z pół godziny wdział mię po kuźni. A bolało mię!... Byłbym rzemienie nadrobną sieczkę gryzł z bólu! Myślałem, że mi szczęki połamie... Sam się aż spocił, no, i za wszystko wziął 10 kopiejek! A tu ten doktor od zębów chems tam działo posmarował, a ja nie miałem jeszcze czasu westchnąć do św. Tekli, jak już zęba bolącego nie miałem w gębie. Nie napracowałem się i mnie bólu nie narobił, a kazał sobie zapłacić całego rubla! Zawsze to lepsze wiejskie ludzie jak miastowe! I jeszcze się po mnie mył, jak żeby był zdjął skórę z takiego bydlęcia, co na karbunkul padło.

XIV.

Przez cały październik Zdzisł nie mustrował swoich żołnierzy. Józiowi za to, jego ulubiona praca szła doskonale. Jesień pogodna trwała ciągle i w nagromadzonych żołądźkach i kasztanach, byleby je umiejętnie rozsadzić, leżało nasienie ogromnego lasu. Józio obiecywał sobie, że chociażby go obowiązki jego powołania jaknajdalej zapędziły i chociażby rodzina jego nie mieszkała w Suchowie, on raz na rok przyjeżdżać będzie do lasu, zasadzonego przez siebie.

Pana Zabrzkeskiego znowu w domu nie było. Pojechał do Warszawy, skąd po paru tygodniach wrócił tylko na kilka godzin, żeby pożegnać rodzinę; interesu bowiem wzywały go aż do Ameryki. Ten wyjazd męża na drugą półkulę, powiększył jeszcze zwykły niepokój i troskę pani Zabrzkeskiej. Przy pożegnaniu zabawna odegrała się scena. Wszyscy, oprócz pana Chlewiatki, zgromadzeni byli w przedpokoju; zaprzężone konie stały przed gankiem, a zacy profesor, chociaż wiedział o chwili wyjazdu pana domu, zapominał o niej przy niezmiernie wdzięcznym ustępie Odyssei, który właśnie polskiemu językowi przyswajał. Pan Zabrzkeski posłał służącego z prośbą, by pan Chlewiatko przyjsz zechciał. Wchodzącego profesora przyjął słowami:

— Byłbym sam poszedł pożegnać pana, gdyby nie to, że ani minuty nie chcę odjąć rodzinie, która mię tu otacza. I panna Four była tak dobra, że przyszła. Mam jeszcze trzy minuty czasu, które wolę spędzić w tym przedpokoju, niż na stacyi, czekając na pociąg.

Pan Chlewiatko uśmiechnął się uprzejmie, jak człowiek, który chce być grzecznym, choć myśli zupełnie o czem innem, niż otaczający; pozwolił panu Zabrzkeskiemu pożegnać się z sobą, potem nagle pocałował w rękę panią Zabrzkeską, pannie Four powiedział „*adieu mademoiselle,*” śpiesznie ucałował dzieci jedno po drugim, włożył na siebie palto pana Zabrzkeskiego, jego czapkę i wyszedłszy na ganek, rzekł do furmana uprzejmie:

— Jedźmy, Michale.

Za panem Chlewiatką rozległ się chór śmiechu, którego on nie słyszał, poczuł jednak, że go ktoś bierze za ramię i w zapędzie zatrzymuje. Głos pana Zabrzskiego zapytał:

— Gdzie profesor chce jechać?

Pan Chlewiatko sam się uśmieł serdecznie ze swojego roztargnienia, a wszyscy otaczający uradowani byli tem, że pani Zabrzaska o łzach zapomniała dla serdecznego śmiechu, z zabawnej miny profesora, gdy w paltocie i czapce pana Zabrzskiego schodził najpoważniej ze schodów. Mąż jej był już za bramą, a ona jeszcze się śmiała.

— Trzeba mi darować — rzekł profesor — bo czy nie może odebrać przytomności umysłu ten ustęp Odysei, który tak przetłumaczyłem:

„Snać chód mężów, psów hałas zwierząt posłyszal zbliżka
Bo z gestych chaszerów naraz porwał się, wyskoczył,
Szerść najeżył, ślepiami iskrzącymi toczył,
I tak wyszedł na łowców. Odys był na przodzie,
Więc pewny, że oszczepem wskroś dzika przebodzie,
Posunął się na niego. Dzik zwinnie się sprawił
I goleń zwyż kolana srodze mu zakrwauił
Krzywym kłem, który mięsa wydarł z niej kawałek,
Lecz kości nie naruszył; alić Odys śmiaiek
Tak odyńca w łopatkę prawą pchnął dziirytem,
Że grot przeszedł na wylot — dzik runął ze zgrzytem
O ziemię. Dech wyzionął...”

— Nie umiem po grecku — rzekła pani Zabrzaska — ale po polsku ten ustęp brzmi ślicznie. Pan go z pewnością doskonale przetłumaczył!

— Biedny dzik! — zawołała Alusia.

— Mnie daleko więcej żal gołeni Odyseya, niż całego dzika — ozwał się Zdziś. — Szkoda, że nie żyłem w tamtych czasach! To były czasy bohaterskie! Chciałbym być żyć w czasach greckich, ale mówić po polsku, bo ten język grecki jest taki trudny, taki nieznośny i tak go nienawidzę...

— Zdziśiu! — zawołała Alusia z wymówką.

— No, cóżes taka oburzona?

— Bo o umarłych nie można odzywać się źle, a przecie wszyscy mówią, że język grecki jest umarły!

XV.

Tego samego dnia zjawiła się wreszcie cyganka Aza. Była wychudzona, zmizerowana, zczerniała, a wielką jej piękność przygasała. Jej posagowe rysy utraciły świeżość i wdzięk zdrowia. Patrzała podejrzliwie w kolo siebie i żebrała natarczywie, wyczekując przypadkowego zjawienia się pana Chlewiatki, bała się bowiem prosić o widzenie się z nim, by ta prośba nie doszła do cyganów i nie obudziła na nowo uspiionych podejrzeń. Dostawszy wsparcie, wślizgnęła się do ogrodu i ukryła w zaroślach. Los okazał się dla niej przychylnym, gdyż pan Chlewiatko wyszedł o szarej godzinie na spacer, by nieco ochłodzić głowę po pracy. Całe popołudnie nie wstawał od stolika, gdyż panna Four chodziła dnia tego z dziećmi na przechadzkę.

— A, to pan! — rzekła szeptem cyganka, przysuwając się niespodzianie do profesora — czekam tu już oddawna i myślałam, że mi przyjdzie nocować w ogrodzie.

— Czemuś mi nie dała znać? Twoje pieniądze leżą przygotowane i zaraz pójde je przynieść.

— O, to nieszczęśliwe pieniądze! — mówiła cyganka nawpół z płaczem. — Zły duch mię skusił, żem swoich braci rodzonych zdradziła! O mało życia sama nie straciłam i ich pozbawiłam zarobku! Byłam przed sądem, byłam trzymana w więzieniu o chlebie i wodzie. Myślałam, że mię zabiją, ale się potem moim braciom rodzonym poszczęściło, znaleźli sobie inny skarb i mnie puścili. Ale mię pilnują, mają mię wciąż na oku i wiem, że gdy teraz wróce

do nich, będą szukali we wszystkich moich chustach, we wszystkich obrąbkach.

Ukazała ręką spódnice podartą i tak postrzępioną, że obrąbek z niej z pewnością oddawna został kawałkami na krzakach leśnych.

— Poczekaj-że tu, zaraz przyniosę pieniądze.

— Nie, nie. Ja tylko przyszłam prosić, żeby pan te czterdzieści rubli miał u siebie, a ja za rok, może za dwa po nie przyjdę.

— Jak chcesz. Ale pamiętaj, że ja nikomu o tych pieniądzech nie powiem i jeżeli przez ten czas umrę...

— Nikomu, mój panie kochany, nikomu. Pan nie umrze, cyganki wszystko wiedzą, pan nie umrze!

— Cyganki nic nie wiedzą, tylko oszukują!

— Prawda, panie kochany, prawda, cyganki nic nie wiedzą, tylko byle co gadają, a ludzie głupi słuchają i płacą. Ale cyganie muszą z czegoś żyć...

— Czemu nie pracują?

— Pracować? Cyganie nigdy nie pracowali i nigdy pracować nie będą! Niech pan sarnę do pługa zaprzęże i każe jej orać! Ona ma siłę przez parkan przeskoczyć czego wół nie potrafi, ale nie ma siły ciągnąć ciężarów... za rok, panie kochany, może za dwa!

Zniknęła za krzakami, gdyż ukazał się lokaj szukający pana Chlewiatki, aby go wezwać na podwieczorek.

Profesor zamyślił się nad losem cyganów, nad ich niezdolnością do pracy nad tem, że muszą oni być ciężarem dla kraju, w którym przebywają i wśród tych myśli oddał na ganku paltot lokajowi, który, że ów paltot był trochę zabłocony, zaniósł go do kredensu. Następnie pan Chlewiatko z ganku poszedł do przedpokoju, gdzie zdjął śpiessnie surdut i powiesił go na wieszadle. Nie zdjawszy natomiast zabłoconych kaloszy, wszedł do jadalnego pokoju, gdzie cała rodzina zebrana już była. Za każdym stąpieniem zostawiał ślad mokry na podłodze, był w stroju w którym nie zwykł był pokazywać się damom, ale nic nie wiedział o tem i twarz jego nosząca zwykle wyraz słodczy, rozumu i zamyślenia była w tej chwili zupełnie spokojną.

Dzieci przyjęły go wybuchem śmiechu, panna Four okrzykiem zgrozy. Zerwała się od stołu cała zaczerwieniona.

— Takie rzeczy mogą się dziać tylko w kraju, do którego cywilizacya nie zajrzała jeszcze. Chez nous à Paris, takiego człowieka policya wzięłaby pod swoje oko i gdyby nie pomogły ostrzeżenia...

Biedny profesor poczuł, że na jego głowę spadały zasłużone gromy. Wrócił spiesźnie do przedpokoju, uzupełnił toaletę swoją, zdjął ze wstydem zabłocone kalosze i pełen skruchy stanął na nowo przed obliczem panny Four. Tłumaczył się pokornie, że nie uważał, iż na ganku zdjęto z niego paltot i sądził, że dopiero on sam paltot ten powiesił w przedpokoju. Co do kaloszy, był winien i nie było dla niego żadnego tłumaczenia. Gotów był przeproszać i dać wszelkie zadosyćuczynienia, jakichby od niego wymagano.

Panna Four była wszakże nieubłagana i wydała się panu Chlewiatce jakąś obrażoną boginią greckiego Olimpu, która w gniewie straszną zemstę poprzysiądz była gotowa. Akcent profesora rozdrażniał ją coraz bardziej, wreszcie zawołała z rozpaczą:

— Tłumaczenie się pana, jest gorsze jeszcze niż nie-darowany postępek!

— Dla czego? — zapytał poważnie profesor — uznanie swej winy jest przecie...

— Nie chodzi tu o uznanie winy, ale o sposób w jaki ją pan uznaje... o ten akcent, który rani we mnie nietylko słuch, ale zmysł artystyczny i szarpie poprostu moje nerwy na strzępy...

Pocziwy profesor rzekł po polsku, biorąc obecnych na świadków swego żalu:

— Przeprósilibym ją na migi, ale tej mowy nie umiem. Biedna kobieta, przebywanie wśród obcych, których języka

nie rozumie, doprowadza w istocie jej nerwy do stanu wprost chorobliwego!

Spojrzał błagalnie na pannę Four, a we wzroku jego oprócz błagania, było jeszcze współczucie, które Francuska odczuła. Podała nagle rękę profesorowi i rzekła:

— Ma pan szkaradny akcent francuski, ale jest pan nietylko wielkim uczonym, ale też bardzo dobrym człowiekiem! Chciałabym zasłużyć na przyjaźń pana.

Pan Chlewiatko pocałował jej rękę w milczeniu, nie chcąc już francuszczyzną swoją zepsuć jej dobrego usposobienia. Wbrew zwyczajowi sprzeczka ich zakończyła się zgodą.

(d. c. n.)

AUTOR „SOBÓTKI.”

Sto lat upłynęło w listopadzie roku zeszłego od czasu, gdy przyszedł na świat jeden z naszych znakomitych poetów, człowiek wielkiego talentu i nieskazitelnego charakteru, twórca krwawego poematu „Zamek Kaniowski,” prześlicznej „Sobótki,” wspaniałej fantazyi „Król zamczyska,” „Anny z Nadbrzeża” „Pamiętników” i wielu innych.

Goszczyński urodził się dnia 4 listopada 1801 roku w miasteczku Ilińcach, należącym do dóbr Sławuckich, gdzie ojciec jego rodem z Mazowsza, przywędrował za chlebem, ożenił się i zajmował skromną posadę gorzelanego.

Dziecko, zrodzone i chowane w ubogim domu, miało jednak duszę marzyciela i poety. Przemawiała do niego natura, miał gorące serce, ale charakter gwałtowny i zacięty. Usposobienie to odbiło się w jego utworach.

Do szkół chodził w Winnicy i Humanu, tam spotkał się z Bohdanem Zaleskim i zawiązała się pomiędzy dwoma młodymi poetami przyjaźń, trwająca długie lata. Obadwaj opiewali Ukrainę. Zaleski jej stronę śpiewną, mięką, rozmarzoną, gdy do wyobraźni Goszczyńskiego bardziej przemawiały jej okropne wspomnienia.

Mając lat 19, przyjechał do Warszawy z zamiarem wstąpienia do uniwersytetu i wówczas poznał się z młodymi przywódcami przygotowującego się romantycznego ruchu, do którego skłaniało go usposobienie umysłu. Michał Grabowski i Maurycy Mochnacki stali na czele tego ruchu. Zachęcony przez nich wydał w r. 1828 poemat „Zamek Kaniowski,” który wstrząsnął głęboko całym społeczeństwem, wywołał namiętne spory, zachwyty, potępienia, szyderstwa, jak to widać z następującego wierszyka:

A mistyczny pan Mochnacki,
Dowiedzie w stylu mistrzowskim,
Że przy tym Zamku Kaniowskim,
Trembecki pójdzie pod placki.

A nie wiedział Satyryk, jaką prawdę napisał, gdyż o Trembeckim zapomniano oddawna i prawie go nie czy-

tają; istnieje on tylko w historii literatury jako poeta wybornego języka, w którym nie wypowiedział żadnej jasnej, podniosłej myśli. Marny pochlebca, mający bardzo niski charakter, nie zasłużył na nic innego. Tymczasem Zamek Kaniowski i inne utwory Goszczyńskiego zajmują po dziś dzień daleko bardziej wybitne stanowisko. Zrazu zbyt może lubował się w krwawych scenach, któremi przeładował swój pierwszy poemat, prędko jednak pozbył się tego.

Miał on ogromne poczucie natury i zręcznie rzucał na jej tło różne podania ludowe, prześlicznie obrobione, dowiódł tego w swojej Sobótce. Sobótka jest to urywek z niewydanej powieści „Kościelisko,” a któż nie słyszał o tej pięknej, tatrzańskiej dolinie, położonej blisko Zakopanego, dającej początek Dunajcowi?

Nazwa doliny według legend góralskich pochodzi od kości tatarskich, którzy w tem miejscu za czasów królowej Kingi (św. Kunegundy, żony Bolesława Wstydlwego) polegli pod *ciupagami* (siekierami) dzielnych górali.

Samą dolinę tak opisuje poeta:

Rozkoszna, jedyna,
Pochmurna dolina,
Dla całych Tatrów ponęta,
Lecz lasy i skały
W krąg ją opasały,
I bramą z głazów zamknięta.

*

Rozkoszna jedyna,
Pochmurna dolina,
Od całych Tatrów kochana.
Lecz na niej mgły gęste,
I deszcze w niej częste,
Dolina często splakana.

W roku 1831 Goszczyński wyjechał do Galicyi i tam lat kilka przebywał. Zwiedzał Tatry wówczas, kiedy nikomu na myśl nie przychodziło poznać własne wspaniałe góry, a daleko więcej wiedzieliśmy o Alpach, Apeninach, nawet o szkockich górach, niżeli o tych swoich, prześlicznych miejscowościach,

które dziś powracają nam zdrowie i stanowią najrozkośniejsze letnie wycieczki. A jednak poeta nasz zostawił cenny ich opis w swoim „Dzienniku podróży do Tatrów,” a nie poprzestając na tem, dał bardzo zajmujący obraz zwyczajów, stroju, podań górali.

Ale cóż, myśmy wtedy tego nie czytali, a marzyliśmy tylko o cudach Francyi, Szkocyi i t. p., o których opowiadały nam od pierwszego dzieciństwa bony i nauczycielki cudzoziemki.

Na szczęście dla naszej literatury ani Goszczyński, ani Mickiewicz, ani Bohdan Zaleski, ani żaden rdzennie polski poeta takich bon nie mieli, chowali się oni na łonie wsi polskiej, przedstawiali z ludem od dzieciństwa i dla tego rozumieli go i mawiali z najwyższą miłością o tej naszej przyrodzie, której cały wdzięk odczuwali.

„Król Zamczyska” jest to samotnik blakający się po zwaliskach zamku Odrzykońskiego. Wypowiada on swoje marzenia, w których poznać można własne kierunki autora.



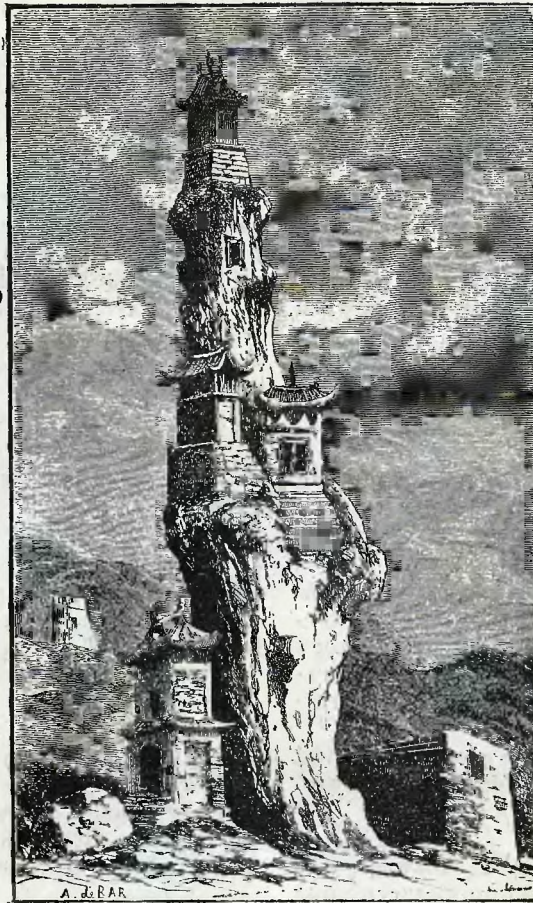
Seweryn Goszczyński.
w młodym wieku.

W r. 1838 Goszczyński opuścił Galicyę i przeniósł się do Francji. Czas jakiś mieszkał w Strasburgu, potem przeniósł się do Paryża. Tam poznał się ze wszystkimi znakomitymi Polakami. Ostatniem jego dziełem była książka o poświęceniu, pełna najwznioślejszych uczuć i myśli. Nie były to u niego puste dźwięki ani frazesy, bo stwierdzał je całem swem życiem. Był to jeden z tych rzadkich ludzi, u których zasady i czyny są ściśle związane.

Słowacki ceniał go bardzo wysoko, a po śmierci wszystkie jego papiery złożone zostały u Goszczyńskiego, który godnym był przechowywać pamiątkę wielkiego poety.

Umarł we Lwowie r. 1871. Można o nim powiedzieć, że stanowił rzadki przykład człowieka, który szedł prosto wytkniętą drogą, nigdy nie myślał o sobie, a zawsze i jedynie o dobru ogółu. Tę szlachetną postać trzeba zapamiętać według zasługi.

Walerya Morrené Morzkowska.



Cztery świątynie w pniu jednego drzewa.

Stefek Luty w Brazylii.

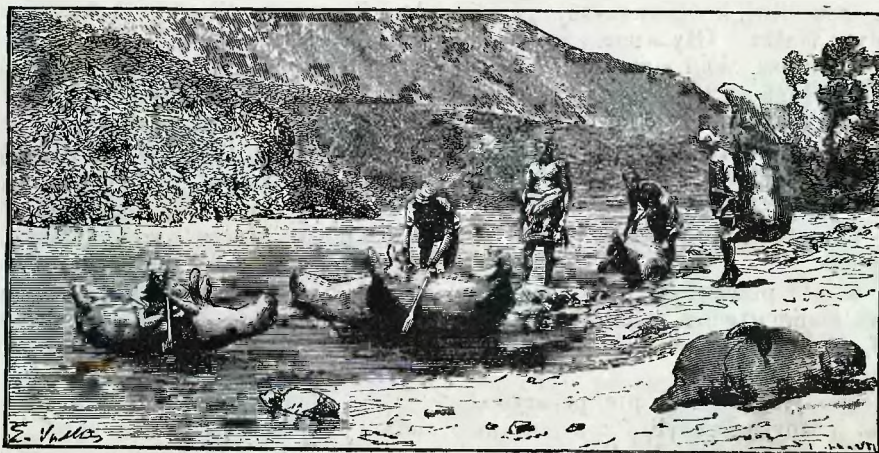
przez Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

My mieszkańcy północy nie mamy pojęcia jak gwałtowną bywa burza w krajach podzwrotnikowych. Kryje się przed rozhukanemi żywiołami nawet zwierz dziki, biada człowiekowi, którego nawałnica zaskoczy wśród pola. Wiedział o tem Stefan, przestał też śledzić za uciekającą Indyanką, a choć ukrył starannie jej list w kieszeni swej płóciennej bluzy, skoczył czempredzej do drzewa przy którym uwiązał konia. Wierzchowiec targał cugle, on także prze-czuwał burzę.

— Uciekać, zdawało się mówić rozumne zwierzę, uciekać zanim rozedrą się chmury, zanim wyrzucą z siebie rzeki rozhukanych wód. Uciekli też pan i koń, pędząc co sił w stronę fazendy mulata Geralda.

Ale mimo obawy przed burzą, mimo radości, której doznawał Stefan, pędząc jak farys po stepie, niepokoiła go ciągle myśl o tajemniczym liście.



Łodzie ze skór zwierzęcych. (str. 207).

— Kto więc byli ci Indyanie, których lekceważył dotąd? Mie-liżby i oni mieć swój świat pojęć, uczuć, wrażeń? Uratował dziś młodą dziewczynę od śmiertelnych uścisków węża, ale nie dbał o nią więcej niż o sarnę, której także groziło niebezpieczeństwo. Miałoby czerwonoskórne dziecko umieć kreślić na liściu znaki. Nie rozumiał znaczenia hieroglifów ale odróżniał i poznawał pojedyncze części rysunku.

— Mulat wytłomaczy mi może jego treść — myślał i jechał dalej brzegiem strumienia.

Był to dopływ rzeki Itajachy, dopływ bardzo znaczny, zwłaszcza gdy ulewa podniosła jego wody. Krążyły po nich wtedy łódki Indyan, umiających zręcznie wymijać niebezpieczne spadki tak częste na rzekach brazylijskich. Ale dziś ulewa nie zasiłała jeszcze strumienia, płynął spokojnie, znacząc drogę jeźdźcowi, który kierował się wedle jego biegu. Wiedział, że leśna rzeczulka przepływa obok domu Geralda.

Mulat stał na progu i patrzył w głąb stepu. Jego także niepokoiła burza, bo piorun mógłby rozproszyć stada owiec i wołów, a spłoszone bydło trudno potem sprowadzić do gromady. Ale Gerald znał swoje równiny jak Zakopiański góral zna swoje wirchy.

Nie straszą go te, które teraz zaciemniły horyzont, bo niosą burzę na wschód ku oceanowi.

Uspokojony Brazylijczyk wracał już do domu, kiedy usłyszał tentent konia i dojrzał białego gościa.

Gość, zwłaszcza biały gość, to rzadkie zjawisko na stepie. Mulat powitał Stefana i wprowadził go w głąb domu. Ten dom, wpół do szałas Indyanina podobny, wpół portugalskie fazendy przypominający, zawieszony był hamakami z botokudskich plecionek. Prócz kilku stołów nie miał zgoła żadnych sprzętów. Skóry wyciągnięte na ziemi zastępowały gospodarzowi łóżko, ale nad posłaniem wisiała w ozdobnych ramach fotografia bardzo pięknej kobiety.

Gerald postawił na stole butelkę kaszasu i placki z mandiokowej maki.

— Miałem dziś dziwne zdarzenie, — powiedział Stefan orzeźwiony przekąską — może pan, jako znający miejscowość wytłomaczyć mi je potrafi. Usnąłem w lesie, a oto co znalazłem po obudzeniu.

Wyjął liść, i pokazując go Geraldo, dodał z uśmiechem.

— Jest tu jakiś rysunek, który ludzka wykonać musiała ręka. Sądziłem do-tąd, że w tej części

puszczy mieszka prócz nas tylko pan ze swymi niewolnikami.

Gerald wziął w rękę liść, przypatrzył mu się uważnie i nagle spochmurniał, jak gdyby wyczytał z liścia złą wiadomość.

— Cóż to znaczą te hieroglify? Gotów jestem sądzić, że pan rozumie je lepiej niż ja wasze portugalskie książki.

— Portugalska książka nie byłaby moją książką — mrunknął niechętnie Gerald. Co zaś do tego liścia, to jest na nim napisane bardzo wyraźnie, że panu grozi wielkie niebezpieczeństwo.

— Mnie? A któż może mnie ostrzegać?

— Nie wiem. List podpisany jest węzem. Czy ten znak nie panu nie mówi.

— Przypomina mi tryumf odniesiony dziś o świtanie. Zabiłem jararakę, który byłby zdusił Indyankę lub sarnę, bo dwóm naraz groził.

— I pan ocaliłeś im życie?

— Prawdopodobnie. Zasługa to mojej fuzji nie moja, nigdy dotąd nie zdarzył mi się tak trafny strzał.

Gerald patrzył na liść i czytał z niego, jak cyganki zwykły czytać z podanej im dłoni.

— Na rysunku widzę najprzód trzy wschodzące słońca, co w języku Indian znaczy trzy dni. Głowa drapieżnego ptaka ma niezawodnie przedstawiać wodza tutejszego plemienia. Zwą go Sępem, a z tym człowiekiem nie radziłbym żartować. Mści on się na was za wiekowe krzywdy.

— Na nas? ależ moi towarzysze nie zastrzelili dotąd nawet małpy, bo szanują w nich podobieństwo z człowiekiem.

Gerald uśmiechnął się gorzko.

— Mówię o białych twarzach w ogóle, bezwzględnie na to, jakie jest ich pochodzenie. Są one nieszczęściem i przekleństwem Brazylii.

— Czyż i panu uczyniły co złego? — zapytał zmieszany Stefan. Ale pożałował niewczesnych słów, bo mulat rozdrażniony wiadomościami odebranymi od rodziny, zerwał się z hamaku.

— Chcesz wiedzieć, co mnie uczynili — wołał. Zabili mi matkę, wydarli ojca i rodzeństwo, skazali na samoność.

— Kto? dlaczego? pytał przestraszony Stefan.

Gerald nie zwracał uwagi na jego słowa.

Widzisz pan, czym jest moje życie — mówił — wskazując puste ściany domu. Jaguar ma prawo stworzyć rodzinę i wychować dzieci, ja tylko skazany jestem na wieczną samotność, wzgardzony, odepchnięty za co? za winy, których nie popełniłem, za przesąd, za przywidzenie? Za to, że natura dała mi ciemną twarz, chociaż matka moja była białą i piękną, patrz jak piękną!

Wskazał fotografię potem stanął na chwilę, zaczerpnął powietrza w piersi i tak dalek mówił.

— Wy rodzicie się szczęśliwi, boście wszyscy równi sobie, biali jak wasi ojcowie i matki. Czy wiesz pan, co to znaczy być mulatem? Nie wiesz, z kąd masz znać piętno upodlenia, wyrosłe na brazylijskiej ziemi. Kto je przyniósł? Wy z z oceanu. Moją ojczyznę zaludniali przed wiekami sami Indianie, i dobrze było, bo nikt nimi nie gardził. Aż przypłynęli do nas ludzie obdarzeni od Boga piękną, białą twarzą. Tak, piękni jesteście, nie ma co mówić. Piękni a nawet czasem dobrzy, jak dobrą była moja matka, którą ja tak kochałem.

— Umarła, bo nie mogła przeżyć krzywdy dziecka. Urągali mi własni bracia za ciemną twarz, więc umarła. Ja winien jestem tej śmierci, chociaż byłbym oddał ostatnią kroplę krwi, byle utrzymać ją przy życiu.

Gerald zamilkł wyczerpany, a Stefan nie przerywał jego zamyślenia. Znał już historię Brazylii i wiedział, jakich krzywd dopuszczano się tu dla zysku. Wiedział, że Europejczycy założyli w Ameryce plantacje trzciny cukrowej, zwłaszcza zaś kawy. Próbowano zmuszać Indian

do pracy, ale czerwonoskórzy okazali się słabymi i niezdatnymi przy uprawie roli. Postarano się więc o lepszego robotnika. Miał nim być murzyn zamieszkujący Afrykę. Wytrzymał na klimat, silny, pracowity odpowiadał istotnie wszystkim wymaganym warunkom. Ale murzyn nie myślał opuszczać ojczyzny. Znalezione na to sposób.

Handlarze, zwabieni zyskiem, porywali siłą czarnych mieszkańców Afryki i przewozili ich gwałtem za ocean. Robiono na biedaków obławy, chwymano w sidła, jak chwycić się zwykło dzikiego zwierza, i sprzedawano tysiącami na targach. W Lizbonie, stołecznem mieście Portugalii, odbywały się doroczne jarmarki, które ściągają kupców żywego towaru. Handlarze niewolników odbierali dzieci rodzicom, rozłączali męża z żoną, bo sprzedawano murzynów bez żadnej względności dla ich uczuć. Od roku 1503 przewieziono różnemi czasy dziesięć milionów czarnego niewolnika do plantacji amerykańskich.

Dziesięć milionów ofiar! Czy zdajecie sobie sprawę co za straszna cyfra gwałtów, zbrodni, okrucieństw cięży na sumieniu Europy. Iluż trzeba misjonarzy, ile cnót ile poświęceń, żeby wynagrodzić złe uczynione braciom, żeby zmyć hańbę ciężącą na białych twarzach?

Murzyni prócz pracy, dzięki której wzrosło bogactwo nowych kolonii, dali tym koloniom jeszcze osobną rasę ludzką, naród zowiący się dziś Brazylijczykami. Pierwsi Europejczycy koloniści byli to awanturnicy, szukający szczęścia na drugiej półkuli. Taki człowiek nie przywozi z sobą żony i dzieci, stwarza on dopiero z czasem rodzinę. W braku kobiet białych żenili się wychodźcy z murzynkami i te związki wytworzyły mulatów, to jest rasę ludzi mieszanego pochodzenia. Dziś śmiało twierdzić można, że w obecnych Brazylijczykach płynie najmniej połowa krwi Murzyńskiej. Ta krew dziwne czasem płata figle.

Zdarza się, że przez dwa, a czasem przez trzy pokolenia rodzina brazylijska nie zdradza w niczem Murzyńskiego pochodzenia. Aż nagle dziecko rodziców białych przychodzi na świat prawie czarne, z kręćcami się jak u Murzyna włosami. Gdyby uczucie sprawiedliwości zwalczyło nareszcie niemądre i niesprawiedliwe przesady, to wypadek taki nie miałby w sobie nic obrażającego godność człowieka. Biały czy czarny, murzyn czy europejczyk, są sobie braćmi, krew Chrystusowa lała się na Golgocie za wszelkiej krwi ludzi. Ale przesąd jest niestety straszną siłą, smokiem niepokonanym, jak mówił słusznie Jakób O'Clear. Wierzajcie mi, warto żyć na świecie na to tylko, aby wojować z tym wrogiem szczęścia ludzkiego.

Biedna czarna dziecina powinna być kochaną i pieszczoną, a spotyka się najczęściej z niechęcią własnej rodziny. Biały farmer uczuwa wstyd na widok kędzierzawego syna. Ludzie zapomnieli już o jego pochodzeniu, a tu on sam dał niezaprzeczalny dowód, że między swymi przodkami miał Murzyna. O jakież to brzydkie, nieszlachetne uczucie! Wstydić się dziada, który krwią i potem zlewał ziemię? Więcej stokroć wstydićby się należało przodków krzywdzicieli, tych czystej krwi Portugalczyków, którzy polowali na Murzynów w Afryce i dla zysku hańbili godność człowieczeństwa.

Gerald był ofiarą przesądu. Matka kochała go więcej niż wszystkie inne dzieci, dlatego, że upośledzony najmocniej potrzebował opieki, ale ojciec wstydił się syna i trzymał go zdala od siebie. Dziecko tęskniło do rodziców, a matka życiem przypłaciła rozłączenie z biednym mulatem. Odtąd los Geralda stał się jeszcze smutniejszym. Uciekł na step przed szyderstwem ludzi, ale samotność ciążyła mu nieraz okropnie. Dziś właśnie odebrał wiadomość, że brat jego ożenił się z piękną Maryttą, i że buduje własny dom.

— Będzie miał białych synów, będzie szczęśliwy i kochany, ja tylko sam, zawsze sam!

Tak żalił się Gerald na los w chwili, kiedy przyjechał Stefan, biały człowiek, syn rasy uprzywilejowanej. Mulat wierzył, że w Europie nie ma przesądów i niesprawiedliwo-

ści. Że się mylił w swem mniemaniu, tego najlepszym dowodem był jego dzisiejszy gość.

Cóż wypędziło ślusarczyka z ojczyzny? Przesąd.

Cóż jest więc ten tyran, któremu wolno dręczyć ludzi i poniewierać ich godność?

Ciemnota, nie tylko ciemnota, brak światła wiary w sercach, światła wiedzy prawdziwej w umysłach.

Trzeba karać ludzi za występki, ale biada tym, którzy karzą niewinnych. Szydzimy ze Znajdy dlatego, że matka nie tuliła go w kolebce, szydzimy z mulata, dlatego, że odziedziczył po przodkach czarną skórę.

Ci, którzy tak czynią, mają czarną duszę, a to stokroć gorsze niż ten lub inny kolor twarzy.

Stefan patrzył ze współczuciem na Geralda, bo pamiętał upokorzenia jakie sam znosił w dzieciństwie. Wiedział, że obelga boli, toż przed obelgą Adamka uciekł z warsztatu. Ale Stefan wiedział także, że nie wszyscy ludzie są źli. Znał prawdziwie szlachetnych, którzy gardzili przesądem, gotowi zwalczać smogą, jak zwalczał go wszędzie Jakób. O'Clear mówił mu toż samo, co wprzód mawiał proboszcz, że człowiek kimkolwiek by był, może zasłużyć na cześć i miłość współobywateli.

Stefan chciał to przekonanie wpoić w mulata, opowiedział mu więc dzieje swego dzieciństwa. Zaręczał, że choć jest Znajdą, nie czuje się nieszczęśliwym, bo oddał życie na usługi ciemniejszych od siebie braci.

— Niech tylko Bóg pobłogosławi naszej kolonii w Sixtenlots, niczego więcej nie pragnę — zawołał wzruszony ślusarczyk.

— Nie utrzymacie się w Sixtenlots, ani wy, ani ktokolwiek z białych osiąść tam zamierzy — powiedział Gerald, którego twarz łagodniała pod wpływem słów Stefana.

Nie utrzymamy się, coż więc pozostaje nam czynić? zawołał z żalem ślusarz.

(d. c. n.)

Wróbel i wiewiórka.

Bajka przez L. Żegotę.

Śmiał się wróbel, gdy widział na drzewie wiewiórkę, Jak zbierała orzechy w ukrytą komórkę.

— Po co — mówił do siebie — tak chciwą jest ona, Że wśród lata się trzodzi i zbiera nasiona?

Było lato, minęło. Nadeszła wnet zima:

Nigdzie ziarn ni owoców, ni nasion już niema...

Wiewiórka ma zapasy, zbierane w lecie,

Wróbel przymiera głodem, *nie trzodził się przecie!*...

Z OSOBLIWOŚCI ZAMORSKICH.

- 1) Cztery świątynie w pniu jednego drzewa. 2) Łodzie ze skór zwierzęcych.

Dajemy dziś dwie ryciny, które z pewnością zaciekawią naszych czytelników. Pierwsza z nich przedstawia osobliwość, którą nawet w Chinach, jej ojczyźnie, uważają za rzecz godną uwagi. Widzimy na niej pień olbrzymiego drzewa, mieszczącego w sobie aż cztery małe pagody. Wewnątrz pnia wyrżnięto kręte schodki, po których można się dostać aż na sam szczyt najwyższej świątyni. Druga rycina przedstawia przeprawę przez rzekę w Indyach, u podnóża gór Himalajskich. Krajowcy nie uważają wszelako tego sposobu przeprawy przez rzeki za rzecz nadzwyczajną, chociaż my, gdybyśmy zobaczyli podobne łodzie na Wiśle, prawdopodobnie uśmielibyśmy się porządnie. A jednak

sposób ten jest bardzo praktyczny. Każdy z krajowców, udających się w dalszą podróż, zabiera z sobą odpowiednio wyrobioną skórę bawołu, wołu, lub barana, wydetą powietrzem. Skóra nie jest zbyt ciężka do niesienia, a gdy się zdarzy po drodze rzeka, rzucają skórę do wody, siadają na nią i płyną, jakby łódką.

LOGOGRYF KROPKOWANY.

Nadesłał * * z Warszawy.

Bi—bi—bum—czor—d rór—flis—hal—hra—jaw—ka—ko
le—ma—mo—na—na—ni—nius—mo—nu—ny—pieśń—sław
sta—strasz—ta—ver—wid—wie.

* * * * *

. *
. *
. *
. *
. *
. *
. *

Z podanych sylab złożyć 8 tytułów utworów muzycznych, jednego ze sławnych kompozytorów naszych. Literę tych wyrazów rozstawić w rzędach poziomych kropek na podanej figurze tak, aby wiersz pierwszy poziomy, oraz pionowy, oznaczone gwiazdkami, utworzyły:

1-szy poziomy — imię i nazwisko, pionowy zaś — nazwisko kompozytora złożonych tytułów utworów muzycznych.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go

Szaraady: Na — gro — dy.

Zagadki: Ż o ł ą d e k .

Nasze konkursy II-go półrocza.

Nadeszły wakacje! Przyjemna to pora, korzystajcie z nich kochani czytelnicy i czytelniczki „Wieczorów;” używając jak najwięcej ruchu na świeżem powietrzu, rozwijając płuca i mięśnie, zbierajcie siły na następny rok szkolny. Ale zdarza się przecie, że deszcz pada czasem, albo że upał zbyt wielki, że zresztą przyjdzie ochota posiedzieć, poczytać, pomyśleć i popracować, tak z własnej woli bez przymusu ani z obowiązku, ale zawsze z pożytkiem dla siebie i drugich. Z tą myślą ogłaszamy dla was dwa konkursy z nagrodami.

I. Konkurs na wypracowania — trzy tematy do wyboru dla wszystkich czytelników i czytelniczek „Wieczorów.”

1) Jaki ze znanych mi wynalazków uważam za najdonioślejszy i najpożyteczniejszy i dla czego?

2) Napisz historię jakiego kwiatu w dowolny sposób. Np. wyobraź sobie, że jesteś bławatkiem i przechodzisz różne koleje przed i po zerwaniu i t. p. (można z rysunkami lub ozdobami).

3) Napisz powiastkę na tle umieszczonej na ostatniej stronie ryciny.

Przy ocenianiu prac konkursowych będziemy mieli na względzie nie tylko treść, lecz zarówno styl i poprawność języka oraz rysunki i ozdoby. Nie mamy nic przeciwko zasięgnięciu rad przy obmyśleniu wypracowań, ale prosimy, aby były pisane bez pomocy i poprawek starszych, przymtem wyraźnie i porządnie na jednej stronie kartki.

Termin nadsyłania wypracowań I-y września r. b.



II. konkurs na roboty ręczne.

„Panienki, panienki, znów do was wezwanie,
Niech zabrzmi rozgłosnie, jak echo po łące,
Niech igły i nici wprowadzi w ruch skory,
Gdzie tylko dziewczeczki czytają „Wieczory”.

Jak zwykle, w tym konkursie nie idzie nam o jakieś wyszukane roboty z drogich materiałów, lecz o proste i zwyczajne, które nie powinny być obce żadnej kobiecie, byle starannie i z pewną umiejętnością wykonane. Ze względu zaś, że przysłane rzeczy będą przed świętami Bożego Narodzenia rozdane ubogiej diatwie, ochronkom i zakładom dobroczynnym, a więc zastosowane do ich potrzeb, ogłaszamy konkurs na trzy rodzaje robót.

1) Bieliznę dzieciinną, 2) Sukienki i ubranka.

3) Roboty włóczkowe (kaftaniki, spódniczki i t. p.)
Nadto bieglesze i wprawniejsze panienki mogą przysłać na konkurs próby swej umiejętności w wykonywaniu trudniejszych i zbyt kowniejszych robót, jako to haftów, koronek, wyszywania oraz rysunków.

Tylko przy skrajaniu pomoc starszych jest dozwolona.

Termin nadsyłania robót — 1 października r. b.

Warunki dotyczące obu konkursów. Za najlepsze wypracowania i roboty ręczne redakcja udzieli pewną ilość nagród przeważnie w nowszych powieściach dla młodzieży.

Przy każdym wypracowaniu należy podać imię, nazwisko, wiek (rok 10-y; 11-y; i t. p.) adres, i te same wiado-

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na półrocze 2-gie dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: W chacie góralskiej, wiersz p. Maryę Łopuszańską (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii p. Wł. Umińskiego. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Autor Sobótki, przez W. Morzkowską (z portretem). — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Wróbel i wiewiórka, bajka przez L. Żegotę. — Z osobliwości zamorskich: Cztery świątynie w pniu jednego drzewa, Łódzie ze skór zwierzęcych (ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. — Nasze konkursu II półrocza. — Dodatek: Grymaśnicy, wiersz przez Helenę Bojarską (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — W Krainie wiecznego wesela, baśń przed. w teatrze marionetek. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 10 Іюня 1902 г.

Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

mości wypisać na kartkach i przyszyć je do każdej sztuki przysyłanej roboty, kto w sprawozdaniu nie chce być ogłoszony z nazwiska, niech doda pseudonym

Na kopertach z wypracowaniami trzeba notować z boku: **wypracowanie** i do tych kopert żadnych listów z zapytaniem czy zapytowaniami nie dołączać, gdyż będą otwarte dopiero po 1-y m wrześnie. Listy niedostatecznie frankowane przyjmowane nie będą.

Z powodu trudności przy odbieraniu posyłek zagranicznych, prosimy czytelniczki nasze, aby roboty ręczne przysyłały tylko przez okazję; wypracowania mogą być wysyłane pocztą.

Adres. Warszawa. Mazowiecka 10, „Wieczory Rodzinne.”

Od Redakcyi.

W III-im kwartale oprócz dalszego ciągu drukujących się obecnie powieści, rozpoczniemy nader ciekawą powieść fantastyczno-naukową z ilustracyami.

Pierwsi ludzie na księżycu H. G. Wells'a

Mamy w tece „Dalsze losy paniczka” Z. Morawskiej i kilka krótszych opowiadań treści rozmaitej.

W IV-ym kwartale roześlemy wszystkim prenumeratorom powieść p. t. „Chudziak,” jako premium bezpłatne na rok 1902:

OGŁOSZENIA.

**Zakład naukowy 8-io klasowy żeński
Heleny Kaplińskiej**

dawniej Ł. Żelezskiewicz

w Krakowie, ulica Gołębia Nr. 5.

przyjmuje uczennice stale i przychodnie na dotychczasowych warunkach.

Zapis na rok szkolny 1902/3 codziennie.

Kurs przygotowawczy do studyów uniwersyteckich. 3—1

NOWY WYNAŁAZEK.

Patentowane amerykańskie maszyny do pisania
dla dzieci w cenie

rub. 2 i rub. 3 za sztukę.

Sprzedaż u H. Łaski & C^o w Warszawie

HOŻA 46.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Stefek Łuty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Pan jesteś dobry, mówiłeś do mnie jak do równego sobie brata, słuchaj więc z kolei, co ja ci powiem. Ten liść zapowiada wam wojnę. Nie wiem kto go pisał, zapewne dziewczyna, której ocaliłeś życie. Patrz, rysunek *) przedstawia człowieka zabitego strzałami. Człowiek ma na twarzy i na rękach białe listki; chciano więc w ten sposób zaznaczyć, że poległym będzie biała twarz, czyli biały człowiek. Tobie i twoim grozi niebezpieczeństwo, którego radzę nie lekceważyć. Za trzy dni napadną Indianie na waszą kolonię.

— Mamy fuzye, odeprzemy napaść.

— A czy potrafcie bronić się przed nieustanną zasadzką Botokudów? Gdziekolwiek postawicie nogę, czyhać będą na was z zatrutą strzałą, lub gorszym od strzały podstępem. Daremnie wylejecie potoki krwi. Dziki nie odda swej ziemi.

— Cóż więc mamy czynić? — zapytał zniechęcony Stefan.

— Nie wiem, ale o kilka dni drogi na północ, w Kurytybie, widuję ludzi, którzy przyszli jak pan z za morza. Włosy ich jasne podobne do waszych. Osiedlili się na gruntach bezleśnych, nikt też nie broni im ziemi. Tam żyją spokojnie. Zrób pan jak oni, idź na północ, postaw dom, ożeń się z białą dziewczyną podobną do Marytty, którą poślubił mój brat, i żyj szczęśliwy!

rys. Wł. Jasieński.

Gaudahani mieszał odwar kością bardzo do piszczeli podobną...

*) Wszystkie szczegóły tego rysunku są zaczerpnięte z autentycznych indyjskich wzorów.

Taką radę dał Stefanowi Gerald. Nie zwracał on już więcej uwagi na gości, bo nadchodził wieczór, a więc czas objeżdżania stad. Mulał dosiadł konia, Stefan skoczył także na swego wierzchowca i znikł w bezmiernej puszczy.

Rozdział XVII.

Burza. — Gdzie szedł Sęp. — Jaskinia. — Czarodziej Gundahani. — Zaklęcia. — Niespodziewany gość. — Gniew. — Ucieczka. Urary straciła moc. — Biedna sarna, biedna Suya.

Gerald miał słuszną rację; burza nie groziła jego stadom, Zato chmura zawisła złowrogo nad polską kolonią w Sixtenlots. Osadnicy słuchali z niepokojem grzmotu, wiatr trząsał grubymi konarami drzew i zapowiadał nawałnicę.

Nie mieli się gdzie schronić przed burzą, sklecone na prędce baraki złą były osłoną od deszczu, przytem ulewa mogła zniszczyć zasiewy. Wykarczowali i uprawili wielkim trudem ziemię, więc też plon tej ziemi był im bardzo drogi. Urodzaj zapowiadał się dobry. Rosła na zagonach czarna fasola, dynie, kukurydza, rosły badyle mandioku. Nie żytko to jeszcze, nie złota pszenica, nie wąsaty jęczmień, nie te zboża do których przywykli za młodu, ale każdy plon ciężkiej pracy cieszy serce, cieszyli się więc koloniści spodziewanym zbiorem.

Żywili się dotąd szyszkami araukaryi, które po ugotowaniu smakują jak słodkie kasztany, czubki palmity przypominały Mazurom głąbie ulubionej kapusty. Miodu było pod dostatkiem, bo w Brazylii jest pszczoł wielka obfitość, w spróchniałem drzewie można słodkiego przysmaku wziąć ile dusza zapagnie. Nie brak też różnorodnych owoców, nie brak zwłaszcza ryb w wodach a zwierza w puszczy. Trudno się nawet opędzić od tego „robactwa” (bi-cho) jak nazywają miejscowi osadnicy. Stada małp, papug, tapirów, grożą nieustannie zasiewom. Dla obrony od drapieżnego zwierza, jaguarów, pum, ocelotów, przywieźli koloniści z Rio brytany i te w nocy pilnowały bezpieczeństwa osady.

Mieli więc nasi rodacy ryb z rzeki a mięsa z boru dostatek, jeśli plon ziemia da pomyślny, to będzie z czego wypieć i chleb.

A należało się kolonistom ten chleb kochany w nagrodę za poniesione trudy. Tyle użyli pracy, zanim wydarli puszczę kawał uprawnego pola, tyle razy tęsknota żarła serce biedaków.

Tęsknota gorsza jest nawet od choroby. Choroba cię zmoże, a czasem znów ty zmożesz chorobę i wracasz do pracy. Z tęsknotą inaczej, niby nic nie boli, a jednak dręczy coś i nęka. Zawodzi w tobie dusza, przypomina ukochane strony, na cokolwiek spojrzysz, inne ci się wydaje niż to, do czego przywykłeś od dzieciństwa.

Inaczej też wyglądały drzewa, ptaki, zwierzęta czworonożne w Sixtenlots niż w Polsce, inaczej płyną tam strumienie, zdradliwa woda spada nagle w przepaść bezdenną, inne nawet gwiazdy świecą nocką.

Tylko srebrny księżyc i złote słońce takie, jak u nas w kraju. Aż raźniej człowiekowi, gdy pomyśli, że miesiąc i słońce od polskich stron idą.

— Piłós słońce rośną na ojcowych zagonach, opuść choć kropelkę tamtejszej wody na moje kwiatki — myśli Kasia Skowronkówna, kopiąc grządkę pod rutę.

Śmieją się z niej starsze gospodynie, że jeszcze Brazylińskiego chleba nie doczekała, a kwiatki siać będzie, ale ona na żarty nie zważa. Przywiozła szczyptę nasionek z kraju, trzymała je związane w róg chusteczki, czemuż nie miałyby posiać? Takiego ziółka nie dostanie w puszczy.

Kasia знаła się na ziołach, rwała w wigilią Bożego Ciała rozchodnik, macierzankę, kopytnik, grzmiotek, nawrotek, rosiczkę, i Boże drzewko, bo z siedmiorakiego zioła wije się wianki, które proboszcz święci w kościele. Ona wie,

z czego należy ułożyć snop na Matkę Boską Zielną. Nie pomyli traw, inne wtedy a inne wtedy przypadają. Matce Boskiej służy bylica, trzosce, wszelkie zboża, a także wrotycz i piołun, jako, że są gorzkie zioła, serce zaś Najświętszej panny goryczą się poilo pod krzyżem.

To wszystko wie i zna Kasia, wiedzą i inni w kolonii; bo oddaleni od kraju tem chętniej wspominają dawne zwyczaje i wszystkie obrządki kościelne. Ach ten kościół! jakże bez niego źle, smutno, tęskno. Ani się gdzie pomodlić, ani gdzie zapłakać, gdy żal serce ścisnie. Tomasz przybił wprawdzie obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej na ścianie. Nakrył go zielonym daszkiem i w niedzielę śpiewa gromada nabożne pieśni pod drzewem, a Kasia stroi świętą panienkę w najpiękniejsze kwiaty, ale to przecie nie kościół! Nie zatrzepoce się sygnaturka w powietrzu jak skowronek, nie uderzą dzwony na radość i zbudowanie ludzi. Nie wyjdzie stary proboszcz w białej komży nauczać gromadę, jak żyć z Bogiem należy.

— Oj nie, nie. Smutno tu w niedzielę smutniej jeszcze niż w dzień powszedni — myśli Kasia siejąc rutę. Ubrałaby w nią głowę do ślubu, bo Wojciech Skiba rad na Kasię spogląda, ale gdzie szukać księdza? W Sixtenlots nie ma komu ogłosić zapowiedzi, więc smucą się młodzi. Tylko, że ktoby tam młodych żałował, oni wszędzie pociechę znajdą. Spracowane to, stęsknione za krajem a niech tylko Wicek muzykant chwyci skrzypce a Jasiek flecista zadmie w trzcinową piszczałkę, to zaraz dziewczuchy obłapują jedną drugą i Kasia, nie bacząc na Wojciecha, obraca się jak fryga w obertacie. Młodzi zwyczajnie młodzi, wszystko się im na radość zamienia. Ale starsi kręcą głowami i rozważają w sobie każdą sprawę. Im wesele nie wróci do serc, bo oni to własnowolnie opuścili swoją ziemię, na ich sumieniu odpowiedzialność i za tych niedoświadczonych, których podciągnęli za sobą i za kolonią jeśli zmarnieje zbiorowa praca.

— Żeby przynajmniej plon był obfity — myślą wychodźcy, słuchając z niepokojem gromów, które walcą nad puszczą.

Słuchał tych gromów z innem zupełnie uczuciem Ponury Sęp. Co mógł robić między skalistymi pagórkami samotny wódz Indyan? Gdzie podzieli się jego towarzysze: odważny Manao, chytry Makusi, i Waika, którego szalał przybrany był czaszkami poległych Irlandczyków? Dla czego Sęp stał tak ostrożnie, dla czego obojętny na ulewę, bo bezrolny, badał niespokojnem okiem chmury, dla czego on nieustraszony w walce drżał ilekroć grzmot wstrząsnął powietrzem?

Prawda, że miejscowość, którą przebywał, nie była wcale podobna do rodzinnych lasów wodza.

Powietrze przepełnione było wilgocią i zapachem siarki. Zapach ten wzmagał się w miarę, jak Sęp mijał dolinę i zstępował do parowu wyżłobionego pod powierzchnią. Chmury zasłoniły słońce, ale rozpadlinę, po której szedł wódz i w jasny dzień zalegać musiał zmrok.

Straszno tu było, ponuro, groźnie. Indyanin przyspieszał kroku, choć dreszcz trwogi kurczył twarz wojownika. Kłęby białych oparów szły z głębi pieczary i zasłaniały wejście. Z po za wilgotnej firanki słyszeć się dawał ponury śpiew czy jęk. Ktoś uderzał pałką w kościany bęben i przy głuchym akompaniamencie tego dziwnego instrumentu wymawiał zaklęcia zrozumiałe dla uszu Botokuda.

— U hu hu! u hu hu! u hu hu!

— Wielki Duch stworzył Jaguara i Jararakę.

— U hu hu! U hu hu! U hu hu!

— Wielki Duch pomści swe dzieci.

— Przyszły z za wody białe twarze.

— Chwytały Burungów w sidła i więzy.

— Kazały im służyć sobie i rozdzierać matkę ziemię,

— Kazały siać w nią nasienie.

— Matka ziemia sama sieje swoje ziarna,

— Roznoszą je wiatry na cztery strony świata.

— Wielki Duchu ukarż zuchwalców!
 — Daj moc jadowi żmii, niech zakazi pociski Burungów
 — Daj moc korzeniom zielska, niech sączą z siebie truciznę.
 — Burung umoczy strzałę w jadzie żmii w truciźnie zielska.
 — Będzie rzucal pociski na białe twarze.
 — Białe twarze! białe twarze! białe twarze.
 — Wielki Duchu! każ, aby pożarł je jaguar.
 — Wielki Duchu, każ, aby zdusiła je jararaka.
 — U hu hu hu! U hu hu hu! U hu hu hu!
 — Tyś stworzył jaguara i jararakę, ty wytepisz białe twarze, każesz wiatrom zwiać im prochy z ziemi Burunga.

Sęp nie przerywał hymnu, zdawał się owszem łączyć swoje prośby do zaklęć czarnoksiężnika. Dopiero kiedy ustał śpiew połączony z jękiem i przerywany tępymi uderzeniami w bęben, wódz zawołał po trzykroć.

— Gundahani, wyjdź o wielki Gundahani! potężny Gundahani! Czarnoksiężnik spodziewał się widać gościa, bo nie okazał zdziwienia. Większe wrażenie zrobił głos przybysza na zwierzętach zamieszkujących jaskinię. Stado nietoperzy oderwało się od pułapu, a sowy ukryte po kątach załopotały skrzydłami i rozpędziły obłok pary, który zasłaniał wejście grotu. Była ona cała wilgotnym oparem pokryta. Opar unosił się nad gorącym źródłem które biło wysoko w górę. Źródło musiało zawierać mineralne pierwiastki, bo wydawało woń siarki. Oto stał przed nim starzec bardzo chudy, więcej do mumii niż do człowieka podobny, i uderzał maczugą w czaszkę. Kilkanaście takichże czaszek stało dokoła gorącego źródła, czarnoksiężnik gotował w nich swoje trucizny. Wszystkie kąty jaskini zasłane były pekami ziół, a ze ścian zwieszały się szkielety na pół ognilych węży i sznury zębów jaguara uczepione u włókien roślinnego łyka.

Grzmot wstrząsnął tak silnie powietrzem, że echo gromu wdarło się do podziemnej jaskini.

— Wielki Duch grozi Burungom! — zawołał Sęp i chwycił amulet, który miał zawieszony na szyi.

Gundahani podniósł głowę, spojrzal obojętnym wzrokiem dokoła i zatrzymawszy ów wzrok na wodzu Indyan, uśmiechnął się pobłażliwie, nie raczył jednak wyrzec ani jednego słowa.

On, czarnoksiężnik, zamawiacz trucizn, znał wolę, znał głos Wielkiego ducha. Strawił przecież życie w jego służbie spędził je samotnie, dręcząc ciało srogimi postami i odmawiając sercu związków z ludźmi. Język Gundahaniego nie dotknął pieczonego mięsa, ani ryby; karmił się korzeniami roślin i mrówkami, które nawiedzały czasem jaskinię. Zato nigdy trucizna nie była tak skuteczną jak urary, *) Śmiertelny ten napój, przyrządzony przez Gundahaniego z korzeni roślin i jadu żmii, a gotowany w cudownym źródle, zabijał każdą ofiarę.

Taką bowiem jest wola Wielkiego Ducha, urary wtedy tylko będzie skuteczna jeśli nie urzeknie jej wzrok niewiaasty.

Sęp stał przed źródłem, nie śmiejąc przerywać zaklęć, które Gundahani wymawiał półgłosem. Wlewał on jednocześnie zielony płyn do czaszek i mięszał odwar długą kością, bardzo do piszczeli ludzkiej podobną.

Nic nie mąciło uroczystego nastroju chwili, kiedy nagle wódz Indyan skoczył ku wejściu z oznakami najwyższego przerażenia. Wprawne ucho Sępa dosłyszało łopotanie kołatki. Taką kołatkę nosiła na szyi tylko sarna jego córki.

— Co to jest! miałażby Suya?

Nie dokończył bo przeląkł się własnej myśli. Grzmot wstrząsnął jaskinią.

*) Urary, albo kurary, odwar z ziół trujących, w którym Botokudowie maczają strzały dla zatrucia pocisków.

— Czemu grozisz Wielki Duchu? — jęknął Sęp — miałażby moja córka...

Kołatka ozwała się wyraźniej. W otworze jaskini stanęła sarna a tuż za nią biała i drżąca Suya.

Czarodziej upuścił piszczel, wyprostował się i wpał trzymał w dziewczynę krwią zaszczeni oczyma. Potem wyciągnął ręce wodza i trząsał niemi ze zgrozą.

— Przekleństwo na twoją głowę — krzyczał ochrypłym głosem — zniszczyłeś robotę długich dni i nocy. Urary straciła moc. Czemu naprowadziłeś tu to nieczyste stworzenie? Drżysz przed gniewem Wielkiego Ducha. Precz! przekleństwo! przekleństwo!

Odwracał oczy, zasłaniał je rękami i spluwał na znak obrzydzenia.

— Dlaczego przysłaś nieszczęsna? — zawołał Sęp, budząc się z osłupienia, w jakie popadł na widok córki. Milczała.

(d. c. n.)

Pogadanki z dziedziny chemii.

II. Siły przyciągające bywają rozmaite.



Wszystkich ciałach twardych daje się obserwować siła przyciągająca, na zasadzie której najdrobniejsze cząsteczki danego ciała trzymają się razem, tworząc jedną całość, zamiast się rozproszyć na wszystkie strony. Kawałka żelaza, kamienia dla tego nie można bez wysiłku rozłuc na proszek, że wszystkie jego cząsteczki wzajemnie się przyciągają. Pomimo to jednak wiemy, że owe cząsteczki nie stykają się bynajmniej ze sobą, gdyż przez ciśnienie możemy zmniejszyć objętość ciał stałych. W obec tego należy przyjąć, że cząsteczki ciał stałych znajdują się w pewnej od siebie odległości, i że przyciąganie jest tutaj czemś innem, aniżeli przyklepienie naprzykład jednego kawałka drzewa do drugiego przy pomocy kleju.

Oprócz przyciągania istnieje atoli i odpychanie się wzajemne cząsteczek. Jeśli bowiem ściśnięte w prasie żelazo pozostawimy samemu sobie, to wraca ono do pierwotnej objętości. Znaczy to, że jeżeli siła przyciągająca pomiędzy najsilniejszymi cząsteczkami materii, zwanymi przez chemika atomami, przekroczy pewne granice, wtedy zachodzi odpychanie się wzajemne pomiędzy niemi.

Planety, krążące we wszechświecie, gwiazdy przyciągają się podobnie jak atomy z odległości z siłą, która szybko maleje w miarę powiększania się przestrzeni, dzielącej ciała niebieskie. Jednakże nie znamy wypadku, ażeby tego rodzaju siły przyciągającej towarzyszyła siła odpychająca, mamy tu więc do czynienia z jakąś inną siłą. Mówimy także, że magnes ma siłę przyciągającą żelazo, ale i siła magnetyczna jest czemś innem. Magnes bowiem posiada dwa bieguny, które przyciągają różnoimienne bieguny innego magnesu, odpychają zaś jednoimienne.

Ciała naelektryzowane także odpychają i przyciągają się wzajemnie, przyczem można dość łatwo oddzielić elektryczność dodatnią od ujemnej, czego naprzykład nie potrafilibyśmy dokonać z magnetyczną siłą, a więc zrobić

igłę magnesową, któraby miała tylko jeden biegun, albo też była zupełnie jednostajnie w całej swej masie siłą magnetyczną. Magnetyzm usadawia się nadto na stałe w igłach magnesowych i nie można go ztamtąd wydobyć, ani przenieść na inne ciało; tymczasem elektryczność pozwala się dowolnie nagromadzać na ciałach, wydobywać z nich, przenosić z jednego przedmiotu na drugi, jak gdyby była jakimś płynem, który można przelewać z naczynia do naczynia, przepuszczać przez rury i t. d.

Otóż siła skłonności chemicznej nie ma prawie nic wspólnego z powyższymi siłami przyrody; polega ona wprawdzie na sile przyciągającej, ale ta siła ulega swym własnym prawom i posiada szczególne własności, które czynią ją zupełnie odmienną od innych sił przyrody. Trzeba się zastanowić nad temi szczególnymi własnościami siły chemicznej, ażeby zrozumieć, w jaki sposób może ona wywoływać przemiany we własnościach ciał, na które działa.

Wł. U.

Trzy chwile z życia królowej Zofii,

przez
Z. Morawską.

I.



co teraz będzie z naszą księżniczką? co z naszą Sońką, sierotką! — biadała łamiąc ręce piastunka Nada.

— Oj, oj! — westchnął, kiwając głową stary Wajdul, rządcą zamku i wierny sługa książąt Holszańskich na Holszy *).

Nada chwilę czekała na jego odpowiedź a tymczasem gładziła jasne włosy trzyletniej Sońki, która w nieświadomości swego nieszczęścia i sieroctwa, spoglądała z pewnem podziwieniem na biegającą piastunkę. Wreszcie objęła ją za szyję i przytuliwszy się do niej z serdeczną pieśczęcią, zaszczebiotała:

— Nie płacz, nie płacz, Sońka caca.

— O, moje ty złoto, moje ty skarby, nie wiesz, jakie na ciebie spadło nieszczęście! — woła piastunka wdychając i przytulając małą do piersi.

Wajdul zawtórował jej westchnieniom, a oparłszy łokcie na kolanach, żalonym powtórzył głosem:

— Oj, oj, oj!

— Chociaż książkę zginał na wojnie, to póki księżna żyła, wszystko było na jej głowie.

— Oj, wszystko było, oj! — rzekła z westchnieniem Nada.

I tak oboje biadali, kłócąc się i sprzecząc. Mała zaś Sońka z początku chodziła od piastunki do rycerza, opierała rączki na ich kolanach, przechylała głów-

kę na wszystkie strony i przypatrywała im się ciekawie, nie mogąc zaś nic zrozumieć, poczęła chwytać rączką promienie słońka, wdzierając się całą smugą, przez wązkie, długie, otwarte z zapyry okno. Kto wie, jak długo trwałoby to biadanie i zabawa dziecka, lecz nagle wpadł do izby wyrostek i zdyszany głosem zawołał;

— Duży poczet do zamku jedzie!

— No, to już i koniec! ot tobie dola dziecino, wypędzą cię, wypędzą! — wołała Nada.

I pochwyciwszy Sońkę na ręce, poczęła biegać z nią po komnacie.

— Sońka miała słońeczko, niania wyrzuciła — skarżyła się dziecino, pokazując pustą rączkę.

— Oj, zajdzie dla ciebie na wieki słońeczko zajdzie, jak ci źli ludzie księstwo odbiorą — mówiła Nada.

— A rzucajże dziecino tę garstkę w ogień, rzucaj — toć może bogi ulitują się nad twojem sieroctwem! — dodała, syjąc dziecieniu w rączkę nieco prosa, które przed kominem na glinianej miseczce stało.

Sońka z wielkim rozmachem rzuciła ziarenka, a kłasnawszy w rączki z tryumfem, zawołała:

— Już!

Gdy zaś proso zaczęło syczeć, palić się na węglach i niebieskawy dymek wydawać, wołała:

— Sss — sss — o!

Ale piastunka nie zwracała uwagi na te objawy radości, tylko przyciszonym głosem wymawiała jakieś wyrazy, wpatrywała się w ogień i płonące proso. Potem z szaloną radością porwała Sońkę na ręce i poczęła z nią biegać po komnacie, wołając:

— Oj, sieroteczko moja, znaczy ci się zła dola, zła dola jako sierocie, ale potem bodaj królewska korona; oho, korona! ziarenka złotem jedno po drugim płonęły.

I jak w poprzednim biadaniu, tak teraz w niepomiarowanej radości dawała folę wezbranemu sercu.

Wajdul tymczasem wybiegł na podsienie drewnianego, wysoko chrustem opasanego zameczka; chwycił łuk, kołczan ze strzałami i rysią skórę na ramiona zarzucił; ba, toć mu nie pierwszyna przyjmować gości, czynił to nieraz i za życia księcia.

Jeno mu teraz dźwięczało w uszach:

— Jada pewnie krewniacy wywłaszczyć sierotkę z zamku, boć jako dziewczynie dziedzictwa nie zostawia.

Marne to było dziedzictwo, to księstwo holszańskie, ledwie się kupy trzymało, o skarbach też w lochach jakoś nikt nie wiedział, ale pocziwi słudzy radziły i tę okruszynę dla małej Sońki utrzymać.

Tymczasem na nędzny most zwodzony wjeżdżał rycerz nie tyle strojny, ile z postawy na wielkiego wojaka i możnego księcia wyglądający.

Pod kopytami konia rosnącego aż się ugięły przegniłe bale mostu, jeździec rękę do oczu przyłożył, aby się od promieni słonecznych uchronić i z pewną pogardą czy politowaniem na biedne otoczenie zamku poglądał.

— Nędzne horodyszcze, książę holszański córce swej pozostawił — mruknął do siebie.

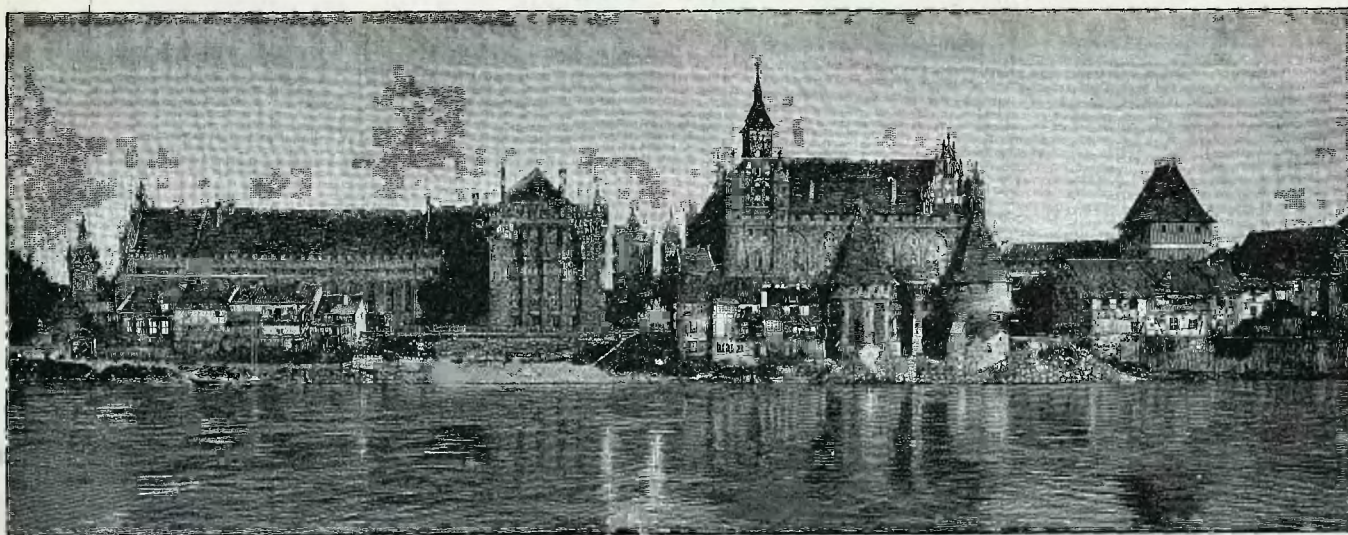
Z temże samem politowaniem spoglądali i towarzyszący mu rycerze.

Jeden zaś mruknął do siebie:

— Serce w kniazu Wi-



*) Dziś w pow. Oszmiańskim. *Pogrzeb Biskupa Bereśniewicza we Włocławku* (str. 216).



Zamek Malborski.

toldzie roztajało snąć w tej gorącej wojnie, kiedy mu się chciało do tej chrześcijanki dotrzeć, boć nie po skarby, oj nie!

A snąć roztajało, bo oto wielki książę Witold przygar-
niał przypatrującą mu się ciekawie małą Sońkę, i na drugi
dzień na ładownym wozie zabrał ją wraz z Nadą do swego
zamku w Trokach.

(d. c. n.)

Zamek malborski.

Wśród żyznej niziny niedaleko ujścia Wisły, zwa-
nej dawniej Zuławami, o 6 mil od Gdańska, wznosi się pię-
kny gród, biorący swe miano od Najświętszej Panny, Ma-
rienburg po niemiecku, Castrum S. Mariae po łacinie
a Malbork po polsku.

Długie już wieki minęły od
1225 roku, gdy łupieżczy zakon
krzyżacki, osiadłszy za zezwole-
niem niebaczego księcia Konra-
da mazowieckiego na ziemi cheł-
mińskiej a następnie malborskiej,
wzniósł nad Nogatem obronne
zameczysko, z którego murów, niby
ukryty w swej sieci pajak, czyhał
pod wzniosłym godłem nauczania
wiary Chrystusowej na coraz nowe
zdobytcze i ofiary swej chciwości
i ciemnoty.

Minęły wieki i choć zbrojny
ten zakon dawno istnieć przestał,
to warowne gniazdo Teutonów,
otoczone głębokimi rowami, ba-
sztami i murami, stoi dotąd po-
tężne, a z „Marienburgskiej wieży”
rozbrzmiewa i teraz jeszcze ten
sam dzwon, który niegdyś wzywał
Komturów i rycerzy do zapusz-
czania krwawych zagonów między
litewskie i słowiańskie ludy, do
tępienia ogniem i mieczem ich na-
rodowości i bytu.

A jak niewzruszone stoją te

mury, tak nie ustała też walka, którą żywioł germański
prowadzi już całe tysiąclecie przeciw słowiańszczy-
źnie. Patrząc na ten gród warowny, wzniesiony w stylu
gotyckim z czerwonej cegły, ze wspaniałym kościołem, na
ten pyszny zamek rezydencję wielkich mistrzów, z obszer-
nymi zabudowaniami, służącymi za mieszkanie rycerzom
— braciszkom, wreszcie na owe zbrojownie, odlewnie armat,
mennice, spichlerze, stajnie i t. d. możemy odtworzyć
w wyobraźni jaskrawy obraz świetnych czasów potęgi krzy-
żackiej. Wnętrze zaś pałacu Wielkiego mistrza jest odpo-
wiednio do całości wspaniałe. Na wyróżnienie zasługuje
wśród wielu innych sal i refektarzy sala „rycerska,” miejsce
walnych zebrzań i sutych uczt, wydawanych przez wielkich
mistrzów a opisanych przez Mickiewicza i Sienkiewicza.

Dnia 15 lipca 1410 r. na polach Grunwaldu i Tannen-
bergu potęga zakonu krzyżackiego została złamana, ale za-
mek Malborski pomimo dwu miesięcznego oblężenia, nie
mógł być wzięty.

W jednej ze ścian tej sali nad kominem tkwi od r.
1410 kula działowa. Oto jej historia, wedle opowieści Dłu-
gosza: Jagiełło, oblegając po bi-
twie Grunwaldzkiej zamek mal-
borski, słyszał o tej sali osobli-
wej. Znalazł się też na zamku
pachołek, który królowi. przyo-
biecał pokazać się z czerwoną
czapką na głowie w oknie tej sali
właśnie wtedy, gdy wielki mistrz
i najznakomitsi rycerze będą tam
zgromadzeni na radę. Gdy król
umówiony znak ujrzał, kazał pu-
szkarzowi wymierzyć działo w tę
stronę, w nadziei, że kula filar
roztrzaska, a zapadające się skle-
pienie zebranych w gruzach po-
grzebie. Kula o kilka cali chy-
biła.

Dopiero w 56 lat po bitwie
grunwaldzkiej skutek pokoju To-
ruńskiego Malbork stał się głów-
nym miastem województwa i ko-
lejno przyjmował w swych murach
Zygmunta III-go, Stanisława Le-
szczyńskiego i Augusta II. Od
strony północno-wschodniej zam-
ku naprzeciw bramy zamkowej
stoi śpiżowy posąg króla pruskie-



Sala rycerska w zamku Malborskim.

go Fryderyka II ku pamięci, iż zajął to miasto i ziemię w posiadanie w 1772 roku. Nie umiał on wszakże w swej praktyczności żołnierskiej uszanować dawnych pamiątek i zabytków świętości zakonu niemieckiego, bo w pięknych tych murach urządzono z jego rozkazu magazyny wojskowe i koszary, przez co zamek byłby popadł w zupełną ruinę, gdyby w 1815 r. nie usunięto wojska i nie rozpoczęto jego naprawy. Szczególną jednak opieką otoczył to miejsce obecny cesarz niemiecki Wilhelm II, który dokończył naprawy, dość często zamek odwiedza i ostatnio urządził w nim zebranie kawalerów zakonu Jeannitów.

Opodal od grodu rozkłada się właściwe miasto Malborg, dawna siedziba sług i pachołków krzyżackich, z ludnością mieszaną dochodzącą do 12 tysięcy.



Zofia Kłowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

XVI.

Zapanowała zima i dzieci miały tysiące rozkoszy z jej powodu. Mustra podkomendnych Zdzisia szła znów w najlepsze. Trzeba było naprawiać nieporządki i błędy, które się wkradły do załogi podczas całomiesięcznych wakacji, przytem wódz uznał, że przy dzisiejszej taktyce wojskowej, każdy żołnierz, jakiegokolwiek jest broni, powinien jednocześnie być saperem. Szańce, wały, obozy, to była teraz rzecz pierwszorzędnej wagi. Robiono więc w polu obóz, w którym były postawione budki z chrustu, obsypane następnie wilgotnym, zlanym wodą śniegiem, a tak dokładnie ułożonym w kształt beduińskiego namiotu, że nic tej budowie zarzucić nie było można. W środku każdego namiotu trzech do czterech chłopców, przytulonych do siebie pomieścić się mogło. Niepodobna było zostawić obszerniejszego miejsca wewnątrz, gdyż ściany śniegowe, utrzymywane przez chrust, musiały być bardzo grube. Namiot Zdzisia odznaczał się od innych tem, że przed nim stały zatknięte dwie chorągwie, a na samym czubku stał buzdygan, zrobiony ze starej kuli od krokiet, zatkniętej na kiju. W koło obozu usypano ogromny wał ze śniegu, z blankami i strzelnicami, a tak foremny i piękny, że jego twórcy nacieszyć się nim nie mogli. Zdarzyło się tak szczęśliwie, że po malej odwilży przyszedł nagle silny mróz, utrwalił on pracę chłopców, w której i Józio pomagał z tą wytrwałością i pracowitością, jak się odznaczał. Pomoc swą ofiarował wszakże tylko pod tym warunkiem, że to będzie obóz, w którym oszańcuje się legion, mający na celu bronienie nieszczęśliwych murzynów, przeciwko okrutnym i chciwym Arabom, przychodzącym palić wioski murzyńskie, brać biednych murzynów, skubać ich parami za szyję a następnie sprzedawać na targach, w tych krajach, w których jeszcze niewolnictwo istnieje.

Zosia z Alusią prosiły, by je przyjęto na siostry miłosierdzia, ale pułkownik rozporządził inaczej. Siostrą miłosierdzia została tylko Zosia, Alusię zaś mianował wiewandyerką, czyli przekupką, wiozącą za obozem rozmaite przekąski. Pani Zabrzeska, chcąc dogodzić dzieciom,

przysyłała przez Alusię do obozu: jabłka, pierniki, orzechy i ciastka.

Jańcio żałośnie prosił o jaką posadę w obozie, ale że jeszcze nic robić nie umiał, więc wódz otrąbić kazał, że odtąd Jańcio nazywać się będzie „dzieckiem regimentu,” potem zaś wytłomaczył w pięknej przemowie, że być: „dzieckiem regimentu,” znaczy mieć prawo do opieki ojcowskiej każdego szeregowca, należącego do oddziału.

Zdzis z Józkiem trochę się przytem posprzeczało, bo Józio chciał, żeby Jańcio nie był „dzieckiem regimentu,” ale sierotą murzyńskim, któremu Arabowie wymordowali całą rodzinę i który znalazł przytułek w obozie. Projekt Józia bardzo się podobał Alusi, podjęła się zaraz usmarować Jańcia na czarno, ale Zosia poparła zdanie Zdzisia twierdząc, że mamuleczka byłaby bardzo niekontenta, gdyby Jańcio miał twarz sadzą pomazaną.

Gdy obóz był gotów, postanowiono wzniesć cztery forty, nieco od niego oddalone, a budowane tak, jak podobno budowaną była wieża Babel, ze ścieżką biegnącą w ślimaka w koło. Taczkowano i noszono śnieg, wożono go nawet kucami, należącymi do starszych chłopców. Robota szła tem raźniej, że wódz otrąbić kazał ważną wiadomość: nieprzyjaciół jest blisko.

W ustach pułkownika były to widocznie wieszcze słowa. Nieprzyjaciół był blisko w istocie i ukazał się w osobie ekonoma Dyrmunta, zacnego Litwina, mającego siłę Samsona, a barki i ramiona Goliata.

— Ee... taka robota — krzyknął głosem tubalnym, stanawszy przed szaniami — to się psu na budę nie zdała! Ja mam wozić nawóz na to pole, a paniczowie mi tu zgarniają śnieg i z jednego miejsca na drugie przenoszą! W jednym miejscu wydarłście go aż do gołej ziemi, a w drugim będzie leżał kupą do maja, bo to nie lada słońca trzeba na to, żeby te wały rozpuściło. To wszystko by trza porozbijać, porozwozić...

Mówiąc to, Dyrmunt, ręką okrytą potworną rękawicą, wziął za wierch blankowanego wału i chciał rozwalić, ale wał ze śniegu zmoczonego wodą, stwardniał na mrozie tak, że nawet samsonowej sile Dyrmunta na razie się oparł. Zawstydzilo to trochę olbrzyma, który uderzył w wał butem okutym na obcasie grubą podkówką. I to wszakże uderzenie było bezskuteczne... Pozostawiło jedynie ślad podkóWKi na zmarzłym śniegu.

— Do obrony wałów! — zagrzmiął głos Zdzisia.

Ozwały się trąby i surmy, a w strzelnicach ukazały się lufy blaszanych strzelb, z których wypadły pociski.

Dyrmunt stał w długich butach, w grubym kozuchu, w baraniej czapce na głowie, z rękami w futrzanych, bezkształtnych rękawicach, wzięwszy się pod boki, śmiał się tak, że śmiech ten wychodzący z olbrzymich, zdrowych piersi, rozlegał się po okolicy i odbijał echem w pobliskim lesie.

Z tej wesołości Dyrmunta skorzystał baczny jak żółraw wódz. Urządził wycieczkę i ze swym oddziałem, jak lew rzucił się na nieprzyjaciela. Dyrmunt obskoczony z nienacka, bronił się, machał rękami jak wiatrak, ale pomimo swej siły, nie mógł się oprzeć dwudziestu chłopcom, którzy chwytały go za nogi, za poły kozucha, czepiali się jego rąk.

— Brać jeńca żywcem! — zabrzmiała komenda.

Dyrmunt śmiał się ciągle, ale skończyło się na tem, że ani rękami ani nogami ruszyć nie mógł.

— Gryźbym — zawołał — żeby nie to, że się zanadto śmieję!

Puszczono go wreszcie wolno, ale musiał naprzód przyrzec, że zaprzestanie kroków nieprzyjacielskich, tak dobrze przeciwko ludziom, jak przeciwko szancom. Były głosy za skazaniem go na głośne przeproszenie pułkownika, który mógł się czuć obrażonym za nieparlamentarne słowa, lecz pułkownik darował osobistą urazę, oświadczając, iż zwycięzca powinien mieć względy dla zwyciężonego.

Po tej walce okazało się, jak pożyteczną była przy oddziale rola siostry miłosierdzia. Dyrmont machając rękami, skaleczył się o broń jednego z chłopców, a w tej samej chwili lecąca przez powietrze rękawica jego, uderzyła w oko Staśka, najmłodszego syna ogrodnika Antoniego. Było więc dwóch rannych.

Wkrótce potem, do murów fortecy przypuścił szturm daleko niebezpieczniejszy nieprzyjacieli niż Dyrmont. Nieprzyjacielem tym były: odwilż i deszcz. Blanki pozapadały się i straciły swoje regularne kształty; forty stały się podziurawionymi i brudnymi kupami śniegu; strzelnice wydawały się jakienis ohydny, płaczącymi oczami.

Ruina była straszna, ale nie zadowolniła bynajmniej nienasyconego Dyrmonta, który przeciwko fortecy Zdzisia wrzał takim gniewem, jak Aleksander przeciwko murom Tyru i który na wzór bohatera macedońskiego, kazał wały i forty z ziemią zrównać, a dla większej hańby, na miejscu, gdzie się wznosiły blanki i palisady, kazał roztrząść nawóz.

Duma i chwała ludzka są tylko marnościami!

XVII.

Rozmawiano bez końca o „tatuńciu” przy śniadaniu, obiedzie, kolacyi i na spacerze. Jedna tylko osoba w Suchowie знаła Amerykę, mianowicie panna Four. Przebyła w niej lat parę, będąc jeszcze bardzo młodą, ale matka jej wolała potem mieć ją w Europie, niż za morzami. Panna Four nie lubiła Ameryki. Utrzymywała, że Amerykanie są ludźmi najbardziej ze wszystkich zarozumiałymi, i że mają akcent francuski tak szkaradny, iż przyprowadził on ją o ataki nerwowe. W Suchowie naprzykład, wszystkich prócz profesora słuchać mogła bez przykrości, zaś w państwie Lincoln’ów w New Yorku, wszyscy członkowie licznej rodziny, mówili tak ohydnie, że pan Chlewiatko mógłby śmiało uchodzić tam za rodowitego Francuza.

Przy tem zapewnieniu panny Four, profesor uklonił jej się, a nie chcąc zakłócać dobrego usposobienia, wyraził jej swoją dumę i zadowolenie na migi.

— Jeszczeby tylko tego brakowało — zawołała panna Four, syjąc iskrami czarnych jak węgle oczu — żeby pan ze swego akcentu francuskiego był zadowolony! Mogę przystać na to, że pan jest największym tłumaczem Homera w Europie, ale...

Tego było za wiele. Pan Chlewiatko tym razem nie mógł na migi odpowiedzieć, ozwał się więc:

— Nie mam żadnej zarozumiałości co do moich tłumaczeń. Homer jest tak wielki, że człowiek, co się śmie tej wielkości dotknąć, musi przynajmniej być skromnym, jeżeli nie chce być zuchwałym. Jak tu naprzykład nie czuć się jako tłumacz onieśmielonym do najwyższego stopnia, w obec takiego ustępu, jak ten oto:

I profesor, zapomniawszy, że nikt z obecnych nie umiał po grecku, począł deklamować skandując, gestykulując razem z najwyższem przejęciem.

Panna Four zatknęła sobie uszy.

— Polski język zawsze mię razi — mówiła — ale się z nim odrobinę oswoiłam, zaś to, co w tej chwili słyszę, jest takie dziwne...

— Ależ pani, ja mówiłem po grecku!...

— Przyznaję, że pan ma taki sam haniebny akcent grecki, jak francuski!

Wynikła z tego mała sprzeczka, ale Zosia zażegnała burzę, wprowadziwszy pannę Four znowu na Amerykę i amerykańskie stosunki, o których Francuzka mówić lubiła, czując, że ci, co nigdy w Ameryce nie byli, z zajęciem ją słuchają.

Józio przyniósł atlas i wszyscy pochyleni nad nim, śledzili z zajęciem najwyższem drogę „tatuńcia.” Nawet smutna „mamuleczka” oparła się na ramieniu Alusi i spoglądała na mapę temi oczami, o których stara cyganka powie-

działa, iż z nich czytać było można: że były oczami takiej matki, co dzieci traciła.

Jańcio nic a nic zrozumieć nie mógł, dla czego całe towarzystwo przygląda się jakiemuś obrazkowi, na którym niema ani ludzi, ani zwierząt, ani domów. Główkę swoją wsuwał między głowy Józia i Zdzisia, a jego włosy puszyste, laskotały ich po twarzy, wchodziły w oczy.

— Idź sobie, dziecko regimentu! — rzekł niecierpliwie Józio.

— Paderewski do niańki! — zawołał z gniewem Zdziś.

Nazywano czasem Jańcia Paderewskim, dla jego czupryny, podobnej do włosów wielkiego artysty.

— Dajcie pokój Jańciowi — ozwała się pani Zabrzeńska — niech i on się przyjrzy drodze tatuńcia.

Na głos „mamuleczki” gniewy i niecierpliwości uciły, jak morze, gdy nagle uczyni się spokój w powietrzu.

— Co to jest na tym obrazku? — pytał Jańcio — Zosiu, powiedz mi, co jest na tym obrazku?

— To Ameryka! Wiesz, tam, gdzie tatuńcio pojechał. To bardzo daleko od nas i jak u nas jest dzień, to w Ameryce jest noc; a jak u nas noc, to w Ameryce dzień. Teraz tam ludzie śpią sobie w najlepsze.

— I tatuńcio śpi?

— I tatuńcio także.

Jańcio zamyślił się głęboko i nie mógł pokombinować, ani tego co miał wspólnego z tatuńciem obrazek, na który patrzano, ani tego, że tatuńcio mógł w tej chwili spać, kiedy i mamuleczka i wszystkie dzieci czuwały.

Wieczorem, po pacierzu, który odmawiała z nim Zosia, Jańcio, wsuwając się pod kołdrę, zapytał:

— Czy w fabryce teraz słońce świeci?

— W fabryce cukru? Nie, w fabryce palą się lampy, przy których ludzie pracują.

— Ale w tej fabryce, w której jest tatuńcio.

— To Ameryka, nie fabryka! Tatuńcio pojechał do Ameryki!

(d. c. n.)



ZE ŚWIATA.

Pogrzeb Biskupa Bereśniewieza we Włocławku (ryc.)

W zeszłym miesiącu miasto Włocławek bolesną obchodziło uroczystość. W podziemiach starożytnej katedry, przy udziale mnóstwa wiernych, z różnych stron przybyłych dla uczczenia pamięci ukochanego zmarłego, złożono zwłoki biskupa ś. p. Aleksandra Bereśniewicza, który w ciągu lat 19-tu rezydował w tym grodzie, rządząc dycecezą kujawsko-kaliską, i ojcowską swą opieką pozyskał wszystkie serca. Za jego też staraniem odnowioną została gruntownie i po dług pierwotnych planów wspaniała katedra gotycka, jedna z najpiękniejszych świątyń w kraju, zbudowana w roku 1340.

Zmarły pasterz urodził się w Szewlniach w gub. kowieńskiej 1823 r., szkoły średnie ukończył w Kiejdanach, a seminarium w Worniach. Obdarzony niepospolitemi

zdolnościami, wstąpił później do Akademii Duchownej w Petersburgu i wciąż powiększał zakres swej nauki i wiedzy. Jako prefekt gimnazjum w Wilnie, wykłada religię młodzieży, potem zostaje rektorem seminarium w Worniach, a wszędzie i zawsze świeci przykładem i gorliwością. W młodym też stosunkowo wieku papież, Pius IX podnosi go do godności biskupiej, jako sufragana dyecezyi żmudzkiej (1858 r.) W dwadzieścia pięć lat potem już za pontyfikatu Leona XIII, przyjeżdża do Włocławka na biskupa dyecezyi kujawsko-kaliskiej.

Obecnie administratorem tej dyecezyi został biskup sufragan Henryk Kossowski, znany z wielu prac i dzieł religijno-historycznych.

Odłożenie koronacji. W Londynie w końcu czerwca miała się odbyć koronacja króla Edwarda VII-go, na którą już od roku czyniono ogromne przygotowania, bo od roku 1837 podobnej uroczystości w Anglii nie obchodzono. Oprócz przedstawicieli rodzin panujących i państw, zjechali się książęta wassalni i deputacye z licznych posiadłości kolonialnych ze wszystkich stron świata. Samych deputacyi wojskowych przybyło 2500, z tych 1750 białych a 750 kolorowych. Wszyscy parowie Anglii mieli wystąpić w średniowiecznych, kosztownych strojach, dla ubogich przygotowano olbrzymie bankiety, a sam pochód koronacyjny do opactwa westminsterskiego miał liczyć 8000 powozów. Tymczasem na kilka dni przed koronacją, król Edward z powodu choroby musiał poddać się bardzo ciężkiej operacji i całą uroczystość odłożono na czas nieograniczony.

Żywy barometr. Na dworze Stanisława Augusta służył za stangreta niejaki Mateusz Kobyciński, urodzony w 1758 r. Dziwny to był człowiek w swoim rodzaju przez dar osobliwy zgadywania, jaka nazajutrz będzie pogoda, nawet z oznaczeniem stopnia ciepła lub zimna. Król przekonawszy się, że nie mylnie przepowiada, kazał mu odtąd regularnie przychodzić co wieczór do siebie i wypytywał go o zmiany powietrza. Nawet astronom ks. Poczobutt codzień skwapliwie zbierał od niego prognozy, choć ten nawet czytać nie umiał. Mateuszek, jak go nazywano, umarł niespodzianie i młodo w 28 roku życia, nie dowiedziano się więc, na czym opierał swoje przepowiednie.



ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Żabka z nad Rosi dla Żuka.

J	u	o	y	t	o
k	e	f	e	u	u
n	a	o	u	u	u
		o	u		
k	i	o	i	e	e
w	u	e	k	e	u

W kwadracie o 6 przedziałach ułożyć wyrazy, aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwy dwóch pór roku.

Znaczenie wyrazów: 1) Imię matki Bolesława Krzywoustego. 2) Imię żeńskie. 3) Dawniej udzielne księstwo niemieckie. 4) Czasownik w cz. przyszłym. 5) Potrawa litewska. 6) Góra wybuchająca.

Sylaby: Ju—he—nas—u—ki—ko—wah—dy—le—sau—no—siel—kan—ta—na—i—la.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

Szarady samogłoskowej: Bąk, bek, bok, buk, byk.

OGŁOSZENIA.

Zakład naukowy 8-io klasowy żeński

Heleny Kaplińskiej

dawniej Ł. Żeleszkiewicz

w Krakowie, ulica Gołębia Nr. 5.

przyjmuje uczennice stałe i przychodnie na dotychczasowych warunkach.

Zapis na rok szkolny 1902/3 codziennie.

Kurs przygotowawczy do studiów uniwersyteckich. 3—1

NOWY WYNALEZEK.

Patentowane amerykańskie maszyny do pisania dla dzieci w cenie

rub. 2 i rub. 3 za sztukę.

Sprzedaż u H. Łaski & C^o w Warszawie

HOŻA 46.

Teatr Maryonetek.

W Niedzielę dnia 29 odbyło się ostatnie przedstawienie teatru Maryonetek dla dzieci. Poczem zamknięty będzie do dnia 1-go Września.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii p. Wł. Umińskiego. — Trzy chwile z życia królowej Zofii przez Z. Morawską. — Zamek malborski (z ryc.) — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Ze świata. Pogrzeb biskupa Bereśniewicza we Włocławku (z ryc.) — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Mój kącik, wiersz (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — W Krai nie wiecznego wesela, baśń przedstawiona w teatrze maryonetek. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 15 Юня 1902 г.

Wydawczyni Marya z Chomętowskich Bałńska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Nr. 28. Rok — XXIII.

Dnia 29 Czerwca (12 Lipca) 1902 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Widok katedry krakowskiej na Wawelu po odnowieniu.

Pogadanki z dziedziny chemii.

III. Jakie ma własności siła chemiczna.

Chemiczna siła przyciągania najjaskrawiej okazuje swe niepodobieństwo do innych sił wtedy, gdy do pewnego stopnia przeciwdziała im.

Widzieliśmy, że żelazo łączy się z tlenem, a zatem pomiędzy temi dwiema substancjami musi działać jakaś siła przyciągająca, która sprawia, że każdy atom żelaza wybiera sobie odpowiednią porcję tlenu i tworzy z nią rdzę. Kawalek żelaza, któregośmy nie potrafili z natężeniem wszystkich swoich sił oderwać od całości i którego atomy trzymają się mocno pomiędzy sobą, rozpada się bez żadnego wpływu siły zewnętrznej na proszek czerwony, a to dlatego, że atomy tlenu wniknęły pomiędzy atomy żelaza i zniszczyły ich wzajemne przyciąganie się.

Z tego należy wyciągnąć wniosek, iż żelazo ulega tak wielkiej sile przyciągającej do tlenu, że przez to tracą siłę przyciągającą jego własne atomy. Rzecz szczególna jednak, że tak potężne chemiczne przyciąganie nie przejawia się wcale, skoro oddzielimy powierzchnię żelaza od powietrza cieniutką warstewką tłuszczu. Ztąd domyślamy się, że chemiczne przyciąganie jest siłą nietylko odmiennej natury, aniżeli przyciąganie pomiędzy atomami ciał stałych, ale także, że jest to coś zupełnie innego, aniżeli przyciąganie mas, które, jak wiadomo, odbywa się na znaczną odległość.

Wybraliśmy dla tego rdzewienie żelaza za przykład, gdyż każdy obserwował niezawodnie to zjawisko. Istnieją jednakże inne substancje, pozwalające spostrzegać zupełnie podobne zjawisko, na przykład metal zwany potasem, który jest bardzo miękkim i podobnym do srebra; ma on tak silne powinowactwo do tlenu, że nie można go przechowywać na powietrzu, tylko w nafcie, która nie zawiera tlenu. Pomimo jednak tej nadzwyczajnej skłonności wzajemnej, potas nie połączy się z tlenem, jeżeli go oddzielić od tego gazu najcieńszą choćby warstewką nafty. Ten przykład uczy, że chemiczne przyciąganie jest zupełnie odmiennem od przyciągania między masami, np. między dwiema kulami metalowymi.

Jeszcze mniej podobieństwa ma chemiczne przyciąganie do przyciągania magnetycznego, które jest czynne na znaczną odległość. W końcu pomiędzy przyciągającą siłą chemiczną a siłą magnetyczną dostrzegamy tę różnicę, że siła chemiczna działa tylko miejscowo, magnetyczna zaś rozchodzi się na całe ciało: żelazny pręt może zardzewieć tylko z jednego końca, jeżeli zaś go namagnetyzujemy, to magnetyzm udzieli się i drugiemu końcowi.

Jeszcze bardziej chemiczne przyciąganie różni się od elektrycznego. Nie obserwujemy tutaj rozchodzenia się siły po powierzchni przedmiotu, poddanego jej działaniu. Daremnie byśmy łączyli drutami naczynie, w którym się odbywa jakieś chemiczne połączenie z innym naczyniem, aby i w niem wywołać takie same zjawisko.

We wszystkich siłach przyrody obok siły przyciągającej działa siła odpychająca. Nie obserwujemy tylko tego na sile chemicznej. Siła, z jaką jedna substancja przy-

ciąga drugą, z którą się ma połączyć, musi być, jak przypuszczamy, bardzo wielką. Wielkości tej siły nie potrafiliśmy zmierzyć wprost, ale domyślamy się jej choćby z tego faktu, że pod jej działaniem najmocniej trzymające się ze sobą cząsteczki stali, rozłączają się. Pomimo tak silnego przyciągania nie zauważono nigdy siły odpychającej; wszystkie zjawiska chemiczne dają się objaśnić działaniem siły przyciągającej bez współudziału żadnej innej przeciwdziałającej potęgi.

Wł. U.

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)



an Zabrzski pisywał częste listy, ale bywały takie dni, w których listy nie przychodziły, a pani Zabrzka nie sypiała z niepokojem po nocach. Były to dni przeprawy „tatuńcia” przez ocean. Na szczęście Pan Bóg nie dał człowiekowi daru jasnowidzenia, gdyż dar ten byłby niezawodnie zabił panią Zabrzską, okręt bowiem niosący jej męża po Atlantyku, wystawiony był podczas przeprawy na straszną burzę. Pan Zabrzski był tak pewien rozbicia, iż przygotował się na śmierć zupełnie. Wypowiadał się, gdyż na statku znalazł się ksiądz, a potem napisał testament i rady dla swych dzieci, w których zaklinał synów swych, by nigdy nie schodzili z drogi prawdy, uczciwości i miłości bliźniego. Żonę swoją żegnał w najczulszych wyrazach i błagał, by miała siłę żyć dla swoich dzieci. Napisawszy to wszystko, położył dokładny adres Suchowa i jego mieszkańców, wsunął napisany testament do pustej i suchej butelki, zakorkował mocnym korkiem, zawiązał drutem, zalakował i rzucił na spienione fale. Następnie w inną butelkę, równie starannie zabezpieczoną od zamknięcia, włożył pieniądze, a także papiery ważne. Butelkę tę przywiązał na mocnym sznurze na własnej szyi i schował.

Potem opasał się pasem korkowym, zwanym *pasem ratunkowym* i gorąco modlił się począł. Polecał opiece Boskiej żonę swoją i dzieci, a szczególnie błagał Tróję Przenajświętszą i Matkę Boską, by z dzieci jego wyrosli pobożni i cnotliwi ludzie. Żałował życia, ale modlitwa dopomogła mu do spoglądania z poddaniem się woli Bożej, na napęniający się wodą coraz bardziej statek i na szal bałwanów, rzucających się na okręt, jak na niezawodną zdobycz.

Biedny „tatuńcio” w chwili, gdy sądził, że śmierć była nieunikniona, uprzytomnił sobie swoją ukochaną gromadkę. Ujrzał najdroższą żonę pełną smutku, z tęsknotą w sercu za utraconymi a niezapomnianymi dziećmi; ujrzał śliczną, anielską Zosię, swoją pieśczocho i największą ozdobę swego domu; potem jak żywy stanął przed nim Zdziś, junak, o szlachetnym sercu, a zapalanej głowie; po chwili wyjrzały ku niemu dobre oczy Józia, trochę ślamazarnego a tak dzielnego duchem, że chciał się w przyszłości poświęcić bliźnim, z zupełnym zapomnieniem o sobie. A najmłodsza para! Alusia, pełna współczucia dla wszystkiego co cierpiało, z nieszczęśliwym upodobaniem do kankarów i do kotów jednocześnie, biedna „pani generałowa,” która na samą myśl o wojnie zalewała się łzami! A Jańcio! Ah, już nigdy, nigdy nie wdrapie się on na kolana ojcowskie i swojej jasnej główki z aureolą puszystych włosów nie oprze na jego piersiach! Kochana, najmłodsza

dziecina nie będzie miała do pomocy przy wychowaniu wpływu i miłości ojca. Tak, ale będzie miała pomoc starszych braci! Pan Zabrzski był pewien, że mógł liczyć na Zdzisia i Józia. Oni będą czuwać nad Jańciem w szkołach i nie dadzą mu zejść na złą drogę!

Właśnie gdy to myślał pan Zabrzski, okręt wywrócił się na bok; rozległ się trzask łamiącego się masztu, co wraz z rykiem bałwanów utworzyło jakiś zgrzyt niewysłowiony, potem zaległa na chwilę ciemność, gdyż ciężar własnego ciała spadającego z wyniesienia, popchnął pana Zabrzskiego pod wodę, wreszcie znowu światło dzienne zabłysło przed jego wzrokiem, pas ratunkowy bowiem wyniósł tonącego na powierzchnię bałwanów, gdzie bezwiednie i zupełnie bezprzytomnie chwycił za odłam masztu, który mu pomógł do utrzymywania się na wodzie. Była to walka o życie, walka straszna, wśród której chwile bezprzytomności przeplatane były myślą o oddalonej rodzinie. Myśli te wydawały się rozbitkowi czemś tak słodkim, jak wspomnienie szczęścia i była taka chwila, w której po gorącym błaganu Boga w modlitwie o ocalenie, dziękował mu za to, co w życiu danem mu było doznać dobrego. Dziękował Mu za domowe ognisko, przy którym było mu zawsze tak ciepło i tak dobrze, i za to, iż w dzieciach swoich nie widział wad grozących ich przyszłości.

— Boże, przyjmij moją duszę do Swojej chwały — szeptały jego zsiniałe usta — a im, ukochanym, daj cnotę i szczęście!

Potem przyszła zupełna bezświadomość i jakby zdziwienie. Ręce zgrabiące od zimna, wpijały się coraz mocniej w drzewo; oczy rozwarły przez grozę i trwogę śmiertelną, szukały bezwiednie w koło czegoś, co mogło być ratunkiem; myśl była jakby sparaliżowana przez zimno, szła bez nadziei i dzika, bezprzytomna rozpacz. I już potem biedny tatuńcio nie wiedział, co się z nim stało. Gdy po długim śnie otworzył oczy, zobaczył przy sobie lekarza, który rzekł spokojnie po angielsku:

— Ten gentleman jest uratowany. Proszę mu teraz dać gorącej herbaty lub kawy.

Okazało się, że bezprzytomnego, jednak trzymającego się jeszcze odłamu masztu rozbitka, okręt płynący też do Ameryki wziął, na wysłaną umyślnie łódź, a potem lekarz okrętowy zajął się ratowaniem jego zdrowia.

Całego tego strasznego wydarzenia pan Zabrzski bynajmniej nie opisał w listach i nawet go nigdy nie opowiedział swojej żonie. Dopiero w parę lat później, dowiedziały się o niem starsze dzieci, zaś Alusia i Jańcio dotąd jeszcze o niem nie wiedzą, by przypadkiem przez roztrągnięcie nie odezwało się które z nich przy matce ze wzmianką o tem niebezpieczeństwie, z którego pan Zabrzski wyratował się cudem.

W końcu lutego nastały znowu mrozy suche, bez śniegu. Tylko gdzieniegdzie po rowach, po zagłębieniach, pod płotami i parkanami widać było białe, przypruszone ziemią, brudne płaty stwardniałe tak, że można było po nich chodzić. W jednym miejscu, w polu, gdzie była znaczna niziina, zbierała się woda w czasie roztopów i nie zdążywszy wyparować ani wsiąknąć w ziemię — zamarła. Ten kawałek pola stał się rajem dzieci. Zosia i starsi chłopcy umieli łyżwować, w czym Zdzis był nawet prawdziwym mistrzem i każdą rekreację spędzali na tej rozrywce. Alusia uczyła się dopiero i była pośmiewiskiem swego rodzeństwa, z tego powodu, że pragnęła się ślizgać, a jednocześnie szalenie bała się ślizgawki. Zosia uczyła się wytrwale, Alusia jednak nie odważała się sama ani na jeden krok. Zdarzało się, że Zdzis, podawszy jej rękę i doprowadziwszy ją na środek zamarzłej przestrzeni, potem uciekał od niej, zakreślając koła i łuki, a Alusia stała, nie mając odwagi ruszyć nogą. Na płacz jej się zbierało, błagała o ratunek piskliwym głosem.

— Ciekawy jestem, coby było, gdyby w tej chwili nikt z nas Alusi ręki nie podał — mówił Zdzis — stałaby tak do końca świata!

— Umyślniebym się przewróciła, bo usiąść bym nie mogła... potem odpięłabym łyżwy... i poszłabym po lodzie: na nogach i na rękach.

— Cha, cha, cha! Zostawmy ją tak, żebyśmy się przyjrżeli, jak ona to robi!

Alusi usta poczęły się przeciągać w podkówkę i była blizką uderzenia w płacz.

— To się lubi mazać! — zawołał Zdzis. — Żeby nie było na świecie płaczu, toby go ta dziewczyna wynalazła!

Zosia i Józio podbiegli z ratunkiem. Gdy Alusia tak między nimi łyżwowała, trzymając się prawą ręką ręki Zosi, a lewą ręką Józia, śmiała się, była uszczęśliwiona i ślizganie szło jej wyśmienicie.

Dla Jańcia stelmach zrobił saneczki. Sadzano w nich Benjaminka, ubranego ciepło, okrywano mu jeszcze nogi szalem i jedno z dzieci, stanawszy z tyłu, gdzie była poręcz, popychało sanki.

— A czemu tatuńcio tak do Ameryki nie pojechał? Czy tamta woda tak nie zamarzała jak nasza?

— Jaka woda?

— A ta, przez którą tatuńcio jechał.

Alusia, która się też obok Józia za poręcz sanek trzymała, nie dlatego, by je popychać, lecz że jej samej było tak wygodniej, odparła z wyższością:

— Te dzieci to nic nie rozumieją!

Gromadka wracała ze ślizgawki z rumieńcami zdrowia i zadowolenia na policzkach, a Jańcio wyglądał jak jabłuszko. Włosy jego na mrozie rozsypały się tak, że każdy z nich drgał w powietrzu z osobna, i w koło białej barankowej czapeczki jaśniał w słońcu złotawy puch nieposłusznej czupryny chłopca.

— Jabyśmy chciała, żeby razem byli zima i lato — mówiła Alusia — bo i zima jest doskonała i lato także.

— Oj, Alusiu, Alusiu! Onaby chciała w jednej klatce trzymać koty i kanarki!.. chciałyby, żeby jej było razem i ciepło i zimno... Biedny ten generał!

— Dlaczego biedny?

— Bo on nigdy Alusi nie dogodzi.

— To ty twojej sekutnicy nigdy nie dogodzisz!

— Cicho, cicho dzieci! Jak będę księdzem, to was wszystkich zawsze pogodzę!

Pani Zabrzka nie śmiała radować się zdrowiem i rumieńcami dzieci. Jej nerwy były znowu bardziej rozdrażnione, z powodu oddalenia męża i niepokoju o niego. Przytem koniec zimy był dla niej zwykle epoką najsmutniejszą w roku, gdyż właśnie wtedy przychodziły rocznice dni okropnych, nigdy nie zapomnianych, w których jej dzieci chorowały, następnie opuszczały ją na zawsze.

Pewnego dnia Zosia podczas lekcji starszych chłopców zastukała do pokoju szkolnego. Była biała, usta jej się trzęsły ze wzruszenia, widocznie przynosiła jakąś ważną nowinę.

(d. c. n.)

Trzy chwile z życia królowej Zofii,

przez

Z. Morawską.

(Dokończenie).

II.

Nie wesołe było życie księżniczki Sołki na Witoldowym dworze. Żona jego Julianna skąpa i gderliwa niewiasta, przykrą była dla całego otoczenia, nie dziw więc, że i księżniczka Zofia miodem i kwieciami zabarwionych dni nie miała.

Ba, kto tam o miodzie mógł myśleć, jeżeli piołun był prawie na codzienne danie.

Ale Sońka miała szczerzy skarb kwiatem prze ślicznym a wonnym w duszy jej rozkwitający.

Miała szczerą wesołość młodości i wiarę w Boga, w tego Wielkiego a Jedyne Boga, o którym jej teraz często mówiono, a też i w czuwającą nad sobą rodzicielkę.

O tej rodzicielce Nada dziewczęciu wciąż opowiadała, a w miarę lat, taka w sercu Sońki ku matce miłość się rodziła i taka ufność w jej opiekę, iż była pewną, że dola jaką jej los ześle, będzie dołą przez tę rodzicielkę u dobrych duchów uproszoną. Nie troskała się też i piołun podawany jej w każdym słowie przez księżną Julianę, nie zdawał się mieć tak wiele goryczy, bo Sońka wesołością swą go słodziła, ba! nieraz nawet i uśmiech na surowe lice żony Witolda wywołując.

I teraz oto, choć miała lat szesnaście, w piękny dzień wrześnieowy, biegła po trawniku zamkowym nad jeziorem i ze śmiechem ręką chwytając promienie słońca, przedzierała się przez wielkie konary, stojącego na środku dziedzińca dębu, a w pogoni za nimi skoczyła i usiadła na gałęzi.

— Ależ zwinna i ładna! — mruknęła księżna Juliana. A po twarzy jej przemknęło coś nakształt uśmiechu, bo się ta wesołość Sońki nawet zgryźliwej księżnie udzieliła.

— Ot, dziewczka, czasby jej czepiec włożyć a nie dziecić się! — syknęła z niezadowoleniem służebna.

— Moja księżniczka, moja królewienka złota! — mówiła z uśmiechem na pomarszczonej twarzy stara Nada, patrząc na swą Sońkę z za węgla baszty.

— Gdzie Sońka. Sońka! — zabrzmiał głos księcia Witolda, który stanawszy we drzwiach, rozglądał się po dwórkach swojej małżonki.

— A ot! — wskazała służebna ruchem głowy na drzewo.

— Kuku, kuku! Tiu, tiu, tiu! — ozwał się głos Sońki, naśladujący po kolei wszystkie ptaki.

Rycerska twarz księcia nasrożyła się jakoś. Nie lubił, żeby wołany nie pośpieszył na jego rozkazy. Gdy jednak spojrział w górę i ujrzał różowe, śmiejące się liście Sońki wśród ciemnych liści, rozchmurzył czoło i mimowoli szepnął:

— Istna Milda *). Przybrał jednakże wyraz powagi i zawołał głosem rozkazującym:

— Sońka, bywaj.

Sońka tym samym sposobem co weszła, spuściła się teraz na ziemię i w całej swej dziewiczej krasie, w białą, lnianą odzianą szatę, z rozwianym złotym włosom, w których się czepiały liście dębu, stanęła przed opiekunem. Stanęła i błękitnymi oczami spojrzała na niego, pytając, czegoby żądał.

A Witold ujął ją za rękę i zaprowadziwszy do komnaty, rzekł głosem stanowczym:

— Zostaniesz żoną króla Władysława Jagiełły.

Sońka podniosła na mówiącego zdziwione i na poły przelekkie żrenice.

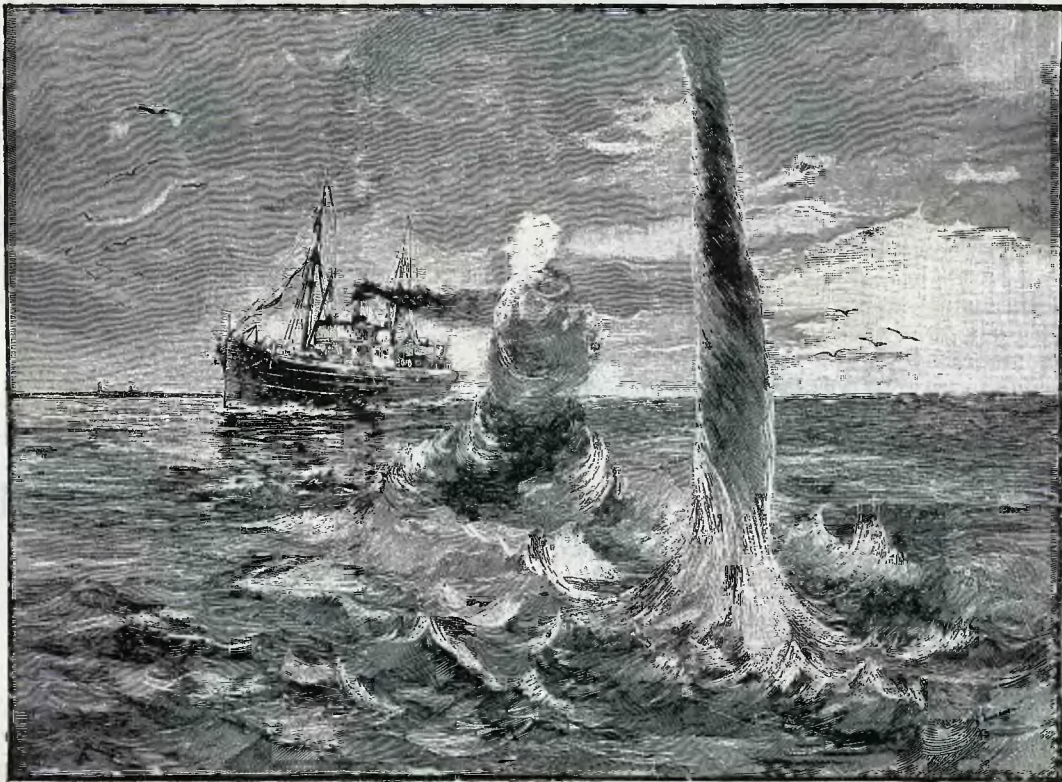
— Przysłano po ciebie swaty, za trzy dni pojedziesz; gotuj się do drogi! — mówił Witold rozradowanym, lecz nie znoszącym wszelkiego oporu głosem. — Tak, gotuj się do drogi, miła nam krewniaczko a przyszła królowo! — dodał łagodniej.

I wyszedł z komnaty.

A Sońka?

Stała przez chwilę, jej wesołą twarzyczkę okolił nagle smutek, białe czoło przecięła zmarszczka. A potem szybkim ruchem owinęła się w złote swe włosy i wybiegła z komnaty, aby na łonie wiernej swej piastunki ukryć i wypowiedzieć wszystko, co kołatało w jej młodziutkiem serduszk.

*) Bogini litewska piękności i uczuć serdecznych.



Nie zaraz jednak, lecz w tłusty wtorek roku następnego, w kościele farnym nowogródzkim, który książę Witold pod wałami zamku zbudował, odbył się ślub Władysława Jagiełły z księżniczką Zofią Holszańską.

Bezdzietny król pragnął koniecznie zostawić dziedzica dla dwóch dzierżaw po królowej Jadwidze, księżniczce Annie Cylejskiej i Zofii Pileckiej, i po raz czwarty zawierał śluby małżeńskie. Tym razem Bóg spełnił jego życzenia: królowa Zofia stała się matką Władysława Warneńczyka i Kazimierza Jagiellończyka.

III.

Zaledwie przebrzmiały dzwony ogłaszające smutnym dźwiękiem pogrzeb Władysława Jagiełły, na zamku krakowskim zebrała się cała starszyzna, otaczająca tron za życia zmarłego króla ze Zbigniewem Oleśnickim, kanclerzem i pierwszym dostojnikiem państwa na czele.

Do przyćmionej, noszącej piętno smutku i żałoby komnaty, weszła wkrótce królowa Zofia. Szaty żałobne, wdowi welon i czepiec przyćmiewały krasę i świeżość lica trzydziestoletniej zaledwie niewiasty. Wyniosła jej postać z godnością i powagą prawdziwie królewską dźwigała ciężki ubiór, a z nim smutek i troskę o dwóch małoletnich synaczków, Władysława i Kazimierza. Umieli też uszanować ten majestat zebrani panowie, bo za ukazaniem się królowej Zofii powstali z miejsc swych i pochyłili głowy. Pochylili je nie tylko, że tak nakazywał obyczaj dworski, lecz że serca ich przepełnione były prawdziwą czcią i uczuciem dla młodej stosunkowo, a pełnej enót małżonki zmarłego króla.

Królowa zajęła wdowi, kirem obity tron, obok którego na wzniesieniu stał pusty tron jej małżonka a na nim złożone insygnia królewskie. Poniżej królowej wdowy zajął miejsce Zbigniew Oleśnicki i rozpoczęły się obrady.

— Któż godniej zająć może to osierocone miejsce, jeżeli nie Władysław, najstarszy syn zmarłego, a wielce miłościwego monarchy — ozwał się po krótkim przemówieniu Oleśnicki.

— Dziecko to jeszcze!

— Pacholę, nie umiejące utrzymać ni berła, ni oręża w dłoni — posypały się niechętne głosy.

— Wolą zmarłego króla a mego miłościwego małżonka było, ażeby najstarszy nasz syn, Władysław, rządy po nim objął! — wyrzekła stanowczym głosem królowa Zofia.

Szmer przebiegł komnatę, były głosy popierające królowę lecz przedzierały się i przeciwnie.

— Ja przy woli małżonka mego obstaję i Władysław królewicza następcą zmarłego i monarchą widzieć pragnę — dał się słyszeć dźwięczny, lecz prawie rozkazujący głos królowej.

Głosy przychylnie ją poparły, wśród nich wszakże ktoś się odezwał:

— Któż w imieniu pacholęcia władzę dzierżyć będzie?

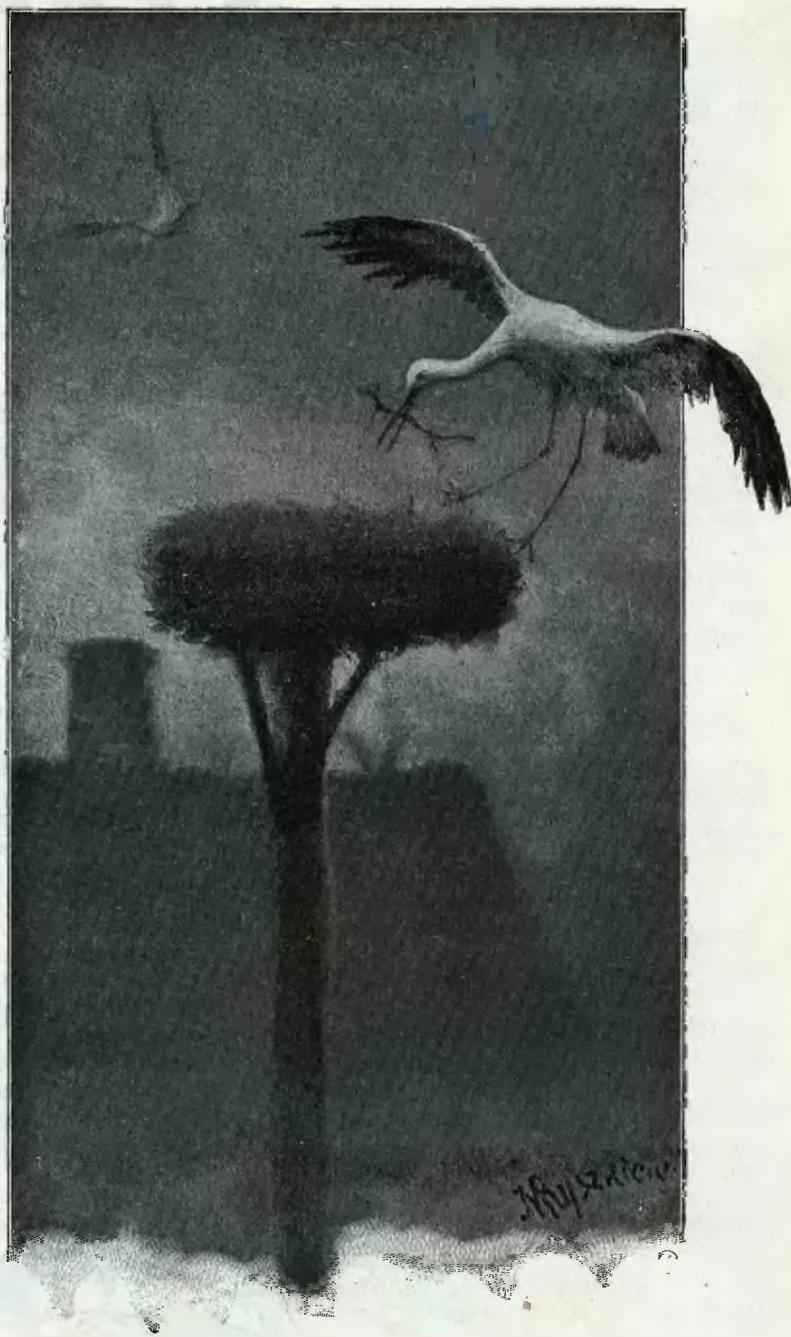
— Ja nad małoletnim królem i nad całym narodem władzę, jako matka zdzierzę, ster rządów weźmie w swe ręce kanclerz i dla szczęścia kraju prowadzić je będzie — mówiła podniesionym głosem królowa, a na jej białem, wyglądającym z pod wdowego czepca czole, zarysowała się głęboka zmarszczka.

I nie dając folgi nowym szeptom, wyciągnawszy rękę przed siebie, dodała:

— Ja tak chcę i tak mi Panie Boże dopomóż.

I nikt już potem nie śmiał rzec i słowa, a dziesięcioletni Władysław został obwołany królem.

Działo się to w 1434 r. a w dziesięć lat potem w serce matki i królowej ugodziła wieść straszna, o klęsce pod



Naprawa gniazda (str. 224).

Warną śmierci syna. Nie straciła jednak ducha i długo jeszcze żyła otoczona czcią ogólną.

I oto teraz, w czerwcu roku bieżącego po czterech wiekach z górą od śmierci tej królowej, znaleziono jej trumnę przy odnawianiu kaplicy, przez nią samą ufundowanej w katedrze krakowskiej. Przypomniano sobie wielkie jej cnoty, niezwykły hart duszy i nadzwyczajną dobroczynność. Prochy jej z należną czcią i powagą złożono do nowej trumny i w tej samej pochowano kaplicy.



Troska.

Nad polami — nad łąkami
Wieczór snuje ciszę,
Ostatniemi westchnieniami
Maj ziemię kołysze.
Już opadły z kwiecia sady,
Zieleń je przystraja,
Tuli ziemię mrok już blady
W ostatni dzień maja.
Lekko żytni łan faluje
Mglistą kisią kłosów,
Już gdzieś kosa pobrząkuje
Od łącznych pokosów.
Już urwali pieśń wieczoru
Piewcy zadumani, —
A aleją ode dworu
Wyszli pan i pani.

Idą zwolna — zamyśleni,
Uroczyści — cisi,
Na ich czołach pośród cieni
Jakaś troska wiśi.
Zrzadka krótkie słówko padnie,
Łza się w oku kręci,
Czasem uśmiech się zakradnie,
Jak odbłask w pamięci.
Idą wolno — dłoń na dłoni,
Z okiem w dal utkwionem,
Myśl i wzrok ich za czemś goni
Drogiem i marzonym.
Idą cicho — zasluchani
W dal, co hen gdzieś wiezie,
Biją serca pana — pani: —
„Może on już jedzie?”

Majaczeje coś na drodze,
Gdzieś zaturkotało...
Ej... to serce jej niebodze
Bije... przejechało!

Przejechało bocznym szlakiem,
Pan i pani cisi,
Goni myśl za jedynakiem
W oczach troska wisi.
Bo nie ladaż to emocye,
Co się w sercu tłuka,
Czy przywiezie też promocyę,
Jak poszło z nauką?...

Pani czeka z sprawowania
Nieomylnie piątki,
Lecz nauka... wymagania...
Tak trudne początki...
Pan z niemałym teraz trudem
Grosz do grosza zbiera,
Wpis i stancję spłacił cudem,
Dziś w przyszłość spojiera.

Ciężko związać koniec z końcem,
Lecz trudy nie boją,
Gdy nadzieja wstaje słońcem
Nad tą szarą dolą;
Jeśli pójdzie syn po myśli,
Zwalczy los mizerny...
— Lecz na górkę właśnie wyszli,
Zkąd widok obszerny.

Majaczeje coś na drodze,
Co od szosy wiezie...
Więc zabiły serca srodze:
„To nasz chłopak jedzie!”
„Jedzie — jedzie!...” Pan i pani
Przynaglają kroku,
Troską parci — sercem gnani,
Z łzą natrętną w oku.
Jedzie wózek — a kurz drogą
Wznosi się i wzdyma,
Staś na stopień skoczył nogą
A w ręce coś trzyma.

Trzyma!... podniósł zwój do góry,
Papier wielki... biały!
To promocyja i cenzury;
Ucznia skarbiec cały.
On im radość niesie w dani
I trud z jej poświęcia,
Więc już biegną pan i pani
Z sercem pełnem szczęścia.

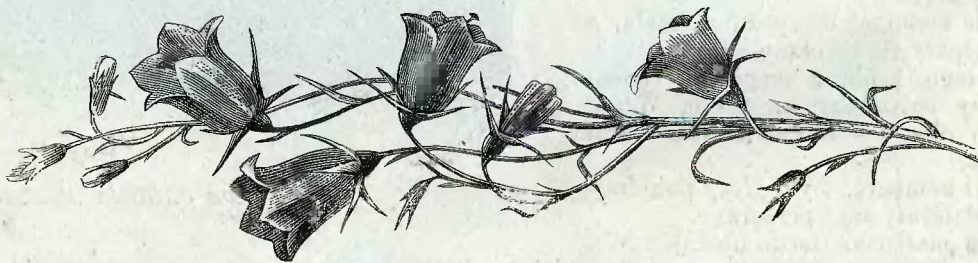
Zmilkli piewcy zadumani,
W ciszy leży wioska,
Z synem idą pan i pani...
Gdzież została troska?...

Ida Pilecka.

* * *

Gdzież została? — Nie została,
Na długo przepadła,
Pilność Stasia ją rozwiała,
Jak senne widziadła. —
Ach, widzicie przyjaciele,
Ach! widzicie, jak to wiele
Od was już zależy:
Kochana młodzieży:
Dwóch najdroższych istot w świecie
Spokój i otucha; —
Niech, gdy praca was przygniecie
Doda wam to ducha.
Niech odpędza mroczne fale
Lenistwa, gnuśności,
I ułatwia wam wytrwale
Zwycięzać trudności.
Gdy nie uda się czasami,
Nie tracić ochoty!
Własna wina tylko plami,
Dalej do roboty!

W. R.



Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Dlaczego gubisz mnie, siebie, i wojowników Burungskich? Słyszysz jak grozi ci potężny, wielki Gundahani.

— Biada mi biada! O Suyol dlaczego wiesz na zatracenie własnego ojca?

— Precz! Dość tych słów bezmyślnych. Krew tylko przebłagać może Wielkiego Ducha. Daj mi jej krew, albo sam natychmiast zgładzę to stworzenie — krzyknął Gundahani i podniósł czaszkę, która służyła mu za bęben.

Byłby roztrzaskał głowę dziewczęcia, bo Indyanka

ogłuszona słowami ojca stała nieruchoma. Sęp porwał córkę i wybiegli razem z jaskini, Gundahani ciskał za uciekającymi skorupy wodnych żółwi.

— Kto jest ten straszny starzec, dla czego gniewa się na nas ojciec? — pytała Suyu, kiedy znużeni długiem biegiem odpoczywali na zwałonym pniu araukaryi.

Suya nie zdawała sobie sprawy z tego, co się stało, przyzwyczajona postępować wedle własnej woli, wiedziała że ojciec daruje jej każde przewinienie i ta bezkarność uzuchwiała Indyankę. Żadna z Botokudek nie byłaby się odważyła wejść na ścieżkę prowadzącą do jaskini Gundahaniego. Kobiety nie miały prawa przestąpić zakazanych progów. Suyu chciała opowiedzieć o swoim liście i szukała ojca. Poznała prędko jego ślady w puszczy. Indyanie umieją znaczyć drogi, którymi przeszli. Zaciosują w tym celu korę drzew, zaginają w właściwy każdemu sposób liście krzewów, albo wiążą te krzewy w węzły, które tylko wprawne oko odgadnąć potrafi. Suyu po węzłach

poznała drogę Sępa i nie namyślając się długo, bo 13 letnie dziewczynki rzadko zdają sobie sprawę z tego, co czynią, pobiegła za ojcem żeby odwieść go od zamiaru mordowania białych twarzy.

Stary Burung nie odpowiedział na pytanie córki, nie zdawał się nawet być zagniewany. Daleki piorun wstrząsał od czasu do czasu powietrzem, ale on nie drżał już przed gniewem Wielkiego Ducha. Opuścił głowę na piersi i patrzył bezmyślnie przed siebie, jak człowiek którego spotkało nieszczęście. Suya pierwszy raz w życiu nie śmiała przerywać milczenia ojca. Zaczęła pojmować, że stało się coś bardzo złego. Nawet sarna zdawała się odgadywać grozę położenia, przestała skubać trawę i przybiegła do swojej pani.

Odgłos kołatki przerwał zadumę Sępa. Zeskoczył z kłody, schwycił włócznię i utopił kościane ostrze w piersi zwierzęcia. Suya krzyknęła z całych sił, ale było już za późno. Sarna broczyła krwią, czarne jej oczy szukały ostatniem pożegnaniem oczów Indyanki.

— Ojcie! ach ojcie jak mogłeś to uczynić — szlochała Suya.

— Cicho, nie czas lamentować, wiesz jakie jest prawo? — zapytał wódz, patrząc z żalem na córkę. Ciebie to, nie ja powinienem zabić! dodał kopiąc nogą sarnę.

Suya zdawała się nie słyszeć okropnych słów ojca.

— Ciebie powinienem zabić ja wódz, ja naczelnik plemienia. Tego żąda Gundahani. Tysiąc i jeszcze tysiąc tysięcy razy słońce wypływa nad ziemię, ale nigdy nie widziało ono takiego zgorszenia. Zamknął na chwilę, jakby rozmyślając nad niepojętem zuchwalstwem własnej córki potem mówił półgłosem.

— Wielki Duch jest dobry, ostrzegał, grzmiał gniewem, a ona niebaczna na jego głos poszła tam, gdzie nie postawiła stopy żadna kobieta.

Upadł i tarzał ciało w prochu ale nie przyniosło mu to ulgi.

— Ściągnęłaś przekleństwo na własnego ojca, odebrałaś moc zabójczą naszym strzałom. Zginą czerwoni wojownicy, białe twarze wytępią Burungów.

— Białe twarze są dobre, one polują na jararakę i jaguara a ty, ojcie, zamordowałeś moją śliczną sarnę szlochała Suya.

— Białe twarze! Szalona! krzyknął Sęp chwytając Suyę za włosy. — Milcz! nie obrażaj bluźnierstwem Wielkiego Ducha. On nienawidzi białe twarze, czyż nie dość go już zagniewałaś?

Odepchnął od siebie córkę i wyczerpany wzruszeniem upadł na kłodę araukarii.

— Ja także zawiniłem — mówił z coraz większym smutkiem. — Znadto ją kochałem, zostawiałem jej zbyt wiele wolności. Tak, to ja ściągnąłem nieszczęście na nasze głowy. Będziemy walczyli i zginie, bo urary straciła moc.

Ponury Sęp szarpał dotąd wnętrzości swych nieprzyjaciół, teraz czeka go hańba, a Burungów zagłada. Opuścił głowę na piersi, wydawał się złamanym jak niedołyżny starzec. Suya spojrzała ze strachem na ojca. Byłże to ten sam wódz, o którym układała pieśni. Zdjęła ją wielka żałość.

— Zabij mnie więc ojcie, jeśli tem uratujesz siebie i naszych wojowników — zawołała przypadając do nóg Sępa.

Ale on nie miał siły tego uczynić. Patrzył na śmierć synów, Suya była ostatnią z pokolonia, czyż by mógł utopić włócznię w jej sercu? Nie, nigdy. Oszuka Gundahaniego. Zbroczy ręce krwią zabitej sarny i powie czarnoksiężnikowi, że to krew zuchwałej dziewczyny, która znieważyła jego jaskinię. On da się przebłagać ofiarą i wyda Sępowi strzały.

Tak myślał Sęp, Ponury Sęp, dawniej Skalistym Orłem zwany, nieustraszony wódz Burungów.

Biedna Suya!

Była dotąd wesołym bezmyślnym dzieckiem a dziś zważyło się na młodą główkę tyle nieszczęść. Przestała płakać nad zabita sarną, bo zrozumiała, że grozi jej stokrć cięższa troska. I wszystkiemu była winna ona, ona która nie uczyniła dotąd nikomu żadnej krzywdy, która okruciami własnego pożywienia karmiła ptactwo leśne a gąsienicę spadała z drzewa kładła na gałąź, aby stopa ludzka nie zdeptała robaka. Biedna Suyo! któż ci wytłumaczy że powodem nieszczęścia jest nie tylko twoja nierozwaga, lecz przede wszystkim przesąd i nienawiść rasowa, macochy, które pożerały od wieków i pożerają dziś jeszcze tyśiące niewinnych ofiar.

Przypadła szlochając do nóg ojca. Ale Sęp nie chciał miękzyć serca widokiem żalu córki. Potrzebował wiele mocy nad sobą, aby stanąć przed Gundahanim i oszukać starca. Na toż przyszło jemu nieustraszonemu wodzowi. Odwrócił twarz od klęczącej, schylił się do ziemi zboczył ręce krwią zabitej sarny, a potem szedł w kierunku jaskini i nie spojrzawszy już na Suyę, przez którą on nieskazitelny miał skłamać, pierwszy raz w życiu.

Córka patrzyła za ojcem póki nie zniknął między skałami, potem zerwała się z ziemi i uciekła do lasu. Tak, ucieka zraniony ptak, który unosi ból w cień ojczystych drzew.

Rozdział XVIII.

Wdzięczność jest znamięm dusz szlachejnych. — Powrót do kolonii. — Rzeka przybiera. — Rada Tomasza. — Przebity muł. Zatruta woda. — Kto zamknął przejścia. — Dobry duch kolonii. Ofiara Wojciecha. — Kasia. — Zgoda z Tomaszem. — W puszczy.

Stefan zabrał z sobą list Indyanki i mimo samowiedzy niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad kolonią, myśl jego zajęta nim była wyłącznie.

Nie pierwszy to już raz w życiu odbierał tajemnicze ostrzeżenie, ale jakże się wstydził, on biały człowiek, w obec postępuku czerwonoskórej dziewczyny.

Wdzięczność znamięm wrodzoną szlachetności człowieka, odczuć wdzięczność potrafi tylko prawa, do podniosłych wrażeń skłonna natura. I Stefek spotykał taką wśród lasów brazylijskich, między ludźmi, których gotów był uważać za stworzenia więcej do małpy niż do człowieka zbliżone.

— Jakże łatwo popełnić niesprawiedliwość — myślał Stefan, zwątpiwszy nagle o prawach swoich do tego kawałka ziemi, który wspólnie z innymi kolonistami wydarł puszczę. Wydzierali go wprzód już Irlandczycy i co zostało z ich pracy? Zgliszczą, co przynieśli z sobą, mord i pożogę.

Stefan zadrział, nawet fuzya, z której był tak dumny wydała mu się wstrętną w tej chwili. Ona to stanowiła jego wyższość nad Botokudami, broń którą za kilka dni mordować będzie czerwonoskórnych braci.

Czuł jednak i to także, że nie ma czasu do stracenia i że nie wolno mu lekceważyć niebezpieczeństwa, które grozi jego współziomkom. Bądź co bądź, nie on wyzywał dzikich do walki, nie on ją rozpoczynał.

Należało zatem wyzyskać środki obrony, jakie miał pod ręką.

— Co robić, gdzie szukać rady — myślał popędzając konia.

Majaczyły w głowie Stefana opisy bitew z Tatarami. Tatarzy używali tak jak dzicy łuków i zasypywali tabor polski chmurą strzał. Z czego jednak zbuduje tabor w puszczy? Zwalone pnie drzew stanowić mogły chwilową osłonę dla strzelców, ale jak wznieść trwałe ogrodzenie, jak zbudować fort podobny do tych, które rząd Stanów Zjednoczonych stawia dla obrony traperów ścigających zwierzynę.

Pamiętał słowa Geralda: nieutrzymacie się, nie utrzyma się tu nikt z kolonistów. Cóż więc należało czynić? Może pójść za radą mulata i szukać w Kurytybie ziomek, którzy pomogliby mu wyjść z rozpaczliwego położenia?

Kurytyba, miasto! Jakże ponętnie brzmiały te słowa. Czas przebyty w puszczy nauczył Stefana cenić wartość cywilizacji, nie narzekał na los, doznał owszem prawdziwej radości ilekroć udało mu się przezwyciężyć niepokonane na pozór trudy osiedlin, lub oddać przysługę swoim. Dotrzymał słowa, żył z nimi jak z braćmi. Jego kuźnia była punktem zbornym kolonii. Czuć się użytecznym stanowiło rokosz słuszarza. Rozkoszą było mu także dosięść wierzchowca i pędzić w głąb stepu jak dziś, rokoszą gonić za zwierzyną. Odżyły w młodzieńcu instynkta dziecka wsi, może dziecka zrosłej z koniem i bronią rodziny. (d. c. n.)

Nasze ryciny.

Trąba morską. Kto kiedykolwiek widział tak zwaną trąbę, czy to lądową, czy morską, nie zapomni nigdy tego widoku, jeżeli uszedł cało.

Trąba taka jest to właściwie cyklon na małą skalę, ten ostatni zaś jest skutkiem straszliwie silnych i szybkich wirów powietrznych. W środku samego wiru znajduje się *obszar ciszy*, dokoła którego huczy wiatr, łącząc fale morską lub piasek z masą chmur, unoszącą się ponad wir. Trąba tworzy się przeważnie przy spokojnym i silnie ogrzaniem powietrza. Chmura burzliwa przyjmuje postać lejko-watą, mniej więcej wydłużoną, jak widzimy na rycinie; podstawą swoją dotykając morza, podnosi falę, która zdaje się tworzyć, jakby dolną jej połowę.

Zarówno cyklony, jak i trąba postępują naprzód, a biada temu, co leży na jej drodze: znosi budynki, wyrzuca drzewa, zatapia okręty.

Cyklony i trąby najsilniejsze bywają w strefach gorących, w umiarkowanych nie mają tej siły. Zdarzają się w miesiącach najgorętszych, od czerwca do września.

W bocianiem gnieździe. Niezmiernie lubię, będąc na wsi, obserwować bociany w ich rozmaitych ruchach, lotach i całej działalności. Dziwnie to pocziwy i sympatyczny ptak, a najwięcej mnie wzrusza jego przywiązanie do gniazda swojego i rodziny. A ten powrót do własnego gniazda po wędrówce zimowej, ta pamięć miejscowości! Naturalnie, że po powrocie gniazdo wystawione na wiatry, deszcze, śniegi musiało być uszkodzone; czeka więc podróżnika pierwsza praca wiosenna: poprawienie i umocnienie swojego domu. Jedną z takich chwil przedstawił właśnie pan Ryszkiewicz na swym wdzięcznym rysunku. Gniazdo jeszcze puste, boćkowa buja nad łąkami, szukając żab, i jajek dotąd nie złożyła, a bociek niesie gałązkę w dziobie, aby nią umocować gniazdo dla przyszłej rodziny. Szczęść ci Boże, ptaku nasz domowy, niech żadna burza nie strąci ci gnia-

zda, wyhoduj szczęśliwie młode i wracajcie tu wszyscy na rok przyszedł, do tego samego gniazda na wysokim słupie przy stodole!

ARYTMOGRYF LICZBOWY.

ułożyła Ela Hutorowiczówna.

1)	5	Zastąpić liczby literami, aby
2)	14 2 6	w utworzonych 19 wyrazach
3)	7 2 6 12 15	litery środkowe czytane z gó-
4)	7 3 8 7 11 10 9	ry na dół, składały imiona
5)	16 15 2 6 24	i nazwisko słynnego hetmana
6)	2 3 2	z pierwszej połowy XVI wie-
7)	8	ku. Znaczenie wyrazów: 1)
8)	10 25 9	Spółgłoska, 2) Przyjaciół wie-
9)	7 12 23 24 7	szcza, 3) Król duński, 4) Część
10)	18 12 23 19 2 3 2	dachu, 5) Kraj w Ameryce, 6)
11)	7 3 8 11 2	Ptak, 7) Samogłoska, 8) Li-
12)	8 17 2	czebnik, 9) Mały koń, 10) Mia-
13)	7	sto w Azji, 11) Zwierzę do-
14)	6 10 25	mowe, 12) Utwór literacki.
15)	16 25 9 17 14	13) Spółgłoska, 14) Rzeka.
16)	7 3 2 11 10 9 23	15) Ryba, 16) Rzeczownik.
17)	18 25 10 6 24	17) Potrawa, 18) Wykrzy-
18)	2 23 19	wnik, 19) Spółgłoska.
19)	14	

ROZWIĄZANIA DO N-ru 26.

Logogryfu kropkowanego:

S t a n i s ł a w M o n i u s z k o
V e r b u m n o b i l e

H r a b i n a

W i d m a

J a w n u t a

F l i s

S t r a s z n y d w ó r

H a l k a

P i e ś Ń w i e c z o r n a

Stanisław Moniuszko

Moniuszko.

OGŁOSZENIA.

Zakład naukowy 8-io klasowy żeński

Heleny Kaplińskiej

dawniej Ł. Żeleszkiewicz

w Krakowie, ulica Gołębia Nr. 5.

przyjmuje uczennice stałe i przychodnie na dotychczasowych warunkach.

Zapis na rok szkolny 1902/3 codziennie.

Kurs przygotowawczy do studiów uniwersyteckich. 3—3

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petirowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Widok katedry krakowskiej na Wawelu po odnowieniu (ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii p. Wł. Umińskiego. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Trzy chwile z życia królowej Zofii, przez Z. Morawską. — Troski, wiersz. — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Nasze ryciny: Trąba morską, W bocianiem gnieździe. — Zamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Huśtawka, wiersz przez Maryę Łopuszańską (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — W Krainie wiecznego wesela, baśń przedstawiona w teatrze maryonetek. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

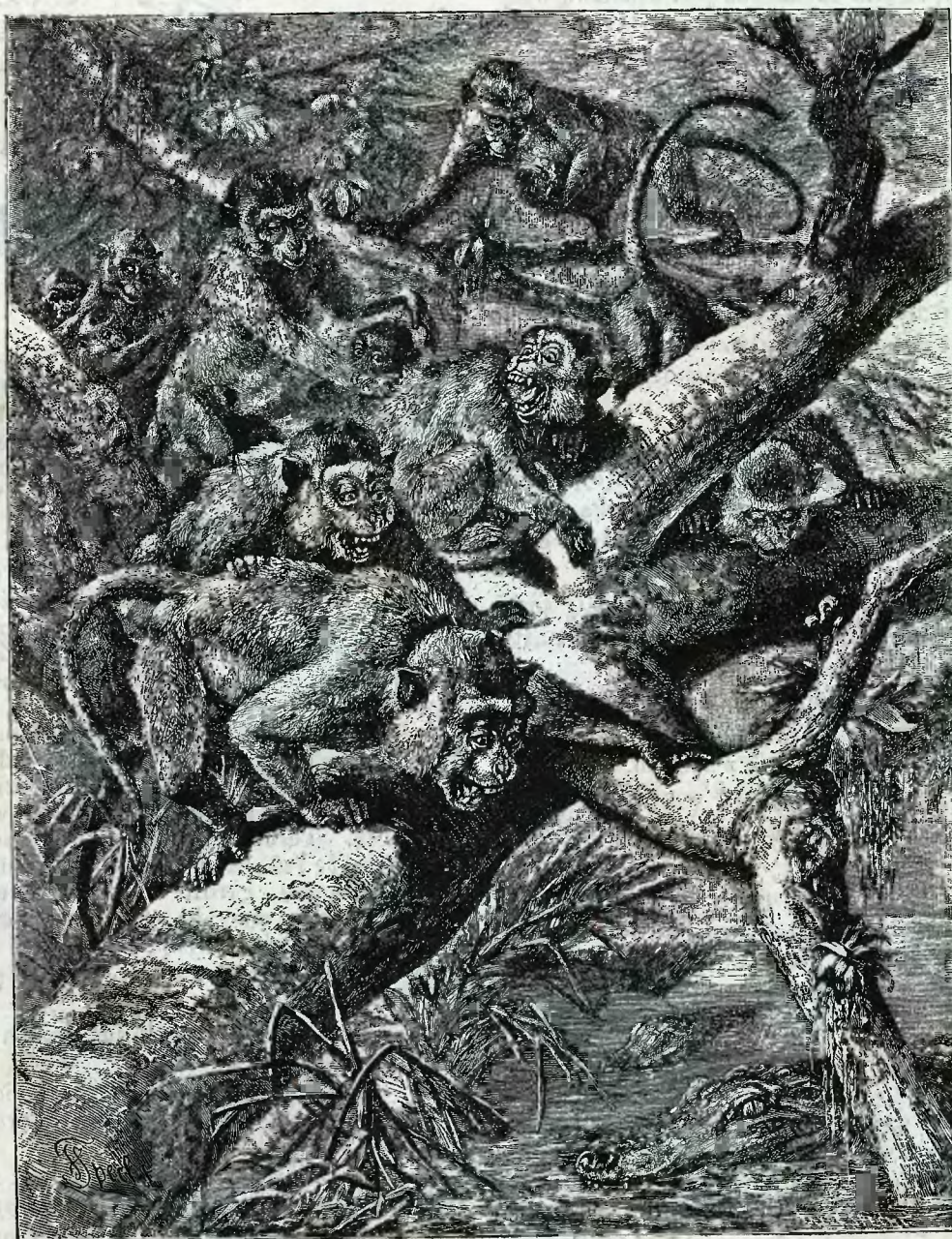
Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою. Варшава 23 Июня 1902 г.

Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Pogadanki z dziedziny chemii.

IV. W czym się objawia siła chemiczna.

Cheąc dobrze rozumieć własności chemicznej siły przyciągającej, musimy zapamiętać co następuje:

Po pierwsze: że chemiczna skłonność jest siłą, właściwą wszystkim substancjom.

Po drugie: każde ciało ma wprawdzie skłonność do łączenia się z innymi ciałami, ale skłonność ta nie jest zawsze jednakowo silną i zmienia się zależnie od tego, jakie ciała znajdują się obok siebie.

Po trzecie: że przy bliższym zbadaniu rzeczy, łączenie się chemiczne ciało podlega ścisłym prawom.

Spróbujmy wyjaśnić sobie jak najlepiej te wszystkie własności siły chemicznej.

Powiedzieliśmy, że siła chemiczna jest właściwą wszystkim substancjom istniejącym na świecie.

Wszystkie ciała, jakie widzimy dookoła, a więc kamienie, rudy, wapno, piasek, ziemia, sole, woda, powietrze, rośliny, zwierzęta, słowem wszystko to, co tworzy świat widzialny, poddano chemicznemu badaniu i okazało się, że tysiące tych różniących się bardzo na pozór pomiędzy sobą ciał składają się z 80-ciu mniej więcej prostych ciał: tak zwanych pierwiastków, podobnie jak wyrazy i zdania naszej mowy składają się z kilkunastu zasadniczych dźwięków. Cała przyroda wielkie dzieło Boże składa się z owych 80 pierwiastków, które możnaby nazwać cegłami w wielkim gmachu świata, budownictwem zaś jest tutaj tajemnicza siła chemiczna, o której właśnie mówimy.

Otóż zbadano siłę chemiczną, przyciągającą pomiędzy sobą wszystkie znane pierwiastki. Najpospolitsze z nich są: tlen, azot, wodór, węgiel, siarka, fosfor, krzem, chlor i cały szereg metali naprzykład: żelazo, cynk, cyna, miedź, srebro, złoto i t. d.

Jeżeli więc mówimy o istnieniu chemicznej siły przyciągającej pomiędzy pierwiastkami, to rozumiemy co następuje:

Każdy z pierwiastków, naprzykład tlen w pewnych warunkach łączy się z każdym innym pierwiastkiem.

Tak naprzykład tlen, łącząc się z azotem, daje kwas azotny, z wodorem zaś, daje wodę, a z węglem dwutlenek węgla. Może on także łączyć się z siarką i wodorem na kwas siarczany i t. d.

Widocznie siła łącząca nie spoczywa tylko w samym tlenie, ale także w owych innych ciałach, z którymi się łączy chemicznie. Musimy więc przyznać, że skłonność chemiczna, wywołująca powstawanie związków, jest niejako stosunkiem, jaki panuje pomiędzy rozmaitymi substancjami chemicznymi. Siedliskiem jej są oba ciała wchodzące w związek.

Ponieważ jednak dostrzegamy to we wszystkich znanych pierwiastkach, przeto musimy przypuścić, że w każdym z nich spoczywa chemiczna siła przyciągająca, wychodząca na jaw wtedy, kiedy dwa albo więcej pierwiastków zbliża się do siebie w odpowiedni sposób. Idąc jeszcze o krok dalej, wnioskujemy, że chemiczna siła spoczywa na wszystkich bez wyjątku przedmiotach nas otaczających,

gdyż owe przedmioty składają się z 80-ciu pierwiastków. Taka chemiczna siła buduje wszystko, ale też i niszczy swoje dzieło. To, co nazywamy w codziennej mowie zwierzeniem, rdzewieniem, zgryzieniem, spalaniem, rozpadnięciem się, gniciem i butwieniem, próchnieniem, obumieraniem jest tylko skutkiem zmian chemicznych, albo lepiej, skutkiem chemicznego przyciągania, które zmienia postać przedmiotów. Tak samo jednak skutkiem działania siły chemicznej jest wszystko to, co nazywamy powstawaniem, tworzeniem się, kiełkowaniem, rośnięciem, słowem gra sił chemicznych wywołuje nieustanne zmiany w świecie materyalnym, niszczy i tworzy bez przerwy. Zmienia się tu jednak tylko forma zewnętrzna, treść zaś istotna pozostaje jedną i tą samą. Widzimy więc, że siła chemiczna odgrywa główną rolę w świecie, a więc zasługuje, abyśmy starali się poznać prawa, jakim ulega.

Wł. U.



Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)



Przyszedł tu do pana profesora — rzekła, przyciszając głos, — żeby u pana zasięgnąć rady a także, żeby własnemu sercu ulżyć. Chłopcy też niech wiedzą. Jestem pewna, że można liczyć na nich. Potrafią utrzymać tajemnicę i pomogą mi w tem, żeby mamuleczka się nie dowiedziała.

Tu głos Zosi stał się ledwo dosłyszalnym szeptem, a twarz jej powlokła się jeszcze większą bladocią.

— Dzieci we wsi chorują na szkarlatynę...

Józio i Zdziś przybliżyli się do Zosi i zawisli oczami na jej ustach. Pan Chlewiatko począł gładzić łysinę, co zawsze czynił w chwilach zająknięcia, czy niepokoju.

— Zkąd wiesz? — zapytał szeptem Zdziś.

— Józłowa, nianka Jańcia, chodziła odwiedzić swoją siostrę na wsi. Wiedziała, że dzieci tej siostry były chore, ale o tem nic nie powiedziała, więc jej mamuleczka pozwoliła. Teraz przypadkiem usłyszałam, jak opowiadała Jagusi, że już jedno dziecko jej siostry umarło, a drugie leży w gorączce, gardło mu strasznie opuchło, a ciało ma okryte drobną wysypką, tak gęstą i czerwoną, jakby kto z gotowanego raka skorupę zdjął.

Chłopcy oniemieli z przerażenia, pan Chlewiatko zaś zapytał:

— Czy Józłowa miała już Jańcia na ręku po powrocie od siostry?

— Ona chodziła wczoraj, więc nie tylko miała Jańcia na ręku i na kolanach, ale go rozbierała wczoraj, a dziś ubierała, myła, czesała...

Pan Chlewiatko zamyślony, tak zapamiętał gładził łysinę, iż trzeba się dziwić, że jej nie uszkodził.

— Myślałem o odsunięciu natychmiastowem Józłowej, ale to już zapóźno. Teraz nie miałoby to żadnego celu. Nic nam nie pozostaje, jak tylko zachowanie się spokojne i oczekiwanie wypadków. Przed panią Zabrzeską,

naturalnie, zupełna tajemnica! Tylko proszę żadnych szeptów, które mogłyby dać do myślenia; żadnych znaków porozumiewania; żadnych spojrzeń, mogących dać pani Zabrzezkiej do myślenia! Zosia jest blada, usta jej się trzęsą... Trzeba usiłować zapanować nad swoim wzruszeniem; kto mocno usiłuje, ten wiele uczynić może. Chłopcy niech trzymają język za zębami...

Józio przybrał obrażoną minę:

— Przecież ja jako przyszedł ksiądz i spowiednik, muszę umieć utrzymać tajemnicę!

— Ale jeszcze spowiednikiem nie jesteś!

— A cóżby to był za żołnierz, co by paplał jak kumoszka! — zawołał Zdzisław.

— No dobrze, dobrze — rzekł pan Chlewiatko — widzę, że liczyć na was można. A teraz trzeba pomyśleć o środkach zaradczych. Dobrzeby było wykopać Jańcia, wymyć mu włosy i zmienić ubranie, te zaś, które miał na sobie, wynieść gdzie na strych, lub wyprać w wodzie z karbolem. Józwa niech się umyje cała, niech też włoży czystą bieliznę i zmieni ubranie wierzchnie. Tyle na teraz. Po lekcji chłopcy zaprzęgą swoje kuce. Pojadę niemi do doktora i zapytam go, czy niema jakich innych ostrożności do zachowania.

— I my z panem pojedziemy! — prosili chłopcy.

— Nie, moje dzieci. Może w miasteczku jest też szkarlatyna. Wiem, że się nie boicie niczego, ale chodzi tu o waszą matkę.

Pani Zabrzezka w istocie nie domyśliła się niczego. Zosia zapowiedziała Józwowej i pokojówce Jagusi i wszystkim służącym domowym, a nawet Michałowi, Wojciechowi i Antonemu, by strzegli, ile było w możności każdego, żeby zła wieść o zaraźliwej chorobie nie doszła uszu pani Zabrzezkiej.

Antoni przy tej sposobności opowiedział zaraz legendę, prawdopodobnie własnego pomysłu:

— Bo to wszystko przez ludzką złość i przez ludzkie grzechy! Jak św. Piotr chodził po ziemi, to się jedna kobieta śmiała z niego, że miał głowę łysą, jak jajko. A św. Piotr trzymał sobie wtedy w ręku mak polny, co go rwał, idąc przez pole w życie. Tak wziął ten kwiatek i rzucił go na dziecko, co ta kobieta trzymała na ręku. I Pan Bóg tak dał, że to dziecko stało się czerwone jak mak. Od tej pory dzieci chorują na szkarlatynę.

— Przecie dzieci nietylko na szkarlatynę chorują, ale i na odrę i na ospę...

— Ospa to znowuż od pereł, a odra od jagieł pochodzi. To wszystko za ludzką złość i ludzkie grzechy! Z ospą to tak: Jak Matka Boska na osielku do Egiptu z Dzieciątkiem jechała, a św. Józef osielka prowadził, tak jednego dnia nie mieli co jeść. Zaszli do jednej chałupy, z której pachniało świeżym pieczywem. Wchodzą i proszą o kawałek chleba, a gospodyni powiada: „Niema u nas ani kawałeczka.” Matka Boska prosi: „Choć dla Dzieciątka.” A gospodyni: „Niema ani okruszki.” A przez uchylone drzwi od komory, szła para od świeżego chleba. Tak Matka Boska zdjęła z szyi sznureczek pereł i chciała go dać za kawałek chleba. Sznureczek się zerwał, pereły się rozsypały, a dziecko tej kobiety zaczęło pereły zbierać po ziemi. Aż tu ta kobieta patrzy, a dziecko obsypane po całym cieple krostkami jak pereły. Od tego czasu dzieci chorują na ospę.

— Antoni to pewno sam te wszystkie bajki wymyśla.

— Nie, panienko, to wszystko tak było, jak mówię!

A z odrą to znowu tak: Jak św. Jan był na puszczy, tak mu się szarańcza i miód, co niemi żył, okrutnie sprzykrzyły, że już na to jadło patrzeć nie mógł. Bo i prawda! Człowiekowi nawet kielbasa uprzykrzyć się może, a nie dopiero takie gady jak szarańcza, jeszcze do tego z miodem! Tak se św. Jan wyszedł do jednej wsi, co była zaraz przy puszczy i otworzył drzwi do jednej chałupy. A tam kobieta w stepie prosió tłucze. Tak on do niej: „Dajcie mi, matko, garsteczkę iagiel.” A ona na to: „Albo to ja nie mam

własnych dzieci, żebym lada komu jagły dawała?” Tak św. Jan zaczął zbierać z ziemi te, co wokoło stepy leżały, ale były brudne, bo na klepisku w izbie było mokro, a kobieta po nich deptała. Więc mu się te jagły nie spodobały i rzucił je nazad na ziemię. A po izbie łąziło na czworakach takie dziecko, co jeszcze chodzić nie umiało i jedna jagła, rzucona przez św. Jana upadła na rączkę tego dziecka. Kobieta patrzy, a tu dziecko pokryte malutkimi pryszczkami, jakby jagielkami. Od tego czasu dzieci mają odrę. To wszystko przez ludzką złość i przez ludzkie grzechy, panienczko!

Zosia przyszła zdać relację panu Chlewiatce, ze wszystkich swoich zabiegów, a jednocześnie opowiedziała mu legendę Antoniego.

— Wyobraźnia ludowa jest wszędzie ta sama — rzekł profesor. — Do zjawisk wszelkich przywiązuje przypowieści, podania... tworzy baśnie, niekiedy bardzo poetyczne, splata życie Świętych, a nawet życie naszego Zbawiciela z potocznymi wypadkami codziennymi. Wiara w gusła, w nadzwyczajności, w zabobony, pomaga wyobraźni ludu do przyobleczenia wszystkiego w szaty cudowności. Pocziwy Antoni jest widocznie twórcą takich baśni i legend, które się potem szeroko pomiędzy ludem rozchodzą.

— A co doktor powiedział? — zapytała Zosia.

— Że niema nic obecnie do uczynienia. Zalecił tylko utrzymanie jaknajwiększej czystości i porządku. Potwierdził wiadomości Józwowej co do złośliwości szerzącej się we wsi Suchowie szkarlatyny. Poszedł w końcu wraz ze mną do apteki i polecił aptekarzowi sprowadzenie świeżej surowicy.

— Czy to jest lekarstwo na szkarlatynę? — zapytał Józio, obecny przy tej rozmowie.

— To jest środek niedawno wynaleziony, na dyfteryt. Szkarlatyna zaś zwykle z dyfterytem idzie w parze.

Starsze dzieci obserwowały teraz z wielką uwagą Jańcia. Ciągłe im się zdawało, że na jego buzi są *wypieki*, nie rumieńce; że nie jest tak wesoły jak zwykle, lub, że jego wesołość jest gorączkowa. Zosia wstawiała w nocy, żeby dotknąć jego czoła i żeby kontrolować, czy się z niego kołderka nie zsunęła. Pełen wyobraźni Zdzisław wmawiał wprost Jańciowi ból gardła i jak go zaczął ścisnąć za krtań, próbując czy tam niema miejsca bolesnego, tak Jańcio wyznał, że go gardło boli. Co chwila któreś ze starszych dzieci pódawało krtań Jańcia masażowi i chłopczyzna utrzymywał stanowczo, że czuje ból coraz mocniejszy.

Pan Chlewiatko znowu kucami pojechał do doktora, który nakazał zakładanie termometru i wezwanie porady lekarskiej, dopiero wtedy, gdyby się okazał stan gorączkowy. Do tej chwili trzeba było oszczędzać panią Zabrzezką, którą obecność lekarza mogła przestraszyć i jej chore nerwy doprowadzić do niebezpiecznego rozdrażnienia.

XIX.

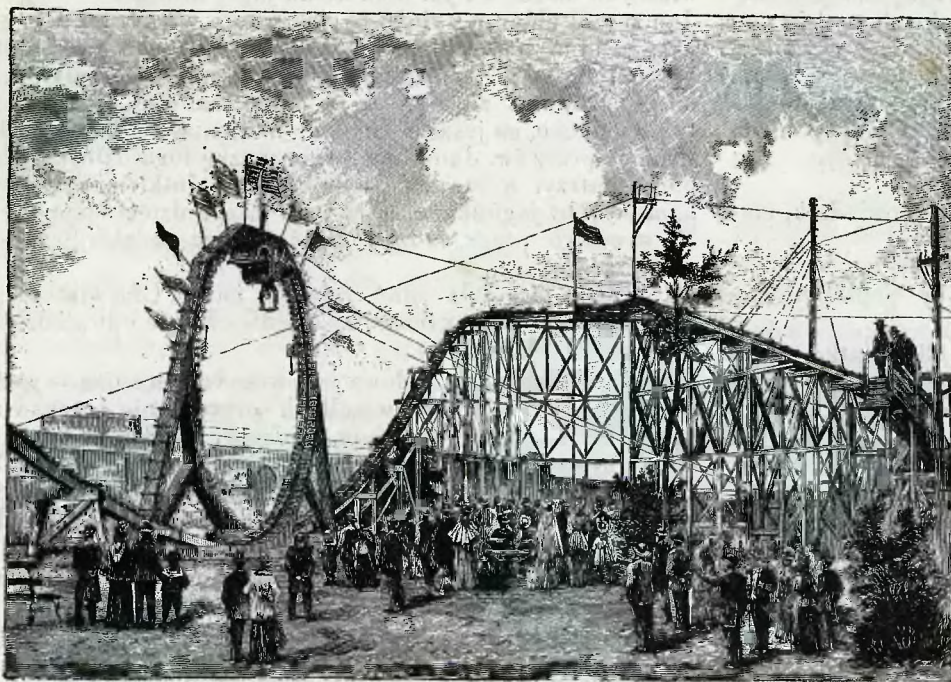
Wieczorem za Zosią do pokoju dziecinnego udała się cała procesya, z panem Chlewiatką na czele. Troje starszych dzieci szło z profesorem mierzyć temperaturę Jańciowi, który leżał z oczami otwartymi szeroko i zdawało mu się, że ma nad sobą poważne konsylium. Zosia założyła termometr pod pachę; profesor trzymał za puls; Józio podtrzymywał ramię, żeby Jańciowi było wygodniej leżeć z termometrem; Zdzisław położył rękę na czole braciszka.

— Ja jestem bardzo chory! — rzekł Jańcio, który był ogromnie głodny, gdyż przez cały dzień dzieci teroryzowały go wzrokiem, by jadł jaknajmniej w przededniu ciężkiej choroby.

Dreszcze niepokoju przebiegły po ciele konsultantów; oczy ich, patrzące na Jańcia, wyrażały najwyższą obawę.

— Czy przy takiej chorobie można jeść szynkę i bułeczkę z masłem? — zapytał Jańcio.

Oburzenie na wniosek Jańcia było ogólne.



Kolej centryfugalna (str. 232).

— Ja słyszałem o jakimś „fałszywym głodzie” — rzekł Józio — może to jest właśnie symptomat tej choroby.

— Trzeba będzie jutro zastosować jaknajściślejszą dyetę — dodał Zdziś.

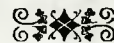
— Doktor powiedział, że może jeść wszystko — rzekł profesor.

— Ale doktor nie wiedział o fałszywym głodzie — szepnął Zdziś.

— Żeby nam pan pozwolił, tobyśmy jutro pojechali do doktora zapytać, co można jeść przy fałszywym głodzie — dodał Józio.

— Pozwoliłbym, gdybyście mi przyrzekli, że zachowacie nie które ostrożności.

(d. c. n.)



DO MOJEGO GRAJKA.

Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
Miły grajek się przyłoży,
A basista nie najgorzej:
Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi.

Miły Janek, dobra dusza,
Jeno sobie nóżką rusza;
Po chałupie okiem wodzi,
A smyczek mu już sam chodzi.
Czasem to się tak zaduma,
Aż go łokciem trąci kuma:
Co u niego we zwyczaju,
Gdy wędruje po swym kraju.

Za nutami, jedna druga,
Ta króciuchna, a ta długa,
Lecą głosy do pamięci
Ode żniwa, sianożęci...
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Lecą, lecą nie prośzone,
Na ten smyczek, na tę stronę,
Przepióreczka pomkła w proso
Śpiewa dziewczę, z jasną kosą:
Bo to dziewczę pozna żywo
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo.

Zabłąkane nóty chwyta,
Ta do tańca wyśmienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty...
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

A zawracaj od komina,
Czapka na bok, ostra mina;
Z przewieszoną tedy połą,
Pomaluchnu, a no w koło,
Potem rażno na odsibkę
Bodajże cię za tę skrzypkę...
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Szumno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby w koło,
Za drugimi, za gromadą,
Maciej sąsiad za sąsiadą;
A za nimi skocznym tanem,
Jedzie Wojciech z dużym dzbanem:
Za płotami, jako mogą,
Dzieci sobie swoją drogą.

W okólniku skaczą żrebce
Dziecko śmieje się w kolebce:
Kędy spojrzeć, radość wszędy,
Dziwuje się kogut z grzędy,
I na dragu, na wysokim,
Przygląda się jednym okiem.

Stara wierzbą głową chwieje,
Nie wiedząca, co się dzieje,
Wyskakują płowe wzgórza,
Tylko gwiazda oczy zmrusza,
Wszyscy skaczą jak najęci,
Aż tak sobie mówią święci:
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

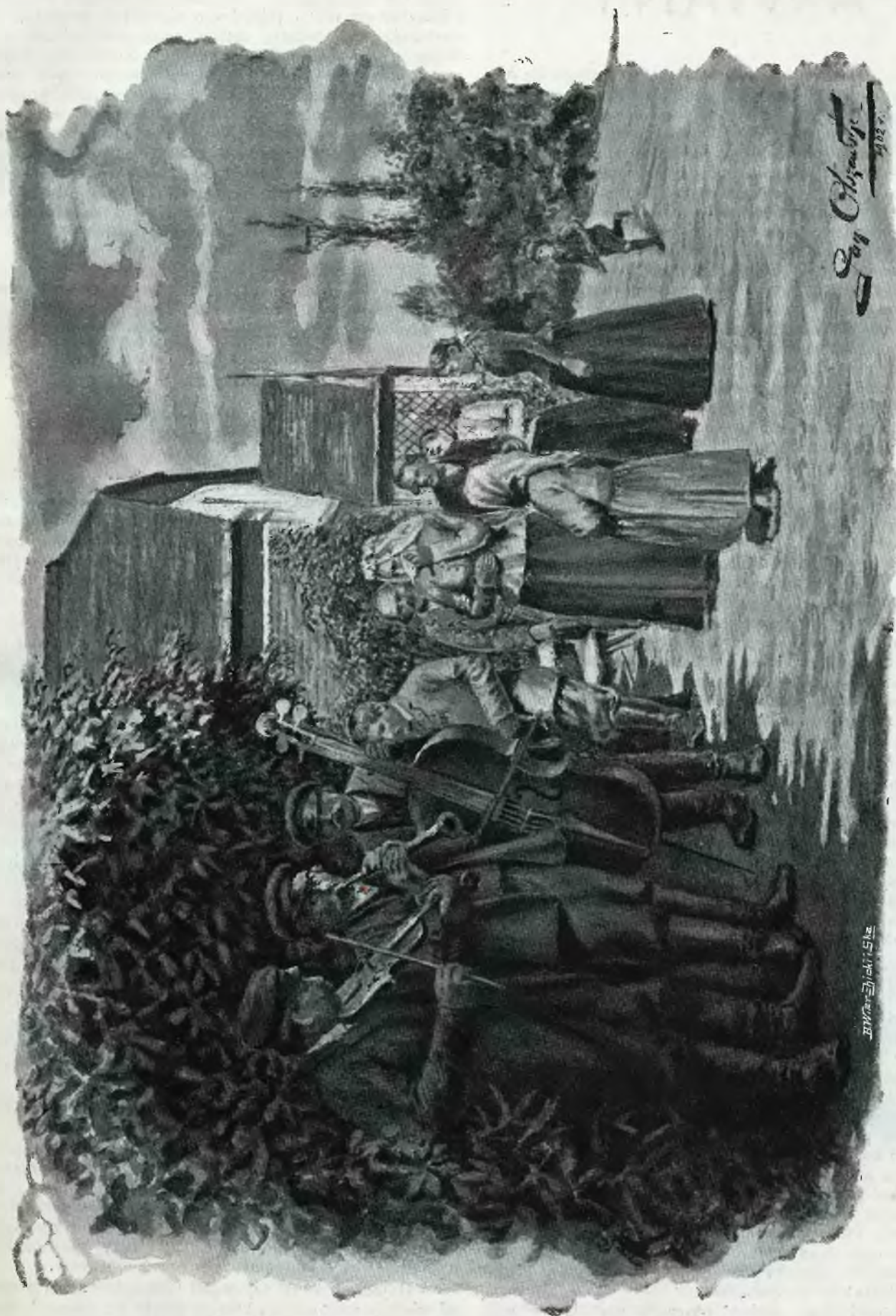
Zmarnowana bieda z nędzą,
Jak szalone ze wsi pędzą.
Po lipowym starym moście,
Na wesele jadą goście.

Jedzie matka, dobra wola,
Aż się złocą od niej pola,
Suknia na niej, jak na pani,
Złotem tkana, przerabiana.
Na przyjęcie siostra, cnota,
Otworzyła stare wrota;
Pokłoniły jej się pługi,
Stary żóraw, też jak długi;
Potem z izby bucha para,
Zaśmiała się szczęsna wiara:
Bywaj z nami wieśniakami,
Stara matko, bywaj z nami!
A któż w świecie was ugości,
Jeśli nie my ludzie prości?

Grajże grajku, bo daremno,
A ty Baśko, kręć się ze mną.
Jak się Mazur puści szczerze,
Niech się świat za głowę bierze:
Jak się Mazur rozochoci,
Co na drodze, to wygrzmoci.
Zagrajcie mi grajku proszę,
Wysypię ci w skrzynkę grosze:
Więc i dziewczę szczere licho,
Podśpiewuje jeszcze cicho:
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Biały ranek gwiazdy gasi,
Pospali się ludzie nasi;
Po weselu, cicho wszędy,
Tylko kogut zfrunął z grzędy.
I na śpiących snem głębokim
Przygląda się jednym okiem.

T. L.



Grajkowie na wiejskiem weselu. (Patrz wiersz: Do mojego grajka).

PAWIANY.



W czasie wojny transwaalskiej zdarzało się niekiedy, że pawiany odbijały Anglikom transporty żywności wysyłane z Kapsztadu, warto więc poznać, co to za zwierzęta.

Koloniści Afryki południowej zdolali się już pozbyć lwów, słoniów i biednych Hotentotów, lecz nie mogli poradzić sobie z pawianami.

Pawian jest to małpa podobna do psa i bodaj czy nie najbrzydsze stworzenie na świecie. Potwór ten jest plagą kolonii Kapu. Kot oddaliwszy się nieostrożnie kilka kroków za dom, pada ofiarą pawiana. W ten sposób znikły angory, najkosztowniejsze ze zwierząt bytkownych, sprowadzonych do Afryki Południowej. Psy doznają tego samego losu, nawet pochodzące z najdzielniejszych ras angielskich nie mogą mierzyć się z pawianami, które posiadają ogromną siłę w szczękach, a mają jeszcze tę wyższość nad przeciwnikami, iż zamiast czterech łap posiadają cztery ręce. Pawian z niezwykłą zręcznością chwytą przeciwnika za gardło, a walka w minutę kończy się śmiercią tego ostatniego. Chociaż pawian żywi się przeważnie jaszczurkami, przy sposobności nie gardzi i baraniną. Biedne kozy i owce, które dostaną się w moc tego potwora! Pawian stara się zabijać je jak najwolniej, bo cieszy go widok tortur, zadawanych niewinnym ofiarom; nie śmieją atakować wołów, lecz krowom zadają ciężkie rany, które zazwyczaj są śmiertelne. Strusie, dzięki szybkości swych nóg, nie obawiają się zazwyczaj pawianów, lecz łatwo przestraszają się ich szczekania. Bo natura obdarzyła pawiana nie tylko głową psią, lecz i głosem psim. Jedną z głównych rozrywek pawianów, jest niecenie postrachu między oswojonymi strusiami, hodowanymi w specjalnych parkach, otoczonych żelaznym drutem. Pomiędzy biednymi zwierzętami wszczynają się taka panika, iż biegają jak szalone z jednego końca w drugi, łamiąc nogi.

By się uwolnić od tego strasznego zwierzęcia koloniści Kapu nie cofają się przed niczem. Daremnie uciekano się do pomocy najsilniejszych trucizn i najniebezpieczniejszych środków, wynalezionych przez chemię współczesną. Pantery i szakale połykają zatrute mięso arsenikiem lub strychniną, ale pawian nie daje się podejść temi sposobami. Małpy te żywią się jajami, owocami, jaszczurkami i rozmaitemi owadami, a tylko od czasu do czasu jadają mięso, i to wtedy, gdy mają ochotę zabawić się męczarniami zwierząt domowych. Ich nieomylny instynkt nakazuje im niedowierzać człowiekowi, obdarzającego ich podarkami. Przy pomocy delikatnego powonienia odkrywają odrazu obecność trucizny roślinnej lub mineralnej w kawale podzuczonego mięsa, i są tak ostrożne, iż nigdy nie połkną pigułki. Inteligencyja niemal ludzka tych zwierząt stała się przysłowiową. W chwilach odpoczynku otaczają się strażami, których czujność nie pozostawia nic do życzenia. Na pierwsze ostrzeżenie krzykiem tych małpich posterunków cała czereda znika w mgnieniu oka. Pawiany nie uciekają przed człowiekiem nieuzbrojonym w karabin. Dla broni bardziej żywają pogardą i nie sobie z niej nie robią. Przy spotkaniu z kolonistą uzbrojonym tylko w nóż myśliwski, pawian rzuca na niego kamieniami i król stworzenia musi często uciekać przed batalionem bombardujących małp.

Koloniści zazwyczaj w nocy przygotowują odwet nieprzyjacielowi, którego napady rujnują w kilka godzin najbardziej kwitnące osady rolne.

Polowanie na pawiany przypomina wyprawy przeciwko plemionom Basutów lub Żulusów.

Przed zachodem słońca otaczają zarośla, w których pawiany założyły obozowisko. Następnie bardzo zwolna zacieśniają koło, zmuszając pawiany do gromadzenia się na pagórku, na którym mają zwyczaj chro-

nić się w razie niebezpieczeństwa. Manewr ten odbywa się w głębokiej ciszy. Około godziny 4 rano kamień rzucony, lub trzask gałęzi oznajmia, że pawiany obudziły się, i badają, czy nie podejrzanego nie widać w okolicy. Nagle rozlegają się strzały, małpy ugodzone kulami, wydają straszne, niemal ludzkie krzyki. Zazwyczaj kilkadziesiąt pawianów pada na placu, a ponieważ zwierzęta te nie przynoszą żadnego pożytku, myśliwi poprzestają na odcięciu ogonów, aby otrzymać nagrodę rządową po 3 fr. 75 centim. za sztukę. Zapytano raz pewnego starego Boera, czy jest zadowolony z ostatniego polowania na pawiany. „Polowanie było przepyszne — odrzekł. — Zabiliśmy czterdzieści małp a straciliśmy tylko dwóch ludzi.” Z odpowiedzi tej można powziąć wyobrażenie, jakie niebezpieczeństwo towarzyszy takim wyprawom.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Ale choć upajało Stefana życie tak różne od tego, które prowadził dotąd, choć budził się w nim często iście rycerski animusz, tęsknił nie tylko za szumem kłosew na Wielkopolskich równinach, za wiosną naszą i naszym śniegiem, ale tęsknił jeszcze do rozmów z ludźmi tej miary, co proboszcz Wągrowiecki lub Jakób O'Clear.

Od czasu jak zamieszkał na kolonii w Sixtenlots nie odebrał żadnego listu, nie czytał gazet, nie widział nikogo prócz osadników, których pracę podzielał. Praca ta pochłonięła każdą wolną jego chwilę, dlatego też nie był w Kurytybie, a teraz wyrzucił sobie, że zaniedbał to uczynić.

— Może znalazłbym w mieście ziomeków dawniej osiadłych i doświadczeńszych ode mnie — myślał kierując konia z biegiem strumienia. Marzyły się Stefankowi wory kawy dostawiane do Rio, marzył cukier, tłoczony z trzciny w młynach własnego pomysłu. Zdolny ślusarz jest trochę mechanikiem i nasz bohater jeszcze w Wągrowcu próbował wyrabiać modele maszyn. Dlaczego nie miałby kiedyś założyć polskiej fabryki narzędzi, jak słyszał, że założyli ją Irlandczycy. Piękne plany, ale dla ich urzeczywistnienia koniecznem było nawiązać stosunki, stworzyć drogi zbytu. Tam gdzie mieszkał żadnej dotąd nie zbudowano drogi.

Odczuwał jej brak dotkliwie i teraz. Strumień służył mu za przewodnika, upały wysuszyły szeroko rozlane łożysko rzeki, mógł więc Stefek śmiało pędzić po równej bezleśnej powierzchni. Zauważył jednak wkrótce pewne poruszenie środkowych warstw wody, pokazywały się na niej żółte piany, prąd niósł je coraz szybciej i zostawiał na zakrętach pęki trawy, a czasem nawet wyrwane z korzeniami krzaki.

— Rzeka wzbiera, musiała spaść w górach ulewa — pomyślał Stefan. Zdjął go niepokój o kolonię.

Zatrzymał na chwilę konia i zapuścił wzrok w głąb puszczy. Był odważny, lecz zadrżał, gdyż otaczająca go przyroda mogła nawet śmiaćka przejąć obawą. Rzeka płynęła, szemrząc coraz groźniej, a z puszczy dochodził złośliwy szum. Nawet łagodne światło księżyca podnosiło wrażenie ponurego nastroju. Cedry spowite lianami wyglądały jak skamieniałe w więzach olbrzymi.

Dojechał już do tej części lasu, gdzie zabił węża i miał właśnie wzgórze na którym znikła mu z oczu Indyanka, gdy z gestwiny doleciał go ponury wrzask sowy. Drgnął mimowoli, ale zdziwienie przemogło zabobon, bo w tej samej chwili sto sów odpowiedziało na wołanie pierwszej.

— Co to być może? — jakiś sowi sejm — myślał Stefek, w tem zaszeleściły gałęzie, zapewne zwierz przemykał się do kniei. Czemuż jednak biegł w stronę strumienia, kiedy do rana daleko a leśny mieszkaniec zwykł o świecie gasić pragnienie?

Leśny mieszkaniec, powiedziałeś Stefku? toż przekonałeś się już rano, że w puszczy żyją nie tylko zwierzęta. Patrz bacznie, teraz znów mignął cień i trącił wysoką gałąź cedru. Nie dosięgnąłby jej żaden z brazylijskich czworonogów. Tylko małpa i leniwiec spinają się do tej wysokości, ale leniwiec śpi już niezawodnie, czemużby zaś małpy miały po nocy zabiegać drogę jeźdźcowi, lub człochać się po ziemi. A tam pełza ktoś w stronę strumienia. Ten ktoś spojrział na jeźdźcę i zniknął.

Biada ci Stefku, nie znasz zwyczajów i podstępnych zabiegów twoich nieprzyjaciół. Stajesz do walki, a nie potrafisz zliczyć wroga ukrytego w lesie, nie wiesz jak on z tobą poczynać zamierza?

Za to koń zdawał się odczuwać niebezpieczeństwo. Czy płoszył go wzrastający szum rzeki, czy instynkt zwierzęcia pozwalał mu odgadywać to, czego nie rozumiał człowiek, dość, że przyspieszał biegu przeskakując wykroty zawałające brzeg strumienia i dążąc coraz szybciej do domu.

„Jako leśnicy, gdy sosny i dęby
Sieką wzdłuż puszczy, słychać łoskot w dali;
Jęczą topory, chrobocą pil zęby,
Kiedy niekiedy wierzchołek się zwali,
Nakoniec między wyciętymi zręby
Ujrzyysz i mężów i błyskanie stali.
Takie wysiekłszy środkiem Niemców łomy,
Darl się ku Litwie rycerz nieznamy”

Biedny rycerz Stefek deklamował na pociechę wiersz z Grażyny Mickiewicza. Podniecał w sobie animusz, bo droga stawała się coraz trudniejszą skutkiem przyboru rzeki, a jechał już kilka godzin nie odpoczywając wcale. On także darł się, wprawdzie nie przez szeregi niemieckie ale przez krzaki malin i splątane zwoje lian a groziło mu może większe niebezpieczeństwo niż Litaworowi biegnącemu na ratunek żony. Tymczasem jednak nieprzyjaciół pozostał ukryty w lesie, a jemu udało się nakoniec szczęśliwie pokonać trudności karkołomnej wyprawy. Był blizkim celu. Koń zarżał, bo poczuł nie stajnię wprawdzie, w Brazylii nikt na noc inwentarza nie zamyka, ale obrok przygotowany w żłobie. Stefek nadstawił uszu, zdawało mu się, że słyszy szczekanie psów.

— Do nogi Niemen, pójdź tu Warta! — wołał uradowany, kierując konia na głos wiernych brytanów, które choć urodzone w Brazylii, przyzwyczały się już do tych nazw.

— Łaska Boża, że pan gdzie karku nie skręcił po nocy — zawołał Tomasz Grażela, który mimo późnej godziny czuwał nad bezpieczeństwem kolonii. I Tomasz słusznie zrzędził; w Brazylii, ludzie ostrożni niechętnie wyjeżdżają w drogę po zachodzie słońca, tylko tak mało doświadczony kolonista jak Stefek mógł się puścić na podobną wyprawę.

Zdjął siodło z konia i nie myśląc o spoczynku zabrał Tomasza na naradę. Należało zarządzić obronę przed napadem Botokudów, a stary Grażela wiele w życiu doznał przygód i zapach prochu miłszym mu był od tabaki.

— Bijal ja różnych, pamiętają mnie Niemcy pod Miłostawiem a i gdzie indziej nie chodziło się darmo, ale tam, to byli tacy ludzie jako i my, a któż to wie, jak należy postępować z leśnym narodem. Spadnie ci to z gałęzi na kark, nieprzymierzając niby te małpięta, co je od kukurydzy odganiać a odpędzić nie mogę.

Tomasz drapał się w głowę zakłopotany, Stefek stał bezradny bo znużony drogą.

— Trzeba się zdać na wolę Bożą — powiedział w końcu Tomasz. — Brytany czujne, ot i teraz poleciały pod las i szczekają nie wiedzieć czego. One pierwsze zwą-

chają, gdyby się kto skradał do baraku, fuzya pańska nabiła, siekierę ma każdy pod ręką, co będzie, to będzie, a wyspać się panu trzeba, ja także spocznę choć chwilę.

Rada zdawała się dobrą i Stefan usłuchał jej chętnie, lecz zaledwie słońce wyjrzało nad puszcę poszedł, rozpatrzyć przyszłe pole bitwy. Obejrzał się za psami, towarzyszyły mu one zwykle we wszystkich spacerach. Daremnie jednak przyzywał brytany nie było ich nigdzie w pobliżu.

Złe przecucie ścisnęło mu serce. Pobiegł w stronę lasu, tam gdzie przed paru godzinami ujadły zajadłe, podczas gdy on rozmawiał z Tomaszem. Nie szukał długo, spostrzegł je wyciągnięte na ziemi. Strzały sterczały w kudłach biednych zwierząt, musiały być zatrute, gdyż nie tkwiły głęboko a jednak oba psy leżały sztywne i zimne.

— Niemen! Warta! powtarzał Stefan, wstrzymując łzy, które cisnęły mu się do oczu.

Tomasz wiedział już o klęsce, jaka spotkała kolonię, wieść obiegła wkrótce całą osadę, wywołując żal i przestrach. Jeżeli dotąd lekceważono sobie Indian, w tej chwili przesadzano ich potęgę. Najwięcej pomstowała Marciniowa, ona to dbała o pożywienie dla brytanów, ona też lamentowała najgłośniej. Stefan zamknął się w swej kuźni i pracą próbował tłumić żal. Życie w puszczy stawało się dla niego jeszcze smutniejszym.

Tak minął ten pamiętny w dziejach osady dzień; Tomasz wyznaczył stróżów do pilnowania baraków, a sam zasiadł z panem Lutym na progu kuźni. Próbowali we dwóch ułożyć plan dalszego postępowania, ani stary wiarus ani zmartwiony stratą psów Stefek nie umieli znaleźć rady na nieprzyjaciela, którego znali tak mało. Noc przeszła jednak spokojnie, ale osadzie groziło tymczasem nowe niebezpieczeństwo. Spadły w górach wielkie deszcze, rzeka przybrała i mogła zalać uprawne pola.

— Dziewuchy do jeziora z konewkami poszły, przeciw zmulonej wody brać nie będą z rzeki, raportowała Marciniowa Stefkowi, który mimo strapienia zasnął smacznie.

Zawstydzony w jednej chwili był już na nogach, lecz zdziwił się, bo spostrzegł sznur kwitnących lian, który zagradzał przejście od kuźni ku lasowi. Minął pole kukurydzy, aby dojść do strumienia, tu także wyrabano dostęp między krzakami, i tu gałęzie liany zamykały drogę. Wydało mu się, że zalew nie grozi polom, wrócił więc uspokojony w stronę baraku. Zaledwie jednak uszedł kilkadziesiąt kroków, spostrzegł dróżkę zamkniętą taką samą zaporą z lian, jak przejście ku strumieniowi.

— Co to być może, kto traci czas na bezmyślną zabawę — i to w obec grożącego od Indian niebezpieczeństwa, myślał Stefan, dążąc do kolonistów, którzy szli okopywać mandiokowe pole. Spotkał po drodze Tomasza, który nie odzyskał dotąd zwykłej fantazyi, on także przywykł mieć psy za towarzyszy, otrucie brytanów odebrało staremu humor.

(d. c. n.)



ZE ŚWIATA.

Zmiana panującego w Saksonii. W zamku Sybillenort (Sybilnia) pod Dreznem zmarł król Saski Albert, z dynastyi Wettinów. Zmarły król wstąpił na tron po ojcu swoim, królu Janie w 1873 r. i odznaczał się wielkimi zdolnościami.

mi wojennemi, które w latach 1866 i 1870 wykazał. Królem został brat jego, książę Jerzy.

Saksonia była w XV, XVI i XVII wieku jednym z największych państw rzeszy niemieckiej, a elektor Saski (tak zwano 4 książąt świeckich i 3 biskupów, którzy wybierali cesarzy niemieckich), uchodził za najpotężniejszego władcę. Od XVIII jednak wieku przewaga przechodzi do elektorów Brandenburskich, którzy przyjęli tytuł królów pruskich.

August II, zwany Mocnym, elektor Saski i król polski, oraz syn jego August III w nieszczęśliwych wojnach z Fryderykiem II pruskim utracili część swych posiadłości. Syn ostatniego, elektor Fryderyk August, wierny sojusznik Napoleona, wprawdzie pozyskał tytuł królewski, lecz po kongresie Wiedeńskim 1815 r. musiał jeszcze odstąpić część ziemi Prusom, tak, iż obecnie królestwo saskie zajmuje tylko przestrzeń około 15000 wiorst kwadratowych, w znacznej części górzystą, ale bogatą w różne minerały, żyzną ziemię, z bardzo rozwiniętym przemysłem.

Amerykańska kolej centryfugalna z ryc. Amerykanie bywają bardzo pomysłowi i często urządzają dowcipne, a na zasadach naukowych oparte rozrywki. Do rządu takich należy rodzaj wielkiego młyna dyabelskiego, ustawionego w jednym z parków w pobliżu New-Yorku, nazwanego kolejką centryfugalną, z którego można przekonać się o działaniu siły odśrodkowej, to jest siły, która przy obrocie jakiegokolwiek przedmiotu—zmusza go do oddalania się od środka obrotu. Kolejka ta, jak widzimy z ryciny, składa się z rusztowania drewnianego, na którym ułożono szynę stalową do puszczania niewielkich wagoników. Wagoniki te, spadające ze znacznej wysokości, okrążają z rozpędem owalny, ustawiony pionowo tor, przylegając do toru dzięki właśnie sile odśrodkowej.

Wprawdzie dla bezpieczeństwa odpowiednio urządzone ruchome klamry przytrzymują je u toru, ale w zasadzie jest to niepotrzebne, bo wagoniki trzymają się szyn i bez tego. Osoby pragnące użyć tej przejażdżki, każą się przywiązywać do wagonu, lecz po kilkakrotnym przebyciu drogi przychodzą do przekonania, że przywiązywanie jest zbędne, gdyż człowiek nie jest w stanie, choćby nawet chciał, wypaść z takiego wagonu, gdyż go prawdziwie przykuwa doń siła rozpędu odśrodkowego.

Bądź co bądź niewiele osób z publiczności decydowało się na przejażdżkę, która choć bezpieczna, wydaje się karkołomną i zostawia silne wstrząśnienie, to też nie cieszyła się zbyt wielkim powodzeniem.

Myśli i zdania.

Często za jedną chwilą wielkie rzeczy stoją
A co spóźni godzina, lata nie zagoją.

ZAGADKA.

Jestem przyimkiem, ale poza tem
Łączę się brzmieniem z uroczym kwiatem,

Który corocznie w piękne dni maja
Wszystkie ogrody cudnie przystraja.
Milszy nierównie od swego brata,
Co wielce wonny kwitnie wśród lata,
A ma działania zakres tak duży,
Że choć i suchy, wciąż ludzioru służy.

ŁAMIGŁÓWKA.

przez Grażynę.

- | | | | | | | | | | |
|-----|---|----|----|----|----|----|---|---|--------------------------------|
| 1) | 1 | . | . | . | . | . | . | . | Pole zwycięstwa Greków. |
| 2) | . | 2 | . | . | . | . | . | . | Rzeka w Afryce południowej. |
| 3) | . | . | 3 | . | . | . | . | . | Rozbójnik morski. |
| 4) | . | . | . | 4 | . | . | . | . | Rada królewska w Hiszpanii. |
| 5) | . | . | . | . | 5 | . | . | . | Wyspa na morzu Śródziemnem. |
| 6) | . | . | . | . | . | 6 | . | . | Miasto w Guyanie francus. |
| 7) | . | . | . | . | . | . | 7 | . | Miasto w Wyższej Gwinei. |
| 8) | . | . | . | . | . | . | 8 | . | Część świata. |
| 9) | . | . | . | . | 2 | . | . | . | Znakomity rzeźbiarz w staroż. |
| 10) | . | . | . | 1 | . | . | . | . | Góry w Turcyi Europejskiej. |
| 11) | . | . | 9 | . | . | . | . | . | Wyspy na morzu Egejskiem. |
| 12) | . | 6 | . | . | . | . | . | . | Nazwa wielu królów Syryjskich. |
| 13) | 4 | . | . | . | . | . | . | . | Staroż. kraina Półn. Grecyi. |
| 14) | . | 15 | . | . | . | . | . | . | Poemat bohaterski. |
| 15) | . | . | 18 | . | . | . | . | . | Miasto w prow. Nadreńskiej. |
| 16) | . | . | . | 20 | . | . | . | . | Zbiór zasuszonych roślin. |
| 17) | . | . | . | . | 18 | . | . | . | Flaga okrętowa. |
| 18) | . | . | . | . | . | 18 | . | . | Miejscowość w Palestynie. |

Ułożyć siedmiogłoskowe wyrazy, aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwę wyspy oraz wulkanu, znajdującego się tamże. Jednakowe liczby oznaczają jednakowe wyrazy.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 27-go:

Łamigłówek w kwadracie:

J u d y t a
H e l e n a
N a s s a u
U k o i l a
K i s i e l
W u l k a n

NOWY WYNALEZEK.

Patentowane amerykańskie maszyny do pisania
dla dzieci w cenie

rub. 2 i rub. 3 za sztukę.

Sprzedaż u H. Łaski & C^o w Warszawie

HOŻA 46.

(5)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Pawiany (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Do mojego grajka, wiersz przez T. L. — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata: Amerykańska kolej centryfugalna (z ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Piosnka, wiersz (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — W Krainie wiecznego wesela, baśń przedstawiona w teatrze maryonetek. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою. Варшава 30 Июня 1902 г.

Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Bitwa pod Grunwaldem.

(d. 15 lipca 1410 r.).

Potężny i dumny mistrz zakonu krzyżackiego Ulryk Jungingen, siedząc w czerwcu r. 1409 na zamku malborskim, zatrzęsł się z gniewu, gdy mu doniesiono, że wielki książę Witold przygotowuje wojnę na Żmudzi, aby ją uwolnić od krwiożerczej gospodarki krzyżackiej. Śle tedy wielki mistrz coprędzej posły do Witoldowego brata, króla Władysława Jagiełły, z zapytaniem, żali on popiera Witolda i Żmudzinów.

Król wyjawiał, że gotów jest w sprawie żmudzkiej pośredniczyć, jakkolwiek nie może odmówić pomocy bratu. Jungingen, gdy to posłyszał, i gdy go ostrzegano przed wysłaniem wojsk na Litwę, bo znaczyło by to wojnę z Polską, odparł butnie: „Lepiej mi pustoszyć kraj osiadły i uprawnny, aniżeli uganiać się po lasach i puszczech litewskich”.

To też już d. 6 sierpnia Zakon wojnę wypowiedział, a wnet wojska zakonne wpadły do ziemi Dobrzyńskiej, zniszczyły i złupiły wiele miast, zamków, a wymordowały tysiące mieszkańców. Jagiełło, choć nieprzygotowany



Rycerz krzyżacki.

do wojny, zwołał pospolite ruszenie i powołał Witolda z wojskiem do granic pruskich, aby się z nim połączył. Równocześnie na Żmudzi wybuchła walka.

Zakon na wsze strony począł zabiegać o sprzymierzeńców i pośredników. Za sowitą zapłatę pozyskał króla czeskiego Wacława, który wyjednał rozejm na rok, do przyszłego świętego Jana. Wacław rozsądzić miał sprawy sporne i we wrześniu powołał posłów polskich, litewskich, i mazowieckich do Pragi dla obwieśzczenia im wyroku rozjemczego. Dzięki podarunkom krzyżackim — wyrok był dla Polski niekorzystny. Wczas poufnie wtajemniczeni w sens wyroku delegaci polscy postanowili, podczas odczytania go, salę opuścić.

Notaryusz królewski zaczął więc wyrok czytać po niemiecku, gdy w tem posłowie polscy zacierają ku drzwiom. Wacław zapytał ich o przyczynę, na co odpowiedzieli, że nie rozumieją po niemiecku. Chciał król kazać przeczytać wyrok po czesku, lecz posłowie odparli, że i po czesku nie rozumieją, — i odeszli. Doręczono im więc wyrok na piśmie, a treść jego była taka: „Sporne ziemie, t. j. Żmudź, Drezdenko, Santok i Sudawia są własnością zakonu, ziemie

Dobrzyńską oddają obie strony królowi Wacławowi, który po roku ma rozstrzygnąć komu ją przyznać; Polacy w przyszłości nie mogą wybierać sobie królów z książąt litewskich, lecz z rodzin, panujących na Zachodzie”.

Po takim wyroku Polska dała pokój wszelkim układom pokojowym. Jagiełło skupił siły wojenne i w sam dzień św. Jana r. 1410. przybył do Walborza gdzie wszystkie wojska zgromadziły się. Stamtąd ruszono ku granicom krzyżackim. Pochód trwał dni 12. Dnia 14 lipca wojsko polskie stanęło nad jeziorem Lubieńskim, dążąc pod Malborg.

Wielki mistrz przeciął wojskom królewskim drogę — pozycją obu armii stał się więc nazajutrz obszar od Grunwaldu do Tannenbergu.

Pod wodzą Witolda i Zyndrama z Maszkowic stanęło 90 chorągwi — razem około 23,000 koni oprócz tego było nieco piechoty. Krzyżacy mieli do 17,000 koni, doskonałą jak na owe czasy artylerję — i również trochę piechoty. Z ciurami i pacholkami, siły zbrojne obu stron, skupionych pod Grunwaldem, dochodziły do 100,000.

Krzyżacy już od godziny 10 rano stali w szyku bojowym i czekali niecierpliwie nieprzyjaciela. Witold i Zyndram około południa uporządkowali chorągwie. Król, wysłuchawszy nabożeństwa, przywdział zwykłą zbroję, odbył długą ceremonię pasowania rycerzy, potem wydał hasła i z orszakiem ukazał się na pagórku — naprzeciw nieprzyjaciela. Zatrąbiono w obozie nieprzyjacielskim i wnet przed Jagiełłą stanęli dwaj heroldowie; w imieniu wielkiego mistrza złożyli mu dwa obnażone miecze, mówiąc. „Wielki mistrz posyła ci je, abyś się mógł lepiej bronić i nie wahając się dłużej, natychmiast wystąpił do boju.” (Tę obelgę tłómaczą niektórzy historycy jako obyczaj zachodniego rycerstwa; obelga jednak za rycerski obyczaj uchodzić nie może). Gdyby zaś — mówili heroldowie — miejsce do rozwinięcia sił wydawało ci się za szczupłe, Krzyżacy cokolwiek się usuną”.

Jagiełło odpowiedział heroldom statecznie, z godnością królewską, i odprawiwszy ich, kazał trzymać pod strażą.

Zaraz potem odezwało się hasło bojowe, zabrzmiała pieśń „Boga Rodzico” i wszczęła się walka zażarta. Po godzinnych, nader walecznych zapasach chorągwi litewskich z Krzyżakami, po naszej stronie szeregi się przełamały, powstał nieład, Krzyżacy wzięli górę. Rycerstwo krakowskie spostrzegając, że z rąk chorążego Marcina z Wroclimowic pada sztandar królewski, a hufce krzyżackie z pieśnią zwycięską „Christ ist erstanden” trątuja wszystko, co zawadza im na drodze do sztandaru króla. Chwila była straszna, prawie rozpaczliwa, ale i przełomowa. W obrobie sztandaru padającego zbudziło się bohaterstwo, chwilowo osłabione.

Wszczęła się walka szalona, zapal ożył. Wojsko polskie zmiażdżyło nadciągające silne rezerwy krzyżackie, a uratowanie króla przez młodziutkiego Zbigniewa Oleśnickiego od ciosu kopii Dipolda Kökeritza, który zuchwałość swe przypłacił życiem, stało się dla hufców królewskich jakoby znakiem widomym błogosławieństwa niebios. Nieustraszone w obec nowych, silnych zastępów nieprzyjacielskich chorągwie królewskie wycięły wszystko w pień, zostawiając tylko przy życiu tych, którzy się poddawali i wypraszały od śmierci.

Straszne to żniwo zmusiło resztę Krzyżaków do ucieczki, ale w pościgu jeszcze osiągnięto wielu. Plac boju opustoszał o zmrok, pościg trwał do późna, a dopiero rzęsisty deszcz zakończył rycerskie trudy tego wielkiego dnia.

Wielki mistrz padł na polu bitwy, pięćdziesiąt jeden chorągwi krzyżackich zdobyto. Rozgrom krzyżacki był straszny, potęgą zakonu i który niby w imię wiary chrześcijańskiej walczył z narodami już chrześcijańskimi, dbając tylko o świeckie zdobycze, została złamaną i pochód Niemców ku wschodowi wstrzymany na lat 400. Nad zwłokami wielkiego mistrza zapłakał król Jagiełło, kazał je przywdziać w purpurę i z należną czcią pogrzebać.

Znakomity nasz malarz historyczny Jan Matejko namalował wspaniały obraz, w którym przedstawił tę najważniejszą przełomową chwilę bitwy.

Obraz ten podajemy. Widzimy na nim pośrodku Witolda, pędzącego z dobytym mieczem, opodal wielkiego mistrza, już zewsząd otoczonego. Na prawo pod laskiem stoi król Władysław Jagiełło ze swym małym hufcem. Reprodukcyja nie może dać pojęcia o piękności tego ogromnego obrazu, który znajduje się obecnie w pałacu sztuk pięknych w Warszawie. Bitwa pod Grunwaldem była też nieraz opisywana przez historyków i poetów, ale najpiękniejszy obraz tej bitwy skreślił Sienkiewicz w zakończeniu swych „Krzyżaków.”

Na pierwszej stronie dajemy podobiznę rycerza krzyżackiego, który miał już prawo nosić biały płaszcz z czarnym krzyżem i pawie pióra na hełmie. Takich „białych płaszczów” było w dzień bitwy pod Grunwaldem 700, a wieczorem zostało tylko 15-u.

Pogadanki z dziedziny chemii.

V. Parę słów o skłonności chemicznej.

Pomiędzy każdymi dwoma pierwiastkami zachodzi chemiczne przyciąganie, ale siła owego przyciągania jest nadzwyczajnie rozmaita.

Wspominaliśmy już, że żelazo ma wielką skłonność do łączenia się z tlenem na rdzę. Istnieje zatem pomiędzy żelazem a tlenem pewien rzadziej skłonności wzajemnej. Znamy jednak substancje, które jeszcze skwapliwiej dążą do złączenia się ze sobą, aniżeli tlen i żelazo; skłonność ta pozwala im nawet odbierać rdzy zawarty w niej tlen i rugować żelazo.

Wspominaliśmy, że podobnie dzieje się w wielkim piecu, gdzie rozżarzony węgiel odbiera tlen rudzie, uwalniając ze związku żelazo metaliczne. Widzimy z tego, że chemiczna siła przyciągająca pomiędzy węglem a tlenem w pewnych warunkach jest większa, aniżeli skłonność żelaza do tlenu. Jeszcze większa skłonność istnieje pomiędzy tlenem i potasem; pierwiastki te dążą do siebie z taką siłą, że potasu nie można trzymać na powietrzu, gdyż łączy się z tlenem i rozplywa jak wilgotny cukier.

Chcąc więc wyrobić sobie właściwe pojęcie o sile przyciągającej, jaka zachodzi pomiędzy rozmaitymi chemicznymi substancjami, musimy zapamiętać, że:

Siła chemiczna istnieje pomiędzy wszystkimi pierwiastkami; jeżeli okoliczności sprzyjają, to z takich dwóch pierwiastków, sympatyzujących ze sobą, powstaje zupełnie odmienna od nich substancja. Ale owa siła przyciągająca nie jest jednakowa dla wszystkich pierwiastków, lecz staje się to silniejsza, to słabsza, zależnie od tego, jakie ciało będziemy brali.

Z chemicznego związku tlenu i azotu powstaje kwas azotny; wodór zaś, łącząc się z tlenem, daje wodę.

Co to jest woda, wie każdy. Wszystkie woda na świecie, znajdująca się w oceanach, rzekach, studniach, murach nie jest niczem innem, jak właśnie związkiem wodoru z tlenem. Kwas azotny także znamy. Jest to bardzo gryzący płyn o kwaśnym smaku, tak, iż parę jego kropel zakwasza szklankę wody. Jest on nadto tak gryzący, iż nagryza

wszelkie metale. Jeżeli zanurzymy trochę waty w stężonym kwasie azotnym, to zamienia się ona na bawełnę strzelniczą, która wybucha daleko silniej od prochu zwyczajnego. Widzimy przeto, że kwas azotny jest zgoła nie podobny do wody. A jednak oba te płyny zawierają jedną i tę samą część składową, mianowicie tlen, cała różnica polega na tem, że woda oprócz tlenu zawiera wodór, kwas zaś azotny azot. Kiedy się zastanawiamy, że woda jest tak łagodnie działającym płynem, a kwas azotny tak ostrym, to mimowoli zaczynamy przypuszczać, że tak różne własności należy przypisać odmiennym własnościom azotu i wodoru. Zaczynamy wierzyć, że to wodór robi wodę tak delikatną i nie szkodliwą, podczas gdy azot nadaje tak niebezpieczne własności kwasowi azotnemu. Jestto jednak wielka pomyłka. Kto się o tem chce przekonać, niech sobie wystawi, co by mogło powstać ze związku chemicznego pomiędzy wodorem i azotem? Zapewne coś w rodzaju wodnistego kwasu azotnego, albo jaki inny płyn nieszkodliwy, odpowiedzie. Ale kupcie sobie za kilka groszy amoniaku i wciągnijcie w nos jego zapach. Prawda, że nie zbyt przyjemny. A przecież amoniak jest właśnie związkiem wodoru z azotem. Łączenie się chemiczne pierwiastków jest więc sprawą bardzo tajemniczą, jak o tem się zaraz przekonamy z kilku dalszych przykładów.

Wt U.

Zofia Howerzka.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Omimo usiłowań trudno było zmusić termometr do wykazania choćby cienia gorączki. Jańcio prosił o suchy kawałek chleba, kiedy nie można było dostać szynki i bułeczki z masłem, ale mu odmówiono z oburzeniem. Każde z dzieci gniotło potem krtań Jańcia po kolei a obolałe od gnienienia miejsce w istocie stało się boleśnem. Wreszcie zostawiono w spokoju biednego Benjamina, który, wśród czarnych myśli o własnej, ciężkiej chorobie, usnął wreszcie. Starsze dzieci odbyły jeszcze szeptem ważną naradę i wreszcie wszystko w domu ucichło.

Nazajutrz rano, zaraz po przebudzeniu się, Jańcio musiał znieść znowu dokładne mierzenie temperatury, przy którym opowiadał, że przez całą noc snił mu się obóz cygański, gdzie przebywał jako dziecko skradzione. Morzono go tam głodem niemiłosiernie i nie chciano mu dać kawałka suchego chleba, o który prosił. Najgorsza była stara cyganka. Wywróżyła mu z ręki, że już nigdy bułeczki z masłem i szynki jeść nie będzie.

Po śniadaniu, na które Jańcio dostał tylko filiżankę czystej herbaty i jeden sucharek, starsi chłopcy pojechali do miasteczka. Pan Chlewiatko ułożył wszystko tak, by i wilk był syty i koza cała. Lekcyę przeniósł na godzinę poobiednie, przeznaczone na spacer, a chłopcom zalecił by z bryczki wcale nie zsiadali, a tylko poprosili doktora przez służącego, wiecznie przez okno wyglądającego, by do nich na chwilę wyjść zechciał.

Chłopcy pojechali tedy, a mieli miny tak poważne i tak namaszczone, że każdy, ktoby był na nich spojrział, domyśliłby się, że jadą z jakąś misją niezmiernie ważną. Tak się szczęśliwie zdarzyło, że spotkali doktora, idą-

cego do chorego, a brodzącego po błocie w wielkich kaloszach i stawiającego kroki olbrzymie widocznie w tym celu, żeby jaknajmniejsza ich liczba doprowadziła go szczęśliwie do portu. Był to człowiek wesoły, sam nie miał dzieci a bardzo je lubił.

— Dzień dobry, chłopcy! — zawołał, zatrzymując się w samym środku dużej kałuży, która zdobiła najbliższe miasteczko, Błociszew.

— Ach, jak to dobrze, że pana spotykamy! My właśnie do pana doktora.

— Cóż tam słyhać z Jańciem?

— Nie dobrze. Gardło go boli...

— A gorączka?

— Niema żadnej gorączki.

— Skarży się na gardło?

— Przyznaje, że go boli. Przytem ma fałszywy głód.

— Fałszywy głód? Cóż to znaczy?

— Wczoraj kładąc się spać, zażądał szynki.

— Więc był poprostu głodny.

— Ale przy szkarlatynie...

— Więc on ma szkarlatynę?

— Nie, ale...

— Więc mu dajcie jeść i kwita.

— Wszystko może jeść?

— No, to co jada zwykle!

— Kiedy...

— Ból gardła może być poprostu kataralny. Lepiej by było, gdybym mógł zobaczyć Jańcia, ale w obec stanu pani Zabzeskiej.. Proszę mi tylko dać znać natychmiast, gdyby się zjawiała gorączka.

Chłopcy poczęli zawracać w błocie powoli, by nie obryzgać doktora, który zawołał za nimi:

— A pamiętajcie, że fałszywy głód najlepiej zaspakaja się prawdziwem jedzeniem!

Chłopcom przy powrocie było jakoś markotno. Jadąc do Błociszewa zdawało im się, że są posłami, na których barkach spoczywa wielka misya i wielka odpowiedzialność, teraz milczeli i czuli, że w ostatnim wykrzykniku doktora zawierał się żart, przy którego wspomnieniu miłość własna ich cierpiała.

Zastali Jańcia bawiącego się wesoło z Józową, która chodząc na czworaku, okryta futrem od nóg, udawała niedźwiedzia i ryczała jak bawół. Jańcio był uszczęśliwiony i wtedy dopiero przypomniał sobie chorobę, gdy nieszcześliwa krtań jego znalazła się znowu pod palcami Zdzisia i Józia.

Po obiedzie, przy którym oczy starszych dzieci były ciągle zwrócone na Jańcia, panna Four wzięła na stronę profesora Chlewiatkę i od razu, bez żadnego przygotowania zrobiła mu scenę. Wymawiała mu brak spokoju i taktu.

— Bajki, które spisał Homer tysiąc lat temu — mówiła — wytworzyły w panu fałszywą imaginacyę, która świat i życie widzi w dziwnych kolorach. Pan wmawia dzieciom starszym, że Jańcio jest chory i wszyscy na niego patrzycie oczami kota, śledzącego ruchy nieszczęśliwej myszy, a nie widzi pan, że Alusia jest inna niż zwykle. Dziś przy lekcyi ze mną była śpiąca i jakby niezmiernie zmęczona; ciągle połykała coś, czego do ust wcale nie kładła; zapomniała dać jeść kanarkom, a gdy ją od lekcyi uwolniła, położyła się na sofie, utrzymując, że jej jest zimno. Pan wcale nie uważał, że przy obiedzie prawie nic nie jadła?

— Rzeczywiście, nie uważałem — odparł pan Chlewiatko tak pokornie, jak gdyby był małym chłopcem, słusznie wyłajającym.

— No, to trzeba uważać na to, co się wkoło nas dzieje, a nie wmawiać sobie i drugim tego, czego niema.

— Pani ma zupełną słusność.

— Ach, przecie raz pan mi słusność przyznał! — zawołała z tryumfem Francuzka — pan doprawdy jest dobrym człowiekiem, i gdybym jeszcze potrafiła nakłonić pana do przebycia paru lat w Paryżu...

— Szkoda, że pani nie zna polskiego przysłowia...

Obraz Ja



BITWA POD

Matejki.



RUNWALDEM.

— O owie i o ryżu? Znam je! Przetłomaczono mi je! Otóż panby się stał ryżem z łatwością, tylko... tylko ten akcent!... akcent!

Biedna panna Four była poprostu tragiczna w swym ubolewaniu nad akcentem pana Chlewiatki.

— Czy ja doprawdy mam taki zły akcent? — zapytał wreszcie z wymówką.

— Ten człowiek jeszcze wątpił! — zawołała z rozpaczą Francuzka. — Akcent pana nie jest zły, ale jest okropny, denerwujący, drażniący, szkaradny, potworny, dziki...

— Łaski! Pani zabije we mnie nawet cień wszelkiej nadziei i bez nadziei trudno mi było żyć nawet w Paryżu!

— Możeby się jeszcze dało coś uczynić, gdybym ja panu do Paryża towarzyszyła.

— O nie, pani! — zawołał przerażony profesor. — Już muszę ze złym akcentem francuskim położyć się do trumny!

— Szkoda jednak, że człowiek tak uczony nie może zdobyć sobie tego, co jest jedynym na świecie, rzeczywistym..!

Pan Chlewiatko nie słuchał dalej. Zaniepokojony sprawozdaniem panny Four, poszedł szukać Alusi, którą znalazł zwinętą w kłębek, w rogu kanapy, w pokoju dziecięcym. Alusia wyglądała jak chory ptak z napuszonymi piórami.

— Co ci jest, moje dziecko?

— Nie wiem. Tak mi jakoś niedobrze... Zdaje mi się, że w gardle mam orzech włoski, którego przełknąć nie mogę...

Pan Chlewiatko poszedł po termometr do Zosi i wkrótce wszyscy ci, co zwykle składali konsylium przy Jańciu, zgromadzili się wkoło kanapy, w której róg wciskała się Alusia. Jedni po drugich badali puls, spoglądali na termometr... Rtęć podnosiła się w nim coraz wyżej, doszła do przedziałki oznaczającej temperaturę zwykłą ludzkiego ciała, postępowała powoli ku górze, aż wreszcie zatrzymała się na 39-ciu stopniach, Alusia miała gorączkę!

Otaczający ją spojrzeli na siebie z przestrawieniem. Zdziś chciał natychmiast zabrać się do krtani Alusi i już palce zaokrąglił w kształt szczypców, gdy Alusia odepchnęła jego rękę i płakać zaczęła wedle swego zwyczaju. Nie posiadała ona męskiej wytrzymałości Jańcia.

Złożono naradę i postanowiono, że pan Chlewiatko pojedzie po doktora, że tego ostatniego uprzedzi o wszystkim i poprosi go, by się podjął uwiadomienia pani Zabrzezkiej, jeżeli stan Alusi nie pozwoli na ukrycie prawdy.

Zosia nie opuszczała Alusi, Zdziś i Józio chodzili po domu niespokojnie, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, ani wymyślić zabawy, któraby mogła ich rozerwać.

— Czemu dzieci nie poszły na spacer? — zapytała matka, w której wyraz twarzy Zdzisia zrodził jakieś niespokojne podejrzenia.

— Bo, bo... bo dziś kolej na przechadzkę z profesorem a on musiał pojechać do Błociszewa..

— Po co?

— Miał tam interes...

— Jaki interes?

— Chciał... chciał się zobaczyć z doktorem.

— Czy on sam jest chory?

— Nie, to jest... on chciał...

— Ty jesteś chory! Ja widzę, żeś ty chory, Zdzisiu!

Pani Zabrzezka z przestrachem przystąpiła do Zdzisia i położyła rękę na jego czole.

— Nie mamuleczko, ja się czuję zupełnie zdrow.

— Więc co się tu dzieje? Nie oszukujcie mnie! Ja chcę wiedzieć prawdę, ja chcę wiedzieć całą prawdę! Ktore z was jest chore?

— Powiem prawdę! — rzekł Zdziś z odwagą — powiem prawdę! Alusia ma gorączkę i pan profesor pojechał po doktora.

Kamień spadł mu z serca po wyrzeczeniu tych słów, bo prawda ma to do siebie, że uspakaja, pociesza i daje zadowolenie, z którym żadne inne się nie równa.

I pani Zabrzezka doznała znacznej ulgi w swym biednym, zbolełym sercu.

(d. c. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).



iczyja to tylko Kasi Skowronczanki robota, rzucił Grażela, pokazując Stefkowi pęk lian, który trzymał w ręku. Człowiek głowę psuje myślami, nie wiedząc, jak radzić biedzie a desperatna dziewczyna wiąże zielskiem drogę. Muła przegonić do puszczy nie mogłem.

Ale posądzenie było niesłuszne. Wojciech, który rad wypatrywał, jakimi drogami Kasia chodzi, wiedział, że dziewczucha poszła z Marynką Opielówną po wodę. Właśnie niesły pełny ceber na drągu — one także dziwiły się, kto zagroził im drogę do jeziora.

— Patrzenie, jaką płachtę zostawił na krzaku — wołała Kasia, podnosząc kawałek misternej plecionki, podobnej do tej, którą Suya nosiła w dzień spotkania z Stefanem. Kobiety rzuciły motyki i biegły oglądać szmatę. Nie widziały nigdy takiej, ani u siebie w kraju, ani tu w Brazylii.

— Co to znaczy? kto mógł podejść tak blisko osady, myślał Luty, a w tem rozległ się po polu przeraźliwy ryk muła.

— Jaguar! jaguar! krzyknęli koloniści. Ten i ów chwycił za siekiere i w mgnieniu oka trzech najzwinniejszych parobków dopadło lasu. Muł ryczał coraz chrapliwiej i żałośnie.

Gdzie on jest? chyba pod ziemią — wołał Wojciech, który biegł pierwszy.

— Głos dobywał się z dołu wykopanego na ścieżce, chodzili tedy osadnicy po szyszki araukaryi. Dół był pokryty gałęziami i mchem, przypominał pułapki na wilki. Tylko tu, na domiar okrucieństwa wbiło w dół ostro zakończony pał. Muł wił się na nim w okropnych cierpieniach. Nie było czasu do stracenia, Wojciech Skiba wydobyl zdychające zwierzę z pomocą dwóch parobków, którzy trzymali linę. Wypadek z mułem zrobił przygnębiające na osadzie wrażenie. Koloniści pospuszczali głowy i patrzyli przerażeni w jamę. Było jasne, że mógł wpaść do niej człowiek, a nawet kilku ludzi, że zrobiono umyślnie zasadzkę.

Stefanowi przypomniały się słowa Geralda:

— Gdziekolwiek postawicie nogę czyhać będą na was Indianie z strzałą, lub gorszym od strzały podstępem.

Zawsze więc walka na śmierć lub życie, walka z nieprzyjacielem, znającym doskonale miejscowość a zażartym, bo broni swej ziemi *).

— Co robić? — myślał Stefan i nagle stało mu się jasne, że ta sama istota, która ostrzegła go listem o niebezpieczeństwie, zagroziła dziś lianami ścieżki. Biedny pajęczek Boży oprzął drogi, chcąc ustrzedz kolonistów od przebiccia się na palu.

— Dlaczego jednak zamknął przejście do jeziora? Błysnęła mu okropna myśl. Czerpano z tamtąd wodę dziś rano, a jeśli ta woda jest zatruta? Pobiegł do baraku, ale

* Wszystkie szczegóły dotyczące Botokudów są zupełnie prawdziwe. Ostrzegają oni przez zamknięcie lianami dróg o nadejściu nieprzyjaciela, zatruwają wody i kopią pułapki.

nie zdołał zapobiedz nieszczęściu, na progu leżała jedna z najstarszych kobiet kolonii i wyla się w strasznych boleściach.

Stefan miał lekarstwo, dane mu przez O'Cleara. Rośliny trujące są bardzo rozpowszechnione w Brazylii, wiedział o tem Jakób O'Clear i zaopatrył apteczką kolonistów w przeciwdziaławcze środki.

— Wylać wszystką wodę, jaka jest w baraku. Janowa zachorowała, bo wodę zatruli Bugrowie — wołał ślusarczyk, przyrządzając lekarstwo drżącemi od wzruszenia rękami. Środek zadany w porę wywołał natychmiastowe polepszenie u chorej. Okryto Janowę ciepłemi derkami, pracować nie myślał już jednak nikt z kolonistów. Kto żył, biegł pytać pana Lutego, co sądzi o wypadkach dzisiejszego poranku.

— Bugrowie mszczą się na nas za to, że zabraliśmy im ziemię. Oni to spalili domy Irlandczyków, oni zatruli wodę w jezioru i pokopali doły na ścieżkach — powiedział Stefan, i nie ukrywając dłużej niebezpieczeństwa przed osadnikami, dodał — czeka nas wojna, dziś lub jutro mogą tu nadejść Bugrowie.

— Bugrowie, moiściewy, słyszycie bugrowie! — powtarzali mężczyźni kręcąc głowami.

Kobiety zaczęły lamentować, ta i owa uderzyła w płacz. Narzekania bab wyprowadziły Tomasza z cierpliwości.

— Cicho! — krzyknął — na desperacyą będziecie czas, jak nas Bugry zjedzą, bo oni pono i to potrafią. My z panem Lutym jeszcze onegdaj o wojnie wiedzieli a nie robiliśwa gwałtu. A bo to nie mamy siekier, a bo to nas Matka Boska opuściła? Trzeba się kupy trzymać, od gromady nie odchodzić, a jak Bugry przyjdą, pokażemy, że i u nas jest moc w garści.

Słowa starego wiarusa zrobiły dobre wrażenie na wystraszonych kolonistach, kobiety nawet przestały płakać. Tylko Stefan nie zdawał się podzielać spokoju Tomasza. Powtórzył w obec osadników to, co mówił mu Gerald o niebezpieczeństwie walki z Indianami, i że mulat radził udać się do Kurytyby, gdzie ziomkowie pomogą im w otrzymaniu bez sporu gruntów, gdzie przytem jest ksiądz i kościół.

— Kościół, kościół! wołały kobiety, drżąc na myśl, że Janowa może umrzeć bez spowiedzi, że przyjdzie ją pochować w niepoświęconej ziemi.

— Dobrze by to było zwiedzić się ze swojakami, może daliby nam jaką radę, ale któż pójdzie teraz do lasu, kiedy Bugrowie wyroili się jak osy z gniazda? Na słuszną uwagę nikt nie znalazł odpowiedzi, jeden Stefan ofiarował się iść natychmiast. Zakrzyczeli go koloniści.

— Pan Luty nie powinien odchodzić od osady, on najprędzej będzie zaradzi, jako zaraz wykalkulował, że woda w jezioru zatruta.

— Gdyby nie on byłaby Marcinowa na truciźnie warzyła śniadanie a tak i Janową zratuje — odpowiadały kobiety.

Kręceno głowami, nie znajdując rady. W tem wyszedł z gromady Wojciech Skiba i oświadczył, że jemu to iść do Kurytyby należy. On namawiał współziomków, aby za ocean jechali, on ciężko Boga obraził, bo się w Rio Janeiro ze złym człowiekiem zadawał i potem w desperacyi omal na własne nie targnął życie. On więc powinien ofiarować siebie za gromadę i jeśli tylko prawdą jest, co mówił mulat, to do Kurytyby trafi, ksiądz o radę uprosi i swoich bez pomocy nie zostawi.

— Tak mi Boże dopomóż — kończył Wojciech, bijąc się w piersi i uchylając kapelusza przed obrazkiem Matki Boskiej, który Tomasz zawiesił na sośnie.

Nikt nie odpowiedział Skibie, ale czuć było w tłumie, że wszyscy przytakują jego słowom. Już jeśli kto, to Wojciech mógł się wagować na taką rzecz, bo był obrotny i wymowny.

— Nie da się zjeść w kaszy — zapewniał Karol Wiecha, któremu Skiba solą był w oku za to, że Skowronczanka życzliwie na niego patrzyła.

Biedna Kasia! Dziewuchy skryły ją między siebie, żeby parobcy nie żartowali ze smutku narzeczonej. Kasia końcem fartucha łączył obciera a przez ramię Opielówny na Wojciecha spogląda i myśli z dumą, że jej narzeczony największy zuch w gromadzie.

— Ksiądz znajdzie, da na zapowiedzi — odpowiadała Kasi Marynka. Chichoczą się dziewczuchy, chociaż dopiero co zawodziły lamenty ze strachu przed Bugrami.

— Zwyczajnie młodzi — powiedziałby Tomasz — ale Tomasz milczy, rozważa ofiarę Wojciecha. Sumował, sumował, aż odchrząknawszy, jak doświadczonemu mówcy przystało, w te odezwał się słowa:

— Na wielką rzecz wagicie się kumie, z Bugrami żartów niema. Dziś zatruli wodę jutro, puszcza z dymem nasze domostwa. Zawzięli się przeciwko białemu narodowi i dziwoty w tem nie widzę. Bronią swojej ziemi.

— Nie daj swojego, nie pragnij cudzego, mówili starzy i mieli racyą. Po co nam krzywdą dobijać się chleba, kiedy my się nim zawdy dzielili z drugimi a nigdy go nikomu nie wydzielali. Idźcie Wojciechu z Bogiem w drogę, kiedyś się ofiarowali za swoje grzechy, a wracajcie kumie z pomocą.

Skończył i na znak, że nie chowa do Skiby urazy, bo Tomasz unikał go od zajścia w Izabelskim baraku, podał kumowi tabakierkę z wiśniowego drzewa. Wojciech wziął szczyptę tabaki, potem schylił się i pokornie, jak przystało młodemu, pocałował Tomasza w rękę. Ten dowód skrucy, który był zarazem hasłem pożegnania, wzruszył obecnych.

— Niech was Bóg prowadzi — wołała gromada. — Nawet Karol Wiecha rzucił dobre słowo rywalowi. Kobiety podniosły fartuchy do oczów. Tylko Skiba stał niewzruszony, widać mężne biło w nim serce. Spojrzał na Kasię, przerzucił przez ramię kobiałkę z żywnością, którą podała mu Marcinowa, wziął w rękę fuzję i poszedł za Stefanem do kuźni. Tam na mapie miał kalkulować drogę.

Ślusarczyk zazdrościł mu wyprawy. Zostawał w Sixtenlots, nie wiedząc, jaką dać radę zagrożonej kolonii.

Wojciech dozna ciekawych przygód, zmierzy się z niebezpieczeństwem, dotrze do Kurytyby, będzie czytał gazety i usłyszy nowiny z kraju. Tak myślał Stefan patrząc za Skibą, który szedł śmiało w głąb puszczy. Działo się to zaś 30 kwietnia roku pańskiego 1869.

Rozdział XIX.

Nabożeństwo majowe. — Suya. — Bitwa. — Jeniec. — Tomasz w niebezpieczeństwie. — Pożar kuźni. — Stefan ratuje Leona. — Zniszczenie kolonii. — Suya się mści. — Flota Indian. Ucieczka. — Na łodzi. — Żeglarka. — Niebezpieczeństwo. — Wywrócone czółno. — Dwa kwiaty.

Przepowiednia Suyi nie sprawdziła się dotąd, chociaż słońce trzy razy weszło nad ziemią od czasu jak Stefan odebrał tajemnicze ostrzeżenie Indyjanki. Zatrute wody w jezioru i doły wykopane na ścieżkach przekonały kolonistów, że trzeba liczyć się z nieprzyjacielem, który może podejść niepostrzeżenie osadę. Daremnie jednak Tomasz łamał głowę nad oszańcowaniem wykarczowanych pól. Trudno robić zasieki tam, gdzie niema żadnych dróg, gdzie nieprzyjaciel równie dobrze chodzi po ziemi, jak po drzewach. Zwrócono więc tylko baczną uwagę na baraki, strzegąc je od podpalenia, i zaufawszy opiece Bożej, czekano dalszej zaczepki.

Tymczasem myśl kolonistów goniła za Wojciechem Skibą. Kasia Skowronkówna pobałdała od zmartwienia a niepokój dziewczyny dzieliła cała gromada.

Troskał się zwłaszcza Stefan, który najlepiej rozumiał ważność Wojciechowego poselstwa. Od powodzenia zależało może życie wszystkich osadników.

(d. c. n.)



ZE ŚWIATA.

Ś. p. Władysław Skłodowski. Znowu ubył nam jeden z dawniejszych profesorów i pedagogów, którego uczniem był zapewne niejednen z ojców dzisiejszych czytelników „Wieczorów,” ś. p. Władysław Skłodowski, urodzony w Kielcach 1832 r. Był przez 35 lat profesorem fizyki i matematyki w wielu zakładach naukowych rządowych i prywatnych i przez pewien czas dyrektorem Osad rolnych w Studzieńcu, zyskując wszędzie uznanie, przywiązanie i wdzięczność swych uczniów i wychowawców. Pisał też wiele artykułów popularnych z dziedziny nauk przyrodniczych, zarówno dla młodzieży jak i dla starszych. Jedną z jego córek zameżna pani Curie, znana ze swych poważnych prac na polu chemii, jest profesorem fizyki w szkole normalnej w Sévres pod Paryżem.

Wnuk króla angielskiego, mały Edward, a przyszedł kiedyś monarcha tego państwa, wychowany jest w niewiedomości godności, jaka go czeka. Niedawno, gdy mu czytano historię króla Karola I, który, jak wiadomo, zwyciężony w wojnie z parlamentem, został skazany na śmierć — zawołał:

— Ej, to jednak bardzo przykra rzecz być królem. Ja to chcę być doktorem!

SZARADA.

Jaskółka dla Sokola.

Pierwsza druga jest siłą, wszechpotężną w świecie,

A jeśli chcecie,

Podwójną liczbę oznaczać też może.

Druga trzecia w kłopotie często dopomoże,

Gardzić nią nie należy, ilekroć jest szczerą,

To skarby zawiera.

Wszystka jedynie bogaczom przystoi,

Choć i uboższy czasem się w nią stroi,

Jeśli na drogę nierozsądku wkracza,

Udaje bogacza.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

ul. Pojata.

Prz. n.m mł.d. u.w..st., cz.m.ż k.d. mł.d.
T.k z.mgl.n.m pr.m..n.m św..e.c. j.j .r.d.?
N. j. .b..r .d.tn., n. j. str.j. kw..t.,
Cz.rn. .cz. sp.szcz.n. .ż.l.bn. sz.t.;
. w tw.rz. sm.t.k, cz.l. c. sch.l. w c.ch.śc.,
Ktr.g. c.l.m bl.sk..m — .sm..ch c..rpl.w.śc.,
L.b j.śl. k.d. n.gl. w p.śr.d g.st.ch c..ni
J.k. m.śl cz. p.m.tk. j.j l.c. zr.m.n.,
T. tk mł.m bl.d.m św..tł.m j.k gd. ks.ż.c w p.ln.,
N..zw.kł.m ż.c..m r.s. p.s.g. n.p.ln..

ROZWIĄZANIA DO N-ru 28.

Arytmogryfu liczbowego:

		J	
	Z	a	n
K	a	n	u
K	r	o	K
S	t	a	n
A	r	a	y
		o	
	I	l	e
K	u	C	y
B	u	c	h
K	r	o	w
O	d	a	
	k		
	N	i	l
Ś	l	e	d
K	r	a	w
B	l	i	n
A	c	h	
	Z		

Jan Karol Chodkiewicz.



GRY i ZABAWY

TOWARZYSKIE

w pokoju i na dworze
z przyrządami i bez przyrządów

200 GIER z 80 OBRAZKAMI

zebrała i ułożyła *Marya Weryho.*

Cena w oprawie 90 kop.

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie Nowy Świat Nr. 53.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Bitwa pod Grunwaldem (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata: — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek: Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — Kto winien, wiersz przez Helenę Bojarską. — Dwie Anusie, przez Maryę Beldowską. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Z rozrywek letnich — Łamigłównki i rozwiązania. Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 8 Июля 1902 г.

Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

A jeśli się poselstwo uda, to trzeba będzie porzucić rozpoczęte tu dzieło — myślał ślusarczyk.

Tyle mokołów, tyle pracy na darmo! Żał mu było zwłaszcza kuźni, którą zbudował z pomocą Wojciecha i wernego Leona, Nesabila, jak zwała Ziemiaka jego opiekunka Marcinowa, a za nią wszyscy koloniści. Biedny Nesabil, chociaż nie odzyskał dawnych zdolności, umiał być użyteczny zwłaszcza, gdy chodziło o oddanie przysługi Stefanowi. Był też jego prawą ręką w kuźni, Stefan kuł młotem żelazo, a Leon miechem podniecał ogień z szyszek araukaryi i patrzył w oczy Lutemu, czy nie wyczyta z nich gniewu lub troski.

Nesabil wiedział, że od wyprawy do Geralda, Stefana dręczy niepokój, że bez zapalału pracuje w kuźni, ale biedny idyota nie umiał sobie zdać sprawy z tego, co zajmowało ślusarczyka. My wiemy jednak, jakie myśli mąciły jego spokój. Powiązane lianami ścieżki były mu nowym dowodem, że Botokudowie, z którymi rozpoczynał walkę, mieli prócz dzikich i krwiożerczych, szlachetne uczucia w sercu. Dlaczego życie stawiało go w konieczności walki z tymi, których wolałby znać i oświecać? Myślał o młodej Indyanie, uważał ją za dobrego ducha kolonii i szczerze pragnął być jej pomocnym. Nie wiedział, że padła ofiarą przesądu i ciemnoty, że błąka się po puszczy i nie ma nikogo, kto by dał radę stroskanej o ojca córce. Sęp unikał Suyi, unikał widoku towarzyszy broni, wyrzucając sobie, że dla ocalenia dziecka zgubił ich i sprawę Burungów. Sumienie nie dawało mu spokoju. Zdał prowadzenie wojska na Makusiego, a sam kopał doły, truł wody, chciał być blisko nieprzyjaciela, bo szukał śmierci.

— Nadstawię własne piersi pod pioruny wroga, może Wielki Duch przebaczy mi zdradę, — mówił nieszczęśliwy



Sęp pędził wprost ku gromadzie wracającej z majowego nabożeństwa.

Indyanin. On pragnął bitwy, bo mogła mu przynieść upokojenie śmierci, ale ta, dla której okrył się hańbą, jego jedynaczka, myślała tylko o tem, jakby przeszkodzić walce. Chciała ocalić ojca i nie dopuścić porażki Burungów, bo przegrana bitwa ściągnie hańbę na głowę wielkiego wodza.

Dlatego to oplatała lianami drogi wiodące do kolonii. Będzie czuwała, aby nie stała się krzywda białym twarzom, a one przez wdzięczność nie wypuszczą piorunu na Sępa.

— Białe twarze są dobre — powtarzała uparcie, czyż mogli nie być dobrzy ludzie wyglądający tak pięknie?

Suya miała teraz sposobność napatrzenia się im do woli. Ukryta między gałęziami rozłożystego dębu i obdarzona wyborym wzrokiem, przyglądała się kolonistom pracującym w polu, podziwiała ich broń, narzędzia, strój, zwłaszcza zaś jasne włosy mieniające się złotem, jak miód żółty w słońcu i oczy przypominające kwiaty z nad brzegów strumienia.

Nie śmiejcie się z Suyi. Lud nasz jest istotnie bardzo piękny, ma dostojęństwo postawy i zachowania, które budzi podziw u obcych. Cóрка cesarza dom Pedra, donna Izabella, zawołała zobaczywszy twarze okolone lnianymi włosami, niebieskie dobre oczy naszych wieśniaków:

— To sami Święci, ci Polacy!

Świętymi oni nie są. prawdą jest jednak, że kolonista polski ma w sobie materyał na najszlachetniejszy typ rolnika obywatela. A jednak ludność miejska przypatruje się nieraz wieśniakom w sukmanach jak menażeryi nie jak braciom, braciom, którzy z rozdartem sercem opuścili wioski, zmuszeni szukać zarobku aby zdobyć chleb dla pozostałych w domu rodzin. Słusznie więc Suyi podziwiała polskich kolonistów. Słońce weszło krwawo, Tomasz kiwał głową zasmucony, czytał płynniej w niebieskiej księdze niż w drukowanym modlitewniku.

Maj, myśli Grażela i widzi jak na jawie ojczyste pola okryte zieloną runią żytniska, z którego za sprawą świętej Zofii niedługo kłosa wywijają się będą, widzi pęki bżów liliowych i drogę prowadzącą do kościoła. Westchnął smutno, wyjął ze skrzynki „Złoty ołtarzyk,” obtarł go z pyłu, pocałował książkę, a teraz idzie uroczystym krokiem do lasu, tam gdzie przybił na sośnie obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej.

Idzie za Tomaszem cała gromada, a każdy powtarza w duszy czarowne słowa, maj! wiosna!

Tu w Brazylii wiosny prawdziwej, polskiej, słonecznej wiosny, nie uświadczysz nigdy, a ta nawet jaka bywa, zaczyna się z końcem września wtedy, kiedy my w Europie zimo- we przygotowujemy zapasy.

Pamiętała Kasia Skowronczanka, jak maj święcić należy i ustroiła obrazek Matki Boskiej w najpiękniejsze kwiaty, ślubując, że jeśli Wojciech szczęśliwie z Kurytyby wróci, ona korale, których zazdrościły jej dziewczęta, na ofiarę Częstochowskiej Paniency zawiesi.

Kłękła gromada około sosny, Tomasz rozpoczął litanią i jak wołanie loretańskiego dzwonka biegło po rosie „Módl się za nami” „Zmiłuj się nad nami” powtarzano drżącymi od wzruszenia ustami. Z piersi wygnańców zostawionych bez opieki, wśród obcych sobie lasów, wyrwała się pieśń: Gwiazdo morza.

Zachowaj srogiej wojny, śpiewali osadnicy, błagając o pomoc w obec nagłej śmierci i ściskając w rękę siekiere, bez której nikt już teraz nie wychodził z domu.

W puszczy jednak nie odezwał się dotąd żaden groźny szmer, ucichło nawet nawoływanie sowy, które Tomasz słyszał dziś blisko baraku. Koloniści z dobrą otuchą wstali od pacierza, bo słońce wypłynęło wysoko ponad bór a o Bugrach milczały leśne echa. Czemuż jednak wzrok człowieka nie przenika gąszczy? Skraj puszczy cichy był i bezpieczny, ale tam w głębi, o staję drogi od uprawnych pól, migały między zwojami lian głowy ubrane w pioropu- sze, pelzali Indyanie pomiędzy krzakami ananasów, słychać

było ciche nawoływanie i szelest strzał w kołczanach. To Burungowie szli zwartym szeregiem na polską osadę.

A tymczasem bliżej, w konarach tej samej sosny, pod którą modlili się wychodźcy, siedziała zdyszana i drżąca Suyi. Widzieć stąd mogła nie tylko całą kolonię, ale przygotowania Indyan do walki. Nie zapobiegnie jej więc, nie przeszkodzi nieszczęściu!

Jakże mało była dziś podobną do zuchwałej dziewczyny, która wbrew woli ojca przestrzegała Stefana o niebezpieczeństwie. Żal za zabita sarną, niepokój, głód wreszcie, bo od opuszczenia szalasu zjadła tylko kilka orzechów, odebrały Suyi zwykłą śmiałość.

— Wisi nademną przekleństwo Gundahaniego — mówiła ocierając łzy płynące po wychudzonej twarzyczce.

Biedny ptak Boży! Suyi nie więcej od ptaka miała doświadczenia i rozumu. Drugą już dobę spędziła tu, czekając na sposobność zapobieżenia walce. Dziś straszyl ją o północy wrzask sowy, wiedziała że to Makusi, Waika i Manao prowadzą swoje wojsko.

Trzeba więc działać natychmiast, biedz do białych twarzy, prosić o miłosierdzie nad Bugrami, powiedzieć, że ich strzały nie są zatrute, nie przyniosą szkody — myślała ale nie zeszła z drzewa bo brakło jej odwagi budzić uspio- nych. Nie słyszała dotąd syku węża, było to hasło głów- nego wodza. Ponury Sęp milczał.

— Walka rozpocznie się zatem w południe — pocie- szala się Suyi i usnęła, kiedy już gwiazdy gasnąc zaczęły nad puszcza *).

Spała krótko, gdyż obudził ją śpiew. Nie obył się do- tąd nigdy taki o jej uszy, chociaż rozróżniała głosy wszy- stkich ptaków leśnych.

Dzwonił w powietrzu jeden tylko ton, na który odpo- wiadał chór słodki i rzewny. Przetarła oczy, nadstawiła różowe uszka, wtuliła głowę w ramiona jak wiewiórka i słu- chała. Ogarnęło ją wzruszenie. Może ona już nie żyje? Może Wielki Duch przeniósł ich do swoich lasów, gdzie tak cudnie a przytem tak smutno śpiewają ptaki. Zapomniała śledzić za Burungami następującymi na osadę, zapomniała wyrzutów sumienia, troski o ojca. Dwie łzy błysnęły w czar- nych oczach Indyanki które jak krople niebieskiej rosy spa- dły na otwartą książkę Tomasza.

Biedne pogańskie dziecko!

Ale nim Suyi potrafiła opanować wzruszenie, rozległ się po lesie syk węża. Drzewo podawało drzewu echo zło- wrogiego hasła, syk był przeciągły, stłumiony. Sęp nie cze- kał południa, dręczony wyrzutami sumienia szukał śmierci.

Osadnicy szli już do zwykłej pracy w polu. Nim zdo- łali się opamiętać, nim podnieśli siekiery, wypadł z puszczy człowiek więcej do upiory niż do ludzkiej istoty podobny.

Suyi nie poznała własnego ojca. Dlaczego biegł sam? Gdzie byli jego wojownicy? Dlaczego nie napiął łuku, nie wypuszczał na nieprzyjaciela strzał, jak to czynić zwykli Burungowie. Zdawał się nieprzytomny, pędził wprost ku gromadzie wracającej z majowego nabożeństwa.

Miał na głowie wielki pióropusz, zwykły strój wodza, z ramion i bioder zwieszały mu się zwoje lian i sznury jaguarowych zębów. W rękę trzymał oszczep zakończony kościanym dziurym, ten sam oszczep, na którym czerniała dotąd krew zabitej sarny. Jak rozjuszony byk widzi przed sobą tylko człowieka, którego chce przebić rogami, tak osza- lały Sęp, widział tylko białych nie mierząc niebezpieczeń- stwa na jakie się narażał.

Nagłość natarcia ocaliła kolonistów. Patrzyli wię- cej zdziwieni niż przestraszeni na zuchwalca, podobnego do stracha z bajki.

(d. c. n.)

*) Botokudowie napadają zwykle w południe, nigdy wie- czorem, a rzadko bardzo z rana.

Pogadanki z dziedziny chemii.

VI. Dziwne skutki wypływające z chemicznego łączenia się pierwiastków.

Widzimy, że z tlenu, wodoru i azotu można zrobić trzy gazy, nie mające do siebie żadnego podobieństwa.

Wodór i tlen połączone chemicznie dają wodę, chociaż żaden z tych gazów nie jest do wody wcale podobny. Tlen znajduje się w powietrzu, podtrzymuje oddychanie i palenie się ciał. Wodór nie podtrzymuje oddychania, ani palenia, ale za to sam się pali bardzo gorącym płomieniem. Jeżeli będziemy wdychali do płomienia wodorowego czysty tlen, albo też każemy się palić wodorowi w atmosferze tlenu, to otrzymamy nadzwyczajne gorąco; w słabo świecącym płomieniu tych dwóch gazów topnieje nie tylko szkło, ale najtwardsza nawet stal pali się w nim, rozrzucając iskry na wszystkie strony. A przecież związek chemiczny tych dwóch gazów jest zwyczajną wodą, która nie tylko się nie pali, ale nawet gasi ogień.

Tlen i azot są także gazami, które pomieszczone razem dają powietrze. Wszystko powietrze otaczające ziemię i przenikające nasze ciała, składa się z 4 części azotu i 1 części tlenu. Jeżeliby gazy zawarte w powietrzu mogły w jakiś sposób połączyć się chemicznie ze sobą, to na powierzchnię kuli ziemskiej wylałby się ocean kwasu azotowego i zniszczyłby życie organiczne. To nam dobrze maluje różnicę pomiędzy mieszaniną zwyczajną a związkiem chemicznym. Siła chemiczna jest więc dziwną siłą, skoro może związać dwa nieszkodliwe a nawet potrzebne dla życia gazy w kwas azotowy, nie mający żadnego podobieństwa do swych części składowych.

Weźmy jednak jedną część składową wody, mianowicie wodór i złóżmy go z niewinnym na pozór azotem, a otrzymamy nowy gaz o przenikającym zapachu, zwany amoniakiem, a będący tak ostrym, że wywołuje łzy z oczu.

Jeżeli jeszcze dodamy, że własności amoniaku są wręcz przeciwne własnościom kwasu azotowego, to wywnioskujemy stąd, że siła chemiczna objawia się w bardzo dziwny sposób, tworzy bowiem z dwóch pierwiastków substancję zgoła niepodobną do żadnego z nich.

Jeżeli chcemy rzucić spojrzenie poza zasłonę, musimy przypomnieć sobie o większym, albo mniejszym powinowactwie czyli skłonności dwóch ciał do łączenia się ze sobą, a także, rozpatrzeć warunki, w jakich odbywa się owo połączenie, gdyż od tych warunków zależą własności nowopowstałego ciała. W dalszym ciągu będziemy mówili o owym powinowactwie i o warunkach niezbędnych dla wprawiania w ruch przyciągającej siły; tymczasem jednak przytoczymy parę faktów, wykazujących, jak dziwne zmiany wywołuje siła chemiczna w łączących się ze sobą substancjach.

O azocie wiemy, że jest to całkiem nieszkodliwy gaz, to samo da się powiedzieć o węglu; tymczasem te dwa pierwiastki łącząc się ze sobą chemicznie, dają niezmiernie trujący gaz zwany cyanem. Dodajmy jeszcze do cyanu równie nieszkodliwego wodoru, a otrzymamy kwas pruski zabijający nieledwie w okamgnieniu. Jeżeli otrutemu kwasem pruskim damy bezzwłocznie powąchać amoniaku, to ratu-

nek staje się jeszcze możliwy, jakkolwiek amoniak zawiera azot i wodór: dwie składowe części kwasu pruskiego! Niszcząca siła chloru przy bieleniu tkanin jest znaną każdemu. Oddychając chlorem, można się udusić, a co najmniej dostać krwotoku z płuc. Z drugiej strony sól jest metalem, który także działa jak trucizna, gdy go połknąć, albo wem z wodą daje sodę gryzącą. Tymczasem łącząc chemicznie sól z chlorem, otrzymujemy zwyczajną sól kuchenną, którą bezkarnie używamy codziennie do potraw. A więc chemiczny związek może uczynić nieszkodliwymi dwa ciała, z których każde jest trucizną.

Wł. U.

Z WYCIECZEK WAKACYJNYCH.

Kamieniec Podolski.

Kochany Stasiu! Daleko zajechałem w tym roku na wakacje, bo aż nad Smotrycz, w okolice Kamieńca. Przeczytawszy w „Wieczorach” listy jakiejś panny Madzi do swojej przyjaciółki o Ojcowie, powziąłem myśl opisania tobie tego starożytnego grodu, ale nie tak prosto z mojej własnej z głowy, lecz z tego, co wujcio mnie i Tadziovi opowiada. A więc czytaj i myśl o mnie. Twój J. B.

I.

— Wiele świata przejechać trzeba — rzekł wujek — by znaleźć miasto tak zdumiewające, zarówno cechami swej starożytności, jak niepowszedniem, a pięknem w swej dziłości otoczeniem natury.

Miejsce to w dziejach narodów walkami upamiętnione, nosi ślady nierównie dawniejszych, a gwałtownych przemian.

Napiętrzone granitowe góry, szeroko rozstąpiły się po obu stronach cichego obecnie Smotrycza, jakby dla zrobienia miejsca rzece. Popatrzymy uważnie na boki skał, a znajdziemy na nich kamiennymi głoskami wypisaną pracę wieków. Wielkie i potężne niegdyś wody przez lat tysiące tocząc spienione fale w kamiennym łożysku, odrywały odłamki skał, unosiły je i rzucały w przepaście. Pogłębiając w ten sposób koryto, obniżały jednocześnie swój poziom; wierzchołki skał coraz więcej wychylały się z pod wody ku słońcu, a na ich nagich szczytach, kruszonych z wolna wpływem ciepłego powietrza i wilgoci, zaczęła się tworzyć sproszkowana warstwa.

Zaraz też na skrzydłach wiatru przywędrowały lotne nasiona, z trudem uczepiły się lichego gruntu i przy pomocy deszczu puściły korzenie. Z początku nędzna to była roślinność, ale z czasem grunt użyźniony corocznym rozkładem liści i korzeni, uzdolnił się do wyżywienia coraz wyższych gatunków, aż w końcu wierzchołki wzgórz lasami uwieńczone zostały.

Dziś na miejscu lasów widzimy ogrody od strony miasta, na łagodnych stokach chylące się ku rzece. Lewy zaś brzeg rzeki prawie wszędzie pionowy ze skałami, przeważnie nagimi.

Wyjątkowo dzika natura miejsca, nadającego się ku obronie miasta, podała myśl zbudowania tu twierdzy.

Najdawniejszą wzmiankę o Kamieńcu znajdujemy u ruskiego kronikarza Nestora, że „w r. 1196 toczył się bój między książętami Mścislawem a Włodzimierzem.”

W r. 1240 Batuhan, sławny wódz Mongołów, w powrocie ze zwycięskiej wyprawy, w której rzucił postrach na całą Europę, podstąpił pod Kamieniec, ścigając księcia

Michała; miasto spalił, ludność wymordował lub w niewolę uprowadził. Pozostałe zgłiszczą, świadczące o krwawych zapasach, na długo odjęły ochotę osiedlania się na niebezpiecznym stanowisku. Dopiero na początku wieku XIV go Koriatowicz, książę na Smotryczu, zachwycony miejscowością, wznosi tu gród ku obronie ziem ruskich.

Odtąd zaczynają się świetne czasy Kamieńca; powstają świątynie i zamek wyrasta na opocę. Pod skrzydła



Wieża na placu św. Marka w Wenecji.

jego garnie się lud z różnych stron, nawet Ormianie; z daleka przybywają pielgrzymi, zjeżdżają kupcy ze Wschodu, wioząc materye, szale, futra i tytonie.

Nie zaznało jednakże miasto długotrwałego pokoju; z rozwojem bogactw budzi się chciwość wrogów; wpadają Turcy i Tatarzy, uprowadzając łupy i niewolników, ale nie zawsze uchodzą bezkarnie. Olgierd, książę litewski w roku 1357 odnosi zwycięstwo nad trzema książętami tatarskimi nad Sinemi wodami, czem na czas dłuższy powstrzymuje napady dzikiej hordy.

Po śmierci Witolda, Władysław Jagiełło dochodzi praw swoich do Kamieńca, tocząc walkę z bratem swoim Świdrygiellą, ale dopiero od roku 1569 gród ten staje się ważnym punktem obronnym od Tatarów i Turków; on to przoduje innym zameczkom, rozstawionym na szlaku tureckim, z których główne: Żwaniec nad Dniestrem, Paniowie nad Smotryczem, Uście nad Dniestrem, Czarnokozińce nad Zbruczem, Bar nad Rowem, Mohylów nad Dniestrem i Szarogród nad Kiełbaśnią.

Wzmocnienie Kamieńca stało się teraz nieodzowną koniecznością. Po Koriatowiczach pozostał tylko zamek obronny, rozpoczęto zatem fortyfikacye naokoło miasta. Za każdego króla powstawały nowe mury i baszty, o ile wojna nie przerywała pracy; a w miarę wzrostu twierdzy, powiększano załogę, w ciężkim trudzie strzegącą bezpieczeństwa.

Dzień i noc rycerze okuci w zbroję, nie opuszczają stanowiska, upatrując okiem sokoła czyhającego bisurmana. W razie napadu szybkie sygnały alarmują miasto i jak jeden mąż zrywają się wojownicy, a spłoszony nieprzyjaciół uchodzi. Nieraz sam widok niedostępnej twierdzy odejmował ochotę kuszącym się o jej zdobycie.

Pamiętne są słowa sułtana Osmana, gdy w odwrocie z pod Chocima w r. 1620, Kamieniec oblegał. Zdumiony niezwykłym wyglądem fortecy, na wysokich skałach stojącej, rzeką i parowami otoczonej, zapytał:

— Któż to tak silną twierdzę wystawił?

— Bóg cudowną miejsca naturą — była odpowiedź parlamentarza.

— Niechże ją więc sam Bóg zdobywa — odrzekł sułtan i na odwrót trąbić kazał.

Wśród wojen kozackich, rozpoczętych pod panowaniem Zygmunta III-go, a odnawianych przez dwa następne panowania jego synów, Kamieniec daje dowody wytrzyma-

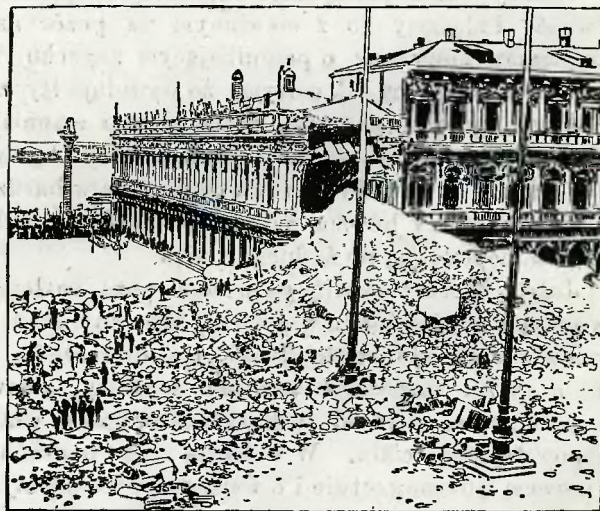
łości. W r. 1648 oblega go Krzywonos, następnie Tymoteusz Chmielnicki; na koniec sam Bohdan Chmielnicki, hetman kozacki, ale bez skutku.

Z czasem jednakże wyczerpała się odporność kamienego grodu. Po długich wojnach kraj leżał w niemocy. Wobec przewidywanej tureckiej wojny, wołano o ratunek z Kamieńca; mury potrzebowały wzmocnienia, stare zużyte działa należało zastąpić nowymi, a nieliczna załoga nie była w stanie skutecznie stawić czoła; wołano, ale na próżno.

Tymczasem sułtan Mahomet IV-ty na czele 300,000 armii, dobrze uzbrojonej i zaopatrzonej w działa, przekroczył granicę prawie bez oporu i pod Kamieniec podstąpił, uważając go słusznie za klucz całej dzielnicy. Po krótkiej walce, w której dwutysięczna tylko załoga cudów waleczności dała dowody, Kamieniec musiał się poddać, przyczem garść walecznych z Wołodyjowskim i Ketlingiem na czele, przekładała śmierć pod gruzami wysadzonego prochami zamku, nad niewolę u Turków. Prześlicznie opisał te chwile Sienkiewicz w „Panu Wołodyjowskim.”

Dopiero po 27 latach, Kamieniec na mocy pokoju Karłowickiego powróconym został przez Turcyę. Jakkolwiek w końcu nie siłą oręża, lecz drogą układów odzyskany, za panowania króla Augusta II-go, dokonały tego przecież zwycięstwa Jana Sobieskiego, a szczególnie jego pogrom Turków pod Wiedniem, który był początkiem tak wielkiego osłabienia Turcyi, że nie mogąc odzyskać dawnego znaczenia i siły, zmuszona była zwrócić swoje zabory.

Łatwo sobie wyobrazić, jaka radość powstała w Kamieńcu na wieść o rychłym oswobodzeniu od muzułmanów. Bo Turcy nie dotrzymywali nigdy warunków pokoju; pomimo obietnicy zachowania wolności mieszkańców, zaraz po zajęciu miasta mnóstwo chrześcijan corocznie uprowadzali do Azji, innym bez różnicy stanów kazali ciężkie spełniać roboty przy twierdzy. Świątynie katolickie obrócili na meczety, koszary i stajnie. Z dwudziestu siedmiu kościołów trzy tylko pozostawili ku służbie Bożej chrześcijanom, czterzy włączyli w mury forteczne; a resztę rujnujących się użyli za materiał budowlany.



Wieża na placu św. Marka w Wenecji w gruzach.

Ludność miejscową do mahometańskiej religii nakłaniali, stąd powstała pogardliwa nazwa Poturczeńca dla tych, co pod groźbą lub dla widoków materyalnych haniebnie swą wiarę porzucili.

Ciekawy jest opis zwrotu Kamieńca przez naocznego świadka, księdza Bohdanowicza sporządzony. Przepiszę ci go z dzieła ś. p. Rollego.

„Gdy do Kamieńca d. 21 września 1699 r. dobiegła

wieść o układach, mieszkańcy tureccy wynieśli się na Podzamcze i rozłożyli się obozem; starszyzna i wojsko zostały na zamku; nasi stali trochę dalej z rajtaryą i piechotą, pod dowództwem komisarzy, przeznaczonych do odebrania miasta; a na ich czele był Marcin Kącki.

„Rzecz się działa w poniedziałek w dzień św. Mateusza. We wtorek z brzaskiem dziennym, wojska polskie zaczęły się zbliżać ku obozowi tureckiemu i murów warowni; wówczas jednocześnie przez bramę zamkową wyszło przeszło 200 Lipków (Tatarów) a przez Ruską, oddział janczarów, stanowiących załogę miasta, wkrótce też potem z bramy zamkowej nowy się hufiec tatarów pokazał, należący do orszaku komendanta tureckiego; za nim postępował Ibrahim basza, gospodar Wołoski i nareszcie sam basza kamieniecki. Okolony dwunastu gwardzistami, uzbrojonymi w janczarki.

Jechał on na lichym tarantowatym koniu i wtórowały mu odgłosy lichej niby to hucznej, chrapliwej muzyki; z baszą opuścił miasto ostatni oddział, ze stu tysięcy ludzi złożony, także przy odgłosie muzyki, w ścisnionym maszerującym szeregu.

Lipkowie utonęli w obozie tureckim, mającym wyjść z miasta, a basza sam z nielicznym orszakiem, zaczął się zbliżać ku komisarzom, jadącym na spotkanie. Nastąpiły etykietalne pozdrowienia, rozpoczął je basza kamieniecki a było tyle ukłonów po kilka razy, aż się zjechali blisko i przywitali. Potem prosił ichmościów komisarzy do Szangaju (namiotu), w którym siadłszy, powinshawował pokoju basza, co mu wzajemnie odwinszowano i zażywszy konfitur, kawy i sorbetu, potem kadenia powąchawszy, przystąpili do rzeczy.

(d. c. n.)

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Bóg wie, co sobie zaraz wyobraziłam — rzekła spokojniejszym już głosem. — Myślałam, że które z was wybiło sobie oko., że Jańcio upadł i złamał sobie nos... Tysiące najgorszych przypuszczeń przebiegło mi przez głowę... gdzież jest Alusia?

Pani Zabrzaska nie odstąpiła już biednej Alusi, która miała coraz silniejszą gorączkę. Przyjechał doktor i po naradzie z profesorem postanowił powiedzieć matce o panującej w okolicy szkarlatynie.

Z największymi ostrożnościami przystąpił do powiedzenia prawdy biednej mamuleczce, która doznała silnego wstrząśnienia nerwowego. Obawiano się, że zemdleje, ale zbladła tylko jak chusta, zachwiała się, a potem przez wysiłek woli nakazała sobie spokój.

— Muszę mieć przytomność umysłu, muszę mieć odwagę! — mówiła. — Mój mąż daleko i sama o wszystkim z konieczności myśleć muszę.

Z doktorem i panem Chlewiatką udali się na naradę do osobnego pokoju.

— Sądzę, że przede wszystkim zdrowe dzieci trzeba wysłać z domu — rzekła, zwracając się do doktora.

— Byłoby to niezawodnie požądane, gdyby się to uczynić dało. Z przyjemnością ofiarowałbym im mieszkanie u siebie... moja żona byłaby uszczęśliwiona, ale w miasteczku błotnistem... to nie byłby zdrowy pobyt dla dzieci.

— Nie, nie, wreszcie to za daleko ode mnie! Obmyślimy rzecz tę jakoś inaczej.

— Alusię trzeba przenieść do największego w domu pokoju, żeby miała powietrza jak najwięcej...

— A więc do salonu.

— Ja natychmiast posłę do Błociszewa po surowicę...

— Wieg jest dyfteryt.

— Tak pani.

— Niema rutunku?...

Niech mi pan mówi prawdę! Jest wielkie niebezpieczeństwo? O Boże, Boże!

— Jest wszelkie prawdopodobieństwo, prawie pewność, że to będzie szkarlatyna, która jest zwykle ciężką chorobą, ale nadzieja ratunku by-

najmniej nie stracona i uczynimy wszystko, co tylko możliwe, by Alusi powrócić zdrowie.

Pan Chlewiatko podjął się urządzenia przeprowadzenia dzieci starszych i Jańcia na folwark należący do Suchowa a zwany Wólką suchowską. W Wólce był dom, w którym mieszkał ekonom, szafarka i w którym było dwie duże izby przeznaczone na mleczarnię; prowadzono tam bowiem gospodarstwo mleczne na wielką skalę. Dom ten opróżniono dla dzieci i dla panny Four, którą uproszono, by nad wszystkim objęła opiekę. Dodano im dwie służące, przewieziono łóżka i bieliznę, i postanowiono że wszelkie stosunki między Suchowem i Wólką zerwane zostaną. Profesor został do pomocy pani Zabrzaskiej w Suchowie i stał się jej prawą ręką, jej doradcą i podporą.

Nastały ciężkie chwile dla biednej „mamuleczki.” Alusia była dni kilka między życiem i śmiercią. Pani Za-

Z widoków Wenecyi.



Dzieci kupujące lody.

brzeska, pamiętna na nieszczęśliwy koniec choroby starszych dzieci, nie miała najlżejszej nadziei, nie miała ani jej cienia. Całami godzinami, całami dniami klęczała przy łóżku Alusi, zalewając się łzami, modląc się głośno i załamując ręce. W tej beznadziejnej rozpacz traciła prawie przytomność i nie miała siły na pielęgnowanie Alusi. Dziecku wszakże nie brakło ratunku. Doktor przyjeżdżał codziennie, czasem spędzał część dnia przy swej małej pacjentce, a profesor czuwał dzień i noc, by wszelkie zalecenia doktora były starannie wykonywane.

Wracając z Suchowa do Błociszewa i przejeżdżając przez grunta Wólki suchowskiej, doktor zastawał zawsze czekających przy drodze Zdzisia i Józia, którzy wołali z daleka:

— Panie doktorze, jak się ma Alusia?

Doktorowi żal było zamącać spokój dzieci, więc im zawsze mówił o swoich nadziejach, a nie mówił im nigdy o obawach.

— Pan Bóg da, że chorobę zwalczymy!

— A mamuleczka?

— Znacie mamę. Ponieważ szkarlatyna zabrała jej tyle dzieci...

— Biedna mamuleczka, musi być w strasznym niepokoju!

— Niepokoi się ogromnie, ale jest zdrowa. No, a wy? Jesteście zdrowi?

— O, zdrowi!

— A panna Zofia?

— I Zosia zdrowa.

— No, to do widzenia! Jedź!

Chłopcy mieli w Wólce suchowskiej niezmiernie miły i urozmaicony pobyt. Nie było tam żadnych wygod i trzeba było wiele rzeczy robić samemu, co uszczęśliwiała dzieci. Chłopcy ślali sobie łóżka i czyścili ubrania, Zosia gotowała obiady wspólnie z kucharką, która nie wiadomo dla czego miano kucharki nosiła, nic a nic bowiem gotować nie umiała. Rosoły jej, wyglądały jak woda, w której był opłukał ręce Antoni i na którą bodaj następnie puszczono kilka kropel oliwy do maszyny; kotlety miały wygląd jakichś niekształtnych, poszarpanych na wszystkie strony ochłapów. Dany raz na pieczyście kapłon stracił zupełnie cechy swego pochodzenia, będąc podobny do kupki wiorów białych i popielatych, jakby trochę nadgniłych. Wśród tego, jak wierzeholki obnażone, sterczały gdzieniegdzie kości.

Panna Four była w gruncie bardzo dobrą osobą, rozumiała położenie i nie chciała robić kłopotu swymi wymaganiami. Gdy jej wszakże podano półmisek z owym kapłonem, zapytała uprzejmie Zosi:

— Łamię sobie głowę z jakiego zwierzęcia zrobiona jest ta potrawa. Może ty, Zosiu, potrafisz mię objaśnić. Wszak to coś wędzonego, bo pachnie dymem.

Ale najgorsze ze wszystkiego były naleśniki, które zadysponowała Zosia, w skutek zapewnień kucharki, iż ta potrawa zawsze doskonale się udaje.

— Jakem służyła u państwa Pietrasińskich, to w piętek najczęściej naleśniki się robiło.

W Wólce suchowskiej przyszły tedy na stół naleśniki, ale było to coś, czego nawet Zdzis przelknąć nie mógł. Wyobraził sobie, że się znajduje w mieście oblężonem, w którym już wszystkie szczury i wszystkie świece łojowe zjedzono, ale i ten wysiłek wyobraźni nic nie pomógł. Zdzis wziął do ust kawałek i znalazł, że nawet podczas oblężenia trudno było taką rzeczą się żywić.

Panna Four uśmiechnęła się do Zosi uprzejmie:

— To zapewne jedna z waszych narodowych potraw? zapytała, nakrywając zręcznie grabkiem zaledwo uszczknięty naleśnik.

Zosia w rozpacz rzekła po obiedzie do kucharki.

— Piotrowa mówiła, że umie robić naleśniki, a tu nikt przelknąć nie mógł..

— Co, ja nie umiem robić naleśników? Niech się panienka zapyta pani Pietrasińskiej.

— Cóż ja się mam pytać pani Pietrasińskiej kiedy...

— A, bo mi panienka nie wierzy. A ja na cały Błociszew najlepsze naleśniki robiłam i pani Pietrasińska aż gości spraszała, jak u nas miały być na obiad albo na kolację! Panienka jeszcze w pieluchach była, jak ja już naleśniki robiłam! Nawet sama pani aptekarzowa mówiła, że przyjdzie do mnie na naukę! Panienka się zna na tem jak po fortepianie palcami przebierać, ale na naleśnikach to się panienka nie zna!

Zosia umilkła. Poczula, że tej, tak mało uzasadnionej miłości własnej przełamać nie potrafi, tylko powzięła postanowienie nie dysponowania nigdy więcej naleśników. Chciała pomagać Piotrowej w gotowaniu i podług książki kucharskiej nią kierować, ale Piotrowa miała się za pierwszorzędnego kuchmistrza i nie chciała nigdy przyjąć żadnej rady. Musiano ją w końcu odprawić a urząd jej objęła Zosia z pomocą prostej dziewczki folwarcznej.

XXI.

Było to w tydzień po przeniesieniu się do Wólki suchowskiej. Panna Four przez umyślnego posłańca wysłała list do pana Chlewiatki. W liście tym mówiła mu, że ma do niego niezmiernie ważną prośbę, którą osobiście chce zanieść. Podawała propozycję, by się mogli zejść na granicy Suchowa i Suchowskiej Wólki, pod wielką gruszą, stojącą na miedzy. Szło o rzecz bardzo ważną, bo o życie ludzkie.

Pan Chlewiatko przestraszył się nie na żarty. Odpisał, że zaraz po obiedzie będzie czekał pod gruszą na pannę Four i w istocie znalazł się tam pierwszy z duszą pełną niepokoju, gdyż wyobraził sobie, że któreś z dzieci zdradzało objawy poprzedzające ciężką chorobę. Gdy tylko ujrzał zbliżającą się pannę Four, wybiegł na jej spotkanie i struchlał poprostu, zobaczywszy błądność i wyraz twarzy biednej Francuski.

— Co się stało? — zawołał profesor. — jestem pewien, że któreś z dzieci jest bardzo chore! Jańcio?

— Dzieci są zdrowe — odparła panna Four — piją mleko, którego ja znieść nie mogę i wyglądają doskonale! Ale ja chciałam prosić pana...

Łkanie przecięło jej mowę. Szlochała tak, że pan Chlewiatko pełen litości ujął jej ręce, mówiąc:

— Na miłość Boską, co się stało? Co pani jest? Czy jakie złe wiadomości z Paryża? Matka pani... Wiem, że to już taka staruszka!

— Właśnie o nią mi szczególnie chodzi! O, ona tego nie przeżyje!

— Ale co się stało? Niech mi pani powierzy swój smutek.

— Ona mojej śmierci nie przeżyje!

— Śmierci pani? Nic nie rozumiem!

— Ja przy takim jedzeniu będę musiała umrzeć! To nie ulega wątpliwości! Widzę, że ta rodzina jest w ciężkim kłopotcie, że ta nieszczęśliwa matka nie może myśleć o niczem innem, jak o swoim chorym dziecku, więc milczę i cierpię i udaję, że jem te okropności, które nam na stół podają. I naturalnie, nie ma na to rady. Nie mogę w tej chwili opuścić dzieci, powierzonych mej opiece, więc tylko wezwałam pana, żeby do pana zanieść jedną prośbę. Prośbę biednej, umierającej z głodu kobiety! Ale pan mi musi przyrzeknąć; że mi pan nie odmówi!

— Zrobię wszystko, co będzie w mej mocy! Chyba, że to będzie niemożliwem...

— Owszem, pan to uczyni i przy tej sposobności skorzysta pan, bo zobaczy pan Paryż!

— Ale o cóż chodzi?

— Gdy umrę, odwiezie pan ciało moje do mojego rodzinnego miasta!

Głos, poza i wyraz twarzy panny Four były tak tragiczne w tej chwili, że pan Chlewiatko zagryzł wargi, na

które wybiegł uśmiech. Dla uspokojenia Francuzki przybrał pozory wielkiej powagi i wyciągnawszy ku niej rękę, rzekł dobitnie, co do reszty brzmienie mowy francuskiej zespecilo.

— Przysięgam to pani.
— Matkę moją pan powoli przygotowuje do ciosu!
— Powoli ją przygotowuję!
— Ciało moje pan pochowa na cmentarzu Montmartre.

— Pochowam je na cmentarzu Montmartre.
— Tu są bony, za którymi pan odbierze z banku pieniądze potrzebne.

Wyjęła z kieszeni kopertę, którą oddała profesorowi.
— Odbiorę z banku pieniądze.

— Dziękuję! Teraz będę się spokojnie do śmierci przygotowywała i będę jej odczekiwała z odwagą! Pan jest najszlachetniejszym i najlepszym z ludzi!

Chciała uścisnąć rękę pana Chlewiatki, ale przypomniała sobie w porę, że nie miała prawa się do niego zbliżyć, by nie przenieść zarazy dzieciom.

— Jeszcze tylko muszę wymyślić napis na nagrobek! Może będzie dobrze tak: „Tu leży kobieta, która umarła z głodu zdala od swej ojczyzny.”

— Położę napis, jaki pani każe.

Profesorowi kamień spadł z ramion, gdy się nareszcie uwolnił od żalów i rozporządzeń panny Four. Nie miał jednak ochoty jechać do Paryża i chciał by biedna kobieta nie umarła z głodu zdala od swej ojczyzny. Wróciwszy do Suchowa udał się do pani Zabrzeskiej z prośbą, by wysłała kucharkę do Wólki Suchowskiej.

— Tu nam wystarczy doskonale kucharka — mówił. — Pani tylko mlekiem i herbatą żyje, Alusi też mleko przede wszystkim zalecają... ja mogę żyć najprostszymi potrawami... kaszą, kapustą... A biedna panna Four doprawdy zmizerniała i wychudła. Jest doprawdy głodna!

— Ależ naturalnie, naturalnie! — odparła pani Zabrzaska. — Nie przyszło mi to na myśl. Panna Four i dobrze zrobionych wielu potraw polskich znosić nie może. Cóż dopiero gdy są zrobione źle! Rzeczywiście tak będzie najlepiej. Jeżeli moja biedna Alusia powróci...

Łzy przerwały mowę pani Zabrzeskiej. Załamała ręce i skinęła, by pan Chlewiatko wyszedł, nie chcąc mieć świadków swej boleści.

Alusia miała się ciągle niedobrze. Doktor zaczynał spostrzegać w jej zdrowiu niektóre zwroty ku dobremu, ale się bał własnej nadziei, wiedząc, jak ona bywa niepewną. Nie chciał też zwodzić biednej matki uludną pociechą i czekał na chwilę, w której będzie mógł powiedzieć coś stanowczego. Dzieciom, czekającym na jego przejazd na drodze, dawał zawsze wiadomości pomyślne.

— Czemu je zwodzisz? — mówiła mu żona, która się niezmiernie interesowała Alusią. — Poco dzieciom dajesz nadzieję, której sam nie masz?

— Bo ich smutek i niepokój nic Alusi nie pomoże. Zresztą ja to czynię dla zdrowia przyszłego dzieci. Kto mi zaręczy, że które z nich lada dzień na szkarlatynę nie zachoruje? Jeżeli się ta bieda przytrafi, to przynajmniej nie będę miał do czynienia z chorym zdenerwowanym niepokojem poprzednim, i obawiającym się dla samego siebie epidemii, o zjadliwości której będzie uprzedzony.

(d. c. n.)

Żniwa.

*Już złote dojrzały kłosy,
Więc żniwa rozpocząć trzeba,
Dały urodzaj niebiosy,
Dla wszystkich wystarczy chleba.*

*Z piosenką pójda żniwiarze
Żąć zboże, kłos wiązać w snopy,
Na żłtych równin obszarze,
Jak gwiazdy układać kopy.*

*O Boże, słońce daj złote,
Niech nasze zboże kochane
Nie zginie na polach w słotę,
Nim będzie w gumnach schowane.*

Zofia Zacharkiewicz.



ZE ŚWIATA.

Zawalenie się dzwonnicy św. Marka w Wenecyi. (z ryc.)

Wenecya! olbrzym potęgi i sławy, bierze początek w pomrokach ubiegłych stuleci. Nie upłynęły jeszcze dwa wieki, kiedy Leon III, papież, koronował Karola Wielkiego, na cesarza całego Zachodu, a Wenecya, wznosząc się ponad fale morskie, uśmiechem pacholęcia wita swą ojczyznę lagunów. W owym to czasie chrześcijaństwo ustalało się na Węgrzech, w Danii; Normandowie jeszcze nie naszli Włoch, a Wenecya jak podrostek igra sobie z bałwanami Adryatyku, wzrasta szybko w siłę i piękność, i skoro tylko doszła do sił dojrzałego wieku, stała się duszą swej matki rzeczypospolitej i podziwem świata.

W czasie swego panowania, rozwinęła wiele najpiękniejszych stronic z historii Włoch. Były czasy, że w lśniących bogactwem pałacach jej, Signoria traktowała sprawy dotyczące się całego świata.

W owych dniach Wenecya, jako dumna władczyni największej potęgi morskiej, każdego poranku mogła podziwiać witające Adryatyk słońce i oglądać swą zatokę pełną łódek, statków i okrętów. Jednakże olbrzym ten musiał także przechodzić chwile gorzkie, połączone z niebezpieczeństwem, szczególnie kiedy pyszna rywalka na Śródziemnem morzu Genua, wymierzyła śmiały pocisk, aby stracić Wenecję z piedestału chwały i potęgi, kiedy flota San Giorgio, pod dowództwem Piotra Daryusza, okazała się pod Chioggia 1379 r. bardzo groźną dla Wenecyi.

Tak wśród ciężkich walk i świetnych tryumfów, gród ten przedwieczny spędził lata i wieki zawsze wspaniały i zadziwiający, zawsze pełen siły i blasku, drwiąc sobie niejako z trudnych chwil czasu i gorzkich wróżb przyszłości.



Lecz w końcu i dla Wenecyi nadeszły dni krytyczne, stanowczego i nie dającego się naprawić upadku. Potęga jej polityczna została zniszczoną przez następców Mahometa II, a główne podstawy jej handlu zniszczone przez otwarcie nowych dróg handlu ze Wschodem, a szczególnie z Ameryką.

Po złożeniu do grobu potęgi, engi władczyni, w 1797 r. z Wenecyi zrobiono zaledwie stolicę niewielkiej prowincyi, a pamiątki jej świetnej przeszłości zamknięto w publicznych gmachach, muzeach i pałacach. W r. 1866 Wenecya przeszła od Austrii do Włoch. Port jej, który dawniej mieścił pierwszą flotę Europy, dziś stoi pogrążony w ponurym śnie wraz z miastem, świecącym tylko wspaniałymi gmachami. Otóż gród ten nawodny odwiedziła 15-go lipca wielka katastrofa.

Najpiękniejszym miejscem w Wenecyi jest plac św. Marka przy wspaniałej katedrze, otoczony z trzech stron ogromnymi gmachami, zwanymi *Prokuracye*, które są arcydziełami budownictwa. Na placu tym najpiękniejszym podobno na świecie, niedaleko katedry stała oddzielnie wspaniała dzwonnica (*campanile*) zbudowana w IX-ym, a przebudowana w XIV w. Wieża ta mająca 98 metrów wysokości, nie miała wcale schodów, lecz wchodziło się na nią korytarzem w około wieży wciąż idącym pod górę. Na szczyt tej wieży wjechał, w 1797 r. Napoleon konno.

U stóp jej znajdowała się prześliczna logietta, niewielki budynek, pomysłu słynnego rzeźbiarza Sansovina.

Otóż piękna ta wieża w dniu 15 lipca, w skutek, jak się zdaje trzęsienia ziemi lub zbutwienia palów, na których stoją wszystkie budynki, runęła niespodzianie, na szczęście nie pozabawiając nikogo życia.

Katastrofa ta wywołała ogólny żal nie tylko we Włoszech, lecz u wszystkich miłośników sztuki i piękna.

Jeden ze świadków tak opisuje tę chwilę: „Mówiłem z pewnym inżynierem i spoglądałem co chwila na wieżę, której ściany już widocznie drżały. Gorączkowa praca robotników u stóp wieży wydawała mi się niebezpieczną i bezcelową; nie ukrywałem też wcale zdania, że podobne igranie z życiem tylu ludzi, uważam za grzech. O godz. 9-jej m. 30 zabrzmiał sygnał na trąbce. Ujrzałem, jak żołnierze i strażacy biegną ku zebrany tłumom, wołając: „Na bok! na bok! wieża się wali! Spojrzałem na dzwonnice. Ściana jej rozwarła się nagle.

Przez chwilę nie było widać nic więcej; ziemia podemną zadrżała, otoczyły mnie gęste chmury pyłu, tak, że trudno było oddychać. Słyszałem pomieszane krzyki, płacz, wołania o pomoc. Po chwili wszystko się skończyło. Cały plac zmienił się w stos gruzów.

Podajemy tu widok placu św. Marka z wieżą, widok jej gruzów po zawaleniu się, i malowniczy obrazek z życia działy weneckiej.

Ś. p. Kardynał Ledóchowski. Dnia 21 lipca zmarł w Rzymie były arcybiskup gnieźnieński, kardynał Mieczysław Halka hr. Ledóchowski. Zmarły dostojnik kościoła,

pochodzący ze starożytnej rodziny, urodził się w r. 1823 w Klimontowie w pow. Sandomierskim, dokąd przeniósł się jego rodzice. Po ukończeniu szkół w Radomiu i Warszawie, wstąpił do seminarium Ś-go Krzyża, a następnie udał się do Rzymu, gdzie na koszt papieża umieszczony został w Akademii.

Po kilku latach audytorstwa w nuncjaturze w Lizbonie wysłany został w r. 1857 jako delegat apostolski do rzeczypospolitej południowo-amerykańskiej, Nowej Grenady, wkrótce zaś potem mianowany został nuncjuszem w Belgii, a w r. 1861 jako arcybiskup, otrzymał nuncjaturę w Bawaryi.

Po śmierci arcybiskupa gnieźnieńskiego, Przyłuskiego, zajął jego miejsce.

W r. 1875 mianowany kardynałem, wyjechał w r. 1876 do Rzymu, gdzie odtąd stale aż do śmierci przebywał, jako generalny prefekt, brewow, propagandy, t. j. wydziału zajmującego się rozpowszechnianiem wiary katolickiej. Obecnie wśród sześćdziesięciu kilku kardynałów, których nie może być więcej nad 70, jest tylko jeden Polak ks. biskup krakowski Puzyrna.

SZARADA.

E. L.

Drugie wprost, a wspak pierwsze, to rzecz niesłuchanie
Prosta, choć bez niej żaden gmach pyszny nie stanie.
Znajduje się na ziemi w wielkiej obfitości,
I nie trzeba jej szukać w zbytnej głębokości.
Trzecie zaś i wspak pierwsze, to znany z pożytku
Metal, co wprawdzie nigdy nie służy do zbytku,
Lecz połączony z drugim w szlachetniejszą całość,
Odnacza się przez piękny połysk i wytrwałość.
Wszystko to liczny naród, którego potęga,
Najodleglejszych krain kuli ziemskiej sięga,
A który zaślepiony zbyt przez zysków żądzę,
Nawet czas i krew ludzką liczy na pieniądze.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 29.

Zagadki: B e z.

Łamigłówki:

1) Maraton. 2) Zambezi. 3) Korsarz. 4) Kortezi, 5) Korsyka. 6) Cayenna. 7) Kumassi. 8) Ameryka. 9) Fidyasz. 10) ChiMery. 11) Sporady. 12) Antyoch. 13) Tesalia. 14) EPopeja. 15) Kre-feld. 16) Zielnik. 17) Bander. 18) Betleem.

Martynika - Mont Pelée.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Z wycieczek wakacyjnych. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Żniwa, wiersz przez Zofię Zacharkiewicz. — Ze świata: Zawalenie się dwonicy św. Marka w Wenecyi (z ryc.) — Dzieci kupujące lody (ryc.) — Łamigłówka i rozwiązania. — Dodatek: Hania, przez Janusza. — Wesoły Janek, wiersz przez Maryę Konopnicką. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Z rozrywek letnich. Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

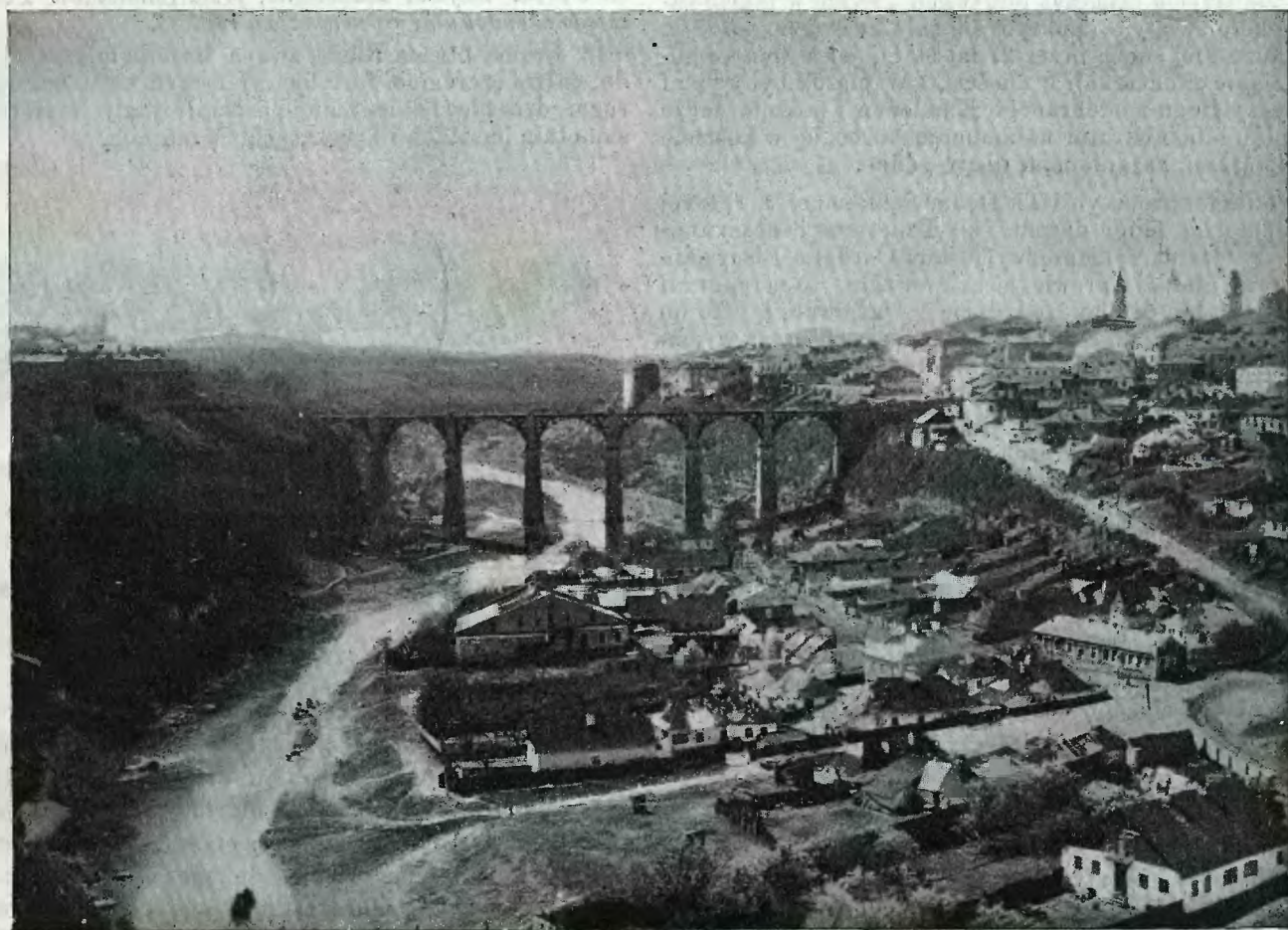
Redaktorka Ludwika Hauke. Довзделено Цензурою. Варшава 15 Іюля 1902 г.

Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Most na Smotryczu i ogólny widok Kamieńca.

Z WYCIECZEK WAKACYJNYCH.

(Dalszy ciąg).

Najpierw ukazano order (rozkaz) własnoręczny sułtana, bo tak chce prawo, polecający komendantowi zwrócenie twierdzy, potem rozpatrzono kwity z oczyszczonych fortec

wołoskich, w końcu przeczytano dokument wydany przez komisarzy polskich, świadczący o odebraniu Kamieńca.

Po ukończeniu tego przeglądu papierów, odezwał się basza:

— Wzięliśmy Kamieniec kawalersko, oddajemy kawalersko.

A Ibrahim basza rzekł:

— Pan Bóg nam każe, abyśmy wam oddali Kamie-

niec—przyczem janczar Aga oddał klucze od bram wszystkich, a imię pan wojewoda Kijowski, zdjawszy pierścień piękny, dyamentowy z palca, oddał baszy Kamienieckiemu na niezabudysz, wzajemnie on też kilku więźniów darował i Ormianina, Stefana, tłumacza swego uwolnił od usług, aby w Kamieńcu zostawał.

Po wspólnem pożegnaniu, zaraz się ruszyli Turcy ku Dniestrowi a ichmość panowie komisarze ordynowali ludzi na prezydium do Kamieńca, gdzie wartę postawiwszy, sami powrócili do obozu. Na pożegnanie basza przestrzegł naszych, aby *inquirant* jeżeli kędy czego nie podłożono, jakoż byli ostrożni w tem nasi i poznajdowali po piecach i kaflach prochy z kulami, także i w kominach między ceglami."

Potem nastąpiło oczyszczenie kościołów, które tak opisuje Bohdanowicz:

J. M. X. Dłużewski, sufragan Chełmski, jako administrator biskup Kamieniecki, tegoż dnia z kilkuset kapłanami udał się najpierw do kościoła katedralnego.

We czwartek nastąpiło wyświęcenie tego kościoła katedralnego, podczas której *reconcylacji* rzecz *stupendo* stała się, gdy za pokropieniem pierwszym razem wodą święconą jednego kąta kościelnego, z którego muru jabłonka wyrosła była, z chwilą trąbienia przez połowę kwiatem się pokryła. Za trzecią procesją odbywaną zwykle w takich razach naokoło świątyni, pokryła się cała kwieciami, choć za niewoli tureckiej sucha przez 27 lat stała, jak o tem świadczą Ormianie zamieszkali w mieście. W piątek był tryumf dziękczynny Bogu z odebranego Kamieńca i pokoju, tenże sam kapłan administrator na ambonie tureckiej w kościele Dominikańskim, kazanie miał dosyć godne.

"Podczas procesyi i *Te Deum* laudamus, z ręcznej strzelby i z dział ognia dawano ku Dniestrowi, aby wznowione były tym okrzykiem zwycięskim Cordolia Bisurmaństwa, którzy płakali i prawie jęczeli od żalu, że ustępowali z Kamieńca, bo drudzy rodzili się i wychowali, a jako do obcej ziemi, teraz do Turcyi wyjeżdżali; sam basza wyjeżdżając z bram Kamieńca rzekł: „bodaj było wprzód po głowie mojej tędy wjeżdżano, niżelim stąd miał ustępować."

Ostatnie nabożeństwo tureckie podpatrzyli nasi w kościele katedralnym; wywieszono chorągiew bardzo bogatą mahometańską, złotem suto, perłami i drogiemi kamieniami sadzoną, którą sułtan na pamiątkę, że był w meczecie, zostawił. Nasz niewolnik spuszczał i odrzynał z góry, która gdy upadła na pawiment pięknie usłany, wszyscy się z płaczem całowali i począwszy od baszy do najmniejszego, poczem zwiniętą pięknie, schowali.

Tego rodzaju obrządku długo się jeszcze ciągnęły, bo wyświęcano kolejno wiele innych kościołów, obróconych na różne użytki, z ozdób wszelkich odarte, a często z uszkodzonymi murami, które nieprędko do porządku doprowadzono.

Długoletni pobyt niewiernych, pozostawił smutne ślady. Wszędzie niewola szła w parze z nędzą, a krzyż przed księżycem ustępował. Zyskały tylko fortyfikacje, bo Turcy wznosili mury i baszty w obawie odwetu ze strony Polaków. Postawili też most oryginalny, bo wzniesiony na nasypie wypełniającym szerokość doliny, po której płynie Smotrycz. Obrócili na to wiele budynków, umyślnie zrujnowanych, a między innemi klasztor PP. Dominikanek.

Do dziś dnia most ten pod nazwą tureckiego, oddaje usługi miastu.

Drugim zabytkiem z czasów tureckich, jest dotykająca do murów katedry z prawego boku smukły minaret, skąd muła na modlitwy zwoływał. Dziś z wierzchołka jego, statua Najświętszej Panny w koronie z gwiazd, a pod stopami księżyc mająca, błogosławi miastu.

W kościele Dominikanów znajduje się z tychże czasów piękna kazalnica z kamienia ciosanego, w stylu wschodnim wykuta.

Kamieniec jest głównem miastem gubernii podolskiej.

II.

— Stąpając po tej ziemi — mówił następnego dnia wujek rozpatrzmy pomniki ubiegłych wieków.

Widzimy przed sobą miasto na długiej stróżkowatej skale zbudowane, opasane zewsząd wodami Smotrycza, płynącego w głębokiej kotlinie. Tu i owdzie między białemi domami sterczy stara baszta, przewyższająca znacznie sąsiedów swoich, dziwnie drobno przy niej wyglądających.

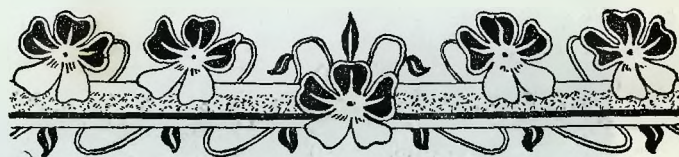
Miasto niegdyś zamykały dwie bramy: Lacka od wschodu, Ruska od zachodu; każda brama była fortecą o pięciu wieżach, od nich ciągnęły się mury wzdłuż rzeki, w strzelnice zaopatrzone i dochodzące do bastyonów uzbrojonych w działa.

Od bramy Lackiej, z której pozostały tylko dwie baszty, mury dawniej stykały się z rundlem czyli wielką basztą, wzniesioną przez króla Batorego na górze i dobrze w działa zaopatrzoną. Był to punkt bardzo trudny do zdobycia; po wzięciu dwóch bram poprzednich, nieprzyjacieli stąd odparty, odchodził nie zdobywszy miasta. Obecnie tak zwana brama Batorego dobrze zachowana i dachem pokryta, mieści skład prochu.

Na frontowej ścianie czytamy napis łaciński: *R. P. 1585 przez Stefana zbudowana, przez Stanisława Poniatowskiego odbudowana i powiększona r. 1785.*

Brama trzecia Ruską zwaną, broniła miasta od zachodu, całym szeregiem fortyfikacji łączyła się z bramą Batorego, dziś niewielkie z niej pozostały ślady w sterczących samotnie basztach i kruszących się murach.

(d. n.)



Pogadanki z dziedziny chemii.

VII. Jak i kiedy pierwiastki łączą się chemicznie pomiędzy sobą.



onieważ wiemy już, że siła chemicznego przyciągania istnieje we wszystkich ciałach, ale nie zawsze objawia się z jednakową potęgą, że na przykład pomiędzy potasem a wodorem działa ona nader energicznie, to nasuwa się przypuszczenie, że możnaby ustawić wszystkie pierwiastki w szereg, któryby wykazywał, z jaką one siłą dążą do związku z tlenem, albo z innym jakimś pierwiastkiem.

Podobny szereg możnaby rozpocząć od pierwiastku, który objawia najmniejszą chęć łączenia się z tlenem, a za nim stawiać inne pierwiastki w miarę ich wzrastającej skłonności do tlenu, ostatnim pierwiastkiem w takim szeregu byłby potas, który jak wiadomo najchętniej łączy się z tlenem.

Przypuśćmy, że taki szereg dałby się ściśle ułożyć, w takim razie mielibyśmy bardzo interesującą tablicę, któraby nam wskazywała rozmaite stopnie siły chemicznej, objawiającej się pomiędzy tlenem a innymi pierwiastkami.

Ale taka tablica nie da się ułożyć inaczej, jak tylko w przybliżeniu, gdyż skłonność chemiczna jakiegoś pierwiastku do tlenu zależy nie tylko od drzemiącej w nim siły przyciągającej ale i od warunków, w jakich dwie substancje stykają się ze sobą. Wyjaśnimy to sobie lepiej na przykładzie.

Na samym początku przypomnieliśmy, iż żelazo łatwo rdzewieje, to znaczy, łączy się, z tlenem. Każdy jednak wie z własnego doświadczenia, że rdzewienie odbywa się bardzo szybko w wilgotnym powietrzu, podczas gdy w powietrzu suchym nóż, albo inny przedmiot żelazny, miesiącami może leżeć i nie pokrywa się rdzą. Już stąd widzimy, że wilgoć powietrza wpływa bardzo na powiększenie siły przyciągającej między tlenem a żelazem.

Wiemy także, że w wielkim piecu można otrzymać czyste żelazo przez wypalenie węgla z rudą żelazną, gdyż tlen zawarty w rudzie w wysokiej temperaturze przechodzi do węgla. Ten fakt mógłby nas upoważnić do przekonania, że tlen ma większą skłonność do węgla, aniżeli do żelaza. Tak jednak nie jest, wpływają tutaj różne okoliczności.

Węgiel może latami leżeć na powietrzu i nie łączyć się z tlenem, podczas gdy kawałek żelaza rdzewieje bardzo prędko. Rozżarzmy jednak węgiel przez włożenie go do płomienia, a zacznie natychmiast łączyć się z tlenem powietrza i niebawem zniknie, zamieniwszy się na dwutlenek węgla.

Węgiel okazuje więc wielką pochopność do łączenia się z tlenem, ale pod warunkiem, że go ogrzejemy silnie. Potrzebuje on niejako podniety do łączenia się z tlenem bez której żelazo się obywa.

Ktoś skory do wyciągania pospiesznych wniosków mógłby wyobrazić sobie, że chemiczna siła przyciągania wzrasta wraz z temperaturą. A przecież w samym wielkim piecu gorąco wywiera skutek odwrotny, gdyż zmniejsza powinowactwo chemiczne żelaza względem tlenu, zamiast go powiększać.

Jak dalece chemiczna siła przyciągająca zależy od okoliczności, świadczy między innymi i ten fakt, że sproszkowany węgiel, złożony w duże kupy, czasami zapala się sam przez się, gdyż cząsteczki węgla przyciągają i zgęszczają w sobie tlen z powietrza. Mamy tu więc do czynienia ze zjawiskiem zgoła przeciwnym zachowaniu się zwykłego węgla, który, jak powiedzieliśmy, palić się zaczyna dopiero po ogrzaniu.

Takie porównanie zachowania się żelaza i węgla względem tlenu uwidocznia, że trudnoby było ułożyć tablicę powinowactwa chemicznego tlenu z innymi pierwiastkami, gdyż siła tego powinowactwa zależy od wielu rozmaitych okoliczności.

Pomimo to nauka nie dała się odstraszyć znacznymi trudnościami i ułożono tablicę powinowactw chemicznych, która to tablica posiada bardzo wielkie znaczenie dla chemii.

Rozważając rozmaite okoliczności, w których zachodzą związki chemiczne, widzimy, że w pewnych warunkach drzemiąca skłonność chemiczna budzi się, jak nas o tem pouczają poniższe przykłady.

Wiemy, iż żelazo w wilgotnym powietrzu rdzewieje prędzej, aniżeli w suchym, to znaczy, że wilgoć służy za rodzaj pośrednika między powietrzem a żelazem. Działa

tedy nie tylko przyciąganie między pierwiastkami, ale i stan, w jakim te pierwiastki się znajdują.

Wiemy dalej, że węgiel wchłania w siebie rozmaite gazy, ale nie zawsze wchodzi z nimi w związki chemiczne; natomiast dość go zapalić, to znaczy ogrzać mocno, ażeby się zaczął łączyć szybko z tlenem powietrza. W tym wypadku wilgoć nie odgrywa żadnej roli, natomiast pośrednikiem jest gorąco.

W wielu wypadkach dla wywołania chemicznego połączenia się dwóch ciał trzeba jedno z nich przynajmniej wziąć w stanie płynnym. W innych znowu wypadkach chemiczne związki zachodzą łatwiej za ogrzaniem pierwiastków, a w innych jeszcze podniesienie temperatury wywołuje rozkład już istniejących związków.

Bardzo dziwnem jest działanie światła słonecznego na związki zawierające chlor, jod lub brom. Chlor ma własność niszczenia barwników, dlatego używają go do bieleń tkanin, do czego dawniej służyły promienie słoneczne. Wiemy na zasadzie nowszych badań, że światło słoneczne nie jest żadną materią wypływającą ze słońca, ale pewnym rodzajem, ruchu falistego; chcąc więc wytłomaczyć działanie światła na substancje chemiczne, trzeba przyjąć, że światło wprawia substancje w pewien szczególny stan, wywierający wpływ na chemiczną siłę. Jeszcze ciekawszym przykładem chemicznego działania światła jest fotografia, zasadzająca się na rozkładzie związków bromu i chloru ze srebrem pod działaniem promieni świetlnych.

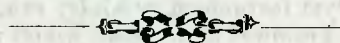
Następujący przykład uczy nas, że chemiczne związki zachodzą niekiedy w bardzo niezwykłych warunkach.

Istnieją substancje, które wtedy tylko można skłonić do zawierania związków chemicznych, kiedy uwalniają się one z innych związków. Jeżeli w takiej chwili damy pierwiastkowi sposobność wejścia w związek, to korzysta on z niej skwapliwie. Pozostawiając atoli czas do namysłu takim pierwiastkom, widzimy, że tracą one ochotę do łączenia się chemicznego. Oto przykład:

Kwas azotowy składa się z tlenu i azotu. Tlen jest bardzo pochopny do wchodzenia w związki, ale za to azot zachowuje się bardzo obojętnie względem innych pierwiastków i to nasze szczęście, bo inaczej powietrze zamieniłoby się w kwas azotowy. Chcąc jednak otrzymać ten kwas, trzeba wyczekać chwili, kiedy azot opuszcza jakiś związek i podstawić mu tlen; wtedy łączy się on z tlenem bez trudności.

Występuje to jeszcze wyraźniej podczas tworzenia się amoniaku. Gaz ten składający się z wodoru i azotu powstaje tylko wówczas, gdy z jednej strony znajduje się wodór, opuszczający poprzedni związek z innym ciałem, z drugiej zaś taki sam azot. „Wypędzone” poszukujące świeżego towarzystwa gazy łączą się ze sobą bez wahania. I woda nie tworzy się wskutek pomieszania tlenu z wodorem. Powstaje ona za to w bardzo wielu chemicznych operacjach, jeżeli tlen spotyka się z wodorem natychmiast po zerwaniu jakiegoś związku.

WZ. U.



Z GRENLANDYI.



Grenlandyi, wschodni bowiem zmuszeni byli opuścić, dla wielkiej masy napływających tutaj lodowców. Cała zresztą wyspa pokryta nie ginącą wcale skorupą śniegu i lodu, nie była nigdy zamieszkałą.

Eskimosi żyją tutaj, jak zresztą wszędzie, z rybołówstwa, polowania na foki, lub zwierzęta lądowe.

Lat 30 temu wylądował w Grenlandyi uczony podróżnik szwedzki Nordenskjöld, stojący na czele wyprawy naukowej, do bieguny północnego skierowanej.

Za przewodnika po tej śnieżnej pustyni wybrał sobie Larsa Melera. Młody, roztropny chłopak wywiązywał się z włożonych nań obowiązków nader dobrze, a że rok blisko wyprawa tutaj pozostała, przyskuchując się rozmowie wykształconych ludzi, nauczył się dużo. Oni zaś widząc jak łatwo się uczy i pojmuję, udzielali mu chętnie objaśnień, nauczyli czytać, dawali odpowiednie książki.

Tym sposobem nauczył się Lars wielu pożytecznych rzeczy, i zapragnął oświecać swoich współbraci.

W krótkce też ułożył dla nich elementarz, wreszcie umyślił wydawać gazetę.

Nordenskjöld dostarczył mu w tym celu małej maszyny, farby, i wszystko co do druku potrzeba było. Lecz, że mało jeszcze Eskimosów czytać umiało, umieszczał w niej obrazki z krótkimi podpisami. Obrazki te sam rysował i wycinał na drzewie, odbijając je potem na papierze. Z początku rozdawał gazetę darmo, rozwijając ją sam na łyżwach, w końcu pobierał niewielką przedpłatę.

Zaciekawieni obrazkami Eskimosi uczyli się coraz chętniej czytać, a Meler rozwijał swoje wydawnictwo, sięgając ziarno oświaty na urodzajnej glebie, gdyż dzisiaj nie ma Eskimosa w Grenlandyi, któryby czytać nie umiał. Obecnie kiedy Lars Meler spoczął na wieki, pod śniegami północy, gazetkę prowadzić będzie jeden z jego uczniów, podając potomności zasłużone jego imię.

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

XXII.

Po rozmowie z panią Zabrzeską profesor udał się do kuchni, gdzie w białym kaftanie, przepasany białym fartuchem, w białej czapce na głowie, rządził i królował Sosiniecki, wielki arystokrata, który siebie zawsze nazywał „kucharzem

z kucharzy” i zdawało mu się, że ma ogromne znaczenie w społeczeństwie. Czytywał gazety, zajmował się polityką i nie mógł sobie dobrać żadnego towarzystwa w Suchowie. Uznawał, że lokaj, ogrodnik, ekonom byli mu równi położeniem i urzędem, ale co do rodziny... Familia Sosinieckich to było wcale co innego... Wmawiał to wszystkim otaczającym i do tych, którzy wedle jego pojęcia stali na niższym szczeblu drabiny społecznej, przemawiał wprost pogardliwymi wyrazami. Do Wojciecha odezwał się raz dobroliwie:

— Co tam taki cham jak wy, Wojciechu, wiedzieć może?

— W tym wypadku trafiła kosa na kamień, stanęły wobec siebie dwie wygórowane dumy i dwie niezmiernie zarozumiałości. Powstała długa kłótnia, która się skończyła tem, że Sosiniecki nie znał najzupełniej Wojciecha i nie raczył nigdy do niego przemawiać, zaś Wojciech mówił o Sosinieckim: „pan hrabia.”

Profesor wszedłszy do kuchni przemówił grzecznie:

— Mam tu od pani Zabrzeskiej polecenie... Pani Zabrzenska prosi, żeby Sosiniecki przeniósł się do Wólki Suchowskiej, gdzie Sosiniecki będzie gotował dla panny Four i dzieci, zaś tu weźmiemy jaką kobietę...

Sosiniecki wyprostował się i przybrał taką minę, jak gdyby nie dobrze rozumiał, co do niego mówiono.

— Panna Four nie może jeść tego, co tam dla niej gotują — dodał profesor.

— Co? Ja mam iść gotować do Wólki Suchowskiej?

— Tak sobie życzy pani Zabrzenska.

— Jeszcze nigdy na folwarku nie gotowałem i gotować nie będę!

— Sosiniecki rozumie, że to tylko chwilowo, z powodu choroby...

— I mój ojciec i mój dziad i mój pradziad byli kucharzami z kucharzy i gotowali po dworach a nie po folwarkach. Ja jestem nie z byle jakiej rodziny i mój ojciec i mój dziad i mój pradziad mówili, że są nie z byle jakiej rodziny.

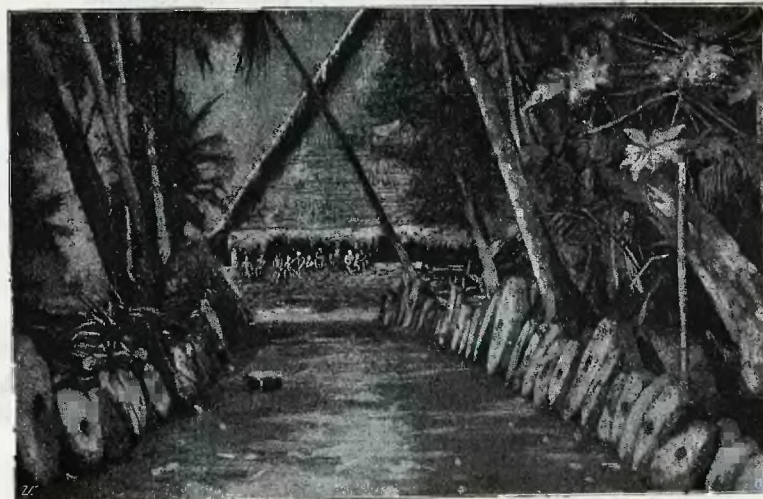
— Ja bynajmniej temu nie zaprzeczam — rzekł pojednawczo pan Chlewiatko — właśnie na to liczyłem, że taki kucharz z kucharzy... że taki człowiek... co rozumie... co się zna na polityce...

— Właśnie to mówię! Taki kucharz jak ja! Mnie panowie znają, mnie w Warszawie znają, a ja pójdę na folwark gotować?

— W Warszawie Sosinieckiego znają a poznają i w Paryżu, jak o Sosinieckim panna Four napisze...

— Napisze do Paryża?

— Pewno napisze. Zresztą pani Zabrzenska taka nieśczęśliwa, w takiej rozpacz... Trzeba biednej kobiecie



Pieniądze kamienne na wyspach Karolińskich.

przechodzącej dziewczki folwarcznej zapytał z wyższością i dumą:

— Gdzież tu ma być kuchnia?

— Nie wiem, gdzie ma być — odparła — ale wiem gdzie jest. Ot tu, w te drzwi.

— Otwórz! — zabrzmiął rozkaz Sosinieckiego.

Dziewka otworzyła drzwi na oścież a Sosiniecki wszedł z taką miną, jakby się nad nim wznosił łuk tryumfalny. Na jego widok okrzyk zdziwienia wyrwał się z czterech ust naraz, gdyż właśnie w tej chwili w kuchni znajdowały się cztery osoby: Zosia, Zdzisł, Józio i Jańcio.

Był to piątek, więc po wspólnej naradzie dzieci postanowiły, że sporządzony będzie obiad następujący:

Zupa ze sliwek suszonych.

Kartofle pieczone i jajecznica.

Fasola z sosem miodowym, zaprawionym octem.

Kluski z makiem.

Śmietanka bita z konfiturami.

Że Piotrowa obrażona gotować nie chciała, więc dzieci, pod przewodnictwem Zosi zajęte były wykonaniem zamierzonego obiadu, na myśl o którym panna Four najwyraźniej widziała pewien nagrobek z napisem: „Umarła z głodu z dala od ojczyzny.”

W chwili, gdy Sosiniecki wchodził do kuchni z miną zdobywcy, Zdzisł zagniatał kluski na stolnicy, Józio bił trzepaczką śmietankę w dużej pokrywie, stojącej na lodzie przyniesionym w szafliku, Jańcio przebierał fasolę a Zosia pilnowała wszystkiego, i jednocześnie przecierała przez durszlag ugotowane sliwki, z których wydzielala się obficie para, pachnąca powidłami. Humory były doskonałe, Zdzisł z Józiem spierali się o to, kto będzie ucierał mak z miodem i ułożyli się w końcu, że przez pięć minut walkiem w donicy mak będzie wiercony przez Zdzisia a następne pięć minut przez Józia.

Na widok Sosinieckiego dzieci ogarnął niepokój i złowrogie przecucie. Jańcio pierwszy zawołał:

— My sami będziemy gotowali obiad!

— Co się to stało, że Sosiniecki tu przyszedł? — zapytała Zosia.

Sosiniecki skłonił się dworsko i rzekł z niejaką urazą:

— Przyjechałem, nie przyszedłem. Wedle życzenia pani dziedziczki i ze względu na to, że jest zdenerwowana i w niepokoju o dziecko, zgodziłem się zająć stanowisko moje w Wólce Suchowskiej.

— Jańcio nic nie rozumiał, ze zdumieniem na Sosinieckiego spoglądał.

— A któż będzie gotował w Suchowie? — zawołała Zosia.

— Pani dziedziczka podobno nic nie je, pije tylko herbatę ze śmietanką.. panna Alusia żyje tylko mlekiem a pan profesor nie wie, co je i wszystko mu jedno, co mu podadzą. Przecie wiem!... Raz zrobiłem pengrzyb (pain de gibier) tak, że palce lizać, a on krajał w dwie kromki i zdawało mu się, że je chleb razowy!

Dzieciom ręce opadły. Widziały, że musiały ustąpić z kuchni, że wszystkie projekta gotowania przeróżnych potraw na własną rękę upadały wobec pana Sosinieckiego, przychodzącego zająć *swoje* stanowisko.

Wszystkim czworgu, nawet Zosi, zdawało się, że zostają wypędzone z raj. Przepadło wiercenie maku, bicie śmietanki, zagniatanie na stolnicy klusek! Te roboty były takie zajmujące a trzeba było ich się wyrzec! Jańcio najdłużej się upierał przy myśli gotowania obiadów i kolacy. Zdawało mu się, iż nikt tak dobrze jak on fasoli przebrać nie jest w stanie. Gotował on nieraz obiadki, podwieczorki i kolacje dla lalek, drobił kluseczki z papieru, wypiekał śliczne babki z piasku. W ogóle lubił bardzo bawić się w kucharza, to też gdy się przypadkiem zdarzyła sposobność gotowania na prawdę, w prawdziwej kuchni, prawdziwego obiadu, nie mógł się pogodzić z myślą opuszczenia owej sposobności. Ujrawszy, że dzieci wychodzą, zostawiając resztę roboty Sosinieckiemu i pomocnicy, Jańcio

nastroił smutną minę, przeciagającą się coraz bardziej. W końcu panowanie dłuższe nad sobą stało mu się niepodobnem i żal jego wybuchnął nagle we łzach i głośnym płaczu. Zosia wzięła go na ręce i wyniosła z kuchni.

(d. c. n.)

WYSTAWA ZABAWEK.



Paryżu, między Bożem Narodzeniem a Nowym Rokiem jest zwyczaj ustawiać na bulwarach straganiki i budki z zabawkami. Tam ukazują się różne różności, pomysłu i wykonania paryskich rzemieślników.

W ostatnich latach zmniejszyła się liczba nowych wynalazków, więc prefekt policji dla zachęty urządził wystawę tanich zabawek i nazaczył nagrody pieniężne za najlepsze pomysły.

Ciekawa to była wystawa: przeszło siedmset okazów, zebrano w sali Trybunału Handlowego.

Między zabawkami wyróżnia się geograficzna łamigłówka, globus złożony z sześćdziesięciu czterech kawałków (patrz ryc. 2.) Obok, (nr. 1) stoi maleńki elektryczny mator. nr. 5 przedstawia małego kominarza, który zamiast sady sypie kominem cukierki.

Za mało mamy miejsca na opisanie wszystkich zabawek przedstawionych na załączonym obrazku: chcemy więc zwrócić tylko uwagę czytelników na niektóre z nich najwybitniejsze: nr. 7, nazwany regatami, składa się z maleńkiej flotyli żaglowych łódek, na podłużnej podstawie napelnionej wodą. Wentylator poruszany za pociągnięciem kółka, wywołuje prąd powietrza, który dmąc w żagle łódek, popędza je do mety, a każda łódka płynie prosto, własną drogą, ogrodzoną dwoma przeciagniętymi z boków sznureczkami.

Bardzo dowcipnie obmyślona i urządzona jest zabawka nr. 6. Winda dźwiga w górę wiadro piasku, a naładowane wózki zjeżdżają po pochyłości i wyrzucają same automatycznie swój ładunek.

Niektóre zabawki poruszają się za pomocą pary: inne mają mechanizm zegarowy, albo wprawia je w ruch maleńka bateria elektryczna.

Na samym dole rysunku, pod nr. 16 zebrał się cały tłum rozlicznych figurek. Jedne z nich chodzą, inne przekładają karabin, lub potrzasaają kijem. Przekupka toczy przed sobą taczki, żołnierz saltuje, szynkarz odkorkowuje butelkę.

Kto wie, jakie były zabawki dziecinne przed trzydziestu laty i porówna je z dzisiejszemi, ten dopiero może osądzić, ile trzeba umieć i ile mieć zręczności dla wykonania nawet takich drobnostek. Wielką wdzięczność powinny mieć dzieci dla rzemieślników, którzy nie żałują trudu, i spracowanymi rękami budują śliczne rzeczy dla rozrywki młodego pokolenia.

* * *

Wzorem tych wystaw paryskich w tym roku, w połowie października ma być urządzona w Warszawie na cel dobroczynny wystawa gier i zabawek, wyrabianych w kraju. Zapewne nasi rzemieślnicy wystawią rzeczy godne widzenia i nabywania, choćby nie dorównywały paryskim. My zaś proponujemy naszym czytelnikom, czyby nie zechcieli wziąć także udziału, w wystawie *nadsyłając na przykład, lalki ubrane przez siebie w stroje ludowe okolic, w których zamieszkują*. Pożądana jest jak największa dokładność, bez żadnych zmian ani upiększeń. Czytelniczki nasze, którym ta myśl trafi do przekonania, niech zechcą przesłać do redakcyi „Wieczorów” przed 1 października, (z dołączeniem imienia, nazwiska i adresu), a redakcyja poda je na wystawę.

Czasu jest dosyć, zajęcie miłe a więc do roboty.

Oprócz tego Zarząd Wystawy zwraca się z prośbą do działwy naszej o nadsyłane za zgodą rodziców niepotrzebnych, a w dobrym stanie jeszcze będących zabawek, celem sprzedaży ich na wystawie na rzecz Towarzystwa Opieki nad chorymi. Zabawki takie, które umieszczone będą w oddzielnym kiosku, nadsyłać należy do członka komitetu wystawy, p. F. Karpińskiego, ulica Elekoralna Nr. 35 lub do redakcyi „Wieczorów”.

Mamy nadzieję, że obie te propozycye będą miały powodzenie.

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

— Jezus, Marya, Józef! — krzyknął Tomasz, podnosząc siekiere. Chciał zasłonić żonę, która przypadła do męża, żeby go bronić od Bugra. Grażela nie zdążyła odbić ciosu, nim się zamachnęła i spuściła żelazo, już Sęp utopił dziurę w piersiach starej kobiety i zwrócił broń przeciw Tomaszowi. Byłby powalił obezwładnionego żalem chłopca, gdyby nie Stefan, który wyrwał Grażeli siekiere z rąk i strzaskał nią dziurę Sępa, ale Indyanin chwycił słusarczyka za gardło i dusił w kościstych jak szpony palcach. Szczęściem, Jasiiek flectista nietylko na piszczałce przygrywać umiał. Jasiiek spostrzegł niebezpieczeństwo grażące panu Lutemu, splunął w garść, jak czynić zwykł każdy rzetelny chłop, kiedy się ma zmierzyć z tęgim zwierzem, i rąbnął siekiere po żyłastych ramionach Sępa. Zachwiał się Burung, zatoczył błędnym wzrokiem dookoła i wypuścił ofiarę z krogulczych uścisków. Stefan nie słyszał krzyku Suyi, który w tej samej chwili rozdarł powietrze. Myślał o własnej obronie. Kolbą fuzyi grzmotnął Sępa po głowie, a nie czekając aż Indyanin opamiętać się zdoła, zarzucił na niego uduziennicę, którą niósł, żeby osiodłać konia.

Szarpał się wódz, ranny i ogłuszony próbował walczyć jeszcze, ale Jasiiek podbił mu nogi drzewem siekiery i we dwóch z Stefanem skrzepowali szamocącego się Sępa. Czas był też już wielki skończyć z jeńcem. Od lasu pędziła na gromadę kolonistów chmura czerwonoskórnych Indyan.

— Rozbiedz się, walczyć w pojedynkę, bronić baraków — krzyczał Stefan, który zrozumiiał, że zbity w kupę gromada odniesie niezawodną klęskę. Jakoż dzicy wypuścili pierwsze strzały, szczęściem tłum wychodźców cofnął się już ku domostwom, więc pociski nie przyniosły wielkiej szkody. Dwie dziewczyny odniosły jednak rany, ranny był także Karol Wiecha, który mężnie potykał się w obronie Kasi Skowronczanki. Jej to powierzył Stefan opiekę nad szpitalem, utworzonym pospiesznie w szopie. Należało wyssać jad z okaleczeń i obłożyć je korzeniem rośliny jaszczurczej (herwa de lagerta). Pełniła więc Kasia obowiązki siostry miłosierdzia a nie brakło zajęcia, bo walka wrzała na całej linii. Indyanie byli zdziwieni postępowaniem wodza, który wyskoczył pierwszy z lasu i nie wydał zwykłych rozkazów.

To wstrzymało impet ich ataku, uwięzienie Sępa sparaliżowało do reszty ruchy nieprzyjaciela. Byłby on może poszedł w rozsypkę, nie uczyniwszy wielkiej szkody gdyby nie zuchwał Waika. Waika kochał Sępa, chciał go pomścić, zebrał około siebie garść najwaleczniejszych i biegł ku barakom, ale Stefan w porę spostrzegł niebezpieczeństwo grożące budynkom. Wziął na cel pioropusz wodza, wymierzył, wystrzelił, Waika upadł na ziemię a jego wojsko z krzykiem wróciło do lasu.

Wielkie to było szczęście, że udało się Stefanowi odwrócić atak od baraków, bo nie mógł bronić ich dłużej spostrzegłszy niebezpieczeństwo grożące Tomaszowi. Tomasz nie ruszył się dotąd od trupa żony. Próżno nacierał na Indyanie, chłop obtarł rękawem sukmany łzy cisnące mu się do oczu i chwyciwszy oburącz siekiere, opędzał się dwóm napastnikom, broniąc im przystępu do ciała kobiety, którą obedrzeć chcieli. Ale Burung nie łatwo odstępuje zdobyczy, zwłaszcza gdy ta zdobycz ma być świadectwem jego bohaterskich czynów. Gwizdnął Makusi, gdyż on to nacierał na Tomasza, i trzech czerwonoskórych wojowników napadło Grażelę z tyłu.

Darmo opędza się stary wiarus, darmo podwaja razy, obalił wprawdzie jednego Burunga, zranił Makusiego, ale dziurę przeorał mu bok a palce drugiego Burunga wpily mu się w gardło.

I byłby zginał Grażelę przewodnik gromady, on który opowiadał i pieśnią krzepił ducha zwątpiałych, byłby zginał niezawodnie, gdyby nie Stefan Luty. Spostrzegł niebezpieczeństwo grożące Tomaszowi i zadrżał o jego życie. Kula mogła trafić tego, którego pragnął ocalić, nie strzelał więc, biegł z podniesioną w górę fuzyą, a w ślad za nim dążyli Jasiiek flectista i Stach Kobiela, najśmielszy między parobkami po Wojciechu Skibie. Makusi przestał nastawać na zdobyc po Tomaszowej. Spostrzegł Sępa i pospieszył mu z pomocą.

Sęp leżał skrzepowany na ziemi, pilnowało go dwóch kolonistów uzbrojonych w siekiery, ale Makusi obalił starszego parobka, młodszego zaś ranił toporem. Chciał już zrywać więzy krępujące wodza, kiedy schwyciła go za rękę Różia Grażelówna, a siostra jej Antoszka drzewem motyki zadała Indyaninowi potężny raz w głowę.

— Masz poganinie za naszą matusię, masz, masz, masz! — krzyczała okładając kijem Burunga. Rozpacz zdwajała jej siły, próżno też Sęp rzucił się w więzach, stróżujący parobcy odzyskali przytomność i zawstydzeni dzielnością dziewczuch, zasłonili je przed gniewem Makusiego.

Makusi stał bezbronny, bo kościany dziurę jego włóczni pękł przy pierwszym natarciu. Słusznie zwano go chytym. Pochylił się, udając, że upada i porwał kamieniem topór, który Sęp miał zatknięty za sznur lian, opasujących biodro.

Świsnęła broń w rękach Indyanina, topór przeleciał ponad głową związanego wodza i byłby zabił Antoszkę, dziewczyna uchyliła się jednak w porę, a Różia zarzuciła na Makusiego worek, w który składała mandjokowe łodygi. Szarpnął się Burung, ryknął z gniewu, zdarł płótno zasłaniające mn oczy i nie próbując dalszej walki uciekł do lasu.

Cofnięcie się Makusiego i śmierć Waiki rzuciło popłoch między Indyanami, kilku tylko najśmielszych dopadło baraków i kuźni. Baraków strzegł Tomasz, który przniósł do nich ciało zabitej żony, przybiegły mu z pomocą córki, przybiegł Stach i Jasiiek, było więc komu bronić domostwa, ale kuźnia stała na uboczu, nie pilnował jej nikt.

— W kuźni został Leon! pomyślał Stefan i spieszył na pomoc Ziemiakowi. Dwóch Burungów wyskoczyło w tej samej chwili przez okno budynku. Potrząsali zarżniętymi się głowniami, na dachu błysnęły ogniste języki płomienia.

— Leon! Leon! krzyczał Stefek i niepomyślnie na własne bezpieczeństwo, zniknął pod płonąca strzechą.

— Leon! Leon! — powtórzył zdławionym od dymu głosem. Nikt nie odpowiadał na jego wołanie, trzeszczały tylko deski pałapu, bo ogień zaczął ogarniać strop. Stefan chciał już zaprzestać daremnych poszukiwań, kiedy usłyszał jęk wydobywający się z za kowadła.

— Nie zabiłem! nie zabiłem! Dlaczego źli przyszli po moją duszę — skarżył się Leon.

Nieprzytomny ze strachu, siedział skurczony w samym kącie kuźni i nie poznawał nawet Stefana.

— Przyszli po moją duszę — szeptał wskazując Indyan uganających się po polu.

Stefan schwycił szamocącego się Leona i wybiegł z nim przed kuźnię.

— Potrzebna też mitrega z głupim Nesabilem — dobrze, że pan Luty życia nie postradał — gorszył się Stach Kobiela, który przybiegł na pomoc Stefanowi.

— Zawsze warto dać ratunek nieszczęśliwemu — odpowiedział ślusarczyk i widząc, że ogień z kuźni ogarnął może baraki, odprowadził Leona do szpitala pod opiekę Kasi. Płomień pokazał się istotnie na dachu domostwa. Czy wiatr zaniósł iskrę, czy Indyjanie, uciekający z pola bitwy, rzucili głównie na wyschłe sitowie strzechy, dość że niebezpieczeństwo pożaru dopełniło miary nieszczęścia.

Ze wszystkich stron biegli koloniści ratować dobytek zamknięty w baraku nawet stróż pilnujący Sępa znaleźli się przy ogniu. Obok jeńca stała spłakana i drżąca Suya.

Dlaczego teraz dopiero przyszła do ojca, dlaczego nie starała się wprzód ratować go od śmierci?

Dlaczego? bo Suya zasłuchana w śpiewie kolonistów zapomniała na chwilę o grożącym niebezpieczeństwie. Przytem walkę rozpoczęła tak nagle. Widziała po raz pierwszy krew tryskającą pod uderzeniami siekiery.

— Białe twarze zabijają ojca! — krzyknęła. Chciała biec na pomoc Sępowi, ale straciła przytomność. Leżała pomiędzy zielonemi gałęziami, jak przyczepiona do nich pstra gąsiennica. Świadomość wróciła Suyi wtedy dopiero, kiedy Stefan spostrzegł Indyan, gospodarujących między budynkami osady.

(d. c. n.)

Pieniądze kamienne na wyspach Karolińskich.

Wiemy, że ludzie wymyślili pieniądze dla ułatwienia wzajemnej wymiany potrzebnych rzeczy. Różne ludy używały dawniej zamiast pieniędzy różnych przedmiotów, rzeczywistą wartość mających. Narody myśliwskie używały skór zwierzęcych, narody pasterskie — i trzód. Później dopiero, przy wielkim rozwoju cywilizacji, zaczęto wyrabiać pieniądze z kruszców, najpierw z żelaza i miedzi, potem ze srebra i złota. Otóż u mieszkańców wysp Karolińskich jako znaki zamienne w handlu służyły kamienie, mające wielką wartość z powodu małej ich ilości na wyspach, potrzebne zaś były przy budowaniu fundamentów pod drewniane domki mieszkańców. Stąd kamienie stosownie do wielkości nabrały tam znacznej ceny, a dla łatwiejszego ich przenoszenia, nadawano im kształt okrągły, z małym we środku otworem. Teraz na wyspach Karolińskich obiega już moneta metaliczna, kamienie zaś należą do ciekawych zabytków przeszłości.

SZARADA.

E. L.

Pierwsze trzecie, to rzeka, co bieg wód swych rączy
Będąc dopływem Wolgi, z jej korytem łączy.
Drugie strzeże i domu porządkiem się trudzi,
A jako duch niebieski trwa przy boku ludzi.
Wszystko wraz to roślina, która co rok w lecie,
Rozwija swoje skromne, lecz nadobne kwiecie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 30.

Szarady: Pa — ra — da.

Łamigłówki kropkowanej:

Przy nim młoda niewiasta, czemuż kiedy młoda,
Tak zamglonym promieniem świeci jej uroda?
Ni ją ubiór ułatny, ni ją stroją kwiaty;
Czarne oczy spuszczone i żalobne szaty,
A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości,
Którego całym blaskiem — uśmiech cierpliwości.
Lub jeśli kiedy nagle w pośród gęstych cieni,
Jaka myśl, czy pamiątka jej lica zrumieni,
To tak mdłym, bladym światłem, jak gdy księżyc w pełni,
Niezwyczajem życiem rysy posągu napelni.

(z „Maryi” Malczewskiego).



NASZE PIEŚNI 60
śpiewów naj-
ulubieńszych z to-
warzyszeniem fortepia-
nu.
Cena 90 kop., pocztą rub. 1.
Wydawnictwo M. Arcta,
Warszawa, Nowy-Swiat Nr. 53.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Z wycieczek wakacyjnych (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Z Grenlandyi (z ryc.) — W Suchochowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Wystawa zabawek (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Pieniądze kamienne na wyspach Karolińskich (z ryc.) — Łamigłówka i rozwiązanie. — Dodatek: Bocian i lis (bajka) (z ryc.) — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — Chciałbym. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Strumyk.

Hen, gdzie rosną leszczyny,
Gdzie chór ptasząt się skrywa,
Stąd gdzie kwitną kaliny,
Srebrny strumyk wypływa.

Jego wody przejrzyste,
Ciepłe słonko całuje,
Śląc promyki złociste
W fali nurt się wpatruje.

Promykami ją muska,
Siejąc cudnych barw tęcze,
W fali rybka się pluska,
Fala łamie się w tęcze.

Kwiaty rosną barwiste,
Nad brzegami strumyka,
Wody ciche i czyste,
Traw kobierzec przetyka.

Po zielonej tej łące,
Gdzie dzwoneczki i smółki,
Gdzie latają jaskółki,
Tam gdzie chodzi spać słońce.

Tam strumyczek się toczy,
Srebrną wstęgą, błyszczącą,
Odbijając gwiazd oczy,
W noc pogodną milczącą.

Potem cicho zapada,
W nurty rzeki szumiące,
Szeptem echa spowiada,
Srebrne wierzby płaczące.

Z nurtami rzecznej fali,
Płynąc, gdzie złota zorza,
Coraz dalej, a dalej,
Aż w głąb zapada morza.

Tam grają wichry, burze,
W potężne echa dzwony
Nad morzem niebo w górze,
Wód przestwór niezmierzony.

I strumyczek srebrzysty,
Tocząc się swoim łozem,
Skromny, mały i czysty,
Z kropelki stał się morzem.

Jak strumyk, co wytrwale,
Płynąc w swoim korycie,
Trafia, gdzie morza fale;
Tak i ludzkie to życie.

Kiedy ciche i czyste,
To powoli zapłynie
Aż ku niebios krainie,
Tam gdzie szczęście wieczyste.

Marya S.



Pogadanki z dziedziny chemii.

VIII. Jak można ułożyć pierwiastki chemiczne, biorąc pod uwagę ich skłonność chemiczną.

Poznaliśmy niektóre warunki, posiadające wielki wpływ na związek chemiczny; staje się dla nas przeto zrozumiałem, że trudno byłoby ściśle powiedzieć, jaki z dwóch danych pierwiastków połączy się łatwiej z jakimś trzecim pierwiastkiem, to jest który z nich ma do owego trzeciego pierwiastku większą skłonność chemiczną.

Wróćmy raz jeszcze do tlenu, który najchętniej tworzy związki z innymi pierwiastkami i który z tego powodu odgrywa bardzo ważną rolę w świecie materjalnym. Otóż tlen dość niechętnie łączy się z chlorem; do siarki ma on już większą skłonność i tworzy z nią znany powszechnie kwas siarczany. Jeszcze łatwiej tworzy on związek z fosforem, dając kwas fosforowy, a w pewnych warunkach chętnie wstępuje w związek z azotem, przyczem powstaje kwas azotowy. Rozpatrując w dalszym ciągu związki tlenowe, widzimy, że gaz ten ze wzrastającą skłonnością łączy się z węglem (kwas węglany), z wodorem (woda). Skłonność jego jest największa do rozmaitych metali, naprzykład z miedzią łączy się jeszcze chętniej aniżeli z wodorem, z cynkiem jeszcze chętniej, z żelazem skwapliwie, z sodem bardzo energicznie, a z potasem wprost gwałtownie.

Możemy więc ułożyć szereg, w którym każdy następny pierwiastek będzie się łączył chętniej z tlenem, aniżeli poprzedzający. Szereg ten da się napisać, jak następuje: chlor, siarka, fosfor, azot, węgiel, wodór, miedź, cynk, żelazo, sód i potas.

Przytoczyliśmy tutaj najważniejsze, to jest najbardziej znane chemiczne pierwiastki, inne zaś mniej pospolite pominięliśmy milczeniem. I tutaj jednak powinniśmy pamiętać, że wymienione pierwiastki w bardzo odmiennych warunkach tworzą związki z tlenem, i że wskutek tego szereg powyższy nie zasługuje w zupełności na miano ścisłego.

Szereg ten, przytoczony powyżej, zasługuje jednak na naszą uwagę, gdyż pozwala nam rzucić okiem poza zasłone, pokrywającą tajemnice chemii. Zdawać by się mogło, iż porządek, w jakim postawiliśmy owe pierwiastki, dotyczy jedynie tlenu. Tymczasem zaś daje się on zastosować do każdego z wymienionych pierwiastków. Weźmy naprzykład chlor, a przekonamy się, że i on najchętniej łączy się z potasem, który stoi w szeregu na ostatnim miejscu. Po potasie chlor najchętniej łączy się z sodem, tworząc sól kuchenną, następnie z żelazem, z miedzią, wodorem i węglem. Jeżeli przeto zostawimy chlorowi swobodę wyboru, to najchętniej utworzy on związek z pierwiastkiem, który stoi najdalej od niego w powyższym szeregu. A więc chętniej z żelazem, aniżeli z cynkiem, chętniej z cynkiem, niż z miedzią, skwapliwiej z miedzią niż z wodorem i t. d. Z węglem łączy się on bardzo trudno i to tylko przy pomocy światła słonecznego. Z siarką, która stoi tuż obok niego, z fosforem i azotem wstępuje on w związki nader ociężałe i przy lada przyczynie z nich ucieka, często ten rozkład odbywa się z gwałtownym wybuchem. Widzimy więc, że

nasz szereg ma jednakowe znaczenie tak dla tlenu, jak i dla chlorku.

Istnieją jednak jeszcze dziwniejsze okoliczności, gdyż i drugi pierwiastek w szeregu, mianowicie: siarka łączy się bardzo trudno ze stojącym obok niej fosforem, równie trudno z azotem i węglem, łatwiej znacznie z wodorem, z którym tworzy siarkowodór, przypominający wonią zgniłe jaja, z pozostałymi zaś ogniwami łańcucha tem skwapliwiej, im bardziej zbliżają się one do potasu; z tym ostatnim siarka tworzy nadzwyczaj stały związek, zwany siarkiem potasu.

To samo zupełnie moglibyśmy powiedzieć o trzecim ogniwie szeregu, o fosforze. Łączy się on bardzo niechętnie ze swymi sąsiadami najbliższymi, a bardzo energicznie z daleka stojącymi w szeregu pierwiastkami. Ponieważ szereg nasz zawiera wiele niezapełnionych miejsc, przeto nie może z całą ścisłością wykazać owego dziwnego stanu rzeczy. Spodziewamy się jednak, że czytelnicy uwierzą nam, jeżeli ich zapewnimy, że w łańcuchu zawierającym wszystkie znane pierwiastki, powyższy stan rzeczy występuje jeszcze wyraźniej, co jest tem dziwniejsze, żeśmy go pierwotnie ułożyli dla porównania z tlenem. Mimowoli rodzi się w nas przekonanie, że nie jest to bynajmniej jakimś przypadkowym zbiegiem okoliczności, lecz, że mamy tu do czynienia z jakimś ogólnym prawem przyrody, którego niepotrafiłszy dotąd przeniknąć. Teraz zobaczymy o ile badania naukowe, pozwoliły nam odsłonić ową tajemnicę.

WŁ. U.



Sofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

XXIII.

Sosiniecki na swoją rękę pozaprowadzał różne ulepszenia w obiedzie i zrobił dla panny Four tak doskonały omlet ze szpinakiem, że nagrobek, który jeszcze z rana wydawał jej się pomnikiem istniejącym naprawdę, teraz począł się przesłaniać mgłą delikatną. Mgła ta, za każdym dalszym obiadem przygotowanym przez „kucharza z kucharzy” stawała się coraz gęstsza i wreszcie zasłoniła zupełnie nagrobek osoby zmarłej z głodu z dala od ojczyzny. Panna Four uczyniła postanowienie goszczenia jeszcze długo na tym padole leż.

Dobry humor jej powrócił, w lustrze zaczęła konstatować, że na jej twarzy zmarszczki z wychudzenia wyrównują się potrosze, z większą wyrozumiałością patrzyła na kraj, z dala od Paryża położony, w którym żyć jej przychodziło, słowem, wszystko szło sposobem zadawalniającym w Wólce Suchowskiej, a i w Suchowie nadzieja zawitała do serca pani Zabzeskiej, kiedy naraz, pewnego dnia, obadwaj chłopcy starsi zachorowali na ból gardła i tak silną gorączkę, że nie mogło być mowy o żadnym ukrywaniu ich stanu przed matką, zaledwie do siebie przychodzić zaczynającą

po wzruszeniach, spowodowanych chorobą Alusi. Doktor został natychmiast sprowadzony. Orzekł on, że jest to prawdopodobnie szkarlatyna i radził przewieźć chłopców do Suchowa w nadziei, że Jańcio przez straszną chorobę oszczędzony będzie, a jako dla małego jeszcze dziecka, bano jej się dla niego najwięcej. Sprowadzono z Suchowa karetę i z największymi ostrożnościami przewieziono Józia i Zdzisia.

Ten ostatni był zupełnie nieprzytomny. Rzucał się, mówił to po francusku, to po łacinie; majaczył, zdawało mu się, że przemawia do pana Zabrzezkiego, z którym szedł na polowanie. Józio znow miał ciągle nudności i ich następstwa, co go niesłychanie męczyło.

Salon, w którym przebyła choroba Alusia, został dezynfekowany, wywietrzony, posadzka wymyta i na nowo zaprawiona. Alusię, szybko powracającą do zdrowia, przeniesiono do pokoju matki, chłopcy zajęli jej miejsce. Salon w Suchowie stał się istnym szpitalem. Zagościły w nim flaszki, flaszeczki, i różne przyrządy lekarskie, miednice i miedniczki, słowem, to wszystko, co nadaje pokojom chorych wygląd charakterystyczny. Od jednego łóżka do drugiego przechodził, ubrany w biały fartuch, felczer sprowadzony z Lublina. Przez kilka dni trzeba było po prostu trzymać Zdzisia na łóżku, by nie wyskoczył lub nie spadł, rzucając się na wszystkie strony. Stan jego był niebezpieczny, ale doktor bardziej jeszcze bał się o Józia, który przy silnej gorączce był osłabiony, drżący, z pulsem drobny i słaby.

Nastał w Suchowie istny sądny dzień. Rozsyłano posłańców, sprowadzono na konsylium dwóch lekarzy z Lublina, telegrafowano do New-Yorku. Na telegram ten, otrzymano odpowiedź podpisaną przez właściciela hotelu, w którym przed tygodniem mieszkał pan Zabrzezki. Odpowiedź zawarta była w jednym wyrazie: „Wyjechał.”

Stan pani Zabrzezkiej opisać się nie da. Musiano ją karmić gwałtem, jak małe dziecko, dawać jej na sen duże dozy chloralu, uspakajać środkami medycznymi. Ukrywano przed nią, że w parę dni po braciach, zachorował Jańcio w Wólce Suchowskiej. Miał on szkarlatynę łagodną i lekką. Pielęgnowała go Zosia, która zdrową pozostała do końca.

Zdziś i Józio, silni i zdrowi zwykle chłopcy, walczyli z chorobą, coraz bardziej podkopującą ich siły. Zdziś odzyskał przytomność, ale przyszły różne groźne komplikacje, które sprawiały, że życie jego wisiało na włosku. Józio czuł się bardzo źle i zapragnął umrzeć po chrześcijańsku. Dopominał się o księdza. Nie śmiał życzenia swego wyrazić pani Zabrzezkiej, ale błagał doktora i pana Chlewiatkę, by nie sprzeciwiali się ostatniemu jego życzeniu i sprowadzili mu kapłana w tajemnicy przed matką.

— Pan Bóg nie przyjął mojego życia doczesnego na służbę swoją — mówił do pana Chlewiatki — pragnę więc przynajmniej, by przyjął duszę moją oczyszczoną z grzechów do wiecznej swojej chwały. Czuje, że umieram i na wszystko proszę o posłanie po księdza. Chcę być dziś na śmierć dysponowany. Jutro mogłoby już być za późno.

Profesor był wzruszony do najwyższego stopnia. Łzy cisnęły mu się do oczu. Kochał wszystkie dzieci państwa Zabrzezskich, ale patrząc w tej chwili na Józia, przekonał się, że jego, ze wszystkich kochał najwięcej. Poczciwemu profesorowi wydawało się, że traci syna rodzzonego. Serce krajało mu się w piersi. Byłby chętnie położył się na łożu śmierci w zastępstwie Józia.

— Dobrze, moje dziecko — rzekł głosem zmienionym do niepoznania przez silne wzruszenie — dziś będziesz miał księdza. Pojadę sam i poproszę proboszcza, by przyjechał wtedy, gdy pani Zabrzezka po chloralu spać będzie. Trzeba dla niej unikać wzruszeń.

— Moja najdroższa mamuleczka! — odparł Józio, któremu na błąd twarz wypłył silny rumieniec — że też ja muszę sprawić jej tę boleść! Chciałbym żyć, cóż, kiedy śmierć silniejsza ode mnie i nie mogę jej się oprzeć.

— To i ja umrę? — zapytał Zdziś, który nie rozumiał dotąd niebezpieczeństwa, w którym się znajdował.

— Pan Bóg łaskaw, obu was ocali — rzekł profesor, mrugając prędko, żeby zebrać napowrót pod powieki łzy napływające mu do oczu.

— I ty się przygotuj — mówił Józio do Zdzisia. — Jeżeli i ty umrzesz, to staniemy obadwaj przed Bogiem, ufni w Jego miłosierdzie. Panie profesorze!

— Co, moje dziecko?

— W książce mamuleczki, w tej grubej, która zwykle leży przy jej łóżku, są modlitwy i rachunek sumienia dla przygotowujących się na śmierć. Niech nam pan te modlitwy przeczyta!

Profesor wyszedł spiesźnie, by ukryć łzy, które tym razem zalały mu twarz. Gdy wreszcie zapanować zdołał nad wzruszeniem, zawołał pokojówkę i kazał jej przynieść grubą książkę do nabożeństwa, leżącą obok łóżka pani Zabrzezkiej.

Tymczasem Zdziś rzekł słabym głosem do Józia:

— Przynajmniej poznamy Nusię, Kazia, Michasia i Julcię. To musiały być bardzo dobre dzieci, kiedy mamuleczka zapomnieć ich nie może... Będzie tam nas razem sześcioro, a tu zostanie tylko troje...

— Zosia mówi, że były bardzo dobre... są pewno u Pana Boga... Trzeba nam bardzo mocno za grzechy żałować i na śmierć się przygotować, jak prawdziwi chrześcijanie, to spotkamy ich w niebie.

Profesor wszedł z grubą książką pani Zabrzezkiej, otworzył ją w miejscu, gdzie były rozmyślenia dla przygotowujących się na śmierć, począł czytać wolno, i tak przejęty uroczystością chwili, jakby sam także był na łożu śmiertelnym.

Gdy skończył, usłyszał za sobą jakiś szelest i ujrzał doktora, który nie chcąc przeszkadzać modlitwie, czekał, aż przerwana zostanie.

— Co to, chłopcy? — rzekł doktor, udając rubaszość — chcecie mi uciekać? Ja wam tu dam tracić odwagę! Ty Zdzisiu, taki waleczny żołnierz! I Józio miał ducha swoich bliźnich podnosić!...

— Niech nas pan nie oszukuje! — rzekł Józio. — Chcieliśmy żyć na świecie uczciwie i pożytecznie, ale kiedy Pan Bóg inaczej rozkazuje... Panie profesorze, mnie dziś w gardle coraz gorzej... niech pan zaraz jedzie po księdza!... Ja chcę umierać odważnie, ale chcę się przygotować...

— Jadę — odparł profesor. — Może pan będzie łaskaw dziś wcześniej chloral podać pani Zabrzezkiej... i może większą dawkę, żeby zasnęła przed przyjazdem księdza. Widok synów dysponowanych...

Nie mógł dokończyć zaczętego zdania. Żal wzbierał w nim już od godziny a teraz wybuchnął niepowstrzymanie. Wybiegł, z za drzwi usłyszano głośnie, przejmujące męskie łkanie.

W Zdzisiu płacz ten obudził nagłą trwogę śmierci.

— Niech pan nas ratuje! — zawołał, patrząc na doktora przerażonym wzrokiem. — Niech nam pan da jakie lekarstwo, żebyśmy żyli!

— A któż to wam mówi, że żyć nie będziecie? Kto wam tu jakieś bajki znosi? Możecie się spowiadać, to dobrze, ale nie twórzcie sobie sami strachów! No, jakże tam dziś z gardłem? Napróżd Zdziś...

Zaczął się badanie chorych chłopców. Doktor dawał pytania felczerowi, badał, przykładając ucho do piersi, liczył puls. Przytem udawał wesołość, dowcipkował, opowiadał nawet dykteryjki, ale koby mu się był przyjrzał bliżej, byłby zobaczył że coraz większa bladeść pokrywała jego twarz, a oczy wyrażały coraz większy smutek.

Skończywszy badanie, skinął na felczera. Wyszli do drugiego pokoju.

— Ach, taki mi żal tych chłopców! — zaczął. — Takie zawsze zdrowe, tegie chłopaki!

— Pan doktor znalazł bardzo źle? — zapytał felczer. — I ja tu nie widzę nic dobrego!

— A to nieszczęście, nieszczęście!
 — Doktor pocierał łysinę i chodził wielkimi krokami po pokoju.
 — Nic nie mam do zalecenia — rzekł wreszcie — bo sam tu na tę noc zostanę.

XXIV.

Zdziś był pod wieczór w tym samym stanie, ale z Józkiem było coraz gorzej. Troska jego największa była myśl o boleści, którą swem odejściem sprawi rodzicom.

— Biedna moja mamuleczka najdroższa, mój tatuśko ukochany! Chciałem, przez całe życie nie sprawić im ani chwili zmartwienia, ani minuty niezadowolenia... Chcia-

— A pan profesor kochany! I jemu też zadamy ciężką boleść. On nas bardzo kocha.

— Ciebie kocha więcej ode mnie, ale to słusznie, bo ty jesteś lepszy.

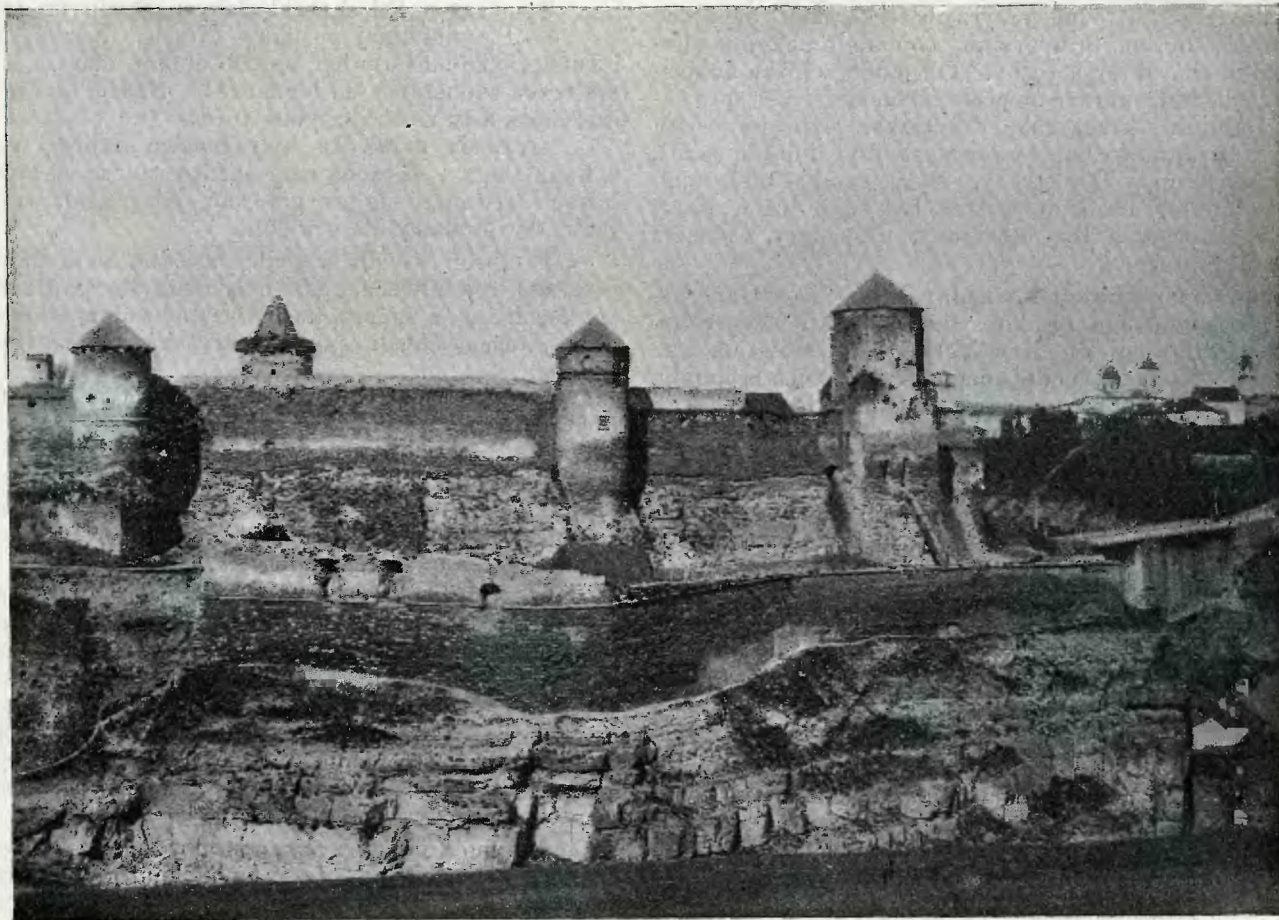
— Nie jestem lepszy, tylko jestem spokojniejszy, mniej żywy od ciebie. Mnie się twój charakter lepiej podoba, niż mój!

Felcer przysunął się w tej chwili do lekarza i szepnął:

— Może już zanieść chloral pani Zabrzęskiej?

— Nie, nie będziemy dziś matki usypiali sztucznie. Niech będzie przy swem dziecku.

W tej chwili dał się słyszeć turkot kół przed domem a w minutę potem, profesor wszedł do pokoju. Już od drzwi usłyszał świszczący oddech Józka. Serce ścisnęło



Widok dawnego zamku w Kamieńcu Podolskim.

Łem im być we wszystkim pomocą, pociechą, chciałem ich otoczyć samą radością i spokojem... a muszę ich tak strasznie zmartwić... taką im sprawić boleść! I nasza anielska Zosia, którą tak kocham! I ja muszę zranić!.. I Alusia, która tak nad wszystkim płacze... dopiero się napłaczę nad nami!... Jeden tylko Jańcio nie zrozumie i łatwo zapomni... i ty Zdzisiu, który idziesz ze mną!.. Dobrze mi iść z tobą razem, ale takbym pragnął, żebyś ty przynajmniej został... żeby o ciebie przynajmniej rodzice nie rozpaczali.

— Wolałbym zostać — odparł Zdziś — i bardzo się boję.. tak się boję!.. gorzej niż wtedy, kiedy trzy cyganki.. Ale tego nie mam prawa ci powiedzieć... dopiero ci powiem w niebie.. Tu mię ciągle język świerzbiał.. zapytam się pana profesora, czy w niebie będę miał prawo ci powiedzieć. Wolałbym zostać, ale czuję, że trzeba będzie pójść.. Pójdę z tobą, Józiu.

mu, się w piersi, blady śmiertelnie zbliżył się do swego ukochanego ucznia.

— Przywiozłem księdza, przyprowadzę go tu zaraz.

— Dzięk Bogu! — jęknął Józio.

— Proszę pana, proszę pana! — rzekł Zdziś, który się wydawał bardziej rozgorączkowany — muszę się zapytać o jedną rzecz...

— Co chcesz, moje dziecko?

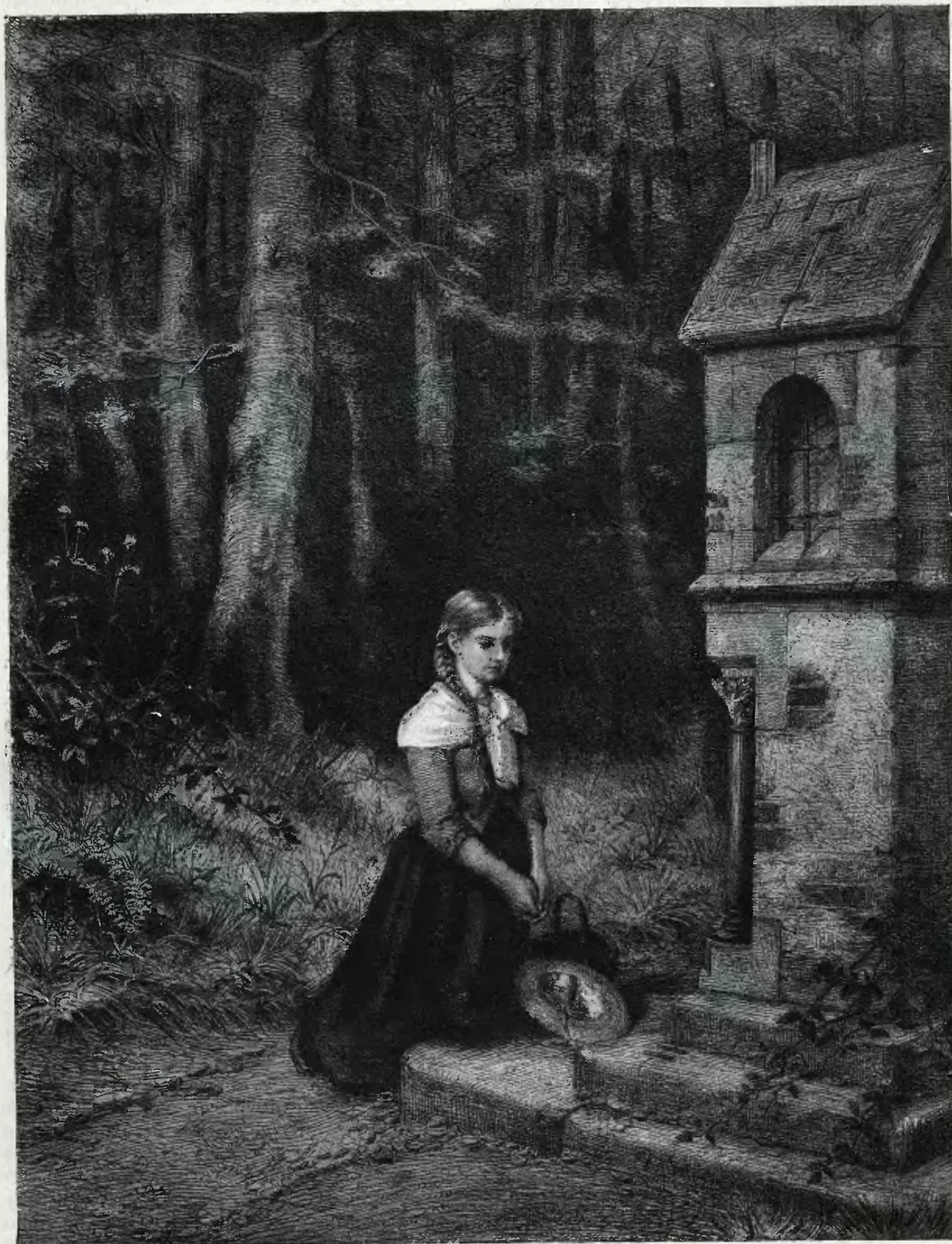
— Może ja nie umrę, ale jeżeli umrę i będę z Józkiem razem, to czy mi pan pozwala, tam w niebie, opowiedzieć mu gdzieś z panem chodzili owej nocy... co to pieniądze Michała...

— Dobrze, dobrze.

— Będę mu mógł opowiedzieć wszystko a wszystko?

— Będziesz mógł mu opowiedzieć wszystko.

Profesor wyszedł a Zdziś jęcząc, mówił się do Józka:



W dzień Matki Boskiej Zielnej.

Na ołtarzyk do kościółka,
Dla Jezusa Matki,
W święto Maryi zżęte kłosy,
Maki i bławatki —

Niosą wszyscy z łąk i pola
I starsi i dziatki...
Niech tam inni Matce Bożej
Dadzą z kłosów wianki,

Niech z pól niosą do kościoła
Wonne macierzanki:
Ja u stóp Jej, z uczuć moich
Uplotę równianki.

K. K.

— Jeżeli umrę, to przynajmniej już raz zobaczę Niusię, Kazia, Michasia i Julcię, i nareszcie ci opowiem wszystko.

Wszedł proboszcz w komży i stule, a postawiwszy Wijatyk na przygotowanym przez profesora ołtarzyku, rzekł poważnie:

— Dzieci, wnieście ducha ku niebu, Pan Bóg wszedł w wasze progi!

Wszyscy obecni opuścili pokój. Został tylko kapłan z dwoma chłopcami. Józio prosił, by mógł być wyspowiadany pierwszy, gdyż się bał, że wkrótce nie będzie mógł mówić. Kapłan usiadł obok niego i pochylił ucho ku jego ustom.

Przez ten czas profesor z doktorem chodzili po przedpokoju, rozmawiając cicho o nieszczęśliwej matce, nad której głową zawieszony był nowy, a tak straszny cios; o oddalonym ojcu, który dążył zapewne co tchu do swej rodziny, o wielkiej podniosłości duchowej Józia, o biednym Zdzisiu, który z jednej strony bał się tak bardzo śmierci, z drugiej znajdował dziecienną pociechę w zaspokojeniu swej chęci odkrycia Józiowi tajemnicy, do której się zobowiązał.

Wśród tej rozmowy przyjaciół rodziny, do przedpokoju, chwiejąc się z osłabienia, wsparta na ramieniu służącej, weszła pani Zabrzaska. Z pokoi zajmowanych przez siebie dążyła do salonu, oddanego chorym chłopcom. Wzrok jej spoczął na doktorze i usta jej otworzyły się do zapytania jakiegoś, którego nie dokończyła, bo łkanie przerwało jej mowę. Postąpiła parę kroków ku drzwiom salonu.

— Niech pani raczy usiąść tu na chwilę — rzekł doktor, stając na jej drodze — zaraz wejdziemy tam wszyscy, lecz w tej chwili proboszcz chciał zostać sam z dziećmi.

— Niema nadziei? — krzyknęła biedna matka i padła na ręce doktora, który zemdloną złożył na sofie, mówiąc do profesora:

— Proszę wody szklankę.

Profesor przyniósł wodę i obaj z doktorem poczęli cucić biedną kobietę. Przerażeni, niespokojni, zajęci ratowaniem nieszczęśliwej, nie usłyszeli, że jakiś powóz zatrzymał się przed gankiem. Wysiadł z niego pan Zabrzaski i wbiegł spiesźnie do przedpokoju.

(d. c. n.)



Z WYCIECZEK WAKACYJNYCH.

Kamieniec.

(Dokończenie).

Prócz tych warowni, okalających miasto, główną obronę stanowił zamek stary, murowany, i nowy ziemny w XVI w. przez Zygmunta III wzniesiony. Wszedłszy na wysoką górę, na której zamek wystawiono, spostrzegamy dużo starych budowli w dobrym stanie utrzymanych z bastkami i bastyonami na wszystkie strony; był to niegdyś szereg fortyfikacji połączonych z miastem Tureckim mostem.

W zamku wskazują wejście do lochów, które według podania stanowiły przejście podziemne do Chocima,

Zatrzymajmy się jeszcze na chwilę przy bastyonie olbrzymim; w grubej zewnętrznej ścianie tkwią wielkie kule kamienne a wewnątrz znajduje się studnia głęboka na 50 sążni, przez Turków zaprowadzana, dotąd dostarczająca dobrej wody. Na froncie tegoż bastyonu napis z r. 1544: *Boże, Tobie Jednemu chwala*. Tuż obok wznosi się smukła wieżyca z dachem wschodnim, wystawiona przez Turków na miejscu dwóch bastyonów, wysadzonych w powietrze przy zdawaniu Kamieńca 1682 r. Dziedziniec starego zamku, do którego się wchodzi przez wysoką sklepioną bramę, otoczony jest murem z ośmioma wieżami jednakowej wysokości, wszystkie o spiczastych dachach i czterech oknach strzelniczych; każda ozdobiona herbami lub insygniami swych fundatorów.

Do piękniejszych zabytków należą także kościoły, a mianowicie katedra, w której warto dłużej się zatrzymać i zapoznać z jej dziejami.

Starożytna świątynia nie zacieśniła budowlami, wznosi się wśród obszernego placu, co niegdyś był cmentarzem kościelnym. Na pierwsze zaraz wejście imponuje wielkością kształtów, grubością murów, podpartych po dawnemu szkarpami i wysokością sklepienia.

Nie od razu jednak stanęła świątynia w tej formie, jaką dziś widzimy, choć główny jej gotycki korpus wznosił biskup Buczacki w XVI w. po dawniejszym drewnianym. Przerabiana była po wielu pożarach.

Pomników nie znajdujemy tu wiele; kilka wmurowanych tablic z nazwiskami fundatorów kościoła zdobią nawę. Na lewo od wielkiego ołtarza znajduje się kaplica Matki Boskiej. Po odsłonięciu wierzchniego obrazu ukazuje się w głębi statua M. Boskiej z Dzieciątkiem Jezus na ręku, która przy odpowiednim oświetleniu przejmujące sprawia wrażenie.

Z innych kościołów warto szczególnie zwiedzić Ormiański, bardzo starożytny, pięknej architektury z wysoką wieżą, jakiej katedra wcale nie posiada, oraz Dominikański z amboną turecką.

Czas opuścić poważne gmachy i stare mury, aby pełną pierśią odetchnąć na wesołych wzgórzach, otaczających miasto; nadto spotykamy tu równinę większą, mocno sfalowany grunt wytwarza miłą rozmaitość. Są tu przestrzenie starannie wysadzone drzewami różnych gatunków, jak dęby, wiąz, jesiony, klony, cisy, topole i brzozy, nie spotykamy tylko drzew iglastych na tym gruncie dla nich nieodpowiednim.

Głównym miejscem spacerowem jest tak zwany bulwar, ciągnący się po lewej stronie rzeki równolegle do miasta.

Spocząwszy na jednej z ławek ustawionej w miejscu odsłoniętem, mamy przed sobą malowniczy obraz całego miasta.

Domy i ogrody obsiadły wszystkie górskie pochyłości, schodząc małymi domkami aż do samej rzeki, co dla naszych oczu przyzwyczajonych do miast na równinach stojących, jest widokiem niezwykłym, mogącym iść w porównanie z Genuą, zstępującą w takiż sposób ku morzu.

Na kilka mil około Kamieńca znajdujemy jeszcze malowniczą okolicę. Najbliższą wycieczką z miasta do lasów górę pokrywających jest wieś Cybulówka; tu spotykamy wyższe jeszcze skały, głębsze parowy, słowem gwałtowniej poszarpaną naturę i bystrzej z gór płynący Smotrycz.

W pięknej okolicy leży wieś Paniowce ze starym, niegdyś obronnym zameczkiem, mającym bardzo ciekawe dzieje. Tak się przedstawia miasto, gdzie teraz bawie kochany Stasiu. Mam nadzieję, że cię opis ten nie znudził.

J. B.

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).



podał od sosny własny jej ojciec targał więzy, ale osłabiony tracił powoli przytomność. Widok ojca skrepowanego, wrócił Suyi siły. Zeskoczyła z drzewa, przybiegła doń, klękała przy nim, obejmowała rękami szyję, całowała blade i skostniałe czoło. Chciała rozwiązać rzemienie krępujące starca, lecz daremnie krwawiła palce o sprzączki uzdżenicy. Więzy były mocne, a ona bezsilna.

— Ojczy, ach ojczy! — szlochała tuląc głowę do twarzy wodza. Tak zastał ją Stefan, podziwiała go, kiedy zabijał jararakę, ale teraz spojrziała mu w oczy z nienawiścią, skoczyła jak mała panterka i ugryzła go w rękę.

Biedny, bezbronny kociak, którego ludzie nautczyli złości!

Stefan nie miał nienawistnych zamiarów względem wodza Indyan, chciał tylko przeprowadzić go do baraku.

— Dlaczego kaszasz mnie mała? — zawołał wyrrywając rękę i patrząc z wyrzutem na Suyę.

Siedziała nasrożona jak młoda papużka, która broni gniazda. Byłby pragnął mówić do niej, zapewnić, że nie uczyni im nic złego. Czuł owszem współczucie dla ranego, musiał Jasiek flecista zamachnąć się dobrze na Bugra, bo głęboko przeorał mu ramię. Stefan podał własną chustkę i zatamował gwałtowność krwotoku. Próbował potem wytłumaczyć więźniowi, że chce go zaprowadzić do baraku, ale Sęp, nie zwracał uwagi na czynione przedstawienia.

Patrzył w stronę lasu, dając poznać, że tam tylko iść pragnie.

Patrzyła i Suyu swemi do sarny podobnemi oczami na Stefana, błagając go wzrokiem o wolność dla ojca. Byłby uległ może niemej prośbie Bugrów, ale od strony strumienia rozległo się wycie Indyan, którzy na łodziach przypłynęli pod osadę. Trzeba więc było uciec się z nowym nieprzyjacielem, tem niebezpieczniejszym, że napadał na znużonych walką kolonistów.

— Do mnie Jasiek! — krzyknął Stefan. Jasiek pierwszy spostrzegł Bugrów. Za Jaśkiem biegło w stronę wody kilkunastu tegich chłopów.

Walka zaważyła na nowo, widać było jednak, że odważny Manao, bo on to prowadził Indyan, zwątpił o powodzeniu wyprawy, gdyż w pierwszym zaraz natarciu stracił trzech wojowników.

Manao zeszedł się z Sępem u jaszczurczego brodu i jako doświadczony żeglarz miał od strony rzeki dać pomoc wodzowi. Ale wioślarze musieli walczyć z wezbraną falą. Przybyli na plac boju wtedy dopiero, kiedy wódz leżał już skrepowany i ranny, trup Waiki krwawił piasek, a z lasu dochodził ponury odzew sowy. To pobici Bugrowie zwoływali się do wspólnej ucieczki.

Oddział odważnego Manai sypnął strzałami w nadbiegających kolonistów, ale nie wstrzymał ich ataku i poniósłszy znaczne straty, uciekł na łodzi.

Słońce doszło już końca swej drogi, kiedy Stefan zdołał nareszcie odetchnąć po trudach dnia. Kolonia smutny przedstawiała widok, kilkogodzinna walka zniszczyła nie tylko cały plon pracy osadników, ale wniosła żałobę do serc osieroconych rodzin. Przy trupie Tomaszaowej zawodziły córki, a nie tę jedną śmierć opłakiwali koloniści. Poległ Wojtek Rataj, dwie kobiety ranione zatrutymi strzałami leżały w gorączce i Stefan wątpił o ich ocaleniu.

— Co będzie dalej? — mówił patrząc na zniszczone zasiewy. Łodygi kukurydzy, które wczoraj świeciły w słoń-

cu złotemi kolbami nasienia, leżały strątowane na ziemi, a z mandiokowego pola nie zostało i śladu, wydeptali je Bugrowie. Nie zdołali tylko spalić baraków, chociaż rzucali na dach budynku strzały z przywiązaniem do nich płonących traw. Z wielkim trudem udało się kolonistom ugasić ogień a i teraz jeszcze dwóch parobków strzeżło pożaru.

— Nawet umarłym zazdroszczą spokoju — mówił z ponurą skargą Tomasz. Nie chciał dać ciała żony na pastwę płomieni.

— Skąd wziąć poświęconej ziemi dla matusi — szlochały osierocone córki.

Stefan uciekł z baraków; narzekanie sierot rozdzierało mu serce. Wolał już patrzeć na zdeptane mandiokowe pole.

— I co będzie dalej — myślał. Co należy czynić, jaką dać radę biedzie. Odpędzono dziś Bugrów, ale któż zaręczy, czy nie powrócą oni jutro. I będą w swoim prawie, bo to ich ziemia.

— Wolność jest najdroższym skarbem Burunga — mówił Gerald i Stefan mógł się teraz przekonać, że mówił prawdę. Kazał przenieść Sępa do spalonej kuźni, żeby mieć więźnia na oku, ale dbały o jego potrzeby, zaniósł jeńcowi kawał solonego mięsa. Ranny nie dotknął jedzenia, nie dotknęła go i Suyu. Oboje patrzyli w stronę lasu wskazując ruchami, że jednej tylko żądają łaski, wypuszczenia z pęt. Nie dźwigała ich Indyanka, Sępowi skrepowano jednak nogi, tak znakomity zakładnik mógł stanowić dla kolonii obronę od nowego napadu.

— Co będzie, jeśli Sęp umrze w pętach — myślał Stefan. Słyszał od O'Cleara, że Burung zgładza się dobro wolnie byle uniknąć niewoli, przerażała go ta świadomość. Nie mógł przecież zmusić Indyan do przyjmowania pokarmu a doznawał niezmiernie przykrego uczucia na myśl, że dwie istoty ludzkie cierpią mękę głodu.

Tak przyszła noc. Księżyc wypłynął nad lasem. Burungowie czczą księżyc i widzą w nim źródło wszechstworzenia. Srebrny promień światła dodał otuchy dziewczęciu.

— Suyo! — szepnęła więzień.

Przypadła do ojca — pierwszy to raz odezwał się do niej dawny tklwym głosem.

— Suyo — mówił jeniec — Wielki duch przebaczył mi kłamstwo. Jad naszych strzał truże. Widziałem pianę na pyskach psów. Ja sam wypuściłem pocisk, który je zabił. Nie jestem przeklęty, pomszczę Burungów, zgładzę białe twarze. Zdejm pęta z moich nóg i uciekajmy.

Jakże pragnęła to uczynić! Nie są przeklęci, wszystko więc jeszcze będzie dobrze, wróci z ojcem do szalasu i stanie się na zawsze mu posłuszną. Wie teraz, że niewdzięcznymi są ludzie, których bronić chciała. Spróbowała rozwiązać sznury, ale węzły były mocno zaciśnięte. Przytuliła twarz do nóg Sępa. Jak wiewiórka gryzie twarde orzech, tak ona zębami gryzła powrozy krępujące ojca.

— Dobrze, dobrze, — szeptał wódz. Czuł, że więzy ustępują pod zębami małej.

Straż złudzona pozornym spokojem więźniów odeszła na chwilę. Chwila bywa długa, kiedy wspólny smutek uspasabia do zwierzeń i lamentów.

— Dobrze tak, dobrze — powtarzał Sęp próbując wstać z maty, na której leżał. Sznury pękły, zerwał się z ziemi, chwycił córkę za rękę i pobiegli oboje w stronę puszczy; każde poruszenie zdawało ból od rany.

— Do lasu! do lasu! — szeptał przyciszonym głosem Sęp. Oparł się na Suyi, odetchnął i biegł znów. Spostrzegł jednak prędko, że nie zdoła ująć pogoni.

— Manao przypłynął na łodziach... widziałem, jak padali jego żołnierze od urzeń białych twarzy... może została łódź po zabitych Burungach, rzeka blisko... ucieknijmy łodzią..

Był osłabiony wpływem krwi, bólem i głodem, Suyu miała jednak nadzieję, że doprowadzi ojca do rzeki, kiedy nagle wódz zesłabł i upadł. Nie mógł wstrzymać skargi, bo upadając uderzył zranionem ramieniem o kamień. Jęł

odbił się echem w nocnej ciszy, usłyszał go Stefan, który właśnie wyszedł z baraku.

— Uciekają — zawołał i pobiegł w kierunku strumienia.

— Nie umrą przynajmniej z głodu pod moimi oczami — myślał. Chciał już zawrócić ku domowi, ale zdjęła go chęć przekonania się, czy Indyanka potrafiła uprowadzić jeńca. Uciekający doszli tymczasem do zarośli obrastających rzekę. Dwie łodzie małe i lekkie, bo z kory drzewa zrobione, kołysały się na fali. Nie było tylko wiosła, ale Burungowi zastępuje je kij lub gałąź, a te łatwo znaleźć w lesie.

Suya wprowadziła rannego do łodzi, zrobiła to ostrożnie i mimo pośpiechu nie zapomniała ułożyć skałeczonego ramienia na garści traw, które zerwała w zaroślach. Patrzyła przytem z niepokojem w pobladłe lice ojca, znużony ucieczką więcej był do umarłego niż do żywego człowieka podobny.

Jakże chętnie Stefan pokrzepiłby wodza dobrym koniakiem, miał przy sobie flaszkę, gdyż właśnie wracał od rannych, ale bał się przerazić zbiegów. Patrzył z współczuciem na Indyankę, dziewczęta w jej wieku są u nas bezradnymi pieszczoszami, a ona śmiało chwyciła kij i odwiązała łódź.

— Biedactwo — pomyślał Stefan.

Słusznie żałowała wiosłarki. Siły jej nie sprostały zamiarowi, woda płynęła bystro, przytem rzeka wila się w nieskończonych zakrętach.

Suya odepchnęła łódź od brzegu i zapatrzona w twarz ojca wiosłowała z początku dość pewno. Widocznym było jednak, że nie podoła zadaniu. Prąd niósł czółno coraz prędzej, coraz dowolniej, podrzucając nim mimo wysień sterniczki. Stała na skraju łodzi, Stefan widział, że ocierała pot z czoła i dyszała jak zmęczony ptak. Zdjął go żal nad nią. Biegł brzegiem strumienia, zapominając o niebezpieczeństwie, jakie groziło mu od ukrytych w krzakach Burungów. Stary wódz liczył na obecność Indyan w pobliżu swego więzienia, przyłożył zdrową rękę do drewnianego krążka przetykającego wargę i gwizdnął, naśladując świst węża. Wzywał pomocy. Ale żaden głos nie odpowiedział Sępowi, a tymczasem Sua przestawała już kierować łodzią.

Fala porwała czółenko i pędziła je na otchłanne zawroty, statek mknął po szumiącej toni. Zdyszana żeglarzka opuściła kij, który służył jej za wiosło, była bezradną w obec przemożnych sił natury.

Stefan czuł zawrót głowy, bo spostrzegł, że łódź pędzi wprost na głazy zawałające koryto rzeki. Tylko silna i wprawna ręka mogła przeprowadzić czółno przez niebezpieczny wodospad. Wyskoczył z krzaków, żeby dać pomoc uciekającym, ale nie rozumiano jego dobrych chęci. Z ust wodza, zarówno jak z ust dziewczęcia, wybiegł ten sam okrzyk zgrozy.

— Odkryto ich ucieczkę, goniono! i zamiast ratować się wysiadając na brzeg, pchnęli wspólnymi siłami czółno w sam środek wiru.

A rzeka skakała po skałach jak tanecznicą w białe strzępy piany otulona. Podrzucała łódkę z bezmyślnem okrucieństwem i pchała okruh, kryjący w sobie dwa istnienia, w rozwarcie przez wodospad nurty.

Stefan zasłonił ręką oczy. Brakło mu odwagi na podziwianie zuchwalstwa Indyanki. Sua nie zachwiała się w łodzi, szła w głąb wód wyprostowana i spokojna, jak przystało umierać córce Ponurego Sępa, wielkiego wodza Burungów, którzy giną, ale się nie poddają.

Wywrócone czółno skakało po fali. Indyanin padł jak kłoda na dno rzeki, ale młoda dziewczyna z oczami sarny, żałowała życia. Próbowała się ocalić, może przeraziło ją chłodne dotknięcie wody. Rzekę porastały w tym miejscu wielkie liście rośliny wodnej, zwanej Wiktorya Regia. Kwiat jej dochodzi niekiedy trzech stóp obwodu, a jest bardzo pospolitym w Brazylii. Sua chwyciła się za jeden z nich i ciemna twarzyczka dziewczęcia spoczęła na kielichu królowej wód. Biała róża przytuliła czerwonoskórą różyczkę, trwało to jedno mgnienie oka. Stefan widział, jak ugiał się kwiat, kwiat dobrze mu znany, bo zrywał podobne, tylko bezporównania mniejsze, na wągrowieckim jeziorze. Pochyliła się Wiktorya Regia pod ciężarem Indyanki i zniknęła w spienionych nurtach rzeki.

Ale kwiat wypłynął wkrótce na powierzchnię fal, a Sua poszła z ojcem w krainy Wielkiego Ducha.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Od Jedynaczki dla Jaskółki,

Za twą pamięć, Jaskółko, szczerze Ci dziękuję,
A choć do twej zachęty zdolną się nie czuję,
Jednakże się zdobywam na zagadkę małą,
Z troską, by ci ją tylko zgadywać się chciało.

Znajdziesz mnie w lipcu i na pierwszym planie,
Ma też mnie dziecko, gdy lalkę dostanie;
Jestem też w ulach, kwiaty mnie nie znają,
W polu też jestem i tam gdzie kąkole,
Niema mnie chatka, chociaż jestem w siole,
I las beze mnie nie istniałby wcale,
Więc żem konieczna, wszyscy to pojmiecie.
Lato beze mnie niema też początku,
Jednak się w żadnym nie mieszczę zakątku.
W kolorach zawsze, w brylantach mnie macie
I w książce także, gdy ją otworzycie.
W lutni ja jestem, w gęśli, lecz w gitarze
Już się obecność moja nie okaże.
A teraz racz zgadywać, bardzo o to proszę
Pamiętna, że u ciebie kreseczkę ja noszę.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go.

Szarady: An — gli — cy.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Strumyk, wiersz przez Maryę S. — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Z wycieczek wakacyjnych (z ryc.) — W dzień Matki Boskiej Zielnej, wierszyk przez K. K. (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Dodatek: Bocian i lis (bajka) (ryc.) — Wełniana sukienka przez B. B. (z ryc.) — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Nr. 34. Rok — XXIII.

Dnia 10 (23) Sierpnia 1902 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Nieprzyjaciół się zbliża!

Pogadanki z dziedziny chemii.

IX. Jakie pierwiastki chemiczne mają największą skłonność do siebie.

Przypatrując się bacznie powyższemu szeregowi, dostrzegamy, że stojące w nim obok siebie pierwiastki są podobne; najmniej podobnymi zaś są te, które zajmują początek i koniec.

Przedzielimy ten łańcuch na dwie części w miejscu, gdzie stoi wodór, to wtedy jedna połowa będzie zawierała metale, druga zaś pierwiastki najmniej podobne do metalu, jak np. tlen, chlor, siarka, fosfor.

Ponieważ jednak właśnie pierwiastki z jednej połowy najchętniej i najłatwiej tworzą związki z pierwiastkami drugiej połowy, przeto odrazu rzuca się nam w oczy, że w chemii to, co do siebie nie podobne, przyciąga się wzajemnie, a co podobne zachowuje się obojętnie.

Najsilniejsze powinowactwo chemiczne zachodzi pomiędzy tlenem i potasem, chociaż te dwa pierwiastki nie mają do siebie najmniejszego podobieństwa. Tlen jest rodzajem powietrza, t. j. gazem, czysty zaś potas srebrzystym metalem. I właśnie dlatego, że owe pierwiastki są do siebie tak mało podobne, łączą się ze sobą z taką chciwością, że dość jest pozostawić na powietrzu przez krótki czas kawałek potasu, ażeby ten połączył się z tlenem na bardzo trwałą związek, nazwany potasem gryzącym. Cynk nie przypomina w niczem tlenu, a jednak na powietrzu, które zawiera ten gaz pokrywa się szybko warstewką tlenku cynku; siarka zaś i węgiel łączą się z tlenem nie inaczej, jak za ogrzaniem. Już z tego można wyprowadzić wniosek, że w dziedzinie zjawisk chemicznych czynną jest siła, udzielająca największej skłonności wzajemnej ciałom najmniej do siebie podobnym. I rzeczywiście wniosek taki jest całkiem słuszny, jak tego dowodzą liczne doświadczenia; w chemii ustaliło się prawidło, że najchętniej łączą się pomiędzy sobą substancje o naturze przeciwnej, to znaczy o własnościach różnych.

Zjawisko to, na zasadzie którego największe przyciąganie istnieje pomiędzy najmniej podobnymi do siebie substancjami, jest rzeczywiście uderzającym.

Podobnie jak biegun północny jednego magnesu przyciąga biegun południowy drugiego magnesu, a więc poszukuje magnetyzmu odmiennego, tak samo w chemii jedna substancja przyciąga drugą, jak najmniej do siebie podobną, nie okazując skłonności do łączenia się z podobną do siebie. Tak samo elektryczność dodatnia przyciąga elektryczność ujemną.

Już to prowadzi na domysł, że jedna i ta sama przyczyna działa we wszystkich powyższych siłach przyrody. Zdaje się, że wszędzie, gdzie występuje jakaś siła w przyrodzie, tam natychmiast zjawia się inna siła przeciwdziałająca, i że obie odgrywają jednakowo ważną rolę w zjawisku. W ciałach stałych atomy przyciągają się, ale skoro je za bardzo zbliżymy przez ciśnienie, natychmiast zaczyna na nie działać siła odpychająca, która zniwala je wrócić na dawne miejsce. W olbrzymich przestrzeniach wszechświata ciała niebieskie mają ruch, który je pędzi w nieskończoność.

ne odległości i który przeciwdziała skutkom siły przyciągającej t. j. siły ciężenia, usiłującej zgromadzić wszystkie ciała niebieskie w jeden punkt. I właśnie te dwie siły, dające odmienne skutki, współdziałając w pewien sposób, wywołują ruch obrotowy ciał niebieskich w przestworzu.

Czyż więc te wszystkie siły, objawiające się w tak różnorodny sposób, nie są czasem dowodami istnienia jednej ogólnej siły przyrody, rządzącej światem materyalnym?

Wł. U.

Tyho de Brahe.

(Tyge Brahe).

W roku 1560 pewnego razu na ulicach duńskie-
go miasta Knudsborpu był niezwykły ruch. Ludzie wybiegali z domów, gromadzili się na ulicach i placach, na wszystkich niemal tar-
rach widniało przerażenie: niektóre zaś tylko wyrażały cie-
kawość i oczekiwanie. W istocie nastąpić miało za chwilę nadzwyczajne zjawisko, które w jednych, mniej oświeco-
nych, budziło zabobonny strach, w innych zaś, a takich by-
ło w owych czasach bardzo niewiele, wywołało tylko żywe
zaciekawienie i chęć zbadania jego przyczyn. Tem zjawi-
skiem oczekiwanem było zaćmienie słońca. Miało ono już
wkrótce nastąpić, a zwierzęta wszystkie poczęły się niepo-
koić gwałtownie, jak gdyby w przeczuciu czegoś okropne-
go. Psy biegały, stuliwszy ogony, jaskółki jak przed burzą
frunęły tu i owdzie niespokojnie, lub też spadały szybkim
ruchem nad samą ziemię, inne ptactwo umilkło przerażone.

Te oznaki niepokoju u zwierząt nie miało się przyczyni-
li do zwiększenia trwogi wśród tłumu; niektórzy nawet
szeptali, że to zapewne koniec świata się zbliża, kiedy na-
wet bezrozumne stworzenia strach taki okazują.

Z pomiędzy przerażonego tłumu wyróżniał się czter-
nastoletni chłopak, który najmniejszego strachu nie zdra-
dzał, natomiast przyłożywszy do oczu kawałek zakopconego
szkła, aby łatwiej znieść oślepiające promienie słone-
czne, z wielką uwagą obserwował zjawisko, które właściwie
tylko co się rozpoczęło. Dopiero sam brzeżek słońca zo-
stał zaćmiony, potem cień zaczął się posuwać coraz dalej,
aż wreszcie zakrył większą część słońca, tak że wyglądało
ono teraz jak księżyc na nowiu. Ciemno się zrobiło nagle
i zerwał się gwałtowny wicher, psy w całym mieście zaczę-
ły wyć przeraźliwie, bydło bojaźliwie ryczało, a ludzie
w wielkiej trwodze padali na kolana i wznosili ręce do nie-
ba, na którym ukazały się gwiazdy, jak w nocy. Chłopiec
tylko, nie zważając na te oznaki przerażenia, dalej obserwo-
wał zjawisko z zimną krwią zadziwiającą w jego wieku.

Zaćmienie słońca się skończyło; tłumy rozeszły się
do domu, gwarząc po drodze, ale już uspokojone, ponieważ
się przekonali, że zjawisko nie przyniosło żadnych złych na-
stępstw. Jeden tylko młody chłopak pozostał jeszcze na
placu, a na twarzy jego znać było jakąś myśl głęboką. Wre-
szcie i on skierował się w boczną ulicę i znalazł się nieba-
wem przed dużym, murowanym domem, który należał do je-
go rodziców. Wszedł do obszernej komnaty, gdzie się
znajdowała cała rodzina, składająca się z ojca, matki,
dwóch sióstr i wuja. Wszyscy siedzieli przy stole, na któ-
ry tylko co podano obiad.

— Gdzieś był, Tyge? Pewno na placu razem z ty-
mi próżniakami, co poszli gapić się na zaćmienie? — zapytał
ojciec, patrząc na syna, który stanął w drzwiach, trzyma-
jąc jeszcze w ręku kawałek szkła zakopconego.

— Wyrzućcie to szkło! zawołała matka, patrz, po-
smoliłeś sobie ręce, jeszcze obrus powalasz. To rzekłszy

chciała mu odebrać z rąk szkło, lecz Tyge usunął je mówiąc błagalnie:

— O, mam, nie zabieraj mi tego szkła, ledwie się wystarałem o nie!

Trzeba bowiem wiedzieć, że w owych czasach nie było tak łatwo o szkło, jak dzisiaj; było ono rzeczą bardzo cenną i rzadką.

— Cóż z nim chcesz czynić? spytał wuj z uśmiechem.

— Przyda mi się do różnych obserwacji na niebie, odrzekł chłopiec z powagą.

— Czyś ty chłopcze zwaryował — zawołał ojciec rozniewany. — Czego tam będziesz szukał na niebie? No czego, powiedź!

— Ojcie drogi, ja dziś postanowiłem sobie, że zostanę astronomem i będę badał drogi gwiazd — rzekł chłopiec ze stanowczością w głosie.

— A ja ci powiadam, że jeżeli na rok przyszedł nie pójdziesz na studia prawne i nie zostaniesz porządnym prawnikiem, tak, jak to już oddawna zostało postanowione w rodzinie, to ja cię wydziedziczę, jak Bóg na niebie.

Tyge spuścił głowę w milczeniu, ale na twarzy jego widać było wolę nieugiętą. Ulegając życzeniu rodziny, wstąpił niebawem rzeczywiście na wydział prawny, ale niedługo tam przebywał; zamiłowanie do astronomii nieprzezwyciężyło go ku sobie. Zamiast studiom prawniczym, oddawał się studiom i wyrachowaniom matematycznym, i wkrótce zaprzestał zupełnie uczęszczać na wykłady prawa, lecz z zapalem oddał się ulubionej nauce. Widząc to, ojciec odmówił mu wszelkich zasiłków i tylko matka pocichu wręczała mu skromną kwotę, przeznaczoną na jego utrzymanie, którą on jednak w większej części obracał na zakupienie potrzebnych materiałów do sporządzenia narzędzi astronomicznych. Sam nawet wynalazł narzędzie, zwane sekstantem, i z czasem zreformował zupełnie sztukę obserwacyjną. Niebawem jednak doznał prześladowań od własnych ziomków, którzy w obserwacjach jego astronomicznych widzieli coś karygodnego, jakieś czarodziejskie sztuki; rozżalony tem Tyge Brahe wyjechał zagranicę, do Bazylei, tam poznał go i ocenił książę heski, Wilhelm, który postanowił pogodzić go z własną ojczyzną. W tym celu czynił starania u króla duńskiego, Fryderyka II, który na jego prośby podarował Brahemu wyspę Hween, gdzie ten założył obserwatorium astronomiczne i nazwał je Uranienborgiem. Z całej rodziny jeden tylko wuj, Sten Bille, sprzyjał zawsze jego pracy i nawet pomagał mu niejednokrotnie. Ale po śmierci króla Fryderyka wstąpił na tron Chrystyan IV, na którego wpływ mieli nieprzyjaciele Brahego; rozpoczęły się więc znów prześladowania, niebawem astronom musiał opuścić wyspę Hween i zbudowane tam obserwatorium, zmuszony był znów wędrować w cudze kraje. Przyjął go bardzo gościnnie światły cesarz austriacki, Rudolf II i zaprosił na stałe do Pragi. Tu Tyge oddał się swym pracom astronomicznym; układał przytem katalogi gwiazd, i odkrył wprawdzie jeszcze nową gwiazdę w konstelacji Kassiopei; obserwacje jego tem są godniejsze uwagi, że wówczas nieznano jeszcze lunety. Tutaj także zaprzyjaźnił się z młodzieńcem, który miał później zajaśnieć wielką sławą i zaćmić nawet swego mistrza: był to przyszedł sławny astronom, Kepler. Mówią, że nawet Tyge Brahe (którego z łacińska zwano Tycho de Brahe) tak zgorzkniał w skutek prześladowań, jakich doznał od własnych ziomków, że stał się zazdrosnym o zasługi Kopernika i nie chciał ich uznać. To by nam tłumaczyło dziwny fakt, że zrazu uwierzył w system Kopernika i wykładał nawet według niego, później zaś go odrzucił, i począł głosić, że ziemia znajduje się w samym środku naszego systemu planetarnego, a słońce wraz ze wszystkimi planetami krąży dookoła niej.

Jednakże twierdzenie to z drugiej strony zdaje się nieprawdopodobnem, gdyż pomimo, że Brahe odrzucił system Kopernika, wszakże pozostały po nim dwa piękne

wiersze na cześć polskiego astronoma. Z jednego z nich przytaczamy wyjątek.

„Takiego męża ziemia przez wiekowe chwile

Wydać nie w sile,

Niebo go urodziło uczyć ród człowieczy

Niebieskich rzeczy...

On zachwiał całe niebo prawami wiecznemi

Słońce kazał zatrzymać i kazał biedz ziemi,

Księżycowi wskazał, gdzie mu być potrzeba,

Przekształcił oblicze nieba”

Tyge Brahe napisał ten wiersz w jednej chwili, przejęty myślą o wielkości Kopernika. Po przeczytaniu tego utworu trudno go posądzić o niską zazdrość.

Brahe umarł w r. 1601, w zeszłym więc roku w Pradze Czeskiej obchodzoną była trzechsetletnia rocznica jego zgonu.

M. E.



Sofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)



Alusia! — krzyknął pełen niepokoju.

— Alusia zdrowa — odparł doktor — ale... ale...

— Co to jest? Co się stało? Moja żona...

— Zemdlą przed chwilą. Cucimy ją...

— Ale dla czego? Czy chora?

— Chora... Zdziś... Józio...

— Zdziś i Józio chorzy?

— Tak... to jest...

— Nie żyją?

— Żyją jeszcze...

— Ale są tak źle? Było konsylium? Sprowadziliście doktorów?

— Tak jest.

— Maniu! — zawołał pan Zabrzski, rzucając się na kolana obok zemdlonej żony — Maniu!

Pani Zabrzka otworzyła powoli powieki, jakby się ze snu budziła, lub jak gdyby jej duch z jakichś oddalonych krain powracał. Spojrzała na męża nie poznając go i dopiero po chwili zarzuciła mu ramiona na szyję, wołając:

— Wacław!

Otworzyły się drzwi od salonu. Stojący w nich kapłan mówił wzruszonym głosem:

— Pomódlmy się razem, a potem chorzy przyjmą Przenajświętszy Sakrament.

Obecni weszli do salonu, a wkrótce za nimi wsunęli się po jednemu ci ze służących, którzy pragnęli się pomodlić wspólnie z rodziną Zabrzskich. Wszedł więc Michał, Antoni, Wojciech i inni. Klękali przy drzwiach, czekając na wielki akt podania chorem Przenajświętszego Sakramentu. Tymczasem pan Zabrzski zbliżył się do łóżka Zdzisia, który głosem rozdierającym, pełnym wewnętrznej trwogi i bólu, zawołał:

— Tatuńciu! Niech nas tatuńcio ratuje!

Pan Zabrzski jęknął, jak gdyby go przygniotło brzemie nad jego siły, a Józio swym niewyraźnym głosem ozwał się z wymówką:

— Zdzisiu, ty zadajesz ból tatuńciowi!

Nie rozumiał biedny Józio, że niemniejszą boleść zadawał ojcu on sam swym widokiem i dźwiękiem głosu,

w którym nie można było wcale odnaleźć dawnego, miłego, słodkiego głosu Józia.

W tej chwili przyszedł na biedaka taki straszny atak duszności, iż obecni myśleli, że to koniec.

Ale razem z tym atakiem, który dreszczem przebiegł wszystkich obecnych, z ust Józia buchnęła ciecz z krwią pomieszana, a utrudniony oddech stał się łatwiejszy.

— Wrzód pękł! — krzyknął doktor z radością najwyższą.

Pan Zabrzęski, który nie mógł płakać, gdy cierpiał, teraz przy nagłym błysku niespodziewanej nadziei, ryknął głośnym łkaniem.

— Wrzód, to był wrzód! — powtarzał doktor. — Chwała Bogu, myliłem się! Brałem to za dyfterytyczne błony, zalegające krtań, a to był wrzód! Zaraz zrobimy płókanie.



Tycho de Brahe.

— Będzie żył? — zapytał profesor, który w łkaniu wtórował panu Zabrzęskiemu.

— Nie wiem... ale w każdym razie minęła obawa natchmiastowego końca. Kto wie? Pan Bóg czyni cuda!

XXV.

Z powodu wrzodu Józio nie przyjął dnia tego prze-najświętszego Sakramentu. Kapłan podał go tylko Zdzi-siowi, który będąc świadkiem rezygnacji Józia i pani Za-brzęskiej, uczuł i w sobie mężstwo i chrześcijańskie podda-nie się woli Bożej. Pomyślał o męczennikach, którzy szli na śmierć dobrowolną i tą myślą ukrzepił i podniósł w so-bie ducha. Zwyciężył samego siebie.

Józio usnął. Już od tak dawna oka nie zmrużył i na-męczył się tak strasznie ostatnimi chwilami dojrzewania wrzodu, że teraz spał bardzo twardo. Rodzice, doktor, profesor, nie opuszczali chłopców, felczer chrapał w przy-ległym pokoju, Zdzisł uspokoił się znacznie, ale nie spał. Była noc i cisza w koło.

— Tatuńciu! — szepnął Zdzisł.

— A co, dziecko moje?

— Wie tatuńcio, ja się strasznie bałem. Teraz prze-stałem się bać i lżej mi jest. Jabyłem chciał tatuńcia trzy-mać za rękę.

— Dobrze, moje kochanie, będziemy się trzymali sil-nie za ręce, to nam obu będzie różniej.

— A Józio?

— Józio śpi.

— Ale jeszcze nie umarł?

— Nie, Józio żyje.

— Dobrze, że na mnie poczekał.

Zdziś rękę ojca silnie przycisnął do piersi, które pa-rzyły jakby ogniem. Serce kołatało mu w piersi pręd-ko i mocno. Dopiero pod ranek gorączka spadła nieco i twarz Zdzisia zbladła.

Józio budził się chwilami, otwierał oczy, spoglądał na matkę i zasypiał na nowo. Uśmiechnął się do matki. Czuł się lepiej ale nie śmiał tego powiedzieć matce, by jej nie dać fałszywej nadziei.

— Chciałbym... chciałbym... — ozwał się cicho, zmę-czonym głosem — mam coś do powiedzenia panu profe-sorowi.

— Co chcesz ode mnie, Józiu? Jestem tutaj.

Józio objął pana Chlewiatkę za szyję i cichutko do ucha mu szepnął:

— Zdaje mi się, że mi trochę lepiej i... i jeść mi się chce.

Trudno sobie wyobrazić radość profesora. Pobiegł do szafarki, przyniósł świeżo przegotowane mleko i wszyscy obecni patrzyli ze łzami radości na pijącego je Józia. Do-ktor powiedział:

— Można by jajko na miękko.

— Jajko? Sosinieckiego niema... kucharka je z pe-wnością ugotuje na twardo... chyba ja sama pójdę... — mó-wiła pani Zabrzęska.

— Pani zmęczona i bezsilna — odparł profesor — zresztą niech pani zostanie przy Józiu. Ja ugotuję jajko.

I pocziwy pan Chlewiatko, po raz pierwszy w życiu, wzięwszy książkę kucharską w jedną rękę a w drugą zega-rek, ugotował tak znakomicie jajko na miękko, że można je było wystawić jako wzór nie mający sobie równego.

Stan Józia polepszał się ciągle. Chłopiec odzyskaw-szy sen i apetyt, począł dzielnie walczyć z pozostałymi jeszcze resztkami choroby. Młodość stanęła po jego stro-nie i walczyła z nim razem. Codzień stawiał duży krok ku zupełnemu wyzdrowieniu. Ze Zdzisem nie szło tak łatwo. Długie tygodnie doktor łamał sokie głowy nad środkami, które jeszcze zastosować by można, a nie śmiał rodzicom powiedzieć wyrazu, który już czasem sam sobie szeptał z dreszczem trwogi i nadziei zarazem: „uratowany.”

Ale już Zdziś sam miał nadzieję i uparcie powtarzał, że byłby umarł ze strachu, gdyby nie przykład mężstwa Józia. Teraz nie bał się nic, był gotów na wszystko. Bogu oddawał siebie i swoje losy.

Wreszcie i u niego nastąpił stanowczy zwrot ku lepszemu. W całej rodzinie panowała cicha radość i ogro-mna wdzięczność dla Boga. Panna Four, Zosia i Jańcio wrócili z Wólki Suchowskiej, gdy się państwo Zabrzęscy dowiedzieli, że Jańcio przebył tam szkarlatynę. W Sucho-wie ukazały się znowu na stole ozdobne i wykwintne dania Sosinieckiego i cały tryb domowy wracał powoli do dawne-go porządku. Tylko chłopcom doktor uczyć się jeszcze nie pozwalał, więc tłumaczenie Odysei ogromne czyniło postę-py, a pan Chlewiatko był bardziej roztargniony niż kiedy-kolwiek. Wreszcie zabrano do nauki Józia, młodszego i mniej zdolnego, a Zdziś trudniej przychodzący do zdro-wia, wygrzewał się jeszcze na słońcu i próżnował zapamię-tale. Obiecywał jednak, że jak tylko siły zupełnie mu po-wrócą, to się będzie uczył bez pamięci.

Szczęśliwa teraz rodzina otrzymała od Stwórcy jedno jeszcze szczęście wielkie i niespodziane, jedno jeszcze uzdrowienie cudowne. Pani Zabrzęska w swej wdzięczno-



Król Edward VII-my, w stroju koronacyjnym (str. 272).

ści dla Boga za ocalenie dzieci, znalazła nową siłę do życia. Przestała lękać się wszystkiego, przestała drżeć przed szkarlatyną, odżyła, rumieńce i uśmiech zawitały na jej oblicze, ręce były mniej wychudzone, kształty jej poczęły się zaokrąglać. Tak żywo czuła szczęście posiadania tego, co jej Pan Bóg dał, że przestała rozpaczać nad tem, co utraciła. Pan Zabrzski nie mógł się dość nacieszyć stanem żony. Myślał, że cierpienie jej było nieuleczalne, a przekonał się, że wracała do zupełnego zdrowia.

XXVI.

W końcu czerwca doktor oświadczył, że i Zdziś już do nauki wziąć się może. W szkolnym pokoju praca poczęła iść

wytrwale i gorąco, bo egzamina były za pasem, a chłopcy do szkół je zdawać mieli. Profesor podwajał trudy, przedłużał godziny lekcji i miał nadzieję, że Zdziś i Józio nie zrobią mu wstydu.

Jego też zapewne zasługą było, że chłopcy zawiezieni do Lublina, zdali obadwaj egzamin na piątkę. Profesorowie gimnazyalni znaleźli, że obadwaj byli rozwinięci, przytomni, doskonale przygotowani i sympatyczni. Zostali umieszczeni u jednego z nauczycieli, który ich polubił bardzo.

Na serdeczne zaproszenie pana Zabrzskiego, profesor Chlewiatko powrócił jeszcze na cały miesiąc do Sucho

wa dla wypoczynku i ukończenia ostatniej pieśni Odysei. Pracował nad swem dziełem po kilka godzin na dzień, lecz im było bliższe końca, tem pocziwemu profesorowi smutniej było na sercu. Był bliskim chwili, w której musiał pożegnać rodzinę, do której się przywiązał, dzieci, które go kochały i iść w świat samotny i bezdomny, szukać kawałka chleba, szukać obcego ogniska, przy którym mogło mu nie być tak ciepło i dobrze jak w Suchowie; mógł nie znaleźć dobrych i miłych chłopców, jakimi byli Zdziś i Józio. Smutna jest dola człowieka rzucanego przez los jak piłka w różne obce rodziny, od których po pewnym czasie, trzeba odrywać serce, które do nich przyrosło!

Cała rodzina Zabrzeskich cierpiała także nad rozstaniem. Każdy z jej członków po swojemu okazywał swój żal profesorowi. Zosia oświadczyła, że miała do niego wielką prośbę. Z powodu jej wyraźnego życzenia mówił jej już od jakiegoś czasu „ty.” Odpowiedział:

— Wszystko co każesz, Zosiu. Nie możesz chcieć ani nic złego, ani nic nierozsądnego, więc ci przyrzekam, że spełnię twoje żądanie.

— Mówcie po francusku! — zawołała w swoim języku, obecna tej rozmowie panna Four.

— A więc — rzekła Zosia po francusku — pan profesor musi mi przyrzec, że gdy go praca zmęczy z nadto, lub gdy starość nie dozwoli mu już zajmować się nauczaniem, powie mi to szczerze. Wtedy uproszę moich rodziców lub mego męża, jeżeli go mieć będę, i otoczę zmęczenie i starość pana profesora opieką i przywiązaniem.

Profesor był tak wzruszony, że ze łzami uściśkał Zosię, pannę Four zaś coś w tej rozmowie się nie podobało, bo wyszła widocznie nadąsana.

— Znowu ją mój akcent wystraszył — rzekł pan Chlewiatko.

— Kiedy pan profesor ani słowa nie przemówił!

— A prawda! Znowu byłem roztargniony!

Jańcio miał też ważne powody zatrzymywania profesora w Suchowie.

— Pan nie może wyjeżdżać! — mówił błagalnie, swoją puszystą, jasną główkę tuląc na ramieniu profesora.

— Muszę, moje dziecko. Bez pracy żyćbym nie mógł.

— Pan nie będzie widział, jak ja rosnę i jak Paździorek rośnie!

Państwo Zabrzescy wymogli od profesora przyrzeczenie, że co rok na jakie święta lub podczas wakacji do Suchowa przyjeżdżać będzie.

Zauważono, że w dniu wyjazdu pan Chlewiatko był nie tylko zmartwiony rozstaniem, ale jeszcze zamyślony i dziwnie nie swój. Pan Zabrzski myślał, że odczytał tłumaczenie Odysei, i że je uznał za błędne.

— Profesorze kochany — ozwał się, wzięwszy go na stronę — pan ma coś na sercu. Możeby pan doznał ulgi, zwierając swój kłopot przyjacielowi.

— Kłopot bym zniósł lżej — odparł profesor — ale niepewność... nie wiem doprawdy jak postąpić.

— Może ja, który jestem dość praktyczny, znalazłbym na to radę?

— A więc powiem. Panna Four chce koniecznie, żeby się z nią ożenił.

— Panna Four?... Żeby się profesor z nią żenił?

— Tak. Wezwała mnie wczoraj wieczorem do siebie i oświadczyła mi, że jesteśmy dwójkiem ludzi samotnych, że oboje mamy dużo serca, że oboje tęsknimy do własnego ogniska, i że to ognisko rozpalimy sobie we dwoje. Chciałem protestować, chciałem jej wytłumaczyć, że w naszym wieku małżeństwo jest chyba śmieszne, ale ona mi powiedziała z gniewem, że nie.

— Więc pan nie chce panny Four za żonę?

— Nie mam żadnej ochoty... rozumiem dobrze, że nie jesteśmy wcale stworzeni dla siebie... ale... ale... nie ośmielię się nigdy powiedzieć jej tego, bo czuję, że uczyniłbym jej tem wielką przykrość.

— Kochany profesorze! — zawołał pan Zabrzski. Odważny i silny gdy chodzi o sprawy bliźnich, a miękki do słabości w sprawach własnych! — Jeżeli pan chce, pomówię z panną Four.

Nie pomogły jednak przekładania pana Zabrzskiego.

Pani Zabrzaska usiłowała też przekonać pannę Four, ale potem zauważyli, że może istotnie będzie to połączenie dla praktycznej i zacnej, choć upartej Francuski z profesorem, dla obu pożytecznem w dalszem ich życiu, namawiali więc pana Chlewiatkę i zaproponowali, by ślub odbył się w Suchowie, co było łatwiejszym i tańszym sposobem. Odłożono go do świąt Bożego Narodzenia, by Zdziś i Józio na nim być mogli, gdyż wszystkie dzieci bardzo o to prosiły.

Odbył się 4-go stycznia 1899-go roku. Sama ceremonia była poważna, a i państwo młodzi bardzo poważnie się przedstawiali. Profesor we fraku i w białym krawacie był nie swój i jakby złapany, panna Four w przesłicznej białej toalecie, przysłanej prosto z Paryża, wyglądała jak w przebraniu.

Wieczorem wszystkie dzieci oświadczyły, że nie mogło być wesela bez tańców. Pani Zabrzaska siadła więc do fortepianu i zagrała walca. Pan Zabrzski, sławny niegdyś tancerz, ukłonem zaprosił Zosię, Zdziś wziął Alusię nie bardzo chętnie, bo ją miał za dziecko, a siebie za młodzieńca, Józio uległ prośbom Jańcia i począł się z nim kręcić. Widząc tę ochotę, profesor, któremu jakoś lżej było na sercu po postawieniu kroku stanowczego, poprosił swą wystrojoną żonę, by zechciała z nim zatańczyć. Spojrzała na niego z niedowierzaniem, lecz że była dnia tego w doskonałym humorze, więc raczyła się zgodzić, jednak poczuła, że zaledwie *pas* walcowe rozumiała, że o prowadzeniu w tańcu nie miała żadnego pojęcia. Wzięła więc odrazu ster obrotów na siebie i doprowadziła do tego, że bez szwanku dla nikogo w koło salonu w walcu obiegli. Zdyszani oboje, gdyż siwiejące włosy walca nie lubią, usiedli obok siebie.

— Ja mego męża i w życiu potrafię tak poprowadzić, jak go w tej chwili prowadziłam w tańcu — mówiła uprzejmie profesorowa.

Profesor spojrzał z pewnym przestachem na swoją przedsiębiorczą małżonkę. Czuł, że się boi przyszłości i na rozpodgodzone na chwilę czoło jego, wypłynęły znowu chmury.

— Ale mój mąż musi być wesóły — rzekła z czarującym uśmiechem profesorowa. — *Chez nous à Paris...*

Pan Zabrzski w tej chwili skończywszy walca z Zosią, schylił się do ucha grającej żony:

— Oj, pewnie profesorowa przewodzić będzie w domu.

— Jaka profesorowa?

— Przecie trudno, żeby ją panną Four nazywał, skoro nią być przestała.

Stało się tak rzeczywiście, że w nowo związanem stadle, jak w walcu, tak we wszystkich sprawach życia codziennego z wyjątkiem bardzo ważnych, ster w rękę miała pani Chlewiatkowa. Ale okazało się, że profesorowi było z tem doskonałe. Bywała kapryśna i nerwowa, czasem nie mogła znosić wymowy francuskiej męża, za to myślała o wszystkich jego potrzebach i otaczała go przywiązaniem. On był zawsze dobry, bez cienia egoizmu. W chwilach trudniejszych, by nie drażnić żony złą wymową francuską, pisywał do niej kartki jak do głuchoniemej lub przemawiał na migi.

Państwo Chlewiatkowie mieszkają w Warszawie, gdzie każde na swoją rękę pracuje. Byli już w Suchowie podczas wakacji i profesor zapytany przez pana Zabrzskiego, ze łzami wdzięczności mówił o swojej żonie:

— Stworzyła mi domowe ognisko... nie jestem już samotny na świecie... mam własny gabinet do pracy, z którego nie będę musiał się wynosić... Moje książki mają swoje

półki i nie będę potrzebował przewozić ich i pakować... Nie będę już zmuszony rozstawać się z rodzinami, do których moje serce przylgło! Eufrozyna dała mi spokój i ład, które są, że tak powiem koniecznymi ramami dla szczęścia. Mam dla kogo żyć i pracować, mam kogo kochać.

K O N I E C .



Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Rozdział XX.

Powrót do kolonii.—Pułapka. — Pogrzebany za życia.—Małpka. Zapalki. — Dukat. — Pargamin. — Chryzostom Dołęga.—Krysztof Arciszewski. — Głód. — Gorączka. — Nesabil. — Powrót Wojciecha. — Pan Edmund Saporski.



Stefan stał na brzegu bezradny i nieruchomy. Zdawało mu się, że śni.

— Może wypłynie, może zdołam ją wyratować! wołał budząc się z odrętwienia i biegnąc wzdłuż rzeki, ale było już za późno. Zginęło szlachetne dziecko, które wierzyło w dobroć i miłosierdzie białych twarzy, bo samo dobre było i miłosierne.

Zagrzany walką, zmuszony bronić własnego życia, mało Stefan zwracał uwagi na to, że jego broń niosła śmierć w szeregi Burungów. Za to teraz doznał nieprzewidywanego wstrętu na myśl o okrucieństwach wojny. Jechał do Ameryki z zamiarem pracowania z polskimi wychodźcami, ale nie przewidywał, że pierwszy posiew tej pracy będzie zlany krwią.

I nagle zdjął go żal za minioną przeszłością, za wspomnieniami dzieciństwa, za ziemią rodzinną.

— Dlaczego ją opuściłem? Dlaczego przyszedłem tu, gdzie Europejczycy tyle już popełnili okrucieństw, kiedy tylko tam nad Wartą lub Wisłą mogę być szczęśliwy.

Oglądał w Muzeum londyńskim kopię rzeźby Praksytelesa wyobrażającą olbrzyma Antajosa walczącego z Heraklesem, Antojos, syn boga wiatrów Poseidona i bogini ziemi Gai, uważany był w Libii za niezwyciężonego, bo pokonał wszystkich zapaśników, jacy odważyli się stawić mu czoło. Dopiero chytry Herakles odgadł tajemnicę siły Antajosa. Widział, że olbrzym odzyskuje moc, ilekroć dotknie stopą łona matki Gai. Oderwał go więc od ziemi i pokonał uniesionego w powietrzu. Gaja nie mogła już użyć sił synowi, to zgubiło Antajosa.

— Bajka, a ile w niej prawdy—myślał Stefan—matka ziemia daje moc, trzymać się jej do ostatniego tchu—powtarzał stęskniony, przypominając sobie słowa proboszcza, który umiał rozgrzać pociechą serce znajdy.

— Ach czemuż odrywamy się od niej! Gdybym mógł chociaż na chwilę odetchnąć tamtejszym powietrzem, usłyszeć szum naszych wierzb, święgot skowronków, które teraz unoszą się nad zielonemi posiewami żytniską.

Tak myślał Stefan i było mu bardzo ciężko, bardzo źle.

Ale życie nauczyło ślusarczyka nie pieścić się. Twarda dola hartowała młodą duszę, miała też ona dziel-

ność i sprawność dla pokonania chwilowej zaskąbości. Stefan spojrział raz jeszcze na rzekę porośłą kwiatami Wiktorii Regii, pomyślał z serdecznym współczuciem o młodej Indyance i skierował kroki ku kolonii.

Mijał już właśnie tę część lasu, która graniczyła z uprawnemi polami osady, kiedy zamajaczyło w krzakach kilka ciemnych postaci. Nie był pewny, czy widzi ludzi, czy gromadę psotnych małp.

— Może ogryzały zdeptane badyle kukurydzy—pomyślał.

Spotkanie to uczyniło go jednak baczniejszym. Nie miał broni, mało zresztą mogła mu ona pomódz w ciemnym gąszczu, należało więc zachować wielką ostrożność. Ale kolonia zdawała się już bliską, przyspieszył kroku... i uczuł nagle, że grunt usuwa mu się pod nogami.

Nie zdołał odskoczyć w bok, ani schwycić za zwieszające się nad nim liany, nie krzyknął nawet, bo przerażenie zamknęło mu usta. Otworzyła się głąb ziemi i zniknął w niej jak znika mysz w pułapce. Okrutnym był podstęp, którego ofiarą padł biedny Stefan.

Chytry Makusi ustąpił z pola walki, lecz walki tej nie zaniechał. Ukryty w krzakach, czychał na sposobność podpalenia baraków. Chciał wykurzyć z nich nieprzyjaciela i zrabować dobytek. Jego żołnierze kopali tymczasem doły na przejściach lub zakrywali dawniej istniejące, a było to zadanie trudne dla ludzi nie znających użytku żelaza. Botokudowie przechodzą w historii rozwoju epokę nieprzeziurawionych kamiennych naczyń. Przywiązują włóknom roślinnym kamień do drzewca i z pomocą tak pierwotnego narzędzia dokonują zadziwiających prac.

Do takich należało wykopanie jamy, w którą wpadł nasz bohater. Burungowie uprzątnęli się z tem zadaniem bardzo prędko, nie zdążyli tylko zaostriżyć i umocować pali na dnie dołu. Spłoszyło ich zbliżanie się Stefana. Sądziło, że osadnicy zrobili wycieczkę i uciekli od rozpoczętej pracy.

Dlaczego Makusi będąc tak blisko rzeki, nie słyszał Sępa wołającego o pomoc? Któż na to odpowie? Zwano go chytrym, mówiono, że zazdrości staremu wodzowi sławy. Zazdrość to takie nieszlachetne, takie złe uczucie! Dość raz dać mu dostęp do serca a na zawsze zarazi je jadem.

Stefan, oszołomiony upadkiem, nie mógł w pierwszej chwili ocenić całej okropności swego położenia.

Potłukł się, ale nie złamał żadnego członka. Groziła mu jednak najstraszniejsza w dziejach męki ludzkiej śmierć, śmierć głodowa. On jej nie przewidywał jeszcze, ale widmo stare jak sam świat, siedziało zaczajone i czekało chwili, kiedy żywcem pogrzebiony człowiek zacznie odczuwać jego obecność.

Stefan wyprostował zbolące członki i spróbował chodzić po jaskini. Mogła stać się ona dla niego grobem. Obszedł kilka razy więzienie, obmacał ściany, chciał zacześcić ręce o wystające korzenie drzew i wyjść na powierzchnię, ale korzenie kruszyły mu się w palcach, a ściany były śliskie od wilgoci.

Próbował wzywać pomocy, nikt nie odpowiadał na jego wołanie, zamilkł, gdyż bał się zważyć Indyan. Wyteżył słuch, żeby pochwycić szelest lub głos zwiastujący obecność ludzi w pobliżu. Ale na dnie dołu panowała grobowa cisza, cisza nieznośniejsza od najgłośniejszego turkotu. Ten tylko, kto był pod ziemią, może zdać sobie sprawę z wrażenia, jakie robi zamilknięcie wszelkich głosów. Upadł wyčerpany na dno jamy, czy usnął? Nie wiedział, stracił pamięć zaszłych wypadków. Ten stan pół martwoty trwał długo, zbudził się z niego usłyszawszy pisk, do pisku głodnego dziecka podobny.

— Cóż to być może? — zawołał odzyskując przytomność. Wyciągnął przed siebie ręce i namacał małą, dygoczącą ze strachu, małpkę. Wpadła do jamy w czasie jego snu. Znał takie, bo robiły szkodę w Sixtenlots, kolonisci opędzali się od nich nieustannie.

Zwierzątko piszczało coraz żałośniej, musiało być potłuczone. Stefan wziął je na ręce, ogrzał pod kurtką i głośko pieszczotliwie. Było mu rażniej z małpką. Uczuł, że jest silniejszy, że należy myśleć o ratunku.

Sięgnął do kieszeni i omal nie krzyknął z radości, znalazł pudełko zapalek. Nosił je zawsze przy sobie, nigdy jednak nie miały dla niego tej wartości, co dziś.

Światło! Żaden dar Boży porównać się nie da ze światłem, wiedzą to ludzie pozbawieni wzroku. Pamiętajcie o nich wy szczęśliwi, którzy cieszą się oczy widokiem cudów stworzenia, widokiem ukochanych osób.

Ręce Stefana drżały, bał się zepsuć zapalke, płomień rozjaśnił na chwilę jamę, była ona niestety bardzo głęboka. Małpka patrzyła także w górę, wydostanie się z więzienia przedstawiało nawet dla niej wielką trudność.

— A jednak wyjdę stąd, muszę wyjść — myślał Stefan.

Zrobił przegląd swoich kieszeni. Inwentarz jego bogactw okazał się pomyślnym, miał przy sobie butelkę z koniakiem, tę samą butelkę, z której krzepił rannych w baraku. Chciał potem ratować Sępa.

Znalazł jeszcze nóż, kawałek sznurka, parę złamanych gwoździ i kłębek z niemi. Schował wszystkie te przedmioty, miały one dla niego niezerównaną cenę.

— Ocaleń siebie i małpkę, kiedy ma do mnie zaufanie. To także znajda bez matki — mówił nadrabiając humorem. Postanowił cierpliwie czekać na pomoc, którą dadzą mu z Sixtenlots.

— Dadzą niezawodnie — powtarzał upewniając się sam w raz powziętej nadziei.

— Gdyby wiedzieć przynajmniej, ile czasu upłynęło odkąd tu jestem, a ja nie rozpoznaję nawet dnia od nocy. Na dnie najgłębszej studni odbija się przecież światło słońca i gwiazd — myślał podnosząc głowę, żeby dojrzeć blask poranku, lub promień księżyca. Niestety, studnię Stefana oceniały gęste konary drzew i zwoje lian, jakże mogła dostać się do niej jasność dnia? Drzewa zapuściły korzenie w głąb ziemi, Stefan macając jamę poczuł, że wystają ze ścian kawałki poplątanych kłaczy, grubsze od tych, które znalazł przy pierwszym poszukiwaniu. Natura, tkacz Boży, snuje nie życia od przepaściowych otchłani, aż do podniebnego wierzchołka cedru lub dębu, czyżby dla niego tylko miała być macocha? Botokudowie żyją przecież ziemią i korzeniami, a ja mam jeszcze koniak. Wytrzymam gdyby nawet długo przyszło czekać pomocy — myślał oglądając zawartość flaszki.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Koronacja. Gdy król angielski, Edward VII wrócił do sił i zdrowia, odbyła się d. 9 b. m. tak dawno oczekiwana koronacja jego, wraz z małżonką Aleksandrą. Uroczystość ta nie była wcale tak wspaniała, jak to w czerwcu za-

mierzano, nie było bowiem zjazdu monarchów Europejskich, ani królów lub książąt Azyatyckich i Afrykańskich, a tylko obecnymi byli dostojnicy angielscy, i rodzina panującego domu. Na ulicach towarzyszył pochodowi lud, z zapalem witający swego monarchę. Arcybiskup Canterbury dopełnił koronacji w Opactwie Westminster, kładąc Edwardowi VII koronę, tak zwaną św. Edwarda. Jest to obręcz szczerozłota na której mieszczą się 3 krzyże, przedzielone liliami; na ich wierzchołkach spoczywa znowu obręcz tak samo zakończona krzyżami, całość zdobia piękne brylanty. Królowę koronował arcybiskup York.

Edward VII obejmuje rządy po matce swej królowej Wiktorii I, księżniczce Kent, której znowu dostał się tron angielski niespodziewanie po stryju, królu Wilhelmie IV.

Pod jej łagodnym i rozumnym rządem uśmierzyły się niezgody stronnictw politycznych, które oddawna kraj wyniszczały, a rozwinął się wspaniale przemysł i handel, stawiając Anglię w rzędzie pierwszych mocarstw i zapewniając dynastji miłość narodu.

Album księżniczki Jolanty. W Rzymie wystawione jest obecnie na widok publiczny olbrzymie album, które dzieci rzymskie z najbliższej okolicy złożą w darze córeczce królewskiej, księżniczce Jolancie. Album zawiera fotografie tysiąca przeszło rówieśniczek księżniczki, oprawiony jest w skórę wyciskaną i pergamin, bogato złotem ozdobiony, a spoczywa w szkatułce z drzewa orzechowego na srebrnych nóżkach, ze srebrnym herbem sabaudzkim na wieku.

S Z A R A D A.

(Malina).

Dwa są przymyki: *pierwsze i trzecie, Drugie, trzecie i czwarte*, dar komuś składany, *Czwarte* przysłówki, gdy czego nie chcecie, *Wszystko* ma od nas nasz ojciec kochany.

KRYPTOGRYF LITERACKI.

Zabka z nad Rosi dla Mani.

Do nazwisk podanych niżej autorów, wynaleźć po jednym tytule ich powieści, aby pierwsze litery tych utworów, złożyły tytuł powieści Teresy-Jadwigi.

Sienkiewicz, Kowerska, Porawska, Orzeszkowa, Belza, Morawska, Prus, Przyborski, Zaleska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 32.

Szarada: O — stróż — ka.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

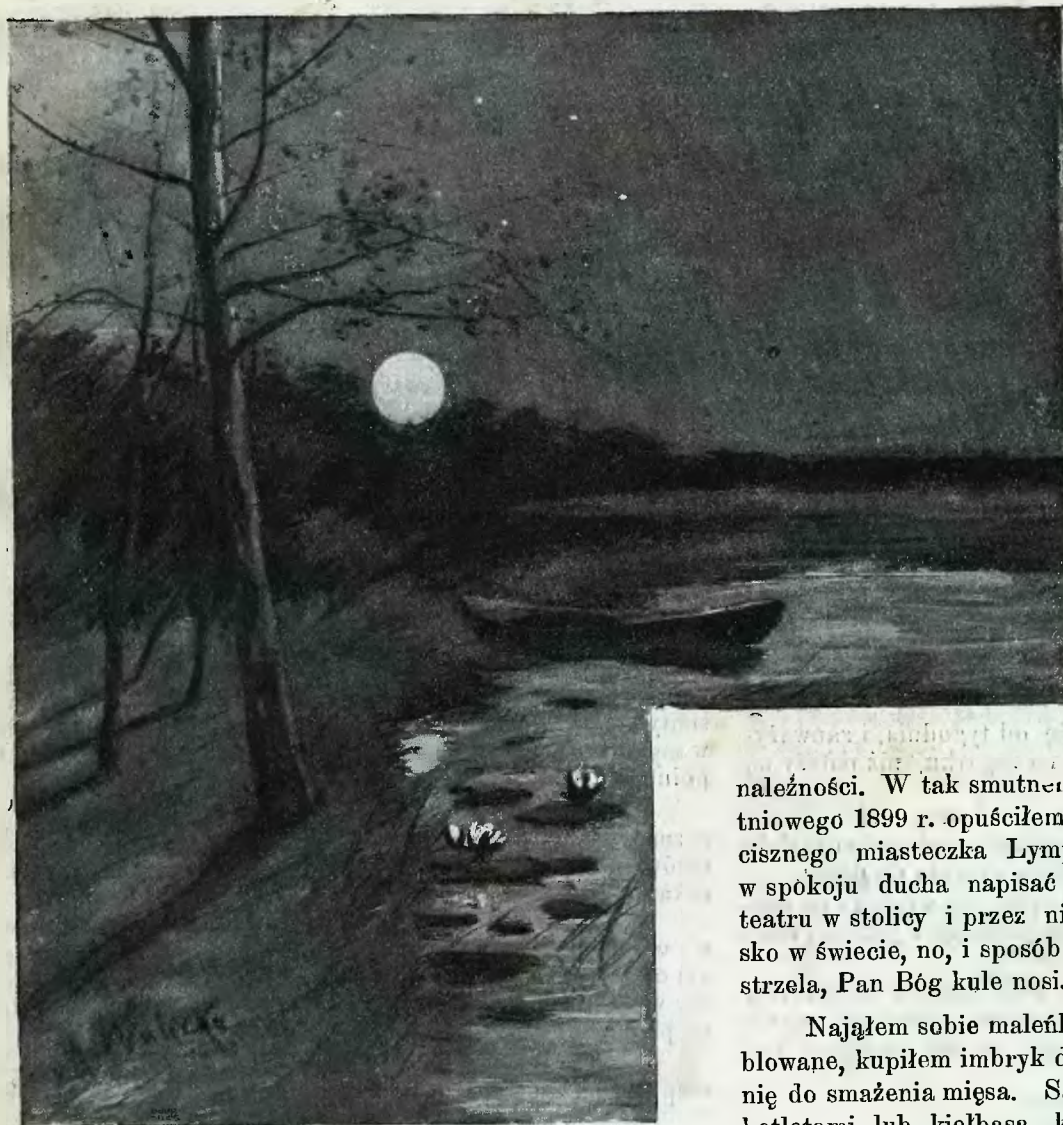
TREŚĆ: Nieprzyjacieli się zbliża (ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Tycho de Brahe (z portretem. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską (dok.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata: Koronacja Edwarda VIII-go (z portretem) — Łamigłówni i rozwiązanie. — Dodatek: O Bubulisi i jej braciszku Bubu (z ryc.) — A witajże nam witaj! przez Z. Morawską. — Niewidomy chłopczyk, wierszyk przez W. B. — Co znalazłem w błotach i kałużach przez Maryę Weryho. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów

Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 4 Августа 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE



H. G. Wells.

Pierwsi ludzie na księżycu.

Opowiadanie fantastyczno-naukowe opracowane z angielskiego przez M. St.

I. Pan Bedford spotyka się z panem Cavorem.

Gdy z okna wygodnego pokoju spoglądam na piękny krajobraz włoski, rozpamiętuję przede mną, zdaje mi się, że

wszystkie przygody, które wam chcę opowiedzieć, jak cała moja znajomość z Cavorem i to co potem nastąpiło, to dziwny sen tylko, a jednak ten dostatek otaczający mnie obecnie, i ta podróż do Włoch, jest skutkiem tych nadzwyczajnych przygód, które przechodziłem i dowodzi ich rzeczywistości. Ale zacznijmy od początku.

Nie poszczęściło mi się jakoś w interesach, straciłem całe swe mienie, i do tego jeszcze złośliwy pewien wierzyciel chciał mnie koniecznie wsadzić do więzienia za długi, gdyż na razie nie mając pieniędzy, nie mogłem pomimo najlepszych chęci, zapłacić mu należności. W tak smutnem położeniu, pewnego dnia kwietniowego 1899 r. opuściłem Londyn, schroniłem się do zacisznego miasteczka Lympe w hrabstwie Kent, aby tam w spokoju ducha napisać świetną sztukę dla pierwszego teatru w stolicy i przez nią od razu zyskać sławę, stanowisko w świecie, no, i sposób do spłacenia długu. Ale chłop strzela, Pan Bóg kule nosi.

Nająłem sobie maleńkie mieszkanko, skromnie umeblowane, kupiłem imbryk do herbaty, dwa rondelki i patelnię do smażenia mięsa. Sam sobie gotowałem, żywiąc się kotletami lub kielbasą, kartoflami i jajkami na miękko. U piekarza zamówiłem dostawę codzienną chleba, z zapłatą w końcu miesiąca, w piwiarni dostawę piwa, na tych samych warunkach, i urządziwszy w ten sposób moje gospodarstwo, zabrałem się z zapalem i wiarą w przyszłość do pisania sztuki. Lecz po kilku dniach usilnej pracy, przekonałem się, że to wcale nie łatwo napisać dobrą sztukę dla teatru.

Lympe znajduje się na miejscu dawnego portu rzymskiego, Portus Lemanus. Świadczą o tym murowane z cegieł i mocne dotąd bulwary. Dziś morze znajduje się o pół

mili od Lypne; zamiast gwaru i ruchu jakie tu musiały dawniej panować, cisza zalega całą okolicę. Domek, który zajmowałem stoi na samotnej skale, skąd smutny rozciąga się widok na płaską, po części błotnistą okolicę. Nic nie przerywało mi pracy, a jednak postępowała ona bardzo powoli.

Raz o zachodzie słońca siedziałem przy stole pod oknem i mozoliłem się nad jakąś patetyczną sceną. Szukając natchnienia, wpatrywałem się w błękit nieba, ozłocony blaskami zachodu, gdy nagle na tem jasnym tle ujrzałem śmiesznie wyglądającą postać. Był to niski, okrągły człowieczek, z bardzo cienkimi nogami, a dużą głową. Ubrany w kostium cyklisty, przez co nogi jego obciążone ciemnymi pończochami, zdawały się jeszcze cieńszymi, szedł, mocno gestykulując, potrząsając głową, chrząkając głośno i mruczając coś do siebie. Stał naprzeciw zachodzącego słońca, wyjął zegarek z kieszonki, pilnie wpatrywał się w słońce i coś jakby liczył na zegarku, potem zawrócił się i szybkim krokiem udał się w stronę powrotną. Zjawienie się tej komicznej postaci zepsuło trochę mój patetyczny nastrój, a gdy dodam, że odtąd codziennie zjawiał się o zachodzie słońca, zawsze gestykulując, chrząkając głośno i mruczając, to przynajmniej, że istotnie mi przeszkadzał w pracy, gdyż obudził we mnie ciekawość i chęć dowiedzenia się, kim był i co robił w Lypne ten dziwak. Postanowiłem zapytać go o to otwarcie, i jakoś w tydzień po pierwszym jego ujrzeniu, gdy stanął na zwykłym posterunku na drodze, naprzeciw zachodzącego słońca, zbliżyłem się ku niemu i rzekłem:

— Chwileczkę, szanowny panie!

Wyczytałem zdziwienie w jego bystrych, piwnych oczach, ale odrzekł mi uprzejmie:

— Chwileczkę, z przyjemnością, mój panie. Jeżeli zaś dłużej życzy pan sobie ze mną pomówić, to bądź pan łaskaw towarzyszyć mi w przechadzce, bo czas mój skrupulatnie jest obliczony.

— Bardzo chętnie będę panu towarzyszył — odrzekłem — sądzę, że to jest czas przeznaczony na codzienną pańską przechadzkę.

— Tak jest. Przychodzę tu podziwiać zachód słońca.

— Nigdy tego nie przypuszczałem.

— Jakto, mój panie?

— Bo pan zwykle więcej wtedy patrzysz na zegarek, niż na słońce.

— Doprawdy?

— Tak. Ja pana obserwuję od tygodnia, i zauważyłem, że pan raczej oblicza czas na zegarku, niż patrzy na słońce.

Zmarszczył brwi i zadumał się, w końcu rzekł:

— Oddycham świeżym powietrzem, podziwiam zachód słońca, idę sobie tą ścieżką, a potem wracam do domu.

— Ale gdzież tam! Wcale pan nie wygląda na spacerowicza, raczej na uczonego, zagłębitego w jakimś obliczaniu. Dziś na przykład.

— O, dziś! ale czekaj pan. Dziś właśnie spojrziałem na zegarek i zobaczyłem, że trzy minuty dłużej niż zwykle trwała moja przechadzka, dlatego to tak spieszenie powracam.

— Codziennie robisz pan to samo!

Spojrzał na mnie i zastanowił się.

— Może być, że robię; teraz tylko o tem pomyślałem... ale powiedz mi pan, o co chciałeś mnie zapytać?

— Właśnie o to!

— O to?

— Naturalnie. Dlaczego pan przychodzi tu co wieczór, mruczając w ten sposób? Tu naśladowałem jego mruczenie.

— Mruczając w ten sposób?

Spojrzał na mnie z widocznym zmieszaniem.

— Czy naprawdę ja *tak* mruczę? — zapytał.

— Co wieczór o jednej i tej samej porze.

— Nie miałem o tem pojęcia — rzekł widocznie za-

frasowany. Potem spojrział na mnie poważnie i dodał: — Widocznie weszło to mruczenie u mnie w zwyczaj, a ja tego nie spostrzegłem.

— Nieinaczej — odrzekłem.

Położył wskazujący palec na ustach i wpatrzył się w kałużę wody, stojącą na drodze, a po długiej chwili rzekł do mnie:

— Umysł mój bardzo jest zajęty. Pan chce wiedzieć, dla czego ja przychodzę tu codziennie o jednej godzinie, mruczając w ten sposób? A ja nie wiedziałem, iż to robię... Bardzo pana za to przepraszam, bo to musi panu przeszkadzać?

Tak wysoka delikatność od razu mnie rozbroiła, powiedziałem tedy miękko.

— Cokolwiek. Sam pan pojmie, gdybyś pan był w mojem położeniu i pisał sztukę dla teatru!

— Nigdybym tego nie mógł napisać.

— Lub każdą inną pracę umysłową, która wymaga skupienia myśli.

— Rozumie się — odrzekł i zamyślił się. Miał tak skruszoną minę, iż w głębi duszy zacząłem się uważać za napastnika, który czepia się porządných ludzi za to, iż idąc na publicznej drodze, mruczą sobie pod nosem.

Nieznajomy rzekł po chwili:

— Muszę się odzwyczaić od tego mruczenia koniecznie.

— A jeżeli to pana będzie krępowało? Zresztą, poznawszy pana, to ja raczej powinienem go przeprosić za...

— O, wcale nie — przerwał mi spieszenie. — Jestem panu mocno obowiązany. Powinienem się wystrzegać podobnych niedorzeczności. Na przyszłość już tego nie będzie.

Teraz ja byłem zawstydzony i rzekłem nieśmiało:

— Spodziewam się, że moja impertynencya...

— Ależ nie, panie, bynajmniej.

Popatrzyliśmy na siebie przez chwilę, uchyliłem kapelusza i powiedziałem mu dobry wieczór, on uczynił to samo i każdy poszedł w swoją stronę.

Obejrzałem się po chwili i postać jego dziwnie wydała mi się zmieniona: zdawał się być jakby skurczony, przygarbiony i zły był na siebie za to, że wymawiałem mu jego mruczenie, bo żał mi się go zrobiło.

Przez dwa dni następne nie widziałem go wcale, ale wciąż o nim myślałem, gdyż zdawał mi się być doskonałym sentymentalno komicznym typem, który chciałem umieścić w mojej sztuce. Trzeciego dnia około piątej godziny po południu, przyszedł mnie odwiedzić.

Zdziwiła mnie wielce jego wizyta; przez pół godziny rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych, aż nagle bez żadnych omówień zapytał mnie, czy nie odstąpiłbym mu swego mieszkania.

— Widzi pan — powiedział do mnie — bynajmniej się nie dziwię, że nieprzyjemne panu było moje mruczenie, ale co pan chce, od kilku lat codziennie chodziłem na spacer w tę stronę, teraz ciężko mi się od tego odzwyczaić, to mi psuje cały porządek dnia.

— A czy innej przechadzki niema w Lypne? — szepnąłem.

— Nie ma. Przez dwa dni ubiegłe dopytywałem się o to na próżno. I teraz gdy przyjdzie czwarta godzina po południu, czuje się formalnie wykolejony.

— Ależ, drogi panie, jeżeli to dla pana jest rzeczą tak ważną.

— Żywotną, panie, żywotną kwestyą dla mnie. Bo widzi pan ja jestem... ja jestem badaczem i od kilku już lat pracuję nad pewnym wynalazkiem. Mieszkam w tym oto domu z wysokimi białymi kominami, i w tym właśnie czasie doszedłem do pewnego... hm, hm, odkrycia, które jest wynikiem długich badań naukowych, jeżeli wynalazek mój uda mi się zastosować praktycznie, to będzie on jednym z *najważniejszych wynalazków*, jakich ludzie dokonali. Teraz

pojdziesz pan łatwo, że w podobnych okolicznościach cały mój umysł pochłonięty jest różnemi kombinacyami, próbami, doświadczeniami, a właśnie w czasie mej przechadzki południowej miewałem najszcześniejsze pomysły.

— Ale proszę pana, w takim razie, nie uważać na mnie, lecz jak poprzednio niech pan tu spaceruje.

— Nie, to już nie może być. Przedtem nie wiedziałem zupełnie o tem mruczeniu, a teraz wiem, i spacerując tu miałbym uczucie, że panu przeszkadzam w jego pracy literackiej, pocucie to przeszkadzałoby mi zebrać myśli... Jeden jest tylko na to sposób, żeby mi pan odstąpił swe mieszkanie.

Teraz ja się zastanowiłem. Nie byłem od tego, aby nie zadowolnić jego życzenia, gdyż w ogóle bardzo lubiłem wszelkie zamiany, byłem rzutny, ruchliwy, a wiedziałem, że uczony badacz da mi z pewnością dobre odstępnę, które zasili chudą moją kasę, ale obawiałem się kłopotów ze strony gospodarza, mogącego rościć słuszne pretensje za to, że rozporządza w ten sposób jego domem. Zaciekawiał mnie bardzo jego wynalazek, broń Boże, abym chciał z niego skorzystać, ale ten człowiek cały oddany nauce, interesował mnie wielce. Zapytałem go otwarcie, nad jakim wynalazkiem pracuje.

(d. c. n.)



Pogadanki z dziedziny chemii.

X. Jaka jest natura związków chemicznych.

Wspominaliśmy kilka razy, że jak dotąd znamy około 80 pierwiastków, które mogą się łączyć pomiędzy sobą po dwa. Jeżeli dwa jakieś pierwiastki łączą się między sobą, to związek taki nazywamy prostym. Sod i chlor są pierwiastkami chemicznymi; łącząc się dają sól kuchenną, która jest przeto związkiem prostym. Takich prostych związków jest dużo, gdyż chlor łączy się nie tylko z sodem, ale i z innymi pierwiastkami, podobnie jak jod, brom, siarka, fosfor i t. d.

Nazwijmy tego rodzaju związki, składające się z dwóch pierwiastków, związkami pierwszego stopnia. Jeżeli będziemy badali ich zachowanie się, to zobaczymy, że i one okazują skłonność do łączenia się pomiędzy sobą.

Wspominaliśmy już, że żelazo łączy się z tlenem, tworząc związek pierwszego stopnia. Dodajmy do takiego związku kwasu siarczanego, a nastąpi połączenie, które będzie zawierało kwas siarczany z jednej strony, z drugiej zaś żelazo, i tlen, które jest zieloną solą, zwaną siarczanem żelaza. Taki związek nazwijmy związkiem drugiego stopnia.

Ale i takie związki drugiego stopnia ulegają ściśle określonym prawom.

Zanieśmy chemikowi jakiegokolwiek bądź związek pierwszego lub drugiego stopnia, a on nie tylko powie nam, jakie pierwiastki tam się znajdują, ale nawet z wielką ścisłością określi, ile na wagę jednego pierwiastku przypada innego pierwiastku; niema bowiem nic tak akuratskiego, jak sama przyroda, a kiedy już poznaliśmy jej prawa, to raz na za-

wsze możemy się niemi kierować, gdyż są one niezienne. Otóż w chemii udało się już nam poznać prawa przyrody, rządzące związkami pomiędzy pierwiastkami.

Pierwsze z owych praw brzmi jak następuje. *Jeżeli dwa jakieś pierwiastki łączą się chemicznie ze sobą, to tylko w stałych stosunkach wagowych.*

Wiemy już, że woda składa się z tlenu i wodoru. Nie wyobrażamy sobie jednak, że może istnieć woda, zawierająca więcej tlenu, aniżeli jakiegokolwiek bądź inna woda. Możemy brać wodę z chmur, z oceanu, ze źródeł podziemnych, z pod bieguna, z pod równika, skąd tylko nam się podoba, a zawsze znajdziemy, że na tyle i tyle gramów wodoru przypada tyle i tyle gramów tlenu. Żaden chemik na świecie, a nawet sama natura nie może utworzyć wody, która by zawierała choćby jeden atom więcej tlenu lub wodoru, aniżeli wszystkie wody w świecie. W każdej kwarcie wody, bez względu na jej pochodzenie, znajduje się ściśle raz na zawsze określona ilość tlenu i również ściśle określona ilość wodoru. Sto gramów tlenu łączy się ściśle z $12\frac{1}{2}$ gramami wodoru, dając $112\frac{1}{2}$ grama wody. Mając więc 100 kilogramów tlenu musimy go połączyć z $12\frac{1}{2}$ kilogr. wodoru, ażeby otrzymać wodę, przyczem zawsze otrzymamy $12\frac{1}{2}$ kilo. wody. Jeżelibyśmy wzięli cokolwiek więcej wodoru, czy też tlenu, aniżeli potrzeba niezbędną, to nadmiar ten pozostanie niełączony chemicznie, to znaczy w stanie wolnym.

Podobnie jak z wodą, dzieje się ze wszystkimi substancjami, utworzonymi z pierwiastków. Naprzykład kwas siarczany składa się zawsze ze 100 części na wagę siarki i 150 części tlenu; składu tego nie zmieni żaden nowy sposób fabrykacji. Nasze zwyczajne wypalone wapno składa się z metalu zwanego wapniem oraz tlenu, przyczem na każde 250 jednostek wagowych np. kilogramów wapna przypada 100 części tlenu; stosunek ten nie zmienia się bez względu czy otrzymujemy wapno z marmuru, czy z kamienia wapiennego, czy z kredy, czy z kości, czy ze skorupki od jaj, czy z muszel morskich?

Czem się to tłumaczy? Dlaczego nie można otrzymać chemicznej substancji, w którejby się znajdowało cokolwiek więcej takiego pierwiastku, aniżeli przepisuje chemia?

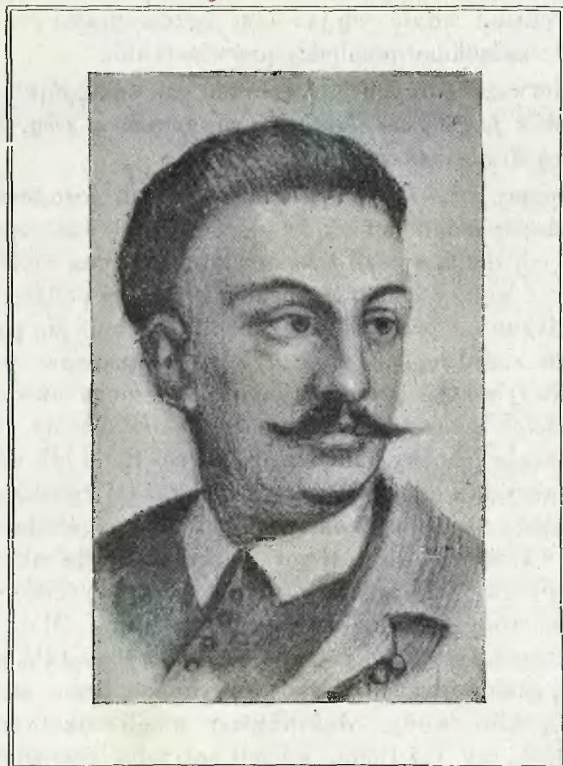
Widocznie pochodzi to z samej natury siły przyciągającej, która istnieje między jakimiś dwoma pierwiastkami. Siłę tę można porównać do dobrze uregulowanego aparatu, dla zaspokojenia którego potrzeba ściśle odważonej porcji, ani mniejszej, ani większej od normalnej.

WZ. U.

Sebastyan Klonowicz.

(1551-1602)

Ciociu! — zawołała trzynastoletnia panienka, wbiegając do pokoju. Nasza nauczycielka literatury kazała nam na przyszłą lekcję przysposobić wykład. Temat mamy dowolny, chodzi tylko o to, aby był z naszej literatury i wieku XVI-go. Niech mi ciocia poradzi, bo ja doprawdy nie wiem, kogo wybrać. Reja już mieliśmy w zeszłym kwartale,



Sebastyan Klonowicz.

Górnickiego tak samo, a Kochanowskiego tyle panienek już sobie wybrało...

— Mieć w takim razie wykład o Klonowiczu, będzie nawet bardzo na czasie, gdyż w tym roku przypada trzecie-ta rocznica jego śmierci, odpowiedziała po pewnym namyśle ciocia.

— Kiedy, niestety, przyznać się muszę, odrzekła panienka, że o Klonowiczu wiem bardzo mało.

— Nic to nie szkodzi, niedawno właśnie o tym pocie czytałam, mając go więc świeżo w pamięci, mogę ci wybornie dać pewne wskazówki.

— A to doskonale, zacznijmy choćby zaraz, mam teraz całą godzinę wolną, a ciocia?

— I ja tak samo, do obiadu jeszcze daleko. Słuchaj więc uważnie, zaczynam:

Sebastyan-Fabian Klonowicz, mieszczanin z urodzenia, przyszedł na świat w 1551 r. w Sulimierzycach w Wielkopolsce, w powiecie Odolanowskim na granicy Szlązka i tam, jak się zdaje pierwsze pobierał nauki. Dalejsze wykształcenie odebrał w Krakowie, gdzie na tamtejszej akademii uzyskał tytuł doktorski.

Z Krakowa udał się na lat kilka do Lwowa, a potem już na stałe osiedlił się w Lublinie, ożeniwszy się z Agnieszką Wiślicką, kobietą niestety bardzo złośliwą, która go wciągnęła w rozliczne procesy, naraziła na utratę ciężko zapracowanego mienia, a w chorobie opuściła i pozwoliła umrzeć w niedostatku w szpitalu OO. Jezuitów w Lublinie d. 29 sierpnia 1602 r.

Przedtem jednak Klonowicz był pisarzem radzieckim, sędzią i po dwakroć burmistrzem Lublina, ciesząc się ogólnym poważaniem, tak z powodu prawości charakteru, jak i swego talentu, chociaż nie brakło mu niechętnych wśród tych, których wady, w utworach swoich wytykał. Życie jego w ogóle, zwłaszcza ostatnie lata, nie były szczęśliwe i temu zapewne należy przypisać wczesną stosunkowo śmierć naszego poety.

Teraz zanim przejdziemy do dzieł Klonowicza, powiem ci trochę o stanowisku, jakie zajmuje w naszej literaturze. Stojąc na przełomie XVI i XVII wieku, Klonowicz pisze wprawdzie jeszcze częściej po łacinie, ale jest

pierwszym poetą polskim, biorący za temat do swych utworów motywy ludowe, opisując w nich zwyczaje miejscowe, gdyż nawet Kochanowskiego *Sobótka*, jako utwór fantastyczny, za opis rzeczywistych zwyczajów ludu ówczesnego po czytany być nie może. Stąd miejsce Klonowicza w naszej literaturze bardzo poważne i niepoślednie, tem więcej, że walczy on z niebywałą dotychczas śmiałością myśli, w swych utworach przeciw ciemności ówczesnego społeczeństwa i liczny przesądom.

Zaznaczając na każdym kroku, że nie urodzenie, ale cnota i zalety osobiste i umysłowe prawdziwe szlachectwo stanowią.

Teraz, moje dziecko, podobny sposób myślenia wyda ci się całkiem naturalny. Niestety jednak trzysta lat temu było ono nowem a raczej jakby zapomnianem. Tym bardziej więc godną uwagi jest śmiałość i odwaga z jaką Klonowicz karci, potępia surowo i wyszydza przywileje jednego stanu ludności ze szkodą drugich.

Utwór, w którym najśmielej głos przeciwko ówczesnym wadom społecznym podnosi, jest „Victoria Deorum” (Zwycięstwo bogów). Przedstawia tu Klonowicz, pod postacią walki Tytanów z Jowiszem, walkę złych skłonności z dobrymi, w których naturalnie dobre zwyciężają.

Zawód swój literacki zaczął Klonowicz od poematu opisowego p. t. *Roxolania*; zawierającego opis Rusi Czerwonej. W bardzo malowniczy i urozmaicony choć niezbyt poetyczny sposób opisuje tu nie tylko naturę, miasta tamtejsze z ich pamiątkami historycznymi, ale i zwyczaje, pracę i podania ludu, pokazując go nam w śród jego smutnych i wesołych obrządków i okresów życia codziennego.

Roxolanię przetłumaczył na język polski Władysław Syrokoma, który bardzo cenił tego poetę, i napisał o nim

Z widoków Warszawy.



Targ na Maryensztadzie.

St. Masłowski.



Wypadek w podróży.

poemat p. t. *Zgon Acerna*, Klonowicz tak siebie ówczesnym zwyczajem podpisywał, tłumacząc swoje nazwisko na łacinę. Klon po łacinie *acer*, Klonowicz — *Acernus*.

Z polskich utworów najpiękniejszymi pamiątkami po Klonowiczu, zostały dwa poematy. „*Flis, albo spuszczenie statków Wisłą*” i „*Worek Judaszów*”. W tym ostatnim, maluje nam dokładnie ówczesne obyczaje i sprawy krajowe; mając najwięcej zwrócone oczy na lud nasz i miasta.

Flisa napisał w dwutygodniowej żegludze do Gdańska. W nim nietylko, że oddał obraz drogi wiślanej i kraju nadbrzeżnego, który przepływał, ale zostawił wizerunek ówczesnych dzielnych flisaków i zachował ich język i podania. Jedno z nich przytoczymy:

„*Niemen, Bug i bystra Narew, połączywszy się z sobą, przysły do nowego dworu, ofiarując usługi swoje królowej rzek naszych, Wiśle. Ale zazdrość opanowała Narew; dumna, piękna barwą swych wód, zapozwała Wisłę przed sąd, ażeby ten wydał wyrok, która z nich dorodniejsza. Wybrany na sędziego Strumień, ów co u Gniewa płynie, zasiadł poważnie i długo badał, długo rozważał, wreszcie wydał wyrok stanowczy, że królowa Wisła jest gładzsza i piękniejsza niż księżniczka Narew. Ta rozgniewana wraz z Niemnem i Bugiem, wezbrała wody swoje i chciała innem korytem popłynąć. Miejsce sądu nazwano *Gniewem*.”*

Dotąd powieść Klonowicza. Podanie flisaków dodaje: że z powodu sądu i zawziętości odwiecznej *Narwi*, gdy ta zmuszona iść w służbę królowej *Wiśle*, rozdąsana ciągle, wód swych niebieskich nie łączy z białą wodą *Wisły* i dlatego rozdziela je długo jakby pas graniczny, zanim przyjmie jasną barwę swej królowej i już posłuszna, jak służebnica, spływa pokornie w jej orszaku do morza.

Dnia 10 Czerwca 1862 roku, odbyła się uroczystość, w miejscu urodzenia Klonowicza, w miasteczku Sulimierzcach, w Wielkim Księstwie Poznańskim.

W tym dniu, przy licznie zebranym obywatelstwie, odsłonięto pomnik, wystawiony dla uczczenia pamięci poety. Ma postać obeliska na 24 stóp wysokiego. Po czterech stronach sześcianu, na którym igła obeliskowa spoczywa, są napisy. Na stronie naczelnej: „*Sebastyanowi Klonowiczowi, Ziomkowie staraniem Towarzystwa Przyjaciół nauk Poznańskiego.*”

Na odwrotnej:

„*Urodzony w Sulimierzcach roku 1551. Umarł w Lublinie roku 1602*”

Na stronie bocznej pierwsze tytuły dzieł po łacinie pisanych:

„*Victoria Deorum. Rozolania.*”

Na drugiej:

„*Worek Judaszów. Flis.*”

Na zakończenie tej pogawędki — rzekła ciocia przeczytam ci ostatni ustęp z poematu Syrokomli, „*Zgon Acerna*” o którym już pierwiej wspominałam, choć dodam, że według najnowszych badań, Klonowicz nie umarł w takim niedostatku i opuszczeniu, jak pierwiej mniemano.

A więc słuchaj:

„Tu ręką cisnął czoło, jakby zbierał zmysły,
A lży długo tajone ze źrenic wytrysły;
Stęknął.. i głosem cichym, urwanym co chwila,
Dokończyć pożegnania jeszcze się wysila.
Bracia moi, ziomkowie, dobrzy towarzysze!
Żebraćym testamentem cóż ja wam zapiszę?
Dobry Wojciechu Oczko, *) cóż zostanie tobie?
Tyś w życiu, we złej doli, w ostatniej chorobie,
Zawždy byleś mi bratem — więc nie gardź ofiarą:
Mam pieśni Horacego i Bibliję starą,
Tam znajdziesz pokarm duszy, tam serca osłodę...
Lubiłem zbierać księgi w moje lata młode,

*) Znany lekarz lubelski z owej epoki.

I zebrałem przez życie mnogie folialy;
Ale na starość książki na chleb się przydały.
Bom często łaknął chleba... bieda niedołędze!
Tak odzież po odzieży, a księga po księdze
Rozbiegły mi się z domu... Mam jeszcze opończę,
Zabierz ją Bartoszu, gdy ja żywot skończę:
Bo mnie włożyć do trumny dość starej sukmany...
Wy, panie Mikołaju, ot, ten krzyżyk weźcie,
Oddajcie waszej żonie, pocziwej niewieście,
Co w ostatniej chorobie z dobrocią kobiecą
Przysyłała mi jarzyn, lub owoców nieco...
Pożegnaj twoją dźwiatwę, niech przyjmie gromada
Ostatnie pozdrowienie szpitalnego dziada...
Powiedz dźwiatwie: że kiedy w trumnie się położę,
Przyślę z nieba gościniec — pożegnania Boże...
Wam zaś panie Jędrzeju, cóż oddam w ofierze,
Przyjmijcie psa mego, niech wam domu strzeże,
Niedługo się naprzykrzy strzegąc wasze wrota;
Zabije go pocziwa po panu tęsknota...
Oto, bracia, już wszystko co miałem na świecie...
Jeszcze mam do was prośbę, czyż spełnić zechcecie?...
Wszak byłem waszym ziomkiem, każdy tego świadom:
Sercem, głową i pismem, służyłem sąsiadom;
Wszakże pospolu z wami całe życie prawie
Czyniłem sprawiedliwość na sądziowskiej ławie;
Wszak kiedyś mem imieniem było miasto dumne...
Złóżcie więc kilka groszy na żebraczą trumnę,
Poślijcie na podzwonne, pomyślcie o stypie
Dla żebractwa... co piaskiem oczy me zasypie...
A teraz, Bóg was żegna! odchodzę w świat nowy...
Ciężą mi... ach, jak ciężą cielesne okowy!..
A w kościanym szkielecie dusza niecierpliwa...
Jako z klatki ptaszyna... targa się... wyrwa...
Chce lecieć na swobodę... do słońca... do ciepła...
Chryste!.. rozwiąż jej więzy...”

Tu mowa zakrzepła...”

a w kilka chwil, doktor Oczko, ujawnszy za puls chorego, uрониł nad nim lżę ostatniego pożegnania; Klonowicz nie żył.

Zwłoki Klonowicza złożone były w kościele dawniej Jezuickim, obecnie katedrze lubelskiej. Jedynym śladem miejsca ostatniego spoczynku tego poety była tablica marmurowa. Nie wiem teraz, drogie dziecko, czy ją odrestaurowano bo dawno bardzo nie byłam w Lublinie.



Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Ze koloniści mogą nie trafić na jego ślad, że mogą nie przyjsć nigdy, nad tem nie zastanawiał się wcale. Wolał pieścić małpkę, zwierzątko objęło jego szyję i przytulało kosmaty łebek do twarzy Stefana.
— Będzie ci na imię Kadysia — powiedział głaszcząc towarzyszkę niewoli. Kadysia przyjęła z zadowo-

leniem kares i nazwisko, kiedy jednak zanadto natarczywie żądała pieśczęt, rzucił ją bez ceremonii na ziemię a sam zabrał się do rozpalenia ognia.

— Może dym zwróci uwagę kolonistów — myślał przygotowując paliwo z korzeni cedru.

Zajęcie było dla niego szczęściem, skracало mu nieznośnie wlokący się czas. Nic nie ciążył tak więźniom, jak bezczynność. Wypił łyk koniaku dla pokrzepienia sił, bolały go jednak bardzo kości i postanowił przedewszystkiem odpocząć.

Młodość ma w sobie niewyczerpany zapas zbawczych środków, mimo niepokoju, udrczenia, niebezpieczeństwa głodowej śmierci, usnął Stefan na gołej ziemi, tak smacznie jak w wygodnym łóżku. Małpka pilnowała pana i zdawała się drzemać także.

Obudził go przykry sen, którego nie mógł sobie przypomnieć. Zerwał się, siadł na posłaniu, przecierał oczy, dziwił się ciemnocie.

— Gdzie Marcinowa? — pomyślał. Ona to budziła go zwykle gdy zasnął w baraku. Dotknął ręką wilgotnej ściany i nagle wróciła mu świadomość. Byłóż więc prawdą, że jest już w grobie skazany na śmierć głodową.

— Gdzież są koloniści, gdzie Tomasz, Jasiek, Stach, dlaczego nie przychodzą go ratować? Może wymordowali ich Indianie! — zawołał zrywając się z ziemi i niepokój o osadę oderwał myśl Stefana od własnego nieszczęścia.

Dwa razy groziło mu niebezpieczeństwo śmierci w Europie, a jednak uniknął jej szczęśliwie; mógł zginąć od zatrutej strzały Indianina, mógł zresztą zmarznąć na śniegu, on znalazł ocalony cudem miłosierdzia Bożego, czyż miał prawo wątpić? Skąd wie, że nie dozna go teraz? Spojrzał w głąb ciemnej jamy, była mu mniej straszna, bo pojął, że niema tak ponurej przepaści, nad którą nie unosiłby się krzepiący powiew nadziei w wszechpotężną opiekę Stwórcy.

Pisk małpy przerwał rozpamiętywanie Stefana. Zwierzętko znalazło wprawdzie trochę korzeni na pokarm, i ono jednak także przykryło sobie ciemność więzienia. Siedziało przytulone do ściany i narzekało żałośnie.

— Złego Kadysiu masz opiekuna, — sam on sobie nie umie dać rady — powiedział z westchnieniem Stefan i wrócił do zamiaru rozpalenia ognia. Wprzód jednak okręcił drewnianą zapalnik niemi z kłębka, który znalazł w kieszeni; chciał przedłużyć ich światło, ale czynność swoją spełniał nadzwyczaj ostrożnie, żeby nie uronić ani jednej zapalniczki. Były one teraz do grubych świeczek podobne, mógł śmiało próbować rozpałić ognisko.

Ułożył je z korzeni znalezionych w ścianach jamy, z liści suchych, które jak złoty deszcz spadały w głąb dołu. Stefanowi pomagała dzielnie Kadysia, małpka szybko i zwinnie wyrzucała kłębase z gliny, otrzepując się łapkami jeśli piasek zakurzył jej futerko. Łatwość z jaką ziemia ustępowała pod nożem zwróciły uwagę więźnia.

— Może udałoby mi się wykopać schody w ścianie i wyjść z przeklętej jamy — zawołał uradowany pomysłem.

Wyskrobał kilka dziur jedna nad drugą, pomagając sobie nożem, zaszedł po nich dość wysoko, małpka skoczyła mu na plecy. Drapali się oboje w górę. Stefanowi biło serce na myśl, że znalazł sposób opuszczenia dołu. Niestety radość trwała krótko, nóż trafił na silniejszy opór, biedny więzień zachwiał się i upadł jak długi, nie zniechęciło go to do dalszych prób. Wszystkie jednak okazały się próżne.

— Skacz! pokazałem ci drogę, uwolnij się ty przynajmniej — mówił rozżalony Stefan do Kadysi, ale małpka nie chciała go opuścić. Podał ją na własnych rękach, zaczepiał jej łapki o pokopane dziury, wszystko napróżno. Drżała i obejmowała Stefana za szyję, lub drapała się po kudłatym łebku zakłopotana uporem opiekuna.

Był jej wdzięczny. — Nie opuściła samotnika w biedzie — myślał. Wracając małpcę wolność, ale czuł, że więzienie bez Kadysi stanie się jeszcze smutniejszym.

Wysiłek przy kopaniu schodów zmęczył i wyczerpał Stefana, uczuł pierwszy raz głód, próbował skosztować korzeni, osłizgłe wilgocią wzbudzały w nim odręę. Walczył jakiś czas z pokusą, lecz nie potrafił jej przezwyciężyć. Wiedział, że trzeba oszczędzać koniaku a jednak napił go się więcej może niż należało i został za to ukarany, bo nie przyzwyczajony do wódki, popadł w stan dziwnego obezwładnienia. Nie spał a jednak zamarła w nim wola, ciężła mu okropnie głowa, chciał się otrząsnąć, wyprostować skrócone członki, daremnie jednak robił wysiłki, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Leżał na dnie jamy i czuł wstręt do samego siebie.

— Upiłem się, pierwszy raz w życiu — powtarzał nie mogąc oderwać myśli od tego jednego wrażenia, które wraçało mu póki trwał odurzenie. Trwało ono nawet dość długo, pewnie kilka godzin, niestety powrót do rzeczywistości był tem smutniejszy, że czuł znów głód a nie miał go czem zaspokoić. Spróbował raz jeszcze gryźć korzenie, wybrał najmniejsze, wytarł je starannie z wilgoci i jadł przezwyciężając odręę. Mało mu one dały pożywienia.

— Lepszy z nich będzie węgiel niż boefsteck — powiedział dla dodania sobie odwagi i zaczął krzątać się około rozpalenia ognia.

— Prędeż, Kadysiu, zbieraj korzenie, trzeba mieć zapas paliwa, wołał na małpkę, która skakała od ściany do ściany i robiła pocieszne miny. Wrócił mu humor razem ze światłem, był go przecież tak długo pozbawiony! Przeglądał się swemu więzieniu, sterczały ze ścian grube korzenie przecięte kamiennymi rydlami Indian. Mogły służyć za opał należało tylko wyrwać je prędeż i wysuszyć w ciepłe ognisko. Wyciągnął już kilka, pomagając sobie nożem, kiedy spostrzegł nagle gruby kłacz. Podniósł ręce dobył wszystkich sił, chcąc wyrwać korzeń ze ściany, ale rozmach okazał się zbytecznym. Piaszczysta ziemia spadła pod stopy Stefana z takim hałasem, że małpka odskoczyła przerażona w głąb jamy. Chciał wziąć na rękę piszczącą Kadysię, kiedy spostrzegł świecący krążek. Dojrzała go i małpka, zapomniała o bólu, schwyciła żółtą blaszkę i uciekła w kąt jaskini.

— Oddaj, oddaj Kadysiu! prosił Stefan zaciekawiony nieznanym przedmiotem. Ale Kadysia nie myślała być posłuszną, schowała za siebie blaszkę, jak zwykły czynić psotny dzieciak i przekrzywiła, łebek wdzięcząc się do swego opiekuna.

Stefana śmieszyły miny małpki, lecz ciekawość to wielka pokusa. Odebrał blaszkę Kadysi, obtarł z ziemi, zbliżył pieniądz do ognia... i wyczytał z największym zdumieniem:

„Sigismundus tertius rex poloniae”

Dawny polski dukat w Brazylii! w głębi puszczy? Na dnie jamy pamiątka Wazów, Stefan oniemiał ze zdziwienia. Miał w ręku niezbitą dowód, że już na paręset lat przed nim żył tu jego rodak, a wątpił jeszcze, czy nie łądził go zmysły.

— Może ja mam gorączkę, może to, co mnie otacza jest tylko przywidzeniem? — mówił dotykając wilgotnych ścian dołu i chłodząc rozgrzane czoło. Daremnie jednak próbował rozbuździć się z dziwnego snu. Rzeczywistość, grożąca mu głodową śmiercią, istniała bez zmiany, ale i dukat nie był urojeniem.

Otwór, z którego wypadł pieniądz, znajdował się wysoko. Zebrał rozrzuconą na dnie jamy ziemię, usypał z niej mały wzgórek i wstąpiwszy nań, zaczął nożem pogłębiać dziurę. Kadysia skoczyła mu na ramię, wsadziła łapkę w otwór a po chwili wyciągnęła z niego kawałek zbutwiałego drzewa. Zaciekawiony nowym odkryciem spostrzegł, że to co, znalazła małpka, było starannie obrobioną klepką. Szukali teraz na wyścigi, znaleźli jeszcze kilka takich samych klepek, natrafili nawet na żelazną obrączkę, która je kiedyś spajała.

— Co to być może? — wołał rozgorączkowany cieka-

wością Stefan. — Jeżeli baryłkę napełniało, wino to wsiąkło od dawna w ziemię, ale jeżeli...

Nie dokończył rozpoczętego zdania, bo nagle pokazała się w głębi otworu jakaś duża blachą obita skrzynka. Natężył siły, podważył nożem pudło i wydostał je z piasku. Było szczelnie zamknięte i zalutowane.

— Nie takie zamki otwierałem w Bremie — pomyślał próbując nożem uchylić wieko, ale spojenie stawiało silny opór, ostrze ześlizgiwało się po blasze.

— Znajdę i na to sposób — wymówił przez zaciśnięte niecierpliwością zęby. Przysunął skrzynkę do ogniska, podniecił płomień klepką, potem wyjął gwóźdź z kieszeni i obsadził go w kawałku drzewa.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Napad wieloryba. Czterdziestu ludzi wybrało się w amerykańskiej barce *Cathleen* na polowanie na wieloryby. Ocalało tylko dziewięciu, którzy wynędniali i obdarci przybyli do portu Dominika, w Indyach Zachodnich. Od nich dowiedziano się następujących szczegółów niezwyklej katastrofy. — W odległości tysiąca mil od Barbados, kiedy barka *Cathleen* upolowała już trzy potężne wieloryby, została napadnięta przez czwartego, olbrzymiej wielkości. Właśnie ćwiartowano pokonane morskie potwory, gdy ujrano na widnokręgu jeszcze jednego, co było już zupełnie niezwykle powodem. Natychmiast spuszczone trzy szalupy i zaczęto polowanie, w końcu trafiono wieloryba harpunem. Ale było to jakieś wyjątkowe zwierzę, bo nietylko, że po długiej i straszliwej walce wyrwało się z rąk myśliwych, ale z całą siłą rzuciło się w stronę statku, uderzeniem wybiło kilka belek i naruszyło wiązania barki tak, że woda zaczęła nalewać się do środka. Zanim trzy szalupy z polowania zdążyły na ratunek, statek zatonął, a kapitan wraz z rodziną i pozostałymi marynarzami zaledwie zdołali uratować się na czwartej pozostałej łodzi i wziąć cokolwiek żywności i wody. Zapasy rozdzielono pomiędzy cztery szalupy. Każda otrzymała worek sucharów i beczułkę wody. Wszystkie szalupy, wyruszyły w jednym czasie. Na drugi dzień jednakże nie wiadomo było, co się z nimi stało. Po jedenastu dniach strasznej nędzy i walki z morzem ujrzało dziewięciu rozbitków wybrzeże Dominika. O pozostałych 31 ludziach i ich trzech szalupach dotąd nic nie wiadomo.

Przyjaźń kota ze szpakiem. Pewien miłośnik zwierząt opowiada ciekawy fakt o zaprzyjaźnieniu się kota ze szpakiem. Ptak miał złamane skrzydło i nie mógł fruwać. Bawił się z kotem, jadł z nim z jednej miski i obaj przyjaciele obejść się bez siebie nie mogli. Pewnego razu, w porze obiadowej, kot rzucił się na szpaka, schwycił go w zęby, tak, że wszyscy obecni sądzili, iż go rozszarpie; tymczasem inna była przyczyna tego postępku, Oto kot wskoczył ze

szpakiem na stół i postawiwszy go w bezpiecznym miejscu, sam wybiegł za drzwi, gdzie czaił się obcy kot, którego wypędził. Przyjaźń ptaka z kotem od tej pory utrwaliła się jeszcze bardziej.

S Z A R A D A .

T. K.

Przyjaciele moi mili,
Czy będziecie się srożyli,
Gdy wam zadam dziś szaradę,
Która ma tę wielką wadę,
Że niełatwa i zadługa.

Włoskie miasto *trzecia druga*,
Pierwszą znajdziecie w alfabecie,
Drugą czwartą na kajecie,
Po niej pisze się udatniej.
Gdy wyjmiecie i z ostatniej,
Wziawszy wprzód *pierwszą drugą*,
To znajdziecie ponad strugą,
Rosnącą piękną krzewinę,
Przystrojoną w koralinę.
Wreszcie w całej dużo złota,
Czy zgadnąć bierze ochota?

LAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ul. Wilhelm Zdobywca.

Z następujących sylab: a—a—an—a—ba—ci—che—dwi—el—fo—fa—go—go—gra—ga—il—ja—ja—kles—kos—kles—kra—ków—lieu—masz—mo—mi—na—na—ni—na—nioł—ne—niu—nes—o—o—po—ri—ry—rio—ron—ry—stro—so—sak—szard—sko—sto—sto—sto—sman—top—to—ty—te—za—ży—ułożyć 21 wyrazów, których początkowe litery utworzyć mają imiona i nazwiska: słynnego kaznodziei oraz znakomitego malarza.

Znaczenie wyrazów: 1) Powieść historyczna, 2) Osada w gub. Rad. pamięt. nap. Tatarów. 3) Plemię germańskie znane z wędr. ludów. 4) Jeden z Apostołów. 5) Kardynał franc. za panowania Ludwika XIII. 6) Jeden z największych tragików greckich. 7) Współczesny malarz pol. 8) Córnka Edypa. 9) Imię kilku królów angielskich. 10) Poemat Mickiewicza. 11) Poeta włoski z X w. 12) Imię żeńskie. 13) Słynny malarz włoski. 14) Cesarz rzymski. 15) Muzyk i kompozytor włoski. 16) Komedypisarz grecki. 17) Słynny wódz ateński. 18) Rzeka w Niemczech. 19) Żona Henryka Brodatego. 20) Miasto n. Wisłą. 21) Założyciel państwa tureckiego.

ROZWIĄZANIA DO Nru 33-go.

Zagadki: Litera L.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Sebastian Klonowicz (z portretem.) — Targ na Maryensztadzie (ryc.) — Wypadek w podróży (ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata: — Lamigłówni i rozwiązanie. — Dodatek: Wycieczka przez A. Z. (z ryc.) — Wiązanie wnuczek, obrazek dramatyczny. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Lamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 14 Августа 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Ś. p. Henryk Siemiradzki.

Było to w Krakowie roku 1789. Do uczty wyprawianej dla wielkiego powieściopisarza, Józefa Krászewskiego, którego obchodzono jubileusz, zasiedli najznakomitsi w kraju obywatele. Każdy chciał oddać cześć autorowi wedle sił i możliwości; z grona obecnych powstał Henryk Siemiradzki, malarz, znany nietylko u nas, ale sławiony u obcych za piękne prace swego pędzla.

Zrozumieli obecni, że taki magnat talentu złoży Krászewskiemu hołd nielada, że uczcić go zamierza, i zapanało w sali uroczyste milczenie.

A wtedy mistrz pędzla wyrzekł ze skromnością właściwą wielkim ludziom i wielkim dobrodziejom:

— Pragnąc małym czynem upamiętnić dzień dzisiejszy, ofiaruję krajowi obraz mój „Pochodnie Nerona.”

Dar był prawdziwie królewski. Szczęśliwy autor który uwielbieniem dla siebie taki upominek wywołał, szczę-

śliwy malarz, którego talent postawił w możliwości zrobienia tak hojnej ofiary.

Henryk Siemiradzki pięknym tym obrazem zapoczątkował muzeum w Sukiennicach, czem zasłużył na wdzięczność u swoich.

Rodzina Siemiradzkich pochodzi z pow. Sandomierskiego, lecz ś. p. Henryk urodził się w Pieczyniegach w gub. Charkowskiej 1843 r. Gimnazjum i studia uniwersyteckie ukończył w Charkowie ze stopniem kandydata nauk przyrodniczych. Złożony w duszy jego talent upominał się o swe prawa i zmusił młodzieńca do zawrócenia z obranej już drogi, udał się więc do Petersburga, wstępując w poczet uczni Akademii Sztuk Pięknych. Po kilkoletniej i wytrwałej pracy, opuścił akademię, wywołując wysokie uznanie profesorów, nagrodzony siedmiu medalami.

Na powszechnej wystawie w Wiedniu r. 1873 uzyskał Henryk Siemiradzki równocześnie z J. Matejką wszechświatową sławę, oraz złoty medal za wspaniały obraz: „Chrystus przebaczący grzesznicy.”

Z obrazów religijnej treści mistrza naszego, znajduje się w Warszawie jeden, umieszczony w wielkim ołtarzu w koście-



Dwór H. Siemiradzkiego w Strzałkowie.

le Wszystkich Świętych na Grzybowie, lecz najpiękniejszym jest „Chrystus w domu Marty i Maryi,” wzruszył on wiele serc widokiem słodkiej, a mądrej twarzy Boskiego nauczyciela. Żadne jednak dzieło ś. p. Henryka Siemiradzkiego, nie zdobyło takiej sławy, jak „Pochodnie Nerona,” właśnie to, które ofiarował wspaniałomyślnie dla muzeum w Sukienicach. Przedstawia tam męczeństwo pierwszych chrześcijan, żywcem palonych z rozkazu okrutnego cesarza. Kraków szczyści się jeszcze drugim, a równie pięknym dziełem Siemiradzkiego, mianowicie kurtyną, którą wymalował dla nowo wzniesionego teatru. Żadna scena w Europie nie posiada tak pięknej zaslony, pozazdrościł jej też Lwów, poprosił mistrza o podobną, który z niewyczerpaną gotowością oddał znowu swój talent na usługi kraju.

Nie zrównanym był on w odtwarzaniu błękitów włoskiego nieba, włoskich mór, marmurów i kwiatów. Jego irysy, rosnące nad wodą, tak do złudzenia nęca oko, że mimowoli wyciągamy do nich ręce, zwiedzeni prawdą malowidła; a studiując zabytki świetnej przeszłości państwa Rzymskiego, już to na tle historii tegoż państwa, już z życia domowego dawnych Rzymian, stworzył mnóstwo obrazów.

Lecz na trumnę artysty, który kochał swoją ziemię, chociaż jej nie odtwarzał w swych pracach, inne niż włoskie należą się kwiaty. Czciociele talentu ś. p. Henryka zarzucili ją wieńcami uwitami z roślin naszych pól.

Jako malarz upodobał sobie Rzym i tam miał pracownię, lecz tęskniąc za krajem, nabył kawałek ziemi rodzinnej, majątek Strzałkowo, w gub. Piotrkowskiej, gdzie spędzał zwykle kilka miesięcy letnich; tam też zgasł przedwcześnie d. 23 Sierpnia, licząc zaledwie 58 lat życia.

Lecz nie tam spoczął na wieki, zwłoki ś. p. Siemiradzkiego przewieziono do Warszawy i złożono w grobach rodzinnych na Powązkach, a nieprzeliczone zastępy publiczności, towarzyszące tym smutnym obrzędom, złożyły mu hołd ostatni.

Z. B.



Pogadanki z dziedziny chemii.

XI. W jakich ilościach łączą się ze sobą pierwiastki.

Powód, dla którego pewna ilość danego pierwiastku łączy się tylko ze ściśle określoną ilością drugiego, jest bardzo głęboki i bardzo ważny. Ten fakt naprowadził najdzielniejszych myślicieli na domysł, że wszystko, co tylko widzimy dokoła siebie i my sami nawet, słowem wszystka materya, z której zbudowany jest świat, składa się z pojedynczych, bardzo małych cząsteczek, tak małych, że niepodobna ich dostrzedz przez najpotężniejsze drobnowidze, i że z połączenia tych drobnutkich cząsteczek zwa-

nych atomami, albo niedziałkami, powstały wszystkie substancje jakie tylko znamy.

O atomach będziemy mówili dalej, ale jak na teraz zajmiemy się nadzwyczajnie ważnym i godnym uwagi prawem chemicznym, na którym opiera się ta cała gałąź wiedzy.

Wiemy, że każdy pierwiastek chemiczny ma pewien określony apetyt, dający się nasycić pewną ściśle określoną porcją innego pierwiastku, że nie można z tego drugiego pierwiastku odjąć, ani też nic do niego dołożyć. Otóż istnieje bardzo dziwny stosunek nie tylko pomiędzy apetytami, ale i pomiędzy porcjami, jakimi można je nasycić. Ażeby zrozumieć to, musimy zbadać apetyty i porcje kilku ważniejszych pierwiastków.

Zacznijmy znowu od tlenu i weźmy go w ilości 100 gramów, i z tą ilością łączmy chemicznie rozmaite inne pierwiastki, ile n. p. wodoru potrzebują owe 100 gramów tlenu, ażeby się nasycić? Wiemy już, że do nasycenia potrzeba tutaj $12\frac{1}{2}$ grama wodoru.

Wiedząc to, zobaczmy teraz, czy tlen ma większy, czy mniejszy apetyt na chlor, aniżeli na wodór.

Zróbmy doświadczenie i wytwórzmy najprostszy związek tlenu z chlorem; badając skład tego związku, widzimy, że tlen może pochłonąć olbrzymie ilości chloru, gdyż każde 100 jego gramów łączy się z 440 gramami chloru.

Ponieważ ta sama ilość nasycy się już $12\frac{1}{2}$ gramami wodoru, chloru zaś potrzebuje aż 440 gramów do nasycenia, to musimy przypuścić, że $12\frac{1}{2}$ grama wodoru posiadają taką samą zdolność nasycającą co 440 gramów chloru. Jeżeli spróbujemy połączyć chlor z wodorem, to się okaże, że akurat $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru pochłania 440 gramów chloru, przyczem powstaje t. zw. kwas solny gazowy. Widzimy więc, że $12\frac{1}{2}$ grama wodoru nasycają apetyt 100 gramów tlenu i 440 gramów chloru.

Widzieliśmy, że 100 gramów tlenu można nasycić $12\frac{1}{2}$ gramami wodoru, ale chloru potrzeba na to aż 440 gramów; teraz, kiedyśmy otrzymali kwas solny, wiemy, że skromna porcja $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru odznacza się wielkim apetytem na chlor i pochłania go na 440 gramów, to znaczy, że $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru ma takiż apetyt, jak 100 gramów tlenu i dla tego to $12\frac{1}{2}$ grama wodoru łączy się ze 100 gramami tlenu na wodę zwyczajną.

To, cośmy żartobliwie nazwali chemicznym apetytem, nie jest w rzeczywistości niczem innym, jak chemiczną siłą przyciągającą; ostatecznie przychodzimy do wniosku, że ponieważ 100 gramów tlenu łączy się tylko z $12\frac{1}{2}$ gramami wodoru, przeto chemiczna siła 100 gramów tlenu równa się ściśle sile przyciągającej $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru.

W ten sposób zachowują się względem siebie nie tylko tlen, wodór i chlor, ale i wszystkie znane nam pierwiastki chemiczne

Wł. U.



H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).



Nie ociągał się bynajmniej, lecz z całem przejęciem uczonego, który mówi o ulubionym przedmiocie, zaczął mi opowiadać o swym wynalazku. Ja słuchałem go uważnie, a choć niezupełnie rozumiałem, bo jako specjalista używał mnóstwo wyrazów technicznych, które dla niego były proste i jasne, a dla mnie nowe i niezrozumiałe, lecz porywał mnie swą wymową, więc po-

takiwałem jego dowodzeniom, a gdy się zatrzymywał, mówiłem:

— Mów pan dalej!

Z tej prelekcji ściśle naukowej wyniosłem jednak przekonanie, że nie był to żaden maniak, ale poważny badacz, którego odkrycie mogło być istotnie wielkie i pożyteczne. Gdy mi powiedział, że ma u siebie laboratorium i trzech robotników pracujących pod jego kierunkiem, pojąłem, że to nie żadna mrzonka, ale rzecz, którą warto zbaczyc i poznać. To też, gdy mnie zaprosił i obiecał pokazać swe prace, przyjąłem skwapliwie jego zaproszenie.

Żegnając się ze mną, zaczął mnie przeproszać, że mi tyle zabrał czasu, lecz tak rzadko z kim może rozmawiać o swej pracy, a to jest dla niego tak wielką przyjemnością, i szczerze mi dziękował, że go wyciągnąłem na tę gawędę.

— Mało obcuje z ludźmi uczonymi — rzekł — bo często są oni drobiazgowi i zazdrośni, a doprawdy jak się ma w głowie jakąś nową, wielką ideę, to te ludzkie drobnostki bardzo nużą — ale nie chcę bynajmniej obmawiać naszych uczonych.

Jestem człowiekiem szybkich postanowień, ten człowiek bardzo mi się podobał, a że w głębi duszy wyrzuciłem sobie, że go pozbawiłem jedynej przyjemności, jaką był dla niego popołudniowy spacer, rzekłem więc pośpiesznie:

— Nie sądzę, abym mógł odstąpić panu swoje mieszkanie, ale może pan zechce w miejsce przechadzki, którą panu zepsułem, przychodzić codzień do mnie o tej godzinie i opowiadać mi o postępie swych poszukiwań. Poniemaj jestem zupełnym profanem w tej gałęzi wiedzy i człowiekiem uczciwym, nie wykradnę panu tajemnicy jego odkrycia.

Nieznajomy zdawał się rozważać moją propozycję. Po chwili rzekł:

— Boję się znudzić pana.

— Sądzisz pan, że za mało jestem inteligentny, ażeby być pańskim słuchaczem?

— O nie, ale ten język techniczny...

— Nie wiem, ale dzisiejszym wykładem niezmiernie mnie pan zajął.

— Takie pogadanki byłyby wielką pomocą dla mnie — rzekł rozpromieniony — bo nie tak nie rozjaśnia nowych pojęć, jak objaśnianie ich drugim. Dotąd...

— A więc rzecz ułożona między nami, drogi panie — odparłem.

— Dobrze, ale pan ma swe zajęcie, pan nie ma czasu na takie pogawędki.

— Wszak i mnie po pracy należy się jakiś wypoczynek, pańskie pogadanki będą tym wypoczynkiem.

Zgodził się lecz z ostatniego schodka werendy wrócił się jeszcze i rzekł:

— Jestem panu bardzo, bardzo obowiązany.

Spojrzałem na niego zdziwionym wzrokiem.

— Wyleczyłeś mnie pan zupełnie z mego śmiesznego mruczenia.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem, że miło mi jest, gdy mogę wyświadczyć komu jakąkolwiek usługę.

Odszedł. Widać, że moja propozycja wróciła mu swobodę myśli, bo idąc, zaczął po dawnemu gestykulować i głośno mruczyć, lecz teraz nie dziwiło mnie to, bo wiedziałem, że umysł jego cały był pochłonięty jakimś nadzwyczajnym pomysłem.

Przez parę następnych dni przychodził regularnie i miewał prawdziwe prelekcje z dziedziny fizyki i chemii, a ja słuchałem go uważnie, mówiąc od czasu do czasu, odpowiednio do jego twierdzeń: „tak,” mów pan dalej, lub „rozumiem pana.”

Jeszcze przy pierwszej jego wizycie przedstawiliśmy się sobie, nowy mój znajomy nazywał się Cavor, a mówił tak jasno i z takim przejęciem, że choć byłem zupełnie nieukiem w jego specjalności, jednak zaczynałem rozumieć go naprawdę i przejmować się jego wynalazkiem na równi ze sztuką, którą pisałem bardzo powoli, niestety.

Jakoś w tydzień poszedłem z rewizytą do Cavora. Dom jego był obszerny, lecz bardzo zaniedbany; nie trzymał żadnej służby oprócz trzech robotników; w prywatnym swem życiu był to skończony filozof. Za napój miał wodę, żywił się chlebem, mlekiem, jarzynami i owocami. Całe swe mieszkanie urządził jak fabrykę, złożoną z różnych warsztatów. Na dole były warsztaty mechaniczne, komin w kuchni i kocioł w pralni przerobione zostały na piece i tygle do przetapiania metali. Pokazywał mi to wszystko z zapałem samotnego badacza, który dotąd żył tylko ze swymi świetnymi pomysłami, a teraz znalazł słuchacza, który go rozumiał...

Trzej jego robotnicy byli: Spargus, dawny marynarz, obecnie kotlarz i kucharz, Gibs stolarz, trzeci Brown, dawny ogrodnik, teraz do wszystkiego. Ludzie to byli chętni, silni i sumiennie wykonywali pomysły Cavora podług planów, kreślonych przez niego, nie rozumiejąc ich sami.

Celem poszukiwań i doświadczeń Cavora było wytworzenie substancji t. j. ciała chemicznego, któreby nie przepuszczało siły przyciągania, podobnie, jak szkło nie przepuszcza elektryczności, jak ciała nieprzezroczyste, nie przepuszczają światła, a metale promieni Rentgena i t. p.

— Widzisz pan — powiedział — wszystko, co znamy dotąd podlega wzajemnej sile ciężkości, której prawa Newton pierwszy określił. Ziemia i komety ciążą do słońca; atmosfera, woda i to co jest na ziemi, utrzymują się na jej powierzchni, bo podlegają tej sile, dzięki której istnieje ciężar i waga. Otóż ja twierdzę, jestem na śladzie takiej kombinacji chemicznej, która będzie zatrzymywała działanie energii, będącej owem przyciąganiem, jak na przykład okiennica zatrzymuje i nie przepuszcza działania energii świetlnej, a tafla szklana, przepuszczająca światło, zatrzymuje działanie elektryczności. Rozumiesz pan? — zawołał, zapalając się — a połączywszy *helium* z pewnemi solami przy pewnych warunkach — mam nadzieję wytworzyć substancję, która będzie złym przewodnikiem siły ciężkości. Jeśli z tej substancji zrobię kawał blachy i podłożę ją pod centnarowy kamień, straci swój związek z ziemią, straci wszelką wagę, przyciąganie ziemi nie będzie na niego działało — polecą w przestrzeń — rozumiesz pan?

I zaczął objaśniać swoje kombinacje.

— Szczerze dzisiaj żałuję, że gdy on mi tak jasno wykladał, w jaki sposób ma zamiar wytworzyć ów nadzwyczajny metal, ja z tego wszystkiego nie robiłem notatek, a teraz! teraz! Lecz ani mi przeszło wtedy przez głowę, że te notatki takby się dziś przydały dla biednego Cavora i dla całej ludzkości. Łatwo pojmiecie jednak, że gdym się dowiedział nad czym Cavor pracuje, zrozumiałem całą doniosłość takiego wynalazku, i praca jego w tym kierunku za-



Z całem przejęciem uczonego, który mówi o ulubionym przedmiocie, zaczął mi opowiadać o swoim wynalazku.

częła mnie daleko więcej zajmować, niż cała moja literatura. Czem była choćby najlepsza sztuka teatralna, w porównaniu z tem odkryciem, przez który Cavor zrobi zupełny przewrót w świecie?

Módsz się opierać działaniu siły ciężkości, która trzyma i skuwa cały wszechświat i wszystko co na nim istnieje, ależ to zdumiewające, to cudowne! I ja byłem obecny, czyli będę przy narodzinach tej nowej potęgi. Na tę myśl zadrżałem ze wzruszenia. Jakiś nowy człowiek obudził się we mnie. Chciałem działać, zawiązywać towarzystwa dla eksploatawania nowego wynalazku, widziałem Cavora i siebie na szczycie sławy i bogactwa.

Obejrzawszy dokładnie warsztaty i laboratorium Cavora, rzekłem do niego:

— Jest to niezaprzeczenie jeden z największych wynalazków, jakich kiedykolwiek umysł ludzki dokonał. Jutro

przychodzę do pana jako czwarty robotnik, a jeżeli mnie nie zechcesz, to chyba...

Spojrzał na mnie, zadziwiony moim zapalem.

— Czy pan to naprawdę mówisz? A cóż będzie z pańską sztuką?

— To drobnostka w porównaniu z pańskim odkryciem. Czy pan nie rozumie, że ono uczyni przewrót w całym świecie?

Istotnie, on o tem wcale nie pomyślał. Ten uczony badacz pracował nad swym wynalazkiem dla miłości wiedzy. Całą jego ambycją było, dojść do pewnego rezultatu naukowego, dla którego życie poświęcił. Nazwałby tę nową substancję Cavoriną lub Cavoritem, wtedy portret jego, jako zasłużonego badacza, umieściłyby pisma naukowe, zostałby członkiem akademii i... dosyć, dalej nie sięgały marzenia Cavora. Ja zaś z praktycznego punktu widzenia nazywałem jego wynalazek olbrzymim, piorunującym, nadzwyczajnym. To też teraz zamieniliśmy role. On słuchał a ja dowodziłem mu, jakie korzyści możemy odnieść z jego odkrycia.

— Zapewne, masz pan rację — rzekł z przekonaniem. — Dziwna rzecz, jak to wymiana myśli rozszerza widnokrąg naszych pojęć!

— Szczególniej gdy znajdziemy człowieka, który nas rozumie — odrzekłem z powagą.

— Zdaje mi się — rzekł po chwili Cavor — że nie ma na świecie człowieka zupełnie obojętnego na bogactwo. Ale do końca brakuje jeszcze jednej rzeczy.

Zamilkł, ja czekałem co powie.

— Wiedz pan, że mój wynalazek może nas jeszcze zawieść! Często takie wyrachowania są teoretycznie możliwe, a praktycznie niewykonalne. Ale nawet gdy wytworzę tę nową substancję, to znaleźć się mogą inne przeszkody...

— To je usuniemy odrzekłem z mocą.

II.

Pierwsza próba Cavoritu.

Obawy Cavora były płonne. Dnia 14 października roku 1899-go nowa substancja była wynaleziona.

Muszę jednak wyznać prawdę, że w ostatecznej chwili przypadek, marny przypadek dopomógł nam do tego. Cavor stopił razem różne metale, dodając do tego rozmaite sole; miała ta mieszanina wrzeć jakiś czas, a potem powoli zastygać i wytworzyć pożądaną substancję, twardniejącą przy 33° C. (Celsjusza). Lecz zdarzyło się, o czem naturalnie Cavor nie wiedział, że jego robotnicy pokłócili się.



Ruiny zamku w Chęcinach.

Poszło im o palenie w piecu do przetapiania metali. Gibbs, który to zwykle robił, nagle doszedł do przekonania, że powinien to czynić Brown, gdyż on jest ogrodnikiem, a węgiel jest pewnego rodzaju ziemią, bo go kopią. Brown ani chciał słyszeć o tem, dość, że gdy Cavor wyszedł na zwykłą popołudniową przechadzkę, ogień nie zasilany, wygasł zupełnie. Weszło nam to w zwyczaj, że cały ranek pracowałem u Cavora, na obiad szedłem do siebie i o piątej czekałem go z herbatą, którą piliśmy razem, rozmawiając o wynalazku.

W ten dzień pamiętny, właśnie woda w kociołku zaczęła mi wrzeć, spojrzałem w okno i w purpurowo-złoty blaskach zachodu, ujrzałem ruchliwą postać Cavora gestykulującą po dawnemu. Wtem!... Kominy na domu Cavora wyleciały w powietrze, za nimi dach i meble, potem

żyję, że posiadam zdrowe członki i znów mogę swobodnie oddychać. Rozejrzałem się wkoło; jakże wielka zmiana zaszła przez tę chwilę! Purpurowo złoty krąg słońca zakryły czarne chmury, wszystko dokoła pociemniało.

(d. c. n.)

Listy z wycieczek wakacyjnych.

Chęciny i Oblegórek.

Kielce 21 Sierpnia 1901.

Kochana Madziu!

Dziękuję ci za list; czekał na mnie w Kielcach, dokąd szczęśliwie przyjechaliśmy z Ojcowa (patrz N. 20). Jesteśmy



Pałac w Oblegórku.

buchnął ogromny biały płomień. Powyrywało drzewa rosnące koło domu, rozległ się straszliwy grzmot, od którego ogłuchłem na zawsze na jedno ucho, i wszystkie szyby w oknach mego mieszkania wyleciały.

Wyszedłem na werendę aby spotkać Cavora, tu silny wiatr zwał mi poły od surduta na głowę i mimo mej woli, popchnął mnie na drogę ku niemu, lecz w tej samej chwili uczony mój przyjaciel porwany wichrem, krzycząc i machając nogami, uniósł się na metr wysokości w powietrze, potem upadł na ziemię, a potem niewidzialna siła znów go porwała i poniosła dalej z błyskawiczną szybkością, aż wśród nieopisanego zamętu, zniknął mi z oczu.

Gdy rozszedł się dym i popiół opadł na ziemię, zobaczyłem leżący u moich nóg jakby arkusik jakiejś błękitnej, świecącej blaski. Wiatr powoli ustawał i ja czułem, że

tutaj od dwóch dni; zwiedziliśmy w mieście wszystko godne widzenia, a mianowicie: dawny pałac biskupi, katedrę oraz inne kościoły i fabrykę nagrobków marmurowych.

Ponieważ Kielce znasz, więc nie podaję ci wiele bliższych szczegółów, to tylko ci powiem, że uczyniły one na mnie wrażenie małego miasta i nie mogą iść w porównanie np. z Lublinem.

Zato okolice Kielc są przepyszne. Byliśmy wczoraj na górze zwanej Karczówką o samym zachodzie słońca. Nie zapomnę tak prędko tej przechadzki. Purpurowe blaski gwiazdy dziennej ginęły za wzgórzami, lejąc rubinowe, a raczej ogniste potoki na wierzchołki drzew, pokrywających owe wzgórza. Zdawało się, że drzewa o najwyższych gałązkach płonęły, a obok tego niebiański spokój,

wiał od pustych już pól, aby tą ciszą ogarnąć niezadługo i siedziby ludzkie.

Chęciny, o których pragniesz mieć jak najwięcej szczegółów, zwiedziliśmy wczoraj około południa. Z Kielc jedzie się do Chęcin blisko dwie godziny, ale bardzo dobrą szosą. Droga przeszła nam więc bardzo przyjemnie, zwłaszcza, że pogoda była wymarzona, dzień jasny, słoneczny, taki, który to budzi w sercu wdzięczność dla Stwórcy za udzielony skarb życia.

Minąwszy Słowik, ulubioną siedzibę letnią Kielczan, ujrzelśmy niebawem ruiny dawnego Chęcińskiego zamku. Wzniesiony na wysokiej górze, (grzbiet chęciński wznosi się na 1200 stóp nad poziom morza) w blaskach słońca, na tle pogodnego nieba, przedstawił się wspaniale i bardzo malowniczo.

U stóp ruin rozsiadło się miasteczko, niestety brudne, i brzydkie. Powabu nie dodają mu ani trochę marmurowe podmurowania niektórych domów, ani miejscami bruk z marmurowych kamieni!

Na baczniejszą uwagę zasługują kościoły: parafialny, pofranciszkański i kaplica w klasztorze panien Klarysek. Dwie pierwsze świątynie wzniesione jeszcze w XIV wieku, za wpływem Szafranców, gorliwych krzewicieli kalwinizmu, w tej części kraju, dostały się w XVI wieku, temu wyznaniu i dopiero za Zygmunta III powrócono je znowu katolikom. Klasztor ucierpiał srode w czasie wojen za Jana Kazimierza, złupili go zwłaszcza Węgrzy Rakoczego. W kościele parafialnym jest piękny ołtarz z marmuru i alabastru z wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa.

Najprzyjemniejsze wrażenie wyniosłam z klasztoru Klarysek. Są tam jeszcze cztery zakonnice staruszki. Rozmawialiśmy z jedną z nich. Powiedziała, iż ma siedmudziesiąty szósty rok, a sześćdziesiąt lat jest już w klasztorze! Była sierotą, matkę straciła w latach dziecięcych, a ojca zbrojcy zabili, gdy miała lat trzynaście. Bez rodzeństwa i bliższej rodziny, poświęciła się służbie Bożej i wstąpiła do klasztoru w Wieluniu. Po dwudziestopięcioletnim tam pobycie, została przeniesiona do Chęcin i tu dobiega kresu dni swoich. Widać, że życie spędzone w tej cichej przystani, zachowało jej siły fizyczne, przytomność umysłu i pogodę ducha.

Jest dotychczas czynna, zajmuje się kaplicą, gra na organach w czasie nabożeństwa, a w głosie i ruchach posiada tyle jeszcze żywości, że dużo osób, wiele, wiele młodszych mogłoby jej pozazdrościć tego zdrowia ciała i duszy.

Po wyjściu z klasztoru poszliśmy do ruin. Wejście dosyć przykre, śliskie, bo góra roślinami pokryta! Widok z wieży rozległy i piękny, a jaki on musiał być dawniej z najwyższej baszty!

Ślicznie wyglądała błękitna Nida, porośnięta lasem Karczówka i naokół po dolinach rozsiane wioski w otoczeniu pól uprawnych i puszystych łąk!

Wracając do Kielc, wstąpiliśmy do Bolechowa, aby tam zwiedzić łomy marmuru. Około Kielc i Chęcin jest kilka kopalni, ale nie wszystkie są czynne; w niektórych wydobywają tylko kamień zimą, w innych latem. Niedaleko za wioską rozciąga się wzgórze, zapytani przechodnie odpowiadają, że to tam dobywa się marmur. Idziemy więc tam pospiesznie. Nie sądź, że trzeba było zapuszczać się pod ziemię, aby zobaczyć kopalnię. Wcale nie! Praca odbywa się na powierzchni ziemi. Ono wzgórze to góra marmurowa, pokryta tylko lekką i cienką warstwą ziemi!

Z jednej strony wnętrza góry odkryte i widzimy pokład marmuru. Są to wielkie płyty, porozdzielane cienkimi żyłami ziemi. Garstka ludzi wydobywała je za pomocą kilofów. Marmur w Bolechowie wydobywany, jest szary; w innych łomach jest czerwony, a czasem ma bardzo ładne różnokolorowe żyłki. Białego marmuru w łomach chęcińskich niema wcale, ale szarego są pokłady bardzo bogate i niewątpliwie mogłyby być w korzystniejszy sposób wyzyskane.

Z bolechoskiego marmuru w małej fabryce w Kielcach wyrabiają nagrobki, płyty do stołów, umywalni, oraz różne drobiazgi. Wróciwszy do miasta, zwiedziliśmy także ową fabrykę.

Najpierw piłami bez zębów, a tylko z pomocą wody i piasku, tną grube płyty na cienkie deski a raczej blaty, a potem zaczyna się najznuźniejsza praca, to jest szlifowanie. Pierwszą chropowatą ścięra się mokrym piaskiem, a do zupełnej gładkości i połysku doprowadza się marmur przez pocieranie go szmerglem i sproszkowanym ołowiem.

Kupiłam kilka drobnostek w fabryce; nie są one artystycznie wykonane, ale będą zawsze miłą dla mnie pamiątką. Mam i dla ciebie przycisk w formie jajka.

Dziś zrobiliśmy dorożką Kielecką bardzo miłą wycieczkę do Oblegórka, pięknej majętności, leżącej o 12 wiorst od Kielc, ofiarowanej, jak wiesz. Henrykowi Sienkiewiczowi. Sienkiewicz ma w nim zamieszkać na wiosnę roku przyszłego. *) Tymczasem komitet jubileuszowy dobudowuje do dawnego niewielkiego domku piękny pałacyk, urządza park i gospodarstwo.

Z wielką ciekawością i wzruszeniem wybieraliśmy się zwiedzić tę przyszłą siedzibę naszego najznakomitszego pisarza współczesnej doby, który sławę naszej literatury i historii przez swój geniusz rozszerzył po całym świecie i jak mówi tatuś: przypomniał nas światu.

Wyborną szosą piotrkowską jechaliśmy wiorst kilka aż do Miedzianej góry, stamtąd skręciliśmy na boczną drogę niezbyt szeroką i równą. Minąwszy Chęciny z kościołkiem parafialnym i malowniczo położonym młynem wjechaliśmy na pagórek pokryty lasem i ujrzelśmy szeroką dolinę za nią na skłonie wysokich wzgórz, pokrytych obfitą zielonością drzew rozmaitych, wioskę i dwór Oblegórski, który dawniej należał do rodziny Tarłów.

Przed wjazdem do dworu stoi przy drodze maleńka kapliczka, w której niekiedy odprawiają się nabożeństwa. Od niej droga skręca na lewo, mija łąkę i staw, wreszcie podnosi się ku górze i ślimakiem wspina się na wysokie płaskowzgórze na którym wznosi się piękny piętrowy pałacyk z parterowym skrzydłem.

Pokoje wewnątrz jeszcze nie urządzone, ale pałacyk na zewnątrz zupełnie skończony. Niedaleko od niego stoi lipa niezwykle wysoka i tem dziwna, że nie rozłożyła, jak wszystkie lipy samotnie stojące, lecz strzelająca w górę, jak stożek. Pomyślałam sobie, że ta lipa będzie kiedyś tak sławna, jak lipa Jana Kochanowskiego w Czarnolesiu.

Obeszliśmy obszerny park, okalający dwór z trzech stron. Pełno w nim jarów, wawozów, strumieni i źródeł. Jedno z tych źródeł jest bardzo obfite i czyste, woda z niego zawiera trochę kwasu węglanego i jest niezmiernie orzeźwiająca. Podobno tworzy się przedsiębiorstwo, które ma tę wodę butelkować i sprzedawać, jako pierwszą krajową wodę stołową, na wzór takich wód zagranicznych, jak Giesshübler i Apollinaris, które są bardzo używane nawet u nas. Źródło to otrzymało nazwę „Ursus” od owego dzielnego i zacnego Lyga z „Quo Vadis”, który w cyrku przed Neronem powalił za rogi tura i uratował życie swej pani, uroczej Lygii.

Widzieliśmy jeszcze w parku w oddzielnej zagrodzie śliczną sarenkę z młodym jelonkiem, bardzo łaskawych i oswojonych, i opuściliśmy Oblegórek z przekonaniem, że będzie w nim naszemu ulubionemu autorowi bardzo wygodnie i przyjemnie. Jutro mamy jechać w góry Św. Krzyżskie, ale dotychczas nie mamy koni, a dorożką nie radzą jechać, bo to za wielka wyprawa. Odpisz mi do Warszawy, bo za tydzień będziemy już w domu na pewno.

Sciskam cię bardzo serdecznie twoja.

Helena.

przepisała J. W.

*) Wistocie zamieszkał już w roku bieżącym i ma zamiar spędzić w Oblegórku kilka miesięcy letnich wraz z córką i synem, studentem uniwersytetu w Krakowie.
(przyp. red.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).



osłuży za dółtko — dodał szukając kamienia, kamień miał zastąpić młotek.

Dółtkiem udało mu się nareszcie zrobić otwór w blasze. Uderzył go zapach wanilii, to znów zapach szaławii i mięty.

— Czy całą aptekę zakopano w ziemi? — mówił rozszerzając dółtkiem dziurę.

Otworzył blaszane wieko pudła. Leżały w nim pęki starannie ułożonych ziół. Każda wiązka nosiła stosowny napis i notatkę objaśniającą.

— „*Mentha pulegema*” w czasie alteracji żołądka — czytał Stefan. Pismo było kaligraficzne, wyraźne, a co najważniejsze polskie.

— Swoją tu był! rodak tu był! ten sam który zgubił dukata! — powtarzał ślusarczyk. Dukata istotnie musiał być zgubionym przy zakopywaniu skrzynki, gdyż Stefan znalazł go w ziemi, kiedy wszystkie inne przedmioty, doskonale zachowane dzięki suchości gruntu i zalutowaniu pudła zebrane były razem i starannie ułożone.

— Skarb — myślał Stefan, bolesny uśmiech wykrzywił mu usta. Głodny wolałby kawałek chleba, niż te chwasty, któremi jakaś stara klucznica zaopatrywała swoją apteczkę.

Skarb! powtórzył szyszcząc, choć któż zgadnie co dla kogo skarbem stać się może? Wysypał zawartość skrzynki na środek jamy.

— Czemuż to nie zboże? Zaspokoilibym głód gryząc ziarna, a trudno jeść suche owady i motyle, których tu nabitierano także niemało. — Kopnął nogą skrzynkę ale spostrzegł, że na dnie leży mały skórzany woreczek.

— Złoto! zawołał z wrastającą goryczą. — Cóż mi po złocie, ja chcę chleba! ja chcę jeść!

W woreczku było istotnie 20 sztuk złota z takim samym jak znaleziony dukat stępem i kawałek poślółkłego pergaminu. Stefan na widok pisma zapomniał o głodzie zbliżył się do ognia i czytał co następuje:

„Ja Jan Chryzostom Dundera, urodzony w mieście Gdańsku anno Domini 1585, towarzyszyłem imię panu Krysztofowi Arciszewskiemu w jego do kraju Brazylijskiego nawigacji. Czyniłem zaś to nie przez wojenny animusz, ale przez wrodożną ku poznaniu wszelkiej fauny i flory ciekawość. Gdy więc nadarzyła mi się tak dobra okazja nabrania experyencji osobistej, popłynąłem ku insulom, stały ląd Ameryki otaczającym. Tu, gdy imię pan Arciszewski, marszał kontentując, na chwałebnych victoriach czas trawił, ja dla poznania rozlicznych insektów i skutecznych ziół nawigowałem dalej po falach oceanu, a wpłynąwszy na niepoślednie fluwium, dostałem się w samo cordem puszczy. Gdy jednak szpetna wód natarczywość zabrała nam łódź, dążę z kompanionami per pedes do oceanu, zebrane zaś plody flory i fauny, co delikatniejsze w skrzynce blaszanej, większe inclusive z tąż skrzynką w beczce zakopuję, suponując, że uda mi się za powrotem w te strony własność moją odzyskać. Gdyby jednak złośliwe fatum na nowe narażić mnie miało impedimenta, suplikuję znalazcę niniejszego, aby salwował te zbiory i takowe imię panu Arciszewskiemu do Perifueru, gdzie równie chwałebne jak pod Parahibą odnosi victorie, odesłał, za co niechaj sobie dwadzieścia czerwonych złotych, które na dnie pudła zostawiam, zatrzyma i mnie w życzliwej amicitii chowa”.

Jan Chryzostom Dundera

10 Aprylis anno Domini 1636.

Tekst polski był powtórzony po łacinie i takimże opatrzone podpisem. Ogień przygasł, bo Stefan zapomniał podniecać płomienia. Zapomniał o głodzie o niebezpieczeństwie własnem, to, co przeczytał, wpawiło go w osłupienie. Miał w ręku niezbitą dowód, że w tym samym miejscu, w którym się znajdował teraz, przebywał kiedyś uczony Polak, że nie szczędził on życia dla wiedzy. Każda praca budzi cześć, tem więcej praca dla nauki, zwłaszcza wtedy, gdy naraża na kalectwo lub śmierć. Iluż chemików straciło zdrowie w czasie doświadczeń laboratoryjnych, ilu podróżników przepadło od mrozów podbiegunowych lub na bezbrzeżnych pustyniach Afryki!

— Czy Dundera zdołał się ocalić? — myślał Stefan.

Pani O'Clear utrzymywała zawsze, że więcej ludzi marnieje przez brak ideału, niż ginie dla ideału, może więc i on wrócił szczęśliwie do kraju, a tylko nie potrafił uratować swoich zbiorów.

Musiąo ich być dużo, Stefan dobywał coraz więcej klepek. Beczka znajdowała się głęboko pod ziemią, bo wlewy rzeki pokryły pierwotny ład grubą warstwą mułu.

— Chryzostom Dundera, Chryzostom Dundera! powtarzał Stefan i nazwisko obce mu dotąd nabrało znajomych dźwięków. Widział niemal tego, o którym myślał teraz nieustannie, niepomny na to, że jest sam w trudniejszym niż uczony położeniu, że głód upomni się za chwilę o swoje prawa. Ale taka to już błogosławiona siła młodości i szlachetnego zapалу, odnosi ona tryumf nad najpierwszemi potrzebami życia.

Arciszewskiego wypędziła z rodzinnej Wielkopolski obawa kary za popełnione przez zemstę zabójstwo.

Zbieg Arciszewski walczył naprzód przy oblężeniu Roszelli 1628 roku, wkrótce jednak zmienił służbę francuską na holenderską i mianowany głównym dowódcą wojsk wysłanych do Ameryki, odebrał Hiszpanom Brazylię, odniósłszy sławne zwycięstwo pod Parahibą i Peryfuero 1634 r.

— Parahiba! — myślał Stefan — sternik wskazywał mi to miasto kiedy dopływałem do Brazylii, jakże mogłem o nim zapomnieć na chwilę!

Pani O'Clear czytała wracającemu do zdrowia ślusarczykowi dzieje Arciszewskiego, wiedział, że rycerz obdarzony najprzód zaszczytami przez rząd holenderski, został potem, gdy cudzoziemcowi pozazdroszczono sławy, haniebnie opuszczony od tych, na których wdzięczność wiekopomnemi dziełami zasłużył.

— Wrócił do kraju ale nie przyniósł swoim tyle pożytku ile dał go obcym. Antajos oderwał się od Gai, brakło mu tych sił, których tylko matka ziemia użycza synom, mówił Stefan, a mówił z coraz większem rozdrażnieniem.

— Może i tam w górze, nade mną trwa jeszcze bój? Odpędziliśmy Botokudów pierwszego maja, ale ileż dni upłynęło od tego czasu? Nie liczę godzin, gnijąc w jamie, nie wiem nic, nie pomogę już nikomu, zginę jak zginęli koloniści, jak zginął Chryzostom Dundera.

Głowa mu pałała, nie czuł teraz już nawet głodu, tylko jakieś dziwne łamanie w kościach i dreszcz. Biegał dookoła jamy, próżno Kadysia próbowała mu się przymilać, tupnął nogą zniecierpliwiony.

— Czego chcesz ode mnie? Ja nic już dla nikogo zrobić nie mogę, nie zdobędę nic, zmarnieję na obcej ziemi.

Spojrzał po swoim więzieniu, robiło się ono coraz więcej ponure, w miarę jak przygasał ogień.

— Gotowy grób — pomyślał i wstrząsnął nim tak silny dreszcz, że zachwiał się na nogach.

— Na to kochałem, na to opuściłem Jakóba, na to narażałem własne życie dla drugich, dla idyoty Nesabila, żeby ginąć głodową śmiercią, bo ja umrę, muszę umrzeć, nie dopiąwszy celu, a tyle ich pięknych, widniało przede mną!

Leżał, i choć w jamie było już prawie zupełnie ciemno, zasłonił twarz rękami. Potem zerwał się z ziemi, padł na kolana, błagał Boga o odwagę w obec głodowej

śmierci, o wyzwolenie od niej, jeśli taką była wola Najwyższego!

Mylili mu się słowa pacierza, ogarniała go gorączka, tracił świadomość swego położenia, głowa ciążyła i bolała nieznośnie.

— Co mnie jest? Dlaczego nie czuję głodu, tylko gorąco, kiedy przed chwilą było mi bardzo zimno?

Chciał wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, zerwał się jednak, odzyskał przytomność, próbował zdać sobie sprawę ze swego stanu. Zadrżał, bo w obezwładnionym przez głód mózgu zrodziło się straszne przypuszczenie.

— Żółta febra, ja mam paroksyzm żółtej febrы, trzeba się ratować! Był istotnie chory, trząsał nim dreszcz, męczyła gorączka, której nabawiła go wilgoć jamy.

Biedny Stefan! Choroba jest zawsze źle widzianym gościem, ale w warunkach, w jakich znajdował się nasz bohater groza jej przechodziła zwykłą miarę.

— Czemuż nie mam mojej apteczki — westchnął i nagle stanęły mu na myśli zioła Dundery. Widział między niemi takie, które odwrócić mogło febrę. Zwlókł się z ziemi, rozniecił ogień klepką i otworzył pudło uczonego. Stwierdził, że poklasyfikowane rośliny opatrzone były w napisy objaśniające.

— *Salsaparylla*, dobre na spędzenie złośliwych humorów we krwi — czytał Stefan.

— *Absynth*, podobny do naszych goryczek, poleca się w bólach żołądka.

— *Kora drzewa*, skuteczna na trzęsionki i wszelakie febris złośliwe.

Tego właśnie szukał biedny chory. Chciał się ratować a wiedział, że trzyma w rękach korę drzewa chinowego znaną od paruset lat, chociaż chinę właściwą używać zaczęto dopiero w dziewiętnastym wieku. Trzęsły mu się ręce, serce biło przyspieszonym tętnem, — a on czuł, że tają w nim wszystkie złe uczucia, jakich doznawał przed chwilą.

Nie pytał już, czy warto narażać życie dla szlachetnej myśli, bo przekonał się, że nie ginie żaden okrucieństwo podniosły bez pożytku, jak nie ginie w naturze ani jeden atom stworzony.

Padł znów na kolana i dziękował Bogu za odzyskany spokój. Mógł już teraz umierać bez żalu.

— Kto wie, gdzie i na kim odbije się zrzędzeniem Opatrzności fala dobrej woli? Mnie ratuje w chorobie praca Dundery? — myślał żując gorzką korę, do której czuł dziwny pociąg. Drżały mu ręce z gorączki, męczyła się chwilami pamięć, ale wracało zawsze toż samo uczucie pociechy do serca, że wedle sił służył dobrej sprawie, że nie przeniwierzyl się ideałom, które szczepił w sercu znajdy dobry proboszcz.

Miał jeszcze trochę koniaku, wypił połowę zawartości flaszki, gdyż było mu chwilami bardzo zimno, doznał ulgi, ale popadł w stan gorączkowego odrętwienia:

— Jeżeli to jest żółta febra, nie obudzę się już — myślał zasypiając spokojnie, bo sumienie sieroty było czyste,

męczył go tylko wielki szum w głowie. Gorączka odjęła mu przytomność, leżał obojętny na pieszczoty maćki a przed oczami znajdowały postacie osób znanych, niewidzianych dawno. Zapomniał wrażeń ostatnich dni, nie myślał już ani o napadzie Botokudów, ani o uczonym Dunderze, wracała mu natomiast pamięć przeszłości tak odległej, że istnieć ona mogła tylko w fantazji dziecka. Przewidywał nadchodzącą godzinę śmierci i tęsknił do uścisku matki.

(c. d. n.)

PROZA I POEZJA.

(Niezabudka).

O dziecię! gdy wyrośniesz, niech uplecie twa dusza cnot cichych wianek, niech władza twej miłości sprowadza serca bratnie w splot harmonijny.

Komu zagasną gwiazdy, ty tchnij własną nadzieję w noc jego życia; w twem łonie wiara czysta niech płonie jak kaganiec, i moc twą skrzepia.

Niech cicha dłoń twoja, jak skrzydło anioła kwiat dokoła rozsiewa; świat boli wciąż i cierpi, ty chętnie skłoń ucho ku wszelkiej niedoli.

Modlitwa, praca i pieśń niech drogi twej ślad znaczą; przy nich ubogi zakres życia ozłaca serca.

A gdy Bóg zesle ci z swej łaski natchnienia, niech odbłaski jej promienne ocienia pokora.

Mąż bierze działem rozgłos, niech mu dni płyną w chwale; nam iść doliną zieloną w miłości i wierze.

Niech nas w pomrocy wiedzy żywa nie powinności; zdrój toczy czyste wody, póki przepływa w cieniu.

(Ułożyć z tej prozy poezję; trzy pierwsze zwrotki powinny mieć po sześć wierszy, nierównozgłoskowych, cztery następne po cztery wiersze o jednakowej liczbie zgłosek).

ROZWIĄZANIA DO N-ru 34-go.

Szarady: Przy — wią — za — nie.

Kryptografu literackiego:

Potop, Ofiara, Jedynaczka, Eli-Makower, Dzieci w dawnych czasach, Niedźwiedź, Anielka, Na oceanie Spokojnym, Iskierki. Pojednani.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Ś. p. Henryk Siemiradzki (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa (z ryc.) — Listy z wycieczek wakacyjnych, Heleny. — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Łamigłówna i rozwiązania. — Dodatek: O Bubulisi i jej braciszku Bubu (ryc.) — Wiązanie wnuczek, obrazek dramatyczny. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówna i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Вapшaвa 18 Aбpыcтa 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Król gór i skał.

Wspaniała budowa ciała, niezmierna siła wzlotu i przeświadczenie o swej potędze widne w poważnej, a zarazem zuchwałej postaci orła, zyskały mu od dawna miano króla ptaków, i skłoniły wielu władców ludów wojowniczych, między innymi starożytnych Persów i Rzymian, do obrania go za widome swe godło, za symbol potęgi i świetności.

Często też stawiano orła za wzór szlachetności, przypisując mu przymioty, jakich ptak ten z natury swej wielce drapieżny a więc i okrutny, posiadać nie może. Dziś też jest już rzeczą stwierdzoną, że orły to potężne, krwiożercze bezwzględne rozbójniki, to najstraszniejsi wrogowie zwierząt i ptaków, od sarny, gemzy i antylopy, do królika i świstaka, od łabędzia i dropia, do małego skowronka.

To też gdy orzeł spuszcza się w doliny z wyżyn skalnych, na których ściele swe gniazdo i silny głos jego, podobny do krakania

jastrzębia zabrzni w powietrzu, każdy zwierz i ptak szuka w największym popłochu bezpiecznego ukrycia, bo tylko ucieczka obronić go może przed siłą skrzydeł i szponów drapieżnika. A nawet ucieczka ta nie jest łatwa, bo orzeł spada lotem błyskawicy, zaznaczając się w powietrzu za-

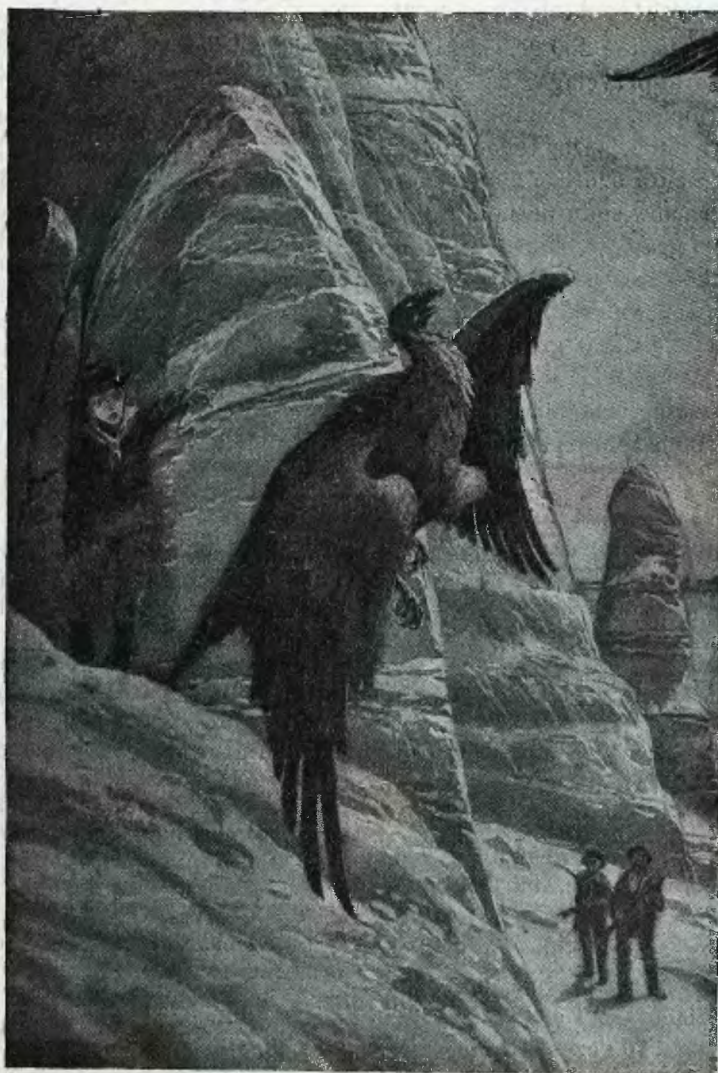
ledwie jako mały, ciemny punkcik — a porwawszy w szpony swą zdobycz, znika równie szybko, jak się ukazał.

Tak niebezpiecznego wroga wszelkiej zwierzyny, starają się mieszkańcy krajów górzystych tępić o ile możliwości, jakkolwiek są to trudne i nierzadko z niebezpieczeństwem połączone łowy.

Jedną z takich myśliwskich scen, rozgrywających się w wyżynach alpejskich, przedstawia nasza rycina.

Kilku nieustraszonych górali, wypatrzywszy gniazdo orle, wdarło się na skały, by wybrać pisklęta, lecz zanim jeszcze zdążyli ująć z cenną zdobyczą, zostali napadnięci przez parę starych, usiłujących pomścić wyrządzoną sobie krzywdę.

Tak rozpoczęta walka mogłaby się dla śmiazków bardzo smutnie zakończyć,



gdyby nie byli zaopatrzeni w broń palną, której strzały powaliły skrzydlatych mocarzy.

M. D.

Pogadanki z dziedziny chemii.

XII. Dla czego pierwiastki wstępują ze sobą w związki w pewnych stosunkach wagowych?

Poznawszy dziwne zachowanie się względem siebie pierwiastków chemicznych i sposób działania na nie siły przyciągającej, musimy teraz zadać sobie trud i oznaczyć w ścisłych liczbach, jaką ilość danego pierwiastku wziąć potrzeba, ażeby jego siła przyciągająca wynosiła akurat tyle co siła przyciągająca 100 gramów tlenu.

Biorąc węgiel, dochodzimy na zasadzie doświadczeń do przekonania, że 75 gramów tego pierwiastku łącząc się ze 100 grami tlenu tworzą 175 gramów t. zw. tlenku węgla czyli czadu, który często jest przyczyną nieszczęśliwych wypadków. Z tego wypływa, że 75 gramów węgla ma taką samą siłę chemiczną co 100 gramów tlenu, $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru, albo 440 gramów chloru.

Robiąc próby z siarką widzimy, że ma ona dwa razy mniejszą siłę przyciągającą aniżeli tlen, to znaczy, że dla nasycenia 100 gramów tlenu trzeba wziąć 200 gr. siarki. Fosfor ma prawie 4 razy mniejszą siłę przyciągającą, od tlenu, trzeba go więc wziąć 400 gramów, chcąc zrównoważyć siłę przyciągającą 100 gramów tlenu. Do tego samego celu musielibyśmy wziąć 170 gramów azotu i 290 gramów sodu. Z tego wynika, że 290 gramów sodu posiadają taką samą siłę przyciągającą, co 400 gramów chloru, gdyż powyższe ilości obu tych pierwiastków nasycają 100 gramów tlenu. Doświadczenie popiera ten wniosek, gdyż rzeczywiście 440 gramów chloru łącząc się z 290 gramami sodu, daje 730 gramów soli kuchennej.

Nie powinniśmy się więc dziwić, jeżeli chemik potrzebuje tylko zważyć ściśle garść soli, ażeby powiedzieć, ile zawiera ona sodu, a ile chloru.

Chcemy tutaj przytoczyć jeszcze kilka innych znanych pierwiastków i postawić obok nich liczby, oznaczające, ile gramów każdego z tych ciał trzeba wziąć, ażeby nasycić siłę przyciągającą 100 gramów tlenu.

Otóż doświadczenia wykazały, iż żelaza trzeba wziąć 350 gramów, cynku 509, cyny 737, ołowiu 1294, miedzi 396, rtęci 1250, srebra 1350, złota zaś 2462 gramy.

W liczbach tych uderza nas ta ważna okoliczność, że pierwotnie stosowaliśmy je tylko do tlenu, tymczasem pokazało się, że mają one jednakowe znaczenie dla związków pomiędzy wszystkimi pierwiastkami. Przypuśćmy, że ktoś chce zrobić cynober, piękną czerwoną farbę, bardzo cenioną przez malarzy; w takim razie ile trzeba wziąć siarki, a ile rtęci? Ścisłą odpowiedź na to pytanie znajdziemy w powyższych liczbach: 200 części siarki, jak już powiedziano, mają siłę przyciągającą 100 części tlenu; 1250 części rtęci mają siłę przyciągającą także 100 części tlenu, z tego więc wynika, że 200 części siarki trzeba połączyć z 1250 częściami rtęci, ażeby otrzymać cynober.

Podobnie moglibyśmy obliczyć, w jakim stosunku łączą się pomiędzy sobą inne pierwiastki. Jest więc jasne, że wszystkie chemiczne pierwiastki znajdują się w ściśle określonym stosunku względem siebie, tak, iż chcąc otrzymać pewne chemiczne działanie, możemy zastępować dany pierwiastek innym, byleby tylko brać go w odpowiedniej ilości.

Taki stan rzeczy nie może być jednak przypadkowym, lecz musi wskazywać na istnienie ścisłego prawa przyrody. Trudno przecież przypuścić, żeby prosty przypadek sprawiał, że 200 gramów siarki łączy się zawsze z 1250 gramami rtęci. Musi drzeć tutaj jakaś siła, która sprawia, że wszystkie związki chemiczne odbywają się prawidłowo wtedy tylko, jeżeli dwa pierwiastki weźmiemy w takich ilościach, ażeby siły przyciągające były równe.

Wł. U.



H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).



Spojrzałem z niepokojem na dom, w którym mieszkałem, wiatr zerwał z dachu komin i ani jednej szyby nie pozostał w oknach, zresztą dom stał na swoim miejscu.

Powoli poszedłem szukać Cavora w tę stronę, gdzie mi zniknął z oczu. Z poza osmalonych drzew małego gajku, widać było dom jego w płomieniach, ale Cavora ani śladu. Strasznie zaniepokojony szedłem w stronę płonącego domu, a zbliżywszy się, zobaczyłem pod murem ogrodu stos połamanych gałęzi, opalonych liści pomieszanych z błotem; wśród tego wszystkiego coś się ruszało. Poskoczyłem żywo naprzód i w tej samej chwili podobny do obłoczonej beczułki, Cavor na swych cienkich nóżkach wyłonił się z tego rumowiska.

Boże, jak on wyglądał! Cały oblepiony błotem, w podartem ubraniu, przecierał oczy zasypane kurzawą. Pomimo tego twarz miał rozpromienioną, a ujrawszy mnie, wyciągnął zabłoconą rękę i zawołał:

- Powinszuj mi pan, powinszuj!
- Winszować panu czego? — odrzekłem zdziwiony.
- Jest, jest Cavorit!
- Cavorit? Ale co spowodowało ten wybuch?

Zamyślił się i zaczął coś mówić półgłosem do siebie o męczennikach nauki, gdyż sądził, że trzech jego robotnicy zginęli z powodu wybuchu, a oni, jak się później okazało, zaraz po wyjściu z domu Cavora, poszli na szklanę piwa, i w chwili wybuchu nie było w domu żywej duszy.

Prosiłem Cavora, aby poszedł do mnie, bo o ratowaniu jego domu nie było już co myśleć.

Wziąłem go za ramię i obadwaj chwiejąc się trochę na nogach i potykając, przyszlismy do mego porządnie uszkodzonego mieszkania.

Cavor wciąż był zamyślony, w końcu rzekł:

— To powinno było nastąpić, taki musiał być ostateczny rezultat, udało mi się wymślenie!

Zdziwiony tem jego zadowoleniem, rzekłem:

„Nie wiem, czy się udało wymślenie, gdyż wybuch spustoszył okolicę na parę mil dokoła (przyp. tłum)."

— Ale cóż to znaczy w porównaniu z tem wielkiem odkryciem — odrzekł wesoło. — Prawda, że nie przewidziałem, iż wybuch może być tak gwałtowny, ale wszystkie te straty są drobnostką wobec tej olbrzymiej naukowej zdobyczy.

— Drogą panie — zawołałem oburzony jego obojętnością — czyż nie rozumiesz, że przez ten wybuch ludzie ponieśli straty na tysiące funtów szterlingów?

— Prawda, prawda — rzekł skruszonym głosem — ale pan wie, że jestem człowiekiem niepraktycznym, i nic nie widzę poza memi badaniami i doświadczeniami. W tym wypadku zdaje się na pańskie milczenie, jeżeli nie wyjawisz przyczyny wybuchu, to ogół weźmie to wszystko za cyklon, który bywa niekiedy właśnie o tej porze roku.

— Dlaczego jednak ten wybuch nastąpił?

— To nie był wcale wybuch. Z powodu pewnej nieostrożności, a mianowicie zbyt prędkiego ostudzenia pieca, wytworzyła się nagle znaczna ilość nowej substancji — Cavoritu. Mówiłem już panu przecież, że Cavorit nie pozwala ziemi przyciągać przedmiotów znajdujących się nad nim, czyli izoluje jedne ciała od drugich pod względem wzajemnego przyciągania.

— Cóż dalej?

— Widzi pan, jak tylko temperatura spadła do 33° z mieszaniny, którą przygotowałem, wytworzyła się wielka ilość nowej substancji o szerokiej powierzchni, wskutek czego powietrze, część dachu i sufitu będącego nad nią, że tak powiem oderwało się od ziemi. Wszyscy przecież wiemy, że powietrze ma swój ciężar gatunkowy, i na każdy przedmiot znajdujący się na kuli ziemskiej wywiera ciśnienie w stosunku 14½ f. na jeden cal kwadratowy.

— Wiem o tem, mów pan dalej.

— Otóż Cavorit zniósł to ciśnienie dla całego słupa atmosfery, będącego nad nim; w słupie tym powietrze nie wywierało już na dach domu owego ciśnienia 14½ f. na cal kwadratowy, tymczasem z boków owego słupa nic się nie zmieniło, ziemia przyciągała i powietrze tłoczyło, jak zwykle. W skutek tego naturalnie część sufitu i dach domu musiały wylecieć w powietrze. Utworzył się pewien rodzaj komina czy fontanny atmosferycznej, która z impetem wyrzucała wszystko w górę, w przestwór między planetarny! Na miejsce pędzonego w górę powietrza z boków napływało nowe i tracąc także wagę ulatywało w przestworza.

— Ależ taką fontanną można wypompować całą atmosferę otaczającą ziemię! Ten pański Cavorit może uśmiercić całą ludzkość!

— A tak, a tak — odrzekł Cavor. — Gdyby ta trąba Cavoritu była przymocowana i nie uleciała sama z powietrzem, toby to pompowanie trwało dotąd i można byłoby ziemię pozbawić powietrza. Po pewnym czasie wróciłoby napowrót na kulę naszą; ale wszystkie istoty żyjące jużby się udusiły z braku powietrza.

To dowodzenie jego zgnębiło mnie. Czułem prawie obawę, myśląc o wynalazku Cavora.

— Cóż pan teraz zrobisz? — zapytałem.

— Najprzód poproszę pana o szpadel, bym mógł zeskrobać z siebie to błoto, potem korzystając z pańskiej gościnności poproszę o kąpiel, a później naradzimy się co robić. Podług mnie nie trzeba mówić nikomu o tem, co zaszło, gdyż próba zrzuciła wielkie szkody sąsiadom, a w tej chwili nie jestem w stanie ich wynagrodzić. Zagłębiając się w mych badaniach nie mogłem przewidzieć tego wszystkiego. Właśnie potrzebuję pana na współnika do eksploa-

towania mego wynalazku. Ja będę teoryą, a pan praktyką, wtedy wszystko pójdzie dobrze. Gdy zarobimy, to zapłacimy tym ludziom odszkodowanie, ale teraz nie mogę tego uczynić. Poniesione szkody przypiszę cyklonowi, prasa zbierze składki dla ofiar, a ponieważ mój dom zupełnie zniszczony i mnie wypłaca asekuracyą. Za te pieniądze będę mógł udoskonalić mój wynalazek, czyli zastosować go w praktyce. Gdyby zaś dowiedziano się teraz, że ja jestem sprawcą tej katastrofy, pociągnięto by mnie do odpowiedzialności, sami nic nie dostaną a wszystko przepadnie. Widzi pan zatem, że od naszego milczenia zależy powodzenie sprawy. Teraz druga rzecz: nie mam obecnie funduszu na odbudowanie mego domu, a trzeba nam się zabrać do roboty, więc chyba w pańskim zacniemy pracować na nowo?

Umilkł i spojrzał na mnie.

Zastanowiłem się co mu odpowiedzieć, bo taki gość — wynalazca, to trochę ryzykowny gość.

Po chwili rzekłem.

— Zobaczymy, zobaczymy, a teraz oczyść się pan z tego błota — i wybiegłem po szpadel do ogródka.

Potem napiliłem w łazience, napiliśmy się herbaty, a gdy wanna była gotowa, Cavor poszedł się wykapać, ja zaś, zostawszy sam, zapaliłem fajeczkę i zacząłem rozmyślać nad całym tym interesem.

Wynalazek Cavora był wielki, ale czy użytkowny praktycznie, przyniesie nam majątek? Może tylko wyleciemy w powietrze jak dom jego wyleciał? To byłoby trochę za mało i za wiele zarazem. Biłem się z myślami, czy wejść z nim w spółkę czy nie? Ale cóż? byłem młody, rzutny, nie wiele miałem do stracenia, więc bądź co bądź postanowiłem zaryzykować. Zaraz nazajutrz zabraliśmy się do roboty; trzeba było najprzód urządzić nowe laboratorium tymczasem robotnicy Cavora, którzy, jak wiemy, nie byli przy energicznej próbie Cavoritu, urządzili bezrobocie, bo nie chcieli pracować pod moim kierunkiem. Uspokoilem ich po dwóch dniach. Cavor był w swoim żywiole, zacierał ręce i powtarzał wesoło:

— Złapaliśmy tatara, teraz idzie o to, aby go utrzymać i użytkować. Postaramy się nie ogołocić ziemi z powietrza, ale wszelka próba to ryzyko! Pan jesteś ogłędny, i zdaje mi się, że we dwóch dokonamy wielkich rzeczy. Wie pan, to dziwne, ale właśnie wtedy, gdy ten impet powietrza porwał mnie i niósł nad ziemią, przyszła mi myśl, żeby Cavorit wyrabiać w cienkich arkuszach, z lekko zagiętemi brzegami. Co pan na to mówi?

Jest to chyba najlepsza forma, jeżeli go mamy zastosować do użytku praktycznego — odrzekłem z przekonaniem.

III.

Budujemy sferę.

Szliśmy pewnego dnia z laboratorium na herbatę, gdy nagle Cavor po długim milczeniu zawołał:

— Tak, właśnie tak. To będzie doskonale! Rodzaj okiennicy zwijanej w wałek.

— Co pan mówi? Okiennica, gdzie?

— W Cavoritowym domku, rozumie się — odrzekł Cavor.

Dotąd nie mówiliśmy jeszcze, jak zastosujemy nowy jego wynalazek, lecz te słowa Cavora dały mi poznać, że on już coś obmyślił. Gdyśmy więc zasiedli do herbaty, poprosiłem, aby mi wyjawiał swój pomysł.

— Słuchaj więc pan — rzekł — ponieważ powietrze, będące nad powierzchnią Cavoritu ucieka w górę, można będzie zrobić z tej substancji coś w rodzaju domku, w formie wielkiej kuli, czyli sfery, wejść do niego, a gdy Cavorit dostatecznie ostygnie i ostygnie sfera, wzniesie się w powietrze i polecą w przestworze.

— Ale my w jakim celu mamy razem lecieć? — zawołałem.

— W celu naukowym — odrzekł ze spokojem mędrca. — Czyż nie warto będzie zwiedzić Mars lub choćby księżyc, a potem pan opiszesz naszą międzyplanetarną wyprawę.

— Lecz jakże wyżyjemy w tym pańskim domku, czy wagonie, hermetycznie zamknięci?

— Zaraz, posłuchaj pan. Wagon nasz będzie miał kształt sfery, zrobimy go z grubego szkła, osadzonego w ramach stalowych. Tlen będziemy wyrabiali, mam na to przyrządek, więc będzie czym oddychać, weźmiemy tylko żywności i wody dystylowanej. Hm! hm! stał trzeba będzie poemaliować, żeby ją rdza nie zniszczyła...

— A gdzież będzie Cavorit?

— Czekaj pan, bez niego sfera nie ruszyłaby z miejsca. To będzie trochę skomplikowane, ale zaraz panu wytłomaczę. Owa okiennica zwijana w wałek, czyli okiennice, które za naciśnięciem sprężyny będziemy podnosić lub spuszczać wedle potrzeby, będą właśnie zrobione z Cavoritu. Szklane wnętrze sfery, z jednym tylko zamykanym otworem do wejścia, będzie wyłożone ruchomymi okiennicami z Cavoritu. Gdy okiennice będą pozamykane, cała sfera będzie powleczone Cavoritem, a więc nie podległa sile ciężkości i wnet polecą w przestworza.

(d. c. n.)

Z najbliższych okolic Warszawy.

Listy Ninki do Zosi.

Wawrzyszew 15 lipca 1902 r.

Rochana Zochno! Odebrałam w tej chwili list twój z gorzkością, i przyznaję, bardzo zasłużonemi wymówkami, dla czego nie daję znaku życia?

Odpowiedź bardzo łatwa.

Bo nudziłam się śmiertelnie, i zdawało mi się, że zupełnie nie mam o czym pisać.

Dwa tygodnie minęły, jak rozstałyśmy się z sobą, a tak nam było wesoło w Zenonowie. Liczne towarzystwo, od rana kroket, tenis, huśtawka, kołobieg, gimnastyka! a gry różne, wspólne przechadzki!

Tu zaś od razu znalazłam się w ciszy i samotności! tak, w samotności, bo wujek i ciocia wprawdzie młodzi ale zapracowani, zagospodarowani, a babunia to poważna, taka poważna!

Więc powiadam ci Zochno, z rozpaczy (bo jeszcze i deszcz ciągle padał) rzuciłam się na bibliotekę wujka. Ciocia nie dała mi samej wybierać, ale dostałam kilka ciekawych powieści historycznych.

Zatopiłam się więc w czytaniu, mając jeszcze jedyną pociechę w pocziwych piaskach podwórzowych Burku i Wierusi! Ach! byłabym zapomniała o ślicznej koteczce Lizce, która zawsze rano do mnie przychodzi.

Czytam więc, trzymając Lizkę na kolanach, aż tu wchodzi

babcia, książkę bez ceremonii zabiera, i każe iść z sobą na przechadzkę.

Miałam ochotę pomruczeć, ale prawdę mówiąc już i czytaniem byłam znudzona, więc poszłam.

— Oóżeś taka osowiała Ninko? pyta babcia.

— Nudzę się — odpowiadam.

— Nudzisz się? Czyż być może? A gdzie owa tęgość charakteru, owa dzielność któremi się chlubicie moje panielki? Nudy, to oznaka apatii, czyli lenistwa duchowego, mówiąc po polsku, to ten skryty, podstępny nieprzyjaciel, co żeby zwyciężyć, pozbawia siły i energii. Nie daj mu się, i zwalczaj wstępnym bojem!

Dochodziłyśmy właśnie do kościółka; Mszy Świętej nie było, bo kościół odnawiają. Babcia poszła pomodlić się w cmentarnej kapliczce, a ja usiadłam na ławeczce, rozglądając się bezmyślnie w okół. Może babcia ma słuszność ponieważ myślałam, ona się nigdy nie nudzi, ale ma lat sześćdziesiąt, a młodzi przecie zabawy i towarzystwa potrzebują.

— Kle, kle, kle, kle, kle, kle! przerwało moje niewesołe rozmyślanie. Boćki kochane dają znać o sobie, a nie słyszałam ich jeszcze tego lata.

Ogromnie lubię bociany, taki to piękny ptak, taki poważny pan profesor w białej kamizelce. A właśnie na tego biedaka rzucają teraz takie oszczerstwa.

— Tępić go, tępić, bo niszczy zwierzynek!

Sprzeczasz się o to z wujkiem Józiem i bronię bocianów z całych sił. Choćby też czasem z potrzeby był zajętożercą, jestem pewna, że przynajmniej tu w Wawrzyszewie wielkie oddaje usługi. Położenie takie niskie i wilgotne, a nikt węża ani padalca nie spotka, żab wprawdzie nie brakuje, ale wieleby ich też było, gdyby nie bociany.

— Kle kle, kle! oglądam się, a tu niedaleko gniazdo na topoli nadwiślańskiej. Stoją trzy młode boćki i stary właśnie nadleciał.

Przyszła babcia i zaczęłyśmy przypatrywać się gniazdu.

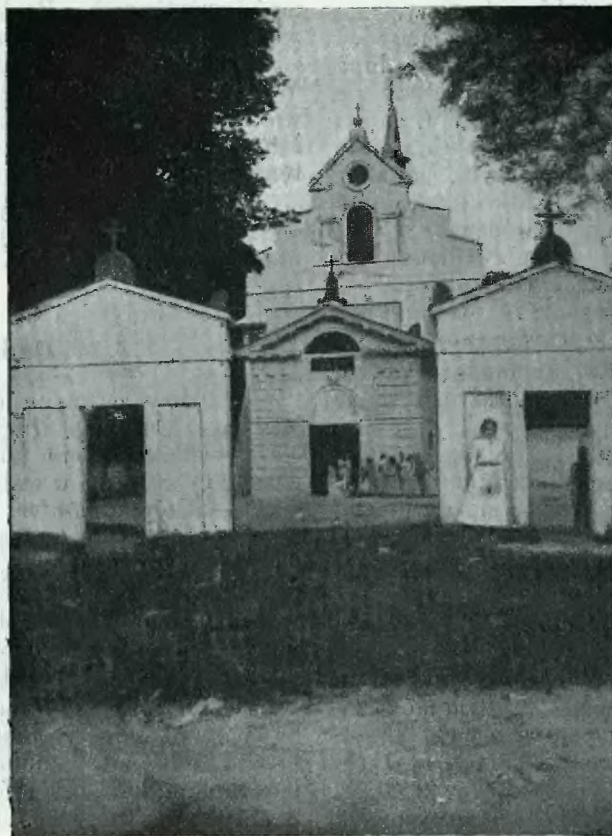
Otóż, moja Zosiu, stary bocian wyraźnie coś młodym wykladał. Skrzydłami wykonywał takie ruchy, jak do pływania, przytem klekotał ustawicznie. Nareszcie wstał jeden z młodych i zupełnie to samo powtórzył, tylko bardzo niezdarne, potem drugi i trzeci, nie mogłam się wstrzymać od śmiechu, takie to było zabawne; a matka ciągle poruszała skrzydłami, jakby ucząc dziatwę.

Ale nowy klekot dał się słyszeć, i nadleciał zapewne ojciec, usiadł na suchej gałęzi sąsiedniej topoli i na powitanie zaczął się prawdziwy koncert klekotania, aż w uszach dzwoniło. Chciałabym wiedzieć, co one sobie opowiadały.

Matka przefrunęła z gniazdu na drzewo i widocznie namawiała dzieci na próbę latania. Jedno się tylko odważyło, i to tak nieśmiało, z takim ogromnem machaniem skrzydłami, że byłam pewna, iż spadnie na ziemię.

Ale teraz coś nowego: zerwali się do lotu oboje rodzice i okrażają gniazdo, zapewne chcą pokazać młodym jak to latają porządne bociany!

Ach, co też to za lot prze-



Kościół w Wawrzyszewie.



W. Gerson.

Jan Sobieski przyjmuje postów w Wilanowie.

śliczny. Płyną w czystym błękiecie zupełnie bez ruchu, zdaje się, że ich samo powietrze unosi. I coraz wyżej, coraz wyżej, kierując się w stronę, gdzie ty mieszkasz Zosiu! już są tylko jak dwie małe łódki ciemne, oddalają się, a ja mimowoli powtarzam z Mickiewiczem.

„I już wisiał w powietrzu, jako plamka szara,
Wielkości wróbla — motyla — komara —
Potem się całkiem w błękiecie roztopił...”

Roztopiły się w błękiecie moje bociany, może tam spały na łące nad Czarną strugą i ty je Zosiu zobaczyłaś. Załuję, że nie ukłoniłam przez nie nie posłała całemu towarzystwu. A zdadzą się u was ich odwiedziny, bo w lesie węże, a nawet podobno żmije się znajdują.

Co też te bocianięta myślą sobie teraz? rzekłam do babci.

— Zapewne, odpowiedziała z uśmiechem, że kiedyś lepiej i pewniej od rodziców latać będą.

Zrozumiałam nauczkę i przytuliłam się do babci, wtem dzwonek na obiad odezwał się od strony dworu. Czyż to być może? Blisko dwie godziny zeszło, a nudy gdzieś uciekły.

Wracając spotkałyśmy księdza proboszcza, którego wszyscy bardzo kochają i szanują, rozmawiał z babcią, za-

prosił do siebie i obiecał pokazać jakieś wiekowe dokumenty. Będzie to coś tyżącego się Wawrzyszewy, jeżeli cię to zajmuje, opiszę ci w przyszłym liście wszystko, czego się dowiem.

Bywaj zdrowa — Twoja Ninka.

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Nachylała się nad nim jakaś postać niewieścia, wyciągała ręce, podnosiła jego głowę rozgorączkowaną i zboliałą, tuliła ją do swych piersi, okrywając pieścizotami. Całowała zwłaszcza szyję, czerwony płomyk zauważony przez Marysię, znamię po którym poznać go miała matka.

— Matka! Marysia! swoi... szeptał nie budząc się z odrętwienia. Sięgnął bezwiednie po medalik zawieszony na szyi, przytulił wizerunek Najświętszej Panny Często-

chowskiej do spalonych gorączką ust i popadł w zupełne obezwładnienie.

Jak długo trwał sen, tego nie wiedział sam. Ogień zgasł od dawna, małpka zniechęcona obojętnością chorego siedziała skurczona na ziemi. Obudził się spocony i bardzo osłabiony, ale gorączka przeszła bez śladu, lekarstwo Chryzostoma Dundery wróciło znajdzie zdrowie.

Niestety razem ze zdrowiem wrócił i głód stokroć natarczywszy niż wprzód. Drżały mu ręce, zdołał jednak zapalić ostatnią zapalnię. Może znajdzie na ziemi jakiś okruczek, może szyszka araukaryi spadła do dołu. Nie namacał nic, nic wcale. Tylko Kadysia siedziała przytulona do jego nóg i ogryzała korzenie cedru.

— Szczęśliwa! — pomyślał — przedłuży życie, tymczasem nadejdzie pomoc, a ja...

Spojrzał raz jeszcze dokoła, błysła mu myśl, na którą się wzdygnął, ale wracała uparcie do schorzonego mózgu.

— Czemu nie miałbym jej zjeść i żyć, żyć chociażby jeden dzień jeszcze! — zawołał. Chciał uchronić Indian od głodowej śmierci, a teraz sam...

Nie, nie będzie miał litości, udusi zwierzątko skazane na wspólne z nim więzienie.

Wyciągnął rękę po małpkę. Kadysia myślała, że Stefan chce ją pogłaskać, robił to często w pierwszych dniach swej niewoli. Skoczyła mu na piersi i objęła łapkami szyję opiekuna.

Zerwał się na nogi, jak gdyby sparzyła go pieśczęta biednego zwierzęcia.

— Nie zabiję, nie zabiję! Boże zmiłuj się nademną! krzyknął wielkim głosem i wyczerpany upadł na ziemię. Potem wyjął z kieszeni flaszkę, wypił resztę koniaku. Odtąd leżał spokojnie bo opanowało go odrętwienie, z którego mógł nie powstać więcej.

Zapalnia paliła się przez chwilę, błysła raz jeszcze i zgasła. Dno jamy zaległa zupełna ciemność.

— Nie zabiłem! Nie zabiłem! Panie zbaw grzeszną duszę moją, Panie! Panie! krzyczał Leon pochylony nad jamą, w której leżał Stefan.

— Panie! Panie! powtarzał — nadsłuchując, czy nie dojdzie głos z głębi dołu.

— Panie! Panie! wołał znów, wołał z całych sił. Teraz wydało mu się, że słyszy stłumiony jęk i pisk do głosu maleńkiego dziecka podobny.

Zerwał się, podniósł z ziemi sznur, który przywlokł za sobą. Przywiązał sznur do drzewa. Był długi, mocny, opasał nim biodra i nie namyślając się ani chwili skoczył w głąb dołu, jak skacze nurek w otwartą toń morza.

Otoczyła go nagle zupełna ciemność, dosięgnął dna jamy wilgotnej i zimnej. Wzdrygnął się.

— Panie bądź miłościw mojej duszy — wołał drżąc ze wzruszenia.

— Czy to ty Leonie? — wyszeptał ktoś obok niego.

Tak to był on. Leon Ziemiak, najędzniejszy z ludzi, idyota. Stefan dwa razy naraził życie za towarzysza lat dziecinnych. Wyrwał Leona z objęć śmierci na okręcie i z płonącej kuźni w Sixtenlots.

Teraz Leon spłacał dług swemu dobrodziejowi.

Leon szukał Stefana od chwili, jak ślusarczyk zniknął z kolonii. Szukali go zresztą wszyscy osadnicy, ale usiłowania ich były daremne.

— Porwali pana Lutego Bugry — mówił Jasiek flecista i ocierał oczy sukmaną.

— Zaciągnęli do wody i utopili — utrzymywały dziewczyny, chodząc nad rzeką i lamentując żałość.

— Przyszło mu na taki koniec, jak mojej kobiecie — narzekał Tomasz, który był niepokieszony po stracie żony i zniknięciu pana Lutego.

Leon tylko nie mówił nic, nie łamał rąk, nie płakał. Wychodził o świcie ze spalonej kuźni i wracał do niej wtedy dopiero, kiedy już jaśniały gwiazdy na niebie. Przedeptał wszędy i wzdłuż całą kolonię, brzeg rzeki, las przyległy do uprawnych pól. Kto wie zresztą gdzie chodził Ziemiak? Dziewuchy śmiały się z niego, że drze buty bez potrzeby, a on nie odpowiadał ani słowa, nie odwracał głowy, nie słuchał szyderstw. Tropił ślady, jak tropi je wyżeł, który szuka pana.

Nie zwracano już w końcu uwagi na idyotę, alboż mało miał każdy swej troski? Zasiwy były zniszczone, Indianie nekali kolonistów zasadzkami. Wojciech nie wracał. Nie wracał, chociaż minął czas, w którym wedle obliczeń pana Lutego należało oczekiwać wysłańca.

Osadnicy kiwali głowami i radzili się Tomasza, czy nie należy uciekać do Rio.

— Mało jeszcze użyliście w mieście biedy — mówił Tomasz — jego trzymał w Sixtenlots grób żony. — Tu umrę — dodawał ponuro.

Ale młodzi pragnęli żyć, jeśli zostaną w puszczy, czeka ich powolne wymieranie bez księdza, bez pociechy, bez wiadomości od swoich z kraju.

— Panie ulituj się na ich niedolę — mówiła Marcjanowa. Nie prosiła o nic dla siebie. Mąż jej leżał na spalonej słońcem pustyni w Minas Geraes: dzieci rybom morskim oddać musiała. Czegoż potrzebować, o co błagać mogła jeśli nie o miłosierdzie dla nieszczęśliwych.

I otrzymała też miłosierdzie.

— Wojciech wraca! Wojciech wraca! woła Kasia Skowronczanka — biegnąc od lasu ku barakom.

Skiba nie jechał sam. Był z nim pan Edmund Saperski inżynier mierniczy, rodem z Górnego Śląska, osiadły w Kurytybie, jeden z tych ludzi, których w godzinie wielkiej potrzeby zsyła Bóg na ratunek nieszczęśliwych.

— Pojedziemy razem do Parany, tam w dolinie rzeki Ignassu jest ziemi urodzajnej dostatek, tam zbudujecie kościół i założycie osadę — mówił pan Saperski, a ktokolwiek spojrzał w jego twarz dobrą i mądrą, ten nie wątpił, że nadszedł dla wychodźców polskich dzień zmiłowania Pańskiego. *) Dożył go i Stefan. Kadysia głaskała opiekuna kosmatymi łapkami, a Nesabil patrzył mu w oczy z bezgranicznym przywiązaniem.

Pana Lutego otoczyli wszyscy koloniści. Wracały mu siły i radość życia.

— Należy czynić dobrze, nie oglądając się za zapłatą bez względu na to, jakie wynikną stąd dla nas skutki, myślał ślusarczyk. Bóg pozwała jednak niekiedy, aby człowiek odebrał widomą nagrodę za swoje postęпки.

Taką nagrodą była dla Stefana pomoc Nesabila. Ziemiak spłacił część zaciągniętego długu. Czy nadarzy mu się sposobność oddania reszty z nawiązką?

— Chryzostom Dundera ocalał może także na pożytek nauki, a jego zbiory, pergamin i dukaty zawieziemy do Parany. Będą one stanowiły pierwszy zaczątek polskiego muzeum w Kurytybie — mówił Stefan i przypominał sobie raz jeszcze słowa pani O'Clear:

— Więcej ludzi marnieje przez brak ideału, niż ginie dla ideału.

Koniec części IV-ej.

*) Wszystkie podane tu fakty, tak dotyczące Botokudów, jak i dziejów pierwszej osady polskiej w Ameryce, są prawdziwe.



NA WŁASNEM GOSPODARSTWIE.

Komedyjka w I-ym akcie.

O S O B Y:

Pani Topolska, Pan Topolski, — Wańdzia lat 12, Konraś 11 lat, Nina 7 lat (*ich dzieci*). — **Jadzia 11 lat, Amelcia 10** (*koleżanki Wańdzy*). — **Antek 12 lat, Karolek 13 lat** (*koledzy Konrasia*). — **Walentowa** (*służąca*). — **Głos babci** (*za sceną*).

(*Rzecz dzieje się w Warszawie u pp. Topolskich. Scena przedstawia pokój jadalny. Po środku drzwi główne, na prawo i lewo do dalszych pokoiów. Podczas podniesienia zasłony Nina siedzi przy stole i zapisuje coś w małym kajeciku. Przed nią na ułożonych książkach siedzi lalka, oprócz tego ma przed sobą kółka książek i kajetów.*)

SCENA I.

Nina (*do lalki*).

Proszę uważać, moja panno, zaczynam wykład! Na początku nic, a nic nie było na świecie, tylko ciemność i nieporządek... wielka ciemność i wielki nieporządek, a Pan Bóg unosił się wysoko... wysoko... czy rozumiesz to, moja kochana? (*zmienionym głosem*). „Rozumiem proszę pani.” (*Grubszym głosem*). To bardzo dobrze, kochanko, bo jak czego nie rozumiesz, to zawsze zapytaj, a ja ci wytłumaczę. A w ile dni Pan Bóg stworzył świat?... (*po chwili z oburzeniem*). Nie wiesz, jak to nie wiesz takiej prostej rzeczy w ile dni Pan Bóg stworzył świat?... nie, za to, to już muszę dać ci klapsa. (*Uderza lalkę po rękę i udaje jej płacz*). A! a! a!... No, nie płacz kochanko, to tylko dla twego dobra. (*Całuje ją w czoło. Potem kładzie jedne książki, a bierze inne*). Teraz rachunki. No, moja panno, do jednego dodać jeden to ile będzie, (*zmienionym głosem*). Dwa!... A do dwóch dodać dwa? (*j. w.*). Cztery. A od trzech odjąć jeden? (*j. w.*). To będzie dwa. Ślicznie, doskonale! wybornie! Masz zdolności do rachunków, moja uczennico. Będziesz miała z rachunków piątkę z plusem (*zapisuje*).

SCENA II.

Nina i Wańdzia (*wchodzi z lewej strony*).

Chwała Bogu, Nina dobrze się zabawiła, babci podałam książkę, okulary i wodę z cukrem, teraz trzeba zająć się herbatą. Ale co to jest, że Konraś dotąd nie wraca?... (*woła*) Walentowa!... Walentowa!...

SCENA III.

Ciż i Walentowa (*wchodzi z prawej strony*).

Walentowa. Czego się tak drze Wandeczka?

Wańdzia. Ach, jak się Walentowa niedelikatnie wyraża... Wołam, prosiłam, żeby Walentowa tu przyszła. Czy samowar już nastawiony?

Walentowa. Rany Boskie! Józefie święty! dyć ile czasu dudni, jak z kowalskiego komina. Węglisków tych pcham ino, pcham, a Wańdzia to nijakiego opamiętania nie ma, że w tym mieścisku to za każde śmiecie płacić ino i płacić. O, retyl! jak nasze państwo wydoła tylim wydatkom!

Wańdzia. I cóżem winna, moja Walentowo, że Konradzia dotąd nie widać.

Walentowa. Rak zatracony! zbereźnik chłopczysko! Obiadu to ino tknął chudзина i zara wyleciał, jak z procy; tyło go oczy nasze widziały. Oj! rany! Józefie święty! pewnością zle go poniosło z tymi łykami, łobuziakami na rzekę.

Wańdzia. Konraś dał słowo mamie, że podczas jej nieobecności chodzić nie będzie na ślizgawkę, pewna więc jestem, że tam nie poszedł.

Nina. Konraś poszedł na pocztę i przyniesie dużo, dużo pieniędzy, prawda, Wandeczko?

Walentowa. Rany Boskie! Józefie święty! Skądby taki rak zatracony wzion pieniondźów, co też to Nina wygaduje.

Wańdzia. Nina mówi prawdę: otrzymaliśmy dziś list od rodziców, w którym donoszą, że ważny interes zatrzymuje ich jeszcze dwa dni w Piotrkowie i na ten czas przesyłają nam parę rubli na utrzymanie domu, Konraś poszedł odebrać z poczty te pieniądze.

Walentowa. A dyć znowu coś nowego! Paniska jeszcze nie wracają?... Rany Boskie! Józefie święty! Cały dom, gospodarka, tyli dobytek na takich robakach!... (*bierze się za głowę*). O nieszczęście!... Rozum całkiem stracę... retyl, retyl!...

Wańdzia (*wesoło*). Ot, zamiast lamentować, pójdźcie lepiej, Walentowo po bułki do herbaty. (*Wyjmuje i daje Walentowej pieniądze*), 6 kopiejek na bułki, a 7 na chleb, to powinno wystarczyć.

Walentowa. Zaraz polecę. Ino nie puszczajcie tu, robaki, nikogo; jeszcze jakie złodziejstwo, broń Boże, dobrać się tu gotowe. Wandeczko, nie otwieraj, ptaszku, aż ci kto bez drzwi odpowie kiej zacz, pamiętaj! (*wychodzi głównymi, środkowymi drzwiami*).

SCENA IV.

Nina i Wańdzia.

Wańdzia. Dobrze, dobrze!... (*wyjmuje z kredensu filiżanki i ustawia na stole*).

Nina (*do lalki*). Teraz francuski. Matka? (*pisłkowie*) La mère. Ojciec? (*j. w.*) Le père. Siostra? Wańdziu, jak siostra po francusku?

Wańdzia. La soeur.

Nina. Już dosyć francuskiego. To strasznie nudne! Teraz będzie pogadanka, zobaczysz, moja lalusi, to śliczna lekcya. (*Bierze ze stołu kawałek papieru, mnie go stosownie i mówi*). Widzisz, kochanko, to ptaszyna śliczna, mała ptaszyna! Dziobek ma żółty, oczki jak perełki, a jaki czubek, podgardle białe... Ptaszyna ta mieszka w gniazdku, jak my w domku, ma siostrzyczki, braciszków, mamusię... tatu... (*rzuci papier i woła grymasnie*). Wańdziu, ja chcę mamusi! mamusi!...

Wańdzia (*całując Ninę*). Nie kapryś, dziecko, mamusia prędko przyjedzie, a teraz zabawimy się wesoło, zobaczysz!... (*namyśla się przez chwilę, potem jedno krzesło nakrywa kołuszkiem baranem, kładąc go włosem do góry*). Widzisz, to baran, taki duży, czarny baran (*na drugie krzesło zawieszka kapelusz ojca i osłania paltem*), a to mościwy pan.

Nina (*klaszcząc w ręce*). Już wiem! już wiem! (*stojąc za krzesłem wyobrażającym pana i mówi grubym głosem*). Gdzieżeś ty bywał, czarny baranie?... (*przebiegając do krzesła wyobrażającego barana*). We młynie, we młynie, mościwy panie. (*j. w.*) Cóżes tam robił, czarny baranie? (*j. w.*) Meł mączki na pączki, mościwy panie. (*j. w.*) Cóżes tam jadł, czarny baranie? (*j. w.*) Kluseczki, z miseczki, mościwy panie. (*j. w.*) Cóżes tam pijał, czarny baranie? (*j. w.*) Winięczko, piweczko, mościwy panie. (*Słychać dzwonek i dobijanie się do drzwi środkowych*).

Wańdzia. Konraś tak nie dzwoni, Walentowa wzięła klucz od zatrasku, ktoby to mógł być?... (*Dzwonek i dobijanie się coraz gwałtowniejsze*). Mimowolny strach mię ogarnia!... (*z żalem*). Na co to Walentowa mówiła mi o złodziejach. Co tu robić?...

Głos babci (*za sceną*). Kto się tam tak dobija? kto to dzwoni?

Wańdzia. Boże, żeby tylko babcia się nie przeraziła. Mama zawsze mówi, że przestrasz szkodzi babci. Jak temu zaradzić? (*po chwili*). Już wiem!... (*do Nini*). Idź do babci i powiedz... powiedz... że poszłam drzwi otworzyć... że to nic... że to zapewne chłopiec z węglami!...

Nina (*wybiegając na lewo w podskokach, śpiewa*). Kto

się tam dobijał, czarny baranie? — Sam młynarz, sam młynarz, mościwy panie!...

SCENA V.

(*Babcia, Nina, Wańdzia, potem głos Karolka, za sceną Anka, wreszcie Konrasia.*)

Wańdzia. Trzeba uzbroić się w odwagę, całą przytomność umysłu i zapytać: kto tam? (*idzie i cofa się*). Boję się! boję!...

Karolek. Otwierać! otwierać! Czy tam wszyscy wymarli! (*kołace coraz gwałtowniej*).

Wańdzia (*z wysiłkiem*). Kto tam?

Karolek. Swój!... proszę otworzyć!

Wańdzia (*na stronie*). Głos mi znany. „Swój” o, złodzieje zawsze tak mówią! Jeżeli zacznie otwierać drzwi witrychem, otworzę okno i zawołam stróża. Trzeba być na wszystko zdecydowaną. (*rezolutnie*). Czego, pan złodzieju, sobie życzy?

Karolek. Hola! złodzieju!... (*po chwili*). Pieniądze albo życie!...

Wańdzia. Mam tylko 55 kopiejek całego majątku, niech pan złodzieju zejdziesz na podwórko, to przez lufcik wyrzucę mu pieniądze.

Karolek. Nie głupim, przez lufcik gotowa mi panna marchewkę pokazać i tyle!

Wańdzia (*z oburzeniem*). Ja nigdy nie kłamię, pan złodzieju mnie nie zna.

Karolek (*coraz donośniejszym głosem*). Chcę sprzętów, kosztowności, nie dam się wykpić sianem. No, otwierać!

Wańdzia (*z rozpaczą*). Co tu robić? co tu robić? (*po namyśle*). Już wiem! (*krzyczy*). Tatusiu, wujaszku, stryju, Konradzie, Janie, wszyscy, chodźcie prędzej, bo się tu ktoś do drzwi dobija!

Karolek. No, no, nie zawracaj mi tam panna głowy. My złodzieje nie tacy znów głupi, wiemy dobrze, że oprócz starej, niedołążnej babci i maleńkiej Niny, nikogo nie ma w domu.

Wańdzia (*załamując ręce*). Oni wszystko wiedzą!...

Karolek. Otwierać, panno, bez żadnych ceregielów i basta!

Babcia (*za sceną*). Wańdziu!... Wandeczko!... Kto się tam tak dobija? kto to taki?

Nina (*za sceną*). Ja się boję! Wańdziu, chodź tutaj!

Wańdzia (*w najwyższym zakłopotaniu*). Co ja pocnę? (*do babci*). To nic, babuniu, zaraz przyjdę (*na stronie*). O Boże! co mam robić? Odwagi!... odwagi!... (*Hulas, stąpanie, śmiechy za sceną*).

Antek. Jest i drugi zbójca i trzeci, cała banda. Życie lub pieniądze! Otwierać!...

Wańdzia (*z nagłą odwagą*). Panowie zbójcy, zlitujcie się!... 55 kop. srebrną cukiernicę, srebrny koszyk, 12 łyżeczek 84 próby, moją złotą broszkę z turkusikiem, to wszystko co mam tylko drogiego, wszystko to wam oddam, daję wam na to słowo honoru, a powinniście wiedzieć, (*z dumą*)

że Wanda Topolska nigdy słowa nie łamie. Otóż to wszystko obiecuję wam święcie oddać pod warunkiem, że nie przestraszycie babci i Ninki. Babunia taka stara i chora, Niniusia mała, dobra jak aniołek siostrzyczka. O! przecież i wy macie żony...

Antek (*patetycznie*). I u mojej żony jest synek taki maleńki!...

Karolek. Pierwszym pałkę strzaskał na twej skroni, gdyby nie dziatek pacierze.

Wańdzia (*zdziwiona*). To jacyś wykształceni złodzieje, umieją wiersze Mickiewicza na pamięć.

Antek (*przesadnie*). Dziewico, skruszyłaś nasze zbojeckie serca i my honor swój mamy.

Karolek. Otwieraj! układ stanął! oddaj koszyk, cukiernicę, 12 łyżek 84 próby.

Konrad (*z niecierpliwością*). Wandek, nudna jesteś. Długo nas jeszcze za drzwiami będziesz trzymała?... Otwierajże nareszcie!

Wańdzia (*uradowana*). Co to jest, głos Konradzia (*biegnie otwierać*).

(c. d. n.)

S Z A R A D A .

(Lirenka).

*Pierwsza i druga uroczą dolina,
Która krainę Tesalską przerzyna;
Drugie i trzecie przedmieście stolicy
Tureckiej ziemi; tam Europejczycy
Mają dla siebie stałe pomieszczenie.
Druga ma z piętem toż samo znaczenie.
Jeśli kto z czwartem zapoznać się życzy,
Niech je do działu przysłówków zaliczy;
A wszystko z pięciu aż sylab się składa,
Oznacza ciepło... otóż i szarada.*

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

uł. Giermek.

Do trzech spółgłosek: d, n, r, dodać samogłoski i utworzyć nazwy sześciu rzek europejskich.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35.

Szarady: Ka — li — for — nia.

Łamigłówki sylabowej:

- 1) Potop. 2) Ilza. 3) Ostrogoci. 4) Tomasz. 5) Richelieu.
- 6) Sofokles. 7) Kossak. 8) Antygona. 9) Ryszard. 10) Grażyna.
- 11) Ariosto. 12) Janina. 13) Anioł. 14) Neron. 15) Moniuszko.
- 16) Arystofanes. 17) Temistokles. 18) Elba. 19) Jadwiga.
- 20) Kraków 21) Osman

Piotr Skarga — Jan Matejko.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Król gór i skał (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa. — Z najbliższych okolic Warszawy, Listy Ninki do Zosi (z ryc.) — Jan Sobieski przyjmuje posłów w Wilanowie (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Na własnym gospodarstwie, komedyjka w 1-ym akcie. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Jestem Robinson Kruzoe (z ryc.) — Przed drzwiami ciemnego pokoju, monolog przez Z. Z. — Co znałam w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Gra na wolnym powietrzu. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Барнава 26 Авроста 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Aleksander Gierymski.

Mamy wielu bardzo znakomitych artystów, cóż z tego jednak, kiedy rzadko umiemy ich ocenić, często ogół nie wie nawet o ich istnieniu, i nieraz po śmierci dopiero dowiaduje się o ich zasługach.

Oto teraz Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, urządziło wystawę dzieł Aleksandra Gierymskiego, który w roku zeszłym zmarł w Rzymie na początku marca. Wystawa jest trochę spóźniona, ale trudno jest zgromadzić dzieła rozproszone po świecie, będące niekiedy w posiadaniu osób, które je niechętnie udzielają wystawom.

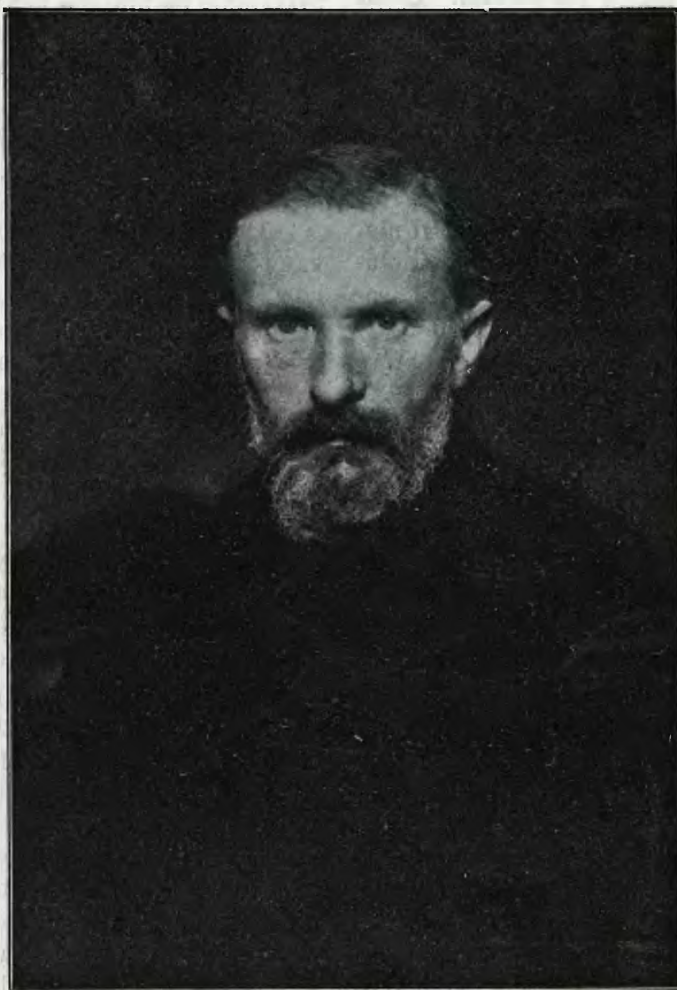
Z tego powodu nie wszystkie obrazy artysty znajdują się na obecnej wystawie, która mimo to wykazuje wielkie jego w sztuce znaczenie. Należy się nad nią zastanowić, i zwrócić uwagę na Gierymskiego, który z powodu przebywania za granicą i nurtującej go melancholii, utrudniającej z nim stosunki, nie był ceniony tak wysoko przez ogół, jak na to zasługiwał.

Aleksander Gierymski urodzony r. 1850, zarówno jak starszy brat jego Maksymilian, był dzieckiem Warszawy. Tutaj obadwaj

pobierali nauki i okazywali tak wielkie zdolności artystyczne, iż poświęcili się sztuce. Studiowali ją najprzód w Warszawie, a potem wyjechali do Monachium, gdzie istnieje akademie sztuki, naówczas bardzo sławna dzięki znakomitym profesorom. Talent Maksymiliana zapowiadał się znakomitszym i przygniatał niejako talent młodszego brata, ale nieszczęściem zgasł on w zaraniu

sławy; pozostał jednak Aleksander, który oddał się sztuce ze zdwojonym zapałem, jednocześnie ukazał się i u niego początek melancholii. Choroba ta tkwiła w nim odtąd, wzmacniała się z latami, objawiała nieraz dziwactwem postępowania, uczyniła go odludkiem, a w końcu na kilka miesięcy przed zgonem zamieniła się w zupełne obłąkanie.

Można powiedzieć, że dla Gierymskiego nic na świecie nie istniało poza sztuką. Z krajem nie łączyła go nic serdeczne, rodziny własnej nie utworzył, poświęcił się swemu zawodowi z niezrównanym zapałem, a pracując, zapominał o zdrowiu, nie pozwalał sobie na żadne wytchnienie. Raz nawet z powodu nieustannego wpatrywania się w czerwoną barwę w pełnym słońcu, którą chciał oddać wiernie, na jednym ze swoich obrazów, o mało wzroku nie utracił. Sztuka była dla niego krajem, rodziną



Aleksander Gierymski.

wszystkiem tem, co inni ludzie kochają, była też jego udęceniem, bo miał o niej tak wysokie wyobrażenie, że nigdy nie zadowolniły go własne dzieła.

Jest to uczucie wszystkich artystów wielkich prawdziwie. Natura przewyższy zawsze w ich oczach to, co namalować zdołają. Światła na obrazach nie będą nigdy miały blasku słonecznych lub księżycowych promieni, barwy tej świetności i harmonii, jaką dostrzegają w około, a największe ich usiłowania pozwalają się zaledwie zbliżyć do tego, coby uczynić chcieli.

Im znakomitszy artysta, im głębiej wnika w naturę, tem większe ma względem samego siebie wymagania.

Są jednak tacy, co znużeni walką nieustanną, zniżają te wymagania, poprzestając na tem, co się innym podoba, a zapominają, że żaden człowiek cudzą skalą mierzyć się nie może, bo skoro tylko nie będzie szedł za wskazówkami własnego sumienia i własnego przekonania, nie będzie już miał ani sumienia, ani przekonania. Cudzej duszy nikt nie może przejrzeć, a zresztą sądy ludzkie są tak rozmaite, że nie wiadomo nigdy, który wybrać, i ten co się własnego wyrzeka, pozostać musi nadal jak łódź bez steru.

Tak dzieje się z artystami, którzy chcą się tylko podobać, albo też zadowolić drugich swemi dziełami, kiedy obowiązkiem ich jest przedewszystkiem zadowolić samych siebie i starać się dorównać temu poczuciu piękna i prawdy, jakim ich Bóg obdarzył, więc jak nie mogą patrzeć cudzemi oczami, nie mogą też poprzestać na cudzym sądzie.

Aleksander Gierymski do takich nie należał. Szedł przebojem taką artystyczną drogą, jaką uważał dla siebie za właściwą, z gorącym pragnieniem wykonania takich dzieł, któreby oddawały naturę w sposób, jaki on ją widzi i odczuwa.

Z Monachium pojechał do Włoch, do tej pięknej krajiny, w której pogoda w całym blasku i sztuka w całym rozwoju, składają się na czarodziejską całość. Widział nieporównane błękity nieba i morza, bujną roślinność południową, cuda budownictwa, począwszy od zabytków starożytnych, aż do wspaniałych gmachów odrodzenia, zachwycały go dzieła malarstwa i rzeźby owej pięknej epoki, która umiała łączyć ideały chrześcijańskie z grecką pięknoscą formy.

Włochy uczyniły na Gierymskim niezmiernie wrażenie i wpłynęły stanowczo na jego rozwój artystyczny. Stał się odtąd malarzem światła i słońca.

Pierwsze obrazy jakie stamtąd przysłał do Warszawy, zaświadczyły o tym jego nowym kierunku. Jeden z nich przedstawiał wnętrze rzymskiej *osteryi* czyli rodzaju szynku, miejsca zebrań ludowych, drugi grę w *more*, bardzo popularną wśród mieszkańców Włoch południowych. Zasada się ona na pokazywaniu pewnej liczby palcy u rąk, które partner powinien jednocześnie wymienić bez zmyłki. Wkrótce potem, artysta przyjechał do Warszawy, gdzie zamierzał osiąść na stałe. Z tego czasu pochodzi stara handlarka pomarańczami, którą malował kilka razy, bo chociaż z niej zrobił prawdziwe arcydzieło, przecież nie był jeszcze zadowolony. Trzy podobne obrazy znajdują się na wystawie. Wyszukiwał także w starych dzielnicach miasta różne malownicze zabytki, z których kilka można oglądać na wystawie, jak brama przy ulicy Karowej już nie istniejąca, niektóre zakątki Starego Miasta i t. p.

Na konkursie malarskim z przed dwudziestu laty, otrzymał pierwszą nagrodę za prześliczny obraz „W altanie.” Artysta przedstawił całe towarzystwo z XVIII w. złożone z panów i pań przy biesiadnym stole, w altanie winem obrosłej, w oświetleniu słonecznem, które podnosiło barwność strojów i stanowiło niezmierną trudność dla twórcy, wymagającego od samego siebie tak wielkiej doskonałości.

Namęczył się też bardzo nad wykonaniem tego dzieła. Zajmował się nim nieustannie przez czas długi, robił do niego studia, to jest malował pojedyncze postacie, grupy, części altany i t. p. potrzebne do obrazu, których kilka jest także na wystawie.

U nas jednak, zwłaszcza też w owej epoce, ogół znał się zbyt mało na sztuce, by ocenić dzieła Gierymskiego, jak na to zasługiwały.

Naturalnie, ci co się na sztuce nie znają, nie kupią drogiego obrazu, bo nie sprawia im przyjemności, nie czują też potrzeby otaczania się pięknymi rzeczami, a co najsmutniejsze, nie są w stanie ocenić wartości dzieł pięknych i tym sposobem są pozbawieni prawdziwych rozkoszy, jakie one dać mogą.

Położenie artysty jest w takich warunkach bardzo trudne, zwłaszcza jeśli nie posiada osobistego majątku. Musi więc koniecznie starać się o sprzedanie swych dzieł, a chociaż nawet trafi się nabywca, ofiaruje najczęściej bardzo niską cenę, bo wie, że towar artystyczny jest mało pokupny, i że twórca, zmuszony koniecznością, rad nie rad przystanie na nią, bo pewnie innego nabywcy nie znajdzie.

Taki był los Gierymskiego w Warszawie. Obrazy które malował, przez całe miesiące, zmuszony był sprzedawać za tak marną cenę, iż ta wprost nie zapewniała mu najskromniejszego bytu. Do takich właśnie należy „Solec” przedstawiony na naszej rycinie, „Żydzi modlący się,” „Piaskarze” i parę innych, znajdujących się na wystawie.

Dowodził temi obrazami, że malarz nie potrzebuje szukać nadzwyczajnych krajobrazów, skał, potoków, wodospadów i t. p., bo piękno w naturze znajdzie się wszędzie dla tych, co je dostrzedz umieją. Zadaniem artysty jest pokazać je wszystkim w swoich dziełach. Naprzykład brzydka z pozoru rudera na Solcu ma w obrazie Gierymskiego swoją odrębność, swój charakter i z tego powodu musi zająć widza, który stanie zapatrzony przed nią na obrazie, chociaż mógł sto razy przejść koło niej w naturze i nie zauważyć.

To właśnie stanowi przywilej i jakby drugi wzrok artysty, to go wyróżnia od ogółu, ale naturalnie, mam na myśli artystów, godnych tej nazwy.

Po długim i przykrem, z powodu okoliczności materialnych, pobycie w Warszawie, Gierymski bardzo rozgorączkowany wyjechał znów za granicę, naprzód do Monachium, gdzie zakupiono od niego kilka obrazów do tamtejszych muzeów, a później do różnych innych miejscowości. Malował teraz głównie wnętrza kościołów, ulice przy dziennem lub gazowem oświetleniu, słowem to wszystko, co mu podpadało pod oczy; przysyłał też niektóre z tych prac do kraju, gdzie przy wzmagającym się zainteresowaniu sztuką, łatwiej znajdowały nabywców. Są to wszystko rzeczy nadzwyczajnie piękne, przed którymi stawać trzeba i podziwiać zamiłowanie, z jakim artysta odtwarzał najdrobniejsze szczegóły architektoniczne, ożywiając je właściwem oświetleniem, które stanowi jakby duszę martwych murów.

Gieryski przebywał kolejno w różnych krajach i miastach, nigdzie nie osiedlając się na stałe, coraz bardziej stroniąc od ludzi, aż wreszcie umarł w szpitalu obłąkanych w Rzymie, w marcu roku zeszłego, tak biedny, że zakupiono mu tylko grób czasowy. Zwłoki więc jego oczekują od ziomków zapewnionego grobowca, na który pracą i talentem swoim zasłużył. Za życia umiała go tylko ocenić garstka ludzi rozumiejących sztukę, niechże teraz przynajmniej, dowie się społeczeństwo i zapamięta, jak wielkiego utraciło artystę.

Walerya Marenne Morzkowska.

Pogadanki z dziedziny chemii.

XIII. Co to jest chemiczne przyciąganie i chemiczna energia?

Doświadczenie nas uczy, że często jedna substancja drugą inna ze związku chemicznego.

Weźmy na przykład związek, składający się ze 100 gramów tlenu i $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru t. j. wodę; na zasadzie tego, co było wyżej powiedziane, wiemy, że $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru posiada taką samą chemiczną siłę przyciągającą, co 100 gramów tlenu.

Z drugiej strony jednak wiemy, że 489 gramów metalu potasu łączy się także ze 100 gramami tlenu, a zatem posiada równą siłę przyciągającą, jak i $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru. Skoro tak jest, to dlaczego potas rzucony do wody rozkłada ją i wypędza wodór, łącząc się z tlenem.

Wrzucimy kawałek potasu do talerza napełnionego wodą, a będziemy świadkami bardzo zajmującego widoku. Metal z sykiem i trzaskiem pływa po powierzchni, rozpala się w wodzie do czerwoności, z wody zaś wydziela się gaz, który się niebawem zapala; trwa to dopóty, dopóki potas nie zniknie. Zważwszy wodę przekonamy się, że przybyło jej cokolwiek na wadze. Dziwne to zjawisko, jak się domyślimy, powstaje stąd, że potas ma wielkie powinowactwo chemiczne do tlenu, większe aniżeli wodór i dla tego zajmuje jego miejsce w związku. Łączenie się potasu z tlenem jest tak gwałtowne, iż metal rozpala się do czerwoności, a uwolniony wodór w zetknięciu z nim zapala się, gdyż jest palnym gazem. Ostatecznie otrzymujemy z potasu sodę gryzącą, która rozpuszcza się w pozostałej wodzie. Z tego wynika, że potas ma większą siłę chemiczną, aniżeli wodór. A przecież utrzymywaliśmy, że siła przyciągająca wodoru ma się równać sile przyciągającej potasu.

Prawda, że siła przyciągająca $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru jest równa sile przyciągającej 489 gramów potasu, ale skwapliwość, z jaką łączą się te dwa pierwiastki z tlenem nie jest jednakowa. Wyobraźmy sobie na przykład, że dwaj ludzie mają przed sobą po jednej porcy jedzenia, która jest zupełnie dostateczną dla zaspokojenia apetytu każdego z nich. Jeden z tych ludzi jest jednak żarłoczny, drugi ma naturę powolniejszą i zaspakaja głód powoli; pierwszy z nich rzuca się na swoją porcję łakomie i już ją pochłonie wówczas, gdy drugi będzie jeszcze jadł swoją.

Jeżeli przykład ten nie jest zupełnie ścisły, to jednak wykazuje, że nie można porównywać ilości strawy potrze-

bnej do zaspokojenia apetytu z chciwością, z jaką ktoś zaspakaja głód. W tym sensie możemy więc powiedzieć, że apetyt 498 gramów potasu jest również wielkim, jak apetyt $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru, ale łakomstwo, czyli chciwość, z jaką potas zaspakaja swój apetyt, jest tak wielki, że pozwala mu odebrać wodorowi jego porcję już spożytą. Jeżeli chcemy to wszystko wyrazić nie w języku obrazowym, lecz ściśle i naukowo, to musimy powiedzieć, co następuje:

Każde dwa pierwiastki chemiczne mogą się łączyć ze sobą w pewnym określonym stosunku wagowym, tak ażeby siła przyciągająca tej ilości pierwiastku pierwszego, jaka wstępuje w związek, była równą łączącej się z nią ilości drugiego pierwiastku. Przyciąganie może być jednakowo silne, ale energia z jaką pierwiastki ze sobą się łączą może być rozmaita; zależny od tej energii wytworzony związek jest mniej lub więcej stały.

Skąd jednak pochodzi taka różnica? Dlaczego $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru może się połączyć z taką samą ilością tlenu jak 498 gramów potasu, a pomimo to potas może wyrzucać wodór z tego związku?

Widocznie tkwi w tem jakaś tajemnica przyrody, która sprawia, że z jednej strony mała część jakiegoś pierwiastku może przyciągnąć tyleż drugiego pierwiastku, co duża część trzeciego, a z drugiej strony pozwala, że ten trzeci pierwiastek posiada większą siłę od pierwszego i ruguje go ze związku już zawartego. Tajemnicę tę nauka zdołała już w części przeniknąć; zanim jednak ukażemy ją czytelnikom, musimy wprzód porobić ku temu pewne przygotowania.

Wł. U.

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).



— Ale gdy puścimy się tak w przestrzeń, to będziemy lecieli bez końca i nigdy nie powrócimy na ziemię — rzekłem.

— Przeciwnie, zsunąwszy na bok najprzód zasłone stalową i zwinąwszy jedną z okiennic Cavoritowych, przez szkło będziemy widzieli co się dzieje na zewnątrz. Gdy spostrzeżemy jakieś ciało niebieskie, które zechcemy zwiedzić, w pewnej od nas odległości, zwinemy tyle okiennic, ile będzie potrzeba, sfera nasza ulegnie z tej strony prawu ciężkości i przyciągnięta będzie na owe planety, na Mars lub księżyc.

— Czy nie lepiejby było zastosować Cavorit skromniej, na przykład jako windy do dźwigania ciężarów? — zapytałem trochę zaniepokojony perspektywą takiej podróży w zamkniętej sferze. — Ja lubię swobodę ruchów.

— Może być — odrzekł. — Lecz jeśli ludzie robią

wyprawy do bieguna północnego nawet balonem, jak Andrée, czemużbyśmy nie mogli zrobić wyprawy na księżyc?

— Prawda, ale na takie wyprawy rządy dają fundusze, inne wyprawy jadą na poszukiwanie zaginionych... a my poprostu wystrzelimy się w powietrze, i bądź zdrów!

— Zaręczam panu, że na Marsie i księżycu są minerały.

— Jakie na przykład?

— Rozmaite: miedź, żelazo, a pewnie i złoto.

— Lecz wszystko to są pańskie utopie. Niepodobna abyśmy dojechali na księżyc!

— Nie upieram się przy księżycu, możemy pojechać na Marsa. Czyste tam bardzo powietrze, człowiek będzie się czuł lekkim, jak piórko.

— Może pan na Marsie założy sanatorium, kiedy tam tak przyjemnie i zdrowo. Ale koniec końcem, jak to daleko od nas do Marsa?

— Dwieście milionów mil w tym miesiącu — odrzekł Cavor — a droga wypadnie mimo słońca.

Jakiś zapal podróżniczy począł mnie ogarniać. Dojechać tam, gdzie nikt z ludzi dotąd nie był, a później opisać tę podróż, wygłaszać odczyty jak Nansen. Zatarłem ręce z radości i zawołałem:

— Dobrze, budujmy prędko sferę.

Zaraz po herbacie zaczęliśmy rysować plan kulistego wagonu, wieczorem poszliśmy do laboratorium i podług świeżo narysowanego planu, zabraliśmy się do roboty przy świetle elektrycznym. Świt zastał nas przy pracy i tak było przez kilka miesięcy. Posilaliśmy się tylko wtedy, gdyśmy omdlewali z wycieńczenia, a szliśmy spać, gdyśmy ze znużenia upadali. Kulę szklaną w mocnych stalowych ramach, podług naszego planu, kazaliśmy ułać w Londynie, inne zaś części robiliśmy sami. Zapal nasz udzielił się naszemu robotnikowi, o nic nie pytali, lecz szybko i dokładnie pracowali pod naszym kierunkiem. Minęła zima, w marcu ogromny wóz przywiózł opakowaną kulę szklaną z Londynu, ponieważ inne części już były w czasie zimy przygotowane, więc teraz robota szła piorunem i w końcu marca sfera była prawie skończona.

Cavor nakazał rozrucić dach w laboratorium i zbudować tam piec do topienia metali; Cavorit bowiem w części już przygotowany, potrzebował ostygnać w piecu do 33° C. aby stwardnieć i nabrać pożądaných własności t. j. stać się złym przewodnikiem siły przyciągania.

Zabrałem się tedy żwawo do murowania tego pieca, poczem umieściliśmy w niej sferę wyłożoną ruchomymi okiennicami i napół gotowego Cavoritu, wewnątrz umieściliśmy rezerwoar z tlenem do oddychania i przyrząd do pochłaniania kwasu węglowego, aby umożliwić oddychanie. Pewnego dnia jednak ogarnęło mnie rozczarowanie.

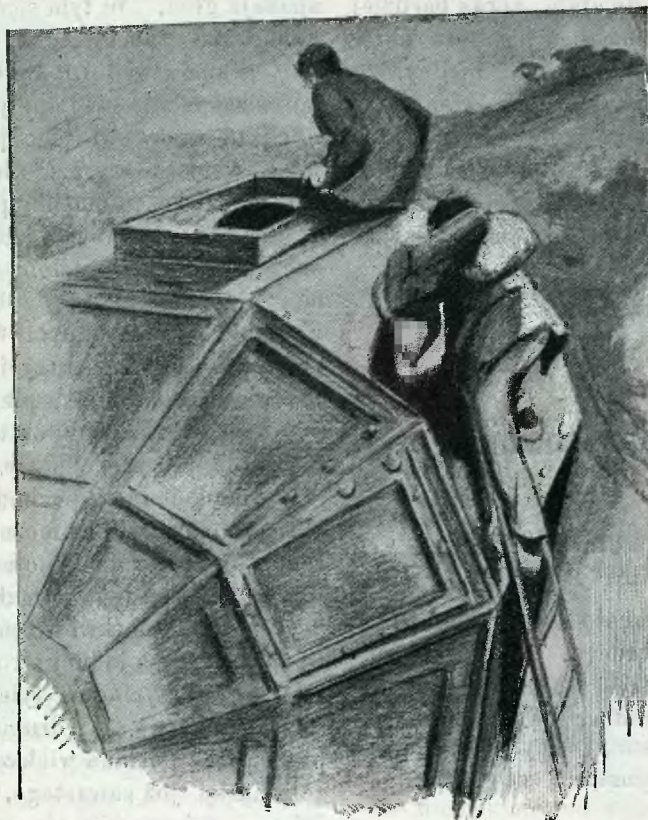
— Ostatecznie, na co my się tak zapracowujemy?

Cavor uśmiechnął się i odrzekł:

— Aby pojechać!

— Na księżyc? Co tam zobaczymy? Wszak to jest dawno zamarta bryła.

Cavor wzruszył ramionami.



Wszedłem po drabinie i zajrzałem do wnętrza kuli...

— Jesteś pan przepracowany — zauważył. — Idź na dłuższą przechadzkę.

— Nie, rzekłem z uporem; — muszę skończyć wszystko — pracowałem do nocy, a później z nadzwyczajnego znużenia zasnąć nie mogłem. Nad rankiem sen skleił wreszcie zmęczone powieki — zasnąłem. Śniło mi się, że lecę i lecę po niebieskich przestworzach w jakąś bezdenną przepaść.

Rano powiedziałem Cavorowi, że nie pojadę z nim, bo uważam całą tę podróż za szaleństwo.

IV.

Puszczamy się w drogę.

Zamiast pójść jak zwykle do laboratorium, wziąłem kapelusz i laskę i poszedłem na daleki spacer. Poranek był cudny, wiosna pachniała w powietrzu, okolica była urocza: Idąc, mówiłem do siebie: — Trzeba być niespełna rozumem, żeby w taki dzień precudny puszczać się gdzieś tam w nieznane przestworza wszechświata, jak ślimaki w skorupie.

Przekąsiłem z apetytem w jakiejś porządnej jadłodajni i dalej wędrowałem wśród świergotu ptastwa i upajających powiewów wiosennych, aż znużony położyłem się u stóp zielonego pagórka i smacznie zasnąłem. Sen ten dziwnie mnie pokrzepił, i w najlepszym humorze poszedłem dalej w stronę Canterbury. Niedaleko od miasta stała duża, piękna oberża, a ponieważ słońce chyliło się ku zachodowi, postanowiłem tu zjeść obiad i przenocować.

Oberżystka, grzeczna i miła staruszka, zaczęła ze mną rozmowę, z której dowiedziałem się, że nigdy jeszcze nie była w Londynie, a największym miastem jakie widziała było sąsiednie Canterbury.

— A czy chciałabyś, pani, pojechać na księżyc? — zapomniałem.

— Nie lubię balonów, — odpowiedziała najnaturalniej w świecie, jakbym jej mówił o najzwyklejszej przejażdżce. — Za nic bym się nie puściła balonem.

Mój księżyc jak widać wcale jej nie zaimponował. Zdziwiło mnie to niezmiernie, że nawet taka skromna babinka uważa podróż na księżyc za zwykłą przejażdżkę balonem, i znów nabrałem ochoty do naszej wyprawy.

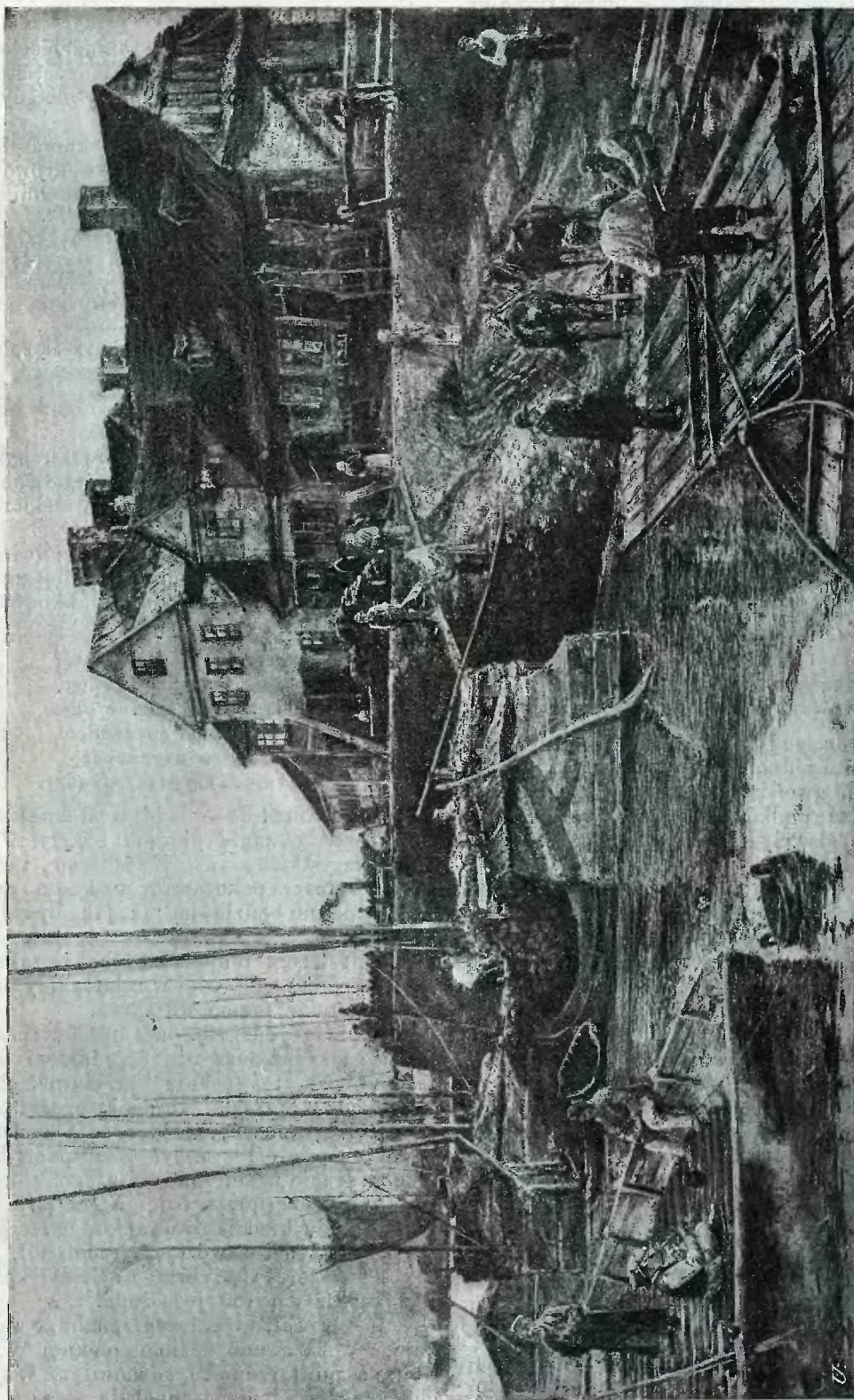
Po smacznym obiedzie, usiadłem na ławce przed oberżą i gawędząc z dwoma gospodarzami o tem i owem, patrzałem z przyjemnością na tarczę księżycy, który jak tajemnicza syrena wabił mnie ku sobie.

I pomyśleć, że ja, ja Bedford, popijający spokojnie piwo w oberży „pod białym koniem” mogę, jeśli zechcę, za dwa lub trzy dni być tam na tym srebrnym miesiącu!...

Nazajutrz wróciłem do Cavora.

— Powracam, rzekłem do niego, rozstrojone nerwy moje już się uspokoiły.

Po kilku dniach „sfera” była gotowa do podróży. Pamiętam, był to cudny wiosenny wieczór. Robotników odprawiliśmy już zupełnie, byliśmy tylko sami. Wszedłem po drabinie i zajrzałem do wnętrza kuli, ciemno tam było jak w grobie. Wzdrygnąłem się, i spuściwszy nogi wewnątrz



Przystań na Wiśle na Solcu.

Aleksander Gierymski.

siedziałem na brzegu otworu, ale Cavor, który wszedł za mną zawołał żywo:

— Spieszmy się, niema teraz nad czem medytować.— Skoczyłem żwawo i zacząłem odbierać od Cavora różne paczki i blaszanki z zapasami żywności i ustawiać je przy drugich na dnie. Temperatura wewnątrz była bardzo wysoka, bo pod kulą w piecu się paliło, to też ubraliśmy się tylko w garnitury z cienkiej flaneli i w lekkie trzewiki, ale na wszelki przypadek wzięliśmy z sobą i ciepłe ubranie i parę grubych kołder wełnianych. Cavor chodził jeszcze po laboratorium, szukając swem bystrem okiem, czyśmy nie zapomnieli zabrać czego potrzebnego, wreszcie i on wszedł do domku, trzymając jakieś przedmioty w ręku.

— Czy nic pan nie zabrałeś z sobą do czytania? — zapytał.

— Niestety, nic.

(d. c. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

CZĘŚĆ PIĄTA.

W Kurytybie.

Rozdział XXII.

Zabawa w *restorante polonense*. — Piosenki. — Państwo Lutowie. — Powrót do Wągrowca. — Mazur. — Zazdrosny Suwara. — Fałszywe pieniądze. — Majowe nabożeństwo. — Stefan szczęśliwy.

Krakowiaczek ci ja, aż z krakowskiej ziemi
Miło w Brazylii tańczyć ze swojemi.

śpiewał ujawszy się pod boki i stając przed muzyką Grześ Kobiela. Nie miał na sobie białej kamizelki ani pasa nabijanego srebrnymi gwoździkami, ale fantazyą zachował krakowską i chociaż podkówkami nie krzesał ognia, oczy dzielnego parobka skrzyły się od radości. Przytupywał i rej wodził na sali.

Szedł za Grzesiem w drugiej parze Karol Wiecha. Wzgardziła nim Kasia Skowronczanka, która jest już od dawna panią Skibową i wypiaستowała trzech synów Wojciechowi, ale Karol nie chowa do Kasi urazy, pocieszył się i gotów chociażby dziś do ślubu. Przytupnął na dobrą fantazyę, chciał pokazać, że potrafi rym wymyślić nie gorzej niż Grzela.

Hen od Gniezna do Poznania
Jest sto dziewcząt do kochania
Czemu która z was mój Boże!
Nie przyjedzie tu za morze.
Przyjeżdżajcie, a w Paranie
Zrobimy z was jasne panie.

— Słyszycie jakie Karol układa śpiewki, a wszystko dlatego, że mu żałośnie bez własnej kobiety.

— Wykupiłbym farkartę, żeby tylko chciała przyjechać która dziewczyna z mojej wsi — westchnął Wiecha.

— Dlaczego koniecznie z waszej wsi? Alboż to tylko nad Wartą spotkać można swaną dziewczuchę. Ja powiadam, że nie ma jak u nas pod Warszawą się żenić — zachwalał swoje strony Bartek Sęk i zaśpiewał starą piosenkę:

Mazurowie nasi
Po jaglanej kaszy,
Słone wasy mają
W piwie je maczają.

— Jaglana kasza i piwo marzą się Karolowi, ot lepiej w kaszasie wasy maczają. Skoro mnie pan Luty zrobił starostą dzisiejszej zabawy, to muszę pilnować kieliszków,

żeby nie stały próżne — mówił Wojciech Skiba, który chodził po sali z dzbanem i częstował gości.

Tymczasem Jasiek Kolenda czapkę rogatywkę w górę podrzucił i śpiewał na nutę kołomyjki:

Od Przemyśla, czy od Lwowa
Kaźda za mnie iść gotowa,
Ale rzucił swoje strony,
W Brazylii szukam żony.

— Słyszycie jak się to pan Kolenda chwali? — mówił śpiewnym głosem pan Józef Korda, stolarz, rodem z nad Niewiaży, szanowany w Kurytybie, gdyż zdolny był i rzetelny rzemieślnik.

Tymczasem na ławie pod oknem siadł Jacek Barkowski co tu od wielkich błót przywędrował i trudnił się be-dnarką, jako że innej roboty nie umiał, ponury był i od ludzi uciekał.

Próżno Skiba dolewa mu szklanki, zawsze w kąt się zaszyje, nie rad kompanii, to też żartowano z odludka:

Pan Jacek się turbuje,
Że mu klepek brakuje,
Wszystkie klepki rzeką spławił
Sobie pięciu nie zostawił, hu ha!

nuci jakiś żartowniś, któremu od kaszasu szumiało w głowie.

Zmarszczył się pan Barkowski, byłoby może przyszło do zwady, ale nie dopuścił do niej Jasiek flecista, ten sam, który przed kilku laty w puszczy siekierą rozplątał ramię Bugrowi.

Jasiek przygrywał dotąd cierpliwie, aż i jego wzięła ochota pokazać co potrafi, rzucił flet na stół chwycił tanecznie wywinął z nią oberka i huknąwszy na dobrą fantazyę, zaśpiewał:

Jam ci rodem jest z Opawy
Parobek tam każdy żwawy.
Bilem Indyan Bugrów bilem,
Lecz się dotąd nie żeniłem,
Teraz rejsów nagromadzę
Do swoich się przeprowadzę.

Do swoich! do swoich! westchnął ten i ów.

Umilkły nagle piosenki i żarty, Jasiek flecista trafił w ton wszystkich serc. Weselili się, tańczyli, śpiewali, ale na dnie duszy pokutowała tęsknota za rodzinną ziemią. Nigdy już nie będzie im tak, jak bywało tam, za morzem u swoich.

Spostrzegł Wojciech Skiba, że zabawa się psuje, stanął na środku sali, wiał w rękę pełny kieliszek, podkręcił wąsa i w takie przemówił słowa.

— Nie godzi się, mili bracia, smuć w dzień wesela chociaż taki już nasz los, że oddaleni od swoich tęsknimy za nimi. Ja też tęsknię i na starość choćby dzieciska zostawić mi tu przyszło, wróć za ocean, żeby raz jeszcze zobaczyć świętą matkę, na której się urodziłem. Ale dziś nikomu z nas żałośliwym być nie wypada, bo dziś obchodzimy jakoby drugie wesele pana Lutego, który sobie z Wągrowca młodą żonę przywiózł. Niech żyje pan Luty! on nas wszystkich w biedzie ratował, on nasza głowa, przywódzca, opiekun. Jemu zawdzięczamy kościół, jemu szkołę, jemu tę salę, w której się zebraliśmy i ucieszyć społem możemy. Wiwat pan Luty, wiwat jego żona!

— Wiwat! wiwat! zagrzmiało ze wszystkich kątów po koju. Winszowano Skibie pięknej przemowy, otoczono Stefana powtarzano to, co mówił już Wojciech, że jemu wychodzący winni byli kierunek i opiekę. W oczach uczuciowych świeciły łzy, a chociaż nie ocierano ich rękawem sukmany, tylko czystą chustką wyjętą z kieszeni święteckiego surduta, to serca wieśniaków nie zmieniły się w niczem. Były gorące i proste jak dawniej pod siermięgą.

(c. d. n.)

NA WŁASNEM GOSPODARSTWIE.

Komedyjka w I-ym akcie.

(Dalszy ciąg.)

SCENA VI.

(*Wandzia, Konrad, Antek i Karolek wpadają z hałasem i krzykiem, z parasolami i laskami wzniesionymi jak strzelby skierowane do Wandzi*).

Wszyscy chłopcy. Pif! paf!...

Wandzia (*cofając się ze śmiechem*) Boję się! boję!..

Karolek (*chwytając Wandzię za ramię i przykładając parasol do szyi*). Życie lub pieniądze!

Wandzia (*śmiejąc się*). Litości!... litości!...

Antek (*do Konrasia*). Wodzu, rozkazuj!

Karolek. Czy mamy wszystko brać, palić, rabować?

Konraś (*z powagą*). Odkłada się to na później, a obecnie zbójcy obierają sobie dom państwa Topolskich do wyprawienia uczty.

Karolek i Antek. Brawo! brawisimo kolego!

Konraś (*j. w.*) A widząc, że zamczysko to nie obfituje w dary Boże, przynosimy dawniej zrabowane zapasy. (*Kładzie na stół kilka pakieteczków*).

Wandzia (*rozwiązując*). Szynka... ciastka... masło... owoce... bakalie... Konrasiu, jakim sposobem mogłeś tyle rzeczy nakupić? Czy otrzymałeś pieniądze z poczty?

Konraś. Nie pytaj niewolnico, a zastawiaj nam ucztę (*Nakładu kołuszek leżący na krześle i kapelusz ojca, uderzając laską o podłogę*). Otom jest dowódca bandy!...

Wandzia (*pogardliwie*). Et, dudek, a nie żaden dowódca. Jest list od mamusi?... Oddawaj!

Konraś (*do kolegów*). Chodźmy przebrać się za zbójców!... (*Konraś, Antek, Karolek wybiegają na prawo, Wandzia za nimi, wołając*).

Wandzia. Oddaj list! Oddaj list!...

SCENA VII.

Walentowa (*otwiera drzwi środkowe z trzaskiem*) **Jadzia, Amelka.**

Jadzia (*roglądając się*). Nikogo nie ma.

Walentowa. Niech se panienki dalej idą, pewnie siedzą przy starszej pani (*wychodzi*).

SCENA VIII.

Amelka, Jadzia.

Amelka. I na co było tu przychodzić? Już zaczyna się ściemniać. Nie lubię Topolskich!

Jadzia. Szczególniej nie lubisz ich wieczorem, gdy boisz się sama wracać do domu.

Amelka. Cóż znowu, nie miałam wprost ochoty na tę wizytę.

Jadzia. Ale mamusia kazała ci dowiedzieć się co u nich słychać.

Amelka. Tylko proszę, nie zabaw tu zbyt długo.

SCENA IX.

Ciż i Wandzia.

Wandzia. Amelka, Jadzia! Dobry wieczór, coś za miłą niespodzianka. (*Całują się*).

SCENA X.

Ciż, Konraś, Karolek i Antek (*przebrani w cudaczne stroje zbójców, wpadają z hałasem*).

Amelka. Kto to taki? Co za przebranie?

Jadzia. Konraś, Karolek, Antek, z początku nie poznałam.

Konraś. Nic dziwnego (*zdejmując kapelusz*). Mordeliusz Zbójcecki do usług, herszt bandy, a tu dwóch moich towarzyszy (*presentując*). Prot Rzeźnicki i Amadeusz Złodziejski, reszta bandy na dworze.

Antek. Ja nie chcę być Złodziejskim.

Konraś. Wymyśl coś wspanialszego.

Antek (*po namyśle*). Fokus Pokus Zawadyacki.

Konraś, Karolek. Brawo, brawisimo kolego!

Amelka. To bardzo wesoło!

Wandzia. Może rozbierzecie się i zostanieie na herbatę.

Jadzia. Nie, my tylko na chwilę.

Amelka. Mamusia kazała mi się dowiedzieć, czy to prawda, że rodzice zostawili was samych?

Jadzia. Czy to być może?

Wandzia. Rzeczywiście, rodzice wyjechali do Piotrkowa.

Amelka. I wy sami? Jaby umarła ze strachu.

Jadzia. Ona boi się nawet sama wrócić do domu.

Karolek. Czy to podobna, przecież to tylko parę domów i nie trzeba nawet przechodzić przez ulicę?

Amelka (*gniewnie*). Wcale się nie boję, to tylko Jadzia tak mnie obmawia. Ale wam tu samym, to nieraz musi być straszno.

Konraś. O, my zbójce, to ze strachami za pan brat żyjemy!

Wandzia. Czasem bywa bardzo smutno.

Antek (*przekornie*). A czasem bywamy i zajęczkami podszyci, gdy np. zbójcy do drzwi kołaczą.

Wandzia (*zawstydzona*). Mamusia jednak mówi, że w każdym wypadku trzeba umieć dawać sobie radę.

Konraś. A tatuś powiada: samodzielność przede wszystkim. Myśl doskonała to będzie hasłem naszej bandy.

Antek. Wniosek przyjęty przez aklamację.

Karolek i Antek. Brawo, brawisimo kolego!...

Jadzia. Co to znaczy, jakaś aklamacja?

Karolek, Antek, Konraś. Samodzielność przede wszystkim. Brawo! brawisimo!

Antek (*do Jadzi*). Ot, jak tak wrzeszczymy, to znaczy aklamujemy.

Karolek. Dowódzco! Drugi wniosek: tchórzów i nie-dołęgów do niewoli!

Konraś. W dyby!...

Jadzia. Biedna Amelka, porwą cię pierwszą.

Karolek. Panna Amelia pierwszą niewolnicą, brawo, brawisimo!

Antek. Do nas, do bandy na naukę odwagi, gospodarności!...

Konraś. I chodzenia samej po mieście.

Jadzia. I gospodarowania jak Wandzia.

Wandzia. Na wsi, jeszcze daleko młodsze dzieci, niż ja pomagają rodzicom i nieraz ciężko pracują.

Amelka. To może ty, Wandeczko, teraz sama zarządzasz domem?

Jadzia. Może i obiady sama dysponujesz?

Wandzia. Naturalnie, daję Walentowej pieniądze na obiad i wszystko zapisuję.

Amelka. Ależ to musi być bardzo wesoło!

Antek. Winszuję, ale nie zazdroszczę.

Karolek. Świetne muszą to być obiady!

Wandzia (*urazona*). Bardzo proszę! No, niech Konraś powie, czy jest głodny?

Konraś. Śmiertelnie.

(*Wszyscy śmieją się*).

Antek i Karolek. Brawo, brawisimo!

Wandzia. Możesz głodny, bo śpiesząc się na pocztę, mało jadłeś, ale obiad był dobry.

Antek. Cóż jadłeś?

(*d. c. n.*)

SCENA XI.

Ciż, Nina (*wbiega w podskokach*).

Nina (*śpiewa*). Klusieczki, z miseczki, mościwy panie.

Wszyscy (*śmieją się*) Klusieczki z miseczki! Brawo, brawissimo!

Nina. Gdzie mój baran? gdzie mój mościwy pan?..

Jadzia. Co za baran? co za mościwy pan? (*bawi się z Niną*).

Wandzia. Walentowa! Walentowa!... przepraszam państwa, ale muszę się teraz zająć herbatą.

(*d c. n.*)

SZARADA.

K. D.

Trzecia wspak

Z pierwszą tak:

Morski ptak. —

Na północnych morzach żyje,
W lśniącej bieli, jak na bal,
Czarna wstęga stroi szyję,
Grzbiet okrywa takiż szal. —
Chód ma chwiejny, niby tańczy,
Nogi żółte, szary czub,
Błękit z barwą pomarańczy
Ślicznie zdobi jego dziób. —

Drugich, jako miar przestrzeni,

Liczą mędrcy i uczeni

Stąd do księżycy mniej więcej

Czterdzieści dziewięć tysięcy.

Wszystko — imię, które noszę.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA

Ul. Czesław S. dla Wandy W.

Wyrazów 15. Początkowe litery złożyć mają imię i nazwisko powieściopisarki polskiej, a końcowe imię i nazwisko słynnego astronoma. Sylaby: A—la—za—kan—to—o—sie—e—sep—o—raj—mek—wil—an—za—gur—ce—nioł—cho—za—za—a—ak—o—zło—mi—e—ki—i—razm.

Znaczenie wyrazów: 1) Imię męskie. 2) Poeta turecki. 3) Postać biblijna. 4) Metal. 5) Istota nadprzyrodzona. 6) Miejsce urodzajne na pustyni. 7) Miejscowość biblijna. 8) Inaczej pałac. 9) Odgłos. 10) Ptak. 11) Miejsce, urodzenia Adama Mickiewicza. 12) Zwierzę ssące. 13) Olbrzymia przestrzeń wód. 14) Zwierzęta drapieżne. 15) Napój alkoholyczny.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go.

Prozy i poezyi:

Gdy wyrośniesz o, dziecię!
Niech twa dusza uplecie,
Wianek cichych cnót;
Niech miłości twej władza,
Bratnie serca sprowadza
W harmonijny spłot.

* * *

Komu gwiazdy zagasną,
Ty nadzieję technij własną,
W jego życia noc.
Czysta wiara w twem łonie,
Jak kaganiec niech płonie,
I twą skrzepia moc.

* * *

Niech jak skrzydło anioła,
Kwiat rozsiewa dokoła
Twoja cicha dłoń.
Świat wciąż cierpi i boli,
Ty ku wszelkiej niedoli,
Chętnie ucho skłoń.

* * *

Pieśń, modlitwa i praca,
Niech ślad znaczą twej drogi,
Przy nich zorza ozłaca,
Zakres życia ubogi.

* * *

A gdy gwiazdę natchnienia
Bóg ci ześle z swej łaski,
Niech pokora ocienia
Jej promienne odbłaski.

* * *

Rozgłos działem mąż bierze,
Niech mu w chwale dni płyną,
Nam w miłości i wierze,
Iść zieloną doliną.

* * *

Niech nas wiedzie w pomroczy
Powinności nie żywa,
Czyste wody zdroj toczy,
Póki w cieniu spoczywa!

Seweryna Duchńska..

Nad kołyską dziewczeczki.

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY** na kwartał 4-ty dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Aleksander Gierymski przez Waleryę Marenne-Morzkowską (z ryc.)—Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Na własnem gospodarstwie, komedyjka w 1-ym akcie. — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek: Niedźwiedź i dziecko (z ryc.) — Nie patrz na mnie, wiersz przez Z. W. Z. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — Powrót ze szkoły przez Zofię Mrozowicką. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 1 Сентября 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balinska

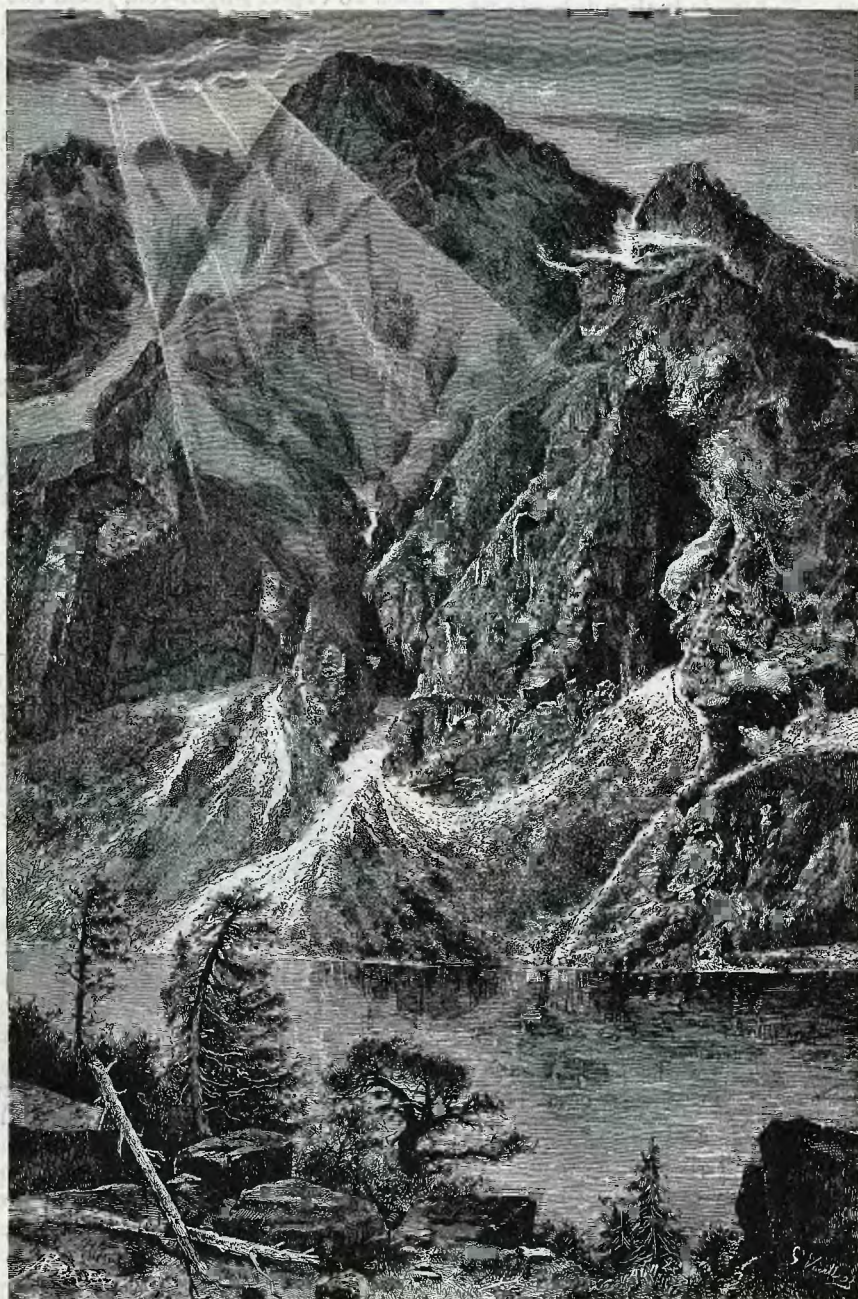
W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Nr. 39. Rok — XXIII.

Dnia 14 (27) Września 1902 r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Do artykułu „Morskie Oko” — Widok szczytu Mięszowieckiego i Mnicha.

Pogadanki z dziedziny chemii.

XIV. Inne sposoby łączenia się pierwiastków.

Rozpatrując prawa, jakim podlegają związki chemiczne, wypowiedzieliśmy zdanie, że dwa pierwiastki wtedy tylko się całkowicie łączą ze sobą, jeżeli weźmiemy je w ilościach ściśle określonych. Do tej reguły dodaliśmy jeszcze inną, która na pozór stoi w sprzeczności z pierwszą; przekonamy się jednak, że w gruncie rzeczy sprzeczność ta jest tylko pozorną.

Wiemy, że chcąc połączyć siarkę z tlenem trzeba wziąć 200 części wagowych pierwszej i 100 części drugiej. Można by sądzić, że nie podobna połączyć siarki z tlenem w innym stosunku, jak powyższy. Doświadczenie uczy jednak, że dzieje się inaczej.

Oddawna już chemicy potrafili otrzymać z tlenu i siarki dwie odmienne substancje. Teraz jednak udało się wytworzyć cały szereg rozmaitych związków chemicznych pomiędzy tymi dwoma pierwiastkami, biorąc je w rozmaitych, lecz zawsze ściśle określonych stosunkach wagowych. Fakt ten nie tylko nie obala powyższej wypowiedzianego prawa, że pierwiastki łączą się w ściśle określonych warunkach wagowych, lecz przeciwnie jeszcze bardziej je umacnia; rozpatrując te fakty, uczeni doszli do poznania bardzo ważnej prawdy: Weźmy rozmaite ilości siarki potrzebne do wytworzenia czterech ważnych związków tego pierwiastku z tlenem, a przekonamy się, że nie są to bynajmniej dowolne jakieś ilości, ale stojące względem siebie w pewnym, ściśle określonym stosunku.

Możemy więc połączyć 64 gramy siarki z 48 gramami tlenu, przyczem powstanie substancja stała zielonego koloru, dalej takąż samą ilość t. j. 64 gramy siarki daje się połączyć z 64 gramami tlenu, a rezultatem tego związku będzie bezbarwny gaz, zwany kwasem siarkowym, ma on bardzo przykrą, duszącą woń i tworzy się, kiedy spalamy siarkę w powietrzu. Trzeci związek siarki z tlenem otrzymujemy biorąc na każde 64 gramy siarki 96 gramów tlenu. Związek taki, zwany trójtlenkiem siarki, albo bezwodnikiem kwasu siarczanego przedstawia się jako biała iglasta masa, która z wodą daje zwykły kwas siarczany. Wreszcie łącząc 64 gramy siarki ze 112 gramami tlenu otrzymujemy czwarty związek, znany tylko chemikom.

Przypatrując się bliżej tym liczbom, widzimy, że tlen i siarka nie trzymają się tak ściśle prawa, na zasadzie którego ciała powinny się łączyć w pewnym określonym stosunku wagowym. Czyżby więc powyższa reguła była mylną? bynajmniej. Widzimy, że 64 części wagowe siarki nie łączą się z wszelką dowolną ilością tlenu, ale musimy brać tego gazu następujące ilości: w pierwszym wypadku 6×8 , w drugim 8×8 w trzecim 12×8 , w czwartym zaś 14×8 . Widzimy przeto, że tlen wytwarza rozmaite związki, lecz je go ilość w każdym następnym związku wzrasta w pewnym wielokrotnym stosunku, a mianowicie zwiększa się o stałą liczbę 8, wziętą 6, 8, 12 albo 14 razy. Ten uderzający stosunek musi doprowadzić nas do wniosku, że do wytworzenia chemicznego związku można brać jeden ze składających go pierwiastków w ilości podwójnej, potrójnej, poczwórnej, ale bynajmniej nie w każdej dowolnej ilości.

Takie stałe stopniowanie ilości jednego ze składników jakiegoś związku występuje jeszcze wyraźniej, jeżeli będziemy rozpatrywali połączenia tlenu z azotem.

Wiemy już, że 28 gramów azotu łączyć się może z 16 gramami tlenu. Dla uproszczenia liczb owe 28 części wagowych azotu nazwiemy po prostu jedną porcją azotu, jak równie 16 części wagowych tlenu będziemy nazywali także jedną porcją tlenu. Otóż istnieje pięć rozmaitych związków tlenu z azotem, w których porcja tlenu powiększa się 2, 3, 4, i 5-ciokrotnie; ale nie dowolnie, jakby można było przez nieporozumienie przypuszczać.

Doświadczenie uczy, że jedna porcja azotu z jedną porcją tlenu tworzą tlenek azotu. Jedna porcja azotu i 3 porcje tlenu dają trójtlenek azotu, czyli bezwodnik kwasu azotowego. Jedna porcja azotu i 4 porcje tlenu dają czterotlenek azotu. Jedna zaś porcja azotu i 5 porcji tlenu dają bezwodnik kwasu azotowego. Widzimy stąd, że do 28 części wagowych, przybywa stale porcja tlenu złożona z 16 części wagowych; jeżeli zaś nie weźmiemy całych 16 części wagowych, albo co na jedno wychodzi całej porcji, to nie powstanie żaden nowy związek.

Chcąc zrozumieć dobrze przyczynę takiego stanu rzeczy, musimy zapoznać się ze wspomnianymi powyżej atomami, czyli niedziałkami.

Wł. U.



H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).



— Szkoda, zapomniałem panu powiedzieć, że podróż nasza może potrwać kilka tygodni.

— Doprawdy?

— Nudno nam będzie siedzieć tak bez zajęcia.

— Cemu też wcześniej nie pomyśleliśmy o tem?

Cavor wyjrzał przez otwór i rzekł: — Patrz pan, widzę tam jakieś gazety.

— A czy mam jeszcze trochę czasu? zapytał.

— Blisko godzinę — za 50 minut piec zacznie stygnąć Cavorit utworzy się, stwardnieje i... ruszymy w dal. Wyjrzałem przez otwór. Widać robotnicy zostawiali przeczytane gazety, bo w jednym kącie leżał pognieciony numer: Tit Bits (pismo humorystyczne), a w drugim podarty „Times.” Zebrałem te okrucy dziennikarskie i wróciłem do Cavora. Teraz dopiero zobaczyłem, że przedmiot, który trzymał w ręku była to książka, wziąłem ją z rąk jego i otworzyłem.

— Dzieła Szekspira!

Cavor lekko się zaczerwienił i rzekł: — Moja edukacja była prowadzona specjalnie w jednym kierunku.

— I nie czytałeś pan Szekspira?

— Nie miałem dotąd czasu!

— To się nim teraz będziemy rozkoszowali, bo przyznam się panu ze wstydem, że i ja znam tylko niektóre z jego dzieł. Jest tak głęboki, że nie wszyscy go rozumieją i to nawet autorzy dramatyczni, jak ja.

Otwór w sferze zamykała najprzód ruchoma okiennica zrobiona z Cavoritu, a nad nią okiennica stalowa, i gruba szyba szklana. Gdyśmy przyśrubowali okiennicę, a później zapuścili szybę, będąc już wewnątrz, ciemność grobowa zapanowała w sferze.

Milczeliśmy obadwaj. Nagle przyszło mi na myśl, że w chwili odlotu będzie pewno silne wstrząśnienie, a wewnątrz naszej klatki nie było nic, za co możnaby się uchwycić. Rzekłem więc do Cavora:

— Dlaczego nie zabraliśmy żadnego siedzenia?

— Zaczekaj pan chwilę, pomyślałem o tem, — odparł ze zwykłym sobie spokojem.

Umilkłem. Chwila była uroczysta. Wiedziałem, co przeżyłem na ziemi, a niepewność tego co mnie spotka w nieznanych przestworzach wszechświata zachwiała silnie moją ciekawość i odwagę. Choć oprócz trochę długów nie nie posiadałem na tym świecie, jednak żał mi się zrobiło, i żeby nie wstyd, że tchórzę w stanowczej chwili, byłbym poodkręcał dopiero co przykręcone śruby i drapał z przekłętą sferą.

Lecz w tej chwili kula lekko się wstrząsnęła, usłyszałem odgłos jakby ktoś odkorkował butelkę szampana, a potem przeciągły gwizd. Na jedno mgnienie oka uczułem, że nogi moje silnie ciągną ku dołowi. Dziwne to było uczucie... zaniepokojony zawołałem:

— Cavorze — dajmy pokój... Nie wytrzymam.

Cavor milczał. Nie widząc go w ciemności, zawołałem z rozpaczą. — Szalony jestem! — Dokąd i po co ja jadę? Wypuść mnie pan z tej ciemnicy!

— Już nie można, — odrzekł.

— Nie można! Zobaczymy.

— Zapóźnie już na kłótnie, Bedfordzie, — rzekł uroczyście. — To lekkie wstrząśnienie, które uczułeś, oddaliło nas od ziemi. Teraz lecimy w przestrzeń z szybkością kuli armatniej!

Oślupiałem na te słowa i zamilkłem. Wszystko zatem było skończone.

Po chwili uczułem straszne dzwonienie w uszach, zdawało mi się, że dostanę ataku apoplektycznego, że ciało moje staje się nienaturalnie lekkim, uczucie to nieprzyjemne trwało wciąż, ale po kwadransie przyzwyczaiłem się do niego. Usłyszałem jakiś chrzęst i naraz ujrzałem jasne światło lampki elektrycznej; twarz Cavora była trupio biała, ja czułem, że tak samo muszę wyglądać. Spojrzeliśmy na siebie w milczeniu, obadwaj dziwnie przejęci niezwykłą naszą podróżą. W końcu rzekłem:

— Teraz jesteście uwięzieni.

— Tak, uwięzieni — potwierdził.

Chciałem wstać, ruszyć się z miejsca na znak, że żyję jeszcze, lecz Cavor zawołał szybko.

— Nie ruszaj się pan! Muskły nasze powinny się znajdować teraz w stanie zupełnego spokoju, tak jak wtedy gdy leżymy w łóżku. My w tej chwili stanowimy mały, światek oddzielony od całego wszechświata. Spojrz pan tylko na nasze bagaże

I ręką wskazał na rzeczy nasze, które umieściliśmy na dnie kuli, wszystkie te paczki, i wełniane kołdry zdawały się teraz płynąć w powietrzu, oddalone o całą stopę od szklanych ścian. Dążyły do środka sfery ku sobie. Zauważyłem, że i Cavor był także jakby zawieszony, na niczem nie oparty. Wyciągnąłem rękę poza siebie i przekonałem się, że ciało moje z żadnej strony nie dotykało szklanego wnętrza sfery, że i mnie coś trzymało w przestrzeni. Dziwny jakiś strach mnie ogarnął. Wyciągnąłem rękę dalej i dotknąłem szklanej ściany, która silnie przyciągnęła moje palce.

Pojałem teraz doskonale, że jako odcięci całkowicie od wszelkiej siły przyciągającej z zewnątrz, przyciągamy się tylko wzajemnie do siebie. Skutkiem tego cokolwiek nie dotykało ścian, musiało powoli ciężnąć do środka naszego światka czyli naszej sfery.

— Trzeba się nam wykręcić, — rzekł Cavor, — plecami jeden do drugiego, a wszystkie rzeczy będą między nami.

Było to najdziwniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek w życiu doznałem. Strach prędko przeminał, zdawało mi się, że spoczywam na miętko usłanem łóżku. Nie czułem już zawrotu głowy, nie czułem żadnego niepokoju, czułem się jakby duchem w przestrzeni. Nie zdawało mi się to być początkiem podróży, ale początkiem snu.

V.

Przybycie na księżyc.

Wkrótce Cavor zgasił lampkę, mówiąc, że trzeba oszczędzać światła, i czas jakiś lecieliśmy w ciemności. Naraz zapytałem mego towarzysza:

— W jakim też lecimy kierunku?

Lecimy od ziemi prostopadle w górę, a ponieważ księżyc jest prawie w swej trzeciej kwadrze, więc lecimy ku księżycowi. Zresztą podniosę okiennicę, to zobaczmy.

Niebo na zewnątrz było tak ciemne, jak wewnątrz naszej kuli, z tą różnicą, że usiane niezliczonym mnóstwem gwiazd.

Gwiazdy, które widzimy w naszej mglistej atmosferze jakże są blade w porównaniu z tym pyłem świetlanym, który wtedy przedstawił się moim oczom!

Cavor szybko zwinął jedną okiennicę za drugą, nagle zamknąłem oczy, bo olśniła mnie światłość księżyca, gdyż Cavor zwinął aż cztery okiennice Cavoritu, aby siła przyciągająca tej planety mogła działać na kulę i przyciągać ją do siebie. Uczułem, że już nie jestem zawieszony w powietrzu, ale stoję na szklanej ścianie sfery, która zaczęła lecieć w kierunku księżyca. Wszystkie rzeczy znajdujące się wewnątrz, a które przed kilku minutami zdawały się pływać w powietrzu, teraz znalazły się spokojnie leżące obok mnie. Patrząc na księżyc zdawało mi się, że patrzę „w dół”, gdyż przyciąganie księżyca sprawiło, że ziemia była nad naszymi głowami, tymczasem gdy wszystkie okiennice Cavoritowe były zamknięte, pojęcie „w dół” znaczyło do środka kuli, a „w górę” ku jego ścianom.

Tak samo rzecz się miała ze światłem. Na ziemi światło przychodzi z góry lub z boków, do nas dochodziło ono z dołu, i żeby zobaczyć nasze cienie musieliśmy patrzeć w górę.

Uczułem pewien zawrót głowy, spoglądając na te nowe zjawiska, ale po chwili zawrót minął, a ja napawałem się widokiem nieznanych dotąd dziwów.

Ponieważ przestrzeń bezpowietrzna była czysta, więc wśród milionów gwiazd widzieliśmy księżyc bardzo wyraźnie. Był daleko większy, rozumie się, niż widziany z ziemi, a że żadna chmurka nie zaciemniała go, więc świecił jasnym choć łagodnym światłem. Stałem jak wryty i patrzyłem w dół na przybliżający się księżyc, którego kontury ostre i całą powierzchnię widziałem już jak na dłoni.

— Cavorze — rzekłem nagle — nie zdaje mi się, abyśmy tu jakie szacowne minerały znaleźli.

— Zobaczymy!

— Ciekawym, czy odniesiemy jaką korzyść z tej wyprawy?

Jednak przez chwilę snem mi się wydało całe moje przeszłe życie i ziemia, która teraz była od nas tak daleko, lecz spojrzawszy na numer Timesa i na różne ogłoszenia w nim wydrukowane wróciłem do rzeczywistości i zapytałem Cavora:

(d. c. n.)



Lapończycy z okolic Koły.

Fotografię tę nadesłał nam prenumerator „Wieloryb z Koly” z nad brzegów Morza Białego. Lapończycy należą do plemienia fińskiego i zamieszkują Norwegię, Szwecję i Rosję północną. Prowadzą życie koczujące, zajmując się przeważnie hodowlą reniferów, myślistwem i rybołóstwem. Sami wyrabiają sobie przedmioty na potrzeby domowe: ubrania, rękawice, naczynia drewniane, sanki i t. p. Z natury są łagodni, dobroduszn i uccziwi.

Prosimy innych naszych czytelników o nadsyłanie fotografii lub rysunków mieszkańców ze swoich okolic.

MORSKIE OKO.

Ma pełna poezji nazwa uroczego tatrzańskiego jeziora nie jest obca czytelnikom „Wieczorów”. Wiedzą oni o niem nie tylko z geografii, lecz i z powieści p. Urbanowskiej „Róża bez kolców”, drukowanej w latach poprzednich (1900 i 1901). A może są i tacy szczęśliwi podróżnicy w ich gronie, którzy sami byli w Zakopanem i odbyli wycieczkę w góry, do tej perły Tatr naszych.

Nie będziemy więc teraz powtarzali opisu samego jeziora i jego właściwości, ani też malowniczych dróg i przejeżdż, które doń z Zakopanego prowadzą. Nie! w dzisiejszej pogadance wspomnimy o Morskim Oku z innych względów.

Czy wiecie, co to jest spór graniczny?

Dwóch sąsiadów posiada przyległe obszary ziemi, rozdzielone granicą naturalną (rzeka, grzbiet pasma gór i t. p.) albo sztuczną to jest przeprowadzoną wśród pól, łąsów czy łąk według uznania właścicieli i oznaczoną kopcami, i wykazywaną na planach obu ziem. Ale z biegiem czasu często się zdarza, że nawet bez złej woli człowieka kopce i znaki graniczne ulegają zniszczeniu, strumyki zmieniają swój bieg i następuje wątpliwość co do kierunku linii granicznej, bardzo trudna do rozstrzygnięcia, bo i opisy i mapy, zwłaszcza dawniejsze, nie zawsze bywają ścisłe i dokładne.

Tymczasem od kierunku granicy zależy obszar danej ziemi. Jeśli stojąc, obrócony na północ, skieruję granicę choć trochę zbyt na wschód t. j. na prawo, skrzywdzę właściciela z prawej strony, bo część jego ziemi oddam lewemu i odwrotnie, a ziemia to przecie główne źródło bogactw i podstawa bytu. Nic więc dziwnego, że wśród posiadaczy ziemskich wszelkich epok i krajów zdarzały się często spo-

ry o kierunek granic, które nieraz trwały bardzo długo i doprowadzały do kłótni i nienawiści całe rody. Starano się wszędzie zapobiegać temu, wybierając przy działach większych zwłaszcza ziem i obszarów granice naturalne, stawiając trwałe znaki, wzywając świadków przy odmierzaniu granic, ale ząb czasu i działanie sił przyrody a niestety, często, — i chciwość ludzka, albo nieobecność lub niedbalstwo właścicieli przyczyniały się do tego, że granica się zmieniała i trzeba było wielkiej znajomości stosunków miejscowych i biegłości w prawie, aby rozwikłać takie spory, które w wielu krajach sądzili specjaliści sędziowie (np. u nas podkomorzowie), ciesząc się wyjątkowym zaufaniem i poważaniem mieszkańców danego powiatu. Istniał też niegdyś w niektórych miejscowościach zwyczaj, że przy sypaniu lub odnawianiu kopców granicznych wymierzano płagi na tych kopcach kilkunastu wyrostkom z sąsiednich wsi lub osad, a czyniono to dla tego, aby utrwalić w ich pamięci to miejsce, jako znak graniczny, żeby za jakie lat kilkadziesiąt, przy możliwych w przyszłości sporach, mogli z pewnością poświadczyć, gdzie się te kopce znajdowały. Zwyczaj ten okrutny i nieskuteczny naturalnie dawno już nie istnieje.

Spory graniczne bywają nie tylko między prywatnymi właścicielami, lecz i między państwami i krajami. Taki spór istniał właśnie między Galicyą a Węgrami, którzy zajęli ziemię Spiską, o kąt zawarty między Turnią Miegoszowiecką i Żabiem, przestrzeni około 980 mórg, lecz w którym właśnie leży Morskie Oko i Czarny Staw.

Zatargi graniczne polsko-węgierskie sięgały XIV wieku, bo trudno było w owych niedostępnych górskich miejscowościach, zwłaszcza w czasie częstych wojen z Turkami, ściśle oznaczać granice. Nieraz bywało zabory prywatnych właścicieli węgierskich wywoływały interwencję władzy królewskiej, jednak że ten właśnie kawał ziemi z Morskim Okiem i Czarnym Stawem był zawsze w posiadaniu

Pan Luty! Czas nareszcie opowiedzieć wam dzieje z ostatnich dwunastu lat życia naszego bohatera i przedstawić go jako szczęśliwego małżonka urodziwej...

A może zgadliście sami, kto była wybrana znajdy?

Znajda, tak! Stefan i dziś jeszcze nie wiedział prawdziwego swego nazwiska. Nie śmiałby Adamek rzucić mu obelgę w oczy, bo pozyskał szacunek swoich współobywateli. Było ich zaś niemało, przybywały do Kurytyby coraz nowe partye wychodźców ze wszystkich stron kraju, a każdy emigrant osiedlający się w okolicach miasta, odczuwał dobroczynny wpływ wywierany przez pana Lutego.

Wpływ ten rósł w miarę, jak rosło wykształcenie i majątek Stefana. Kierowany radami O'Cleara nabywał on wiadomości koniecznych dla przewodniczącego wielkiemu zbiorowisku ludzi. Każdy gospodarz musi znać zakres potrzeb, środków i celów swego gospodarstwa; gospodarstwo zbiorowe jakiegokolwiek społecznej jednostki ma także swoje stałe prawa, i stałe warunki bytowania. Poznać te warunki, zastosować doświadczenie drugich ku pożytkowi nowego ludzkiego środowiska, oto nad czem pracował Stefan.

Kościół był pierwszym zbiorowem dziełem kolonistów, potem zbudowali oni w Kurytybie szkołę, szpital, założyli bank, a teraz właśnie zbierali fundusz na otwarcie spółkowego sklepu, który wyrwałby osadników z rąk sklepikarzy (*vendystów*).

Stefan nie zmarnował zbiorów uczonego Chryzostoma Dundery. Zawdzięczał ziołom znalezionym w jamie ratunek od złej gorączki, więc też zaraz po zbudowaniu *restorante polonense* umieścił w szklanej szafie numizmaty, pergamin i zasuszone rośliny, z tą nadzieją, że szafa będzie początkiem muzeum, gdzie wychodźcy znajdą wiele drogich im pamiątek. Dwie inne szafy mieściły bibliotekę osadników, stanowiły one główną ozdobę sali, w której Stefan obchodził dziś powrót swój z żoną z Europy, a w której co niedziela zgromadzano się na wspólne narady, często na odczyty.

Restorante polonense, jak ją nazywali Brazylijczycy, była miejscem zbornym dla nowo powstającej osady, stary wiarus Tomasz zawiadywał porządkiem w budynku, a Marcjnowa objęła niepodzielną władzę nad kuchnią. Gotowała polewkę, barszcz, czerninę, zrazy, nauczyła się nawet przyprawiać mamałygę i kołduny, byle dogodzić gościom, którzy przychodzili do restorante radzić o wspólnych sprawach. Nic zaś tak nie podnosi w nas uczucia własnej godności, jak wypowiedanie śmiało myśli.

Kolonisci tracili też powoli nieśmiałość, rozwiązywały się ich języki, nabierali pewności siebie. Słusznie mówił ksiądz Bakanowski, proboszcz londyńskiej parafii: nikt po roku przebytu zagranicą nie pozna polskiego emigranta. Czyści, przyzwoicie ubrani, słuchali na zebraniach w restorante spraw ogół obchodzących i zabierali w nich sami głos.

Dziś jednak nikt nie myślał stawiać wniosków, ani ich bronić przed krytyką oponenta, dziś zgromadzono się na wspólną zabawę, aby obchodzić powrót pana Lutego i poznać jego żonę. Bo Stefan się ożenił w Wągrowcu z Marysią Orzelówną, sierotą wychowaną jak i on na organistwie.

— Wypiastowałaś sobie żonę — powiedział ksiądz proboszcz, który sam błogosławił młodej parze przy ołtarzu. Narzeczona nie przypominała w niczem słabowitego dziecka, wyśmienianego przez *Tamtych*. Marysia wyrosła na dorodną, zdrową, wesołą i pracowitą pannę, a takiej to właśnie żony potrzebuje osadnik. W mozaice narodowości, jaką jest Brazylia, giną jednostki zdenerwowane i apatyczne, rozkwitają zato bujne, dzielne i energiczne. Walczą tam ludzie o prawo bytu, jak w puszczy walczą rośliny o promień słońca.

Złe było Stefanowi bez rodziny, i zakładać ją powinien każdy zdrowy a szlachetnie myślący człowiek, bo uczucia rodzinne potęgują siłę ukochania całej ludzkości; kto ma gorące serce dla blizkich, ten i dalszych ogarnąć sercem potrafi.

Ale musiał on wprzód dać pomoc kolonistom, których przeprowadził z Sixtenlots na żyzne brzegi rzeki Ignassy, musiał zresztą urządzić własny los. Pozostał na stałe w Kurytybie, i założył fabrykę narzędzi rolniczych.

Fabryka narzędzi rolniczych? Tak. Stefan zaczął od założenia ślusarskiego warsztatu. Użył na ten cel pieniędzy złożonych w węgrowskim banku, ale warsztat rósł w zamożność z prawdziwie amerykańską szybkością. Szczęściło się Lutemu, błogosławił Bóg uczciwej pracy, nie brakło nigdy obstalunków w warsztacie. Zaludniała się Brazylia osadnikami, orano pola na których nie powstała dotąd stopa człowieka, potrzebowano więc narzędzi do uprawiania roli, potrzebowano pił do trzebieżenia lasów. Pił i pługów dostarczała fabryka signora polaca Luta, jak nazywali Stefana kurytybscy brazylijczycy.

Znalazło w niej zajęcie kilkuset polskich robotników, pługi z marką S. L. (Stefan Luty) szły orać ziemię pod zasiew pszenicy, sprowadzanej z urodzajnych sandomierskich łąnów, a dom jego i serce stały otworem dla każdego przybywającego biedaka.

Dom, własny dom! Ten tylko zrozumie urok posiadania swojej chaty, kto nie miał jej od dzieciństwa a zbudował ją sam w pocie czoła, jak budował Stefan strzechę dla siebie i dla Leona. Byli oni nierozłącznymi towarzyszami od chwili, kiedy biedny Nesabil, kierowany instynktem wdzięcznego serca, odszukał w jamie na pół przytomnego Stefana. Kadysia posiwała od starości, dzieliła losy swego pana i zdawała się rozumieć doniosłość przygotowań, robionych na przyjazd młodej pary z Europy. Bo Stefan zwierzył się ze swych zamiarów szanownemu proboszczowi i odtąd przez rok cały pisywał do Marysi, a upoważniony przywiązaniem wiernie mu zachowaniem, pojechał w grudniu do Wągrowca.

Łatwo pojąć jakie jego obecność w rodzinnem mieście wywołała zdziwienie. Sierota, znajda, wracał dorodnym młodzieńcem, a miał tyle prostoty w obejściu, że zjednał sobie odrazu serca dawnych znajomych. Ujmował dobrocią i szczerością, nawet przekupki patrzyły życzliwie na dostatnio ubranego kawalera, bo ten kawaler witał się z każdą uprzejmie i nie zapominał, że miastu winien był swoje wychowanie.

I siedł znów Stefan tą samą drogą, na której stał wtedy, kiedy samotny i bezdomny opuszczał Wągrowiec może na zawsze. Mróz ściał ziemię, oszroniało drzewa strząsały srebrne igły lodu, a on podziwiał piękność swojej natury i biło mu serce takim wzruszeniem, jakiego nie doznał nigdy w życiu. Uczuł, że tu jego miejsce, że należy do tej ziemi, do tych drzew spowitych w białe opony, do tych starych murów kościoła, w którym wymowne usta szanownego proboszcza uczyły go prawd Bożych, uczyły kochać matkę ziemię i braci bliźnich.

— On siał pierwsze ziarna miłości w sierocem mojem sercu — myślał Stefan i biegł wzruszony na plebanie, a potem witał kościelnego, i siedł do organistówki, żeby zobaczyć stare kąty, żeby podziękować Werębkom za opiekę daną jego dzieciństwu.

Kilka tygodni przebyte w Wągrowcu minęły jak sen, a teraz Stefan wracał z żoną do Brazylji, gdzie czekali go życzliwi współobywatele. *Restorante polonense* brzmiała muzyką, a młoda pani Lutowa zdobywała sobie uprzejmością i wdziękiem względy przyjaciół męża. Miał ich zaś nasz bohater bardzo wielu.

— Jeden Suwara tylko utopiłby pana Lutego w szklance wody — mówił Skiba, Wojciech czuł dziwny wstręt do rudobrodego wendysty*).

Suwara nie miał szczęścia, patrzano z niedowierzaniem na jego sklep, jak gdyby działa się w nim rzeczy, o których mówić niebezpiecznie.

Dziś jednak nikt nie psuł sobie zabawy wspomnieniem zazdrosnego kupca. Nawet biedny Leon był wesel.

*) Wenda, sklep ze spożywczymi i łokciowymi towarami.

szy niż zwykle i uśmiechał się do pani Lutowej, która dla przypodobania się mężowi pragnęła pozyskać życzliwość Ziemiaka.

(d. c. n.)



NA WŁASNEM GOSPODARSTWIE.

Komedyjka w I-ym akcie.

(Dalszy ciąg.)

SCENA XII.

Ciż i Walentowa (*Wańdzia i Walentowa nakrywają do stołu w głębi*).

Konraś. Wyobraźcie sobie, jaki dziś miałem ambarras z odbiorem pieniędzy.

Amelka, Karolek, Antek (*ze zdziwieniem*). Pieniędzy?...

Konraś (*z powagą*). No tak, pieniędzy, cóż to dziwnego. Rodzice przysłali mi pieniądze na wydatki bieżące, na dom, a tu pan pocztmistrz utrzymuje, że małoletni, i że pieniędzy mi nie wyda. Oburzyłem się ogromnie i mówię mu: Cóż to pan myśli, że małoletnim to wszystko w sklepach i magazynach dają darmo? Czy pan sądzi, że my tak samo, jak starsi, nie możemy umrzeć z głodu, nie mając pieniędzy? A kto za to będzie odpowiedzialnym?

Antek. Tak mu powiedziałeś?

Konraś. A tak, i teraz coprędzej pobiegłem do rządu, pokazałem mu list rodziców, rządca poszedł ze mną i pan urzędnik pocztowy, musiał jak niepyśzny, oddać mi pieniądze.

Antek i Karolek. Brawo, brawisimo, dowódzco Mordeliuszu Zbójce!

Wańdzia. Proszę was na herbatę, (*do Anulki i Jadzi*). Moje drogie, zostańcie, musicie już to zrobić dla mnie i napić się herbaty na mojem gospodarstwie.

Amelka. Ale jak to wszystko ładnie podane i nakryte!

Jadzia. Jak niczego nie brakuje: są nawet owoce, ciastka i bakalie.

Wańdzia. To już zasługa mego braciszka. (*Siadają w takim porządku: Amelka, Jadzia, Nina, Wańdzia, Karolek, Antek i Konraś Walentowa usługuje*).

Karolek. Ale panna Wanda jakoś zręcznie zatarła ową delikatną sprawę obiadową.

Wańdzia (*zagniewana*). Jak to rozumiesz?

Konraś. Ostrożnie, gotowa cię palnąć.

Wańdzia. Proszę, może szynki, masła?... Karolek woli jabłka?... proszę nóż...

Karolek. Dziękuję! (*obierając jabłko, półgłosem do Wańdzy*). Pod sekretem przyznaj się, Wańdziu, że ta sprawa obiadowa gwałtownie domaga się zapuszczenia na nią zasłony. Przyznaj się, a nie nikomu nie powiem.

Wańdzia (*oburzona*). Przepraszam, nie mam nic do ukrycia. Konraś, mów nareszcie, co dziś było na obiad?

Konraś. Czekaście! (*namyślując się*). Był krupnik, tak krupnik, pamiętam dobrze...

Nina. I zrazy z kaszą.

Amelka. Krupnik i... kasza?

Karolek. Kasza i kasza, a na leguminę czy nie było czasem zapiekanej kaszki?

Jadzia. Ja bardzo lubię wszelkie kasze.

Karolek (*do Wańdzy*). A widzisz, trzeba było wejść ze mną w układ.

Wańdzia. Proszę mi nie dokuczać.

Antek. Z przeproszeniem pani dobrodziejki, czy i jutro będzie taki kaszany, czy też kaszowy obiad?

Karolek (*klepiąc Konrasia protekcyjnie po ramieniu*). Biedny ty chłopcze, wzięty na kataplazmy na wewnątrz. A możeś ty chory, a może doktorzy zalecili ci taką dziwną kurację?

Wańdzia (*ze łzami w oczach*). Walentowa doradziła mi...

Nina. Obiad był dobry, doskonały, nie dokuczajcie mojej Wańdzi.

Wańdzia (*całuje Ninę*). Nina najmniejsza, a jednak najlepsza.

Antek. Wnoszę prośbę do prześwietnego przywódcy bandy, Mordeliusza Zbójckiego, umorzenia sprawy kaszowego obiadu.

Konraś. Na wniosek towarzysza Fokus Pokus Zawadyackiego, niniejszem sprawa kaszowego obiadu umarza się. Niewolnica Wanda przypuszczona do łaski z upomnieniem li tylko lepszej nadal dyspozycji obiadów.

Wszyscy. Brawo, brawisimo, dowódca Mordeliusz Zbójce!

Wańdzia. Protestuję — nie jestem niewolnicą.

Konraś (*groźnie*). Wszystkie jesteście niewolnicami naszej bandy.

Wańdzia, Jadzia, Amelka. Nie, nie, nie jesteśmy niewolnicami!

Nina. I ja nie niewolnica...

Antek. Czy to bunt?

Dziewczynki (*wstając*). Bunt! bunt! bunt!...

Konraś, Antek, Karolek (*uzbrajając się w łaski i parasole*). Pif! paf!... Poddajcie się! poddajcie!...

Głos babci za sceną. Wandeczko! Wańdziu! co to za krzyki? co się tam dzieje? (*Wańdzia wychodzi*)

SCENA XII.

Ciż oprócz Wańdzy.

Antek. Co wódz Mordeliusz Zbójnicki rozkaże czynić z buntującymi się babami?

Jadzia, Amelka (*oburzone*). Babami?!

Jadzia. To okropne.

Amelka. Szkaradne.

Nina. Chłopcy niegrzeczni!

Konraś. Rozkazuję uwięzić buntowniczkę.

Amelka, Jadzia, Nina (*w obronnej postawie*). Sprobuje tylko, zobaczycie!

SCENA VIII.

Ciż i Wańdzia.

Wańdzia (*zakłopotana*). Przepraszam was bardzo, ale.. babcia czuje się niezupełnie dobrze...

Jadzia. Już dawno pora nam do domu!

Amelka. Długo bardzo zabawiłyśmy się tutaj.

Antek. O, i na nas czas wielki!

Karolek. Trzeba strój zmienić.

Konraś. Zbierzmy się jeszcze kiedy i zabawmy w zbójców.

Amelka. To bardzo wesoło, proszę do nas.

Jadzia. A może do nas, to jeszcze bliżej.

Karolek. Dowódcę z szacunkiem całuje się w ramię.

Konraś (*do ust mu podsuwając rękę*). Możesz nawet w rękę.

Karolek (*uderza go po ręce*). Jeszcze czego!

Konraś. Zgroza!... obraziłeś dowódcę... sroga czeka cię kara!

Antek. Wniosek... na dziś umorzyć wszystkie sprawy.

Konraś. Przebaczenie!

Wszyscy. Brawo! brawisimo! Mordeliusz Zbójnicki!

Głos babci. Niniu! Nineczko!

Wszyscy. No, już do widzenia! do widzenia!
(*Anulka, Jadzia, Karolek, Antek, wychodzą drzwiami środkowymi, Ninka wybiega na prawo.*)

SCENA XIV.

Konraś, Wańdzia.

Wańdzia. Boże! co nieporządku! Trzeba wszystko pozbierać. (*podczas całej tej sceny chodzi i porządkuje.*)

Konraś. Już to babcia zawsze każdą przyjemność zepsuje człowiekowi! Ładnie gości wypraszać! niema co mówić!

Wańdzia. Szkoda rzeczywiście, tak dobrze bawiliśmy się, ale babcia mówi, że bez starszych nie można tak dokazywać.

Konraś. Czyż robiliśmy co złego? Przecież tatko nie chce wychować nas na niuńki, umiejące bawić się tylko pod okiem starszych.

Wańdzia. Biedna babcia, widocznie cierpi dziś gorzej na reumatyzm, nie trzeba na nią narzekać. Ale powiedz mi Konrasiu, skąd wzięłeś pieniędzy na tyle sprawunków? Ile rodzice przysłali? Daj mi na jutrzejszy obiad.

Konraś (*zakłopotany*). Nic ci dać nie mogę, bo nie mam.

Wańdzia. Jakto, chyba żartujesz?

Konraś. Cóż chcesz, to wszystko dużo kosztuje: owoce, ciastka, masło, szynka...

Wańdzia. I coż rodzice przysłali?

Konraś. Trzy ruble.

Wańdzia. Jakto! i ty całe trzy ruble wydałeś na jeden wieczór? A za coż jutro Walentowa obiad nam ugotuje?

Konraś (*j. w.*). Przecież mówiłaś mi, że tam jeszcze coś zaoszczędziłaś z dawniejszych rachunków.

Wańdzia (*żałośnie*). Mam tylko 28 kop i co ja pocznę nieszczęśliwa! Czyż można, Konrasiu, być tak nieopatrznym, lekkomyślnym...

Konraś. No, proszę cię, już tylko bez morałów!

Wańdzia. Dobry sobie! nabroiłeś a teraz nie chcesz słuchać prawdy. (*Z rozpaczą*). I co my jutro jeść będziemy.

Konraś. Jutro... jutro... możemy zjeść obiad postny!

Wańdzia. Et, głupstwa pleciesz. Nie masz pojęcia ani wyobrażenia o gospodarstwie i wiesz, że potrawy postne drożej kosztują, niż mięsne (*liczy po cichu*).

Konraś. I czego tak mruczysz?

Wańdzia. Obliczam, czy 55 kop. może nam wystarczyć na jutro.

Konraś. Co tam jutro, ale dziś zabawiliśmy się krótko, ale dobrze.

Wańdzia. Miłe złego początki, lecz koniec żalosny. (*Przez chwilę myśli, potem wykrzykuje radośnie*). Znalazłam! wybornie! doskonałe! Kupię tylko 1½ funta mięsa na ko-

tlety. Mamusia zawsze mówi, że na kotlety najmniej mięsa wychodzi. Od wczoraj zostało trochę maki, na zupę więc będzie postna zacierka, a do kotletów podam parę ogórków, żeby było coś ostrzejszego. Wystarczy nawet na bułki i mleko.

Konraś. A jeżeli i pojutrze rodzice nie wrócą?

Wańdzia. To już trudno, z twojej łaski będzie mi na głód skazani.

Konraś (*gniewnie*). Z mojej łaski... z mojej łaski (*nagle*). Otóż nie! sprzedam zegarek i przeze mnie głodu cierpieć nie będziecie.

(d c. n.)

SZARADA.

E. L.

*Pierwszego źródło z wyżyn Sabaudzkich się sący,
A potem do zatoki Weneckiej, bieg rączy
Fal swych tocząc, w tej drodze łączy się ogniwem
Z rzekami, co drugiego z trzeciem są odpływem.
Wszystko zaś jakkolwiek w następstwach sromotne,
Należy się wszystkiemu, co złe i przewrotne.*

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37.

Szarady: Tem — pe — ra — tu — ra.

Łamigłówki geograficznej:

Rodan — Duero — Ren — Nida — Don — Ner.

Od Redakcyi.

Termin nadsyłania robót ręcznych na konkurs wobec licznych żądań naszych czytelniczek przedłużamy do 5-go listopada.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Wieczorów Rodzinnych.”

Z księgarni Polskiej (Warecka 14).

Krótki zarys piśmiennictwa polskiego od czasów najdawniejszych do końca XVIII w., opracowała W. Weychertówna.

Cudowna historia Joanny d'Arc, świętołbiwej francuskiej dziewicy. Z rysunkami. F. Morzycka.

Ulicznik warszawski z powieści Z. Bukowieckiej p. t. „Dzieci Warszawy.”

Nasz Mały, przez W. Kosiakiewicza.

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY** na kwartał 4-ty dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA Nr. 10.

TREŚĆ: Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa (z ryc.) — Laponczycy z okolic Koly (z ryc.) — Morskie Oko (z ryc.) — Stefek Łuty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Na własnym gospodarstwie, komedyjka w 1-ym akcie. — Łamigłówka i rozwiązania. — Dodatek: Wolę ciebie Burku, wiersz przez Z. W. Z. — (z ryc.) — Wróżka sierot. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 8 Сентября 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Nr. 40. Rok — XXIII.

Dnia 21 Września (4 Października) 1902 r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Powrót z łowów. — Za myśliwcami.

List z wystawy gier i zabawek str. 314.

Do młodszych braci.

Do was piosnka się wyrwa,
Młodzi przyjaciele,
Z ukochanych stron.
I, jak kosiarz w złote żniwa,
Niesie plony i wesele
I słoneczny ton.

Blaskiem szczęścia was oplecie
I do snu ułoży,
W słodkich marzeń mgle,
O prawdziwym mówiąc świecie,
Promienistej zorzy
I uroczym śnie...

I do prawdy niechaj kroczy
I miłością sieje,
Pozłocisty siew,
A w młodzińskich dusz przeźroczy
Niech wyolbrzymieje
Mój serdeczny śpiew.

Zygmunt Idzikowski.

Pogadanki z dziedziny chemii.

XV. Co nam chemia może powiedzieć o atomach?

Celem wytłomaczenia tych wszystkich tajemnic, nad jakimi nieraz zastanawialiśmy się w powyższych rozdziałach, uczeni przyjęli pewne przypuszczenie, czyli jak się mówi, pewną hipotezę, w gruncie rzeczy bardzo prostą. Według tej hipotezy, każda substancja jest zbiorowiskiem pojedynczych atomów: kawałeczek siarki, trochę złota, żelaza, miedzi, fosforu, jednym słowem każdego chemicznego pierwiastku nie jest niczem innym, jak tylko zbiorowiskiem niezmiernie drobnych cząstek tegoż pierwiastku. Pojedynczego atomu siarki albo też jakiegokolwiek bądź innego pierwiastku nie możemy dojrzeć z powodu jego małych rozmiarów, najsilniejsze nawet szkła powiększające nie wystarczają do tego celu. Każdy kawałeczek pierwiastku najmniejszy z pomiędzy tych, jakie możemy jeszcze dostrzedz, jest bezwątpienia dużem skupieniem pojedynczych atomów. Widzimy więc tylko zbiorowiska, ale nigdy cząsteczki, z których one się składają. Nasi przodkowie, patrząc na krew albo na zieloność liścia, tak samo widzieli tylko jednostajną czerwoność, albo zieloność, kiedy jednak wynaleziono mikroskop, to przy jego pomocy dostrzegliśmy, że krew jest właściwie białym płynem, w którym znajduje się mnóstwo czerwonych ciałek; tak samo zielona barwa liścia pochodzi od obecności w nich drobnutkich cząsteczek zieleni roślinnej (chlorofilu).

Zupełnie tak samo siarka rozpatrywana pod mikroskopem wydaje się nam jednostajnie żółtą dlatego, że nie posiadamy narzędzi o tyleż potężniejszych od mikroskopu, o ile ten jest silniejszą od naszego oka. Gdybyśmy jednak wynaleźli takie narzędzie, to zapewne zdołalibyśmy wykryć obecność atomów w siarce, albo w każdym innym pierwiastku. Zresztą jest to tylko przypuszczenie. Badania chemiczne, niezależnie od innych okoliczności zmusza-

ją nas atoli przyjąć, że wszystkie substancje na pozór jednolite są w gruncie rzeczy zbiorowiskiem wielkiej ilości niezmiernie drobnych cząsteczek, zwanych atomami, które trzymają się razem, ulegając wzajemnej sile przyciągającej.

Bardzo zależy nam na tem, ażeby czytelnik wyrobił sobie, o ile się da, jak najjaśniejsze pojęcie o atomach, dla tego też dodamy następujące streszczenie tego, cośmy powiedzieli wyżej.

Podług chemii nowoczesnej wszystko, co tylko się znajduje w świecie, składa się z atomów, które skupiają się, ulegając działającej pomiędzy nimi sile przyciągającej, ale nie stykają się ze sobą; substancja jakaś wtedy dopiero staje się dla nas widzialną, jeżeli bardzo wielka liczba atomów nagromadzi się w jednym miejscu. Oko nasze jednak nie dostrzega tych atomów, lecz tylko ich zbiorowisko, tak samo, jak patrząc z daleka na mieliznę nie dostrzegamy składających ją ziarneczek piasku. Jest prawdopodobne, że pomiędzy atomami znajdują się znaczne puste przestrzenie, większe aniżeli same atomy.

Wł. U.

List Helenki J. czytelniczki „Wieczorów.”

Kochana Mamol!



Z wystawy gier i zabawek.

Dzisiejszy list będzie weselszy niż poprzedni, bo chociaż nie przestałyśmy obie z Wańdzą tęsknić za rodzicami, domem, końmi, krowami, psami, słowem za wszystkim, co żyje i nie żyje w Sokołowie, bo tęskniemy nawet do pól i do gór naszych kochanych, to jednak zaczyna

nas interesować Warszawa, zwłaszcza, że przełożona umie za cel spaceru wynaleźć zawsze coś zajmującego. Byłby on inaczej bardzo nudny; iść parami po chodniku, nam, które skakałyśmy dotąd jak kozy po wzgórzach lubelskich!

Kozy! wyrwało mi się z pod pióra złośliwe słowo, a spotykamy się z nim często, chociaż jak mamę kocham, niesłusznie. Przecież zdaliśmy egzamin do czwartej klasy i umiemy zachować stosowną powagę.

Ale wracam do wczorajszego spaceru. Przełożona powiedziała, że pójdziemy na Dynasy obejrzeć wystawę gier i zabawek.

Dynasy? wystawa zabawek? pierwsze nic nam nie mówi, bo nie słyszałam nigdy o Dynasach, drugie, dobre dla dzieci, dla naszej Zosi lub Anki, ale nie dla czwartoklasistek.

Nie wiem, czy przełożona odgadła moje myśli (a ona doprawdy zdaje się czytać w duszy uczennic) dodała jednak natychmiast objaśnienie:

— Dynasy, jest to ogród założony przez Towarzystwo Cyklistów, na posesyi należącej dawniej do księcia de Nassau i stąd powszechnie Dynasami zwany, a wystawę urządził komitet opieki nad umysłowo i nerwowo chorymi. Do pomóżcie swoim udziałem szlachetnej działalności komitetu, który zebraniem z wystawy funduszami, chce ulżyć

nieszczęśliwym. Zobaczycie przy tej sposobności, jakie też fabrykanci polscy u nas wyrabiają zabawki.

— Prawda, nie pomyślałyśmy o tem, że obchodzić nas powinno wszystko, co krajowy przemysł wytwarza.

Słowa przełożonej zelektryzowały całą klasę, uczennice były w jednej chwili gotowe; poprowadzono pensję w stronę miasta, której ani ja, ani Wańdzia nie znałyśmy dotąd.

— Jakaż szkaradna, wązka, ciemna, ta ulica Obożna — narzekały panienki; myślałam i ja toż samo, ale teraz nie dzieliłam już ich zdania. Mama wie, że jestem najwyższa w klasie, pierwsza też dojrzałam śliczny widok, który roztacza się z góry na Wisłę i na Pragę.

Chodziłam dotąd zawsze tylko po Marszałkowskiej i przyległych do niej ulicach, nie domyślając się wcale, że Warszawa ma tak uroczne niespodzianki, że można tu odechnąć przestrzenią i widokiem fal rzeki, trzeba tylko wyjść poza żółte kamienice Krakowskiego Przedmieścia. Jesteśmy na Dynasach

To znaczy, że wchodzimy do ładnego, na stoku góry położonego ogrodu. Przełożona kupuje bilety a my tymczasem mamy ochotę parami, tak jak stoimy, zatańczyć mazura, bo słychać z daleka dźwięki dziarskiej muzyki. I coby to było złego, proszę mamy, gdyby wesoła pensjonarska drużyna wpadła mazurem do ogrodu.

— Lub do stawu — mówi Rozsądna. Tak nazywamy koleżankę, która oblewa zimną wodą moje najszcześliwsze pomysły.

Tym razem Rozsądna ma słuszość, jest na Dynasach bardzo ładna sadzawka z łódkami w formie łabędzi, ale nie zbaczamy do nich, tylko wchodzimy we drzwi dużego pawilonu, i ja, która z takim lekceważeniem myślałam o wystawie zabawek, tracę odrazu głowę. Mama powie, że przychodzi mi to z łatwością, ale tym razem straciła ją nawet Wańdzia, nawet Rozsądna.

Bo proszę posłuchać, ile tu ślicznych zgromadzono rzeczy. U samego wejścia pan Kessel, fabrykant lalek, ustawił dwa rzędy blondynek i brunetek od najmniejszej do największej. Dawno przestałam się bawić lalkami, a jednak na widok tylu i tak dobranych, serce zabiło mi przedziej, byłabym chętnie pocałowała ich rumiane buzie, udałam obojętną jak przystało naj. chciałabym napisać najmądrzejszej, nie, mamusi, tylko najwyższej czteroklasistce.

Wracam do lalek, królują one na wystawie, jest ich tyle i tak pięknych. Gdyby Anka lub Zosia mogły zobaczyć te cuda!

Pierwszeństwo jednak jak we wszystkim, tak i w lalkach należy się komitetowi. Komisya pedagogiczna wybrała cały szereg zabawek i gier, które uznaje za najwłaściwsze dla dzieci, a oprócz tego Komitet urządził własny pawilon a w tym pawilonie, co za śliczny pomysł, wystawił sto lalek ubranych w stroje ludowe różnych okolic kraju. Omal nie krzyknęłam z radości, widząc swojskie znane typy, samodzielziały opoczyńskie i strój weselny z okolic Buska i muślinowe fartuchy krakowianek i sukmany lubelskich chłopów. Zdawało mi się, że wróciłam do Sokołowa, że idę z Wańdzą przez wieś, że otoczyły nas znajome dziewczęta. Staję, patrzę, napatrzeć się nie mogę, a tu tuż za mną zaczyna ktoś, czy coś, śpiewać:

— Rosła kalina z liściem szerokim,
Nad modrej wody rosła potokiem. —

— Nie, to nie wieś, to nie fujarka pastusza, jest coś sztucznego w tym śpiewie, pomyślałam i miałam słuszość. Znajome tony wychodziły z gramofonu, to jest z przyrządu, który odtwarza głos ludzki.

— Tę kasztelanę z szesnastego wieku i tę mieszczkę krakowską darował komitetowi pan Bobrowski kupiec, a ubrał lalki pan Herse — mówi przełożona.

Znów lalki, a jak pięknie, wedle Matejki rysunków przystrojone! Jednak nie chwytają za serce, wyglądają

obco przy wystawionej przez Komitet wiejskiej drużynie, do tych wracałyśmy po kilka razy.

(d. n.)

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).

Czy mogą nas widzieć z ziemi?

— Dlaczego się pan o to pyta?

— Bo jeden z moich znajomych zajmuje się astronomią, zdziwiłby się niepomału, gdyby tak przez teleskop zobaczył mnie tutaj.

— Gdyby ktoś patrzący z ziemi użył nawet najsilniejszego teleskopu, to jużby nas chyba nie dojrzał.

Milczeliśmy chwilę. Ja znów przerwałem milczenie i zapatrzonej w księżyc zawołałem.

— Ależ to cały świat, wydaje się większym od ziemi, może tam są nawet ludzie.

— Ludzie! nigdy, — zawołał Cavor. Wystaw pan sobie, że jesteśmy podróżnikami, zwiedzającymi puste przestrzenie i kraje.

— Patrz pan!

I wskazał ręką na złoty księżyc do którego przybliżaliśmy się coraz bardziej: — To świat zamarły! Wielkie wypalone wulkany, góry zastygłe lawy, zamrożone powietrze i kwas węglany, wszędzie grunt nierówny i pełno przepaści. Przecież od dwóch wieków badają systematycznie tę planetę przez teleskopy, i wiesz pan jakie zmiany na niej dojrzeliby?

— Żadnych.

— Prawie żadnych, bo jedynie jakieś szczeliny, wyniosłości i peryodyczną lekką zmianę koloru.

— Ja nawet i o tem nie wiedziałem.

— Ludzi tam niema napewno.

— Powiedz mi pan, — zapytałem, — jakiej najmniejszej wielkości musiałby być przedmiot, żeby go dojrzeć z ziemi przez teleskop, rozumie się?

— Jakiś wielki kościół, lub inną wysoką budowlę, duże miasto i tem podobne dzieła rąk ludzkich. Podług dokonanych badań, istoty nam podobne, nie mogłyby tam żyć, gdyż na tej planecie jeden dzień trwa naszych dni 15, a po nim następuje równie długa noc. W dzień słońce pali ogromnie i upał jest nie do wytrzymania, a noc są lodowato zimne, tak, że tylko mrówki, owady lub istoty zupełnie różne od ludzi mogą tam zamieszkiwać, kryjąc się na noc w ziemię.

Cavor zamyślił się, a w końcu dodał.

— Mogą tam być jakie robaki, żywiące się stałem powietrzem, tak jak glizdy żywią się ziemią, albo też jakie gruboskórne straszidła.

— W takim razie, — rzekłem, — szkoda żeśmy nie wzięli broni. — Cavor nic na to nie odpowiedział, tylko pochwili rzekł, iż chce, aby przez jakiś czas nasza ziemia nas znowu przyciągała, i w tym celu chce zwinąć okiennice od strony ziemi. Mnie zaś uprzedził, że doznam zawrotu głowy, i ostrzegł, żebym wyciągnął przed siebie ręce, gdyż pewnie upadnę wskutek takiej zmiany kierunku. Postąpiłem według jego rady. W tej chwili zwinął okiennicę, a ja upadłem jak kłoc na twarz i ręce, lecz przez trzydzieści sekund mogłem patrzeć na matkę ziemię. Byliśmy jej jeszcze dosyć blisko, Cavor mówił, że cała odległość wynosiła najwyżej osiemset mil, to też wielka kula ziemską zakrywała nam całe niebo które widać było przez to okno

Cień i mgły ją otaczały, jednakże na zachodzie widziałem wyraźnie srebrne fale Atlantyku, ujęte w ciemne brzegi starego i nowego kontynentu.

Cavor zamknął okno. Ciemność zaległa wewnątrz sfery, ja znów uczułem się dziwnie lekkim i jakby odurzonym. Podług zegarka Cavora lecieliśmy już sześć godzin, a dotąd wcale nam się jeść ani pić nie chciało. Cavor obejrzał aparat pochłaniający kwas węglany i wodę, i powiedział, że znajduje się w zupełnym porządku, zużyliśmy bardzo mało tlenu. Ażebym nie o s ł a b n ą ć. przekąsiliśmy troszkę, a czując chęć snu, rozesłaliśmy na szklanej podłodze nasze grube wełniane kołdry i powiedziawszy sobie „Dobranoc,” zaśnęliśmy snem sprawiedliwych.

W taki * sposób: czytając, rozmawiając, śpiąc lub odżywiając się po trochu, gdyż nigdy w ciągu całej podróży nie czuliśmy głodu, zbliżyliśmy się do księżycy.

Pamiętam tę chwilę doskonale. Cavor zwinął nagle aż sześć okiennic i wielka światłość tak mnie olśniła, że aż oczy zabołały i krzyknąłem. Gdy już mogłem spojrzeć na księżyc, ujrzałem jakby wielką tarczę srebrną z czarnymi brzegami, na której oświetlone słońcem, odcinały się wyraźnie szczyty i łańcuchy gór. O ile części wyniosłe planety kąpały się w blasku słonecznym, o tyle doliny i płaszczyzny pokrywały głębokie cienie. Podług obliczeń Cavora byliśmy w tej chwili oddaleni od księżycy tylko o mil sto, i dla tego widzieliśmy zupełnie jasno paszcze wygasłych wulkanów, śniegiem pokryte szczyty gór i płaszczyzny brązowe lub koloru oliwkowego.

Cavor z natężoną uwagą patrzył na księżyc i coś obliczał, gdyż teraz nadeszła najkrytyczniejsza chwila naszej wyprawy — wylądowanie na księżyc. Otwierał i zamykał Cavoritowe okiennice, patrzył na zegarek, kręcił się nieustannie.

Chodziło o to, aby spaść bez uderzenia, lekko. Gdy wszystkie okna były pospuszczane, ciemność chwilowo zaległa wewnątrz kuli. Naraz Cavor otworzył cztery okna i zdało mi się, że ogień napełnił domek tak ogromny blask słońca wdarł się do nas z dołu. Potem je zamknął i przy świetle lampki elektrycznej zaczęliśmy związywać razem nasze bagaże, bujając w środku kuli. Nie było to jednak łatwą sprawą: gdyż płynąc, że tak powiem w powietrzu wypełniającem wewnątrz kuli, to uderzałem sobą o jego szklane ściany, to machałem bezsilnie rękami i nogami w powietrzu, niekiedy nogi Cavora dotykały mej głowy, lub moje nogi były przed jego oczami, ale w końcu dokonaliśmy dzieła, wszystko było mocno związane, z kołder zaś wełnianych porobiliśmy sobie naprędce płaszcze podróżne.

— Teraz Cavor zwinął znów jedną okiennicę, i ujrzałem, że jesteśmy nad ogromnym kraterem wygasłego wulkanu, za chwilę otworzył wszystkie, bo chciał powiększyć działanie siły przyciągającej nas do księżycy.



Przy świetle lampki elektrycznej zaczęliśmy związać nasze bagaże, bujając w środku kuli.

Znów oślepił mnie wielki blask słońca. — Zakryj się kołdrą zawołał Cavor, po tem usłyszałem jak szybko zasuwiał okiennice, potem nastąpiło pewne wstrząśnienie, i zaczęliśmy się toczyć po jakiejś pochyłości, uderzając jak piłki elastyczne to o siebie, to o ściany domku, to o nasz bagaż, a zewnątrz coś pluśkało i pryskało jakby błoto, lub miażdżony ciężarem naszej kuli śnieg.

Nareszcie sfera zatrzymała się w swym szalonym biegu, utknęliśmy na jakimś stałym gruncie. Wszystko o ucichło. Po chwili wyjrzałem z pod kołdry, w którą cały byłem otulony i zobaczyłem Cavora dyszącego i chrząkającego, jak odsuwał ostrożnie okiennice. Wygramoliłem się powoli, bo czułem się cały strasznie poturbowany. Wyjrzałem przez okno, ciemna noc była na dworze.

— Cóż teraz będziemy robili? — zapytałem Cavora. — Ciemno i głucho dookoła!

— Musimy czekać, — odrzekł aż dzień się zacznie, wtedy zobaczymy.

Zimno było przejmujące. Obfita rosa zaczęła spływać wewnątrz po szklanych ścianach kuli. Chciałem obetrzeć z rosy jedną szybę, aby widzieć co się dzieje na zewnątrz, lecz że użyłem do tego mojej wełnianej kołdry, której włoski wraz z rosą zupełnie szkło zamazały, nie mogłem przeto nic zobaczyć. Na domiar złego pośliznąłem się na szklanej podłodze, i upadając mocno skaleczyłem sobie nogę o metalowy cylinder.

— Niech licha porwie! — zawołałem w pasy. Jęzeliśmy tu po to przyjechali, aby dusić się w tej ciemnej klatce, lepiej było siedzieć w domu.

Owinałem się w kołdrę i zdesperowany, usiadłem na stosie naszych bagaży.

Po chwili dreszcz mnie ogarnął i zacząłem drzeć z zimna, spojrzałem na okno a tam rosa zastygła już w sople lodu. Widząc to Cavor, rzekł: — Czy możesz, pan, dosięgnąć ręką elektrycznego ogrzewacza? Ten duży czarny guzik, naciśnij pan, bo zmarzniemy.

Nie dałem sobie tego powtarzać dwa razy, i w krótko cieplej nam się zrzyło.

— Dokąd tak będziemy czekali? zapytałem.

— Dopóki dzień się nie zrobi, — odrzekł Cavor spokojnie. — A czy pan nie czuje głodu? Możebyśmy co zjedli, — dodał zachęcająco. Nie odpowiadałem mu długą chwilę, byłem zły na niego, na księżyc i na siebie, spojrzałem na Cavora i rzekłem smutnym głosem: — Tak, jestem głodny, i czuję się okropnie zawiedzony.

Spodziewałem się — ja nie wiem dobrze czego się spodziewałem — ale nigdy tego.

Uzbroiwszy się jednak w spokój filozoficzny, usiadłem na pace i zacząłem spożywać mój pierwszy posiłek na księżycu. Zdaje mi się jednak, że go nie skończyłem, bo powoli mgły się rozwiały, rozwidniło się nagle, więc obadwaj poskoczyliśmy do okna, aby spojrzeć na księżycowy krajobraz.

(d. c. n.)



Ogród w Wilnie (miejsce wystawy rolniczej).

ZE ŚWIATA.

Wystawa w Wilnie (z ryc.)

Tym razem niedaleko nas przejażdżka po świecie za-wiedzie, bo tylko do Wilna; którego widoki i opisy kościo-łów nieraz już podawaliśmy w „Wieczorach”. Ale Wilno jest tak pięknie położone, że tam zawsze coś nowego znaleźć można. Teraz przesyłamy wam fotografię ogrodu z urwistymi skłonami góry Trzykrzyskiej i Bekieszowej. Z drugiej strony przylega doń kościół Bernardynów i śli-czny kościółek Św. Anny, także znany czytelnikom „Wie-czorów,” który obecnie podlega gruntownej restauracji. W tym ogrodzie w pierwszej połowie września wrzał ruch nadzwyczajny, huczały maszyny, piszczwały lokomobile, rża-ły dzielne rumaki i t. p. a wieczorami paliły się niezliczone lampy elektryczne. Tłumy sunęły po ścieżkach i drogach. Na Wilejce zrobiono sztuczny wodospad i można było po niej pływać śliczną łódką „Cesią,” poruszaną maszyną na benzynie.

Jaka była przyczyna tego, spytacie?

Oto wystawa, wielka wystawa rolniczo-przemysłowa, urządzona przez towarzystwo rolnicze wileńskie, żeby wy-kazać stan gospodarstwa wiejskiego, hodowlę zwierząt do-mowych, i wyroby rzemieślników i fabrykantów z gub. Wi-leńskiej i kilku sąsiednich. Pisał kiedyś Wincenty Pol w „Pieśni o ziemi”, że dzielnica ta obfituje w „grzyby, ryby i wędliny” a teraz okazało się, że posiada jeszcze mnóstwo innych rzeczy, które pracownicy mieszkańcy z żyznej swej ziemi wydobywają i przerabiają. To też zjazd z różnych stron był ogromny, aż trudno było poznać zwykle dość spokojne miasto.

Nie będę opisywała wszystkich zajmujących i pożyte-cznych rzeczy, które tam oglądałam. Powiem wam tylko, że przez kilka dni po wysłuchaniu mszy św. przed cudo-wnym obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej lub w kapli-cy Św. Kazimierza w katedrze, parę godzin co dzień spę-dzałam na wystawie z największą przyjemnością.

Najwięcej mnie zajął pawilon „Biruty”; tem mianem uroczej żony księcia Kiejstuta, nazwano spółkę mleczarską kilku obywateli z gub. kowieńskiej. Piszę o tem, bo myślę, że zainteresują czytające te słowa przyszłe gospodie, które wiedzą już, jak się masło robi, że to nie idzie zbyt szybko i jak z płatką. Otóż wyobraźcie sobie, że tam masło otrzymuje się prawie w mgnieniu oka. W jednym miejscu wlewają do zbiorowiska świeże mleko, i wnet otrzymuje-my z niego wyborne, doskonale ubite masło i maślanek. Dzieje się to za pomocą poruszanej siłą pary centrifugi, to jest maszyny, która z nadzwyczajną szybkością rozbija mle-ko i wydziela z niego tłuste części, z których składa się ma-sło. Masła tego wysyłają rocznie po 20,000 pudów do Da-nii, co naturalnie doskonale się opłaca i przynosi duży do-chód. Może cząstkę tego masła zjada tam korespondent „Wieczorów,” Wygnany Urwis (ten z Kopenhagi).

Przyjemnie to wiedzieć, że nietylko my z zagranicy, ale i zagranica od nas coś otrzymuje i to nie surowe mate-ryały, ale już u nas przerobione lub wyrobione.

Przed głównym budynkiem urządzono rodzaj areny, po której oprowadzają ładne konie, bądź luzem, bądź do-siadane przez dzielnych jeźdźców i widziałam raz nawet jak jeździł dziesięcioletni chłopczyk.

Opodal popisują się cykliści, jeżdżąc w około na po-chyło ustawionym płocie. Jednem słowem, mogłabym wie-le jeszcze rzeczy wam opisać, ale kiedy brak miejsca i czas iść na wystawę.

J-a (z Wilna).

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).



azura! — zawołał Wojciech, a posłuszni temu wezwaniu koloniści muzykańci, z Jaśkiem flecistą i Wickiem skrzypicielem na czele, zagrali od ucha ma-zura.

Państwo Lutowie tańczyli w pierw-szej parze, Skiba, choć dawno czter-dziestkę skończył, nie wytrzymał, tylko schwycił tanecznice i stanął w szeregu, a za nim tłoczył się już kto żył, bo wszystkim zagrał na sercach mazur.

Każdy naród ma swój ulubiony taniec, taniec w któ-rym przejawia się jego usposobienie, streszcza tradycya, takim jest dla nas mazur. Wesoła drużyna biegnie śmia-ło naprzód, niepowstrzymana, ochocza: to uskokcy w bok, to zatoczy koło pierścieniem spojonych rąk, to rozwinie się długim szeregiem, to znów, posłuszna danemu hasłu, staje skupiona lub zwartym rzędem dotrzymuje wodzowi kroku. A niecierpliwi są tancerze, a rześcy. Skry sypią się im z oczów, radziby wyskoczyć i pomknąć na środek sali, oż kiedy rozkaz w miejscu trzyma. Prysło koło, rozbiegły się pary, każda za siebie odpowiada, bo teraz w pojedynkę harcują. Prześcignąć pragną jedni drugich, czują, że w nich krew nie woda, więc choć dowództwo zdali na naj-dzielniejszego, dorównać mu pragną, zawsze gotowi biedz tam, gdzie on wzywa, radzi są, gdy uda się któremu na wła-sną rękę dokonać zuchwałego czynu. Bodaj hołupca ra-znie skrzesać, lub pochwycić chustkę, którą tancerka wy-rzuciła w górę.

Takim jest prawdziwy mazur, tak tańczyli go nasi osadnicy w *restorante polonense*. Przypatrywali się im z za okien zdziwieni tą ochotą Anglicy, Niemcy, Portugalczycy, Mulaci i Murzyni, bo jakiejże narodowości nie znajdzie w Brazylijskim tłoku. Ale wychodźcy nie zwracali uwagi na widzów, zapomnieli o osobistych troskach, zapomnieli tęsknoty, która nękała wszystkich. Przytupywali rażno, wyrzucali w górę czapki rogatywki podkręcali wasa i bie-gli wzdłuż sali z taką fantazyą, jak gdyby wiedzieli, że mu-szą się przed nimi rozstąpić ściany budynku, że dźwięki mazura zaprowadzą ich poprzez ocean, napowrót do ziemi „malowanej zbożem rozmaitem, ozłoczonej pszenicą, posre-brzanej żytem”.

Barwny korowód par miał rzeźkość i butę, jaką rzadko widzieć się zdarza u naszego ludu. Znać, że każdy z przy-byłych tu kolonistów posiada własną chatę i zagon, że wró-ci do nich bez troski o jutro. Bezrolni w Europie, tu czu-ją się panami kawałka gruntu, który zdobyli mozolną pra-cą, więc też nabrali pewności i wiary w siebie.

— Zaden z nich nie żebrałby już o radę i nie cało-wałby Murzyna po rękach, jak wtedy przy wylądowaniu w Rio — myślał Stefan patrząc z dumą na swych współo-bywateli.

„Dudni woda dudni
W cembrowanej studni,
Rzucić swoich łatwo,
Wrócić do nich trudniej!

Zaśpiewał Olek, wnuk Tomasza Grażeli, który dopie-ro od miesiąca u dziadka przebywał.

— Gadał Olek co tam u nas robia?

— Jak ziemia odpowiedziała łofskiego roku?

— Jakie chodzą między ludem pogwary, słyszysz Olek? gadał! — pyta ten i ów. Obstąpili wszyscy Olka, przypatrują mu się wzruszeni, bo on jeszcze taki stoi przed

nimi, jak nawykli widzieć siebie i swoich. Sukmana na nim biała, szeroki kołnierz koszuli zadziergnięty czerwoną wstążką, spart się ręką w pas z okrutną powagą, a do kapełusza pawich piór nawpinał.

— Słońce chłopak, królewicz! — szepcą kobiety, dziewczyny chichoczą z radości, że swojak tak pięknie wygląda. Mężczyźni oglądają się na zebranych za oknami, jak gdyby powiedzieć chcieli gapiom z ulicy.

— Patrzcie do woli i znajcie, że tacy są nasi! Nasi, nasi? W tem właśnie leżał czar, w tem potęga nastroju tego dziwnie uroczystego zebrania, że się tu czuli wszyscy swoi. Na obcej ziemi ale swoi, silni braterstwem uczuć i wielką żywiołową potęgą jaka leży w ludzie. Wyroili się z macierzystego ulla za morze, ale dadzą sobie radę, nie opuści jeden drugiego.

— A pan Luty powie co czynić należy — zabrał nagle głos Antoni Skołuba najstarszy majster fabryki. Odgadł myśli zgromadzonych. Koloniści chcieli uczcić dobrym czynem dzień uroczysty, ten i ów brzęknął pieniędzmi na dowód, że posypią się rejsy, byle pan Luty wskazał, jaką to pilną potrzebę opatrzyć należy groszem w pocie czoła zebranym.

Stefan odczuł dobre chęci swojej drużyny, schwylił rękę żony, wykręcił z nią obertasa tak zwinnie jak najprawdziwszy parobczak krakowski i stanąwszy przed muzyką, zaśpiewał.

„Byłem znajdą i sierotą,
Byłem sam na świecie,
Dziś ode mnie szczęśliwszego
Nigdzie nie znajdziecie.
Idzie z ulla skrzętna pszczoła
W pole na robotę,
Ale znosi matce roju
Swoje miody złote.
Razem, bracia, w obcej ziemi
Razem pracujemy,
Znajda znalazł tutaj szczęście,
Wszyscy byt znajdziemy.
Lecz skupiajmy siły nasze
Zbierajmy grosiwo,
Aby prędzej dojrzeć mogło
Wspólnej pracy żniwo!

— Aby prędzej dojrzeć mogło wspólnej pracy żniwo! zawtórowali Stefanowi obecni. Na wezwanie pana młodego posypały się grosze ze wszystkich kalet.

— Nadstaw Marysieńko fartuszek, zbieraj pieniądze, będzie z czego założyć sklep spółkowy, wyrwać biedaków z rąk lichwiarzy, wendystów, wołał Stefan.

Pani Lutowa nie miała fartuszek przy białej muślinowej sukni, którą uszyła sobie sama, ale miała go Marcinowa ona nie zmieniła dotąd stroju. Żona Stefana umiała sobie już zjednać względy wdowy, podbiegała do niej, pocałowała starą w rękę i odwiązała czerwoną samodziałową zapaskę.

— Wiwat, ślicznie! zawołał pierwszy Jasiek flecista a za nim wszyscy młodzi.

Bo też ślicznie wyglądała młoda pani, i mógł Stefan z radością patrzeć na zarumienioną od wzruszenia żonę, jak wdzięcznie i zręcznie przebiegała salę z końca w koniec, zbierając do fartucha chętnem sercem składane dary. Syły się rejsy w samodziałową zapaskę, utkaną z polskiej szarej wełny. Nawet Mosiek Rozemperl do był pularesu, on nigdy nie skąpił grosza, kiedy pan Luty do dania go zachęcał, dziś jednak właśnie bardzo przed Tomaszem narzekał na straty, jakie poniósł przez ludzi, którzy mu należność w fałszywej oddali monecie.

— Mnie też kilka złych papierków zamyłono — dopiero przy miesięcznym obrachunku spostrzegłem oszukaństwo — mówił Grążela i podszedł do okna, bo usłyszał zwadę, z której mogła wyniknąć bójka.

(d c. n.)

NA WŁASNEM GOSPODARSTWIE.

♥ Komedyjka w I-ym akcie.

(Dokończenie).

SCENA XV.

Ciż i Nina.

Nina (*grymasnie*). Ja chcę do mamusi!... chcę do mamusi!...

Wandzia. Możebyś już spać poszła, Nineczko?

Nina. Nie chcę, nie pójdę spać! Chcę do Wandzi na rączki.

Wandzia (*siada, bierze Ninę na kolana i mówi powoli, kołysząc ją i usypiając*). Pieszczotko ty, ptaszyno kochana i Wandzi smutno, i babci smutno, i Konrasiowi smutno, ale mamusia przyjedzie i tatuś przyjedzie... Jutro znowu Wandzia zrobi Ninusi barana takiego dużego, czarnego, kudłatego barana i mościwego pana; baran będzie beczał, a pan będzie pytał grubym głosem... (*Dzwonią*). Konraś, idź otwórz.

SCENA XVI.

Ciż, pani Topolska i pan Topolski.

Konraś (*otwierając*). Tatuś! mamusia!

Wandzia (*z radością*). Rodzice!

Nina (*przecierając oczki*). Mamusia! mamusia!...

SCENA XVII.

Ciż, Walentowa.

Walentowa. Rany Boskie! Józefie święty! Paniska! dyć szczęście! dyć radość!

Pani T. (*całując dzieci po kolei*). Nina, Konraś, Wandeczka!

Pan T. No, jak się macie, smyki?... Dobry wieczór, Walentowa!

Pani T. Jak się macie? A babcia? Chodźmy do babci!

SCENA XVIII.

Wandzia, Konraś.

(*Konraś chodzi wielkimi krokami po scenie i wichrzy sobie czuprynę*).

Wandzia. Konraś, nie róbże tak rozpaczliwej miny. Chwała Bogu, rodzice wrócili i wszystko będzie dobrze!

Konraś. Zapewne, tobie dobrze, anielska istoto! wzorze moralności! beczko rozsądku!

Wandzia (*z wymówką*). Konrasiu... Konrasiu...

SCENA XIX.

Ciż, pani T. potem pan T.

Pani T. (*całując Wandzię*). No, jakże się tu moja gosposia sprawowała? Walentowa nie bardzo gderała?... Ale co wam jest, dzieci, żeście tacy smutni?... Konraś ma tak dziwną minę?... Cóż to, dzieci, czyście nie kontenci, że rodzice wrócili?

Wandzia i Konraś (*razem*). Cóż znowu! (*oboje całują ręce pani T. i stoją zawstydzeni*).

Pani T. Cóż to?... mówcie prędzej, bo jestem niepokojna! (*Pan T. wchodzi i słucha na stronie*).

Wandzia. Ach, mamusiu, niech tatuś nie gniewa się na Konrasia.

Pani T. Na Konrasia?

Konraś (prędko). Odebrałem z poczty 3 ruble i wszystko straciłem na głupstwa.

Pan T. Żle się stało, żeśmy tak prędko wrócili. I cóżbyście dalej robili?

Konraś (na stronie). Ach! tatuś słyszał!

Wańdzia. Na jutro wystarczyłoby z dawniejszych oszczędności.

Pan T. A na pojutrze?

Konraś. Sprzedałbym mój zegarek i musiałoby też wystarczyć.

Pan T. I tak zegarek musisz sprzedać i oddać mi 3 ruble, bo pieniądze przeznaczone na utrzymanie, nie mogą iść na głupstwa.

Konraś (z radością). Ach, to dobrze! (całuje ojca w rękę). Ale się tatuś już na mnie nie gniewa?

Pan T. Oj, synku, synku, trzeba cię częściej zostawiać na własnym gospodarstwie, żebyś smutnem doświadczeniem nauczył się mądrzej urządzić.

Konraś. O, na przyszły raz, na pewno mądrzej się urządzę!

Pan T. Jak się dobrze będziecie sprawowali, to na przyszły rok wyśle was samych na jaką wystawę.

Pani T. Czy tam koniecznie będą potrzebne najznakomitsze okazy głuptaszków?

Pan T. Czemu nie. Słuchajcie dzieci; w Ameryce pewien chłopiec pojechał sam na wystawę do Chicago o kilka tysięcy mil i to bez pieniędzy. Po drodze zarabiał sprzedając gazet, dojechał szczęśliwie, widział dużo ciekawych rzeczy i dał sobie radę. Dziś chłopiec! A ty, Konrasiu, pojechałbyś sam jeden?

Konraś. O jej! czemu nie!

Pan T. Ale na pierwszej stacyi, zamiast biletu, nakupowałbyś różnych łakoci.

Konraś. Drugi raz takiego głupstwa na pewno nie zrobił, ale namówię moją bandę i pojedziemy razem.

Pan T. Co za banda?

Konraś. Tatuś nie wie? Amadeusza Rzeźnickiego — to niby Karolka — i Fokus Pokus Zawadyackiego, to znaczy Antka.

Pan T. No, z tymi łobuzami to już wolałbym, żebyś nie jechał.

Konraś. To szkoda, tatku, bo oniby mi na każdej stacyi krzyczeli: brawo, brawissimo Mordeliusz Zbójnicki!...

Pani T. A ja wykrzyknę brawo, brawissimo, Wandeczka, bo ona się najlepiej spisała, moja gospoia kochana!

Pani T. i Konraś. Brawo, brawissimo, Wańdzia!...

Wańdzia (do Konrasia). Jakto, wzór moralności?... beczka rozsądku...

Konraś. No, nie gniewaj się, Wandeczko, byłem taki zły, a teraz z całego serca krzyczę: brawo, brawissimo Wańdzia!... Już cię nawet niewolnicą nazywać nie będę!...

F. Morzycka.

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(Jaskółka.)

Pierwsza w morzu, ale nie w stawie,
Druga w nauce, a i w zabawie,
Trzecia w butelce, a nigdy w słoju,
Czwarta jest w sieni, a nie w pokoju,
Piąta jest w bajce, lecz nie w piosence,
Szosta w kieszeni i to w sukience,
Siódma w obłoku, ale nie w chmurze,
I zawsze w dole, a nigdy w górze.
Wszystko — nazwisko malarza,
Ze czcią je każdy powtarza.

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

Z nagrodą.

Jaka to rzeka zmienia nazwę swą trzy razy, a wpadając do morza dwoma ramionami, jeszcze dwie odmienne nazwy przybiera? Pierwszą nazwę ma niedaleko od źródła, gdy wypłynąwszy z bagnistej okolicy, małym jest jeszcze strumieniem; drugie, gdy połączywszy się z inną rzeką, znacznie się rozszerza, płynie najpierw równiną, później głębokim wąwozem i tam jej brzegi słyną z malowniczych widoków, szczególnie w okolicy pewnego starożytnego miasta; trzecią ma nazwę, gdy przechodzi w bagniste niziny, szeroko się rozlewa i do morza zbliża. Przy ujściu dwa jej ramiona, odmienne nazwy noszące, znacznie się od siebie oddalają. Rzeka ta ma liczne dopływy, a najznaczniejszy z nich, z prawej wpadający strony, płynie pod murami dużego miasta.

Za najlepsze rozwiązanie tej zagadki, t. j. za najlepszy opis tej rzeki, przeznaczamy *dwie nagrody*: (powieść „Na wakacjach” i „Mały książę”), jedna dla prenumeratorów z Warszawy, drugą z prowincyi. Termin dwa tygodnie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 38.

Szarady: Ka — mil — la.

Łamigłówki sylabowej.

1) ErazM. 2) LamI. 3) IzaaK. 4) ZłotO. 5) AnioŁ. 6) OazA. 7) RaJ. 8) Zamek. 9) EchO. 10) SęP. 11) ZaosiE. 12) KanguR. 13) OceanN. 14) Wilki. 15) AraK.

Eliza Orzeszkowa — Mikołaj Kopernik.



PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: Powrót z łowów (ryc.) — Do młodszych braci, wierszyk przez Zygmunta Idzikowskiego. — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — List Helenki J., czytelniczki „Wieczorów” (z ryc.) — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa. — Ze świata (z ryc.) — Stefek Łuty w Brazylii, przez Z. Bukowieką. — Na własnym gospodarstwie, komedycja w 1-ym akcie (dokończenie). — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Ptaszki w odlocie, wiersz przez Zofię Mrozowicką (z ryc.) — Mały fortepianista (z ryc.) — Wróżka sierot. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 15 Сентября 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

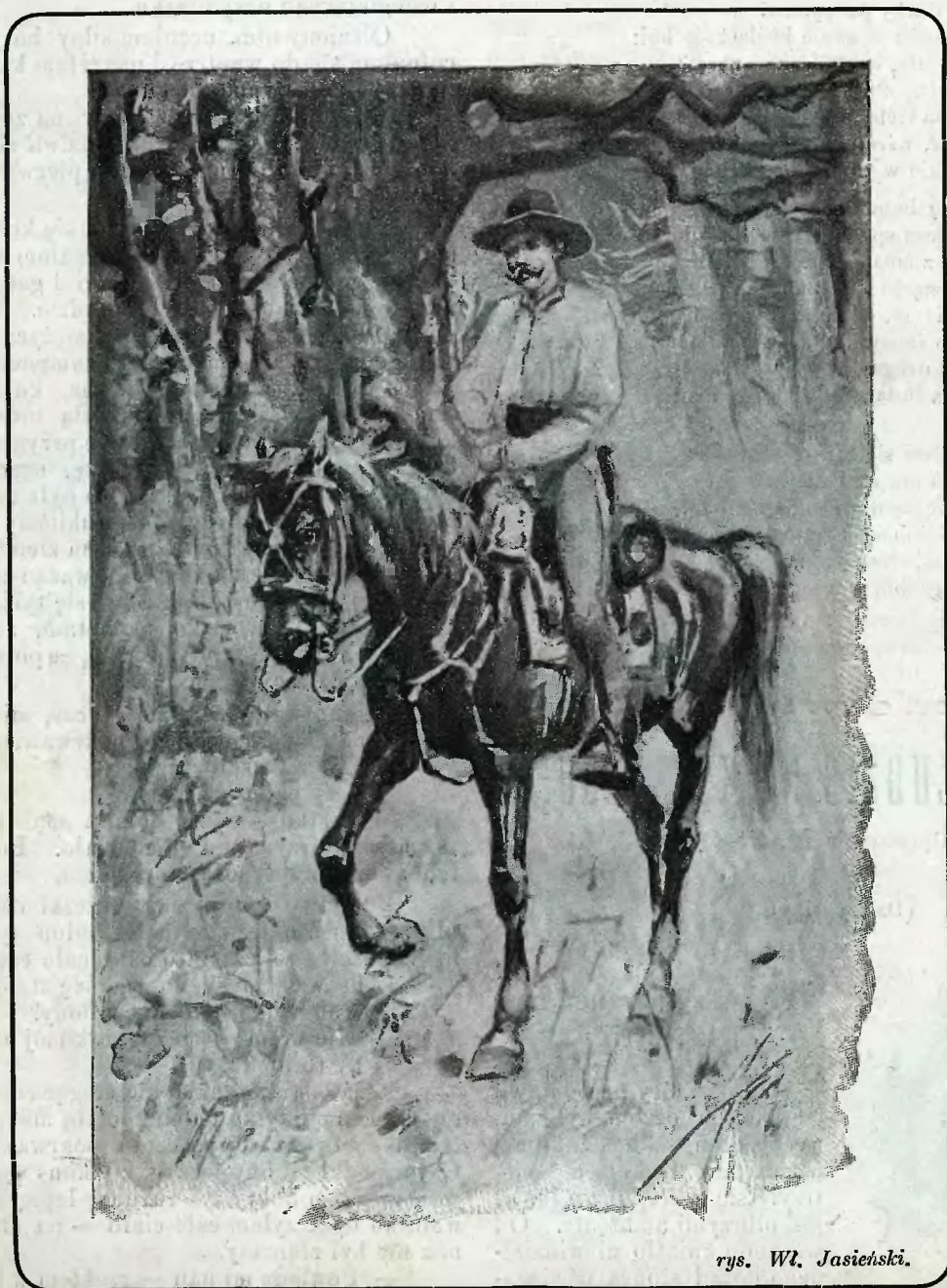
Nr. 41. Rok — XXIII.

Dnia 28 Września (11 Października) 1902 r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Do pow. Stefek Luty w Brazylii.



W taki to dzień słoneczny wracał Stefan do Kurytyby z Rio Negro (str. 326).

Sprawozdanie z konkursu na wypracowanie str. 327.

Prababunia.

Z poezji Wilktora Hugo.

— „Czy śpisz?... Obudź się, obudź, babciu nasza droga!
Zazwyczaj nawet we śnie modlisz się do Boga
Cichym szeptem ust białych, westchnieniem tłumionem;
Lecz dzisiaj, jesteś, jakby figura z kamienia!
Daremnie chwytam uchem natężonem
Najłżejszy szelest, — nie słyszę westchnienia.”

„Patrz! lampa gaśnie, ogień popieleje,
Jeśli mi nie odpowiesz, mój brat, co się śmieje,
Układając w kąciku zabaweczki swoje,
I ja i światło lampy, umrzmę wszystko troje.

— „Więc daj nam do rozgrzania twoją zimną rękę,
Zaśpiewaj Trubadurów rycerską piosenkę,
Albo powiedz legendę o takim rycerzu,
Co to walczył ze wstążką damy na pancerzu.
Powiedz nam, czy król karłów ma złotą koronę,
I jaki znak odpędza duchy potępione?
Czego się duch ciemności w swem królestwie boi:
Czy krzyża, czy kropidła, czy miecza i zbroi?
Albo nam pokaż książkę z tymi obrazkami,
Gdzie to jest nasz Zbawiciel między dziateczkami,
Małe główki aniołków, wśród światła promieni,
Święci i Święte Pańskie w złocie i czerwieni.”

— „Ja się boję babuniu! Otwórz-że powiek!
Dokądże będziesz spała? Wszakże nie na wieki!
Boże, jakaś ty zimna! Spójrz na nas przecie!
Mówiłaś nam często o nieznanym świecie,
O piekle i o niebie, gdzie szczęśliwość wieczna.
Mówiłaś nam o śmierci!.. Powiedz nam, serdeczna
Babuniu nasza droga, co wyraz śmierć znaczy?
Czemu pogrąża ludzi we łzach i rozpaczy?”

Długo, tak długo, dzieci się żaliły,
Ale daremnie!... Już nie rozbudziły
Starowinki, snem wiecznym głęboko uspionej.
Przyszedł ranek, w żałobne uderzono dzwony,
A wieczorem wyrobnik, wracając z roboty,
Widział na świeżym grobie płaczące sieroty!

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).

VI.

Pierwszy poranek na księżycu.



Widok, który przedstawił się naszym oczom był smutny i pełen jakiejś żałobnej ponurości. Dokoła nas piętrzyły się szare, nagie skały, jak olbrzymi amfiteatr. Od wschodu światło niewidzialnego dotąd słońca oświecało je, ukazując między niemi

tu i owdzie śnieżne ławice, części zaś nieoświetlone dotąd, wyglądały jak olbrzymia zasłona z czarnego aksamitu.

Na wschodzie nie było widać żadnej różowej zorzy, oznajmającej dzień, tylko jakaś konstelacya rzucała stożkowato blask ku gwieździe zarannej, zapowiadającej bliskie ukazanie się słońca. Na zachodniej stronie kłębiły się bałwany jakiejś białej substancji. Z początku myślałem, że to śnieg, a to były masy zmarzniętego powietrza.

Nareszcie zajaśniał wspaniały, olśniewający oczy nasz dzień — pierwszy nasz dzień na księżycu.

Szare, zimne skały zdawały się nagle rozgrzewać i drgać w blasku słońca. Gdy promienie jego padły w głąb olbrzymiego krateru, podniosły się stamtąd kłęby szarej pary, która w skutek gorąca stawała się coraz gęstsza i nappełniła wkrótce całe wnętrze obszernego krateru.

— To topniejące powietrze — rzekł Cavor. — Musi być powietrze, kiedy pod ciepłem słonecznem tak szybko unosi się w górę, nie może być co innego.

Po chwili Cavor chwycił mnie za ramię, mówiąc:

— Patrz pan, słońce!

I wskazał mi skałę, nad którą zajaśniały teraz płomieniste języki, tworząc jakby olbrzymią koronę, która zmieniła się w ognisty łuk, rzucając dokoła snopy gorąca i oślepiającego oczy blasku.

Olśniony nim, uczulem silny ból oczu, instynktownie cofnąłem się do wnętrza i nakryłem kołdrą, aby dać oczom moim pewien wypoczynek.

W tej chwili usłyszeliśmy na zewnątrz jakiś odgłos, jakby szum i świst, który nas zdziwił niesłychanie, gdyż odkład opuściliśmy ziemię, był to pierwszy odgłos, który nas doszedł z zewnątrz.

Nagle kula nasza zaczęła się kołysać, szmer zmienił się w świszczące syczenie, spojrzałem w okno, a tam powietrze rozgrzane słońcem, wrzało i gotowało się, jakby kto rozpalone żelazo zanurzył w wodzie. Przed kilku minutami było pod wpływem zimna księżycowego ciała stałem, teraz od gorąca słonecznego zamieniło się jakby w ciasto, potem w płyn, a wreszcie w gaz, kula zaś nasza w skutek tego zaczęła z szaloną szybkością toczyć się na dół po jakiejś pochyłości, a my wcale nie przygotowani na tę niespodziankę, poleciliśmy Bogu duszę, sądząc, że wybiła nasza ostatnia godzina. Boże! co to była za podróż! Uderzaliśmy się jeden o drugiego, tłukliśmy głowami o szklane ściany. Gdyby to się działo na ziemi, zmiażdżeni byłibyśmy na proch, ale na księżycu, ważąc zaledwie szóstą część ziemskiej wagi, porozbijaliśmy się tylko okropnie, ale nie zabili, zresztą ja tylko pamiętam, że czułem, jak mózg przewraca mi się pod czaszką, a potem straciłem przytomność i już nic nie czułem.

Gdy otworzyłem znów oczy, ujrzałem pochylonego nade mną Cavora, całego pokrwawionego, dyszał ciężko i pytał mnie z troskliwością:

— Czy panu już lepiej?

Wszystko jeszcze dokoła mnie kręciło się w kółko, tak mi się przynajmniej zdawało. Po chwili jednak odetchnąłem i przyszedłem do siebie.

Pocziwy Cavor pozapuszczał okiennice, aby zbyt blask słońca nie raził mnie, jedno tylko okno do połowy nie zapuścił i to aż nadto oświecało cały domek.

Zebrawszy myśli, co i jak się stało ze mną, zapytałem.

— Jak długo byłem zemdlony?

— Nie wiem — bo zegarek mój cały potłuczony.

— A to bieda!

Leżałem czas jakiś, nie mogąc ruszyć ani ręką ani nogą, czułem się tylko jedną zbolalą masą. Prawą rękę miałem obdartą ze skóry, czoło pokrwawione i pełne sińców. Cavor podał mi buteleczkę z jakimś pokrzepiającym napojem, wypilem dobry łyk i trochę lepiej mi się zrobiło. Powolutku opatrzyłem całe ciało — na szczęście żaden członek nie był złamany.

— Powiedz mi pan — rzekłem w końcu do Cavora — co to się stało?

— Sfera nasza, niestety, zatrzymała się na ławice zmarłego powietrza; gdy je słońce nagle ogrzało, zamieni-

ło się w płyn, a później w gaz, więc sfera, straciwszy swą podstawę chwilową, stoczyła się po pochyłości i teraz dopiero jesteśmy naprawdę na księżycu, gdyż zatrzymaliśmy się u stóp jakiejś skały, i widzę dookoła dziwny jakiś grunt, ale to już zupełnie podobny do naszej ziemi.

Poprosiłem go, aby mi pomógł usiąść. Poczciwy Cavor przysunął paczkę z zapasami do okna i usadowił mnie na niej wygodnie! Teraz własnymi oczami mogłem spojrzeć na prawdziwy krajobraz księżycowy.

Nie było tu tych barw rażących, jakie przedstawiły nam się wtedy, gdyśmy się zatrzymali na poprzedniej wysokości. Przeciwnie, promienie słońca miały kolor bursztynowy, a cienie na wysokich skałach były fioletowe.

Nie byliśmy już w bezmiernej przestrzeni, lecz na stałym lądzie, nowej dla nas planety. Wyraźnie widzieliśmy przed sobą barwy i przedmioty: wśród szerokich obszarów brunatnych lub rdzawych, widniały gdzieś tam łąwy śniegu, jedynym zaś ożywieniem tego nagiego krajobrazu były stawy i jeziora, których czyste wody mieniły się cudownie w blasku słońca.

Cavor twierdził, że księżyc jest zamarym światem, to też zdziwił się niepomału, ujrawszy pnące się po skale jakieś uschnięte brunatne łodygi. Skąd one się tu wzięły?

Przyszło mi do głowy, że może życie jeszcze nie zupełnie tu wygasło, i z wytężoną uwagą zacząłem się przyglądać tym grubym łodygom, i o dziwo! ujrzałem wśród nich na skale mnóstwo niewielkich, okrągłych ziarn, ruszających się.

— Cavorze? — szepnąłem.

— Co? — zapytał.

Ale nie mogłem mu odpowiedzieć, gdyż przejął mnie podziw nie do opisanie. Przez chwilę zdawało mi się, że śnię tylko, nie wierzyłem swoim oczom, w końcu widząc rzeczywistość, szarpnąłem Cavora za ramię i wskazując na dziwne zjawisko, zawołałem:

— Patrz!

Spojrzał w kierunku wskazanym i rzekł zdziwiony:

— O!..

Oto co zobaczyliśmy: owe brunatne ziarna były to poprostu nasiona, które pod wpływem słonecznego ciepła zaczęły pękać, wypuszczać żółto zielone źdźbła, jednym słowem żyć. Cavor niemniej zdziwiony ode mnie, wyszeptał półgłosem:

— Życie! Tutaj życie!

— Tak — odrzekłem wzruszony. I zaraz nowa odwaga ożywiła mnie. Więc nie napróżno przyjechaliśmy tutaj, więc księżyc nie jest pustym, zastęglym światem, ale jest na nim życie i ruch. Patrzyliśmy przykuci ciekawością do miejsca, i widzieliśmy jak nasiona napojone wilgocią, pękały od gorąca, a młode pędy piły chciwie powietrze i słońce.

Jeżeli kiedykolwiek, czytelniku, w chłodny dzień zimowy wzięłeś ciepłą ręką termometr i widziałeś, jak pod dotknięciem ciepła, merkurysz szybko podnosi się w górę, tak owe źdźbła blado zielone rosły szybko w naszych oczach. Był to ruch wolniejszy od ruchu zwierzęcia, ale pojęcia nie miałem o tem, żeby roślina mogła rosnąć na oczekaniu, że tak powiem. Wkrótce źdźbła wyrosły w łodygę i wypuściły cienkie, śpiczaste listki, które także niezmiernie prędko się wydłużały i wkrótce niedawno naga skała, pokryła się zielonością z odcieniem oliwkowym. W innej znów stronie ujrzałem rosnące równie szybko, całe masy jakby kaktusów i jakieś rośliny, których cienkie a długie, na kilkanaście stóp gałęzie, wyglądały jak bicz koralu. Jakże powolnym wydał mi się w porównaniu z tą florą księżycową wzrost ziemskiej roślinności!

Pomyślałem sobie, że gdy na początku świata Stwórca kazał ziemi pokryć się roślinami i drzewami, to proces ten odbył się zapewne z podobną szybkością.

(c. d. n.)

List Helenki J. czytelniczki „Wieczorów.”

(Dokończenie).

Patrz, Helenko, nasze „Wieczory” — woła Wańdzia, prowadząc mnie do stolika, na którym rozłożono roczniki pisma. Jakże się ucieszyłam! Te same tomy, z których tyle ciekawych czytywałyśmy opowiadań. Myślałam, że może zobaczę Jaskółkę czuwającą nad wystawą Wieczorów. Nie było nikogo, a jednak mnie się wydawało, że te książki patrzą życzliwie na nas młode dziewczęta, bo czują przywiązanie czytelniczek do pisemka.

Już to książek nie brakuje wśród gier i zabawek. Wystawiły mnóstwo dzieł dla młodzieży, księgarnie pana Wolfa i pana Arcta, aż chęćka bierze przeczytać szeregi pięknie oprawnych tomów i kupić te, których nie mamy jeszcze w naszej bibliotece. Jak córki przywożą dobre cenzury, to się pod choinką pewnie książki znajdą, prawda mateczko? Są tu i przybory do choinek, nie przyglądałyśmy się im jednak, bo znów uwagę naszą zajęły lalki. Już tylko o tych wspomnę, ale wspomnieć muszę, gdyż są śliczne. Pan Fingierhut, fabrykant z Kalisza wystawił wesele chłopskie z Kujaw. Jest więc wóz zaprzężony w parę dzielnych koni, i druzbowie na wierzchowcach i państwo młodzi z orszakiem starościn, a cały ten komplet lalek tak ochoczo i tak raźnie śpieszy na wesele, że trudno oczu oderwać. Pan Fingierhut ma tę jeszcze zasługę, że darował wszystkie swoje lalki komitetowi, komitet je sprzeda, i pomnoży pieniędzmi fundusze, przeznaczone dla ratowania najniebezpieczniejszych, bo czyż może być smutniejsza dola, jak los człowieka umysłowo chorego? Rozumieją to wszyscy, więc też coraz nowe dary napływają do komitetu, on zaś urządził z nich osobny sklep, w którym dużo nietylko ładnych ale i smacznych rzeczy kupić można, gdyż są tu cukierki, pierniki, sucharki.

— Zwróćcie uwagę na ten kiosk — mówi przełożona, prowadząc nas koło fontanny, zdobiącej środek pawilonu wystawy, do stołu, na którym p. Anders rozłożyła przedmioty objaśniające wykłady w jej szkole.

— Jest więc nareszcie jakaś rozumna kobieca praca — pomyślałam z radością. — Mama wie, że mam bardzo zuchować na przyszłość projekty. Chcę być kimś. Proszę się nie śmiać, tylko wysłuchać mnie ciepliwie.

— Kto jest ten pan? — pytam, kiedy widzę nieznanego mi jegomościa, i dowiaduję się natychmiast, że jegomość ten jest inżynierem, adwokatem, prawnikiem, rolnikiem, aptekarzem etc. słowem ma zawód, nie pracy, jest kimś. Ale ileż razy, sama mateczka to przyzna, widziałam szereg dorosłych, oh, i bardzo nawet przerosłych panien, z których żadna nie umiała ani powiedzieć czem jest? jaki jej zawód? jaki cel pracy?

Czyż to nie wstyd? czy tak być powinno? Mateczka łajać mnie będzie za surowość sądu, więc nie powiem już nic więcej w tej kwestyi, ale ucieszyłam się kioskiem panny Anders, a i Komisya pedagogiczna wyróżniła go także. Mnie najwięcej podobały się przedmioty z papieru, trzciny, paciorków, dowodzące zręczności malców uczonych w frelbrowskiej szkole panny A. (Włodzimierska 19), gdzie też są i kursa wychowawcze dla bon. Szczególniej pudełka wyrabiane z włókna chińskiej rośliny (ropii) doprawdy śliczne. Gdybym była dobrą wróżką, zabrałabym wszystkie biedne, miejskie dzieci na wieś, pokazałabym im pola, łąki, rzeki, młyny, żniwo i sianokosy. — myślałam, oglądając maleńkie pługi, chatę, wiatrak, drewnianą studnię. Bardzo to starannie odrobione, ale jeden pobyt na Letnich Koloniach więcej warszawskie dzieci nauczy, niż o życiu wiejskiem najsztuczniejsze przybory.

Biedne dzieci, nie ja jedna czułam, że jesteście pokrzywdzone. Rozsądna, która notowała ciekawe okazy wystawy, dopytywała się wciąż o zabawki dla biednych

dzieci, o te drobiazgi spotykane za Żelazną bramą, grzechotki, kowali kujących, świstawki, piszczałki, słowem o cały kram ubogich, wyrabiany nie przez bogatych fabrykantów, ale przez samouków, terminatorów stolarskich lub blacharskich. Nic takiego nie znalazłyśmy na wystawie ani my obie z Wańdzą, ani Rozsądną.

A nasze żądania nie musiały być bezzasadne, skoro nawet przełożona przyznała, że ten właśnie dział zabawek fabrykowanych po amatorsku przez lud, miał na wystawie paryskiej największe powodzenie.

Rozpisałam się, ręka mnie boli, a tu jeszcze tyle ciekawych rzeczy donieśćbym mamie chciała. Muszę np. wspomnieć o fabryce blaszanych zabawek p. Kietlińskiego. Czego tam niema! Śliczne kuchnie, cały obóz, miasto, tramwaje — no, i bardzo zgrabne koneweczki do podlewania kwiatów, a moje w ogródku może podlania czekają? Niech Zosia i Anka pamiętają o nich.

Ach, jak ja do was siostrzyczki nawet na wystawie tęskniłam. Patrę, pędzi wagon poruszony elektrycznością, bo są tu śliczne elektryczne zabawki. Gdybym mogła zamienić się w maleńkiego Krasnoludka, sięść do lilipuciego pociągu i wrócić tam, gdzie wracają wciąż moje myśli...

— Szumią jodły na gór szczycie! — śpiewa gramofon,

— Halka! — zawołałam, (aż przełożona spojrzała surowo) i przestałam tęsknić za wsią, bo widzieć Halkę jest mojem marzeniem w Warszawie.

Uciekłam jednak od gramofonu tak sztucznie brzmiąły słowa pieśni. Przeszliśmy raz jeszcze cały pawilon, mijając wystawę rowerów, bardzo ciekawą wystawę zabawek gier i przyborów szkolnych pana Kłobukowskiego (Szpitalna 7), także wystawę pana Wiśniakowskiego i Müllera, jeszcze lalki ubrane w pracowni pani Luzińskiej, łuki i przybory fechtunkowe. Zatrzymałyśmy się tylko dłużej przy pawilonie, w którym głuchoniemi sprzedają swoje tokarskie i snycerskie wyroby. Chętnie kupiłabym wszystkie te kałamarze, paterki i piórniki, bo któż więcej zasługuje na poparcie, jak kaleka użytecznie pracujący.

Zajął nas także bardzo pawilon uczniów ze szkoły pana Kühna i wyroby wychowawców księdza Siemca. Widziałam jak przełożona zachwycała się pięknymi lichtarzami żelaznymi i może piękniejszymi jeszcze drewnianymi szkatułkami wyrabianymi w szkole Kühna. Ja z

Wańdzą oglądałyśmy przez ten czas kapelusze plecione sierocemi rączkami malców, zatrudnionych w salach zajęć na Lipowej ulicy.

Gdyby mi się teraz matczka spytała, jakie zabawki wybrałabym na wystawie dla rodzeństwa, to powiem bez wahania: lalki w strojach ludowych kupię siostrze, Adasiowi zaś posłę drewniane zwierzęta z komitetowego kiosku i drewniane także foremki liter, które służą do zaba-

wy w piasku. Przykłada się taką foremkę i wyciska dowolną literę lub zwierzątko, bo i patrony zwierząt widziałam. Poza tem jest mnóstwo ślicznych, dowcipnych zabawek, ale mnie podobają się drewniane, gdyż są proste, nieznane dotąd, a przytem nie bezmyślne, jak większa część cacek.

Widzi mama, jaki mój sąd o zabawkach, umiałam po-przeć logicznymi argumentami; powiem w sekrecie, że słyszałam przełożoną wygłaszającą takie samo zdanie. Kończę nim list o wystawie, za którą należy się prawdziwa wdzięczność komitetowi. Kto wie, czy z czasem nie polubię Warszawy, bo miałam już sposobność stwierdzić, że jest tu dużo ludzi poświęcających swój czas i siły dla dobra bliźnich. Szczęść im Boże! Tak mówią u nas w gub. Lubelskiej przy żniwie, ja też życzę obfitego plonu opiekunom wystawy gier i zabawek.

Mateczko! palce mi zdrętwiały od pisania. Resztę szczegółów o nas, o pensji, o nauce doniesie Wańdza. Ja urywam list, oddaję pióro i prawa sprawozdawczyni siostrze, nie oddam tylko za nic moich praw, do waszych serc, nawet za miskę soczewicy nie oddam, jak Jakób, chociaż jestem bardzo głodna, bo przechadzka na Dynasy opóźniła obiad.

Helenka.

Z wycieczek po kraju.

Kaplica Kochanowskiego.

Zwoleń leży niedaleko Radomia, kędy w niewielkiej od siebie odległości leży Sycyna, miejsce urodzenia Jana Kochanowskiego i Czarnolas, miejsce stałego zamieszkania. Tak więc kolebka i grób wielkiego poety znajdują się blisko siebie.

Zwoleń jest dzisiaj lichą miejsciną, zabudowaną po większej części drewnianymi domkami i tylko rynek dość szeroki, na którym wznosi się kilka murowanych kamienic.

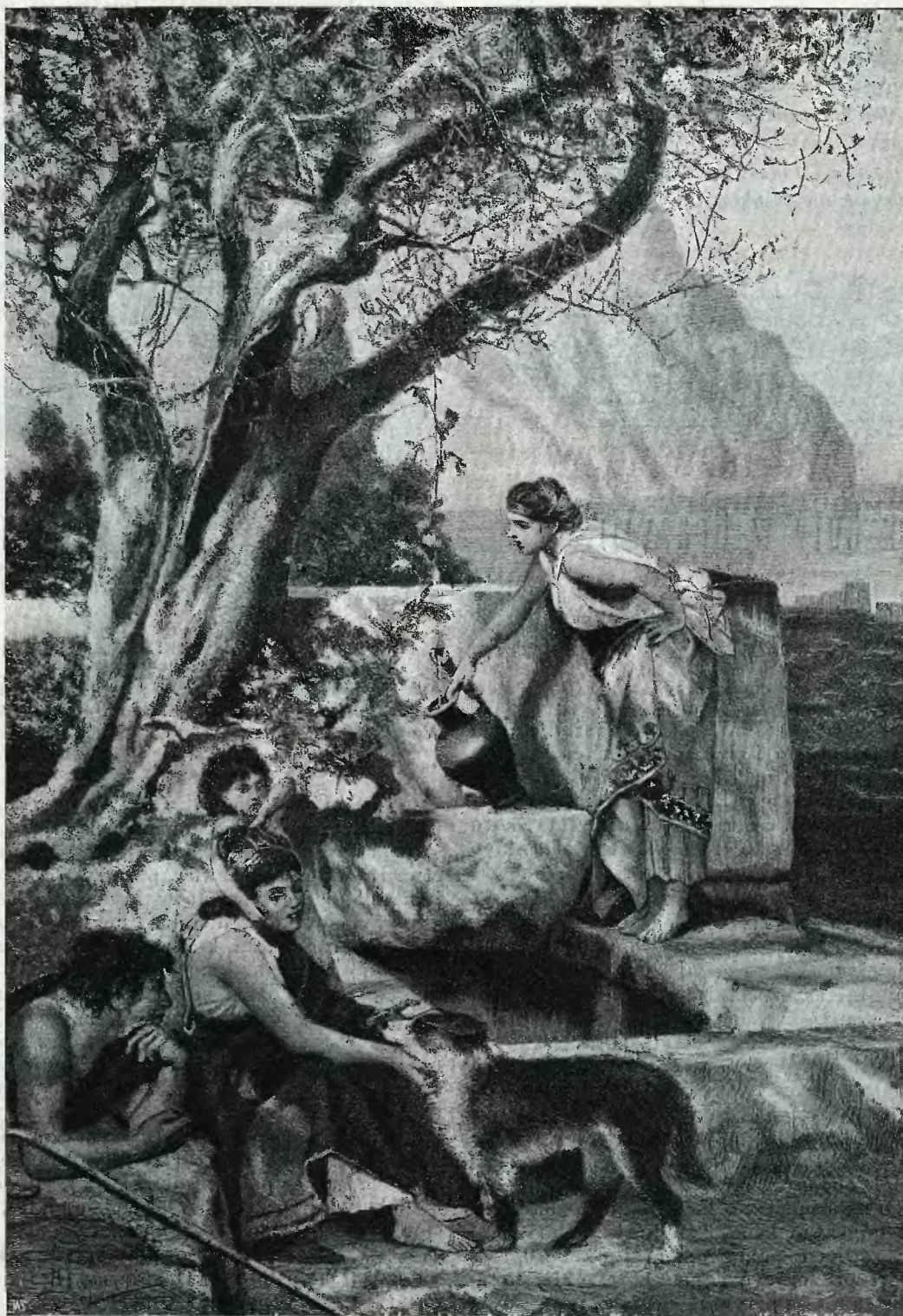
Kościół parafialny zbudowany w XVI wieku, dwie kaplice przybudowane z boku, nadają mu pamiątkową wartość. Jedna z nich nosi nazwę kaplicy Kochanowskiego i mieści w sobie grobowiec poety, oraz jego popiersie z marmuru.

Ze Zwoleń do Czarnolasu jest bardzo blisko, bo tylko kilka wiorst drogi, można więc odrazu obejrzeć wszystkie pamiątki po naszym wieszczu, pomodlić się za jego duszę, i oddać cześć jego pamięci. Niewiele wprawdzie tych pamiątek pozostało. Owey lipy, którą tak pięknie opiewał poeta, już niema ani śladu, lecz na jej miejscu postawiono słup z popiersiem



Kaplica Jana Kochanowskiego w Zwoleń.

Z obrazu Henryka Siemiradzkiego.



PIEWCZYNA RZYMSKA CZERPIĄCA WODĘ.

Kochanowskiego, a na słupie wyryto najpiękniejszy z jego Trenów.

W obszernym starym ogrodzie jest kaplica a przy niej mur, który ma być ostatnim szczątkiem domu poety. Zachowały się także drzwi żelazne od tegoż domu, oraz krzesło z poręczami, na którym siadywał przy pracy, a nad wejściem do pałacu ks. Jabłonowskiej, do której obecnie Czarnolas należy, umieszczona jest tablica z takim samym napisem, jaki widniał nade drzwiami Jana Kochanowskiego:

*Inni niechaj pałace murowane mają,
I szczerem złotogłowiem ściany obijają,
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tem gnieździe ojczystem,
A Ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystym,
Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,
Obyczajmi dobrymi, nie przyłcrą starością. Ł.*



Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Nic to — zapewniał Karol Wiecha — wyszedłem na werendę, żeby wypalić cygaro i słyszałem, jak ten łotr Sawara ludzi buntuje przeciw panu Lutemu. Mówił, że u niego szukać należy fałszywych pieniędzy, bo gdzie jest tyle dobrych, tam się i złe znajdują, a musi mieć dużo złota skoro chce wendystów chleba pozbawiać i na własną rękę sklep zakładać. Byłbym mu oberwał jego rudą brodę, ale uciekł wciąż tylko jeszcze o fałszowaniu pieniędzy wykrzykiwał.

— Ja sam dopiero co na tych szachrajów pomstowałem — odparł Tomasz, i dalej rzecz swoją o podrabiaczach monety z Moszką ciągnął, a narzekał słusznie, bo w Brazylii kursuje istotnie wielka ilość fałszywych pieniędzy, na czem nasi koloniści najgorzej wychodzą; mało oświeceni, padają ofiarą oszukaństwa, zdolnych ale zdemoralizowanych jednostek, które nie tylko krzywdzą materialnie swoich, ale co gorsza psują opinię uczciwym rodakom. Nikt dziś jednak nie zwracał uwagi na narzekania Moška i Grązeli, bawiono się ochoczo cały dzień, obiad, zgotowany pod kierunkiem Marcinowej dogodził wszystkim, a po wesołej uczcie Tomasz przypomniał obecnym, że zaczął się maj, że należy zatem pamiętać o nabożeństwie, które w nowo zbudowanym kościele miał odprawić ksiądz Zieliński. Stary majową litanią chciał święcić pamięć zabitej przez Bugrów żony. Tomasz poparł propozycję Tomasza, jego Marysieńka pobięła zmienić suknię i przybrać się jak przystało na poważną gospodynię, a on szedł prowadząc wierną swą drużynę, i z przepełnionego radością serca dziękował Bogu za szczęście.

Maj budził w Stefanie wspomnienie niebezpieczeństw, jakie przeżył w Sixtenlots. Walka z Indianami, śmierć Suyi, dni spędzone na dnie jamy, gorączka i lekarstwo uczynione Dundery, nareszcie cudowne ocalenie, które zawdzięczał wiernemu przywiązaniu Leona, całe to pasmo wrażeń snuło się teraz przed oczami Lutego i budziło

w nim głęboką wdzięczność za łaskę Opatrzności, która czuwała nad losami sieroty.

Szedł ku kościołowi zbudowanemu przez kolonistów, miał swoją szkołę, szpital, lokal kółka rolniczego, i myślał z słuszną dumą, że jego to ręka i jego grosz dały podwalinę wszystkiemu tym dziełom. A w chwilę potem kłęczał już pokornie u stóp ołtarza. Chór i orkiestra, także jego staraniem wyćwiczona, śpiewała litanię a on patrzył z miłością w obraz Jasnogórskiej Matki Boskiej, wymalowany na sztandarze około którego skupiali się koloniści, i ślubował u stóp Najświętszej Panny być wiernymi do śmierci raz obranej drodze. Ślubował zawieźć do Częstochowy pierwszego syna, jeśli Bóg dać mu go raczy na pociechę starości, na spadkobiercę uczciwą dążnością wsławionego imienia.

— Zawieziemy oboje dzieciątko da Bóg za rok, na przyszłą wiosnę zawieziemy małego Lutego — powtarzał wrzuszony, zapominając, że rok przynieść może wiele trosk, wiele zmian, bo nie zawsze majowe słońce darzy ludzi radością i pociechą. Ale w sercu Stefana panowała dziś radość niepodzielnie. Był w Ameryce, tu zbudował sobie dom, myślał jednak o tem tylko, że należy z krwi i kości do porzuconej za oceanem ziemi, że ciągnie go do Wągrowca tęsknota, to uczucie jakie ma syn oddalony od matki.

— Dobrzy synowie nie opuszczają na zawsze matki, znoszą jej zdobyte w obczyźnie skarby — myślał Luty i przypomniała mu się bajka o królowej wiośnie, która wysłała promienie słońca aby pracowały przez lato a na jesień oddały jej zarobiony w znoju plon.

— Kyrze eleyson! intonował proboszcz, kończący litanię.

— Chryste eleyson! Chryste eleyson! Chryste eleyson! wołał z głębi duszy Stefan Luty, znajda, a dziś za łaską Bożą i pomocą dobrych ludzi człowiek użyteczny i bardzo szczęśliwy.

Rozdział XXII.

Kolonie w Rio Negro. — Nędza. — Gdyby więcej ludzi! — Wendyści. — Sklep własny. — Don José i Szwarz. — Wyrok. — Wzruszenie Sawary. — Signor San Maio. — Rzucone posądzienie. — Co z tego wyniknie?

Był Grudzień. Nie ten wietrzny, ścięty mrozem i śniegiem zasypany zimowy miesiąc, do jakiego przywykliśmy na naszej półkuli, ale ciepła, pełna kwiecia, gwaru ptactwa i wonnych powiewów, pora roku. Jesień okryła zbożem pola, uginały się głowy Murzynek pod kosztami najpiękniejszych owoców, dokuczał upał, dokuczały komary, kapela skwarnego lata, która swą muzyką przypomina brzęk naszych owadów nad moczarami.

W taki to dzień, słonecznem złotem zalewający ziemię, wracał Stefan do Kurytyby z Rio Negro, gdzie zwiedzał nowo powstające kolonie polskie. Przeprowadził się rankiem przez szeroką rzekę Czarną, Rio Negro, a teraz i koń i jeździec stąpali mozolnie ścieżką podobną do ciasnego korytarza, z rozpiętym u góry baldachimem zielonych gałęzi i barwistych wieńców lian. Spotkany Carbuclós ruszył wgardliwie rumionami na wspomnienie o kolonistach, a potem kiwał z politowaniem głową, jak gdyby wątpił, czy kiedykolwiek sprzedawać im będzie matkę, bo obcinał właśnie herwę i pakował ją do worka.

— Traversia no nas *) — dodał wskazując na wschód, ale dziwił się człowiekowi, który w jego mniemaniu bezcelną przedsiębrał podróż.

Stefana nie zraził pesymizm carbucla, skorzystał z danych wskazówek i trafił też wkrótce na szerzej wyciętą drogę, dojrzał nawet polankę, na której płonęły stosy zrabanego drzewa, a gęste pnie nosiły świeże ślady siekiery.

— Ile potu wylali tu nasi biedacy — myślał, bo wiedział, jak ciężką jest praca karczownika, zmuszonego zwałować kilkowiekowe olbrzymy.

*) Droga jest równa.

Za polanką, nad strumieniem, wznosiły się dwie budy, nędzniejsze, jeśli to być może, od Izabelskiego baraku. Przed jedną z nich leżało kilka kobiet chorych z głodu!

— Gdzie są mężczyźni? dlaczego jesteście tu same? — pytał Stefan, wyjmując z torby własne zapasy żywności, żeby podzielić je między najwięcej potrzebujących.

— Mąż poszedł do komary do juza. *) Zapłacił za ziemię, a ten Brazylian, co ma tu niedaleko fazendę, powiada, że ta ziemia jemu była wprzód darowana i nie puszcza nas na pole któreśmy wykarczowali.

— Mój trzy razy nosił już swój wypis z hipoteki do juza, ale się z nim nie rozmówił, bo po tutejszemu nie umie.

— A gdzież jest agent, który wam nastroczył ziemię?

— Czy to się on pokaże, krzywdziciel, Judasz! — wołała rozżalona kobieta. Otumanił, oszukał, obdarł ze skóry i tyleśmy oglądali.

— Dużo was tu przyszło? — pytał zasmucony widokiem nędzy kolonistów.

— Jechało nas od Rio więcej niż trzysta, ale siła ludu już pomarła z biedy. Las okrutnie ciężki do karczowania, a pożywienia na początek dano mało.

— A bo to co wskóramy! — mówiła inna kobieta. Przyszła z lasu, bo wiadomość, że obcy pan przyjechał na szakry **) i że rozumie po polsku, zwabiła około Stefana całą gromadkę nędzarek. Płakały, opowiadając o swojej biedzie. Były między kolonistami i takie, które miały jeszcze pieniądze, ale do miasta po żywność trzeba iść kilka dni.

— Doktor nie pokazał się dotąd na kolonii, chociaż chorych jest dużo i szef w Kurytybie obiecywał, że doktor co miesiąc będzie odwiedzał nową osadę.

— A tu ludziska mrą, panie kochany — ot tam mogiłka skarżyła się młoda matka wskazując piaszczysty wzgórek, na którym kilkadziesiąt już wznosiło się grobów, i gdzie ona dwoje własnych pogrzebała dzieci.

Smutny wracał Stefan po kilkodniowej wycieczce nad brzegi Rio Negro. Zaraz jutro wniesie zażalenie do miejscowego zarządu w Kurytybie, tymczasem zaś wyśle natychmiast sam żywność dla zgłodniałej osady.

— Sawara obędzie mnie przy tej sposobności bez miłosierdzia, będzie się mścił za projekt spółkowego sklepu — myślał Stefan wchodząc do wendy najzamożniejszego w Kurytybie kupca. Kto był Sawara? nikt tego nie wiedział. On sam mienił się być Bulgarem, mówił jednak dobrze po polsku. Koloniści, zwłaszcza zaś Wojciech Skiba, patrzyli podejrzliwym okiem na dostawcę produktów, bo wyglądał jak chytry lis, który potrafi zmienić skórę stosownie do okoliczności.

Wendyści nie cieszą się w ogóle sympatją brazylijskiej ludności i zasługują na tę niechęć. Są to po większej części pijawki, wysysające bez miłosierdzia zarobek osadników, zmuszonych używać ich pośrednictwa przy zaopatrywaniu się w konieczne potrzeby. Ciemny i nie znający języka kolonista polski był naturalnie najhaniebniej obdzierany, szemrano w Kurytybie jak szemrano wszędzie, ale nie umiano znaleźć rady na złe, póki Stefan nie rzucił myśli założenia spółkowego sklepu.

(d. c. n.)



*) Camarea, powiat, a w każdym powiecie znajduje się sędzia zwany *juiz de direito*, który ma w swoim zawiadywaniu rejestr hipoteczny nieruchomości nabytych przez kolonistów.

**) szakry, działki, pola wytknięte pod nowe kolonie.

Sprawozdanie z konkursu na wypracowania

OGŁOSZONEGO W Nr. 26-ym.

Prac 76. Nagród 28. Wzmianek zaszczytnych 35.

Ten nasz konkurs wakacyjny i liczebnie i jakościowo możemy uważać za udany, przyniósł bowiem na ogół większą ilość wypracowań, niż na konkursy poprzednie, starannie obmyślanych i lepiej napisanych. Zachęta nasza do ozdabiania tych prac własnoręcznymi rysunkami lub winietami nie pozostała także bez echa, na czem zyskała strona zewnętrzna wypracowań, świadcząca o guście estetycznym i zdolnościach do rysunku stawających do konkursu. Przypisujemy ten zapał w małej częście słotom i chłodom minionego lata, które zmuszały wszystkich do częstego przesiadywania pod dachem, ale w znacznej części dobrym chęciom i pracowitości kochanych czytelników „Wieczorów”.

Przystępujemy więc do ogłoszenia wyników sądu, zaznaczając, że podzieliśmy wypracowania na trzy grupy według lat piszących, a więc: I-a do lat 10-u, II-a do lat 13-u włącznie i III-a od lat czternastu. Naturalnie dla każdej grupy podnosiliśmy skalę naszych wymagań.

Ale najprzód słów kilka o wypracowaniach na temat pierwszy: *Jaki ze znanych mi wynalazków uważam za najdonioślejszy i najpożyteczniejszy i dlaczego?* Ten temat miał najmniej zwolenników (i to przeważnie z grupy drugiej), zaledwie dwunastu, a i ci bardzo pobieżnie i krótko wyjaśniali znaczenie wyróżnionych przez siebie wynalazków. Tak na przykład Staś Susz. i Junak zaledwie po parę wierszy napisali o korzyściach, wpływających z wynalazków druku i telegrafu. Najwięcej głosów przemawiało za *drukiem*, kilka przyznało pierwszeństwo *lokomotywie*, reszta chwaliła *telegraf*, a jeden tylko *Mściwoj balony*.

Nagrody przyznaliśmy *Luni Komierowskiej i Stalowemu Pługowi*, na *wzmiankę zaszczytną* zasłużyli: Czarna Myszka z Woł., Rozetka, (wypracowanie z rysunkiem pierwszej lokomotywy), Lublinianka, Sęk, Mściwoj i Podróżnik.

Dwa drugie tematy: *powiastka do ryciny i historia kwiatu* — zwłaszcza ten ostatni dawały szerokie ujęcie dla wyobraźni, która też wylewała się w szeregu wdzięcznych, przeważnie rzewnych obrazków, świadcząc u wielu o głębokim poczuciu natury i pewnych zdolnościach literackich. Tu też znaleźliśmy wiele mniej lub więcej udatnych rysunków, winiet i ozdób piórkiem, ołówkiem lub kolorowanymi. Styl na ogół poprawny, u nagrodzonych nawet żywy i poetyczny, choć spotykaliśmy niekiedy grube omyłki ortograficzne, (np. *curka*) zaś u wielu, błędne stawianie zaimka „który” po rzeczowniku np. „dziewczynka, w towarzystwie której...” „powóz, woźnica którego...” zamiast: „dziewczynka, w której towarzystwie...”, „powóz, którego woźnica...” Jest to błąd nader często spotykany, którego wystrzegać się należy.

Tendencja czyli przewodnia myśl utworów godna wszelkiego uznania: spełnienie ciężkiego obowiązku, poświęcenie, darowanie uraz, niesienie ulgi cierpiącym, dzielność i przytomność umysłu, oto są ideały, które, jak złote nitki przebijają się przez wszystkie te obrazki, i żyćzyć tylko należy, aby tak samo przewodziły zawsze w życiu kochanych autorów i autorek i wszystkich ich rówieśnych.

Mało jednak bardzo spotykaliśmy utworów wesołych lub dowcipnych, najwięcej może humoru jest u *Łochozwaniki* („Z wakacyi”), *Olszynki* („Pastuszek”), która zna dobrze życie wieśniaków i nawet gwarę ludową swojej okolicy, i u *Haraburdy*, („Historia pysznego słonecznika”)

W I-ej grupie najmłodszych na nagrody zasłużyli: 1) Birusa (Renia T. z Połagi) za historję bławatka, 2) Tadzio Błęszyński („Śláz”) 3) Modrooka Goplana („Bohaterski

czyn") 4) Rycerz z nad Syr-Daryi („Polna Makówka”), 5) Wańdzia Filipkowska („Niezapominajka”) z winietą kolorową, 6) Machega („Szlachetny Chłopiec”) z wcale udatnemi winietami i rysunkami ołówkiem 7) Halka z nad Teterowa („Bławatek”), 8) Karolek Luty („Wyratowane”), 9) Marysia Rodz. („Konwalia”) i 10) Juraś („Pod kopytami”).

Na wzmianki zaszczytne z pochwałą zasłużyli:

Sroka z nad Narwi, Czeremcha, Piotrkowianin, Ol, Duch Puszczy, (napisał na oba tematy), Celina Ludkiewiczówna, Muszka z nad Rosi, Przepióreczka z Podlasia, Zygmus Dz. i Sir Warburton.

W II-ej grupie średnich nagrody otrzymują.

Wielkopolanka („Pamiętnik białej Różyczki”), nader udatny). 2) Rybitwa z nad Wisły („Bratek”) z wiązaną zasuszonych bratków i ziół 3) Lilla Weneda z Satyjowa („Odważny chłopiec z 3 ilustracjami kolorowanymi w tekście”) 4) Olszynka („Pastuszek”) 5) Ludwinia Kramsztykówna („Szarotka”) 6) Szara Muszelka („Szlachetne serce”, z rysunkami) 7) Elżbieta Cywińska (wierszyk) 8) Ryś („Z drogill”) i 9) Gucio Zam. („pierzysnek”).

Na wzmianki zaszczytne z pochwałą zasłużyli:

Nadobrzanka, Jadwiga Bleszyńska, Jedynaczka, Józwa, Malwa, Zosia B. z O., Dzik Litwin z nad Świętej, Maryś P., Tadzio Gr. Dziecię Warszawy, Łodzianka.

Wreszcie w III-ej grupie starszych, gdzie wymagania były najsurowsze, nagrody otrzymują: Boża Krówka („Dzwonek leśny” obrazek fantastyczny). Jest to utwór, który niewątpliwie zdradza istotne zdolności pisarskie, a przytem ozdobiony bardzo gustownymi rysunkami kolorowanymi różnych kwiatów. Błędny Ognik (Dina K.) za opowiadanie dzwonek z mogilek, smutny to obrazek jak zwykle to, co pisze, ale widzimy postęp w porównaniu z rokiem zeszłym; do rysunków za to nie ma zdolności zupełnie. 3) Janina Rodysówna (Dobry opis życia w Konstancinie, do którego wplotła wypadek z kofmi, rysunki niezłe.) 5) Jagienka (Powiastka na tle ryciny) 6) Struś („O głogu co rósł nad rowem”) i 7) Haraburda.

Na wzmiankę zaszczytną z pochwałą zasłużyli:

Łochozwianka, Róża bez kalców, Czarna Myszka i Woł. Wielbicielka Szopena, Zabka z nad Rosi, Władysław R. Jaśko Golański i Zdzis z Suchowa.

Miko by nam było pogwarzyć dłużej, z wymienionymi powyżej autorami, wskazać im lepsze i słabsze strony ich utworów, zacytować niektóre ustępy, może kilka z nich uda się nam pomieścić w następnych numerach p. t. ze żniwa konkursowego. Tymczasem dziękujemy im za pracę i sądzimy, że nie żałują chyba czasu poświęconego na te wypracowanie, czasu, który stracony nie był.

Nagrody rozesłamy w ciągu dwóch tygodni.

Termin na konkurs robót dla panienek przedłużony do 5 listopada.



PRENUMERATA WYNOST:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Prababunia, z poezji Wiktora Hugo.—Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa. — List Helenki J., czytelniczki „Wieczorów.” — Z wycieczek po kraju (z ryc.) — Dziewczyna rzymska (ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Sprawozdanie z konkursu na wypracowania. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Wystawa gier i zabawek na Dynasach w Warszawie (ryc.) — Kto ty jesteś? wiersz przez Zofię Zacharkiewicz. — Przenajświętsza Przódka, przez Kazimierza Kalinowskiego. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 22 Сентября 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

SZARADA.

E. L.

Pierwszy wprost wśród Anglików wielkiej czci używa,
Drugi wspan z górnych brzegów w fale Wisły splywa.
A wszystko wraz to góra, na tle dawnych wieków,
Uwieńczona poezją w mitologii Greków.
Co dotąd choć przeszłości zasłonięta cieniem,
Żyje w dziedzinie sztuki niejednem wspomnieniem.

ARYTMOGRYF.

ul. Aleksander A.

19, 4, 2 *	12, 17, 1.	Państwo w Himalayach.
17, 11, 20 *	4, 11, 4	Stan w środkowej Ameryce.
20, 21, 8 *	13, 2, 16	Dziejopis. pols. XV w.
11, 17, 9 *	17, 9, 7	Mieszkaniec kraju w Europie.
1, 13, 12, *	21, 8, 2	Założyciel wiel. miasta w star.
13, 20, 15 *	17, 9, 7	Poeta pol. XIX w.
22, 21, 4 *	15, 11, 4	Metal.
14, 1, 4 *	7, 15, 4	Państwo w Europie.
12, 4, 6 *	12, 9, 3	Prorok i prawodawca religijny.
2, 3, 4 *	16, 15, 7	Historyk i pisarz XVIII w.
22, 17, 2 *	13, 1, 16	Ryba wód stojących.
19, 13, 21 *	11, 17, 4	Miasto n. Renem.
18, 4, 20 *	17, 5, 4	Imię żeńskie.
12, 17, 2 *	8, 1, 17	Dopływ Missisipi.
18, 4, 2 *	17, 9, 1	Roślina łąkowa.
3, 13, 10 *	4, 2, 16	Postać biblijna.

Zastąpić liczby literami, aby w otrzymanych 16 wyrazach rząd środkowy utworzył imię i nazwisko współczesnego muzyka i kompozytora.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.

Szarady: Po — gar — da.

NOWE KSIĄŻKI

naśłane do redakcyi „Wieczorów Rodzinnych”

Z księgarni Gebethnera i Wolffa.

Książka do czytania z ćwiczeniami gramatycznymi dla dzieci od 8 do 10 lat. C. Bogucka i C. Niewiadomska.

Dzienniczek Hanusi Tynieckiej. Powieść dla dorastającej młodzieży. Marya Raczyńska.

Z księgarni nakładowej M. Szczepkowskiego.

Rozmowy z Mamusią. Wiązanka wierszyków dla grzecznych dzieci p. Esmarę.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).

VII.

Wielkie nadzieje.

W podziw nad temi eudami spojrzeliśmy jeden na drugiego, mając obadwaj tę samą myśl w głowie i jedno pytanie na ustach.

— Czy na zewnątrz jest odpowiednie dla nas powietrze? — zapytałem.

— Tak sędzę — odrzekł Cavor.

— Patrz pan — rzekłem — te rośliny będą wkrótce tak wysokie, jak my. A jeżeli się pan myli — gdyż jakaś niepewność powstała w tej chwili w mym umyśle, — jeżeli atmosfera tam na dworze nie jest powietrzem, lecz azotem lub kwasem węglanym tylko, co wtedy będzie?

— Bardzo łatwo się o tem przekonać — odrzekł Cavor, — wziął duży arkusz zgniecionego papieru, zapalił go, otworzył prędko kłapkę otworu i wyrzucił płonący papier na zewnątrz. Wychyliłem się aby śledzić, co się stanie z papierem, gdyż w tej chwili cała przyszłość nasza zależała od tej na pozór drobnej rzeczy.

Gdy papier upadł na śnieg,

różowy płomień ognia przygasł prawie zupełnie. Po chwili dopiero ukazał się błękitny język, papier drżał, a ów niebieski płomień obejmował go, wreszcie strawił z wyjątkiem wąskiego brzegu, dotykającego śniegu, który parował nad czarną kupką popiołu.

Nie było już wątpliwości: powietrze na księżycu, jeżeli tylko nie było za rzadkie do oddychania dla ludzi, to dobre będzie dla nas, możemy zatem wyjść ze sfery i żyć tutaj!

Pomimo licznych obrażeń i skaleczeń, uczułem w sobie nową energię. Wdrapałem się do otworu i chciałem go żwawo odśrubować, lecz Cavor zatrzymał mnie, mówiąc:

— Trzeba działać ostrożnie. Atmosfera na zewnątrz, wiemy, że jest powietrzem, ale może ono być tak rzadkie, że krew rzuci nam się ustami i nosem, jak to ma miejsce często z aeronautami, którzy nadto szybko unoszą się w górę.

Po tych słowach przygotował jakiś mdły napój, wypił sam pewną jego ilość, i mnie kazał uczynić to samo. Czułem się trochę odurzony po tym napoju, lecz nie zważając na to, zabrałem się zaraz do odśrubowania otworu. Jak tylko troszeczkę usunąłem zasuwę, zaraz powietrze z wnętrza domku zaczęło uciekać na zewnątrz, świszcząc jak woda przed przygotowaniem się w hermetycznie zamkniętym kociołku, co dowodziło, że powietrze na dworze było daleko radsze, pomimo słonecznego paru, niż powietrze wewnątrz domku. To mnie zastanowiło, spojrzałem



Popłynąłem, jak piórko w powietrzu.

pytając na Cavora, który stał obok z cylindrem pełnym tlenu, gotów dodać go do otaczającego nas powietrza w odpowiedniej ilości. Chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu, tymczasem uczułem wielkie tętnienie w uszach i zupełną niemożność oddychania, a także dziwnie niemiłe uczucie koło uszów, na karku i na końcu palców. W głowie mi się zaczęło kręcić, porwały mnie mdłości, i nie byłem już zdolny do niczego. Głos Cavora, który coś do mnie mówił, zdawał się przychodzić do mnie z oddalenia, tak był słaby i cichy. Cavor podał mi kieliszek wódki, wypilem ją i zaraz lepiej się uczułem. Przez ten czas gwizdanie mieszającego się powietrza ustało, lecz tętnienie w moich uszach było coraz silniejsze. Nie zważałem jednak na nic i znów zbliżyłem się do otworu, chcąc go odsunąć. Wtedy Cavor owym głosem przytłumionym zapytał:

- Czy panu lepiej?
- Prawie zupełnie dobrze.
- Czy chcesz wyjść na powietrze?
- A czemużby nie?
- A wytrzymasz pan tę zmianę, nie zemdlejesz?

Zamiast odpowiedzi zacząłem powoli odsuwać kłapę otworu, po chwili świeże powietrze napełniło wnętrze sfery, odetchnąłem swobodnie i usiadłem na krawędzi, rozglądając się dokoła.

Ziemia w tem miejscu pokryta była śniegiem, którego nigdy dotąd nie dotknęła stopa ludzka. Zrobiłem znak krzyża świętego.

— Czy to ostre powietrze nie drażni pańskich płuc? — zapytał troskliwie Cavor?

— Bynajmniej, zupełnie dobrze się czuję.

Wtedy Cavor wyciął w środku swej wełnianej kołdry dziurę, gdy głowa przez nią przeszła, okręcił się nią jak płaszczem, wdrapał na krawędź otworu z drugiej strony jego i spuszczać się powolutku, stanął na nowej dla nas ziemi. Stał chwilę, rozglądając się dokoła, a potem zebrawszy rękami improwizowany płaszcz, aby mu nie przeszkadzał, skoczył na najbliższą wyniosłość.

Skok jego zdziwił mnie, gdyż jednym susem oddalił się ode mnie na jakie 30 stóp. Stał teraz na wysokiej skale, i pokazywał mi coś gestami, a pewnie i mówił do mnie — ale ja nic nie słyszałem.

Nie mogłem pojąć tego wszystkiego, i Cavor w tym płaszczu, gestykulujący w powietrzu, wydał mi się skoczkiem, odgrywającym jakąś nową pantomimę.

Jednakże i ja chciałem stąpić na tę dziewiczą ziemię i ostrożnie wysunąłem się na dół.

Stojąc na śnieżnej ławicy, chciałem dostać się do Cavora, więc tak samo jak on skoczyłem.

Nigdy nie zapomnę tego wrażenia. Ponieważ księżyc jest 36 razy mniejszy od ziemi, więc słabiej przyciąga, i nasze ciała miały na księżycu tylko szóstą część swej wagi ziemskiej; ale siła mięśni zostaje ta sama, stąd pochodziły nasze ogromne skoki. Cavor pochylił się ku mnie, i jakimś dziwnie piskliwym głosem wołał, abym był ostrożny.

Słuchając jego rady, powoli, sunąc nogami jak człowiek zreumatyzmowany, wdrapałem się na jego skałę i stanawszy obok, zacząłem rozglądać się dokoła. Sfera nasza leżała u stóp skały na śnieżnej ławicy.

Jak okiem zasięgnąć widać było tylko poszarpane skały, po których pięły się cienkie jak sznurki, kolczaste jakieś rośliny, gdzieniegdzie wylaniały się olbrzymie, mięsiste kaktusy, a szkarłatne i fioletowe porosty wprost rosły w naszych oczach i jak pełzające, żywe istoty, szybko pokrywały skały.

Naraz powstał mały ale przejmujący chłodem wiaterek; otuliliśmy się w płaszcze, czyli kołdry i przysłoniwszy oczy ręką przed oślepiającym blaskiem słońca, zaczęliśmy pilnie badać okolicę, czy oprócz życia roślinnego, nie dojrzymy jeszcze czegoś więcej.

Po długiej chwili Cavor rzekł — Zdaje mi się, iż ta planeta jest zupełnie pusta.

Tak, napróżno wzrok wyteżałem, czy nie dojrzałbym jakich budowli; lecz nic zwiastującego obecności człowieka dojrzeć nie mogłem, zawsze tylko widać było najfantastyczniejsze skały, wijące się jak węże rośliny i grubzak-tusy.

Nie było owadów, ani ptactwa, żadnych śladów życia zwierzęcego. — Tak, — rzekłem do Cavora, — na księżycu żyją tylko te oto rośliny. — Cavor westchnął. — Ludzie tu żyć nie mogą, zmarzliby w nocy, a jednak...

Zamyślił się i po dawnemu zaczął mrużyć. Ja nagle drgnąłem, bo uczułem, że ktoś dotknął mnie lekko w nogę, spojrzałem... Był to porost, który skwapliwie pokrywając skałę, zagarnął i moją nogę, znalazłszy ją na swej drodze. Uderzyłem go silnie nogą, rozsypał się w proch, lecz każdy atom padłszy na skałę zaczął znów rosnać szybko. Naraz Cavor krzyknął, spojrzałem w jego stronę, badając przyczyny, i zobaczyłem, że jedna z tych najeżonych kolcami roślin, dosięgnąwszy go, silnie ukłuła.

Nagle z poza stromej skały słońce oświeciło coś różowo-liliowego, przepyszny był to kolor! — Patrz pan! co to jest? — zawołałem, zwracając się do Cavora, ale Cavora nie było koło mnie.

Przerażony zacząłem go szukać dokoła, zapomniałem na chwilę, że stoję na księżycu, skoczyłem żywo, na ziemi krok mój posunąłby mnie o dobry łokieć, tutaj popłynąłem jak piórko w powietrzu przez jakie sześć sekund, i zrobiwszy najmniej z piętnaście łokci, stanąłem po kolana w śniegu, w wąwozie między niebiesko szarymi skałami, których boki gęsto przerzynały białe żyły.

— Cavorze — zawołałem z całej siły, lecz tylko echo odpowiedziało mi — Cavorze.

Wdarłem się na jedną ze skał, wyteżałem wzrok, aby dojrzeć zaginionego towarzysza, Cavora nigdzie nie było.

Straszne uczucie opuszczenia ścisnęło mi serce.

W tem ujrzałem go. Stał na skale o jakie trzydzieści łokci pode mną, mówił coś, uśmiechał się, ale ja nic dosłyszeć nie mogłem, tylko z gestów jego rozumiałem, że przyzywał mnie do siebie. Uradowany odnalezieniem towarzysza, nie namysławiając się długo, skoczyłem ku niemu, lecz widać rozmach mój był za silny, bo przeleciałem nad głową Cavora, doznając zapewne uczucia ptaka szybującego w powietrzu, i zdawało mi się, że nigdy nie zlecę na ziemię. Krzyknąłem z całego gardła, rozpostarłem ręce, i wreszcie nie wiem już po wielu minutach, spadłem na jakiś ogromnej wielkości grzyb, który zmiażdżyłem swym ciężarem, lecz tenże osypał mnie od stóp do głów jakimś żółtym proszkiem. Ładnie musiałem wtedy wyglądać! Cavor, który to wszystko widział, zbliżył się do mnie, i śmiejąc serdecznie, zaczął mnie otrząpywać z tej żółtości, mówiąc ze zwykłą dobrocią.

— Musimy się tu ostrożnie poruszać, bo ten księżyc różne nam płała figle. Jak nie będziemy uważni, to zginiemy jak muchy.

Po chwili mogłem już odetchnąć po owym szalonym locie, a Cavor zauważył, że najprzód musimy się nauczyć chodzić po księżycu, zaraz też upatrując to lub owo miejsce, które nas zaciekawiało, udaliśmy się tam. Z początku Cavor miał minę mentora, ale gdy chcąc skoczyć na pewną wygodną platformę między skałami, zleciał w głąb kolczastego krzaka, który go pokłuł okropnie, zrównaliśmy się wtedy w naszych nowych ćwiczeniach. W krótko jednak przyuczyliśmy się do tej nowej lokomocji i umieliśmy z wszelką pewnością podróżować po księżycu, lecz zajęci temi ćwiczeniami oddaliliśmy się od miejsca naszego wyładowania i straciliśmy z oczu naszą sferę.

Cavor szeptał: — Kolosalne wrażenie! A ja odkąd nauczyłem się chodzić po księżycu, z wiarą patrzyłem w przyszłość, bo czułem się tu niejako władcą i panem.

Nagle zwróciłem się do Cavora z zapytaniem.

— Słuchaj pan — a pamiętasz, w której stronie jest nasza kula?

— Eh? odpowiedział niewyraźnie. Straszna myśl strzeliła mi do głowy.

— Cavorze, gdzie nasza kula? — zawołałem..
(c d. n.)



Bieśń jesieni.

Z chłodnych wiatrów podmuchami,
Ponad góry i doliny
Płynę w wieńcu jarzębiny...
Czasem płacząc deszczu łzami.

To znów niebo się rozchmurzy,
Słońce spojrzy w dal ukośnie,
Lecz nie zbudzi żadnej róży,
Jak to dzieje się o wiośnie.

Giną kwiaty, więdną liście,
Rzyska stroi pajęczyna,
Winograpy lśnią ogniście,
Dzionek później się poczyńna.

A i słońce krócej świeci,
A i ptaszka zmiłkły chóry,
Liść za liściem z drzewa leci,
Po niebiosach płyną chmury.

Ja nie stroję ziemi skroni
W barwne kwiaty, wonne kwiaty,
Lecz się jabłoni w sadach płoni,
Dojrzewają śliw granaty.

Jam obfita w chleb i ziarno,
Mnie lud kmiecy z drżeniem czeka,
Moje ręce plony garną,
Ja uwieńczam trud człowieka.

Zofia Zacharkiewicz.



List Helenki J. czytelniczki „Wieczorów.”



Znów o wystawie pisać będę, kochana mateczko! Ciocia Dziunia zabrała mnie i Wańdzię na wystawę kucharską. Nasz Józef w Sokołowie pewnie o takiej nigdy nie słyszał, choć wyborne smaży pączki.

Szwajcarska dolina, miejsce, gdzie zazwyczaj odbywają się letnie koncerty, mówiąc nawiasem wcale do Szwajcarii niepodobna, pstrzyła się wczoraj od różnokolorowych namiotów, ozdobionych wieńcami i chorągwiemi. Rozstawiono w nich produkta spożywcze i mnóstwo przedmiotów, odnoszących się do kuchni, lub mających związek z jedzeniem.

Jest więc np. wystawa noży z fabryki p. Bieńkowskiego, jest bielizna stołowa, porcelana, szkło, naczynia kuchenne kamienne, miedziane, blaszane, niklowe. Są wspaniałe artystycznie odrobione zastawy srebrne, zwłaszcza p. Hempla prześliczna. Jest nawet stół nakryty, jakby czekał gości. Tylko mateczko stół to bardzo wykwintnie zastawiony, a ja gdybym urządziła ucztę, to miałabym ochotę wyprawić taką, jaką król Edward uraczył w czasie swej koronacji... tysiąc tysięcy biedaków!

Ale nie o tem mówić chciałam.

Gorszyliśmy się z Wańdzią, bo czego najwięcej jest na wystawie, to butelek z winem i piwem. Czy podobna, aby Warszawianie mieli wypić to wszystko? Pocieszyło mnie tylko, że i w tym dziale znalazły się wystawczynie kobiety, p. Wanda Stryjewska dała miody, Anna Wernierowa wina owocowe, a Anna Bzurowa likiery i wódki. Ciocia poczęstowała nas wodą „Ursus” ze sławnego źródła w Obłęgorku, jest doskonała. Kto wie, może ta woda ma nadzwyczajne własności?

Śliczne ryby widziałyśmy na wystawie. Pływają w akwaryum wąsate sumy i złote karpie i wielkie szczupaki, które wyszczerzały zęby na przemykające się za szklaną przegrodą karaski.

— Rozbójniki — pomyślałam, alem ja okrutniejszy od nich rozbójnik, bo zjadam nie tylko ryby ale prześliczne kurki, kaczkę, gołębie. Nie mam jednak na sumieniu tak pięknych okazów jak te, które wystawiła pani Rykowska. Jej kokosze są olbrzymie; najokrutniejszy ludożerca stałby się kurozercą, gdyby zobaczył cudnie upierzone Brahmy gronostajowe, Paduany złociste i gromadkę kurcząt wodzonych przez murzyna. Tak, mateczko, murzyna! Jest to prześliczny, ogromny biały kogut japoński z głową zupełnie czarną. On doprawdy powagą i gderliwą dobrocią przypomina wuja Toma z powieści pani Becher Stowe. A czubate jejmościanki, kury, coż to za zabawna gromada wesołych kokoszek! Wańdzi oderwać nie mogłam od złotych i srebrnych bażantów. Ciocia podziwiała najwięcej wielkość wystawionych kur.

Potem zwiedzałyśmy prawdziwie piękną wystawę owoców świeżych i suszonych. Ślicznie wyglądają karłowate jabłunki w wazonach, wystawione przez ogród Frascati, ale mnie więcej zajęły susze panien Górskich, bo w tym dziale palmę pierwszeństwa otrzymały kobiety. Ich jarzyny konserwowane mają kolor i zapach świeżych, a suszone gruszki, jabłka, wiśnie nie ustępują francuskim. Ciocię cieszyły najwięcej szparagi w puszkach p. Janiny Zakrzewskiej: dotąd sprowadzano takie konserwy z zagranicy, a przecież szparagi na naszej ziemi rosną doskonale, trzeba tylko umieć je odpowiednio zachować i dostarczyć smakoszom w jesieni lub zimie.

— My to potrafimy — powiedziałam do Wańdzi.

— Ja dziś bym już potrafiła. Gdyby nie ciekawe wykłady profesorów, nie widziałabyś mnie tu w Warszawie! westchnęła moja siostrzyczka.

— Gęś chowałaby gęsi i to bodaj tak piękne przynajmniej jak te — żartowała ciocia, wskazując okazy hr. Ostrowskiej, dawnej uczennicy zakładu w Chyliczkach.

Nie, gęsią za nic nie chciałabym zostać, ani ja ani Wańdzia, kożą do czasu, pozwalam, ale na żadne inne porównanie ze świata zwierzęcego nie przystaję, i postanawiam uczyć się porządnie, żeby ciocia Dziunia była z nas kontental!

Mogłabym wymienić wiele jeszcze wystawczyń kobiet z różnych działów. Doskonałe są cukierki hr. Komorowskiej, bakalie owocowe p. Chrzanowskiej. Jeżeli znawcy chwalą wędliny p. Herbsta, to p. Julia Szabuniewicz słusznie szczeni się także swoimi, jeżeli pan Budzyński, Chrzanowski, Świeżyński, mają na wystawie masło w różnych gatunkach, to ma je także panna Bronic, p. Gabriel, p. Łepkowska, a pawilon „Dobrej Gospodyni” okazałe się przedstawia.

Ciekawe tylko jeszcze jesteśmy bardzo, jakie też kobiety okażą zdolności jako kucharki, bo terażniejsza wystawa urządziła trzy konkursy: Do pierwszego stanęli pierwszorzędni mistrze z restauracji hotelu Europejskiego, Brytoli i innych, drugi urządzono dla czeladników kucharskich, do trzeciego mają być powołane kobiety kucharki.

Pragnę, by się im powiodło. Ale współubieganie się będzie trudne, półmiski, które widziałyśmy wczoraj na wystawie czeladników, były prawdziwie arcydziełami, już nie tylko smaku, lecz zewnętrznego wspaniałego wyglądu.

Miałby co chwalić stary soplicowski wojski, który tak kunsztowne umiał zastawiać obiady i serwisy.

Stało wczoraj na stole w Dolinie Szwajcarskiej sto półmisków, jeden piękniejszy od drugiego. Nigdy tak podanego drobiu, ryb, zwierzyni, jarzyn, nie widziałam. Nawet na weselu ciotki Dziuni nie było podobnych, o nie!

Wszystkie te potrawy, po obejrzeniu przez sędziów, oddają kucharze jako fanty na loteryę, z której zysk zasili fundusze Tow. Przeciwwębraczego. Prawdziwa ofiara, maceczko, bo ciocia mówi, że te półmiski kosztowały nie tylko wiele pracy, ale i wiele pieniędzy. Spodziewam się! takie olbrzymie ryby, homary, zwierzyzna, czego bo tam nie było!

Na każdym półmisku leżała kartka z nazwiskiem autora tego dzieła; sami autorowie - czeladnicy patrzyli niespokojnie, czy też ich potrawa zyska pochwałę. Nie wiem, co powiedzą sędziowie, ale jabym im wszystkim dała nagrody i wszystkich wyzwoliła na majstrów.

— Jak to dobrze, że gazety ogłaszają nazwiska tych kucharzy, to im będzie przyjemnie, a ja się cieszę, że nie tylko o wielkich bogaczach i o królach piszą w pismach — powiedziała Wafdzia.

Pewnie, że to dobrze. Pragnę jednak bardzo, aby i kucharki zasłużyły na pochwały gazet. Ciotka Dziunia zabrała swoją na wystawę, chociaż Antosia nie potrafi upiec ani ugotować takich nadzwyczajności. Ale ciocia mówi, że zły ten żołnierz, który nie próbuje zostać generałem, niech więc Antosia zobaczy, co mistrz kucharz potrafi, a potem niech się stara go prześcignąć. Ciotka ma słuszość, prawda?

Oglądałyśmy na wystawie wiele jeszcze ciekawych rzeczy, np. lód sztuczny, w którym widać zamrożone kwiaty, kwiaty z cukru u p. Semadeniego, zupełnie naśladujące świeże; widziałyśmy ciekawy zbiór łyżek wszystkich epok i wszystkich krajów, ale niech tam resztę dopowie Wanda w swoim liście. Mnie leży na sercu jeszcze jedna sprawa, posłuchaj maceczko:

Gdyby tak urządzić u nas w Sokołowie konkurs kucharski na najlepiej upieczony chleb, lub najsmaczniej ugotowany barszcz? Niechby Stachowa, Antkowa, Frankowa, pochwaliły się najpiękniejszymi kurami i najpiękniejszym warzywem z ogrodów, które tatko założył dla fernali przy czworakach. Cóż maceczka na to powie? Przełożona mówi, że współzawodnictwo wywołuje postęp, a pamięta maceczka małego synka Jędrków! Toż umarła biedna dziecina, bo matka karmiła je niedopieczonym chlebem.

Matusz powie, że Heli zawsze nadzwyczajne myśli do głowy przychodzą. Może... ale to prędzej do serca, serce we mnie niespokojne, chciałabym, żeby wszyscy ludzie mieli chleb smaczny i dopieczony.

Niech mamusia zawsze jak dotąd kocha swoją Helę.

MIEDZY OGNIEM I WODĄ.

OPOWIADANIE NAOCZNEGO ŚWIADKA.

W Nr. 21-ym „Wieczorów” podaliśmy opis całkowitej zagłady miasta St. Pierre na Martynice i 30 tysięcy jego mieszkańców w dniu 8 maja r. b. wskutek wybuchu wulkanu Mt. Pelé. Wraz z miastem, w tym dniu wiekopomnej w dziejach ludzkości katastrofy, uległo zniszczeniu 18 statków, stojących w porcie, a wśród nich angielskiego parowca „Roraima.”

Obecnie zamieszczamy opowiadanie głównego oficera tego statku G. S. Scotta o strasznych scenach, które działy się tam, o poświęceniu i dzielności jego załogi.

Żaden wytwór najbujniejszej wyobraźni nie dorówna temu prostemu sprawozdaniu naocznego świadka. Nadmieniamy, że wulkan wciąż jeszcze od czasu do czasu wybucha, grożąc istnieniu całej wyspy.

Wyruszyliśmy z New Yorku w sobotę 26 go kwietnia na parostatku „Roraima” pod dowództwem kapitana Muggah, dążąc do Demerara *)

Nasza załoga składała się z czterdziestu siedmiu ludzi, mieliśmy dwudziestu jeden pasażerów: mężczyzn, kobiet i dzieci.

O północy we czwartek 8-go maja, staliśmy na kotwicy przy wyspie Dominice, lecz o 1-ej w nocy odpłynęliśmy w kierunku południowym ku pobliskiej Martynice.

Wszystko szło dobrze aż do godziny 4-ej m. 45 rano. Trzymałem właśnie na pokładzie straż poranną, gdy nagle ogarnął mnie dym gęsty i zaczął spadać deszcz popiołu z północno-wschodniej strony wyspy Martyniki. Wezwałem kapitana, aby go zapytać, co sądzi o tem zjawisku. Nigdy jeszcze nie byłem świadkiem wybuchu wulkanu na Antyllach, ale przed laty widziałem Etnę w ogniu, więc miałem niejakię pojęcie o wulkanach.

— Przypuszczam, że to Łysa Góra, Mont Pelé, ziele tak dymem i popiołem — rzekłem.

— Tak, to Mont Pelé! — potwierdził kapitan.

Tymczasem wiatr odwrócił się i jał dąć od strony wschodnio południowej, tak, iż dym szedł prosto na nas.

Optywaliśmy wyspę, trzymając się o dwie mile od brzegu, ale zmienne prądy, popychając nas ku lądowi, zmuszały kilkakrotnie zmieniać kierunek. Domyślaliśmy się, że powodem tego jest działalność wulkanu. Obaj z kapitanem byliśmy zaniepokojeni. Spadający na nas szary popiół był mialki, ale ostry i przenikliwy. O kwadrans na siódmą rano zarzuciliśmy kotwicę w przystani St. Pierre. **)

*) Demerara czyli Georgetown główne miasto Guyanny angielskiej w południowej Ameryce.

**) Miasto, które leżało u stóp Łysej Góry. Główne miasto wyspy jest Fort de France.



Kuchnia wzorowa na wystawie kucharskiej w Warszawie.



Wybuch wulkanu Mont-Pelée od strony morza.

Dozorca portowy i lekarz, jak zwykle zjawili się nibawem na naszym statku dla dokonania oględzin. Następnie przybyli agenci naszej kompanii przewozowej pp. Plesoneau i Testarte. Kapitan miał z nimi dłuższą rozmowę i zapytywał, czy nie przewidują wybuchu. Gęste kłęby dymu wzbijały się nad szczytem Łysej Góry, ale niebo nad portem było zupełnie jasne, staliśmy bowiem o dobre pięć mil na południe od góry. Agenci starali się nas uspokoić. — Zniszczył wprawdzie wulkan cukrownię przed paru dniami, ale ta stała u samej góry. Teraz nic nie będzie. Nie taili jednak, że wiele osób pragnie opuścić St. Pierre i schronić się na sąsiednią wyspę św. Łucyi.

Ponieważ mieliśmy ładunek dla św. Łucyi, kapitan wysłał mnie do składu towarów, ahym zobaczył, czy można wydostać wpierw ładunek dla Św. Łucyi, nie wyładowując towarów, przeznaczonych do St.-Pierre. Stwierdziłem, że trzeba by poruszyć znaczną część ostatniego ładunku, więc kapitan Muggah uznał, iż nie należy zmieniać naszego pierwotnego planu, dla zatrzymania się tutaj i wyładowania towaru.

Nie mogliśmy przystąpić do tej roboty od samego rana, albowiem w dniu 8-ym maja przypadło święto Wniebowstąpienia Pańskiego; we wszystkich kościołach odprawiano msze św. W katedrze odbywała się suma i mnóstwo ludzi przybywało z okolicy do St.-Pierre na to uroczyste nabożeństwo. Niepodobna było znaleźć rąk do pracy przed południem.

Nasi dwaj agenci wysłuchali rannej mszy, a że byli naczecz, więc prosili o cokolwiek „do przetrącenia;” nie chcieli czekać na nasze śniadanie, śpieszyli bowiem na pokład statku „Raddom,” który właśnie zawinął do portu, płynąc z Barbados. Obiecali wrócić za godzinę.

Tymczasem nasi majtkowie oczyszczali pokład z popiołu, który pokrywał wszystko na grubość cala. Był jasny, podobny do piasku, ziarnisty. Cały parowiec był nim przysypyany. Nasze mundury wydawały się szare. Pasażerowie i załoga zbierali popiół, aby go schować na pamiątkę, wsypywali go do kopert, do tabakierek, do papierosnic. Jakiś duży Murzyn, pamiętam, ofiarował mi pudełeczko z tym popiołem.

Oficerowie zebrali się na pokładzie, aby podziwiać wspaniały widok Łysej Góry, uwieńczonej pióropuszem dymu. Strzelał do nieba na znaczną wysokość, wiatr południowo-wschodni kierował go ku morzu. W przystani jednak powietrze było stosunkowo czyste. Słońce świeciło jasno i wesoło. Cała natura wydawała się spokojna, tylko ten czarny pióropusz rozdymał się złowieszczo.

* * *

Było parę minut po 8-ej. Gdyśmy tak stali wszyscy, patrząc na wulkan, podszyper rzekł do mnie:

— Muszę przynieść mój aparat. Mam tylko jedną kliszę, ale szkoda nie utrwalić takiego widoku!

Z temi słowy podążył do swojej kajuty. Nie ujrzałem go już nigdy więcej.

Nagle góra zionęła ogniem.

Czy otworzyły się w niej nowe kratery — niewiadomo, choć, że buchnął płomień olbrzymi, a z tak strasznym hukiem, że piorun w porównaniu z nim wydałby się wystrzałem z rewolweru. Stałem jak skamieniały. Nad górą utworzył się olbrzymi krwawy obłok, który runął na miasto, a za nim sypały się popioły i płynęła lawa.

W tej chwili kapitan wbiegł na pokład i kazał podnieść kotwicę. Chcieliśmy rozkaz wykonać, ale oto i na nas przysłała zagłada.

* * *

Trudno to opisać. Zdało się, że ognisty podmuch spalił i strawił ziemię i niebo, tak jak cyklon — wszystko co na swej drodze napotka; była to wichura płomienna, niecała wszędzie pożary w swym strasznym pochodzie. Trwała zaledwie parę sekund, ale odrazu całe miasto niszczyła. Ogień, płomień, dym i lawa, wszystko to razem ogarnęło nasz statek w mgnieniu oka. Najszybszy pociąg nie zdołałby umknąć przed tą katastrofą. My dostrzegliśmy tylko jedną stronę ognistego potoku, ale większa jeszcze fala spływała drugim skłoniem.

Potem ogarnęły nas ciemności, głębsze od nocnych, lawa płynęła po wodzie, zapalając okręty. „Roraima” została odrzucona daleko od portu. w gwałtownym podskoku zanurzyła się głęboko w wodę. Wszystkie maszty zostały zdruzgotane, dwa kominy złamały się na wysokości 2 stóp nad pokładem w taki sposób, jakby kto dużym kijem odtrącił wierzchy rury glinianej. Usiłowaliśmy podnieść kotwicę ale nie mogliśmy jej wydobyć z mułu. Byliśmy przykuci do tego piekła. Chwilami ciemności zwiększały się, to znowu rozświecały je czerwone obłoki duszących gazów. Na okręcie w paru miejscach jednocześnie zaprząszył się ogień, mężczyźni, kobiety i dzieci ginęły jak muchy. A stało się to w parę minut po 8-ej.

* * *

Salon i tylna część parowca stanęły odrazu w płomieniach. „Roraima” przechyliła się na prawy bok. Z początku spadały gorące popioły, potem grad małych, rozżarzonych kamieni, wielkości od ziarenka śrótu, do jaj gołębic. Wpadały do wody z sykiem, ale okrętowi czyniły niewielką szkodę, albowiem pokład był zabezpieczony grubą warstwą spadłego poprzednio popiołu.

Następnie zalało nas gorące błoto, lawa, zmieszana z wodą, gęsta jak cement. Gdziekolwiek spadła, przylepiała się odrazu, tak, iż ci, którzy nie mieli czapek na głowie, w jednej chwili zostali zakuci w twardą maskę.

Widząc tę spadającą masę, chwyciłem pokrywę jednego z wentylatorów i wsunąłem ją sobie na głowę, aż po szyję, oddychając przez otwór. To mnie ochroniło od oparzenia, ale brodę, twarz i nozdrza miałem tak przypruszone, że co chwila musiałem ocierać się z błota. Było ciepło, lepkie, przylegało do ciała tak ściśnięcie, jak plaster.

Karol Thompson, pomocnik naszego płatnika, który stał za mną, miał głowę pokrytą tak grubą warstwą błota, że ugiął się pod jej ciężarem. Prosił mnie, abym mu zdjął tę skorupę; obawiałem się, że razem z nią obedrę mu skórę. Czułem gorąco na swej głowie, przez pokrywę od wentylatora, a wyobrażam sobie, jak jego musiała palić ta maska.

Nie wszyscy byli wówczas na pokładzie, kilku pasażerów ubierało się, inni siedzieli w jadalni. Tych wyziewy zatrąły odrazu lub zatopiła woda, która przez otwarte okna wtargnęła do sali i kajut.

Na drugim końcu okrętu szalały płomienie; łuna biła z wybrzeża od płonących budynków, magazynów i fabryk; beczki z rumem wybuchały z łoskotem, zamieniając się w słupy ogniste.

(d c. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).



Sawara nie mógł patrzeć obojętnym okiem na narodziły się groźnego rywala wendy. Czuł, że z dniem otwarcia spółkowego sklepu będzie musiał zniżyć ceny wszystkich produktów i ta myśl odbierała mu sen. Bo Sawara mimo zdzierstwa nie był wcale tak zamożnym, jak powszechnie sądzono w Paranie. Ciężko na nim jakieś fatum zawistne, prędzej może krzywda ludzka, to pewna, że nie wiodły się Bułgarowi spekulacje, zawodziły najpewniejsze rachuby. Papiery kupione na giełdzie traciły wartość, łodzie które spławiały towar tonęły na rzekach, pożar niszczył jego magazyny.

— Ogień i woda przeciwko mnie, a ja i tak dam sobie radę — mówił rudobrody kupiec, którego życia nie znał nikt, gdyż osłaniała je głęboka tajemnica. Zawsze sam, nie uczęszczał na żadne zebrania, nie przyjaźnił się z nikim, nigdy też gość nie powstał na progu jego mieszkania, bo gość w dom, to Bóg w dom, a progu Sawary nie przestąpiłby wysłaniec Boży. Służył mu murzyn kupiony na targu w Kurytybie; zaprzędany panu ciałem i duszą, miał jednak Moha często plecy obatożone do krwi, a drżał przed kupcem, jak drzeć może tylko niewolnik.

Moha spełniał obowiązki kucharza, praczki, posługacza, czem bo nie był biedny murzyn! On tylko wchodził do pokoju za wendę. Sawara zamykał się tam ściśle przed służącymi, których musiał trzymać dla załatwiania czynności sklepowych. Pokój nie miał dobrej reputacji, szeptało się pocichu, że dzieją się w nim bardzo dziwne rzeczy, że Sawara zaniedbuje od pewnego czasu nawet handel, a siedzi całymi dniami u siebie.

— Rozmawia z dyabłem, któremu dawno już duszę zaprzedał — mówili jedni.

— Robi złoto — utrzymywali inni, więcej jednak wierzono pierwszemu, bo zdarzało się, że Sawara miał twarz i ręce prawie czarne, nikt więc jak „zły” nie mógł spłatać takiego figla kupcowi.

Nawet ksiądz Zieliński zauważył zachowanie Sawary. — Drżą mu ręce, jak gdyby dał je Bóg na wydzieranie ludziom pieniędzy, a dłonie człowieka dobro bliżnim i błogosławieństwo siać powinny — mówił szanowny kapłan.

Stefanowi obecność Sawary stała się z czasem bardzo niemiłą. Pragnął być wyrozumiałym względem człowieka, który zazdrościł mu powodzenia, ale nie uczynił dotąd nic złego. Próżno jednak próbował zbliżyć się do kupca; sądząc, że jego doświadczenie handlowe może być cenne dla instytucji spółkowej, którą powoływał do życia, Sawara odpychał wszelkie próby robione w tym kierunku. Widok Stefana czynił go jeszcze więcej ponurym niż zwykle i zdawał się budzić odrzę, może wyrzuty sumienia.

Ale wenda Bułgara była najbogatszym sklepem, nabywano więc w niej towary, ile razy chodziło o znaczniejszy zakup, a taki właśnie obstalunek musiał dziś zrobić Luty. Nie zastał Sawary w sklepie, postanowił zostać, aż przyjdzie, bo zależało mu na spiesznym wysłaniu transportu do Rio Negro. Czarni posługacze załatwiali drobną sprzedaż pod nadzorem Mohy, a Stefan czekał skracając sobie czas czytaniem niemieckiej gazety. Snać świeżo przyniosła ją poczta, bo leżała jeszcze nierozcięta na sklepowym stole.

Nowiny z Europy! cóż więcej nad nie może interesować człowieka osiadłego za Oceanem. Gazeta mieściła ich wiele, było to brukowe, informacyjne pisemko, donoszące o wszystkich i wszystkim, co zdarzyć się mogło w Niemczech.

Wzrok Stefana padł nagle na znajome mu dobrze nazwisko. Zapisane one było krwawymi zgłoskami w jego pamięci.

„Mniemany don Jose de Fernambo Patamos a w rzeczywistości Josek Salcman i Fryderyk Szwarz szynkarz, obaj rodem z Bremy, obwinieni o wielokrotne zabójstwo, zostali ujęci w Londynie i wydani przez policję angielską władzom niemieckim, a następnie skazani po przeprowadzeniu śledztwa na karę śmierci. Wyrok ma być wykonany w Bremie 28 b. m. a winni i t. d.”

Ręka sprawiedliwości dosięgła więc łotrów! zawołał Stefan. Wzruszony przeczytaną wiadomością, nie słysząc, że Sawara wrócił do sklepu, że pytał go po kilka razy jakich potrzebuje towarów.

— O łotrach pan mówi, o! łotry wszędzie się znajdują, tylko czasem udają świętoszków — zawołał opryskliwie kupiec i spojrzął na artykuł, który zajął uwagę Lutego. Zaledwie jednak przeczytał pierwsze wyrazy doniesienia, pobladł i było widoczne, że nie może oderwać oczu od ogłoszenia zwiastującego śmierć dwom skazanym.

— Gdzie ja widziałem ten dziwny ruch rąk? — myślał Stefan. Nie miał jednak czasu zagłębiać się w swych spostrzeżeniach, bo Sawara wybuchnął nagle gniewem.

— Dlaczego się pan tak przypatruje moim ręką? przecież nie ma na nich krwi. Kto przychodzi do sklepu, ten kupuje towary a pan przegląda cudze papiery i szuka w nich obelżywych podejrzeń. Czem mogę służyć?

Luty przywykł do opryskliwości i dziwactw wendysty. Potrzebował zresztą Bulgara; przypomnienie niebezpieczeństw, od których ocalała go ręka Opatrzności, obudziły w nim tem silniejsze współczucie dla głodnych osadników z Rio Negro. Nie zwracał więc Stefan uwagi ani na dziwaczne zachowanie ani na szorstkie słowa kupca i zajął się gorliwie wybieraniem towarów.

— Znać pańskie banknoty — mówił Sawara po portugalsku, gdyż tego języka używał zawsze w sklepie. Fałszywe pieniądze są od pewnego czasu plagą Kurytyby — prawda Signor San Maio — dodał zwracając się do szefa policyi, który przy bocznym stole zajął aũ de librillo (flaki) obsypane imbirem.

Signor szef skinął głową na znak potwierdzenia. Stefan wiedział, że Sawara skąpy, gdy chodziło o niesienie pomocy biednym, umiał dzielić się własnym obiadem dla pozyskania względów osób wpływowych. Bulgar był mu antypatycznym we wszystkich przejawach swego charakteru, mimo to ciekawość dokończenia artykułu streszczającego proces bremeński, przemogła nad niechęcią do kupca. Powiedział więc kładąc rękę na niemieckiem piśmie.

— Załatwiłem już wszystkie moje obstalunki, ale mam jeszcze prośbę do pana. Chciałbym przeczytać żonie szczegóły ujęcia szajki bremeńskiej. Czy pożyczę mi pan tę gazetę?

Po twarzy Sawary przemknął zjadliwy uśmiech.

— Gotów jestem przypuszczać, że pan zna Szwarca i Salcmana? zapytał, patrząc bystro w twarz Lutego.

— Zgadłeś pan, znam ich istotnie i dlatego cała ta sprawa interesuje mnie wyłącznie.

— Signor San Maio, signor San Maio — zawołał kupiec, udając nagłą wesołość. — Ależ to niesłychane, Signor Luto przyznaje się sam do znajomości z dwoma sławnymi łotrami skazanymi na śmierć za różne zbrodnie. Gdzie i kiedy widywał pan tych ptaszków, co miałeś pan z nimi wspólnego? No, spróbujmy sobie przypomnieć. Nie zabiłiście razem, nie kradliście, gdzież znów — sztydził patrząc w twarz Stefana — więc, więc może robiło się razem pieniążki, praca to nie ciężka a zarobek pewny, jest potem za co postawić fabrykę...

Sawara mówił coraz głośniejszą publiczność zebrana w sklepie śledziła z zaciekawieniem zuchwałe słowa rudo-brodego. Jeden tylko Stefan nie pojmował całej doniosłości oskarżeń, które on brał w dobrej wierze za niesmaczne żarty. Wolał też wyrzec się gazety niż słuchać dłuższej kon-

ceptów Bulgara. Wyszedł ze sklepu nie zwróciwszy uwagi na to, że przeprowadziły go do drzwi spojrzenia wielu obecnych. Byli oni widocznie zdziwieni zachowaniem się fabrykanta.

— Pozwolił robić, sobie takie zarzuty — myślał ten i ów. Signor San Maio wdychał, zajądając flaki, bo miał zwyczaj wdychać zawsze, a nikt nie zwrócił uwagi, że Sawara wyjął z szuflady pieniądze, któremi Stefan zapłacił mu za towary i w ich miejsce położył paczkę banknotów dobytą z własnej kieszeni.

— Wyborna była wasza przekąska, pinga (wódeczka) jest także wyborna, muszę jednak wracać już do domu. Czekam mnie bardzo dużo zajęcia — powiedział signor San Maio, i wstał z wygodnego fotelu, ale gospodarz sklepu pobiegł ku niemu usłuźnie.

— Jaki opuszczasz moją wendę, chociaż pinga jeszcze nie wypita?

— *Muchas gracias senor, ** ach to praca prawdziwa *cuesta de sufrimientos *** nie mogę, nie mogę senor.

— Nie zatrzymuję więc, jeśli taka wasza wola, zróbcie mi tylko jeszcze jedną łaskę — mówił Sawara prowadząc gościa do biurka i otwierając je pośpiesznie — oto leżą tu pieniądze wypłacone mi przy was przez tego bogatego fabrykanta, który ma znajomości z łotrami skazanymi na śmierć. Naznaczyłem je, bo jak wiecie trzeba się bronić od złych ludzi. Raczej przejrzyć te papierki i osądzić, czy są prawdziwe; nikt tak dobrze, jak senor znać się na tem nie może.

San Maio dobył z puzderka okulary, poszedł do okna, spojrzął badawczo na pierwszy banknot, odłożył go, wziął drugi, potem trzeci do ręki, przejrzał wszystkie z kolei i zawołał drżącym od wzruszenia głosem.

— *Mil diablos* — te pieniądze są fałszywe.

— Wszystkie! — krzyknął z udaniem przerażenia Sawara.

— Wszystkie i zabieram je z sobą, bo właśnie przyjeżdża senor Darreda de Oliveira, delegowany na śledztwo w sprawie podrabiania pieniędzy, złożę mu te banknoty, jako cenny materiał dowodowy.

Wiadomość o przyjeździe urzędnika znanego z uczciwości zaniepokoiła Sawarę, ukrył jednak niezadowolenie i ubolewał tylko bardzo głośno i bardzo znacząco nad ogólnym zepsuciem, kiedy nawet tak powszechnie cenionemu człowiekowi jak senor Luto wierzyć nie można. Skargi te rozwodził do wieczora, starając się związać wieść o przyjeździe senora Darreda z odkryciem fałszywych pieniędzy wypłaconych przez Stefana.

Plotka najpotworniejsza znajduje usta gotowe ją powtórzyć, dodawszy naturalnie trochę szczegółów dla efektu. Wieść rośnie, olbrzymieje, a że tam czyjeś dobre imię będzie splamione, że stanie się krzywda nie nagrodzona człowiekowi, który nie zawsze obronić się może od potwarzy, nad tem lekkomyślni rozsiewacze nowin rzadko się zastanawiają.

— Nie zabijaj! — brzmi wyraźnie piąte przykazanie, ależ zabić jednostkę uczciwą na opinii, to czasem większa krzywda niż odebrać jej życie. Stefan z pewnością wolałby być ponieść śmierć w walce z Botokudami, niż doznać szambienia nazwiska, które uzacnił szeregiem czynów szlachetnych. Biedny Stefan! zbierały się nad jego głową chmury, a on ich nie przeczuwał. Tomasz, zajęty obrachunkiem kasy nie wychodził z kantoru restaurante, kolonisci rozrzucaeni po osadach nie domyślali się niebezpieczeństwa grożącego panu Lutemu, nie domyślano się go i w fabryce. Tymczasem plotka robiła swoje, złe ziarno padło na sprzyjający grunt. Wiedzano w Kurytybie, że Stefan popiera projekt zniesienia niewolnictwa, że projekt ten, przedstawiony na posiedzeniu Izby prawodawczej w Rio Janeiro, ma za sobą wszelkie szanse powodzenia, i obawa

*) *Cuesta de sufrimientos*, góra cierpień.

**) *Muchas gracias* tysiąc podziękowań.

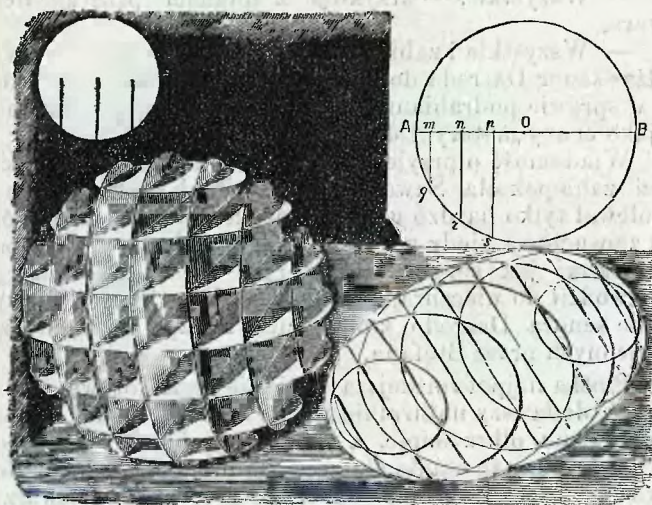
utracenia taniego robotnika jątrzyła Brazylian przeciw inicjatorom nowego prawa. Przytem w ostatnich czasach poniesiono wiele strat w skutek fałszowania pieniędzy, uparcie też obstawali wszyscy za tem, że ognisko występku znajdować się musi w samej Kurytybie. Chytre wskazówki Sawary, poparte słowami Stefana, przyznającego się do znajomości z przestępcami skazanymi na śmierć, rzuciły światło na sprawę obchodzącą ogół. Wynalezienie fałszerzy leżało w interesie wszystkich, a jeśli tym fałszerzem był obcy przybysz, signor polaco Luto, tem lepiej, odkrycie ptaszka zdyskredytuje jego kandydata w Izbie, upiecze się więc dwie pieczenie przy jednym ogniu.

(d. c. n.)

Ze świata.

Siedmioletni aeronauta. W Tourcoing, we Francji, aeronauta zamierzał puścić się balonem z 7-io letnim synkiem, gdy nagle, zanim zdążył wsiąść do gondoli, lina urwała się i balon poszybował z dzieckiem w górę. Śród publiczności zapanowało łatwe do zrozumienia przerażenie, matka chłopca zemdląła, ojciec wpadł w rozpacz. Dziecko nie zginęło jednak — balon wzniósł się na wysokość 5,435 metrów i spadł w Hainaut, na łąkę. Z opowiadań malca okazuje się, że nie stracił przytomności, gdy mu tchu zabrakło ratował się wachaniem amoniaku, a skoro spostrzegł łąkę, wdrapał się w górę po linie i otworzył wentylator, tak, że balon spadł zupełnie prawidłowo; wieśniacy nadbiegli chłopcu z pomocą. Gdy ojciec wrócił z malcem do Tourcoing, ludność przyjęła go okrzykami radości, a grono dziewczynek ofiarowało bukiet z napisem „Siedmioletniemu aeronaucie.”

ZABAWKI WŁASNEGO WYROBU.



Kula elastyczna.

Żeby zrobić tę kulę, trzeba przygotować arkusz grubego papieru lub brystolu, cyrkiel dla wykreślenia kół, ołówek i nożyczki. Zrobienie jej wymaga nadto trochę uwagi, zręczności w palcach, której wyrobienie mają właśnie takie zabawki na celu.

A teraz do dzieła.

Na owym papierze, brystolu rysuje się najpierw koło $6\frac{1}{2}$ centymetra średnicy mające. Promień tego koła A O dzielimy na części, postępując od środka co jeden centymetr i podziałki oznaczamy literami *m, n, a*, (patrz rysunek), a od tych punktów kreślimy linie pionowe w dół *mg, nr, i ps*. Następnie wykreślamy cyrklem drugie, takiej samej wielkości koło o promieniu O A i oznaczamy oba te koła *n. 1*. Potem kreślimy 4 koła *nr. 2* o promieniu długości linii *Ps*, 4 koła *nr. 3* o promieniu *nr.* i jeszcze 4 *nr. 4* o promieniu *mg.*, razem więc będziemy mieli 14 kół. Zanim je wytniemy, nakreślimy na każdym średnicę i poczynając od środka oznaczmy na niej w obie strony punkta co jeden centymetr, od punktów tych prowadzimy ołówkiem linie pionowe w jedną stronę. Teraz wycinamy wszystkie koła i robimy nacięcia po owych liniach od środka do średnicy. (największe koła będą miały po 7 nacięć najmniejsze po 3).

Dalsza robota jest już rzeczą łatwiejszą: bierzemy dwa koła Nr. 1 największe i wkładamy na krzyż jedno w drugie w nacięcia, aż średnice zetkną się z sobą, następnie wsuwamy w ten sam sposób kolejno koła nr. 2, 3 i 4 i ot, kula gotowa. Ma ona tę własność, że pod ciśnieniem palców może się wyginać i przyjmować różne kształty.

SZARADA.

ul. Stanisław S.

Pierwsze z drugim — nietylko z geometryi znamy,
Trzecie, zaimek liczby mnogiej mamy,
Czwarte także zaimek — całość, miasto, ale
Zgadnąć trza prędko, bo nie trudne wcale.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-Ogo.

Łamigłówki głoskowe:

M a t e j k o .

Teatr Maryonetek.

Odświeżony i gustownie przyozdobiony rozpoczął powakacyjne przedstawienia nowej sztuczki „W królestwie podziomków” oraz Latarnia czarodziejska z objaśnieniami.

Początek w niedzielę o godz. 4-ej i 6-ej, w czwartek i w soboty o 5-ej po południu.

Chmielna Nr. 9.

Do N-ru 42 dołącza się prospekt Gazety Polskiej.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna, miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa (z ryc.) — Pieśń jesieni, wiersz przez Zofię Zacharkiewicz. — List Helenki J., czytelniczki „Wieczorów.” (z ryc.) — Między ogniem i wodą, opowiadanie naczelnego świadka (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Zabawki własnego wyrobu (z ryc.) — Ze świata. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: — Ważna nowina, wiersz Leona Rygiera (z ryc.) — Co znalazłem w błotach i kałużach przez Maryę Weryho. — Jak sobie Waluś poradził? — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Dla dzieci od Maryi Konopnickiej. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 29 Сентября 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Do jasnych chwilek.

Jasne chwilki, wy motylki
O skrzydełkach lśniących,
Co błyskacie i pierzacie
Z przed oczu tęskniących,
Wyście w życiu, czem w noc czarną
Srebrna tarcz miesiąca,
Czem dżdżu krople w porę skwarną,
Czem w zimie błysk słońca.

*

Jasna chwila — to natchnienie,
Do czynu dobrego,
To modlitwa, — to wspomnienie
Dachu rodzinnego,



To rozmowa szczerą z temi,
Co nam duchem krewni,
I to wszystko, co na ziemi
Uzadni — rozrzewni.

*

Jasne chwilki! w was tkwi siła,
Co krzepi w złej doli,
Bez was świat ten — jak mogiła...
Bez was serce boli...
Gdy błysniecie, świat się śmieje,
I dusza radosna...
Jasne chwilki! wróćcie do nas
Jak powraca wiosna.

Jaskółka.



Pogadanki z dziedziny chemii.

XVI. O rozmaitych stanach atomów, tworzących rozmaite związki chemiczne.

Jeżeli chcemy sobie wyrobić należyte pojęcie o stanie atomów, składających ciała stałe, ciekłe i lotne, to musimy pamiętać, że atomy owe są niezmiernie drobne. Jeżeli atomy znajdują się tak blisko siebie, że się silnie przyciągają, nie zmieniają łatwo miejsca, raz zajętego, ani

też nie pozwalają się łatwo rozłączyć, to składające się z nich ciała są stałe. Jeżeli siła przyciągająca pomiędzy atomami osłabnie do tego stopnia, że chociaż nie rozpraszają się one, ale zmieniają miejsce pod wpływem bardzo słabych wstrząśnień, wówczas utworzone z nich masy nazywamy cieczami, albo płynami; jeżeli zaś wreszcie siła przyciągająca pomiędzy atomami zniknie, albo nawet ustąpi miejsca sile odpychającej, to utworzone przez takie atomy masy zwiemy ciałami lotnymi, albo gazami.

Możemy sobie dosyć łatwo wytłumaczyć związki che-

miczne, jeżeli przypuścimy, iż nawet w tak stałych ciałach jak żelazo na przykład, atomy stosunkowo są od siebie dość odległymi. Zbliźmy do żelaza w odpowiednich warunkach trochę tlenu, to różnorodne atomy zaczną się przyciągać i obok każdego atomu żelaza ułoży się atom tlenu, takie właśnie układanie się atomów jednego pierwiastku obok atomów drugiego zwiemy łąčeniem się chemicznem.

Skoro się to stanie, żelazo przestanie być żelazem, a zamieni się w rodzaj tlenożelaza, które posiada całkiem odmienne własności, aniżeli poprzednio; możemy więc śmiało powiedzieć, że ze związku dwóch pierwiastków powstało nowe ciało, któremu jednak można w pewnych warunkach odjąć tlen i przywrócić mu dawne własności żelaza.

Jeżeli zostaniemy przy tym przykładzie, i zastanowimy się, jak ze związku tlenu z żelazem, zwanego pospolicie rudą żelazną, można otrzymać żelazo, to dojdziemy do następujących pojęć. Ogrzewając rudę żelazną z węglem sprawiamy najprzód, że atomy tlenu pod działaniem ciepła zaczną słabiej przyciągać atomy żelaza i cokolwiek się od nich oddalą. Węgiel zaś wskutek ciepła powiększy swoją siłę przyciągającą i odciągnie atomy tlenu od żelaza; po jakimś czasie obok każdego atomu węgla będzie się znajdował atom tlenu i utworzy się związek chemiczny tlenu z węglem, zwany dwutlenkiem węgla, atomy żelaza pozostaną zaś samotne, i skupiwszy się razem, utworzą żelazo metaliczne.

Jeżeli zwrócimy się do innego przykładu, dajmy na to, do powstawania cynobru, to przekonamy się, że i w tym wypadku dzieje się tak samo, jak wyżej. Ogrzewamy z jednej strony porcję siarki, z drugiej zaś porcję rtęci w jednym tyglu. Wskutek ogrzewania twarda siarka topi się, to znaczy, że jej atomy cokolwiek się rozchodzą. Ogrzewając jeszcze silniej siarkę, niszczymy zupełnie siłę przyciągającą pomiędzy atomami, wskutek czego tworzą one parę. Taka para, składająca się z oddzielnych od siebie atomów siarki, biegnie do przestrzeni zamkniętej, w której spotyka się z parami rtęci. Atomy siarki przyciągają więc atomy rtęci i tworzą cynober; pojedyncze cząsteczki cynobru, składające się każdy z jednego atomu siarki i jednego atomu rtęci, są niewidzialne, dopóki nie nagromadzą się w znaczniejsze zbiorowiska; wtedy przedstawiają się nam jako czerwona substancja, mająca własności całkiem odmienne, aniżeli siarka, albo rtęć.

W podobny sposób powstają wszystkie inne związki chemiczne.

Widzimy więc, że teoria atomów bardzo jasno tłumaczy nam powstawanie związków chemicznych. Nadto teoria owa pozwala nam wyciągnąć cały szereg niezmiernie ważnych wniosków, które są niby kluczami do otwierania tajemnic przyrody.

Wz. U.



H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Rozpacz.



Odpocząwszy należyście pomimo strasznego niepokoju wewnętrznego, postanowiliśmy najprzód odszukać naszą kulę, jedyną rzecz, łączącą nas z naszą ziemią. Było to bardzo trudne, gdyż szalenie szybko rosące krzewy, rośliny i mchy stanowiły ciężką do przebycia gęstwinę.

Cavor stał zamyślony, nie wiedząc, w którą się udać stronę; po raz pierwszy, odkąd go znałem, widziałem go tak niepewnym, wahającym się.

— Zdaje mi się, — rzekłem powoli, — iż w każdym razie sfera nasza nie może być stąd bardzo daleko.

Obadwaj wyteżyliśmy wzrok, aby dojrzeć ją wśród tego morza bujnej, różnokolorowej roślinności, lecz napróżno.

— Pójdźmy w tę stronę, — rzekł Cavor nagle — ona musi być tam.

— Nie, — odrzekłem. Wszak wykręciliśmy się w tę stronę. Patrz pan, tu są ślady moich obcasów; więc sfera musi być więcej na wschód.

— Mnie się zdaje, — rzekł Cavor, — że ja przez cały ten czas miałem słońce po prawej ręce.

— A mnie się zdaje, — powiedziałem z głębokim przekonaniem, — że cień mój wciąż był przede mną.

Spojrzelśmy sobie w oczy, położenie nasze nie było do pozazdrosczenia. Żywność, odzież, jedyny środek powrotu na ziemię, słowem *wszystko* leżało gdzieś zagubione w tych nieznanach przestrzeniach, a my nie mieliśmy nawet pojęcia, w którą się udać stronę, aby odnaleźć nasz skarb jedyny.

— Postąpiłszy jak szaleńcy! — zawołałem zdesperowany.

— Ależ musimy ją znaleźć! uspokajał mnie Cavor, — i to wkrótce. Słońce pali okropnie... umieram po prostu z pragnienia i głodu.

Dotąd nie pomyślałem o tem, lecz usłyszawszy jego słowa, uczułem nagle jakiś wilczy apetyt, i rzekłem głucho:

— Ja też jestem okropnie głodny.

— Ona nie może być dalej, niż o jakie pięćdziesiąt metrów, — rzekł Cavor po namyśle. — Szukając systematycznie, musimy ją w końcu odnaleźć.

— Naturalnie — odrzekłem, ale w duszy czułem niepokój i rozpacz.

— Niech licho porwie te kolące krzewy! Miło nam będzie przedzierać się przez ten gąszcz — zawołałem ze złością.

— To właśnie najgorsze — ta ich bujność, rzekł Cavor ze zwykłym swym filozoficznym spokojem. — Ale pamiętam doskonale, — dodał, — że kula *leżała* na śnieżnej ławie, więc roślinność nie może jej zakryć.

Słońce paliło nie do wytrzymania, pragnienie i głód obezwładniały nas po prostu, dokoła, jak okiem sięgnąć, kolczaste krzewy, olbrzymie grzyby, nagie skały lub śnieżne ławice... dokąd się udać? Nagle gdy tak staliśmy nie

pewni, usłyszeliśmy po raz pierwszy odkąd przybyliśmy na księżyc jakiś dźwięk, tak! coś, jakby dźwięk dzwonu:

Bum!.. bum!.. bum!..

Dźwięk ten dochodził nas z daleka, jakby z pod stóp naszych wychodził, gdzieś z wnętrza księżycy...

Zdumienie nasze nie miało granic. Co? więc tu istnieją jakieś klasztory, czy miasta zresztą, które posiadają ogromne dzwony, skoro dźwięk ich donośny słychać aż na tych pustych obszarach, więc tu są ludzie, i ten poważny odgłos dzwonów oznajmia nam o tem

— Bum!.. bum!.. bum!.. — rozległo się znowu.

Spojrzeliliśmy jeden na drugiego, ja pierwszy przemówiłem:

— To dzwon?

— Tak niby dzwon.

— Cóżby to innego było?

— Rachujmy jego uderzenia, — szepnął Cavor, ale w tej chwili dźwięk umilkł.

I znów cisza zaległa dokoła, chwilami myślałem, że odgłos dzwonu był złudzeniem, lecz niepodobna było przypuszczać, abyśmy obadwaj ulegli jednakowemu złudzeniu.

Cavor ścisnął mnie za rękę i rzekł szeptem, jakby się obawiał zbudzić kogo.

— Pójdźmy razem szukać kuli. *Musimy* ją przecież znaleźć. — Tu idzie o nasze życie..

— Ale dokąd iść? — zapytałem.

Dumne przeświadczenie, że księżyc, jako niezamieszkały przez ludzi, do nas wyłącznie należy, zmieniło się w obawę nieznanego i groźnych niebezpieczeństw.

Zaledwie zaczęliśmy iść na los szczęścia, usłyszeliśmy jakby loskot otwieranych pośpiesznie wielkich metalowych podwoi. To nas zastanowiło.

— Nic nie pojmuję! — szepnął Cavor. — Ale baczność! trzeba wynaleźć jaką kryjówkę!

Kiwnąłem głową na znak potwierdzenia, i bardzo ostrożnie zaczęliśmy się posuwać naprzód. W tem dały się słyszeć liczne uderzenia młotów w kocioł metalowy jakby tuż, tuż pod naszymi stopami.

Staaliśmy przerażeni. — Co z nami będzie, — rzekłem, — gdy te istoty wyjdą na powierzchnię?

— Musimy odnaleźć kulę!

— Ale jak?

— Będziemy pełzali w gęstwinie, niewidzialni, dopóki jej nie odszukamy.

— Tracę nadzieję, — odrzekłem.

— Tymczasem ukryjmy się, zobaczymy, czy wyjdą z tych czeluści jakie istoty.

— Dobrze, trzymajmy się razem.

Spojrzeliliśmy na prawo i na lewo, i znów zaczęliśmy iść powoli na los szczęścia. Podglądaliśmy ostrożnie pod parasole olbrzymich grzybów, zatrzymywaliśmy się za każdym szmerem. Od czasu do czasu z pod ziemi dochodziły dziwne huki i loskoty, ale mimo wyjątkowej uwagi, dotąd nie ujrzeliśmy sprawców tych dźwięków.

Jestem odważny z natury, ale zapewne wskutek wycieńczenia fizycznego nigdy w życiu przedtem nie doznawałem takiego strachu, jak wtedy, gdy pełzając wśród kołących nas boleśnie roślin, drżałem z obawy przed nieznanymi mieszkańcami księżycy, a niepewność, czy odnajdziemy narzecznię kulę, rozpacz napędliała mi duszę.

W uszach mi dzwoniło, świszczący oddech wydobywał się z trudem z zasnętego gardła. Od czasu do czasu słychać było uderzenia młotów, szczęk żelaza i hałas podziemny... wtem usłyszeliśmy straszny ryk jakiegoś wielkiego zwierza!

IX.

Pastwiska na księżycu.

Ośłupieli, przerażeni, zatrzymaliśmy się w naszej męczącej wędrówce i spojrzeliśmy w stronę, z której ryk pochodził. Nic jeszcze widać nie było, tylko chrzęst

silnie łamanych krzewów i głośnie sapanie. Po chwili dopiero ujrzeliśmy potworne zwierzę na pół podobne do dzika, a na pół do cielęcia. Podeszło do nas tak blisko, że czuliśmy jego wilgotny, gorący oddech.

Przypatrywaliśmy mu się uważnie, ale nie mogliśmy ogarnąć okiem całego, gdyż ogromne jego cielsko ginęło, że tak powiem, w krzewach otaczających jego i nas. Ogromny brzuch zwierzęcia zwieszał się do ziemi i zupełnie zakrywał mu nogi. Potwór ten pokryty był białą pomarszczoną skórą, w stosunku do swej wielkości i spasionej grubej szyi miał małą, wydłużoną głowę, a w tej głowie jeszcze mniejsze oczy, które w tej chwili, wskutek zapewne oślepiającego blasku słońca, były prawie zamknięte, co razem z ogromną otwartą paszczą nadawało zwierzęciu wstrętny, okrutny pozór.

Nie wiem nawet, czy nas ten zwierz zobaczył, bo ryknąwszy tylko po swojemu, podążył dalej i znikł w gęstwinie.

Lecz za nim ukazał się drugi i trzeci, całe stado a za nim, wielki Boże! jakby pasterz za trzodą, którą pędzi na pastwisko, postępowała istota, — coś w rodzaju człowieka... Selenita! *)

Ścisnąłem Cavora za nogę, bo pełził pierwszy i właśnie jego noga znalazła się przy mojej ręce; czekaliśmy niemi, bez ruchu, aż cały ten korowód przejdzie. Taka rzecz prosta: pasterz pędzący stado na paszę — ale na księżycu! na księżycu! Selenita, któregośmy zobaczyli, z budowy ciała był raczej podobny do wielkiego owadu. Może przez kontrast z ogromnymi zwierzętami, których był stróżem, wydał nam się przy nich, jakby na tylnych nóżkach mrówka, choć dochodził jednak do 5 stóp wysokości. Miał na sobie skórzane ubranie, a wydatny żołądek i cienkie jak patyki nogi, bardzo zabawnie wyglądały. Twarzy jego nie mogłem dojrzeć, gdyż do połowy zakrywał ją najeżony kolcami hełm, a na oczach miał duże, ciemne okulary. Długie ramiona, zwieszające się po bokach niedużego tułowia, i niezmiernie długie, podobne do sznurków wąsy czyniły go daleko podobniejszym do owadu niż do człowieka.

Pomimo skózanego ubrania i metalowego hełmu, Selenita szedł prędko na swych cienkich nogach i wkrótce znikł nam z oczów. Ustało także ciężkie stąpanie ogromnych zwierząt i chrzęst krzewów łamanych przez nich w pochodzie; widocznie przybyły na właściwe pastwisko i zajęły się jedzeniem.

Cisza zaległa dokoła, a my znów zaczęliśmy pełzać, aby odszukać naszą kulę. Posuwaliśmy się czas jakiś w milczeniu, aż oto wśród trzciny, ujrzeliśmy bardzo blisko od nas owe stado potwornych zwierząt, które niedawno przeszło koło nas.

(d. c. n.)

Wyścigi rzymskie.

Patrząc na dzisiejsze nasze wyścigi, trudno mieć pojęcie, czem były one w starożytności. W owych czasach wyścigi odbywały się zwykle na wozach ozdobnych i lekkich, na których stali woźnice, popędzając konie, zaledwie dotykające ziemi kopytami. Z rysunku, który mamy przed sobą możemy łatwo się domysleć, że igrzyska te miały miejsce w cyrku, od wierzchu do dołu wypełnionego zazwyczaj widzami, bo Rzymianie lubowali się w takich widowiskach.

Z początku woźnicami bywali ludzie z gminu lub niewolnicy, ale za Nerona, który pierwszy z cesarzy rzymskich dał przykład występowania na arenie i ubiegania się o nagrodę w wyścigach, zaczęli brać udział w owych igrzyskach i patrycyusze. Każdy z woźniców musiał objechać kilka

*) Selenita, od greckiej nazwy księżycy — *selene*, oznacza mieszkańca tej planety.

Do pow. „Pierwsi ludzie na księżycu.”



Bum!... Bum!... — rozległo się znowu pod nami.

krotnie arenę, usypaną piaskiem a ten, który pierwszy dojechał do mety, otrzymywał nagrodę. Z czasem zamilowanie do wyścigów doszło do szału, biorący w nich udział podzielili się na dwa stronnictwa, naprzykład zielonych i niebieskich, według barwy ubrań, które nosili; stronnictwa te wciąż się z sobą współubiegały.

Za czasów Bizantyńskiego cesarstwa, stolica jego, Konstantynopol, wrzała od walk tych dwóch stronnictw; wszyscy mieszkańcy podzielili się na dwa obozy; jeden trzymał stronę niebieskich drugi zielonych; stawiano zakłady, roznamiętniano się, i chociażby miasto znajdowało się w największym niebezpieczeństwie, nikogo to nie obchodziło, gdyż każdy myślał tylko o tem, które ze stronnictw zwycięży: niebieskie czy też zielone?

Nic też dziwnego, że państwo, którego stolica zajmowała się tak blahemi rzeczami; musiało być niedołężne i wpaść w końcu w ręce Muzułmanów; nie było komu pomyśleć o obronie granic, gdyż cała uwaga mieszkańców pochłonięta była przez wyścigi i igrzyska.

Marya Łopuszańska.

MIEDZY OGNIEM I WODĄ.

OPOWIADANIE NAOCZNEGO ŚWIADKA.

(Dalszy ciąg.)

„Zszedłem na niższy pomost, torując sobie drogę pociemku. Szukałem kapitana.

Wtem nastąpiłem nogą na człowieka, leżącego na ziemi z twarzą okropnie poparzoną.

— Kto ty jesteś? — zawołałem.

Nieszczęśliwy spojrzał na mnie.

— Nie poznajesz mnie, Scott?

— Na miłość Boską! To kapitan! — zawołałem.

Podniósł się z trudnością, a widząc jedną z łodzi ratunkowych, zapytał, czy nie możnaby jej odczepić.

— Łódź jest niezdatna do użycia — przekładałem mu, dwudziestu ludzi nie zdoła jej teraz poruszyć, a my nie mamy nikogo do pomocy.

W tej chwili na pokładzie zjawili się, stolarz Benson i pomocnik płatnika Thompson! Ten ostatni miał opaloną głowę, a Benson, oparzone ręce. Kapitan kazał, bądź co bądź, spuścić łódź. Przeciąłem szczyrykiem przedni porwóz, ale łódź nie poruszyła się nawet. Była jak przylepiona do okrętu. Niepodobna jej było odczepić. Widząc to, kapitan, rzekł do mnie:

— Ratuj się! skocz do wody!

— Nie, kapitanie — odparłem — nie porzucę okrętu.

— W takim razie przekonaj się, jaki jest stan naszych ludzi i naszego parowca. Dowiedz się o kobiety i dzieci.

Przekonawszy się, że tylna część statku była w ogniu, i że wszyscy tam zginęli, wróciłem do kapitana, aby mu o tem donieść. Ale nie było go już na pokładzie. Dla uśmierzania swych cierpień wskoczył zapewne do wody, a może wpadł niechcący.

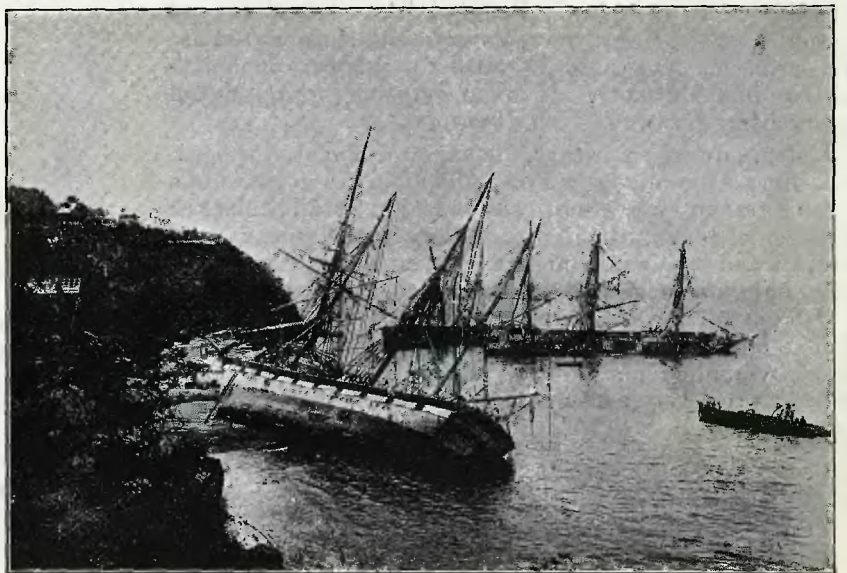
* * *

Pozostało nas tylko czterech zdolnych do pracy: stolarz Benson, Thompson, jakiś Murzyn z St. Kitts, i ja. Inni byli w okropnym stanie, ale pomagali nam z prawdziwym bohaterstwem: dwóch inżynierów, bez skóry na rękach znosiło potrzebne przedmioty, posługując się ramionami i łokciami. Ja objąłem komendę. Przedewszystkiem należało zagaścić ogień, podsyłany przez wiatr, który nas pędził ku brzegowi.

Na szczęście morze było spokojne, deszcz błota wyrównał fale. Nasze sikawki były zatkane i nie działały, ale kto tylko mógł starał się nieść ratunek. Dwóch ludzi czerpało wodę wiadrami, podawaliśmy je sobie z rąk do rąk i zalewali płomienie. Ciemności nie ustawały.

Nagle, około wpół do dziewiątej zrobiło się trochę jaśniej i mogliśmy dojrzeć parowiec „Roddam,” płynący wprost ku nam. Nie wiedzieliśmy wówczas, że jest najmniej uszkodzony od naszego okrętu, albowiem przednia jego część, ku nam zwrócona, była w dobrym stanie. Byliśmy pewni, że znajdował się poza obrębem wybuchu.

Do art. „Między ogniem i wodą.”



Zniszczone statki około St. Pierre.

Zdawało nam się, że ratunek przybywa i dziękowaliśmy Bogu.

Część załogi przeniosła pasażerów, kobiety i dzieci na górny pokład, w nadziei, że „Roddam” podpłynie i nas zabierze.

Wtem o jakie sto stóp przed nami, zatrzymał się.

— Może nas nie widzi — mówiliśmy.

Pobiegłem do strażnicy, aby wywiesić światła sygnałowe. Zapłonęły jasno, a miały zwrócić uwagę „Roddama” i wskazać mu, że są tu żywe istoty, spodziewające się od niego ratunku. Ale ku naszej rozpaczy, okręt oddalił się, pozostawiając nas bez nadziei.

— Nie chce się chwilowo narażać na deszcz błota, ale powróci i zabierze nas — pocieszali się mocniejsi na duchu.

Lecz gdy na chwilę ciemności ustały, spostrzeżliśmy, że „Roddam” odpływa na dobre.

Była g. 8 m. 45, a więc 40 minut od początku katastrofy. Nie było czasu na wahanie i namysły, kto tylko mógł, chwycił pasy ratunkowe, leżące na pokładzie, przypinaliśmy je wszystkim, opasując nimi matki razem z niemowlętami.

Następnie obejrzeliśmy nieuszkodzony jeszcze bok parowca i przygasiliśmy iskry, tlejące gdzieś tam. Wtem zaczęło nam grozić nowe niebezpieczeństwo. W jednej z kajut ułożono wszystkie wolne materace, a bojąc się, żeby majtkowie nie wysypiali się na nich, lub ich nie pokradli, zamknęto drzwi na klucz. Tymczasem ogień przez otwarte okienko dostał się do tej kajuty i materace zapaliły się. Próbowaliśmy drzwi podważyć, ale nadaremnie — trzeba je było rozbić. Dwa stosy materaców buchały ogniem. Groziło to całemu okrętowi, albowiem wieźliśmy *trzy tysiące beczek nafty, ogromne skrzynie smarów olejnych*, a te towary znajdowały się właśnie w tej stronie okrętu!

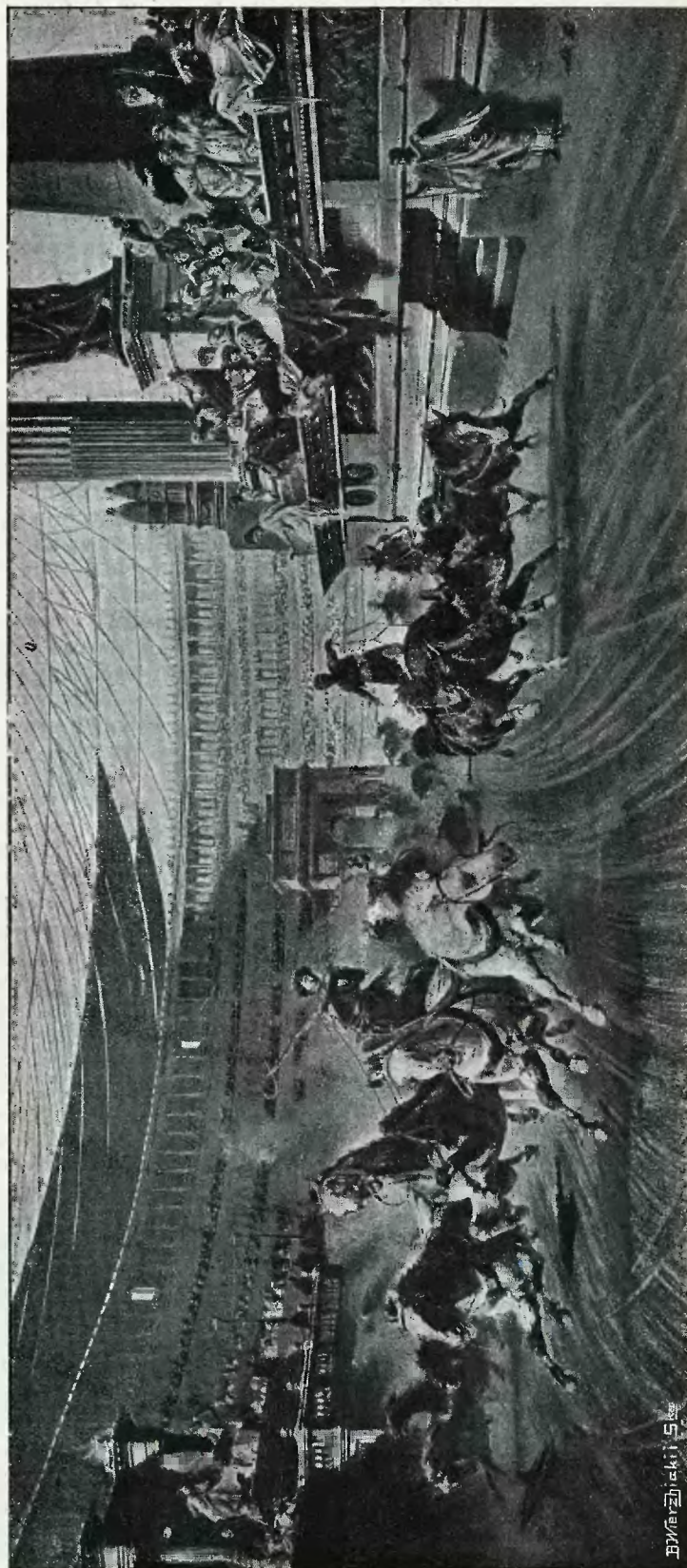
Wzięliśmy się do dzieła. Dwóch czerpało wodę wiadrami, inni zalewali materace, płomienie gasły na chwilę, a wtedy braliśmy materac i wrzucali go do wody. Lecz gdy niedogaszony dostawał się na świeże powietrze, wiatr podsycał płomienie i trzeba było bardzo się śpieszyć, żeby nie stanąć samemu w ogniu.

Praca była ciężka i niebezpieczna, ale czekała nas jeszcze gorsza. Niebawem wszystkie mniejsze ognie zostały zagaszone, ale dokoła leżały zwłoki, słychać było jęki bólu i konania.

Thompson pomagał mi dzielnie, wreszcie dla odpoczynku schronił się do kajuty. W chwili tej okręt przechylił się, gorąca woda zalała biedaka po szyję, dopiero gdy parowiec podniósł się, Thompson zdołał znowu wyjść na pokład. Spotkał dwie kobiety, strasznie poparzone, błagały go o wodę. Pobiegł, aby ją przynieść, chwycił karafkę, stojącą na stole, gdy nagle uczuł coś miękkiego pod nogami. Schylił się i zobaczył martwego pasażera. Dreszcz go przejął, ale nie było czasu na wzruszenia; Thompson podążył na ratunek dwom poparzonym kobietom.

Powoli zebraliśmy wszystkich żyjących i zanieśliśmy ich lub wyprowadzili na pokład. Wielu miało popalone usta i spieczone gardła, tak, że nie mogli pić wody, o którą błagali ze łzami. Ciemności zaczynały się zmniejszać, płonące miasto dostarczało nam aż za wiele światła. Rozbiliśmy drzwi od okrętowej lodowni, i wydobywszy bryły lodu, rąbaliśmy na drobne kawałki i dawaliśmy do łykania poparzonym. Wielu z nich miało języki spieczone, innym ogień powyżerał wargi. Samo wspomnienie tych strasznych jęków dotąd przejmuję mnie dreszczem.

Ujrzałem w jednym miejscu niemowlę czekoladowego koloru na ręku białej niańki, Klary, jadącej z New-Yorku z rodziną nazwiskiem Stokes. Dziecko dogorywało; poparzony języczek wychylił się ze spieczonych ustek; Thompson chciał go zwilżyć wodą, ale dziecko nie mogło jej przełknąć. Klara miała ręce okropnie poparzone, nie chciała jednak opuścić to biedne, obce niemowlę. Zmarło niebawem. Inżynier Evans położył zwłoki w kajucie kapitana. Z przy-



Wyciągi w cyrku Maksimusa w Rzymie.

jemnością dodam że Klara w następstwie wyleczyła się ze swoich ran w szpitalu.

Ta dzielna dziewczyna pomagała nam pielegnować panią Stokes i jej troje dzieci, dwóch chłopców i jedną dziewczynkę. Nieszczęśliwa matka nie mogła ust otworzyć, miała zęby zaciśnięte kurczowo. Podważyliśmy jej wargi małą łyżeczką i wsunęliśmy jej parę kawałków lodu między

zęby. Umarła na kwadrans przed śmiercią swego synka. Zabraliśmy na łódź ratunkową jej córeczkę i najmłodsze dziecko — niemowlę. Zmarło, zanim dopłynęliśmy do brzegu. Te dwoje dzieci i murzynka z Martyniki były jedyne istoty, które dopomniały się o jado. Thompson znalazł parę kawałków mięsa i nakarmił ich. Kobiety w ogóle zachowywały się dzielnie, choć były bardzo poparzone. Jakaś tęga murzynka, pomimo ciężkich ran, zawodziła hymny; między jednym a drugim, wołając: „Wody! Na miłość Boską — wody — wody!” Piła chciwie i dalej śpiewała:

Drugą kobietę panią Mc Allister, ciężko poranioną, Thompson złożył na łóżku i przeniósł na pokład. Leżała cichutko, po chwili prosiła Klary, aby odmówiła nad nią modlitwy za konających. Nieszczęśliwa umierała z rezygnacją i głęboką wiarą, że odchodzi w lepszy świat; na łono Chrystusa Pana.

Tymczasem powietrze trochę oczyściło się, nie zabijało już ludzi cuchnącem tchnieniem.

Podczas gdy Thompson i murzyn Tomasz próbowali nieść ulgę rannym i umierającym, stolarz Benson i ja zaglądaliśmy we wszystkie kąty, aby usunąć materiały palne. Wśród tych oględzin znaleźliśmy pod pokładem dwadzieścia pięć beczek z wodą; drugi inżynier doniósł nam, że kotły są całe, i że nie należy obawiać się wybuchu. Drugi i czwarty inżynier byli poparzeni, ale nie zeszli ze stanowiska, dopóki nie przekonali się, że kotły są w porządku. Nie było mowy o puszczeniu pary, gdyż komin był uszkodzony, a choćby nawet ocalał, nie było komu palić pod kotłem. Zresztą, gdyby nawet okręt mógł odpłynąć, przy silniejszym prądzie powietrza, ogień, tlejący na prawym boku, ogarnąłby cały parowiec.

(d. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).



Zamykaj sklep, a niezapomnij rozdać chichy między wszystkich pomocników, ty zaś możesz wypić resztę pingi z flaszki, którą częstowałem tego żarłoka, San Maio — mówił Bulgar, biorąc świecę stojącą na sklepowym kantorku. Godzina była spóźniona, bo targ trwał długo i posługacze murzyni upadali ze znużenia, należało im się słusznie kukurydżane piwo, ulubiony przysmak Brazylian. Moha nie wierzył jednak własnym uszom, tak łaskawego obejścia i takiej szcudrośliwości doznał po raz pierwszy na służbie u wendysty. Czekał, czy rozkaz nie zostanie odwołany, ale Sawara zdawał się zajęty zupełnie innymi sprawami. Wszedł z zapaloną świecą do pokoju za sklepem, zamknął drzwi na zasuwę, odepchnął szafę, która zasłaniała ścianę, nacisnął sprężynę ukrytą w murze i dobył skrzynkę, schowaną tak zręcznie, że ujść mogła najbaczniejszego oka.

Przedmioty złożone w skrzynce świadczyły o artystycznych zamiłowaniach kupca. Zajmował się on widocznie litografią, bo leżały tu jeden na drugim kamienie różnych wielkości, pokryte rysunkami, stały flaszeczki z płynami wytrawiającymi płyty, była czarna farba drukarska, którą często czernią sobie zecerzy ręce i twarz. Łatwo więc odgadnąć teraz dłaczego Sawara wychodził ze swego pokoju tak umazany, że złośliwi posądzali go o tajemnicze ze złym praktyki.

— Złapałeś się sam ptaszku — powiedział Bulgar a co dziwna powiedział po polsku, on, który tak niechętnie używał tego języka. Potem schował skrzynkę za łóżko, żeby stała pod ręką, zgasił świecę i wyciągnął się na sienniku ubrany, śnać krótkim miał być spoczynek łotra. Ale usnąć nie mógł, bo choć uśmiech zadowolonej zemsty nie schodził mu z twarzy, to twarz ta nosiła na sobie piętno spodlenia, a od takiego oblicza odwraca się cichy anioł spoczynku.

Łoże złego człowieka twarde jest i nie daje utulenia, Madejowe to posłanie. Módlmy się, aby Bóg zesłał skrucę do serc ludzi, którzy takie, jak Sawara przeżywają noce, noce knoń i wyrzutów sumienia.

Rozdział XXIII.

Dom Stefana Lutego. — List. — Rodzice. — Witold Żubr. — Malińce. — Przeczucia Nesabila. — Napad.

Co przez ten czas robił Stefan? Wraczał spokojnie do domu, bo nie przeczuwając nic złego, pragnął odpocząć po nużącej podróży do Rio Negro.

Dom ten, ociemniony topolami, z gankiem obrosłym zielenią, przypominał nasze wiejskie dwory. Widniały zdaleka kominy fabryki, a bliżej rozciągał się szeroki, aż do rzeki sięgającym kręgiem, ogród owocowy, zasadzony przez Stefana i poręczony pieczy Nesabila. Gęste płoty ananasowe broniły sad od gadów i złośliwego bicho, różowiły się na szpalerach puszyste brzoskwinie, złościły pomarańcze i cytryny, rosły wiśnie dwa razy większe od naszych (*cereje*), zwieszały się z gałęzi jabłka, figi i gujawy a od południowej strony ogrodu wysokie palmy potrząsały gronami burztynowych daktyli lub zrzucały na ziemię dojrzałe kokosowe orzechy.

Nesabil chodził między drzewami i zbierał do kosza spadłe z gałęzi owoce, pomagała mu w tem dzielna, siwa od starości Kadysia, byli oboje nierozłącznymi towarzyszami i teraz także na tentent zbliżającego się konia pobiegli razem do ogrodowej furtki.

Leon czerwony z ukontentowania, śpieszył puścić siwka na paszę, a co ważniejsza spojrzeć z miłością w oczy panu Lutemu, gdyż tak zawsze nazywał Stefana. Próbował on wprawdzie przypomnieć Ziemiakowi wiążące ich w dzieciństwie stosunki, i wdzięczny za ocalenie od głodowej śmierci, chciał wymódl na nim aby zwał go jak dawniej po imieniu, Leon jednak nie dał się przekonać. Trząsał smutnie głową, spuszczał oczy pokornie, a gdy Stefan ponawiał nalegania, uciekał w najciemniejszy kąt domu i powtarzał wieczną swą skargę: nie zabiłem, nie zabiłem!

Został więc Stefan panem Lutym dla towarzysza lat dziecinnych, jak jego żona została od razu ukochaną panią, której rozkazy pełnił Leon z największą gotowością.

Od miesiąca przybył jednak Kurytybie nowy obywatel i ten mały gość, ochrzczony Stachem Lutym, zapanaował bezpodzielnie nad sercem Ziemiaka, nawet z krzywdą jego rodziców, gdyż Nesabil rzucał każdą robotę a szedł do kołyski Stacha i strzegł jej jak najdroższego skarbu.

Teraz także wbiegł na ogromną werendę, po dziecko, nim Stefan zdołał zrzucić zakurzony płaszcz, on niósł mu już malca, który obudził się właśnie i wyciągał rączkę z pod muślinowych falban kaftanika.

— Jak się masz bąku! — zawołał uradowany fabrykant. Zapomniał na chwilę o przykrych wrażeniach, jakich doznał, witał żonę, pieścił syna. Czuł się szczęśliwym, bo posiadał wszystko, co człowiek najlepszego zdobyć dla siebie może pracą uczciwą i wolą dzielną.

— Masz dużo pism, kilka listów, a między nimi jeden

z Europy — powiedziała pani Lutowa, kładąc przed mężem paczkę papierów.

Stefanowi widok gazet przypomniawszy wiadomość wy czytana w wendzie Sawary, chciał opowiedzieć ją żonie, kiedy poznał na kopercie pismo pani O'Clear, od której dawno nie miał wiadomości. List był stemplowany w Pyzdrach, przyniósł mu swojski, nigdy nie zapomniany od dźwięk. Patrzał na kopertę, trzymał ją chwilę w drżących od wzruszenia palcach, rozerwał nakoniec i czytał... czytał tak dziwne, tak niespodziewane wiadomości, że brakło mu od nich tchu w piersiach.

— Jestem tu u matki mojej synowej — pisała pani O'Clear — synowa po śmierci najmłodszego dziecka nie może wrócić do zdrowia. Namówiłam Jakóba i pozwolił mi zawieźć żonę w rodzinne jej strony. Nie tak ożywczo nie działa na młody organizm, jak widok znanych miejsc i powiew ojczystego powietrza. Bawimy więc z Paulinką u ludzi zupełnie obcych dla mnie, a zaczynam przypuszczać, że Opatrzność sprowadziła nas tu umyślnie przez wzgląd na ciebie, kochany Stefku. Bo trudno temu uwierzyć, a jednak tak jest, trafiłam niezawodnie na ślad twego dzieciństwa. Wiem, kto byli rodzice, których nie znałeś nigdy...

— Marysiu! Marysiu! zawołał Stefan i on, nie tracąc przytomności w obec niebezpieczeństwa, uczył nagle, że opuszczają go siły. Majaczyły mu przed oczami litery odczytanych wyrazów, ale list wypadł z drżących rąk, a on zamiast podnieść papier, zwiastujący tak ważne wiadomości, patrzył bezmyślnie przed siebie. Zbladł, zdawało mu się, że dom, ogród i drzewa zataczają kręgi około jego głowy, że powietrze stało się naraz nieznośnie duszne.

W takim stanie pół przytomności zastała go żona.

— Masz złą wiadomość? od kogo, dlaczego jesteś taki blady — mówiła odpinając drżącymi rękami haftki bluzki i chłodząc mu czoło wodą.

Odzyskał po chwili przytomność, długo jednak nie miał siły wrócić do przerwanej listu. On sierota dowie się nakoniec, kto byli jego rodzice!

— Dlaczego kto byli? kto są, przecież oni żyją, ja ich zobaczę! prawda Marylko? — zawołał, zrywając się z krzesła i szukając w oczach żony potwierdzenia drogich dla siebie nadziei. Chciał zaraz, tego samego wieczora biedz za ocean, paść do nóg ojcu, tulić głowę na piersiach matki.

— Może pani O'Clear budziła płonne nadzieje, może się myliła w przypuszczeniach.

Kocha cię Stefku, pragnie ci wypłacić dług wdzięczności za syna, łatwo więc zwieść ją mogły pozory; jakieś prawdopodobieństwo ułudne.

Tak mówiła Marylka, starała się uspokoić męża i siebie. Bo dla niej odnalezienie rodziny nieznanej, kto wie czy nie niechętniej, było myślą, przed którą cofała się ze strachem. Kochała Stefana całą siłą młodego serca, kochała od chwili, jak pojmować zaczęła jego dobroć. On sierocie zastąpił opiekę rodziców, a teraz darzył pełnią szczęścia. Nie wyobrażała sobie, żeby istniał na świecie człowiek doskonalszy i mądrzejszy. Jego miłość płaciła miłością, ale cóż w zamian dać mu mogła za stanowisko i byt, jakimi ją obdarzył? Drogie jej było nawet jego nazwisko, a teraz Stefan zmieni je może, odnajdzie rodziców, którzy żałować będą, że syn wprowadził im w dom ubogą Marysię. Stefan czytał tymczasem list pani O'Clear.

„Matka mojej synowej opowiadała mi o zniknięciu dziecka; zdarzyło się to w tym samym roku i miesiącu, w którym znaleziono ciebie, Stefku. Zaciekawiona pytałam o szczegóły, oto masz wszystkie, jakie udało mi się zebrać:

Jest w okolicy Pyzdr, kościelna wioska Malińce, należała ona w czasie, o którym piszę, do państwa Żubrów, przybyłych z daleka nad Wartę; za resztę znacznej kiedyś fortuny kupili tę małą posiadłość. Ludzie niezbyt już młodzi, znękami życiem, niechętnie nowe zawiązywali znajomości, tymbardziej, że Bóg odmówił im dzieci,

których bardzo pragnęli. Bywali tylko w najbliższym sąsiedztwie, to jest u rodziców mojej synowej, gdyż spotkali się z nimi na plebanii. Państwo Żubrowie byli miłośnikami i uczynni, cieszący się też powszechnie, gdy Bóg dał im syna. W dwa tygodnie po urodzeniu małego Witolda obchodząc miano jego chrzciny, kiedy nagle wybuchł w Malinieckiej kuchni pożar i ogarnął cały dwór, bo wiatr utrudniał ratunek. Panią Żubrową troskliwy mąż przeprowadził wraz z dzieckiem na plebanie, a sam chciał dla syna ocalić rodzinne pamiątki i papiery, ale belka płonącego budynku przytłukła go swoim ciężarem. Wydobyto nie szczęśliwego z pod zgliszcz i przeniesiono do pobliskiego czworaku, gdzie też wkrótce nadbiegła żona, przerażona wypadkiem jaki spotkał męża. Przy dziecku na plebanii została tylko wierna Kasia, która przyrzekła nie odchodzić powierzonego sobie maleństwa. Kasia miała matkę w pierwszej od dworu chacie, dojrzała łunę pożaru na rodzicielskiej strzesze i zrozpaczona pobiegła ratować starszkę, a może zagrożony dobytek. Tymczasem żli ludzie skorzystali z nieobecności niafki, zrabowali pokój, do którego zniesiono ubrania i pościel z płonącego dworu. Bywały katastrofy i nieszczęścia tak wielkie, że myśl ludzka cofa się przed ich opowiadaniem, nie próbując też, biedny Stefku kreślić ci opisu klęsk, jakie spadły na twych rodziców, ani ich rozpaczy po zniknięciu syna, kończę w dwóch słowach. Pan Żubr umarł skutkiem odniesionych ran, jego żona, zaziębiwszy się w czasie pożaru, poszła wkrótce za mężem. Zostawiła list do syna, gdyby ten znalazł się miał kiedy, i testament.

Jego egzekutorem był ojciec mojej synowej. Mocą tego testamentu Malińce w trzydzieści lat po twoim porwaniu poszły na własność towarzystwa kolonii dla słabowitych dzieci, a skapitalizowany dochód wioski utworzył fundusz za który wzniesiono wzorowe dla tych dzieci pomieszczenie. Najprzód twoja matka, a potem ojciec Paulinki robili wielokrotne starania w celu odnalezienia prawego dziedzica Malinie, ale ani obietnica sowitej nagrody, ani ogłoszenia w gazetach nie przyniosły pożądanego rezultatu. Ja sądzę, iż złodziej zabrał dziecko bezwiednie, razem z poduszką, w którą byłęś zawinięty. Pewnem jest tylko, że w sąsiedztwie z Malińcami lesie obozowali cyganie, bo zima była podobno lekka, i że widziano ich kręcących się przy pożarze. Dziecko wedle opowiadania matki mojej synowej, było zdrowe, dobrze zbudowane i miało na szyjce, poniżej lewego ucha, czerwone znamię. Otóż to znamie rozstrzyga o twem pochodzeniu, kochany Stefku. Pielęgnowałam cię w chorobie ale nie zwróciłam nigdy uwagi na ten szczególny znak. Mógłbyś nim stanowczo udowodnić swoje pochodzenie i wrócić do rodzinnego nazwiska, a także do majątku przekazanego ci po matce i ojcu. Malińcami administruje teraz zarząd kolonii i gwaro tam od dziatwy. Grób twoich rodziców jest na miejscowym cmentarzu starannie utrzymywany, odwiedzałam go z myślą o tobie, kochany Stefku, bo jestem pewna, że odtąd nie Stefanem Lutym ale Witoldem Żubrem zwać cię powinniśmy. Przyjeżdżaj natychmiast a nie wątpię ani chwili, że dobry adwokat potrafi dowieść twoich praw do nazwiska i majątku...

— Nazwisko! majątek! albo wróć mi one rodziców, ich miłość, ich opiekę! tyle cierpieli, tak straszna była ich śmierć, nie żyją, nie żyją! — powtarzał Stefan, a z pod rąk którymi zasłonił twarz, spływały na list łzy synowskiego bólu, łzy okrutnego zawodu. Przed chwilą jeszcze marzył, że ujrzy rodziców, chciał spieszyć po ich błogosławieństwo!

Zdawało się Stefanowi, że pamięta, że zna Malińce. Wiejski dworek nad Wartą, plebanie, szereg domostw o słomianych strzechach.

— Jak tam musi być pięknie, jak on to widzi własnymi oczami! Ach ten okropny pożar. Płonie, dom, zabudowania, chaty, morze ognia. Słyszysz krzyk ojca przywołanego zwęgloną belką.

— Biedny ojciec musiał okropnie cierpieć, oparzenie sprawia wielki ból — prawda Marylko? — pytał Stefan odsłaniając twarz zalaną łzami.

A potem myślał o matce. Zdjęła go litość nad osieroconą. Jakież smutne było jej życie po stracie męża i syna! sama w obcych stronach. Zaziębiła się... a więc pewnie kaszlała? Pani O'Clear nic o tem nie pisze, pisze w ogóle tak mało! kiedy on chciałby mieć wiele szczegółów. Ale domyślić się łatwo, że matka gasła powoli, gasła z myślą o nim, ze strasznym niepokojem, czy dziecko nie cierpi głodu, czy źli ludzie nie dręczą go, czy nie znieprawia młodą duszę.

— O! to przypuszczenie musiało być męczarnią dla mojej matki! — zawołał Stefan zrywając się nagle z krzesła. Odetchnął pełną pierś, jak gdyby zrzucał z niej ciężar, który leżał tam zawsze, a do którego się nie przyznawał.

(d. c. n.)

SZARADA.

Kto tej szarady odrazu nie złoży,
Niechaj me pierwsze za karę położy,
Następnie niechaj doda doń część świata,
Wszystko złaczone dziwnie myśli spleta,
W dal je unosi, czasem figle płata.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Żabka z nad Rosi dla Mańi.

Z następujących sylab: E—e—żbik—bu—cka—ge—u—a—kor—u—dre—bra—ra—gram—sy—ro—cha—nia—czar—ka—pa—ra—don—drum—ży—an—lew—il—te—la—to—no—ko—nia—no—by—al—ro—bal—las—tyoch—stów—tyk.

Ułożyć wyrazy, aby pierwsze ich litery utworzyły imię i nazwisko pierwszej naszej poetki.

Znaczenie wyrazów: 1) Część świata. 2) Kwiat pachnący. 3) Dziki kot. 4) Miasto w Azji. 5) Poetka i powieściopisarka z końca XIX w. 6) Ptak pływający. 7) Potężna niegdyś stolica Egiptu. 8) Część matematyki. 9) Instrument muzyczny. 10) Miasto nad Donem. 11) Jedna z 9 muz. 12) Gatunek zboża. 13) Morze na północy Europy. 14) Miasto na Węgrzech. 15) Siedziba naszego poety. 16) Wyspa na morzu Śródz. 17) Imię wielu królów syryjskich.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 40-go:

Łamigłówni geograficznej:

Rzeka Niemen wypływa z bagnistej okolicy w gubernii Mińskiej i nazywa się Kopanicą, dopiero połączywszy się z rzeką Łoszą, większą od siebie w tem miejscu, przybiera nazwę Niemna. Najpierw płynie równiną aż do Grodna, stąd do Kowna głębokim wąwozem, a wybrzeża jego, zwłaszcza w okolicach Kowna, są bardzo malownicze.

Począwszy od Tylży, Niemen rozlewa się szeroko w bagnistych nizinach i tu Niemcy nazywają go Memel. W końcu rozdziela się na dwa ramiona; prawe, szersze, zwane Rusą, płynie ku północy, lewe — Gilga, ku południowi, oba w znacznym od siebie oddaleniu, uchodzą do odnogi Kurońskiej.

Najznaczniejszym dopływem Niemna jest Wilia, płynąca pod murami Wilna.

Najlepszy opis biegu Niemna, nadesłała Pufcia i Żabka z nad Rosi, im też przyznajemy zapowiedzianą nagrodę. Było kilka rozwiązań błędnych: Nil i Wisła; choć opisy biegu tych rzek były dokładne, ale nie odpowiadały zadaniu.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go

Szarady: Par — nas.

Arytmogryfu:

K	a	s	Z	m	i	r
I	n	d	y	a	n	a
D	l	u	g	o	s	z
N	i	e	m	i	e	c
R	o	m	u	l	u	s
O	d	y	n	i	e	c
P	l	a	t	y	n	a
F	r	a	N	e	y	a
M	a	h	o	m	e	t
S	t	a	s	z	y	c
P	i	s	k	o	r	z
K	o	l	o	n	i	a
J	a	d	w	i	g	a
M	i	s	s	u	r	i
J	a	s	k	i	e	r
T	o	b	i	a	s	z

Złote myśli z ksiąg wschodnich.

To, co każdemu w odwiecznej potędze,
Zapisał Stwórca w jego losów księdze,
Szczęście, ubóstwo, czy też skarbów wiele —
To mu z pewnością przypadnie w udziale,
Czy on w pustyniach tajemniczych żyje,
Czy się na górach niedostępnych kryje.

Więc żyj bez troski i patrz bez zawiści
Na szczęście drugich — na możliwych korzyści!
Bo czy ty wodę z malej czerpiesz rzeki,
Czy sięgniesz dzbanem w głębie oceanu,
To więcej swego nie napełnisz dzbanu,
Jak po brzeg tylko, wskazany przed wieki.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRĘŚĆ: Do jasnych chwilek, wiersz przez Jaskółkę (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii przez Wł. U. — Pierwsi ludzie na świecie, przez H. G. Wellsa (z ryc.) — Wyścigi rzymskie (z ryc.) — Między ogniem i wodą, opowiadanie naocznego świadka (z ryc.) — Stofek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką — Łamigłówni i rozwiązania. — Złote myśli z ksiąg wschodnich. — Dodatek: Podarek z wystawy, przez Annę Zielińską. (z ryc.) — O co modlisz się dziecino, wiersz przez Zofię Zacharkiewicz. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Цензурою. Вapшaвa 8 Октябpя 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Nr. 44. Rok — XXIII.

Dnia 19 Października (1 Listopada) 1902 r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



...Szczęśliwe, które wcześniej doznały
Z ziemią rozłąki,
Które powołał Pan do Swej chwały, —
Na wpół rozkwitłe, niewinne pąki
Z wiosennej łąki.

Oto dziś, — patrząc na ziemskie niwy
Okiem wzruszonym, —
O łask się modlą zdroj miłościwy
Dla rówieśników — całem swem gronem,
Przed Boga tronem...

Dzień zaduszny.

Dzień zaduszny, drogie dzieci,
To umarłych wielkie święto;
Ileż modlitw w dniu tym leci
W niebo, z siłą niepojętą,
I z ufnością tam serdeczną
Prosi o szczęśliwość wieczną
Dla dusz zmarłych, i ulatą
Do stóp Boga, z pyłów świata.

Na mogiłach wieńce, kwiaty,
I tysiące światel płonie,
I serc wiele drogiej straty
Płacze, okiem w niebie tonie,
Jakby tam wypatrzeć chciało,
Jaką bratnią duszę białą,
Lub zrzuciwszy ziemską postać
Do swych miłych się przedostać.

Ile świec lśni w mroków toni,
Ile dążeń w tych popiołach,
Tyle było myśli w skroni
I dum tyle na tych czołach.
Ile kwiatów na mogile,
W sercach było uczuć tyle,
Jak te blaski, jak te kwiaty
Znikły ziemskich uczuć światy.

Znikły, zgasły ziemskie dумы,
Ale duchy żyją przecie,
Za tych bratnich duchów tłumy
W dzień zaduszny módl się dziecię.
Rzuć do kwiatów modłów kwiatek
I do blasków westchnień datek...
Zwiedną kwiaty, świece zgasną,
Modły duszom błysną jasno.

Z. Z.

Pogadanki z dziedziny chemii.

XVII. Ile atomów może brać udział w związkach chemicznych i co to jest waga cząsteczki?

Jeżeli naprawdę jest tak, jak przypuściliśmy powyżej, to jest, jeżeli zawsze atom jednego pierwiastku łączy się z atomem drugiego, to z tego by wynikało, że w związkach pewnego stopnia liczba atomów obu pierwiastków powinna być jednakową.

Wróćmy do powstania cynobru, siarki i rtęci. Wiemy już, że atom cynobru jest pewnego rodzaju podwójnym atomem, który powstał z ułożenia się atomu siarki obok atomu rtęci. Takie podwójne atomy cynobru, mówiąc zaś w ogóle takie atomy ciał złożonych czyli związków nazywamy cząsteczkami, albo molekułami. Jeżeli mamy przed sobą cokolwiek cynobru, to nie wiemy ile atomów tkwi w nim; być może, że jedna okruszyna tej farby, którą malarz bierze na koniec pędzelka, zawiera kilka milionów, albo nawet miliardów atomów, ale jest nam wiadomem, że zawsze liczba atomów siarki jest tutaj równą liczbie atomów rtęci. Widzieliśmy bowiem, że cynober powstaje przez układanie się atomu jednego pierwiastku obok atomu drugiego; każdy atom siarki jest złączony chemicznie z atomem rtęci, pozostają

bowiem na uboczu nie wzięłyby udziału w tworzeniu cynobru. Jeżeli więc mamy naprawdę do czynienia z czystym cynobrem, to nie mamy zasady powątpiewać, że liczba atomów siarki jest w nim równą liczbie atomów rtęci.

Wprawdzie otrzymanie zupełnie czystego cynobru jest sprawą nadzwyczajnie trudną, ale możliwą. Żaden chemik na świecie nie potrafiłby otrzymać cynobru, w którym na każde dwa atomy siarki przypadałby 1 albo 3 atomy rtęci; gdyby zaś taki związek był możliwy, to nie byłby on już cynobrem, lecz jakąś inną substancją o odmiennych własnościach. Podobnie się dzieje ze wszystkimi związkami chemicznymi.

Wiemy tedy, iż zawsze na każde 200 gramów siarki przypada w cynobrze 1250 gramów rtęci, czyli inaczej mówiąc na każde 1450 gramów cynobru przypada 1250 gramów rtęci i 200 gramów siarki. Nie wiemy jednakże, ile atomów znajduje się w 1450 gramach cynobru, ani też w 200 gramach siarki. Z tego faktu jednak, że 200 gramów siarki łączy się z 1250 gramami rtęci, wnioskujemy z całą pewnością, że ciężar atomu rtęci tak się ma do ciężaru atomu siarki jak 1250 do 200 to znaczy, że atom rtęci jest $6\frac{1}{4}$ razy cięższy od atomu siarki, albo co na jedno wychodzi, 1 atom siarki jest $6\frac{1}{4}$ razy lżejszy od atomu rtęci.

Podobnie możemy porównywać względne ciężary atomów, tworzących inne związki chemiczne. Weźmy np. sól kuchenną, składającą się z chloru i sodu. Jest ona związkiem pierwszego stopnia, to znaczy, że zawsze atom chloru leży w niej obok atomu sodu, czyli że jej cząsteczka składa się z 2 atomów. Otóż doświadczenie nas uczy, że 443 gramy chloru łączy się stale z 287 gramami sodu aby wytworzyć 730 gramów soli kuchennej. Z tego możemy wywnioskować, że atom chloru jest więcej aniżeli $1\frac{1}{2}$ razy cięższy od atomu sodu.

Idąc tą drogą chemicy określili przez porównanie względne ciężary atomów każdego pierwiastku.

Teraz rozumiemy jasno, dla czego tylko 100 części na wagę tlenu może się połączyć z $12\frac{1}{2}$ częściami wagowymi wodoru, aby utworzyć wodę. Dzieje się tak dlatego, że 100 części tlenu zawierają akurat tyleż atomów, co $12\frac{1}{2}$ części wodoru; atomy układają się obok siebie w pewną liczbę par, tak, iż ani z jednej, ani z drugiej substancji nie pozostają wolne resztki. Przy tworzeniu się wody, każdy atom tlenu staje pomiędzy dwoma atomami wodoru, tak jakby naprzykład ktoś podał ręce dwom stojącym po bokach sąsiadom. Mamy na to jasno dowód. Jeżeli bowiem weźmiemy pewną objętość tlenu, ważącą 100 gramów i 2 takież miary wodoru, ważące $12\frac{1}{2}$ gramów, to oba gazy łącząc się, nie wytworzą 3-ch objętości pary wodnej, lecz tylko 2, które będą ważyły $112\frac{1}{2}$ gramów. Znaczy to, że gazy, łącząc się ze sobą chemicznie, zmniejszyły objętość co się tłumaczy, że atomy tlenu zajęły miejsce wolne pomiędzy dwoma atomami wodoru, wskutek czego objętość wodoru pozostała taką samą, to znaczy wynosi i teraz 2 objętości.

Wł. U.



H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).



kały w tem miejscu tworzyły płaskowzgórze, porosłe bujnie jakąś soczystą rośliną, którą chciwie pożerały te zwierzęta.

Wychylił się ostrożnie z trzeć, szukając oczami dziwnego ich pasterza. Stał daleko od nas, po drugiej stronie i wpatrywał się uważnie w krater wygasłego wulkanu. Wśród zupełnej ciszy, słychać było tylko głośnie przeżuwanie tych księżycowych zwierząt. Teraz mogliśmy przypatrzeć im się do woli. Były to jakby olbrzymie zapasione woły, z nieproporcjonalnie małemi uszami i na pół przymkniętymi oczami, wstrętne wyglądały, leżąc tak i jedząc żarłocznie, istne uosobienie lenistwa i obżarstwa.

Cavor zawsze spokojny i łagodny, patrząc na ich żarłoczność, zawołał gniewnie:

— Obrzydłe wieprze!

Gdyż była to gorzka ironia odnośnie do naszego położenia! My umieraliśmy prawie z głodu w tej chwili, a te tłuste woliska księżycowe raczyły się obficie bujną paszą.

Wziąłem w usta kawałek tej rośliny i żuć ją zacząłem, sądząc, że pokrzepi może zwątłone nasze siły choć trochę, gdzie tam! niemożliwa była dla ludzi. Spojrzeliśmy więc tylko z zazdrością na zajętą jedzeniem trzodę i poszliśmy dalej.

W czasie tej wędrówki usłyszeliśmy znów naraz ogromny łoskot tuż pod powierzchnią, jakby uderzenia licznych młotów w kuźni. W tej chwili znajdowaliśmy się na skraju pewnej płaszczyzny. Nic na niej nie rosło i dziwną nam się wydała ta goła, żółtym pyłem pokryta przestrzeń, wśród skał i otaczającej ją bujnej roślinności. Kolczasta roślinność tak nam się już dała we znaki, że teraz z pewną obawą, postanowiliśmy przejść po niej, trzymając się brzegów, aby w razie niebezpieczeństwa znowu ukryć się w gęstwinie.

Naraz podziemny łoskot i huk stały się tak silne i wyraźne, że wszystko dokoła zadrżało.

— Ukryjmy się — szepnął Cavor.

Skoczyliśmy w gąszcz. Lecz w tej sekundzie rozległ się wystrzał jakby z armaty i zanim zdążyłem skoczyć za Cavorem, wpadłem w jakąś nagle przedemną otwartą szczelinę. Pierś moja uderzyła o coś bardzo twardego i znalazłem się zawieszony nad bezdenną głębią.

Nie wiem, coby się ze mną stało, gdyby pocziwy Cavor nie uchwycił mnie natychmiast silnie za nogi i nie wyciągnął z tego niebezpiecznego położenia.

Szybko oddaliliśmy się od zdradzieckiej płaszczyzny, i zdyszani, zmęczeni, siedliśmy odpocząć, patrząc, co dalej dzieć się będzie. Zobaczyliśmy z ogromnem naszym zdziwieniem, że owa płaszczyzna jest poprostu olbrzymiem wiekiem, zamykającym jakby studnię bezdenną, z której wnętrza dochodziły uderzenia młotów, świst maszyn, huk i łoskot nieopisany. Nie mogliśmy pojąć, co to mogą być za fabryki podziemne, odpoczęliśmy chwilę jeszcze i znów puściliśmy się dalej na poszukiwanie naszej sfery.

X.

Niebezpieczne grzyby.

Szliśmy czas jakiś w milczeniu, przedzierając się z trudnością przez gęstwinę, która pod wpływem słońca rosła niemal w oczach naszych, aż tak uczuliśmy się znuże-

ni i głodni, że zatrzymaliśmy się, upadając poprostu z wycieńczenia.

— Cavorze — szepnąłem do towarzysza — ja muszę coś zjeść.

Cavor spojrział na mnie ze smutkiem i rzekł:

— Odwagi, przyjacielu, — wytrwałości trochę!

— Nie mogę iść dalej, umieram z głodu i pragnienia! — zawołałem.

— I moje wargi spieczone — odrzekł Cavor.

— Ach, żeby znaleźć gdzieś choć odrobinę śniegu!

— Upał stopił go do szczętu.

Gryzłem ręce z rozpacz. Po chwili Cavor odezwał się znowu:

— Odwagi, Bedfordzie, musimy znaleźć naszą sferę, chodźmy!

Z trudnością powstałem z ziemi i jak męczennik wlokłem się za Cavorem. Mimowoli myślałem o czystej i zaw-sze chłodnej, smacznej wodzie z kranów londyńskich, o naszym wybornem piwie angielskiem, o kwaskowatym, orzeźwiającem jabłeczniku; tymczasem przyszliśmy do miejscowości porosłej ogromnemi, czerwonymi grzybami. Łamały nam się pod nogami, wydając bardzo przyjemny zapach. Wziąłem jeden taki grzyb w rękę, przypatrując mu się uważnie, wydał mi się bardzo apetyczny.

— Cavorze — rzekłem głucho, i zacząłem wąchać trzymany grzyb, pożerając go chciwie oczami.

— Nie waż się jeść tego — zawołał Cavor przestraszony.

I znów szliśmy dalej w milczeniu, lecz zapach grzybów odurzał mnie.

— Cavorze, czemu ja nie mogę spróbować?

— To niezawodnie trucizna, muchomory! — zawołał.

Nie słuchałem go. Wziąłem wonny grzyb i napelniłem nim usta. Cavor zrobił ruch jakby mi chciał wyrwać grzyb, ale było zapóźno.

— Doskonały — rzekłem z zadowoleniem.

Cavor przerażonym wzrokiem wpatrywał się we mnie, a widząc, że żyję, chwilę jeszcze walczył między obawą a chęcią posiłku, wreszcie nie mogąc się oprzeć pokusie, zaczął tak samo żarłocznie jak ja zjadać owe grzyby. Długą chwilę nie myśleliśmy o niczem, nie mówiliśmy do siebie, tylko jedliśmy chciwie, jak zgłodniałe wilki.

Grzyby te przypominały trochę smakiem nasze grzyby, lecz były daleko soczystsze i dziwnie miały przyjemny, odurzający zapach.

Gdyśmy podjedli, miło nam się zrobiło na duszy. Krew żywiej zaczęła krążyć w żyłach, czuliśmy się pokrzepieni, silni...

— Co za wyborne pożywienie! — zawołałem wesoło. — Ależ tu żyć i nie umierać! Już ludzkość nigdy głodu nie zazna!

I znów ugryzłem ogromny kawał smacznego grzyba. W głowie mi się zaczynało kręcić, ale przypisałem to obfitemu pożywieniu po tak długim poście. Zapomniałem o zagubionej sferze, o tajemniczych Selenitach, i obawach różnych niespodzianek na księżycu, życie przedstawiało mi się w różowych barwach, byłem szczęśliwy!

— Uda-a-ła na-am się po-o-dróż na-a księ-ę-życ, Ca-a-a-vo-o-o-rze! — wołałem ze śmiechem, ale czułem, że język płacze mi się w ustach i trudno mi mówić, a przytem głowa ciężka jak ołów. Cavor odpowiedział mi coś na to, ale bełkotał tak niezrozumiale, że odróżniłem tylko dwa wyrazy: „Odkrycie — księżyc!” reszty nie mogłem zrozumieć.

Spojrzałem na niego. Jakże dziwnie wyglądał: oczy miał szklane, uśmiechał się głupowato i zataczał jak człowiek pijany.

Zrozumiałem w tej chwili, że grzyby, które jedliśmy, upoiły nas, lecz czując się silnym i wesołym, zacząłem rozwijać przed Cavorem moje plany na przyszłość. Dowodziłem z zapałem, jak Anglia wdzięczna nam będzie za zdobycie bezkrawe nowej, ogromnej posiadłości, nowej ko-

Do pow. „Pierwsi ludzie na księżycu.”



Nagle ujrzelismy przed sobą Selenitów! Było ich sześciu, szli jeden za drugim...

lonii księżycu, proszę państwa! Cóż wobec tego znaczy Transwaal, Kanada, Australia!

— O! jaką usługę oddamy ludzkości przez odkrycie tego wybornego pożywienia, grzybów czerwonych, które nazwę od mego nazwiska *Bedfordkami*, gdyż ja pierwszy odważyłem się je skosztować. Założymy na księżycu kolonię, którą nazwiemy Cavoracją, i którą wspólnie z Cavorem zarządzać będziemy! Słowem, świetne snułem plany uszczęśliwienia ludzkości, rodzinnego kraju i nas obudwóch. Porównywałem Cavora do Krzysztofa Kolumba, gdyż chociaż mój towarzysz nie odkrył księżycu, lecz osiągnął go pierwszy z ludzi i zbadał. Pokonanie Selenitów uważałem za drobnostkę, bo ktoby się tam obawiał takich marnych istot!

W głowie nam się kręciło i wszystko dokoła zdawało się skakać i tańcować, narwaliśmy jednakże duże narącze czerwonych grzybów i nie bojąc się już niczego, śmiało poszliśmy w dalszą drogę.

Nagle ujrzelismy Selenitów! Było ich sześciu, szli jeden za drugim skalistą, wąską ścieżką, wydając dziwne, piszczące głosy. Gdy nas zobaczyli, zaraz umilkli i stanęli nieruchomie, przypatrując nam się ciekawie. My także stanęliśmy.

Naraz Cavor, upojony grzybami, niepomny na nic, zawołał:

— Wstrętne owady! Nie myślę kryć się przed wami, nie boję się was. Nie chcę pełzać, jak nędzny gad, ja, król stworzenia!

I z niezwykłą u niego furją, rzucił się na owe istoty, lecz, że zapomniał w tej chwili o mniejszej wadze naszych ciał na księżycu, skok jego był za gwałtowny; przeskoczył nad ich głowami i z trzaskiem wpadł w gąszcz obok rosnących roślin.

Nie wiem, co o nas pomyśleli Selenici, widziałem tylko

ich plecy, gdyż uciekli w jednej chwili, rozpraszając się na prawo i na lewo.

Wszystko to pamiętam jak przez sen tylko, chciałem pobiedz za Cavorem, ale potknąłem się i padłem jak długi, uderzając mocno głową o skałę. Porwały mnie straszne mdłości, potem ktoś się na mnie rzucił, z kimś walczyłem rozpaczliwie, a później straciłem przytomność...

Gdy ją znów odzyskałem, nie wiem jak i kiedy, znalazłem się z Cavorem w podziemiu, gdzie z powodu ciemności nie mogłem nic widzieć, dochodziły mnie tylko jakieś głuche odgłosy, wszystkie kości mnie bolały, czułem się całkiem strasznie potłuczony.

(d. c. n.)

MIĘDZY OGNIEM I WODĄ.

OPOWIADANIE NAOCZNEGO ŚWIADKA.

(Dokończenie).

Jedno tylko pozostawało do zrobienia: opuścić statek. Przy pomocy szczupłej garstki zdolnej do pracy, spuściliśmy dwie platformy długości 18 stóp, zbiliśmy mocno i ujęli w klamry żelazne. Takie platformy bywają zawieszane na bokach okrętów, aby je osłonić od uszkodzenia przy spuszczeniu łodzi ratunkowych. Były tak szerokie, że mogły pomieścić wszystkich, pozostałych na okręcie, t. j. dwadzieścia cztery osoby. Akcja ratunkowa zajęła nam sporo czasu, następnie trzeba było pomyśleć o prowiantach. „Roraima” miała cztery łodzie, trzy były zniszczone, czwarta tak się wbiła w bok parowca, że niepodobna jej było oderwać; wyjęliśmy z niej jednak wiosła. Zabraliśmy też z sobą kompas, latarnie, skrzynkę z żywnością, bańkę oliwy i parę blaszanek wody.

Byliśmy w pogotowiu na wypadek, gdyby ogień rozszerzył się na parowcu i zmusił nas do ucieczki, zanim obca pomoc się zjawi.

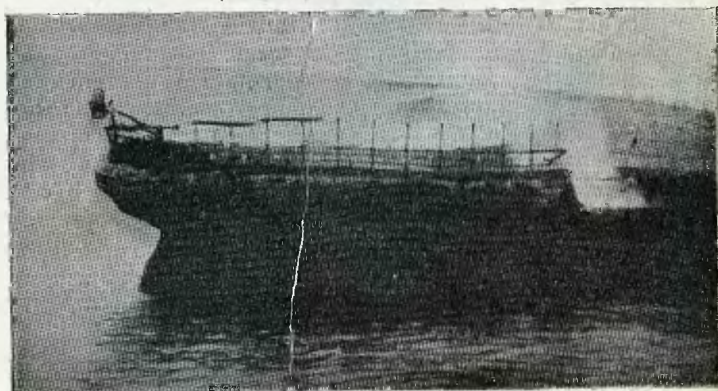
* * *

Pomiędzy 2-gą a 3-cią francuski okręt wojenny „Suger” pod dowództwem kapitana Piotra La Bris zawinął do przystani St.-Pierre.

Widzieliśmy, jak zbliżał się, ale po naszym smutnym doświadczeniu z „Raddonem,” nikt nie łudził się nadzieją. Wywiesiliśmy flagę augielską.

„Suger” w odpowiedzi spuścił łódź. Nasz okręt był pierwszy, który dał znak życia, inne nie próbowały zwrócić na siebie uwagi. Niebawem „Suger” przysłał nam jeszcze dwie łodzie na ratunek.

Do art. „Między ogniem i wodą.”



Statek Roraima z krzesłem u steru, które ocalało.

Spuściliśmy powoli pasażerów na platformę, skąd łatwiej mogli dostać się na łódzie, więc naprzód słabszych i bardziej poparzonych, następnie silniejszych. Po pasażerach przyszła kolej na załogę, przedostatni spuścił się główny inżynier, ja za nim na końcu. W chwili, gdy opuszczał okręt, ujrzałem barana — ostatniego z trzydziestu, które wieźliśmy z sobą. Biedne stworzenie broczyło krwią; beczało przeraźliwie. Zawróciłem się i roztrzaskałem mu głowę siekierą, aby skrócić jego męczarnie.

Zostawiliśmy na okręcie trzydziestu zmarłych, zaduszonych gazami. Pomiedzy nimi był mój posługacz, mały chłopak. Nie widziałem go już po wybuchu. Marzył, że kiedyś będzie miał własny okręt a mnie weźmie na kapitana.

Gdyśmy opuszczali parowiec, płomienie ogarniały go od przodu. Ujrzyliśmy krzeselko zahaczone o ster. Wisiało w powietrzu poza obrybem płomieni. Jakiś nieszczęśnik tam go przytwierdził i siadł na nim, aby się ustrzedz od ognia, i spadł do wody. Widzieliśmy go jeszcze długo. Co się tam działo w jego biednej duszy, zanim wpadł do morza. Nie mogliśmy przyjść mu z ratunkiem, albowiem płomienie szerzyły się dokoła tego krzeselka. Rzecz dziwna, wśród pożaru krzeselko pozostało nietknięte. Nazajutrz, 9-go, gdy okręt „Corona” zawinął do portu St. Pierre, kapitan jeszcze je widział zawieszone w powietrzu.

Na okręcie wojennym miejscowy lekarz i dwóch felczerów opatrzyło rany naszych rozbitków; dołożono wszelkich starań, aby ulżyć ich mękom. Tymczasem okręt podpłynął, o ile się dało, najbliżej do miasta; całe wybrzeże było rozpalone, jak piec; uratowano jeszcze czterech ludzi, między innymi Thompsona, jednego pasażera i dwóch majtków.

Następnie „Sugar” odpłynął powoli do Fort de France, trzymając się brzegu i wylawiając kogo się dało. Szczątki statków i zwłoki pływały po wodzie, od czasu do czasu wynurzała się ręka, uczepiona do deski, to wypływała głowa lub noga.

O godzinie 9-ej „Sugar” zawinął do przystani Fort de France; panna w niej ruch gorączkowy, zabierano nieszczęśliwych rozbitków z łodzi i parowców, kładziono ich na deski i przenoszono do ambulansów, czekających w małej przystani.

Wspominałem, że po raz ostatni widziałem kapitana Muggah na pomoście w chwili, gdy ciemności zaczęły nas ogarniać. Otóż bednarz okrętowy Dan, Murzyn z St. Kitts widział go wpadającego do morza. Cały pokład był zalany śli-

skim błotem, więc może noga mu się powinęła i wypadł. A może szukał śmierci, jako jedynego ratunku od strasznych męczarni? Bądź co bądź, bednarz Dan, widząc to rzucił się za nim i wyłowił go. Następnie zaczął płynąć ku wybrzeżu, popychając naprzód bezwładnego kapitana, ale prąd był tak gwałtowny, że Dan posuwał się bardzo powoli, wreszcie dopłynął na odległość kilkunastu łokci od „Roraimy”.

Majtkowie z naszego okrętu, spuścili mu szeroką tarć, użył jej jako tratwy. Następnie rzucili mu trochę pościeli; złożył na niej nieszczęśliwego kapitana i rannych, których spuszczone z okrętu. Przyłączyło się do niego paru majtków i wspólnymi siłami posuwali tratwę ku wybrzeżu, zatrzymując się co chwila, aby wylawiać rozbitków.

Gdy tak płynęli z wielkim, trudem wiosłując szczątkami belek okrętowych, ujrzeli pustą łódkę. Jeden z rozbitków, Murzyn, wskoczył w wodę i podpłynął do łodzi, a gdy się w niej znalazł, w pierwszej chwili chciał wracać do tratwy, lecz ujrzał Murzyna z Martyniki, uczepionego do krokwi, wziął go na łódź, a ponieważ we dwóch mogli nią łatwo kierować, zatem zmienił zamiar i zwrócił się w stronę Fort de France, opuszczając sromotnie swoich towarzyszy niedoli.

Bednarz Dan radził podpłynąć do „Roraimy,” ale inni słuchać go nie chcieli i kierowali tratwę ku wybrzeżu.

Gdy już dobijali, kapitan Muggah wyzionął ducha,

W ciągu tej całej przeprawy był mniej lub więcej przytomny i pomimo strasznych cierpień, zaklinał Dana, aby go odwieźli z powrotem na okręt. Bednarz nie zdołał skłonić do tego swych towarzyszy, choć wszelkich starań dokładał.

Skoro tylko wysiadł na ląd, i wynagrodził swoich ludzi, wziął nową belkę i posługując się nią, jak wiosłem, powrócił do okrętu i przywiózł mi wiadomość o kapitanie Muggah i oficerze Thompsonie, który dopłynął szczęśliwie do brzegu.

Żywi rozbitkowie „Roraimy,” w ich liczbie cztery kobiety, zostali zabrani na pokład parowca „Sugar.” Nie wszyscy jednak dopłynęli żywo do Fort de France, kilku zmarło przed świtem.

9-go rano udałem się do szpitala. Tu znalazłem drugiego inżyniera i czwartego inżyniera, stolarza, kwatermistrza i dwóch majtków. Dwóch zmarło wśród nocy, również jak jeden strażak. Robiliśmy, co było można dla tych biedaków, ale doktor oświadczył, że rany od poparzeń są nieuleczalne, albowiem nastąpiło zakażenie krwi.

W parę dni potem, okręt naszej kampanii



Na cmentarzu.

parowców, „Corona,” zawinął do Fort do France i zabrał tych, którzy byli zdolni do podróży. 2-go maja wylądowałem w New Yorku.

G. S. Scott.

Jubileusz Maryi Konopnickiej.

Wyrażenie wdzięczności za otrzymane dobrodziejstwa jest potrzebą każdego szlachetnego serca. Za zasługi położone dla ogółu, ogół też pragnie i potrzebuje wykazać swe uznanie. A czem większe były te zasługi, czem szerzej i mocniej sięgał ich wpływ, czem wyższy i podnioslejszy był duch, umysł, i serce tego, które je położył, tem serdeczniejszy być musi wyraz tej wdzięczności i hołdu, tem liczniejsze pociąga koła i tem wspanialsze przybiera kształty.

Wielcy pisarze, którym Pan Bóg udzielił niezwykłych zdolności, którzy tworzą znakomite dzieła, ujmujące wszystkie serca, o ile talentu swego używają dla dobra własnego społeczeństwa i całej ludzkości—wszędzie, w każdym narodzie zajmują pierwszorzędną miejsce na złotej tablicy zasłużonych i uważani są za jego chlubę. Cieszyć się należy, że w ostatnich czasach ogół objawia coraz częściej należne zasłużonym mężom uznanie nie tylko po śmierci, lecz składa im je za życia w pewnych okresach, jak 25-o lub 50-o lecie działalności, lub innej odpowiedniej okoliczności.

W ciągu lat dwudziestu kilku mieliśmy kilkanaście takich obchodów jubileuszowych, z których przypomnę najważniejsze; Kraszewskiego w 1879 r. i Sienkiewicza w 1900 roku. W tym roku minęło 25 lat odkąd Marya Konopnicka pisać zaczęła i właśnie w ubiegłym tygodniu (d. 19 października) w Krakowie obchodzono uroczystie ten jej jubileusz.

Znane jest to imię czytelnikom naszym i z łamów „Wieczorów” i z oddzielnych książek, bo poetka nie tylko sercem swym gorącym ogarnęła młodzież iariatwę, lecz część swej twórczości, swych nieporównanych pieśni i piosenek jej poświęciła, pisząc, kochani czytelnicy, i o was i dla was. Niebawem, za lat parę, zapoznacie się z innemi jej utworami, któremi zyskała sobie sławę, miłość ogółu i tak zaszczytne miejsce w literaturze polskiej.

Z portretu, umieszczonego w N. 19 r. b. poznaliśmy jej postać, siedzącą w zadumie nad kartą papieru, dowiedzieliście się w krótkości o przebiegu jej życia i głównych dziełach. Za przesłanie jej tego numeru do Florencji, gdzie najczęściej przebywa, otrzymaliśmy od niej uprzejme słówko podziękowania z pozdrowieniem dla czytelników „Wieczorów”

Obchód jubileuszowy był niezmiernie uroczysty i wspaniały. Cały Kraków zaroił się życiem niezwykłym, bo zewsząd przyjechało mnóstwo gości. Po nabożeństwie w kościele Maryackim, jubilatka udała się do wielkiej sali, w której zebrało się 3000 osób. Tam, po wykonaniu kantaty, rozpoczęły się przemówienia i składania darów i adresów przez przedstawicieli i delegacje rozmaitych stanów, instytucji, stowarzyszeń, młodzieży, dzieci i t. d. przybyłych z różnych stron, między innemi z Czech i Śląska. Wśród tych darów było prześliczne album z licznymi podpisami dzieci. Te wielkie litery, kreślone po większej części nieprawidłowemi jeszcze rączkami, bardzo rozrzewniły poetkę.

Po południu odbyły się przedstawienia w teatrach ludowych i miejskich, przeznaczone dla przybyłych włościń, a wieczorem wielki bankiet, na którym wznoszono toasty i odczytano setki telegramów od wybitniejszych osobi-

stości, redakcyi pism i licznych wielbicieli, którzy przybyć sami nie mogli. Konopnicka ubrana białą, jakby na znak, że święci srebrne wesele z literaturą — odpowiadała kilka razy to prozą, to prześlicznym, jak zwykle, wierszem.

„Dziękuję wam, — powiedziała w sali towarzystwa, „Sokołów” — dziękuję wam za ten dzień jasny, którzyście mi zgotowali. Dziękuję wam za wasze gorące serce, za wyciągniętą do mnie dłoń, za wzruszenie, które na twarzach waszych widzę, a którem sama do głębi jestem przejęta. Dziękuję nadewszystko za to, żeśmy tutaj wszyscy razem.”

Jedną z najpodnioslejszych chwil obchodu było odczytanie adresu uniwersytetu krakowskiego i Akademii Umiejętności, jako głosów najpoważniejszych instytucji, które w każdym kraju stanowią czoło społeczeństwa. Akademię Umiejętności posiada każdy naród oświecony, a w skład jej wchodzi mężowie prawdziwej i głębokiej wiedzy we wszystkich gałęziach, którzy naukę badaniami swemi wzbogacają. To też wszędzie każdy młody uczony marzy o tem, aby stać się jaknajprędzej godnym wyboru na członka Akademii.

Jesteśmy pewni, że czytelnicy nasi z zajęciem i pożytkiem odczytają ten głos poważny, do poetki zwrócony, a który streszcza najlepiej jej zasługi i znaczenie.

„Dostojna Pani! Od ćwierci wieku stoisz w rzędzie znakomitych pisarzy polskich swego czasu; na swoim polu, swoim sposobem, służyś i odznaczasz się, nieustrudzona w trudzie, coraz silniejsza w twórczości. Wstąpiłaś w swój zawód w czasach ciężkich dla poezji; Twój talent rozjaśniał jej zmierzch, i w znacznej mierze on sprawił, że przyćmiona jej gwiazda nie przygasła.

W innych zawodach rozum i praca mogą poniekąd zastąpić talent, przynieść pożytek. Na Twojem polu, na polu poezji, bez talentu, bez zdolności prawdziwej i wyższej, nie uda się nigdy nic. Ale talent sam, choćby największy, może nie wyjść na dobre, owszem, może obniżyć i psuć, jeżeli nie jest opatrzony na dobrej woli, prowadzony szlachetnym uczuciem. U Ciebie, Pani, wola była zawsze dobra, uczucie zawsze wzniosłe. My, współcześni, nie możemy wiedzieć, jakie miejsce w „pamiętek kościele” wyznaczy Ci potomność, ale to możemy i powinniśmy przed nią zaświadczyć, że Twój cel był dobry. Twoja miłość prawdziwa, Twoja zdolność wyższa. Gdzie się te warunki schodzą, tam sława pisarza zapewiona jest na przyszłość.

Czujemy to wszyscy. W ćwierćwiekową rocznicę Twojego zawodu, każdy, kto może, niesie ci w hołdzie wyrazy wdzięczności za przeszłość, życzenia na dalsze lata, pracy i zasługi.

Akademia Umiejętności służy badaniem, nie tworzeniem, nauką nie natchnieniem. Ale cześć i miłość swojego słowa, swojego ducha, wyrażającego się w słowie pięknem a mądrym, jest jej uczuciem i jej obowiązkiem. Z radością patrzy ona na każdą formę piękną, z otuchą na każdą myśl dobrą, w pięknej formie oddaną, z chlubą na każdego pisarza, który myśl taką w takiej formie oddać umie. W Tobie, Pani, widzi ona talentem szczęśliwszy, im mniej szczęśliwe były dla poezji czasy i warunki, w których ten talent zajaśniał: tem prawdziwszy i tem świetniejszy, że myśl każdą umiał on jasno widzieć i ująć, że silny w sobie, nie kłósał się za lada wiatrem przelotnych wrażeń, czy upodobań.

Pozwól więc, pani, iżby w tym dniu uroczystym Akademia Umiejętności złożyła Ci dzięki i hołd winnego uszanowania za skończonych dwadzieścia pięć lat Twojego zawodu, i gorące życzenia, żeby ten zawód trwał jeszcze długie lata, a siła Twego talentu rosła i wzmagala się jak dotąd.

Kraków, d. 19 października 1902 roku.

Prezes Akademii Umiejętności
St. Tarnowski.

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).



ak, on nigdy nikomu, nawet Jakóbowi, nawet żonie, nie mówił, że dręczy go myśl, pytanie bez odpowiedzi.

— Czy moi rodzice byli dobrymi, uczciwymi ludźmi, czy nie ciąży na nich skarga skrzywdzonych, czy nie nosi nazwiska splamionego ohydą podłych czynów? Takie wątpliwości wracały tysiąckrotnie Stefanowi, to też teraz dzięki-

wał Bogu z głębi duszy za to, że mógł spokojnie wspominać tych, których losy zagnały z dalekich stron aż nad Wartę i którzy spoczywali dobrze zasłużonym spoczynkiem po życiu walk i prób rozlicznych.

Nazywał się więc Witold Żubr, Witold Żubr, Witold Żubr! — powtarzał i te dwa wyrazy nabierały w jego uszach brzmień znanych a różnych. Słyszał w nich szcęk pługa orzącego własną niwę i szcęk szabli a tak czy tak dźwięk wydobywał się czysty. Nie rdzawiła go żadna plama.

Stał przed lustrem zawieszonym w przyległym do werendy pokoju i obejrzał znamie, które odcinało się czerwonym płomykiem na ogorzałej od brazylijskiego słońca szyi. Zachowało swą wyrazistość, więc sąd przyzna mu niezawodnie prawo do nazwiska, do Maliniec... Ale w Maliniach biedne dzieci odzyskują zdrowie, odbierają uczciwe wychowanie, miałyby pozbawiać je tego dobrodziejstwa, zniweczyć to, co stworzyła wola jego matki? Nigdy, prze-nigdy, a co do nazwiska...

Zawahał się Stefan, bo uczył, że nie będzie mu łatwo odwyknąć od tego, które nosił w dzieciństwie, które uzacnił pracą długich lat. Tylu ludzi w Paranie znało i szanowało Stefana Lutego, czy potrafił się przedziergnąć nagle w innego całkiem człowieka? Co radziłby mu proboszcz Wągrowiecki. Od dzieciństwa przywykł uważać szanownego kapłana za swego mistrza i przewodnika a on uczył cenić przedewszystkiem to, co nieśmiertelne i wielkie.

— Twój przykład zachęci do pracy, do wytrwałości w do-brem, ludzi opuszczonych pozbawionych świadomości swe-go nazwiska. Przekonają się, że sierota może pozyskać szacunek współobywateli, może wślawić przygodne swoje imię — mówił czcigodny opiekun, błogosławiąc małżeństwo Stefana. Miałże teraz rzucić to imię, z którym się zrośł? Długim, może przykrym procesem wchodzić w posiadanie praw, utraconych od dawna? Całe życie tępił w sobie próżność, podnosił dostojeństwo człowieczeństwa, czyż nie jest jego obowiązkiem zostać, czem był, najdą szanowanym, na ukrzepienie dla bezdomnych i bezimiennych sierot. Własny jego los, los mulatów w Brazylii, nauczyły Stefana jaką obrazą chrześcijańskich zasad i uczuć jest smok przesądu. Jątrzy on serce, budzi nienawiść, sprawia ból ofiarom. Będzie do ostatniego tchu walczył z uprzedzeniem, nie pozwoli czynić dziecka odpowiedzialnym za winy rodziców, wyśmiewać je dlatego, że nie znało nigdy ich pie-szczot.

— Braciszka Stasia ochrzczimy Witoldem, a ty zostań Stefanem dla mnie, dla tych ludzi, oddanych ci całem sercem—prosiła Marylka, wskazując robotników, wracających z fabryki na wieczorny odpoczynek.

W Brazylii noc następuje natychmiast po zachodzie słońca. Ludzie tamtejsi nie znają słodczy powolnego zmierzchu, tego uciszenia, jakie daje nam chwila, w której dzwony ogłaszają światu, że Anioł Pański niesie ziemi

uspokojenie wieczoru i wzywa do obrachunku ze wszystkich czynów ubiegłego dnia.

Czy za wrażeniem takiej chwili zataęsknił Stefan? bo zrobiło mu się nagle bardzo smutno. Złe przecucie targnęło jego sercem, ale zapanował nad nim i poszedł do swojego pokoju. Postanowił zaraz odpisać pani O'Clear, prosić ją o przysłanie listu matki i wszystkich po rodzicach pamiątek

— Na wiosnę, na tę prawdziwą naszą majową wiosnę pojedziemy ze Stasiem do Częstochowy i do Maliniec—myślał Stefan, kończąc list i idąc jak codzień do pokoju Leona, żeby mu życzyć dobrej nocy. Nie zastał Nesabila, nie było go i przy kołysce Stasia, który usnął oddawna.

— Leon jakiś niespokojny; widziałam, że znów wybiegł do ogrodu; może przeczuwa ztamtąd coś złego—mówiła pani Lutowa. Ona wierzyła instynktowi biedaka.

Ale Stefan nie dosłyszał nawet słów żony. Jego myśl uciekała do równin przeciętych korytem Warty, do pól malowanych zielenią lata i szarzystą zimowych gród, do ścieżek wydeptanych między łąkami zbożnych pól, do szumu lip oceniających wiejski kościół i smentarz. Zasnął późno lecz bardzo mocno, a śnił o drewnianym dworcu, w którym robiono przygotowania do chrzcina kiedy nagle... byłoby to złudne marzenie, czy rzeczywistość? Czytał wieczorem o pożarze zapewne też dlatego zdaje mu się, że słyszy krzyk, że ktoś woła o pomoc, że rozróżnia kroki biegnących ludzi. Pewnie spieszą na ratunek. Gdzie on jest, czyżby w Maliniach?

Psy szczekały, słychać było szamotanie się, przekleństwa. Padły dwa strzały, Niemen i Warta zaskoczyły jednocześnie. W domu budzili się służący i chłopcy sieroty, których Stefan wychowywał pod własnym dachem. Na ulicy powstał gwar. Odezwiał się dzwon fabryczny, chociaż słońce dopiero co weszło i robotnicy nie zaczęli pracy tak wcześnie.

— Gore! gore! wołano raz po raz.

— Nie pożar! złodzieje — odpowiadano z przeciwnej strony ogrodu. Stefan spał, chociaż dręczyły go niespokojne widziadła. Zgiełk stawał się coraz większy, na werendę wbiegł jakiś pijany człowiek i rzucił kamieniem w oszklony ganek.

— Zabijają naszego pana — krzyczeli robotnicy zbudzeni dzwonem fabryki.

— Don Luto ucieka z pieniędzmi! — wołał rzeźnik Tomasz Coelho i podniósł kamień, chcąc wybić drugą szybę.

— Łapać don Luto — wrzeszczeli pijani towarzysze rzeźnika.

Stefan spał jeszcze, a raczej walczył z przykrą zморą, brał za sennne przywidzenie hałas rozlegający się od tyłu domu. Zbudził go dopiero brzęk szkła, padającego na werendę, nie mógł już wątpić, ktoś rabował jego mieszkanie. Wyskoczył z posłania, w alkwie było ciemno, zapalił świecę i ujrzał z przestachem, że łóżko żony stało próżne. Znikł także rewolwer, który położył wieczorem na stoliku.

— Co to jest, co to się stało? — wołał. Chciał otworzyć drzwi alkowy, były zamknięte na klucz, szarpnął klamką, pękł zamek, a on jednym skokiem znalazł się w jadalni która przylegała do werendy.

— Nie pójdziesz dalej Stefanie, wróć się, to jakieś nieporozumienie, ja się z nimi rozmówię, oni mnie nic nie zrobią, a ciebie...—błagała Marylko. Ona pierwsza usłyszała strzały, więc wybiegła z alkowy, żeby bronić męża i syna, gdyby napastnicy mieli wdrzeć się do wnętrza domu. Stefan odsunął od siebie żonę, próbował nawet ją uspokoić. Walka dwóch stronnictw roznamietniała miasto, obie partye dopuszczały się rabunków.

— Zniszczą mi ogród — pomyślał i wyszedł na werendę. Robotnicy fabryczni bili się tymczasem z gromadą opryszków, prowadzoną przez rzeźnika. Pił on całą noc ciesząc się, że Senor Darreda de Oliveira wypędzi z Kurytyby fałszerza pieniędzy, który chciał założyć własną jatkę.

Coelho szturmował natarczywie, ale musiał się cofnąć od drzwi domu, bo Stefanowi przybywali w pomoc podmiejscy polscy koloniści, którzy zdążyli na targ i zdziwieni zgiełkiem, zeskakiwali z koni, aby bronić pana Lutego.

Stary wiarus Grażela pędził od restaurante z podniesioną w górę siekierą.

— Don Luto! Don Luto! — ryczał rzeźnik, któremu udało się podejść znów do werendy.

— Ja jestem Don Luto, powiedz, czego chcesz, tylko nie rób wrzasku, bo przestraszysz mi żonę i dziecko.

— *Bambino! bambino!* — zawołał ktoś w tłumie. Ale Coelho był zbyt pijany, aby mógł go wstrzymać wzgląd na spokój rodziny. Krzyczał i młotał przekleństwa.

— Niech tu przyjdzie do mnie kto przytomny i powie o co mu chodzi — mówił Stefan, a mówił spokojnie, głośno, wyraźnie. Piękna postawa, lniący, rozwichrzony włos czynił go podobnym do wizerunków, widywanych na kościelnych obrazkach. Taki potrafi zapanować nad rozhukaną gromadą.

— Rozchodźcie się, albo przełożcie mi swoje żądania — wołał patrząc śmiało w tłum skupiony około rzeźnika.

— Fałszujesz pieniądze, płacisz złemi papierkami! tracimy przez twoje oszukaństwo! — krzyknął młody mulat.

— Milion rejsów! oddaj nam milion rejsów — wył rzeźnik.

— Sam przyznałeś się wczoraj do spółnictwa z dwoma łotrami i zapłaciłeś w wendzie fałszywymi pieniędzmi — mówił coraz śmielej mulat, który nienawidził murzynów.

Stefan osłupiał. Oskarżenie rzucone mu w oczy było tak nieprawdopodobne, tak haniebne, że stracił na chwilę przytomność. Chciał już chwycić za gardło mulata, kiedy nagle dosłyszał jęk Leona.

— Panie, panie zmiłuj się! — nie zabiłem!

Głos był stłumiony, wychodził z pod werendy.

— Mordują Nesabila, ze mną kto w Boga wierzy! — zawołał i zbiegł do sutereny znajdującej się pod ogrodowym gankiem.

— Ucieka! zabierze rejsy i ucieknie! wył Coelho a za nim gromada jego popleczników.

Ale Stefan nie zważał na ich krzyki, kamień świsnął około jego głowy, a on biegł po schodach, bo głos Leona był coraz słabszy. Pomoc przyszła w porę, Ziemiak leżał na ziemi i szamotał się z Sawarą, który przygniół mu piersi.

— Panie! panie! wołał zdławionym głosem do nadbiegającego Stefana — złapałem go... tu... w piwnicy. Ratuj! udusi...

Sawara zacisnął ręce około szyi Leona, chciał za jąką bądź cenę zmusić go do milczenia.

(d. n.)

SZARADA.

Kiedy przed *pierwszem* *drugie* w prostym szyku stanie,
Utworzy się królewskiej rodziny nazwanie,
Dobrze nam z dziejowego znajomej wspomnienia.
A istnieje też miasto takiego imienia.
A równie dawnym ludom już znane naczynie,
Które i dziś z pożytku w gospodarstwie słynie.
Drugie *trzecie* rzecz brzydka, lecz nikt nie zaprzeczy,
Że ją w przeróżnej mierze miewa ród człowieczy.
Wszystkie wraz są niemiłe z przyczyn bardzo wielu,
Kiedy staną nam w drodze do jakiegoś celu.

ŁAMIGŁÓWKA LITERACKA.

z nagrodą.

Pierwsze litery tytułów utworów poniżej umieszczonych autorów, złożyć mają tytuł pewnego utworu Mickiewicza:

Sienkiewicz, Słowacki, Krasiński, Kochanowski, Goszczyński, Mickiewicz, Korzeniowski, T. T. Jeż, Woronicz, Trembecki. — Odnaleść te tytuły.

Nagroda „Opisanie Król. Polskiego,” wyznaczona będzie przez losowanie wśród dobrych rozwiązań. Termin 15 listopada.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 42.

Szarady: Ko — ło — my — je.

Złote myśli z ksiąg wschodnich.

Nieszczęście może przygnębić człowieka,
Lecz wzniosłych uczuć nie wyrwie mu z łona:
Wszakże pochodnia, choć w ziemię zwrócona,
Płomieniem zawsze ku niebu ucieka!

Gdy wróg przestąpił domu twego progi,
Niech tobie będzie — jakoby gość drogi.
Wszak drzewo cieniem tego nawet chłodzi,
Kto w jego łono toporem ugodzi.

GYMNASTYKA SZWEDZKA dla zdrowych i wątpliwych.

Stosuje się także w skrzywieniach kręgosłupa, nierównościach łopatek, w nerwowości, anemii, w wielu objawach złego krążenia i trawienia, pod stałym kierunkiem lekarskim, w *Zakładzie Heleny Kuczałskiej, Moniuszki 9 gmach Tow. Rosya.* Cena 3 rub. miesięcznie, pedagogiczna, — 10 rub. lecznicza z masażem. Dla gimnazystek i pensjonarek niższe. Kursa wieczorne dla pracujących miesięcznie rubla. Chłopcy do lat 12.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna, miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Szczęśliwe... wierszyk (z ryc.) — Dzień zaduszny, wiersz przez Z. Z. — Pogadanki z dziedziny chemii przez Wł. U. — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa (z ryc.) — Między ogniem i wodą, opowiadanie naocznego świadka (z ryc.) — Na cmentarzu (ryc.) — Jubileusz Maryi Konopnickiej. — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Złote myśli z ksiąg wschodnich. — Dodatek: Placuszki zaduszne. — Z wystawy zabawek (ryciny). — O szarej godzinie, wiersz przez Eleonorę z Ujejskich Horodyską. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Dodatek książkowy: Biruta przez Z. Rudnicką.

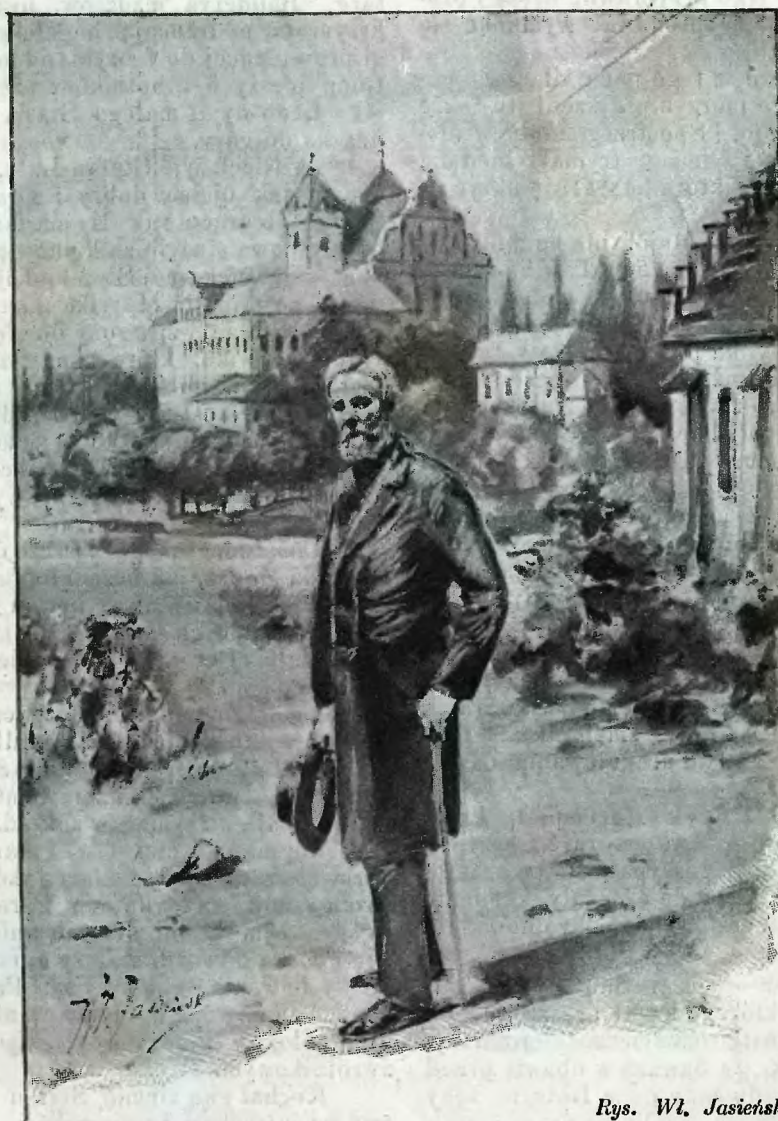
Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 15 Октября 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Do pow. „Stefek Luty w Brazylii.”



Rys. Wł. Jasieński.

Często o cichym wieczorze chodził pan Stefan na cmentarz Wągrowiecki.

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dokończenie).

Puść! krzyknął Stefan i chwycił kupca za włosy. W rękach została mu ruda peruka i ruda broda wendysty, a tymczasem mniemany Bulgar z tem większą wściekłością duśli Leona. Ten jednak nie bronił się już. Wytrzeszczył przerażone oczy, zamarło w nim życie ze zgrozy.

— Jacek Żądło! — zawołał Stefan i targnął tak silnie rabusiem, że ten puścił swoją ofiarę.

Tak! towarzysz Salemama i Szwarca, miał się z kolei dostać w ręce sprawiedliwości. Stefan teraz dopiero zrozumiał, dla czego kupiec prześladował go swą nienawiścią.

Suterenę zapelnili tymczasem uczestnicy bójki i policja przybyła w celu rozprzędzenia zbiegowiska.

— Co tu robisz w mojej piwnicy? mamy z sobą dawne rachunki, powinienbym oskarżyć cię o współnictwo z Salemanem, ale żądam tylko, abyś wyznał natychmiast skąd się tu wzięłeś? — pytał Stefan rozkazującym tonem. Ogłoszony i potłuczony Żądło chciał nadrobić zuchwalstwem wyglądał jednak tak nędźnie, jego przyprawne włosy i broda wzbudziły tyle podejrzeń, że spróbował wymknąć się z sutereny.

— Proszę spisać protokół z tego pana, dlaczego nachodzi mój dom, dlaczego jego murzyn przyszedł tu także mówił Stefan do pana San Majo. Spostrzegł Mohe wtulonego w kącie sutereny, Warta i Niemen trzymały biedaka w obłężeniu wraz ze skrzynką, którą starał się ukryć za sobą.

— Don San Majo! Don San Majo! nie pozwól, aby uczyniono mi krzywdę wołał Sawara. Szamotał się bo schwytali go koloniści i grozili obcięciem języka, za rozsiewanie plotek przeciw panu Lutemu.

Don San Majo, pamiętny na pingę wendysty, chciał przyjść mu z pomocą, ale było już zapóźno. Jeśli Stefan miał przeciw sobie stronnictwo zachowawcze Kurytyby, to Sawarę nienawidzono ogólnie za zdzierstwą. Gniew tłumu zwrócił się teraz przeciw niemu. Próżno rzeźnik Coelho krzyczał ochrypłym głosem.

— Milion rejsów! odebrać milion rejsów — nikt nie słuchał poduszczeń pijaka; wszyscy wygrażali kupcowi, urągając jego nędznej postawie. Ruda peruka i broda leżały zdeptane na ziemi, a czarne włosy Jacka zdawały się podnosić z przerażenia. Zrozumiał, że jest zgubiony.

— Senor! Senor! one mnie zagryzą! — jęczał Moha, rzucając skrzynkę i uciekając przed psami.

— Cascarell! syknął przez zaciśnięte zęby Sawara — próbował znów wycofać się z sutereny. Zastąpił mu drogę Wojciech Skiba, on miał także do uregulowania dawny i ciężki rachunek.

Tymczasem praktyczny Mosiek Rozemperl, który przyszedł bronić pana Lutego, radził otworzyć skrzynkę Sawary. Policjant uchylił wieko, rozsypały się po suterenie banknoty różnej wielkości. Na dnie leżały kamienie litograficzne, z ich pomocą fałszerz odbijał podrobione pieniądze. Powstał zgiewek w tłumie.

— *Cuesta de sufrimientos* — jęczał San Majo — odwracając się od zbrodniarza, którego kazał aresztować, co ocaliło na razie Sawarę od zemsty rozwścieczonej gromady. Teraz zrozumiał nawet rzeźnik, że Sawara w obawie przed śledztwem, zakradł się z Mohą do sadu pana Lutego, żeby podrzuceniem dowodów fałszerstwa zważyć na niego winę.

Plan zręcznie obmyślany byłby się udał, gdyby nie czujność Leona i interwencja rzeźnika. Jacek Żądło wpadł we własne sidła. On to podburzył Coelho przeciw Stefanowi i pijak wtargnął do ogrodu o świcie, w chwili

kiedy Sawara, opóźniony skutkiem walki, jaką stoeżyć musiał z psami, przemykał się ze skrzynką ku domowi. Leon nie spał wcale tej nocy, pierwszy też usłyszał zgiewek i wybiegł na werendę wtedy właśnie, kiedy mniemany Bulgar dopadł już sutereny. Ziemniak chował w niej kosze z owocami, sutereana była ciemna, ale on orjentował się doskonale, spostrzegł też dwie postacie idące niepewnym krokiem. Świsnął na psy, które choć ranne, przybiegły do niego natychmiast, i dopadłszy pierwszego złodzieja, powalił go na ziemię. Psy targały tymczasem murzyna.

— Ocaliłeś mi życie, teraz ocalasz dobre moje imię — mówił Stefan, ściskając Leona — gdyby nie ty, rzucone posądzenie nabrałoby mocy. i kto wie ..

Wzdrygnął się. Najdroższym skarbem człowieka jest przy czystym sumieniu nieskazitelność jego sławy.

Tymczasem ucichła wrzawa bójki, zawstydzeni stronnicy rzeźnika wymykali się z ogrodu, ale dziedzic Stefana nowego dworku załudnił koloniści i robotnicy fabryczni. Spieszyli stwierdzić swoje dla niego przywiązanie.

— Niech żyje pan Luty! — on mnie uratował od tego samego lotra, którego teraz sądzić będą — krzyknął pierwszy Wojciech Skiba.

— Niech żyje Stefan Luty! — wołał Jasiak fletysta i Grzesz Kobiela i pan Józef Korda i Bartek Sęk i Wicek skrzypiciel.

— Niech żyje! niech żyje! brzmiało ze wszystkich piersi. Koloniści dosiedli koni, czas im było spieszyć na targ. Banderya jeźdźców, uszykowana w zwarty szereg krzyczała, podrzucając kapelusze „Niech żyje” A z drogi prowadzącej do fabryki odpowiadał gromkim okrzykiem tłum pieszych robotników: niech żyje Stefan Luty!

Leon wyjął małego Stasia z kołyski podniósł go z poduszką do góry.

— Niech żyje Stefan Luty, niech żyje jego syn. Niech będzie jak ojciec dobry i sprawiedliwy — zawołał stary Grażela, biorąc z rąk Leona swego chrześniaka, bo on to i Marciniowa służyli za kumów państwu Lutym.

— Stefek, mój Stefek, mój dobry, najukochańszy Stefek — powtarzała Marylka dumna i szczęśliwa.

A Stefan, wzruszony do głębi serca, ślubował zostawić synowi nazwiko, które sam niósł czyste, przez troski sie roctwa, pokusy młodości, trudy męskiego wieku.

— Stefan Luty, tak! zważyda a potem ślusarz, brat biedaków, co się z nim zżyli w mozołe pracy, w niebezpieczeństwie przygód — myślał tłumiąc z trudnością łzy. Ale dodał zaraz — i wasz syn wierny, wy zmarli, nieznani a drodzy!

Cóż dodać mogę * jeszcze do historii Stefka Lutego, Witolda Żubra, jak brzmiało prawdziwe jego nazwisko?

Opowiadano mi, że był on nietylko szczęśliwym ojcem sześciu dzielnych synów i córki jedynaczki, ale że zasłynął w całej Paranie, jako opiekun słabych i obrońca pokrzywdzonych.

Leon Ziemniak zmarł wcześniej. Stefan uczcił jego pamięć wystawieniem szpitala dla niedołącznych.

— *Casa misericordissima Santa Leone* — mówili Brazylijczycy, dziwiąc się wzorowemu porządkowi, jaki pani Lutowa umiała utrzymać w zakładzie.

Jej mąż później oddał starszemu Stachowi fabrykę, córkę zeswatał z jedynakiem Jakóba O'Cleara, osadził młodszych synów na gruntach Parany a sam kupił sobie pod Wągrowcem kawał ziemi i zamieszkał tam z żoną. Synowie i córka odwozili starszemu państwu Lutym dzieci swoje na wychowanie, aby przyszli Parańscy koloniści uczyli się kochać ziemię ojców. Kto na niej wyrósł, nie zamieni szarych obłoków i szarych grudnych pól na bogactwa podzwrotnikowych stref.

Kochał swą ziemię Stefan Luty, lubował się pięknoscią jej jutrzeńek i zmierzchów. Często o cichym wieczorze, chodził drogą wiodącą do cmentarza, na którym spoczywał opiekun jego młodości, proboszcz wągrowiecki. On to rozbuździł w nim podniosłe dążenia, on nauczył kochać braci bliźnich.

Gdyby więcej takich. Cześć jego przezaanej pamięci...
 ... Gdyby więcej takich! Przy warszawskim szpitalu Dzieciątka Jezus wychowuje się w tej chwili dwieście kilkadziesiąt dzieci niewiadomych rodziców, sierot bez nazwiska. Kto wie, ilu wśród nich otrzymało od Boga wielkie zdolności, lub co ważniejsze może gotowe do poświęcenia serce nosi w piersiach. Trzeba tylko gorącej ręki, która pomogłaby zejść ziarnu, złożonemu przez Opatrzność w duszach bezimiennych sierot.

Dzieciątka Jezus daje schronienie bezdomnym, daje im wy, młodzi, wychowani na łonie rodziny, przyjaźń szlachetnych serc waszych. Obalajcie przesady, budujcie światu przyszłość szczęśliwszą i sprawiedliwszą. Budo-
 wać zawsze warto.

K O N I E C .

Młodości moja.

Młodości moja, ty mi bądź aniołem!
 Prowadź do celu i drogą cierniową,
 Byłem szedł zawsze z podniesioną głową,
 Byłem nie żółwiem był, ale sokół.
 Młodości moja! i nad moim czołem
 Możesz się wznosić z poświęcenia wieńcem,
 Byłem ludzkości został ulubieńcem...
 Młodości moja! ty mi bądź aniołem!

Młodości moja, bądź mi wierną tarczą!
 Osłoń me piersi przed niemęską trwogą,
 Niechaj jak magnes siłami się wzmogą,
 Kiedy je cierpień ciężary obarczają.
 Chociaż pioruny nade mną zawracają,
 Niechaj, jak prorok przed Bożym narodem
 Z sztandarem wiary postępuję przodem...
 Młodości moja! bądź mi wierną tarczą!

Młodości moja, bądź mi zdrowym ziarnem!
 Każda myśl moja niech się zazieleni
 W sercach mych braci, niech się tam rozpleni,
 Co ma być białem, niech nie będzie czarnem.
 Młodości moja, nie bądź mi snem marnym —
 Wykuj marzenia twe w żelazne czyny,
 By z niej się późne żyć uczyły syny...
 Młodości moja, bądź mi zdrowym ziarnem:

K. Ujejski.

Pogadanki z dziedziny chemii.

XVIII. Atomy mogą wstępować w związki wielokrotne.

Widzimy, że dwie objętości wodoru, łącząc się z jedną objętością tlenu, dały dwie, nie zaś trzy objętości pary wodnej, że zatem gazy złączone chemicznie zajmują mniejszą objętość, aniżeli niezłączone, to znaczy tworzące zwykłą mieszaninę. Podobnie dzieje się z wielu innymi związkami. Wiemy na przykład, że z 3-ch objętości wodoru i 1 objętości azotu, tworzy się nie 4, lecz tylko 2 objętości amoniaku. I tutaj więc gazy, łącząc się chemicznie, ulegają zgęszczeniu. Nie możemy sobie inaczej wytłumaczyć tego faktu, jak tylko przypuszczając, że puste przestrzenie pomiędzy atomami zmniejszyły się.

Najłatwiej możemy dowieść istnienia pustych przestrzeni pomiędzy atomami, czyniąc doświadczenia z cieczami.

Weźmy szklaną wodę i szklaną kwasu siarczanego. Zdawałoby się, że zlewając do jednego naczynia te dwie ciecze, otrzymać powinniśmy dwie szklanki mieszaniny; tymczasem otrzymujemy znacznie mniej. To samo możemy obserwować na wodzie i spirytusie. Rzecz więc jasna, że oprócz pomieszczenia się dwóch płynów, musi jeszcze od-
 bywać się tutaj zbliżenie pomiędzy ich atomami, inaczej bowiem mieszanina nie mogłaby zajmować mniejszej objętości.

Możemy zapewnić czytelników, że uczyniono wiele tysięcy doświadczeń, zanim zdecydowano się przypuścić istnienie atomów; następne zaś doświadczenia potwierdziły tylko owo przypuszczenie.

Jeżeli jednak odbywa się łączenie atomów w pary, to jak wytłumaczyć ten fakt, że jeden pierwiastek tworzy z drugim pierwiastkiem związki rozmaitego stopnia.

W jednym z powyższych rozdziałów widzieliśmy, że 28 gramów azotu może się połączyć z 16 gramami tlenu, z 32 ma, z 48-ma, 64-ma, a nawet z 80-ma. Skądże to pochodzi, jeżeli atomy układają się parami? Czyżbyśmy mieli przypuścić, że w 28 gramach azotu znajduje się tyleż atomów, co w 16 gramach tlenu? W takim razie, jak wytłumaczyć powstawanie tych dalszych związków, w których przybywa ciągle po 1 porcyi tlenu?

Na to dajemy następującą odpowiedź:

Najprostszym objaśnieniem związku chemicznego jest bez zaprzeczenia tworzenie przez nie par. Jednakże możemy sobie wyobrazić, że obok 1 atomu azotu, albo jakiegokolwiek bądź innego pierwiastku układa się nie tylko 1 ale nawet 2, 3, a nawet 5 atomów drugiego pierwiastku. I rzeczywiście tak być musi w wielu wypadkach. Jeżeli rzeczywiście atomy azotu w pewnych warunkach przyciągają atomy tlenu, to jeszcze nie dowodzi, że siła przyciągająca znika zupełnie, skoro 1 atom azotu łączy się z 1 atomem tlenu. Skłonność azotu do łączenia się z tlenem może być przez to jeszcze nienasycona, widzimy bowiem, że każdy pojedynczy atom azotu może utrzymać przy sobie 2-gi, 3 ci, 4-ty, i 5 ty atom tlenu. Wyobraźmy więc sobie, że zbliżając w pewnych warunkach pewną liczbę atomów azotu do pewnej liczby atomów tlenu, zaspakajamy równomiernie apetyt wszystkich pojedynczych atomów azotu. Jeżeli było niewiele atomów tlenu, to każdy atom azotu otrzymuje tylko po 1 atomie tego pierwiastku; jeżeli zaś tlenu jest więcej, to każdy atom azotu może otrzymać 2, 3, a nawet 5 atomów tlenu. Skoro każdy atom azotu otrzyma 5 atomów tlenu, to według naszych dotychczasowych wyjaśnień, apetyt jego zaspakaja się zupełnie, przyczem powstaje związek tak zwany nasycony. Jeżeli później będziemy dawali jeszcze więcej tlenu, to już nie połączy się on z azotem.

Chemia zna jednak i związki, któreby można nazwać przesyconymi, albowiem pierwszy atom złączył się w nich z większą ilością atomów drugiego pierwiastku, aniżeli było ich potrzeba do nasycenia jego apetytu.

Tak na przykład wodór może przyjąć o 1 atom tlenu więcej, aniżeli wówczas, gdy tworzy z nim wodę. Związek taki nazywa się wodą utlenioną i zawiera dwa atomy zamiast jednego w cząsteczce. Otóż taka woda utleniona

jest przesyconym związkiem, który bardzo łatwo rozpada się na wodę zwyczajną i na tlen, to znaczy, że przy lada sposobności wodór pozbywa się nadmiaru pochłoniętego tlenu.

Okoliczność ta, że dla wytworzenia związku wyższego stopnia trzeba dodawać coraz to nowy atom pierwiastku do związku niższego stopnia, stwierdza teorię atomów, zamiast ją obalać.

Wł. U.

Dzień 10 Listopada 1444 r.

Dzień ten zapisał się żałobnymi zgłoskami w dziejach chrześcijaństwa, jako dzień zwycięstwa Turków pod Warną, które przyczyniło się do ugruntowania ich potęgi na długi szereg lat. Poległ na tem pobojowisku kwiat młodzieży polskiej i węgierskiej i poległ młodzieńki król Władysław, uniesiony szlachetnym choć nieopatrzny zapalem. Zostawił po sobie żal powszechny i wielkie imię.

Grób jego — Europa, słup —
[śnieżne Balkany
Napis — wieczna pamiątka mię-
[dzy chrześcijan.

Tak napisał o Warneńczyku Jan Kochanowski, a Jan Matejko w jednym ze swych najpiękniejszych obrazów, przedstawił chwilę, gdy otoczony zewsząd przez janczarów pada pod ich ciosami.

Opis bitwy podajemy poniżej. *)

„W ciemną noc listopadową 1444 roku zastępy chrześcijańskie rozłożyły się pod Warną, w nader obronnym położeniu, mając za sobą limany i błota nadmorskie, z boku Dziewińskie jezioro, z drugiej zaś strony cieśninę Galatę. Wdali, na krańcach widnokregu widać było góry Rumeli u których stóp na równinie błyszczały ognie tureckiego obozu.

Około dziesiątej godziny z rana czaty węgierskie cofnęły się ku obozowi, donosząc, że przednia straż turecka ukazała się już z za wzgórza. Wszyscy dowódcy poskoczyli natychmiast ku swoim hufcom, dodając im zachęty gorącymi słowy,

Dopiero około południa czoło wojsk tureckich ukazało się na równinie. Ziemia drżała pod ich stopami, łoskot podobny temu, jaki wydaje gradowa chmura, gdy idzie ponad lasy, zwiastował ich przybycie! Zaiste wspaniały i groźny był to widok! Sto tysięcy bisurmanów stało naprzeciwko wojska chrześcijańskiego, uszykowane w półkсіężyc. Słychać było niby szum wód na wiosnę; wreszcie przeobraziła, dzika janczarska muzyka rozległa się w szeregach,

*) Jest to wyjątek z niedrukowanej powieści p. t. „Orli ród” M. Łopuszańskiej.

z poza których wysunęła się wielka, zielona chorągiew Proka, zwiastująca, że sam władca wiernych we własnej osobie prowadzi swoje zastępy.

I czegoż tam nie było! Wszystkie kształty, wszystkie barwy zmieszały się z sobą. Buńczuki powiewały jak las, zdradzając, w którym miejscu stali dowódcy.

Pierwszem skrzydłem olbrzymiej armii dowodził begler bej Rumelii, stary Turakan, lewem Karadsza, begler bej Antolii, mający wśród swoich zastępów Arabów i Syryjczyków.

Jakże się małym wydawało wojsko chrześcijańskie wobec tej potęgi! Młodzieńki król Władysław zajął środek szyku bojowego otoczony pięciuset jazdy polskiej: powiewała nad nim wielka chorągiew św. Jerzego, niesiona przez Stefana z Bator; Hunyady objął naczelne dowództwo nad całym wojskiem.

Amurat wysłał najpierw sześć tysięcy najdzielniejszej jazdy, która spuściwszy się ze wzgórzy, rozproszyła się po równinie i chmurę strzał wypuściła na wojsko chrześcijańskie.

W tejże chwili w szeregach węgierskich odezwały się trąby. Przed czołem wojska przeleciał Hunyady, cały odziany w czarną zbroję; natychmiast też prawe skrzydło ruszyło do ataku.

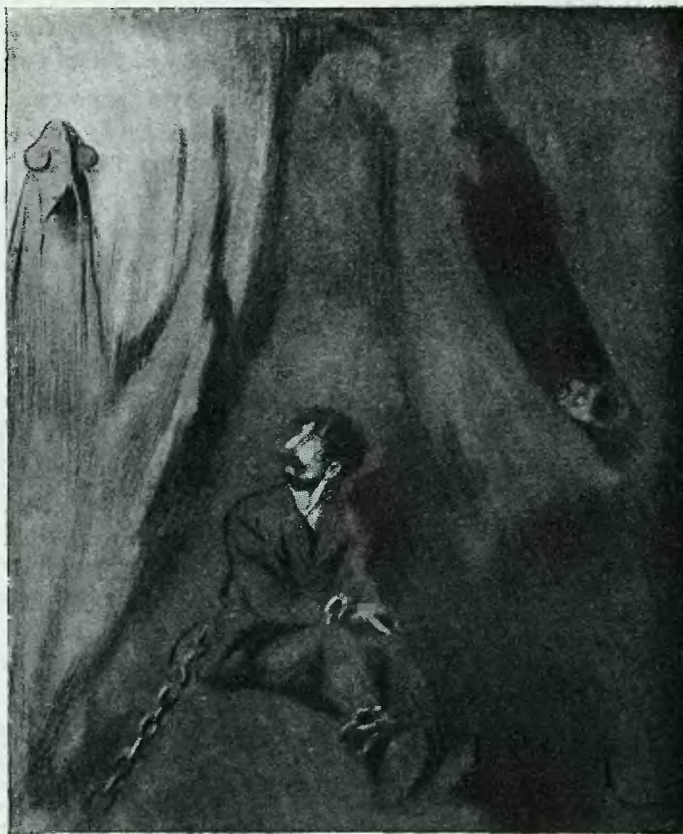
Turcy nie wytrzymali tego pierwszego natarcia chrześcijańskiej jazdy; poczęli się cofać i chronić na wzgórze, ścigani i tam przez napastników. Jednocześnie wszakże prawe skrzydło, zapędziwszy się za uciekającymi Turkami, dostało się na bagna; Turcy, widząc to, zwrócili się i jak burza rzucili się na chorągiew św. Władysława, a zabiwszy dowódcę, Leszka z Bóbrku, wozy i amunicję zabierając poczęli. Ujrawszy to król razem z Hunyadym popędził w tę stronę, by ocalić wozy, jedyną ochronę wojska w razie przegranej.

Za ich przybyciem los bitwy zmienił się odrazu, król jak młody lew rzucił się na

wrogów, parł ich, gnał przed sobą z taką natarczywością, że poczęli uciekać bez upamiętania. Wtedy Hunyady, bojąc się, by się nie zapędził zbyt daleko za uciekającymi, odwołał go w inną stronę, gdzie młody Drakula i kardynał Cezarini, otoczeni przez Turków, żądali pomocy. Tu bowiem najkrwawsza bitwa się zawiązała i gdy król nadbiegł, doszła do szczytu zacieklności ze stron obu. I nie dziw, to już nie dwa wojska walczyły z sobą, ale Azja i Europa, krzyż i półkсіężyc — potęga ducha naprzeciw potęgi fizycznej.

Zrazu nie widać było, która strona bierze górę, — coś tylko zakłębiło się, zakotłowało, hufce idące za królem znikły w powodzi nieprzyjaciół, która się za nimi zamknęła. Aliści po niejakiem czasie proporce ich ukazały się daleko wśród wrogich zastępów. I hufce te małe liczbą, ale wielkie odwagą i męstwem, siały dokoła siebie śmierć i zniszczenie. Trzy tysiące Turków padło w tem starciu — reszta, uciekając ku Adrianopolowi, zaniósł tam wieść o przegranej. Władysław w tej chwili jakby urosł na olbrzyma; jego ramię niestrudzone zadawało i odbijało ciosy,

Do pow. „Pierwsi ludzie na księżycu.”



Wspólnie przypatrywaliśmy się w grobowem milczeniu.



Bitwa pod Warną.

Jan Matejko.

jak błyskawice. Szlachetna krew w nim zagrała; czuł w sobie tyle zapału i lwiej odwagi, że sądził się być zdolnym powalić całe wojsko muzułmańskie. A za nim pędził jak huragan jego nieodstępny hufiec młodych rycerzy, których on był duszą i gwiazdą przewodnią.

Amurat stał ze swymi janczarami w samym środku, zasłonięty głębokim rowem i ostrokołem; przed nim wetknięty był w ziemi buńczuk jedwabny i na wysokiej żerdzi utkwiony odpis zerwanego przez chrześcijan traktatu. Widząc porażkę swoich, sułtan nagle zawrócił konia do ucieczki, lecz nadbiegł Karadsza, begler bej anatolski i chwyciwszy za uzdę rumaka, zawołał:

— Władco wiernych, zwycięstwo cię czeka!

Amurat wstrzymał się wtedy i patrzył z brwią ściągniętą na toczącą się u stóp jego walkę; czarna jego broda, przewijana tu i owdzie srebrnymi nićmi, powiewała jak chorągiew, a na turbanie wznosiła się biała czapla kita, spięta dyamentem. Odrazu odzyskał spokój i panowanie nad sobą, a gdy nadbiegł król Władysław i o kilkadziesiąt kroków od niego powalił Karadszę, poczem popędził śmiało na janczarów otaczających sułtana, ten wskazując nań, rzekł do agi janczarskiego:

— Tego potępieńca odłączcie od jego orszaku, gdy w poróżd was będzie wpadał, rozstapcie się, potem nagle się zamknąwszy, zabijcie, a dokonacie przyjemnego Allachowi czynu! — Posłuszni janczarowie, gdy król pędził w tę stronę rozstapili się, czyniąc mu drogę i wnet zawarłszy się, opasali go w koło. Daremnie zrozpaczony Hunyady chciał pospieszyć mu na pomoc, już dotrzeć doń nie mógł.

Tymczasem chrześcijanie, gdy nagle rozeszła się pogłoska, że Władysław zginął, lub pojmany, poczęli się mieszać i cofać, i to właśnie w chwili, kiedy Turcy również tył podawali. Tak równocześnie obie strony ustępować zaczęły nieświadome własnego losu. Turcy jednak widząc cofanie się oraz małe zastępy chrześcijan, zatrzymali się nagle i z napastowanych, zamienili się w napastujących.

Dzikie okrzyki „Allach, Allach,” świadczyły o ich tryumfach.

Nad wieczorem, po skończonej bitwie, przejeżdżał sułtan po polu trupami zasłanem: za nim jechali dostojnicy: Turakan, begler bej rumelijski, Jusidzi Toghana, aga janczarów, Azeb-bej, dowódzca straży przybocznej. Sułtan oglądał uważnie ciała poległych chrześcijan, dziwiąc się ich sile i potężnemu wzrostowi, aż wreszcie zwrócił się do wiernego dowódcy swej straży.

— Co to znaczy Azeb, iż między tylu niedowiarkami żadnego nie widziałem z siwą brodą?

— Padyszachu, odpowiedział Azeb—gdyby między nimi był choć jeden siwy starzec, nigdyby na ten koniec nie przyszli; płochość młodości tak drogo opłacili.—Sułtan kazał zdjąć z poległych 25 złotych pancerzy i posłał je do Egiptu, aby tam wiadano, jak silni i rośli byli ludzie, których on zwyciężył.

Hunyady nadaremnie próbował ocalić przynajmniej zwłoki króla, przekonawszy się w końcu, że wszystko stracone, zgromadził garstki niedobitków, rozproszone po polu i wprowadził je ku granicom Węgier.

Los młodego króla długi czas okryty był tajemnicą; najsprzeczniejsze wieści obiegały o nim. I długo jeszcze Polacy nie wierzyli, że poległ i z upragnieniem spoglądali w stronę Węgier, czy nie ujrzą stamtąd powracającego młodego wojownika, którego popioły dawno już rozwiął wiatr czarnomorski.

I tak z całej tej nieszczęśliwej wyprawy nie zostało nic, prócz żałosnego wspomnienia i owego przydomku Warneńczyka, który przy imieniu syna Jagielly świeci jak wieńiec męczeński. Dopiero szereg długich walk i poświęceń w ciągu dwustu pięćdziesięciu lat: Chocim, Wiedeń, Parkany złamały potęgę turecką.

A za dusze poległych pod Warną aż po dziś dzień w wielu kościołach, gdy skończą dzwonić na „Anioł Pański,” jeszcze dziewięć razy odzywają się dzwony.”

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg.)

XI.

Selenici.

Siedząc tak skulony i nieszczęśliwy, zacząłem się zastanawiać nad tem, w jaki sposób mogłem się znaleźć w tej pieczarze.

— Cavorze — zawołałem — skąd wzilięmy się tutaj? Nie było odpowiedzi. Dreszcz mnie przejął. — Cavor! — zawołałem głośnie — czy ty tu jesteś?

Zamiast odpowiedzi usłyszałem jęk. — Moja głowa! moja głowa!

Imnie głowa bolała okropnie, chciałem ją ścisnąć oburącz, lecz uczułem, że ręce mam skute łańcuchem. Przerażony, chciałem zerwać się na nogi, ale te także były skute, a co gorsza, ciało moje opasywały grube okowy, których koniec przykuty był do ściany tego więzienia. Ogarnęła mnie rozpacz.

— Cavorze! — zawołałem — jestem w kajdanach, czemu skułeś mi ręce i nogi?

— To nie ja cię skułem — była głucha odpowiedź — To Selenici musieli skuć nas obu.

Selenici! Ten jeden wyraz przypominał mi wszystko. Te niespodzianki, które nas spotkały od chwili naszego przybycia na księżyc, ta kolczasta roślinność, która wyrosła w przeciagu kilku godzin i ukryła naszą kulę, ta pełzająca wędrownica na odszukanie jej, owa przepaścista szczelina, otwierająca się nagle przede mną, pożeranie czerwonych grzybów, na to wspomnienie uczułem silniejszy ból w głowie, a później... już nie nie pamiętałem, gubiłem się więc w domysłach.

— Cavorze! — zawołałem znowu.

— Co?

— Gdzie jesteś?

— Alboż ja wiem?

— Możemy już umarli?

— Co za głupstwo!

— Więc to *oni* nas uwięzili?

Cavor zamiast odpowiedzi jęknął głucho. Dawny jego spokój opuścił go. Widziałem, że zdradzieckie grzyby podziały na niego drażniaco.

— Co teraz zrobimy? — zapytałem bojaźliwie.

— Skąd ja mam wiedzieć? — odrzekł gniewnie.

— I ja też nie wiem — odrzekłem ponuro, i pograżyłem się w milczeniu, lecz zwykłe mruczenie Cavora, gdy się nad czem bardzo zamyślił, obudziło mnie z zadumy.

— Boże miłosierny, który panujesz nad księżycem zarówno jak i nad ziemią i nad całym wszechświatem, nie opuść nas! Zacząłem mówić Ojczy nasz. Modlitwa dała mi otuchy. — Przestańże pan raz tak mruć — zawołałem — poradź co lepiej!

Cavor umilkł natychmiast i cisza zapanowała, ale gdzieś z oddali dochodził jakby gwar uliczny albo hałas fabryki w ruchu. Nie mogłem odgadnąć, co właściwie powodowało te dziwne odgłosy, starałem się nie myśleć o niczem, oparłem zbolalą głowę o ścianę więzienia i siedziałem cicho, czekając zmiłowania Bożego.

Naraz dziwny jakiś szelest, niby szamotanie się ptaka w ciasnej klatce, zwrócił moją uwagę. Spojrzałem bacznie dokoła, ale nic nie dojrzałem wśród otaczającej mnie ciemności. Po chwili usłyszałem wyraźnie lekki zgrzyt otwieranego zamka i na czarnem tle więzienia ujrzałem wąską smugę światła.

— Patrz! — szepnął do mnie Cavor.

— Co to może być?

— Ja nie wiem.

Jak w promyk nadziei wpatrzyliśmy się w ten promień światła. Ku naszej radości stawał się coraz szerszy, aż usłyszeliśmy dokładnie otwieranie drzwi i całą ścianę za naszymi plecami oblało jakieś błękitnawe światło. Obróciłem głowę w tę stronę i zobaczyłem dziwną postać Selenity, posuwającą się ku nam. Kroków jego nie było słychać, posuwał się naprzód, jak mara czy widziadło, zatrzymując się, jakby coś nasłuchiwał.

Cały oblany jasnym światłem, rysował się wyraźnie przed naszymi oczami. Napróżno w jego głowie dopatrywałem rysów ludzkich; twarz ta, jeżeli to twarzą nazwać można, była jakby czemś zakrytą. Zamiast nosa i ust miał dużą paszczę, po bokach wielkie, wypukłe oczy, uszów nie miał chyba wcale. Miał na sobie długą szatę, okrywającą go od góry do dołu, więc rąk jego i nóg wcale widać nie było.

Wspólnie przypatrywaliśmy się sobie w grobowem milczeniu.

Jak mnie się dziwną wydała jego postać, tak samo on przyglądał nam się z ciekawością. Bo też dziwacznie wyglądaliśmy w tej chwili. Brudni, z podrapanymi twarzami przez kolczaste rośliny, przez które przedzieraliśmy się, pokrwawieni, z długimi brodami i rozczochranymi włosami, w ubraniu podartem i poplamionem czerwonymi grzybami, bez obuwia, bo nam je Selenici zdjęli, podobni byliśmy raczej do straszdeł niż do ludzi.

Cavor pierwszy przemówił do niego, lecz nie był to zwykły czysty, wyraźny głos Cavora, ale jakiś dźwięk ochrypły, stłumiony. Towarzysz mój mocno odchrząknął i chciał dalej mówić, lecz w tej chwili dał się słyszeć na zewnątrz straszny jakiś ryk, który uciął wkrótce, i znów cisza zaległa nasze więzienie. W tej chwili Selenita odwrócił się, by odejść, przystanął chwilę przed drzwiami; wyszedł, zamykając je za sobą, a my znów pozostaliśmy w ciemności.

XII.

Kłódka nad przepaścią.

Siedzieliśmy tak, milczący, pogrążeni w rozpacz czasu jakiś, wreszcie pierwszy przerwałem milczenie.

— Te dziwne istoty mają nas w swej mocy.

— A wszystko to zrobiły owe czerwone grzyby — rzekł Cavor z goryczą.

— Ale gdybyśmy ich nie zjedli, tobyśmy pomarli z pragnienia i głodu.

— Moglibyśmy byli odszukać nasz szklany domek.

Złość mnie porwała na Cavora, i zacząłem głośno przeklinać całą naszą wyprawę, księżyc i Selenitów. Bilem pięściami w podłogę więzienia, szarpałem moje więzy, motałem się jak potępieniec. Zmęczony tym wybuchem, uciłem i dopiero po długiej przerwie zapytałem Cavora z pokorą:

— A jednak, co pan myślisz o tem wszystkiem?

— Myślę, że Selenici są mądrzejsi od nas, gdyż umieją robić rzeczy, o których my ludzie dotąd nie mamy pojęcia.

— Tak? Sąd jego o tych strasznych obrazach moją dumę. Milczałem, a Cavor mówił dalej:

— Zdaje mi się, że jesteśmy o parę tysięcy stóp pod powierzchnią księżyca.

— Skąd pan to wnosisz?

— Bo tu jest chłodniej niż na powierzchni i głosy nasze brzmią donośniej; nie czuję także tego nieprzyjemnego tętnienia w uszach, co dowodzi, że powietrze tutaj jest gęstsze,

musimy więc być obecnie na jaki kilometr we wnętrzu księżyca.

Cavor zamyślił się głęboko. Nędzny więzień Selenitów odzyskał znów równowagę umysłu i spokój uczonego.

— Widzę — rzekł po chwili — że twierdzenie Keplera było zupełnie słuszne. Tak, księżyc jest planetą wulkaniczną formacji, nie jest on tak zbitą masą, jak ziemia nasza, lecz pod całą jego powierzchnią znajdują się obszerne groty i pieczary, okalające wewnętrzne morze; różni się bardzo od ziemi i tem jeszcze, że na zewnątrz posiada bardzo mało wody i powietrza.

— Szkoda, że pan tego nie wiedziałeś, zanim przyjechalibyśmy tutaj — odparłem z wymówką.

Nie mi nie odpowiedział, zaczął tylko mruczeć po swojemu, jak zwykle wtedy, gdy zamyślił się nad jakimś zagadnieniem naukowym. Zazdrościłem mu jego spokoju, a czując się bardzo nieszczęśliwym, spytałem go znowu:

— Co pan jednak sądzisz o tem, co się stało z naszą kulą?

Stracona — odpowiedział lakonicznie, a w głosie jego brzmiała najzupełniejsza obojętność.

Ta jego obojętność doprowadzała mnie do wściekłości.

— Boże! — zawołałem — więc na to poświęciłeś pan tyle lat pracy, całe swe mienie, na to naraził się życie nasze, aby twój genialny wynalazek, ta substancja nie podlegająca sile przyciągania, ta sfera nasza stała się zdobyczą Selenitów, a my obadwaj zostali ich więźniami na zawsze? Czyż nie lepiej było zastosować pański cavorit do praktycznych celów na ziemi, ach, na naszej drogiej ziemi, zamiast lecieć na złamanie karku — dokąd? na księżyc! aby wpadać z jednego nieszczęścia w drugie!

W czasie całej mojej tyrady, Cavor mruczał coś tylko ale ta myśl, że Selenici mogli znaleźć nasz szklany domek, zwróciła jego uwagę.

— Hm, to prawda — rzekł — jeżeli go znaleźli... Co oni też z nim zrobią? To ciekawe pytanie! Oni w żaden sposób nie rozumieją, co to jest, bo gdyby rozumieli podobne rzeczy, toby już oddawna przyjechali na ziemię. Cóżby im przeszkadzało? W każdym razie Selenici są to istoty rozumne i ciekawe, więc jeżeli znaleźli naszą sferę, to będą się jej przypatrywali, będą badali; a gdy wejdą do wnętrza, natrafią na sprężyny i naciśną je... spuszcza okiennice cavoritowe... to polecą w przestrzeń, pozbawiając nas na zawsze możliwości powrotu na ziemię. Dziwne istoty, dziwna wiedza...

(d. c. n.)

Ś. p. Władysława z Rogozińskich Izdebska.

W mieście naszym zmarła w końcu października autorka, której młodzież wiele zawdzięcza. Jej bowiem przeważnie poświęciła swe pióro, tworząc wiele opowiadań, powieści, komedji i t. p. Któż nie zna „Wieczorów z babunią?” ślicznego „Dzienniczka Elżuni” (nagrodzonego na konkursie im. Sikorskiej) i wielu, wielu innych prac, które zaciekały, bawiły i umoralniały młodzież. Czytelnicy nasi znajdowali nieraz jej utwory na szpaltach „Wieczorów Rodzinnych” od początku ich istnienia aż do ostatnich czasów.

Donosząc o śmierci ś. p. Izdebskiej, podajemy kilka szczegółów o jej życiu i działalności. Urodziła się w Warszawie z ojca Antoniego Rogozińskiego i matki Salomei z Magnuszewskich. Wyniosła z domu staranne wykształcenie, a że Bóg ją obdarzył sercem kochającym i darem pióra, więc już po wyjściu za mąż za ś. p. Józefa Izdebskiego, w r. 1860 poczęła pisywać powiastki dla dzieci do „Czytelnicy Niedzielnej”. Zachęcona powodzeniem uznaniem napisała większą powieść, „Wieczory z babunią” „Wianek” zbiór powiastek i wspomnień historycznych, „Pa-

miętnik babuni", „Naszyjnik babuni", „Wiązka bławatków" „Praca bogactwem". Pisywała komedijki, zawarte w zbiorze „Teatrzyk dla młodzieży". Oprócz prac dla młodzieży napisała piękny dramat historyczny, nagrodzony na konkursie Bretkreiza w Poznaniu, a osnuty na tle walki Grzymaliów z Nałęczami. W pracy, nagrodzonej na konkursie „Biblioteki Warszawskiej" p. t. „Wiano macierzyńskie" wyraziła szlachetne poglądy na wychowanie dziewcząt, a w ostatnich latach zanim ją nawiedziła ciężka niemoc, zajęta była większym dziełem, które miało nosić tytuł „Kobieta w pochodzie wieków".

Za czterdziestoletnią owocną pracę należy jej się wdzięczna pamięć u młodzieży, u przeszłych i przyszłych jej czytelników, i serdeczne westchnienie do Boga o spokój dla jej duszy.

SZARADA.

(z Maryampola nad Dniestrem).

Pierwsze z piątem, zwierzątko domowe,
Zgrabne, zwinne do figlów gotowe.
Drugie, samo, odwrotnie, rzecz z nabiału znana,
Przez dobre gosposie smacznie przyrządzana.
Czwarte z pierwszym, jeżeli coś sobie schowamy,
Bez tego w momencie już to postradamy.
Trzecie, środkowe sam sobie dołoży,
Jeśli domyślny, kto poprzednie złoży.
Wszystko rzecz mała, ale ważna przecie,
Bo tysiącami dziś krąży po świecie,
I bywa nieraz z radością witana,
Tem miłsza, gdy ją przyśle osoba kochana.

ŁAMIGŁÓWKA Z HISTORII SZTUKI.

ul. Żabka z nad Rosi.

.....*	Malarz współczesny.
.....*	Malarz z XVII w.
.....*	Malarz z XIX w.
.....*	Malarz z XIX w.
.....*	Malarz nadworny Augusta II.
.....*	Malarz z XIX w.
.....*	Malarz z XVIII w.
.....*	Malarz z XVIII w.
.....*	Malarz z XIX w.
.....*	Malarz z XVIII w.
.....*	Malarz z XVIII w.

Zastąpić kropki i gwiazdki literami i utworzyć nazwiska malarzy polskich; litery oznaczone gwiazdkami, mają złożyć nazwisko słynnego malarza z ostatnich czasów.

ROZWIĄZANIA DO NRU 43-go.

Szarady: Fant — azya.

Łamigłówni sylabowej:

1) Europa. 2) Lewkonja. 3) Żbik. 4) Buchara. 5) Ilnicka. 6) Edredon. 7) Teby. 8) Algebra. 9) Drumla. 10) Rostów. 11) Urania. 12) Żyto. 13) Bałtyk. 14) Agram. 15) Czarnolas. 16) Korsyka. 17) Antyoch.

Elżbieta Drużbacka.

Zagadnienia arytmetycznego z Nru. 42:

Odjawszy jednego gołąbka od stu, zostanie 99. W tej liczbie mieści się podwójna liczba lecących gołębi, połowa jej i czwarta część, to jest $1 + 1 + \frac{1}{2} + \frac{1}{4}$ co czyni razem $2\frac{3}{4} = \frac{11}{4}$. Zatem 99 stanowi $\frac{11}{4}$ część poszukiwanej liczby gołębi, która wyniesie 36. Oto zestawienie liczb: $36 + 36 + 18 + 9 + 1 = 100$.

Zadanie to, które mówiąc nawiasem jako umieszczone w dodatku, było przeznaczone właściwie dla młodszych prenumeratorów „Wieczorów", rozwiązało bardzo wielu czytelników różnemi sposobami. Oto cały ich szereg: Czesia, Mrówka, Marylka Bohdanowicz, Micia Kramkowska, Bohdan Straszewicz, Lucio C., Adam Tarnowski, Stanisław Berkan, Niezapominajka, Andrzejek Oczkowski, Irenka z nad Bałtyku, Gołąbek z Wilna, Spartanka, Longinus Podbipięta, Ludwik Mańkowski, Niunia, Feliks Dzikiewicz, Irenka Straszewska, Lucyan Benedycki, Biała Kulka, Litwin z nad Świętej, Renia Potworowska, Mietek z Włocławka, Kmicic, Henryk Fux, Maryla z nad Tykicy, Wacław Rej... Bezimiennie, Orzeł Czuby, Archimedes, Adam Ja., Ogrodniczka, Kukulka, Zosia Krakowska, Janusz Grosser, Żyźwiarz, Jan Dźwigałski, Duch Puszczy, Jakubowski, Stefan Purski, Aluś i Żenia Klotz, Zbyszko, St. Malinowski, Zosia Wo!... Julian Łempicki, Czarnuszka, Grażyna, K. Milieski, Maryńcia Ilnicka, Wańdzia, Władysław Szymański, Kleopatra, Sęk, Tubaj-Bej, Podolanka z Pobereża, Ponury Sęp, Tadeusz Homulka, Litw., Januś Wolmer, Żabka z nad Rosi, Ania Bernowska, W. B., Wanda Peretjatkowicz, Ewa L., Wańdzia Lipińska, Gwiazda Morska, Łukasiewicz, F. Garczyński, Julia S., Dzika Litwinka, L. Kramsztykówna, Helczyński, Lew kartagiński, Orzeszek leśny i Fglarz z pod Buska, Rutka Witnerówna, Grodzińska, Januś S., Stasia Orzeszkowska, Jadzia Marszewska i E. Traeger.

Każde z dobrych rozwiązań oznaczyliśmy liczbą kolejną i zgodnie z zapowiedzią dwa numery wylosowaliśmy do nagrody. Wypadły numery 43 (Aluś i Żenia Klotz z Łodzi) i 15 (Ludwik Mańkowski), im więc wysłamy nagrody.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) (dokończenie). — Młodości moja, wiersz przez K. Ujejskiego. — Pogadanki z dziedziny chemii, przez Wł. U. — Dzień 10 Listopada 1444 r. (z ryc.) — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wells (z ryc.) — Ś. p. Władysława z Rogozińskich Izdebska. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Wyprawa po skarby, przez A. Zielińską (z ryc.) — Kot i wróbel, wiersz przez Józefa Wabnera. — Aniołek albo złościzka, przez Z. B. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Biruta przez Z. Rudnicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 22 Октября 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



O naszej najdawniejszej pieśni.

Światło wiary prawdziwej, wiary chrześcijańskiej padło na ziemię naszą jeszcze za panowania pierwszego księcia Mieczysława czyli właściwiej Mieszki (t. j. Niedźwiezia). Ukazali się na ziemi polskiej książęta, którzy uczyli naszych ojców pogańskich słowa Bożego, zakładali szkoły, budowali kościoły.

Opierał się z początku lud pogański zwiastunom „dobrej nowiny”, t. j. Ewangelii Chrystusa Pana, bo nie rozumiał jeszcze, że ze wszystkich „nowin” ta jedna jest prawdziwą, ta jedna świętą. Ale z biegiem czasu zrozumiał to, pokochał prawdziwego Boga, nauczył się czcić Ukrzyżowanego Zbawiciela, a serce swoje oddał Jego Matce Przenajświętszej. I wyrażał tę swą miłość, jak umiał: modlił się, spowiadał, pokutował, chodził do kościoła, aż wreszcie zapragnął czcić swego Boga i Panię Najświętszą, już nie tylko sercem i nie tylko słowem modlitwy, ale i słowem pieśni, słowem śpiewaniem

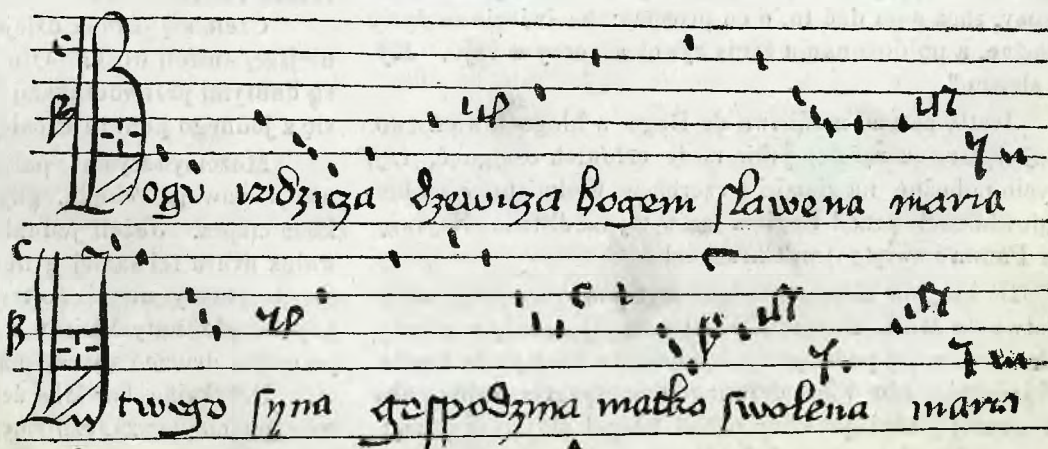
Ale cóż, kiedy przez długi czas nie było ani jednej pieśni polskiej!

Ksiądz, stojąc przy ołtarzu lub na kazalnicy, śpiewał pieśni łacińskie, a lud, chociaż ich nie rozumiał, bił się w piersi i wołał głośno po kilka, a nawet po kilkanaście razy: „Kyrie eleison,” to jest: „Panie! zmiłuj się.” Otóż to mu już nie wystarczało: rosła w sercach pobożność, więc i usta domagały się słów, któreby wyraziły to, co było w sercu.

Aż nakoniec znalazły się takie słowa: w wieku XIII, t. j. w owych czasach, kiedy to Tatarzy po raz pierwszy na Polskę napadli, w Sączu, w klasztorze p. p. Klarysek, zabrzmiała pewnego wieczora pieśń: „Bogurodzica dziewica, Bogiem sławiona Maryja”. Z Sącza rozeszły się słowa i nuta tej pieśni po całej ziemi polskiej, obiegły chaty wiejskie i zamki rycerskie, — wszędzie, gdzie tylko w piersiach serce gorące biło, śpiewano tę pieśń i kochano i czczono, jak świętość jaką.

Ale bo też zawdzięczano ją świętej, — świętej Kindze, Węgierce rodem, lecz Polce duchem, małżonce księcia Bolesława Wstydlivego, która, po śmierci męża, wstąpiła do klasztoru Klarysek w Sączu, aby już wyłącznie Panu Bogu służyć.

Lecz w ciszy klasztornej nie zapomniała o swoim narodzie, i ona, która, po przybyciu do Polski, wniosła z sobą prawdziwe błogosławieństwo Boże, bo i żupy solne w Bochni odkryła, i modlitwą swoją nieszczęścia narodu łagodzi-



Podobizna rękopisu naszej najdawniejszej pieśni.

ła, — ona pierwsza pomyślała o tem, aby naród polski mógł Boga pieśnią we własnej mowie wielbić.

Więc uprosiła swego spowiednika, pobożnego księdza Boguchwałę, aby pieśń po polsku ułożył na chwałę Bogu, a na pożytek ludziom. Nie odmówił prośbie pani świątobliwej zakonnik i ułożył pieśń, która brzmi tak:

*Bogurodzica dziewica,
Bogiem sławiona Maryja,
Twego Syna gospodzina,
Matko zwolena, Maryja,
Zyszczy nam, spuści nam.
Kyrie eleison!*

* * *

*Twego dzieła Chrzciela, bożyce,
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze!
Słysz modlitwę, jż nosimy,
To dać racz, jegoż prosimy,
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt.
Kyrie eleison!*

Oto jest najdawniejsza nasza pieśń pobożna, która dzisiaj liczy sobie już przeszło sześćset pięćdziesiąt lat. Śpiewano ją i po kościołach, i w czasie pielgrzymek do miejsc świętych, lecz nadewszystko śpiewało ją rycerstwo przed bitwą. Tak, na przykład, kiedy, za panowania króla Jagiełły, na polach Grunwaldu stanęły naprzeciwko siebie zastępy wojsk polskich i krzyżackich, rycerze nasi, zanim rzucili się na Niemców, zaśpiewali chórem tę pieśń świętą. Dzisiaj w katedrze gnieźnieńskiej co niedziela staje przed trumną świętego Wojciecha duchowieństwo, i rozlegają się we wspaniałej świątyni te same słowa, które niegdyś z pól Grunwaldzkich wzbijały się ponad gwiazdy i aż do świętego Stanisława doszły.

A teraz przyjrzyjmy się bliżej „Bogurodzicy”, która jest nie tylko naszą najstarszą pieśnią religijną, ale zarazem najdawniejszym w ogóle utworem poezji polskiej. Nie każdy może ją zrozumieć, bo język zmienił się przez półsiódma wieku; gdyby ją dziś układano, brzmiałaby tak:

„Matko Boża, dziewico, przez Boga wstawiona Maryo, pozyskaj nam, spuść nam Twego Syna Pana, wybrana (przez Boga) matko, Maryo! Kyrie eleison”.

„Synu Boży! W imię Chrzciela Twego, usłysz głosy, napełń (Sobą) myśli człowiecze, usłysz modlitwę, którą zanosimy, racz nam dać to, o co prosimy: na świecie — życie pobożne, a po dokonaniu życia żywot wieczny w raju. Kyrie eleison”.

Jestto zatem modlitwa do Boga o błogosławieństwo, o największe szczęście, jakie może człowiek osiągnąć, t. j. o życie pobożne na ziemi i o szczęście wiekuiste w niebie; orędownikami przed Bogiem są w tej modlitwie Najświętsza Panna i święty Jan Chrzciel.

Bo księżna Kinga szczególniej upodobała sobie nabożeństwo do Matki Boskiej, pościła na jej chwałę w soboty, do kościołów, jej poświęconych, chodziła boso przez kamienie i ciernie, nic więc dziwnego, że życzyła sobie, aby w pierwszej pieśni polskiej naród błagał Matkę Najświętszą o orędownictwo przed Jej Synem.

A względem świętego Jana Chrzciela miała Kinga, jak opowiadają, wielkie obowiązki wdzięczności.

Kiedy poślubiła księcia Bolesława, zaraz po ślubie ukłękła przed nim i w imię Boga Ojca zakłękała go, aby się łagodnie z nią obchodził. Bolesław, wzruszony jej łzami i prośbą, przyobiecał uroczystie, że nigdy zniewagi od niego nie dozna. Po dwu latach jednak Bolesław rozgniewał się na Kingę i przestał z nią rozmawiać. Wówczas pani świątobliwa oddała się w opiekę świętemu Janowi Chrzcielowi; i oto w samą wigilię swego święta (t. j. 22 Czerwca) ukazał się jej święty Jan i obiecał, że jej nie opuści, że, o cokolwiek w imię Jego prosić będzie, otrzyma. I tak się stało. Nazajutrz, wychodząc z kościoła, spotkała Kinga Bolesława i w imię Jana św. prosiła go, by i nadal był dla niej dobry. Książę pozdrowił ją serdecznie, utulił jej łzy, spełnić jej prośbę obiecał i obietnicy dotrzymał. Oto dla czego przez wdzięczność dla św. Jana, prosiła spowiednika, aby w pieśni, którą miał ułożyć, wymienił nie tylko Matkę Boską, ale i Tego, który ochrzcił Zbawiciela.

Takie są dzieje najdawniejszej naszej pieśni religijnej, której autorstwo przypisywano długi czas mylnie św. Wojciechowi.

Ign. Chrzanowski.

Pogadanki z dziedziny chemii.

XIX. Atomy i ciepło.

Teoria atomistyczna uzyskuje dzielne poparcie na zupełnie innych drogach, niżeli chemiczne doświadczenia. Odkrycie, stwierdzające ją, polega na następujących faktach.

Przypuśćmy, że ktoś kładzie na stole kawałeczek wosku, kawałeczek żelaza, skóry i stawia szklankę wody. Ogrzewajmy pokój, w którym znajduje się stół, dopóki termometr nie będzie wskazywał 15° C. Po upływie pewnego czasu przedmioty, znajdujące się na stole, także ogrzeją się do 15°.

Wprawdzie, dotykając rękę wosku, doznamy wrażenia, że jest on cieplejszy od leżącego obok żelaza; to samo zauważymy, dotykając innych substancji, leżących na stole. Jest to jednakże złudzenie, gdyż termometr z łatwością nas przekona, że wszystkie te ciała mają jednakową temperaturę 15° C.

Czem się jednak dzieje, iż żelazo wydaje się nam zimniejsze, aniżeli wosk? Oto dlatego, iż metale w ogólności są dobrymi przewodnikami ciepła, które szybko rozchodzi się z jednego punktu w całą masę.

Możemy trzymać palącą się zapalkę za jeden koniec, nie odczuwając ciepła, gdyż drzewo jest złym przewodnikiem ciepła. Jeżeli jednak ogrzejemy z jednego końca kawałek drutu tej samej grubości i długości, co zapalka, to nie będziemy mogli go trzymać za drugi koniec palcami, gdyż ciepło natychmiast z ogrzanego końca rozejdzie się po całym drucie i sparzy nas w palec.

Dotykając kawałka żelaza, mającego tylko 15° ręką znacznie cieplejszą, czujemy, że żelazo odbiera nam ciepło i rozprasza je w całą swoją masę, dla tego właśnie dozna-

jemy uczucia chłodu. Tymczasem zbliżając rękę do wosku naprzykład, ogrzewamy ręką to miejsce, którego dotykamy, ale ponieważ ciepło nie może się rozproszyć zaraz w całej masie wosku, przeto ogrzane miejsce nie traci swego ciepła i wydaje się nam cieplejsze.

Inaczej jednak dzieje się, jeżeli wyżej wymienione substancje zapagniemy ogrzać o 1 stopień wyżej. Przypuśćmy, że trzeba ogrzać kawałek wosku, mający temperaturę 15°, do 16°. W takim razie musimy na to zużyć pewną ilość ciepła; podobnie musimy zużywać ciepło, ażeby ogrzać o 1 stopień wyżej inne substancje. Jednakże ilości ciepła potrzebne do tego celu nie są jednakowe. Przypuśćmy, że wszystkie kawałki z wymienionych materiałów są jednakowej wielkości, przenieśmy je wraz ze stołem do sąsiedniego pokoju ogrzanego do 16°, a zauważymy przy pomocy termometru, iż najprędzej osiągniemy temperaturę 16° żelazo, natomiast skóra będzie potrzebowała na to znacznie więcej czasu, woda jeszcze więcej, drzewo zaś będzie się ogrzewało najdłużej do 16°.

Takie samo zjawisko obserwujemy na wszystkich substancjach, jakie tylko znajdują się w świecie. Robiąc doświadczenia ze wszystkimi pierwiastkami, fizycy doszli do przekonania, że najprędzej ogrzewa się ołów, za nim cyna, później żelazo, następnie siarka i t. d.

Liczne doświadczenia przekonały nas, że owa ciepłota znajduje się w ścisłym związku z atomami i z ich liczbą w związkach.

Wz. U.

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg.)



bardzo dziwna wiedza! — zawołałem z goryczą. — Panie Bedfordzie — rzekł Cavor poważnie, — czyż nie z własnej nieprzymuszonej woli udałeś się pan ze mną na tę wyprawę?

— Tak jest, bo pańska wiedza i wynalazczość zachwyciły mnie po prostu, i przez myśl mi nie przeszło, żeby ta sfera, nad której budowaniem pracowaliśmy tak gorliwie, zawiodła nas do tej ciemnicy.

— A myślisz pan, że gdy ja zacząłem pilnie badać fizyczne własności różnych ciał, to przeszło mi przez myśl, że podążę kiedyś na księżyc?

— Ach ta przekłeta uczoność! — zawołałem.

— Panie Bedfordzie, kłótnie i wymówki do niczego nie doprowadzą, jesteśmy w takim położeniu, że potrzebujemy wielkiej rozwagi, aby się zeń wydobyć, gniew zaś się na nic nie przyda, przeciwnie.

Umilkł, a po chwili ciągnął dalej.

— Najprzód trzeba znaleźć sposób porozumienia się z Selenitami, może na migi, bo mowy ich podobnej do świstu piszczałki pewnie nigdy nie zrozumiemy.

— Ja sądzę, — rzekłem, — iż łatwiej byłoby nam porozumieć się z każdym zwierzęciem na ziemi, niż z tymi księżycowymi cudakami.

— Nie jestem bynajmniej pańskiego zdania; Selenici są to istoty rozumne, a choć wielka jest różnica między nami a nimi, jednak rozum może być iskrą porozumienia między istotami obdarzonymi tą władzą duszy. —

— Może pan ma rację, — odrzekłem, — ale jakoś nie mogę sobie wystawić tej duszy selenickiej.

— A jednak łańcuchy, którymi nas skuli dowodzą jaśno, że posiadają inteligencję.

— Co nam przyjdzie z ich inteligencji, kiedy ani my ich, ani oni nas nie rozumieją. Ale dobrze mi tak! zamiast pisać spokojnie w Lympe moją sztukę teatralną, zachciało mi się wielkich rzeczy — podróży naukowych, zwiedzenia nowych, nieznanych światów, dobrze mi tak!

Umilkłem, a w tej chwili ciemności naszego więzienia rozjaśniła, jak to już raz miało miejsce, smuga błękitnego światła. Drzwi się otworzyły i bez najmniejszego szaleństwa weszło kilku Selenitów. Dwóch z nich niosło naczynia metalowe, a gdy się zbliżyli, zobaczyłem, że były pełne jakiegś jasno brunatnej polewki, w której pływały białe kawałki; wszystko to zapachem przypominało owe czerwone grzyby.

Ręce moje były tak silnie skute, że nie mogłem niemi objąć naczynia, które mi podawał Selenita, co widząc, dwaj inni zbliżyli się szybko i bardzo zręcznie rozluźnili moje okowy.

Zbliżyłem do ust polewkę i piłem chciwie, potem wyłowilem białawe kawałki i nakładłem ich pełne usta, były bardzo smaczne, zupełnie podobne do ziemskich wafli. Zanim nam przyniesiono ten posiłek, byliśmy tak zajęci naszymi myślami, że nie czuliśmy głodu, teraz zaś pochłanialiśmy podane jedzenie jak zgłodniałe wilki.

Selenici stali przy nas i baczenie nam się przypatrując, od czasu do czasu mówili coś do siebie w swej dziwnej piskliwej mowie. Gdyśmy skończyli nasz posiłek, zacieśnili nam znów kajdany na rękach, a rozluźnili na nogach, odczepili łańcuch, który nas przykuwał do ściany, otworzyli szeroko drzwi, przez które widać było gromadę towarzyszy i zaczęli nam dawać jakieś znaki.

— Zdaje się, że nas chcą uwolnić — rzekł Cavor — pamiętaj pan, że jesteśmy na księżycu, hamuj żywość swych ruchów.

— Dobrze, dobrze — odrzekłem machinalnie, gdyż zaciekawił mnie jeden Selenita, który usilnie kręcił głową, jak człowiek, któremu dokucza niewygodny kołnierzyk; konieczne chciałem zrozumieć, co ten ruch może znaczyć, a nie mogąc go pojąć, zacząłem tak samo jak on kręcić głową.

To bardzo zastraszyło Selenitów, i wszyscy tak samo zaczęli kręcić głowami, lecz my obadwaj nie zrozumieliśmy nic. Nareszcie jeden z nich, grubszy od innych, z ustami tak szerokimi jak paszcza żarłocznego zwierza, przykucnął obok Cavora, a po chwili wstał.

— Cavorze — rzekłem — oni chcą, byśmy stanęli na nogach.

— Zapewne — odrzekł, i choć z pewną trudnością, bo nam kajdany przeszkadzały, powstał.

Ów gruby Selenita pogłaskał nas z zadowoleniem po twarzy i poszedł pierwszy ku otwartym drzwiom. Było jasne, że mieliśmy iść za nim. Poszliśmy więc.

Zaraz przy drzwiach otoczyła nas straż. Czterech wysokich Selenitów w spiczastych hełmach, w pewnego rodzaju zbroi, z pikami w ręku stanęło po dwóch przy każdym z nas.

Wyszedszy z więzienia, znaleźliśmy się w obszernym podziemi, gdzie warczały jakieś ogromne maszyny, bardzo szybko działające. Zrozumieliśmy odrazu, skąd pochodził szum i łoskot, który słyszeliśmy w więzieniu. Z wielkiej jednej maszyny wychodziło owe łagodne światło błękitnawe, które oświetlało całe podziemie, to nas bardzo zainteresowało, więc przystanęliśmy, aby się jej przypatrzeć.

Cavor był zachwycony tem, co tu ujrzał, i zawołał z zapalem uczonego:

— Ależ te istoty są mądrzejsze od nas! Czy ludzie umieliby zrobić coś podobnego?

Tymczasem gruby Selenita, widząc żeśmy się zatrzymali, wrócił po nas, a że wciąż staliśmy zapatrzeni u maszyny, chcąc zwrócić naszą uwagę, dotknął lekko swą chłodną ręką naszych twarzy. Drgnąłem pod dotknięciem tego śliskiego ciała, i rzekłem.

— Jakby mu to dać poznać, że nas te maszyny interesują?

— Spróbuję — odrzekł Cavor, i uśmiechając się porozumiewająco, wskazał ręką na maszynę a potem na swą głowę. Selenici, których cała gromada postępowała za nami, zaczęli kiwać głowami jakby ze zdziwienia i coś żywo mówić do siebie. W końcu jeden z nich, cienki i wysoki jak tyczka, wziął wpół Cavora i lekko popchnął go naprzód.

Cavor szarpnął mu się, przecząco potrząsł głową i rzekł żywo:

— Pojmijcie raz na zawsze, że nie jesteśmy zwierzętami, lecz istotami obdarzonymi takim samym rozumem, jak wy. Pozwólcie mi popatrzeć na waszą maszynę, za chwilę pójdę, gdzie każecie.



Dobłą już godzinę szliśmy za naszym przewodnikiem...

Na tę odezwę mego towarzysza jeden z czterech uzbrojonych Selenitów uklął go piką. Krew trysnęła, Cavor krzyknął i skoczył na sześć stóp wysoko, a ja z groźnym gestem zwróciłem się do mego strażnika, który cofnął się w tył natychmiast, a za nim cała gromada Selenitów.

— Oni nas zabiją — rzekł Cavor i urwał, bo gniew go dławził.

— Niech ich wszystkich licha porwie! Nie dam im się klóć jak baran, musimy się bronić — zawołałem.

Spojrzałem na prawo i na lewo, nie było widać żadnego wyjścia z tego obszernego podziemia, straż uzbrojona, cała gromada tych wstrętnych istot, przeciwko nam dwóm skutym kajdanami. Położenie było bez wyjścia!

Ochłoniawszy z gniewu, Cavor trupio blady w tem błękitnawem świetle, zbliżył się do mnie, i kładąc mi rękę na ramieniu, rzekł:

— Niestety, oni nas nie rozumieją! Musimy iść, gdzie nas prowadzą.

— Żebym miał tylko wolne ręce, tobym im pokazał!

— Na nicby się to nie zdało — rzekł smutno. — Chodźmy dalej.

I poszedł a ja za nim, lecz idąc, bacznie się przypatrywałem moim kajdanom i w cichości pracowałem, żeby złamać lub rozerwać jedno ogniwo.

Naraz Cavor rzekł:

— Jeżeli budują takie wielkie maszyny, to muszą znać geometryę i rysunek, może w ten sposób porozumiemy się.

— Dobrzeby to było, żebyś pan narysował jaką figurę geometryczną, żeby nareszcie zrozumieli, że jesteśmy istotami cywilizowanymi, nie gorszymi od nich.

— Łańcuchy mi przeszkadzają i nie mam czem narysować, ale czuję to, że jak się raz porozumiemy, to wszystko pójdzie dobrze.

Dobłą już godzinę szliśmy za naszym przewodnikiem, jakby po strumieniu błękitnawego światła, które przystawało do stóp, i zauważyłem, że spuszczamy się coraz niżej po równej pochyłości; naraz stanęliśmy nad czarną jakąś, szeroką przepaścią, przez którą rzucona wążka deska stanowiła jedyne przejście; koniec tej wążkiej kładki tonął w ciemności. Stojąc nad brzegiem, nie mogliśmy dojrzeć dna czarnej otchłani.

Przewodnik nasz dotknął mego ramienia, wstał na deskę i lekkim krokiem szedł po niej, aż zniknął nam z oczu, drugi Selenita poszedł za nim, dając nam znak, abyśmy także poszli, ale my staliśmy, nie ruszając się z miejsca, a dookoła nas straż i cały tłum tych mieszkańców księżycy. Deska była tak wążka, że wprost czułem zawrót głowy na samą myśl wstąpienia na nią.

Dwóch moich strażników wzięło mnie za ramiona i lekko pociągnęło ku desce, lecz w tejże chwili udało mi się oswobodzić z kajdan lewą ręką, wyrwałem im się i pokazując ręką w kierunku przepaści, kiwałem głową przecząco, mówiąc:

— Ja tam za nic w świecie nie pójdę.

Wtedy jeden ze strażników uklął mnie mocno w plecy swą ostrą piką, skoczyłem ku niemu chcąc mu wyrwać broń, a on drugi raz jeszcze mocniej mnie zranił. Wściekły z bólu, rzuciłem się na niego, przebiłem go na wylot jego własną piką, padł na ziemię; zdziwiło mnie moje łatwe zwycięstwo. Trzech innych strażników rzuciło swą broń i uciekło również jak i cały tłum, my zaś obawiając się odwetu, postanowiliśmy się ukryć w jednej z bocznych, ciemnych jaskiń podziemia.

XIII.

Jeszcze walka.

Szliśmy szybkim krokiem tą samą drogą, która doprowadziła nas do przepaści, tylko w odwrotnym kierunku. Z prawej i lewej strony słychać było piskliwe krzyki i nawoływania, nie uważaliśmy na to wszystko, szybko oddalając się od kładki, aż dotarliśmy do ciemnego tunelu, gdzie już zupełnie było cicho. Zawahaliśmy się trochę, nie wiedząc, czy nie spotka nas znów jaka przykra niespodzianka w tej czarnej szyi, lecz bojąc się pogoni Selenitów, puściliśmy się naprzód ostrożnie, badając grunt pikami, i szliśmy wolno, stąpając lekko, aby nie słyszano naszych kroków.

Naraz Cavor stanął i szepnął:

— Belfordzie, jakieś światło przed nami!

Podniosłem oczy, istotnie postać Cavora, który stał o dwa kroki przede mną, rysowała się ciemnym konturem na trochę jaśniejszem tle, a nie było to niebieskawe światło, wypływające z owej tajemniczej maszyny, lecz jakby szary blask świtu. Serce mi drgnęło radością i nadzieją.



Wiosna i zima (patrz wiersz str. 366).

— Więc może już wyjdziemy nareszcie z tych mroków — pomyślałem.

Cavor szedł prędko naprzód, podążyłem za nim. Światło było coraz jaśniejsze, wkrótce tunel rozszerzył się w obszerną grootę pełną szaro srebrnego światła. Wchodziło ono tam z góry przez szeroką szczelinę w sklepieniu groty, z której spadło mi na głowę kilka kropel wody, gdy przystanawszy przypatrywałem się.

— Cavorze — rzekłem — gdy podsadzimy jeden drugiego, to dostaniemy się do tej szczeliny.

— Dobrze — odrzekł — ja pana podsadzę.

Na ziemi byłoby to zupełnem niepodobieństwem, tu jednakże, wziął mnie jak dziecko na ręce i podniósł w górę. Wobec mniejszej siły przyciągania na księżycu, każdy z nas ważył znacznie mniej, a siłę miał tę samą. Chwyciłem rękami za krawędź szczeliny, wciągnąłem się z łatwością wyżej, usiadłem wygodnie na skale, która była tuż obok opierając nogi na krawędzi, i rzekłem do Cavora, pochylając się ku wnętrzu groty.

— Ja ukłknę teraz na brzegu i wyciągnę rękę, pan się jej uchwycić mocno, to go tu wciągnę.

Za chwilę Cavor był obok mnie, na księżycu ciała nasze były tak lekkie, że łatwo było wdzierać się na wysokości nawet bez kija góralskiego. Rozpatrując się w nowej miejscowości, zobaczyliśmy ze smutkiem, że to srebrno szare światło, nie było dziennem światłem, lecz silnym fosforycznym odbłaskiem, od jakichś srebrzystych grzybów, które tu rosły na wielkiej przestrzeni. Deptałem je ze złością, w końcu usiadłem na złomie skały i rzekłem z goryczą:

(d. c. n.)

Wiosna i zima.

Szary dzień kona... pora jesienią

Chmurami niebo zasłania;

Skryła się słońca tarcza promienna.

Słychać wichrowe łkania...

Wieczór się zbliża... W cichej izdebce

Ognisko serca weseli,

Przy niem staruszka coś z cicha szepce;

Tuż dziewczę przy kądzieli.

Oczy staruszki w ziemię utkwione:

Wspomnieniom, zda się, oddana;

Od lat przeżytych ciało zgarbione,

Zmarszczkami twarz zorana.

Babunia szepce, mówi coś zeicha,

A dziewczę słucha ją hoże;

Twarcz mu się młodem życiem uśmiecha,¹

I w oczach błyszczą zorze.

— Pytasz się, wnuczko, pytasz się, droga,

Czemu jam taka milcząca?

Czemu westchnienia moje do Boga

Tajemny ból zamąca?

— Chciałabys lepiej, bym ci piosenkę

Z lat moich młodych nuciła:

Kiedy twój dziadek szedł na wojenkę,

A jam się zań modliła?

— Widzisz, kochana, tyś jako ptaszę,

Młoda, ochocza, radosna;

Różne są drogi i lata nasze

Ja zima, a ty wiosna...

— Życie dopiero rąbek podwoi

Przed tobą, wnuczko, odsłania;

Mnóstwo się myśli w twej głowie roi...

Jam bliska już rozstania!

— Świat ci się zdaje uroczą tęczą;

Życie się tobie uśmiecha...

A twoją babkę lata już dręczą;

Wesela zmilkły echa...

— Lecz nie narzekam: lat żyłam wiele!

Daj Boże przeżyć ci tyle!

Była i młodość, było wesele;

Były i smutne chwile...

Umilkła... Jasne czoło dziewicy

Myśl tęskna chmurką przesłania...

Wieczór już zapadł; cisza w świetlicy;

Za oknem wiatru łkania...

Alfred Ludowski.

NOWA KOLEŻANKA.

I.



Panna Teresa Śliwicka siedziała w swoim pokoju, czytając list, który z poczty odebrała. Była to już niemłoda osoba, niezmiernie miłej i ujmującej powierzchowności, mieszkała sama w Warszawie i zwykle opiekowała się panienkami, uczącemi się na pensyi lub prywatnie. I teraz miała cztery lokatorki, których głosy dawały się słyszeć w przyległym pokoju, były to panienki w wieku 14 — 16 lat. Mania i Antosia Kolskie chodziły na pensję, Julcia Darewiczówna brała lekcye muzyki w konserwatorium, a prócz tego uczyła się innych przedmiotów wraz z Irenką Janowską od przychodzących nauczycielek. Panna Teresa lubiła je wszystkie i otaczała serdeczną troskliwością, to też panienki odpłacały się jej szczerem przywiązaniem.

Obecnie pocziwa panna Teresa była w prawdziwym kłopotcie; bardzo dawna i dobra znajoma, mieszkająca na wsi, chciała w umieścić u niej swą siostrzenicę, 14 letnią Wandę Gąsiewską, dla kształcenia się w muzyce, oraz w innych przedmiotach; w razie odmowy, Wanda pozostałaby na wsi, na czem najwięcej ucierpiałaby muzyką, do której Wanda miała wybitne zdolności. Panna Teresa zamysliła się głęboko: przy niewielkiem mieszkaniu, przyjęcie Wandy ujmowało trochę wygody jej samej i mieszkającym u niej panienkom, a nie przynosiło korzyści, gdyż Wanda miała płacić tylko połowę tego co inne.

— Jednak muszę ją przyjąć — rzekła panna Teresa do siebie. A widząc przechodzącą Irenkę, uwiadomiła ją o swoim projekcie.

— Jakto? Pani ma zamiar przyjąć tę panienkę? — spytała zdziwiona Irenka — wszakże niedawno odmówiła pani komuś z powodu braku miejsca.

— To prawda, lecz teraz jest co innego, byłam w wielkiej przyjaźni z jej matką, jest to poniekąd moim obowiązkiem przyjść z pomocą biednej sierocie i dać jej sposobność wykształcenia się w muzyce, która może zapewnić jej byt w przyszłości. Podobno już dziś gra bardzo ładnie.

— Czy pani jej nie zna?

— Widywałam ją często, gdy była małym dzieckiem, od sześciu lat nie widziałam jej wcale, lecz mam nadzieję, że pozostała tą samą, pocziwaj dziewczynką, i że będziecie zadowolone z nowej koleżanki.

Panna Teresa odwróciła się do okna i nie zauważyła uśmiechu trochę pogardliwego, z jakim Irenka wyszła do drugiego pokoju, gdzie znajdowały się trzy inne panienki.

— Czy wiecie, że przybywa nam towarzyszka! — zawołała od progu.

— Któż to jest?

— Jakaś sierota, znajoma panny Teresy, z ubogiej rodziny, jednym słowem, zdaje mi się, że nic osobliwego.

— A może będzie z nią weselej — rzekła Julcia Darwiczówna.

Irenka wzruszyła ramionami.

— Jak ona się nazywa? — spytała Mania Kolska.

— Gaska! — zawołała prędko Irenka.

Dziewczynki śmiać się zaczęły.

— Jakie ty masz zabawne pomysły, Irenko, ale my chcemy wiedzieć jej prawdziwe nazwisko.

— Wanda Gąsiewska; czy nie mam racji przeważać ją gaską?

— Ja się tam wcale na nią nie cieszę — rzekła Mania — będzie nam bardzo niewygodnie, gdzież ona sypiać będzie? W tym pokoju niema miejsca na czwarte łóżko, nawet Julcia sypia w salonie.

— A ja nie myślę ustąpić mego kącika — dodała Julcia.

— No, to pewna, że i ja mego stolika nie oddam pierwszej lepszej „gąsce” — rzekła z przekąsem Irenka.

— Wyobrażam sobie, że to będzie niezdolne stworzenie.

— Jak wy się uprzeczacie — odezwała się najmłodsza z panienek, Antosia Kolska — a może to dobra dziewczynka.

— Dobra, czy nie dobra, ja się z nią przyjaźnić nie będę — wyrzekła stanowczo Irenka, która widocznie miała przewagę w tem młodem gronie.

II.

We dwa tygodnie potem przybyła do Warszawy owa Wańdzia, tak niechętnie oczekiwana przez swe towarzyszek! Trzeba przyznać, że nie usprawiedliwiała niczem tego uprzedzenia.

Po śmierci rodziców wychowywała się od lat siedmiu w domu biednej ciotki, która choć kochała ją i dbała o jej wykształcenie, była jednak dość surową. To postępowanie uczyniło nieśmiałą z natury Wandę bardziej zamkniętą w sobie, niż to zwykle bywa w tym wieku. Do tego usposobienia dziewczynki przyczynił się także brak młodego towarzystwa; wychowana na wsi, w okolicy pozbawionej bliskiego sąsiedztwa, rzadko spotykała panienki swego wieku, z żadną też nie zawiązywała przyjaznych stosunków. Najmilsze dla niej chwile stanowił przyjazd brata o rok od niej młodszego, który wakacje i święta spędzał u ciotki. Żyjąc wśród tych warunków, Wanda czuła się jednak zupełnie zadowoloną ze swego losu; zdolna i pracowita, garnęła się do nauki, miała szczególniej zamiłowanie do muzyki i oddawała się jej z zapalem. Dla muzyki też głównie wysyłała ją ciotka do Warszawy, a Wanda choć cieszyła się myślą dalszego kształcenia się, z żalem opuszczała dom ciotki, by zamieszkać wśród obcych zupełnie osób.

W pośpejny wieczór październikowy panna Teresa pojechała na Pragę, żeby spotkać Wandę, przybywającą wieczornym pociągami, poleciwszy Julcia przygotowanie herbaty. Jadalny pokój oświetlony dużą lampą, przedstawiał wesoły widok, zebrały się w nim wszystkie panienki po ukończeniu lekcji.

— Poznamy nareszcie naszą gaskę — mówiła Irenka — ciekawam, co ona umie, panna Teresa dużo mówi o jej muzyce, ale co do innych nauk, nie wiem, czy nam dorówna.

— Jestem pewna, że nie dorówna — rzekła Mania — czegoż ona się tam na wsi mogła nauczyć?

— Słyszałam, jak panna Ziębowiczówna mówiła — wtrąciła Antosia — że każda panienka powinna skończyć pensję, albo przynajmniej uczyć się w Warszawie, jeżeli ma być wykształconą.

— To też przysyłają ją do Warszawy — rzekła Julcia.

W przedpokoju rozległ się dzwonek i panienki przerwały rozmowę, spoglądając ciekawie na towarzyszkę pannę

Teresy; Wanda była zręczna i na swój wiek dość wysoka, twarzyczkę miała nietyle ładną ile sympatyczną.

Panna Teresa zapoznała ją zaraz z panienkami.

— A teraz, moje dziecko, rozbierz się i siadajmy do herbaty, musisz być głodna i zmęczona podróżą.

— O nie, proszę pani, nie jestem wcale zmęczona, — rzekła Wanda trochę śpiwnym akcentem.

— Nie wiedziałam, że panna Wanda jest Litwinką — odezwała się Irenka.

— Ja właściwie nie jestem Litwinką, bo mieszkam jeszcze w Królestwie, jakkolwiek nad brzegiem Niemna.

— Doprawdy? A ja myślałam, że tylko Litwinki przeciągają — rzekła Mania.

— Ależ ja nie przeciągam — odparła Wanda — przynajmniej bardzo mało.

— *Ja nie przeciągam* — zaśmiała się Julcia, przedrzeźniając — a jak się nazywa taki akcent, panno Wando?

Dziewczynki wybuchnęły śmiechem.

Wanda zaczerwieniła się.

— Nie widzę nic śmiesznego w moim akcencie — rzekła urażona.

— Moje panienki — odezwała się panna Teresa — nie zapominajcie o dwóch obowiązujących u mnie przepisach: najprzód powinniście wszystkie bez wyjątku mówić sobie po imieniu, a następnie wyśmiewanie się wzajemne jest stanowczo wykluczone.

— Niech się pani nie gniewa — odrzekła Mania — nie wiedziałam, że Wańdzia się obrazi.

Przez chwilę trwało milczenie, potem panienki zaczęły rozmawiać między sobą, Wanda nie odzywała się wcale, czuła się smutną i obcą wśród tych nowych znajomych; przykro jej było przytem, że okazała się obrażoną ich żartami.

— Naraziłam się na śmieszność — rzekła sobie w duchu — ale one były złośliwe!

III

Nazajutrz wypadła niedziela, panienki, wolne od nauki, zebrały się po południu w swoim pokoju.

— O czem tak myślisz, Wańdziu? — spytała Julcia — stoisz w oknie od godziny...

— Przyglądam się Warszawie.

— Nie znasz jej jeszcze?

— Nie, pierwszy raz tu przyjechałam.

Julcia spojrzała na nią zdziwiona.

— Jaki? pierwszy raz? Tak mi się to dziwnem wydaje, żeby kto nie znał Warszawy, ja przyjeżdżałam tu prawie co rok, będąc jeszcze małym dzieckiem.

— To co innego, twój rodzice mieszkają tylko o parę godzin drogi koleją, moja ciotka zaś znacznie dalej, nie więc dziwnego, że nie miałam dotychczas sposobności być w Warszawie.

— Prawdziwa gaska — szepnęła Irenka do Mani.

Lecz ta zwróciła się do Wandy, nie odpowiadając na uwagę Irenki.

— Jestem pewna, że Warszawa tak ci się podoba, że nie zatęsknisz do swoich stron.

— Wątpię, chociaż Warszawa wydaje mi się bardzo piękną, pewno nie pokocham jej tak, jak moje rodzinne strony.

— W takim razie — rzekła Irenka — możesz sobie powtarzać początek z „Pana Tadeusza.”

„Litwo! ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile... ile...”

Zatrzymała się.

(d c. n.)



ZE ŚWIATA.

Porwany przez rekina. Z Neapolu donoszą o przerażającym fakcie. Od czasu otwarcia kanału Suezkiego pojawiają się czasem w morzu Śródziemnym rekiny. Zwykle jednakże w skutek chłodniejszej temperatury wody na jesieni, straszni ci goście giną. Dotychczas nie zdarzyło się, aby kto padł ofiarą żarłoczności tych drapieżców. Ale niedawno właśnie zdarzył się taki wypadek w prowincyi włoskiej Catanzaro.

Czterech młodzieńców, kąpiących się w morzu, zostało napadniętych nagle przez ogromnego rekina, który okrążył ich z daleka w taki sposób, by przeciąć im drogę do brzegu. Młodzieńcy zaczęli krzyczeć przeraźliwie i rzucili się do ucieczki. Kilku rybaków natychmiast pośpieszyło z pomocą na łodziach, ale kiedy byli już blisko, ujrzeni z przerażeniem, że jeden z uciekających został porwany przez rekina i z okropnym krzykiem zginął w głębinach morskich razem ze swoim strasznym napastnikiem. Trzej inni zostali uratowani, o czwartym niczego nie można było się dowiedzieć nad to, że woda w miejscu, w którym go rekin porwał, była zakrwawioną. Nieszczęśliwy liczył dopiero lat 18.

Król Alfons. Pismo hiszpańskie *Correo* opowiada, że król wychodząc z pałacu z królową matką i orszakiem, spotrządził księdza, który siedł z wiatykiem do chorego. Król, królowa i wszystkie osoby świty padli na kolana, monarcha następnie, zamiast wsiąść do czekającego powozu, polecił, aby ksiądz zajął w nim miejsce, sam zaś siedł za powozem z odkrytą głową aż do mieszkania chorego.

Edison o aeronautyce. Zapytywano niedawno Edisona, jaką przyszłość ma przed sobą balon, jako przedmiot użytku codziennego. Znakomity wynalazca odpowiedział. „Zdaje mi się, że w przeciągu lat 30-ci wszystkie koleje zastąpią lokomotywy parowe, motorami elektrycznymi, oraz, że samochody elektryczne wyrugują prawie zupełnie konie, jako zwierzęta pociągowe. Co się tyczy żeglugi napowietrznej, to nauka nie wykazuje dotychczas takich faktów, na zasadzie których możnaby przepowiedzieć aeronautyce praktyczne zastosowanie w przyszłości.

Pierwszy pancernik zbudowali Japończycy i to już

przed laty 300. Oficer angielski, major Feld, odnalazł w starych rękopisach bardzo dokładny rysunek pancernika z r. 1600, zbudowany wówczas w Japonii i spuszczonego na morze. Rysunek ów znajduje się obecnie na wystawie marynarskiej w Portsmouth. Szkielet okrętu pokryty jest całkowicie panczerem z żelaza i miedzi; nadto okręt zaopatrzony jest w dwa stery, jeden z przodu, drugi z tyłu, a dziesięć armat składało się na uzbrojenie tego szczególnego pancernika, podobnego kształtem do żółwia. „Bardzo zręczna maszyna,” opiewa tekst, dołączony do rysunku, „urządzona była w środku okrętu, w kształcie sterów żelaznych, a wprawiało ją w ruch około dwudziestu czterech ludzi.”

SZARADA.

E. L.

*Pierwsze z drugim w głębinach ziemi się ukrywa,
Trzecie z drugim gdy wielkie, nader zgubnem bywa.
Wszystko wraz jest rzeka, co w siostrzanej zgodzie,
Łączy się z naszą Wisłą w pewnym starym grodzie.*

ŁAMIGŁÓWKA.

Ul. Kasztelanka dla Łochozwaniki.

W ciąż i w niśmie inie łbądź op łaświach,
Mahuj isę w rguomy cieol;
Szajnaltwar konspięć w ólp chybnord chatwiak,
Szakajniwć ćwiekoś! — w rociestóp!
Ob na tmy ewiście skotwysz sęi cimee,
W odnię nieślek órga,
Lytko wart lates ot biesok zięcięd,
Nazwiec, emiznienan: Tauran!

Przestawić litery, aby utworzyć wiersz.

ROZWIĄZANIA DO Nru 44-go.

Szarady: Za — wa — dy.

GYMNASTYKA SZWEDZKA

dla zdrowych i wątłych.

Stosuje się także w skrzywieniach kręgosłupa, nierównościach łopatek, w nerwowości, anemii, w wielu objawach złego krążenia i trawienia, pod stałym kierunkiem lekarskim, w *Zakładzie Heleny Kuczańskiej, Moniuszki* 9 gmach Tow. Rosya. Cena 3 rub. miesięcznie, pedagogiczna, — 10 rub. lecznicza z masażem. Dla gimnazystek i pensjonarek niższe. Kursa wieczorne dla pracujących miesięcznie rubla. Chłopcy do lat 12. 4—3

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna, miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: O naszej najdawniejszej pieśni, przez Ign. Chrzanowskiego (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, przez Wł. U. — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wells (z ryc.) — Wiosna i zima, wiersz przez A. L. (z ryc.) — Nowa Koleżanka. — Ze świata. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Zaklęty tort czyli figiel Janka (z ryc.) — Pogadanki z życia codziennego (nafta), przez Irenę Mrozowicką. — Dalszy ciąg historii: Aniołek - złościzka, przez Z. B. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piaśką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Biruta przez Z. Rudnicką.

Nr. 47. — Rok XXIII.

Dnia 9 (22) Listopada 1902 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Wyjazd maharadży indyjskiego (str. 375).

Pogadanki z dziedziny chemii.

XX. Jak się ogrzewają ciała i jak się ogrzewają atomy.

W przytoczonych przykładach widzieliśmy, że ołów ogrzewa się najprędzej o pewną liczbę stopni i pod tym względem przewyższa on siarkę 6 krotnie.

Skąd to pochodzi? Nauka daje na powyższe pytanie następującą odpowiedź!

Chemia uczy nas, że chcąc połączyć ołów z siarką trzeba brać na każde 1293 części wagowe ołowiu 200 części wagowych siarki, to znaczy mniej więcej 6 razy tyle ołowiu, aniżeli siarki.

Z drugiej strony jednak wiemy, że jeden atom ołowiu łączy się z 1 atomem siarki, z tego wypływa, że 1293 kilogramów ołowiu zawierają tyleż pojedynczych atomów, co 200 kilogramów siarki, albo inaczej, że w 1 kilogramie ołowiu jest 6 razy mniej atomów, aniżeli w 1 kilogramie siarki. Jeżeli więc chcemy ogrzać 1 kilogram ołowiu i 1 kilogram siarki na 1 stopień, to musimy w kilogramie siarki ogrzać 6 razy więcej atomów, aniżeli w kilogramie ołowiu. Dla tego też musimy ogrzewać siarkę 6 razy dłużej, aniżeli ołów.

Jeżeli zechcemy wyrazić się w sposób bardziej zrozumiały, to powiemy, że pojedynczy atom siarki ogrzewa się również szybko, jak pojedynczy atom ołowiu. Dlaczego jednak 1 kilo. ołowiu ogrzewa się 6 razy prędzej, aniżeli kilogram siarki? Poprostu dla tego, że w 1 kilogramie siarki jest 6 razy więcej atomów.

Zobaczmy, czy podobnie dzieje się i z innymi substancjami?

Jeżeli na przykład chcemy ogrzać na 1 stopień kilogram cyny, to musimy zużyć na to $\frac{1}{4}$ tej ilości ciepła, jakiej potrzebujemy dla ogrzania na 1 stopień kilograma siarki czyli inaczej, cyna ogrzewa się 4 razy łatwiej, aniżeli siarka.

Łącząc chemicznie cynę z siarką widzimy, że na każde 737 wagowych części cyny należy wziąć 200 części wagowych siarki. To nas upoważnia, do wniosku, że 737 kilogramów cyny zawiera tyleż atomów, co 200 kilogramów siarki, czyli, innymi słowy, 1 kilogram siarki zawiera 4 razy tyle atomów co kilogram cyny. Ponieważ zaś każdy atom ogrzewa się jednakowo szybko, przeto ogrzewanie siarki musi trwać 4 razy dłużej, gdyż zawiera ona 4 razy więcej atomów, niż 1 kilogram cyny. O żelazie wiemy z doświadczenia, że 1 jego kilogram dwa razy prędzej ogrzewa się od kilograma siarki. Z tego wypada, że w kilogramie siarki jest 2 razy tyle atomów, co w kilogramie żelaza.

Otóż możemy zapewnić czytelnika, że: po pierwsze, liczby otrzymane przez badaczy jeszcze lepiej zgadzają się ze sobą, aniżeli podaliśmy wyżej, po drugie, że ta zgodność pomiędzy ogrzewaniem a liczbą atomów dotyczy wszystkich ciał stałych. Jeżeli zaś tak jest, to powyższe obserwacje stwierdzają w świetny sposób twierdzenia teorii atomistycznej.

Wprawdzie zgodność ta odnosi się tylko do ciał stałych; nie dotyczy zaś gazów, które ogrzewają się nie w tym stopniu, jakby tego wymagało powyższe prawo. Ale ścisłe badania pozwoliły nam wykryć bardzo ważne prawo, dotyczące gazów i będące także potwierdzeniem teorii atomów.

Jak wiadomo $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru łączy się ze 100

gramami tlenu, to znaczy, że każdy gram wodoru potrzebuje 8 gramów tlenu, ażeby wytworzyć wodę; na zasadzie tego, cośmy wyżej powiedzieli 1 gram wodoru powinienby zawierać 8 razy tyle atomów, co gram tlenu.

Gdyby tak było, ciepłojemność wodoru powinna być 8 razy większą od ciepłojemności tlenu. Doświadczenie uczy jednak, że 1 gram wodoru ogrzewa się nie 8, ale 16 razy wolniej i że przeto w 1 gramie wodoru znajduje się 16 razy więcej atomów aniżeli w gramie tlenu. Ponieważ zaś $12\frac{1}{2}$ gramów wodoru łączy się zawsze ze 100 gramami tlenu na wodę, przeto w owych $12\frac{1}{2}$ gramach wodoru znajduje się dwa razy tyle atomów co w 100 gramach tlenu. Dochodzimy przeto do godnego uwagi rezultatu. Mianowicie, że atom wodoru, tworzący z tlenem wodę, składa się właściwie z 2 atomów czyli że jest podwójnym. Zgadza się to w uderzający sposób z faktem, że do wytworzenia wody potrzeba 2 objętości wodoru na 1 objętość tlenu. Liczba atomów jest przeto w każdej objętości danego gazu jednakowa; badania dowiodły, że podobnie dzieje się ze wszystkimi znanymi gazami, to jest, że jednakowe objętości gazów zawierają zawsze jednakowe ilości atomów.

Fakt, że lotne ciała w jednakowych objętościach zawierają jednakowe ilości atomów stosuje się tylko do jednakowego ciśnienia i jednakowej temperatury. Pod tym względem gazy zawierające jednakowe ilości atomów w jednakowych objętościach różnią się bardzo od ciał stałych, które jak wiadomo w jednakowych objętościach zawierają rozmaite ilości atomów. Ciało stałe bowiem, rozszerzając się wskutek działania ciepła zwiększa swą objętość a jednak liczba atomów zawartych w nim nie zmienia się.

Ta właściwość ciał lotnych tłumaczy się prawdopodobnie działaniem siły odpychającej, jaka istnieje pomiędzy ich atomami. O tem tajemniczym odpychaniu się w gazowych ciałach chcemy powiedzieć słów parę w następującym rozdziale, a wybierzemy w tym celu jeden z najbardziej interesujących, pouczających przykładów.

Wl. U.

Waga.

Jest waga na niebie wielka,
A przy niej anioł na straży,
Anioł na ziemię spogląda
I ciągle waży, a waży.

— Kto cię postawił tam w górze,

Co ważysz? powiedz aniele.

— Bóg mnie postawił, a ważę,

Komu ma przypaść łez wiele.

Pustotę, śmiechy, szyderstwa,

Na jednej układam szali;

Na drugiej gromadzę w urnie

Łzy, które smutni wylali...

— A jeśli która przeważy,

Co robisz wtedy aniele?

— Gdy radość, to łez dorzucam,

Gdy łzy — to daję wesele.

Bo jedni z ciągłą tęsknotą

Zdążają życia koleją,

Inni w niebaczonej radości

Z siebie i świata się śmieją.

Nie wiedzą oni, że kiedyś

Waga się w niebie przechyli

I cieszyć się będą smutni,

Smućć — ci, co się cieszyli...

Rossowski.

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg.)

Chyba już nigdy nie ujrzymy prawdziwego światła dziennego, ni słońca, jak potępienicy aż do śmierci tulać się będziemy po tych przeklętych podziemiach!

Cavor milczał smutny, i on czuł się przygnębiony. Naraz spojrziałem na łańcuchy, które zabrałem, sądząc, że nam się przydadzą w naszej niebezpiecznej wędrówce, — łańcuchy i pika były ze złota.

Nie wierząc swoim oczom, (gdyż w poprzednim błękitnawem oświeceniu złoto miało jakąś inną barwę) spytałem Cavora, czy się nie mylę.

Popatrzał i rzekł obojętnie:

— Tak, to złoto, czyste złoto.

Podziwiałem jego filozoficzną obojętność w obec tej nowiny, która, co prawda, od razu zmieniła bieg moich myśli. Jaśniej zrobiło mi się na duszy, nie umiałbym sobie zdać sprawy dla czego, ale nadzieja, jak czarowna wróżka, ożywiła me serci i dodała energii do dalszego działania.

Jako człowiek praktyczny, nie żałowałem teraz, że przyjechałem na księżyc, i zadumałem się głęboko, jakimby sposobem jak najprędzej powrócić na ziemię.

Cavor przerwał moją zadumę.

— Mamy tylko dwie drogi przed sobą: wydostać się na powierzchnię, przebić się przez Selenitów, jeżeli ich spotkamy i odszukać naszą kulę, albo też raz jeszcze spróbować za pomocą kreślenia figur geometrycznych porozumieć się z nimi.

— Tylko pierwszą drogę uważam za praktyczną, druga do niczego nie doprowadzi.

— Pan za surowo sądzisz Selenitów, ci, których dotąd spotkaliśmy, to tylko niższe ich stany: pasterzy i robotników. Gdybyśmy mogli żyć dłużej czas na księżycu, toby się o nas dowiedziały i wyższe klasy inteligentne, z którymi z pewnością porozumielibyśmy się za pomocą nauki.

— W teorii masz pan zawsze rację, ale przypuśćmy że tam w Angli w Lympne, gdzie pan pół życia spędził zatopiony w badaniach naukowych, jednego pięknego dnia spadł z księżyca Selenita, mógłby on dziesięć razy umrzeć, zanimby pan wśród swych retort i aparatów dowiedział się o jego istnieniu.

— To prawda, ale tu noce są zimne, grozi nam śmierć z głodu lub mrozu, rzekł Cavor.

— A widzisz pan, Selenici są to istoty bardzo ograniczone, nie mogą pojąć, że my ich nie rozumiemy, i gdy nie robimy tak jak oni, to nas kłują dzidami, jak głupie odporne zwierzęta, a czyż możemy tak jak oni przechodzić nad przepaścią po desce sześć cali szerokiej, my ludzie z ciała i kości?

— Tak pan myślisz?

— Naturalnie, a później moglibyśmy zbudować daleko większą sferę, zebrać kilku ochotników, broń, i znów tu przyjechać, a wtedy nie obawialibyśmy się Selenitów.

— Dla moich badań naukowych, właściwie powinienem wybrać się sam na księżyc, rzekł Cavor jakby do siebie.

— No, już się stało, próżno tego żałować, pomyśl pan lepiej, jakby się tu wydostać z tej podziemnej pułapki.

Umilkliśmy obadwaj, pogrążeni w myślach. Po chwili Cavor rzekł:

— Czujesz pan, jakby z góry wiatr zawiewał?

— Czuję.

— To znaczy, że jesteśmy niedaleko otworu jakiegoś krateru czy sztucznego szybu i trzeba pisać się w górę, a wyjdziemy na powierzchnię księżyca.

Naraz do uszów naszych doszedł odgłos szybkich kroków.

— Selenici nas gonią! — zawołał Cavor.

— To nic, nie domyślą się, gdzie jesteśmy.

Nagle jak błyskawica przebiegła mi przez głowę myśl, że kilka zniszczonych przeze mnie świecących grzybów wpadło przez szczelinę do szarej groty, gdy Selenicy tam przyjdą, poznają w którą poszliśmy stronę, a że zapewne dobrze będą uzbrojeni tym razem, więc źle może być z nami.

— Marsz w górę, uciekajmy na powierzchnię, to jedyny ratunek.

Schyliłem się i szybko zabrałem dwa grzyby, aby nam przyświecały w ciemnościach, wsadziłem w zewnętrzną kieszeń mej flanelowej kurtki i podążyłem za Cavorom, który bardzo chyżo zaczął drapać się w górę. Odgłos kroków przycichł, czasem mignęło nam znane już błękitnawe światło, czasem doszedł z boku szmer ciekącej wody, a my pięliśmy się ostrożnie coraz wyżej i wyżej, aż doszliśmy do jakiejś mocnej kraty, przed którą zmuszeni byliśmy zatrzymać się.

Ciemno tam było, i tylko w głębi obszernej groty błyszczało niebieskawe światło. Przysunęliśmy się do samej kraty, ale nic nie było widać, bo otwór był w niższym końcu jaskini; widzieliśmy tylko liczne, poruszające się cienie, słyszeliśmy piszczącą mowę Selenitów i regularnie powtarzający się odgłos jakby uderzeń szpadla o jakąś miękką masę.

— Co oni tu mogą robić? Bo widocznie coś robią, — szepnąłem do Cavora.

— Nie wiem co robią, ale to wiem, że nas nie szukają, — odszepnął. Ja tymczasem obmacawszy kratę, przekonałem się, że była zrobiona z cienkich metalowych prętów.

— Można ją wyłamać, — rzekłem cichutko. I natychmiast, oparłszy się mocno nogami o skałę sterczącą z boku, ująłem silnie dwiema rękami jeden z prętów i szarpnąłem nim silnie.

Wyłamał się od razu, wtedy dwa obok będące, powyginałem tak, że utworzyło się przejście. Przecisnąłem się z łatwością i posunąłem naprzód ostrożnie; aby mnie zaś nie dostreżono, położyłem się, żeby sam nie widziany, mógł dobrze obserwować, co się dzieje w drugim, wyższym końcu jaskini. Cavorowi dałem znak ręką, by uczynił to samo.

Leżeliśmy jeden obok drugiego, zapatrzeni na scenę odgrywaną się przed nami. Wzdłuż obszernej groty leżało kilkanaście zabitych ogromnych tych zwierząt, których stado spotkaliśmy na początku naszej wędrówki, przy każdym stało po kilku Selenitów i siekierami rozrąbali ogromne ich ciała. Te właśnie uderzenia słyszeliśmy z daleka.

Ta obszerna jątka i duża ilość mięsa dały nam pojęcie, że księżyc jest licznie zaludniony, kiedy zatrudnia tylu rzeźników. Nagle szmer jakiś dał się słyszeć za kratą, wstrzymałem oddech i usłyszałem wyraźnie, że ktoś pisał się po skałach. Zerwałem się co żywo i stanąłem przy otworze w obronnej postawie. W tem błysnęło coś w ciemności a ja uczułem lekki ból w ramieniu. Porwałem złotą selenicką dzidę i na oślep przez kratę zacząłem szybko kłuć zaledwie rysującą się postać. Cavor walczył obok mnie w ten sam sposób.

Hałas walki zwrócił na nas uwagę rzeźników. Naraz złota siekiera, rzucona przez jednego z nich, śwignęła mi nad głowę i utkwiała w skale. Odwróciłem się w stronę jaski, wszyscy rzeźnicy potrząsając siekierami szli na nas. Byliśmy wzięci we dwa ognie.

— Cavorze — zawołałem wielkim głosem, — pilnuj kraty, ja rozprawię się z rzeźnikami.

I poskoczyłem ku nim, wywijając długą dzidą, zdoby-

„Do pow. Pierwsi ludzie na księżycu”



Szybko podążyłem w górę za Cavorem.

z siebie flanelową kurtkę, nadziałem ją na dzidę, czyniąc sobie z tego pewną osłonę od strzał nieprzyjacielskich, wyrwałem dwie strzały, z których jedna zraniła mi ramię, a druga rękę, i wywijając potężnym kijem, rzuciłem się w sam środek Selenitów.

Tchórzliwy ten naród pierzchnął przed mojem natarciem jak gromada mrówek. Porzucili łuki na ziemię i szybko uciekli, gdzieniegdzie tylko z boku dobiegała mnie jeszcze strzała, lecz więcej trafiało ich w kurtkę niż we mnie. Rozgrzany walką, chciałem się raz na zawsze dać Selenitom we znaki, biłem ich też jak kapustę kijem, a oni padali z szelestem, jak podcięte kosą konopie, reszta, wydając piśkliwe okrzyki, rozbiegła się na wszystkie strony.

Nie goniłem ich. Obtarłem chustką pot z czoła i krew z twarzy, bo kilka strzał drasnęło mnie boleśnie w policzki, i usiadłem na skale, by odpocząć i wyjąć strzały z kurtki. Była ich cała wiązka, złożyłem je razem z połamaniem na kawałki dzidami i łukami, związałem chustką w jeden pęk, który razem z grubym kijem i łańcuchami stanowiły niezły majątek. Pomimo tak szacownych zdobyczy walka z Selenitami wydała mi się snem, czułem się silnym, swobodnym i po raz pierwszy na księżycu szczęśliwym.

(d. c. n.)

Kalwarya Zebrzydowska.

O pięć mil od Krakowa w okręgu Wadowickim, nad brzegami rzeki Skawiny leży schludne miasteczko zwykle ciche i mało zaludnione, ale niekiedy a zwłaszcza w sierpniu każdego roku nawiedzane przez liczne rzesze

pielgrzymów, którzy przybywają z różnych stron, aby przed stacyami Męki Pańskiej szukać ukojenia i pociechy w modlitwie.

W tym roku minęło właśnie trzysta lat od poświęcenia tej miejscowości służbie Bożej i dlatego opowiemy wam pokrótce jej dzieje.

Było to w Wielki Czwartek roku Pańskiego 1595, kiedy marszałek koronny Mikołaj Zebrzydowski z żoną swoją Dorotą, z domu Herburtówną, przechadzając się nad wieczorem na zamku w Lanckoronie, dojrzał na górze, zwanej wówczas Zarek, trzy jaśniejące krzyże, już poprzednio przez pasterzy widywane.

Na miejscu tem zatknęto najpierw trzy krzyże, do których w dni krzyżowe chodziła procesya z Lanckorony.

A że właśnie dworzanin Zebrzydowskiego, Hieronim Strzała, wybierał się w podróż do Jerozolimy, zlecił mu Zebrzydowski zrobienie planów kaplic Jerozolimskich, zamierzając na miejscu objawienia podobne postawić. Po powrocie dworzanina rozpoczęto zamierzone dzieło i już w dniu 2-im sierpnia 1602 r. nuncjusz papieski, Rangoni, poświęcił dwa najpierwsze kościoły: Ukrzyżowania i Grobu Chrystusa, oraz kamień węgielny pod główny kościół M. B. Anielskiej.

W kilka lat później po otrzymaniu zezwolenia na założenie klasztoru dla O. O. Bernardynów, Zebrzydowski przystąpił do jego budowy, ale przerwał to dobre dzieło dla złego, gdyż wziął główny i naczelny udział w rokoszu przeciw Zygmuntowi III-mu, który zakończył się bitwą pod Guzowem (6 lipca 1607 r.). W bitwie tej hetmani Chodkiewicz i Żółkiewski pobili na głowę Zebrzydowskiego, który uzyskawszy przebaczenie królewskie za nieszczęsny rokosz, wrócił do Lanckorony i przywdziałszy habit zakonny, zajął się dalszą budową świątyni i kaplic.

Fundacyę Zebrzydowskich po wygaśnięciu tego rodu prowadzili ich sukcesorowie ks. Czartoryscy. Ostateczne roboty przypadły przed dwustu laty w 1702 r. Od tego czasu Kalwarya Zebrzydowska posiadała trzy kościoły, klasztor i 46 kaplic i ściąga do siebie stale, jak mówiliśmy wy-

„Do pow. Pierwsi ludzie na księżycu.”



Rzuciłem się w sam środek Selenitów.



Kościół w Kalwaryi Zebrzydowskiej.

żej, liczne rzesze pobożnych różnych stanów. W roku bieżącym obchodzono uroczyste trzechsetny jubileusz Kalwaryi Zebrzydowskiej.

NOWA KOLEŻANKA.

(Dalszy ciąg).

A jak dalej? — zawołała Antosia.

— Dajże mi pokój — odparła niecierpliwie Irenka — czy ja mogę wszystko pamiętać.

— To ja ci powiem — rzekła Wanda — bo w tej chwili mogę to całem sercem powtórzyć.

— Więc i ty uczyłaś się literatury; znasz te wiersze?

— Naturalnie; czytałam parę razy „Pana Tadeusza” a łatwo mi było spamiętać wiele ustępów.

Irenka nie odezwała się wcale, ugodło ją, że Wanda więcej znacznie od niej umiała, gdyż przyznać trzeba, że Irenka nie bardzo była mocna w literaturze, lecz pochwyciwszy tu i owdzie jaki ustęp, lubiła chwalić się swą umiejętnością, co jej się nieraz udawało z Julcią lub Kolskimi. Irenka choć bystra i nie pozbawiona zdolności, była jednak bardzo leniwa z natury, a książka nie nęciła jej wcale. Jednak nie przyznawała się do tego, owszem, korzystała z każdej sposobności, żeby się pochwalić świeżo nabytą wiadomością; nie zawahała się nawet rozminąć się niekiedy z prawdą, byle tylko wmówić otaczającym, że posiada więcej od nich wiadomości.

IV.

Nauka Wandy rozpoczęła się zaraz dni następnych; postanowiono, że niektóre przedmioty pobierać będzie razem z Irenką od tych samych nauczycielek. Irenka bar-

dzo była z tego niezadowolona, tembardziej, że odrazu pokazało się, że Wanda nie była tak zacofaną w naukach jak się zdawało jej koleżankom. To niechętnie usposobienie objawiło się wieczorem, gdy panienki zabrały się do przygotowania lekcji na dzień następny. Uczyły się w swoim pokoju, gdzie stał na środku stół okrągły, przy nim siedziały zwykle Kolskie i Julcia, Irenka zaś posiadała mały stolczyk pod oknem. Gdy zajęły swe miejsca, Wanda zbliżyła się z książką w rękę, by usiąść także przy większym stole, Irenka odwróciła się ku niej szybko:

— Zdaje mi się, że tu już niema miejsca — rzekła.

— Ja dużo miejsca nie potrzebuję — odparła Wanda — jeżeli Antosia odłoży na bok kajety, które jej są w tej chwili niepotrzebne, a Julcia posunie się do Mani, to będę mogła umieścić się doskonale.

— Ale nam nie będzie z tem *doskonale* — zawołała Mania — ja nie mogę się uczyć, jak kto blisko mnie siedzi.

Antosia wyciągnęła już rękę, by usunąć swe kajety, powstrzymała ją spojrzenie Irenki, Julcia zaś rozsunała jeszcze szerzej swe przybory i udała pilne zajęcie nauką. Widząc to Wanda, wyszła z pokoju.

— Może źle zrobiłyśmy, nie pozwalając jej tutaj usiąść — odezwała się Antosia — wszakże miejsca jest dosyć.

— Zapewne, ale ja jej tu nie potrzebuję — rzekła Irenka — pamiętaj, Antosiu, że jeżeli ją tu zaprosisz, to nie pożyczę ci nigdy mojej książki.

— Ani myślę zapraszać — odparła Antosia.

Panna Teresa czytała przy stole w jadalnym pokoju, gdy Wanda weszła z książkami i rozłożyła je na drugim końcu.

— Czy nie będę pani przeszkadzała, ucząc się tu lekcji? — spytała.

— Bynajmniej, moja Wańdziu, ale dlaczego nie chcesz uczyć się razem z tamtymi panienkami?

— To one nie chcą, proszę pani, utrzymują, że będę im zawadzała.

— Ależ tam stół taki duży! Myślałam, że byłoby wam razem weselej.

Przy herbacie panna Teresa zwróciła się z tą uwagą do dziewczyn.

— Koleżanki nigdy sobie wzajemnie nie zawadzają — dodała — a pragnęłabym, abyście się wszystkie bliżej poznały i żyły z sobą.

Mania skrzywiła się na te słowa.

— Nie wiedziałam, że Wanda skarżyła się przed panią — rzekła.

— Tam rzeczywiście trochę za ciasno — bąknęła Irenka...



Wieśniacy z okolic Kalwaryi Zebrzydowskiej.

— Jeżeli pani stanowczo sobie tego życzy... — zaczęła Julcia.

Lecz Wanda przerwała żywo:

— O nie! nie! niech pani pozwoli mi tu pozostać, ja nie chcę narażać się tym paniątkom — zawołała.

— Nie zmuszam was do niczego — rzekła panna Teresa — zrobiłam tylko uwagę, lecz możecie postępować, jak się wam podoba.

— Nasza gaska coraz bardziej mi się niepodoba — powiedziała Irenka wieczorem, gdy znalazła się sama z Wolskimi.

— Nieznośna dziewczyna — dodała Mania.

V.

Tak upłynęło parę tygodni, pewnego razu spotkała Wandę miła niespodzianka, panna Teresa oddała jej list z pocztą.

— Od Janka! — wykrzyknęła radośnie, i śpiesznie czytać zaczęła. List był długi, Janek opisywał siostrze jak zwykle wszystkie swoje przygody, w końcu dodawał:

„Napisz mi, czy ci dobrze w Warszawie i czy masz miłe koleżanki, choć jestem młodszy od ciebie, ale mam więcej doświadczenia, więc posłuchaj mojej rady. Nie wiem, jak tam panny między sobą postępują, lecz sądzę, że nie różnią się od chłopców; pamiętaj zatem, Wańdziu, gdy będą ci dokuczały, sama sobie wymierzaj sprawiedliwość, choćby pięścią, ale nie idź na skargę do nauczycielki, jeżeli chcesz żyć w zgodzie. A przytem nie gniewaj się, gdyby która z ciebie żartowała, gdyż będą się śmiały dwa razy więcej.”

Wanda zamyśliła się, czytając te słowa.

— Może też Janek ma słuszość — rzekła sobie w duchu — będę znosiła cierpliwie przykrości.

Najtrudniej jednak było zastosować się do tej rady, nie skarżyła się wprawdzie przed nikim, lecz czuła się obcą wśród swych towarzyszek, a ich żarty sprawiały jej nieraz wiele przykrości. Pomimo całej łagodności charakteru i dobrego serca, Wanda miała jedną wielką wadę, była obraźliwą. Łatwiej przebaczała prawdziwą przykrość, niż wysmiewanie, najmniejszy żarcik wyprowadzał ją z granic cierpliwości, koleżanki spostrzegły to prędko i jak zwykle w takich razach nie szczędziły docinków; litewski akcent bywał też powodem żartów i podrzeźniania, co Wandę drażniło niezmiernie. Gdyby umiała wesoło na żarty odpowiadać, prawdopodobnie ustałyby one wkrótce, lecz dziewczynka niechętna odsunęła się od towarzyszek i poza wspólnymi lekcjami trzymała się od nich jak najdalej, nie biorąc udziału w ich rozmowach lub zabawach, przychodziło jej to tem łatwiej, że od dzieciństwa nauczyła się sama sobie wystarczać. Julcia i Antosia a nawet Mania chętnie by się do niej zbliżyły, lecz despotyzm Irenki powstrzymywał je od uczynienia pierwszego kroku.

I tak dni mijały. Na Boże Narodzenie wszystkie dziewczynki rozjeżdżały się do rodziców, Wanda tylko pozostała w Warszawie. Ciotka nie życzyła sobie, aby odbywała samotnie dość daleką podróż, sama zaś przyjechać po nią nie mogła. Na wieczór Wigilijny panna Teresa zaproszoną była do znajomych, naturalnie Wanda jej towarzyszyła i bardzo przyjemnie spędziła wieczór wśród domowych paniątek, które znała już poprzednio. Panna Teresa, chcąc rozzerwać Wandę, zabierała ją zwykle z sobą, gdy przepędzała wieczór za domem, tym sposobem Wanda nie mogła narzekać na brak rozrywek, dni zaś spędzała na czytaniu książek, których parę dostała na gwiazdkę od ciotki i panny Teresy. Nieraz jednak ogarniała ją tęsknota do Janka, z którym zwykle święta spędzała i mimowoli lzy cisnęły się jej do oczu.

Pewnego popołudnia panna Teresa zastała ją siedzącą w oknie smutnie zamyśloną.

— Przykro ci, że jesteś tak samą, nieprawdaż? — rzekła, zajmując obok miejsce.

— Nie, proszę pani, tęskno mi tylko do domu, do cioci i Janka, o nich myślałam w tej chwili.

— Byłoby ci jednak weselej, gdybyś tu miała którą z koleżanek?

— O, bynajmniej, cieszę się bardzo, że tu żadnej niema.

— Tak! spostrzegłam już od niejakiego czasu — zaczęła poważnie panna Teresa — że wasz stosunek wzajemny wiele pozostawia do życzenia i bardzo mi to przykro.

— To nie moja wina, proszę pani — rzekła Wanda — Te paniątki mnie nie lubią, ja też im się nie narzucam i nie mamy z sobą nic wspólnego.

— Ale tak trwać nie może moje dziecko, niepodobna przecież, abyście mieszkając razem, pozostały sobie obcymi, wspólne nauki i zabawy was zbliżyć powinny: wytworzyć przyjaźniejszy stosunek.

— Oh! prężajni to chyba nigdy między nami nie będzie, ja nie jestem stworzona do życia koleżeńkiego, a one także sobie nie życzą bliższego stosunku ze mną.

— Czy próbowałaś zjednać je sobie, Wańdziu?

— Kiedy to daremne!

— Uprzejmość w obojętności nie jest nigdy daremną, gdybyś chciała być względem twoich koleżanek taką, jaką jesteś dla mnie lub dla innych paniątek, kto wie, czy i one by się nie zmieniły.

Wanda milczała zamyśloną.

— Ja nie bronię twoich towarzyszek — mówiła dalej panna Teresa — zawiniły bardzo, to prawda, jestem jednak pewna, że gdyby poznały cię bliżej, polubiłyby cię i oceniły, jak na to zasługujesz, a i ty przekonałabyś się, że obok wad posiadają wiele zalet, których dziś nie widzisz. Wierz mi. Wando, że mówię dla twego dobra, bo chciała-bym, żebyś się czuła szczęśliwszą.

Wanda ucałowała serdecznie pannę Teresę, przyznając jej zupełną słuszość.

(d. c. n.)

Z wystawy sztuki stosowanej polskiej.



(Urywek

z listu

Helenki J.

czytelniczki

„Wie-

czorów”).

...Harmonijne *der, die, das!* uśpiło mnie. Gdyby nie Wańdzia byłabym nosem trąciła o ławkę.

Zato następna lekcja, mateczko! To rozkosz, prawdziwa, żebym ją tylko powtórzyć umiała!

Profesor matematyki nie przyszedł, zastąpiła go przełożona. Mówiła, ale ach! jak ona mówiła! jeszcze teraz bi-je mi mocniej serce, gdy sobie jej wykład przypominę.

Mówiła więc, że korzystając z jutrzejszego święta pójdziemy po nabożeństwie zobaczyć w Pałacu sztuk pięknych wystawę sztuki stosowanej i że ona chce nam wytłumaczyć

ważność tych zbiorów, których znaczenie cały kraj powinien ocenić. Mówiła o pięknie, jako o jednym z najsłabszych przejawów duszy ludzkiej. Narody odczuwają piękno wedle własnych upodobań i wcielają je we właściwe tylko sobie dzieła. Stąd powstają style, czyli pewne odmienne, do przyrody kraju, usposobień i ducha mieszkańców kraju zastosowane, wyrażenia pojęć o pięknie.

Styl grecki różnił się od egipskiego lub asyryjskiego, a różnicę tę spostrzegamy nie tylko w budowlach czyli w architekturze, ale w rzeźbie, i w zdobnictwie sprzętów i innych nawet najpospolitszych przedmiotów.

I było tak zawsze. Każdy naród kładł swoje wyłączone piętno na tem, co go otaczało, a jeśli nie każdy, jak Grecy, potrafił stwarzać arcydzieła we wszystkich kierunkach, to przynajmniej udoskonalał wysoko jeden poszczególny dział swych prac tak, że nabierały one wszechświatowej sławy.

— Persya dała nam wzorzyste dywany, — mówiła dalej pani przełożona — Indye tkaniny; szale tureckie stanowiły do niedawna najcenniejszą ozdobę stroju naszych matek. Wiemy wszyscy o Chińskiej porcelanie, sztuka Japońska ma wszechświatową sławę. Cóż my posiadamy rodzinnego, jakim dziełem własnego stylu szcycić się możemy przed ludami Azji i Europy?

Takie pytanie rzuciła nam przełożona. Nie wiem, co myślały moje koleżanki, nie wiem nawet, co myślała Wańdzia, ale mnie ogarnęła prawdziwa złość, bo nie wiedziałam, jak odpowiedzieć na tę palącą kwestję.

— Jak to? więc nic, nic takiego swojskiego nie posiadamy? Nie przynieśliśmy nic do ogólnego dorobku? Przebiegłam myślą znane sławne gmachy, wszystko gotyk, renesans lub barok. I meble, widywałam śliczne nieraz, ale były one w stylu francuskim Ludwika XV, albo *empire*.

— A jednak mieliśmy nasz styl — mówiła przełożona, jakby odgadując moje zmartwienie. — Przetrawiły do dziś dnia budowle piastowskie, noszące cechy rodzime. Nie o nich jednak dziś mówić będę, chciałam zwrócić waszą uwagę na odradzającą się sztukę naszą zdobniczą np. na meble w stylu staro-polskim.

— Chyba zakopiańskim — szepnęłam nieśmiało i aż się przeleżałam własnego zuchwalstwa. Poprawiać przełożoną, brawo p. Heleno! Ale przełożona uśmiechnęła się tylko pobłażliwie i tłumaczyła dalej, że na całym obszarze kraju znaleźć można ślady rodzimej sztuki, że zresztą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa chaty włościańskie i dworki szlacheckie budowane były dawniej w całym kraju tak jak je dziś budują w Zakopanem. Ze nasi Piastowie siadali na ławach podobnych do tych, które rzeźbią górale. Jest wiele dowodów na potwierdzenie tego mniemania. Przełożona widziała w kolegiacie Opatowskiej i Lubelskiej stare stoły zupełnie wedle zakopiańskich wzorów zrobione, a ludzie oddani tej sprawie odnajdują w wielu miejscowościach na całym obszarze charakterystyczne szczątki, świadczące o duchowym powinowactwie z góralskimi budowlami.

— Dlaczego więc przechowywały się one tylko w Tatrach? — zapytała Rozsądna.

— Dlaczego? dużyby można na to przyczyn znaleźć — mówiła przełożona. — Chata górala jest kosztowną budową, wcale niepodobna do ubogich lepierek naszego włościanina.

Zrobiło mi się smutno. Więc to tak, więc i naszemu ludowi dał Bóg poczucie piękna. On go użył na wytworzenie odrębnej sztuki, a teraz co z niej zostało, co robić?

O tem, co teraz robić należy miałyśmy się dowiedzieć od przełożonej. Napominała ona, że nigdy ręk bezczynnie opuszczać nie trzeba, że i dziś jeszcze we wszystkich okolicach kraju lud ma swoją sztukę, swoje odrębne pojęcie o pięknie. Ocalać wszystko, co zostało z przedwiekowej spuścizny, to pierwsze zadanie, dlatego też ludzie dobrej woli jak ś. p. dr. Matlakowski, pan Warchałowski i inni artyści jak Witkiewicz, całe życie swoje włożyli w uzupełnienie i rozwiniecie polskiego stylu.

Styl ten, styl rodzimy, chcą teraz zastosować zarówno do budowli, jak do sprzętów. Dużo tu trzeba stworzyć, dużo odgadnąć artystycznym natchnieniem. Początek już zrobiono. Jak kiedyś z piosenek i podań ludowych wyrosła wspaniała poezja romantyczna, którą słuszniej szcycić się możemy, tak dziś z motywów ludowego budownictwa i zdobnictwa wykwitnąć może nasz styl XX wieku. Prośmy Boga o wielkiego artystę, a sami uczmy się znać i kochać swojską sztukę.

Kochana przełożona! tylko ja tak źle, tak niedokładnie powtórzyłam jej słowa!

1 Listopada.

Wracamy z wystawy, piszę natychmiast żeby opowiedzieć dokładniej wszystko, co widziałam. Dostanę pewnie burę od damy klasowej że nie schowałam rękawiczek ani kapelusza. Ale kto by tam myślał o kapeluszu, a co do rękawiczek, to mama wie, że ich nienawidzę, krepują rękę, cisną, albo ta woalka! Wszystko to wymysły niepotrzebne. Niema jak prostota! niech żyje sztuka ludowa! Widzę, jak się mama uśmiecha, czytając te słowa.

W pierwszej chwili na widok pstrocinnych tych obrazków, deseników, wycinanek, pisanek, zebranych ze wszystkich okolic miałam ja przynajmniej to uczucie, że to dzieciaki powystrzygały sobie dla zabawki owe róże i ptaki. Ale im dłużej podziwiałam mazurskie, łowickie, szlaskie, i inne drewniane rzeźby, kwiaty, desenie, zwierzęta, tem robiło mi się weselej na sercu, tem się czułam więcej zadowolona. Jest rozmach, humor, życie, w próbach ludowej sztuki. Te koguty zapiałyby niezawodnie na swojską nutę, a zając leci zupełnie jak w piosence myśliwskiej.


— A tu leci zając, zając, przyjacielu mój!

Nie znam się na tem, nie mam więc prawa wypowiadać zdania o rzeczy tak poważnej. Ale pamięta mama, jak wśmiewano romantyczne próbki Mickiewicza, kiedy pisał w dziadach „Głucho wszędzie, ciemno wszędzie”. Dziś także widziałam drwiące uśmiechy u osób oglądających wystawę. A mnie mówiło coś w sercu: przyjdzie wielki artysta, napatrzy się tych wesołych, żywych, jak dusza ludu szczerzych wzorów, weźmie je w siebie i stworzy sztukę zdrową, prawdziwą, z soków narodu wyssaną. To ostatnie zdanie powiedziała przełożona porównując motywy ludowe z tak zwanymi motywami secesyjnymi, które oglądaliśmy później wśród pięknych prac malarza Okunia. Mnie podołał się tylko jego portret i wróciłam raz jeszcze do skrzyń, malowanych w pstre kwiaty, do pasów, do kołowrotek, do bardzo ciekawych szlaskich czerpaków. I dobrze, że przełożona zakomenderowała odwrót, bo robiło mi się coraz jaśniej w sercu, byłabym zaśpiewała na cały głos:

„Albośmy to jacy tacy, jacy tacy, chłopcy krakowiacy!”

Więc kiedy coś rozwesela nas, i cieszy duszę, to jest dobre, nawet przełożona mówi, że celem sztuki dawać szlachetne zadowolenie. Niech zatem żyje sztuka stosowana! niech żyje przyszły mistrz, którego ja, Hela przeczuwam i przepowiadam. A przeczuwam i dobrą cenzurę, mateczko, ale nam ich jeszcze nie dali. Poślemy cenzury w przyszłym liście a tymczasem wyglądamy rychłej na ten odpowiedzi. H.

Wyjazd maharadży indyjskiego.

spaniale wyglądają maharadzowie indyjscy, gdy na olbrzymim słoniu w otoczeniu świty i służby wyjeżdżają z zamków swoich.

Roztaczają wówczas cały przepych swego dworu, wydobywają najcenniejsze makaty, kobierce, świetne klejnoty, przepyszne zbroje.

Lud biedny, (paryasi) spotykając taki pochód, bije przed nim czołem.

Pomimo pozorów świetności, władza kilku państw pozostałych w Indostanie, nie jest wielka, podlegają oni zwierzchności Anglii, która im wypłaca znaczne pensye, ale w rzeczywistości rządzi ich państewkami.

Przedstawiony na naszej rycinie maharadża indyjski z Dżepuru gdy przybył na uroczystości koronacyjne do Londynu, towarzyszyło mu 150 Indusów w barwnych strojach narodowych, gotowych na każde skinienie swego władcy. Rzeczy będące osobistą jego własnością ważyły 40 ton, (1 t. czyli beczka, waga okrętowa ang. = 2,000 f.) Wiózł on także z sobą szczerozłotą statuetkę, przedstawiającą bożka Buddę, ozdobioną drogiemi kamieniami, oraz duży zapas świętej wody z Gangesu, przechowywanej w wielkich amforach glinianych.

SZARADA.

E. L.

Pierwsze z drugim plecione, nie do zbytku wcale,
Ale w prostych potrzebach służy doskonale.
Drugie zaś z pierwszym zwykle znajduje się wszędy,
Kiedy należy wstrzymać wód bystre zapędy.
Trzecie samo znaczeniem na świecie się mierzy,
A było niegdyś bóstwem pogańskich pasterzy.
Wszystko wraz jest przykładem, którego nazwisko,
Na karcie Europy znajdziesz bardzo nisko.

ARYTMOGRYF.

uł. Polna Różyczka z nad Rawki.

- 1) 19, 40, 14, 40, 46, 3. Miasto we Francyi.
- 2) 16, 3, 20, 46, 13, 29. Imię wielu faraonów egip.
- 3) 3, 30, 19, 22, 6, 37, 30, 3. Córnka Edypa.
- 4) 5, 3, 6, 37, 19. Drewniany instrument muzyczny.
- 5) 7, 30, 29, 8, 16, 40, 2. Miasto w Tyrolu.
- 6) 1, 3, 18, 3. Słowiańskie bóstwo młodości.
- 7) 3, 19, 19, 22, 2, 3. W staroż. prowincya Grecyi.
- 8) 2, 37, 1, 37. Miasto nad Wartą.
- 9) 37, 16, 46, 13, 26, 13, 37, 38, 2, 3. Ptak, z rodz. wróblo-
[watyh].
- 10) 29, 3, 13, 3, 16, 3. Pustynia.
- 11) 3, 20, 7, 26, 7, 29. Powieściopisarz włoski dla młod.
- 12) 30, 13, 2, 19, 3, 16. W mitologii trunek bogów.
- 13) 3, 23, 7, 29. Wół czczony w Memfis.
- 14) 2, 38, 7, 16, 23, 30, 3, 1. Królewski pałac w Rzymie.
- 15) 3, 1, 19, 3, 4. Pasma gór w Azji.
- 16) 20, 13, 20, 5, 7, 29. Dawna stolica Niż. Egiptu.
- 17) 7, 8, 13, 16, 40, 29. Dawna nazwa rzeki w Hiszpanii.

18) 13, 14, 7, 3, 29, 46. Prorok izraelski.

19) 30, 13, 23, 19, 40, 30. Bożek rzymski.

Zastąpić liczby literami i utworzyć wyrazy, którychby pierwsze litery złożyły dawne przysłowie.

ROZWIĄZANIE DO Nru 44-go.

Łamigłówki literackiej:

Potop, Anhel, Nieboska komedia, Treny, Anna z Nadbrzeża, Dziady, Emeryt, Uskoki, Sybilla, Zofiówka.

Pan Tadeusz.

Otrzymaliśmy wiele rozwiązań łamigłówki literackiej i wszystkie prawie bez błędów. Niektórzy podawali inne tytuły niż te, któreśmy wybrali, np. „Pan Wołodyjowski” zamiast „Potop,” „Arab” zamiast „Anhel” i t. p. ale zawsze tych samych autorów, uważamy więc te rozwiązania za dobre.

Oto lista: Zajączek z Ukr., K. Milieski, W. Lipińska, Zosia z pod Skalbierza, Polna Różyczka, Polka, M. Bukowska, Boleszek, Antek, Jagienka z nad Horynia; Pasterka Górka, Hamilkar z nad Newy, C. Słowski, W. Ulatowska, D. Buki, Ogrodniczka, J. Rosłaniec, B. Straszewicz, Choinka, Al. Apatow, L. Zgórski, Złam. Podkowa, Żabka z Pawłoczy, K. Guszowski, Z. Widawska, Jana, N. Polak, E. Dziak, Marti, A. Zenowicz, H. Gutmanówna, J. Koziejowska, K. Reichert, M. Czarnocka, H. Korwin-Krukowska, Z. Jakubka, „Dzika Litwa,” A. Szystowska, Ira, Różyczka z Czernihowa, Sarnecka, Stokrotka i Maczek Czerwony, M. N. i Żabka z nad Rosi.

Zamiast jednej rozlosowaliśmy *dwie nagrody*, które wypadły dla J. Rosłanica i Różyczki z Czernihowa.

ROZWIĄZANIA DO Nru 45-go

Szarady: Ko — res — pon — den — tka.

Łamigłówki artystycznej:

K o S s a k
C z e c h o w i c z
M a t e j k o
G i e r y m s k i
S m u g l e w i c z
G r o t t g e r
B a c c i a r e l l i
C h o d o w i e c k i
O l e s z k i e w i c z
O r ł o w s k i
K o n i c

Do niniejszego numeru na pocztę dołącza się cennik J. Müllera.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna, miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: Wyjazd maharadży indyjskiego (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, przez Wł. U. — Waga, wiersz przez Rossowskiego. — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wells (z ryc.) — Kalwarya Zebrzydowska (z ryc.) — Nowa koleżanka. — Z wystawy sztuki stosowanej polskiej. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Zaklęty tort czyli figiel Janka (z ryc.) — Z prawdziwego zdarzenia przez Z. B. — Aż się Stasia rozplakała, wiersz p. Z. Z. — Pan „Dlaczego.” — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Biruta przez Z. Rudnicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Вapшaвa 2 Нoябpя 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.


WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Do naszych czytelników.

ZAPOWIEDŹ

Na rok 1903-ci



idzę was, drodzy! — tam przy
[stole,
Gdzie lampa rzuci światła
[pole
Chylą się główki, głowy...
Gwarne sobie otnie przełwie-
[czere!
Aż usiąść z wami chęć mnie
[bierze
I wpleść się do rozmowy:

* * *

Tu dziać wie baśni wysnuć wątek,
Tam — myśl serdeczną dla dziewczątek,
I chłopcom — przykład hartu;
A z poważniejszą już gromadą,
Podzielić się marzeniem, radą,
Nie szczędząc czasem żartu.

* * *

Lecz czy to tak nazywa komu
By do każdego mógł wejść domu,
Pod wszystkie dachy, stzechy?
By mógł w niedzielnych czasach dobie
Wszędzie we własnej swej osobie
Nieść myśli i uśmiechy?

* * *

Puk! Puk! — A kto to? — To druh stary,
Druh wierny, stały — to „WIECZORY”
Dań niosą tygodniową.
To nasz zastępca u młodzieży,
Co wszędzie trafi... więc niech bieży,
Jak żywe z serca słowo!

Wieczory Rodzinne mają już przygotowany obfity materiał powieściowy, podróżniczy i naukowy, między innymi:

Powieści historyczne: **Błękitna wstęga**, Z. Morawskiej (z XVI w.), **Pani Regina**, A. Zielińskiej (z XVIII w.), **Cesarz Fryderyk Barbarossa**, Terezy Jadwigi (z XI w.).

Powieści obyczajowe: **Wielkie cele i Spełnione marzenia**, (powieści dla dorastającej młodzieży) I. Mrozowickiej, **Sewerka**, Waleryi Marrenowej.

Powieści podróżnicze i na tle naukowym: **Ogień tajemnic czarnego lądu**, **Panna Wanda za granicą**, **Powiatki czarodziejskie** i t. d.

Z rzeczy poważniejszych: artykuły z historii, literatury i sztuki polskiej i obcej prof. Ig. Chrzastowskiego, R. Plenkiewicza, W. Marrenowej; podróżnicze: B. Dyakowskiego (**motyle**), E. Jankowskiego, prof. St. Kramsztyka, Dr. M. Stefanowskiej, Wł. Umińskiego, Maryi Weryho (**Co znalazłem w lesie**), dalej: **Z dziejów cywilizacji**, Z. Bukowieckiej i szereg artykułów z młodości wielkich ludzi, które pragniemy rozpocząć opisem młodości lat **Henryka Sienkiewicza**.

Poezye Ig. Balińskiego, Bożydara, Seweryny Duchińskiej, K. Glińskiego, J. Jankowskiego, K. J. Jasińskiego, T. Kończycy, A. Pługa, A. Szymańskiego i innych.

Odpowiedzi i pogadanki: **Jaskółki** i **Wieczora Rodzinne**. Nadto mamy prace i utwory: ks. pr. Gralewskiego, Z. Kowerskiej, L. Buyno, Z. Mrozowickiej, O. Niewiadomskiej, Z. Urbanowskiej, J. Warnkówny, J. Piaseckiej. Wł. Karolego i innych współpracowników naszych.

W DODATKU TYGODNIOWYM
dawać będziemy w 1-em półroczu powieść pełną ciekawych
przygód *M. Pembertona*

Pałac w głębi oceanu.

KONKURSA Z NAGRODAMI

W rok 1903-im ogłaszać będziemy liczne konkursy łatwiejsze i trudniejsze dla prenumeratorów WIECZORÓW RODZINNYCH w celu rozwijania pomysłowości i praktyczności, a mianowicie: na kaligrafię, rysunki, rozmaite wypracowania, dalej zagadnienia i zadania różne, oraz specjalny konkurs robót ręcznych dla pańienek. Główne nagrody stanowią książki dla młodzieży.

W roku 1903 Wieczory Rodzinne dodawać będą:

Przy każdym numerze osobny bezpłatny dodatek powieściowy, tworzący biblioteczkę Wieczorów (kilka tomów na rok).

Bezpłatne premim gwiazdkowe — oddzielną książkę dla wszystkich prenumeratorów.

Numer a okolicznościowe powiększone (święteczne, wakacyjne, gwiazdkowe i t. p.) z rycinami kolorowanymi.

PREMIA DODATKOWE

Niezależnie od dodatku powieściowego przy każdym numerze, bezpłatnego premim gwiazdkowego i numerów powiększonych, postaraliśmy się o ułatwienie nabycia naszym czytelnikom kilku cennych dzieł i zajmujących powieści (15 tomów) po cenie o połowę niemal niższej.

Prenumeratorzy WIECZORÓW RODZINNYCH mogą nabywać w redakcyi pojedynczo lub po kilka, następujące książki:

1. *Brehm. Królestwo zwierząt.* Obrazy z życia i obyczajów świata zwierzęcego w przekładzie St. Rewieńskiego. Najlepsze i najciekawsze dzieło w tym rodzaju 970 str. z licznymi rysunkami zamiast rub. 5 rub. 2 kop. 80.
2. *Klementyna z Tańskich Hoffmanowa.* Wszystkie piśma wydane pod redakcyą Narcyzy Żmichowskiej, tomów 6 zamiast rub. 3 — rub. 2.
3. *Zygmunt Glogier. Słownik rzeczy starożytnych polskich* zamiast rub. 1 kop. 50 — kop. 50.
4. *Stephenson. Skarby na wyspie* (słynna powieść) zamiast rub. 1 kop. 20 — kop. 60.
5. *Sekretik białego dworku* zamiast rub. 1 k. 20 — kop. 60.
6. *J. Verne. Dzieci kapitana Granta*, 3 tomy w jednym zamiast ko. 60 — kop. 40.
7. *20,000 mil pod wodą*, zamiast rub. 1 k. 50 — rub. 1
8. *Podróż do środka ziemi*, zamiast rub. 1 — k. 70.
9. *Sfinks lodowy*, zamiast rub. 1 — k. 80.
10. *J. Chęciński. Dzień grzecznego Władzia*, dla mniejszych dzieci, zamiast rub. 1 kop. 20 — k. 75.

NB. Pragnących otrzymać te książki pocztą, prosimy o przysłanie nadto na kosztu przesyłki odpowiednio do wagi. Cenę: za Brehma — kop. 50, za 6 tomów Hoffmanowej — rub. 1, za Słownik — kop. 28 i za powieści po kop. 21.

Pogadanki z dziedziny chemii.

XXI. Co to jest zjawisko zwane dyfuzją?

Chcąc wytłomaczyć, czytelnikowi, co to jest dyfuzja, przytoczymy tutaj doświadczenie, wykonane w Paryżu z nadzwyczajną starannością.

W piwnicach Akademii Nauk, w miejscu dokąd

nie dochodziły wstrząśnienia z ulicy, ustawiono wielki balon szklany, napełniony dwutlenkiem węgla. Ponad tym balonem ustawiono drugi balon napełniony wodorem, tak jednak, że nie dotykał on spodniego. Oba balony połączono cieniutką rurką szklaną. Kiedy po upływie kilku dni zbadano zawartość balonów, to przekonano się, że w obu znajduje się jednakowa mieszanina wodoru z kwasem węglanym.

Wiemy na zasadzie innych doświadczeń, że te dwa gazy nie łączą się ze sobą chemicznie, przeto siła przyciągająca atomów nie działa tutaj. Oprócz tego wiemy, że dwutlenek węgla jest 22 razy cięższy od wodoru; balon z dwutlenkiem węgla znajdował się nadto u dołu. Można się domyślać, że gdybyśmy samizmieszali oba gazy w balonie dolnym i górnym, to wodór na zasadzie swojej nadzwyczajnej lekkości powinienby zająć miejsce w górnym balonie, dwutlenek węgla zaś powinien opaść do dolnego; tymczasem nic podobnego tutaj nie zaszło. Utworzyła się bowiem mieszanina na przekór sile ciężkości.

Już na początku XIX wieku, kiedy się przekonano, że powietrze jest mieszaniną tlenu z azotem, Aleksander Humboldt na zasadzie licznych doświadczeń przekonał się, że oba te gazy we wszystkich miejscach zarówno na wierzchołkach górskich, jak i w teatrach, gdzie tysiące ludzi wyziewa kwas węglany są ze sobą pomieszane w stosunku 79 objętości azotu na 21 objętości tlenu.

Fakt ten ma wielkie znaczenie dla zwierząt i ludzi, gdyż naruszenie składu mieszaniny gazów, zwanej powietrzem, wywołałoby zgubny wpływ na ich zdrowie. Gdyby kwas węglany, wydychany przez zwierzęta i rośliny nagromadzał się na powierzchni ziemi, zamiast mieszać się równomiernie z całą masą powietrza, to wszystkie twory żyjące nie mogłyby się podusić.

Każdą to siłą tajemniczą zmusza gazy do mieszania się ze sobą?

Działa tutaj siła odpychająca, która stara się oddalić atomy gazów jedno od drugich. Prawo odnoszące się do dyfuzji, które objaśniliśmy na powyższym przykładzie z balonami, orzeka, że jeżeli w jednej i tej samej przestrzeni znajdują się rozmaite gazy, nie działające na siebie chemicznie, to każdy z nich napełnia równomiernie całą przestrzeń. Każdy z gazów nowoprzybywających, zachowuje się tak, jak gdyby znajdował się sam jeden w przestrzeni. Teraz pojmujemy dla czego w przytoczonym na początku tego rozdziału doświadczeniu, w obu balonach znaleziono jednakową mieszaninę wodoru z kwasem węglanym. Dwutlenek węgla, znajdujący się w dolnym balonie, zajął przestrzeń zawartą w obu balonach, tak jak gdyby, znajdował się w niej sam jeden. Tak samo zachował się i wodór. Ostatecznie zatem oba balony musiały zawierać jednostajną mieszaninę gazów.

Prawo dyfuzji gazów daje się wypowiedzieć w następujących słowach: gazy nie wywierające na siebie działania chemicznego, zachowują się jeden względem drugiego, jak puste przestrzenie.

Jednakże badania uczonego angielskiego Grahama dowiodły, że ciężar gazów nie pozostaje bez wpływu na dyfuzję. Biorąc gaz ciężki i gaz lekki i oddzielając je porowatą przegrodą, na przykład korkiem gipsowym, widzimy, że przenikają one przez dziurkowatą przegrodę ściśle we-

dług prawa dyfuzji, ale nie z jednakową szybkością, to znaczy, że gaz ciężki dyfuduje wolniej, aniżeli lekki. Jeżeli powrócimy do dwutlenka węgla i wodoru, to spostrzeżemy że w pewnym przeciągu czasu do balonu z wodoru przeniknie daleko mniej tlenu węgla, aniżeli odwrotnie, t. j. wodoru do balonu z dwutlenkiem węgla. Jednostajną mieszaninę obu gazów znajdujemy dopiero po kilku dniach.

Oddzielając oba gazy porowatą przegrodą można bezpośrednio obserwować tę rozmaitą szybkość dyfuzji. Napełniamy pęcherz zwierzęcy, którego ściany są porowate, wodorem, tak ażeby się dobrze wydał, zawiązujemy szczelnie sznurkiem i pozostawiamy na powietrzu. Po kilku godzinach zmięknie zupełnie i skurczy się. Tłumaczymy to w następujący sposób. Lżejszy wodór prędzej wychodzi na zewnątrz przez porowate ściany pęcherza, aniżeli ciężkie powietrze wchodzi do wnętrza tego pęcherza. Teraz postąpimy odwrotnie, to znaczy napełnimy nie zbyt mocno pęcherz powietrzem i umieścimy go w naczyniu zawierającym wodór. Wtedy pęcherz napełnia się coraz bardziej, pęcznieje silnie, a w końcu nawet pęka z hukiem. Pochodzi to stąd, że wodór, 14 razy lżejszy od powietrza, dyfuduje prędko do wnętrza pęcherza, a ponieważ, powietrze nie może również prędko dyfudować do wodoru, przeto pęcherz wydyma się coraz silniej.

W. U.

WIGILIA ŚW. ANDRZEJA.

Słońce listopadowe, przedzierając się leniwie przez chmury, wyjrzało z za nich nad samym zachodem i przez wąskie okna wdarło się do dużej komnaty. Złoto purpurowym swym blaskiem oświeciło główki pochylonych nad wielkimi krosnami panien, kładąc wielkie plamy na haftowanych przez nie różnobarwnych kwiatach, nadając im więcej jeszcze wdzięku i życia.

— Już zachód! — rzekła z pewną radością Urszulka.

— A to dziś wigilia do świętego Andrzeja, — ciągnęła Elżbietka.

— Wiemy, przecieżeśmy solennie pościli! — odrzekła Ewunia.

— Wkrótce już adwent, bo święta Katarzyna adwent zawiązuje, a święty Andrzej poprawuje! — dodała Wincetynka.

— To też ochmistrzyni powinny nas na cały wieczór uwolnić, ażebyśmy przed adwentem jeszcze trochę wesołości zażyły — ozwała się Justysia.

— A i wróżby godziłoby się uczynić — dorzuciła Krysia.

— Oh, oh! — zawtórowały jej inne głosem, bardzo sobie onych wróżb życzącym.

Wtem otworzyły się drzwi, weszła panna Eulalia, ochmistrzyni dworu pani kasztelanowej Nakielskiej i rzekła:

— Złożyć robotę, wielmożna kasztelanowa życzy sobie, żebyście pod jej okiem w białej sali, jako w ostatni dzień przed adwentem, zabawiły się przystojnie.

Jak złoty promyk słońka, tak radość zabłysła na obliczach dwórek; zaraz też dygnęły układowie i chórem odpowiedziały:

— Dziękujemy pięknie imć pannie ochmistrzyni!

I poczęły składać do koszyczków nitki srebrne i złote, kłębuszki różnobarwnego jedwabiu, i okrywać rozpostartą na krosnach robotę. Przyczem odsunięty zbyt energicznie przez Urszulkę stołek, byłby się przewrócił, gdyby go Ewunia ze zwykłą sobie powagą nie przytrzymała.

I zrobiło się tyle szmeru i hałasu, że panna Eulalia przybrała swoją sztywną powagę i surowym rzekła głosem:

— Moście panny zachowujecie się jak dziewczęta z piekarni, nie zaś jak dwórki kasztelańskiego domu.

Ta i owa spuściła oczy, skryła figlarny uśmiech i miarkując żywość ruchów, kończyła składanie roboty.

— Przystroić się godnie, ale bez wielkich zachodów, pocesać włosy, zawiązać białe krzyżówki na stanikach i włożyć żółte bawełniane mitynki — pouczała ochmistrzyni.

Panienki, złożywszy rączki w pączki, wysłuchały z należnem uszanowaniem przemowy i dygnawszy znów przed ochmistrzynią, chciały odejść z komnaty. Zatrzymał je wszakże głos panny Eulalii.

— A zachować się przyzwoicie, bez zbytecznych śmiechów i wykrzykników. Boć jeżeli j. wielmożna kasztelanowa czyni imć pannom honor, że je wzywa do siebie, trzeba jej łaskę ocenić. A też proszę mi wstydu nie uczynić! — dodała, dając znak, że mogą już odejść.

I znów panny dygnęły i wyprostowane szły według wszelkich zasad dobrego ułożenia. Zaledwie wszakże znalazły się na korytarzu, łączącym ich sypialnię z pracownią, zapomniały przestróg zacnej ochmistrzyni i zaraz gwarzyć poczęły:

— Ciekawam, czy też kto więcej będzie, czy tylko j. wielmożna kasztelanowa i jej córka.

— Już to z pewnością żadnego kawalera ani poświeci.

— Rozumie się, przecież to paniński wieczór.

— Jeszczeby który żartował sobie z wróżb naszych.

— Ciekawam, czemu wolno kawalerom wróżyć w wigilię św. Katarzyny, a nam w wigilię św. Andrzeja — ozwała się małomówna zwykle Ewunia.

I tak dalej i dalej. snuły rozmaite przypuszczenia, i odzież codzienną, składającą się z wełniaków swojskiej roboty, zmieniły na kamlotowe, ciemne sukienki i owe uprzywilejowane wtedy dla panien białe krzyżówki.

Wkrótce wszystkie były gotowe i z bijącym sercem oczekiwały wezwania. Niebawem też drzwi się otworzyły, ukazała się panna Agata, przyboczna do szczególnych poleceń pani kasztelanowej i rzekła.

— Proszę, można już wejść do sali białej.

Dwórki w tej chwili jak stado gołębi wyfrunęły i znów według wszelkich zasad udzielanych im przez ochmistrzynię, jako też i przez metra tańców, we właściwym porządku weszły na górę, gdzie się znajdowało mieszkanie pani kasztelanowej i całej jej rodziny. W przeznaczonej na dziś miejsce zebranie komnacie nikogo jeszcze nie było. Na kominie palił się suty ogień, twarze z portretów, oświetlone jego migotliwym blaskiem, patrzyły poważnie, na samym zaś środku pod wielkim, o dwadzieścia czterech świecach pajakiem, stał ogromny marmurowy, białym obrusem nakryty stół, pod którym znać były ustawione jakieś pokaźnej objętości przedmioty.

— Co tam jest? — szeptały, trącając się łokciami.

Wtem opona, zakrywająca drzwi podniosła się i weszła kasztelanowa wraz z córką.

— Witajcie mi, dziewczeczki kochane! — ozwała się dźwięcznym głosem.

Skonfudowane dwórki dygnęły, kasztelanowa przyjaznem skinieniem głowy i uśmiechem je powitała, za to córka jej, panna Tekla spojrzała wyniosłe, kwaskowato się uśmiechając.

Panienki z pod oka na nią zerknęły, niejedna pomyślała:

— Ach, ta kasztelanowa jaka nieprzyjemna, ale prawda, że nader słabowitego zdrowia! trudno jej być wesołą.

— Dziś wigilia do św. Andrzeja, który był szczególnym opiekunem dziewic — rzekła kasztelanowa. — Słusznie

więc, żeby się moje dziewczeczki nieco zabawiły a i dowiedziały się, jakie losy je czekają — dodała żartobliwie.

— Nawet i ja losów swoich jestem ciekawa! — rzekła panna Tekla.

— Któż ich nie ciekawy! — szepnęła Elżbietka.

— Tylko zbyt nie dawać wiary owym przepowiedniom, jest to zabawa, jak wiele innych, i zwyczaj od lat wielu, ot sobie dla śmiechu, nic więcej — pouczała kasztelanowa. — Ale wiecież, jak się wziąć do wróżb onych? — spytała.

Dwórki uśmiechnęły się wdzięcznie, żadna jednak nie pochwaliła się umiejętnością prowadzenia wróżb onych.

— To już chyba ochmistryni będzie im przewodniczyła — rzekła kasztelanowa zwracając się do Eulalii.

— Jeżeli j. wielmożna pani każe, z chęcią to uczynię — odrzekła powołana z ukłonem.

(d. c. n.)



Hussarz z XVII wieku w pełnej zbroi.

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).

XIV.

W blasku słonecznym.

Cavor stał niedaleko kraty i patrzył na uciekających nieprzyjaciół, zdaje mi się, że nie podzielał mego tryumfu, bo dobroduszną jego twarz wyrażała smutek. Snać żałował zacny uczonec, że musiał zamiast pokoju i zgody przynieść na księżyc z ziemi walkę i śmierć. Co do mnie, nie podzielałem tych skrupułów. Zdobywszy majątek, pilno mi było wracać na ziemię, to też po krótkiej chwili odpoczynku poszliśmy dalej.

Z rzeźnickiej jaskini weszliśmy w jakieś obszerne, ciemne podziemia, któremi doszliśmy jakby do ogromnej, okrągłej studni, dokoła której biegła spiralnie dość szeroka galerya. Poszliśmy tą drogą, a doszedłszy po jakimś czasie do otworu studni, zajrzeliśmy do środka. Na dole widać było liczne błękitnawe światelka, a gdyśmy spojrzeli w górę ujrzeliśmy — o radości! prawdziwy błękit nieba, do którego tak się już oczy nasze stęskniły.

— To musi być ten szyb, przy którego otwieraniu o mało pan nie wpadł, pamięta pan? — rzekł Cavor, który podziwiał te olbrzymie prace Selenitów.

— Pamiętam, — odrzekłem, — a te światelka na dole, to oświetlenie ich podziemi, skąd, chwała Bogu, wychodzimy nareszcie.

Tak rozmawiając wyszliśmy szczęśliwie na powierzchnię księżyca. Ten sam monotony, lodowy krajobraz: góry, skały i przepaści, lecz wszystko ozłoczone jasnym, gorącym słońcem, a dla mnie nadzieją odnalezienia sfery i rychłym powrotem na ziemię. To też tę bujną koleczastą roślinność, która nam się tak dała we znaki, gdy wśród niej pełzaliśmy, szukając naszej kuli, witaliśmy teraz z radością jak również rzadkie, niezmiernie czyste powietrze, w którym ciężko nam było mówić, a jeszcze ciężiej słyszeć się wzajemnie.

Lecz w czasie naszego pobytu w podziemiach wielka tu zaszła zmiana. Owe bujne pnące rośliny, spalone teraz od słońca, wisiały po skałach w smutnych brązowych festonach i chociaż powietrze było ciepłe a niebo szafirowe, zdawało się, że jesień nadchodzi, ale wszystko to miłe było dla mnie, bo wiedziałem, gdzie jestem i do czego dążę.

Słońce mocno jeszcze dogrzewało, czułem się bardzo zmęczony, lecz pewność, że gdy spotkam, to dam radę Selenitom, osładzała mi długą drogę, ufałem w swoje siły i w powodzenie naszej wyprawy.

Miedzy skałami widać było tu i owdzie płaskowzgórza porośnię paszą dla wielkich księżycowych zwierząt, a nawet w oddali widziałem spore ich stado pasące się z właściwą im ociężałością, ale nigdzie nie mogłem dojrzeć pasterza, może z obawy przed nami ukrył się w jakiej szczelinie skał. Naraz przyszła mi pewna myśl do głowy, rzekłem więc do Cavora.

— Ażeby tak podpalić tę uschniętą roślinność, to zarazby się znalazła nasza sfera.

Cavor zdawał się nie słyszeć mnie wcale. Przysłonił oczy ręką i patrzył z zajęciem w niebo, gdzie oprócz jasnego jeszcze bardzo blasku słońca widać już było wiele gwiazd.

— Jak pan myślisz? — zapytał nagle, — jak długo jesteśmy już na księżycu?

— Pewnie ze dwa dni ziemskie.



Lekki wietrzyk poruszał chustką, którą widać było doskonale.

— Więcej niż dziesięć. Słońce już schodzi z zenitu i spuszcza się ku zachodowi, za cztery dni nastąpi tu długa noc.

— To bardzo dziwne, — odrzekłem, — bo przez cały ten czas jedliśmy tylko raz.

— To prawda, ale widzisz pan, tu na księżycu wszystko jest inaczej niż na ziemi: głód, ruch, znużenie zupełnie się tu inaczej odczuwa.

Spojrzałem i ja na słońce. Tak, było na połowie drogi od zenitu ku zachodowi. Za nicbym nie chciał doczekać się na księżycu drugiej lodowatej nocy, dosyć miałem samego widoku z okienka tej pierwszej, gdyśmy przybyli na księżyc.

Rzekłem też żywo do Cavora.

— Daleko prędzej odnajdziemy naszą kulę, jeżeli na wierzchołku tej grubej lodygi przywiążemy chustkę do nosa, niby sztandar, aby się nie zabłąkać w tym labryncie skał, ja pójdę na wschód pan idź na zachód, który z nas prędzej znajdzie sferę, przybiegnie tu i zacznie powiewać chustką, co będzie znakiem tej dobrej dla drugiego nowiny.

— Dobrze, masz pan rację, trzeba najprzód znaleźć kulę a później zobaczymy, co się jeszcze da tu zrobić — odrzekł zamyślony, po chwili zaś dodał.

— A jeżeli żaden z nas nie znajdzie jej, jeżeli nas napadną zbrojni Selenici?

— Ja ich się nie boję, a pan weź oto tę siekierę a obronimy się przed tymi tchórzami.

— A jednak oni mnie bardzo zajmują, z tych cośmy widzieli nie można sądzić o wszystkich, to byli tylko nieokrzesani prostacy; lecz istoty, które umiały zbudować takie olbrzymie maszyny, studnie

czy szyby i galerye jakie widzieliśmy na własne oczy, są istotami cywilizowanymi może nawet bardziej od ludzi naszej ziemi, dla tego chciałbym ich poznać i porozumieć się z nimi.

— To też gdy znajdziemy kulę, powrócimy na ziemię, zaopatrzymy się we wszystko, co potrzeba do zwiedzania pieczar księżycowych i znów tu przyjedziemy, a teraz w drogę — rzekłem wesoło.

— Chodźmy, chodźmy, — rzekł Cavor żywo, lecz po chwili przystanął, jakby się wahał, jakby nie miał odwagi odejść ode mnie, w końcu rzekł:

— Do widzenia! — i poszedł szybkim krokiem w stronę zachodu a mnie dziwnie żal się zrobiło tego towarzysza o nadzwyczajnym umyśle, a gołębiem sercu; chciałem biedź za nim, uścisnąć, lecz wstyd mi było tej niemęskiej czułości, zresztą w skutek własności powietrza na księżycu Cavor był już daleko ode mnie, więc i ja poszedłem w swoją stronę.

XV.

Bedford sam.

Szedłem, upatrując pilnie naszej zguby, a że słońce mocno jeszcze dogrzewało, więc zmęczony i spocony usiadłem w cieniu wysokiej skały, aby chwilę odpocząć. Rozpatrując się bacznie dokoła, spostrzegłem, że wszystkie skały okoliczne poprzerzynane były złotymi żyłami! Co za bogactwo! Można będzie kulę napęlić złotem choćby do połowy i wrócić na ziemię już nie biednym gryziopiórkiem, ale człowiekiem bogatym.

W tej chwili nie żałowałem bynajmniej podróży na księżyc. Prac:

Z albumu żartów.



Dzięki Anglikom, cywilizacya
Dziś coraz szerszy zatacza krąg:
Już nawet w głębi puszczy afrykań-
[skich
Dzikie zwierzęta grają w ping-pong.

Pan Struś, elegant zwinny i chyży,
Z panną Żyrafą grają jak z nut,

Chciał do nich przystać pan Hippo-
[potam,
Ale wnet poznał, że próżny trud.

— Piłki ci tylko, Hipeiu, podnosić,
Struś doń powiada — nie z nami grać!
Więc biedny Hipo skacze jak może,
By choć w ten sposób modnym się stać.

W. R.

ostatnich kilku miesięcy i odwaga moja w walkach z Selenitami sownie były wynagrodzone. Snując błogie marzenia szczęśliwej przyszłości, zdrzemnąłem się. Musiałem spać czas jakiś, gdy się obudziłem, czułem się dobrze wypoczęty, ale i sztywny od chłodu, bo słońce skłaniające się ku zachodowi, świeciło jeszcze jasno, tylko już nie grzało i leciuchna mgła osiadała na skałach...

Żywo zerwałem się z miejsca, wziąłem pod pachę moje cenne zawiniątko i żwawo a ostrożnie, aby nie wpaść w jaką przepaść, przeskakiwałem ze skały na skałę. Tak byłem przyzwyczajony do obecności Cavora, że wciąż oglądałem się na ów zaimprovizowany sztandar, spodziewając się, że go tam ujrzę, podczas bowiem, gdy spałem, on mógł znaleźć naszą sferę i przyjść na umówione miejsce, lecz napróżno wzrok wyteżałem. Naraz przyszła mi do głowy myśl, że gdy noc zapadnie i żaden z nas nie znajdzie kuli, a Selenici zamkną szczelnie otwór okrągłego szybu, prowadzący do ich mieszkań w pieczarach, to mimo zdobytego złota zmarzniemy na śmierć w czasie długiej, księżycowej nocy.

Gorączkowo więc skakałem po skałach, uciekając przed nadchodzącym wieczorem, patrząc jak rozbitek na powiewającą chustkę, gdy nagle ujrzałem — naszą kulę!

Promienie zachodzącego słońca odbijały się świetnie w szklanych ścianach naszego okrągłego domku. Wydałem okrzyk radości na ten widok i zacząłem biec bez pamięci, lecz zaraz wpadłem w jakiś wawóz i wykreśliłem nogę w kostkę. Wygramoliłem się jak mogłem najprędzej i kulejąc, zdążyłem do zbawczej kuli. Padłem nań zdyszany, dziękując w duchu Opatrzności; wszystkie obawy pierzchnęły, jak przykry sen, czułem się teraz ocalony. Nacisnąłem wiadomą mi sprężynę i odsunąłem klapę. Zajrzałem do wnętrza, wszystko było na swem miejscu, tak, jak zostawiliśmy wychodząc. Wsunąłem się do środka, złożyłem mój szacowny pakunek między innymi i posiłem się cokolwiek, chociaż nie czułem wielkiego głodu, ale po prostu z radości powrotu.

Spiesznie się z tem wszystkiem załatwiłem, chcąc dać znać jak najprędzej Cavorowi o naszym szczęściu. Wykreconą kostkę obandażowałem mocno, aby mózgi lepiej chodzić po skałach i puściłem się w zachodnią stronę na poszukiwanie mego towarzysza.

Lekki wietrzyk powiewał chustką, którą było widać doskonale, lecz Cavora dojrzeć nigdzie nie mogłem. Czyżby znudzony drogą, tak jak ja, zasnął gdzie przytulony do skały? Jakiś niepokój ogarnął mnie i z całej siły zacząłem wołać: Cavorze! Cavorze!

Napróżno, żaden głos nie odpowiedział na moje wołanie. Samotność i cisza ogromna przeraziły mnie. Co się stało z Cavorem? Bo choćby spał, to głos mój powinien by go obudzić, wszak szedłem na jego spotkanie, więc nie musieliśmy być daleko jeden od drugiego, a jeżeli wpadł w jaką szczelinę, to ja, będąc w tej stronie, koniecznie powinienem był słyszeć jego wołanie o pomoc.

Co mu się więc mogło przytrafić? Czyżby Selenici napadli go? Gubiąc się w domysłach i rozglądając dokoła, szedłem gorączkowo w stronę chustki wciąż jasno widzialnej na ciemniejącym błękitnie nieba. Doszedłem do skały wyższej od innych, na której szczycie powiewał nasz skromny sztandar, stanąłem pod nim i uparcie patrzyłem dokoła, sądząc, że lada chwila ujrzę Cavora, wysuwającego się z jakiego wawozu. Lecz napróżno wzrok wyteżałem: byłem sam, sam wśród pustki, wśród tej grobowej ciszy.

(c. d. n.)

NOWA KOLEŻANKA.

(Dalszy ciąg).

VI.

Zaraz po Nowym Roku pani Darewiczowa odwiozła Julcię do Warszawy, mając bowiem wyjechać na parę tygodni z domu, nie mogła zostawić jej samej. Lekcje jeszcze się nie rozpoczęły, panienki miały dużo wolnego czasu i nawet bez usiłowań ze strony Wandy, ciągle razem przebywały. Julcia żywa i wesoła, nie mogła wytrzymać bez towarzystwa, prztem nie buntowana przez Irenkę, garnęła się chętnie do Wandy.

W kilka dni później zjechała Irenka i Kolskie, gwaro się znowu zrobiło w mieszkaniu p. Teresy, każda z panienek miała tysiące rzeczy do opowiadania, szczególnie Irenka była niewyczerpaną.

— Wyobraźcie sobie, jaką miłą panienkę poznałam, Helusię Kraczkowską, to już dorosła panna, o dwa lata ode mnie starsza, ale barzośmy się zaprzyjaźniły, ona taka wykształcona, tak dobrze wychowana, poznacie ją, bo za parę tygodni przyjedzie do Warszawy z matką, naturalnie zaraz mnie odwiedzi; będziemy razem chodziły na ślizgawkę, dostałam właśnie od rodziców śliczne łyżwy.

Irenka zachwycona swą nową znajomą, nie ustawała w opowiadaniach o niej, pochlebiała jej przyjaźń z panną Kraczkowską, która rzeczywiście ogólnie się podobała, dokladała też wszelkich usiłowań, aby panna Helena powzięła o niej jak najlepsze wyobrażenie. Przyjazd tych pań do Warszawy uszczęśliwił Irenkę, tembardziej, że pani Kraczkowska, jako dawna znajoma, zaczęła bywać u panny Teresy.

— Ciekawam, co też Helusia myśli o naszej gąsce? — rzekła jednego dnia Irenka.

— Zdaje mi się, żeśmy ją niesłusznie tak nazwały — odezwała się Julcia — Wanda wcale gąską nie jest.

— Oho! Julcia już przeszła do przeciwnego obozu — rzekła z przekąsem Mania.

— Wcale nie, tylko widzę, że Wanda jest bardzo dobra i chętna do oddania przysługi, a wiele rzeczy umie lepiej od nas.

— O, tylko mnie z nią nie równaj, bardzo proszę! — zawołała urażona Irenka.

Jednakże dzień następny dowiódł, że Julcia miała słusność. Mania zabierała się do zadania francuskiego, które jej zawsze z trudnością przychodziło.

— Pomóż mi, Irenko — rzekła — bo sama nigdy nie wybrnę.

— I owszem, tylko widzisz niewiele mam czasu. Zbliżyła się do stolika i wzięła książkę w rękę, lecz przekonała się zaraz, że zadanie przedstawiało te same trudności dla niej, co dla Mani, naturalnie, przy pracy te trudności dałyby się pokonać, lecz obie panienki pracować nie lubiły, a powtórę Irenka chciała zawsze pokazać, że umie więcej od innych.

— To bardzo łatwe zadanie — rzekła — ale ja na prawdę nie mam czasu pomódz ci teraz.

— Powiedz raczej, że nie umiesz — zawołała zniecierpliwiona Mania, i pochyliła się znów nad kajetem.

W chwilę potem, Irenka wychodząc z pokoju, minęła się we drzwiach z Wandą, która przyszła złożyć swoje książki i kajeta do przeznaczonych na ten cel szafki.

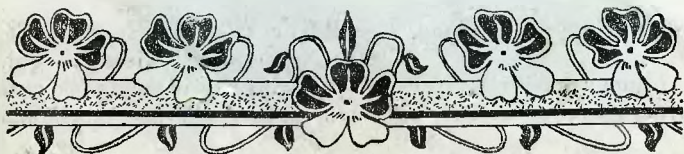
— Skończyłaś już wszystkie lekcje na jutro? — spytała Mania.

— Już, jestem wolna jak ptak!

— Szczęśliwa!

— A ty jeszcze pracujesz?

— I nie tak prędko skończę, mam jeszcze parę rzeczy



do odrohenia, a będę chyba całą noc ślęczała nad tą nieznośną francuszczyzną, takie trudne tłumaczenie.

— Może ja ci pomogę — rzekła Wanda, siadając obok niej.

Pomoc okazała się skuteczną, gdyż Wanda ucząc się od dzieła swa po francusku; знаła dobrze ten język, to też w pół godziny Mania złożyła kajet i ucałowała ją serdecznie na podziękowanie.

Gdyż weszło powoli w zwyczaj, że w każdej potrzebie udawano się do Wandy, stała się ona niezbędną swym towarzyskom, nawet Irenka, tak nieprzejednana z początku, aczynała być przychylniejszą.

— Nie rozumiem doprawdy — mówiła raz Mania do Antosi i Julci, — jak mogliśmy dawniej Wandy nie lubić, teraz tak nam z nią dobrze.

— Bo tylko Irenka nas buntowała — rzekła Antosia.

— Może to i prawda.

— Eh! Irenka jest czasem nieznośna — odezwiała się Julcia — od czasu jak się zaprzyjaźniła z panną Kraczewską, zdaje się jej, że jest czemś lepszym od nas i chce nam dać uczuć swą wyższość.

VII.

W niedzielę zapustną p. Teresa postanowiła wydać wieczorek tańczący dla swoich panienek, uszczęśliwione dziewczynki nie wiedziały, jak swą radość okazać; najwięcej cieszyła się Irenka: niezmiernie lubiła tańczyć, a gwałtowna we wszystkich uczuciach, najgłośniej objawiała swe uradowanie.

Na parę dni przed niedzielą, p. Teresa otrzymała list wzywający ją do niebezpiecznie chorej siostry; zmartwiona, zapłakana, pakowała prędko swe rzeczy, by wyjechać zaraz wieczornym pociągami. Wszystkie panienki pomagały gorliwie, dzieląc się szczerze jej boleścią. Pani Ziębowiczowa, mieszkająca w tym samym domu, znajoma p. Teresy, miała zająć jej miejsce na te kilka dni jej nieobecności i tegoż samego wieczoru przeniosła się tu wraz z córką.

Nazajutrz przy obiedzie pani Ziębowiczowa odezwiała się do zebranych dziewczynek:

— Panna Śliwicka prosiła mnie wyjeżdżając, abym ją zastąpiła w urządzeniu wieczorku, więc zabawa nie ulegnie żadnej zmianie.

— Nie, nie proszę pani, my nie chcemy żadnej zabawy — zawołała Julka — nie mogłybyśmy tańczyć, gdy pannę Teresę taka boleść spotkała. Nieprawdaż, że i wy się ze mną zgadzacie? — dodała, zwracając się do koleżanek.

— Ależ naturalnie, nie chcemy wcale tańczyć — zapewniły wszystkie.

Bardzo chwalebne wasze postanowienie — rzekła pani Ziębowiczowa — ale czy nie żal wam tańców?

— O! brnijmy, my tak kochamy pannę Teresę, że nie mielibyśmy żadnej zabawy.

W kilka dni potem nadszedł list od panny Teresy, donosiła, że siostra jeszcze mocno chora i jakkolwiek niebezpieczeństwo minęło, jej obecność jest jeszcze przez czas jakiś niezbędna. Dziękowała swym wychowankom za dowód współczucia i prosiła, aby pani Ziębowiczowa wynagradzając straconą zabawę, zaprosiła w najbliższą niedzielę to samo młode towarzystwo, żeby panienki zabrały się choć bez tańców.

— Powinnyście czemś uznać wasze zebranie — rzekła pani Ziębowiczowa — trzeba urządzić żywe obrazy, muzykę, deklamację.

Jednak po bliższym rozpatrzeniu tej kwestyi zaniechano myśli żywych obrazów.

— Ale muzyka i deklamacja muszą być koniecznie, Julcia i Wanda ładnie grają...

— Oh, ja tak nie lubię grać przy obcych — zawołała Wanda.

— Ale masz talent i powinnaś go użyć dla przyjemności innych — mówiła p. Ziębowiczowa — a co do deklamacji, to może Zosia się podejmie, lub Brońcia Biernacka, jak myślicie moje panienki? wszakże one dobrze deklamują?

— O deklamację przecie nie trudno — rzekła Irenka urażona, że została pominięta, — bo każdy umie na pamięć jakieś wiersze.

— Jednak tybyś może nie umiała?

— O, bardzo przepraszam, ja całego „Pana Tysza” umiem na pamięć.

— Doprawdy? — spytała trochę ironicznie p. Ziębowiczowa.

— Naturalnie, tylko uważam, że to trochę nudna zabawa.

— Ja też nie mówię, aby to miało zapełnić cały wieczór.

W parę dni później po południu, przyszła panna Kraczevska zabrać Irenkę na ślizgawkę, pani Ziębowiczowa pozwoliła pod warunkiem, że zaraz po ślizgawce wróci do domu, ale Irenka nic sobie nie robiła z tego zastrzeżenia po ślizgawce odprowadziła pannę Helenę do jej mieszkania i dopiero w parę godzin pani Kraczevska odesłała do domu.

Pani Ziębowiczowa zgromiła to nieposłuszeństwo.

— A najgorzej, iż pewno lekcji na jutro nie odrobiłaś? — rzekła.

— Owszem, proszę pani, umiem już prawie wszystko — odparła Irenka.

Było to jednak kłamstwo, to też zabrała się zaraz do roboty.

(d. c. n.)



Sprawozdanie z konkursu robót ręcznych.

Robót 95 — Nagród 46 — Pochwał 19.

Skończyły się już dawno wakacje, przeszedł czas zabaw i wypoczynku, a jesień wraz z plonami pól i ogrodów przyniosła nam plony pracy naszych miłych czytelniczek w postaci sukienek, koszulek, kaftaników i t. p. *ułaśnierznie* przez nie uszytych. Zwyczajem lat wielu w porze przedwakacyjnej zakołataliśmy do serduszek dobrze nam znanych i zakołataliśmy nie napróżno, bo oto na wezwanie stanęło liczne grono panienek i dziewczynek.

Chwile, ujęte zabawie a poświęcone wprawianiu się w umiejętności koniecznej dla każdej kobiety bez względu na jej stan i stopień wykształcenia, chwile poświęcone pracy dla ubogich dzieci, — mamy nadzieję — sówicie będą wam nagrodzone zadowoleniem wewnętrznym i myślą, że te koszulki, sukienki, kaftaniki z taką radością powitają ubogie, zziębnięte dzieci, że z oczu matek wycisną łzy wdzięczności, a na wasze młode główki ściagną słowa modlitwy i błogosławieństwa. A modlitwa i błogosławieństwo ubogiego i przed tron Pana nad Pany łącznie znajdą drogę, Bóg je usłyszy i nie zapomni.

W imieniu więc tych maluczkich ślemy wam z głębi serca pochodzące — Bóg zapłać!

Bóg wam zapłać za ten cały stos robót, który leży w tej chwili przed nami, za wasze poczciwe serca, za dobre chęci i własną swą pracę i do widzenia znów w roku przyszłym.

Wszystkie niemal roboty odznaczają się starannem wykonaniem. Po dokładnem rozpatrzeniu osądziliśmy je, mając na względzie wiek wykonawczyń i ilość nadesłanych przez każdą przedmiotów, — w sposób następujący.

Panienki które nie wybrały pseudonymów, zgodnie z zapowiedzią w konkursie ogłaszamy z imienia i nazwiska.

Nagrody otrzymują:

6-letnie Jania Kondolowska i Stasia z nad Warty 7-letnia Rybka z nad Donu, Jania Wrede Trawka Sławieńska, Wańdzia Ambroziewiczówna, Gwiazdka, 8-letnia Jadwinia z Żórawiej i Czarna Perelka. 9-letnia Stasia Chełkowska, Srocza z n. Rosi, Halka Świdówna, Jagódka. 10-letnie: Halka z nad Teterowa, Maczek Czerwony, Henia Leśniewska, Iza Wasiutyńska, Renia Potworowska, Przepióreczka z Podlasia, Genia Bortnowska. Różyczka z Czernihowa. 11-letnie: Leśna Poziomka, Stokrotka, Tulipan z Polesia, Różia Zarębska, Zosia Zaleska, Gospośia Marysieńka, Ańdzia Ilnicka, Anusia Borzobohatówna, Mela Wazgirdówna. 12-letni: Fryga, Prządka złotych nici, Jania Heniszówna, Hela Dudrewiczówna, Złota Rybka. 13-letnie: Wielkopolanka, Kokoszka. 14-letnie: Marta Kiełczewska, Irena Hołyńska, Topolka, Natałka Rudlicka (za poduszkę malowaną). 15-letnie: Jagienka, Marzycielka, Żabka z nad Rbsi.

Na pochwałę i wzmianki zaszczytne zasłużyli: Dzika Litwinka, Litwinka z nad Szeszupy, Maryńcia Ilnicka, Brzózka, Wrzos, Kotkarz Pilawy, Żabka z Berlina, Anuchna Gadowska, Helunia Batorska, Janulka Szokalska, Biała Różyczka, Niezapominajka z nad Dniepru, Biała Gołąbka, Mariola Platerówna, Suya, Alusia z Suchowa, Potok Górski i Jadwinia Dudrewiczówna.

Nadmieniamy, że po raz pierwszy w konkursie tym przyjęło udział dwóch chłopców: Szpak i Dzieciol z Józefowa, i wcale nieźle przysłali roboty, za które, jako dwom braciom przyznajemy wspólną nagrodę. Umiejętność obchodzenia się z igłą przydać się może bardzo i każdemu mężczyźnie. Wszystko, co rozwija w nas zdolność radzenia sobie samym bez konieczności szukania pomocy innych, zasługuje na poparcie i jest godne naśladowania.

Prosimy mieszkających w Warszawie o odbieranie nagród w redakcyi naszej. Zamiejscowym rozesłemy nagrody w ciągu 2 tygodni. Tym, które zasłużyły na pochwałę posłamy kalendarzyki na rok 1903-ci.

Wszystkie panienki, któreby chciały obejrzeć roboty konkursowe, swoich rówieśniczek, prosimy uprzedzić o przybycie do lokalu redakcyi „Wieczorów Rodziny” (Mazowiecka 10) w niedzielę 13 b. m. między god. 12-ą a 3-ą.

ŁAMIGŁÓWKA ARCHEOLOGICZNA.

Pewien słuchacz b. Szkoły Głównej zajmował się z wielką gorliwością archeologią i wyszukiwaniem wszelkich dawnychabytków. Jeden z jego kolegów, dziś znakomity pisarz, przysłał mu raz przepisany przez siebie napis, wyryty na starym kamieniu młyńskim w jakiejś wsi. Nasz archeolog próżno się nad nim trudził, żadną miarą nie mógł zrozumieć jego znaczenia. A może który z czytelników „Wieczorów” potrafi go odczytać?

Oto ów napis:

NASCIT. ROCH. EPIRO. GAS. S SYR. EM. ANI. EPISC.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 46.

Szarady: Ru — da — wa.

ŁamigłóWKi:

W życiu i w pieśni nie błądź po światach,
Hamuj się w górnym locie;
Najtrwalsza piękność w pól drobnych kwiatach,
Największa wielkość w prostocie!
Bo na tym świecie wszystko się miecie,
W dolinę kłęśnie góra,
Tylko trwa stale to Boskie dziecię
Wieczna, niezmienna: Natura!

Ujejski.

GIMNASTYKA SZWEDZKA dla zdrowych i wątłych.

Stosuje się także w skrzywieniach kręgosłupa, nieównościach łopatek, w nerwowości, anemii, w wielu objawach złego krążenia i trawienia, pod stałym kierunkiem lekarskim, w Zakładzie Heleny Kuczałskiej, Mówiszki 9 gmach Tow. Rosya. Cena 3 rub. miesięcznie, pedagogiczna, — 10 rub. lecznicza z masażem. Dla gimnazystek i pasjonarek niższe. Kursa wieczorne dla pracujących miesięcznie 1 rubla. Chłopcy do lat 12. 4—4

„W mieście i na wsi.”

20-cia powiastek dla młodych dzieci
opowiedziała

Konstancja Darewska-Weryho

wydanie 2 z 10 rysunkami.

Cena w kartonie 50 kop., w ozdobnej oprawie 80 kop., do nabycia we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni Józefa Zawadzkiego
w Wilnie (filia w Kownie).

4—1

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Do naszych czytelników, wiersz. — Na rok 1903. — Pogadanki z dziedziny chemii, przez Wł. U. — Wigilia św. Andrzeja. — Hussarz z XVII w. (ryc.) — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wells (z ryc.) — Z albumu żarów, wiersz (z ryc.) — Nowa koleżanka. — Sprawozdanie z konkursu robót ręcznych. — ŁamigłóWKi i rozwiązania. — Dodatek: Zabawki i ozdoby własnego wyrobu (z ryc.) — Po co my się uczymy? przez Józefę Grzmielewską. — Pannę Annę gowa boli, wiersz przez W. Orobliczkę. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — ŁamigłóWKi i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Biruta, przez Z. Rudnicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Вapшaвa 11 Hoдoбpя 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

KOT WYBAWCA.



Zamieszkała w Indyach Wschodnich Angielka leżała chora w łóżku, a nikogo nie było w pokoju oprócz ślicznego, białego kota z puszystym futerkiem i niebieskimi oczami. Był to kot innego gatunku jak nasze — rasy zwanej perską. Nagle biedna chora spostrzegła pełzającego na posadzce, jadowitego węża, który w pobliżu łóżka podniósł głowę i wlepił w nią okragłe, szklane oczy. Zdrętwiała z przerażenia, sądziła, że już nadeszła jej ostatnia godzina... Kot, ujrawszy węża, wskoczył na gzyms kominka, lecz nie ze strachu, jak w pierwszej chwili myślała jego pani, tylko dlatego, żeby rzucić się na węża z góry i pochwycić go za kark zębami, a pazurami za ogon. Wąż szamotał się i bronił, ale po chwilo-wej walce kot go zadusił.

Sztukmistrze w Indyach popisują się z obłaskawionymi węzami *kobra*, obłaskawienie rozpoczynają od wrywania im zębów, pod którymi mieszczą się pęcherzyki z zabójczym jadem. Po wrywaniu zębów wąż jest nieszkodliwy i można się bezpiecznie zająć jego użuciem.

Pogadanki z dziedziny chemii.

XXII. Dyfuzja cieczy.

Zjawisko dyfuzji cieczy stanie się bardziej zrozumiałe dla czytelników, skoro wskażemy im doświadczenie, które sami mogą wykonać.

Do małego wysokiego naczynia szklanego, zwanego probówką albo epruwetką (dostać można w każdym większym składzie szklanych towarów za 5 kop.) nalewamy tyle dystylowanej wody, ażeby sięgała do połowy naczynia. Następnie za pomocą lejka szklanego z długą szyjką (kupić tamże) wlewamy na dno epruwetki roztworu nasyczonego koperwasu miedzanego (siarczanu miedzi). Jeżeli koniec lejka sięga aż do dna probówki, jeżeli wlewaliśmy roztwór wolno, to w naczyniu otrzymujemy po ostrożnem wyjęciu lejka dwie warstwy cieczy; ciemny niebieski roztwór siarczanu miedzi, jako znacznie cięższy zajmie dolną połowę naczynia, przezroczysta zaś woda górną. Postawmy tak napełnioną próbkę w miejscu spokojnem na kilkanaście godzin, a przekonamy się, że zaszły w niej znaczne zmiany. Wyrażna granica pomiędzy ciemno niebieskim roztworem koperwasu, a przezroczystą wodą zniknęła. Dolne warstwy wody stały się niebieskawe, górne zaś warstwy siarczanu miedzi przybrały jaśniejszą barwę. Pozostawiwszy epruwetkę przez dłuższy czas w spokoju, ujrzymy, że zawiera ona jednostajnie zabarwiony roztwór koperwasu miedzi.

Cóż się więc stało w probówce?

Widocznie część bezbarwnej dystylowanej wody przešla się do dolnej połowy, zajętej przez siarczan miedzi i pomieszała się z nią. Z drugiej strony część niebieskiego roztworu siarczanu miedzi przeniknęła wbrew sile ciężkości do dolnych warstw wody. Z biegiem czasu nastąpiło dokładne pomieszanie się obu cieczy.

Jest to tem dziwniejsze, że roztwór siarczanu miedzi posiada daleko większy ciężar gatunkowy, a więc w zjawisku powyższem owe cieczce poruszały się naprzekór sile ciężenia.

Takie powolne mieszanie się dwóch cieczy nazywamy w nauce dyfuzją; zjawisko to jest spokrewnione z powyżej wyjaśnioną dyfuzją gazów, lecz wywołuje je inna siła przrody.

Zanim zajmniemy się tą siłą, musimy się przyjrzeć jeszcze jednemu doświadczeniu.

Bierzemy rurkę szklaną długości 1 stopy, a średnicy $\frac{1}{2}$ cala, w braku zaś jej zwyczajny cylinder od lampy i na jednym końcu obwiązujemy ją kawałkiem pęcherza. Następnie przygotowujemy mocny roztwór soli kuchennej w wodzie i napełniamy nim rurkę do połowy. Rurkę wstawiamy w słój z czystą wodą, tak, aby poziom cieczy w naczyniu i rurce był jednakowy.

Pozostawiwszy przez kilka godzin wszystko w spokoju dostrzegamy ze zdziwieniem, że w rurce ciecz wznosi się coraz wyżej. Odbywa się to jeszcze prędzej, jeżeli trochę nie rozpuszczonej soli znajduje się na dnie rurki. Jakże to siła zmusza wodę do podnoszenia się wbrew sile ciężkości? Siłą tą jest dyfuzja. Atomy soli kuchennej,

zawartej w rurce i atomy wody w słoju wzajemnie się przyciągają; ponieważ jednak dzieli je przegroda z pęcherza, przeto muszą one ją przebywać, ażeby się połączyć. Otóż atomy wody przenikają prędzej przez pory do rurki, aniżeli atomy soli do wody; wskutek tego poziom wody w rurce podnosi się. Wznoszenie się cieczy trwa dopóty, dopóki cała ilość soli zawartej w rurce nie rozproszy się równomiernie w wodzie. Kiedy to nastąpi, ciecz w rurce znacznie opadać, gdyż siła dyfuzji działać przestała i siła ciężkości odzyskuje swoje prawa.

Dyfuzja cieczy przez porowate przegrody albo błony zwierzęce zwie się w nauce endosmozą i ma wielkie znaczenie w życiu ludzi, zwierząt i roślin. Umożliwia ona odżywianie, gdyż za jej sprawą pokarmy z kiszek przenikają do krwi, a z ziemi do komórek roślinnych; dzięki niej odbywa się wymiana materji pomiędzy komórkami, a naczyniami krwionośnymi, wymiana gazów w płucach przy oddychaniu i t. d.

Wielka doniosłość endosmozy dla życia zwierząt i roślin skłoniła uczonych do gruntowniejszego zbadania jej praw. Okazało się, że w danych warunkach przez jedną i tę samą błonę rozmaite cieczki dyfudują z niejednakową szybkością. Tak na przykład przez pęcherz zwierzęcy wchodzi do wody 1 gram siarczanu miedzi, podczas gdy do siarczanu miedzi wchodzi $9\frac{1}{2}$ gramów wody. Solna woda dyfuduje 4 razy wolniej, aniżeli woda czysta, to znaczy, że podczas gdy do wody wchodzi 1 gram soli, to do soli wchodzi 4 gramy wody. Alkohol dyfuduje tak samo jak i sól 4 razy wolniej, aniżeli woda. Jeżeli jednak zamiast pęcherza weźmiemy kauczukową błonę, to się okaże, że spirytus dyfuduje prędzej, aniżeli woda. Widzimy więc, że i natura błony odgrywa ważną rolę w dyfuzji.

Wspomnieliśmy już, że wszystkie te zjawiska są skutkiem działania siły przyciągającej, jaka istnieje pomiędzy cieczkami i błoną z jednej strony, a pomiędzy atomami cieczy z drugiej strony.

Faktem najbardziej przemawiającym za tem, że w dyfuzji cieczy działają tylko siły przyciągające, jest ta okoliczność, że nie wszystkie płyny pomiędzy sobą dyfudują. Tak na przykład olej i woda mogą nie wiem jak długo stykać się ze sobą i ani jeden atom oleju nie wniknie pomiędzy atomy wody. Atomy tych dwóch cieczy nie przyciągają się wzajemnie. Kwas siarczany i woda dyfudują ku sobie natomiast bardzo silnie, gdyż płyny te mają ku sobie wielką skłonność, tak, iż łączą się ze sobą przy wydzielaniu znacznej ilości ciepła. Siła przyciągająca, jaka się objawia w dyfuzji, jest widocznie spokrewnioną blisko z chemicznem przyciąganiem pomiędzy atomami. Nauka dzisiejsza dochodzi stopniowo do przypuszczenia, że musi istnieć pewne podobieństwo pomiędzy mieszaniem a łączeniem się chemicznem. Prawdziwy jednak stosunek istniejący pomiędzy siłą przyciągającą, jaka się ujawnia w dyfuzji, a siłą przyciągającą pomiędzy atomami, łączącemi się chemicznie ze sobą, jest jednak, jak dotąd, zagadką w nauce.

Wł. U.

Koniec.



WIGILIA ŚW. ANDRZEJA.

(Dokończenie)



am też pewną wprawę! — dodała z wyrazem zadowolenia.

Kasztelanowa uśmiechnęła się po błazliwie, a córka jej skrzywiła usta, pannyki zaś pomyślały sobie:

— Jeżeli wróżby każdej przyniosą takie zmarszczki i chudość, to padam do nóg!

Lecz Elżunia z wielkiem zadowoleniem odsłoniła obrus, na stole ukazały się bryły wosku, i wielkie misy cynowe, napełnione wodą. Na osobnym zaś, okrągłym stoliku, stał żelazny trójnóżek, pod nim fajerka do węgla, mieszek do podsycania żaru i spory rondelek. Dwórki jak żórawie powyciągały szyje, chcąc zgłębić tajemnicę owych przyrządów, panna Eulalia zaś z całem namaszczeniem spytała:

— J. wielmożna kasztelanka pozwoli, że na jej intencję zacznę wróżby?

Po bladej twarzy Tekli prześliznął się rumieniec, oczy zapalały ciekawością i, spojrzawszy na grono dwórek, rzekła:

— Jest to wieczór dziewic, razem więc powinniśmy rozpocząć wróżby.

— Jak wola j. wielmożnej kasztelanki, jeno razem trudno, nie wiem, jakby to uczynić — odpowiedziała z pewnem zakłopotaniem Eulalia.

— To ja waćpannę wyręczę — mówiła, ożywiając się panna Tekla.

I zbliżywszy się do stolika, wrzuciła dużą bryłę wosku w rondelek, mówiąc:

— Rozpuścimy wosk, potem każda zaczerpnie chochlą *), wyleje na wodę i będzie swej wróżby pilnowała.

Zaraz też Elżbietka nagarnęła z kominka żarzących się węgli w fajerkę, Urszulka chciała je mieszkciem rozdmuchiwać, lecz panna Eulalia odsunęła ją, mówiąc:

— To już do mnie należy.

Wkrótce wosk zaczął syczeć, błysk z rozżarzających się węgli padał migotliwym światłem na bladą twarz Tekli i pochyloną głowę Eulalii. Obie wyglądały jak kapłanki jakiegoś tajemniczego bóstwa, około których dwanaście dziewic czuwało. Dwórki bowiem wzięwszy się za ręce otoczyły je kołem, śpiewając:

Gotuj że się, gotuj,
Losy nasze wotuj,
Bo w tem, co się warzy,
Los nam szczęście zdarzy! **)

Wkrótce wosk w płyn się rozpuścił, panna Tekla naczerpnęła chochlą i wylewając go na wodę, rzekła:

— Wylewam pierwsza, lecz wyjmę swą wróżbę ostatnia.

Za nią, nie dając się wyprzedzić, zaczerpnęła Eulalia, potem kolejno przystępowały dwórki z takim namaszczeniem i powagą, jak gdyby owe wróżby miały rzeczywiście losy ich rozstrzygnąć. Panowała też zupełna cisza, bo każda panna z bijącym sercem śledziła ścinanie się wylanego przez siebie wosku, bacząc, żeby się z innym nie zmieszało.

Gdy już zastygł właściwie, panna Eulalia nie dała się nikomu wyprzedzić i poczęła wróżby.

— Najpierw j. wielmożnej kasztelanki — rzekła, sięgając do misy.

— Powiedziałam, że wylewam pierwsza, a wróżbę

chcę usłyszeć ostatnia! — zaprotestowała panna Tekla, przytrzymując wosk ułożony w fantastyczne kształty.

— Powróćcie najpierw imię pannie Eulalii — ozwała się kasztelanowa, która dotąd w milczeniu przypatrywała się zabawie.

— To już chyba najlepiej Elżbietka uczyni — ozwała się któraś z dwórek.

Elżbietka nie dała sobie dwa razy powtarzać, wzięła wosk z rąk Eulalii i obracając go na wszystkie strony, wodziła nim przy białej ścianie, dopóki cień nie zaczął się układać w jakieś określone a przynajmniej przypuszczalne kształty.

— Ho, ho, ho, co ja widzę, ołtarz, najwyraźniej ołtarz, na nim świece, przed nim klęcząca para i ksiądz wiążący jej ręce, a dalej mnóstwo ludzi — mówiła młoda wróżka figlarnie, obracając na wszystkie strony wosk i wskazując na migocące cienie.

— Już ja to wiem, że wkrótce wyprawimy gody weselne! — zaśmiała się kasztelanowa. — Mam nawet już sztuczkę na ślubną suknię dla panny młodej — dorzuciła.

— A ja obiecuję być druchną, zawczasu więc przygotowuję dla oblubienicy welon i mirtowy wianek — rzekła, ożywiając się panna Tekla.

— A panny co na tę uroczystość dorzucą? — spytała kasztelanowa swych dwórek.

— Ja wyhaftuję chusteczkę.

— A ja ręcznik.

— Ja kołnierz.

— Ja upiekę placek.

— A ja tort.

I tak po kolei odzywały się głosy figlarne. Prześcięły się też w obietnicach, myśląc sobie:

— Można jej całe królestwo na dzień ślubu obiecać, bo już chyba w jej wieku za mąż nie wychodzą. A panna Eulalia chociaż o ślubie nie myślała, dygnęła ze śmiechem na wszystkie strony, aż wreszcie rzekła:

— Za dobroć sere tylu winnam się wróżbą odwdzięczyć.

I wzięwszy wosk z rąk najbliższej stojącej, poczęła wróżby z wprawą od tylu lat praktykowaną. Więc jednej przepowiedziała, iż zamieszka w zamku wspaniałym, innej, że będzie miała trosk dużo, lecz, że zostaną uwieńczone weselem. Inna znów miała osiągnąć wielkie szczęście, lecz musi na nie jeszcze poczekać i tak dalej i dalej.

Śmiechów i wesołości było co niemiara, a każda choć niby nie wierząc, snuła na tych przepowiedniach piękne marzenia.

— A dla mnie co święty Andrzej nadesłał? — rzekła panna Tekla, ożywiona niezwykle zabawą swoich rówieśnic.

— Ho, ho, dla j. wielmożnej kasztelanki z pewnością nasz święty patron był hojny! — mówiła, przychlebiając się panna Eulalia.

Lecz zaledwie zamigotała po ścianie woskiem ulanym w fantastyczne kształty, czoło jej pokryło się wielkim fraszunkiem. Fraszunek ten wprawdzie zaraz pokryła i poczęła coś prawić o księciu w złotolitej szacie, dążącym na koniu o skrzydłach orlich, lecz kasztelanowa jej przerwała.

— Wiem już, wiem koniec tej pięknej baśni!

I wzięwszy wosk wróżebny, rzuciła go w komin.

Na jej bladych ustach zaigrał uśmiech, lecz był jakiś inny niż ten, z którym weszła.

Twarzyczka jej przybrała wyraz rezygnacji i spokoju i z rzewną życzliwością spojrzała na swoje rówieśniczki, kwitnące całym bogactwem zdrowia i urody.

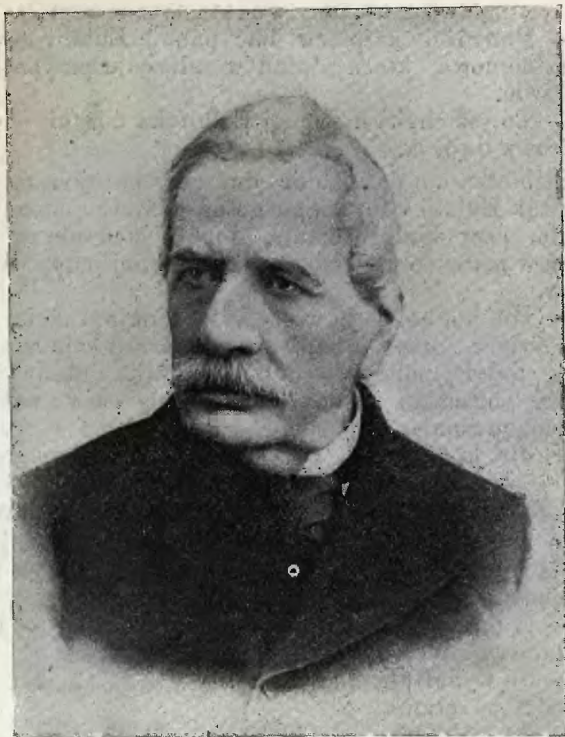
W tej chwili wniesiono olbrzymią piramidę, ułożoną z drobnych ciastek, które miały także swój cel wróżebny.

— Teraz już ślepy los wróżyć będzie, boć kucharz poumieszczał karteczki, nie wiedząc, kto je dostanie — ozwała się dobrotliwie kasztelanowa, zachęcając do rozbierania słodkiej i misternej budowy.

— Niech ochmistryni zaczyna! — rzekła panna Tekla. — Ja znów chcę być ostatnią — dodała.

*) Łyżką wazową.

**) Z pieśni starodawnych.



Ludwik Górski. (str. 390).

Eulalia^z wdziękiem przesadnym sięgnęła po ciasteczko zdobiące wierzch piramidy. Rozłamała je i z uśmiechem radości przeczytała:

Jak przystało,
Czeka cię los, jakich mało!

Za ochmistrzynią szły dwórki, a każda po rozłamaniu ciasteczka znajdowała imię mężkie, wyraz, mający oznaczać jej przyszłość lub zręcznie ułożoną sentencję.

Owe karteczki były to dary dworzan Nakielskiego zamku, wręczali je zwykle kucharzowi, aby tym sposobem przesłać złośliwą uwagę, życzenie, lub popisać się dowcipem.

Miedzy sentencjami były.

Nie dufaj tak wiele w tę swoją urodę,
Bo ona ucieknie, jako latka młode.

A były też wprost:

„Zaręczyny.” „Ślub.” „Klasztor.” i t. p.

Naprzemian więc były wykrzykniki radosne i pełne zawodu, niemniej wszakże sala rozbrzmiewała młodemi głosy.

I panna Tekla ożywiła się jakoś, a chociaż po wyciągnięciu kartki chmura osiadła na jej bladym czole, spędziła ją, szepnąwszy:

— Trzeba się pogodzić z losem!

Lecz czas nie patrzy choćby na najrozkoszniejszą rozrywkę, bieży i bieży; czasomierze przypominają każdą ubiegłą godzinę. Wydzwonił też zegar dwunastą, a pani kasztelanowa rzekła:

— Advent w tej chwili się rozpoczyna, czas już na spoczynek, bo o szóstej ksiądz kapelan wezwie nas na roraty.

* * *

Mrok w kościele, jeno ołtarz jaśnieje światłem. Sześć świec woskowych rzuca swe blaski a pośrodku najwyższa najpiękniejsze rozlewa.

To jutrzienka wschodząca, to wyobrażenie N. Maryi Panny, wyniesionej nad wszystkich ludzi życiem Swem peł-

nem cnót i miłości, bólem i cierpieniem z powodu męki i śmierci Zbawiciela.

Uroczyście biją dzwony i w takt ich kołaczą serca w piersiach wiernych i wznoszą się modły do Tej, która jest opiekunką uciśnionych i cierpiących, przede wszystkim zaś opiekunką dziewic.

— Rorate coeli — śpiewa kapelan.

— Spuście niebiosą rosę modlą się wierni.

Modlą się gorąco i dwórki pani kasztelanowej ze swą ochmistrzynią na czele.

Może błagają Maryi Dziewicy aby spełniła wczorajszą przepowiednię, może u Jej stóp składają swoje losy...

Może... ktoś odgadnie.

Lecz najgoręcej chyba modli się kasztelanowa. Wzniosła oczy ku niebu, na jej twarzy bladej i znękaniej błogość osiadła, a usta szepcą:

— Dzięki ci o Panie, że podczas niewinnej zabawy oświeciłeś umysł mój i wskazałeś właściwą drogę.

— Rorate coeli, spuść tę rosę i napełnij nią duszę moją spragnioną.

Umilkły organy, i pieśń pobożna, i ciche modły umilkły, lecz nie umilkła myśl zacna, która się w sercu kasztelanowej zrodziła.

Łaska czasem spływa w chwili, gdy najmniej zdaje się czas po temu sposobny. Łaska ta spłynęła na nią w chwili, gdy z ulanego wosku ujrzała na cieniu krzyż. W przełamanym przysmaku znalazła zaś karteczkę z napisem:

Tam szczęście twoje,
Kędy ukoisz cierpienia i znoje.

I odrazu w sercu jej rozdrażnionem a gąszczem się do świata, powstała myśl, którą niebawem w czyn wprowadziła.

Opuszczone i sieroty przygarbne do siebie.

A gdy na rok następny zapalono roratną świecę i lu-

Do pow. „Pierwsi ludzie na księżycu”



Kula wpadła w morze z ogromnym pluskiem (str. 392).



Pieśń myśliwca

I.

Hej, grajże mi, rogu bawoli!
O mojej wesołej graj doli,
O bycie myśliwca prostaczym,
O jego zawodzie junaczym!

Niech granie twe idzie w zawody
Z szemraniem jesiennej przyrody,
Z wiatrami, co w smętnym poświście
Zmiatają pożółkłe już liście.

Niech granie to w kniejach się szerzy
I płoszy zwierzynę z jej leży!
Niech głosy te echo poniesie
Po polu, po gaju, po lesie!

Dalejże w las, dalejże w las!
Już ranek świta: czas już, czas!
Dalejże w głąb, dalejże w gaj!
A ty, mój rogu, grajże, graj!

II.

I oto już jestem śród boru:
Tak ciemno, jak podczas wieczoru;
Tak szumią nade mną konary,
Jak gdyby narzekał bór stary.

Przejrzyste się płaczą tumany
Po ziemi, igliwem wysłanej,
I tulą w swe chłodne uściski
Pień każdy zwilżony i śliski.

Jak dumne, poważne tu drzewa!
Gdy żaden już ptaszek nie śpiewa —
Ślą one ku niebu swe szumy
Śród tęsknej, jesiennej zadumy...

Tu wszędzie pnie, tam wszędzie pnie...
I coraz ciemniej wokół mnie...
Zwierz blisko... rogu, przestań grać!
Do rąk dwururka... Sokół, stać!...

III.

Wśród leśnej zacisznej polany,
Igliwem i mchami wysłanej,
Dwie sarny się tulą do siebie,
I tak im tu dobrze, jak w niebie!
Kiściami się karmią sośniny,
Tam uszczkną gałązkę brzeziny,
Czasami z pod liści wygarną
Wiatrami posiane tu ziarno.

I czas im upływa tak mile,
I lecą tak szybko im chwile:

Nie wiedzą, że grożą ich życiu
Ja, strzelec, z dwururką w ukryciu!...
Tu się zatrzymam... Sokół, stój!
Obfity hędzie plon dziś mój:
Trza ubić tego kozła wraz...
Więc chociaż żal mi... czas już, czas!

IV.

Ha, trudno! pod strzechą mej chatki
Czekają na powrót mój dziatki,
Do mamy, jak ptaszki, się tulą,
Wolając: „Daj chleba matulu!”

A chleba skąd weźmie myśliwy,
Gdy nie ma i pola i niwy?
Więc strzelbą wyżywiam rodzinę,
Sprzedaję do miasta zwierzynę.

Niech szumią nad głową mi sosny,
Niech skarży się puszczyk żaloszny:
Myśliwy się skarg tych nie lęka,
Przy strzale nie zadrży mu ręką!

Na cel już wziąłem: strzelać czas!
Wnet hukiem strasznym zagrzmiał las
Strzeliłem... dymu pierzchły mgły,
I biedny kozieł legł na mchy.

Alfred Ludowski.

dzie śpieszyli na mszę o świcie, każdy wskazywał biały dwór, na którym błyszczał napis:

Rosa niebieska niech napełni serca nasze.

I długie, długie lata na przedmieściu miasta Nakła¹⁾ istniał dom biały, w nim mieszcili się opuśczone i sieroty, a z portretu spoglądała szlachetna twarz ich założycielki.²⁾

Z. Morawska.

Ludwik Górski.

Czytelnicy nasi na łamach „Wieczorów” zapoznali się nieraz z życiorysami mężów, którzy na polu nauki, literatury, sztuki lub działalności społecznej położyli niespożyte zasługi. Obowiązkiem bowiem naszym jest o tych mężach wiedzieć, znać ich dzieła i obok uczuć wdzięczności starać się w miarę możliwości i uzdolnienia ich naśladować.

Przed tygodniem obchodziliśmy właśnie jubileusz rzadki, bo 60-o letniej pracy i działalności jednego z najczcigodniejszych obywateli kraju, prezesa komitetu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, Ludwika Górskiego. Sędziwy ten starzec, urodzony w 1818 roku, przez całe swe życie zarówno piórem, jak czynem, radą i przykładem zachęcał swoich współobywateli do pracy wytrwałej i umiejętnej na każdym polu a zwłaszcza w gospodarstwie wiejskiem, stanowiącym główne bogactwa naszego kraju, do ładu i obowiązkowości we wszystkich czynnościach, do należytego obchodzenia się z ludem, do rozumnej dobroczynności i pieczy nad mniej oświeconymi i ubogimi, wreszcie do stałej bogobojności, niezłomnej wiary i ufności w Opatrzność Boską.

Nie będziemy wam teraz wyjaśniać szczegółowo zasług Ludwika Górskiego, wspomniemy tylko, że w życiu naszego społeczeństwa w całej 2 ej połowie XIX w. grał on wybitną rolę, którą, ucząc się dziejów, poznać i ocenić.

Obchód jubileuszowy był nader uroczysty. Po nabożeństwie w kościele św. Jana — w mieszkaniu jubilata zebrał się przedstawiciele obywatelstwa ze wszystkich stron kraju, różnych towarzystw i instytucji. J. eks. biskup Ruszkiewicz ofiarował mu złoty medal pamiątkowy, na cześć jego wybitny, a Henryk Sienkiewicz rozpoczął wspaniałą przemowę długi szereg adresów, powinszowań i życzeń, między innymi Siostr Miłosierdzia Tow. św. Wincentego à Paulo i św. Kzimirza, którymi on i nieżyjąca już małżonka jego ś. p. Paulina z hr. Krasińskich stale się zajmowali.

Z pośród dwóch gromadek sierot, wychowanek tych dwóch zakładów, wystąpiła 9 letnia Janinka Smarzewska i, wręczając jubilatowi grupę pamiątkową swych towarzyszek i sióstr-wychowawczyń, wypowiedziała z uczuciem i zrozumieniem śliczny wierszyk, zaczynający się od słów:

„Trwogą przejęta, maluczka, uboga,
Wchodzę nieśmiało w pośród wielkich koło,
I pytam wszystkich: czy to tędy droga,
Gdzie Dobroczyńcy wieńczą godne czoło?
I już nie słucham, czy mi kto odpowie
Na moją prośbę. — Widzę, że mi trafiła
Dobrze — lecz dziecko, jam niemocna w słowie,
Darujcie, proszę, gdybym się zmyliła.”

¹⁾ Nakło, starożytna osada słowiańska nad Notecią, pow. Bydgoski.

²⁾ Przed kilkunastu laty dom ten zniszczył pożar.
(Przyp. autora).

Ucieszony tą deklamacją, zakończoną prostemi, dziecięcimi życzeniami, czcigodny opiekun ezule ucałował małą mównicę i jej towarzyszkę, poczem od drugiej grupy wychowanek zakładu św. Kazimierza przyjął również aksamitny laufer z wyhaftowaną złotem dedykacją i grupę fotograficzną.

Nie mając własnych dzieci, rozciągał on zawsze szczególną opiekę nad sierotami i ubogą dźwiatwą, zarówno w do-brach swoich Sterdyni w gub. siedleckiej, jak i w Warszawie. Zwracał też zawsze pilną uwagę na kształcenie umysłu i charakteru młodzieży, gdyż, jak się wyraził w jednej ze swoich prac:

„Chwalebne jest badać przeszłość, pięknem i przyjemnem zajmować się literaturą i archeologią, ale użytecznym jest tworzyć teraźniejszość, w której jest zaród przyszłości.”

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).

XVI.

List.



Nagle o jakie trzydzieści metrów ode mnie na pochyłości skały, wśród potratowanej, zeschłej roślinności zobaczyłem czapkę Cavora. Zadrżałem z przerażenia.

Więc go napadły te podobne do owadów istoty, bronił im się biedak, walczył jak mógł, czego dowodem te podeptane rośliny, a oni przemocą wzięli go.

Podszedłem bliżej, i podniosłem czapkę, ślady krwi widać było dokoła.

Stałem przerażony, namyślając się co robić, gdy ujrzałem podrzucany lekko wieczornym powiewem jakiś biały, niewielki przedmiot. Podniosłem go, był to papier zgnieciony i krwią poplamiony, a na nim poznałem pismo Cavora. Usiadłem na pochyłości skały, wyprostowałem papier delikatnie i zacząłem czytać co następuje.

— Stłukłem mocno kolano, nie mogę chodzić ani pełzać...

To było wyraźnie napisane, a później nieczytelnie:

— Oni mnie ciągle gonią i wkrótce dogonią.

Potem bardzo pospiesznie napisane:

— Już ich słyszę, — i niewyraźny zygzak. Dalej znów kilka wyrazów:

— Ale to zupełnie inny rodzaj Selenitów, muszą mieć większe komórki mózgowe, gdyż zupełnie inaczej mówią, musi to być klasa rządząca — dalej nic już nie mogłem odczytać.

W końcu były jeszcze niewyraźne te słowa:

— Ubrani są w cienkie, złote pancerze. Choć jestem ranny i zupełnie w ich mocy, ale zdaje mi się, że się porozumiemy, nie tracę nadziei... (Wieczny marzyciel ten Cavor! Oni do mnie nie strzelali, nic mi dotąd złego nie zrobili... mam zamiar...

Na tem list się urwał, duża kresa ołówkiem przecinała cały list, mocno krwią poplamiony.

Gdy tak siedzę, zdrętwiały z żalu nad losem Cavora, rozmyślając, jakby mu pomódz, lekki biały chłodny puszek dotknął mej ręki. Ocknąłem się, spojrzałem dokoła, to śnieg zaczynał padać, te białe płatki to zwiastuny nocy.

Spojrzałem na niebo, na ciemnym jego szafirze świeciły miliony gwiazd, na wschodzie widać było złowrogie złoto-bronzone chmury, na zachodzie słońce już znikło, a gęste, białe mgły rozpościerały się powoli, na ich zaś tle spiczaste skały i suche łodygi roślin rysowały się jak czarne cienie... Nagle zawiął lodowaty wiatr, śnieg zaczął padać gęstymi płatami. W tej samej chwili usłyszałem dźwięk podziemnego dzwonu: „Bum... bum... bum...”, jak wtedy, gdyśmy rankiem wyszli z naszej sfery i uczyli się chodzić po księżycowych skałach.

Po chwili wszystko ucichło, a ja pomyślałem, że gdy noc mnie tu zajdzie, to ten dzwon wieczorny będzie moim dzwonem pogrzebowym.

— Nie! — zawołałem rozpaczliwie — ja nie chcę jeszcze umierać! Nie dam się śmierci!

I drżąc z zimna i ze wzruszenia, zacząłem skakać co sił ze skały na skałę w stronę, gdzie leżała sfera.

Czas już był wielki, bo nim dobiegłem do niej, to gęsto padający śnieg zakrył ją już do połowy. Zesztywniałem od zimna palcami zaledwie mogłem nacisnąć sprężynę i odsunąć klapę otworu, przez który wsunąłem się do wnętrza. Zasunąłem prędko klapę, chcąc uniknąć zimna i śniegu, a że kilka okiennic było odsuniętych, więc przez szyby domku widziałem, jak wszystko już dokoła pokrył śnieżny całun, a wszystkie łodygi okryte białym puchem stały w zwartych szeregach, jak wysłanki śmierci.

A Cavor? Co się z nim dzieje? Dziwno mi było bez niego. Szukałem go oczami, czekałem na niego. Zadymka na zewnątrz wzmagala się, wiatr wyl złowrogo. Wkrótce śnieg zasypie całą sferę i nim znów słońce zaświeci na tej dziwnej planecie już ja go nie ujrę. Dobrowolną moją śmiercią Cavorowi nie pomogę a jeżeli wrócę szczęśliwie na ziemię, mając odpowiednie środki materialne, zbiorę całą wyprawę ochotniczą, wrócę tu i wyswobodzę przyjaciela. Postanowiłem więc wrócić na ziemię z pomocą Bożą.

XVII

W przestrzeni.

Przedewszystkiem przypominałem sobie, gdzie się znajdowała mała lampka nasza, zapaliłem ją, potem nagrzałem bardzo mocno ogrzewacze i sprawdziłem, czy przyrządy wydzielające tlen i pochłaniające kwas węglany, wydzielany przy oddychaniu, działają prawidłowo. Nim się sfera dostatecznie nagrzała, posiliłem się naszymi zapasami, gdyż po przebytych trudach i wrażeniach czułem się zupełnie wyczerpany.

Nie wiem, jak długo trwały te przygotowania, bo zegarek Cavora jeszcze w chwili przybycia na księżyc potłukł się w kawałki, a tutaj czas liczył się zupełnie inaczej niż na ziemi. Gdy już gorąco zrobiło się w kuli, nastawiłem ostrożnie przyrząd wynaleziony przez Cavora, pozasunąłem cavoritowe okiennice wewnętrzne, zgasiłem lampkę i przyśrubowałem ją mocno do odpowiedniego przyrządu, Boga się poleciwszy, czekałem.

Ta ciemność i cisza dawały mi przedsmak grobu, byłem jakby żywcem pogrzebany. W tem uczułem leciuchne wstrząśnienie i zaraz zrozumiałem, że lecę w przestrzeń, bo przedmioty leżące wewnątrz kuli, jak blaszanki z zapasami i mój pakunek ze złotem, zaczęły mnie uderzać po kolei. Przez zasunięcie okiennic Cavoritowych wpływ siły przyciągania księżycy na sferę przerwał się i zaczęła nań działać tylko siła odśrodkowa. Leciąłem.

Doczołgałem się, jak mogłem, macając po ścianach rękami, do otworu, chwyciłem za sznur, który przezorny Cavor tam umocował, aby trzymając się, można było ustać na nogach i odsunąć klapę do połowy, wyjrzałem. Zdało mi się, że ledwie dziesięć minut byłem w przestrzeni, i że jestem jeszcze blisko księżycy, tymczasem byłem już tak daleko, że przedstawił mi się jako wielki srebrny sierp na ciemnym niebie, a jak półksiężyc turecki świeciła nasza ziemia.

Zadymki śnieżnej ani znaku, pogoda i spokój zupełnie panował w przestworzu.

Mocno zdziwiony tym widokiem, chciałem zobaczyć, co też będzie widać z przeciwnej strony i odsunąłem cavoritową okiennicę naprzeciw otworu. Olsniony oślepiającym blaskiem słońca, coprędzej zasunąłem okiennicę, wróciłem do otworu i podziwiając te cuda wszechświata, zadałem sobie pytanie, gdzie też los mnie rzuci?

Cavor umiał kierować sferą, on uczony, matematyk astronom. Ja obecnie rozumiałem tylko cokolwiek, bo korzystałem z jasnych wykładów mego przyjaciela, i wszakże z nim razem budowałem sferę i odbyłem podróż na księżyc, ale czy mi się uda powrócić na ziemię?

Myśl ta trwożyła mnie bardzo, w tamtej podróży Cavor był sternikiem, a teraz czyż dam sobie radę bez niego?

Wyteżyłem pamięć, aby sobie przypomnieć wszystkie wskazówki Cavora i po chwili wielkiej pracy pamięciowej przypominałem sobie, że muszę przybliżyć się do księżycy, przelecieć poza nim, potem zamknąć cavoritowe okiennice z tej strony, a otworzyć wschodnie okna, wtedy ziemia znacznie mnie przyciągać i powrócę na nią.

Zwinąłem więc zaraz okiennice, wychodzące na księżyc i zacząłem lecieć jakby z powrotem, ale gdy znów uczułem jak przy pierwszym zbliżeniu do księżycy, że stoję na dnie a nie wiszę w powietrzu, nie mając zamiaru wrócić natę zimną planetę, przedziutko zasunąłem okiennicę od strony księżycy, przebiegłem koło niego z niesłychaną szybkością, a otworzywszy następnie wschodnie okiennice zacząłem spadać ku ziemi przyciągany przez nią. Uczułem się spokojniejszy teraz, byłem tylko małym atomem w wszechświecie, ale atomem wolnym, leciałem w przestrzeni, jak miliony gwiazd lecą po niebieskim przestworzu, drogę miałem wytkniętą i dziwnie blisko wtedy czułem obecność Przedwiecznego. Głowa mi tylko trochę ciążyła, a zresztą pod względem fizycznym czułem się zupełnie dobrze.

Nigdy nie zapomnę uczuć i wrażeń, jakich doznałem w tej bezmiernej podróży mojej! Chwilami zdawało mi się, że dopiero co opuściłem księżyc, a chwilami znów, że już od wieków lecę tak w przestrzeni, że jestem istotą stworzoną przed wiekami, że nigdy nie skończę mego biegu, lecz wiecznie krążyć tak będę wśród planet.

W kuli było ciemno, gdyż otwór, przy którym stałem, wychodził w stronę ziemi, która z powodu oddalenia słabo jeszcze oświecała, słońce zaś było pode mną.

Sam byłem wśród ciszy wszechświata, a jednak nie czułem się osamotniony, doznałem wrażenia podróźnego, wracającego do rodzinnego domu, czułem się silnym opieką Wszechmocnego i nie doznawałem w duszy żadnej obawy.

Natomiast zdawało mi się, że nie mogę być tym samym Bedfordem z Londynu, który został bez grosza, który zamknął się w Lympe, by napisać arcydzieło dla sceny, a później poznał Cavora i pracował nad jego wynalazkiem, tamten Bedford wydał mi się tak małym, biednym i ograniczonym, że litość mnie brała nad tym nędzarzem. Przebiegłem myślą całe jego życie: dzieciństwo, czasy szkolne, pierwszą młodość... I wydał mi się on maleńką mrówką, uwijającą się w piasku, o! jak nieskończenie większym, silniejszy duchem był obecny Bedford, który dzięki wpływowi uczonego Cavora dokonywał rzeczy nadzwyczajnych.

Wśród tych rozmyślań zbliżyłem się ku ziemi tak, że już czułem wyraźnie jej siłę przyciągającą. Gdzie ja też spadnę? pomyślałem. Szczęśliwie wyszedłem ze wszystkich przygód na księżycu a pewnie zginę, wracając do matki ziemi. Tymczasem byłem już wśród atmosfery otaczającej kulę ziemską, temperatura zaczęła się podnosić, niedługo spadnę, ale gdzie to nastąpi?

XVIII.

Bedford w Littlestone.

Nareszcie w szarem półświecie ujrzałem pod sobą morze. Ziemia już mi się nie przedstawiała jak kula, ale

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Ignacy Domeyko.

Sto lat już minęło od przyjścia na świat Ignacego Domeyki. Był to mąż niespożytej pracy, zasługi, wiedzy i co najważniejsze co niestety nie zawsze idzie w parze z innymi przymiotami, człowiek wielkiego charakteru. Rozniósł on szeroko sławę polskiego imienia. Nie zapominał, ani na chwilę o własnym kraju, choć przybrana ojczyzna obsypała go zaszczytami i dostatkiem.

Dzieje takiego człowieka, jakkolwiek zamykają się głównie w pracowniach, laboratoriach, audytoryach, zasługują ze wszech miar na poznanie. Stanowią przykład, jak żyć należy, idąc zawsze prostą drogą obowiązku, pracując wedle sił i zdolności i nie tracąc ideałów dobra, cnoty, wiary, które rozświetlają życie tym wszystkim, co ku nim dążą wytrwale. Ignacy Domeyko urodził się r. 1801 w powiecie Nowogrodzkim w cichej wsi Niedźwiadce, należącej do jego rodziców i dziadów.

Nazwisko wsi i rodziny znane jest dobrze wszystkim czytelnikom „Pana Tadeusza,” bo Mickiewicz umieścił w Niedźwiadce niedoszły pojedynek Domeyki z Doweyką, o którym Wojski opowiada, a który za jego sprawą zakończył się zgodą zwaśnionych, a nawet małżeństwem zacieśniającem węzły przyjaźni pomiędzy dwoma rodami.

Nie przypadkowym sposobem ten epizod znalazł się w Panu Tadeuszu. Ignacy Domeyko był

serdecznym przyjacielem Mickiewicza, a nawet będąc w Paryżu, gdy wielki poeta kończył swój wspaniały poemat, pomagał mu w jego przepisywaniu. Domeyko należał do świetnej plejady młodych talentów, które wyszły z uniwersytetu wileńskiego. Słuchał wykładów takich mistrzów, jak Śniadeccy, Lelewel, Borowski, a ten ostatni chociaż mniej sławny, wywierał wpływ tak wielki na swoich słuchaczy, że pominiętym być nie może. Jednakże nad wszystkich zajmowały Domeykę wykłady Andrzeja Śniadeckiego, i można powiedzieć, że ten wielki przyrodnik wpłynął na całą przyszłość Domeyki, który poświęcił się naukom przyrodniczym a wśród nich głównie oddawał się chemii, nie zaniehbując jednak ogólnie kształcących umiejętności jak historia, fizyka, literatura.

W uniwersytecie Domeyko zawarł przyjaźń z Mickiewiczem, z Odyńcem i wszystkimi znakomitościami umysłami pomiędzy młodzieżą, którą łączyły węzły serdeczne. Z Mickiewiczem i Odyńcem, Domeyko pozostał zawsze w korespondencji, którą śmierć tylko przerwała.

Domeyko osiadłszy na wsi, przez lat parę gospodarował tak świetnie, stosując do rolnictwa nabyte wiadomości, że jak pisał poeta, zyskał sobie sławę pierwszego w kraju ekonoma.

W Paryżu zapisał się do szkoły górniczej i skończył ją tak świetnie, że zwrócił na siebie uwagę znakomitych uczonych, którzy w niej mieli wykłady.

Była to podwalina jego przyszłej działalności, bo polecony przez nich, otrzymał w Rzeczypospolitej Chili posadę profesora chemii i fizyki z obowiązkiem założenia laboratorium chemicznego w Coquimbo. Była to



Ignacy Domeyko.

chwila w której Chili organizowało się, zakładało uczelnie i usiłowało wyzyskać bogactwo kopalń, jakie jej ziemia zawiera. Domeyko wykształcony i zamiłowany w swoim przedmiocie, energiczny, pełen dobrej woli, był dla niej jakby człowiekiem opatrnościowym. Na chwałę Chilijczyków powiedzieć trzeba, że poznali się prędko na jego wartości. Właśnie wówczas zakładano szkołę górniczą w Coquimbo, nad oceanem Spokojnym, on więc, obeznany ze szkołami francuskimi, stał się wkrótce faktycznym jej kierownikiem, bo wszelkie ulepszenia i zmiany przez niego proponowane, były zawsze przyjęte i wydawały najlepsze owoce.

Wakacje spędzał zwykle w towarzystwie niektórych słuchaczy, badając pokłady minerałów, w które obfitują Andy chilijskie. Pracował też niezmordowanie nad chemią, wślawił się różnemi odkryciami. Między innemi odkrył nowy związek arsenu z miedzią, który od jego nazwiska nazwany został *Domeykitem*. Odkrył też bogate pokłady miedzi, srebra, złota.

Te świetne rezultaty, oraz wielkie postępy, jakie czynili jego słuchacze, nadały Domeyce niezmierną powagę. Poznawszy kraj i naród, z którym miał do czynienia, zaprojektował różne urządzenia szkolne, przystosowując je do potrzeb miejscowych i te odrazu przyjęte, wprowadzone zostały w życie.

Nie poprzestając na tem, zasilał pisma naukowe w Europie cennemi artykułami, pisał podręczniki do nauk przyrodniczych dla szkół w Chili, oraz wydał dzieło pierwszorzędного znaczenia, „Araukania i jej mieszkańcy,” które wywołało niezmierne wrażenie nie tylko w Chili, ale w całym świecie i zostało tłumaczone na wszystkie prawie języki.

Araukanie są to pierwotni mieszkańcy Chili. Opisał ich jeszcze w XVI wieku poeta hiszpański Ercilla w swoim poemacie bohaterskim „Araukania.” Domeyko zbadał sam ich pozostałe plemiona, opisał pod względem etnograficznym i obyczajowym, a co najważniejsze, nakreślił plan postępowania, dążący do poprawy ich losu i ucywilizowania, który przyjęty, okazał się w praktyce bardzo szczęśliwym.

Słowem, działalność Domeyki na każdym polu była dobroczynną i trudno zliczyć prace i zabiegi, jakie podejmował dla dobra społeczeństwa, któremu służył całą duszą. Pierwiastkowo zobowiązał się pozostać w Coquimbo lat sześć, ale po upływie tego czasu Chilijczycy potrafili zatrzymać go na czas dłuższy. Był oceniony jak na to zasługiwał i zżył się ze społeczeństwem, które rozwijało się bujnie w wielkiej części pod jego wpływem.

Przywiązały go też do tego kraju węzły serdeczne, ożenił się z panną Sotomayor, należącą do najbardziej poważanych rodzin w owym kraju.

Choć dużo młodsza od męża, odumarała go przecież po dwudziestoletnim szczęśliwym pożyciu, zostawiając dwóch synów i córkę.

Ze szkoły górniczej powołano Domeykę do stolicy chilijskiej San Jago, gdzie został profesorem uniwersytetu. W r. 1867 po trzydziestoletnim blisko pobycie w Południowej Ameryce, pierwszy raz odwiedził Europę, jako przedstawiciel przemysłu chilijskiego na wystawie powszechnej w Paryżu.

Po krótkim pobycie powrócił jednak na swoje stanowisko, a dopiero po kilkanaście lat później, straciwszy żonę,

sam licząc już z górą lat siedmdziesiąt, zapragnął dobrze zasłużonego spoczynku, zapragnął ujrzeć kraj własny i miejsca rodzinne, do których tęsknił zawsze pomimo pracy i domowego szczęścia. Projekt kilka razy odkładany, bo wdzięczni Chilijczycy, nie mogli się tak łatwo rozstać z ukochanym uczonym, naówczas rektorem uniwersytetu w San-Jago, urzeczywistniony został wreszcie w r. 1884. Wyjazd Domeyki był dla niego uroczystością tryumfalną. Stany chilijskie w nagrodę tyloletnich zasług, przyznały mu dożywotnią pensję trzydziestu tysięcy franków. Oddano na jego usługi na kolei wagon prezydenta, na stację odprowadziła go cała niemal ludność miasta, której miłość umiał sobie zjednać przyjaznem obejściem i dobrocią, jak zyskał sobie cześć powszechną głęboką wiedzą. Wielu najznacniejszych obywateli odprowadziło go do Valparaiso, gdzie wraz z synami wsiadł na okręt. Córka jego była już od lat kilku poślubiona swemu stryjeczemu bratu Leonowi Domeyce i przy niej ojciec pragnął życia dokonać.

Tym sposobem nie zerwały się węzły, które łączyły go z ziemią rodzinną, a teraz śpiesząc do rodzinnego kraju, śpieszył także odwiedzić córkę, zięcia i krewnych. Przed wyjazdem jednak z Chili, rozczulony pożegnaniem, jakie mu zgotowano, obiecał, że odwiedzi jeszcze przed śmiercią tamtejszych przyjaciół.

Przyjazd Domeyki był prawdziwą uroczystością dla Warszawy. Wyjechał na jego spotkanie przyjaciel młodości Antoni Edward Odyniec z córką, panią Teresą Chomętowską i najstarszą z wnuczek. Na dworcu w Warszawie witało go grono przyrodników, lekarzy i nieznanych wielbicieli, a wśród nich był wnuk Adama Mickiewicza, młody bardzo naówczas Władysław Ludwik Górecki.

Cieszyła się Warszawa drogim gościem, podziwiała szczera, serdeczną prostotę obejścia, podziwiała jego żywotność umysłu i rzeźkość ciała. Powrócił po pół wieku duchem niemal takim, jakim wyjechał, nie zapomniał nawet akcentu mowy rodzinnej. Z dawnych druhów mało który został przy życiu, ale młodzi, okazali mu cześć i miłość, na jaką sobie życiem całym zasłużył.

Dwa lata Domeyko przebywał u córki w pow. Nowogrodzkim, odwiedził Kraków, a w roku 1887 był w Rzymie, gdzie jeden z jego synów, wyświęcony został na księdza, a stamtąd odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej. W roku następnym postanowił spełnić przyrzeczenie dane przyjaciołom chilijskim i odwiedzić ich.

Tym razem jednak niezmordowany dotąd podróżnik, uczuł znużenie. Siły widocznie wypowiedziały mu posłuszeństwo, przybył chory już do San-Jago, a we dwa miesiące po przyjeździe, gdy zdawał się wracać do zdrowia, niespodzianie dokonał pracowitego życia dnia 23 stycznia 1889 roku.

Była to piękna dusza, wielki umysł i wielkie serce. Kraj nasz poszczycić się nim może, stawiając go jako przykład pokoleniom następnym. Obyśmy byli do niego podobni, jak on zaznaczyli nasz pobyt na ziemi ciągłą pracą, podejmowaną dla dobra drugich.

Walerja Marrené-Morzkowska.

Do Jaskółki.

Odpowiedź na wiersz „Do jasných chwilek.”

Ot — Jaskółce się zacheiało
Podczas zimy, ciepłej wiosny!...
Czyż jej było jeszcze mało?
Niech rozsądzą jodły, sosny!

Ty w Syrenim pewnie grodzie
Wiosnę, lato przepędziłaś,
I skrzydelka w mętnej wodzie
Szarej Wisły swe moczyłaś.

Nie dziwnego, że tak skoro
Przeszły Tobie dni wiosenne
W mieście, gdzie jest kurzu sporo
I powietrze takie zmienne.

Żebyś miła Jaskółeczko,
W lasach naszych przebywała,
To, ogrzana przez słońeczko,
Po dniach całych byś śpiewała.

Tu byś razem z ptaszętami
Po dniu znojnym w cieniu spała,
Kolysana ich śpiewami,
Jak dziecina jaka mała.

* * *

Przejdą przecież dni zimowe,
I powrócą owe chwile —
Dni pogodne, jasne, zdrowe,
Którym świecisz westchnień tyle.

Lecz już wtedy nie siedź w mieście,
Ale przybądź w strony nasze,
Niedaleko — wiorst ze dwieście,
Przyjmiem chętnie miłe ptasze.

Sep.



H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dokończenie).



Wjrzałem oknem, znajdowałem się na obszernej, piaszczystej mieliźnie. Wznaczonej odległości widać było drzewa i domy, a więc ląd — ziemia! Spojrzałem na morze, okręt jakiś rysował się na dalekim horyzoncie.

W tej chwili zachwiałem się i upadłem, bo chciałem stanąć o własnej sile, gdyż otwór wejściowy znalazł się u góry, a ja co prędzej pragnąłem go odśrubować. Po chwili dopiero wstawszy, uczyniłem to, powietrze świszcząc wchodziło do wnętrza, byłem niem odurzony. Uczułem mo-

cny ból w piersiach, usiadłem i zacząłem ciężko oddychać. Po jakimś czasie ból ustał, oddychałem już swobodniej.

Wyprostowałem się i głowę wysunąłem otworem, ale siła powietrza wepchnęła mię napowrót wewnątrz kuli, która potoczyła się na bok. Lecz po następnych próbach dostałem się na wybrzeże zdrów i cały, tylko ruszyć się nie mogłem, gdyż zdawało mi się, że jestem z łożowiu — tak byłem ciężki, ziemia rozpościerała już bez przeszkody władzę swą nade mną.

Był bardzo wczesny ranek; rozejrzałem się dokoła, na prawo widać było kamienisty brzeg, a na nim kilka małych chat, latarnię morską i cypel lądu, wchodzący w morze, z lewej strony jakieś niewielkie sadzawki, a w głębi rząd skromnych domów, jakby świeżo powstające miejsce kąpielowe. Gdy przyzwyczaiłem się znów do powietrza ziemi naszej; powstałem jeszcze z pewną trudnością, przeciągnąłem się raz kilka, aby członkom moim nadać dawną giętkość a czując porządny głód, pomyślałem z jaką przyjemnością napiję się gorącej kawy ze świeżymi bułeczkami, bo choć nie wiedziałem, gdzie jestem, ale pewny byłem, że znajduję się w Europie, a serce mi mówiło, że na angielskim wybrzeżu.

Usłyszałem też czyjeś kroki za sobą, odwróciwszy się, spostrzegłem jakiegoś jegomościa z ręcznikiem na szyi; szedł ku morzu, aby użyć rannej kąpieli. Po flanelowem ubraniu poznałem rodaka. Idąc, przypatrywał mi się ciekawie, jak również szklanej kuli, wreszcie przystanął i zawołał — „Hola, kto pan jesteś!”

Dziwiłem się, że mnie panem nazwał, bo rozczocharany, brudny, i obdarty, wyglądałem na szubrawca raczej niż na porządnego człowieka, lecz rad ze spotkania, odrzekłem pospiesznie...

— A pan kto jesteś?

Uspokojony zbliżył się i wskazując na sferę spytał ciekawie.

— Co to może być?

— Najprzód racz mi pan powiedzieć, gdzie ja jestem? — zapytałem.

— W Littlestone, — odrzekł, wskazując szereg domów. Czy pan dopiero co wylądował? A co to za kula? czy to jaka maszyna?

— Tak.

— Czyś pan po rozbiciu statku w tej kuli tu przypłynął? Czy to jest nowy przyrząd ratunkowy? — pytał zaciekawiony.

Spojrzałem bystro na jego dobroduszną twarz, widziałem, że mogę mu zaufać, więc potwierdziwszy jego mniemanie, że to jest mój przyrząd ratunkowy, rzekłem z naciskiem.

— Potrzebuję pomocy, aby przenieść to, co się znajduje wewnątrz tej kuli w jakie bezpieczne miejsce, gdyż sam temu nie poradzę.

W tej chwili ujrzałem trzech młodych ludzi idących z kąpielowemi ręcznikami w naszą stronę, wielce mnie to ucieszyło, a uprzejmy pan począł gestami wzywać ich, by się do nas zbliżyli.

Za chwilę nadeszli i równie jak pierwszy kąpielowicz zarzucili mnie pytaniami.

— Wszystko panom opowiem później, lecz teraz umieram ze znużenia.

— Chodź pan do hotelu, — rzekł pierwszy mój znajomy, a my zajmiemy się sprowadzeniem pańskiej maszyny.

— Nie mogę, — odrzekłem — w tej kuli, znajduje się całe moje mienie w złotych sztabach.

Spojrzeli na mnie z niedowierzaniem, a potem jeden na drugiego i milczeli. Ja poszedłem do kuli, wyjąłem grube kute kije, które na ziemi ciążyły sześć razy więcej niż na księżycu, łańcuch, kawałki piki, i położyłem to wszystko przed nimi. Pierwszy jegomość podniósł kij, lecz zaraz upuścił go stękawszy i zapytał.

— Czy to naprawdę złoto, czy mosiądz?

— Ależ złoto! — zawołali chórem trzej inni.

— Skąd pan wzięłeś tyle złota? zapytał, patrząc na mnie bacznie, dobroduszny, niski jegomość.

Byłem tak znużony, że nie chcąc długo mówić, powiedziałem im prawdę.

— Przywiozłem je z księżycal

Pojmiecie czytelnicy, jakimi oczami spojrzeli wtedy na mnie wszyscy czterej, lecz ja nie zważając na ich zdziwienie, rzekłem krótko.

— Opowiem wam wszystko później, teraz, panowie, pomóżcie mi przenieść ten kruszec do hotelu — jedną sztabę we dwóch poradzicie, a resztę ja sam zaniosę.

— A ta szklana kula?

— Niestety chwilowo muszę ją tu zostawić.

Młodzi ludzie nie zadawali mi już pytań, posłusznie wzięli we dwóch po jednej sztabie i taką szliśmy procesją do hotelu. Na pół drogi spotkaliśmy gromadkę dzieci: dwie dziewczynki ze szpadelkami, które z przestraczem przypatrywały się dziwnej mojej postaci i szczupły o bystrych oczach chłopak, śnać syn rybaka. Ciekawie się

— Myśl pan o tem, co chcesz.

Najmłodszy z czterech słuchaczy rzekł do innych półgłosem:

— Nie chce nam powiedzieć prawdy i kwita.

— Panowie, rzekłem poważnie, — wiem, że trudno uwierzyć moim słowom, przygody moje są nadzwyczajne, lecz daję wam słowo honoru, iż przybywam prosto z księżycal...

Jestem panom niezmiernie wdzięczny za ich pomoc i zdaje mi się, że panów niczem nie obraziłem.

— Ależ bynajmniej. odpowiedzieli wszyscy razem z bardzo uprzejmymi minami, zapalili papierosy i rozproszyli się po salonie. Okrągły jegomość zbliżył się do okna i rzekł.

— Pogoda jest przepyszna, nie pamiętam tak ciepłego lata.

W tem coś jakby wielka rakietą wyleciała w powietrze. Rozległ się szum.

— Co to jest? — zawołałem.

— Nie wiem, — odrzekł jeden — z panów i żeby lepiej zobaczyć pobiegł do okna, inni uczynili to samo.

— Stąd nic nie widać, — zawołali — i wybiegli przed dom.

Nagle przebiegła mi przez głowę okropna myśl. Jak szalony pobiegłem za nimi. Na niebie z tej strony, gdzie zostawiłem sferę, unosiła się ona teraz w powietrzu jak mały obłoczek.

— To ten chłopiec! to ten przekłety chłopiec! — krzyżałem w największej pasji, i roztrącając ludzi biegłem na wybrzeże, gdzie zostawiłem kulę. Nie było jej tam niestety, tylko pozostawiona przez chłopca siatka.

Stałem na miejscu zdrtwiał z rozpaczy. Teraz wszystko przepadło: wielki naukowy wynalazek Cavora, wszystkie moje plany aby jechać odszukać zaginionego towarzysza, jeden ciekawy dzieciak w niwecz obrócił te zamiary i sam zginął.

Dokoła mnie stało więcej niż dwadzieścia osób pytających wzrokiem o wyjaśnienie tego zdarzenia.

— Nie mogę państwu tego wytłomaczyć, zawołałem głośno, — nie jestem w stanie. I gestykując konwulsyjnie poszedłem do hotelu. Kazałem służącemu przenieść złoto do mego pokoju, zamknąłem się na klucz rzuciłem na łóżko i zacząłem zlorzeczyć wszystkim nieznośnym malcom psotnikom.

W końcu jak wszystko na świecie i mój gniew musiał się uspokoić. Głowa mnie bardzo bolała, zadzwoniłem o syfon wody sodowej, którą popijając, rozmyślałem co mi teraz wypada zrobić. Kazałem sobie podać materiały piśmienne i napisałem list do dyrektora najbliższego banku, aby przysłał dwóch zaufanych ludzi i wózek bo chcę umieścić w jego banku 100 funtów złota.

Potem z podanego mi kalendarza wzięłem adresy: krawca, kapelusznika, składu z bielizną, zegarmistrza etc. aby przyszli wiaść miarę, gdyż potrzebowałem ich towarów. Następnie kazałem sobie podać drugie śniadanie i posilwszy się należycie, położyłem się spać.

Wypawszy się dobrze, spokojnie spojrzałam na świat i ludzi, i zgodziłem się z moim losem. Zapłaciłem mojemu dłużnikowi i wyjechałem do słonecznej Italii, gdzie znów piszę ową sztukę zaczęta wtedy w Lymnie.

Ale gdy wielki srebrny księżyc świeci wieczorem, myślę o biednym Cavorze, który na to poświęcił swą wiedzę i pracę całego życia, aby zginąć w chłodnych pieczarach



Pierwsza lekcja menueta.

przypatrując, towarzyszył nam długą chwilę, lecz potem pobiegł w stronę, gdzie leżała sfera. Zaniepokoiło to mnie bardzo i z obawą patrzałem za chłopcem.

Zauważył to obok stojący młody człowiek i rzekł uspakajająco.

— Nie obawiaj się pan, on się jej nie dotknie.

Słońce tymczasem jasno oświeciło morze i ziemię, czułem pogodę w duszy i zadowolenie z dokonanych czynów. Gospodarz hotelu zawahał się trochę na mój widok, lecz towarzysze moi, jego lokatorowie mówili za mnie, a moje sztaby złote zrobiły też duże wrażenie, dość, że wkrótce znalazłem się w ciepłej kąpieli, jeden z towarzyszy pożyczył mi czystej bielizny i ubrania. Z przyjemnością zaśiadłem do śniadania. Zajadając świeże jajka, smaczne grzanki i popijając kawę, opowiedziałem w krótkości czterem moim nowym znajomym naszą wyprawę na księżyc, wyniki jej i mój dzisiejszy powrót na ziemię. Słuchali mnie z ciekawością, ale czytałem z ich ócz, że ani słowa nie wierzyli temu, co im opowiadałem, lecz uważali mnie za bardzo sprytnego blagiera. Wreszcie jeden z nich rzekł:

— Ależ to bajka, niemożliwa do uwierzenia.

Wzruszyłem ramionami i odparłem.



EUGENIUSZ BURNAND.

DCIECZKA KÁROLA ŚMIAŁEGO.

tajemniczego towarzysza ziemi. Wtedy sen ucieka z mych powiek bo szczerze mi żał tego szlachetnego męczennika nauki.

K o n i e c .

Ucieczka Karola Śmiałego.

Karol Śmiały, książę Burgundyi, żyjący w wieku XV. odznaczał się odwagą, posuniętą aż do zuchwalstwa, a także okrucieństwem. Ambitny i przedsiębiorczy, pragnął rozszerzyć swoją władzę nad okolicznymi krajami; marzył nawet o tytule królewskim, ale mu się to nie udało; zawód ten jeszcze bardziej podniecił jego ambicję.

Już od r. 1469. Karol rozpostarł był swą władzę nad górnym Renem i powierzył zarząd nad temi ziemiami dumnemu i okrutnemu rycerzowi, Piotrowi von Hagenbach, który srogim postępowaniem wywołał ogólną nienawiść do rządów burgundzkich, a przytem tak rozdrażnił Szwajcarów, że ci sprzymierzili się z księciem Zygmuntem tyrolskim przeciwko Karolowi. Hagenbach został przez oburzonych mieszczan uwięziony a później stracony, co do wściekłości doprowadziło Karola Śmiałego, który wyruszył osobiście na wyprawę, w celu ukarania zbuntowanych.

Zdobywszy Lotaryngię, postanowił zemścić się na Szwajcarach. Ci widząc, że opuszczają ich sprzymierzeńcy, z początku pragnęli zażegnać burzę, zwracając Karolowi wszystkie poczynione przez siebie zabory, byle tylko książę burgundzki zostawił ich w spokoju.

— Nic nie wygrasz na wojnie z nami—mówili posłowie szwajcarscy do Karola, — gdyż ziemia nasza jest uboga. Ostrogi twoich rycerzy i wędzidła twoich koni więcej są warte, niż wszystko złoto, jakie znalazłoby się w kraju naszym.

Doradcy księcia również nie radzili mu rozpoczynając wojnę z ludem, który już Leopoldowi austriackiemu pod Zempach stawiał tak dzielny opór, ale Karol się zaciął, bo pragnął zemsty nad „chłopami” szwajcarskimi, jak ich nazywał. Musieli więc Szwajcarzy przyjąć wojnę. Karol z wojskiem 60 tysięcznym, pewny zwycięstwa, wyruszył przez góry Jura do Szwajcaryi. Chcąc okazać przed oczekiwanymi z Włoch posłami całe bogactwo swojego dworu, zabrał z sobą mnóstwo złotych i srebrnych sprzętów; obóz jego olśniewał przepychem.

Szwajcarzy cofnęli zrazu swoje załogi, rozpoczęła się walka dopiero pod zamkiem Grunson, którego broniło 800 Szwajcarów. Gdy mężna załoga, oszukana mylnymi wieściami o poddaniu się innych miast i twierdz szwajcarskich, zgodziła się na opuszczeniu zamku pod warunkiem swobodnego wyjścia, Karol splamił się ohydą zdradą, bo pomimo danego przyrzeczenia, połowę załogi kazał wywieszać lub utopić.

Ale kara przyszła niebawem; oburzeni Szwajcarzy wyruszyli przeciwko wiarołomcy, mając na czele dwóch dzielnych wodzów: Hansa z Hallwylu i Mikołaja z Scharnachtalu, sołtysa z Bernu, wojska burgundzkie były dwa kroć liczniejsze od szwajcarskich. Przed bitwą pobożni Szwajcarowie ukłękli i zaczęli się modlić; Burgundzcy wzięli to za trwogę w obec niebezpieczeństwa, zaczęli też śmiać się z nich i przedrwiwać ich pobożność.

Niebawem rozpoczęła się bitwa. Około trzeciej godziny Szwajcarom nadeszły posiłki z Uri, Unterwalden i Lucerny coraz nowe oddziały uzbrojonych górali występowały z wąwozów. Wówczas strach wielki objął Burgundów, którzy niedawno śmiali się ze Szwajcarów.

Najpierw piechota uszła z placu boju, następnie pierwsza artylerya, całe wojsko burgundzkie rozproszyło się jak dym. Daremnie Karol z obnażonym mieczem zabiegał drogę uciekającym; niepodobna już było myśleć

o dalszej walce, sam książę musiał się ratować szybko ucieczką, a ogromne łupy dostały się w ręce Szwajcarów.

Karol nie posiadał się z wściekłości, że ci owi nędzni chłopci pokonali jego świetną armię; począł szukać zapomnienia w winie i wciąż myślał tylko o zemście. Jeszcze w tym samym roku zebrał nowe wojsko i natychmiast wyruszył do Szwajcaryi. Znów przyszło do bitwy pod Marten. Szwajcarzy prowadzeni przez tego samego Hansa Halwylla, ujrawszy obóz burgundzki, zatrzymali się w lesie, licząc na to, że książę opuści wygodne swoje stanowisko i sam pierwszy na nich uderzy. Karol jednak wytrzymał swoje wojsko przez sześć godzin w szyku bojowym, podczas ulewnego deszczu, oczekując na atak Szwajcarów. W końcu sądząc, że ci odłożyli bitwę do dnia następnego dał rozkaz do odwrotu, lecz wtedy Szwajcarzy rzucili się na jego wojsko z okrzykiem i rozpoczęła się zażarta walka. Burgundowie napadnięci ze wszystkich stron, zdziesiątkowani, poszli w rozsypkę; wielu utonęło w jeziorze Genewskim, wszystkich poległych żołnierzy burgundzkich liczono około 20,000.

Sam książę wraz z trzydziestu towarzyszami musiał haniebnie uchodzić z pola bitwy ku jezioru Genewskiemu, tę właśnie chwilę przedstawia nasza rycina. Klęska ta ostatecznie złamała dumnego człowieka; całe dnie spędzał w ponurem milczeniu, odpychał od siebie napój i jadło, często zgrzytał zębami z wściekłości przeklinając zdrajców i tchórzów,

Jeszcze raz wystąpił do walki z księciem Lotaryngii, któremu pomagali dzielni Szwajcarzy; rozpoczął oblężenie Nancy, stolicy tego księstwa. Było to 5 stycznia w 1777 r. a więc w niespełna rok po porażce pod Marten. Gdy Karol wsiadał na koń przed stanowczą rozprawą, spadł mu z szyszaka lew złoty:

— „Znak to od Boga zesłany” — zawołał książę burgundzki. Jakoż nie omyliły go przecucia, w bitwie owej poległ z rąk tych samych Szwajcarów, których z taką zaciętością prześladował. W ten sposób mściwość i pycha zostały ukarane.

Marya Łopuszańska.

NOWA KOLEŻANKA.

(Dalszy ciąg).

Co Wanda robi? — spytała, nie widząc jej nigdzie.
— Wanda położyła się — odrzekła Mania — bo ma silny ból głowy.

— Więc nie uczyła się?

— Owszem, i może dla tego rozchorowała się mocniej, bo pomimo bólu głowy pisała długo jakieś wypracowanie.

— Ach, to wypracowanie! i ja długo nad nim posiedzę — westchnęła Irenka.

Lecz pomimo, iż do późna siedziała nad lekcjami, wypracowanie nie było gotowe.

— Wstanę jutro wcześniej i napiszę — powiedziała sobie.

VII.

Nazajutrz Wanda obudziła się z większym jeszcze bólem głowy, miała przytem trochę gorączki. Pani Ziębowiczowa zaniepokojona, nie pozwoliła jej wstać z łóżka.

Julcia wybierała się do konserwatorium, gdy Wanda zawołała ją do siebie.

— Proszę cię, oddaj pannie Perzyńskiej moje wypracowanie — rzekła, podając kajet — i powiedz, że jestem chora.

Julcia przyrzekła i wyszła z kajetem do szkolnego pokoju.

— Co to za kajet? — spytała Irenka.

— Wypracowanie Wandy, prosiła, by oddać pannie Perzyńskiej, gdy przyjdzie na lekcję.

— Nie warto oddawać, kiedy Wanda chora, coś jej z tego przyjdzie i tak musi opuścić te lekcje.

— Może być, zrób jak chcesz, Irenko.

Julcia wyszła. Irenka zabrała się do pisania, lecz nie szło jej jakoś, miała niecałą godzinę czasu przed sobą i ta konieczność pośpiechu odbierała jej do reszty swobodę myśli, pisała i przekreślała, czując, że tak pisać nie można, w końcu zniecierpliwiona położyła pióro.

— Ciekawam, co ta Wanda napisała — szepnęła do siebie i sięgnęła po kajet.

Przeczytała uważnie całe wypracowanie i z westchnieniem wzięła znów pióro do ręki, spojrzała na zegar, brakowało już tylko dwudziestu minut.

— To darmo — powiedziała sobie zniechęcona — już dziś nic nie napiszę.

Nagle błysnęła jej dziwna myśl!

— A gdyby tak poprostu przepisać wypracowanie Wandy? ona chora, korzystać z niego nie może i nikt jej za złe nie weźmie, że go nie napisała, nie skrzywdzę jej, a siebie uratuję.

Walczyła z sobą przez chwilę, czując, że to czyn nieszlachetny, wreszcie pokusa zwyciężyła, otworzyła kajet Wandy i szybko przepisywać zaczęła. Kończyła ostatnie słowa, gdy uzwonek ozwał się w przedpokoju i weszła panna Perzyńska, Irenka wrzuciła do szafy kajet Wandy i rozłożyła swoje; rozpoczęła się lekcja, po której skończeniu następowała godzina geografii, Julcia brała w niej także udział, przed rozpoczęciem spytała cicho Irenki o wypracowanie Wandy.

— Nie pokazałam — szepnęła Irenka — to niepożrebne.

Julcia nie troszczyła się dalej.

Gdy Mania i Antosia wróciły z pensyi, pierwszym ich słowem było zapytanie o Wandę.

— Nie ma żadnej obawy — rzekła panna Ziębowiczówna — mama sprowadziła doktora, ale ten zadecydował, że to chwilowe niedomaganie, i że za parę dni będzie zupełnie zdrowa.

Rzeczywiście, na trzeci dzień Wanda zabrała się do nauki. Nazajutrz wypadła znów lekcja polskiego z panną Perzyńską.

— Co mamy na jutro? — spytała pod wieczór Irenki — czy znowu wypracowanie?

— Tak, a temat zostawiony naszemu uznaniu.

Wanda zabrała się do pracy, lecz była jeszcze trochę osłabiona, głowa jej ciężyla, to też nauka przychodziła dziś trudniej niż zwykle, a gdy przyszła kolej na wypracowanie, czuła się zupełnie wyczerpaną.

— Co panna Perzyńska powiedziała o mojem wypracowaniu? — spytała siedzącej obok Julci,

— Nie czytała go wcale, Irenka uznała, że nie trzeba pokazywać.

— Może to i lepiej, oddam ją teraz, głowa mię znowu boli i czuję, że nie potrafię napisać nowego.

VIII.

Nazajutrz obie dziewczynki oddały swe wypracowania, panna Perzyńska przeczytała najprzód zadanie Irenki, następnie wzięła kajet Wandy, lecz zaledwie przejrzała początek, rzuciła surowe spojrzenie na swe uczennice.

— Panno Wando, co znaczy to wypracowanie?

— Zdawało mi się, że tak będzie dobrze.

— Ależ ja to już czytałam we środę.

— Pani czytała...

Wanda zarumieniła się gwałtownie.

— Rzeczywiście, to zadanie było napisane dawniej — szepnęła zmieszana — ale koleżanki mówiły mi, że pani go

nie czytała, byłam parę dni chora, wczoraj jeszcze głowa mię bolała i nie mogłam pisać, sądziłam więc, że nic złego nie zrobię, podając dziś to samo.

— Żadna choroba nie usprawiedliwia przepisywania z cudzego kajetu.

— Ja miałabym przepisać z cudzego kajetu? — zawołała z oburzeniem Wanda.

— Panno Ireno, proszę mi podać kajet! — rzekła panna Perzyńska.

Irenka siedziała jak skamieniała, rozumiała aż nadto dobrze, czem był jej postępek, wstyd ją palił, męczyły wyrzuty sumienia, lecz przyznać się do winy nie miała odwagi, pycha oburzała się na to upokorzenie.

Panna Perzyńska wzięła leżący na stole kajet i pokazała Wandzie nieszczęsne wypracowanie, przepisane przez Irenkę.

— Nie, nie, to nieprawda! to nie ja przepisałam! — wybuchnęła gwałtownie Wanda, Irenko, ty wiesz najlepiej, że to nie ja!

Irenka milczała.

Panna Perzyńska zabierała się do wyjścia.

— Żadne słowa nie przekonają mnie — rzekła — gdy mam dowody w rękę, przykro mi tylko, że uczennica, którą najlepiej lubiłam, dopuściła się podobnego czynu.

(d. n.)

ZE ŚWIATA.

Otwarcie kolei kaliskiej.

W roku zeszłym podaliśmy w „Wieczorach” mapkę kolei kaliskiej, która przechodzi żyzne i przemysłowe okolice naszego kraju i łączy z Warszawą miasta: Błonie, Sochaczew, Łowicz, Łódź, Sieradz i Kalisz. Przed kilkunastu dniami otwarto już ruch prawidłowy na tej kolei i odtąd zamiast kurjerką, ekstrapocztą lub wózkiem najętym będzie można jeździć do Kalisza szybko i wygodnie w wagonie kolejowym. Czytelnicy „Wieczorów” zdają sobie dobrze sprawę z pożytku i znaczenia drogi żelaznej, czytali o tem nieraz na łamach naszego pisma, a wielu przekonało się o tem z doświadczenia własnego. Nie będziemy więc o tem pisali teraz, lecz chcemy pokrótce zapoznać ich z historią tego starego grodu, który wchodzi obecnie w nowy okres swego istnienia.

Ktoby chciał zbadać powstanie Kalisza musiałby sięgać daleko wstecz, bo aż do początku naszej ery. Pisarze łacińscy Plinius i Ptolemeusz już w I i II wieku wspominają o miejscowości *Calissia*, jako stolicy kraju Ligów, których królową była owa wdzięczna Lygia, przez Sienkiewicza w „Quo Vadis” tak ślicznie przedstawiona.

W dziewięćset lat potem Bolesław Chrobry wznosił tu zamek obronny i odtąd Kalisz stał się rezydencją wielu książąt, z których przedewszystkiem wymienić należy Mieszka Starego (XII w. i Bolesława Pobożnego (XIII w.)

Dzięki opiece książąt powstawały w Kaliszu liczne kościoły, i gmachy, szpitale, apteki, drukarnia, a nawet zakłady przemysłowe, jak słynne piwowarnie i rękodzielnie sukna. Z biegiem czasu stał się Kalisz miastem wojewódzkim — gubernialnem.

Kalisz leży w dość malowniczej okolicy na lewym brzegu rzeki Prosnę, posiada piękny park, i dwa starożytne kościoły: Św. Mikołaja i Fara, w której znajduje się obraz Św. Józefa, cudami słynący. Miasto wydało wielu ludzi pożytecznych i zasłużonych społeczeństwu, a między innymi słynnego poetę ostatniej doby Adama Asnyka, który urodzony i wychowany w Kaliszu, zmarł przed paru laty w Krakowie.

SZARADA.

Pierwsze jest samogłoska, *drugie* z *trzeciem* mieści
Płody ducha ludzkiego rozmaitej treści.

Trzecie z *drugiem* to wyraz, co w dawniejsze lata
Miał toż samo znaczenie, co teraz zapłata.

Wszystko wraz nie zna liczby bo to rzecz tak drobna,
Że jej na mniejsze części dzielić niepodobna.

WERSZYKI BEZ KOŃCÓWEK

do których czytelnicy mają dobrać stosowne wyrazy dla
utworzenia odpowiedniej treści i rymów.

Poczerńało niebo

Poczerńało pole

A gdzie lecisz, odlatujesz

Siwy mój

Czy lecisz za góry

Czy za morze sine

Za tem słonkiem, za tem złotem

W weselszą

Weselszą

Znajdziesz sobie wszędzie

Lecz za cichą wioską naszą

Tęskno tobie

Co spojrzysz za siebie

To serce zasmucisz

Aż się z nową wiosną do nas

I do gniazdka

ROZWIĄZANIA DO N-ru 48.

Łamigłówki archeologiczne:

Wesoły kolega zrobił figla koledze, napis był wymyślony
i zaczynał:

Naści trocha piroga z syrem a nie pisc.

Nowe wydawnictwa gwiazdkowe nadesłane do redakcji.

Otrzymaliśmy już wiele książek, które wkrótce się znajdą
w rękach naszych czytelników, jako podarki gwiazdkowe. Aby
ułatwić wybór według upodobań i wieku, wymieniamy ich listę,
nadmieniając, że są wszystkie bardzo ładnie wydane i licznymi ry-
cinami ozdobione.

Ślicznie wygląda „*Poselstwo z krainy czarów*,” do
którego autorka B. Buyno dodała jeszcze drugą baśń w tym samym
rodzaju p. t. „*Przygody chłopczyka w krainie ptaszków*,”
nieznana naszym czytelnikom. Dla młodszej dziatwy wydano
jeszcze kilka zbiorów pięknych powiastek w ozdobnych wyda-
niach a więc: Jadwigi Warnkówny „*Pieśń poranna*,” Cecylii
Niewiadomskiej „*Nowa gwiazdka*,” Maryi Weryho „*Wśród
swoich*,” J. Chrzęszczewskiej i J. Warnkówny „*Moja pierwsza
książeczka*” i „*Bajki Ezopa*.” Wszystkie te książki nęcą
wzrok swą szatą zewnętrzną i rycinami, a umysł zajmującą treścią.

Dla młodzieży otrzymaliśmy dotąd cztery książki: dwie histo-

ryczne: „*Dworzanin królewicza Jakóba*” Teresy Jadwigi
i „*Austriacy w Warszawie* W. Przyborowskiego (pow. z cza-
sów Księstwa Warszawskiego) Z życia młodzieży w Wielko-
polsce „*Jasiek Pliszka*” J. Warnkówny i przyrodniczą p. Zofię
Jotejko-Rudnicką, „*Nowe Wieczory Czwartkowe*,” wszyst-
kie z licznymi ilustracjami.

Oto jest wiązanka nader ponętna i zajmująca, a przybędą
jeszcze inne, o których nie omieszkamy wzmiankować.

Od Redakcyi.

Przy dzisiejszym numerze rozsyłamy Nasze premium
gwiazdkowe dla prenumeratorów *Wieczorów Ro-
dzinnych*, a mianowicie znakomitą powieść *Alfonsa Daudet'a*
p. t. „*Chudziak*.” Premium to wydaliśmy w formie nasze-
go stałego dodatku powieściowego, aby stanowiło całość
z biblioteczką *Wieczorów*, którą tworzą owe dodatki.

Prenumeratorzy, odbierający „*Wieczory*” pocztą, otrzy-
mają premium wraz z dzisiejszym numerem pod tą samą opaską,
za odpowiednim kwitem pocztowym.

Prenumeratorom miejskim, książkę doręczy nasz roznoś-
ciel po opłaceniu prenumeraty za kwartał IV r. b.

Prenumeratorzy, którzy odbierają „*Wieczory*” za pośre-
dnictwem księgarń lub kantorów, otrzymają premium także za
ich pośrednictwem.

Przy kończącym się roku przypominamy o wcze-
snem odnowieniu prenumeraty na rok 1903 dla uniknię-
cia zwłoki w przesyłce pisma. Zwracamy uwagę na-
szych czytelników na zapowiedź w N-rze 48 i spis książ-
zek, które nasi prenumeratorzy mogą nabywać po cenie
znacznie niższej.

PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY.

Czasopismo poświęcone wychowaniu szkolnemu i domowemu.

Zamieszcza artykuły teoretyczne ze wszystkich działów pe-
dagogii i wskazówki praktyczne dla wychowawców. *Niezbędny
zwłaszcza dla matek i nauczycieli domowych.*

W osobnym dziale p. t. *Ogródek dziecięcy* podaje przystępne
artykuły i wskazówki, dotyczące wychowania przedszkolnego.

W r. 1902 dołączył dwa dodatki książkowe: 1) *H. de Raaf*
„*Psychologia elementarna*,” 2) *Fr. Queyrat*: „*Logika dziecka i jej
kształcenie*.”

Od 1 stycznia r. p. rozpocznie 22-gi rok istnienia.

Prenumerata kwartalna: w Warszawie rub. 1 kop. 50;
z przesyłką pocztową rub. 1,75. Redakcja: Żórawia 41.

Administracja: Księgarnia M. Arcta, Nowy-Swiat 53.

Księgarnia E. WENDE I Sp.

Krakowskie-Przedm. 9

poleca na Gwiazdkę: *Wydęga Marya*. — Co lubisz?

Album dla dzieci. Cena rub. 1 k. 35.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

2—

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna,
miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Ignacy Domeyko, przez Waleryę Marénne-Morzkowską (z portretem). — Do Jaskółki, wiersz przez Sępa. — Pierwsi ludzie na
księżycu, H. G. Wells—Pierwsza lekcya menueta (ryc.)—Ucieczka Karola Śmiałego (z ryc.)—Nowa koleżanka. — Ze świata. —
Łamigłówki i rozwiązania. — Od redakcyi. — Dodatek: Koszyczki na choinkę (z ryc.) — Wigilia Bożego Narodzenia. — Dobrze
dzieci, wiersz przez Fr. M. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: *Biruta*, przez Z. Rudnicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Вapиpавa 26 Нoябpя 1902 p. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Bałinska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Wigilijna cicha noc...

*Wigilijna cicha noc...
Drży na niebie gwiazdek moc,
Jezus się narodził nam!
Nad wierzchołki nagich drzew
Już aniołów płynie śpiew
Do niebieskich bram.*

*Mały Jezus cicho śpi,
O ziemianach braciach śni,
Kolebką Mu prosty żłób.
Pastuszkowie niosą dar:
Jagnię, mąki parę miar
Do maleńkich stóp.*



*Przez złe drogi, nocy mrok
Wiedzie królów gwiazdy wzrok
Przed stajenny próg.
Niosą trzej królowie dar:
Złoto, mirry kilka miar,
Z mgłą kadzidła smug.*

*Wigilijna cicha noc...
Drży na niebie gwiazdek moc...
Jezus się narodził nam!
Każdy dar Mu przyniósł swój.
A cóż ja Ci, Jezu mój,
Ja maluczki dam?*

*Nie mam lśniących złota
[brył,
Ni dyamentu, coby lśnił
Jak jutrzennych spojrzeń
[czar...*

*Nie mam lilii, nie mam róż,
Perły moje w głębi mórz,
Nie mam drogich barwnych
szat,*

*Chyba Ci się oddam sam,
Chyba serce moje dam,
Jak płonący kwiat.*

Z. Wł. Z.





W uroczysty dzień Bożego Narodzenia przyjmijcie, drodzy czytelnicy od redakcji naszego pisma, od waszych „Wieczorów rodzinnych” na te święta i nadchodzący rok nowy — najserdeczniejsze powinszowania i życzenia, które jednocześnie przesyłamy szanownym waszym rodzicom, wychowawcom i domownikom.

Gdy zapłoną światła choinki, gdy przełamawszy się opłatkiem, najbliżsi przytulą wasze głowy do piersi wspomnijcie, że my, kierownicy i współpracownicy „Wieczorów,” jesteśmy sercem i myślą z wami i takie

dla was snujemy życzenia: Niechaj Bóg was prowadzi po drodze cnoty, nauki, i szlachetności; niech w sercach waszych rozwija się miłość Stwórcy i bliźniego, która ludzi zbliża do Boga; — niech niedola uboższej braci znajdzie zawsze u was współczucie i pomoc; niech niezgoda, lenistwo, pycha pierzchną z duszy waszej — a niech w nich zagoszczą: zgoda, pracowitość i ukochanie gniazda rodzinnego. Bądźcie szczęśliwi najpiękniejszym szczęściem, wypływającym z życia poświęconego pracy i obowiązкови i niech wam świecą dni pomyślne.



Boże Narodzenie.



święto Bożego Narodzenia należy do najdawniejszych w chrześcijaństwie. Do kolebki kościoła trzeba niemal sięgnąć, aby odnaleźć początki powstania tych uroczystości. W drugim wieku po Chrystusie jest już Boże Narodzenie świętem kościelnym, obchodzono je bowiem w Antyochii, ale podówczas należało ono do świąt ruchomych i wypadało to w styczniu, to w maju. Dopiero w IV wieku papież Juliusz I zwołał naradę doktorów kościoła i uchwalił, aby obchodzono stale dzień urodzin Zbawiciela — 25 grudnia. W dniu Bożego Narodzenia obrzędy kościelne zachowują cechę podniosłości, przybierają charakter powszechnego wesela, a wesele to przenosi się do domów i rodzin.

Początek spożywania uczty wigilijnej sięga wieków średnich. Ucztom takim towarzyszyła zawsze wesołość. W każdym domu chrześcijańskim w kole rodziny poświęcano na Wigilię choinkę i wlewano na nią wino, mówiąc „W imię Ojca i Syna”. Stąd pochodzi zwyczaj przystrajania i oświetlania choinki, tak rozpowszechniony następnie w krajach chrześcijańskich ku uciesze dzieci.

We Francji południowej dzień Wigilii nie jest pośny. Przeciwnie, święto to u ludu rozpoczyna wspaniałą wieczerza mięsna. Stół zastawiony naprzeciw ogniska, przystrajany bywa liśćmi wawrzynu i suchą gałązką oliwną z roku na rok troskliwie pielęgnowaną. Przed wieczerzą odbywa się uroczyste poświęcenie ognia.

Najmłodsze dziecko rodziny klęka przed płomieniem ogniska i powtarza podpowiadane sobie przez ojca wezwania, w których zwraca się do ognia z prośbą, aby przez całą zimę rozgrzewał skostniałe nogi sierotek i słabych starców i kalek, dawał światło i ciepło nędznym podda szom, ale żeby nigdy nie pochłaniał w swoich płomieniach spichlerzy ubogich rolników, ani okrętów wiozących żeglarzy po bezmiernych morzach. Odmówiwszy te wezwania, dziecię wylewa na ogień szklanekę gotowanego wina, poczem cała rodzina siada uroczysto do stołu. Noc Wigilijna jest w tamtejszych okolicach właściwym świętem. Przez całą tę noc ubogim wolno żebrać publicznie, śpiewając kolendy. Dzieci rzucają im przez okna jałmużnę w woreczku z papieru, którego końce zapalają, aby żebrak widział, gdzie pieniądze padają.

Wieśniacy Francji południowej pod stół wigilijny kładą część jadła dla nieboszczyków z rodziny.

Wieczerza wigilijna, kucja, kolendy, szopka, życzenia noworoczne, król migdałowy i t. p., wszystko to prastare zwyczaje objęte okresem czasu świąt Bożego Narodzenia. Tło religijne wszelkich obchodów, gdzie tylko mowa nasza rozbrzmiewa, jest jednakie, lecz czas i, że się tak wyrazimy, pewne odrębności prowincjonalne wprowadziły nieznaczne różnice.

A najprzód skąd pochodzi bardzo starożytna w języku polskim nazwa: Gody? God — po słowiańsku oznacza rok. Ponieważ dawniej obchodzono nowy rok w dniu Bożego Narodzenia, słusznie zatem przodkowie nasi powyższą uroczystość chrześcijańską nazwali godami. Stąd zaczęto wszelkie uroczyste biesiady mianować godami, a uczestników gośćmi.

Kolęda wyprowadza swój początek od rzymskich Calendae, oznaczających pierwszy dzień każdego miesiąca, a gdy to był początek roku, obchodzono święto „festum calendarum”. Ponieważ tradycje Rzymu, na których wychowały się narody europejskie, wniosły do języka wielu ludów przekształcony wyraz łaciński calendae, połączono go w słowiańszczyźnie pogańskiej z uroczystością noworoczną bogini Kolady. Uroczystość ta musiała być połączoną z mnóstwem pieśni starożytnych, skoro duchowieństwo po wprowadzeniu chrześcijaństwa zastąpiło je innemi, zgodnemi z religią Chrystusową pod nazwą pastorałek, a raczej kolend.

Nietylko pieśń, ale i podarek noworoczny zowie się od dawnych czasów kolendą. Królowie nasi dawali zazwyczaj dworzanom swoim kosztowne podarki „na kolendę”. Herburt, uczony polski za Zygmunta Augusta tak pisze: „Biegają dziatki po nowem lecie i przyjaciele dają sobie kolendę a zwłaszcza panowie sługom, bogaci ubogim.”

Przodkowie nasi na Nowy Rok witali się słowami: „Bóg cię stykaj”, co znaczyło polecenie opieki Bożej. Wiedzano wogóle, czego komu życzyć należy, więc i umysł i grzeczność, cześć lub wdzięczność, serce i afekt sąsiadki siły się na dowcip.

Najwięcej różnych zwyczajów i wesołości łączyło się u nas z obchodem ostatniego wieczoru starego roku. Zbierano się tedy w kółkach rodzinnych przyjacielskich i sąsiedzkich, a dziewczęta podobnie jak w wigilię św. Jędrzeja czyniły różne wróżby. Wciągano brony na kominy domów, drzwi podpieranano kłocami drzewa, parobczaki, przebrani na cyganów, oprowadzali niedźwiedzia.

Był też nader upowszechniony zwyczaj żartobliwego kradzenia sobie rzeczy w on wieczór „szczodrym” zwany.

Nazajutrz za wykupne młodzież wiejska wyprawiała wieczerzę. Zwyczaj ten u możnej szlachty dawał powód do śmiesznych krotoczwil. Zabiegano usilnie, aby na stole każdego domu leżał w Nowy Rok wielki bochen chleba wraz z solą, przysłonięty białym raftuchem, jako znak ofitości darów Bożych.

Uprzywilejowaną potrawą na ostatniej wieczerzy roku była lemieszka z mąki pszennej, żytniej lub gryczanej, inaczej „prażuchą” nazywana.

Po miastach ubodzy uczniowie czyli żaczekowie gromadnie obchodzili domy, śpiewając kolendy, a między innemi taką żartobliwą:

„Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Nie bądź tak ośpały, każ nam dać gorzały
Dobrej z alembika i do niej piernika.
Mościa gospodyni, domowa mistrzyni,
Okaż swoją łaskę, każ dać miodu faskę,
Jeżeliś nie sknera, daj i kopę sera
Hej kolenda, kolenda!”

Betleem.



chwili, gdy gwiazda Wigilijna zabłyśnie na niebie, gdy rozpoczynamy obchód Narodzenia Pana, myśl nasza biegnie mimowoli do skromnego palestyńskiego miasteczka, w pobliżu którego przyszedł na świat, jak zwyczajny człowiek, Syn Boży, Zbawiciel Świata, bo zawsze tak bywa, że do miejsca, uświęconego jakimś wielkiem i radosnem zdarzeniem, odczuwamy przywiązanie i szacunek.

Tem uczuciem powodowani, dajemy w dzisiejszym numerze świątecznym krótki opis Betleemu i jego pamiątek.

Po hebrajsku Beth — lehem (dom chleba), miasto stało się w pokoleniu Judy, leży na południu o 6 mil rzymskich od Jerozolimy, rozpostarte na wzgórzu, rozciągającym się od wschodu na zachód. Niegdyś nosiło ono nazwę Efraty (żyźność), która to nazwa i później się zachowała i zamiast Bethleem Judy, mówiono Bethleem Efrata dla odróżnienia od innego Bethlehem leżącego w pokoleniu Zabulona. Ponieważ z Betleem pochodził Dawid, zwano je także niekiedy miastem Dawidowem. Była to z dawien dawna niewielka miejscina, o której rzadko przed narodzeniem Chrystusa Pana wspomniano, aż została uświęcona przyjściem Mesjasza!

I rzeczywiście N. Marya Panna, zmuszona edyktem Augusta Cezara, nakazującym spis ludności, udała się z Nazaretu do Betleem, jako pochodząca z rodziny Dawida. Święty Józef Jej towarzyszył. Nie mogąc znaleźć przytułku w żadnym z domów, zniewoleni byli Oboje spocząć w grocie, służącej za schronienie trzodom, w polach się pasącym. Tam przyszedł na świat Zbawiciel. Niema wątpliwości, że grota ta przez trzy wieki pierwsze, dobrze była zachowana w pamięci wiernych. Do zapamiętania jej przyczynił się zresztą Adrian, cesarz, gdy na przekorę chrześcijanom, na tem samym miejscu które było czczone jako uświęcone miejsce Narodzenia Zbawiciela, postawił świątynię pogańską.

Około 320 roku cesarzowa Helena usunęła stąd pamiątki pogańskie, a na ich miejscu wzniosła wspaniałą świątynię, którą później cesarz Justynian, wraz z wielu innemi budowlami świętymi naprawił. Od IV wieku stało się Betleem celem pobożnych pielgrzymek z całego świata, miejscem czczonem nawet przez Mahometan, gdyż według podań historyków arabskich, nawiedzał to miejsce Kalif Omar.

Niema też najmniejszego powątpiewania o tożsamości groty Narodzenia z miejscem, na którym stał kościół.

Krzyżowcy przed zdobyciem Jerozolimy zajęli najprzód Betleem na ich prośbę Paschalis II Papież w r 1110 założył tu biskupstwo, które, zdaje się, nie egzystowało dłużej, jak do końca XV wieku. Po odejściu krzyżowców było nieraz Betleem wystawione na najazdy plemion saraceńskich XIII wieku.

Dziś nazywa się u arabów Beit-el-Lahm (dom mięsa) i leży o 2 blisko mile nasze od Jerozolimy. Z daleka przyjemny przedstawia widok; w dole żyzne pola, a na wzgórzu miasto wśród winnic i drzew oliwnych. Lecz wszedłszy do niego, widać ulice wąskie, brudne, jak zwykle na wschodzie, a wiele mieszkań leży w gruzach; niektóre rodziny mieszczą się w grotach.

Kościół na grocie Narodzenia wystawiony, pod wezwaniem N. Maryi Panny, ma formę krzyża łacińskiego. Obszerna nawa czterema rzędami kolumn podzielona jest na 6 części. Cały kościół należał niegdyś do łacinników, lecz grecy zajęli dawny chór i oddzielili murem od nawy, która pozostała przy łacinnikach i ormianach. W lewym ramieniu owego krzyża mają swe ołtarze maronici i koptowie. Na środku kościoła wznosiła się niegdyś wielka, srebrna gwiazda z napisem: *Hic de Virgine Maria Jesus Christus natus est.* (Tu z Maryi Dziewicy narodził się Jezus Chrystus).

W okolicach Betleemu o 1/4 mili na wschód są ruiny kościoła, niegdyś przez św. Helenę postawionego na miejscu, gdzie Anioł zwiastował pasterzom Narodzenie Chrystusa, a nieco dalej klasztor, w którym przebywał św. Paweł. Grota kamienna w której N. Marya Panna miała się schronić podczas ucieczki z Egiptu, odległa jest o 400 kroków od Betleemu w stronie południowo-wschodniej. Niegdyś stał tu średnich rozmiarów kościół św. Mikołaja. O pół mili od północnego zachodu na drodze z Hebronu do Jerozolimy pokazują grób Racheli, żony Jakóba. Stoi tam pomnik zwany Kublet—Rahil, licznie przez Żydów palestyńskich nawiedzany.

WIGILIA



warno było na pensyi p. Ż. w ów pamiętny Wigilijny wieczór, który stoi mi tak żywo przed oczami, jak gdybym obchodziła go wczoraj. I muszę spojrzeć na datę pamiątkowego pierścionka, żeby uwierzyć, że to już dwanaście lat, naprawdę dwanaście lat!

Tak, tak! Byłam wtedy szesnastoletnią Klarcią a dziś?... Do tego dziś, czas będzie wrócić jeszcze, tymczasem w obec nadchodzących świąt Bożego Narodzenia przenoszę się myślą i pamięcią w epokę moich lat szesnastu, długich warkoczy, trosk pensyonarskich. Miewało się i troski, miewało! Ale 24 grudnia 1890 r. żadna z nas nie myślała ani o egzaminach, ani o złym stopniu za wypracowanie. Mieszkałyśmy wszystkie daleko od Krakowa, ostra zima i trudności pasportowe zatrzymały nas na święta w mieście. Pensyonarki szóstej klasy miały obchodzić razem ostatnią wspólną Wigilię. Potem wróci każda do swej rodziny. Czy dane nam będzie spotkać się kiedy razem, wszystkim razem?

Wątpiłam o tem tak, samo jak moje drogie koleżanki, i dla tego też Wigilia na pensyi miała dla nas, mimo tęsknoty za domem, wyłączny urok. Dysponowałyśmy same wieczerzę, bo dobra przełożona chciała dogodzić gustom wszystkich wychowanek. Mnie uraczono osuszkami i makiem, Manię pszenicą z miodem, Helenkę botwinowym barszczem, a Wandzię wielkopolską polewką. Smakowała



Kościół Narodzenia Pańskiego w Betleem. (str. 403).

nam ta skombinowana kolacja, smakowały bakalie i orzechy. Orzechy zwłaszcza. Któraż pensyonarka nie miała orzechów w szufladzie swego stolika. Prawda, jak to przyjemnie łupać je i zjadać? A rozmowa nigdy chyba na pensyi nie bywa weselszą, jak przy akompaniamencie tłuczka i trzasku łupin.

— Gdzie będziesz za rok na Wigilii, Zosiu? — pytałam siedzącą okok mnie koleżankę, tę, którą najwięcej lubiłam.

— Gdzie która będzie to mniejsza — przerwała rozsądna Tosia — każdy gdzieś być musi, w tem niema nic ciekawego. Lepiej spróbujmy odgadnąć, czem będziemy za lat dwanaście, za tuzin latek, słuchajcie!

— Staruszkami. To łatwo przewidzieć — zawołała Mania.

— Pleciesz, Marycha, nikt nie jest starym przed trzydziestym rokiem, a trzydziestu lat żadna z nas jeszcze mieć nie będzie. Ja chciałabym wiedzieć, czem będziemy, bo przecież nie zawsze pozostaniemy.

— To jest niby, że ty wykształcisz się na nauczycielkę, ja na lekarkę, Wańdzia na artystkę — przerwała znów Mania.

— Nie, jeszcze nie o to mi chodzi, chociaż i losów naszych jestem ciekawa. Ja pragnęłabym wiedzieć, czy się zmienimy w pojęciach o życiu, o jego obowiązkach. Czy na przykład ty, Lilo, potrafisz być wierna twoim przekonaniom, czy doprawdy nigdy nie kupisz zwierciadła dlatego, że robotnicy w fabryce zwierciadeł zatruwają się rtęcią.

— Brawo Lili! Nie wiedziałam o twojem postanowieniu. Mnie przysłoby łatwo dotrzymanie takiego ślubu. Ale ty — mówiła Różia kiwając niedowierzająco głową — ty w salonach rodziców, a potem męża...

— Zaraz męża — oburzyła się Lila — jak gdybym koniecznie za męża iść miała, jak gdyby zresztą mój mąż nie mógł być tych samych co ja przekonani.

— Twój mąż, jasnie wielmożny baron Ypsolański, kupi ci tak wielkie lustro, że wnosić je będzie do salonu dwunastu zatrutych robotników z wiedeńskiej fabryki zwierciadeł. Ty zaś baronowo Ypsolańska, ofiarujesz tym biedakom 50 centów napiwku.

— Tak będę skąpa, Róziu za 12 lat? — Zapytała Lila, śmiejąc się i gryząc orzechy.

Tak, tak, ja ci to przepowiadam. Będziesz składała hołdy złotemu cielcowi. Chyba, że...

— Chyba, że co Rózieczko? — pytała Lila nie urażona żartami koleżanki.

— Chyba, że zostaniesz najlepszą, słoneczną naszą Lila — zawołała Różia i rzuciła się Lili na szyję.

Rozsądna Tosia nie dała za wygraną i, przeczekawszy aż minie wylew czułości koleżanek, zwróciła rozmowę do pierwotnego tematu.

— Jest nas tu trzynaście, fatalna liczba, ale żadna nie potrafiłaby wskazać Judasza odstępcy. A jednak wszyscy mówią, że życie zmienia ludzi, zwłaszcza kobiety.

— Kobiety, zaraz kobiety! Jak gdyby mężczyźni lepszymi od nas być mieli — zawołała Wańdzia. Znam ja ich! Mam braci, kolegów moich braci, mam kuzynów...

— Zmiłuj się Wańdziu, to aż za wiele! Nie potrzeba tylu dla stwierdzenia twoich pensyonarskich przekonań o mężczyznach — napominała Tosia.

— Owszem stoję przy swoim. Wierzmy ci na słowo — zawołałam. Ale nie łatwo było uspokoić Wańdzię — Jaszczurczy to ród. Fredro ma słuszość, gdy ich tak w „Ślubach panieńskich” opisał. Sami niewiele warci, nas nazywają puchem marnym, wietrznymi istotami...

— A czy pamiętasz, Wańdziu, kto to nas tak nazywał? — zapytała rozsądna Tosia.

Umilkłyśmy wszystkie, ustało chrupanie orzechów. W klasie było tak cicho, jak na lekcji profesora historii literatury.

— Mickiewicz nazwał kobietę puchem marnym. Miałoby to być prawdą? — myślałam ja — myślały moje koleżanki.

Mickiewicz! toż żyłyśmy wszystkie myślą o nim, bo od sześciu miesięcy przewiezione z Paryża ciało wieszcza stało w krypcie krakowskiej katedry i zdawało nam się że jest tak bliski, jak nigdy przedtem.

— Powiedział, prawda, nie zaprzeczam — zawołała Mania, otrząsnąwszy się z upokarzającego wrażenia — Ale powiedział rozgoryczony zawodem, którego doznał w uczuciu kiedyś, dawno, przed laty. Czy jednak powiedziałby dziś? Mam nadzieję, że nie. Naszym babkom ani Mickiewicz ani nikt nie odmówił wielkich cnót, ale nasze matki działały rozumniej i więcej niż działały kobiety za jego młodości.



Ogólny widok Betleemu (str. 403)..



Anioł pasterzom mówił...

— I stokroć samodzielniej chowają swoje córki. Ileż zresztą jest już teraz użytecznych dziewcząt, ile oddanych trosce o dobro bliźnich — broniła z zapałem Zosia. — My też nie myślimy próżnować, tylko pchać bryłę świata na równi z mężczyznami — wołała Helenka.

— Żadna nie będzie puchem marnym, który lada powiew zwieje...

— Tak Róziu, ale czy lada gałganek lub pochlebstwo nie skusi której? — zapytała Tosia, rozsądna Tosia.

Zamilkłyśmy. Tosia umiała zawsze trafić w samo jądro rzeczy. Tak, niestety, próżność jest największym wro-

giem kobiet, mają tę wadę i mężczyźni, ale, że mniej między nimi płytkich dusz to pewne.

— Lila da przykład. Baronowa Ypsylańska potrafi zdeptać hydrę błyskotek. Bo, że biedna, jak ja nauczycielka będzie walczyła z pokusą próżności, to niewiele pomoże. Postępowi torować muszą drogę kobiety, stojące na świeczniku świata — wiwat baronowa Ypsylańska wołała Rózia.

— Wiwat, wiwat! wtórowałyśmy wszystkie, zmiatając pośpiesznie łupiny orzechów, bo we drzwiach klasy stanęła

przełożona i przypomniła nam, że czas iść na pasterkę do katedry.

Nie zapomnę nigdy wyiskrzonego od gwiazd nieba, ani księżycy, który świecił nad Sukiennicami w ową pamiętą grudniową noc. Śnieg skrzypiał i skrzył się pod naszymi stopami, a my szliśmy parami ku kościołowi, w którego grobach spoczął nieśmiertelny wieszcz.

— Umiejmy, jak on nasze serca wznosić ku Bogu szepnęłam kochanej Zośce.

— Bóg się rodził! — śpiewały dzwony.

Tak się modliłam przed dwunastu laty, idąc na pasterkę w szeregu uczennic p. Z. Gdzie one teraz, jak życie zmieniło ich zapatrywania? Czy dotrzymały obietnic młodości? Nie wiem!

Ja, ich koleżanka, zbudowałam mało, ale pracuję wedle sił i proszę Boga, by żadna z towarzyszek moich lat szkolnych nie zginęła puchem marnym, nie zatraciła duszy w błyskotkach i gałgankach.

Z listu p. Klary W. przepisała

Zofia Bukowiecka.

Hymn wigilijny.

Święta nocy! czary twoje
Wieści nam aniołów chór;
W oknach światła widać roje,
Słychać dzwonów zgodny wtór.
Oko Boże chatkę chroni,
Gdzie dziekczynny dziątek śpiew
Jezusowi chwałę dzwoni,
Płynąc do niebiańskich stref.

Z pieśnią rzewną i duchową,
Z blaskiem promienistych zórz,
Wracasz, nocy! z gwiazdą nową
Do stęsknionych dolin, wzgórz.
Wracasz tak, jak przed wiekami,
Gdy Zwiastuna zesłał Pan,
By rozgłaszał, że Bóg z nami,
Że od niego pokój dan!

Wtedy Dziecku i Dziewicy
Niosło książąt Wschodu trzech
Hojne dary w swej prawicy,
Do stajennych dążąc strzech;
Wtedy Matka się chyliła
Nad Tym, co miał zbawić świat,
Patrząc czule Nań, wierzyła,
Że zakwita szczęścia kwiat.

Święta nocy! Z gwiazd tysiącem
Uroczyście ku nam śpiesz!
Niechaj w sercu kochającym
Gwiazda wiary wszędzie też...
Dzisiaj na ziemi i na niebie
Lśni miłości cichy blask:
Pokój znajdziem wokół siebie,
I zbawienia ujrzym brzask!

Alfred Ludowski.

Niedźwiedź Gęgały

Opowiadanie wigilijne.



Daleko, daleko, nad brzegami pewnej rzeki, w pewnej wiosce mieszkał stary gospodarz, nazwiskiem Gęgała, a choć miał szmatek ziemi, był tak biedny, że już biedniejszym być nie można, tak biednym, że nie zwykł był jadać codziennie. Od czasu do czasu liतोściwy sąsiad ofiarował mu parę garncy zboża, garść kartofli, szczyptę soli, a nawet czasami parę groszy. Ale upłynął nieraz tydzień jeden i drugi, a nikt nie rzucił mu ani groszka, ani kartofla ani chleba ani soli. A już nigdy nikt nie chciał go brać do roboty w polu, bo wiadano, że jest stary, niedołężny, a także i dlatego, że miał oczy niezwykle, takie

przejrzyste i niewinne jakieś, jak u dziecka: Mówiono, że rzuca czary na bydło.

Że taki biedak siedział na swoim własnym gruncie, było to istne pośmiewisko losu, Posiadał przytem cztery nagie ściany swej nawpół rozwalonej chaty i morgę ziemi nad samą rzeką. Rzeka zalewała mu grunta co rok, tak, że nie tam nie rosło oprócz sitowia i jednej brzoźki — ma się rozumieć płaczącej, bo jakże nie płakać nad taką niedolą.

Gęgała nie posiadał nic więcej, ale to co miał, posiadał oddawna, bo już był bardzo stary.

Co roku, wody rzeki i wiatry odrywały mu to skrawek ziemi, to strzęp strzechy z dachu, to cegłę z komina. Wiatr wpadał już do niej swobodnie i gospodarzył sobie w chacie Gęgały, deszcze dokonywały dzieła zniszczenia. Rok za rokiem ubywało staremu to zębów to włosów, koniec końców nie zostało mu ani jednego zęba i ani jednego włosa na głowie.

Pomimo nędzy i utrapień, życie wydawało mu się do brem i cennem. Choć wierzył w nieśmiertelność duszy i miał nadzieję, że czystością myśli i uczciwością czynów zasłużył na niebo i godzien będzie zasiąść na łonie Boga Ojca, modlił się jednak do Boga Syna, aby go zostawił jak najdłużej w rodzinnej wiosce.

— Dobrze mi tutaj — mawiał — braknie mi wielu rzeczy niezbędnych, ale za to mam wiele zbytecznych. Mam więcej słońca, powietrza i wody, niż mi potrzeba. A w dodatku mam strzelbę, nie używam jej wprawdzie, bo proch i ołów kosztują drogo, ale kocham ją tem niemniej.

I mawiał jeszcze:

— Byłbym niewdzięczny, gdybym utyskiwał — że mi wypadły włosy, gdyż mam czapkę, albo, że mi brak zębów, bo nie mam co jeść. Tyle już miesięcy, tyle lat nie jadam do syta, że przyzwyczajam się do głodu, a nie chciałbym umierać w chwili, gdy się zupełnie do niego przyzwyczaję.

Jak widzimy ów człowiek był bogobojny i ceniący dary nieba, z drugiej strony przywiązany do dóbr ziemskich, i umiał też zadawałniać się małym. Ale oto kiedyś, późną jesienią jakieś pragnienia do jego cichej i pokornej duszy wtargnęły. Owego dnia wiatr dał tak silnie w rozwalonej chacie, że chcąc się ogrzać, stary wyszedł na świat Boży. Szedł, gdzie go oczy niosły, aż wreszcie spotkał kilkunastu myśliwych. Nigdy jeszcze nie widział ich tylu. Zdziwiony, zagadnął jednego:

— Cóż to, namnożyło się w tym roku zwierzyzny?

— Mamy niedźwiedzia! — brzmiała odpowiedź.

— Niedźwiedzia. — zawołał Gęgała. — Cóż to za niedźwiedź?

W zeszłym tygodniu uciekł niedźwiednikowi. Dłapięzny i niebezpieczny, kto go zabije dostanie dwadzieścia dukatów.



Wielki Boże! dwadzieścia dukatów!

— Ha! możebyście spróbowali ojczy! — radził myśliwy i poszedł dalej.

Gęgała nie wziął tych słów za drwiny. Co tchu powrócił do domu, zdjął strzelbę z kołka, obejrzał ją. Nie jej nie brakło, tylko prochu i grubego szrutu. Wydobył ze skrzyni parę miedziaków, które chował, żeby kupić kartofli na święta i cały ten swój skarb wydał lekkomyślnie na nabój. Zjadł trochę cebuli i wyszedł na łowy.

— Niech no go tylko zobaczę! — myślał.

Ale nie spotkał niedźwiedzia. Przez pięć dni nie trafił na jego ślady, szóstego, a był to 22-gi grudnia, ujrzał czarne cielsko, za krzakiem. Domyślił się, że to niedźwiedź i zmierzyl. Strzelić? Nie strzelić? Nie, zwierzę było za daleko, Gęgała rzekł do siebie.

— Podejdę bliżej i wtedy dopiero spuszczę kurek?

Postąpił parę kroków, tymczasem niedźwiedź uciekł. Marcin w prostocie ducha puścił się za nim w pogoń i rzecz prosta, nie dogonił. Wrócił do domu tak zmęczony, że nazajutrz nie mógł się podnieść ze swego tapczana. Trzeciego dnia zaledwie powłóczył nogami. Był smutny aż do wieczora, wieczorem przypomniał sobie, że to święta Wigilia. Zjadł ostatnią cebulę, żując ją powoli.

— Nie mam już co do ust włożyć — myślał — gdybym zabił niedźwiedzia, dostałbym dwadzieścia dukatów i mógłbym do śmierci żyć w zbytku i wygodzie. Ale nie zabiłem niedźwiedzia, bo on silniejszy w nogach ode mnie. Wydałem ostatni grosz na nabój, teraz jedno z dwojga, albo zdarzy się cud albo umrę z głodu.

— Gdybym miał wybierać, wybrałbym cud. Jezu Chryste, robieś ich tyle, czemużbyś nie zrobił jednego więcej dla mnie? Nie śmiem prosić, abyś napędził pod mój strzał niedźwiedzia, nie zasługuję na taką łaskę; ale że to dziś święta Wilija postawię chodak w kominie. Mój Jezusiku, nie zważaj, że bucisko duże. Oddawna już wyrosłem z lat dziecięcych, ale jestem słaby i niedołężny, jak małe dziecko. A jeśli zechcesz, o Chryste, mierzysz mnie wedle słabości, nie wedle wieku i wzrostu, to wrzucisz mi do chodaka coś, co mnie ocali od śmierci głodowej.

Gęgała postawił chodak w rozwalonym kominie i miodlił się dalej w te słowa:

— Kochany Jezusiku, łatwo ci będzie wejść do mnie. Dziury w kominie tak wielkie, że choćbyś sprowadził tu niedźwiedzia... Ale nie śmiem prosić Cię o to kochany Jezusiku, bo nie zasługuję na taką łaskę.

Pomodliwszy się, legł znowu na tapczanie.

Choć kto wie — myślał — Bóg miłosierny!

Na wszelki wypadek zdjął fuzyę z kołka i położył ją pod ręką. Usnął niebawem.

Tymczasem nadeszła noc Bożego Narodzenia.

O samej północy Chrystus Pan, który obchodził wioski, by obdarować dziatwę, zstąpił do komina.

Zdziwiły go duże chodaki. Co w nie włożyć? Zabawki? Na nicby się nie zdały temu, kto ma tak duże nogi. A właśnie Jezusik niósł same lalki, koniki, trąbki, bębenki i pajace. Co tu począć. Nachylił się i Boskim palcem dotknął chodaka, który od tego dotknięcia napelnił się miodem.

Zgłodniały niedźwiedź błędził właśnie w pobliżu. Zwabiony zapachem, podszedł do rudery Gęgały. Łatwo mu było wleźć przez komin, bo wśród nocy nawiało tyle śniegu, że zaspą sięgała otworu. W głębi komina leżał piękny, przejrysty plaster. Niedźwiedź przedniemi łapami odsunął kamienie, zagradzające otwór, i wszedł do środka.

Przykucnął i lizał miód łapczywie:

— Mniau! mniau!

Gęgała obudził się. Odrzucał poznął niedźwiedzia i wcale się nie zdziwił. Cichutko podniósł się, wziął fuzyę, wycelował:

— Paf! paf!

Nie trzdno było trafić. Niedźwiedź zachwiał się, mruknął głośno i zeszytniał.

Gęgała zerwał się, podszedł do komina a upewniwszy się, że dzika bestya już nie dyszy, chwalił Boga, mówiąc:

— O słodki Jezusiku! wiedziałem, żeś miłosierny. A choć nie śmiałem prosić cię wręcz bez ogródki, zrozumiałeś jednak, że na Gwiazdkę chciałem niedźwiedzia. Toż ci dziękuję, mądry Jezusiku. Jutro dostanę dwadzieścia dukatów i nie mi już nie zbraknie do samej śmierci.

Niedźwiedź nie zdążył zjeść całego plastru. Gęgała drżący ze szczęścia, maczał pobożnie palce w boskim miodzie i lizał go, dopóki wszystkiego nie zjadł.

Pierwszy to raz od wielu, wielu lat ten biedak jadł Wigilię.

ZE ŚWIATA.

Skarbiec Osmanów.

Któż z nas nie czytał o bajecznych skarbach Harunal-Rassyda, opisanych w 1,001 nocy. Fantazyja wschodnia obdarzyła tego władcę z przed wieków takimi bogactwami, które ludzom rozsądnym wydają się wprost śmieszne swoim nieprawdopodobieństwem, a jednak... jednak największy Krezus nowoczesny oniemiałby ze zdziwienia na widok skarbów nielegendowych, lecz zupełnie prawdziwych, zawartych w jednym z gmachów Starego Seraju, owego historycznego przesmyku pomiędzy morzem Marmora a Złotym Rogiem, gdzie Konstantyn Wielki obrał swą rezydencję w Starem Bizancjum.

Że nie byle kto może oglądać skarbiec Osmanów, to chyba łatwo się domysleć. Potrzeba specjalnego pozwolenia głowy rodu, t. j. sultana. Zwiedzający są uważani na gości padyszacha — oprowadza ich jego adjutant przybożny. U wejścia stoi skarbnik, wysoki dygnitarz, w otoczeniu licznej służby; otwiera naprzód jedne drzwi żelazne potem drugie, wreszcie za trzeciemi znajduje się sala sklepią, trzypiętrowa, oświetlona małemi okienkami w murach, grubości kilku metrów. Ściany w połowie przedzielone są galeryami, do których wiodą schody wspaniałe, zasłane dywanami. Służba ustawia się wzdłuż ścian i nie spuszcza z oka odwiedzających.

Ponieważ Turcy nie mają pojęcia o porządkowaniu pamiątek historycznych zatem skarbiec ów przedstawia bezładne nagromadzenie klejnotów. Pośrodku sali wznosi się tron, zdobyty w r. 1514 przez Selima I w wojnie z szachem Izmailem. Wyrobiony ze szczerzego złota, zdobią go rubiny, szmaragdy, perły, ułożone jak mozaika. Wśród wielu zbroi, rynsztunków, siedel i t. d. zamkniętych w szafach dokoła ścian, zwraca uwagę miecz bojowy Mohameda II Zdobywcy, i miecz ostatniego cesarza bizantyjskiego, Konstantyna XV Paleologa, który 2-go maja 1453 r., po bohaterskiej obronie stolicy przeciw Turkom, znalazł śmierć na polu bitwy. Jest tu także miecz Konstantyna Wielkiego, lecz bez rękojeści.

Przed oczami roztaczają się kosztowności, wprost bezcenne, a więc dzbany ze złota, kryształ, onksu, jaspisu, złoty dzban, cały wysadzany brylantami, wielkości grochu; siedło, szyte prawdziwemi perłami, kołyska złota, raz przy razie wysadzana szmaragdami; dalej złoty słoń długości 35 centymetrów, wysadzany rubinami, wśród których mnóstwo jest tak wielkich jak jasko gołębie.

Można tu podziwiać: największą perłę na świecie, leżącą pod złotym baldachimem, dwa największe szmaragdy, opadał przepyszne rzeźby w kości słoniowej — wśród nich model okrętu, wyrobiony z nadzwyczajną subtelnością. W jednej z witryn zawarte są złote monety wszystkich epok historii tureckiej. W innej wysadzane drogimi kamieniami strzelby różnych epok.

W szafach są złote i srebrne naczynia i wyroby jubilerskie, między innemi mała świątynia indyjska, przesłiczona cyzelowana i pokryta kosztowną mozaiką; budzą zachwyt bogate serwisy porcelanowe, wysadzane także dro-

gimi kamieniami. Galerya mieści zbroje i szaty sułtanów; każdy kaftan lśniący od klejnotów, wisi w osobnej szafie, a nad nim turban, rzucający blaski od kosztownych spinek. Za pasem kaftana wsunięty sztylet, rękojeść jest z jednego kamienia — szmaragdu, rubinu, brylantu. W turbanie Sulejmana Wspaniałego (1520 — 1566), osadzone są trzy szmaragdy wielkości jaj gołębih. Pod jednym z okien wznosi się tron Achmuda II z drzewa hebanowego i sandałowego, wykładany rubinami i pokryty baldachimem — jego słupy są szczerozłote, wysadzone perłami. W osobnej szafie spoczywają insygnia władzy sułtańskiej — laska złota z kulą i buńczukiem.

Niepodobna byłoby oszacować tych wszystkich skarbów, których szczegółowy opis zająłby kilkanaście tomów, ale, że każdy niemal kamień w tym skarbcu jest krwią zbryzgany, więc też opuszcza się ten przybytek z westchnieniem ulgi, z bólem serca i... oczu.

SZARADA.

Pierwsze znajdziemy w liczbach, zaś *trzecie* litera.

A znów *trzecie i pierwsze* to miano zawiera,
Ktorem świat starożytny, co dziś wprost wstręt budzi,
Bezlitosną różnicę wprowadzał u ludzi.

Drugie wspaniałe to wojownik z walk szczęśliwych słynął

A przecież nie wśród bitwy, choć od kuli zginął

Wszystko skromny budynek, a z tą jednak chwałą,

Że się w nim na wiek wieków święte dzieło stało.

ARYTMOGRYF.

p. Żabkę z nad Rosi.

10, 1, 6, 20, 1, * 11, 12, 1, 6, 11.

16, 14, 15, 1, 15, 17, 2, 15, 17, 15 * 17, 10, 2, 20.

16, * 6, 3, 20, 1, 2.

19, 15, 19, 19, 1, * 17, 2, 17, 3, 1.

16, 14, 15, 1, 3, 15, 1, * 6, 17, 16.

21, 1, 2, 4, 15, 17, 19, 17, * 16, 15.

4, 17, 2, 15, 17, 8, 14, * 15.

10, * 2, 3, 17, 8, 17.

Liczby i gwiazdki zastąpić literami i utworzyć 8 tytułów utworów naszego poety, których litery oznaczone gwiazdkami złożą jego nazwisko.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 49-go:

Szurady: Polka.

Od Redakcyi.

Dla wiadomości czytelników naszych, którzy w „Wieczorach” śledzili z zajęciem i ciekawością losy bohaterów powieści p. Zofii Urbanowskiej, p. t. *Róża bez kolców*, donosimy, że powieść ta wyszła w tych dniach w książce bogato ilustrowanej, we wspaniałem, wykwintnem nawet wydaniu. Dla nowszych prenumeratorów naszych, którzy jej treści nie znają, dodajemy, że jest osnuta na tle przyrody tatrzańskiej. Autorka w przystępnej formie zaznajamia w niej młodych czytelników z Tatrami, z ich kruszcami, minerałami, klimatem — z fauną i florą górską, wreszcie z życiem pasterskiem ludu, jego pieśniami, muzyką i z oryginalną sztuką zakopiańską. Wydanie w dużym formacie, na 460 stronicach druku, ozdobione dwustu kilkudziesięciu rycinami objaśnianymi w tekście, z pięknymi inicjałami stylowymi i okładką kompozycji Miłosza Kotarbińskiego, kosztuje rub. 3. Nakład firmy K. Grendyszyńskiego w Petersburgu, druk Józefa Sikorskiego, Warecka 14.

Kto z was był w Tatrach, znajdzie w tej książce, obok treści naukowej, wspomnienie wycieczek i czarownych obrazów natury. Jest to piękny gwiazdkowy podarek.

Na liczne zapytania naszych czytelników, czy nie moglibyśmy w rzędzie wylczonych przez Redakcyę powieści pomieścić także *Atlanty* p. Zofii Urbanowskiej, donosimy, że Redakcyja postarała się o pewną liczbę egzemplarzy tej książki. Prenumeratorowie zamiejscowi otrzymają ją nie ponosząc kosztów przesyłki, które wynoszą od jednego egzemplarza, z powodu jego objętości kop. 40. Dla miejscowych zaś, książkę dostarczymy o kop. 40 taniej, czyli zamiast rub. 3 za rub. 2 kop. 60. Ci jednak co chcą mieć po tej cenie *Atlantę*, niech się spieszą, bo o tyle tylko możemy uwzględnić zamówienia, o ile starczy egzemplarzy.

Wychodzi codziennie

nie wyłączając niedzieli.

Istniejący rok setny dwudziesty dziewiąty

Dziennik polityczno-społeczno-literacki

„Gazeta Warszawska”

z bezpłatnym dodatkiem tygodniowym p. t.

„Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy.”

Jedyny większy dziennik, wychodzący codziennie z rana i wysyłany na pocztę przed południem — jest więc pismem najwcześniej dochodzącem na prowincję.

W Warszawie: rocznie 9 rubli, półrocznie rb. 4 kop. 50, kwartalnie rb. 2 kop. 25, miesięcznie kop. 75. Za ośrośnienie do domu 5 kop. miesięcznie.

Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rb. 12, półrocznie 6, kwartalnie rb. 3 — łącznie z przesyłką pocztową.

ADRES: Redakcyja „Gazety Warszawskiej”

Nowy Świat Nr. 35.

Redaktor i wydawca St. Lesznowski.

4—1

Do niniejszego numeru dołącza się prospekt „Słowa,” „Gazety Polskiej” i „Dobrej Gospodyni.”

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna, miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Wigilijna cicha noc, wiersz przez Zofię Wł. Zacharkiewicz (z ryc.) — W dzień Bożego Narodzenia. — Boże Narodzenie (z ryc.) — Betleem (z ryc.) — Wigilia przez Zofię Bukowiecką. — Anioł pasterzom mówił (ryc.) — Hymn wigilijny, wiersz przez Alfreda Ludowskiego — Niedźwiedź Ggaly, opowiadanie wigilijne. — Ze swiata. — Łamigłówki i rozwiązania. — Od redakcyi. Dodatek: Pod choinką, wiersz przez M. D. (z ryc.) — Wigilia Bożego Narodzenia. — W noc Bożego Narodzenia, wiersz przez W. B. — Upominek gwiazdkowy przez Maryę Weryho. Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Biruta, przez Z. Rudnicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 3 Декабря 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska

W drukarni Noskowskiego. Warecka Nr. 15.

Nr. 52. — Rok XXIII.

Dnia 14 (27) Grudnia 1902 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Na ślizgawce.

Na lodzie.

*Wysypała się gromada
Na lodowy szlak,
Jak pieniąć się kaskada,
Co w podskokach z góry spada
I mknie w dal jak ptak.
Wysypała się gromada
Na lodowy szlak.*

*Szlak usłała można zima,
Skrzydłem — łyżwy stał.
Nikt ich w pędzie nie zatrzyma,
Ledwo dojrzyć ich oczyma,
Gdy szybują w dal...
Szlak usłała można zima,
Skrzydłem — łyżwy stał.*

*Mroźny podmuch twarz rumieni...
Ale fraszka chłód!
Lekko naprzód pochyleni,
Po srebrzystej mkną przestrzeni,
Jak po toni wód.
Mroźny podmuch twarz rumieni
Ale fraszka chłód!*

*Już lód skrzypnął, łyżwa dzwoni,
Kreśląc śmiały łuk.
Ręce cugi mają oni: —
Młodą krew, co tętni w skroni,
Zręczność chyżych nóg.
Już lód skrzypnął, łyżwa dzwoni,
Kreśląc śmiały łuk.*

*Tną lód, aż przechodzą ciarki...
Wietrze, ty ich goń!
Lecz, łyżwiarze i łyżwiarki,
Tym, co padną w jeździe szparkiej,
Bratnią podać dłoń...
Tną lód, aż przechodzą ciarki,
Wietrze, ty ich goń!*

Ig. B.

DOBOSZ

EPIZOD Z WOJNY TRANSWAALSKIEJ.



ddział Boerów stracił swego dobosza i szukał nowego.

Pewnego dnia zjawiła się w obozie kobieta w starszym wieku, w żałobie, prowadząc za rękę chłopca i przedstawiła go na wakujące miejsce.

Wszyscy parsknęli śmiechem na widok wątłego chłopczyka i dowódca nawet nie mógł się powstrzymać od objawu wesołości. Małec zarumieniony opuścił głowę, ale po chwili podniósł ją, zwracając swe duże mądre oczy na feldkorneta.

— Może pan być najzupełniej spokojny, panie feld-

kornecie — rzekł śmiało — znam się dobrze na biciu w bęben.

Ten uśmiechnął się dobroliwie.

— Sierżancie, przynieś bęben i przyprowadź ze sobą trębacza.

Trębacz, trzyłokciowy wiarus, na widok nowego towarzysza potrząsał wąsami i zawołał.

— Co, ty knocie, chcesz być u nas doboszem?

— Nicinaczej, i jeżeli pan tak dobrze umiesz grać na trąbce, jak ja na bębnie, to oddział będzie wkrótce skakał, jak my mu zagramy, — odparł chłopiec, zakładając na szyję pas od bębna.

Skoro tylko uchwycił pałeczki, z taką siłą począł bębnić, że wszyscy żołnierze jednogłośnie wyrazili swoje uznanie.

Wówczas trębacz wyciągnął się jak struna i zaczął jednego ze swych najtrudniejszych marszów. Ale dobosz tak świetnie mu wtórował, że olbrzym oczy tylko wytrzezczał.

— Przyjmuję chłopca, — rzekł feldkornet do matki. Jak mu na imię?

— Samuel.

— Czy tylko wytrzyma nasze błyskawiczne marsze?

Matka wybuchła płaczem.

— Męża i dwóch synów straciłam już na wojnie, trzech młodszych synów służą pod De Wetem. Ten oto jest szósty i ostatni; ale nie jestem w stanie dłużej utrzymać go przy sobie. Proszę, błagam was, czuwajcie nad nim i przyprowadźcie mi go z powrotem! Jestem sama, sama jedna!...

Łkania głos jej stłumiły.

— Uczynię, co będzie w mojej mocy, — odrzekł feldkornet; — gdyby jednak miało spotkać go nieszczęście, wiesz sama, że go spotka za Transwaal.

„Sam:” jak nowego dobosza nazywano w pułku, stał się ulubieńcem wszystkich, głównie jednak zdobył sobie serce długiego trębacza. Gdy droga była zła, lub wypadało bród przechodzić, sadzał po prostu chłopca wraz z bębniem na ramię; przy zbyt zaś forsownych i uciążliwych marszach żołnierze całego pułku nieśli go na zmianę. Szczebiotał, śmiał się, bił w bęben aż miło było słuchać, wojakom serce się radowało, patrząc na chłopca.

* * *

Słońce już dawno zaszło z ponad krwią zbrozonego pola bitwy, walka jednak wciąż jeszcze trwała. Tylko ciemność nocna zdołała rozłączyć walczących.

Tu i owdzie migały latarki. Szukano zabitych towarzyszy. Jak cienie posuwały się jedno za drugim, nosząc, zdążając do namiotu, gdzie lekarze smutną swą powinność pełnili.

Miedzy tymi, którzy wśród poległych z latarką w ręku błądzili, znajdował się i długi trębacz. Stracił swego małego dobosza i smutek owładnął nim całym.

— Nie widzieliście Sama? — Nie wiecie, co się z doboszem stało? — pytał wszystkich ze łzami i łkaniem, dławiąc go w gardle.

Co raz to stawał i nasłuchiwał w nadziei usłyszenia dźwięku jego bębna; wiedział bowiem, że Sam nie opuści nigdy swego instrumentu i bić weń będzie, dokąd siły mu starczą.

Tam!... Czyż to nie słaby odgłos pobudki?

I znowu!... Tak to bęben Sama woła o pomoc.

Sążnistemi krokami podążył trębacz w kierunku odgłosu. I coraz wyraźniej dochodziły dźwięki jego uszu. Słyły one od strony rowu, gdzie najzaciętsza wrzała walka.

Przez trupy ludzi i koni przeskakując, spieszył do miejsca, gdzie brzmiała pobudka i ujrzał nareszcie małego Sama. Siedział oparty o pień drzewa, z bębniem obok siebie.

— Co się z tobą dzieje, mały? — zawołał zaniepokojony trębacz.

— Nie bardzo mi dobrze, Jakóbie. Będiesz mnie musiał nieść, jak to już nieraz robiłeś. Nogi mnie opuszcily.

I ku swemu przerażeniu spostrzegł trębacz, że dobosz istotnie obie nogi postradał. Kula armatnia mu je oderwała, a pozostałe części miał skórczanemi szelkami mocno obandażowane.

— To ten to zrobił, rzekł Sam, wskazując na wyciągnięte ciało dragona irlandzkiego, który na chwilę przed śmiercią zerwał z siebie szelki i owiązał niemi nogi wroga, aby go od upływu krwi uratować.

Z troskliwością macierzyńską podniósł trębacz ranionego chłopczynę z ziemi, a lży jedna po drugiej toczyły się po jego ogorzałej twarzy.

Sam to spostrzegł.

— Czego płaczesz, Jakóbie? Nie zapomnij bębna, bez niego nie mogę się w obozie pokazać.

Jakób spełnił jego życzenie, ostrożnie położył chłopca na trawie i zawiesił sobie na szyi bęben. Następnie posadził na nim Samą, a głowę kazał sobie na ramieniu oprzeć.

— Jakiś ty dobry! — rzekł dobosz, — Jeszcze nieraz będziemy razem do boju ruszali. Czy pamiętasz nasz ulubiony marsz.

I słabym, ledwie dosłyszalnym głosem począł go nuć, usiłując palcami takt do niego na bębnie wybijać.

— Jakóbie, — szepnął potem, — pozdrów matkę moją ode mnie!.. Czy jutro pójdziemy znów w pole?

Ostatnie słowa zamarzył mu na ustach, główka jego zawisała na ramieniu trębacza, który z ciężarem swym wśród ciał, kamieni i gałęzi ostrożnie kroczył przez pobożewisko.

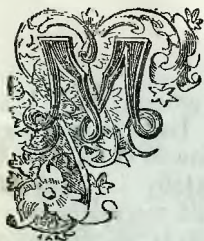
Gdy dostał się do obozu, mały dobosz już nie żył.

Do ostatniej chwili nie opuścił bębna i leżał na nim nieżywy.

J. Nestorowicz.

List Heli, czytelniczki „Wieczorów.”

Gospodarstwo społeczne.



amo kochana! Wyjeżdżając z domu, postanowiłam sobie pisywać jaknajczęściej do rodziców, ale sądziłam, *mea culpa*, że nie będę miała co wam donosić. Tym czasem pisywałamby codziennie, żeby się dzielić myślami, których tyle zewsząd się zbiera. (Widzisz, matuś, a mówiłaś nieraz, że w mojej głowie wróble się gnieźdzą).

Na wsi wszystko jest proste to i myśleć nie ma o czem. Za czasów Noego żyli ludzie pewnie tak samo. Pracują wszyscy wspólnie, tatko i mama, choć niby są jak król i królowa w Sokołowie, to jednak mżolą się od rana do wieczora. Pomagają im służący, ale i Noe sam nie zbudował arki, tylko musiał mieć pomocników. Nie dziwiło mnie też wcale, że Grzesiowa albo Stachowa całowały mamę w rękę. Mama jest taka dobra, tyle rozdaje lekarstw, pomaga im w biedzie, któżby Rzepichy lub Dąbrówki nie kochał?

Na wsi byłam zupełnie szczęśliwa i nie zastanawiałam się nad tem, jak świat powinien być urządzony. Dopiero w Warszawie przyszły mi do głowy różne myśli i różne wątpliwości.

Naprzykład teraz nadchodzi Boże Narodzenie. O, wiem to dobrze! bo wyliczyliśmy już, że za dwanaście tysięcy mi-

nut wyjedziemy z Warszawy, ale tymczasem nigdy miasto nie wydawało mi się tak piękne, jak teraz. We wszystkich sklepach mnóstwo podarków na gwiazdkę, a często i drzewka wspaniale ubrane zobaczyć można. Przypatrują się im przez okna dzieci otulone w futerka, ale patrzą na te śliczności i dzieciaki ubogie, zaledwie okryte. Któż dla tych gwiazdkę zapali?

Mama dla dzieci fernali przygotowuje choinkę, ale w Warszawie jest ubogich dzieciaków mnóstwo, aż strach pomyśleć.

Już to także dopiero w Warszawie zaczęłam pojmować, jak wiele, jak nieskończenie wiele jest ludzi na świecie. Profesor powiedział nam wczoraj, że rodzi się rocznie na kuli ziemskiej dwa miliony dzieci, czarnych, białych, żółtych, brunatnych, wszystko razem policzywszy, aż dwa miliony, mateczko!

Żeby tak zebrać w jedno miejsce całą tę gromadę, dopiero byłby wrzask! Nie zapomnę, jak krzyczał mały Antek, kiedy go trzymałam do chrztu.

Mniejsza z tem, ale Chińczyk, Murzyn, czy Europejczyk chce jeść, potem rośnie, potem się uczy, potem chce pracować. Co więc mają robić te dwa miliony? kto myśli o tem, żeby przybywało chleba w miarę, jak przybywa ludzi na kuli ziemskiej. Mateczka pewnie znajdzie na te pytania odpowiedź, ale ja napróżno łamię sobie nad niemi głowę.

Dawniej było łatwiej, naprzykład Abraham i Lot pogodzili się prędko z sobą, bo jeden poszedł na prawo, żeby tam paść swoje trzody, a drugi udał się na lewo w tym samym celu i obadwaj posiadli ziemię, której pragnęli. Nikt im nie zaprzeczał własności, bo nikt pól nie uprawiał. Było tyle roli, że każdy mógł orać swój zagon. Ale dziś jest przecie inaczej, stara Maryanna mówiła mi kiedyś, że coraz cieżniej ludziom na świecie i to jest prawda, ale ja to dopiero teraz w Warszawie zrozumiałam.

Powiedziałam cioci Dziuni, że powinniśmy jak najmniej jeść, żeby nie zabierać innym chleba. Ciocia jednak jest przeciwnego zdania, radzi żywić się porządnie, bo tylko zdrowi i silni ludzie nie są ciężarem społeczeństwu, mogą owszem pomażać jego środki. A jednak kiedy widzę piękne wystawy gwiazdkowe i bosych dzieciaków przypatrujących się im przez sklepowe szyby, to chciałabym być małą, jaknajmniejszą, lilipucią, żeby nie zabierać wiele miejsca, skoro jest go na świecie tak mało dla wszystkich...

Niedziela rano. Nie skończyłam wczoraj pisać a dziś oddano nam list mamy. To prawdziwe czary, żeby mateczka tak przeżuła moje myśli i, nie pytana jeszcze prawie, na nie odpowiedziała. Aż mi lżej na sercu, że mogę śmiało zająć śniadanie. Tak, mateczka ma słuszość, niech tylko *każdy z całego serca pracuje dla drugich*, a chleba nie zbraknie. Mama radzi, żebyśmy i w Warszawie przyczyniały się do dobrobytu świata, kiedy nie możemy uczyć biednych dzieci, żebyśmy brały jakikolwiek udział w gospodarstwie społecznem.

Gospodarstwo społeczne! to brzmi wspaniale. Wielkie gospodarstwo! obejmuje ono całe narody i cały świat. Ciocia Dziunia mówi, bo pokazałam jej list mamy, że będziemy się kiedyś uczyć zasad tego gospodarstwa, i że ta nauka, którą *ekonomią polityczną* nazywają, jest bardzo ciekawa. Ma ona na celu dobrobyt wszystkich i dla tego mi się podoba.

Obie z Wańdzią myślemy też o tem, jak już dziś służyć społeczeństwu, jak brać udział w jego gospodarstwie. I wie mama co wymyśliłyśmy? Mama przysła nam worek szyszek świerkowych, które nieużytecznie gniją w lesie, a my w wolnych od zajęć godzinach będziemy z nich szyły kapelusze. Pamięta mateczka te, które robiłyśmy dla lalek! Były śliczne, dlategoż nie mamy teraz robić większych i użyteczniejszych. Tym sposobem powiększymy bogactwo społeczne, bo z rzeczy bezwartościowej zrobimy wartościową, i otrzymamy fundusz na węgiel dla więcej od

nas zziębniętych biedaków, gdyż na ten cel przeznaczamy zarobione pieniądze, chcąc żeby nasza praca przyniosła drugim pożytek, a więc była troszeczkę społeczną.

Widocznie nie my jedne, Bogu dzięki, myślemy o ratowaniu świata przez pracę dla drugih.

Myślą o tem w Warszawie różne instytucje i osoby, którym pomagają, jak mogą, młodsze i starsze od nas panny. Szanowny ksiądz Siemieć np. pomyślał o chłopcach, panienki i panny warszawskie zakrzętnęły się około dziewcząt i chcą zabezpieczyć ich los, wychowując je na dobre sługi.

Znów przerwano mi list, a teraz wracam ze ślizgawki. Ślicznie wyglądał Saski ogród, zasypany śniegiem, a Hela, wasza Hela tak ślizgać się lubi! Używałyśmy więc obie z Wańdzią na holendrach, łyżwy od mateczki są doskonałe, a świat piękny, jakby białym obrusem zasłany. Mateczko, żeby tak można do wielkiego stołu, większego niż trawnik w Saskim ogrodzie, zaprosić wszystkich ludzi, cały tłum głodnych i niegłodnych, dość, że braci, czarnych, żółtych, białych i łamać z niemi opłatek wigilijny... Jakby to było pięknie, jak dobrze! A ja wołałabym na nich: kochajcie się, kochajcie, pracujcie wszyscy jedni dla drugih, bo jak ślicznie powiedział poeta:

Czyni każdy w swoim kółku, co każe duch Boży,
A całość sama się złoży.

Duch Boży każe kochać i pracować dla drugih, prawda mateczko?

twoja Hela.

Za dziesięć tysięcy minut wyjedziemy z Warszawy.
Wiwat!



J. E. ks. biskup Zdzitowiecki.

Nowi biskupi.

W ciągu bieżącego miesiąca dwie dyecezye, kujawsko-kaliska z rezydencją we Włocławku i Sandomierska, osierocone przez śmierć biskupów: Bereśniewicza i Sotkiewicza — otrzymały nowych pasterzy: J. E. ks. Stanisława Zdzitowieckiego i J. E. ks. Stefana Zwierowicza, których portrety zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Pierwszy z nich urodził się w 1853 r. w Barczkowie gub. Piotrkowskiej i skończywszy w 1877 r. Semi-

naryum warszawskie, udał się na studia teologiczne do Rzymu, poczem był kolejno wikaryuszem w Warszawie, proboszczem w Górach Wysokich, wreszcie kanonikiem kapituły sandomierskiej. Drugi urodzony w r. 1842 w pow. Bieleckim gub. grodzieńskiej, piastował już od r. 1897 godność biskupa wileńskiego, a studia duchowne prowadził w seminariu wileńskim i akademii petersburskiej. Obaj pastarze odznaczają się głęboką nauką, wysokimi zaletami serca i umysłu, a szczególną opieką otaczają młode pokolenia, pełni dbałości o ich wychowanie religijne i moralne.

Dla wiadomości czytelników naszych dodajemy, że w guberniach królestwa Polskiego jest 7 dyecezyi (t. j. prowincyi biskupich): Warszawska (archidyecezya), Płocka, Kujawsko-kaliska, Lubelska, Kielecka, Sandomierska i Sejmieńska, której biskup ś. p. ks. Antoni Baranowski zmarł przed trzema tygodniami. W całym państwie istnieją nadto: archidyecezya Mohylewska łączna z dyecezyą Mińską i dyecezye Wileńska, Kowieńska, Łucko-żytomierska i Tyraspolska.



J. E. ks. biskup Zwierowicz.

NOWA KOLEŻANKA.

(Dokończenie).



Wanda rozplakała się i wyszła z pokoju, o! jakże się czuła nieszczęśliwą w tej chwili! Jakże ta Irenka jest niegodziwa! — powtarzała sobie w duszy biedna Wanda. Gdyby panna Teresa była w domu, opowiedziałaby jej wszystko, a ta uwierzyłaby jej z pewnością, lecz dziś nie miała nawet do kogo się udać, pani Ziębowiczowa była jej zbyt obca. Choć strasznie ciężko było jej na sercu i niesłuszne oskarżenie dotknęło ją głęboko, jednak zamknięty w sobie charakter Wandy nie pozwalał jej zwierzyć się nikomu, nawet koleżankom.

Nie wesoło przeszedł dzień cały, Wanda była smutna, Irenka rozdrażniona i w złym humorze nawet dzień następny, owa oczekiwana niedziela, nie wpłynął na rozweselenie panienek. Pod wieczór dopiero, gdy goście zaczęli się zbierać, zapomnieli o swych troskach.

Przybyły cztery panienki, znajome i koleżanki z braćmi, przyszła też panna Helena Kraczevska, ona i panna Ziębowiczówna były jedyne dorosłe panny w tem młodym gronie. Gwarno i wesoło było w salonie p. Teresy, śmiechy, rozmowy, żarty nie ustawały na chwilę, jakkolwiek nie trzymano się ściśle programu panny Ziębowiczówny, bawiono się znakomicie. Rozpoczęto gry, panna Helena zaproponowała sekretarza.



Na pasterkę.

*Jeszcze srebrne gwiazdy świecą,
 A w powietrzu mroźno, cicho,
 Śnieg opłotków dmie ulicą,
 A na drzewach okieść wiechą,
 We wsi okna z pod strzech w kole
 Czerwonemi patrzą oczy,
 Ale dalej — szczere pole,
 I noc czarna cieniem mroczy.
 Kędy droga z dworu biała
 Brzęk już słyhać i parskanie,
 Sadzi czwórka osadziła
 Za nią żłobem idą sanie.
 Dziaduś siwy wziął wilczurę,
 Babcia wdziała zausznice,
 Posadziła obok córę,
 I siwiutką tuż klucznice.*

*Wnuk powozi — wali z bata
 Echem leci w dal klaskanie,
 Sadzi czwórka w szadz srokata,
 I jak żłobem idą sanie.
 A tam w onej mrocznej głębi,
 Gdzie zaledwie świta dzionek,
 Ponad śnieżny puch gołębi
 Hen! polata srebrny dzwonek.
 Dziad pacierze zaczął nowe,
 Ujął srebrną tabakierkę,
 I rzekł: Ostro weź licowe,
 Trzeba zdążyć na Pasterkę.
 Śmignął bat — skoczyły szpaki,
 Aż dziad krzyknął: Zuch mosanie!...
 Pole — przeszkód, konie — ptaki
 I jak wicher idą sanie...*

Bożydar,

— To takie zabawne — mówiła — gdy się potem czyta zapytania i odpowiedzi.

Lecz Irence ta myśl nie bardzo się podobała, nie była pewna, czy potrafi dobrze napisać, a chciała zawsze pokazać się jak najlepiej w oczach p. Heleny, poradziła więc gry biegane, co zostało przyjęte z zapalem, zwłaszcza przez młodszą część towarzystwa. Składano fanty i już spora ich liczba zebrała się w koszyku u pani Kraczewskiej.

— Czas już na sądzenie fantów — odezwała się panna Helena.

— Ale przedewszystkiem czas na herbatę — rzekła pani Ziębowiczówna — trzeba sił nabrać do wykupywania fantów.

Wszyscy poszli do jadalnego pokoju, by zająć miejsca przy zastawionym stole, Julcia i Mania jako najpraktyczniejsze z domowych, zajmowały się herbatą, częstowały gości.

Po herbacie zajęto się fantami, które sądzono najrozsądniej. Wyływały zabawne kombinacje, Hela Malinowska, która nigdy grać się nie uczyła, została skazana na muzykę, Stasiowi Bielińskiemu kazano śpiewać, choć miał głos fałszywy, jedni wywiązali się jak umieli ze swego zadania, inni prosili o zastępstwo, lecz wszyscy byli zadowoleni.

— Nechże teraz będzie deklamacja — rzekła panna Helena — jeszcześmy tego nie mieli, ale zastrzegam sobie deklamację prawdziwą, wolno prosić o zastępstwo lecz wiersz powinien być ładny.

— Zgoda, zgoda — wołano w około.

— Czyj to fant? — spytała pani Kraczevska, podnosząc z koszyka rękawiczki.

— To Irenki, to panny Ireny — ozwały się liczne głosy.

— No, to przynajmniej los dobrze trafił — odezwała się panna Ziębowiczówna — prosimy cię, Irenko, ty co umiesz tyle rzeczy na pamięć...

— Ale ja dziś nie mogę deklamować — broniła się zarumieniona Irenka.

— Dlaczego?

— Bo mam chrypkę.

— Nie znać jej w twoim głosie, nie wymawiaj się.

— Ale naprawdę, mam chrypkę i nie mogę dużo mówić, może kto mnie zastąpi.

— Mogę cię wyręczyć, tylko nie wymagajcie czegoś długiego — powiedziała panna Ziębowiczówna i szepnąwszy parę słów pannie Helenie, na które ta odpowiedziała skinieniem głowy, podniosła się z krzesła i zaczęła mówić:

Czemu mi smutno? Czy, że wiatr jesieni
Lasy i pola już odarł z zieleni,
I tam wysoko, po niebie nade mną
Dachem ołowiu rozbił chmurę ciemną,
I w uszach skargą jęklącą przewiewa,
I pędzi tuman liści spadłych z drzewa,
Jakby liść każdy był duszą człowieka,
Co wirem szalu i losu porwana
Po szlakach drogi nieznannej, nieznana
Leci, aż padnie smutna i daleka,
Gdy wiatr ucichnie, lub jej zbraknie siły
Nad brzegiem jakiejś tam obcej mogiły?...

Kiedy skończyła, rozległy się żywe oklaski.

— Jakie to piękne — odezwała się jedna z panienek.

— A czyj to jest wiersz? — spytał Władzio Kalicki.

— Czyj utwór? niech powie Irenka.

— Dlaczego ja mam powiedzieć?

— Wet za wet, — wyręczyłam cię w deklamacji, ty mnie wyręczysz w objaśnieniu, to chyba nie sprowadzi ci chrypki. Proszę tylko — dodała żywo — aby nikt z państwa się nie odzywał, i ty Helusiu nic nie mów, przyrzekałam, że nie będziesz się sprzeciwiała.

Irenka zrozumiwała złośliwy trochę zamiar panny Ziębowiczówny i była w prawdziwym kłopotcie; przyznać się wobec wszystkich a zwłaszcza w obec panny Heleny, że nie

wie czyj to utwór, było zbyt wielkiem dla niej upokorzeniem, postanowiła unikać odpowiedzi.

— Nie rozumiem po co ten egzamin, nie jestem obowiązana do odpowiedzi — rzekła niecierpliwie.

— Posądzam, że nie wiesz co odpowiedzieć — rzekła przekornie panna Ziębowiczówna.

— Owszem, wiem doskonale, tylko nie chcę powiedzieć.

— Nudne jesteście z tą sprzeczką — zawołała panna Helena — nie marudź Irenko, wymień prędko tytuł autora poematu i bawmy się dalej.

Irenka czuła się zgubioną, niema sposobu, choćby upierała się, że nie chce mówić, wszyscy odgadną jej nieświadomość.

— Nie wiem po co to wszystko — zaczęła zmieszana — przecież wszyscy wiedzą... że te wiersze... że ten wyjątek... że to jest...

— Elegia Narcyzy Żmichowskiej — usłyszała cichy szept za sobą.

— Elegia Narcyzy Żmichowskiej — powtórzyła i obejrzała się szybko.

Tuż za nią we drzwiach salonu stała Wanda, która w tej samej chwili cofnęła się do drugiego pokoju. A więc to ona ją uratowała, ona, której wczoraj taką wyrządziła krzywdę. Irenka nie namyślając się, pobiegła za Wandą i płacząc, rzuciła się jej na szyję.

— O, Wańdziu, Wańdziu, jakaś ty dobra! jakaś ty szlachetna! przebac mi wczorajszy postępek, jutro powiem prawdę pannie Perzyńskiej, naprawię wszystko, ty nawet nie pojmujesz, od jakiego wstydu mnie uratowałaś.

— Niema o czem mówić — rzekła Wanda — zwykła koleżeńska przysługa.

— O nie, Wando, to nie jest drobnostka, nie zapomnę ci tego przez całe życie.

I rzeczywiście ta chwila była początkiem ich przyjaźni, gdyż Irenka szczerze wdzięczna za wyświadczoną przysługę, pozbyła się wszelkich względem niej uprzedzeń. Swą szlachetnością Wanda nie tylko zjednała sobie wszystkie koleżanki, lecz uszlachetniła je. Potem, gdy wakacje nadeszły i panienki rozjeżdżały się do rodziców, choć z radością jechała do domu, jednak z pewnym żalem żegnała swe towarzyski, wśród których nie czuła się już obcą. One także z żalem ją żegnały.

M. Beldowska.

ZE ŚWIATA.



Ostatnie wyprawy podbiegunowe.

Okolice bieguna północnego naszej ziemi nie przestają pociągać przedsięwzięć i śmiałych umysłów, zarówno dawniej, jak i obecnie. Anglicy i Amerykanie mieli dotąd pierwszeństwo w tych niebezpiecznych wyprawach. Znane są wszystkim nazwiska: Franklina, który wraz z towarzyszami stracił w jednej z nich życie, dalej Kana, Ross'a, Pear'a i wielu innych. Z kolei Austriacy, Szwedzi, Norwegczycy i Włosi zajęli się temi wyprawami, a dzięki energii śmiałych podróżników, poczynili ważne odkrycia. W ostatnich czasach, norweska wyprawa Nansena zaciekała świat cały. Ten śmiały podróżnik przepędził straszną zimę wśród „Nocy i lodów” a opis przygód jego, które kiedyś skreśliliśmy, można czytać jak jakąś baśń ciekawą. Dotarł on saniami, ciągniętemi przez psy, aż do 86° 14' szerokości północnej, i jedynie

włoska wyprawa pod wodzą księcia Abruzzów, brata stryjczanego obecnego króla Wiktora Emanuela, doszła 15 mil dalej, to jest do 86° 33' szer. pół., jakkolwiek nie była tak dobrze urządzona i zaopatrzona, jak wyprawa Nansena.

W obecnym roku wróciły trzy wyprawy podbiegunowe:

Sverdrup'a towarzysza Nansena, który popłynął na tym samym okręcie, słynnym *Framie*, po raz drugi śladami dzielnego podróżnika. *Baldwin'a* i *Peary* obu Amerykanów, ten ostatni po czteroletniej nieobecności.

Wyprawa *Baldwina* miała zaćmić wszystkie inne. Bogacz amerykański *Wiliam Zigler*, otworzył mu kredyt do 5 milionów franków na wszystkie urządzenia.

W dniu 10 lipca 1901 r. wyruszył *Baldwin* z Trömsöe do ziemi *Franciszka Józefa*, zabierając na trzech parowcach załogę, zapasy, 320 psów syberyjskich, znaczną ilość sani... a wrócił z niczem, bo ogromny ten tabor krępował mu swobodę ruchów.

Trzecia wyprawa, *Pearego*, przyniosła przynajmniej wiadankę ciekawych spostrzeżeń o Grenlandyi i okolicach podbiegunowych. Przebył on je wzdłuż i wszerz, na saniach w towarzystwie *Eskimosów*, których kilka rodzin prowadził z sobą. Wypłynął w czerwcu 1898 roku. Spostrzeżenia jego, równie jak w ogóle wszystkich ostatnich podróżników, obalają przypuszczenie (hypotezę) morza wolnego od lodów w okolicach bieguna. Owszem, zdaniem *Pearego* lody zwolna od bieguna posuwają się na dół.

Grenlandya, która niegdyś musiała być krainą zamieszkaną, niknie pod górami lodu i śniegu. Z ziemi wolnej od śniegu latem pozostało w Grenlandyi najwyżej 5 do 25, a w paru miejscach 60 do 80 mil ang. szerokości. Pas ten wybrzeżny otaczają góry. Doliny za niemi zasypane są śniegiem, który pogrzebał ziemię na kilka tysięcy stóp wysokości. Całe wnętrze Grenlandyi jest to olbrzymia tarcza, lśniąca srebrnym połyskiem na 1200 mil długa, a 500 szeroka. Na tej zamarzłej pustyni, niema śladu życia roślinnego lub zwierzęcego.

Po zachodniej stronie zatoki *Smitha* napotkał *Peary* nieliczny szczep *Eskimosów*. Mieszkają oni prawdopodobnie najdalej na północ z całego rodu ludzkiego, żyją pod uciskiem strasznego zimna, bez rządu, bez własności z wyjątkiem ubrania i broni, ze słabymi pojęciami religijnymi. Ubranie ich jest sporządzone ze skór zwierzęcych i ptasich. Jedynym celem życia—zdobywanie żywności i materiału na opał i odzienie.

Mimo tego prawie zwierzęcego bytu, przy bliższem zetknięciu *Eskimosi* okazali się bystrzymi, rozsądnymi i łagodnych obyczajów. Towarzyszyli *Pearemu* przez ciąg jego czteroletniej podróży. Uspołecznili się znacznie i przyszedli do względnej zamożności, bo podróżnik rozstając się z nimi, zaopatrzył ich w broń i najpotrzebniejsze narzędzia.

Nie udało się więc żadnej z trzech ostatnich wypraw zatknąć sztandaru swego na krańcu osi ziemskiej, na owym tajemniczym biegunie. Niema jednak wątpliwości, że odwaga prawdziwa i gorąca żądza wiedzy niejednego jeszcze tam poprowadzi żeglarza i podróżnika, i może nareszcie osiągną swego celu ku chwale ludzkości, bo zwycięstwo należy do wytrwałych.

Granat czeski (pyrop) można uważać za jedyny cenny słowiański kamień. Różne gatunki granatów znajdują się w różnych krajach i mają rozmaite kolory. Najbardziej znanymi gatunkami są: granat indyjski (almandyn), koloru wiśniowego, krwawego, niebiesko-czerwonego i t. p.; odmiana ta znajduje się w Azji Mniejszej, na Cejlonie, oraz w Czechach pod Kolinem. Granat syberyjski „grossulan,” jest zielonawy lub żółtawy, granat „hessonit” z Cejlonu i Piemontu ma barwę pomarańczowo-różową, zwyczajny granat tyrolski jest koloru ciemnego, mniej przezroczysty, a znajduje się też w Tatrach. Granat Czeski „pyrop” jest odmianą najładniejszą, ma kolor czysty ciemno-krwawy

i znajduje się w ziarnach wielkości gróchu lub mniejszych, rzadko większych, zarośnięty w kamieniach około Tryblic, Podsedzie i Roweńska. Właścicielami kopalni są hr. Schönbornowie i największe pyropy oszlifowane przesyłają od lat kilkuset w darze Ojcu św. na krzyże kardynalskie. Jedyny granat czeski wielkości jajka gołębiego znaleziono przed laty 600 za panowania Karola IV i sprzedano za 40,000 talarów saskiemu skarbowi królewskiemu, gdzie się dotąd znajduje.



Do nagrody:

Zagadka geograficzno-historyczna.

Wyspa to jest niewielka, a jednak jeśli kto zechce łądzią objechać ją dokoła, musi jechać tak długo, jak gdyby cztery razy była większą.

Cała ta wyspa jest skałą jednolitą, a skała ta składa się z minerału powszechnie znanego, bardzo pospolitego, który też często znajduje się w rękach młodzieży.

Wyspa ta jest bardzo zbliżona do lądu, leży naprzeciw ujścia znanej rzeki.

Niegdyś, w dawnych czasach, mały ten kawałek ziemi miał w dziejach ludzkości niepospolite znaczenie, zasiany jest pamiątkami świetniejszej przeszłości. Były tam bogate i wspaniałe świątynie pogańskie, z tych dwie szczególnie używały wielkiej sławy, jedna na morskiem wybrzeżu, druga na wyniosłej wyżynie.

Dawniej ta wyspa miała aż trzy nazwy, a czwartą nosi obecnie. Dziś jedynie z powodu tych starożytnych pamiątek zwraca na siebie uwagę, odwiedzana jest obecnie dla morskich kąpiel.

Jak się ta wyspa nazywa, jak się nazywała dawniej, gdzie leży, jakie są jej starożytne pamiątki?

* * *

Kto najlepiej rozwiąże tę zagadkę i nadesłanie najdokładniejszą odpowiedź na powyższe pytania, otrzyma jako nagrodę książkę:

Austriacy w Warszawie, W. Przybrowskiego.

Termin nadsyłania rozwiązań 20 stycznia 1903 roku.

S Z A R A D A .

Od Rózi dla Czytelniczek Wiezorów.

Pierwsza i druga! z prawdą najzele
Ty byt zapewniasz, wieszysz do mety.
Pierwsze i trzecie znaczy, że iele
Słów wypowiada z każdej pndiety.
Trzecie i czwarte w znak upzejmości,
Czyni gospodarz przyjmując gości.
Wszystko, do wielkich zał ja liczę,
I być nią każdej, każdej was życzę.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 49-go.

Lamigłówni kryształowej:

L o h e N g r i n
 H a b a k u k
 L i p n o
 P ł o c k
 I l e
 K r e t a
 H i p o l i t
 S r z e n i a w a
 N a p o l e o n B o n a p a r t e
 N o s k o w s k i
 A p e n i n y
 K l a r a
 L i p s k
 P a n
 P a r y s
 D e o t y m a
 A g a m e m n o n

ROZWIĄZANIA DO N-ru 50.

Szarady: A — to — my.

Wierszyków bez końcówek:

Poczerńało niebo,
 Poczerńało pole,
 A gdzie lecisz, odlatujesz,
 Siwy mój sokole.
 Czy lecisz za góry,
 Czy za morze sine,
 Za tem słońkiem za tem złotem,
 W weselszą gościnę.
 Weselszą gościnę
 Znajdziesz sobie wszędzie;
 Lecz za cichą wiosną naszą
 Tęskno tobie będzie.
 Co spojrzysz za siebie,
 To serce zasmucisz,
 Aż się z nową wiosną do nas
 I do gniazdka wrócisz.

Marya Konopnicka.

Od Redakcyi.

W roku 903 WIECZORY RODZINNE dodawać będą:
 Przy każdym numerze osobny bezpłatny dodatek
 powieściowy, tworzący biblioteczkę WIECZORÓW
 (kilka tomów a rok).

Bezpłatne premii gwiazdkowe — oddziel-
 ną KSIĄŻKĘ dla wszystkich prenumeratorów.

Numera okolicznościowe powiększone (święte-
 czne, wakacyjne, gwiazdkowe i t. p.) z rycinami koloro-
 wanymi.

PREMIA DODATKOWE.

„Wyjątkowa sposobność dla prenumeratorów Wieczorów.”

Niezależnie od dodatku powieściowego przy ka-
 żdym numerze, bezpłatnego premii gwiazdkowego
 i numerów powiększonych, postaraliśmy się o ułatwie-
 nie nabycia naszym czytelnikom kilku cennych dzieł i zaj-
 mujących powieści (15 tomów) po cenie o połowę nie-
 mal niższej.

Prenumeratory WIECZORÓW RODZINNYCH
 mogą nabywać w Redakcyi pojedynczo lub po kilka nastę-
 pujące książki:

1. *Brehm. Królestwo zwierząt.* Obrazy z życia i oby-
 czajów świata zwierzęcego, w przekładzie St. Rewień-
 skiego. Najlepsze i najciekawsze dzieło w tym
 rodzaju. Wielki tom o 970 str. z licznymi rysun-
 kami zamiast rub. 5 — rub. 2 kop. 80
2. *Klementyna z Tańskich Hoffmanowa.* Wszystkie pisma
 wydane pod redakcją Narcyzy Żmichowskiej to-
 mów 6 zamiast rub. 3 — rub. 2.
3. *Zygmunt Głogier. Słownik rzeczy starożytnych pol-
 skich* zamiast rub. 1 kop. 50 — kop. 50.
4. *Stephenson. Skarby na wyspie* (słynna powieść) za-
 miast rub. 1 ko. 20 — kop. 65.
5. *Sekretek białego dworku* zamiast r. 1 k. 20 — k. 60.
6. *J. Verne. Dzieci kapitana Granta* 3 tomy w jednym
 zamiast kop. 60 — kop. 40.
 „ 20,000 pod wodą zamiast rub. 1 k. 50 — rub. 1.
 „ Podróż d. środka ziemi zamiast r. 1 — k. 70.
 „ Sfinks lodowy zamiast rub. 1 — kop. 80.
10. *J. Chęciński. Dzień grzecznego Władzia* dla mniej-
 szych dzieci zamiast rub. 1 kop. 20 — kop. 75.

NB. Pragnących otrzymać te książki pocztą, prosimy
 o przysyłanie nadto na koszt przesyłki odpowiednio do
 wagi książek: za Brehma — kop. 50, za 6 tomów Hofmano-
 wej — rub. 1, za Słownik — kop. 28 i za powieści po k. 21.

ENCYKLOPEDIY
STAROPOLSKIEJ
 ilustrowanej (Zygmunta Głogera)
 wyszedł Tom III-ci

obejmujący wyrazy od K do P, a łącznie z dwoma poprze-
 dnimi około dwa tysiące artykułów i kilkaset ilustracji,
 rysunków, nut, z polskiej kultury, obyczaju, praw, dziejów,
 urzędów, kunsztów, ubiorów, uzbrojeń, zabaw, gier, dowci-
 pu, pieśni, pamiątek i w ogóle życia (wszystkich stanów)
 domowego i publicznego, rycerskiego i rolniczego, kościel-
 nego, rzemieślniczego i łowieckiego, z 9-ciu wieków ubie-
 głych. Cena całego dzieła na welinie i w oprawie ozdo-
 bnej, w księgarniach i redakcyi (ul. Chmielna 50) rb. 12.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: ocenie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna
 miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA Nr. 10.

TREŚĆ: Na lodzie, wiersz przez Ig. B. z ryc. — Dobosz, epizod z wojny Transwalskiej, przez J. Nestorowicza. — List Heli, czy-
 telniczki „Wieczorów.” — Nowi boskupi (z port.) — Nowa koleżanka (dokończenie). — Na pasterkę, wiersz przez Bożydara
 (z ryc.) — Ze świa. — Do nagrody: Zagadka geograficzno-historyczna. — Lamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Przejazd-
 ka, wiersz przez J. Szląskowską (z ryc.) — Wigilia Bożego Narodzenia (dłk.) — Przygody Wojtaszka (dokończenie). — Lami-
 główni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Spis rzeczy z roku 1902.

Bezpłatny dodatek książkowy: Biruta, przez Z. Rudnicką.

Redaktorka Ludwika Hau. Доводено Цензурою. Варшава 8 Декабря 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

